

## ROZDZIAŁ I

Piekarnia mistrza Taurona na ulicy Przyskalnej w Naucenemes uchodziła za najlepszą piekarnię na świecie, a Itsuk robił wszystko, aby opinia ta zaskakiwała każdego przyjezdniego swoją prawdziwością.

Codziennie budził się równo o trzeciej od północy, wraz z pierwszym bekiem kozy, która biegła po dzielnicy rzemieślniczej, podzwaniając uwieszonym przy szyi dzwoneczkiem. Ubierał się jeszcze przez sen, mozolnie naciągając jeden rękaw, potem drugi, następnie jedną nogawkę, potem drugą, a na koniec owijał stopy puchatymi onucami. Mrugając ospale i mlaskując sklejonymi ustami, schodził na parter, gdzie wypijał szklankę mleka, płukał usta wodą miętową i przyczesywał jasne włosy. Przy tych czynnościach starał się nie budzić mistrza Taurona, bo wiedział, jak delikatny jest jego sen.

Wychodził w ciemność, odlewał się i dopiero w ziąbie bijącym od górnego otwierały mu się szeroko, a policzki nabierały koloru. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się ośławiona piekarnia, w której Itsuk przywdzięwał czapkę, fartuch i szeroki uśmiech, ponieważ niewiele rzeczy sprawiało mu taką radość jak rozbijanie jajek, ubijanie ciasta, taplanie go w mące, odmierzanie idealnej dawki soli, pieprzu, formowanie doskonałego koła, usypywanie rodzynek w precyzyjną spiralę na jego czubku, wsuwanie dziesięciu takich bochnów do pieca i zagładanie od czasu do czasu, czy są już aby na pewno gotowe. W okolicach godziny czwartej, kiedy zjawiali się pierwsi pracownicy, zwykle był już w trakcie przygotowywania trzeciej porcji, a w piekarni unosił się rozkoszny zapach rumieniącego się pieczywa.

Jego chleba kosztował sam mistrz Tauron około pięć godzin po północy. Jeśli zaaprobował wypieki Itsuka chrząknięciem połączonym z kiwnięciem głową, królewski parobek pakował je pospiesznie na swój wóz. Zwykle zabierał ich około pięćdziesięciu, chwytał za dyszle wozu i biegł po górskiej ścieżce, między szczytami Falgonów, żeby zdążyć do kuchni w Modrym Oku, zanim potężni panowie się obudzą, żądając na śniadanie najlepszego chleba na świecie.

Bo chleb Itsuka jadł król, księżniczka, rycerze, damy dworu i sami haronowie, jeśli zostali wezwani na zbór, a tak się składa, że akurat zostali. Itsuk zawsze był straszliwie dumny ze swego chleba, i z tego chrząknięcia i kiwnienia, którym obdarzał go mistrz Tauron. Kiedy już pomógł parobkowi zapakować pieczywo na wóz, patrzył za nim długo, zastanawiając się, czy on też dumny jest z owoców swojej pracy i ze służby Świętej Unii. O której musi się budzić, aby dotrzeć do piekarni na piątą i być w zamku przed siódmą? Czy

dostaje nuda za fatygę albo chociaż pajdę tego pysznego, świeżutkiego chleba, który wtaszczył pomiędzy sterzące jak kły szczyty Falgonów?

Z takimi wesołymi myślami odwracał się i widział rozpoczynający pracę stragan z drewnianą biżuterią. Należał on do pani Sariny, każdej niegdyś, zanim dostała trzydzieści batów na rynkowym przegierzu, tytułową się lyrrą, mimo do szpiku kości mieszkańców pochodzenia. Wyniosła i surowa, zawsze obwieszona była mnogością koralików, pierścionków, bransoletek i wzorzystych chust. Mistrz Tauron mawiał, że pani Sarina wygląda jak burdel mama, a ta zawsze miała w odpowiedzi jakiś przytyk do wyłysiałej głowy i wielkich jak patelnie dloni mistrza. Poza tym, żyli ze sobą wyjątkowo dobrze.

Pani Sarina nie prowadziła swego kolorowego sklepiku sama. Jej uczennicą była Moth – najurokliwsza dziewczyna, jaką Itsuk kiedykolwiek w swoim życiu widział. Tak samo jak pani Sarina, stanowiła żywą reklamę sklepu – przy każdym jej ruchu koraliki w bransoletkach i naszyjnikach obijały się o siebie, kolczyki w kształcie wielkich słońca huśtały się na jej uszach, a chusta na głowie migotała w świetle dnia. Pani Sarina kazała Moth nosić jeden kosmyk czarnych włosów zalotnie zarzucony na czarne oko, i nigdy nie uśmiechać się tak, by pokazywać zęby. Itsuk nie raz słyszał, jak z domu Sariny dochodziły wściekłe wrzaski, bo Moth zaśmiała się z czegoś zbyt swobodnie.

Mimo tych usilnych zabiegów, Moth wciąż była niewinnym dwudziestoletnim dziewczęciem przybyłym do wielkiego miasta z zaprziałej rybackiej wsi. Itsuk pewien był, że na jej kawowej karnacji znalazły się kilka wypalonych przez słońce piegów, a gdyby ściągnęła z siebie całe to drewno, chusty i panieński makijaż, wyglądałaby o pięć lat młodziej.

A myślał o tym bardzo często, zdecydowanie zbyt często, toteż zaczerwienił się, wytarł ubabrane mąką dlonie w fartuch, i ze spuszczoną głową wrócił do piekarni.

Praca wrzała na dobre, bo po priorytetowej porcji chleba dla rodziny królewskiej i haronów należało przygotować pieczywo dla mieszkańców i prostego ludu Naucenemes. Tym zajmowali się już mniej utalentowani pracownicy mistrza Taurona, siedzącego w gabinecie i wykonującego skwapliwe kalkulacje. Itsuk mógł sobie pozwolić na zwolnienie tempa pracy – co wcale nie oznacza, że to robił. Dopiero w okolicach godziny ósmej rzucił to, co miał akurat w rękach, i wychodził na ulicę ze swym śniadaniem, na które składały się dwie bułki, dwie pomarańcze i dzbanek lemoniady.

Na tyłach piekarni czekał już Skylle. Oblizywał się zawsze na widok Itsuka, przypominając mu zdziczałego psa – bo i chłopak miał wiele cech upodabniających go do leśnego dziada czy innego straszydła z głuszy. Miał lat dziewięć albo dziesięć, jego komicznie przydługie ręce zwiastowały ponadprzeciętnie wysoki wzrost, a nogi wydawały się

zaczynać od kolan za sprawą ogromnego worka po kartoflach, który zastępował Skyllemu koszulę. Teraz, kiedy zbliżała się zima, stopy, dlonie i szyję miał owinięte szczeriałymi szmatkami, lecz mimo to wciąż dygotał jak liść na wietrze i posmarkiwał co chwilę.

Nosił się więc jak każde bezdomne dziecko w Naucenemes, ale rzucał w oczy bardziej od innych. Jego ciemne, brudne włosy sterczały na wszystkie strony, a ogromne, wygłodniałe oczy patrzyły na wszystko tak jak hiena patrzy na lwy rozszarpujące antylopę. Był pokryty kurzem i lepkimi plamami nieznanego pochodzenia, ale to nie one przykuwały uwagę wszystkich do jego skóry. Były to blizny na twarzy; różowe, kremowe, zbrązowiałe, nabiegłe krwią; blizny tak paskudne, że ciężko było nie krzywić się na ich widok. Cały prawy policzek Skyllego był wstrębnie poszarpany i odrobinę ściągał jego skórę w dół, deformując oczodół. Drugi był w nieco lepszym stanie, za to na nosie i podbródku widniały głębokie zadrapania. Itsuk wiedział, że pod „szalikiem” i „rękawiczkami” jest podobnie, tak samo jak na wychudłych nogach. Wiedział też, że gdzieś w tych szmatach Skylle nosi ukryty nóż.

- Dzień dobry, Skylle – przywitał się, niespiesznie stawiając misę i dzbanek na spleśniiałym stoliku. – Gdzie się podziewałeś?

Skylle nie odpowiedział, oblizując się i pożerając śniadanie Itsuka wzrokiem. Uczeń piekarza usiadł na zarzewiałym wiadrze, które odwrócił do góry dnem. Wziął pomarańczę i nóż do jej obrania, a Skyllego zaprosił do posiłku gestem.

Chłopak natychmiast rzucił się na bułkę, a w drugą rękę złapał pomarańczę, zdzierając z niej skórkę połamanymi paznokciami. Kiedy dobrał się do środka, wysysał z niej soki, nie szczędząc mlaskań i pomrukiwań, aż ćwiartka owocu była wysuszona na wiór. Itsuk cały czas obserwował go z mieszkanką współczucia i konsternacji na twarzy.

Po pierwszej ćwiartce Skylle uśmiechnął się upiornie, usiadł na starej skrzynce po jabłkach, oparł łokcie na stole, a drugą częstkę pomarańczy traktował już z większym namaszczeniem.

- Żyłem – odpowiedział z rozmarzeniem na zadane dobrych parę chwil wcześniej pytanie.

- Mam wrażenie, że ledwo – parskanął śmiechem piekarz. – Długo cię nie było. Zacząłem się martwić.

- No bo wreszcie trochę zarobiłem. Ja, Mate, Korf, Kilon i Arfo pojechaliśmy strzyc owce.

- O, to całkiem nieźle. Masz więc jakieś pieniądze na dach nad głową albo chociaż na jedzenie, prawda?

- Powiniensem mieć – przyznał niechętnie Skylle. – Ale ludzkie skurwysyństwo nie raz mnie jeszcze zaskoczy.

- Nie zapłacili wam? – westchnął boleśnie Itsuk.

Skylle uśmiechnął się znowu, kiwając głową.

- No! Dlatego sobie ułyśmy. Na ich córce, rozumiesz.

- Ta? Chyba nie rozumiem.

- Zabraliśmy ją do sadu i przywiązałyśmy do drzewa. I wiesz, każdy zrobił z nią, co chciał.

Itsuk przyglądał mu się badawczo.

- Czyli co takiego?

- Mam ci pokazać, głupia dziewczyno? Może powinniśmy byli cię zaprosić na nauki.

Wiedziałbyś wtedy, co zrobić z Moth, i nawet więcej. O wiele, wiele więcej.

Skylle uśmiechnął się, widząc, jak Itsuk marszczy brwi. Był rosłym mężczyzną o szerokich ramionach zdolnych unieść wóz pełen siana, a przez to nie wyglądał na zbyt szybkiego.

Skylle jednak chełpił się zawsze, że zna życie na tyle dobrze, by nauczyć się o pozorach, które mylą. Tymczasem nawet nie zdążył wyszarpać noża, kiedy silne ramię ucznia najlepszego piekarza na świecie złapało go za włosy z tyłu głowy i grzmotnęło nią o stół.

Skylle zaklął szpetnie zza dloni spływających krwią. Itsuk patrzył na niego, wściekle marszcząc czoło.

- Jeszcze raz napelesz mi takich bujd z tak wstremnym uśmiechem, zapomnisz o śniadaniach ze mną i całej uprzemysłowości, którą ci okazuję – zawarczał jak rozjuszony ogar. – Co zrobiłeś z wypłatą?

- A chuj cię to...

- Teraz jestem ciekaw. Prawdy.

Podał Skyllemu szmatkę, którą ten drżąca ręką przycisnął sobie do nosa.

- Ich córka nam zabrała.

- Zabrała was? Jak?

- Poczekała, aż jej rodzice stracą nas z oczu i nam groziła. Miała siekierę w ręce!

- I co, całą grupą nie daliście jej rady?

Skylle wbił gniewny wzrok w ziemię.

Itsuk westchnął, starając się ukryć współczucie.

- Znowu zostawili cię samego?

- To był taki żart.

- Ta? Jaki?

- Zamknęli mnie w kurniku. Ta dziwka mnie znalazła i kazała dać pieniędze za ratunek. I naprawdę miała siekierę!

- I cały ten czas siedziałeś w tym kurniku?

- Nie... Poszedłem do Wisienki.

- Oczywiście, że poszedłeś. Chłałeś, zamiast przyjść do mnie, aż obudziłeś się w rynsztoku koło trupiarni, co?

- Obudziłem się, bo ktoś na mnie szczał, Itsuk.

- I to niby dla ciebie nowość? – piekarz pokręcił z dezaprobatą głową, podsuwając przyjacielowi lemoniady. – Co i rusz wplątujesz się w takie kabały, Skylle. Jakby twoje życie nie było wystarczająco podłe.

- A co niby miałem zrobić? Nie ja sam siebie zamknąłem w kurniku.

- Mógłbyś zmienić kompanię na taką, która nie zamykałaby cię w kurniku.

- Ta... Jakbym miał z czego wybierać.

Ścierka całkiem przesiąkła krwią, która skapywała na ubranie Skyllego. Ten jednak nie widział tego, zapatrzony w bruk między stopami. Itsuk przyglądał mu się uważnie, nie wiedząc, co mówić dalej.

- Wiesz, że są na mnie cięci, bo wiedzą, że masz mnie przygarnąć? – burknął Skylle.

- Tak, wiem, ale... - piekarz zaczął niemal szeptem. – ...nie mam jak. Mistrz Tauron dalej nie chce zrobić mi egzaminu. Nie stać mnie na mieszkanie, nie idzie mi szukanie żony... Skylle, musisz wziąć się za siebie. Przestać grać dzikusa, żeby popisać się przed resztą dzieciaków zazdrośnych o to, że masz cień szansy na lepsze życie. Musisz po prostu, chłopie, zainwestować w siebie...

- Ten chłopak, który zwozi chleb do Modrego Oka – wciąż się Skylle, zwijając ścierkę. Dół twarzy miał poczerwieniały, ale z nosa już mu nie ciekło – ma najlepszą robotę na świecie.

- Doprawdy? – Brew piekarza wygięła się sceptycznie. – Podoba ci się wstawanie codziennie przed świtem, wbieganie na Falgony i z powrotem?

- Słyszałem o tym chłopaku. Kiedyś mieszkał na ulicy jak ja. Potem trafiła mu się ta robota i wiesz, jak on teraz żyje? Mieszka sobie w ciepłym sierocińcu. Musi wstawać wcześnie, jasne, ale codziennie dostaje półtorej cersena. Codziennie! Potem przez resztę dnia robi sobie, co chce. Niedługo zacznie się uczyć szermierki, bo nazbierał sobie na lekcje u jakiegoś zdziadziałego żołnierza. To najlepsza robota na świecie, Itsuk. A ty – uśmiechnął się

niespodziewanie jak najniewinniejsze dziecko w Naucenemes – pracujesz w najlepszej piekarni na świecie.

- Mhm. Tyle, że twoja wymarzona posada jest zajęta.

- Nie od parady mam schowany...

- Skylle.

- Jesteś taki nudny, Itsuk. Dobra, nie gap się tak na mnie! Wystarczy, że bękart spierdoli robotę. Wywalą go, a ja wskoczę na jego miejsce.

- Jakież to proste! A co z jego lekcjami szermierki, na które długo i uczciwie pracował?

Skylle przerwał życie skórki pomarańczy, aby zniesmaczone spojrzenie, jakim obdarzył przyjaciela, było jak najbardziej dosadne.

- Ktoś mnie dzisiaj obszczał, Itsuk – przypomniał uprzejmie. – Pierdolić tego wypłosza i jego lekcje szermierki.

- Skylle.

- Nie cofnę tego, pierdolić go!

- Dobra, a skąd pewność, że wywalą go, jak spie... spartoli robotę? Mogą przecież dać mu drugą szansę.

- To spierdoli drugi raz. I trzeci, i czwarty. Ty zawsze głośno narzekaj i polecaj mnie.

- Skylle, bez obrazy, ale jesteś wątły, szybko się męczysz, smarkasz całą zimę, śmierdzisz, jesteś brudny, a przede wszystkim nieodpowiedzialny. Spartoliłbyś za pierwszym razem.

Chłopiec uśmiechnął się kwaśno.

- Za nuda w tobie wiary.

- Wręcz przeciwnie, jest we mnie mnóstwo wiary. W zdrowy rozsądek, na przykład.

- Nie chce mi się z tobą gadać! – żachnął się Skylle i zeskoczył ze skrzynki, zostawiając po sobie pusty dzbanek, okruchy po bułce, skórki pomarańczy i czerwoną chusteczkę. – Idę poszukać jakiegoś słownego mecenasza!

- To życzę powodzenia – parskanął Itsuk, zastanawiając się, w jakim podejrzany przybytku Skylle mógł usłyszeć to słowo. Chłopak skrzywił się i zniknął za rogiem.

Nastała pora wrócić do pracy. Itsuk przeciągnął się, patrząc na zachodnią wieżę Modrego Oka wystającą zza skał Falgonów. Jak zwykle o tej porze, zastanawiał się, czy parobek z pieczywem dotarł już na szczyt.

Modre Oko było niedużym, ale przepięknym zamkiem przytulonym do niemal pionowych stoków wielkich gór, w których wydrążono skalne korytarze, aby zapełnić je księgami, zwojami i tajemnicami. Mówiono, że pod wykutymi z niebieskawego kamienia fundamentami zamku drzemie niepojętych rozmiarów smok, póki co spętany magią, lecz w każdej chwili gotowy się przebudzić. Niegdyś była to siedziba haronów, którzy strzegli mieszkańców przed wszelkim złem i tylko czasem wzywali na zbory króla ze stolicy Unii. Z biegiem wieków wszystko się jednak zmienia i teraz mało kto zachodził do zamkowych bibliotek, błękitny kamień prawie całkiem wykruszył się z zewnętrznych ścian, a rodzina królewska na stałe rezydowała w Modrym Oku, zapomniawszy o Pałacu Popiołów w Rhagos. Haronów wzywała ze swych majątków regularnie przy każdej pełni księżyca i, jeśli komuś było akurat po drodze, przyjeżdżała.

Król Eneis IV miał lat pięćdziesiąt sześć, ale wyglądał na ponad sto. Zaczął się gwałtownie starzeć w chwili śmierci żony i od tamtej pory nie zrzucił żałobnej bieli, która pokryła także jego brwi, brodę i włosy opadające na ramiona, za to nie zakrywające czubka głowy. Ciało króla zawsze było spokojne, powolne i dokładne, a cała energia i tężniące w nim niemrawo życie były z jego jasnoniebieskich, dobrotliwych oczek.

Nawet przy podpisywaniu dokumentów podsuniętych mu teraz przez nerwowego królewskiego sekretarza mozolił się i kreślił każdą literę swego imienia tak dokładnie, jakby w kółko go zapominał.

Sześciu haronów zasiadających po obydwu jego ręках nie zdradzało jednak żadnych oznak zniecierpliwienia. Znali króla zbyt dobrze, toteż z ich milczenia biła tylko powaga, szacunek i wyczekiwanie. Haron Immala uśmiechał się lekko, widząc staranny podpis króla na potwierdzeniu, że nowo odkryta wyspa na Letnich Morzach jest już jego własnością. Siedzący na półkolistej katedrze naprzeciwko niego haron Kohar zawsze zauważał takie szczegóły i zawsze oceniał je surowym zmarszczeniem smoliście czarnych brwi.

Był dwa lata starszy od króla, ale wyglądał o połowę młodziej. Podczas gdy Eneis na starość się zaokrąglił, przygarbił, posiwał i wyłysiał, Gaius Kohar wciąż był wysoki, wyprostowany, chudy i kruczowłosy. Miał za to głębokie zmarszczki na czole i wokół szmaragdowych oczu mierzących wszystkich krytycznym spojrzeniem nad ciemnej brody. Gaius nie cieszył się popularnością wśród pozostałej piątki haronów, zawsze wyczuwających niechęć do wszystkiego, co żyje, bijącą z wyniosłej, najczęściej milczącej postaci Harona Sprawiedliwości. Król Eneis jednak, być może ze względu na sentyment do lat młodości, wciąż uważa Gaiusa Kohara za swego najlepszego przyjaciela i najwierniejszego doradcę.

- Jeszcze ten jeden, Wasza Wysokość – przypomniał gryzipiórek, nieco się ożywiając.

Król pokiwał głową i zabrał się za dokładną analizę ustawy. Gaius nie mógł już wytrzymać i zakaszła w prędko wyszarpiętą z rękawa jedwabną chusteczkę. Na ten dźwięk oczy wszystkich haronów skupiły się na jego krzaczastych brwiach. Gaius spojrzał w to, co wykaszał, a te zmarszczyły się nieco. Haroni odwrócili wzrok, nie bardzo zasmuceni.

Gaiusa napadła fala wstępnego kaszlu, która wycisnęła mu łzy z surowych oczu. Król odłożył wreszcie pióro, przeciągnął się i spojrzał po haronach.

- To już wszystko, moi drodzy – obwieścił. – Dziękuję wam za przybycie, a kiedy zobaczymy się następnym razem, pamiętajcie o ciepłych płaszcach. Tymczasem strzeżcie Magmowych Mieczy i Magmowej Korony.

Wszyscy zerwali się z ozdobionych rodowymi herbami krzesel, aby zagrzmieć jednym głosem:

- Niech Szary Człowiek sprzyja nam, służącym jego ludowi!

Jeden tylko haron Kohar, z chusteczką wciąż przyciśniętą do ust, nie zdołał wstać równo ze wszystkimi, a słowa pozdrowienia zaczął wypowiadać, kiedy wszyscy zaczęli już zbierać swe dokumenty i opuszczać salę narad. Nie uszło to uwadze reszty haronów, rozmawiających ze sobą przyciszonymi głosami, ani króla, który uśmiechnął się do Gaiusa, wzruszywszy bezradnie ramionami. Gaius wsadził chusteczkę do kieszeni czarnej peleryny i jak najszybciej powrzucał swoje pergaminy do torby, żeby chociaż wyjść równo z resztą haronów.

Jesień była tego roku piękna i kolorowa. Pełno jej było w drzewach na wewnętrznym dziedzińcu Modrego Oka. Gaius zwolnił kroku, jakby zaskoczony, że w ogóle zwrócił na to piękno uwagę. Zatrzymał się pod bursztynową lipą, marszcząc gniewnie brwi. Odkaszlnął dwa razy – znalazł jeszcze dwie czerwone kropelki na drżącej dłoni. Wytarł je prędko w zakrwawioną chusteczkę i całkiem zapomniał o pięknie tegorocznej jesieni.

Kiedy się odwrócił, zobaczył Eneisa zbliżającego się do niego spacerowym krokiem, okrutnie przgnębującego w swoich żałobnych szatach.

- Kiedy wyjeżdżasz, Gaius? – spytał, siadając na ławce pod drzewem.

- Zaraz, Wasza Wysokość – odburknął haron, nie zamierzając usiąść.

- Doprawdy? Ostatnio było ci tak spieszno do domu, jak urodził ci się syn.

Gaius drgnął, a jego oczy zabłyszczały ostrzegawczo.

- Co to ma znaczyć? – warknął.

Władca Świętej Unii uśmiechnął się tylko.

- Od pięciu lat słówka na ten temat nie uroniłem, więc nie popełniam chyba jakiejś niewybaczalnej gafy? A nawet, jeśli, to jestem, jakby nie patrzeć, królem, prawda?

- Nie będę rozmawiał na ten temat nawet, jeśli sam Szary Człowiek wyjdzie ze Zwiastuna i mi to rozkaże.

- A ja myślę, że nie będzie musiał, bo ja go uprzedzę. Siadaj, nie mów do swojego króla z góry.

- Powiniensem już wyjeżdżać, wybacz...

- Och, Gaius, kogo ty próbujesz oszukać? To prawdopodobnie nasza ostatnia rozmowa, wiesz o tym. Zachowaj się więc jak mężczyzna, usiądź tu ze mną i porozmawiaj. Chyba, że straż ma ci w tym pomóc.

Usta Gaiusa, ukryte w gęstej brodzie, zacisnęły się w cienką linię, ale usiadł posłusznie obok swego przyjaciela. Ten patrzył uparcie przed siebie, a kiedy Gaius poszedł śladem jego wzroku, zobaczył życie tępniące na wewnętrznym dziedzińcu; szybkie, nerwowe, bezmyślne, proste i głośne. Życie, na które wcześniej nie zwracał uwagi.

Wszędzie przemykały praczki, sprzątaczki, służący, urzędnicy, strażnicy i giermkowie. Oprócz szczebiotliwych plotek Gaius słyszał szczeć mieczy i śmiech ćwiczących w drugiej części dziedzińca rycerzy, synów haronów i lyrrów, których nie interesowała prawdziwa walka, ale paradowanie w bajkowych zbrojach. Nie było lepszego miejsca na uczenie się pozorów umiejętności, pozorów dumy, pozorów odwagi... Niedaleko pola ćwiczebnego córka Eneisa, księżniczka Cerro, sprzeczała się o coś z dwiema swymi guvernantkami, w międzyczasie obdarzając ojca niewinnym uśmiechem, a Gaiusa nienawistnym spojrzeniem.

- Jest już dorosła – powiedział z niejakim smutkiem król. – Jest już dużym dzieckiem.

Gaius milczał, spuściwszy wzrok. Cerro była jedną osobą zdolną zmusić go do zawstydzienia się, nawet jeśli się do niego nie odezwała - a czyniła to tylko w wyjątkowych okolicznościach.

- Powiniensem wydać ją za mąż – ciągnął Eneis. – Dawno temu powiniensem ją zaręczyć. Ale, niestety, jestem słabym człowiekiem, i kiedy krzyczała, że nigdy nie wyjdzie za mąż, że nie urodzi dziecka, że będzie machać mieczem i chodzić w spodniach, pozwalałem jej. Ale teraz... Wszystko się zmieni. A ona jest słaba i bezbronna. Potrzebuje opiekuna. Wątpię, żeby Myron był dobrym królem, a co dopiero dobrym bratem. Jednak godzę się na to. Godzę, bo chodzi o przetrwanie mojej krwi, o dobro moich dzieci. Mojego jedynego, pierworodnego syna, który popełnia i będzie popełniał głupstwa, ale może wyniesie z nich jakąś naukę. Nie mogę zmarnować ciężkiej pracy i poświęcenia stu pokoleń moich przodków tylko dlatego, że decyzje mojego dziecka nie byłyby moimi decyzjami.

Gaius milczał. Cerro wyrwała się guvernantom i pobiegła ze złością do wnętrza zamku.

- Myślałem więc, kogo wybrać dla Cerro. Kto ochroni ją przed jej własną głupotą? Kto w całym Znanym Świecie byłby dla niej dobrym mężem?... Wiesz, co odkryłem, Gaius? Myślałem, że będę przebierał w kandydatach, a tymczasem jest tylko jeden godny. Jest w wieku Cerro, wszyscy pamiętają go jako inteligentnego dzieciaka i zdolnego wojownika. Popełnił jednak w życiu jeden poważny błąd: nie chciał zabić swojego najlepszego przyjaciela...

- ...który chciał zabić jego... – wciąż się haron.

- ... z rozkazu swojego ojca...

- Wasza Wysokość, bardzo mi przykro, że na całym kontynencie nie istnieje nikt zdolny wytrzymać z twoją córką, ale...

- Jak myślisz, dlaczego generał chciał śmierci twojego syna? Jego największą ambicją jest przecież twoje miejsce w Radzie Haronów. Przekonał już do swoich racji resztę. Nie mieć złudzeń, przyjacielu. Wybiorą go na Harona Sprawiedliwości i uczynią najpotężniejszym człowiekiem w Świętej Unii, zanim twoje zwłoki ostygnią. Nie będę miał siły, żeby go powstrzymać. Wiesz o tym.

- Cóż mnie to obchodzi, skoro będę martwy?

- Ponieważ twoja rodzina będzie żywa i bezbronna. A skoro twoja, to i moja.

- Więc rozpraw się z generałem. Jesteś, na miłość Szarego Człowieka, królem.

- Ale nie głupcem.

Brwi Gaiusa nie mogły już wygiąć się w bardziej wymowny sposób.

- To rozstrzygną kronikarze. Z osądem *jego* jest prościej. Gdyby *on* zabił generałowi syna, nie miałybyś teraz żadnego problemu.

- Ale nie zabił i mam. Ty też nie chcesz chyba, żeby generałowi się udało, prawda? Żeby załał się w Pamięci jak kornik, wygnął twą żonę i córki, stał się najbliższym doradcą Myrona? Żeby po nim twój zamek kalał jego synalek-truciciel, a potem jego synowie, córki i bękart? Mówię ci, będziesz tylko przewracał się w grobie i pluł w czarną brodę, że nie wykorzystałaś świętego prawa dziedziczności, kiedy...

- Nie chcę tego słuchać, Eneis. Mogłeś wyrżnąć cały ród generała jak wieprzki na uczętle, ale byłeś tchórzliwy. Jeszcze bardziej tchórzliwy niż *on*.

Błękitne oczy Eneisa zwęziły się. Król wpadł w gniew.

- Mogłem? – wycedził cicho, choć każde jego słowo ociekało jadowitą furią. – Czy ty słyszysz, co mówisz? Miałem wyrżnąć ród, który sam uczyniłem tak potężnym? Po tym, jak

twój sprytny syn okazał im łaskę? Pamiętam, pod jakim byłem wrażeniem, że poświęcił swój honor dla przyjaciela. Pamiętam, że wszyscy byli pod wrażeniem. Pamiętam, jak Hestia była nim zachwycona i jak pobladła z wściekłości, kiedy usłyszała ciebie wszem i wobec ogłaszającego...

Gaius poderwał się na równe nogi, ale nagły kaszel natychmiast zgiął go w pół. Król również wstał, nieco pośpieszniej niż zwykle.

- Magini!...

- Nie! – zaprotestował Haron Sprawiedliwości. Wykaszał w dlonie resztki krwi i zdołał spojrzeć na Eneisa z góry, odzyskując chłód i spokój w posturze. – Jak śmiesz obwiniać mnie za swoje błędy? Jak śmiesz widzieć w *nim* swoje odkupienie? Chcesz go sprowadzić tylko po to, by prowadził w nieskończoność bitwy, na których rozstrzygnięcie ty nie miałeś wystarczająco odwagi. *Jego* banicja w twoich ustach zaczyna brzmieć jak łaska. Mogłeś wyrzucić rodzinę heretyków, zdrajców i świniopasów, których sam wpuściłeś do Pałacu, i dobrze o tym wiesz. Dalej możesz to zrobić, a skoro przez te wszystkie lata tylko ubyło ci odwagi, wydaj swoją słodziutką Wilczycę za syna Yazora. Ona na pewno udusi go poduszką i zdejmie z ciebie to straszliwe brzemię. Z pewnością wyjdzie na tym lepiej niż na małżeństwie z tym tchórzem, którego zrodziła moja durna żona przed dwudziestoma laty. A zresztą, niech Temidanowie zostają sobie haronami, zaśmierdzają Pamięć i zasiadają na katedrze, i tak nic tam nie robiłem, tylko słuchałem jak wydajesz te swoje mądre decyzje, za które w kronikach nazwać cię Szarym, a twojego syna Głupim... Chcesz go posadzić na tronie, ty kretynie? Bo to twoja rubinowa krew? Dobra, rób to. Co nas to obchodzi? W dniu koronacji i tak obydwaj będąemy martwi. Co nas obchodzi los tego świata? Cóż mnie obchodzi sto pokoleń twoich przodków, ich poświęcenie i praca? Co ty niby możesz o tym wiedzieć? Ty i ja! To, że mamy brody, siwiznę i rodowe kroniki, nic nie znaczy! Chyba, że masz już mózg przeżarty demencją i zapominasz, jak oboje spędziliśmy swoje życie, jak wielu wielkich rzeczy nie dokonaliśmy, jak hańbiliśmy naszych przodków... A może masz wyrzuty sumienia? Ja nie mam. Nic mnie nie obchodzi marne trzynaście pokoleń moich przodków, ani nie obchodzi mnie pokolenie czternaste, piętnaste i żadne inne. Umieram, Eneis. Umieram i nie obchodzi mnie nic innego. Twoje próby wzbudzenia we mnie żalu nadeszły stanowczo za późno.

Skończył i jego zawiilotniałe oczy napotkały smutne jak u zbitego kundla oczy króla. Cała służba nagle zniknęła z ogrodu, wiedząc, że nie powinna słyszeć rozmów Jego Wysokości z haronem. Nawet, jeśli jeden jest bliski zdzielenia drugiego w łeb.

- Żegnaj, Wasza Wysokość – mruknął Gaius ochryple.

Król długo dobierał słowa.

- Jedź do domu, Gaius – odpowiedział w końcu. – Do zobaczenia.

Haron Sprawiedliwości kiwnął głową, odwrócił się i wszedł do zamku. Wiatr rozwiewał jego czarną pelerynę jak nietoperze skrzydła. Kaszlnął jeszcze krótko, zanim trzasnęły za nim drzwi, a Eneis został w pięknym ogrodzie Modrego Oka całkiem sam.

\*

Cerro zawzięcie ścierała mikaon, ponownie ignorując zalecenia guvernantki Vei dotyczące ostrożnego obchodzenia się z delikatną, królewską skórą. Jak każda jeszcze niezamężna arystokratka, twarz i szyję musiała malować na biało, jej boki naznaczyć zielonymi roślinnymi motywami, usta obramować na bordowo, a oczy podkreślić naturalną barwą tęczówki. Ponieważ nie była jednak byłe jaką szlachcianką, ale córką obecnego i siostrą przyszłego króla, guvernantki z samego rana, nieważne czy w święto czy dzień powszedni, wcierały w całe jej ciało złoty pył, rysowały zielone pnącza na czole i naklejały błękitne cyrkonie wokół oczu. Cerro nienawidziła wszystkich tych zabiegów, szczególnie wykonywanych cudzymi rękoma, dlatego od paru lat sama sobie zadawała tę torturę upiększania - choć guvernantki i tak walczyły o to, by wszystko po niej poprawiać.

Kiedy Cerro wyszła ze swej osobistej łazienki i usiadła przy toaletce, była już dwudziestoletnią dziewczyną o niezdrowo bladej cerze, prostym nosie, cienkich ustach, błękitnych oczach, prawie niewidzialnych brwiach i płaskich włosach spływających na łopatki. Była też czymś zmartwiona – konkretnie widokiem, na który natknęła się w ogrodzie, a który potem podglądała z okna. Ostatnio tata wspominał łagodnie o małżeństwie, na co ona reagowała taką samą furią jak wtedy, kiedy miała pięć lat. Jej tata był jednak zawsze dobry i pobłażliwy - to przez niego pieszczołiwie nazywano ją tyle lat Wilczycą. Jej tata na pewno by tego nie zrobił, na pewno nie ukarałby jej najgorszym z możliwych... Zresztą Kohar jest zbyt uparty, żeby się na to zgodzić...

Tajemnicą ani dla jej ojca, ani dla samego Harona Sprawiedliwości nie było, że Cerro szczerze nienawidzi Gaiusa Kohara. Miała wrażenie, że nienawidziła go od zawsze, jeszcze zanim wygnął swojego jedynego syna, bo stary haron reprezentował całą nienawiść, jaką od tysięcy lat pielęgnują w sobie mężczyźni Świętej Unii, a którą jej tata jakoś dał radę nie przesiąknąć. Nigdy nie mówił o swojej żonie tak obrzydliwie jak Gaius, nigdy nie patrzył na kobiety i dziewczęta z taką dezaprobatą. Tata nigdy nie pozwalał Cerro się zapędzać, ale zwykle jej nie strofował, kiedy podglądała giermków na ringu. Opowiadał jej przed snem o

Lavanagh z Górz, Larrisie Zrodzonym Przez Gwiazdy i plemionach pół-ludzi pół-zwierząt, które żyją w Naucenemeńskiej Puszczy porastającej środek kontynentu. Mówił, że tam nawet kobiety strzelają z łuku, tak samo jak elfki zza Wielkiej Wody. Mówił też, że na południu żyje tajemniczy lud, który w ogóle nie walczy, a po prostu idzie przed siebie, i pewnego dnia dojdzie aż na północ, minie Modre Oko i zatrzymają go dopiero Letnie Morza za Strażnicą Świata. Tata znał wiele historii, które brat Cerro nazywał bajkami, chociaż też bardzo je lubił – nawet te, gdzie sprytne królowe spiskowały, bezlitośnie pociągając za sznurki przyczepione do ramion głupich mężczyzn, przekonanych byli, że to oni podejmują kluczowe decyzje. Cerro żałowała czasem, że jej matka nie była taką chłodną manipulatorką, i że nie mogła nauczyć córki niczego przydatnego. Królowa Hestia i żona Kohara, haronea Nuria, były serdecznymi przyjaciółkami i obie służyły swoim mężom radą, ramieniem i łonem. Mamę spotykała za to miłość i szacunek męża, Nurię pogarda i chłód Kohara.

Cerro pamiętała, jak pięć lat temu jego syn stanął do pojedynku na śmierć i życie ze starszym synem generała Temidana. Z jego matką, lyrrą Ines, królowa też się bardzo lubiła, choć wtedy generałowa już nie żyła, i mówili, że Yazor usycha ze zgryzoty. O Yazorze zawsze różnie mówiono; Świński Lyrr, Świniopas, geniusz, niezbędny, potrzebny, konieczny, kiedy nie mógł tego usłyszeć; heretyk i szaleniec prosto w jego twarz po tym, jak raz przyjechał na audiencję do króla opowiadać o swoich proroczych snach. Jednak o zdolnościach bitewnych jego syna i syna Kohara krążyły legendy – a tymczasem dziedzic Harona Sprawiedliwości rzucił azyrydę i poddał się po kilku pierwszych ciosach. Cerro widziała ich trenujących wcześniej, zawsze na żarty i bez zacieklej pasji, więc była nieco zawiedziona tak szybkim załatwieniem sprawy. Poczuła nagle jednak palącą satysfakcję, widząc marszczące się w gniewie brwi Gaiusa. Jego pierworodny syn okazał się tchórzem! Cerro pamiętała, że ojciec pozbawił go nazwiska przy wszystkich zebranych, a jej matka zakleiła z cicha. Od tamtej pory na głos zaczęła wyrażać swoją opinię na temat Gaiusa Kohara, również na temat jego awersji do kobiet, co dla Cerro brzmiało jak najpiękniejsza muzyka. Tym bardziej, że sama miała w niej do dodania kilka donośnych taktów.

Śmierć jest niby taka naturalna, ale tak ciężko do niej przywyknąć. Z mamą u boku bycie zatrzaśniętą w czterech ścianach Modrego Oka było przynajmniej znośne.

Cerro leżała na swym łóżku z rękami pod głową, wpatrując się w haftowany złotymi nićmi sufit, kiedy ktoś zapukał łagodnie do drzwi.

- Wejdź – poleciła, westchnawszy.

Do komnaty wszedł król Eneis.

- Czy tutaj nikt nie sprząta? – zachichotał, siłując się z rozwaloną na ziemi suknią, przez którą nie mógł zamknąć drzwi.

- Wszystko jest na swoim miejscu.

- Nawet psia obroża na żyrandolu?

- Nawet.

Eneis usiadł ciężko na łóżku obok niej.

- Zmyłaś mikaon?

- A po co mi? Nigdzie się przecież nie wybieram. No chyba, że wzbudzę wielkie zgorszenie w jadalni. Za murów nikt mnie raczej nie zobaczy.

- W sekretnych przejściach raczej też nie.

Cerro zaciśnięła cierpko usta.

- Raczej też nie – przytaknęła.

- Słyszałem, że guvernantki wyciągnęły cię z jakiegoś nowego...

- No i co? Może i w tajnym przejściu rozszarpie mnie jakiś potwór, ale przynajmniej nie wdepnę w kałużę błota w mieście.

- Cerro, mówiłem ci, jeśli będziesz mieć dobrego męża...

Rzuciła się na łóżku jak wyciągnięta z wody ryba.

- Nie chcę o tym rozmawiać! – krzyknęła, zaciskając pięści do białości.

- Musimy o tym rozmawiać, niedługo...

- Tyle razy ci mówiłam, że nie wyjdę za mąż! Nigdy, nigdy, a już na pewno nie za...

Ukryła twarz w dloniach, czując łzy klujące pod powiekami.

- Podслушаłaś? – W głosie króla zabrzmiała ostrzegawcza nuta.

- A jak tak, to co? – warknęła księżniczka. – To przecież moje życie. Nic nie mogę z nim zrobić, prawda, ale mogę chociaż wiedzieć, co się z nim stanie. A ty powiedz, zrobiłbyś mi to? Mówiłeś, że zrobisz wszystko dla mojego dobra, a nie pozwolisz mi po prostu uciec pod osłoną nocy?

Król zaśmiał się śmiechem zupełnie pozbawionym humoru.

- Wiem, że wydajesz się sobie bardzo silna, ale za tymi murami nie przeżyłabyś dnia.

- To czemu nie mogę nauczyć się przeszycia? Dlaczego mi nie pozwalasz? Pamiętasz, jak podglądałam Myrona podczas treningu? Ja, mała dziewczynka, a ty pozwoliłeś mu zbić mnie jak pomywaczkę?! Mnie, księżniczkę, z rodu Meavelethów, jego własną siostrę! Nic dziwnego, że wszyscy myślą, że jestem kukłą i... maciorą rozplodową.

- Gdyby przyłapano cię z mieczem w ręku jako starszą dziewczynkę, moja księżniczko, przez resztę życia goiłabyś pręgi na plecach.

Na te słowa Cerro zerwała się z łóżka i machnęła wściekle ręką w stronę okna, za którym widać było stoki gór i ziejącąежду nimi przepaść.

- To więzienie jest niby łaskawsze?! – krzyknęła, tupiąc nogą. – Kiedy matka żyła, przynajmniej spacerowałyśmy po Naucenemes! Ale teraz?! Od trzech lat nie wyściubiam nosa z tej... cholernej wieży!

- Wieży, powiadasz? Słyszałem kiedyś historię o...

- Nie rozmawiamy o twoich wyssanych z palca bajeczkach, tylko o życiu, prawdziwym, moim i parszywym! Jesteś ty królem czy nie?! Nie możesz zmienić tego pierdolonego prawa, żebym nie musiała pytać o pozwolenie do życia kogoś, kogo nie darzę nawet krzyną szacunku?!

- Obiecuję, że wyjdzieś za takiego człowieka, który zasłuży sobie na twój...

- Ta, i będę mieć wspaniałego teścia! Ojciec-okrutnik i mąż-tchórz! Widzę moją przyszłość w aż jaskrawych barwach! Co za gówno...

Eneis obserwował ją chwilę z otwartymi ustami, a potem zaczął śmiać się długą i serdecznie, na co Cerro aż się zagotowała.

- No, ale na szczęście teść już niedługo zniknie ze sceny – wypaliła, bezwiednie przyjmując pozę wpijającej szpile zgorzkniałej guvernantki. – Może wtedy zaznam odrobinę szczęścia.

Śmiech ustął, a twarz króla stężała.

- Nie waż się, Cerro.

- Cały dwór o tym wie. Nikt nawet nie musiał przystawać ucha do ściany i nikt go nie żałuje. Oczywiście, oprócz ciebie. Gaius Kohar prawie wykaszał sobie dzisiaj płuca, a ty co? Chcesz zrobić ze mnie przedśmiertny prezent, na który on otwarcie plwa? Upewnić go, że jego parszywa linia przetrwa, choćby sam dokładał wszelkich starań, żeby ją zakończyć? Chcesz, żebym ucałowała go w usta jak przykładna synowa, kiedy będzie już całkiem zgniły, bo gnije od pięciu lat, jeśli nie więcej, bo słyszałam też plotki, że...

Eneis wstał szybciej niż można by się było tego po nim spodziewać, zamachnął się i... jego ręka straciła siłę, kiedy zobaczył otwarte szeroko, pełne wyrzutu oczy córki. Jego dłoń i powieki opadły pod ciężarem pokornego wstydu.

Ale Cerro i tak rzuciła się twarzą na potarganą pościel i natychmiast zalała ją łzami, ciągnąc się za włosy i chlipiąc. Król wrócił na swoje miejsce i zatopił rozmarzony wzrok w zamkniętych drzwiach.

- Ktoś mi kiedyś opowiedział historię o księżniczce zamkniętej w wieży w Naucenemeńskiej Puszczy – przemówił sennym głosem. – Miała złote włosy, tak samo jak ty,

oczy błękitne jak żródlana woda, tak samo jak ty. Żyła w kamiennej wieży strzeżonej przez smoka, w środku wielkiej puszczy. Żyła sama, samiutka, bo za każdym razem, kiedy przyjeżdżała po nią rycerz na czarnym koniu, ona marszczyła nos, a to budziło wielkiego smoka, który pożerał rycerza. Księżniczka nie sądziła, by którykolwiek z rycerzy był jej godny.

Cerro zawyła przeciągle i dosadnie, a król czekał cierpliwie, aż ucichnie, by mógł opowiadać dalej.

- Księżniczce w końcu zaczęła doskwierać samotność. Czuła się coraz gorzej, patrzyła w zwierciadło i widziała, że usycha. Przeczytała już wszystkie książki i przesłuchała magiczne pozytywki. Przyszła piękna jesień i księżniczka ujrzała kolory liści, które były tak czerwone, jakby zakwitły na nich szkarłatne róże. Modliła się każdego wieczoru, by przyjechał po nią rycerz, jakikolwiek, ktokolwiek, nieważne, pozwoli się uratować komukolwiek...

- Ta głupia pizda mogła wyjść z wieży sama – wychlipała Cerro.

- ...czekała i czekała, ale nikt nie przyjechał. Minęła jesień, minęła zima, minęła wiosna, minęło lato. Powiedziała wtedy „Smoku, tylko ty mi zostałeś. Weź mnie na grzbiet i zabierz daleko stąd. Chcę zobaczyć świat.” A smok uśmiechnął się wtedy zupełnie jak człowiek i zamienił w strasznego czarodzieja...

\*

Czerwone korony drzew wyglądały, jakby zakwitły szkarłatnymi różami, a żółte jak płatki krokusów w pełni wiosny. Brązowe były wiórami mlecznej czekolady – takiej, jaką Meglyne najbardziej lubiła, z migdałami i rodzynkami. Oblizała się na tę myśl i odeszła od okna wieży posuwistym, tanecznym krokiem.

Komnata, w której mieszkała praktycznie od dnia narodzin, była nieduża, ale bardzo piękna. Na kopulastym stropie, farbkami kupionymi przez tatę, namalowała scenę z jednej z książek ułożonych na regale – przedstawiała rudobrodego pirata w opasce na oku i z fajką w zębach, który stał na pokładzie i szczerzył zęby do małpki siedzącej na jego ramieniu. Małpka była najurokliwszym stworzeniem na świecie. Miała wielkie szklisto niebieskie oczy, długie rzęsy i zakręcony w spiralę ogonek. Za plecami pirata i małpki Meglyne namalowała dom i czarnowłosą dziewczynę w szarej chłopskiej sukience. Kiedy tata zapytał, kto to, zaczerwieniła się i powiedziała, że postać z jakiejś innej książki.

W okrągłym pomieszczeniu było tylko jedno okno, więc poprosiła tatę o dużo farb i draperie, którymi zamierzała ukryć bardziej osobiste rysunki. Ale tata zawsze wszystko wiedział, nie musiał nawet odchylać materiałów. Jeśli Meglyne miała ochotę na wykwintny bal, ubierała się w jedną z pięknych sukienek i w swoich różowych pantofelkach udawała się do tej części pokoju, gdzie namalowanych było mnóstwo par w cudaczych strojach, tańczących w ogromnej sali pod kryształowym żyrandolem. Jeśli zapragnęła poćwiczyć strzał z łuku, brała swoją pięknie rzeźbioną rafelkę i ustawiała się tak samo jak namalowana przy oknie elfka z oślimi uszami. Był to jeden z jej wczesnych, nie najlepszych malunków. Kiedy naszła ją ochota na śniadanie w wesołym towarzystwie, mogła podyskutować z królikiem, słoniem i lisem siedzącymi przy stole naprzeciwko okna. Lis był nieco grubiański, ale słoń zawsze rozładowywał atmosferę. Zdaje się, że królik traktował ją jako kogoś więcej niż przyjaciółkę.

Pod jedną z purpurowych draperii ukryte były jeszcze drzwi, które były dla niej zawsze zamknięte, a którymi wychodził tata, kiedy już wspiął się do wieży po kamiennej ścianie. Na tych drzwiach Meglyne bardzo dawno, tak dawno, że tego nie pamiętała, namalowała błyszczące jasnoszare znaki, takie same jak te na jej dloniach i stopach. Znaki czasem bolały, pulsowały i szepotały, ale tata mówił, że to normalne, że będą zarastały jej ciało jak bluszz, ale każdy ich posiadacz przez to przechodzi, kiedy dojrzewa. Tata też miał znaki. Mówił na nie stygmaty. Były śliskie w dotyku i porastały mu chyba całe ciało. Tata mówił, że z wiekiem to zwalnia, ale skoro tak, to on musiał być już bardzo, bardzo stary.

Meglyne położyła się na puchatym dywanie, znudzona czekaniem, kiedy wreszcie usłyszała wycie Jouarmaesa – strażnika wieży. Poderwała się, od razu szczerząc od ucha do ucha, i porwała z szafki nocnej czarną, aksamitną opaskę, którą zawiązała sobie na oczach. Chwilę krążyła nerwowo po pokoiku, aż usiadła na stołku przy toaletce, założyła nogę na nogę i czekała.

Usłyszała w końcu wesołe pogwizdywanie taty wdrapującego się na szczyt wieży.

- Dzień dobry, Meg – rzucił łagodnym głosem.

Meglyne poderwała się ze stołka i rzuciła w objęcia źródła głosu, które zacisnęły się na niej troskliwie, odgarnęły jej włosy i ucałowały jej czoło.

- Czemu nie było cię tak długo?

- Załatwiałem parę ważnych spraw daleko stąd.

- Daleko? Gdzie?

- W bardzo nudnych miejscach. Bankach i urzędach.

- Och – przytaknęła Meglyne, chociaż wcale nie brzmiała na mniej zaciekawioną.

Tata rzucił coś ciężkiego na podłogę obok jej nogi.

- Mam dla ciebie mnóstwo prezentów, ślicznotko. Przywiozłem trzy sukienki, dotknij.

Czujesz?

- Muślin, jaki delikatny!

- Tak, jest śliwkowy, pasuje do twoich włosów. A ta to złota satyna, a to szal pod kolor. Ta za to jest krwistoczerwona... Ha! Coś takiego, Meg! To koszula nocna, ale tak piękna, że pomyliłem ją ze zwykłą sukienką!

Uśmiech zastygł na jej ustach i coś boleśnie zakłuło w żołądek.

- Ależ to dzieło sztuki! Czujesz ten haft, ten materiał? Nie ma guzików, jest obcisła i sięga samej ziemi. Daj rękę. Dotknij tutaj. Czujesz?

- Czuję.

- Coś takiego. Przymierzysz ją?

Nie odpowiedziała, ale wstała ze spuszczoną głową i zaczęła rozwiązywać gorset sukni, którą miała na sobie.

- Wejdź za parawan. Niech się zadziwię.

Weszła za parawan, pamiętając, żeby nie wdepnąć w balię.

- Szybciej, Meglyne.

Kiedy koszula opiąła się ciasno na jej biodrach i piersi, wyszła zza parawanu. Stanęła na środku pokoju, twarzą do cichego oddechu taty.

- Podnieś głowę. Wyprostuj się. Teraz bardzo ładnie. Zrób piruet. Wolniej. Jeszcze wolniej. Cudownie. Ściągnij ją teraz, ale przy mnie. Powoli. Bardzo za tobą teskniłem, Meg.

Nie mogła powstrzymać drżenia kolan, kiedy schyliła się, chwyciła za rąbek koszuli i ściągnęła ją przez głowę. Odłożyła ubranie troskliwie na stołek, aby się nie wymięło.

- Chodź już tu do mnie.

Mogła to robić, odkąd pamięta, mogła kochać swego tatę nad życie, inne dziewczyny na całym świecie mogły to robić ze swoimi tatami, ale Meglyne nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego napawa ją to za każdym razem takim wstrętem. Tata nigdy nie krzyczał, nigdy nie bił, a ona chyba wolałaby to bardziej niż jego pełne wyrzutu milczenie, kiedy mu odmawiała. Kochała go, bo był jedynym, który się jej nie bał i o nią troszczył. Kochała go, bo był jej tatą. Ale dlaczego, mimo tej miłości, pocałunki, objęcia, dotknięcia i słowa oddawała tylko na jego polecenie, zawsze mając ochotę uciec pod najdalszą ścianę i zniknąć pod draperią? W żadnej z książek, które czytała, córka nie robiła tego z tatą. Tata mówił, że to dlatego, że jest to rzecz oczywista i nudna dla przeciętnego czytelnika. Ale Meglyne nie znała żadnego innego przeciętnego czytelnika. Znała tylko tatę.

Tata był dobry, czasem był przyjemny, ale wtedy Meglyne zaczynała smarkać nosem. Wtedy tata się martwił, pytał, co się dzieje, a ona wiedziała, że jeśli opowie mu o swoim wstręcie, zawrotach głowy, ukłuciach w żołądku, mdłościach i chłodzie, jemu pęknie serce. A kto będzie ją kochał, kiedy go nie będzie? Miała tylko tatę, a tata miał tylko ją.

Słońce zachodziło przy akompaniamencie słowików, kiedy ostatni raz pogładził jej ciało i wstał. Meglyne natychmiast owinięła się pachnącą tatą kołdrą.

Przez chwilę słyszała tylko jego miarowy oddech.

- Znowu wyjeżdżam, Meg.

Oczy od razu zaszły jej łzami, a nos wypełnił flegmą. Tata brzmiał na bardzo zmęczonego, starego i posępnego.

- Czemu?

- Nie płacz, ukochana. Wrócę przed ostatnimi śniegami.

- O-ostatnimi? Co zabierze ci tyle czasu?

- Ważne sprawy, Meg, nie frapuj się tym. Kupiłem ci dużo jedzenia. Jeśli ci zabraknie, poproś Jouarmaesa.

- Tato, dopiero przyjechałeś... Proszę, nie wyjeżdżaj, nie zostawiaj mnie jeszcze...

Nie na tak długo, proszę...

Odnalazła jego porośniętą stygmatami dłoń i zacisnęła na niej palce. Zagryzła wargi, kiedy je ucałował.

- Nie wiesz, jak bardzo chciałbym zostać, Meg – wyznał, całując teraz jej rękę od dłoni po ramię. – Ale na świecie zbliżają się zmiany i muszę zadbać o to, by nie dotarły do naszej wieży. Kiedy wszystko się uspokoi, zostanę z tobą na baaardzo długo. Dobra, Meg?

Nie odpowiedziała. Tata cmoknął ją w czubek nosa i wstał. Słyszała szelest jego ubrania i szczek klamry pasa.

- Nie ściągaj opaski jeszcze przez jakiś czas.

- Dobrze, tato. Wracaj jak najszybciej.

- Zrobię, co w mojej mocy. Będę za tobą tesknił, Meg.

- Ja za tobą też.

Objął ją, odgarnął włosy, ucałował w czoło. Usłyszała, jak wychodzi przez drzwi pokryte symbolami, przez które tylko on potrafił przejść. Leżała owinięta kołdrą jak embrion, wpatrzona w ciemność przed sobą.

Ubrała się, wciąż z opaską na oczach, znowu w swoją przykrótką, wytartą sukienkę, po czym usiadła na futrynie okna. Kiedy uznała, że jakiś czas minął, zsunęła opaskę i złożyła ją w dłoniach w kostkę. Zobaczyła przed sobą kolorowy las skąpany w promieniach

pomarańczowego słońca. Zobaczyła porośniętą przekwitłymi roślinami polanę, na której stała ogromna wieża, z której szczytu patrzyła. Z tego okna nie było widać żadnego budynku, tylko zarysy ostro zakończonych, tonących w chmurach gór. Kiedyś jednak udało jej się wdrapać na dach i stamtąd zobaczyła skraj lasu i wielkie pole niknące we mgle. Na polu musieli pracować ludzie!

Jakże chciałaby zobaczyć człowieka innego od siebie! Chciałaby zobaczyć kogoś nawet zupełnie brzydkiego, chorego albo szczerbatego, łysiejącego albo najwstrętniejszego, dużo wstrętniejszego niż rysunki koniokradów w jej książkach! Wiedziała jednak, czym skończyłoby się dla innego człowieka zetknięcie z jej wzrokiem. Spuściła głowę, by zobaczyć ogromnego srebrnego, półprzeźroczystego wilka krążącego wokół wieży. Z tej wysokości nie był taki wielki, ale wciąż dorównywał wzrostem pobliskiemu dębowi. Jouarmaes owinął się wokół wieży, ziewnął i pograżył we śnie.

Meglyne spojrzała na skraj polany i prędko odskoczyła od okna, zasłaniając znienawidzone oczy, gdy niechcący zauważała niknący między drzewami koniec tatowej peleryny.

\*

Z początku las huczał w uszach Gaiusa, potem zaczął wyć, a na końcu śpiewać. Czoło miało rozpalone do czerwoności, wierciło go w nosie i drapało w gardle. Jedną z jego niewielu życiowych radości była jazda konna, ale teraz zmuszony był obijać się głową o sufit powozu, z którego dobiegała nieprzerwana kanonada kaszlu. Słudzy towarzyszący Gaiusowi, zwykle rozgadana zgraja, teraz milczeli, obrzucając się zaniepokojonymi spojrzeniami.

W końcu kaszel umilkł i nikt nie ośmielił się zatrzymać do środka. Kiedy wjechali w bramy zamku Pamięć, na spotkanie wyszły im już żona i obydwie córki harona. Jeden z giermków zeskoczył z konia, ukłonił się damom i otworzył drzwi powozu, a kobiety zbladły. Ponieważ haron nie gramolił się ze środka, przeklinając niskie sufity, sługa zatrzymał tam i zobaczył Gaiusa Kohara w swym czarnym stroju zaplutym krwią, ze zroszonym potem czołem i zamkniętymi oczami, z czerwoną chusteczką w ręku. Wciąż marszczył brwi z dezaprobatą, jakby położenie, w jakim się obecnie znajdował, było co najmniej niegodne jego osoby.

Kiedy słudzy, dzwoniąc zębami i kolanami, tłumaczyli, że haron Kohar był w zupełności żywy, gdy wchodził do powozu, haronea Nuria, lekko pobladła, podeszła do męża,

stwierdziła, że jeszcze nie umarł, i zaraz cała Pamięć zaczęła uwijać się wokół niej niczym mrowisko wokół skrzydlatej królowej.

Haronea Nuria słynęła z ciepła, dowcipu i grubych, gęstych, lisio rudych włosów, którymi szczałyły się również jej dzieci. Młodsza córka, czternastoletnia Iver, wyglądała niemal identycznie jak matka – obie były przysadziste, okrągłe, rumiane i ruchliwe. Starsza zaś, szesnastoletnia Pinovar – chuda, wysoka, o beznamienonym wyrazie twarzy i skrytej naturze, mimo płomiennych włosów, była kubek w kubek kopią swego ojca.

Nie znaczy to jednak, że szalała z żalu, patrząc przez uchylone drzwi na oddychającą z trudem sylwetkę ulubionego rodzica. Przytulała szlochającą Iver z twarzą tak nieruchomą i zimną jak zawsze, tylko szmaragdowymi oczami wodząc za krzątającą się matką. Haronea Nuria spacerowała w tą i z powrotem, wznosząc oczy ku górze i wyłamując sobie palce u rąk. Dopiero, kiedy z sypialni dobiegły przeraźliwy kaszel, na który wszystkie trzy podskoczyły, zatrzymała się na moment, po czym weszła do środka, zamykając za sobą drzwi.

Świeżo wyprana szara koszula harona była już zapluta krwią, tak samo jak zielona kołdra z wyszytym na niej herbem Koharów wyobrażającym zwiniętą w klepsydrę kobrę. I tak samo jak ręce, na które haron patrzył teraz spod ociekających potem powiek.

- Leż, kochany - Nuria pchnęła go lekko na poduszki.

Ich małżeńska sypialnia nie była duża, miała za to bardzo intymny nastrój. Większą jej część zajmowało ogromne łóżko z baldachimem, a na pokrytych mozaikami ścianach wisiała martwa natura i krajobrazy. Był tam też jeszcze jeden małeński obraz, i Gaius mógłby przysiąc, że nigdy wcześniej go w sypialni nie widział. Portret jego ojca o sumiastych wąsach i nasrożonych gniewnie brwiach wisiał tuż nad łóżkiem, mierząc go dezaprobującym spojrzeniem.

- Wody, kochany?

Gaius spojrzał na żonę i napił się łapczywie z podanej mu czary. Nuria pogłaskała go po czarnych włosach ze smętnym uśmiechem. Haron znowu zakaszlał, plując krwią w pięść.

- Czy podasz... chusteczkę...

- Kochany – szepnęła – nie chciałabym być brutalna, ale... Jesteśmy w końcu niemłodymi ludźmi... Opowiadałam ci kiedyś o mym wuju Medrilku, który chorował na bardzo podobną przypadłość?

- Mhm.

- W dniu, w którym umarł... wyglądał zupełnie tak jak ty teraz.

Gaius i Norbert Koharowie srożyli do siebie nawzajem krzaczaste brwi.

- Wiesz, co zrobił wuj Medrilk tego ostatniego dnia swojego życia?

- Wyjdź, kobieto.

Początkowo miała się opierać, ale po chwili zacięła ze zgryzotą usta i wyszła na korytarz. Córki natychmiast poderwały na jej widok głowy.

- I co? – zachrypiała Iver, wciąż w ramionach siostry.

- Wejdź tam za pięć minut – odparła haronea, odchodząc wydać polecenia służbie odkurzającej żałobne draperie.

Iver przetarła sarnie oczka rękami.

- Weź się w garść – szepnęła Pinovar, ściskając siostrę za ramiona. – Ojciec nie lubi beks.

Iver pokиwała głową, wyplątała się z uścisku siostry i chwilę stała pod ścianą, wykrzywiając palce identycznie jak matka. Kiedy Pinovar szepnęła „Idź.”, wzięła głęboki oddech i nacisnęła mosiężną klamkę.

Pierwszą rzeczą, którą zauważała w oświetlonym tylko jedną świecą pokoju, był blask oczu i potu na skórze taty. Oddychał, głośno charcząc, a słysząc ją, z wysiłkiem przekrącił głowę w jej kierunku.

- To ty – mruknął i zakaszłał w pieść. – Masz chusteczkę?

- Nie mam, tatusiu – odpowiedziała płaczliwie, zbliżając się do dziwnie pachnącego łóżka. – Gdybym miała, natychmiast bym ci ją dała.

- Aha...

W tym zmęczonym dźwięku zabrzmiało więcej zrozumienia niż Gaius Kohar wykazał przez całe swoje życie. Zaraz jednak stracił zainteresowanie córką i powrócił oczami do kolejnych oczu Norberta Kohara. Iver wcale nie zamierzała dać o sobie zapomnieć i ujęła ojca za woskowaną rękę. Haron drgnął na ten gest, ale nie zaprotestował.

- Och, tato, tato... - załkała dziewczynka, połykając płynące łzy. – Tato, jak to będzie bez ciebie?

Gaius zastanawiał się nad odpowiedzią dłuższą chwilę, w czasie której Iver zdążyła porządnie się rozkleić.

- Lepiej – mruknął w końcu, a ona ze zdziwienia przestała płakać.

- Lepiej? – powtórzyła, nie dowierzając – A kto będzie strzegł Sprawiedliwości? Kto będzie doradzał królowi? Kto będzie opiekował się nami?

- Temidanowie, jak sądzę.

- Temidanowie? Dlaczego oni?

- Bo... tak mają obiecane.

- Przez kogo?

- Przez haronów.

- Dlaczego?

- Dlatego, że generał ma armię, złoto i stolicę.

Wysyczał to z taką zawiścią, że Iver prawie skuliła uszy.

- Dlaczego? – spytała cichutko.

- Ile ty masz lat, dziewczyno? Myślałem, że już wyrosłaś z wieku ciągłych pytań po co, jak i dlaczego.

- Ależ... tak jest niesprawiedliwie.

- Taki już jest ten świat.

- Ale m-myślałam... że stoisz na straży Sprawiedliwości.

Gaius milczał chwilę, zamknąwszy oczy.

- Aktualnie leżę na łóżu śmierci – wyszeptał po chwili. – Co mnie obchodzi Sprawiedliwość? Szary Człowieku, jaka Sprawiedliwość... Jestem...

Nie dokończył; przełknął tylko ślinę z nadludzkim wysiłkiem. Iver znów się skrzywiła, położyła głowę na ojcowskiej piersi i zadygotała od szlochu. Ciało Gaiusa trzęsło się razem z nią, sztywne i apatyczne.

Na moment na jego twarzy wystąpiło zjawisko, którego ujrzeć nie spodziewał się nikt już od wielu długich lat. Czoło Gaiusa Kohara wygładziło się, brwi uniosły, a oczy nasiąkły niewinnością, jakby przypomniał sobie coś bardzo przykrego i odległego. Jego dłoń spoczęła na rudej główce córki i dygotała wraz z nią.

- Kto się nami zajmie?... - załkała Iver. – Kto, tatusiu, bez ciebie?

Na te słowa kolejne wspomnienie rozpalęło i tak już rozgorączkowane policzki Gaiusa. Jego ręka opadła na prześcieradło, a brwi powróciły do swego zwykłego kształtu. Zamknął oczy, bo inaczej nie sposób było oderwać ich od portretu Norberta Kohara.

- Wyjdź, dziewczyno – warknął.

Iver posłusznie odskoczyła od ojca, ukloniła się głęboko i położyła rękę na klamce. Wiedziała dobrze, że matka byłaby za to bardzo zła, ale nie było jej tu, a w Iver nagle zapłonęła tak intensywna wściekłość, że usłyszała zgrzyt własnych zębów.

- Mam na imię Iver – rzuciła przez ramię i wyszła, nie widząc otwierających się szeroko, zdziwionych oczu harona Kohara.

Pinovar siedziała pod ścianą, nie dbając o czystość granatowej sukni i białego makijażu. Nogi miała tak długie, że stopami dosiągała przeciwległej ściany. Uniosła głowę, patrząc pytająco na siostrę.

- Wejdź do niego za godzinę – poleciła Iver i odeszła zdać relację matce.

Pinovar cały czas czuwała, nie wstając nawet, by zapalić świece, chociaż za oknami zapadł już zmrok. Słyszała z początku słaby kaszel ojca, a potem jęki, pomruki i słowa - przedkie, nerwowe i niezrozumiałe. Czasem w korytarzyk wchodziła matka, nasłuchując, kiwając głową i odchodząc. Czasem przychodziła jakąś służka, żeby pozałamywać ręce. Iver przyniosła jej błyszczące, czerwone jabłko, którego ostatni kęs Pinovar miażdżyła, stojąc przed sypialnią i poprawiając rękawy sukni. Potem pchnęła drzwi.

Ojciec natychmiast się do niej odwrócił i patrzył na nią tak, jakby zobaczył ducha. Cała pościel była zachlapana krwią, która skleiła już włosy w brodzie Gaiusa. Pinovar podeszła do niego, a przez makijaż, oświetlenie i powolne ruchy mogła wydać się Gaiusowi senną marą. Demonem. Dziewczyna zamoczyła szmatkę w stojącej w nogach łóżka misie z wodą i przemyła jego rozżarzone czoło.

- Rude - powiedziała, patrząc na jej włosy. Uspokoisko go to nieco. - To ty.

Nie odpowiedziała. Ojciec wyglądał żałosnie, a pachniał jeszcze gorzej.

- Chusteczkę...

Natychmiast wyciągnęła z kieszeni seledynowy materiał, który Gaius wyrwał jej z ręki i zaczął kaszleć w niego ciężko, długo i boleśnie, a kiedy w końcu odsunął go od ust, musiał jeszcze splunąć weń lepką, czerwoną śliną.

- Wybacz, ojcze - mruknęła Pinovar, odkładając szmatkę do misy. - Wszystkie inne są w praniu.

Zdziwiony, wrócił wzrokiem do chustki. Nie zauważał tego, gdyby mu nie powiedziała, ale teraz widział wyraźnie - wyszyte szmaragdową, połyskującą nitką tuż przy zwiniętej w klepsydrę kobrze litery K.K., skropione śliną i krwią. Zmiażdżył chustkę w dłoni, ale siły zaraz go opuściły i, wciąż zaciskając pięść, opadł na poduszki. Odkaszlnął jeszcze raz.

- To tak... - mruknął. - Ach, to tak...

Pinovar stała nad nim, wysoka i zimna jak posąg. Gaiusowi udało się przenieść spojrzenie z portretu na nią.

- A więc to tak... - powtórzył. - Wiesz... Pinovar... Jest w tobie coś... co sprawia, że nie da się cię kochać, choćby się bardzo chciało.

Pinovar milczała, nieco zdziwiona.

- Długo się nad tym zastanawiałem... Jestem podlym, słabym, złym człowiekiem i widzę, jak mnie traktujecie, co próbujecie ze mną zrobić... Boję się śmierci, bardzo boję się nicości... Myślałem, że będę spokojny o łaskę Szarego Człowieka, ale nic z tego... Dalej nie wierzę w żadne łaski, nagrody i kary, ukryte obrazy... Myślę, że Szary Człowiek będzie ze mną szydził, nie weźmie mnie pod rękę... I wiesz, Pinovar, ufam ci, wiem, że nie powtarzasz

nic z tego, co usłyszysz, a słyszysz wiele. Jesteś mądrą dziewczyną, mądre dziewczyny zachodzą daleko. Kocham twoją matkę, naprawdę, kocham twoją siostrę, kochałem... nawet twojego brata i Eneisa... Ale ciebie? Kochałem cię może, kiedy byłaś dzieckiem. Potem to... wyparowało. Długo nad tym myślałem i wiesz, co odkryłem? Nie kocham cię, bo ty zupełnie nie kochasz mnie. Czemu tak jest? Jesteś moją córką, jestem twoim ojcem. Czemu tak jest?

Pinovar przyglądała mu się z badawczością przyrodnika podglądającego obsypanego solą ślimaka.

- Kiedy ja cię kocham, ojcze – odpowiedziała. – Choćbym bardzo nie chciała. Tak samo jak ty kochasz swego ojca.

- Więc jego portret to twoja sprawka?

- Jaki portret?

- Nie zgrywaj niewiniątko przed umierającym. Tamten szpetny bohomaz.

Machnął z trudem ręką w kierunku Norberta Kohara, a Pinovar spojrzała prosto na niego, by zaraz powrócić do twarzy ojca.

- Tam nic nie ma, tato – powiedziała, podniosła misę z wodą, ukłoniła się i wyszła.

Gaiusowi wydawało się, że on, Norbert i K.K. pozostawieni zostali na całą wieczność w tym jednym dusznym pokoju, samotni, pograżeni w półmroku i cierpieniu. Znieść nie mogli własnego widoku i ironii losu, który spętał ich razem – zeżarty przez robale nieboszczyk, trawiony chorobą umierający i młodzieniec martwy dla cywilizowanego świata. Napięcie w ich milczeniu było tak przejmujące, że Gaius chwilę płakał, a potem znów kaszlał, mrugał i pozwalał życiu uchodzić z każdym zaczerpniętym i oddanym oddechem. „Za długo to trwa.” myślał, rozwijając i zwijając zakrwawioną chusteczkę. Inicjały K.K. za każdym razem paliły go tak, jakby wstrzykiwały mu jad w i tak słabnące ciało.

Miał wrażenie, że tylko szepnął imię żony do dopalającego się knota, a drzwi otworzyły się, usłyszał brzęk miski z wodą stawianej na podłodze i zobaczył zmartwioną Nurię w skupieniu ocierającą mu czoło. Nie czuł już wody ściekającej po skroni. Odtrącił nagle dłoń żony, niespodziewanie nawet dla siebie.

- Leżę we własnej krwi, łzach i plwocinach... sam... - wychrypiał, chwytając się za głowę. – Ty wredna, nikczemna babo... Przynieś papier, kałamarz i pióro. I zdejmij to gówno ze ściany.

Nuria nie wyrzekła słowa, ani nie tknęła portretu. Wyszła i wróciła z tym, co jej nakazano i dodatkową świecą. Gaius miał wrażenie, że zajęło to pół chwili. Jakby wszystko było już gotowe i czekało na nią tuż za drzwiami.

- Pisz – warknął.

Haronea Nuria usiadła przy łóżku, zamoczyła koniec pióra w atramencie i czekała. Gaius Kohar patrzył w sufit i nie mówił nic. Nuria miała już go ponaglić, ale ten zaczął mówić głosem donośnym i zdecydowanym, choć drżącym i ochrypłym.

- Ja, Gaius Averon Kohar, głowa czterysta lat panującego na Pamięci i ziemiach przyległych rodu Koharów, leżąc na łóżu śmierci, małżonką Nurią Paulettą z rodu Suranów się wysługując, dyktuję, co według woli mojej następuje i jako moja ostatnia wola do testamentu mojego ma być dodane. Ogłaszałam wszem i wobec, że syn mój... Kai... Norbert... Kohar... którego przed pięcioma laty obdarłem z nazwiska, tytułu, praw do ziemi i stanowiska Harona Sprawiedliwości, w myśl reguły dziedziczności mu się należącego... Cofam to wszystko. Kai Kohar jest na powrót moim synem, na powrót synem wiernego poddanego króla Świętej Unii, ma prawo wrócić i zająć miejsce Harona Sprawiedliwości, nadać swym dzieciom nazwisko Kohar i władać Pavilonem... opiekować się swymi siostrami Pinovar i Iver oraz matką haroneą Nurią. Zapewniam, że jestem w pełni władz umysłowych, a oto pieczęć Koharów jako poświadczenie prawości dokumentu... To chyba wszystko?

Haronea Nuria uniosła zaledzioną łączami twarz.

- Tak – rzekła z cicha. – Tak, chyba wszystko.

Przyniosła inkaust, który wylała na krawędzi złożonego dokumentu, po czym pomogła Gaiusowi unieść dłoń, by ten przyłożył zielony pierścień do ust. Szmaragdowe oczko zaśniło, a owinięta wokół niego maleńka srebrna kobra popełzła do plamy inkaustu i z sykiem zwinęła się w klepsydrę. Zamarła na chwilę, by zaraz odpełznąć i znów zastygnąć na swym miejscu w rodowym pierścieniu Koharów.

- Nie zapomnij go ściągnąć – szepnął Gaius.

- Nie zapomnę, kochany – odszeptała Nuria i ucałowała mokre od łez i potu powieki męża.

Trzymała go za rękę do samego końca, który nadszedł wczesnym rankiem. Paliło ją, by rozesłać posłów, ale uparcie ściskała zapieczętowany dokument w jednej ręce, w drugiej dłoń Gaiusa, który próbował zasnąć, wpatrując się w sufit załawionymi oczami i mówiąc szczałkowe słowa, które przechodziły mu przez gardło z katorżniczym trudem. Kaszała w chusteczkę Kaia - jedyną, która po nim została - którą Nuria przed pięcioma laty schowała u najskrytszej służącej. Na myśl o swym jedynym synu coś ściskało popękane serce haronei.

Kiedy wyszła z sypialni, Pinovar i Iver już czekały, ubrane w żałobną biel i niestosownie podekscytowane.

- I jak? – przeskoczyła z nogi na nogę Iver, podczas gdy jej starsza siostra zatopiła wzrok w rulonie w ręku matki.

- Straciłyście dziś ojca – odparła Nuria, uśmiechając się między napuchniętymi policzkami. – Ale odzyskałyście brata.

Siostry spojrzały po sobie; Iver rozpogodzona, Pinovar zadowolona. Ruszyły za spieszącą korytarzem Nurią, wydającą im polecenia półgębkiem.

- Maciebeczeć, lamentować i poprosić Miliana o prędkie skopiowanie dokumentu. Oryginał ma wysłać do króla, resztę na cztery strony świata, do wszystkich haronów, ale do generała Temidana wyślemy wieczór po pogrzebie. I, najważniejsze, niech Milian przyjdzie do mnie z zestawem korespondencji synoskiej, żebym mogła wysłać wiadomość do Uliasa Odkrywcy i opatrzyć ją stosownymi dopiskami. I wynieście ten wstrętny portret dziadka z sypialni, zanim i ja przy nim skonam.

\*

Admirał Syget wciąż pamiętał, jak pięć dni temu płaska i rozgrzana jak patelnia pustynia (nazwana przez niego Wybrzeżem Pożogi) zamieniła się w zbawienny, ogromny, odurzająco zielony deszczowy las (nazwany przez Sygieta Puszczą Nadziei). Znaleźli tam cień i słodką wodę, moc owoców i przedziwnych zwierząt. Pstrokaté ptaki gadały zupełnie jak ludzie, powtarzając słowo w słowo stekania felsidów, a podłużne jaszczurki bezbłędnie się maskowały, mogąc stać się nagle drzewną korą albo opaloną skórą człowieka. Były też straszne małpy, które potrafiły zmieniać twarze – raz ukazywały wycięńczone brakiem odpoczynku oblicze Sygieta, raz pomarszczoną twarz Yrrvela, a zaraz przygląpiły pysk Pihala. Za każdym razem miały jednak te same czarne, puste oczy. Mądraliński Kai posikałby się, gdyby to zobaczył, ale na szczęście on i jego notatnik zostali w oddziale Atiana i wodza, i przynajmniej on Sygieta nie irytował.

W każdym razie, minęło ledwo pięć dni i mijała piąta noc, a Syget miał wrażenie, jakby minęło co najmniej pięć lat. Stał się już zupełnie innym Sygetem – tamten narzekał na spiekotę, pustkę, brak cienia i czegokolwiek ciekawego na horyzoncie. Ten burczał ciągle na geste jak cholera korzenie, drzewa z gałęziami rosącymi zbyt wysoko, by można się było na nie wspiąć i rozeznać w terenie, na olbrzymie pajęki, węże, te przedziwne, straszne zwierzęta, i na ogólną ciasnotę lian, pni i liści, przez które musieli się przedzierać. Syget wpuścił zwiadowców, rzecz jasna, przodem, ale ci postanowili się rozdzielić i jeszcze nie wrócić, więc admirał musiał prowadzić oddział gęsiego i sam szarpać szabłą ten klaustrofobiczny, żyjący gąszcz.

Klął właśnie zawzięcie i zastanawiał się nad zmianą nazwy lasu na Przeklętą Puszczą, kiedy wśród cykania świerszczy rozległ się złowrogi szelest pobliskich krzaków. Sygiet stanął jak wryty, z uniesioną szablą, a reszta oddziału powpadała jeden na drugiego, robiąc nie poprawiający sytuacji raban.

- Nosz kurwa mać, który tam!...

- Aua! Patrz jak łazisz, spaślaku...

- Zaraz oduczę cię deptania mi po piętach, ty mały...

- Cicho tam! – syknął Sygiet, a milknący szmer przeszedł po całym rzędzie. Admirał nie odrywał oczu od miejsca, które zaszaleściło. – Pokaż się, jeśli cokolwiek tam jest! No dalej, pokaż się!

Gotów był już ostrożnie ruszyć dalej, kiedy coś ogromnego rzuciło się prosto na niego, powalając na ziemię, warcząc i wbijając pazury w brzuch.

Sygiet wrzasnął, wypuścił szabłę i, chociaż w jego wyobraźni trwało to co najmniej godzinę, potwór natychmiast ryknął i uciekł, rozpływając się w leśnej gęstwinie.

Admirał widział nad sobą Yrrvela, Pihala, Eldona i resztę. Jedni mieli w rękach kusze, inni szable, wszyscy to samo przerażenie na twarzach.

- Uuu, admirale... - skrzywił się stary Yrrvel. – Nie jest dobrze.

Sygiet ze zgrozą spojrzał w dół, na swój brzuch, i wśród krwi zobaczył wydrapane brutalnymi pazurami litery; słowo było krótkie i koślawe. Nie mógł odczytać go do góry nogami.

- C-co... Co...? – zwrócił się do pochylonych nad nim felsidów.

Eldon, spocony i przestraszony, uśmiechnął się do niego przepraszająco.

- „Złodziej”.

Rozbili obóz najszybciej jak mogli. Sygietem zajął się wierny Ulryk, który kiedyś był dworskim rachmistrzem i zostały mu po tym skłonności do gładkiego włażenia innym w dupę, oraz brodaty mędrzec Meor, siwy jak śnieg, a ciemny jak kawa. Posmarował rany Sygieta chłodnymi maściami, dał do zjedzenia kilka na pewno nie trujących owoców i wpatrywał się w niego intensywnie, aż Sygiet zasnął z dziwnym mechatym jabłkiem w ręce.

Kiedy rozwierał sklejone snem powieki, przez szparę namiotu wdzierala się płomienna luna obozowych ognisk.

- No przecież nic się nie stało! – Usłyszał skrzek Ulryka.

Odpowiedziały mu wzburzone okrzyki.

- To coś na nas poluje!

- Może dla ciebie, tłusty skurwysynu, to nic się nie stało, ale dwóch naszych zniknęło!

- Sygiet prawie zginął!
- Dla ciebie admirał Sygiet, patałachu!
- To wszystko jego winy! On kazał nam pić z jeziorka!
- Trzeba było iść z Atianem i...

Czegoś takiego nie można słuchać w spokoju. Admirał rzucił napoczęty owoc na posłanie, i wypadł z namiotu, potrzącając po drodze Ulryka.

- Co tu się dzieje?! Bunt?!

Cały oddział zamilkł. Bywały chwile, kiedy Sygiet bardzo przypominał swego ojca, a przed wodzem Tohem wszyscy czuli respekt. Choć on nie musiał się wydzierać, żeby osiągnąć ten efekt.

- Rzeczywiście, trzeba było iść z Atianem! – tupnął wściekle nogą, nie dając po sobie poznać bólu w obandażowanym brzuchu. – Ja wam kazałem pić tę cholerną wodę?! Ja?! Słanialiście się na nogach i mieliście wybór! No bardzo mi przykro, że dokonaliście złego! Będziecie mnie teraz obwiniać za przegrana z własną słabością?! Co wy jesteście?! Felsidzi wyszkoleni w Strażnicy Świata, nieustraszeni odkrywcy i wojsownicy czy jakieś tchórzliwe chujki ze śmierdzących bagien, co uczeni są do liczenia cersenów i masowania ostrouchych ambasadorów?! Jak trzęsiecie portkami, bo jakieś głupie bydlę może was trochę poharatać i nie ma przy was rudego parobka do wytarcia wam zasmarkanych nosków, to chyba powinniście wracać i w te pędy błagać o przeniesienie na Bagna! Tfu!

Splunął oficjalnie tuż pod stopy Rhouggę i, zadowolony ze swej przemowy, rozejrzał się po zawstydzonych twarzach swojego oddziału.

- No – wyszczerzył się. – To co się działo jak spałem?
- Potwór porwał Faulknera i Stubba – zameldował cicho Ulryk.

Z Sygieta natychmiast uszła furia i dziarskość. Złapał się bezwiednie za obolały brzuch, a wzburzenie wybuchło na nowo.

- Dosyć, cisza! – przekrzykiwał tumult Ulryk. – Admirał Sygiet ma rację! Nie możemy panikować jak siusiumajtki z Bagien! Zbierzmy wszystko do kupy, żeby widzieć, co robić...

- Odnaleźć Kaia, oto co robić!
- Jest z nim wódz, razem zrobią bestię na szaro!
- Tak! Poczekajmy na nich i trzymajmy się razem, zanim bestia nas wszystkich...
- Nie! – uciął Sygiet. – Po oddział Atiana już posłano, ale nie możemy czekać beczynnie na ratunek, który może albo w ogóle nie nadjść, albo nadępować i wcale nie okazać

się ratunkiem! Kto widział, jak bestia porwała dwóch naszych? Kto mi to akuratnie zobrazuje?

- Nikt – rozłożył bezradnie ręce Oren. – To jest w tym najgorsze.

- Ja, Oren, Faulkner i Stubb oskubywaliśmy te tęczowe ptaki – podjął próbę Joan. – W pewnym momencie ja i Oren odeszliśmy nazbierać gałęzi, żeby dorzucić do ogniska. Jak wróciliśmy, to ich już nie było.

Relacja ta, choć nie wysłuchana po raz pierwszy, wywołała grozę i szmery.

- Aha – zamrugał mało przytomnie Syget. – No a ślady walki? Albo łap potwora?

- Żadnych – wzruszył potężnymi ramionami Joan. – Zostały po nich tylko do połowy oskubane ptaki.

- Hmm... No myślcie, wielcy myśliwi, musimy jakoś to zwierzę wytropić.

- Wytropić? – powtórzył telepiący się jak osika Oren. – Jak to na tobie wydrapywał, miał już jednego belta w cielsku, a jak z ciebie zlazł, to dwa, i do tego był pocięty szablami. A godzinę potem porwał Faulknera i Stubba, i to bezszelestnie, zupełnie jak duch. Jak chcesz go wytropić? A potem może jeszcze zabić? Zadarliśmy z potężnym stworzeniem.

- Do tego rozumnym – burknął Joan. – I znającym nasz język...

Powtórzenie tej obserwacji ponownie wywołało szmery i dyskusje, które Ulryk bezskutecznie próbował uciszyć.

- Gdyby Kai tu był... – powiedział ktoś, wcale nie głośno, ale czujne ucho Sygieta natychmiast wychwyciło znienawidzoną sylabę.

- Ale go nie ma – warknął. – I nie wiadomo, czy go znajdziemy, więc musimy sobie radzić bez naszego jaśnie oświeconego. Co z tego, że bestia jest rozumna i gada po naszemu? My umiemy to samo i jest nas cholerna trzydziestka. Tutaj mamy przewagę.

Niektórych nawet pocieszył ten argument, a innych jeszcze bardziej rozburzył.

- Bestia nas obserwowała! Każdy nasz ruch, a my nawet nie wiemy, jak to to wygląda!

- No przecież ją widzieliście.

- To była fioletowa smuga, wielka jak skurwysyn, i nic poza tym!

- No proszę, to wiemy już sporo rzeczy. Bydlę jest wielkie, fioletowe, szybkie, wytrzymałe, ciche, rozumne, zna hekkyski...

- I ma coś wspólnego z tym fioletowym jeziorkiem – wychrypiał Vandrel, a reszta mu przytaknęła.

Syget posłał mu cierpkie spojrzenie.

- Masz na myśli Lagunę Karmazynowych Konwaliów?

- No ta, ta... To pewnie jakiś strażnik czy coś... Pomyślcie, admirale, jeziorko fioletowe i bestia fioletowa... No i napis „Złodziej”, a co myśmy tu ukradli? Jedzenie z lasu i wodę z jeziorka właśnie!

- To nawet niegławna hipoteza, Vandrel... - poskrobał się pod kapeluszem Ulryk, podczas gdy inni wreszcie się w czymś z nim zgadzali. – Powinniśmy więc tam zawrócić.

- Ano! – krzyknął dziarsko Sygiet. – Jutro z samego rana zarządzam ekspedycję ratunkową do Laguny Karmazynowych Konwalii! Wszyscy się przygotować i w te pedy...

Wszyscy odskoczyli, kiedy gąsacz obok zaszaleścił i zadygotał – na szczęście wypadł z niego przeszczęśliwy zwiadowca Mirolin.

- Kai i wódz wracają!

Wszyscy jak jeden mąż rzucili się w krzaki – przed namiotem pozostali tylko nerwowy Ulryk i stężały, zgrzytający zębami Sygiet. Tak prędko jak felsidzi doskoczyli do nadchodzącego oddziału, tak prędko rozpierzchli się, otaczając ciasnym kręgiem położone na ziemi nosze, na których leżał człowiek, którego imię brzmiało jak bolesne westchnienie wśród gąsca szepków. Światło pochodni zamigotało rudym refleksem na jego włosach.

Sygiet nie wiedział, kiedy przepchnął się przez tłum i stanął nad nieruchomoim człowiekiem. Po drugiej stronie, na czele ponurych, brudnych, wyczerpanych przeżyciami felsidów stał wielki i ciemny jak wulkan wódz Toth – patrzył spode łba na Sygieta, a stojący obok niego niższy o dwie trzecie Atian trzymał kuszę cały czas w pogotowiu.

- Co... Co się stało? – wyjąkał Sygiet, nie śmiejąc spojrzeć ojcu w twarz.

- Idiota! – zaskrzeczał mędrzec starszy nawet od Meora, pozbawiony zębów i włosów Hiram. – Co z tego, że nie wypił tej przeklętej wody, skoro zjadł pierwsze lepsze gówno, które ktoś mu wcisnął do ręki?

Ścisnął w szponiastej dloni nadgryzioną niby-śliwkę.

- O nie... - westchnął Sygiet i upadł na kolana. Po części dlatego, że pociemniało mu przed oczami, po części po to, żeby nikt go nie usłyszał. – No to teraz mamy przejebane...

- Co ty robisz, Sygiet? – zagrzmiał tubalnym głosem przypominającym pomruk wulkanu wódz. – Ten kretyn żyje. Nie widzisz, jak dobrze się bawi?

Sygiet uniósł nieco głowę i zdziwił się tak, że musiał się przesunąć, żeby nie patrzeć na twarz Kaia do góry nogami.

Jego paskudny, pyzaty pysk błyszczał takim szczęściem, że Sygiet natychmiast nabrął ochoty, by go w niego trzasnąć. Zdziwił się teraz, że mógł go w ogóle wziąć za martwego – pierś Kaia falowała bardzo wyraźnie, a splecione na brzuchu ręce mogły tylko utwierdzić w przekonaniu, że wcale nie żałuje ugryzienia tajemniczej śliwki.

- Jest tu pewnie jakiś przyjemny narkotyk... – Hiram potrząsnął owocem tuż przy uchu, jakby spodziewał się usłyszeć klekotanie. – Ciekawe, jak długo działa.

- Czyli to przestanie działać? – upewnił się Sygiet.

- A bo ja wiem? Albo przestanie i się obudzi, albo przestanie i go zabije. Możemy tylko czuwać i czekać.

- Przestraszyłeś się – wredny szczył Atian wydał pogardliwie wargi. – Przyznaj, prawie się popłakałeś.

- A co? – odfuknął Sygiet, jak użądłony. – Ty tak zareagowałeś jak padł na ziemię po ugryzieniu?

- To chyba nie czas na to – uciął dyskusję Toth, choć Sygiet widział w jego jadowicie zielonych oczach, które Atian po nim odziedziczył, pojedyncze błyski rozbawienia. – Podobno już wplątałeś się w jakieś kłopoty.

Rzecz zaskakująca, ale fakt, że Kai, w którym przerażeni felsidzi upatrywali jedynego ratunku przed tajemniczym monstrum, jest nieprzytomny i zupełnie zatracony w świecie fantazji, podniósł ich morale. Może wystarczyła im sama jego połowiczna obecność, z której można było stroić sobie żarty, a może wzajemne przekrzykiwanie się w czasie zdawania wodzowi relacji z wydarzeń; może jego skupiona twarz, z jaką analizował napis na brzuchu Sygieta, a może ogólne poczucie, że są teraz w komplecie, silniejsi i nieustraszeni.

- No więc to jeziorko było leżem pieruńsko inteligentnego monstrum – podsumował Toth. – Poluje na was, bo się z niego napiliście. Ciebie naznaczyło, bo wydajesz rozkazy. Nasz oddział, poza przygodą z Kairem, nic złego nie spotkało. Znaleźliśmy małą rzeczkę z normalną wodą po jakichś pięciu godzinach marszu, ale, widać, dobrze zrobiliśmy. Wylaliście tę fioletową wodę z bukłaków, prawda?

- Nie dało się jej zaczerpnąć – pokręcił głową Sygiet. – Ani w bukłak, ani rękami. Musieliśmy pić jak zwierzęta. Te małpy ze zmieniającymi się twarzami nie miały żadnego kłopotu z nabieraniem wody w ręce. Śmiały się z nas.

- Hmm... Jedna z nich podała Kaiowi tę śliwkę.

Sygiet uniósł brew, zirytowany.

- Zjadł coś, co dała mu najbardziej podejrzana istota w całej Puszczy Nieprzespanych Nocy?

- W całej czym? – Atian parsknął śmiechem nad ostrzonego noża.

- Ta nazwa brzmi nawet w porządku – przyznał łaskawie Toth. – Wygląda na to, że te małpy to takie tutejsze kukułki, i że cieszą się łaską monstrum.

- No ale co zrobić z samym monstrum? Jest kurewsko szybkie i...

- Zna nasz język. Może da się z nim porozumieć?  
- Oszalałeś – zawyrokował admirał Atian – Za dużo przebywasz z Kiem.  
- Skoro da się z nim porozumieć, po co je zabijać? To przecież potężne stworzenie. I może można się czegoś od niego dowiedzieć?

- Ono prawdopodobnie zabiło dwóch naszych ludzi! – oburzył się Sygiet. – A mnie okaleczyło!

- Ukradliście jego własność – odparł wódz, dorzucając drew do ognia. – W świetle prawa Świętej Unii może dopominać się jej zwrotu lub zadośćuczynienia. Teraz tutaj też panuje to prawo.

I Sygiet, i Atian, otworzyli usta, by gwałtownie zaoponować, kiedy Toth rozejrzał się ze zmarszczonym czołem.

- Gdzie jest Ulryk?
- Przecież mówił, że idzie „na stronę”.
- Ta. Z godzinę temu.

Przetrząsnęli cały obóz i okolice, przerażeni, idąc niemal ramię przy ramieniu. Upierdliwego skryby nie znaleźli.

- Tak będzie dalej – wychlipał Leto, przed laty student na Akademii Czwartej Cnoty, jeszcze nie wyrosły z trądziku, strachliwy, słaby i w ogóle nie nadający się na felsida. – Wybiję nas do nogi, dopóki czegoś nie zrobimy.

Toth spojrzał na swych synów. Oni spojrzeli na niego. A potem wspólnie rozkazali wziąć nosze smacznie śpiącego Kaia i zarządzili zwijanie obozowiska.

\*

Kai wiedział, że nie śpi. Słyszał ćwierkanie ptaków i szelest liści, a jednak nie otwierał oczu. Wyłonił się właśnie z najsłodszego, najbarwniejszego i najgłębszego snu, w jaki kiedykolwiek zapadł, i za nic w świecie nie chciał otrząsnąć się z uczucia, jakie wciąż go otulało, sprawiając, że czuł się jak wtopiony w ziemię, tu, gdzie jego miejsce, najrozkozniejsze i najodpowiedniesze na świecie.

W końcu jednak uniósł powieki i uśmiechnął się szeroko, widząc, że wciąż pozostaje w krainie snu. Twarz tej kobiety była fioletowa, czarującą kocią i wisiała tuż nad nim. Kai nie powiedział ani słowa, czekając na rozwój wypadków. Dopiero, kiedy piękność otworzyła usta i ukazała dwa rzędy ostrych jak brzytwa kłów, zepchnął ją z siebie i odsunął się jak najdalej, próbując zerwać na równe nogi.

Rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy, ale zobaczył tylko podejrzane fioletowe jeziorko, z którego rankiem nie chciał wypić wody, a od którego powinni już dawno się oddalić. Na jego brzegu siedział chór zmiennolitych małp, a na twarzy każdej z nich... Atian, i Pihal, i Eldon, i Leto, i Toth...

- Co jest...? Co się dzieje...? – wychrypiał, sięgając za pazuchę i wstając chwiejnie, wspomagając się pniem sekwoi. Nie miał przy sobie szabli. Ani notatnika. Ani w ogóle niczego przydatnego.

Fioletowa kobieta okazała się posiadać nie tylko kocie rysy twarzy – podniosła się na czterech mocnych, pazurzastych łapach, i podeszła z wolna bliżej, by usiąść naprzeciwko Kaia i wpatrywać się w niego ciekawsko, prężąc lwi ogon. Całe jej ciało obrastała fioletowa sierść. Jej purpurowe włosy układły się w nastroszoną grzywę, a jej rozmiary dorównywały gabarytom niedźwiedzia. Wydawała się mądra. Mądra i straszna.

Kai postanowił się obudzić.

Chwycił kawałek skóry na ramieniu pomiędzy dwa paznokcie, odwrócił się napięcie i odmaszerował trzy kroki.

- Odchodzisz ode *mnie*, przybyszu?

Zatrzymał się wbrew własnej woli. Głos kobiety był cichy, niski i hipnotyzujący. Jak koci pomruk.

Jedna z małp wbijała w niego pełne wyrzutu spojrzenie wtopione w naburmuszone oblicze Sygieta.

- Jeśli myślisz, że to sen – uśmiechnęła się istota. Wyglądała przedziwnie, będąc lwem o ludzkiej mimice twarzy – ja radzę ci szybko przestać.

Kai spojrzał na czerwone ślady, które paznokcie zostawiły na rozdrapanej skórze jego ramienia.

- Mhm – mrucnął, pogodziwszy się z prawdą. Przełknął ślinę i postanowił dokładniej przyjrzeć się stworzeniu. – Jesteś sfinksem?

- Tak – kobieta uniosła krzaczaste brwi. – Widziałeś kiedyś *mi* podobne stworzenie?

- Wiele razy.

- Gdzie widziałeś kogoś takiego jak *ja*? – teraz jej brwi zmarszczyły się gniewnie.

Kai zajarzał w jej oczy i uśmiechnął się z triumfem.

- Ty chcesz informacji, ja chcę informacji. Dokonajmy uczciwej wymiany. Wy tłumacz mi, skoro to nie mój sen, to co tu robisz? Nie jesteś przypadkiem reprezentacją niedomkniętego rozdziału mojej przeszłości? Czytałem kiedyś o tym. To nie wyjaśnia koloru,

ale pewnie znalazłbym odpowiedź, sięgając do mojej podświadomości... Ale, najważniejsze, gdzie moi towarzysze? Żądam, żeby się tu pojawiły, i to nie w ciałach tych małp!

Sfinks zmarszczył gniewnie nos.

- Nie interesuje *mnie* żadna wymiana. Powiem ci tyle, ile będę chciała, i o tym, ile ty mi powiesz, też zadecyduję *ja*. Dlaczego nie chciałeś wypić z *mojego* jeziora? Dlaczego odradziłeś wypicie z *mojego* jeziora innym?

- Wybacz, jeśli cię to uraziło.

- Nie jesteście pierwszymi rozbitykami na *mojej* wyspie. Nie pierwszymi spragnionymi, wycieńczonymi, rannymi na *mojej* wyspie. Pierwszy nie uległeś pokusie *mojego* jeziora. Dlaczego?

Kai zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć swój tok rozumowania. Pamiętał usta wyschnięte na wiór, głód odbierający siłę w mięśniach, pękające pęcherze na stopach, dotyk miękkiej, fioletowej taflki.

- Ta woda wygląda na zatrutą – odpowiedział w końcu.

- Ale *mój* owoc tak nie wyglądał?

- Jeśli śliwki były zatrute, małpy z pewnością chciałyby, żeby zjadli je wszyscy moi towarzysze. Lecz oni nie zjadliby ich bez niczyjego przykładu. Ja dałem taki przykład z jeziorkiem, prawda? A skoro małpy to zauważły, śliwka, którą mi podały, nie mogła być zatruta, żeby zwieść innych. Ja byłem więc bezpieczny. I tak straszliwie głodny, że rozważyłem połknienie przydrożnego kamienia, żeby tylko wypełnić czymś brzuch.

Spojrzał na sfinksa, jakby szukał pełnej podziwu aprobaty dla swojego pomyślniku. Nagle jednak zbladł.

- Czy się mylę? Czy jestem martwy?

- Nie – odpowiedziała, a z jej dziwacznej twarzy nie dało się wyczytać żadnej emocji.

- Kto był tu przed nami? – zapytał. – To oni nauczyli się hekkyrskiego? I gdzie są moi towarzysze??!

Iskry w oczach sfinksa jakby przygasły.

- Jesteś takim samym złodziejem i intruzem jak ci, którzy byli na *mojej* wyspie z tobą i przed tobą. Pół serca mniej wymieniłeś na pół rozumu więcej, a wart jesteś tyle samo. Wynoś się z *mojej* wyspy.

Przeciągnęła się leniwie, odsłaniając paszczę pełną kłów przy przerażającym ziewnięciu.

- A moi towarzysze?! – zawała wściekle Kai.

- Złodzieje i głupcy zostaną na *mojej* wyspie.

- Nie. Oddaj mi ich. Zadaj mi zagadkę, daj mi jakieś zadanie, cokolwiek masz w zwyczaju. Nie odejdę bez nich.

Jakby na dowód swych słów, usiadł na pobliskim korzeniu ogromnego drzewa, skrzyżował jedną nogę na drugiej i wbił w sfinksa wyczekujący wzrok. Kobieta-lew patrzyła na niego znajomym wzrokiem, który Kai musiał wyławiać i wyławiać z odmętów swojej pamięci, aż potrafił go rozpoznać i nazwać – był to wzrok urażonego arystokraty.

Sfinks wstrząsnął purpurową grzywą, siadając naprzeciwko niego i bijąc ogonem o ziemię.

- Nazywam się Regiseree, byłam panią wyspy. Symbolem mojej władzy była skarabeuszowa brosza. Kiedy nie chciałam już rządzić, rzuciłam ją w przestworza i w locie schwycił ją łakomy flaming. Jego pożarła uskrzydlona jaszczurka i wypluła broszę, której nie mogła rozgryźć. Wpadł ona prosto w labirynt mrowiska, a stamtąd porwał ją uradowany mrówkojad. Kiedy i on nie mógł jej pożreć, cisnął nią o ziemię, a brosza odbiła się w górę i schwyciła ją małpa o twarzy wesołej skoczki. I tak moja przeszłość mnie dogoniła, przeznaczenie zatoczyło krąg i nie udało mi się wymknąć ze szponów obowiązku. Gdzie jest moja brosza?

Kai zamrugał dwa razy, myśląc. Sfinks przyglądał mu się uważnie, ogonem smagając brzeg stawu.

- Dlaczego nie jest rymowana? – spytał Kai.

Regiseree zwęziła pociągle oczy.

- W *moim* języku jest.

Milczące małpy miały skupione twarze, a ich świdrujące oczy przygniały go wzrokiem.

- Ta małpa musiała przynieść ci broszę – zawyrokował Kai. – Dlatego jej gatunek ci służy. Albo to ty służysz im.

Oblicze sfinksa było ponownie nie do rozszyfrowania. Małpy zaczęły podnosić rwetesy, jakby naradzały się ze sobą podnieconymi głosami.

- Dlaczego nie nosisz tej swojej broszы?

Sfinks znów nie odpowiedział, a niektóre z małp zaczęły wydawać z siebie skrzekliwe odgłosy.

- Jest gdzieś, gdzie nie możesz jej dosiągnąć. Albo na górze, albo na dole... W trujączej wodzie na przykład. Brosza jest na dnie jeziora. Na dnie trującego jeziora.

Ogon sfinksa uderzył o ziemię z głuchym tąpięciem, a jego usta rozciągnęły się w niespodziewanym uśmiechu. Zatrwożone małpy rozpierzchły się na wszystkie strony i

zniknęły w koronach gigantycznych sekwoi. Regiseree podniosła potężne ciało i odeszła powoli, ostrząc wysunięte pazury o jeden z większych głazów.

- No to przynieś *mi* tę broszę.

Kai spojrzał na spokojną taflę jeziorka. Było jednolicie „karmazynowe”, jak powiedziałby Sygiet, i nie można było dopatrzyć się w nim dna.

Wstał, zsunął ledwo trzymające się w kupie buty, rzucił okiem na przymierzającego się do skoku na drzewo sfinksa i odetchnął głęboko. Zamknął oczy i wskoczył do wody. Do trującej wody.

Była tak odurzająco chłodna i rześka, że jeśli wszystko, co Kaia do tej pory spotkało, było snem, to teraz na pewno się obudził. Zamiast spodziewanego pieczenia, poczuł zimno w każdym porze ciała i przeszywający ból w zadrapanym ramieniu. Podkurczył palce nagich stóp i, z wielkim ociąganiem, otworzył oczy.

Krzyknął, a z jego ust prędko wydobyły się różowe bańki bezcennego powietrza. Jeziorko było wyżłobioną pionowo grotą, której dno tonęło w czerni. To jednak, co przyprawiło Kaia o dreszcze z przerażenia, a nie zimna, było życie tępniące pod taflą wody. Tak po prostu wskoczył w ławicę wodnych potworów.

Drobne, błyszczące rybki pływały wszędzie, muskając jego skórę i wplątując się we włosy. Niżej grasowały ogromne rekiny, niektóre z wyszczerzonymi kłami, inne z łączami w kształcie młotów. Jednego właśnie opłatała olbrzymia ośmiornica, a zwierzę szamotało się w beznadziejnej walce. Wśród nich z gracją i szykiem falowały syreny, dużo straszniejsze od tych, które zatopiły statek ich oddziału u brzegów tej wyspy. Między nimi kłębiły się węgorze i najprzedziwniejsze gatunki ryb i morskich ptaków.

Te mrożące krew w żyłach stworzenia były jednak niczym w porównaniu z trzema monstrami, których Kai nie widział nigdy nawet w książkach przygodowych. Łeb jednego wyrastał z ciemności na dnie jeziora jak z wężowych splotów. Był porośnięty strzępkami mięsa i alg, i na oczach Kaia jednym klapnięciem menstrualnych szczek połknął dwie pierzchające syreny oraz ogromnego rekina. Drugi potwór nie był aż tak wielki, ale za to prędki jak błyskawica – tam, gdzie przemknęła czarna smuga, tam zaraz unosiły się obłoki krwi i pływały martwe, rozdrapane ryby albo przepołowione rekiny i ośmiornice miotające się z odgryzioną częścią ciała. Kai nie mógł mu się dokładnie przyjrzeć, ale miał wrażenie, że potwór przypomina wilka.

Ale najstraszniejszy i największy był ten kurczowo przylepiony do skalnej ściany grotu. Był straszny, bo przypominał trochę muchę, trochę rybę, a trochę bardzo zdeformowanego człowieka. Miał czarną szponiastą dłoń, którą trzymał się skały, a którą z

powodzeniem mógłby zmiażdżyć ogromny królewski okręt. Nad tą dlonią widać było głowę, a na głowie ogromne, okrągłe, szkliste jak u insekta oczy i coś, co musiało być ustami potwora, a było małe i straszne jak wir wodny. Te usta co chwilę zamykały się i otwierały, jakby stwór z trudem nabierał powietrza do płuc.

Kai uświadomił sobie wtedy, że w jego płucach nie ma już żadnych rezerw powietrza. Wypłynął z wody, zaczerpnął potężny haust i rzucił się do grotu głową w dół.

Płynął pośród fioletowego leża najprzedziwniejszych i najstraszniejszych potworów, jakie był w stanie sobie wyobrazić, pewien, że jeśli nie rozszarpie go rekin, to harpunem przebię syrena, rozpołowi rozmazana plama czerni, połknie w całości ten straszny wąż albo – i to przerażało go najbardziej – złapie go ten straszny muchostwór i wsadzi sobie do tych wstępnych ust.

Ale nic go nie atakowało. Syreny szczerzyły do niego kły i groziły trójzębami; rekiny ocierały się o niego mięsistymi bokami; wąż poruszył nozdrzami, przysuwając do niego swój łeb. Kai pilnował się, żeby nie otwierać ust, ale ciężko było za każdym razem nie wrzeszczeć. Najtrudniej było, kiedy muchostwór przekrzywił powoli głowę i jego mleczne oczy podążyły za uparcie płynącym w dół Kiem. Mimo to wciąż żył, ciśnienie jeszcze nie rozsadziło mu głowy, a kurczące się rezerwy powietrza płuc. A grot, im Kai płynął głębiej, stawała się coraz ciemniejsza i węższa.

Kiedy Kai nie widział już nic poza rybami pobłogosławionymi zdolnością oświetlania sobie drogi, uświadomił sobie, że nie ma w ustach powietrza, a ciśnienie powinno już dawno go zabić. Mimo to wciąż płynął. Obijał się raz o coś mięistego, co mogło być nogami muchostwora, a raz o coś szorstkiego, co mogło być cielskiem węża. Raz wpadł na płaszkę, raz węgorz owinął się wokół jego nogi, by zaraz odpływać dalej. Grotka wciąż i wciąż się zwęzała.

W końcu była tak wąska, że Kai mógł się obijać już tylko o ściany. Zobaczył wtedy przed sobą błysk w smolistej czerni i przyspieszył, choć był na skraju wyczerpania. Nie był w końcu w stanie płynąć, mógł tylko chwytać się wystających skał, by dobrać się do tego przeklętego, ukrytego błysku. Wreszcie jedyne, co mógł zrobić, to wsunąć między ściany rękę, by dotknąć śliskiego, błyszczącego robaka, tym samym podnosząc z dna jeziora broszę Regiseree.

Kiedy tylko to zrobił, w twarz prysnął mu strumień jadowitego gorąca, i Kai stracił przytomność.

Odzyskał ją z powodu przeszywającego bólu w głowie, plecach i płucach. Wypluł z siebie potok fioletowej wody i wykaszał mnóstwo maleńkich rybek.

- Kai?! Kai, ty żyjesz! Co się stało, Kai?!

Nie był w stanie odpowiedzieć, tylko dyszeć chrapliwie, jakby gardło przepalił mu żrący kwas. Atian, Yrrvel, Mork, Panthius, wódz, Sygiet, Joan, każdy, kto mógł się dopchać, pochylał się nad nim, z twarzą pokrytą od włosów po szyję szkarłatną krwią. Posadzili go, żeby wykaszał się w najlepsze i rozstapili nieco, tak, że Kai zobaczyć mógł siedzącego pod drzewem starego mędrca Hirama przyglądającego się w bezbrzeżnym zdziwieniu swoim dloniom zakrwawionym tak samo jak reszta jego ciała. Ściskał w nich coś, co wyglądało jak rozszarpane jelito.

- Jakież to było dziwne! Jakie to było przedziwne!

Wokół niego, wokół nich, wokół całego jeziorka leżały rozprute na pół ciała czarnobiałych małp.

- Twój notatnik... Znalazłem twój notatnik, Kai... Na Szarego Człowieka, co to za straszne stwory?!

Kolejny purpurowy wodospad wylał się z jego ust.

\*

- Kai? Kai, śpisz?

Spał. Uśmiechnął się jednak, widząc oświetloną żarem ogniska twarz Atiana.

- Już nie. Coś się stało?

Atian ułożył się na posłaniu obok.

- Ojciec chce, żeby cię odznaczyli i awansowali. Mówi, że masz wielkie szanse przeskoczyć dwa stopnie, a nawet zostać wodzem. Pisze raport do Uliasa Odkrywcy i nie potrafi ubrać w słowa tego, co opisywałeś.

- Nie dziwię mu się.

- To wszystko prawda?

- Nie wiem. Tak mi się wydaje.

- Niektórzy mówią, że zamieniliśmy się w małpy.

- Niemożliwe.

- Właśnie! Ale Hiram twierdzi, że to stąd ta cała krew i...

- Atian?

Kai usłyszał sciszony głos Sygieta za plecami.

- Do kogo mówisz?

- Do siebie.

- To nie rób tego nad uchem Kaia. Jest wykończony, należy mu się porządny sen.

- Dobra, dobra.

Atian odczekał, aż jego brat się oddali.

- Martwił się o ciebie.

- Jasne.

- Naprawdę. To przez niego te kłopoty i teraz mu głupio. Szkoda, że to jemu zostanie blizna, a nie tobie.

Kai zachichotał, mimo tępego bólu w płucach. Tyle Atianowi wystarczyło. Odwrócił się do Kaia plecami i obydwaj zasnęli.

Ten sen wydawał się nie trwać nawet chwilę, bo cały obóz poderwał się na nogi na dźwięk felsidzkich rogów, który brzmiał pośród niezbadanej dzicy jak królewski herold w środku zaprzysiężej wsi. Wódz Toth posłał, co prawda, po nowy statek na miejsce zatopionego przez syreny „Kolibra”, ale czy to możliwe, by pojawił się on tak wcześnie? Niemal pół roku nie widzieli nikogo poza własnym oddziałem, więc spodziewali się, że to spotkanie będzie uroczyste, radosne, wytekszone...

- Sygiet, weź trójkę ludzi i wyjedź im na spotkanie – polecił Toth, po czym sam odszedł na bok i zadał w zrobiony z pięknej, różowawej muszli róg.

Wszyscy czekali we względnym milczeniu, tylko niektórzy narzekali półgłosem na wyrwanie ze snu. Sam Kai nie miał siły usiąść i co chwilę osuwał się i wysuwał z błogiej ciemności, aż usłyszał wyraźne dźwięki kopyt i szabel tnących roślinność.

- Delegacja generała Uliasa Odkrywcy pozdrawia oddział wodza Totha!

Oczy Kaia otworzyły się szeroko. Delegacja samego generała fatygowała się, żeby przywieźć im statek? Po minie Atiana, który siedział na posłaniu z otwartymi ustami, domyślił się, że to nie są żadne głupie żarty.

- Oddział wodza Totha pozdrawia delegację generała Uliasa – W głosie wodza również słychać było zdziwienie.

- Wskaż nam wodza Totha.

- Już mnie zapomnieliście?

Niektórzy się roześmiali, ale raczej niemrawo i niepewnie.

- Nie zapomnieliśmy – burknął przywódca delegacji, najwyraźniej wielki miłośnik pradawnej etykiety. – Wskaż nam pierwszego zwiadowcę Kaia Kohara.

Wszelkie ludzkie dźwięki zamilkły. Wnętrze mózgu Kaia skute zostało najprawdziwszym lodem.

- No? Który to?

- Kai Kohar – szepnął półgębkiem Atian – to ty?
  - Nie – odszeptał Kai.
  - Czy Kai Kohar jest w twoim oddziale, wodzu? – ponowił przywódca delegacji.
  - Nikt w moim oddziale nie ma nazwiska.
  - A imię?
  - Każdy ma imię.
  - A więc chodzi nam o pierwszego zwiadowcę o imieniu Kai. Dużo masz takich?
- Toth nie miał na to żadnej jadowitej riposty.
- Wiedziecie więc, że pierwszy zwiadowca Kai Kohar na powrót ma nazwisko. Gdzie on jest?

Kai uniósł się na łokciach, blady z bólu i spocony ze strachu. Atian pomógł mu wstać i wychylić się zza namiotu wodza. Kai oparł się o stojącą obok pochodnię, trzymając za obandażowaną pierś.

- Ja jestem pierwszym zwiadowcą Kаем.

Dosiadający pustynnego konia, czysty, oficjalnie ubrany przywódca delegacji odwrócił się w jego stronę. Kai pamiętał go ze Strażnicy Świata, pamiętała ze straży przybocznej Uliasa Odkrywcy. Wtedy przyglądał mu się z wyższością i pogardą, a teraz z lekkim zdziwieniem. Uderzył się w okrytą lekką peleryną pierś z szacunkiem.

Reszta gapiła się na Kaia tak jakby był widmem.

- Wreszcie się dokrzyczeliśmy – powiedział różno, schodząc z konia i podchodząc do niego z zapieczętowanym szmaragdowym inkaustum listem i przywiązaną do niego czarną książką. – Moje kondolencje, niech Szary Człowiek pomoże mu w wędrówce. I, równie szczerze, gratulacje, niech Szary Człowiek już nigdy nie skąpi ci swej łaski. Przyda się ona zawsze, nawet po tak... imponującym awansie społecznym.

Wręczył Kaiowi list i książkę. Kai wziął je w rozedrgane ręce.

\*

Eneis nudził się, a może martwił, zapatrzony w filiżankę dymiącej kawy. Jej wspaniały zapach wypełniał całą komnatę w zachodniej wieży Modrego Oka, gdzie Eneis lubił przesiadywać w samotności, odkrywać nowe gwiazdy, nudzić się albo martwić.

Rozległo się pukanie, a po przyzwoleniu króla zza drzwi wychylił się szambelan Gavorn z bardzo niewyraźną miną.

- Wieści z Pamięci, Wasza Wysokość – westchnął, starając się nasycić głos jak najszerzszym bólem. – Haron Kohar nie żyje, zmorzony chorobą. Przed śmiercią przywrócił nazwisko swojemu synowi. Dał mu prawa do Pavilonu i tytułu Harona Sprawiedliwości.

Król nie wydawał się specjalnie poruszony żadną z wiadomości. Pokiwał głową.

- Dziękuję, Gavorn. Zaczekaj chwilę, muszę coś napisać.

Z szuflady stołu, przy którym siedział, wyciągnął skrawek pergaminu, puszyste pióro, kałamarz i inkaust. Zaczął skrobać prędko i płynnie, bez żadnej pomyłki, bezgłośnie formując niektóre słowa.

*Ostatnią wolą Jego Wysokości Eneisa Farrona IV z dynastii Meavelethów, króla Świętej Unii, Odkrywcy Znanego Świata, Klejnotu w Magmowej Koronie Wykutej i Podarowanej Mu przez Szarego Człowieka, Ojca Ludu, jest, aby jego córka, Jej Piękność księżniczka Cerro Vilicenta z dynastii Meavelethów, została żoną Kaia Norberta Kohara, pana Pavilonu i Harona Sprawiedliwości. To są jego własne słowa, jego własna wola, spisana jego własną ręką, w przytomności ciała i umysłu, czego dowodem owa pieczęć.*

Rozlał granatowy inkaust na kopertę, do której wsunął zapisany zwitek, po czym ucałował pierścień na serdecznym palcu lewej ręki. Kamień w pierścieniu zalśnił blaskiem gwiazd na nocnym niebie, a król Eneis wyciągnął oczko z metalowego gniazda przypominającego paszczę rozwścieczonej wilczycy i przykleił je do schnącego wosku.

- Zawróć natychmiast haronów, którzy już ruszyli w drogę do domu i tych, którzy są jeszcze w Naucenemes – polecił szambelanowi.

Gavorn skłonił się i prawie rzucił biegiem do wykonania rozkazów. Król pił kawę bez pośpiechu, z rozmarzeniem patrząc w kremową ścianę. W tym okrągłym pokoju, w przeciwieństwie do reszty Modrego Oka, nie było żadnych fresków, draperii, ani dywanów, tylko parę mebli i luneta stojąca przy samotnym oknie, a obok niej wypisane równania i naszkicowane naprzeciw konstelacje. Był to jego ulubiony pokój w całym zamku. Jego ulubiona, najwyższa wieża.

Kiedy skończył, odsunął lunetę od okna. Chwilę patrzył w niebo, mrużąc oczy od surowego blasku słońca. Potem przystawił do parapetu krzesło, złapał rękami za framugę i odepchnął się mocno, by runąć głową w dół.

## ROZDZIAŁ II

Powiedzieć, że Kai czuł się nieswojo, to jak powiedzieć, że morze, po którym płynął, było odrobinę niespokojne.

A jednak, gdyby pragnął, nie umiałby wypłakać się nikomu w ramię. Nie umiałby skakać ze szczęścia. Nie umiałby dać komuś w zęby z wściekłości. Czuł się po prostu dziwnie, odkąd przez głowę przeszła mu myśl „Płynę do domu.” i od tamtej pory właściwie przestał się do kogokolwiek odzywać.

Kiedy nie stał oparty o burtę, wyglądając na horyzontie nie wiadomo czego, widywany był z czarną, sfatygowaną książeczką; tą, którą odebrał z rąk przywódcy delegacji Uliasa Odkrywcy wraz z listem od matki, a z którą się praktycznie nie rozstawał. Atian na początku myślał, że to jego nowy dziennik – poprzedni, pełen opisów tego, co spotkali na Regiseree, oddał wodzowi Tothowi, dla potomnych. Tej książki Kai jednak nie pisał, ale czytał – i to czytał całkiem namiętnie, z nachmurzoną twarzą i zmarszczonymi brwiami. Atian nie pochwalał tej dziwnej fascynacji. Kai nauczył go czytać, ale książka nie miała tytułu na okładce, więc nie wiedział nawet, co tak pochlania uwagę jego byłego podwładnego.

Kiedy przekazano Kaiowi wieści z domu, Atian spodziewał się, że ten natychmiast się zaśmieje i powie, że nic go nie obchodzią te wszystkie tytuły. Ale Kai bez słowa się odwrócił, odszedł i wrócił do obozu dopiero nad ranem. Delegat mówił mu o powrocie na kontynent, a Kai tylko kiwał głową. Atian nie wytrzymał i wydarł się na cały namiot, nazywając Kaia zdrajcą i sprzedawczykiem, a ten tylko spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem i zapytał, czy chce mu towarzyszyć. Atian się obrzucił, Toth się obrzucił, Sygiet się roześmiał, a nazajutrz Atian się zgodził, rezygnując tymczasowo z obowiązków admirała. Ojciec zrozumiał, kiedy Kai mu wy tłumaczył. Zrozumiał, ile nauczyć się można w tej wielkiej, obcej Świętej Unii. Zrozumiał, że dla dwunastolatka nawet najdalsze nieznane krainy to nic w porównaniu z tępniącym życiem cywilizowanym światem. Że strata Kaia byłaby dla Atiana zbyt dotkliwym ciosem.

A Atian dalej nie rozumiał. Na „Brylancie”, wielkim statku Uliasa, nikt nie wykonywał jego poleceń i czasem nawet zaganiał do roboty jak zwykłego majtka. Atianowi ciężko się było z tym pogodzić, ale jeszcze ciężej z rozłąką z ojcem, bratem i felsidami - a najczęściej z tym Kаем, który niby był, ale jakby go nie było.

Spodziewał się, że wieczorem zastanie go w ich wspólnej kajucie, marszczącego brwi nad lekturą, ale nie było tam nikogo. Tylko ta wstrętna książeczka leżała na jego koi. Atian rozejrzał się, zamknął za sobą drzwi i podszedł ostrożnie do książki. Odchylił okładkę jednym

palcem, na wszelki wypadek, gdyby papier miał zapewnić mu czyraki. Potem przewrócił jedną pustą, pożółkłą stronę, i zdołał przeczytać tytuł – *Kodeks Harona w służbie Świętej Unii*. Serce podskoczyło mu do gardła, i przełożył następną stronę, ale wtedy do kajuty wszedł Kai.

Pachniał słoną wodą i wycierał rude kłaki szarawym ręcznikiem. Musiał pływać. Atian zatrzasnął prędko książkę i wskoczył na swoją koję, a Kai usiadł na swojej.

- Wkrótce schodzimy na ląd – powiedział, odsłaniając zaczerwienioną od tarcia twarz.  
– Szkoda.

- Wcale nie – burknął chłopiec. – Dość mam tego statku.
- Faktycznie, po generale Uliasie spodziewałbym się czegoś okazalszego.

Atian nadął policzki, bo „Brylant” był najpotężniejszym okrętem, jaki kiedykolwiek widział, nawet jeśli jego załoga była zapijaczona, a żagle brudne.

- Co, twój ród ma pewnie złote galery z muślinowymi żaglami?  
- Skąd – zaśmiała się Kai, kładąc się pod pierzyną ze swoim drogocennym *Kodeksem*. – Taki statek natychmiast by zatonął.

Atian nie podzielał jego wesołości, na co Kai w końcu zwrócił uwagę.

- Wiem, że ci ciężko, Atian – użył delikatnego tonu. – Ale niedługo wróciszt do ojca i swoich towarzyszy. Myśl o tym jak o wycieczce.

- No tak, ja wrócę – zacisnął pięści chłopak. – A co z tobą? Będziesz spał w łóżu z kolumnami, na satynowej pościeli, i jadł jakieś frykasy u boku króla?

- Jeszcze nie wiem.  
- Jak to nie wiesz? To po co tam płyniemy?!  
- Żebym zadecydował. I po to, żebym zobaczył swoją rodzinę, której nie widziałem od pięciu lat.

Atian pokręcił głową ze wstrętem.

- Felsidzi nie powinni widywać swojej rodziny. Trzeba się jej wyrzec dla dobra sprawy.

- Ehe – westchnął Kai, uśmiechając się kpiąco ze wzrokiem wlepionym w książkę. – Łatwo to znieść, kiedy twój ojciec jest twoim dowódcą, a matkę widujesz co parę miesięcy w Strażnicy Świata.

- Uważaj sobie! – Atian aż usiadł, gotowy do walki. – Jeszcze niedawno mi salutowałeś!

- Ale teraz już nie mam takiego obowiązku – Kai wyszczerzył zęby. – Atian, przestań tak dramatyzować. Każdy z felsów wykorzystałby podobną szansę, i tak się składa, że mi się taka trafiła.

Chłopiec opuścił ręce, ale oczy wciąż gorzały mu gniewem.

- Skoro tak kochasz swoją rodzinę i masz te wszystkie tytuły, dlaczego zostałeś felsidem?

W tańczącym blasku świecy uśmiech Kaia wydał się jakby złowrogi.

- Wydziedziczyłeś mnie.

- I mimo to kochasz swoją rodzinę?

- Oczywiście. Kiedy byłem Kaiem Koharem, kochałem ją bardzo. Kiedy byłem Kairem, nie miałem nawet za czym tesknić. Ale teraz znowu jestem Kairem Koharem i moim obowiązkiem jest kochanie jej.

- No a dlaczego cię właściwie wydziedziczyłeś?

- To tajemnica.

- Och, no powiedz mi!

- Nooo, nie wiem, czy mogę ci zaufać. Poza tym, musiałbyś wtedy posłuchać wprowadzenia o historii i ustroju Świętej Unii. Do tego rodowodu jakichś durnych wielkich rodów... No ale na koniec jest walka na azyrydy...

Atian z podekscytowania aż wskoczył na łóżko Kaia, dokładnie na jego nogi - ten aż syknął z bólu.

- Opowiedz mi, Kai! Obiecuję, że nikomu nie wygadam!

Kai zamknął księgi i odrzucił ją na poduszkę.

- Dobra, ale zgaś świece i zamknij drzwi.

Atian wykonał polecenia z szybkością pioruna, po czym skulił się w nogach koi Kaia, owinięty kołdrą. Wytrzeszczał zielone oczy w ciemność, tam, gdzie powinien leżeć jego przyjaciel, z zamyśleniem patrzący w kołyszący się sufit.

- Wiesz, kim są haroni, Atian? – spytał cicho.

- Świętojeblowi doradcy króla czy coś takiego.

- Ech, gdzieś ty się uchował. Pierwsi haroni byli ludźmi wybranymi przez Szarego Człowieka do strzeżenia Sześciu Cnót potrzebnych, według niego, do szczęścia mieszkańcom Znanego Świata. Były to Nadzieja, Sprawiedliwość, Pokój, Mądrość, Obowiązek i Przyjaźń. Haroni byli zupełnie niezależni od króla, jakkolwiek wtedy rządził, o czym nie wiemy ze względu na kroniki utracone w pożarze królewskiej biblioteki za Meaveletha Szarego. Aktualne źródła historyczne Świętej Unii sięgają ledwie trzy tysiące lat wstecz...

- Ledwie?...

- ...ale mamy o wiele dłuższą tradycję. Tradycja głosi, że haroni byli nauczycielami, sędziami, kapłanami, lekarzami i łącznikami między ludźmi a Szarym Człowiekiem. Mieszkali w zamku Modre Oko w górach Falgonach, radośnie pełniąc swoje obowiązki. Król mieszkał w Pałacu Popiołów w Rhagos, skąd miał widok na Zwiastun, wulkan, w którym mieszka Szary Człowiek, malując swoje obrazy. Kiedy Zwiastun wysyłał znaki, że Szary Człowiek wybiera się na wizytę w swoim kraju, zadaniem króla było powiadomienie haronów, a oni powiadamiali pospółstwo. Król i haroni od zawsze i po dziś dzień żyją w harmonii, a Święta Unia to określenie i ich symbiozy, i królestwa, które ignoranci zza Wielkiej Wody nazywają Hekkyranem. Tak przynajmniej głosi tradycja.

- To okropnie nudne, Kai...

- Musisz zrozumieć jak ważnym stanowiskiem jest haron, jaką ma władzę i autorytet.

- Jedyne, czego nie rozumiem, to dlaczego ludzie dają taką władzę jakimś głupkom wmawiającym im, że dymiący wulkan to znak od boga.

- Szary Człowiek to trochę specyficzny bóg. Raz na parędziesiąt lat odwiedza haronów, przechodząc od Zwiastuna do Naucenemes.

- Że co, że we własnej osobie?

- Tak.

Atian przyjął tę wiadomość z podejrzliwością.

- Ktoś robi ich w wała, a oni wszystkich ludzi.

- Nie ma nic prostszego niż wyjrzeć przez okno, kiedy idzie sobie środkiem wsi.

- I co, widziałeś go?

- Nie, ale...

- No to tą twoją Unią rządzą czarodzieje i szarlatani, a ty teraz do nich dołączysz, tak?

- To też twoja Unia, przyjacielu. Jeśli zostaniesz kiedyś generałem, będziesz płacił jej królowi podatki.

- Gówno, nic nie będę płacił!

- Ech, wróćmy lepiej do historii. Jak już wspomniałem, w wyniku wielkiego pożaru królewskiej biblioteki za Meaveletha Szarego, pierwszego znanego władcę Świętej Unii, wszystkie historyczne pisma z przeszłości uległy zniszczeniu i nie wiemy, co było przed Świętą Unią, kiedy haroni przemienili się w doradców króla i panów lennych, czy może byli nimi zawsze. Nie wiemy tak na dobrą sprawę nawet, kiedy powstały i oni, i państwo, i od kiedy są bardziej poddanymi króla niż jego wspólnikami. Według... hmm... tradycji, ci, którzy mieli być niezależni, ubodzy, wyznaczani elekcyjnie i pozbawieni tytułów, teraz

przekazując sobie władzę z pokolenia na pokolenie i rządzą ogromnymi włościami otrzymanymi od króla, rzadko pamiętając o swoich religijnych obowiązkach, a o Cnotach tylko, kiedy słyszą swoje tytuły. Po Wielkim Odszczurzaniu siedemset lat temu rodzina królewska przeniosła się do Modrego Oka, które stało opustoszałe, bo haroni przyjeżdżali tam tylko na czas zborów, w międzyczasie siedząc w swoich dużo wystawniejszych zamkach. Mój ojciec, Haron Sprawiedliwości, był głową rodu Koharów, panem zamku Pamięć w górach Mizydach, panem prowincji Pavilon, na wschód od Falgonów. Wiesz, gdzie są Falgony, prawda?

- Aha. Więc twój ojciec to straszliwy ważniak, tak?

- Widzisz, teraz rozumiesz. Był nie tylko bogaty, ale i potężny. Do tego był najlepszym przyjacielem króla Eneisa, razem tłumili Bunt Namiestnika w Zlewisku, kiedy byli młodzi. Taaak, mój ojciec był straszną szychą... W każdym razie, byłem jego długim wyczekiwany pierworodnym, dziedzicem, dumą i ulubieńcem, jeśli można tak to nazwać. Nigdy mnie nie rozpieszczał, ani nic takiego, po prostu często ze sobą zabierał do Modrego Oka, uczył jak być panem i haronem, troszczył się o to, żebym umiał się dwornie zachowywać, walczyć, jeździć konno, strzelać z łuku, mnóstwo takich pierdółów. I nie mówił do mnie „dziewczyno” albo „kobieto” jak do moich sióstr i mamy. Zawsze po imieniu – Kai. Stąd wiem, że mnie lubił.

- Dziwnie by było, gdyby mówił do ciebie „dziewczyno”.

- Mhm. Słuchaj dalej, żebyś się nie pogubił. Teraz opowiem ci o bardzo interesującym rodzie Temidanów.

- Błagam cię, Kai, o każdym srającym bursztynem rodzie będziesz mi tak opowiadał? Kiedy w końcu dowiem się, czemu cię wydziedziczono?

- Już niedługo. Główną rodziną Temidanów jest generał Yazor, który został nobilitowany niedługo przed moimi narodzinami. Wcześniej był szeregowcem zasłużonym przy tłumieniu Buntu Namiestnika właśnie, a jeszcze wcześniej był świniopasem, czego lyrowie pewnie nigdy mu nie zapomną. Jednak Yazor, po wsławieniu się w boju, udaremnił zamach kuzyna króla Eneisa na jego koronę, za co dostał tytuł i ziemię, a także stał się salonową atrakcją. Jeśli ktoś umie dodać dwa do dwóch, domyśli się, że na tych salonach Yazor zmajstrował dziecko lyrrze Ines Izaard, żeby wżenić się w jej potężny ówcześnie ród, a wkrótce został nawet generałem sił lądowych Świętej Unii. Yazor to wyśmienity wojskowy, który nieoficjalnie rządzi w rhagoskim pałacu opuszczonym przez rodzinę królewską. Zwykle krewni króla zarządzali pałacem, ale trudno się dziwić, że po tym spisku Eneis nie chciał widzieć tam nikogo ze swej dynastii. Generał niby po prostu go pilnuje, ale wiesz, jak jest. To

już praktycznie koszary, a generał ma ogólną władzę i potężną, lojalną armię. I dwóch synów, którzy są świętymi wojownikami i żołnierzami. Przynajmniej byli, kiedy ja opuszczałem salony. Byli wychowani w duchu karykaturalnej dyscypliny. Mówili do ojca „generale” nawet podczas obiadu, stawali na bacznosć, kiedy wchodził do pokoju, i uczyli się strategii w Akademii Sztuki Wojennej w Ilfidromes, zanim skończyli piętnaście lat. Silarus, ten starszy syn, dowodził tłumieniem buntu biedoty w Megarancie, jak miał lat trzynaście.

- I musiał leżeć do jakieś Akademii, żeby się tego nauczyć?

Kai spojrzał w jaśniejące w ciemności oczy Atiana i zaśmiał się cicho.

- Uświadomiłem sobie, że rozmawiam z dwunastoletnim admirałem Atianem. Taki wiek na takim stanowisku jest wszędzie, poza Strażnicą Świata, uważany za raczej niecodzienny. Ale Temidanowie tak właśnie wychowywali swych synów, i pamiętam, jak wszyscy powtarzali, że tylko dwóch chłopaków w Świętej Unii tak macha azyrydą – Silarus Temidan i ja.

Zrobił tu krótką pauzę, w czasie której zaczął kręcić młynka kciukami złożonymi na kołdrze.

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że nasi ojcowie się lubili. Mimo to Temidanowie całkiem często odwiedzali Pamięć i Modre Oko podczas zborów. Przynajmniej chłopaki i ich matka, bo lyrra Ines lubiła się z naszą mamą. Generał zawsze robił piorunujące wrażenie, jeszcze większe niż twój ojciec. Mój zapewne trochę mu tego zazdrościł...

- Nudzi mi się, Kai.

- Taaak? No to dobranoc, admirale.

- Nie, nie! Po prostu... Dojdzie to do czegoś?

- Oczywiście, już wkrótce. Ja i Silarus Temidan przepadaliśmy za sobą. Nie byliśmy może najlepszymi przyjaciółmi, ale jak byliśmy mali, biegaliśmy z drewnianymi mieczami, rozganiając kury i gęsi i terroryzując służbę, a jak podrośliśmy, łaziliśmy razem do burdeli. No, Silarus może łaził, a ja się za nim skradałem, bo w pewnym wieku cztery lata różnicy między nami zaczęły mieć większe znaczenie... W Modrym Oku zakradaliśmy się też z jego bratem Melem, księżniczką i księciem podsłuchiwać na zborach, żeby powkurwiać niańki i magini Chevitę, bo polityka raczej mało nas interesowała. Kiedy robiło się gorąco, to my dwaj wyciągaliśmy resztę z opresji. W każdym razie, przyjaźniliśmy się, ale kiedy miałem czternaście lat, rozeszła się wieść, że generał Temidan jest heretykiem, bluźniercą i szaleńcem. Dlaczego? Bo zaczął mówić, że we śnie ukazał mu się Szary Bóg, który niedługo nadejdzie i który kazał mu przygotować zgniłą Świętą Unię na jego nadejście. Co gorsza, jego słowa popierała lyrra Ines i ich synowie.

- Naprawdę? Rządzą nimi ludzie przyjmujący boga wychodzącego z wulkanu w gościnę, a jakiś sen uznano za bluźnierstwo?

- Szary Człowiek objawia się dość często, jak nie przy ogólnej wizytacji, to w jakiejś konkretnej sprawie. Ale ten cały Szary Bóg, którego sam tytuł wydaje się policzkiem wymierzonym w skromność Szarego Człowieka? Co to za pomysł? Co to za podstęp? Do tego Yazor przybył na zbór namawiać króla do ustąpienia z tronu, a haronów do rozwiązania Świętej Unii, która nie mogła cuchnąć zgnilizną moralną na siedem tysięcy kailów, kiedy pojawi się tu Szary Bóg. Ja, Silarus, Mel, księżniczka Cerro i książę Myron schowaliśmy się w ukrytym przejściu za ścianą w sali tronowej i wszystko widzieliśmy – jak zwykle grobowo spokojny Yazor krzyczał prawie ze łzami w oczach, jakby naprawdę wierzył, że jest jedynym ratunkiem dla kraju i ludzi, jak wszyscy się z niego śmiali, jak lyrra Ines stała ze spuszczoną głową, nie mogąc w żaden sposób potwierdzić słów męża. Zapytaliśmy Silarusa, czy jego ojciec tak na serio, a on, czerwony ze złości, powiedział, że tak, że jego ojciec obudził się z Magmowym Mieczem pod poduszką. Zresztą, jego ojciec zaraz go wszystkim pokazał.

- Tylko haronowie mają takie miecze, tak?

- Tak, to sześć mieczy zrobionych z żywej lawy przez Szarego Człowieka i podarowanych pierwszym haronom jako symbol ich służby. Takich mieczy powinno być sześć na całym świecie, a Yazor pokazał im siódmy. Technicznie znaczy to, że jest siódmym haronem.

- Bo ma jakiś miecz? Cholernie to głupie.

- No to haroni nie dali się na tę głupotę złapać. O rozwiązaniu Unii nie było mowy, zadano więc pytanie – kto chce przyjąć Yazora Temidana jako siódmego harona, równego pozostałą szóstce, i prawdopodobnie podzielić się z nim ziemią i zaszczytami? Oczywiście nikt się nie zgodził.

- Dlaczego? I tak rządzi stolicą...

- Ale jako figurant, który musi być na każdy rozkaz króla. To, co głosił, mimo że odważne, było też co najmniej skandaliczne. Szary Człowiek i Szary Bóg chcieli od haronów, według jego słów, ubóstwa, pomocy ludziom, pokory, sprawiedliwości, a nie myślenia o utrzymaniu władzy i bogactw, co jest ich ulubionym zajęciem.

- No i czy generał nie miał racji?

- Na pewno nie według niektórych... hmm... tradycji. No i nie według samych haronów, którzy są przecież wykonawcami woli Szarego Człowieka. Jeśli srają bursztynem, to widocznie Szary Człowiek chce, żeby srali bursztynem.

- Wygodne!

- Ani ty, ani Yazor nie byliście pierwszymi, którzy zwróciili na to wygodnictwo uwagę. Większość z dzielących ten pogląd kończyła z wygarbowaną skórą albo głową odseparowaną od korpusu. Ale wybatożenie lub zabicie Yazora Temidana byłoby nieco niezręczne. To król Eneis uczynił go szlachcicem, a Eneis, wielki astronom i naukowiec, nie chciał wyjść na głupca nawet ten jeden raz w swoim życiu. Do tego, jak wspominałem, Yazor miał armię i był bardzo dobrym wojskowym. W każdym razie, powiedziano mu, że miał zły sen i żeby lepiej się wyspał, zanim następnym razem przybiegnie zapłakany do Modrego Oka. Miecz z napisem „Prawda” został uznany za bardzo dobry falsyfikat i zamknięto go w którymś z siedmiu skarbców Świętej Unii. Sprawozdanie ze zboru obiecano usunąć, jeśli Yazor udowodni, że nie stał się wrogiem Świętej Unii, i wkrótce to zrobił, udaremniając jakiś kolejny spisek, tym razem w Avernnis.

- Nie zamknięto go w żadnym lochu? Nie torturowano?

- Był wybitnym wojskowym, jak już wspominałem. Unia go potrzebowała, właśnie do takich spraw jak spisek, bunt, zamach. Odkąd Yazor Temidan został generałem, haroni mogli spać spokojnie. Przez wcześniejsze stulecia zamachy i przewroty na haronów i króla zdarzały się znacznie częściej i zwykle dochodziły do skutku. Mój własny ród przejął władzę w Pavilonie po dziesięcioletniej wojnie z rodem Zydelle, niech Szary Człowiek pomoże im w wędrówce.

- No ale temu twojemu generałowi wszystko po prostu wybaczono?

- Niedługo po tym „wystąpieniu” umarła mu żona. Podobno cierpiała na jakąś straszliwą chorobę i mówiono, że Yazor szalał ze zgryzoty, ale po jej śmierci, kiedy już nie cierpiała, zaczął myśleć klarowniej. Wtedy też udaremnił cały ten zamach i znów stał się mężem stanu nieco zażenowanym swoim chwilowym przyćmieniem umysłu, już nigdy nie wspominającym ani o Szarym Bogu, ani o Magmowym Mieczu. Wszystkim było z takim obrotem spraw wygodnie i korzystnie. Niektórzy pewnie myślą, że ten miecz to w ogóle mit, ale ja widziałem go na własne oczy przez szparę w podłodze sali tronowej Modrego Oka. Nie bardzo jednak o to dbałem. Cieszyłem się tylko, że wciąż mam przyjaciela w postaci Silarusa. Kiedy miałem piętnaście lat, w Naucenemes urządzonego turnieju z okazji Zakwitania księżniczki Cerro i niektórych z jej dam dworu, między innymi panienki Caedmille Davaden, w której byłem szaleńczo zakochany. Oczywiście zgłosiłem się, żeby jej zaimponować, Silarus zgłosił się mi na złość, i przez kilka dni popisywaliśmy okropnie, ku ucieczce wszystkich lyrrów i lyrr. Ostatniego wieczoru urządzonego uczęstę na cześć tisa Gavere'a z Pavilonu, mojego wuja, Modrego Rycerza i oczywiście zwycięzcy. Ja i Silarus bawiliśmy się razem, piliśmy wino, śmialiśmy się. Był wtedy zaręczony... Wyciągnął butelkę jakiegoś

dwusetletniego wina i ledwo napełniliśmy nasze puchary, pojawił się jego młodszy brat. Był wtedy gdzieś w twoim wieku, i niższy od Silarusa o połowę. Zaczął ostro zmywać bratu głowę o to, że jest kompletnie pijany i że ojciec jest na niego wściekły. Stałem obok, śmiejąc się, aż pijany w sztok Silarus obiecał, że to ostatni, i przytulił brata. Wtedy to zobaczyłem. To było szybkie jak trzepot komarzych skrzydeł, mówię ci, ale to zobaczyłem – w czasie tego przytulenia wymienili się pucharami. Włosy stanęły mi dęba, pociemniało przed oczami, nie wiem, jak to opisać... Silarus wzniósł puchar do toastu, szczerzył się, rumiany od wina, a ja stałem jak kołek. Zobaczył to, poznał się na moich myślach, przestał się uśmiechać. Powiedziałem, że mi niedobrze i muszę się przewietrzyć, a on wybąkał, że w porządku, i odszedł gdzieś, skulony.

Kai przerwał, oczekując ponagleń Atiana. Ale ten patrzył na mówiącego szeroko otwartymi oczami.

- Nie wiedziałem, co zrobić – mówił więc dalej. – Wyszedłem na zewnętrzny dziedziniec z pucharem w dłoni, a wokół byli tylko pijani ludzie. Może mieli jakiś mnie złowrogi powód, żeby wymienić się pucharami, a ja dramatyzuję? Po co by mieli to robić? Po co Silarus miałyby to robić? To nie ma żadnego sensu. Ale musiałem sprawdzić, czy to wino faktycznie jest zatrute. Udałem się do nadwornej czarodziejki Chevity, jedynej wpływowej kobiety w Unii, która była... ehm... zajęta. Odpędziła mnie, każąc przetestować napój na świńi, a ja, jak skończony idiota, tak zrobiłem. Przez chwilę nie działało się z nią nic. Potem oczy przekręciły jej się do środka czaszki... Zaczęła okropnie kwiczeć i się trząść, wierzgała nogami, a z ust ciekła jej najpierw ślina, potem piana. Królewski świniopas mnie usłyszał, wytargał z chlewa za ucho i zaciągnął do ojca. Potem musiałem zdać relację królowi.

- Nie może być! – krzyknął Atian. – Najlepszy przyjaciel chciał cię otruć! Ale po co?

- Ojciec mu kazał, rzecz jasna. Ojciec, który wciąż chciał pozbyć się ze Świętej Unii zgnilizny albo dostać prestiżową posadkę. Mój ojciec skłaniał się ku tej drugiej teorii, bo to na jego ród nastąpiło. Mówił, że Yazor to pijawka, Świński Lyrr, który chce być Świńskim Haronem za wszelką cenę, więc albo nastraszy wszystkich heretyckimi bredniami, albo wygryzie jednego z haronów i zajmie jego miejsce. Uwziął się na mojego ojca, bo był najstarszy, ważny dla króla, nielubiany i już zaczynał pluć krwią. Znaczy, że niedługo umrze, ale wtedy jego stanowisko przejmę ja – młody i krzepki. Yazor może zabić mnie wtedy, ale po co? Wystarczy, że zabije mnie teraz, zrzuci to na któregoś z wrogów mojego ojca, poczeka na jego śmierć i będzie miał tylko jednego trupa na sumieniu. Ojciec nie ma innych męskich potomków, kuzynów, ani bratanków, a Yazor ma wpływ, których nie przekreślił nawet ten heretycki incydent. Temidanowie, wezwani do sali tronowej, słuchali tego z szeroko

otwartymi oczami, aż było mi wstyd za ojca i jego słowa, jakbym to ja zrobił dramat z jakieś drobnostki. Jakby wcale nie próbowali mnie otruć. W dodatku za coś takiego mogła ich czekać śmierć, a nie chciałem przecież, żeby rodzina mojego przyjaciela została ścięta za zdradę czy za cokolwiek. Mój ojciec z pianą na brodzie dowodził, że Silarus chciał zabić mnie, a ojciec Silarusa spokojnie przekonywał, że chłopcy chcieli mi zrobić żart, który dla mnie byłby nieszkodliwy, a dla świni okazał się śmiertelny. Butelka, z której Silarus nalał mi wina, zniknęła gdzieś podczas zabawy, nie było więc jak jej sprawdzić. Sprawa była dość niedorzeczna, król nie wiedział, co począć, a Yazor nagle machnął ręką i stwierdził, że skoro próbujemy się nawzajem pozabijać, to powinni nam pozwolić. Mój durny ojciec się zgodził. W ten sposób król zarządził, że staniemy do honorowego pojedynku na śmierć i życie, zgodnie z tradycją tak starą i głupią, że już dawno została zaniechana.

Atian wciągnął ze świstem powietrze. Wreszcie ten upragniony pojedynek!

- No to stanęliśmy. Długo o tym wszystkim myślałem. Zwykle walczy się do pierwszej krwi, a wtedy wszyscy haroni, nawet mój własny ojciec, zgodzili się na głupi pojedynek na śmierć i życie. Dlaczego? Bo Yazor tak chciał? Bo duma nie pozwoliła mojemu ojcu powątpiewać w moją wygraną? Czyli to wojna między nimi. O co? Rozumiałem, że człowiek, który utrzymuje, że chce uzdrowić Świętą Unię, a sam dopuszcza się trucicielstwa, nie może nią rządzić, ale to on powinien wyjść na ubitą ziemię. On i mój ojciec. Ale nie. Teraz, zgodnie z planem Yazora, Silarus mnie zabije i proszę – będzie haronem. Jeśli Silarus faktycznie mnie zabije. Bo istnieje możliwość, że to ja zabiję Silarusa.

Kai westchnął ciężko i rozmasował palcami znużone powieki.

- Ale to było gówniane – mruknął. – Czemu nam to zrobili? Lubiliśmy się. Czemu mam zabić Silarusa? Wykonywał tylko rozkazy ojca. Ja na jego miejscu pewnie zrobiłbym to samo. Widziałem, że mu też ciężko, chociaż patrzył na mnie z wyższością i nienawiścią. No dlaczego musielibyśmy się pozabijać, skoro to nie nasza wojna? Przecież się lubimy. To było naprawdę gówniane, że nam kazali to zrobić.

- I... zabiłeś go? – odgadł Atian. – Przykro mi, Kai.

Kai uśmiechnął się gorzko.

- Zaczęło się, Silarus machnął azyrydą tak, jakby w życiu nie trzymał jej w ręce. Potem machnął parę razy, już pamiętając o własnych umiejętnościach, a ja na oczach całego dworu, tych niezdrowo podnieconych lyrrów i lyrr, robiłem perfekcyjne uniki. Trwało to wszystko może dziesięć uderzeń serca. Potem rzuciłem azyrydę, padłem na kolana i krzyknąłem, że się poddaję.

Kątem oka zobaczył, jak szczeka Atiana opada mu aż po pachy.

- Ale było zamieszanie! – zaśmiał się Kai. – Nie wolno zabijać poddającego się, a więc ani ja nie stracę życia, ani nie będę miał Silarusa na sumieniu. Doskonałe rozwiązanie! Silarus stał z tą azyrydą z identyczną miną jak ty teraz, a wszyscy wokół burzyli się jak woda w kadzi. Ja się do Silarusa wyszczerzyłem. Król oświadczył, że sprawa zamknięta, bo chłopcy widocznie wcale nie chcą się pozabijać. Swoją drogą, czułem, że Silarus tego dnia byłby lepszy. No ale nie to było istotne. Nagle mój ojciec wstał, zielony z wściekłości, i oświadczył, że się mnie wyrzeka. Nie pozbyłem się problemu, okryłem tchórzostwem i hańbą – na co mu taki syn? Ale, tak między nami, to był słaby ruch taktyczny, dyktowany niczym innym, tylko jego furią. Tak czy siak, generał Temidan pozbył się jedynego zdolnego do dziedziczenia tytułu potomka Kohara, i to bez zabijania. Nic, tylko podlizywać się haronom, czekać na śmierć mojego ojca i niechybną elekcję na Harona Sprawiedliwości. No. Więc dlatego zostałem felsidem. A teraz mój ojciec umarł, a mnie przywrócił do łask. Dziwaczne to życie.

Atian zamknął usta.

- To najgorsza historia na świecie, Kai. To nawet nie był pojedynek! Oszukałeś mnie!
- Taki był mój cel.

- Ludzie w Unii są dziwni. Mój ojciec zawsze mówił, że jak widzisz, że ktoś albo coś jest silniejsze od ciebie, trzeba uciekać, gdzie pieprz rośnie. To przejaw rozsądku, a nie tchórzostwa. Ale widziałem, jak radzisz sobie z azyrydą. Powinieneś był zabić zdrajcę, kiedy miałeś okazję. Teraz wróćysz i będziesz miał tego żołdaka na głowie.

- Hmm... Tak sądzisz?
- Może i się lubiliście, ale widocznie on nie lubił cię wystarczająco, żeby nie wbić ci noża w plecy. Pamiętaj, że to ty się dla niego poddałeś, a nie on dla ciebie.

Wpełzł na swoją koję, a Kai przekrącił się na bok, twarzą do ściany, nic nie odpowiedziawszy.

- Kai? – szepnął Atian.
- Hmm?
- Jeśli zostaniesz haronem, będziesz w bezpieczeństwie.
- Czy ja wiem? Może im przeszło. Może po pięciu latach generał Yazor nie pamięta o Szarym Bogu. Może zapomniał o swoich ambicjach. Może został haronem czegoś innego, a nie Sprawiedliwości, kto wie? Od pięciu lat nie miałem wieści z domu. Wszystko się mogło zdarzyć.
- Nie liczyłbym na to. Kai, wróć ze mną na Letnie Morza.
- Może tak zrobię. Jeszcze nie wiem.
- Ale chciałbyś? Chciałbyś, Kai?

- Zdradzę ci sekret, Atian. Bardzo sekretny, nie mów o nim absolutnie nikomu. Wtedy, pięć lat temu, całą wędrówkę od Naucenemes do Strażnicy Świata płakałem jak bóbr, jak mała dziewczynka. Nie pozwolono mi się pożegnać z matką, z siostrami, z przyjaciółmi, z domem. Odchodziłem bez konia, przed własnym Ziębnięciem, bez pozwolenia na noszenie miecza u pasa. Wszyscy mnie traktowali, jakbym nagle zamienił się w wesz. Płakałem i płakałem, a w Strażnicy skończyły mi się łzy. Bo nie było tak źle. I z perspektywy czasu myślę sobie, że nazwisko to nie taka wielka cena za te wszystkie prawie kosztujące nas życie przygody i znajomości. Dobranoc, Atian.

Atian odpowiedział szeptem i zasnął za chwilę z uśmiechem, kołysany ruchem łagodnych fal.

Obudził się tylko raz, kiedy kartki *Kodeksu zaszeleściły* pod palcami Kaia wertującego księgię w blasku księżyca. Za chwilę wrócił do snu, a rano o niczym nie pamiętał.

\*

Melvourne Temidan był prześlicznym chłopakiem. Nie był imponująco wysoki, miał ledwo szesnaście lat, a na twarzy nieznaczny trądzik, lecz wciąż patrzyło się na niego z zachwytem. Miał w sobie coś dziewczęcego, co dodawało rysom jego twarzy gracji i uroku, a także coś zupełnie męskiego, co sprawiało, że jego ruchy były prędkie i zdecydowane. Jego twarz była trójkątna i biała jak pigment w mikaonie, rozjaśniona pełnym ekscytacji uśmiechem różowych ust. Jego oczy były czarne i błyszczące, otoczone gęstymi rzęsami, a opadały na nie kosmyki kruczoczarnych włosów, które były zapuszczone do ramion. O jego policzki, zgodnie z tradycją rodu, obijały się dwa starannie zaplecione warkoczyki.

Był śliczny i wesoły, mimo widocznego zmęczenia, któremu ciężko się było dziwić – dopiero wrócił z wyprawy do Naucenemeńskiej Puszczy, gdzie zginął cały lokalny garnizon, i Melvourne ze swoją Sforą Sfinksa musiał ich wydostawać z nawiedzonego dworu. Udało mu się uratować prawie wszystkich żołnierzy; tylko jeden przebił sobie pierś sztyletem, przekonany, że nigdy już nie ujrzy rodziny, a drugi oszalał i rzucił się na Melvourne'a z mieczem, ten więc musiał się bronić. Był tym całkiem przybity, ale wtedy napotoczył im się poseł ze zwiniętą w klepsydrę kobrą na piersi i Melvourne gnał do stolicy, ile sił w nogach.

Po wejściu do Pałacu Popiołów ściągnął ubłocone buty i przetarte rękawice, bo ojciec nie tolerował brudu w domu. Wsunął stopy w aksamitne ciżemki i szedł pospiesznie, z uśmiechem na ustach, kłaniając się uradowanej na jego widok służbie, i mocując z wyrzeźbioną na kształt sfinksa klamrą czarnego płaszczu. Nie poradził sobie z nią aż do drzwi

generalskiej jadalni, ale i tak nacisnął klamkę, ponieważ wieści, które przynosił, nie mogły cierpieć ani chwili zwłoki.

- Gen... A ty co tutaj robisz?

Przy zastawionym jadłem stole, z łyżką tuż przy rozchylonych ustach, zamarł Silarus Temidan.

Melvourne często słyszał, że Silarus jest kurewsko przystojnym mężczyzną. Patrząc na niego, mógł odgadnąć, jak będzie wyglądał za osiem lat; być może zetnie włosy nad karkiem i jego czarne warkoczyki będą przylegać do głowy, by kończyć się na jej tyle; jego oczy przygasną, usta zbledną, policzki się zapadną, ale urośnie jeszcze co najmniej piętnaście opali i straci tę swoją dziecinność i dziewczęcość. Na śnieżnobiałej twarzy pewnie przybędzie mu też parę przebarwień i blizn. Silarus miał nierówną brzoskwiniową opaleniznę, czerwoną rysę na czole i coś świeżego, zaklejonego bandażami, ciągnącego się od policzka wzduż szyi i niknącego pod czarnym mundurem.

- A ty co tutaj robisz? – odpowiedział podejrzliwie.

- Wróciłem z Puszczy z naszym garnizonem i ważną wiadomością. Nie spodziewałem się tutaj ciebie. Już wszystko dobrze w Zlewisku?

- Żeby tam chociaż jeden dzień było dobrze – mruknął Silarus i wrócił do gulaszu, a Melvourne nie doczekał się informacji na temat wcześniejszego powrotu brata.

- Co ci się stało? – spytał więc, krzywiąc się lekko. – To coś poważnego?

- To? Ach, nie, to tylko... Co to za ważną wiadomość niesiesz ojcu?

- Powiem tylko jemu – Melvourne przeszedł przez próg i rozejrzał się po komnacie, jakby spodziewał się, że ojciec siedzi w kącie i się im przysłuchuje. – Ale mówię ci, Silar, opadnie mu szczeka!

- Założę się – starszy z braci zmrużył sceptycznie oczy, biorąc wielki kęs chleba. – Twój garnizon znaleziony zalany w trupa czy szlag wreszcie trafił kogoś z twojej Sfory?

- Lepiej – uśmiechnął się Melvourne, chwilę zastanowił i zadecydował. – Szlag trafił Gaiusa Kohara.

Silarus znów zamarł z łyżką przy ustach i policzkami wypchanymi chlebem. Melvourne krążył po pokoju, podniecony, znowu próbując rozpięć klamrę pod szyją.

- Wyobrażasz sobie? – szczebiotał. – Nareszcie! Nastaną dla nas nowe, lepsze czasy! Silar, wyobraź sobie: Temidanowie, Haroni Sprawiedliwości. Dziadkowie nie śmieli nawet o czymś takim śnić! Może ojciec odda ci stanowisko i już nie będziesz się męczył w Zlewisku?

- Mhm – Silarus nagle zupełnie stracił apetyt. – Prędzej haronea Nuria przejmie cały Pavilon.

- Nie pleć głupstw! Haroni jej nie pozwolą, w każdym razie...

- Skąd w ogóle masz takie wieści?

- Kiedy wracaliśmy z Puszczy, natknęliśmy się w karczmie na posła z broszą w kształcie kobry, który chwalił się, że jedzie do Euterpe, żeby donieść o pogrzebie Gaiusa. Dostarczył szczegółów, kiedy zobaczył, jak marszczę brwi.

- Faktycznie, bardzo jesteś wtedy przerażający.

- Wysłałem go dalej, ale, skoro tu jesteś, właściwie niepotrzebnie. No, ale teraz ja ci wszystko wygadałem, a gdzie jest ojciec?

- Nie wiem, ja tu dopiero niedawno...

Drzwi się otworzyły i przeszedł przez nie Yazor Temidan, a jego synowie natychmiast stanęli wyprostowani, splatając niezręcznie dłonie za plecami. Sam generał wszedł z pochyloną głową, ale widząc swoje dzieci, uniósł jedną brew i przesunął spojrzenie od jednego do drugiego.

- Och, mamy zjazd rodzinny? – mruknął z drwiną. – Nie zostałem powiadomiony. Palto zostawia się przy wejściu, Melvourne. Kto ci pozwolił jeść mój obiad, Silarus? I coś ty zrobił? Mam nadzieję, że nie nadziałeś się na własną azyrydę.

Melvourne'owi wreszcie udało się zrzucić płaszcz, który natychmiast pozbierał z podłogi, a Silarus bardzo próbował nie dać po sobie poznać, że szramę zyskał, po pijaku spadając z konia w stojak na miecze.

Stanęli obok siebie, jeden przewyższający o głowę drugiego, a generał opadł na krzesło, z niesmakiem odsuwając napoczęty przez syna talerz gulaszu. Patrząc teraz na nich, trudno było powiedzieć, po kim młodzi Temidanowie odziedziczyli swą urodę. Mieli faktycznie cerę, włosy i oczy matki, ale lyrra Ines wcale nie słynęła z piękności. Generał za to, choć wzrostem prawie przewyższał swego pierworodnego, miał ogorzałą, kwadratową szczekę, brunatne włosy jeszcze pozbawione siwizny i brązowe, wąskie oczy, pod którymi znajdował się pokaźnych rozmiarów nos. Teraz oparł łokcie na stole, by przycisnąć długie, splątane palce do zaciśniętych ust, zamknąć oczy i westchnąć ciężko.

- No czego? – mruknął.

- Gaius Kohar... - wyjaśnił Melvourne – nie żyje.

Generał spojrzał na młodszego syna, ziryutowany, a ten pokraśniał. Silarus zagryzł wargę.

- I cóż z tego? – burknął Yazor. – Macie jakieś genialne pomysły na rozwiązanie tego problemu?

- Problemu? – zdziwił się Melvourne. – Myślałem, że to rozwiąże wszystkie nasze problemy.

- To jesteś ślepy albo głupi. Pułkowniku, tobą ta wieść również wstrząsnęła do tego stopnia, że opuściłeś posterunek?

- Szczerze mówiąc, generale...

Silarus miał zamiar powiedzieć „ojcze”, a kiedy nie zdołał, opuściła go cała odwaga, by mówić szczerze.

- No słucham – ponaglił Yazor.

Silarus wbił wzrok w podłogę, wściekły na swoje tchórzostwo. Miał przygotowaną piękną, zdecydowaną mowę, a teraz stać go było tylko na marudzenie tonem kapryśnego dziecka.

- Nie wrócę już do Zlewiska – burknął, a brat posłał mu przerążone spojrzenie. – Proszę o przeniesienie.

- Niby gdzie?

Mimo, że prosił o to nie po raz pierwszy, ojciec po raz pierwszy nie zareagował gniewem, ale nawet lekko się ożywił, jakby zaciekawiony. Silarus, zaskoczony, uniósł wzrok na jego twarz.

- Nie wiem, na przykład do floty...

- Chcesz być felsidem, wyrzeknij się nazwiska i idź zaczynać od dna. Nie możesz zjeść jabłka i mieć jabłka, Silarus.

Odpowiedź ojca pozostała więc taka sama. Silarus postanowił zamilknąć na dobre.

- Ale nie wrócisz do Zlewiska, bez obaw – rzekł Yazor, maczając chleb w oliwie. – Obaj przydadacie mi się teraz w Modrym Oku.

Obaj wytrzeszczyli na niego oczy. Melvourne cały się rozpromienił.

- A więc jednak! – zapiał. – Gratulacje, generale! Wreszcie nam się udało!

- Udało? – warknął. – Niby co takiego? Stało się dokładnie to, czego się obawiałem.

Co z tego, że Gaius nie żyje, skoro teraz mamy na głowie jego syna?

Twarz Melvoune'a nabrąała barwy alabastru, a Silarusa papieru.

- Przecież jest wydziedziczony, może nawet już nie żyje – wyparował Melvourne.

Ich ojciec posłał im spojrzenie, które jastrząb posyła upatrzonej polnej myszy. Wstał. Wzrostem dorównywał Silarusowi, ale teraz obydwa jego synowie wydawali się kilkuletnimi dziećmi.

- A więc to tak? – Nie musiał krzyczeć, żeby brzmieć na rozjuszzonego. – Wiecie o śmierci Gaiusa Kohara, ale nie wiecie o powrocie jego syna? Nie dość, że szczycicie się

dostarczeniem mi informacji, o której wiem od tygodnia, jako pierwsi, to jeszcze informacja ta jest niepełna? Nie chcę nawet wiedzieć, jakimi metodami ją zdobyliście, ale wiedziecie, że gdyby nie moi informatorzy, gdybym polegał wyłącznie na waszych wieściach, pojechałbym do Modrego Oka tylko po to, żeby się kompletnie zbłaźnić. Znowu. Na szczęście, zbłaźniliście się wy. Wiedziecie tedy, że tuż przed swoją śmiercią Gaius Kohar oddał nazwisko swojemu synowi i jest on prawdopodobnie już na statku płynącym do brzegów Unii. Tak więc jest prawowitym Haronem Sprawiedliwości. Te pięć lat temu nie rozwiązaliśmy problemu, ale jedynie odwlekliśmy go, polegając na dumie i głupocie Gaiusa, a także słabości króla, który, dla wygody, popełnił samobójstwo.

Niedbałym ruchem zrzucił gar gulaszu na podłogę, a ten rozprysnął się na wszystkie strony. Silarus obserwował ciemnobrązowe strużki wsiąkające w szpary między deskami, a Melvourne całym sobą powstrzymał się od okazania zdziwienia na temat wieści o śmierci króla.

- Haroni winni są nam mnóstwo przysług! – przypomniał z wypiekami na ślicznej twarzy. – Syn Gaiusa wrócił z końca świata, ledwo co dostał to głupie nazwisko, niby kto go tam poprze?! Wejście do Modrego Oka to dla niego jak wejście w paszczę lwa!

- Tak samo jak dla nas. Co, jeśli haroni zamierzają się na nas wypiąć, a my wejdziemy do zamku, jakbyśmy byli pewni Magmowego Miecza?

- Musimy zaryzykować, generale! Młody Kohar jest na morzu, a my na lądzie, on pewnie wpierw pojedzie na pogrzeb ojca, więc to daje nam jeszcze więcej czasu! Czas! On jest najważniejszy!

Generał, do tej pory oparty o stół, wyprostował się. Instynktownie położył dłoń w miejscu, gdzie powinna wystawać rękojeść miecza pozostawionego w zbrojowni.

- Masz rację, kapitanie – powiedział cicho, uśmiechając się łaskawie. Silarus pewien był, że generał już dawno zdecydował, co zrobić, lecz chciał sprawdzić, który z jego synów dorównuje mu geniuszem. Sprawdzian, jak zwykle, zdał Melvourne. – Najważniejszy jest czas. Wyruszacie ze mną, skoro świt, pojedzie z nami dwustu najlepszych ludzi. Niech ubiorą się żałobnie, a wy lepiej się umyjcie, wykurujcie i wyśpijcie. Musimy być jutro szybsi od wiatru i godniejsi od świeże namaszczonego króla. Wykonać.

Kiedy wyszli z jadalni, Melvourne nawet nie obejrzał się na Silarusa, tylko od razu pobiegł sarnim krokiem, żeby wydać polecenia swoim ludziom. Dotknietym tym pułkownik ruszył do wrót Pałacu, pozdrawiając służbę wymuszonymi uśmiechami. Podano mu płaszcz i rękawice, na dziedzińcu powiadomił swój zmęczony podróżą z Euterpe pułk o jutrzejszym wymarszu, a sam wdrapał się na grzbiet jednego ze stajennych ogierów, rudego i mało

zgrabnego. Jego wierna cętkowana klacz imieniem Yasmina była zbyt wycieczona i chyba też już zbyt stara, by na nią liczyć. Ale Silarus bywał nieznośnie sentymentalny.

Ruszył krętą, brukowaną szarym kamieniem drogą do miasta. Ogromne Rhagos tętniło w rytm Zatoki Łez, w której wody były przyjemnie chłodne, leniwe i spokojne. Silarus widział na mapach, że Zatoka jest częścią Wielkiej Wody, olbrzymiego oceanu, o którym ze strachem mówią nawet najzacieklejsze wilki morskie, ale ciężko było w te wszystkie opowieści uwierzyć, patrząc na nieruchome stalowe głębie Zatoki Łez. Z niej wyrosło identyczne miasto – wielkie, powolne, o szerokich ulicach, płaskich budynkach, pełne spokoju i harmonii. Nad nim, na Szklanym Wzgórzu, górował potężny Pałac Popiołów, raz zimny i nieprzyjemny, raz wytęskniony i pełen uroku. W oddali widać było zarys Zwiastuna, obrosłego szkarłatnoliściem domu Szarego Człowieka mającego za gęstą mgłą. Silarus popędził konia, który zarzął, nieprzyzwyczajony do pewnego jeźdźca, i wbiegł między pierwsze budynki, dziwiąc się, że w ogóle udaje mu się wyrobić na zakrętach.

Silarus zatrzymał go równie nagle, co popędził, tak że koń stanął na tylnych nogach, rżąąc z oburzeniem.

- Eeej, uspokój się! – krzyknął, szarpiąc uzdę. – Trzeba pozbyć się tego stajennego, skoro tak was układa!

Z białego dworku ozdobionego kryształami różami wypadły natychmiast dwie niewiasty – jedna, starsza, zatrzymała się w progu, jakby zawstydzona, a druga, młodziutka i umalowana jak na niezamętną szlachciankę przystało, wybiegła do bramy z nieskromnie rozwianymi ciemnymi włosami.

- Pułkowniku! – rozpromieniła się, otwierając furtkę, zanim zdążył wyręczyć ją stróż.  
– Co za niespodzianka! Nie wiedziałam, że jest pan w mieście. Proszę, zapraszamy!

Silarus zsunął się z prychającego rumaka i przywdział najsłodszy uśmiech, jaki był w stanie z siebie wykrzesać.

- Dopiero co przyjechałem, panienko Rhetto – wyjaśnił, oddając uzdę stajennemu i kliniąc się z szacunkiem. – I, niestety, niedługo wyjeżdżam.

- Och – Radość Rhetty wyraźnie przygasła. Dziewczyna zaraz jednak znów się uśmiechnęła. – A gdzie znowu pułkownika niesie?

- Do Naucenemes.

- Och! Coś takiego! Jakże dawno tam byłam! To daleka droga, na pewno znajdzie pan chwilę, żeby wypić herbatę i zjeść parę krewetek...

- Niestety, obawiam się, że mam czas tylko na jedną rozmowę... Dzień dobry, liryro Malin.

Starsza kobieta schyliła lekko głowę i zniknęła we wnętrzu willi, zarumieniona. Silarus nie zamierzał przestąpić progu i wdzięczny był lyrrze, że się usunęła. Bez ogródek ugodził teraz Rhettę przepraszającym, zboalałym spojrzeniem zbitego szczeniaka.

Jeśli panienka Rhetta miała jeszcze jakąkolwiek nadzieję, to teraz zgasła ona zupełnie.

- Ach – westchnęła cicho. – Więc plotki są prawdziwe? Zrobił pan ze mnie idiotkę, pułkowniku. Więcej niż idiotkę, szczerze mówiąc. I nie tylko ze mnie.

- Nigdy nie miałem takiego zamiaru.

- Nie bardzo panu wierzę. Nie bardzo też pana rozumiem. Proszę mi uwierzyć, że pod mikaonem jestem ładniejsza niż ona.

- Wierzę! – zaparł się od razu. - Nigdy nie miałem co do tego wątpliwości!

Rhetta uniosła na niego olbrzymie zielone oczy.

- No to dlaczego ona?

Silarus nie umiał odpowiedzieć. Dziękował w duchu wszystkim wymyślonym do tej pory bogom, że dziewczyna nie wie o wszystkim, nie może wiedzieć o wszystkim, jeśli jeszcze nie wydrapała swojej matce oczu. Zaczęła płakać, ale powiedziała mu, żeby szedł do ogrodu. Weszła do domu, otoczyło ją drżące ramię matki, a on pospieszył we wskazane miejsce.

Była pochylona nad żółtymi różami, na głowie miała niebieską chustkę, a na rękach grube rękawice ubabrane błotem, podobnie jak spódnicę. Silarus szedł powoli, cały czas plując sobie w brodę, że zachciało mu się akurat teraz przyjechać ze Zlewiska, że musi wyjeżdżać do Naucenemes, że Kai Kohar wrócił, że wszystko teraz będzie inaczej, a jednocześnie tak samo. Dlaczego on się w to wszystko wplątał?

- Gal?

Odwróciła się i natychmiast spuściła wzrok.

- Och – uśmiechnęła się, poczerwieniała na policzkach. – Panienka Rhetta nie wspominała, że jesteś w mieście.

- Bo przyjechałem z dwie godziny temu. Powiedziałem jej.

Uniosła jedną brew, patrząc mu prosto w twarz.

- I to ona zrobiła ci to w szyję?

- A, nie – Teraz to on się zaczerwienił. – To głupia historia. W każdym razie, wyjeżdżam, Gal. I nie wiem, czy wrócę.

Prychnęła, biorąc się pod boki, zbyt zuchwale jak na jakąś marną służkę. Silarus nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Byłoby miło, gdybyś wrócił – powiedziała. – Ale nie będę chować urazy.

- Wiem. Ale nie wróć. Nie tutaj. Masz – wygrzebał z kieszeni ciężki mieszek i wyciągnął go przed wielkie jak spodki oczy Gal. – Cholera wie, co Malinowie ci zrobią jak odjadę. Weź to, starczy na podróz na przykład do Memnos albo Ilfidromes...

- Żegnasz się ze mną jak z zaropiałą kurwą?

- Żegnam się z tobą jak zaropiała kurwa. Błagam cię, weź te pieniądze. To dużo.

Oczywiście, że nigdy nie mogła mieć wobec niego żadnych nadziei, nigdy się niczego od niego nie domagała, ale Silarus myślał, że sprawi mu to wszystko odrobinę więcej bólu. Jedyne, co czuł, to skręcające flaki zażenowanie.

Wzięła, rozwścieczona, mieszek i schowała go pod koszulą.

- Wezmę – mruknęła, nawet nie siląc się na uśmiech. – A teraz wypierdalaj.

Silarus ukłonił się w pas i czym prędzej wskoczył na swego konia, by popędzić na oślep wokół miasta, czując się zaskakując wolny - przynajmniej wtedy, kiedy nie wracało do niego natrętne wspomnienie czternastoletniego Kaia Kohara wiosłującego po pałacowym jeziorku w samej koszuli nocnej, trzęsącego się z zimna i dzwoniącego wyszczerzonymi zębami, podczas gdy Silarus siedział na brzegu i słyszał swój własny, nieprzerwany, niezdolny do opanowania śmiech.

\*

W Strażnicy Świata wykapano go, ogolono i ubrano w przysłane przez matkę zielone szaty ozdobione wielką zwiniętą w klepsydrę kobrą na plecach. Kai długo patrzył na siebie w lustrze i prawie płakał, nie wiedzieć, czy z rozbawienia czy niedowierzania.

Atiana też „doprowadzono do porządku” i przyczepiono wężową broszę do materiału na jego piersi. Dano im piękne czarne konie o czerwonych ślepiach i zieloną eskortę, która zwracała się do Kaia per „lyrrze”, a do Atiana „chłopcze”. Gotowało się w nim, jak słyszał oba wyzwiska, ale jakimś cudem wytrwał w tej kompanii przez całą drogę.

Tereny Unii były dla Atiana tak obce jak dla innych nieznane lądy odkrywane przez felsidów. Ojciec mówił mu, że to nudna kraina, w większości pofałowana jak morze, czasem zupełnie płaska, pokryta strasznymi lasami niczym zaniedbanym włosiem, od czasu do czasu przetykana górami wyrastającymi z ziemi jak stalaktyty. Pomiędzy stokami bogaci szlachcice budowali swoje zamki – nie inaczej było z Pamięcią.

Kai powiedział mu, że te góry nazywają się Mizydy i nie są bardzo wysokie. Atian nawet nie zorientował się, że jadą pod górę, kiedy Kai powiedział, że są prawie na miejscu. Ich strażnicy cały czas jechali królewskim traktem zwanym Smoczym Jezorem, karmiąc

konie proszkiem, po którym wolniej się męczyły i szybciej biegły, na noc rozbijając krótkie obozowiska i uważając, żeby nie skrącić do Naucenemeńskiej Puszczy. Ludzie z Pavilonu opowiadały sobie o niej niestworzone historie i ze strachem rozglądały się po kolorowych drzewach.

- Nikt od wieków nie zagłębił się w te lasy zbyt głęboko – wyjaśnił mu Kai. - Nawet diakorr, które czczą Naucenemes jak boginię, uważają, żeby nie zbliżyć się do serca lasu. Może to i nasza ziemia, ale nie znamy jej najlepiej.

Dla Atiana było to potworne dziwne.

Kai przestał się odzywać, kiedy na horyzoncie zamajaczyły mury zamku Pamięć. Atian też poczuł dziwny ucisk w żołądku – to są włości jego podwładnego, potężniejsze niż się spodziewał. Pamięć pokrywały zielone proporce i białe kiry, a kiedy otwarto przed nimi bramę, kłaniając się w pas, im oczom ukazał się przestronny dziedziniec. Przed wrotami dworu, pośród morza szlachty, stały trzy wyczekujące ich kobiety – wszystkie były lisio rude i ubrane w biel od stóp do głów, ale najstarsza i najmłodsza były krępe i pulchne, natomiast średnia chuda, wysoka i pomalowana zgodnie z tym głupim obyczajem, który kobiety w Strażnicy Świata miały w głębokim poważaniu.

Na ich widok Kai zszedł z konia i bardzo powoli podszedł do najstarszej kobiety. Atian skrzywił się i odwrócił wzrok, kiedy jego druhy padły przed nią na kolana.

- Mamo... - załkał z cicha. – Pinovar... Iver...

- Przełknij łzy – nakazała surowo haronea Nuria, starając się zachować kontrolę nad głosem. – Jesteś teraz panem Pavilonu.

Kai natychmiast wstał, a jego najmłodsza siostra rzuciła mu się ze szlochem w ramiona.

Wyściskanie z niedowierzającą w jego powrót rodziną i wymienienie uścisków rąk z jego lennikami zajęło dłuższą chwilę, podczas której Atian został wszystkim przedstawiony i, ku jego zaskoczeniu, w Pamięci odnoszono się do jego stopnia admirała poważnie. Niektórzy już zaczęli podejmować z Kаем dyskusje na temat wizyty na dworze i namawiać go do swoich planów odnośnie „przyszłości Pavilonu”, jednak haronea Nuria oświadczyła, że Kai musi pożegnać się ze swym ojcem, który łaskawie przywrócił mu tytuł i godność. Atian miał coś do powiedzenia na ten temat, ale nie zdążył, bo Kai natychmiast pospieszył za swoją matką.

Udali się do krypty pod zamkiem; chłodnej, ciemnej i cuchnącej wiecznością. Haronea Nuria zapaliła pochodnię i oświetlała korytarz, którym szli do tego strasznego pokoju. Kai wpatrywał się cały czas w jej włosy, nie mogąc się nadziwić, że nie ma w nich ani jednego

siwego pasma, że Nuria nic się przez ten czas nie zmieniła. Czego się spodziewał? Przecież pięć lat to nie tak dużo. A jednak Pinovar była już kobietą, zakrywała twarz mikaonem, dając w ten sposób znać całemu światu, że jest gotowa do zamążpójścia. Iver też to niedługo spotka – a kiedy ostatni raz je widział, razem wymykali się do lasu pojeździć konno, bili się i płakali, kiedy ktoś odebrał im zabawki. Chciał mówić, słuchać, rozmawiać z matką cały czas, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Kiedy zatrzymali się pod drzwiami, haronea odwróciła się do niego. Ogniste iskierki grały w jego gęstych rudych włosach i troskliwych, szeroko otwartych oczach. Kai był dorosłym mężczyzną, wyższym od niej o głowę, o szerokich ramionach i naznaczonej nieszczęściem, opalonej twarzy. Miał zmarszczki, piegi, drobne blizny i rysy dziecka, jej dziecka, jej jedynego syna. Łzy zabłyszczały w oczach Nurii.

- Mamo... - powiedział płaczliwie Kai, wyciągając ku niej ręce.

Uśmiechnęła się i otworzyła drzwi.

W tym pokoju świece winny się palić cały czas, więc Nuria poprawiła te, które zgasły. Komnata była zimna, ciasna i wypełniona zapachem różanego olejku; na środku stał kamienny podest, a na nim leżał długi, martwy kształt ubrany w prostą, szarą szatę. Pod ścianą stała surowa, podzielona na przegródki szafka, a każda z przegródek wypełniona była ważnymi dla zmarłego w życiu doczesnym przedmiotami – był tam jeden z jego sygnetów, jego ulubione pióro, list od pierwszej miłości, amulet w kształcie kobry, zielony kawałek materiału, pierwszy mleczny ząb, pierwszy ścięty pukiel włosów. Po karku Kaia przeszedł dreszcz. Nie miał ochoty patrzeć na te rzeczy. Nie miał ochoty zbliżyć się do trupa.

- Umarł siedemnaście dni temu – W tych ścianach nawet szept odbijał się echem. – Musimy go dzisiaj pochować.

Kai prawie zagwizdał z wrażenia. Trup wyglądał blado i chudo, ale nie wydawał się jeszcze zacząć gnić. Musiał być zakonserwowany magicznymi olejkami.

Kaiowi było wstydu, że myśli tak o swoim ojcu.

- Powinnyście zrobić to wcześniej – rzekł.

- Czekałyśmy na ciebie. On czekał.

- Nie wygląda, jakby był bardzo stęskniony.

Nuria skarciła go wzrokiem, ale uśmiechnęła się mimo woli. Brwi Gaiusa Kohara nawet po śmierci krzywiły się z dezaprobatą.

Kai odważył się podejść do podium.

- Długo go to chorobsko trawiło – mruknął.

- Też byłam zaskoczona. W każdej chwili gotowa na najgorsze. Temidanowie chyba też się nie spodziewali, że tyle mu zajmie umieranie.

Kai spojrzał na nią z ukosa.

- Nie jestem w domu nawet pół godziny, mamo, stoimy nad truchłem ojca, a ty już knujesz.

- Martwię się o twoją przyszłość, Kai. Ja i dziewczynki z trudem przekonałyśmy ojca, żeby przyjął cię z powrotem.

- Mhm. Bardzo mu jestem wdzięczny.

- Zrobił to z rozsądku, nie myśl sobie, że miałyśmy na niego aż tak duży wpływ. Gaius nie był głupim człowiekiem.

- Nie był.

- Ta kpina to powszechność w żargonie felsidów?

- To nie kpina, tylko ironia. Nie wiem, czy był głupim człowiekiem, czy nie, niewiele mnie to obchodzi. Szary Człowiek to osądzi.

Haronea uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Już mówisz jak Haron Sprawiedliwości.

Kai spojrzał na nią z czułością.

- Dziękuję ci, mamo.

- Dziękuj sobie za bycie pilnym uczniem.

- Nie za to. Za to też, ale... Bardzo za wami teskniłem. Jeszcze nie wiem, co zrobię, ale dziękuję, że pozwoliłaś mi wrócić.

Teraz ona obdarzyła go badawczym spojrzeniem.

- Nie wiesz, co zrobisz?

Kai patrzył na złożone na brzuchu dlonie ojca. Rodzinny sygnet wciąż błyszczał na jego dloni.

- No tak – Nuria roześmiała się beztrosko. – Zawsze miałeś duszę poszukiwacza przygód. Zastanawiasz się więc nad powrotem do felsidów?

- Tak. Ale zadecyduję po wizycie w Modrym Oku. Kto wie, może generał już tam zasiada.

- Na pewno nie. Ale musisz się spieszyć.

- Dlaczego?

Otworzyła usta i wzięła głęboki wdech, zanim się odezwała.

- Żeby być przed nim. Wysłałam do Uliasa wiadomość pisaną okanirkinem, a posłowie do Rhagos, Memnos i Euterpe wyjechali z opóźnieniem. Osiem dni, przy

sprzyjających wiatrach i paru workach skolryposu, zajmie ci dotarcie do Modrego Oka. Niewykluczone, że Yazor i tak już o wszystkim wie, ale weźmie ze sobą część wojska jako straszak. Wojsko spowalnia, a tobie wystarczy gwardia honorowa, jesteś prawowitym dziedzicem stanowiska...

- Pierwszych haronów wybierano drogą elekcji.

- Módlmy się, że on o tym nie wie. Ma haronów w kieszeni, a ty jesteś synem–banitą nielubianego przyjaciela króla. Nie przywitają cię tam z otwartymi ramionami, ale nie mogą cię też odrzucić. Synu, wiem, że u felsidów było ci dobrze, ale musisz myśleć o przyszłości naszej rodziny, o przyszłości samej Unii. Wiem, że potrafisz dokonywać takich poświęceń.

Kai pomyślał chwilę.

- Rozumiem, mamo.

- W tobie jedyna nadzieja, Kai. Twoi przodkowie poświęcali życie i przelewali krew dla Unii. Temidanowie chcą zabrać nam nasze ziemie, wyrzucić nas na bruk. Potrzebna nam jest Sprawiedliwość, prawdziwa Sprawiedliwość. Ty jesteś potrzebny nam.

Kai milczał, przymknąwszy oczy.

- Pożegnaj się z ojcem.

Chciał zaprotestować, ale widząc spojrzenie matki, ucałował Gaiusa w oleistą rękę, a potem w oleiste usta. Nuria, szlochając, zsunęła z martwego palca rodzinny sygnet i wsunęła go na dłoń Kaia. Opuścili kryptę, by powiadomić służbę o konieczności pogrzebu.

Odbył się on jeszcze przed obiadem, na małym cmentarzyku Koharów pod czarnym zagajnikiem. Biała procesja żałobników, wyjąc pożegnalną pieśń, złożyła ciało Gaiusa do wykopanego w ziemi i wyłożonego kamieniem dołu. Jego pomalowane na biało twarz i ręce stężały na wieczność, przysypane ziemią i przywalone kamienną płytą.

Stypa odbyła się w głównej sali Pamięci, długim pomieszczeniu, w którym mieściło się mnóstwo długich stołów. Wszędzie biegały dzieci, koty i psy, którym rzucano kości, kawałki mięsa i cytrusów, od smaku których psy krzywiły się, wywołując salwy śmiechu. Choć wszyscy wciąż siedzieli, ubrani w biel, nie bardzo dbali o ciszę i zadumę, czasem nawet narzekając, że nie ma żadnej muzyki, ale nie śmiejąc otwarcie o nią poprosić. Atian przyglądał się temu wszystkiemu ze zdziwieniem i z trudem przełykał posiłek jedzony w towarzystwie rodziny Kaia ze świadomością, że tak niedaleko, praktycznie w ich ogródzie, leży sobie człowiek. Matka mówiła, że ciała trzeba palić, żeby nie wstawały, bo dla zmarłych żaden kamień ani mur nie jest przeszkodą. Rodzina Kaia była jednak zupełnie spokojna i jeszcze zachwalała kuchnię gospodni, jak gdyby wcale nie groziła im inwazja umarlaków.

Siedzieli na podwyższeniu, przy stole ustawionym w poprzek innych stołów. Pomiędzy piękną, ciężką zastawą widać było, że blat pomalowany jest w jakieś batalistyczne motywy, które Atiana interesowały nieco bardziej niż rozmowy ze szlachtą, ale nie śmiał prosić o przesunięcie półmisków, by mógł lepiej przyjrzeć się całej scenerii. Oprócz żony, dzieci i siwowłosej kuzynki Gaiusa Kohara siedzieli tam Suranowie – dwóch braci haronei Nurii z żonami, gromadką dzieci oraz jej sędziwą matką – no i Atian, który spodziewał się, że do tych wszystkich białośkórych rudzielców w ciężkich, wysadzanych klejnotami szatach będzie pasował jak wrona do wróbli. Przy stole zasiadała jednak jeszcze dwójka ludzi o podobnej do niego urodzie – Kai przedstawił ich jako Eurofę i Kaskana z rodu Formonoos. Eurofa miała mahoniową skórę i czarne włosy, które ciągnęły się aż do kostek, splątane w szeroki, płaski warkocz ozdobiony białymi liliami i srebrnymi nićmi. Była bardzo chuda, piękna, posępna i małomówna, co jej syn najwyraźniej po niej odziedziczył. Mógł mieć najwyżej z dziesięć lat, ale przez powagę, z jaką medytował nad roladami nadziewanymi kalafiorem, wydawało się, że próbuje uchodzić za starszego. Jego skóra była nieco jaśniejsza, ale jego włosy też były długie, upięte na samym czubku głowy jak kok, choć pozbawione ozdób. Nie było wraz z nimi ojca Kaskana, który musiał być kolejnym rudym bratem haronei, skoro Kai przedstawił Eurofę jako szwagierkę swojej matki. Atianowi głowa już pękała od tych rodzinnych konotacji i zgiełku rozmów, więc wyobrażała sobie po prostu, czy też nosiłby włosy w tak cudacznny sposób jak Kaskan, gdyby urodził się na muślinowej pościeli.

- Jak to jest być felsidem, co? – usłyszał jednak młodszą z sióstr Kaia, kiedy ta skończyła swój talerz zupy i wyłożyła łokcie na stół.

- A jak myślisz? – wyszczerzył się nad parującą łyżki Kai.

- Pewnie wspaniale. Tu jest okropnie nudno. Byliście na jakichś ciekawych lądach?

- Mhm. Najciekawsza była ogromna wyspa Regiseree, nazwana na cześć rządzącego nią sfinksa.

Oczy Iver urosły do rozmiarów spodek pod filiżankami. Słyszące to akurat rude dzieciaki Suranów natychmiast przylgnęły do stołu, łaknąc każdego kolejnego słowa.

- Spotkaliście sfinksa?

- Żeby tylko! – wtrącił Atian, ciesząc się, że wreszcie ma szansę się odezwać. – Kai uratował nas wszystkich przed potworami morskimi, kiedy my zamieniliśmy się w małpy! Bo Hiram przekonał mnie, że faktycznie to się stało...

- Co, proszę? – odezwał się jeden z braci haronei.

- Aha! Kai miał awansować o całe dwa stopnie, ale jak bardziej mu się podoba pierdzenie w aksamity...

- Zamknij się, Atian – syknął wściekle Kai.

- No co? To przecież zależy od ciebie...

- Jesteś admirałem, tak? – zwróciła się do Atiana starsza siostra Kaia. Była raczej milczącą osobą, a od jej głębokiego głosu włosy na karku stawały dęba. Przytaknął jednak. – Ile masz lat?

- Atian urodził się felsidem – wtrącił szybko Kai. – Jest świetnym kusznikiem i przywódcą. Poza tym jest synem wodza Totha i jego wiek nie ma nic do rzeczy.

- Syn wodza, co?

- Tak jak ty jesteś córką harona.

Makijaż dziewczyny straszliwie denerwował Atiana. Przez niego ciężko było odszyfrować jej emocje. Nie mniej, czuł się głupio, kiedy Kai go tak bronił, więc zdecydował, że musi powiedzieć cokolwiek świadczącego o słuszności mianowania go admirałem.

- Kai w moim wieku był nikim – oznajmił. – Można się tylko domyślić, czego dokonam ja w jego.

- Na Szarego Człowieka, Atian...

- Cóż – odezwała się haronea Nuria, z leciutkim uśmiechem – jestem pewna, że osiągniesz bardzo dużo tą pewnością siebie, młodzieńcze.

- Dziękuję pani!

- Kai w twoim wieku był taki sam – Haronea obserwowała go maślanymi oczami spod półprzymkniętych powiek. – A teraz zostaje haronem...

Atian i Kai wymienili spojrzenia.

Kiedy pijani goście zaczęli przerabiać żałobne pieśni na pieprzniejszą modłę, a młodsze dzieci przysypiać, Kai, Atian i Iver zakradli się do gabinetu Gaiusa w najwyższej wieży Pamięci. Na ścianie, zawieszony w pionie, tkwił prawdziwy Magmowy Miecz z napisem „Sprawiedliwość”. Kai z trudem go ściągnął i oparł klingą o podłogę, tak że mogli dotknąć chropowatej powierzchni i mieniających się żyłek lawy, która wciąż wydawała się w środku pulsować. Miecz był niezwykle piękny, ale ciężki, tropy i bezużyteczny.

- Po co komu taki miecz? – spytał Atian.

- Skoro Szary Człowiek je wykuł i dał ludziom, to pewnego dnia się przydadzą. Na razie to tylko symbol. Miecz – siła. Zastygła lawa – rozsądek. Ta jakby żywa lawa – pasja. Ciężki jak skurwysyn – ciężar obowiązku. Tropy i bezużyteczny – łagodność. Napis – cnota, której należy strzec.

Pinovar podążała za nimi jak cień, nic nie mówiąc, tylko słuchając i patrząc.

Wieczorem Atian zasnął szybko w komnacie, którą pozwolono mu dzielić z Kаем. Rano czekała ich podróż do Nauenemes, ale Kai nie zamierzał kłaść się tak wcześnie. Atian pochrapywał, a Kai siedział na swoim łóżku w swoim dawnym pokoju i było mu w środku bardzo dziwnie.

Pokój był duży, miał oczywiście zielone ściany, na których namalowano kształty małych, przeciągających się lwów. Łóżko było wysokie, ale nie było już pod nim schowanych słodyczy, listów i prawdziwego miecza skradzionego od kwatermistrza. W szufladach nie było też jego wiecznie poskręcanych ubrań, na biurku zeszytów, a na regale książek i woluminów, z których większości nigdy nie przeczytał. Jedno okno wciąż wychodziło na las, drugie na dziedziniec – ale drzewa były jakby niższe, a dziedziniec jakby spokojniejszy. Kiedy stróż robiący obchód po dworze zapalił ostatnią pochodnię, Kai narzucił na ramiona wyściechaną pelerynę, naciągnął na dlonie rękawice i wyśliznął się z pokoju.

Był panem zamku, więc mógł opuścić go w dowolnym momencie, a mimo to przemykał się korytarzami, unikając służących mogących zaalarmować jego matkę. Dotarł w końcu do wschodniego skrzydła, gdzie pokoje miały dziewczyny. Wystukał w ich drzwi melodyjkę, której nie słyszały od pięciu lat, i natychmiast zszedł na dół, gdzie gwałtownie obudził przysypiającego klucznika.

- Paniczu...? – spytał człowiek już nie pierwszej młodości, oparty o sękaty kostur.
- Każ osiodłać mi trzy konie – mruknął Kai. – Byle jakie, tylko szybko.

Klucznik ukłonił się i pokuśtykał do stajni, a Kai warował przy bramie zamku, dopóki nie zjawiły się Pinovar i Iver, zakapturzone i podekscytowane.

- Dokąd jedziemy? – szepnęła młodsza dziewczyna, kiedy Kai zaczął kierować je w stronę stajni.

- Tam, gdzie zwykle, a co myślałaś?

Iver jak najbardziej to wystarczyło. Wyszczerczyła się do swojej pozbawionej mikaonu siostry, która również wyglądała na bardziej zadowoloną z życia.

Kai pomógł służącemu oporządzić ostatniego konia, podczas gdy dziewczyny złapały za uzdę pozostałe i zaczęły jak najciszej prowadzić je do bocznej bramy. Sługa z laską otworzył furtkę i dziewczyny były już za murami Pamięci, w męskich siodłach, wełnianych rajstopach i zadartych spódnicach, szepcząc z podnieceniem.

- Dzięki – Kai rzucił służce srebrną monetę. – Za jakieś dwie godziny obudź haroneę i powiedz jej, co tu zaszło. Tylko tak, żeby nie skróciła cię o głowę.

Sługa pokwał gorliwie głową, Kai naciągnął kaptur i wskoczył na swego konia, po czym trójka ruszyła z kopyta w dół wzgórz Mizydów.

Iver z trudem powstrzymywała się, żeby nie puścić uzdy, nie rozłożyć rąk i nie wrzeszczeć tak jak nie wrzeszczała od pięciu lat. Zdarła tylko kaptur i rozpuściła swoje gęste, rude włosy, a ich konie pędziły, rżąc i kwicząc, kiedy szarpali za uzdę, by w ostatniej chwili skrącić przed pniem sosny. Pinovar jak zwykle nie mogła dotrzymać im kroku, a Iver i Kai, kiedy tylko wyłonili się z lasu, nachylili się nad grzywami wierzchowców, krzycząc, by przyspieszały. Kai aż stanął w strzemionach, a Iver słyszała jak się śmieje – inaczej niż kiedyś, ale jednak wesoło.

Ściągnęli wodze pod samą karczmą zwącą się Pieska Dola w sporej, zamożnej i bardzo schlundnej wiosce Jarzębinka. Jeszcze do niedawna wieś nie miała się tak dobrze, ale ich ojciec zrobił wszystko, by to zmienić – okolice wokół Jarzębinki strzegły specjalny garnizon, mieszkańcy musieli mieć dokument dowodzący, że są zatrudnieni, a gorzałkę sprzedawano tylko jeden dzień w tygodniu. Wieś stała się tak bogata i uporządkowana, że ojciec rozważał wystaranie się dla niej o prawa miejskie – pod znacznie bardziej reprezentacyjną nazwą Kalin - bo miejscina miała teraz potencjał, żeby prześcignąć zapuszczone Orchidei, które nosiło miano niesławnej stolicy Pavilonu. Każda wizyta w tym mieście miała w podświadomości Iver status przeżycia niemal traumatycznego, a Jarzębinka była zupełnie innym miejscem. Była blisko, była gościnna, sołtys mieszkał w ogromnej wieży pokrytej kolorowymi malowidłami, a w karczmie Pieska Dola nie zatrzymywało się już aż tylu ciekawych typów.

Kiedyś, kiedy się wymykali, a Pieska Dola była popularnym przystankiem Smoczego Jezora serwującym wódkę od rana do nocy, lubili rozmawiać z przejezdnymi zakapiorami, najemnikami i narkomanami, a raz zdarzyło im się zjeść obiad z przedziwnym czarodziejem. Zatrzymywali się tam nawet herszci zbożeckich hanz, a Pinovar i Kai przysięgali, że kiedyś, kiedy Iver się na nich obraziła, i nie pojechała wraz z nimi, widzieli najprawdziwszą w świecie diakorr. Nikt z bywalców nie wiedział, że są dziećmi harona, a przynajmniej nie dawał tego po sobie poznać - karczmarz traktował ich więc tak samo podle jak resztę włóczęgów.

Te czasy już jednak minęły; karczma była na wpół pusta, a ci, którzy w niej siedzieli, nie wyglądały na żadnych ciekawych podróżnych, ale na zwykłych wieśniaków i znudzonych podrzędnych najemników. W kącie izby siedziało kilku komediantów przygrywających leniwie na lutni i bębnie, a jeden z nich, który był ogromnym, szerokim mężczyzną, grał na maleńkim w jego rękach fletie. Grał, co prawda, bardzo ładnie, ale wyglądał komicznie, i był drugą najbardziej interesującą osobą w całej karczmie, zaraz po ich trójce - weszli do Pieskiej Doli zakapturzeni, poważni, złowieszczy, i usiedli przy stoliku w kącie oświetlonym tylko

jedną świecą jak na początku jakiejś złowróźbnej legendy. Kai z góry zapłacił za piwo i ciasto dyniowe, a karczmarka aż obróciła się na dźwięk jego brzęczącej sakiewki, którą przytroczył do pasa.

- Byłam pierwsza, więc dostaję ten kawałek, gdzie jest najwięcej lukru – zastrzegła z góry Iver, gdy się rozsiedli i zsunęli kaptury.

Kai uśmiechnął się.

- Dobrze, jak sobie życzysz.

- Co? Tak po prostu? Bez żadnych sprzeczek? Bez wydymania policzków, zgrzytania zębami, oskarżania o oszustwo i żądania rewanżu?

- Bez. Jesteśmy chyba dorosli, prawda, Iver?

Podano ciasto i trunek, który nie wywoływał żadnych większych reakcji na twarzach rodzeństwa, a Iver ledwo przechodził przez gardło.

- Dorośli? – powtórzyła Pinovar. Jej twarz była tak samo martwa jak maska z makijażu, którą powinna nosić. – Tak się czujesz, Kai?

- Nie, prawdę mówiąc. Ale kto, jeśli nie ja? Kto, jeśli nie ty? Skoro świt, ty będziesz pierworodną, Pinovar.

- Co ty mówisz, Kai? – Iver z wrażenia zachłysnęła się ciastem. – Co się z tobą stanie o świecie?

Jej ukochany starszy brat nie wyglądał zdrowo. W niczym nie przypominał młodzieńca pędzącego radośnie przez zalane blaskiem księżyca wzgórze, którym był parę chwil wcześniej. Teraz Iver miała wrażenie, że drżała. Nie mogła powiedzieć, czy drżały jego usta, brwi czy dlonie, bo te natychmiast zamierały, kiedy skupiała na nich uwagę, a jednocześnie całe jego ciało wydawało się telepać jakby z zimna, czemu towarzyszył ciągły brzęk monet w sakiewce. Tylko jego oczy biegły jak oszalałe po wnętrzu całej gospody.

- Zrobię jedną ważną rzecz – odpowiedziała.

- Jaką? Co to znaczy? Czy wy dwoje macie jakiś tajny szyfr, o którym nic mi nie powiedzieliście?! Co to wszystko znaczy?!

- Nie mogę powiedzieć o tym ani tobie, ani Pinovar

- Aha – Iver uspokoiła się nieco i uśmiechnęła z triumfem do siostry. – Czyli ty też nie masz pojęcia, o co chodzi?

- Nie twierdziłam, że mam – odparła zimno Pinovar.

- Tak, ale ta twoja wszystkowiedząca mina mówi za ciebie!

- Ciszej, Iver – syknął Kai, odsuwając od niej kufel.

- To mina myśląca, a nie wszystkowiedząca – mówiła Pinovar. – W przeciwieństwie do ciebie, czasem zdarza mi się rozumować, łączyć fakty i snuć domysły.

Iver aż poczerwieniała i podniosła się, tłukąc pięściami w stół, zanim Kai zdążył ją powstrzymać.

- Ach tak, ty wstręciucho? No to powiedz, co tam się domyślasz, zaprezentuj wszystkim swój znakomity pomyślunek!

- Iver, spokojnie...

- Proszę, jak się puszyż – Kąciki ust Pinovar rozsunęły się w mściwym uśmiechu. – Proszę, jaka jesteś odważna, waleczna, zaczepna, tylko dlatego, że twój ukochany braciszek wrócił. A on ci cały czas próbuje powiedzieć, żebyś przestała, żebyś się zamknęła, żebyś się nie przyzwyczajała, bo on o świecie cię zostawi. Znowu.

Iver usiadła. Najpierw spojrzała w blat, a potem na Kaia. Myślała, że zobaczy u niego skruchę, że usłyszy jego tłumaczenia – ale patrzył gdzieś za nią, zupełnie nią niezainteresowany. Rozjuszona, obejrzała się, podążając śladem jego wzroku – Kai wpatrywał się intensywnie w roslego flicistę i aż wygiął się, by przyjrzeć się jednemu z komediantów, który zakładał się z najemnikami o to, że żaden z nich nie jest w stanie wbijać noża w stół pomiędzy swoimi palcami tak szybko jak on. Iver odwróciła się z powrotem, by warknąć i na niego, i na Pinovar, ale Kai wstał i ruszył bez słowa ku najemnikom.

Iver i Pinovar spojrzały po sobie, równie zdziwione. Iver chciała pobiec za Kаем, ale siostra przytrzymała ją za rękaw sukni.

- Zostań, głupia – syknęła. – Zostań i słuchaj.

- Uszanowanie – Usłyszały głos Kaia i wyjrzały ze swojej wnęki, by zobaczyć, jak nachyla się nad stołem najemników z pełną sakiewką i błyszczącą szablą u pasa. – Niezła sztuczka. Umiesz robić z nożem też coś użytecznego?

Komediant uniósł brew, chowając ostrze w rękawie. Najemnicy spojrzeli na Kaia, bardziej znudzeni niż zirytowani, odkładając kufle piwa i wydmuchując przez nos dym z pykanych fajek.

- A co uznałbyś za użyteczne, panie? – mrucnął spec od noża. – Umiem też żonglować i połykać ostrza.

- To pewnie użyteczne, kiedy jesteś głodny – odparł Kai. – Znasz się jednak na prawdziwej walce?

- Za trochę srebra znam się na wszystkim, panie.

Kai uśmiechnął się kwaśno, przenosząc wzrok na najemników, którzy najwyraźniej postanowili go ignorować.

- A wam ile srebra trzeba, panowie? – zapytał.

- Więcej niż masz w tej sakiewce, chłopcze – westchnął jeden z nich, który trzymał fajkę czteropalczą dlonią i miał na wieczność zamknięte, przecięte paskudną blizną oko.

- Tak myślałem. Wiecie, gdzie znajdę jakichś tańszych wojów? I wyglądających odrobinę groźniej od was? Kiedyś było ich tu pełno, ale teraz zmuszony jestem zwracać głowę wam.

Teraz odezwał się ten, który miał płowe włosy i powykręcaną na wszystkie strony nos.

- Jak chcesz taniej, to w jakieś oborze na pewno znajdzie się paru bardzo groźnych i dzielnych szermierzy – zadrwił. – Mówią, że kosa postawiona na sztorc zabija pewnie niż katowski miecz.

Ten z zamkniętym okiem i jeszcze jeden, wytatuowany na łysej jako kolano głowie, który do tej pory obejmował kufel dłońmi i nic nie mówił, roześmiali się lekko. Iver zauważała, że obydwa mieli srebrne napierśniki i zarzucone na jedno ramię krwistoczerwone płaszczce. Musieli należeć do tej samej kompanii. Iver żałowała, że musi widzieć ich pokiereszowane twarze, zamiast oblicza zwróconego do niej plecami brata.

- Jak się nazywa wasza kompania? – zapytał Kai. – Jest szansa, że o niej słyszałem?

- Jeśli nie słyszałeś o Krwawych Ostrzach, to musiałeś mieszkać na Wrednych Bagnach, panie – odpowiedział czteropalczysty.

- A czym takim te Krwawe Ostrza się wsławiły?

- Na pewno nie taniością – powiedział płowowłosy. – Masz srebro, chłopcze? Dużo srebra? Liczonego w skrzyniach? Jeśli nie, to spierdalaj. Próbujemy uczyć się użytecznych nożowych sztuczek.

Rzucił monetę komediantowi, który chwycił ją zręcznie, chowając do rękawa, i wyciągnął nóż, by znów zacząć dżgać stół pomiędzy palcami.

- Mam srebro liczone w skarbcach – powiedział Kai. – Nazywam się Kai Kohar i za parę dni będę Haronem Sprawiedliwości.

Najemnicy spojrzeli na niego z nagłym zainteresowaniem graniczącym z lękiem. Nawet w melodii muzykantów wybrzmiało kilka fałszywych dźwięków, a ostrze nożownika zawisło nad jego ręką.

- Jedziesz na wojnę, przyszły haronie? – mruknął płowowłosy, unosząc kufel do uśmiechniętych połowicznie ust.

- A co, jeśli jadę? Czy nie od tego nosisz miecz?

Strach zacisnął wokół serca Iver kościste palce.

- Ciekawi mnie, kto mi zapłaci, kiedy stracisz tytuł harona i klucze do skarbcu.

- Chcę was wynająć, by się upewnić, że to się nie stanie. To jak? Mogę liczyć na wasze Krwawe Ostrza?

Czteropalczasty i ten, który się do tej pory nie odezwał, spojrzeli po sobie. Przemówił wytatuowany.

- No dobra. Ilu potrzebujesz?

Choć wyglądał dość przerażająco, mówił głosem nigdy nie splamionym naukami budzącej grozę dykcji i artykulacji. Iver uznałaby to za komiczne, gdyby i tak nie była tak przerażona.

- Ilu jesteś w stanie zebrać tu do świtu?

- Czternastu.

Iver nie widziała twarzy Kaia, ale nie słyszała jego gorącego entuzjazmu.

- Czternastu? To są te wspaniałe Krwawe Ostrza?

- Daj mi siedem dni, a zgromadzę ci stu.

- Chcę ich do świtu! Chcę wszystkich, których masz!

- Inni haronowie płacą im w Megarancie i Temarairze. Sam tam, po prawdzie, zmierzałem. Nie przyszło mi do głowy, że może szykować się wojna. Na gościńcu było tak spokojnie.

Reszta znów się zaśmiała, podczas gdy Kai się wyprostował, kładąc dłoń na rękojeści szabli.

- Wezmę i tyle. Ubierz ich w najlepsze zbroje, daj im najlepszą broń i zbierz ich przed karczmą najszybciej jak możesz. A ty – zwrócił się do płowowłosego – nie wyglądasz na dumnego członka Krwawych Ostrz. Ilu ludzi jesteś mi w stanie zaoferować?

- Tylko siebie, haronie – odpowiedział z kpiną. – Nazywają mnie tutaj Omarem Wiatrem W Polu. Twój ojciec korzystał z moich usług przy bardziej dyskretnych zadaniach.

- Nadasz się – westchnął Kai. – Gdzie znajdę więcej ludzi?

- A nie w twoim zamku, haronie?

Najemnik zapytał o to, co tak straszliwie chciała wiedzieć Iver. Dlaczego Kai nie weźmie rycerzy z Pamięci? Dlaczego chce jechać na wojnę? Z pewnością Temidanowie nie mogą być aż tak potężni...

Lecz Kai nie zaszczycił pytania odpowiedzią. Wydał ostatnie polecenia i wrócił do stolika swoich sióstr, podczas gdy najemnicy dopili piwo i wyszli, narzekając na nagle zwalającą im się na głowy robotę.

- Kai, co ty...

- Gdzie są wszystkie zakapiory Pieskiej Doli? – zapytał. – Pamiętacie, jak tu ich było pełno? Co tu się stało?

- Ojciec się stał – powiedziała Pinovar, już prawie kończąc swój kawałek ciasta. Iver dziwiła się, że jej starsza siostra jest w stanie cokolwiek przełknąć w takim momencie. – Wyplenił ich stąd, ustawił straż wokół wsi i rozbił bandyckie hanzy. Po tej stronie Pavilonu nie znajdziesz już żadnych ciekawych podróżnych.

- Ojciec – powtórzył gorzko Kai. – Sabotuje mnie nawet zza grobu.

- Mamy setki rycerzy w Pamięci – przypomniała Iver. – Poza tym, po co ci oni?

- Po co? O świecie wymaszerowuję do Naucenemes na spotkanie z samym generałem.

- I... I wybuchnie wojna?

- Co? Nie, oszalałaś?... Ale i tak wolałbym nie ginąć. Flecisto!

Odwrócił się i odszedł do rozłożonych pod ścianą komediantów, którzy przerwali swoją melodię.

- Wyglądasz, jakbyś umiał machać mieczem. Ba, młotem nawet!

- Niestety, panie – odparł potężny flecista, głosem łagodnym jak wełna. – Nie nadaje się do takich rzeczy.

- On płacze, kiedy straci muchę z ramienia – dodała dziewczyna z lutnią w dłoniach.

- Ale za opłatą chyba się do wszystkiego nadajesz, co?

- To o mnie haronowi chodzi – człowiek znający sztuczki nożem podniósł się z podłogi. – Ja pójdę na wojnę i wszędzie tam, gdzie sobie haron zażyczy. Za ciężkie srebro, oczywiście.

Kai obrzucił go uważnym spojrzeniem od góry do dołu. Nożownik wyglądał przy fleciście jak kościsty, niski, krzywy strach na wróble.

- Ile kosztuje twój palec?

Karczmarka, już od jakiegoś czasu weszcząca rozróbę, wyprostowała się za barem.

- Słucham? – zamrugał komediant, chwytając się prawą dłonią za lewą.

- Chcę odciąć ci palca. Jeśli mi pozwolisz i zabierzesz ze sobą kolegę flecistę, obsypię was srebrem.

- Nie będę walczył dobrze bez palca, a do tego...

- Nie każę ci walczyć. Każę ci groźnie wyglądać. Zapłacę ci za tego palca tyle, że będziesz mnie błagał, żebym uciął drugiego.

Nożownik rozejrzał się, spłoszony, troskliwie przyciskając dlonie do piersi. Spodziewał się może, że ktoś mu powie, że to szaleństwo, i Iver tak sobie myślała, ale nie

przyszło jej do głowy, żeby się odezwać. Dziewczyna z lutnią, flecista i grajek z bębnem przyglądali mu się szeroko otwartymi oczami.

- No dobrze – bąknął nożownik. – Ale pięćdziesiąt cersenów, niżej nie zejdę!

- Nie tutaj! – huknęła karczmarka, kiedy Kai skinął głową. – Ucinajcie sobie palce na zewnątrz!

- Musi być tutaj – odparł Kai, zapraszając komedianta do stołu. – Musi być jak najmniej świadków.

Położył dłoń komedianta na blacie.

- Trzymajcie go.

Muzycy pozostawili lutnię i bęben, żeby przytrzymać swojego przyjaciela z dwóch stron. Flecista odwrócił się i zasłonił oczy, a karczmarka wyszła na zaplecze, złorzecząc. Iver też miała ochotę to zrobić, choć do końca nie wierzyła, że to, co widzi, dzieje się naprawdę. Pinovar za to wyszła z wnęki i stanęła przed blatem, przyglądając się wszystkiemu szeroko otwartymi oczami.

- Jak masz na imię? – zapytał Kai.

- P-Phineas – wyjąkał komediant. – Tylko palca, panie, prawda?

- Tylko palca – zapewnił Kai, wyciągając swą felsidzką szabłę. – Powtarzaj wszystkim, że straciłeś go w zaciętej walce z Kairem Koharem, Haronem Sprawiedliwości. Jego waleczność zaimponowała ci tak, że...

- Kiedy ja...

Szabla świsnęła tak nagle i pewnie, że oczy Iver ledwo zdążyły się zatrzasnąć. Pinovar nawet nie mrugnęła, jakby od tego, czy zobaczy każdy szczegół, zależała jej przyszłość. Nie przeraziło jej nawet wycie Phineasa, który osunął się na posadzkę, łykając.

- Dziękuję – powiedział Kai. – Znajdziecie kogoś do zatamowania krwotoku. I błagam, znajdziecie mi więcej ludzi, którzy chociaż wyglądają, jakby potrafili walczyć.

Bębniarz i lutnistka poklonili się po dworsku i natychmiast wybiegli z karczmy.

- Co ty robisz, Kai? – szepnęła Iver ze łzami migoczącymi w oczach, kiedy Kai zabrzeszczał swą sakiewką tuż obok niej. Jej dźwięk przebiął się przez wycie Phineasa. – Po co ci bandyci, i palce, i krew...

- Powiedziałem im, trzeba było słuchać.

- Możesz zabrać naszych ludzi do Naucenemes, nie musisz...

- Muszę. Koniec tego tematu, Iver.

- Dlaczego nam o niczym nie mówisz, o co ci chodzi?!

- Jak ci o tym powiem, to mnie od tego odwiedziesz, a na to sobie pozwolić nie mogę.

Uniósł kufel swego piwa, wkładając drugi w dlonie Pinovar.

- Zdrowie!

Oboje wypili go równocześnie. Phineas łkał, przytulany troskliwie przez flecistę. Kai mruknął z zadowoleniem, rozkoszując się trunkiem, a Pinovar oblizała usta. Iver czuła się, jakby została wessana do jakiejś ilustrowanej groteskowymi rycinami, mrożącej krew w żyłach powieści.

- Co?... Kai, co z tobą jest, co ty zamierzasz zrobić?! Coś strasznego, prawda?! Powiedz, Kai!

Usiadł przy niej i objął ją mocno, gdy zaczęła szlochać w jego ramieniu. Pinovar widziała jego głupkowaty uśmiech – radosny czy smutny? Nie potrafiła powiedzieć. Nie potrafiła powiedzieć, co jej brat zamierza zrobić.

Był taki tajemniczy i nie na swoim miejscu - na pewno chce wrócić do felsidów. Jeszcze pamiętała, jak on i Silarus Temidan, niech imię jego będzie po tysiącprocent przeklęte, słuchali opowieści o nieustraszonych odkrywcach i poszukiwaczach przygód; jak bawili się w drewnianej balii, udając, że to ich felsidzki okręt płynący za Wielką Wodę. Kai spełnił więc dziecięce marzenia - czemu miałby przyjmować łaskę ojca, skoro zapomniał już o sprawach związanych ze Świętą Unią i urzędem harona? Nie zaskoczyło ją to. Miała nadzieję, że stanie na wysokości zadania, że przejmie obowiązki głowy rodu, ale miała także świadomość, że jest to nadzieję płonąca.

Po co mu jednak banda tych zabijaków? Kiedy rozeszła się wieść, że Kai Kohar płaci w srebrze za łupienie i rabowanie od Jarzębinki po Naucenemes, zlatywało się mnóstwo łyśich na brudny pieniądz chłopów z krzywymi mieczami i kosami, a nawet dwóch chuderlawych studentów wymachujących wyszarpiętymi z jakichś odpadów nożami - tych jednak Kai odrzucił, mówiąc, że nawet kurze pisklę by się ich nie wystraszyło. Zależało mu tylko na tych, którzy wyglądali przerażająco, którzy umieli jeździć konno, i którzy mieściли się w zbroje zapewnione przez Krwawe Ostrza. Kiedy rodzeństwo wyszło wreszcie z Pieskiej Doli w chłodne, nocne powietrze, w sercu Jarzębinki powstał budzący trwogę garnizon aktorów. Iver trzęsła się, kiedy jakaś okropnie zabliżniona góra mięśni pomagała jej wsiąść na konia, traktując ją z najwyższą kurtuazją i taktem, nie komentując nawet tego, że nie siedzi w damskim siodle. Nikt też nie zwrócił uwagi na niedopuszczalny brak makijażu Pinovar – i tak ruszyli, roześmianą rubasznie, robiącą ogromny raban watahą, na czele której jechał Kai, a u jego boku wielki flecista, Omar Wiatr W Polu, przywódcy Krwawych Ostrzy i Phineas Nożownik z obandażowaną ręką na temblaku. Pinovar i Iver galopowały blisko siebie, z osłoniętymi kapturami twarzami i zaciśniętymi ustami.

- Co on robi? – spytała łączowa Iver. – Pinovar, ty jesteś mądra, proszę, powiedz mi!

A Pinovar, czując jak wściekłość eksploduje w środku jej głowy oślepiającą bielą, czując w gardle palącą gorycz, jakby wypiła duszkiem kubek pieprzowej wódki, odpowiedziała:

- Nie wiem.

\*

Haronea Nuria przez dwadzieścia lat bycia matką zdołała przeanalizować każdy makabryczny scenariusz, jaki mógł stać się udziałem jej dzieci. Oczami wyobraźni widziała je już poćwiartowane, porwane, leżące na morskim dnie z kamieniem u stóp, starte z powierzchni ziemi jakimś strasznym czarem, pozbawione kończyn, oczu, zlinczowane, zapłakane, błagające ją o ratunek. Widziała je także otoczone bandą śmierdzących bandytów chcących je zabić dla okupu albo po prostu dla zabawy.

Nigdy nie widziała ich jednak jadących na czele tej bandy, ogromnej i hałaśliwej jak stado papug, swobodnie schodzących z konia, całych i zdrowych, choć z paroma kroplami krwi na koszuli.

- Kai? – wykrztusiła, rozkładając w zdumieniu ręce.

Postawiła na nogi cały zamek, kiedy klucznik powiadomił ją o ucieczce dzieci. Wszyscy wylegli na dziedziniec, uzbrojeni po zęby i przerażeni widokiem ostatnich mętów, jakie chowała w sobie Jarzębinka. Jeden z nich, ten po prawicy jej syna, miał twarz przeciętą straszliwą blizną, a drugi, po jego lewicy, był cały wytatuowany i omiatał zamek łakomym spojrzeniem. Jeden z nich, ten za plecami jej syna, był wielkości dębu i mógłby rozerwać go na dwie połowy. Obok niego rękę na okrwawionym temblaku tulił do siebie chłystek o czymś dzikim i niebezpiecznym w oczach. Nuria poczuła, że stanęła na granicy szaleństwa ze zgrozy.

- Odwozę dziewczyny – uśmiechnął się ciepło Kai. – I chcę się pożegnać.

Serce ugrzęzło haronei w krtani, kiedy zobaczyła wyłaniające się z tłumu Pinovar i Iver, nieumalowane i siedzące na koniach okrakiem.

- Kai, czyś ty oszalał?! – wrzasnęła, rozjuszona. – One nie mogą tak po prostu...

- Wiem, mamo, przepraszam. To był ostatni raz.

Siostry zaraz otoczyły służące, a stojąca w oknach szlachta zaszemrała. Kai po prostu zeskoczył z konia, spokojny i uśmiechnięty. Nuria złapała za swój wskazujący palec i wygięła go gwałtownie.

- Co ty wyprawiasz, Kai? Ty rób sobie, co chcesz, ale nie pozbawiaj czci swoich sióstr! I co ma znaczyć ta zgraja?! Co to za towarzystwo?! Chcą okupu?! Gwałtu?! Mordu?!

- Mam nadzieję, że na takich wyglądają. To moja hanza, mamo. Jadę z nimi do Naucenemes.

Wojownicy stojący przy zamkowej bramie zabrzeczelni złowrogi zbrojami. Wylegli z zamku lirrowie spojrzaeli po sobie z uniesionymi brwiami.

- Co takiego? Dlaczego z nimi? Nasi rycerze, wspaniali rycerze służący pod sztandarem Koharów, nie są dla ciebie wystarczająco ekscytujący?! Dumni?! Skandaliczni?!

- Oni służą pod sztandarem Koharów, a nie pod moim.

- O czym ty bredzisz, synu?! Jesteś Koharem! Jesteś! – Chwyciła jego twarz w obie dłonie i zatrzała w jego ukochane oczy. – Jesteś, Kai! To twój dom, twoja rodzina, twoi lennicy, tu jest twoje miejsce! Zapomnij o tym, co zrobił ojciec, on zrozumiał swoją pomyłkę! Masz pełne prawo tu być, synku! Tu masz być...

Znowu się uśmiechnął, kładąc swoją dłoń na jej dłoni. A potem powiedział z bezwzględnością mordercy:

- Nie, mamo. Nie jestem Koharem. W tej chwili oficjalnie wyrzekam się nazwiska, prawa do Pavilonu i do urzędu Harona Sprawiedliwości. Zostanę nim tylko, jeśli zostanę na niego wybrany.

Oderwał jej prawą dłoń od swojego policzka i wsunął na nią pierścień – zielone oczko chronione przez sploty srebrnej kobry.

- Nie mam prawa używać sygnetu Koharów.

Nawet hanza, rozbrzecznana jak rój pszczół, ucichła. Atian, który właśnie wyszedł z zamku z Magmowym Mieczem pod pachą, również zamarł w pół kroku.

- Przeczytałem co do jedynej książki, którą mi wysłałeś – szepnął Kai. - „Haron swojej służbie winny jest się całym sobą poświęcić, dlatego żadnych dóbr ziemskich, tytułów szlacheckich i bogactw posiadać nie może. Nie może wpaść w pułapkę pychy, sentymentalizmu, wyższości. Haron to Sługa Ludu, Nauczyciel i Lekarz Duszy.”.

Ostatni raz ucałował matkę w czoło, wysłiznął się z jej objęć i skinął na Atiana, który natychmiast podążył za nim, w kierunku czekających wierzchowców.

- Nie wysłałam ci żadnej książki.

Kai zatrzymał się i odwrócił.

- Słucham?

- Nie wysłałam ci żadnej cholernej książki! – ryknęła haronea. – Co to za książka?! Co ty wygadujesz?! Wyrzekasz się?! WYRZEKASZ?! Wiesz, co to, do cholery, znaczy?!

- Ja... Ta książka była dołączona do listu od ciebie. Myślałem...

- To źle myślałeś, do kurwy nędzy! Straciłeś własny rozum, żeby robić to, co mówi ci jakaś książka?! Czy ty całkiem oszalałeś?! Haroni mają tytuły, ziemie i żyją w spokoju, a ty co, chcesz być jakimś pustelnikiem?! Kto się zajmie mną i twoimi siostrami, które tak beztrosko wystawiasz na ryzyko?! Kto przedłuży ród Koharów?! Twój ojciec ostatnim wysiłkiem przytomnych zmysłów przyjął cię z powrotem, a ty co?! Tak po prostu to odrzucasz?! Ty... To tak cię wychowałam?! Może lepiej, że na mnie spluwasz, to hańba urodzić takie dziecko!

- Nie spluwam na ciebie, tylko...

- Właśnie splunąłeś na swoją rodzinę, swoich przodków, swoją przeszłość i przyszłość! Na poświęcenie, moje i twoich sióstr, i... Kai, nie możesz nas zostawić, umrzemy bez ciebie!

Kai stał chwilę, skonfundowany. Atian przyglądał mu się z uniesioną brwią. Bardzo mu było żal haronei Nurii, która dopiero co odzyskała swoje dziecko, a teraz ono dobrowolnie się jej wyrzekało. Dlaczego? Bo w jakiejs zaśniedziałej książce przeczytało, że tak jest ładnie i honorowo? Zrozumiałe by to było, gdyby Kai chciał wrócić do felsidów, ale jako haron, nie musi przecież tego robić, a na pewno nie w taki sposób. Atian zastanawiał się, czy nie powinien teraz mu przyłożyć, ale musiał przecież dźwigać ten pieruńsko ciężki miecz.

Kai w końcu się zdecydował i przemówił głosem prawie nie dygoczącym ze zdziwienia po tej książkowej pomyłce.

- Kiedy jeszcze byłem Kаем Koharem, wydałem pisemną decyzję, że Pavilonem zarządza teraz moja matka, haronea Nuria Kohar. Póki żyję, decyzja ta będzie respektowana. Chodź, Atian. Żegnaj, mamo.

Ruszył przed siebie, a Atian, zagniewany, poszedł za nim.

- A więc tak?! – wrzasnęła haronea Nuria. – Zdrajca! Idiota! Jedziesz prosto do paszczy lwów, a wiesz, dlaczego? Bo król Eneis, jedyna przychylna ci tam osoba, nie żyje! Słyszałeś mnie?! Nie żyje! Mówią, że się zabił, a może ktoś mu pomógł?! Może ciebie spotka to samo, bo jedziesz między przyjaciół Yazora Temidana, swoich największych wrogów, beze mnie, twojej największej przyjaciółki, całkiem sam! Król nie żyje, słyszysz?! Zabiją cię tam, Kai! Zabiją cię jak psa! Lepiej tu wracaj! Synu, wracaj! Wracaj, powiedziałam! Synu!

Jeszcze kiedy galopowali do linii budzącego się słońca mknącej między drzewami Nauchemeńskiej Puszczy, słyszeli rozpaczliwy krzyk haronei Nurii porzuconej przez swe pierworodne dziecko.

\*

Itsuk nie wiedział, czy jest przewrażliwiony, czy rzeczywiście już szóstymięśniak ze skąpo ubraną kobietą dosiadającą zakrwawionego miecza wytatuowaną na śliskiej od potu piersi rzucił miedziaki na ladę, zanosząc się do swych kompanów śmiechem, że wreszcie podjadzą sobie tego słynnego haronowego chleba. Wszyscy cuchnęli zjełcałą gorzałką, spoonymi końmi i, co zaskakujące, kiesą, bo nie żałowali ani nuda.

Stojąc za ladą w piekarni, do której jakoś tego dnia nie kwapił się żaden „normalny” klient, Itsuk doszedł do wniosku, że to nie może być przypadek: wszyscy mówili o tym haronowym chlebie, jakby nigdy wcześniej nie byli w Naucenemes, wszyscy mieli pieniądze, wszyscy tak samo śmierdzieli. Mistrz Tauron narzekał, że na ulicach przy zboczu góraż ich pełno, że zaczepiają ludzi i machają błyszczącymi mieczami, a nawet postawionymi na sztorc kosami. Co się mogło dziać? Czyżby cała zbójcka hanza zjechała nagle do Naucenemes, nie zważając nawet na żałobę po królu? O co mogło chodzić? Czego tu szukają?

Pełen złych przeczuć, Itsuk obszedł ladę i wyjrzał za okno, jakby spodziewał się ujrzeć rząd bandytów maszerujących na zamek. Zamiast tego zobaczył ich skupionych przy straganie pani Sariny, rechoczących do kości korali, które prezentowała im Moth.

Cieźko powiedzieć, że Itsuk do nich podszedł, bo zrobił to tak szybko, jakby przeniknął przez ścianę. Wzrostem i barami dorównywał oblechom zajadającym chleb, który własnoręcznie przygotował, więc odważnie skrzyżował ramiona na piersi i czekał na rozwój wypadków. Moth zauważyła go, ale jej pstrokata twarz nie zmieniła się w żaden sposób. Zagrzechotała tylko kością paciorków.

- No i co, panowie? – ponagliła klientów. – Kupujecie coś? Za dwa naszyjniki bransoleta do kompletu!

- No nie wiem, papużko – podrapał się po oślinionym podbródku bandyta ubrany w śmierdzącą niedźwiedzią skórę. – Widzi ci się, żebyśmy w takich koralikach paradowali?

- Och, jak najbardziej! – uśmiechnęła się tak, żeby nie pokazywać zębów. – Mężczyźni lubią takie szkarłatne albo szmaragdowe, proszę przymierzyć...

Wyciągnęła do niego rękę, żeby wybrał najbardziej mu odpowiadające, ale ten złapał ją za nadgarstek i przyciągnął mocno do siebie. Moth pisnęła, a reszta zwydrodnialców zaniosła się śmiechem. Itsuk natychmiast rozkrzyżował ramiona i stanął przed oblechem, który jużsunął wąsami w dół sztywy wyrywającej się dziewczyny.

- Proszę ją zostawić – bardziej zażądał niż poprosił, zaciskając pięści.

Bandzior spojrzał na niego, a reszta w mgnieniu oka stanęła za jego plecami, gotowa przytrzymać, gdyby tylko zechciał dać nogę. Ale nie zechciał.

- A co? – wyszczerzył żółtezęby niedźwiedź. – To twoja ptaszyna?

- N-nie, ale...

- To głupiś – warknął Moth w ramiona Itsuka. – Dziewczyna na wydaniu, a ty się jeszcze za nią nie bierzesz.

Wtedy grzmotnął Itsuka w szczękę z taką siłą, że zęby wyprysnęły z niej wraz z czerwoną fontanną, Moth wrzasnęła i wyplątała się z jego rąk, a niedźwiedź kopnął go w brzuch tak, że Itsuk opadł na kolana, nie mogąc złapać oddechu i spluwając krwią.

- Ech, panny nie wymacałem, ale przynajmniej wpierdoliłem jej rycerzowi – usłyszał z nad głowy zbolełe westchnięcie. – Już mnie tak od trzech dni korciło. Chodźcie, kamraci, bo się to nasze ryże haroniątko zdenerwuje. Pyszny chleb tu faktycznie macie, rycerzu. I wezmę te smaragdowe, dobrze, papużko?

Rozległ się brzęk monet i ich oddalający się rechot.

Itsuk właśnie pozbył się mroczków przed oczu, kiedy ktoś chwycił go delikatnie za ramiona i uniósł. Wtedy znów zawirowało mu w głowie, bo była to Moth, zmartwiona, ale i smutno uśmiechnięta, mrużąca oczy, rozmazana i pachnąca... oszałamiającą mieszanką jaśminowych perfum i starej niedźwiedziej skóry.

- Nieźle cię porobili – powiedziała z jadem wyuczonym od pani Sariny, ocierając mu krew z ust swoją półprzezroczystą chustą. – Kto wie, może wcale by wtedy nie kupił ode mnie tych paciorek za piętnaście nudów?

- Moth... - wyjaśnił Itsuk. – Cy... Cy sksywdzili cie?

Całym wysiłkiem mięśni starała się nie wybuchać śmiechem.

- Możezejdziemy z ulicy, na której już jesteśmy atrakcją dnia, i spróbuję cię jakoś poskładać?

- Mi nic nie jes, ale cy tobie...

- Jestem w wyśmienitym stanie, a ty właśnie pozbyłeś się dwóch zupełnie zbędnych górnych zębów, więc chodźmy to uczcić. Jakimś ziołowym specyfikiem na przykład.

Opierał się na jej ramieniu, kiedy prowadziła go do ciemnego saloniku pani Sariny. Nigdy nie był w środku i wiedział, że to bardzo niewłaściwe, przebywać sam na sam w takiej ciemności z panną, nie mówił jednak nic, kiedy Moth usadziła go na sofie i wyszła znaleźć coś na uśmierzenie bólu. Itsuk uświadomił sobie, że został z jej chustą przyciągnięty do ust.

Wróciła po chwili, podała mu słoik dziwnie pachnącego kremu i nakazała nasmarować tam, gdzie go boli najbardziej.

- Mnie nie tseba... - wymamrotał, oddając jej krem. – Moze tobie...

- Mi się nic nie stało – powiedziała, bez cienia uśmiechu, którym raczyła go jeszcze chwilę wcześniej. – Szkoda tych twoich zębów.

Zdecydowały się jednak użyć maści, która natychmiast uśmierzyła ból i zatamowała krwawienie. Moth namoczyła szmatkę, którą starł z twarzy resztkę krwi, a ona obserwowała go przez ten czas z wyjątkowo zboalałym spojrzeniem.

- Co? – spytał głupio, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy.

- Nic – odparła tonem, jakby chodziło właśnie o coś

- Jak mozes byc tak spokojna? Psecies...

- Nie pierwszy i nie ostatni raz, uwierz mi. Tylko nigdy nie było ich tylu naraz. Jakoś bym to przetrwała, ale i tak ci dziękuję. Nie spodziewałam się...

Kiedy mówiła te słowa, wstała i odwróciła się tyłem, spoglądając przez szparę zaslon na zakurzoną ulicę.

- Ech... - bąknał. - To nic takiego...

- Słuchaj... Powiedz mi, szczerze. Czy byłbyś w stanie wyobrazić nas sobie jako małżeństwo?

Główę Itsuka zalała pulsująca fala gorąca. Moth wciąż się nie odwracała, lecz jej ramiona były ciasno splecone.

Czy byłby w stanie?!

- Skąd... to pytanie?

- Jesteśmy w podobnym wieku, lubimy się, a przynajmniej ja ciebie lubię, i ty przed chwilą zrobiłeś dla mnie coś, czego nikt nigdy nie zrobił... A przyznaj, nie chciałbyś wyprowadzić się od mistrza Taurona? Bo ja zrobiłbym wszystko, żeby wreszcie wyrwać się z tego... z tego... Ech, Sarina widzi we mnie dzieciaka, a jak będę mieć męża...

- Och.

- Zrozumiem, jeśli powiesz nie! Albo, jeśli chcesz czasu do namysłu. Ale bardzo cię lubię, Itsuk, nie widzę powodu, żeby nie spróbować, a, wiesz... Byłbym dobrą żoną. Umiem gotować i nie boję się pracy. No i dostałibyśmy mieszkanie...

- Nie potrzebuję czasu. Zgadzam się.

Moth odwróciła się. Na jej twarzy malowało się wytrwałe, pstrokate, rozmazane cierplenie tylko na czole rozjaśnione niedowierzaniem.

- Naprawdę?

- Tak. Tylko powiedz mi szeze... Cy Skalle z tobą rozmawiał? Cy fspominał ci o mnie?

Moth uśmiechnęła się ciepło, a Itsuk potrąsnął z niedowierzaniem głową. Po chwili jednak odwzajemnił gest, uważając, żeby nie zepsuć go brakiem swoich dwóch górnych zębów.

\*

- Król opłakuje śmierć ojca – oznajmił sucho odziany w żałobną biel szambelan. – A ci... ludzie... w ogóle nie powinni przekroczyć bram zamku.

Phineas Nożownik, Olbrzym i Atian spojrzeli z przestrachem na uśmiechniętych kpiąco Omara Wiatra w Polu i Himina Ostatniego, przywódcę Krwawych Ostrzy.

- To moja eskorta – Kai poprawił białą szarfę na piersi. – Czy ja nie mam prawa pożegnać Jego Doskonałości?

- Jego Doskonałość leży na Sowim Wzgórzu. Kiedy wyjedzie pan bramą i skieruje się na południowy wschód...

- Po cholera gadasz z tym przydupasem, jaśnie haronie? – westchnął znudzony Omar.

– Idź prosto do króla i jego zapytaj, czy możesz oddać hołd Jego Doskonałości.

- Król z pewnością wolałby uniknąć krwawej jatki – szepnął półgębkiem szambelan.

Dziedziniec roił się od żołnierzy Świętej Unii. Wszyscy w czarnych mundurach, krótko przystrzyżonych włosach, o takich samych mieczach i tarczach, byli liczni jak mrówki przyglądające się ciekawsko żałosnej pięćdziesiątce, którą przyprowadził Kai, a która desperacko próbowała na żałosną nie wyglądać. Nie dość, że generał wyprzedził Kaia, to ten miał tylko garstkę ludzi, z czego może dwudziestka potrafiła posługiwać się bronią.

- Więc lepiej wpuść mnie do środka – I Kai spróbował zamaskować desperację w swoim głosie. – Z pewnością doskwiera im tam brak Harona Sprawiedliwości

Szambelan sapnął, rzucając ostatnie dyskretne spojrzenie na drużynę Kaia.

- Zapraszam. Ale bierzesz eskortę, nikogo więcej, i macie się pilnować!

Kai kiwnął głową, po czym przestąpił próg zamku, a jego wynajęci „wojownicy” pospieszyli za nim. Poprawił magmową klingę wystającą ze zdobnej pochwy przyczepionej do wyrzeźbionego na kształt kobry pasa, żałobną szarfę, i zieloną pelerynę z herbem rodu Koharów wyszytym na plecach. Ruszyli przez salę wejściową do ogromnych rzeźbionych drzwi mających na drugim jej końcu. Jego eskorta kręciła głowami na wszystkie strony, wydając z siebie pojedyncze „ochy”, „achy” i pogwizdywania, ale on czuł się tak, jakby szedł samotnie przez senną, gęstą jak mleko mgłę; jakby ciałem wszedł we własne wspomnienie z

lat dziecięcych, kiedy szukał sposobu, żeby dostać się do tej wspaniałej, wielkiej sali tronowej, w czasie tych tajemniczych, pilnie strzeżonych spotkań króla i sześciu haronów.

I, tak samo jak w tych żywych wspomnieniach, drogę zastąpiła mu magini Chevita.

- Dlaczego twoja eskorta nie nosi srebrnych kobr, lyrrze? Czyżby haronea Kohar poskąpiła ci swych ludzi?

Niezbyt się postarzała. Była kasztanowowłosą kobietą, która, zupełnie nie przejmując się śmiercią króla, nosiła się w smolistej czerni, spod której wystawały czerwone, wijące się jak strumyki stygmaty. Atian nie mógł z czystym sumieniem dać jej ani trzydziestu, ani sześćdziesięciu lat, a któryś z najemników zagwizdał donośnie. Kai zatrzymał się na jej widok, bo stała tuż przed nosem strażników sali tronowej, trzymających skrzyżowane azyrydy i przyglądających im się ze zmieszaniem.

- W Pamięci przydadzą się teraz wszyscy rycerze Koharów, jacy kiedykolwiek złożyli przysięgę – odparł zimno Kai.

- Z pewnością – przytaknęła. – Nastały ciężkie lata dla Koharów, prawda?

- Raczej dni.

Z nosa Chevity wydobył się rozbawiony świst.

- Przekonajmy się. Wpuście go – zakomenderowała, odeszła od drzwi i zniknęła za filarem, a strażnicy rozkrzyżowali azyrydy.

Kiedy otwierali wrota, Kai spojrzał na Atiana i uśmiechnął się z otuchą, której sam potrzebował.

W momencie, w którym wszedł do sali tronowej, poczuł się, jakby jego własna pamięć wyskoczyła z jego głowy i pochłonęła świat wokół, czyniąc jego wspomnienia rzeczywistością, ale zostawiając wystarczająco dużo szczegółów, by czuł, że coś jest nie tak. Ostatnia uczta, w której brał udział na tym zamku, nie różniła się wiele od tej, którą miał teraz przed oczami. Sala nie była duża, ale wieńczył ją przepiękny wysoki sufit pokryty zamazanymi przez czas freskami, który rzucał cień na wielkie malowidło samego Modrego Oka za górującą nad salą półkolistą katedrą zajmowaną przez króla i haronów podczas obrad.

Teraz na tej katedrze siedziała tylko jasnowłosa dziewczyna w białym makijażu i białej sukni, promieniuająca jak śniegowa figura. Wszyscy inni zajęli miejsca przy długich stołach, których mieściło się tutaj mniej niż w głównej sali Pamięci. Pięć lat temu, w Zakwitanie panienki Ceadmille i księżniczki Cerro, podłoga pokryta była płatkami kwiatów, ale teraz zalegały na niej plamy wina, psy walczący o kości i myszy pogryzające okruchy chleba. Po prawej, tak samo jak pięć lat temu, pośród szlachty i dam dworu siedziały rodziny Haronów Obowiązku, Przyjaźni i Pokoju, a po lewej Haronów Nadziei i Mądrości. Niektóre

się skurczyły, niektóre rozrosły, ale tam były, przerywając jedzenie na jego widok, na widok Harona Sprawiedliwości, którego brakowało, a na którego nikt nie czekał. Generał Yazor Temidan siedział tam, gdzie pięć lat wcześniej, niezmienny i nieporuszony, ale gardło Kaia zacisnęło się boleśnie, jakby generał zajął jego miejsce, a ten był teraz zmuszony ukorzyć się i prosić go o ustąpienie. Spojrzał Kaiowi prosto w oczy, a kiedy ten uciekł wzrokiem, natrafił na dziewczynę patrzącą na niego z katedry z onieśmielającym chłodem.

Wszyscy w komnacie patrzyli na niego z onieśmielającym chłodem.

Nikt nie był zaskoczony, nikt nie podrywał się, oburzony, z miejsca, nikt go nie wyganiał. Niektórzy nawet nie przerwali rozmów, a harfiarka nie przestała wygrywać żałobnej pieśni. A Kai nagle stwierdził, że wolałby, żeby się na niego rzucili, żeby go rozszarpali. Wtedy przynajmniej wiedziałby, co zrobić, co krzyczeć, czego się domagać, dokąd uciekać. Ale co zrobić, kiedy oni siedzą, patrzą i czekają?

Z jednym wyjątkiem.

Zamiast przygarbionego króla Eneisa, na środku sali kucał ubrany na biało, wysoki, wyprostowany, czarnowłosy mężczyzna o haczykowatym nosie królowej Hestii i niebieskich oczach swego ojca. Wyprostował się, trzymając na rękach chłopca o podobnych rysach, który nie mógł mieć więcej niż osiem lat.

Wyprostował się i uśmiechnął.

- No i jest – powiedział.

Ośmiolatek pomachał Kaiowi, uśmiechając się szeroko, a Jego Wysokość Myron VII Meaveleth wykręcił głowę, by spojrzeć na generała Yazora.

- Ale będzie heca – zachichotał, podchodząc do Kaia i jego eskorty. – Jak mam cię ugościć, przybyszu?

Kilku strażników, do tej pory stojących pod ścianą, zbliżyło się o parę kroków.

- Jestem Kаем Koharem, Wasza Wysokość – odparł Kai, starając się brzmieć godnie i donośnie. – Przybywam wypełnić ostatnią wolę mego ojca.

- Chyba wszyscy powinni wyjść, Wasza Wysokość – Haron Przyjaźni wstał dopiero teraz. Był niski, chuderlawy, a do tego miał wąsy i bródkę, przez które Kai w czasach dzieciństwa przezywał go wraz z innymi Szczurem.

- A wyjdź, jeśli chcesz. Reszta z pewnością chciałaby to zobaczyć. Pamiętasz mnie, Kai?

Myron rzadko bywał w Modrym Oku, włócąc się po rezydencjach swego kuzynostwa i szukając chwały jako poszukiwacz przygód.

- Oczywiście, Wasza Wysokość. Byłem gościem na twoim ślubie, choć miałem wtedy zapewne nie więcej lat niż twój syn teraz.

- Ile masz lat, Kallo?

Chłopiec wystawił siedem palców i zakomunikował:

- Siedem!

- Znakomicie, synu – pochwalił go król. – Pewnie chciałbyś dołączyć do uczty, co, Kai? Zapraszam, specjalnie dla ciebie zostawiłem miejsce... Dostawić krzesła dla towarzyszy Kaia, rzekłem!

Omar Wiatr W Polu znowu zagwizdał, przyglądając się potrawom na stole i strojom dam dworu. Żołądek Kaia prawie wyskoczył przez gardło, kiedy nowo koronowany król zaprowadził go ku miejscu, w którym siedział generał i... i jego synowie.

Kai nie spodziewał się, że będzie aż tak zdenerwowany przed ponownym ujrzeniem Silarusa. Ten siedział, opierając głowę na dłoni, a dłoń na łokciu, jakby nie bardzo był wszystkim wokół siebie zainteresowany, choć jeden z małych psów szarpał go wściekle za nogawkę, domagając się uwagi. Przybyło mu kilka lat i kilka blizn, w tym coś świeżego okrytego bandażem, ale wciąż był okrutnie przystojny i porażająco wysoki, tak samo jak jego ojciec. Pomiędzy nimi Melvourne wyglądał na małego i dziewczęcego ze swoimi długimi włosami i niewinną, figlarną twarzyczką, której dorosłość wcale nie odebrała uroku.

- Siadaj – nakazał Myron i Kai usiadł dokładnie naprzeciwko Silarusa, ocierając jedną wilgotną dłoń o drugą. Och, na co mu to było, na co tu przyjeżdżała...

Dostawiono po obu jego rękach krzesła, na których zasiadła cała jego dziwaczna eskorta. Temidau zostawił wszystkich swoich żołnierzy, liczniejszych i zdolniejszych, pod wrotami. Kai miał garstkę komediantów przebranych za wojaków. Musiał przestać o tym myśleć, przestać się denerwować, bo wszystko się wyda...

Kiedy służący nalał mu wina, wypił je jednym haustem. Haroni zerwali się ze swoich miejsc, by wisieć nad ramionami Kaia i Yazora, ale dla nich król nie kazał przystawić krzeseł. Sam pozwolił swojemu synowi powrócić do zabawy i usiadł na końcu stołu, obok swojej żony, królowej Habren z rodu Nyknisus, krągłą, czarnowłosej kobiety o miękkiej, poczciwej twarzy. Uśmiechnęła się do Kaia z matczyną wręcz otuchą. Obok niej siedziała dziewczynka o rozczochranych włosach, w które ktoś musiał próbować wplątać sznury perel. Miała pociągłą twarz i nos Myrona, a od swojego brata, z tego co Kai pamiętała, była starsza o dwa lub trzy lata. Nie dosiągała nogami podłogi i machała nimi na wszystkie strony, od czasu do czasu chcąc lub niechcąc kopiąc w Silarusa, który nawet się nie krzywił.

Kiedyś Kai nie mógłby się powstrzymać od parsknięcia śmiechem. Teraz wypił kolejny puchar wina.

- Co to za hanzę nam tu sprowadziłeś? – Myron rozparł się na obitym aksamitem krześle. – Rycerze Koharów mają dziś przepustkę?

Kai zastanawiał się, czy wieść o tym, co zrobił, zdążyła już dotrzeć do Modrego Oka. Miał nadzieję, że nikt w Pamięci nie chciałby, żeby wiadomość o ich bezpieczeństwie szybko się rozeszła, ale cholera ich wie teraz, kiedy tak jakby ich zdradził...

- To admirał Atian z felsidów wschodnich – oznajmił.

- Przywiozłeś sobie pamiątkę ze Strażnicy Świata?

- To wybitny wojownik i dowódca... A to Omar Wiatr W Polu – zmienił szybko temat, siląc się na nonszalancję. – Zwykły najemnik.

- Nie taki zwykły – zaśmiał się król. – O jego przygodach krążą legendy.

- Dziękuję, Wasza Wysokość – skinął głową Omar.

- O jakich niby przygodach? – zapytała księżniczka Liara, mrużąc podejrzliwie oczy.

Odpowiedział jej Omar:

- O takich, przez które nie mogłabyś zmrużyć oka w nocy, mała księżniczko. Zapuszczałem się na Wredne Bagna, Zdradzieckie Morze i w głęb Nauenemeńskiej Puszczy, gdzie widziałem rzeczy, których nawet nie byłabyś w stanie wyjaśnić...

- I po cóż zostałeś wynajęty? – przerwał podejrzliwie lysy jak kolano Kastirron, Haron Pokoju, swoim marudnym, irytującym głosem, jednocześnie nachylając się nad ławą.

- Nie zostałem – odparł Omar. – Jestem haronowi Koharowi winien przysługę.

- Prędko mu do używania tego tytułu – mruknął Maginot, Haron Nadziei, najmłodszy spośród haronów, jeśli nie liczyć Kaia. Miał opaloną na ciemno twarz, ale jasne, niemal białe włosy.

- Za co jesteś mu winien przysługę? – zapytał król.

- Haron uratował mi życie. Phineas Nożownik podążył moim śladem, kiedy natknąłem się na harona. Haron zastawił na niego pułapkę i zranił go dotkliwie.

- A który to ten Phineas Nożownik?

- To ten, który zasiada po prawicy harona.

Wszyscy spojrzeli na Phineasa, który całe swe aktorskie doświadczenie włożył w to, by wyglądać na spokojnego. Dłubał sękatym palcem serdecznym w uchu.

- Nie wyglądasz na zagniewanego – zauważył Haron Mądrości.

- Dlaczego miałbym być? - odpowiedział Phineas. – Od lat nikt mnie nie pokonał ani w pojedynku, ani w polu. Kohar odebrał mi palca, ale zyskał mój szacunek.

Kai gestem kazał nalać sobie więcej wina.

- A to Himin Ostatni, przywódca Krwawych Ostrzy – odezwał się niespodziewanie generał Yazor, po czym, jeszcze bardziej niespodziewanie, uśmiechnął się. – Zgadłem?

Pokryty tatuażami najemnik pochylił z szacunkiem głowę.

- Zgadłeś, wasza generalska mość.

- Gdzie jest Paskudnik? Krępował się zasiąść ze mną do stołu?

- Ależ skąd. Pilnuje naszych ludzi na dziedzińcu.

- Mhm. Zaskakujące, że ma jeszcze u waszych ludzi jakikolwiek posłuch.

- Przywiedliśmy ze sobą tylko tych elitarnych, którzy wiedzą, co to wierność.

- To brzmi, jakbyście mieli jakąś historię! – księżniczka Liara prawie stanęła na krześle. Silarus wreszcie pogłaskał szarpiącego go psa, który natychmiast wyłożył się na plecy, merdając wesoło ogonem. – Macie mi opowiedzieć! Natychmiast!

- Liara... - Matka usadziła ją z powrotem na krześle. – Nie wolno tak...

- Opowiedzcie ją natychmiast! – Haroni podkoczyli, kiedy Myron huknął pięścią w stół, ale i on, i Liara roześmiali się zgodnie.

- Nie za wiele jest do opowiadania – Yazor rozparł się na swym krześle, odchylając oparcie do tyłu. – Mieliśmy sprzeczne interesy. Nasze spotkanie skończyło się tak jak Kaia Kohara i Phineasa Nożownika. Ja tylko zostawiłem mu bliznę w nieco bardziej pokazowym miejscu.

Kiedy Liara nachyliła się nad stołem, by spojrzeć na generała, Yazor przesunął palcem na wskroś swego oka.

- Ua! – Liara wykrzyknęła w zachwycie, wdrapując się na stół. – Nic dziwnego, że się teraz pietra. Pewnie sra w gacie na myśl o zobaczeniu generała choćby jednym okiem!

Żaden z haronów nie skomentował języka księżniczki, tylko jej matka załamała bezradnie ręce, przepraszając wszystkich wokół. Liarę jednak nic to nie obchodziło – spojrzała z zachwytem na serdecznie śmiejącego się ojca, po czym wsadziła nogę w talerz zupy stojący przed Melvourne'em Temidanem. Śmiech króla zarażały ludzi w dalszej części stołu, a Liara skopywała z niego naczynia, ku ogólnej ucieșe gawiedzi i nerwowemu uśmiechowi Melvourne'a, który ścierał z munduru czerwone krople i kawałki rozmokniętych warzyw.

Liara ruszyła wzduż stołu, dbając o to, by wdepnąć w każdy jeden talerz. Niektórzy z gości podkładali zastawę specjalnie pod jej złociste buciki, a ci, którzy próbowali ją ukryć, spotykali się natychmiast z jej gniewnym rozkazem.

- Szalony dzieciak – westchnął z zachwytem Myron. – Formonoosowie chcą ją zaręczyć z tym biednym Kaskanem, słyszałeś o tym, Kai? W obliczu decyzji mojego ojca, byłoby to teraz co najmniej niesmaczne...

- Wasza Wysokość, chyba nie zamierzasz wypełnić jego ostatniej woli? – mruknął pospiesznie Agver, Haron Mądrości, ledwo pewnie coś widząc znad swojej gęstej, brunatnej brody.

- A cóż mam z nią niby zrobić? To była ostatnia wola twojego króla.

- Byłoby to... co najmniej niemądre!

- Nie wypełnienie jej byłoby co najmniej zdradliwe – oznajmił Kai, czując, jak wino rozpala mu pierś.

- Zdradliwe, kiedy odbiera ci władzę – burknął Haron Nadziei, nie zadając sobie nawet trudu, żeby do pogardliwego tonu dołączyć chociaż spojrzenie.

- Tchórz i oportunist – zgodził się Haron Przyjaźni. – Dziwne, że banita zadał sobie trud, żeby przywdziać białą szarfę.

- Banita? – W głosie Kaia zabrzmiała obraza, w którą sam prawie uwierzył. – Czyżby ostatnia wola mojego zmarłego ojca tutaj nie dotarła?

- Dotarła natychmiast – rozległ się tubalny głos Oaktera, Harona Obowiązku. – Natychmiast też nasz król wypadł z okna najwyższej wieży Modrego Oka.

Haroni zaszemrali krótko. Temidanowie i wszyscy inni zachowywali się, jakby nic z tej „narady” nie słyszeli. Kai, wiedziony nagłym impulsem i pięcioma pucharami wina, wstał i zbliżył się do nowego króla, odprowadzany podejrzliwymi spojrzeniami haronów i zamkowych strażników. Stał tak blisko, że mógłby położyć mu rękę na ramieniu, gdyby okazało się to konieczne.

- Niech Szary Człowiek pomoże mu w wędrówce – niemal wyszeptał, nasycając głos łamiącym serce bólem. Pamiętał, że Myron też nigdy nie wierzył w te kłopotliwe plotki o Gaiusie i Eneisie, i żadne konotacje pomiędzy oboma śmierciami nie mogły tego przecież zmienić. – Ale jeden król umiera, aby drugi żył. Nie będą owijał w bawełnę, Wasza Wysokość, drodzy haroni. Przybyłem do Modrego Oka zająć należne mi miejsce w Radzie Haronów i nie wyjdę stąd z niczym mniej. Rozumiem, że możecie mieć do mojej osoby zastrzeżenia – młody, niedoświadczony, był banita, okryty niesłuszna, ale jednak sławą tchórzem. Cóż to ma jednak za znaczenie? Mój ojciec, Haron Sprawiedliwości, równy wam statusem, przewyższający was honorem, w ostatnich chwilach życia stwierdził, że jestem godzien stanowiska, a znaliście go i wiecie, że mimo swych wad, potrafił odróżnić człowieka

prawego od Łgarza i szubrawca. Przychodzę więc po to, co mi się należy i czego jestem godzien.

- Twój honorowy ojciec – wyjechał pomarszczony Haron Pokoju, gestykulując, jakby trzymał w ręku batutę i dyrygował orkiestrą – zrobił to tylko po to, by przedłużyć swój ród. Gaius Kohar, niech Szary Człowiek pomoże mu w wędrówce, miał tylko jednego syna. W ostatnich chwilach życia musiał czuć się postawiony pod ścianą, świadom, że wygnal jedynego człowieka zdolnego przedłużyć dynastię Koharów. Uważamy tę decyzję za, jakby to powiedzieć... za lekko... desperacką.

Styl wypowiedzi harona Kastirrona był tak łatwy do naśladowania, że Kai całą siłą woli powstrzymał się od śmiechu i położył rwące się do dyrygowania dlonie na biodrach.

- Co mnie obchodzi, co sobie uważacie? Biorę, co mi się należy! Widzicie Magmowy Miecz u mojego pasa?

- Proszę, patrzcie go! – zaśmiała się waligórzasty Haron Mądrości. – Bierze, co mu się należy! Posadę, księżniczkę, i może nagle jeszcze stwierdzi, że tron też mu się należy?

Niektórzy zachichotali nerwowo.

- Zadowolę się posadą – odrzekł Kai. – Mogę więc zająć należne mi miejsce, Wasza Wysokość?

- Proszę, oczekujesz od nas wypełniania woli twoego ojca co do jedy, a królewskie rozkazy chcesz wypełniać wybiórczo? – prychnął Maginot. – Jego Doskonałość, niech Szary Człowiek pomoże mu w wędrówce, owszem, zgodził się na to, żebyś został haronem, co było do przewidzenia. Ale dlaczego czyni cię księciem? Masz o tym pojęcie?

Haroni milczeli, patrząc na niego ze wstrem. Temidanowie i reszta sali rozmawiali między sobą, jakby w ogóle nie byli tym wszystkim zainteresowani. Habren zabawiała rozmową Atiana, najemników i komediantów udających złoczyńców. Kai poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Nie miał pojęcia, o czym Maginot mówi i czy rozsądnie się z tym zdradzać. A może to jakiś podstęp? Jakiś test? Kai nie powinien go zdać, jeśli chce uchodzić za temperamentną, pełną potencjału marionetkę. Czyli powinien dać się złapać? Czy nie powinien wiedzieć o tym wcześniej? Cholera jasna...

Wyciągnął rękę i znów miał w niej kielich wina.

- Widocznie stwierdził, że jestem tego godzien – burknął z jak najwstrętniejszą opryskliwością. – To wola króla, musicie ją respektować.

- Wola zmarłego króla – sprostował Szczur Immala. – A co z wolą obecnego króla?

- Siedzi obok ciebie, Haronie Przyjaźni. Proszę go zapytać o zdanie.

Zuchwała odpowiedź, ku zaskoczeniu Kaia, wywołała uśmiezki na prawie wszystkich twarzach. Tylko łysy haron Kastirron i sam Immala skrzywili się z niesmakiem. Uwaga wszystkich skupiła się jednak na młodym królu. Ten złożył ręce na blacie stołu i uśmiechnął się do Kaia.

- Dziwaczna sytuacja, Kaiu Koharze – przemówił, a z każdym słowem coraz mniej przypominał którekolwiek ze swoich rodziców. – Gdyby pięć lat temu ktoś powiedział mi, że tak potoczą się twoje losy, wysłałbym go do wariatkowa.

- Ja zapewne też – przytaknął niepewnie Kai.

- Dziwaczna i niezręczna sytuacja, sam na pewno to widzisz, Kai. Oto Yazor Temidan, któremu tak zależy na tej posadzie, który tak długo wiernie służył Świętej Unii, który nie dalej jak dzisiaj przysłużył się jej szalenie, siedzi tu przede mną i czeka na werdykt. A ty przyjeżdżasz tu znikąd, skrzywdzony, to prawda, ale jednak znikąd, i domagasz się swego dziedzictwa. Wybory króla są trudne, ale ekscytujące, prawda?

Yazor teraz przyglądał się królowi, bębniąc palcami w stół. Nie było wątpliwości, że przysłuchiwał się każdemu wypowiedzianemu przez Kaia i haronów słowu. Eskorta Kaia też mu się przyglądała ukradkiem, zastanawiając się pewnie, czy kiedy król osuszy swój puchar i ogłosi swoją decyzję, będą musieli rzucić się do broni czy ucieczki.

- Jak dla mnie, sprawa twojego urzędu jest jasna – przemówił Myron. - Chcesz być haronem? To świetnie, nie ma potrzeby szukać nikogo innego. Nie chcesz być władcą Pavilonu? To świetnie, będę miał jedną prowincję mniejszą do pilnowania.

- Wasza Wysokość, Pavilion powinien pozostać pod władzą haronei...

- Ale tytuł księcia to całkiem inna sprawa, Kai. Mam syna, a mój syn będzie miał synów. Jeśli planujesz przeciąć linię mojego rodu, nie będę miał dla ciebie litości.

- Nigdy w życiu, Wasza Wysokość – wyjąkał Kai.

Myron pochylił się ku niemu, szczerząc zęby.

- A widzisz! – zachichotał. – To samo powiedziałbym te pięć lat temu, a teraz zobacz, gdzie jesteśmy!

Haroni zaśmiali się również, Kai więc zrobił to samo, bojąc się spojrzeć na Yazora Temidana.

- No dobrze – Król opadł na oparcie krzesła. – Jeszcze dziś złożysz śluby, ale najpierw pomyślmy...

- Wasza Wysokość! – Karcącym tonem wtrącił Haron Przyjaźni.

- Przyznam szczerze, Immala – Myron wyprostował się uroczyście. – Czekałem, aż taka gnida jak ty mi przerwie. Kai Kohar jest łaskawcą, który okazał litość zdradzieckiemu

synowi Yazora Temidana, który powinien lizać moje stopy za to, że w ogóle pozwalam mu siedzieć przy moim stole, koło mojej córki, koło mojej żony! – Silarus był za to na pewno bardzo wdzięczny, zważywszy na fakt, że zaciekle wbijał wzrok w sufitowe freski. - Kai nie poddał się wtedy z powodu tchórzostwa, ale z czystej szlachetności, i chyba akurat wtedy przysnęliście, jeśli tego nie widzieliście. Ja miałem oczy szeroko otwarte, a wcześniej trenowałem w ringu i z Silarusem, i z Kаем, i uwierz mi, Kai rozniósłby go na strzępy. Ta litość stawia go to w wątpliwym świetle jako Harona Sprawiedliwości, ale na pewno w lepszym niż człowieka, który planował dokonać tak hanebnego czynu, żeby tylko zająć miejsce Gaiusa Kohara. Mam mu pozwolić stać na straży Sprawiedliwości? Mam na to pozwolić jakiemukolwiek Temidanowi? Przez wasze tajne układziki? Nie. Rozkazuję wam złamać wszystkie obietnice, jakie sobie nawzajem złożyliście. Nie zapomnijmy też o herezjach, które Yazor przed laty głosił tu, w tej właśnie komnacie. Poza tym, to wyśmienity generał, a generał nie może piastować urzędu harona. Rozumiesz mój tok rozumowania, szanowny generale?

- Rozumiem – przytaknął Yazor. Jego spokój przesywał pierś Kaia na wskroś. – Czy jednak odjadę z pustymi rękami?

- Zadbam o to, żeby się tak nie stało – odparł jowialnie król.

- Generał nie może być haronem, ale haron może zostać księciem? – Kastirron uniósł ramiona z rozpaczą.

- Kai nie dostanie żadnego królewskiego tytułu, ale rozumiem troskę mojego ojca o los Cerro. Po tym, co stało się dzisiaj, chyba wszyscy rozumiemy. To durna, uparta dziewczyna, która nie poradzi sobie bez męża. Ja jestem królem, mam własną rodzinę, a dla Cerro żaden ze mnie autorytet. Mój ojciec musiał wierzyć, że Kai jakoś ją ujarzmi.

Zabębnił palcami w podłokietnik.

- A ty w to wierzysz? – uśmiechnął się do Kaia. – Pięć lat jej nie widziałeś, ale jeśli pamiętasz, jaka z niej była Wilczyca, to wiedz, że teraz jest dwieście razy gorzej.

Kai uświadomił sobie, w centrum jakiego absurdzu się znalazł i na moment zabrakło mu tchu.

- Wasza Wysokość... Ja... mam poślubić Cerro?

- No tak. Zgodnie z ostatnią wolą mojego ojca. A coś ci nie odpowiada?

- Wolałbym raczej...

- Przyprowadźcie tu Cerro, chyżo! Tylko nie dajcie jej się znowu pogryźć!

Strażnicy ruszyli ku wysokiej, półkolistej katedrze, z której jeden z haronów kiedyś podobno spadł, skręcając sobie kark. Kai nie wiedział, dlaczego akurat teraz przypomniał

sobie tę opowieść swego ojca, mówił mu o tym, kiedy raz wracali z Nauenemem, ile lat wtedy miał? Trzynaście? Tyle, ile Silarus, kiedy pierwszy raz pacyfikował Zlewisko...

Jeden z królewskich strażników brzęczał pękiem kluczy, gmerając coś przy siedzącej na katedrze dziewczynie. Kiedy w końcu wstała, dalej brzęczała – brzęczały łańcuchy, którymi miała skute nadgarstki i stopy ukryte pod rozłożystą spódnicą jej sukni. Cerro była odpowiednio umalowana, a jej jasne, luźno upięte włosy opadały na ramiona drobnymi falami. Suknię miała białą z powodu żałoby, ale wcale nie skromną i smutną, tylko ostentacyjnie ponurą, pełną haftów i koronek, szeroką jak klosz od lampy i wykończoną rękawami sięgającymi kolan. Przypominała bardziej łabędzia niż Wilczycę, ale Kai z tego jednego spojrzenia wiedział, co Myron miał na myśli. Gdzieś za jego plecami rozległ się gwizd Omara Wiatru W Polu.

Chciał uciec. Chciał uciec i nie patrzeć ani na jej twarz, ani na kajdany, ani na suknię. Jego niema panika nie uszła uwadze haronów, toteż stał dalej na środku tej okropnej komnaty, mając ochotę zapaść się pod ziemię. Już wcale nie obchodziła go tajemnicza misja powierzona mu przez tego, kto wysłał mu *Kodeks Harona w służbie Świętej Unii*, ani nie obchodziły go te zdradliwe twarze gotowe sprzedać stołek zajmowany przez prawie trzysta lat przez jego rodzinę człowiekowi, który przed właściwie chwilą chciał Świętą Unię zniszczyć, a który siedzi sobie swobodnie, oczekując rekompensaty za utratę czegoś, co nigdy mu się nie należało. Teraz Kai chciał wrócić na Letnie Morza, na nieznane lądy, żeby odkrywać więcej rybostworów, smażyć się w dzień, marznąć w nocy i zapełniać swój podróżniczy dziennik. Gdyby wiedział, do czego go tu zmuszą...

- Oto twój przyszły mąż, kochana siostro – rzekł radośnie Myron, otaczając Kaia braterskim ramieniem.

- Nie pobędzie nim długo – wycedziła, a łańcuchy na jej przegubach zadzwoniły, kiedy zacisnęła pięści. – Prędzej zdechnę niż za niego wyjdę, a na pewno on przedzej zdechnie niż położy na mnie łapska...

- Głośno szczeka, prawda? A podobno wilki wyją, i to tylko w pełnię...

- Wstręt mnie ogarnia jak tylko na niego patrzę! To banita, tchórz i kretyn, nie widzisz tego, Myron? Ktoś taki ma być trzeci w kolejce do tronu? Zastanów się, co robisz! Hańbisz nie tylko mnie, ale swoje własne nazwisko! Zresztą, od kiedy haronom wolno żenić się z księżniczkami?!

- Wygląda, że od teraz, droga siostro. Taka była wola Jego Doskonałości naszego ojca.

- Wola człowieka, który tuż po jej zadeklarowaniu wyleciał z okna w najwyższej wieży! Chcesz wszystkim wmówić, że myślał wtedy trzeźwo?!

- Dosyć, przestań jazgotać! Wyjdziesz za Kaia Kohara, choćby wstret miał cię ogarniać nawet na widok waszych dzieci! Rzekłem, czy wszyscy słyszeli?

Tłum wzniósł radosny toast, a Myron zaszeptał do ucha Kaia:

- Jest trochę nie w sosie – przyznał. - Próbowała uciec w czasie pogrzebu ojca. Szczęśliwie, nadjechał akurat generał i przyprowadził ją z powrotem do domu. Muszę teraz przedyskutować jego nagrodę. Baw się, Kai, i witaj w domu!

Oddalił się, klepnąwszy go w plecy, a Cerro wciąż stała, mordując go wzrokiem, zanim otoczył ją wianuszek lamentujących guvernantek.

- Wychyl ze mną kufel, Wietrze W Polu – Usłyszał za sobą głos króla, który widocznie już zapomniał o swych powinnościach. – Czy nie pracujesz zwykle sam? Jak to się stało, że znalazłeś się w harońskiej hanzie?

Kai zaciągnął zęby, zastanawiając się, jak się czuje, co czuje i dlaczego. Czuł się wściekły i żałosny. Dostał to, czego chciał - a mimo to czuł się wściekły i żałosny.

Móże nie jest jednak za późno? Już nikt nie zwraca na niego uwagi, nie ma tu i tak żadnego sojusznika, wszystkim by ulżyło, gdyby zgarnął Atiana, wymknął się z zamku i wrócił do felsidów, do Strażnicy Świata, na statek i na Letnie Morza...

Nagle jednak wyrósł przed nim Silarus. Kai prawie otworzył usta, by wezwać swoją słomianą ochronę, prawie położył dłoń na rękojeści swej szabli, kiedy Silarus wystawił do niego odzianą w grubą rękawicę rękę.

- Kopę lat – mrucnął, uśmiechając się kwaśno. – Ale proszę, jakie los płata figle.

- Nie da się zaprzeczyć – odpowiedział po chwili Kai.

Milczenie dłużyło się, a jego wisząca w powietrzu ręka wyglądała na coraz mniej pewną.

- Przepraszam – powiedział Silarus głośno i wyraźnie. Kai zamrugał, żeby rozproszyć oszołomienie burzące jego wizję. – Za to, co ci zrobiłem. Ale teraz jestem dużym chłopcem. Umiem odróżnić dobry rozkaz od złego.

Kai ścisnął mocno jego dłoń. Silarus obdarzył go pełnym ulgi uśmiechem.

- W sumie nie każdy rozkaz, który wtedy dostałeś, był taki zły – odpowiedział. – A przynajmniej nie każdy mnie skrzywdził.

- No to kamień z serca. Oby więcej takich rozkazów.

- Oby.

W czarnych oczach Silarusa zamigotało coś zływrogiego, ale i bardzo znajomego, co Kai pamiętał z najlepszych lat swojego dzieciństwa. Sam nie mógł wiedzieć, że w jego własnych zielonych oczach rozbłysło przez chwilę dokładnie to samo.

### ROZDZIAŁ III

Ślub Itsuka i Moth odbył się w dzień, w którym spadły pierwsze mizerne śniegi. Jej matka przyjechała aż znad Wielkiej Wody, żeby przywieźć córce futerko i sukienkę, których nie powstydziłaby się nawet księżniczka Cerro, i zabrała ze sobą pomarszoną, ślepą jak kret babkę, która wyglądała, jakby miała wyzionąć ducha lada moment, nabierając rumieńców tylko pod wpływem bimbru, który wywoływał na jej twarzy szczęśliwy, szczerbaty uśmiech.

Moth wstydziła się nieco tej swojej zabiedzonej rodziny, dla której nigdy nie miała dość pieniędzy, ale Itsuk zapewniał ją, że ta na pewno nie ma jej tego za złe. Jemu samemu na świecie nie pozostał już nikt poza schorowaną ciotką, która wysłała list z najlepszymi życzeniami i przeprosinami, że się nie pojawi, toteż do swojej nowej rodziny odnosił się z najwyższą życzliwością.

Oczywiście musieli nieco jej nakłamać; że są zaręczeni już od paru miesięcy; że Itsuk już niedługo zostanie mistrzem i założy własną piekarnię; że obydwoje zarabiają godziwe pieniądze i lepiej sobie życia ułożyć nie mogli. Mistrz Tauron i pani Sarina stanęli zresztą na wysokości zadania, o obydwu swoich pracowników wyrażając się w samych superlatywach.

Znajomi Itsuka, w większości pracownicy piekarni, i nieco liczniejsi znajomkowie Moth, z którymi poznała ją pani Sarina, również przybyli tłumnie, przynosząc mnóstwo ciast, owoców, wina i gorzałki. Wszyscy zebrali się w małej kapliczce na ulicy Przyskalnej, gdzie urzędnik w imieniu Harona Przyjaźni połączył ich dlonie czerwoną szarfą, „a serca skuł magmowym łańcuchem”. Pobłogosławił ich, uczynił mężem i żoną i wręczył klucze do przyznanego im mieszkania.

To mieszkanie było w tym wszystkim najważniejsze, było szczytem marzeń i Itsuka, i Moth, i pewnego brudnego, zabliżionego chłopca, który, choć zaproszony, za bardzo wstydził się przekroczyć progu i tak zatłoczonej kaplicy. Siedział więc na dachu piekarni i tylko czekał, aż wszyscy wysypią się za szczęśliwą młodą parą, która wśród lichego śniegu zaprowadzi ich do tego wspaniałego mieszkania.

Miało dwie małe izby i jedno okno, które było dziurą zasklepioną drewnianymi okiennicami. Wielu gości musiało czekać na zewnątrz, kiedy matka i babcia zmywały Moth miakaon, a potem ją i Itsuka namówiono na ślubny taniec, którego tańczyć nie umieli, który wywołał więcej śmiechu niż wzruszenia i który rozpoczął jedną wielką całonocną balangę.

Skylle wśliznął się do cuchnącego gorzałką mieszkania, kiedy wszyscy już zniknęli, zostawiając młodą parę samą. Zastał ich siedzących w pustym pokoju, opartych plecami o

zatechłą ścianę i już chyba przysypiających. Itsuk jednak usłyszał kroki Skyllego i najwyższym wysiłkiem woli otworzył oczy.

- Już myślałem, że nie przyjdiesz – wymruczał, ściskając dłoń Moth, której głowa zwisała bezwładnie, poruszając się w rytm miarowego oddechu. – Co to za mina?

Skylle prawie płakał. Itsuk nigdy nie widział go płaczącego. Uświadomił sobie wtedy po raz pierwszy od początku ich znajomości, od kiedy przyłapał Skyllego na kradzieży bułki z piekarni mistrza Taurona, że to nie jest zdzięcałe wilczętko zmuszone do życia w mieście, tylko dziesięcioletnie ludzkie dziecko zmuszone do życia samemu.

- To teraz twój dom, Skylle – Itsuk wyciągnął do niego rękę. – Chodź tutaj.

Łzy runęły z oczu chłopca jak dwa wodospady. Rzucił się w ramiona Itsuka i zaczął szlochać, wyć i drapać jego pierś, wciskając głowę w jego kark. Itsuk objął go ze smętnym uśmiechem, a Moth obudziła się gwałtownie i zaraz zasnęła znowu, z ręką na plecach Skyllego i głową na ramieniu Itsuka.

\*

Ślub Kaia i Cerro odbył się w dzień, w którym Naucenemes pokryła gruba kołdra śniegu. Do ołtarza w kaplicy Modrego Oka prowadził ją Myron, blokując jej ramię w żelaznym uścisku uniemożliwiającym ucieczkę, gdzie pieprz rośnie. Podobną funkcję pełniła piękna czerwona suknia o ogromnym, rozłożystym dole, która wyglądała na tak delikatną, jakby miała rozerwać się przy najmniejszym odrobinę zbyt gwałtownym ruchu. Księżniczka nie miała już kajdan. Nie były jej potrzebne. I tak nie miała gdzie uciec.

Kiedy Haron Przyjaźni z jadowitą kpiną w oczach wiązał ich dlonie czerwoną szarfą, Kai nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Bardziej rzeczywista wydawała mu się wyspa rządiona przez sfinksa gdzieś na Letnich Morzach niż to, że klęczy przed nienawidzącym go człowiekiem, obok nienawidzącej go kobiety, której on też, swoją drogą, nigdy nie darzył szczególną sympatią, i jeszcze recytuje wraz z nią „Niechaj Szary Człowiek skuje nasze serca nierozerwalnym magmowym łańcuchem.”, a na pytanie „Jakie są twoje uczucia względem niewiasty u twoego boku, a twoje względem młodzieńca u twoego boku?” bez wahania odpowiadają „Kocham ją, a ja kocham jego.” A potem jeszcze całują się dwa razy w powietrzu obok uszu, krótko, niezręcznie, z dziecięcym niemal grymasem obrzydzenia. Jakże dziwny jest ten świat.

Silarus uśmiechał się do niego gorzko. Generał Yazor miał jakieś ważne sprawy do przedyskutowania z królem, więc szeptali do siebie przez prawie całe huczne wesele. Goście,

którzy zjechali z całej Świętej Unii, roili się na wszystkich pięciu piętrach zamku, wystrojeni, pijani, śmiejący się z księciunia-banity Kaia i Wilczycy Cerro. Kai skłamałby, mówiąc, że ich spojrzenia i chichoty mu nie przeszkały. Cerro przez cały czas telepała się z wściekłości.

Mikaon zmywały jej królowa Habren i księżniczka Liara. Gdyby matka i siostry Kaia odpowiedziały na zaproszenie, to one ścierałyby teraz farbę i brokat ze skóry księżniczki. Nie pojawiły się jednak i na jaw wyszło, że Kai nie rozstał się ze swą rodziną w przyjaznych stosunkach. Widmo rozbioru zawisło nad Pavilonem. Kai usilnie starał się o tym nie myśleć... ale czemu matka i siostry miałyby nie zamieszkać z nim w Modrym Oku? *Kodeks* na to zezwalał, Myron też był mu dość przychylny. Więc to po prostu upór i duma haronei sprawiały, że czuł się tak podle... Choć Modre Oko było znane jako siedziba haronów, decyzja Kaia o pozostaniu w nim na stałe i tak wywołała plotki – czyżby zamierzał ciągnąć za sznurki u rąk króla, tak jak robił to Gaius z Eneisem? Czyżby ten chłopak miał jednak głowę na karku? Czyżby chciał jak najszybciej spłodzić potomka? Po co mu on, skoro wyrzekł się ziemi? Może niebezpiecznie było przyznać mu ten urząd? Może jest jeszcze bardziej nieprzewidywalny niż generał Yazor?

Żadna z tych spekulacji, czy prawdziwa czy nie, nie miała żadnego znaczenia, bo Kai złożył już śluby i będzie Haronem Sprawiedliwości do momentu, kiedy wyzowanie ducha albo zrezygnuje.

Przysięgę złożył jeszcze tego samego dnia, w którym przybył do zamku, na oczach ostentacyjnie obojętnych Temidanów. Klęczał, okryty ciężkim wilczym futrem, oparty na rękojeści Magmowego Mieczu, ze szkarłatnolistnym wieńcem na skroniach, a naprzeciwko niego klęczeli haroni z pochylonymi głowami. Przed Kaiem stał Myron w Magmowej Koronie na głowie, z uśmiechem prosiąc go o złożenie ślubów. Przysięgę haroni wymyślali sami, ale oczywiste jest, o jakiej cnocie powinni w niej wspomnieć i jakie uczynki obiecać czynić.

Przysięga Kaia była tak krótka, że przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał, czekając na ciąg dalszy.

- Ślubuję być takim Haronem Sprawiedliwości, jakim nakazuje być *Kodeks Harona w służbie Świętej Unii*, moje serce i rozum.

Główy haronów lekko drgnęły. Nigdy nie słyszeli o żadnym *Kodeksie*, Kai wiedział. On sam nigdy o niczym takim nie słyszał, dopóki nie przeczytał tytułu na pierwszej stronie tomu przywiązanego do ostatniej woli jego ojca. Zdążył już w tej sprawie napisać do Uliasa, i dowiedział się tyle, że Ulias dostał książkę wraz z listem od matki. Ale ona zaprzeczała. Czy ktoś z nich kłamał? Czy ta tajemnicza książka była prawdziwym *Kodeksem*? Skąd ona się w

ogółe wzięła w jego rękach? Nie miał pojęcia. Czuł tylko, że w większości jest dobra, słuszna i potrzebna.

- Powstań zatem, Haronie Sprawiedliwości – przemówił w końcu król. – Powstań i służ ludowi Świętej Unii tak jak nakazał nam Szary Człowiek.

Bardzo chwalebna chwila, ukryć się nie da. Siedząc teraz na tej cholernej parodii wesela, przyglądając się beznamiętnie, jak woda w balii miesza się ze spływającym makijażem Cerro, Kai nienawidził siebie nieskończenie. Nienawidził też ojca, króla Eneisa, niech Szary Człowiek pomoże im w wędrówce, Myrona, Silarusa, Yazora Temidana, swojej nowej żony, swojej matki, w dowolnej kolejności. Yazor Temidan był teraz najbliższy, przyglądał się ceremonii, rozmawiając ze swoim młodszym synem, toteż Kai skumulował swoją nienawiść na nim, w tym przypadku zimną i wykalkulowaną.

Wygląda na to, że generał Yazor nie przejął się przejęciem tytułu przez Kaia tak gwałtownie jak można się było tego spodziewać. Tak samo jak Kai, przybył na zamek w towarzystwie gwardii, która była o wiele groźniejsza niż jego banda przebierańców. Na dzień dobry schwytał uciekającą księżniczkę, wyświadczając królowi wielką przysługę, a mimo tego wszystkiego nie dostał upragnionej posady. Niewiele wystarczyło, żeby wywiązała się z tego sieczka między ich ludźmi – a jednak nie wywiązała. Co Yazor planował teraz? Jakie przysługi wytargował od króla w ramach rekompensaty? Myron-król sprawiał na Kaiu wrażenie dziecka zachwyconego swoją koroną i wielkim placem zabaw, w którym może robić co chce. Mówił jednak czasem rzeczy zaskakujące stanowczością, przebiegłością i cynizmem. Może wygląda z niego krew Eneisa i Hestii? Może ma jakichś tajnych, dobrych doradców? Może Wielki Szeptacz jest sojusznikiem Sprawiedliwości?

Pewne było, że Myron nie słuchał haronów i cały czas stawał po stronie Kaia. Dlaczego? Z powodu sentymentu, przekory czy własnych, tajemniczych planów? Jeśli właściwe jest ostatnie przypuszczenie, jaką rolę odgrywa w nich Kai? Czy chce ją odgrywać? Jak się pozbyć tego wstrętnego przeczucia mówiącego mu, że jest tylko poruszana przez kogoś kukiełką? Może Yazor Temidan...

Mögę sporo się zmieniało przez te pięć lat wygnania do felsidów? Czego chciał wtedy Yazor? Chciał zniszczyć Świętą Unię od środka, przekonywał do istnienia Szarego Boga, który nadchodzi i którego jest prorokiem. Może już tego nie chce? Nie byłoby to takie dziwne. W końcu to, co wygadywał, wciąż jest mu wypominane. Ale jednak przybył do Modrego Oka z gwardią i wydaje się, że jego autorytet znowu jest niezachwiany – do tego stopnia, że przekonał do siebie pozostałych haronów. Czym? Władzą? Pieniądzmi? Ziemią? Ludźmi? Wydaje się, że mają tego wszystkiego pod dostatkiem. Więc co im dał i czego chce?

- Boli mnie od tego głowa – westchnął Kai, przechylając naraz cały puchar wina. – Co ja, do cholery, wyprawiam?

Atian popatrzył na niego, już lekko podpity, i nie odpowidał nic. Ludzie wreszcie przestali śpiewać i pozwolili księżniczce wstać. Zaczęli też śmiać się, bić brawa i wznowić toasty. Cerro nie miała już farby na twarzy i rękach, i stała ze spuszczoną głową, wyraźnie nie wiedząc, co teraz zrobić. Królowa delikatnie uniosła jej głowę i szepnęła coś na ucho, a Cerro parsknęła śmiechem, którego nie dała rady zdławić.

- Jest całkiem ładna – Atian szturchnął Kaia w ramię.
- Za długi nos – burknął w odpowiedzi.
- Za to świetny posag.

Jedna dłoń Kaia szarpnęła za przód koszuli chichoczącego admirała, a druga zaciśnięła w pięść, kiedy jedno słowo przeszło po wszystkich szmerem, aż zamieniło się w pełen ekstazy wrzask i krzatanię.

- Taniec! Taniec! Taniec!

Sflaczała ręka Kaia przesunęła się po jego twarzy.

- Kurwa, taniec... Jak wyglądam?

Spojrzał na Atiana przekrwionymi oczami wyglądającymi spod ocięgałych powiek. Opadały na nie rozburzone kosmyki rudych włosów i z całej chwiejnej postawy Kaia wynikało, że wypił o wiele za dużo jak na początek weselnych uroczystości.

- Świeśnie!

- Haronie? – zaczepił ich nerwowy służący. – Już czas na pierwszy taniec.

- Idę, idę – westchnął Kai i zaczął gramolić się zza stołu, odrzucając pomoc Atiana. Ten natomiast parsknął śmiechem, starając się za dużo nie mrugać, żeby nie przegapić żadnego nadepnięcia księżniczce na stopę czy zupełnej porażki przy piruecie.

Atian przyglądał się Kaiowi, kiedy zamkowi instruktorzy uczyli go tańczyć, i zdążył przy tej okazji wyśmiać się za wszystkie czasy. Warto było zaznaczyć tej wątpliwej przyjemności podróży z Regiseree do Naucenemes tylko po to, żeby zobaczyć, jak nieporadny w tańcu może być cholerny mistrz azyrydy i szabli. Ale, musiał to przyznać, nie była to wyłączna wina Kaia, bo taniec ten sam w sobie był bardzo skomplikowany. Miał też jakieś niesamowite znaczenie symboliczne, podobno stworzyła go jakaś tam wzięta trubadurka z milion dwieście lat temu z miłości do kogoś tam, a chociaż melodia była całkiem przejmująca i nieco za smutna, jak na taniec weselny, to Atian nie miał pojęcia, czemu musi to być tak popłatane.

Początek, kiedy na parkiecie jest tylko dwoje świeżych małżonków, może i jest prosty, ale w tym czasie okrążają ich, coraz ciasniej, inne kobiety i mężczyźni. Kiedy melodia robi

się żywtsza, każda z każdym musi raz prędko zawirować, wymieniając się w szaleńczym tempie z zegarmistrzowską precyzją. Na koniec panna młoda ma wylądować w ramionach pana młodego - inaczej małżeństwo będzie wyjątkowo pechowe. Kai podczas ćwiczeń potrafił porozrywać niechcący suknie wszystkim partnerującym mu służkom albo poturbować całą wirującą spiralę. Atian trzymał się za brzuch ze śmiechu, kiedy zauważył, że inni, łącznie z Kiem, robią to samo. Wcale się go nie bali, a on czuł się o wiele swobodniej, kiedy nie było przy nim żadnych szlachciur. Znowu był sobą, tym Kiem-felsidem, przybranym i lepszym niż Sygiet starszym bratem admirała Atiana, i ludzie go za to widocznie lubili. Nie grał wtedy ani kretyna, ani strażnika moralności. Był sobą, zupełnie sobą, i Atian cierpiał bardzo, wiedząc, że takich momentów w jego haronowym życiu może nie być za wiele.

Teraz na przykład nie był w stanie grać nawet samego siebie. W pierścieniu zaciśniętym wokół parkietu nie było już żadnych roześmianych służących, tylko haroni, Temidanowie, lirrowie, król, królowa, wielkie damy i nadworna czarodziejka Chevita wystrojona jak pstrokaty ptak z Regiseree. W takim towarzystwie przez samo nieumyślne trącenie łokciem może wybuchnąć skandal, a Kai na pewno nie da rady tego uniknąć. Straszna myśl przeszła mu przez głowę, kiedy ktoś poprawiał kołnierz jego szkarłatnego kubraka, a wszyscy się na niego gapili – co, jeśli w tej kotłowaninie któryś z Temidanów wbije mu nóż w brzuch? Och, chyba ostatkiem sił wycałowałby go po zakrwawionych rękach.

Grajkowie zaczęli grać, a Kai, klnąc pod nosem, musiał wyjść na spotkanie Cerro. Wpatrując się w czubki swoich butów, dygnęli prędko i zetknęli dłońmi, by zacząć się powoli obracać. Kai zacisnął powieki, starając się wyłowić z tłumu najcichszy śmiech, ale słyszał tylko muzykę. Teraz musiał położyć rękę na sztywnej talii Cerro i zmienić kroki, szybciej i szybciej.

Pierwszy odważył się unieść głowę, i Cerro instynktownie zrobiła to samo - natychmiast jednak znowu wbiła wzrok w podłogę. Faktycznie, nie była brzydka, ale nie była też zjawiskowej urody. Była nijaka. W upiętym wysoko koku wydawała się być od niego wyższą. Jej brwi były prawie niewidzialne. Jej skóra prawie przezroczysta. Kai pamiętał, że Cerro zawsze była krzykliwa, marudna, narzekała, że nie może nosić spodni i uczyć się walczyć, a kiedy zbliżało się jej Zakwitanie, ryczała nad mikaonem i zarzekała się, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Tolerowali się wtedy. To na jej Zakwitaniu Temidanowe próbowali go отруć. Szary Człowiek ma czasem gorzkie poczucie humoru.

Wreszcie mógł ją wypuścić z ramion i zostawić samą, w tej pięknej szkarłatnej sukni, przerażoną i upokorzoną nie mniej od niego. Sam, w pauzie, która nastąpiła w melodii, wzniósł ręce i zaklaskał, a wszyscy do niego dołączyli. Zajął miejsce za haronem Maginotem,

na końcu półkola mężczyzn, i wraz z nimi, gorączkowo przypominając sobie kroki, zaczął powoli okrążać Cerro.

Stała na środku parkietu jak kołek, nie wiedząc, co zrobić z rękami. Wiedziała, że powinna w tym momencie się kołysać i obracać, ale nie była w stanie się ruszyć. Krąg wokół niej się zawężał, wyszczerzone twarze zbliżały się, zbliżały i nie chciały przestać, a nią wstrząsnął przenikliwie zimny dreszcz, jakby przełknęła oślizłą, szamoczącą się żabę. Wolałaby już cały czas tańczyć tylko z Kiem Koharem niż tak po prostu stać i czekać. Dobrze, że muzyka ruszyła natychmiast, kiedy ukłoniła się przed nią uśmiechnięta głupkowato twarz Myrona, bo pewna była, że dostałby w te wielce królewskie zęby.

Atian wyciągał szyję, by zobaczyć każde potknięcie Kaia, ale szło mu nad podziw dobrze. Uśmiechał się nawet prędko do każdej kolejnej kobiety wpadającej w jego ramiona, przezornie jednak wzrokiem szukając Cerro, która też starała się nie spuszczać go z oczu. Jeszcze brakuje im szyderstw na temat pechowego małżeństwa! Czasem napotykali się wzrokiem i wtedy szybko go odwracali, i wciąż jakoś dawali sobie radę w szalonym tempie, w które wpadła teraz muzyka.

Do momentu, w którym w ramiona Kaia wsunęła się nadworna czarodziejka Chevita.

- Uciekaj stąd, Kaiu Koharze – syknęła, korzystając z tych kilku chwil, które ze sobą mieli, i po prawej ręce Kaia przebiegł bolesny dreszcz, jakby wsunęła mu w dłoń rozżarzoną bryłę węgla.

Natychmiast skoczyła do następnego mężczyzny, a Kai odwrócił za nią głowę.

Cerro to zauważyła. Wyszczeryła się natychmiast do tego, z kim tańczyła, a był to akurat Silarus Temidan, który, lekko skonfundowany, odpowiedział tym samym. Cerro znowu zerknęła na Kaia, a on, trzymając dziwacznie ręce i wciąż wodząc wzrokiem za tą suką Chevitą, zapomniał o następnej partnerce.

- Cooo?...

Kiedy lyrra Deline chwyciła go za dlonie, odskoczyła z piskiem jak poparzona, wytrącając tych tańczących za nią z równowagi. Nastąpiło tam wielkie poruszenie, a Cerro wciąż tańczyła, teraz z Yazorem Temidanem, teraz z Haronem Mądrości, teraz nie wiedząc, z kim, bo wciąż patrzyła na Kaia...

Atian ryczał ze śmiechu wraz z innymi gośćmi. Kai, po tym jak zaczął wszystkich przepraszać, powodując jeszcze większy chaos, wziął niechcący w obroty łysego i zdegustowanego Harona Pokoju. Kiedy skończył przepraszać i jego, wreszcie dorwał dziewczynę, z którą powinien był teraz tańczyć, a zrobił to z takim entuzjazmem, że łokiem grzmotnął Harona Przyjaźni w nos. Teraz już nawet nie przepraszał, zbyt spanikowany

faktem, że nigdzie nie widzi Cerro. Jej szkarłatna suknia wreszcie zawirowała niedaleko od niego, i zostawił aktualną partnerkę, żeby doskoczyć do księżniczki i chwycić ją w pasie, chociaż mieli przed sobą jeszcze jedną zmianę.

Stali więc tak, zziajani i czerwoni ze wstydu, podczas gdy goście kończyli taniec, a muzyka litościwie zamilkła. Rozległy się brawa, śmiechy i chóralne nawoływanie do podniesienia panny młodej. Cerro wyplątała się z ramion Kaia, mierząc go nienawistnym spojrzeniem.

- Przynajmniej skończyliśmy ze sobą – rozłożył bezradnie ręce.

Odwróciła się napięcie i odeszła, pozwalając otoczyć się damom dworu, a Kai mógł wreszcie wyjść na dwór i wyrzygać się za wszystkie czasy.

\*

Kiedy Silarus odnalazł Ceadmille, ona już na niego czekała. Siedziała na ośnieżonym murku otaczającym zamkową kaplicę, opatulona futrem tak grubym, że okrutny pazur mróz nie miał prawa jej dosiągnąć. Kamienna figura wyobrażająca Szarego Człowieka wpatrywała się w otchłań pomiędzy szczytami Falgonów, odwrócona do Ceadmille plecami. O te właśnie plecy oparł się Silarus, po czym zaczął się Ceadmille po prostu przyglądać.

I ona przyglądała się jemu, głowę opierając na dloni odzianej w skórzana rękawiczka. Jej mikaon był biały jak śnieg, a zdobienia wokół jej oczu były brunatne, tak samo jak jej włosy, które potrafiły sięgać pasa. Teraz jednak były upięte wysoko i rozkładaly się na boki jak pączek czekoladowej róży, okalając jej twarz długimi kosmykami.

Silarus westchnął głęboko. Tylko to i stłumione przez ogrodzenie śmiechy weselnych gości zakłócały ciszę pomiędzy nimi. Silarus nie wiedział, co powiedzieć. Ale wiedział, że nie da rady nie powiedzieć nic.

- Przepraszam – podjął w końcu – ale dostałem rozkaz.

Ceadmille tylko wzruszyła ramionami rudego futra, w którym wyglądała jak upersonifikowanie sarniego uroku. Jej karmazynowe usta rozciągnęły się od jednego namalowanego na jej policzku przycupniętego na gałęzi zimorodka do drugiego.

- A już się bałam, że przyjechałeś tu dla mnie – powiedziała.

Silarus, co prawda, nie słyszał brzmienia jej niskiego głosu od blisko pół roku, ale za cholę nie mógł sobie przypomnieć, by na jego dźwięk w okolicach jego mostka kiedykolwiek rozeszła się taka fala gorąca.

- W życiu – zapewnił.

Ceadmille wstała i poprawiła futro, które zsunęło się z jej ramienia, odsłaniając kobalt sukni. Spojrzała na Silarusa, przekrzywiając głowę jak ciekawski kot.

- Co ci się stało w szyję? – zapytała.
- Miałem starcie ze stojakiem na miecze – przyznał.
- Ojej. Boję się myśleć, jak on teraz wygląda.
- Możesz mi wierzyć, że zostało niewiele do zbierania.

Roześmiała się, a wokół mostka Silarusa znów zapulsowało coś, co wyobrażało sobie jako ciepłe, rozkoszne kręgi na wodzie.

- Przespacerujemy się? – zaproponował.
- Skoro nie masz ciekawych pomysłów.
- Mam, ale brakuje mi odwagi.
- Dobrze, że wynaleźli na to lekarstwo.
- I że jest go tu pod dostatkiem.

Większość panien bałaby się o swoją reputację zbyt mocno, by ująć Silarusa pod ramię. Ale nie Ceadmille. Jej dotyk był jak kręgi na powierzchni bursztynowego wina, które pulsowały tuż po zanurzeniu w nim ust.

Silarus robił wszystko, naprawdę wszystko, co w jego mocy, żeby się w niej nie zakochać, kiedy maszerował z nią przez skrzący się śniegiem wewnętrzny dziedziniec. Skupiał się na tym tak bardzo, że zapomniał o rozmowie z nią.

- W Zlewisku pewnie trudno o taką piękną zimę, prawda? – przypomniała się.

Szli teraz zewnętrznym dziedzińcem, mijając pochłonięte sobą pary i poszukujących towarzyszy samotników z dwoma pucharami wina w ręku. Płuca Silarusa były wypełnione czymś ciepłym i różowym - czymś, za czym, miał teraz wrażenie, tesknił cały czas nieprzerwanie od swojej ostatniej poufnej rozmowy z Ceadmille odbytej, kiedy kończyła swoje wczasy w Euterpe, a on przysięgał jej, że już nigdy się nie zobaczą.

- W ogóle trudno tam o cokolwiek pięknego – oznajmił wesoło, odpędzając jakiekolwiek wspomnienia o Zlewisku. – Wszystko, co piękne, prędko stamtąd ucieka.

- Mhm.

Ceadmille nie zaszczyciła go spojrzeniem. Jej uśmiech był wyraźny, ale niemożliwy do jednoznacznej interpretacji jako zadowolenie.

- Jak podoba ci się wesele? – podjął.
- Och, bardzo. Ale cieszę się, że nie jest moje.
- Nie chciałabyś zostać haroneą?
- A ty chciałbyś zostać księciem?

- Ledwo sobie radzę, będąc pułkownikiem.

- Zbyteczna skromność, jak zwykle. Świeście sobie radzisz, wykonując rozkazy, i nawet te z pozoru nieprzyjemne potrafisz przekuć w przyjemność. To cecha wielkich przywódców.

- Tak panienka myśli?

- Tak właśnie myślę. Jesteś, pułkowniku, stworzony, by celować wyżej. Nie powinieneś się przed tym wzbraniać.

- Cóż... Dzisiaj celowałem, by spędzić z panienką chwilę w walcu aregorskim, a nawet to mi się nie udało.

Kąciki ust Ceadmille uniosły się jeszcze wyżej.

- Nie tańczyliśmy razem od pół roku, a pułkownik życzy sobie ledwie chwilę?

- Życzyłbym sobie znacznie więcej, gdybym nie był zbytecznie skromny.

Ledwo spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek, a płuca Silarusa już wypełniły iskry.

- Dobrze wiedzieć, że rwie się pułkownik do tańca ze mną nie tylko na dworze harona Kastirrona.

Silarus usilnie próbował się nie roześmiać.

- Rwałbym się do tańca z panienką nawet na dworze harona Immali.

Szturchnęła go delikatnie, kiedy oboje parsknęli zduszonym śmiechem, po którym wewnętrz głowy Silarusa wypełniło się płynną euforią. Gdyby był w stanie pomyśleć trzeźwo, wiedziałby, co to znaczy – ale nie był.

Skręcili w kierunku zamkowej bramy z nadzieją, że znajdą jakiś kącik równie zaciszny, co zamkowa kaplica, a jednak odrobinę mniej upiorny. Przyspieszyli, kiedy usłyszeli bardzo psujące nastrój odgłosy. Momentalnie panikujący Silarus zaczął mówić głośno i szybko o pięknie nocy, zimy, i w ogóle tych okolic, przez co nie usłyszał ostrzegawczego okrzyku Ceadmille i wdepnął w coś miękkiego i obrzydliwego, co na pewno nie było śniegiem.

Kiedy spojrzał w dół, zobaczył w dodatku zgiętego w pół Kaią, który trzymał się kurczowo ściany Modrego Oka i patrzył to na niego, to na Caedmille spomiędzy mokrych włosów.

- Niech cię demony porwą, Kai... - wymamrotał z wściekłością Silarus, wycierając but o śnieg. – Mam wrażenie, jakbym cofnął się w czasie. Zawsze właziłeś mi w paradę, choćby w najmniej korzystny dla samego siebie sposób.

Kai go zignorował i ukłonił się nieporadnie przed damą.

- Co za radość dla moich oczu... - wybełkotał, wpatrując się w plamę własnych rzygowin.

- Dla moich utrapienie, haronie Koharze – Ceadmille odpowiedziała z najszczerszą troską. – Cóż ci zaszkodziło?

- To całe wirowanie i przeskakiwanie... Jakże cudownie tańczysz, panienko...

- Doprawdy? Kiedy już nadeszła nasza kolej, doskoczył haron do swojej panny młodej i już jej nie wypuścił.

- Naprawdę tak zrobiłem? Och, jaki ze mnie kretyn...

Zwymiotował znowu, zanosząc się kaszlem i kwaśnym smrodem, przed którym czmychnęli nawet spacerowicze krążący wokół stajni. Silarus westchnął z bólem.

- Caedmille, zostanę tu z nim trochę, a potem... Postaram się cię nie szukać.

Ceadmille, ku jego zaskoczeniu, przewróciła oczami.

- Po prostu mnie znajdź. Nie trzeba mi dzisiaj więcej melodramatyzmu.

Uśmiechnęła się, widząc jego zakłopotanie, ścisnęła znaczaco palce jego dloni i odeszła, zakrywając nos kołnierzem futra. Silarus odprowadził ją zamglonym wzrokiem do wnętrza zamku, a sam usiadł na zmarzniętych kamiennych schodkach, wyciągnął spod płaszcza swoją zdobioną fajkę i sfatygowaną piersówkę, i czekał, aż Kai wszystko z siebie wyrzuci.

Ten w końcu opadł, wyczerpany, obok Silarusa, i otarł pot z czoła.

- Najgorszy dzień w moim życiu – oznajmił.

- Jesteś pewien, że nie miałeś gorszych? Jak ten, kiedy twój własny ojciec się ciebie wyrzekł.

- Wtedy przynajmniej nie kazali mi tańczyć. Ach, no ale dzień wcześniej przyjaciel próbował mnie otruć. Strasznie by mi się przez te pięć lat nudziło, gdyby nie plan twojego tatusia.

Silarus uśmiechnął się pod nosem i przekazał fajkę Kaiowi.

- Co z twoją kondycją? Felsidom nie pozwala się pić?

- Jasne, że pozwala, ale tylko rum i bimber, nie te mdłe sikacze serwowane tutaj.

Rany, Silar, ten tytoń musiał kosztować ze sto cersenów!

- Może i tak, ale ja mam za bezcen. Ze Zlewiska.

- Och, no tak. Jak tam było?

- Wiesz, co? Głupi jestem, że o tym wspomniałem, nie chcę o tym gadać.

- No cóż, ja chcę o tym słuchać, a to moje psie wesele. Bardzo twarzowe blizny stamtąd przywiozłeś, tę świeżą musiał ci zrobić ktoś wyjątkowo sprawny. Słyszałem, że stumilés aż siedem powstań. Twój ojciec musi wreszcie być dumny.

- Raczej wściekły, że dopuściłem do siedmiu powstań w ciągu czterech lat. Przez poprzednie dziesięć wybuchły tylko trzy.

- O, no to faktycznie... I co, wykopał cię?

- Sam odszedłem. Nie mogłem już tego znieść. Nigdy tam nie wróczę.

- Dlaczego?

- Nie pamiętasz opowieści o Zlewisku? Brud, smród i ubóstwo, zawsze nam tak mówili, no i tak jest, tylko że sto razy gorzej. Przerażająca większość mieszkańców Megarantu to niewolnicy, nieważne, w jak ładne słowa to ubierzesz, taka jest prawda i nic z tym nie można zrobić. Kobiety, dzieci, starcy, siedzą za wielkim płotem i czekają, aż ktoś ich pośle na pole albo budowę. A do tego są skończonymi kretynami; próbowałem poprawić ich sytuację, wyciągałem do nich pomocną dłoń, a oni chcieli odgryźć ją aż do barku. Stąd te bunty. Miałem dość. No a co z tobą? W końcu to ty spełniłeś nasze dziecięce marzenie i zostałeś poszukiwaczem przygód.

- Znalazłem tych przygód mniej niż się można spodziewać... Dopiero pół roku temu znaleźliśmy sposób na potężny wir wodny i dopłynęliśmy dostateczne daleko, żeby odkryć coś ciekawego. Na przykład małą wysepkę, która tak jakby... śpiewała. Kiedy podpływaliśmy bliżej, aż piszczało nam w uszach i nie mogliśmy nawet zbliżyć się wystarczająco, żeby ją zbadać. Albo inną, która okazała się olbrzymią martwą jaszczurką, na której żerowały syreny, które zniszczyły nam statek i zabiły trzydziestoosobową załogę... I odkryliśmy wyspę, a może cały ląd, który nazwaliśmy Regiseree. Były tam olbrzymie ptaki, zmienność małe, fioletowe jeziorko, sfinks, i potwory... Teraz żałuję, że tam nie zostałem i nie posłałem Uliasa Odkrywcy w pizdu, kiedy jego ludzie przyjechali z testamentem ojca.

Westchnął żałośnie i odgarnął pozlepiane włosy. Silarus prędko się opamiętał, kiedy uświadomił sobie, z jak zazdrosnym wyrazem twarzy słucha gorzkiej relacji Kai.

- Masz – podał mu manierkę.

- Chyba już za dużo wypiłem.

- To ci pomoże, zaufaj mi.

Kai już wyciągnął rękę, ale nagle ją cofnął. Silarus z początku nie miał pojęcia, o co mu chodzi. Kiedy zrozumiał, przewrócił z irytacją oczami i pociągnął tego z naczynia.

- Daj spokój, Kai, to było jeszcze w poprzednim życiu. Przeprosiłem cię już za to, a ty, odniosłem wrażenie, te przeprosiny przyjęłeś.

Rzeczywiście, Kai chyba nie żywił urazy, toteż przyjął manierkę niezręcznym ruchem i przełknął drobnego łyczka. Jego gardło stanęło w ogniu, jakby napił się płynnego żelaza.

- Och!... Silarus! To wódka z jadem anchorów, skąd ją wytrzasnęłaś?

- No wiesz, w Zlewisku hodują różne rzeczy, nie tylko ryż i tytoń. Nie wspominaj o tym ani mojemu ojcu, ani Melowi, proszę.

- Się rozumie. Swoją drogą, Silar, skoro już o nim wspomniałeś... Mnie zabije niewiedza, czy twój ojciec naprawdę skończył z tym Szarym Bogiem. I czy wiedział coś więcej, poza tym swoim snem. No i skąd miał ten miecz? Bez wiedzy o tym nie mogę chyba w pełni przyjąć twoich przeprosin.

Zerknął na niego ciekawsko, ale Silarus tylko uniósł brew, zaskoczony.

- Szary Bóg... Kiedy ostatnio słyszałem te słowa? Nikt już o tym szaleństwie nie pamięta.

- Król wydaje się pamiętać.

- No ta... Król i ty. Myślicie, że bez was w Świętej Unii wszystko staje w miejscu?

- Oszczędź mi wywodów, a nie skąp mi szczegółów.

Silarus zaśmiał się i odkaszlnął, kołysząc manierką.

- I tak mi nie uwierzysz – powiedział cicho, bacząc obserwując dziedziniec.

- Zawsze lubiłem nieprawdopodobne historie – Kai nachylił się, żeby nie uronić ani jednego słowa.

Tym razem Silarus zaśmiał się bez humoru i westchnął głęboko, przekazując wódkę rozmówcy.

- Pamiętasz opowieści o Ludziach Nieba?

- Och, no jasne!

*Oto idzie Człowiek z Nieba.*

*Jemu miecza nie potrzeba.*

*Nie potrzeba azyrydy*

*Żeby zakuć ciebie w dyby.*

*Tam, gdzie Człowiek z Nieba przejdzie,*

*Wszystka ziemia jego będzie.*

*Śpij spokojnie, pókiźdrów,*

*Zanim Człowiek przyjdzie tu!*

- Szary Człowieku, nie musisz tego teraz deklamować...

- Niania mi to recytowała, kiedy mówiłem, że chcę posłuchać jakichś strasznych historii. Zwykle wybuchałem płaczem przy wersie o koniach. Kiedy byłem bardzo mały, oczywiście...

- Mhm. Jeden z Ludzi Nieba był szpiegiem grającym służbę mojej matki.

Kai wypuścił manierkę pełną wódki, za co Silarus skłął go siarczyście.

- Co takiego?! Człowiek Nieba?! Szpiegował twoją matkę?!

- Zamknij się, to tajemnica wagi państwowej! Mam mówić dalej czy już mi całkowicie przebaczyłeś?

- Mów dalej, tylko... *prawdziwy* Człowiek Nieba?! Jak wyglądał? Miał gwiazdy zamiast oczu i oślepionego konia? Szedł przed siebie, wyaławiając ziemię i nigdy nie umarł? Czemu szpiegował twoją matkę? I w ogóle, co to ma wspólnego z...

- Właśnie próbuję ci powiedzieć, kretynie! Więc słuchaj i mi nie przerywaj, bo się rozmyślę. Gotów?

Kai pokwał gorliwie głową, czekając na opowieść, a Silarus westchnął ponownie.

- Dawno, dawno temu, pewnego słonecznego popołudnia Melvourne powiedział mi, że znalazł dziwny list. Ile miał wtedy lat, z dziesięć? Był wscibski, w każdym razie. Tłumaczył się, że służka mojej matki, która miała zupełnie pospolite imię Mitra, schowała list w rzeczach pałacowego stajennego, i on „tak jakoś sam wypadł i się rozerwał”. Mel był ciekawy, jak porozumiewała się ze sobą służba, której nie podejrzewał o piśmienność. W środku był list napisany przedziwnym językiem i Mel, chcąc się pośmiać, przyniósł list do mnie. Dla mnie język wyglądał jak szyfr. Szukałem czegokolwiek podobnego w księgach i nie mogłem nic znaleźć. Miałem co do tego złe przeczucie, ale powiniensem był... Powiniensem po prostu nic z tym nie robić. Ale poszedłem do matki, ona wezwała do siebie Mitrę, zablefowała, że wie o jej szpiegostwie, a Mitra przyznała, że jest szpiegiem Ludzi Nieba.

Kai westchnął z zachwytem, a Silarus dopił resztkę wódki i skrzywił się od kwaśnego jadu.

- Ten jad z dna jest w stanie zabić dziecko, ale ja już trochę...

- Mów dalej o tej służce! Jak zareagowała twoja matka?

- Podobnie jak ty, była okropnie podniecona. Wypytywała Mitrę, czy to prawda, że ich lud po prostu idzie przed siebie, że nie ma armii, że są nieśmiertelni, że mają niesamowitą wiedzę. Mitra odpowiadała bez żadnych oporów, na wszystko twierdząco. Powiedziała, że szpieguje w stolicy Unii, bo jej lud już nadchodzi, a prowadzi go Szary Bóg Reon.

Powiedziała, że Szary Bóg to najstarszy, najmądrzejszy z nich. Że prowadzi ich od wieków. Matce nie bardzo chciało się w to wszystko wierzyć, ale niedługo po przesłuchaniu Mity ojciec miał sen i obudził się z Magmowym Mieczem w łóżku.

Silarus pociągnął nosem.

- Nieliczne księgi w Unii mówią cokolwiek o Ludzie Nieba, poza tym, że jest bardzo tajemniczy, nieśmiertelny, niepokonany i idzie przed siebie, zajmując każdy skrawek ziemi jak chmury nieboskłon. Bliżej im raczej do metafory naturalnego kataklizmu albo dziejowego postępu niż do narodu, a jednak teraz mieliśmy do czynienia z jego reprezentantką, której słowa potwierdzały sen mojego ojca. To wszystko niby pół-legenda, ale jeśli miała się okazać prawdziwa, to Ludzie byli już blisko. Mój ojciec był bardzo... wstrząśnięty tym snem. Kiedy powiedzieliśmy mu o Mitrze, mając nadzieję, że domyśli się, że musiał być to jakiś podstęp, zaczął traktować ją jak proroka. Postanowił zachować jej istnienie w tajemnicy. Mojej matce to odpowiadało, bo chciała się nią jeszcze pobawić. Nie odpowiadało jej jednak to, co postanowił zrobić ojciec, a postanowił zrobić to, co kazał mu Szary Bóg. Tak więc pojechaliśmy do Naucenemes i sam wiesz, jak zostaliśmy potraktowani. Szary Bóg poprosił ojca o przygotowanie kraju Ludzi Kamienia na nadziejście Ludzi Nieba, mówił, że Święta Unia to siedlisko zła i zepsucia, ale, no. Sam wiesz. Nic z tego nie wyszło.

- Czekaj, nazywają nas Ludźmi Kamienia? To brzmi całkiem groźnie.

- Albo Ludźmi Skał. Pomyślałem sobie tak samo, że och, jesteśmy tacy silni i groźni, twardzi jak skała. Ale Mitra, kiedy i ja ją wypytywałem, bo zżerała mnie ciekawość, powiedziała, że to dlatego, że nasze ciała, zamiast być chłonne i elastyczne jak gąbka albo chmura, są ociężałe jak kamienie, a nasza kultura prymitywna, niezmienna i tępia.

- Och. To bardzo nieuprzejmę.

- Prawda? Po całej tej błazenadzie wróciliśmy do Rhagos. Ojciec wciąż kombinował, jak uratować Unię, a ja, jak udowodnić tym Ludziom z Nieba, że wcale nie jesteśmy tacy tępów. Moja mama za to zainteresowała się innym mitem o Ludziach Nieba – ich nieśmiertelnością.

- Takie historie nigdy nie kończą się dobrze.

- Ech, gdybyś kiedyś o tym zapomniał, przypomnij sobie historię mojej rodzinieckiej. Mitra powiedziała, że Ludzie Nieba umierają, ale inaczej i później niż inni. Powiedziała, że jej matka miała trzysta lat, kiedy umarła w pięćdziesięcioletnim cielesie. Mama chciała koniecznie wiedzieć, jak osiągnąć taki wiek, a Mitra odpowiedziała, że umrzeć, i to wiele razy. Mama nic z tego nie rozumiała, ale obiecała Mitrze wolność w zamian za tajemnicę długowieczności. Wyjaśnienia Mity były bardzo skomplikowane. O ile dobrze pamiętam, a odtwarzając to w myślach wiele razy, Ludzie Nieba umierają tak jak wszyscy, zabici, ze

starości, strawieni chorobami. Ale wiele lat temu odkryli metodę reinkarnacji, która pozwala im tak jakby przenieść się ze swojego ciała do innego. Przeniesienie to umożliwia im połknięcie smoczego zęba, robią to jeszcze jako niemowlaki. W zębach tych zaklęta jest magia, a poza tym czarodzieje namaszczają dziecko specjalnymi olejami i powierzają je nadprzyrodzonej sile, którą traktują jak jakąś ochronę czy coś. Kiedy człowiek, który połknie ten ząb, umrze, będzie można go przenieść w inne, martwe ciało. Widzisz więc – muszą umrzeć dwie osoby, żeby ta jedna mogła żyć dalej. Albo mogą się wymienić, jeśli oba ciała są wciąż sprawne.

Kai milczał, próbując ogarnąć to wszystko rozumem.

- Pic na wodę – zawyrokował finalnie
- Mhm – przytaknął Silarus, obejmując kolana długimi ramionami, jakby miał lat czternaście, a nie dwadzieścia cztery.

- I co, koniec historii? Co się stało z Mitrą?

- Oczywiście, że to nie koniec historii, bałwanie. Nie było jeszcze morału. Kiedy wróciliśmy do Pałacu, skompromitowani, mój ojciec był... wrakiem. Nie był sobą, odkąd obudził się z tym mieczem, i nie chciał przyjąć do wiadomości, że dał się zrobić w chuja, że ten jego sen był podstępnią iluzją zeslaną przez wroga... Ja postanowiłem o całej sprawie zapomnieć. A moja matka zażyczyła sobie sprawdzić, ile prawdy jest w legendach i zażądała tej nieśmiertelności. Mitra, z pewnymi oporami, załatwiała jej spotkanie z magiem–szpiegiem znającym się na reinkarnacji. Kiedy wyjaśniła mu, że jest postawiona pod ścianą, zgodził się przeprowadzić rytuał. Mama połknęła smoczy ząb, chociaż mag ostrzegał, że kiedy zrobi się to w wieku niemowlęcym, magia z niego zaczyna krążyć w całym ciele, a w wieku mamy to bardzo ryzykowne. Nie obchodziło jej to. Namaścił ją olejami, kazał znaleźć ciało mające mniej więcej tyle lat, ile ma jej. Wtedy jest większe prawdopodobieństwo powodzenia, zresztą to bardziej etyczne według ich praw. Tu moja mama napotkała problem – przecież chce porządne ciało, nie skórę jakiejś żebraczki umarłej z głodu w ciemnym zaułku...

- Czekaj, czekaj, czekaj, Silarus. Twoja matka była rozsądnią kobietą. Nawet jeśli w to uwierzyła i nie zweszłyła podstępu cuchnącego na siedem kailów, to dlaczego nie wzięła na próbę jakichś dwóch służek?

- Zrobiła to. Na Mitrze i jakieś pomywaczce zadziałało.

Szczęka Kaia osunęła się między jego stopy. Silarus siedział, marszcząc brwi, zdenerwowany nie wiadomo na co.

- Zamieniły się ciałami?

- Tak. Mitra żyje chyba do tej pory. Nie wiem, gdzie ojciec mógłby ją przetrzymywać, nawet nie pyтай. Ciało Mitry, teraz należące do zbaraniałej służącej, było bliższe wieku mamy, więc je sobie zażyczyła, a Mitrze ucięła język.

- Twoja matka?! Lyrra Ines?! Ucięła komuś język?!

- Myślisz, że twoja matka postąpiłaby inaczej? Że i moja, i twoja nie zrobiły tego już wcześniej? Na litość Szarego Człowieka, Kai, masz być politykiem, musisz się wyzbyć tej naiwności.

- Ale... Lyrra Ines...

- Lyrra Ines postanowiła zaszlachtować służącą w ciele Mitry i nagle stanęła przed poważnym dilematem – teraz musi zabić siebie. Służącą wystarczyło zaprowadzić do ciemnego lochu i poderżnąć jej gardło, ale co zrobić ze sobą? Nie miała na to wystarczająco odwagi. Nie ufała Mitrze i magowi. Wiesz, na co wpadła? Wspaniałomyślna lyrra Ines chciała, abym to ja ją zabił.

Z zamku wyskoczyła rozchichotana para, bezceremonialnie oglądając się na Kaia i Silarusa.

- Wtedy dopiero dowiedziałem się o całej intrydze – kontynuował Silarus. – Oczywiście nazwałem ją szaloną i kazałem jej spieprzać, a na koniec zagroziłem, że powiem ojcu. Wtedy poszła do Mela.

- Co takiego?! Ile on wtedy miał lat?! Dziesięć, jedenaście?!

- Więc się nie sprzeciwiał. Był przerażony i nauczony, że rozkazy należy wykonywać bez zajęknięcia. Mel mówił potem, że mama podała mu ledwo otarty z krwi służącej sztylet i kazała dźgnąć się prosto w serce, tak jak ona dźgnęła służącą. Strasznie płakał, i kiedy opowiadał, i pewnie wtedy... Wszyscy mówili mu, że wszystko będzie w porządku. W końcu odmówił nad mamą modlitwę i przebił jej serce. Kiedy wyzionęła ducha, mag miał jakieś osiem minut na przeprowadzenie rytuału. Mel uświadomił sobie w końcu, że nie wraca do życia ani ciało służki, ani ciało mamy. Mag wzruszył ramionami i powiedział, że się nie udało, że moc ze smoczego zęba nie zdążyła wrosnąć w mamę. Plugawy skurwysyn. Przechytrzył moją matkę, zagrał na jej próżności tak, że zadągał ją jej własny syn. Przechytrzył lyrrę Ines, Kai. Ty bałeś się Ludzi Nieba jako dziecko, a ja boję się ich teraz.

Ktoś wypadł z zamku, by zwymiotować. Ze środka dochodziły zawodzące weselne pieśni. Musiała zbliżać się godzina podziwiania podarków od gości.

- Jak zareagował wasz ojciec? – spytał cicho Kai.

- A jak myślisz? Zamknął się w krypcie z jej trupem i siedział tam bez jedzenia aż do pogrzebu. Zaraz potem jak zapewne zamordował skurwysyna. Albo zamknął go gdzieś, gdzie może sczeznąć jak wesz.

- Czyli gdzie?

- A bo ja wiem? Ani ja, ani Mel nie byliśmy w nastroju na pytanie o szczegóły.

- A jak potraktował Mela?

- Jak ojciec. Objął go i wyraził szczere współczucie, że ma ciężar matkobójstwa na swoich barkach.

- Mhm. A ciebie?

Silarus wyszczerzyłzęby i wzruszył bezradnie ramionami.

- „Dlaczego nic mi nie powiedziałeś, Silarus?! Nigdy nie wiesz, kiedy reagować, Silarus! Nie mam już nic do stracenia, więc zabij Kaia Kohara, żebym został haronem, Silarus!”

- Nie otrząsnął się z tego Szarego Boga nawet po śmierci Ines?

- Nie wiem, czy kiedykolwiek o niego chodziło... Na gościńcach mówią, że może zawsze chodziło tylko o tytuł. O Świńskiego Lyrra, który chciał zostać haronem.

- A ty jak uważasz?

Silarus próbował wytrząsnąć z manierki chociaż jedną kropelkę wódki.

- Ledwo o tym wszystkim pamiętam, Kai, a ty mi jeszcze każesz mieć opinię?

- Odniosłem wrażenie, że jednak dość sporo o tym rozmyślałeś.

- Ta? No to jesteś bardziej pijany niż mi się wydawało. Ech, ale ja też muszę się napić, bo już mi dupa odmarza. Zapomniałem, jaki w tym zamczysku panuje cholerny ziąb.

Modre Oko było o wiele mniejsze niż pamiętały. Było obskurne, niedostępne, o mury obijał się wiatr. Nie było sali balowej, ani wielkiej jadalni, ani gigantycznych ogrodów i fontann. Był za to mur ze skał i wykute w nich biblioteki. Był wewnętrzny dziedziniec i astronomiczne obserwatorium. Mnóstwo, mnóstwo sekretów, których nie zdołali odkryć jako dzieci.

- Twoi goście zaraz zaczną się niecierpliwić – rzucił z uśmiechem Silarus.

- Moi goście? Jacy mo... A, to moje wesele...

Silarus parskał śmiechem.

- Nie zazdroszczę ci, Kai. Myślałem, że Cerro gardzi mną bardziej niż tobą, ale mile mnie dzisiaj zaskoczyła – uśmiechnęła się do mnie podczas waszego doskonałego walca!

- No coś takiego, to może się zamienimy? Ty bierz sobie Wilczycę Cerro, a ja taką tam przeciętniarę, panienkę Ceadmille.

- Hmm, rozważę to, kiedy i mnie wreszcie wyrzeknie się ojciec.

Kai zaklął siarczyście i zanurzył rękę w śniegu, by uklepać kształtną kulę, która rozprysnie się na nosie Silarusa. Ten zaśmiał się i pochylił, by zrobić to samo, ale nagle złapał Kaia za nadgarstek i szarpnął nim, by móc mu się lepiej przyjrzeć.

- Co ty, do cholery, masz na ręce?

Na prawej dłoni, tej samej, którą w tańcu rozpaliała mu czarodziejka Chevita, żarzyło się wściekle jedno krótkie słowo - „UCIEKAJ”.

\*

Przez resztę wesela Kai i Cerro nie zamienili ze sobą właściwie ani jednego słowa. Kai próbował, co prawda, pytać ją o samopoczucie lub preferencje kulinarne, lecz zaprzestał po jej siódmym zirybowanym zabębnienniu palcami w oparcie krzesła.

Prezentów, wzniosłych pochwał i najlepszych życzeń było co niemiara. Kaiowi w pamięć zapadła krowa dająca złote mleko - dar od rolników z Naauzyki - i kamienny pomnik jego i Cerro, zakochanych i zapamiętałych w tańcu wyglądającym o wiele majestatyczniej, kiedy była pomiędzy nimi bardziej imponująca różnica wzrostu niż w rzeczywistości. Dostał też jeden piękny miecz, mnóstwo azyryd, książę, instrumentów od fletni i harmonik po długie trąby i ogromne harfy. Ichos Zdobywca, generał felsidów z zachodu powiadomił ich, że jeden z nowych statków płynących przez Wielką Wodę ochrzczony został imieniem Sprawiedliwość, a jego dziób wyobraża księżniczkę Cerro jako skrzydlata syrenę. Oboje byli tym pomysłem co najmniej zmieszani.

Król sprawił im pięć małych szczeniaków o sierści w kolorze siwego złota, które wyrosnąć miały na maszyny do udanych polowań. Haron Mądrości podarował im zresztą własnoręcznie ustrzelonego i oskórowanego daniela. Członkowie Krwawych Ostrzy i cała reszta, której Kai zdołał już się pozbyć, przysłali słój świetnej gorzałki, w którym podobno marynował się palec Phineasa Nożownika. Od Temidanów nowożeńcy otrzymali dwa czarne ogiery o błękitnych oczach, od rodziny panienki Ceadmille ogromny dywan wyobrażający bitwę felsidów z potężnym morskim potworem, a Atian wręczył Kaiowi naszyjnik upleciony z pstrokatych muszlek zebranych na plaży Regiseree, który Kai natychmiast przywdział. Z dwóch błękitnych admirałów zrobił nieco toporne kolczyki dla Cerro, którymi, zmuszona gestem Kaia, musiała zastąpić swoje rubiny.

Kiedy do stosu prezentów podeszła Chevita, urósł on o ruchomy zaczarowany obraz, na którym sportretowano Cerro opartą o poręcz jednego z balkonów w Modrym Oku, nad

którego widać było odległe, szarpane wiatrem lasy wokół Naucenemes. Cerro na obrazie miała zamysłone, skupione oblicze, a rozwiane złote włosy przesłaniające od czasu do czasu jej pozbawioną makijażu twarz odgarniała ręką prawdziwie królewskim gestem. Malowidło wywołało wielki zachwyt i, sądząc po wyrazach podziwu kierowanych w stronę puszącego się jak paw Myrona, był jego fundatorem, podczas gdy Chevita użyła magii, by się poruszało i sprawiało wrażenie, jakby Cerro była rzeczywiście zamknięta w jego ramach.

- Prezent dla księżniczki – ukłoniła się uprzejmie czarodziejka. – Ufam, że zarówno mi, jak i Jego Wysokości udało się oddać faktyczne piękno Jej Miłości.

Wszyscy, łącznie z poczerwieniałą jak burak Cerro, widzieli, że w rzeczywistości nie wygląda ona ani tak dojrzałe, ani tak dostośnie, ani tak romantycznie, ani tak pięknie.

- Dziękuję, magini – mruknęła, zawierciwszy się w krześle. – To wyjątkowy prezent.

Zadowolona z siebie Chevita przeniosła drapieżny wzrok na Kaia.

- Haronowi przekazałam prezent podczas walca. Ufam, że będzie ci dobrze służył.

Kai zmarszczył brwi, czując swędzenie na naznaczonej przez czarodziejkę ręce. Chevita wcale nie czekała na jego podziękowania, tylko odeszła, odprowadzana zaintrygowanymi spojrzeniami.

- Pizda – Kai mógłby przysiąć, że usłyszał to w swoim prawym uchu. Odwrócił się do Cerro.

- Słucham?

Obdarzyła go tak nienawistnym spojrzeniem, że już do końca wesela nie odezwał się do niej naprawdę ani jednym słowem.

Kiedy pierwsze promienie słońca ukazały się heroldowi i cała ta ledwo trzymająca się na nogach hałastra odprowadzała trzymających się za ręce Kaia i Cerro do sypialni, wyając uroczystą pieśń, która ze zwrotki na zwrotkę robiła się coraz bardziej nieprzyzwoita, Kai całą siłą woli powstrzymywał się, żeby zwyczajnie nie wybiec z zamku, nie wskoczyć na błękitnookiego rumaka i nie uciec, uciec, uciec byle dalej, poczekać na Atiana i wrócić do felsidów, gdzie jego miejsce, gdzie życie jest prostsze i ma chociaż minimum sensu; gdzie nie byłby wystawiony na pośmiewisko i gdzie nie zmuszano by go do robienia tych wszystkich podłych rzeczy; gdzie nie musiałby trzymać za śliniką i drżącej rękę dziewczynę, która go nienawidzi, brzydzi się nim i po prostu go nie chce. Zresztą z wzajemnością.

- Szary Człowieku, uratuj mnie, proszę...

Chyba tylko Cerro usłyszała jego mamrotnie, bo wbiła konwulsyjnie paznokieć w jego dłoń.

Wreszcie dotarli do tych cholernych drzwi, dano im do wypicia po kieliszku siarczystej wódki i Kai, z najwyższą niezgrabnością, podniósł Cerro na ręce. Przecisnął jej wielką suknię przez próg wysprzątanej, pachnącej owocami i oświetlonej świecami sypialni księżniczki, która teraz była też jego sypialnią, a za jego plecami zapłakana wiekowa piastunka Cerro zatrzasnęła drzwi.

Włosy zjeżyły się Kaiowi na głowie. Śmiechy, zawodzenia starych matron i pijackie śpiewy ucichły w oddali. Niańska zapieczętowała drzwi i jej szybkie kroki również po chwili umilkły. Kiedy zapanowała lodowata cisza, Cerro odepchnęła go gwałtownie i zeskoczyła na posadzkę. Tupiąc z gniewem pantoflami, stanęła w drzwiach prowadzących do łazieni i spojrzała mu prosto w oczy tak, jak się patrzy larwie wygrzebanej z pysznego placka.

W ręku trzymała jeden ze ślubnych podarków – bogato zdobiony nóż do papieru.

- Jeśli myślisz, że dam ci się tknąć, to się grubo mylisz. Możesz mnie skuć, możesz mnie bić, możesz mnie zabić, nic mnie to nie obchodzi. Zadbam o to, żeby zadżgać cię, zanim skonnam.

Kai przez chwilę poruszał ustami jak zdziwiona ryba, próbując wycisnąć z gardła jakikolwiek odgłos.

- Nie zamierzam...

Huknęła łazienkowymi drzwiami, zza których natychmiast dobiegł jej gorzki szloch, przeradzający się prędko we wrzaskliwy szal. Kai opadł na łóżko i, pocieszony myślą, że powiedziała do niego aż dwa całkiem treściwe zdania, wydobył własny nóż, przeciął nim skórę na lewym przedramieniu i upuścił kilka kropel na złociste prześcieradło.

\*

Życie Skyllego nigdy nie było łatwe, ale teraz było przynajmniej szczęśliwe.

Kiedy zdomowiał się w maleńkim mieszkaniu Itsuka i Moth, po kilku dniach wyraził wielki żal, że z tego, co wyżebrze albo jednorazowo zarobi, nie może w żaden sposób dokładać się do czynszu i jedzenia. Tak wzduchał, jęczał i unosił się honorem, że Itsuk zaprowadził go w końcu przed srogie oblicze mistrza Taurona i zarekomendował jako idealny materiał na dostarczyciela pieczywa do Modrego Oka. Tauron zmierzył go powątpiewającym spojrzeniem od góry do dołu.

- Mamy już dostarczyciela, i to békarta Harona Pokoju – mruknął, skrobiąc coś na pergaminie. – Jesteś w stanie przebić te predyspozycje?

- Wszystko jestem w stanie! – oświadczył poważnie Skyrle, chwytając się dziarsko za boki. – Ten chłopak to kmiot i bękart, jak sam mistrz słusznie zauważył. Niby opłaca sobie te lekceje miecza, ale na co mu one, skoro to taka piz...

- Skyrle! – szturchnął go w ramię Itsuk. – Po pierwsze, pamiętaj, z kim rozmawiasz. Po drugie, co ci do tego, na co ten chłopak wydaje pieniądze i jak bardzo mu się to opłaca?

- A to, że cokolwiek ja bym z nimi nie zrobił, opłaca mi się bardziej...

Itsuk szturchnął go znowu, ale mistrz Tauron uśmiechnął się leciutko nad swoimi papierami.

- Wątłyś, chłopcze – ocenił go surowo i niesprawiedliwie. – Trudno mi uwierzyć, że wbiegłbyś na pagórek przy Bramie Pavilońskiej, a co dopiero między szczyty Falgonów.

- No bo mistrz mnie nie zna! Jestem sprytny i bardzo silny! I szybkonogi! Dobrze mówię, Itsuk?

- Ech, tak, bardzo dobrze...

- Widzi mistrz? Zna mistrz uczciwszego chłopa niż Itsuk? Proszę wybaczyć, ale nie sądzę. To jak będzie? Proszę mnie chociaż na próbę wziąć, nie zawiodę na pewno!

Dopiero teraz Tauron odłożył pióro i przyjrzał mu się z uwagą, unosząc brwi.

- Dobra, niech to będzie akt miłosierdzia z mojej strony. Jutro pobiegnesz na próbę. Jak się sprawdzisz, będziesz biegać z bękartem na zmianę, co daje ci trzy dni pracy w tygodniu. Siódmego dnia będę wybierał tego, który lepiej się w danym tygodniu sprawił, i dostaniecie wtedy dwukrotność normalnej stawki, niech stracę. Ale tylko, jeśli jutro się sprawdzisz i cię zatrudnię, rozumiesz? Masz się stawić na piątą rano, pojmujesz to? Nie zapomnij, bo sława mojej piekarni legnie w gruzach i każę Itsukowi wypłacać odszkodowanie, a ciebie sprzedam do Zlewiska, rozumiesz? I pachnij jutro nieco lepiej. Ogólnie, prezentuj się lepiej. Przystajesz na te warunki?

Skylle wracał do najpiękniejszego domu na świecie, skacząc pod samo niebo i śpiewając ze szczęścia.

Opowiedział wszystko Moth, która, skulona na kulawym taborecie, zawzięcie dziergała rękawiczki z paskudnej zielonej włóczki.

- Bardzo jestem rada, Skyrle – powiedziała, kiedy jadł kartoflankę, rozpryskując ją po całym stole. – Ale nie boisz się, że porywasz się z motyką na słońce? Dobiec w dwie godziny na szczyt Falgonów z pięćdziesięcioma bochenkami chleba na plecach to nie byle jaki wyczyn. I dopiero co cię odwszawiłam, ale co, jak niedokładnie i jakieś paskudztwa przejdą na chleb?

- Śmiesznie by było, jakby cały dwór dostał wszy.

- No... Cięźko się z tobą nie zgodzić.

Chichotali chwilę, wyobrażając sobie nowego króla i wszystkich haronów, łącznie z tym nowym, rudym księciuniem i księżniczką, czochrających swoje piękne arystokratyczne loki. Po chwili jednak Moth spoważniała i zaczęła dziergać jeszcze zacieklej.

- Jesteś taki słabiutki, Skylle. Przeziębisz się i padniesz w pół drogi. Zrobię ci chociaż czapkę, rękawiczki i ciepłe onuce, co?

- Ech, nawet się nie kłopocz, mam tam być jutro z samego...

- Dam radę, zobaczysz! Gdybym jeszcze miała trochę futra...

Miała. Przypomniawszy sobie o tym, odłożyła robótkę i na bosych stopach kurczących się od zimna podłogi podeszła do szafki, z której wyciągnęła wyliniałe futerko brązowego lisa, w którym brała ślub. Przycisnęła je do policzka z czułością, ale zaraz z nową energią przysiadła na taborecie.

- Obszyję ci czapkę futrem, żebyś sobie nie wyziewił uszu, przez nie najłatwiej o chorobę. A resztę zarzucisz sobie na plecy i niech mnie Szary Człowiek wyśmieje, jeśli to nie zapobiegnie wszelkiemu przeziębieniu!

Bardzo zadowolona z siebie, nie zwróciła nawet uwagi na pobladłą minę Skyllego. Spojrzała do niego dopiero, kiedy ten z brzękiem odłożył łyżkę.

- Co się stało? Nie smakuje ci?

- Bardzo smakuje – warknął. – Czemu to robisz?

- Co? Czemu co robię?

- To twoje jedyne futro, a ja nie potrzebuję niczego, a na pewno nie tego, żebyś siedziała całą noc i mi cokolwiek dziergała.

Moth zdębiała na chwilę, zaskoczona, a potem roześmiała się beztrosko. Chciała położyć rękę na kościstej dloni Skyllego, ale ten poderwał się jak poparzony, przewracając swój taboret. Moth zastygła z wyciągniętym ramieniem, wpatrując się w chłopca. Znowu wyglądał jak wilczę - gotowe, by kąsać, drapać i warczeć. Moth przeszył bardzo odległy dreszcz przerżenia, który czuła jako mała dziewczynka, kiedy wbiegła na czyjeś podwórko, żeby nazbierać kasztanów opadłych z klona, i usłyszała za swoimi plecami ostrzegawcze warknięcie strażniczego psa.

Dzięki łaskawości Szarego Człowieka, do mieszkania właśnie wszedł Itsuk, ziewając przeciągle. Moth natychmiast odrzuciła robótkę i wybiegła mu na spotkanie, a Skylle opadł na jęcząc olchowe łoże, trąc spoonymi rękami swe uda. Moth zaszeptała nerwowo, Itsuk odpowiedział, żeby się nie martwiła, a Skyle słyszał wszystko, każde jedno słowo, mimo bulgoczącej w nim złości.

Itsuk usiadł obok niego, wcale się go nie bojąc. On w końcu nie był aż tak głupi jak ta jego baba.

- Denerwujesz się? – zapytał pogodnie.

- Denerwuję?! Niby czym?!

- No jutrem. Zerwę cię z łóżka jak tylko wstanę, pamiętaj. Musisz się wyspać. I nie waż się przeziębić, jasne?

Dźgnął go palcem w pierś, na co Skylle zerwał się na równe nogi. Porwał ze zwisającego pod sufitem sznura na pranie swoje szmatki, którymi owinął sobie szyję, dlonie i stopy.

- Wybierasz się gdzieś?

- Ta – burknął i trzasnął za sobą drzwiami, wymijając stojącą w progu Moth szerokim łukiem.

Naucenemes było miastem historycznym na pierwszy rzut oka. Z samej jego prezencji można było wydedukować, jakie ostatnio ważne wydarzenia miały miejsce w Świętej Unii. Białe, zeszytyniałe od mrozu jedwabie świadczyły o żałobie po królu Eneisie, a pokryte lodem czerwone materiały i girlandy szkarłatnoliścia obwieszczały zaślubiny księżniczki i wybór nowego harona. Skylle szedł opustoszałymi ulicami, zapadając się w śniegu po kolana. Dopiero przy rynku zobaczył jakąś wystrojoną w futra kobietę zabawiającą gromadkę dzieci jazdą na małych, wyrzeźbionych z jasnego drewna sankach. Poprzyglądał się jej chwilę, schowany za rogiem budynku, aż przypomniał sobie, po co wyszedł z domu, i ruszył przed siebie.

Wyszedł w sumie tylko po to, żeby iść i się nie zatrzymywać, ale nogi niosły go instynktownie w jedyne miejsce w tym mieście, gdzie mógł liczyć na ciepłe przyjęcie. Wkrótce stanął pod najtańszą piwniczną speluną o wdzięcznym mianie Wisienka, na ulicy Gołębiarzy. Skylle zastanawiał się kiedyś, dlaczego tak się nazywa, skoro nie widział tu nigdy ani jednego gołębia, aż Korf wyjaśnił mu, że to przez to gówno, wcale nie ptasie, w którym toną tu wszystkie uliczki. Teraz było ono na szczęście przykryte gęstym śniegiem.

Do Wisienki nie miał śmiałości wejść, sam nie wiedział, czemu. Był bez grosza, owszem, ale chłopaki na pewno już wiedzą, że ma dom, a strach myśleć, co zrobią, jak dowiedzą się, że ma również pracę. No, może jeszcze nie ma, ale to kwestia paru godzin. Może Itsuk ma rację i Skylle powinien się wyspać? Może to marznięcie na tej pełnej choróbsk ulicy faktycznie nie wyjdzie mu na zdrowie?

Ledwo skierował się tam, skąd przyszedł, usłyszał śmiechy i dziecięce przekleństwa. Zatrzymał się, dopiero teraz zdając sobie sprawę z tego, jak głośno szczęka zębami, i

zobaczył wpadającą między powykręcane domki gromadkę jego kompanów i ich młodszych przydupasów. Arfo, Kilon, Mate i Korf uciekali przed potykającymi się o za duże worki po kartoflach sierotami, udając, że straszliwie cierpią przez rozpryskujące się o ich plecy śniegowe piguły. Mate nawet upadł na ziemię z płaczliwym wrzaskiem.

- Aaaaach! – zawył, zmuszając towarzyszy do zatrzymania się. – Nie! Nie, chłopaki, uciekajcie! Mnie nie zdołacie już uratować!

- Co ty bredzisz?! – wrzasnął z rozpaczą Korf. – Nie zostawimy cię tutaj!

- Już za późno... Oni... Słyszę ich... Nadchodzią... Nie możecie... Zostać...

- Mate...

- Chodź, tępaku – Arfo szarpnął towarzysza za ramię i pobiegli razem, uciekając przed gradem dziecięcych krzyków i śniegowych pocisków.

Zatrzymali się, widząc Skyllego.

- Stop zabawa! – krzyknął Arfo, unosząc rękę. Miał chyba jedenaście lat, był wysoki i nosił spodnie na szelkach. Naturalny lider grupy. – A mówiłem, że prędko znowu cię tu zobaczymy, Skylle. Z twoją nową rodziną nie wyszło?

- Wyszło – odparł cicho, unikając spotkania z jego wzrokiem. – Tak tylko chciałem zobaczyć, jak tam u was...

Słowa te spotkały się z lekkim zdziwieniem.

- Serio, Skylle? – podrapał się w poparzoną głowę Kilon. – Obchodzi cię jeszcze, co z nami?

- Jasne, że tak!

Zdziwiony był, że mogą go posądzać o zapomnienie. Sam bał się, że już nie będzie jednym z nich, że będzie wyrzutkiem z rodziną, pracą i domem, ale bez prawdziwych przyjaciół.

- Co wy, nie wierzycie mi? Zawsze będę z wami! Zawsze wam pomogę! Jak dostanę robotę, to się będę z wami wszystkim dzielił! Co wy, chłopaki? Ja to dalej ja, a ja bez was to nie ja... Wiecie przecież.

Patrzyli na niego chwilę, aż otaczająca ich dziecięca trzoda zaczęła z nudów znowu nacierać się śniegiem.

- Bawisz się z nami? – spytał Arfo, lepiąc ze śniegu pokaźnych rozmiarów pigułę.

Skylle spojrzał na księżyc nadymający pyzate policzki.

- Mhm – przytaknął i dał nura między dzieciaki, by uniknąć rzutu wymierzonego prosto w jego nos.

Móglby przysiąć, że ledwo położył się na pachnącym sianie w swoim kątku mieszkania Itsuka, ledwo zmorzył go cudowny, pełen wrażeń sen, a Itsuk już szarpał go za ramię i przysięgał, że jest rano, chociaż świat tonął w ciemnościach. Skylle skłał go porządnio, ale piekarz od siedmiu bolesci i tak usadził go przy stole, wsadził w rękę szklankę soku i wody miętowej, po czym naciągnął mu na stopy i głowę coś miękkiego i grzejącego w skórę. Czymś długim i czerwonym owinął też jego szyję. Dopiero wtedy Skylle otworzył szerzej oczy i zobaczył naprzeciwko siebie ciemnowłosą głowę Moth, opartą czołem o stół i pochrapującą z cicha. Druty i małeńki kłębek zielonej włóczki leżały obok jej skroni.

- Wypileś już? Chodź, śniadanie zjesz w piekarni – Itsuk już wkładał mu na ręce paskudne fioletowe rękawice, w których tylko kciuk miał dla siebie osobną komnatę. – No chodź, nie stój jak kołek! Jak się spóźnimy, to po twojej robocie!

Mrów uszczypnął Skyllego w nos tak dotkliwie, że całą twarz schował pod jaskrawym szalikiem, nad którym długą noc męczyła się Moth. Może i był na nią wściekły, może i nie potrzeba mu żadnej łaski, może i wystarczy mu tylko praca i miejsce do spania, może i nie ma się jak odwdzięczyć - ale teraz nie pozbyłby się swych niezgrabnych ocieplaczy za żadne skarby świata.

- Dłużej się trzeba było tłuc po dworze – burknął Itsuk, kiedy weszli do piekarni.

Zawsze przychodził najwcześniej, miał prawdziwego zajoba na punkcie tego chleba. Skylle wiedział, że swoją robotę zacznie za jakieś dwie godziny, kiedy będzie musiał załadować na wóz pięćdziesiąt rumianych bochenków. Usiadł więc przy ławie w sąsiedniej izbie, zjadł podaną mu bułkę i, nienawidząc Itsuka z całego serca, zasnął.

- Na Szarego Człowieka, Skylle! Pakuj wszystko na wóz, w tej chwili! Tauron już jest na ciebie wściekły!

Skyllemu wcale się nie spieszyło. Wyszedł na ulicę, powłócząc nogami, i otrzeźwił go dopiero śnieg starannie wcierany w jego twarz.

- Zabiję cię, kurwa, zaraz cię zabiję... – wyszcękał przez zęby, szukając w rękawie ukrytego noża.

- Już jesteś przytomny?

- Jestem już, kurwa, zostaw mnie!

Itsuk pomógł mu wypchać wóz chlebami, co mistrz Tauron obserwował z miną co najmniej sfermentowaną.

- To już wszystkie – Itsuk otarł pot z czoła. – No, chłopie, gotów jesteś?

- Mhm – odmruczał chłopak.

- Powodzenia, Skylle! – usłyszał za sobą krzepiący okrzyk Moth rozstawiającej swój stragan.

- Haronowie nie będą czekać całego dnia, przypominam! – wrzasnął wściekle Tauron, tłukąc o coś pięścią, więc Skylla złapał prędko za dyszle wozu i ruszył do przodu.

Wóz nawet nie drgnął.

Skylla mógłby przysiąc, że lodowata struga potu spłynęła w dół jego pleców. Napiął się z całych sił, aż upadł na kolana, a wóz nie drgnął ani o krotnie. Mistrz Tauron zaklął siarczyście.

- Rodion! Biegij po haronowego békarta, ale już!

- Nie! – wrzasnął rozpaczliwie Skylla i udało mu się pobiec z wozem na plecach. Szalik na jego ustach zawilgotniał od desperackiego dyszenia, ale biegł, wydawało się, całą wieczność, kiedy ramiona odmówiły mu posłuszeństwa i opadły bezwładnie.

- Nie w tę stronę, kurwa! Zamek jest w tamtą, ty tępą łamago!

Rozkładający swoje stragany sprzedawcy obserwowali go ze śmiechem, kiedy zawracał, sapiąc i dusząc się własnym oddechem.

- Gubisz mój chleb, do jasnej cholery! Mój najlepszy na świecie chleb!

Jakieś szare od brudu dziecko skoczyło jak małpa po te dwa bochenki, które spadły z wozu, i zniknęło między domami.

- Dam radę – wychrypiął do Itsuka wciąż stojącego tam z żałosną miną. Mistrz Tauron wygrażała mu pięścią, a Moth przyciskała dlonie do ust, jakby się czegoś przestraszyła. – Dam radę!

- Dawać mi tu tego békarta!

- Jak chłopak mówi, że da radę, to da radę – usłyszał za sobą kobiecy, jadowity głos.

- Jest słaby jak mucha, a powolny jak zółw! Już jest spóźniony! Zresztą zarżnie się w tych górach, spójrz tylko na niego!

Skylla widział już Falgony. Ogromne, strzeliste, śliskie, kamienne Falgony. Wysoko pod samym niebem. Uśmiechnął się do tego widoku. Potknął o coś i przewrócił.

- Nosz kurrr...

Zaczął zbierać ze śniegu bochenki, kiedy ktoś wyrwał mu je z rąk i wrzucił prędko na wóz. Skylla rozpoznał od razu kpiący wyraz twarzy békarta i skłął go siarczyście, odpychając od wozu.

- Nie, nie, nie! – wrzasnął, broniąc pieczywa własną piersią. – Dzisiaj jest moja kolej, mój dzień! Umawialiśmy się, Tauron! Raz ja, raz békart!

- Skylla... - powiedział cicho Itsuk.

- Nie rozmawiam z tobą! A ty, wara od mojego wozu, idź machać mieczem, dzisiaj moja kolej!

Porwał dyszle na ramiona i ruszył wściekle, aż znowu się potknął, lądując twarzą w śniegu. Kiedy się podniósł, płakał.

- Nie! – krzyknął, widząc bękarta zajmującego jego miejsce. – Zostaw to, kurwa, nie twoja dziś kolej!

- Nie dasz rady, mały, przykro mi...

- Wypierdalaj! – zawył Skylle i udało mu się wreszcie wyszarpnąć nóż wszysty w rękaw. – Wypierdalaj, to nie twoja kolej!

Wyższy o głowę chłopak zareagował od razu, puszczaając dyszle i wyciągając krótki mieczyk, którym uczył się władać dzięki prawie dwóm cersenom dziennie zarabianym u mistrza Taurona - prawie dwóm cersenom, które należały się Skyllemu. Chłopak zaszlochał donośnie i przeciął swoim tępym nożykiem powietrze, kiedy za rękę chwyciło go i niemal podniosło z ziemi potężne ramię Itsuka, żeby wyrwać mu nóż i cisnąć nim w śnieg.

- Leć, chłopcze – powiedział cicho do bękarta. – Haronowie pewnie jeszcze śpią, może zdążysz.

Skylle płakał zbyt rzewnie, żeby usłyszeć, co odpowiedział chłopak. Itsuk niósł go na plecach jak worek mąki, powoli i jakby z trudem, boleśnie zaciskając dlonie na jego nadgarstkach.

- Przepraszam za niego...

- „Przepraszam” tutaj nie wystarczy, Itsuk! – odparował mistrz Tauron. - On się zachowuje jak dzikie zwierzę, jest niebezpieczny! Jak pies spuszczony ze smyczy! Nie możesz mu ufać!

- Mogę. Jest tylko trochę zmęczony.

- Co takiego? Czy ty widziałeś to samo, co ja? Prawie się z tym chłopakiem pozabijali! Wziąłeś to wilczysko na swoje barki, Itsuk, musisz go nauczyć życia w normalnym społeczeństwie!

- Ma pan rację. Czy będzie mógł za jakiś czas spróbować znowu?

- Żarty się ciebie trzymają nawet w takim momencie! Ciesz się, że ciebie nie wyrzuciłem z roboty, ale zaraz mogę to zrobić za tę bezczelność! Zanieś to chuchro do domu i jego nogi ma tutaj więcej nie postać, zrozumiano?! I zaraz wracaj do pracy!

W drodze powrotnej Itsuk nie powiedział nic, nie chcąc przeszkadzać kaskadzie łez wylewającej się z poczerwieniały oczu Skyllego.

Królewski parobek Ilom, jak lubił się, zgodnie z prawdą zresztą, nazywać, nie dał rady się nie spóźnić. Kiedy udało mu się przepchnąć przez rozstawione u stóp Falgonów unijne wojska szukające się zapewne do powrotu do stolicy, musiał biec po zlodowaciałych skalnych schodkach, nie jeden raz się potykając i upadając na twarz. Przeklinał w duchu tego małego dziwaka, przez którego musiał teraz biec na łeb, na szyję, ale jednocześnie dumny był z siebie, że zachował zimną krew i tak mążnie stawił mu czoła. Doprawdy, przybłęda był chyba gotów go zabić!

Naczelną kucharką, Pomarszczoną Moirą, trzepnęła go w głowę, pomstując na jego spóźnialstwo, i nie dała mu ani nuda. Dwóch drżących z zimna służących zaprowadziło wóz do kuchni, a Ilom splunął ukradkiem, zsuwając czapkę ze spoconeego czoła.

Żał było nie rozejrzeć się po dziedzińcu, który po wielkim weselisku śmierdział wódką i rzygowniami. Wszędzie wałyły się kwiaty, dekoracje, jedzenie i butelki. Jedna z poszarpanych dam dworu pomagała innej podnieść się ze śniegu. Mała grupka żołnierzy stojących pod zamkiem też wyglądała niemrawo, skupiona przy sobie i nieco struchlale reprezentująca siły zbrojne Świętej Unii. Jeden tylko stał wyprostowany i dumny, opierając się o mur plecami, również wyraźnie nie w sosie.

Kiedy Ilom skierował się ku bramie, ten właśnie człowiek zaczepił go, mówiąc:

- Hej, chłopcze.

Miał na tyle donośny głos, że nie musiał krzyczeć. Ilom podszedł do niego nieśmiało, ściągając czapkę. Mężczyzna był bardzo wysoki i ubrany w czarną, obszytą futrem, bardzo piękną pelerynę, spod której wystawała rzeźbiona rękojeść miecza wyobrażająca kobietę z ostrymi jak brzytwa kłami w ustach.

- Spieszysz się gdzieś? – spytał mężczyzna. Miał wzrok czujnego sokoła i przylegające do boków głowy czarne warkoczyki cienkie jak kłosy zboża.

- Nie, jaśnie lyrrze – Ilom natychmiast przestał gapić się w ten miecz.

- Na pewno? Nie musisz pomóc w niczym rodzicom albo sąsiadom?

- J-już idę, jaśnie lyrrze.

- Czekaj. Pytam, bo mam dla ciebie skromne zadanie, jeśli nie robisz akurat nic ważniejszego. Chciałbym, żebyś pobiegł do zamku i powiedział komuś, żeby tu przyszedł. Masz na to czas?

- Oczywiście, jaśnie lyrrze!

- Wejdź do zamku i zapytaj, gdzie śpi panienka Ceadmille Davaden. Jak pokojówka wskaże ci drogę, wejdź do sypialni, obudź chłopaka z czarnymi warkoczykami, takimi jak moje, ma na imię Silarus. Powiedz, że jego ojciec odjeżdża i żeby się pospieszył. Jakby ktoś miał do ciebie jakieś pretensje, powiedz, że przysyła cię Yazor Temidan.

Ilom rozdziawił usta. TEN Yazor Temidan?! Generał Świętej Unii?! Generał, który odwagą, walecznością i sprawnością w mieczu wspiął się na stołek najwyższego dowódcy??

- T-tak jest... To dla mnie wielki zaszczyt, jaśnie generale.

- Nie większy niż dla mnie. Masz tu dwa cerseny i leć do zamku, chyzo.

- Tak jest, generale! Natychmiast, generale!

Faktycznie wleciał do zamku jak koliber i, nie przejmując się nawet zapierającą dech w piersiach architekturą, której do tej pory nie miał okazji oglądać, wystraszył pokojówkę zbierającą szkło z podłogi. Wskazała mu kręte schody, po których wbiegł, przeskakując po cztery stopnie, aż znalazł się w korytarzu, w którym wybrał drugie drzwi po prawej. W ostatniej chwili zahamował, odetchnął głęboko i zapukał.

Słodki, choć zmęczony kobiecy głosik odpowiedział mu po dłuższej chwili.

- Kto tam?

- Ja... Ja do lyrra Silarusa.

- Ach, no to otwórz, proszę!

Ilom, przezornie, tylko uchylił drzwi, ale i tak zdąział musnąć wzrokiem burzę kasztanowych włosów i nagie uda panienki Ceadmille ginące za parawanem. Przełknął ślinę i spojrzał na piękne, wysokie łóżko, z którego próbował wygramolić się czarnowłosy chłopak.

- Mmm, słucham? – mruknął, przecierając oczy dłonią.

- Lyrr Silarus? Pana ojciec, to znaczy generał Yazor, właśnie wyjeżdża i polecił się jaśnie lyrrowi pospieszyć.

Nagi lyrr Silarus wyskoczył natychmiast z łóżka, klnąc i nawet nie dziękując za doręczenie wiadomości. Zniesmaczony tym faktem Ilom zamknął drzwi i powrócił do generała.

Komenderował on właśnie małą gwardią honorową obecną na weselu, która, ustawiona parami, szykowała się do wymarszu. Ilom nieśmiało obserwował przez chwilę stanowczą i spokojną postawę generała, kiedy ten przywołał go gestem, uśmiechając się lekko.

- Doręczyłem wiadomość, jaśnie generale.

- Bardzo uprzejmym z ciebie chłopak. Masz tu jeszcze pięćdziesiąt nudów.

- Generał jest bardzo hojny... Chciałbym powiedzieć, generale, że to wielki zaszczyt służyć panu nawet w tak małej sprawie. I że moim marzeniem jest pewnego dnia służyć generałowi w armii. Nie mam wiele pieniędzy, ale dostarczam chleb do zamku co dzień rano, żeby móc opłacać lekcje fechtunku. Kupiłem sobie nawet miecz!

Wskazał na rękę dość swego taniego, prostego ostrza. Generał Yazor uśmiechnął się dobrze.

- Jak cię zwą, chłopcze?

- Ilom, jaśnie generale.

- Ilomie, kim są twoi rodzice?

- No... Mieszkam w sierocińcu. Ale w bardzo porządnym, jaśnie generale.

- Wiedz, drogi Ilomie, że z taką determinacją pewnego dnia możesz być nawet Modrym Rycerzem. Pewnie nawet generałem lepszym ode mnie, bo ani ja, ani moi synowie nawet raz nie wbiegliśmy na szczyt Falgonów z wozem wypełnionym pieczywem na plecach, a ty czynisz to codziennie w służbie Świętej Unii i własnych ambicji. Nie ma większej chwały ponad to, co ty czynisz codziennie bez zastanowienia.

Mówiąc te słowa, poklepał lekko ramię chłopca. Ilom zamknął prędko rozdziawione usta i skinał głową, wypiąwszy dumnie pierś. Generał schował ręce pod płaszcz, z którego wyciągnął parę czarnych rękawic.

- Skoro mowa o moich synach – westchnął bolesnie – ten spóźnialski właśnie zmierza tutaj w słusznym pośpiechu. Do widzenia, Ilomie. Obyśmy się jeszcze kiedyś spotkali.

Zanim najlepsza chwila w życiu Iloma dobiegła końca i czas było wracać do miasta, chłopak zdołał jeszcze zobaczyć lyrra Silarusa w krzywo zapiętej koszuli, w pośpiechu wiążącego warkoczyki na swych skroniach, klaniającego się głęboko przed ojcem z pięścią na sercu. Ilom pokręcił cierpko głową. Ach, gdyby to on był synem generała...

Ale nie był, więc poprawił czapkę i niemal zbiegł do podnóża Falgonów, nie mogąc doczekać się następnej lekcji fechtunku.

- Przepraszam – wydyszał syn generała. – Zaspałem...

- Doprawdy? Jestem zdziwiony, że w ogóle miałeś czas zasnąć tej nocy.

Silarus dziwił się za każdym razem, kiedy przyłapywał się na łudzeniu, że przed jego ojcem cokolwiek zdoła się ukryć.

- Mhm – bąknął, nie patrząc mu w oczy. – Ale melduję się...

- Zdajesz sobie sprawę, że ona jest zaręczona, prawda?

Nie zdawał. Dzielnie zniósł spojrzenie ojca.

- Z przyszłym haronem Trianem Agverem – generał Yazor powoli nasuwał rękawice na dlonie. – Twoim przyjacielem z dzieciństwa.

- Tak, pamiętam go.

- Domyślam się. Cechuje cię wyjątkowy sentyment do przyjaciół z dzieciństwa.

Silarus nie odpowiedział, zaciskając zęby z wściekłości.

- Doszły mnie też słuchy, że swoje zaręczyny zerwałeś. Ponownie.

- Nie byłem zaręczony.

- Podobno obydwu tym kobietom obiecywałeś to samo. Trzeciej nie obiecywałeś nic, ale i tak brałeś, co dała.

- Z całym szacunkiem, generale, ale przecież już to załatwiałem.

Yazor parsknął krótkim, ale szczerym śmiechem.

- I to z klasą – odpowiedział, obdarzając go niemal pieszczołwym spojrzeniem, od którego w żyłach Silarusa aż zawrzało. – Tworzysz sobie potężnych wrogów, pułkowniku. Mężczyzna musi mieć chociaż nóż i wolę, żeby być niebezpiecznym. Kobiece wystarczy tylko wola. A ty masz już legion chętnych do rewanżu wrogów.

Wygłosiwszy tę ojcowską radę, pozbył się uśmiechu i zbliżył twarz do twarzy syna. Był jedną z niewielu osób, która była w stanie spojrzeć Silarusowi prosto w oczy i zawsze wprawiało samego Silarusa w stan bliski panice.

- Skończysz z panienką Ceadmille natychmiast jak odjedziemy i już nigdy nie spojrzysz na żadną kobietę w kontekście innym niż małżeństwo.

- Nie ma co kończyć, skoro odjeżdżamy.

- Ja odjeżdżam, garnizon odjeżdża. Ty zostajesz tutaj.

Silarus zupełnie nie nadawał się na żołnierza. Otworzył usta, jakby chciał wrzasnąć „To niesprawiedliwe!” i zaczął gwałtownie potrząsać głową.

- Tutaj?! Co to znaczy „tutaj”?! I zabierasz wszystkich?! Zostanę tutaj sam?!

- Nie sam. Ze swoim drogim przyjacielem z lat dziecięcych, Kairem Koharem. Byłeś tak chętny zdradzić mu sekrety swojej rodziny, to teraz postaraj się, żeby jej nie zaszkodziły. Ale wyciągnij też od niego coś w zamian. Pisuj do mnie często. Wykonaj.

- Chcesz, żebym... Nie zrobię tego!

- Zadałem ci jakieś pytanie? Powiedziałem, że to zrobisz.

Doprawdy, był też najgorszym synem swego ojca. Jak mógł myśleć, że w zaistniałych okolicznościach generał Yazor zapomni o tym, że Silarus opuścił posterunek w Zlewisku? To była jego kara? Szpiegowanie biednego Kaia, tych cholernych haronów? Szpiegowanie nowego króla, szpiegowanie wszystkich? Duszenie się w tym zimnym zameczku, tak jak

wcześniej dusił się w smrodzie upalnego Euterpe? Naprawdę musi, uciekając z jednego więzienia, od razu trafić do następnego?

- Po co mam to robić? – wysyczał. - Chyba nie chcesz go zabić?

- Dlaczego miałbym tego chcieć? – Padła beznamiętna odpowiedź. – I do czego ty byś mi się w tym przydał?

- Do niczego.

Yazor spojrzał z ukosa na syna, który natychmiast wbił wzrok w ziemię.

- Właśnie – rzekł przeciągle, odchodząc do kolumny czekających żołnierzy. – Popraw koszulę. Bywaj, pułkowniku.

- Bywaj, generale.

Silarus nie ruszył się z miejsca, obserwując wymarsz. Melvourne, idący tuż za plecami Yazora, odwrócił się, by pomachać mu na pożegnanie, ale zaraz opuścił rękę, jakby skarcony przez wszystkowidzącego ojca. Silarus westchnął ciężko, przetarłszy oczy dłonią. Nie da rady przeżyć tego dnia bez kropelki zbawionego bimbru w ustach. Zapominając o niezgrabnie zapiętej koszuli, powłócząc nogami, wszedł do zamku i udał się do porządkowanej bez zbytniego pośpiechu sali tronowej.

Kai właściwie leżał z głową na stole, wciąż w weselnym kubraku, bawiąc się srebrnym kielichem pełnym brązowej cieczy. Silarus skrzywił się na jego widok i rozważył swoje zamiary. A potem jednak usiadł naprzeciwko niego.

\*

Haroni opuścili Naucenemes i udali się na swoje ziemie z samego rana po weselu. Było to dla Kaia jak najbardziej korzystne, ponieważ nie musiał się przed nimi wstydzić, ani ukrywać swoich wycieczek do królewskiej piwniczki pełnej przeróżnych rodzajów wina. I tak wstydził się przed służącymi, przed damami dworu, przed królem drącym się do niego „Szwagrze!”, co odbijało się okrutnym echem od wysokich sklepień Modrego Oka. Wstydził się przed Silarusem, który pozostał w Modrym Oku chyba tylko na dowód, że Yazor coś kombinuje, a nad czym Kai nie miał siły główkować. Wstydził się przed Atianem, którego unikał, nie chcąc, żeby zobaczył, że Kai sobie nie radzi, że poświęcił wszystko, żeby teraz tak strasznie sobie nie radzić. Wstydził się przed samym sobą, że tak łatwo się poddał, że nie robi nic wartościowego, że nie potrafi przezwyciężyć tego upokorzenia, tej beznadziei, tego, że dał się tu zamknąć, że zamarzyło mu się być dobrym haronem, że uwierzył jakiejś głupiej książeczce...

Jedynie przed swoją żoną się nie wstydził. Mogła go zobaczyć mamroczącego do butelki, nerwowo wyglądającego przez okno i z zapłakaną twarzą zanurzoną w pościeli, a on kompletnie o to nie dbał. Księżniczka uwiła sobie urocze gniazdko z muślinowej pościeli na podłodze w toalecie, i widywał ją przelotnie, kiedy mijała go w drodze od drzwi toalety do drzwi sypialni i z powrotem. Niekiedy podążały za nią wierne złotowłose szczeniaki, które czasem łasiły się do Kaia, lecz zaraz odbiegały, bo Cerro nie zatrzymywała się, by na nie poczekać. Nie zaszczycała go ani jednym spojrzeniem, nosiła się wciąż w żałobnej bieli i wydaje się, że spędzała całe dnie, włócąc się po zamku. Kai jej nie przeszkadzał. Raz, kiedy nie było jej w łazience, nie mógł się powstrzymać i rzucił okiem na jej posłanie. Leżała tam rama obrazu, a kiedy Kai ją odwrócił, zobaczył zaczarowany portret Cerro, który dostała w dniu ślubu – poszarpany, rozcięty i zadżgany. Namalowana księżniczka nie miała pojęcia, co się z nią stało, i cały czas spokojnie spoglądała w namalowaną dal.

Chyba piątego dnia po ślubie nie dał rady. Umył się i ogolił w łazni dla gości, a potem zapukał do drzwi okupowanej łazienki.

- Wasza... Miłość? – spytał kulawo, nie wiedząc, jak się do niej zwrócić. – Eee... Zastanawiałem się, czy potowarzyszy mi panien... pani... na spacer ze mną pójdzie?

Cisza, która po tych słowach nastąpiła, mogła zwiastować tylko burzę.

- Na spacer? – Rozległo się zza drzwi. – Na spacer?! Że też masz czelność! Nigdzie się stąd nie ruszam, chyba że Szary Człowiek wysłucha moich prośb i trafi cię szlag!

- No cóż... Niechaj tak będzie.

Miał nawet szczerą chęć się powiesić, ale ta poranna toaleta tak go wyczerpała, że padł po prostu na łóżko z rozwartymi ramionami.

Nie minęła długa chwila, kiedy usłyszał skrzypnięcie drzwi. Otworzył oczy i zobaczył nieufnie zmarszczoną brew Cerro upewniającą się, czy naprawdę trafił go szlag. Jeden ze szczeniaków wykorzystał chwilę, by przecisnąć się przez szczelinę, ale Cerro natychmiast porwała go na ręce i zatrzasnęła drzwi z powrotem. Kai usiadł i zaśmiała się gorzko, po czym wstał i oparł ramię o drzwi.

- Komedia, doprawdy, to, co wyprawiasz – oznajmił.

- Komedia?! – oburzyła się. – Cóż, w sumie masz rację. Jednego dnia jesteś szanowaną członkinią rodu władającego całą Świętą Unią, drugiego wszyscy śmieją się z ciebie i twojego nowego męża – ryżego, tchórza i banity.

- Zrehabilitowanego tchórza i banity.

- Synem Gaiusa Kohara będziesz zawsze. Nie wiem, czy wiesz, ale nienawidziłam twojego wstępniego ojca.

- Och, no to mamy wiele wspólnych tematów do rozmów! Wyjdź, proszę, to się sobie pozwierzamy.

- Dopiero jak cię trafi szlag.
- Wtedy nie będzie ze mnie zbyt interesujący rozmówca.
- Na pewno bardziej interesujący niż teraz.

Był to cios w samo serce dla człowieka rozsmakowującego się we własnej erudycji. Oddalił się pod samo okno, zastanawiając, czego spróbować tym razem, po czym, przeszyty bardziej chwilową fantazją niż przemyślaną decyzją, wbiegł z impetem w misternie zdobione drzwi i, zaskoczony bardziej od rozwrzeszczanej Cerro skulonej w kącie z merdającym ogonem szczeniakiem na rękach, uświadomił sobie, że udało mu się je wyważyć.

Kiedy szli, okryci futrami i odprowadzani przez gromadkę szczeniąt, nawet służące chichotały zza swoich miotełek. Jednej z nich, niosącej zakurzony dywan, Kai podstawił nogę, a ta przewróciła się z impetem, unosząc tuman pyłu. Inne kładły się ze śmiechu, a Kai, nagle bardzo sobą zawstydzony, przeprosił ją i pomógł jej wstać. Pokójówka, również zarumieniona, ukłoniła się i odeszła, kichając. Wtedy Kai spostrzegł, że księżniczka zniknęła.

Wystarczyło jednak wyjść na wewnętrzny dziedziniec, żeby spostrzec jej białą, napuszoną postać stojącą na murach. Obserwowała stamtąd młodych rycerzy uczonych przez Silarusa blokad i odbić. Przez chwilę Kai miał ochotę do nich dołączyć, ale jednak znalazł się na murze obok Cerro.

- Dalej lubisz oglądać walki? – zagadnął z przyjaznym uśmiechem. – Pamiętam, że kiedy byliśmy malí, przepadałaś za tym.

- Nienawidzę tego – odparła, przewracając oczami powoli i wyraźnie. W białym futrze, rozwianych włosach, wśród drobnych okruchów śniegu, kojarzyła się Kaiowi z bajkową Królową Lodu. – Ale co więcej mam? Wygarbowaliby mi skórę za trzymanie miecza.

- No tak... To bardzo niesprawiedliwe, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- Nie chcę.

- Mhm. No... Wiesz, żadne z nas nie chciało tego ślubu, ale tak się zdarzyło, więc może moglibyśmy być dla siebie trochę milsi.

Spojrzała prosto na niego. I to tak, że Kai wolałby stać się niewidzialny.

- Nie urodzę ci dziecka. Nie będę twoją dziwką.

- Nie, nie, ja nie o tym, znaczy... Nie to miałem teraz na myśli. Bardziej to, że... W sumie nieważne.

Szczęk mieczy mieszkał się ze śmiechem giermków i pokrzykiwaniami Silarusa.

- Bardzo mi przykro z powodu Eneisa, tak w ogóle – mruknął Kai.

- Och, cudownie – westchnęła Cerro. – Właśnie tego mi brakowało, żeby była dla ciebie milsza. Przypomnienia mi o człowieku, który zamknął mnie w tym cholernym zamczysku, zostawił samą sobie na pastwę losu, a żeby jeszcze na koniec mi dosrać, wydał za mąż za syna najwstążniejszego człowieka na świecie. Bardzo ci dziękuję za twoje gówno warte współczucie, drogi mężu.

Splunęła w dół, trafiając w któregoś z giermków, który zawyrokował o nadchodzący deszczu. Kai spojrzał na nią, starając się mieć wyrozumiałą minę.

- Nie jesteś taka zupełnie sama – zauważył. – Twój ojciec stwierdził chyba, że ze mną będziesz najbezpieczniejsza. Ufał mojemu ojcu i jego... metodom wychowawczym. No i masz jeszcze brata.

- Brata, też mi coś. Brata, który zakuł mnie w łańcuchy na stypie mojego własnego ojca! Brata, który wpędził tego ojca do grobu!.

Po karku Kaia przeszedł niepokojący dreszcz.

- Jak to „wpędził tego ojca do grobu”? – wyszeptał. – Co chcesz przez to powiedzieć? To nie było samobójstwo?

- Nie mówię, że nie było – warknęła. – Nie mówię, że go otruł albo zrzucił z okna, albo że zlecił to komuś. Mówię, że wpędził go do grobu.

- Wybacz mój kretynizm, ale jak w takim razie...

- On i ta suka Chevita. Gardzili moim ojcem. Od śmierci matki nawet z nim nie rozmawiał, a kiedy tu przyjeżdżały, to przyjeżdżały do tej pizdy... Krytykowali każdy jego ruch, knuli za jego plecami, jak tylko mu dopierdolić. Nie dziwię się ojcu, że jak umarł jego... przyjaciel... to miał już dość. Nie dziwię się, że miał mnie zupełnie w dupie, skoro spełnił swój obowiązek i spłodził pierdolonego dziedzica. I to jest właśnie moja pierdolona rodzina, moi pierdoleni królowie! Mój pierdolony brat, który przykuł mnie do stołu na oczach całej szlachty Świętej Unii! Człowiek, który wydał mnie za jakiegoś tchórzliwego knypka! Człowiek, który rano całuje żonę, a wieczorem pierdoli się z czarownicą!

Splunęła ponownie, teraz w śnieg, i wytarła usta dłonią jak dziecko, które ubrudziło się lukrem. Kai patrzył na nią, oszołomiony.

- Skąd o tym wiesz?

- Od trzech lat nie wychodzę z tego zamku – uśmiechnęła się gorzko. – Czymś muszę się zająć, więc podsłuchuję, uciekam przed guvernantkami, wscibiam nos w nie swoje sprawy. Ten zamek jest nudny, ale co mam robić, skoro nie mogę stąd wyjść... Pamiętam, jak

tata obiecywał wydać mnie za mąż za człowieka, który pozwoli mi wychodzić za mury, który zabierze mnie daleko. A teraz takie gówno...

- Jeśli o mnie chodzi, wychodź, ile chcesz, tylko nie sama, ze mną albo z eskortą, bo...

Posłała mu kpiący uśmiech i ruszyła powoli wzdłuż poręczy, strącając z niej śnieg.

- Poza murami jest niebezpiecznie – Kai dołączył do niej prędko, prawie następując na nogę jednego z psów, który uchylił się w porę. – Las i Naucenemes, to upadłe miasto... Nie możesz tam iść sama, pierwszy lepszy opry whole ci krzywdę.

- Mhm – przytaknęła ochoczo. – Pierwszy lepszy opry whole pierwszy lepszy żołnierz. Na pewno pierwszy lepszy mężczyzna. Po co pozwolić mi nauczyć się bronić, co? Po co, skoro można cały czas posyłać za mną kogoś donoszącego o każdym moim kroku?

Kai spróbował się nad tą propozycją zastanowić, ale nie zdołał. Słowa same wypłynęły z jego ust.

- Jak chcesz, mogę nauczyć cię walczyć.

Spojrzała na niego bardziej z politowaniem niż z odrazą. Wreszcie zdołał ją zaciekawić.

- Nie wiem, czy pamiętasz – rzekła – ale baby nie mogą walczyć.

- Nie zgadzam się z tym, już ci to mówiłem.

- Nikogo twoja niezgoda nie obchodzi. Takie jest prawo. Lepiej się go naucz, skoro masz być Haronem Sprawiedliwości.

- Skoro jestem Haronem Sprawiedliwości, moim zadaniem jest obalanie niesprawiedliwych praw.

Patrzyła na niego bez mrugnięcia zmrużonymi sceptycznie powiekami.

- Czego chciałbyś w zamian?

- Zgody między nami.

- Syna? Dwóch synów? Gromadki dzieci do dziedziczenia i sprzedania jak...

- Na Szarego Człowieka, nie chcę mieć z tobą żadnego syna, ani żadnego innego dziecka, jasne? Chcę, żebyś czuła się w zamku odrobinę lepiej. Chcę, żebyś umiała się bronić. Chcę zasypiać bez strachu o to, że poderżniesz mi gardło. Ale jeśli tak bardzo chcesz mi płacić, płać mi informacjami i radą.

Prychnęła z pogardą.

- I tak minie dwieście lat, zanim uda ci się przeforsować takie prawo.

- Powiedziałem o „obalaniu”, a nie „przeforsowywaniu”.

- Co masz niby na myśli? Ty też chcesz spróbować zniszczyć Świętą Unię? Gdzieś to już słyszałam.

- Wręcz przeciwnie. Chcę ją uzdrowić. Uchronić przed tymi, którzy chcą ją zniszczyć. Haroni nie są dzisiaj tymi samymi haronami, których wyznaczył Szary Człowiek, i nie trzeba proroczych snów, żeby to zobaczyć. Są panami, bogaczami, poddanymi króla, dbają tylko o swój interes. A powinni dbać o lud. Jeśli gdzieś dzieje się jakieś зло, wypaczenie cechy, której haroni poprzysięgli wierność, muszą reagować natychmiast. Nie reagują już od paru tysiącleci i nie zdają sobie sprawy, że wrogowie Unii mogą mieć słuszne powody, by chcieć ją zniszczyć. Ale Unia Szarego Człowieka i jego ludu, ta prawdziwa, czysta, ma przecież gotową receptę na szczęście wszystkich mieszkańców... Te wszystkie cnoty. Nadzieja, Sprawiedliwość, Pokój, Mądrość, Obowiązek i Przyjaźń. Tylko o nich zapomniano. Ja chcę o nich przypomnieć.

Cerro słuchała jego gorączkowego szeptu z uwagą, której nie śmiał od niej oczekiwac.

- I jak niby chcesz to zrobić? – spytała, unosząc ledwo widoczną brew.

- Na dobry początek nauczę cię walczyć. Jeśli chcesz.

Cerro przełknęła ślinę, zmarszczyła brwi, otuliła się szczelniej futrem. Na koniec kiwnęła głową.

\*

*Haron swojej służbie winien jest się całym sobą poświęcić, dlatego żadnych dóbr ziemskich, tytułów szlacheckich i bogactw posiadać nie może. Nie może wpaść w pułapkę pychy, sentymentu, nepotyzmu, wyższości. Haron to Śluga Ludu, Nauczyciel i Lekarz Duszy.*

Przeczytawszy te słowa, Kai wyrzekł się Pavilonu i tytułu dziedziczonego przez jego przodków. Wciąż jednak przyjmował swoją harońską pensję.

*Haroni żyją wspólnie w twierdzy Modre Oko, do której wstęp mają nieliczni, o którą sami dbają i która niezależna jest od wszelkiej władzy, poza władzą Szarego Człowieka.*

Przeczytawszy te słowa, Kai odmówił jedzenia śniadania z rodziną królewską, dodając, że król powinien zasiadać do posiłku w Pałacu Popiołów.

*Jeśli haron się ożeni, jego rodzina mieszkać może niedaleko Modrego Oka, na zamku jednak pozostać nie może. Nie może wziąć się w żadną rodzinę posiadającą wpływy lub majątek.*

Przeczytawszy te słowa, Kai nie zrobił nic, stwierdziwszy, że najlepiej dla wszystkich będzie mieć Cerro przy sobie.

*Haron swoją skromność, gotowość do służby i wiarę winien okazywać nie tylko obyczajami, ale i strojem – niech nosi czarną koszulę lnianą, proste spodnie, a na plecach długie płaszcze w kolorze reprezentującym cnotę, której jest oddany – Nadzieja jest szmaragdem, Sprawiedliwość brązem, Pokój błękitem, Mądrość szkarłatem, Powołanie złotem, a Przyjaźń purpurą.*

Przeczytawszy te słowa, Kai zamówił sobie u ubogiej krawcowej z dzielnicy Żuków cienki płaszcz podobny do rysunków nabazgranych na marginesach książek.

*Haron jako nauczyciel winien jest opowiadać ludziom o dobrodziesztwach Szarego Człowieka i Jego woli, a także o tym, o czym chcę słuchać i co im dobro przyniesie. Przeto sam haron winien kształcić się cały czas.*

Przeczytawszy te słowa, Kai spędzał większość dnia w bibliotece, rezygnując z korzystania z obserwatorium w zachodniej wieży. Może to z jego strony dziecinne, ale nie mógł pozbyć się wrażenia, że ktoś tam z nim jest. Po południu schodził do Nauenemes, kupował żebrakom jedzenie i opowiadał im o tym, co sam tego dnia wyczytał.

*Haron winien modlić się tuż po przebudzeniu i tuż przed zaśnięciem. Resztę jego dnia powinna wypełniać praca, nauka, kontemplacja i służba.*

Przeczytawszy te słowa, Kai modlił się w skupieniu rano i wieczorem, ku niesmakowi zaglądającej z toalety Cerro. Po śniadaniu jedzonym samotnie w sypialni udawał się do biblioteki, po drodze wesoło zagadując służących.

*W wypadku wizyty Szarego Człowieka haroni mają obowiązek chronić ludność i przygotować się na Jegoadejście.*

Przeczytawszy te słowa, Kai opłacił Omara Wiatra W Polu i Phineasa Nożownika, by obserwowali codziennie Zwiastun i donosili mu na temat wszelkiej jego aktywności.

*Haron ma jeść skromnie, nie spożywać mięsa, a alkohol raz do roku, w święto Riggvare.*

Przeczytawszy te słowa, Kai długo myślał i dywagował nad przypieczonym na brązowo świńskim udżcem. Potem z żalem odsunął go od siebie i zabrał na wizytę do żebraków. Przestał zapijać nieprzyjemne myśli.

*Haron stoi na straży historii i prawdy o niej – i tej pisanej przez zwycięzców, i pokonanych. Każdy z nich jest kronikarzem, świadkiem i uczestnikiem, a obowiązkiem ich jest szczerość i nauka.*

Przeczytawszy te podkreślone kilkukrotnie słowa, Kai myślał długo o Yazorze Temidanie i jego Magmowym Mieczu z napisem „Prawda”.

*Haron Sprawiedliwości dokonuje sądów na każdym, kto zgłosi się do niego w tej sprawie, jeśli wyrok urzędnika uważa za niesprzyjający lub pragnie rozstrzygnięcia sprawy przez kapłana. Haron Sprawiedliwości musi być zawsze bezstronny, nieprzekupny, patrzący surowym okiem, zdolny do litości w uzasadnionych przypadkach.*

Przeczytawszy te słowa, Kai zaczął rozstrzygać drobne spory, na które natykał się wśród ludności Naucenemes.

*Haron Sprawiedliwości strzeże prawa, a kiedy uważa je za niesłuszne, dążyć ma do zmienienia go, aby strzeżone wartości mogły rozwitnać w swej czystej doskonałości.*

Przeczytawszy te słowa, Kai umówił się z Cerro na pierwszą sekretną lekcję szermierki.

## ROZDZIAŁ IV

*Szanowny ojciec*

Na całe szczęście popiół z fajki Silarusa skapnął akurat na ten żałosnie rozpoczęty akapit i uświadomił mu, jak durnie to brzmi. Przekreślił słowa grubymi, zaciekle skrobiącymi skrobinięciami.

*Generale*

A co, jak ktoś przechwyci tę wiadomość? Oczywiście, kiedy Silarus wreszcie wymyśli, co zaraportować, wyciągnie magiczne synoskie pióro, atrament i papier, dzięki którym wiadomość pokaże się na shimie Yazora najdalej następnego wieczora - ale co, jeśli ktoś zna metodę na przeczytanie belfyru przypisanego do oka generała? Albo gorzej - co, jeśli to, co Silarus napisze, będzie tak miało, że Yazor wyśle mu list pospolitym gołębiem albo leniwym posłańcem tylko po to, żeby zrugać go za marnowanie jego czasu i magicznego zestawu do korespondencji, na którego produkcję generał poświęcił osiem lat życia i nieobliczalną sumę pieniędzy?

Silarus zatrzasnął pergamin w szufladzie z takim impetem, jakby to on był odpowiedzialny za całą obecną sytuację, która bardzo Silarusowi nie odpowiadała. Odchylił się na skrzypiącym krześle, huštając chwilę i pykając fajkę. Rozległo się zwyczajowe, nieśmiałe pukanie wydawane przez wątplą rączkę służącej uderzającą w drzwi.

- Zapraszam – burknął wcale nie gościnnym tonem, nie przestając się kołysać.

Drzwi skrzypnęły za jego plecami. Mógłby w nich teraz zjawić się zabójca z zatrutym nożem wycelowanym w jego plecy i Silarus nawet by się nie zorientował. Skończyłby jak typowy Parszywiec, czego i tak każdy się spodziewa, a może nawet...

- Dzień dobry, pułkowniku. Posprzątać pańską komnatę? – zakwiliła służąca.

- Nie, dziękuję, nie trzeba – westchnął, znudzony, chociaż na pierwszy rzut oka widać było, że trzeba.

- No dobrze, to w takim razie... To ja już zostawię państwo samych...

Krzesło Silarusa opadło natychmiast na wszystkie cztery nogi. Odwrócił się i poderwał, a narzucona na jego ramiona koszula zleciała z cichym szelestem na dywan. Uświadomiwszy sobie, że ubrany jest jedynie w niezgrabnie pocerowane zielone pantalony, porwał z łóżka puchaty koc i zasłonił się nim jak wstydliva studentka. Ceadmille

zachichotała na widok jego poczerwieniałej twarzy i podeszła bliżej, unosząc suknię tak, by nie wdepnąć w porozrzucane wszędzie ubrania.

- Proszę mi wybaczyć ten bałagan, ale nie spodziewałem się tu...

Ceadmille podeszła tak blisko, że Silarus niemal czuł jej wargi na swoich. Różowa mgła wypełniająca jego płuca buchnęła aż do gardła i odebrała mu głos, a Ceadmille zatrzymała się, omiotła go swym kocim wzrokiem od stóp do głów i... Nie zrobiła nic. Silarus, zbyt przejęty przytrzymywaniem rąbeków koca, tak samo. Ceadmille odeszła z uśmiechem, rozglądając się po pokoju.

- Och – powiedział z zawodem Silarus, przykładając palce do gorących ust. – To znaczy... Nie spodziewałem się tu panienki, znaczy, chciałem powiedzieć...

- Ceadmille?

- Właśnie tak, Ceadmille, może chcesz się czegoś...

- Daj mi swoją flaszkę. Tego potrzebuję najbardziej.

Silarus posłusznie podał jej piersówkę i, po chwili namysłu, nałożył prędko koszulę i spodnie. Ceadmille obserwowała go uważnie, już bez cienia uśmiechu na twarzy, pociągając łyk za łykiem.

Teraz, ubrany, Silarus mógł odzyskać animusz i kontrolę nad sytuacją. Uśmiechnął się promiennie, zrzucił z łóżka oficerski pas i przytępione noże myśliwskie, żeby gestem zaprosić Ceadmille do rozgoszczenia się. Usiadł obok niej, wcale nie w tak bezpiecznej odległości jak zamierzał.

- Więc czemu zawdzięczam tę niezwykle przyjemną wizytę? – zagiął wesoło.

- Ach, no nie wiem – westchnęła dziewczyna, oddając mu butlę. – Może temu, że złotousty panicz, który nie dotrzymał przysięgi, że już nigdy się nie zobaczymy, złożył nową, że będącmy widywać się cały czas, i nie czekał nawet dnia, by złamać i ją?

- Ach, no... Przepraszam cię bardzo, panienko, gdybym wtedy wiedział...

- Co wiedział, paniczu?

- No... O zaręczynach. Panienki i panicza Triana Agvera.

Ceadmille na chwilę zagryzła karmazynowe wargi, po czym roześmiała się beztrosko, widząc jego zmieszanie.

- A, prawda! Trian Agver, przyszły Haron Mądrości! Nieźle, prawda?

- Gdybym wiedział, nigdy w życiu nie ośmieliłbym się!...

- Czyżby? Nasłuchałam się o twoich podbojach od Wrednych Bagien aż po Strażnicę Świata niezwykłych historii. Wynika z nich, że zaręczyny nie robią ci żadnej różnicy.

- Ale gdyby twój haroński mąż się o mnie dowiedział, ciebie czekałaby...

Urwał.

- No? – ponagliła Ceadmille. – Co by mnie czekało?

- ...hańba.

Ceadmille znów zachichotała.

- To zadbamy, by mój haroński mąż się o tobie nie dowiedział.

- Droga Ceadmille. Tutaj jest inaczej niż w Zlewisku, tutaj...

- Tutaj mój ojczulek znalazł poczciwca, który się ze mną ożeni, nie zważając na żadne krążące wokół mojego pobytu w Zlewisku plotki. Ze świecą szukać tak ufnego męża. Ożenek z kimś takim nie powinien budzić w tobie lęku.

- Ale to jednak ożenek z przyszłym haronem, i to w dodatku... Czy nie da się zrobić czegoś, żeby temu zapobiec?

Ceadmille uśmiechnęła się szeroko, opierając podbródek na łokciu. Silarus przełknął łyk bimbru przez dziwnie ściśnięte gardło.

- Może ty się ze mną ożenisz? – zaproponowała. – Może zostałabym kiedyś generałową?

Silarus czuł jak się czerwieni.

- To się raczej nie stanie – stwierdził. – Wybacz, Ceadmille, ale...

- Ależ bez obrazy. Małżeństwo z Trianem Agverem może być całkiem zabawne.

Wyłożyła się na łóżku, zsuwając pantofle i kładąc nogi za plecami Silarusa, zamiast na jego kolanach. Nie uszło jego uwadze to, jaką pustkę na nich poczuł.

- A gdybym ci się jednak oświadczył – zagadnął – przyjęłabyś mnie?

Ceadmille przymknęła piękne oczy. Trzymała ramiona skrzyżowane pod piękną głową okalaną pięknymi włosami... Silarus nigdy nie widział bardziej przygnębającego pomnika wolności i swobody.

- Nie – zdecydowała. – Tak jak teraz jest o wiele zabawniej.

- Śmiem twierdzić, że małżeństwo ze mną byłoby przygodą twojego życia.

- Mojego owszem. Dla ciebie byłaby to katorga, przez którą nie zamierzam cię przeciągać.

- A to dlaczego?

- Bo zakochałeś się we mnie jak ostatni kretyn.

Zawyła, kiedy Silarus zaczął łaskotać jej stopy przez cienką warstwę pończoch. Trzymał ją za kostki, kiedy próbowała mu się wyrwać, płacząc ze śmiechu i rujnując swój piękny mikaon, aż spadli z łóżka, pomiędzy rozrzucone ubrania. Silarus zawisł nad jej twarzą,

tak blisko, że czubki ich nosów prawie się stykały. Usta Ceadmille rozchyliły się w oczekiwaniu.

- Skoro jak kretyn, to uczucie Triana już jest pewniakiem – mruknął, starając się nie skupiać na tym, że również jej nogi były rozwarte. – Nie chciałbym ingerować w wasze szczęśliwe pożycie.

- Nie mogłoby być szczęśliwe bez ciebie – odparła tonem, który odezwał się dreszczem w kręgosłupie Silarusa. – Byłoby nudne jak małżeństwo praczki z cieślą. Najchętniej... Ach, najchętniej chciałabym takiego dramatu jak mają Jej Miłość i Szary Haron, którzy przecież muszą przeżywać takie...

Całe napięcie eksplodowało w Silarusie jak potok lawy. Jednak zamiast nurzać się w ukropie rozkoszy, poderwał się jak rażony lodowatą błyskawicą.

- Jak go nazwałaś? – wycedził.

Ceadmille, wciąż z głową obok przepoconych onuc, zamrugała, zbita z tropu.

- Kogo?

- Jak to kogo? Kaia! Kaia Kohara! Tego dzieciaka, który durzył się w tobie przez połowę życia! Co, został nagle bóstwem? Uzdrowił kogoś? Wygrał jakąś wojnę? Czemu niby nazywasz go Szarym?

Ceadmille usiadła, wciąż zamiatając gęstymi rzęsami z konsternacją.

- To taki draźliwy temat? Dobrze sobie radzi, to tak go nazywają... Ojczulek i Trian, i ludzie...

- Ach, no jasne! No jasne, że stary Davaden tak go nazywa! No i nasz Trian, no przecież! Wiadomo, że ich rozum kończy się tam, gdzie zaczynają przesady gawiedzi! Wystarczy wyjść do motłochu, dać mu pajdę chleba do podziału, naopowiadać jakichś bzdur i już, od razu, nazywamy go Szarym, tak?! Wstydziłbym się na miejscu Triana, że nie wpadłem na to lata wcześniej! Jebany przyszły Haron jebanej Mądrości... To znaczy nie to miałem...

Ceadmille już parła do wyjścia, ale Silarus był szybszy - przytrzymał drzwi ramieniem.

- Nie to miałem...

- Wypuść mnie – warknęła, siląc się na spokój. – Nie muszę tego słuchać.

- Ceadmille, wiesz, że nie chciałem...

- Cóż takiego zrobił ci Szary Haron, że twoja pogarda sięga do mojego ojca i narzeczonego? Myślałam, że to ty próbowałeś go otruć. Wykonując niezwykle przykry rozkaz, jak mniemam.

Silarus najpierw skołowaciał, a potem uśmiechnął się gorzko. Już tyle lat nikt o tym nie wspominał. Wydawało się, że nikt o tym nie pamięta - a odkąd Kai wrócił do tego przeklętego kraju, każdy traktował Silarusa jak sparszywiałego truciciela. Nawet Ceadmille, która w dodatku wiedziała doskonale, gdzie nacisnąć tak, żeby zaborało.

On zresztą też to wiedział.

- Ciekaw jestem, jak głupi musi być Haron Mądrości, żeby pozwolić swojemu synowi marnować na ciebie czas – wypalił.

- No chyba bardzo głupi – odrzekła Ceadmille. - To chcesz usłyszeć? Nie żenię się z nim dla jego rozumu.

- Tylko dla rozrywki.

- A dla czego bym miała?

- No to ożeń się ze mną – Nie pozwolił się zagłuszyć jej okrutnym śmiechem. – Niech stracę. Będziesz miała rozrywki pod dostatkiem. Możemy uciec w dzicz albo za Wielką Wodę, albo w ogóle w nieznane, nic mnie to nie obchodzi, pod warunkiem, że...

- Czy ty się nad mną litujesz?

Nie była to prawda, ale Silarus nie zaprzeczył. Sam nie wiedział, po co to wszystko mówi. Lepsze było jednak, by się na niego zirytowała niż by odgadła, że się w niej zadurzył, okazała mu łaskę i odeszła stąd, już nigdy nie zbliżając się do niego na tak upojną odległość. Najchętniej odszedłby stąd jak najdalej, na zawsze zapominając o Kaiu, ojcu i Zlewisku, gdyby tylko ona zechciała wybrać się z nim...

Wziął głęboki oddech, przypominając sobie, że jest w niej zakochany dopiero dwa tygodnie.

- Wybacz – powiedział, ściągając ramię z drzwi. Ceadmille nimi nie wybiegła. – I za propozycję, i za wybuch. Po prostu...

Odgarnął rozczobrane włosy z czoła i odszedł na drugi koniec pokoju, by opaść na krzesło przy ciężkim biurku. Ceadmille, wciąż z urażoną miną, poprawiła przekrzywiony gorset.

- Znasz to uczucie... Kogo ja pytam, musisz je znać.

Czekała, aż jej wyjaśni, ale on tylko pociągnął ze swej długiej, zdobionej potworami morskimi fajki.

- Jakie uczucie? – ponagliła.

- No wiesz... Więzienie. Że wszystko to więzienie. Każdy pokój, podwórko, każdy korytarz, każda rozmowa, każda osoba... Wszędzie jesteś więźnikiem.

Ceadmille uniosła brew, rozbawiona.

- Obudził się w tobie poeta, pułkowniku?

- Oszczędź mi – odpowiedział, odkładając fajkę i odwracając się do niej. – Ale wiesz, co mam na myśli, prawda?

- Nie. W każdym pokoju masz okna i drzwi. W każdym korytarzu masz dwa wyjścia. Z każdej rozmowy możesz się odmówić. Od każdej osoby możesz uciec. Nie ma żadnych ścian, krat, ani więzień. Jest tylko... przestrzeń.

Silarus przyglądał się badawczo, jak rozłożyła ręce, mówiąc ostatnie słowo z prześmiewczą emfazą. Wydawała się mieć na powrót jego ulubiony figlarny humor. Jedyne pocieszenie, jakie mógł znaleźć w perspektywie jej rychłego ślubu, to fakt, że kiedy nie będzie już musiała nosić mikaonu, będzie mu łatwiej odczytywać jej emocje.

- To też jakaś forma więzienia – zauważył.

- A gdzie tam – zaoponowała Ceadmille. – Możesz iść przed siebie w nieskończoność. Nigdy się nie zatrzymać.

Silarus nie odpowiedział. Nie spuszczał wzroku z kocich oczu Ceadmille. Ona ruszyła się pierwsza, ale nie zdołała nawet dotrzeć do środka pokoju, kiedy znalazła się w ramionach Silarusa. Sunął palcami po jej klejącym się od farby policzku, rozpuszczał jej brunatne włosy, całował jej wiśniowe usta, zsuwał z niej sztywny od brylantowych wykończeń materiał sukni i czuł się tak dobrze jak nie czuł się od... odkąd ostatni raz się z nią widział.

Móże jednak, mimo wszystko, ten przymusowy pobyt w Modrym Oku nie będzie tak parszywy jak podejrzewał?

\*

Zamku nie było widać spomiędzy gór. Atian skrzywił się, oderwał wzrok od Falgonów i zajarzał przez ramię Kaia.

- No i wiesz, gdzie to jest?

- Eee... - Kai poskrobał się w rudą, skropioną płatkami śniegu czuprynę. – No, Naucenemes to pajęczyna dróg, w dzielnicy rzemieślniczej wyjątkowo gęsta... Ale jeśli pójdziemy wzdłuż Murarskiej i skręcimy w raz, trzy, sześć... dziewiątą aleję, powinniśmy być na miejscu.

Schował mapę za pazuchę i narzucił na głowę brunatny kaptur. Atian zeskoczył z ławy, na której przycupnęli, i zaszczekał zębami.

- To chodźmy, zanim mi krew w żyłach zamarznie.

- Kupić ci jeszcze jeden szalik?

Atian, opatulony trzema, trochę wstydził się zgodzić.

- Nie, ale przejażdżka cieplutką dorożką obojgu nam dobrze by zrobiła.

- Koniom też jest zimno. Zresztą, muszę dokładnie przyjrzeć się temu miastu, a nie ślizgać się po nim wzrokiem zza okna powozu... O, patrz, Atian! Ta wdzięczna kapliczka informuje nas, że znajdujemy się na ulicy Kwoczej, która nazwę swoją wzięła podobno od bardzo zlej gospodyn domowej, która za karę przemieniła się w...

- Będziesz odwiedzać każde umierające dziecko w Naucenemes?

- Nie. Obawiam się, że życia mi na to nie starczy.

Odpowiedź ta, rzucona twardym i nieprzyjaznym tonem, ostudziła nieco ochotę na marudzenie, która ostatnio nawiedzała Atiana bardzo często.

- Co ma to, powiedz mi, wspólnego ze Sprawiedliwością, którą powinieneś szerzyć?

- Na pewno mógłbym wymyślić jakiś farmazon o równości i tak dalej, ale prawda jest taka, że zagalopowałem się trochę ze swoimi kompetencjami, masz rację. Ale co mam zrobić, jeśli Haron Przyjaźni ma głęboko w dupie swoje obowiązki?

- Więc po prostu serce ci się kraje, tak?

Kai skrzywił się w próbie przepraszającego uśmiechu. Atian westchnął. Nie dziwił się, że on był już admirałem, podczas gdy starszy od niego Kai musiał na to pracować niemożliwymi czynami.

- Rozumiem, że masz poczciwe serduszko i w ogóle, ale znajdzie się pewnego dnia ta jedna osoba, której nie zdołasz pomóc.

- Wiem.

- Osoba ta może na ciebie liczyć, widząc, że udzielasz pomocy innym. A ty ją zawiedziesz. Jak myślisz, co zrobi?

- Nie bardzo mnie to interesuje, Atian. „Pewnego dnia” to dość odległa przyszłość, a haron musi wiedzieć, jak być dobrym tak, żeby nie wywoływać zła.

- I ty to niby wiesz?

- Nie wiem... Ale niedługo się nauczę, prawda? Proszę, oto dziewiąta aleja. Szukaj szyldu szewca Millaina.

Budynki tutaj były wysokie i sklecone ze zbutwiałego drewna, które skrzypiało głośniej niż śnieg pod ich stopami. Mróz przerzucał wiry białych płatków z miejsca na miejsce, aż odsłonił coś czerwonego, na co Kai nie zwrócił uwagi. Atian, człapiący po jego śladach, tracił to coś końcem buta na grubej podeszwie. To coś było miękkie, a obok widniało czarne, zamglone oko.

Atian, ze zduszonym okrzykiem odskoczył pod przeciwną ścianę. Kai odwrócił się napięcie.

- Co się stało?
- Człowiek... - wychrypiął Atian. – Tu leży człowiek...

Osunął się na kolana, zupełnie otępiały i zdjęty nagłą słabością. Wstyd przyznać, ale był to pierwszy martwy człowiek, jakiego admirał Atian widział z tak bliska. Felsidów na truchle ogromnej jaszczurki syreny natychmiast wciagnęły w mroczne głębiny, a wszyscy inni polegli obecni byli tylko w opowieściach o sztormach. I dla Kaia był to pierwszy trup, czyż nie? Jeśli nie liczyć ciała jego ojca, od którego Atian odwracał wzrok...

Kai badał ciało i klął szpetnie, a potem chwilę się z czymś szarpał. Widok ten jakoś do świadomości Atiana nie docierał. Chłopiec poczuł łaskotanie na swoim policzku, jakby płakał się po nim komar, więc przetarł go ręką i zdumiał się, widząc, że opuszki jego palców są mokre.

- Wszystko w porządku, Atian? – usłyszał spokojny głos Kaia. – Idziemy.

Spojrzał na towarzysza i wciągnął ze świdrem powietrze, chowając się w bezpieczeństwie trzech warstw szalika.

- Dlaczego to robisz? – burknął. – Zostaw to!
- Nie możemy jej tutaj zostawić. Musi mieć pogrzeb, żeby mogła spotkać się z Szarym Człowiekiem.
- Jebać Szarego Człowieka! Zostaw to w spokoju! Jak możesz tego w ogóle dotykać?
- Pewnego dnia ja tak będę wyglądał. I ty też, Atian.
- Na pewno nie tak. Na pewno nie tak...
- Chodź. Ludzie się na nas gapią. A ty psujesz mi reputację, którą dopiero zacząłem budować. Wstawaj i chodź.

Atian wychylił się nad szalików i faktycznie, jego krzyki wywabiły gapiów, którzy wyglądali przez okna, pomimo przeraźliwego mrozu. Jedna okiennica otworzyła się i jakaś wielkooka, okropnie chuda kobieta prawie wypadła z okna, tak bardzo chciała przykuć wzrok oddalającego się harona.

- Szary Haronie! Szary Haronie, to ty?! Poznaję cię po czuprynie, to ty! Słyszałam, co mówiąłeś na rynku, byłam tam! Co tu robisz?! Pomożesz nam?! Pomóż nam, haronie!

Kai nie odwrócił się. Kolejna okiennica rozwarła się na oścież.

- Szary Haronie! – wychlipał wąsaty człowiek, który trzymał zaczerwienione od gorączki, niezdrowo tłuste dziecko na rękach. – Szary Haronie, pomóż mi, moja córeczka... Dałeś leki temu złodziejowi, wiem o tym! Daj i mojej córeczce!

Coraz więcej ludzi wychylało się przez okna i wrzeszczało, ile sił w płucach, za Szarym Haronem, który odchodził, niosąc martwą kobietę na rękach. Atian, wciąż klęczący na śniegu, poczuł nagle, jak ktoś szarpie go za kaptur. Odskoczył jak poparzony i zobaczył kościstą kobietę i jej barczystego męża wpatrujących się w niego jak w obrazek.

- Ty jesteś jego sługą, tak?! – syknęła kobieta, drapiąc się zawzięcie w podrygującą grdykę. – Idź za nim i powiedz mu, że go potrzebujemy! Wstaw się chociaż za nami, za Gezą i Farlonem z Murarskiej! Proszę, powiedz mu... Gorączka nas tu kładzie, gotujemy się we własnej skórze... Powiedz mu to, chłopaku! Biegij za nim i powiedz mu to! Ty mały...

Atian puścił się za Kaiem pędem i dogonił go, kiedy ten łomotał już kołatką w drzwi szewca Millaina.

- Czemu nie pomogłeś tym ludziom? – zaszlochał.

- Mam za mało leku.

- To przynieś więcej!

- Tak zrobię. Tak postaram się zrobić. Ale gwarancji, że te leki pomogą, nie ma żadnej. Epidemia gorączki wybucha w Naucenemes praktycznie co rok i nie ma na to pewnego rozwiązania.

- Co rok i jeszcze nie ma rozwiązania?!

- Zamknij się już, syn szewca jest chory i potrzebuje spokoju. Porozmawiam o epidemii i z haronami, i czarodziejką. A teraz już się uspokój.

Drzwi otworzyły się i wyjrzała zza nich czerwona twarz szewca rozświetlona uśmiechem.

- Szary Haron!...

Jego wzrok ześliznął się na kobietę na rękach Kaia, a uśmiech natychmiast prysł.

- Niestety – powiedział Kai, przechodząc przez próg, w krąg rozdygotanego światła.

Domem Millaina była jedna izba, a jego zakładem stragan przed domem, teraz zasypany białym puchem. Atian wcisnął się we względnie ciepły kąt pokoju, podczas gdy żona szewca parzyła im siewrój, którego Atian nie znosił, ale który lepszy był niż przeszywający chłód. Tęsknił za herbatą, i makiem, i kakao. Tęsknił za ostrygami, które wspaniale przyrządała jego matka. Pochodziła z miejsca zwanego Zlewiskiem, błękitnej plamy na mapie Świętej Unii, gdzie zbiegało się mnóstwo rzek i urodzajnych pól, a także ludzkich nieszczęść. Matka mówiła, że była niewolnicą, uciekła, ale wciąż w jej oczu wstępowała rozpacz, kiedy przypominała sobie to miejsce – zupełnie jakby znowu była w obroży i kajdanach, zmuszona do katorżniczej pracy na polach ryżowych. Tak to sobie przynajmniej Atian wyobrażała.

Było mu w miarę ciepło, dlatego pomyślał o matce, teraz pewnie pichcącej coś w kuchni w Strażnicy Świata. Ciekawiło go, czy matka często za nim teskni. Nie wypuszcza go z ramion, kiedy tam jest, ale nigdy nie można być pewnym, prawda?

Ciekawe, czy ktoś teskni za tą zimną i twardą jak lód kobietą, która leżała na środku izby, przykryta kocem. Millain powiedział, że to prostytutka Lona, lokalna atrakcja, dobra kobieta, choć głupia i chyba chora na umyśle. Teraz w każdym razie nie ma już żadnej cechy charakteru ani choroby, poza tym, że jest martwa. A synek Millaina wciąż był żywy – leżał na łóżku, rumiany, pograżony w malignie, dyszący chrapliwie, ale żywy.

Zanim Kai wreszcie pomógł temu, komu akurat miał zamiar, musiał powiedzieć najpierw jakąś bzdurę o miłości Szarego Człowieka.

- Niech Szary Człowiek, nasz stworzyciel i dobroczyńca, okaże łaskę biednemu Safowi, który jest tylko dzieckiem, który ma tyle życia przed sobą... Proszę, Szary Człowieku, raz jeszcze okaż nam swoją miłość, udowodnij, że los ludzkości nie jest ci obojętny...

Millain i jego żona zaczęli szlochać, a Kai przekręcił chłopca delikatnie na bok.

- Atian, móglbyś...?

Atian podniósł ze stołu buteleczkę mętnego płynu i mały drewniany lejek. Podał go haronowi i pomógł przytrzymać zlanego potem dzieciaka, kiedy Kai odkorkowywał butelkę i przelewał miksturę w jego ucho. Saf wzdrygnął się, najpierw raz i gwałtownie, a potem nieco łagodniej, ale krótkimi, straszliwymi seriami. Kai zaklął szpetnie i wsunął mu do ust drewniany gryzak, żeby nie odgryzła swojego języka. Atian ściskał miotającego się jak wyciągnięta na brzeg ryba chłopaka za ramiona, a Kai szukał gorączkowo w swoim płaszczu łańcuszka, który dała mu magini Chevita.

Na jego końcu dyndał podłużny błękitny kamień. Kai rozwarł Safowi powieki i machnął mu nim przed oczami. Kamień zabłyszczał, Saf zajęczał i uspokoił się. Atian odetchnął głęboko, rozdygotany, a Kai przeczeszał włosy dlonią.

- Co z nim? – wykrztusiła przerażona kobieta.

Obydwaj uzdrawiciele odwrócili się do zapłakanej rodziny.

- Wasz syn nie padł ofiarą epidemii – burknął Kai. - Ma zwyczajną grypę. I nie dojada.

- I jest bity – dodał Atian, zerkając na pożółkłe siniaki wychylające się zza kołnierza Safa.

Rodzice chłopca milczeli, najwyraźniej przerażeni ich wiedzą. Kai stał do Atiana plecami, ale chłopak czuł niewidoczną wściekłą parę wydobywającą się z jego niewysokiej, spokojnej sylwetki.

- Prosiłem, żebyście sprawdzili – warknął, robiąc jeden skrzypiący krok do przodu. – Mówiłem, że mam lekarstwo na gorączkę, ale tylko na nią. Mieliście sprawdzić, czy chłopak widzi.

- On... - wystękał Millain, nagle skurczony w sobie. – On nie widział, panie...

- No to Szary Człowiek rzeczywiście uczynił tu cud. Szkoda, że waszego syna kosztowało to prawie życie. To lekarstwo działa tylko na tę wyjątkową zimową gorączkę, jak ktoś jest zdrowy albo chory na co innego, to cholerna trucizna! Czy nie mówiłem o tym dwadzieścia razy?! Czy nie wrzeszczałem o tym na rynku wystarczająco głośno?! Czy nie mówiłem, że leku jest mało?! Że ciężko go zrobić?! Że nie może być marnowany na takie pomyłki?! Że każdy ma sprawdzić, czy ich cholerny podopieczny reaguje na ruch?!

Kai cisnął lejkiem o zbutwiałą ścianę, w której na pewno pozostało wgłębienie. Głęboki, miarowy oddech Safa zlewał się ze szlochem jego matki w dziwną, przyprawiającą o ciarki muzykę.

- Wasz syn się wyliże, gratulacje – fuknął Kai, zreflektowawszy się i schyliwszy po narzędzie. – Prawdopodobnie zabiliście za to inne dziecko z tej dzielnicy.

Nic na to nie odpowiedzieli. Kai patrzył na nich przez chwilę ze złością, po czym wyszarpnął z kieszeni trzy srebrne cerseny.

- Macie, na jedzenie. Chłopak musi dużo pić, ale czystej wody ze studni. Kupcie mu też owoce i czuwajcie nad nim. Zajdę tu niedługo. Nie zapomnę o was, uwierzcie mi. I jak zobaczę, że chłopak jest wciąż nieprzytomny... Jak jeszcze kiedyś zobaczę go z nowymi sińcami... Nie chcecie wiedzieć, co was wtedy czeka.

- Dziękujemy, haronie – wychlipał Millain. – Przepraszamy, haronie...

- Wasze przeprosiny są gówno warte – fuknął Kai, odsuwając się od wyciągniętej błagalnie ręki szewca. – Zrekompensujcie się chociaż w ułamku swojej winy. Musimy zorganizować tej tutaj godny pochówek.

- Tak, haronie... Ale ziemia zmarznięta...

- Jakoś damy sobie radę. Gdzie tu jest najbliższy cmentarz?

Millain jeszcze bardziej zbladł i zmatował. Atian obserwował go uważnie, nakrywając Safa dziurawym kocem. Jego matka podeszła do łóżka i położyła szponiąstą dłoń na czole syna.

- No, gdzie jest? – ponaglił szewca Kai.

- Na... na cmentarzu chcecie ją chować?

- A niby gdzie? To nie szpital polowy, żeby kopać dół w lesie.

- Tak, ale... Tam leży tyle porządnego ludzi... Moja matula, na przykład...

- Uwierz mi, po śmierci każdy jest równie porządnny i na równi zasługuje na godny pochówek.

- Ale pilnuje go koroner... Miejsce kosztuje...

- Kim ja jestem, co? Jestem Haronem Sprawiedliwości i będę traktował wszystkich, i umarłych, i żywych tak jak na to zasługuję. I przestań sobie zaprzatać głowę logistyką i koronerem. Gdzie jest ten cholerny cmentarz?

Był malutki, zadbany i biało – czarny. Biały od śniegu oblepiącego wszystkie mogiły i lodu zamarzłego na kwiatach obrastających oblodzony płot. Płot był czarny, tak samo jak pomnik Szarego Człowieka - strasznej, zakapturzonej postaci z wielkimi orlimi skrzydłami. Opierał się on na czarnym mieczu jedną ręką, a w drugiej trzymał czarną, zamarzniętą lampion. Kai prawie odłamał drzwiczki, próbując zatrzasnąć do środka.

- O, pali się – zdziwił się i zatrzasnął lampion. – To kopiemy, tak?

Atian przytaknął i ochoczo zabrał się do roboty. Millain po chwili wahania do niego dołączył. Na cmentarzyku ktoś bardzo dbał o odśnieżanie i spulchnianie ziemi, więc łopaty pożyczone od sąsiadów nie zazgrzytały o stwardniałą od mrozu glebę. Kai nie zdążył sięgnąć po swoją, kiedy z pobliskiej czarnej kaplicy wybiegły czarne ptaki, rwące sobie włosy z i tak łysiej głowy.

- Co się tu, kurwa... Co tu się wyprawia? Co wy, kurwa, robicie?

- Ty jesteś koroner? – warknął Kai, zastępując mu drogę.

- Ja...? Ja tu kopię groby! I co ci w ogóle do tego, smarku?! Kim jesteście i co tu robicie?!

- Chowamy zmarłą. Masz tu dziesięć cercenów, zanieś je koronerowi.

- Tak nie można! – wrzasnął mężczyzna, wytrzeszczając przekrwione oczy. Wyrwał jednak sakiewkę z dłoni intruza. – Są procedury, mogiłę trzeba odpowiednio wcześniej wykupić, regulamin...

- Plwam na ten regulamin! Zadbam o to, żeby za grzebanie zmarłych twój koroner nie dostał już ani nuda! A teraz spieprzaj stąd, zanim naprawdę puszczą mi nerwy.

Z wściekłością wbił łopatę w napoczęty dół.

- Za kogo ty się uważasz, co? – parskanął śmiechem grabarz. – Co ty możesz niby zrobić, żeby odebrać koronerowi...

- Za Harona Sprawiedliwości, jasne?! – Kai ryknął tak, że z pobliskiej zeszłej wierzyby poderwały się czarne, szpetne zimowe ptaki, a łysy grabarz skurczył się w sobie. – Mam dzisiaj bardzo zły dzień, więc radzę ci lepiej zabrać te pieniądze, zanim naprawdę poleje się krew!

Grabarz przełknął ślinę i pokuściął do kaplicy, oglądając się na Kaia wyrzucającego za plecy grudy zamarzniętej ziemi. Atian zerknął na przerażoną twarz szewca, a sam ukrył rozbawienie pod szalikami. Kai był jak ta zmienność małpa – kiedy chciał, był aroganckim głupcem, kiedy chciał, mądrym świętym, a innym razem strach było wejść mu w drogę.

W szopie obok kaplicy znaleźli cały stos byle jakich kamieni, którymi wysypali dół. Te w grobie ojca Kaia były gładkie i czyste, a po tych spacerowały pajaki i sypała się z nich jeszcze jesienna ziemia i wilgoć. Millain nawet nie zauważał, że grób ten jest tak skromny i niedbały. Wręcz przeciwnie - dziwił się, że robi aż tak dużo dla tak parszywej kobiety.

Kiedy skończyli, rozwiązały zawinięte w prześcieradło ciało Lony, które żona Millaina namaściła w domu różanym olejkiem, którego zapach rozmywał się w zimowym wietrze. Taki olejek miał każdy w Świętej Unii, na wypadek śmierci lub nadejścia Szarego Człowieka. Atiana to przerażało – wśród felsidów nikt nigdy nie przygotowywał się na śmierć, tylko na to, jak jej uniknąć. Ten południowy rodzaj pragmatyzmu... w tak makabrycznych sprawach... Nie podobało mu się to.

Millain i Kai ledwo unieśli ciało, kiedy z kaplicy wyszło dwóch ludzi – jednym był przygarbiony lysol w łachmanach, a drugi, o wiele lepiej ubrany, maszerował dziarsko w kierunku świeżego grobu.

- Dzień dobry! – pomachał do nich. – Co za zaszczyst dla mojej skromnej osoby!

Kai, który właśnie ułożył na kamieniach głowę Lony, odwrócił się czujnie jak surykatka.

- Dzień dobry – powtórzył z uśmiechem koroner, zatrzymując się tuż przy Kaiu. – Cóż sprowadza harona w moje skromne progi?

- Właśnie chowamy samotną kobietę.

- Ach – mężczyzna jakby się zreflektował i zmierzył nieprzyjaznym spojrzeniem twarz Lony. Na pewno znał jej reputację. - Bardzo szlachetne z twojej strony, panie, że wykupiłeś jej miejsce na moim skromnym...

- To pieniądze króla. Ja jestem biedny jak mysz pod miotłą.

Uścisnął z czułością prawą dłoń Lony. Atian zrobił to samo z lewą, a Millain zaraz po nim. Kai modlił się.

- Ale że też akurat mój skromny cmen...

- Podoba mi się, jaki jest zadbany – burknął Kai. On i Millain wsunęli obydwie ręce Lony do grobu i, wraz z Atianem, złapali za łopaty. – W lampie pali się światło, ziemia jest grząska, kamienie przygotowane.

- Och, naprawdę, zbyteczne to...

- Ale nie będziesz już pobierał opłat za miejsce na cmentarzu. Prawo boskie i państwowego mówi, że każdy zasługuje na godny pochówek w miejscu oświetlonym światłem tej lampy – wskazał na pomnik Szarego Człowieka i wrócił do zakopywania mogił.

- Prawo mówi też – zmarszczył brwi koroner – że mogę pobierać opłatę.

- To zdzierstwo, a nie opłata. Jeśli zarabiasz za mało w kostnicy, zgłoś się z tym do odpowiedniego urzędnika. Za pochówek nie masz już prawa jej pobierać.

- Ach, tak? Przez grób dla jakiejś bezbożnej, zawszonej...

- Nie chcesz kończyć tego zdania, koronerze.

- Ja... No dobrze. A co z innymi cmentarzami?

- Spotka je ten sam los. Wszędzie, gdzie Szary Człowiek trzyma tę lampa, czyli, nie rozum tego dosłownie i nie doszukuj się luk, na każdym cmentarzu, pochówek jest przysługującym każdemu jednemu człowiekowi prawem. A teraz, koronerze, jak nie chcesz uczestniczyć w ceremonii, to zjeźdzaj.

Koroner chwilę poruszał ustami jak oburzona ryba, po czym odszedł wściekle do kaplicy. Za nim pokułykał lysiejący grabarz, który zatrzymał się jednak przy czarnej ścianie.

Śnieg zaczął prószyć, kiedy stanęli w trójkę nad świeżą mogilą. Nikt nic nie powiedział, nawet Kai powstrzymał się od religijnej propagandy. Potem zaczęło sypać naprawdę porządnie.

\*

Mimo to, dziedziniec Pamięci tętnił życiem. Wszyscy uwijali się wśród białej kurzawy, niosąc worki owsa dla koni, biegając do kuźni z wyszczerbionymi mieczami lub pokrywając na innych, bardziej zajętych od siebie. Stary klucznik oczywiście w tym przodował, oparty na swej sękatej lasce, schroniony bezpiecznie pod dachem wejściowych wrót.

Bawił się świetnie, aż na dziedziniec niczym czarne demony wjechali dwaj dumni jeźdzy. Tłum sług rozproszył się przed kopytami ich koni, a ci ściągnęli lejce tuż przed klucznikiem. Starzec spojrzał lękliwie w górę.

- Uszanowanie – przywitał go głęboki głos Harona Obowiązku. – Prowadź do haronei.

Haron Przyjaźni szczerzył do niego swe pożółkłe zęby pod cienkimi wąsami, które nadawały mu wygląd przebiegłego gryzonia.

Klucznik ostrzegł ich, że haronea nie jest w najlepszym stanie, lecz to, co zobaczyli, przerosło ich najmniej łaskawe oczekiwania. Kiedy widzieli ją ostatnim razem, kiedy Kohar

jeszcze żył, była rumiana, pogodna i promieniuiąca energią. Była typem kobiety, z którą są wieczne problemy. Teraz, cała odziana w biel, siedząc na krześle i, wpatrując się w iskry białego śniegu za oknem, wyglądała jak martwy łabędź. Jej rude włosy straciły blask, a w niektórych miejscach zupełnie zszarzały. Twarz była blada i pełna plam świadczących o tym, że dużo płakała. Nie była już krągła, tylko mizerna i sfłaczała. Nawet nie odwróciła głowy, kiedy haroni weszli, kłaniając się jej w pas.

- Nasze najszczerze kondolencje, Nurio – powiedział Immala. Nic dziwnego, że jej dzieci nazywały go Szczurem. Nawet jego głos brzmiał obleśnie. – Jak sobie radzisz?

Haronea nie odpowiedziała, bawiąc się rozsypanym puklem włosów. Haroni spojrzały po sobie i usiedli niezręcznie na pufach przed nią, plecami do trzaskającego kominka.

- Jeśli interesują cię wieści o Ka...

- Nie interesują – przerwała natychmiast, wciąż na nich nie patrząc. – Nie znam nikogo o takim imieniu.

Służąca weszła bez zapowiedzi z tacą herbaty i ciastek. Obydwaj poczęstowali się, maczając ciastka w swoich filiżankach.

- No cóż... - podjął ponownie Oakter, kiedy w gabinecie została tylko ich trójka. – Pewnie domyślasz się, czemu tu przybyliśmy.

- Tak. Domyślam.

- Wiesz, że tak nie może być. To wbrew prawu.

- Mam na piśmie ostatnią wolę Kaia Kohara, dziedzica tych ziem.

- Mówiłaś, że nie znasz nikogo...

- Kiedyś znałam. Kiedy jeszcze miał prawo do wyrażania swej woli w sprawie Pavilonu. Ja mam tutaj rządzić.

- Nurio – westchnął Immala – wiesz, że taka ostatnia wola nie działa tak samo jak ostatnia wola twojego męża, niech Szary Człowiek pomoże mu w wędrówce. Dziedzic tych ziem się ich wyrzekł i żadne prawo, które ustanowił, nie obowiązuje.

- Ludziom jest dobrze pod moimi rządami. Pavilon poczeka na następnego Harona Sprawiedliwości, który wykaże trochę więcej odpowiedzialności.

Oakter aż parsknął śmiechem.

- Obawiam się, że nie mamy tyle czasu...

Haronea zgromiła go wzrokiem.

- Prowincji jest tyle, ilu haronów i Cnót – pouczyła go lodowatym tonem. – A wy czego chcecie tutaj dokonać? Swoistych rozbiorów, czyż nie? Wojny domowe wybuchały o mniejsze terytoria.

- Grozisz nam? – zwęził oczy Haron Obowiązku.

- Obwieszczam tylko, że zamierzam bronić rzeczy dla mnie ważnych. Obydwie moje córki przyszły na świat w tym zamku. Od blisko czterdziestu lat to ja bardziej przejmowałam się służącymi na nim niż mój drogi martwy mąż. Pamięć i Pavilon należą mi się jak psu buda.

- Nurio – Haron Przyjaźni silił się na spokojny ton głosu. – Weźmiemy ciebie i twoje córki pod opiekę. Będziecie miały wszystko, pełną wolność, pieniądze...

- Nie czaruj mnie, Osso – mruknęła haronea, wracając wzrokiem do okna. – Wiesz, że nie wierzę ani jedno twoje słowo.

- Nie mam potrzeby cię czarować, Nurio. Robię to z czystej kurtuazji. Nie możesz rządzić Pavilonem. Jesteś kobietą.

- A wy nie możecie po prostu zagarnąć jednej szóstej Świętej Unii dla siebie!

Argument o jej płci, rzecz jasna niepodważalny, wreszcie zrzucił z niej maskę apatii. Wstała i zaczęła spacerować od regału z książkami do pozłacanej makiety Znanego Świata, wykręcając sobie palce.

- Oddamy ziemie następnemu Haronowi Sprawiedliwości, zapewniamy cię – odezwał się Oakter.

- Plwam na wasze zapewnienia – odwarknęła Nuria. – Nie zgadzam się na rozbiór Pavilonu, nie zgadzam na waszą kuratelę, opiekę, amnestię, jakkolwiek to nazwicie. Znam was za dobrze, chciwe kreatury!

- Nurio, wiesz, że nie poradzisz sobie z naszymi wojskami. A jeśli dostaniemy wsparcie od Yazora Temidana i króla – a wiesz, że dostaniemy – to skażesz na daremną śmierć wiele istnień, o które pozornie tak się troszczysz.

Nuria przyspieszyła kroku. Wzrok miała rozbiegany jak w gorączce.

- Że też przyszło mi się poddać takim przeciwnikom – syknęła z jadem. – Impotent i ojciec impotentów.

Haroni zerwali się ze swych puf, łapiąc za miecze u pasów.

- Uważaj na słowa, Nurio – warknął Immala – albo spotka cię los gorszy niż ten, który ci obiecaliśmy.

Haronea odwróciła się do nich z uśmiechem.

- Nie boję się was. Ty, Osso, wkrótce umrzesz, nie pozostawiając po sobie nikogo. Twoje ziemie spotka wtedy taki sam los jak moje i szczerze ci tego życzę. A twoje dziedzictwo, Irysie, może i przetrwa dłużej, ale w końcu i tak wymrze. Ile lat ma twój najmłodszy syn? Dwadzieścia dziewięć, tak? I wciąż ani dzieci, ani żony, tak jak jego starsi bracia? Niedługo jedyną partią, jaka mu pozostanie, będą bękarty Kastirrona.

- Zamknij się, Nurio. Nie załatwisz sobie władzy, posypując rany solą.
- Masz rację. Zamierzam ją sobie załatwić układzikami.

Haroni wpatrywali się w nią z wściekłością. Haronea, prawie wyłamując palca wskazującego prawej ręki, spojrzała po nich z promiennym uśmiechem.

- Tak się składa, że mam na wydaniu dwie panny, które zagwarantowałyby przetrwanie waszym rodom, a w przyszłości może i Pavilon, jeśli jedyny męski potomek Gaiusa nie stanie na wysokości zadania i w tej sprawie.

Haroni wytrzeszczyli oczy, oburzeni.

- To jeszcze dzieci!

- Pinovar jest bardzo dojrzała jak na swój wiek, a Iver w następne Zakwitanie zacznie się już malować.

- Obydwie nie mają nawet jeszcze dwudziestu lat!

- Czemu mamy się tym przejmować? Można chyba nagiąć prawo o parę Riggvare.

- Ale... Tak się nie robi, Nurio! Nie jesteśmy obrzydliwcami zza Wielkiej Wody, którzy zrobią wszystko dla władzy i tytułu! Mamy jakiś honor, mamy jakieś zwyczaje!

- Zwyczaje to nic innego jak regularnie pękające tamy hamujące was przed zrobieniem tego, co chcecie. Znam mężczyzn i znam was. Wiem, że zrobiliście wszystko, żeby mieć w ramionach taką świętą i czystą jak łyza Iver.

Haroni stali tam, oniemiali, podczas gdy haronea wpatrywała się w nich z zadowoleniem.

- Jak możesz się na to zgadzać? Jak możesz sama to proponować? – Oakter pokręcił z niedowierzaniem głową. – Skażesz je na hańbę dla władzy? Myślałem o tobie lepiej, Nurio.

- Ja zawsze myślałam o tobie jak o zwykłej szumowinie, Irysie. Jeszcze gorzej o tobie, Osso. Do moich uszu nie dotarła wasza odmowa.

Haroni Przyjaźni i Obowiązku stali na tle tańczącego w kominku ognia i proszącego za oknem śniegu, rzeczywiście niezdolni do odrzucenia układu.

\*

Chevita nudziła się niezmiernie. Chorobą, z którą musiała użerać się całe życie, bo powracała natarczywie jak rak, była nuda; przeraźliwa, otępijąca i paląca od środka nuda. Ludzie nie uwierzyliby jej, gdyby powiedziała, że znaczną większość swoich życiowych wyborów, jednych mądrzejszych, innych głupszych, dokonała przez chęć, żeby coś się

zadziało; cokolwiek, nawet coś, czego przedzej czy później musiałaby ponieść konsekwencje. A jednak taka była prawda.

Zbliżała się północ, a nuda tego dnia była tak potworna, że czarodziejka siedziała po prostu przy swej toaletce, rysując iskrami po lustrze. Za nią na łóżku leżał Myron, okropnie nudny, odkąd został królem. Kiedyś ich schadzki były rzadkie, ale bezczelne, pełne napięcia, strachu przed wykryciem i gorączkowego pośpiechu. Tak często, ku uciecze Chevity, sam król nie wiedział, że jego syn jest w zamku, a Myron i tak szczekał zębami ze strachu. Teraz jednak Myron nie bał się niczego; leżał na łóżku w jej komnacie, najspokojniej w świecie rozłupując orzechy. Nie spieszył się z niczym i nie martwił o niepokój żony leżącej w sąsiednim skrzydle zamku, która była zresztą zapewne zbyt zajęta i dziećmi, i własną tępotą, żeby zorientować się, że jej mąż co wieczór znika w ramionach innej kobiety. Chevita sunęła palcem po szkle, zastanawiając się z irytacją, kiedy Myron wreszcie zrobi swoje i sobie pojedzie.

- Kai Kohar leczy biedotę Naucenemes – mruknęła. Kai Kohar był interesującym tematem rozmowy w sytuacji, kiedy naprawdę nie było już o czym rozmawiać. – Zainteresował się epidemią zimowej gorączki.

- Dobry dzieciak.

- Nie wiem, czy można go jeszcze nazywać dzieciakiem. Chłopak ma jaśniej wytyczone cele niż ty.

Myron spojrzał na nią spod krzaczastych brwi.

- Ta? A jakie to niby cele?

- Trzeba być bałwanem, żeby tego nie zauważyc.

- Ja zauważam. Ale może ty zauważasz coś innego?

Chevita parsknęła śmiechem, wstając i zaciskając szarfę szlafroka na talii. Myron wcale nie był od swojej żony mądrzejszy, ale przejawiał przynajmniej jakąś inicjatywę.

- Wystarczy zapytać, miłościwy królu. Na tronach od wieków zasiadają bałwany. Od główkowania mają doradców.

- Ja nie jestem idiotą.

- Skoro tak twierdzisz.

Myron, widocznie podenerwowany, odłożył miskę orzechów i usiadł na brzegu łóżka.

- Kai zawsze był dobrym dzieciakiem. Nie sądzę, żeby mój ojciec miał jakieś ukryte zamiary w oddawaniu mu Cerro. Zawsze szedł pod prąd, był odważny...

- Idealne dziecko.

- ...więc wcale nie dziwię się, że martwi się o takie rzeczy jak biedota i jej choroby. Służba u felsidów musiała do tego zrobić swoje.

- Wiesz, co ja bym zrobiła, gdyby mnie wygnano w jakąś cholerną dzicz, a potem łaskawie sprowadzono z powrotem, dano jedną z najważniejszych posad w kraju, ziemię i małżonka z królewskim tytułem? Zemściłabym się. Powoli, wyrafinowanie i krwawo.

- Na szczęście nie wszyscy są tacy jak ty. Zresztą Kaia zawsze pociągała cholerna dzicz. Zawsze bawili się w felsidów, on i...

- Silarus Temidan – To była kolejna prawie ciekawa osoba. Chevita zaczęła spacerować, sunąc różaną koronką po posadzce. – Więc tak po prostu mu wybaczył? Więc tak po prostu znowu są najlepszymi przyjaciółmi? Widziałam ich wczoraj wieczorem, jak pastwili się nad rekrutami na dziedzińcu. Zawsze ze sobą rywalizowali, a teraz czysta harmonia...

- Więc teraz którego z nich oskarżasz o kombinowanie?

- Cóż, niewykluczone, że obaj...

Przerwało jej pukanie do drzwi. Spojrzała z przestrachem na Myrona.

- Schowaj się.

Król uniósł czarną brew i rozłożył się na łóżku, powracając do orzechów.

- Jestem królem – oświadczył. – Nie będę się przed nikim chował.

- A jeśli to Habren?

Myron tylko prychnął, odrzucając pomarszczoną łupinę. W Chevicie wezbrała taka furia, że gotowa była podejść do niego, złapać za jego głowę i wypalić tę pustą czaszkę od środka. Zamiast tego otworzyła jednak drzwi.

W szparze ukazał się ciemny jak kosmos zielonooki chłystek, którego sprowadził ze sobą Kai Kohar i który kazał tytuować się admirałem. Kiedy Chevita zgromiła go wzrokiem, ten błysnął do niej zębami.

- Dobry wieczór – przywitał się. – Przysyła mnie haron Kohar. Prosił o więcej lekarstwa na zimową gorączkę. I ma też list z rozkazem dla pani.

- A twój haron nie mógł pokwapić się osobiście?

- Nie mógł, proszę pani. Ma jeszcze bardzo dużo spraw do załatwienia.

- Tytuuję się mnie „magini”, admirale.

Z satysfakcją zauważyła, że chłopak się zmieszał.

- Przepraszam, magini – powiedział o wiele pokorniejszym tonem. – Jeszcze nie jestem obity z tutejszymi zwyczajami.

- Wiem.

Rzuciła krótkie spojrzenie na leżącego na łóżku Myrona, wyrwała chłopakowi z ręki liścik i otworzyła drzwi szeroko.

- Wejdź do środka. Chwilę potrwa, zanim znajdę ten lek.

Przystąpił próg nieśmiało i zauważał ubranego jedynie w koszulę nocną króla.

- Dobry wieczór – dygnął lekko głową, na co Myron odpowiedział nieco zafrasowanym uśmiechem, wsuwając nagie kolana pod pierzynę.

- „Wasza Wysokość” – warknęła Chevita, rozsupłując kawałek pergaminu. – Tak tytułuje się tutaj króla.

- Bardzo przepraszam... Wasza Wysokość.

- Ależ nic nie...

- Twój haron nie wie, że rozkazy trzeba pieczętować? – Chevita zamachała giermkowi listem przed nosem. – Skąd mam wiedzieć, że na przykład ty go nie napisalesz? Nie mam obowiązku wykonywać rozkazu bez pieczęci.

- Haron podpisał list tak, żeby nie miała magini wątpliwości, że to on jest jego autorem.

Chevita zajrzała do środka.

*Szanowna magini Chevito, jako Haron Sprawiedliwości proszę o jak najszybsze stworzenie antidotum na zimową gorączkę. Aby magini pomóc, załączam listę objawów, które sam zaobserwowałem. Nakazuję też magini jak najszybciej (jutro, jeśli to nie koliduje z magini napiętym grafikiem) udać się do Akademii Czwartej Cnoty, aby wspólnie z urzędującymi tam uczonymi ukończyć prace nad skutecznym antidotum. Oczywiście nie wypuszczę magini bez pogawędkи ze mną jutro z samego rana, jeszcze przed śniadaniem, w bibliotece. Do zobaczenia.*

„UCIEKAJ”?

Usłyszałaby zgrzyt własnych zębów, gdyby akurat nie miażdżyła papieru w dloniach. Spostrzegła, że Myron zagląda jej przez ramię i odsunęła się od niego gwałtownie. Sługa Kohara obserwował ją ze spokojem.

- Powiedz swojemu haronowi, że ma sobie sprawić pieczęć – syknęła. – Zgaduję, że do pierścienia ojca nie ma prawa, odkąd wyrzekł się nazwiska?

- Nie ma.

- To niech wymyśli sobie inny symbol. Czekaj chwilę.

Z szafy pełnej przeróżnych słów i przedziwnych przyrządów wyciągnęła pękatą butelkę leku.

- Dziękuję, magini – Chłopak ponownie skinął głową. – Przekazać haronowi, że zrozumiała magini rozkaz?

- Przekaż mu, co chcesz! Bierz tę flaszke i wynoś się!

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Zanim zatrzasnął drzwi, rzucił jeszcze przedkie „Dobranoc, Wasza Wysokość” i tyle go ta komnata widziała.

- Co było w tym liście? – zaciekawił się Myron.

- Że wyjeżdżam! Jak najszybciej!

- Co? Daleko?

- Daleko! Do Aklaidei!

- Co? Czemu?

- A co cię to w ogóle interesuje?! Ten ROZKAZ był wyraźnie skierowany do mnie!

- Szary Człowieku, jesteś dziś tak drażliwa...

- Ciekawe, jaki ty będziesz, zostawiony z tym lisem sam na sam!...

Znowu przerwało im pukanie. Chevita otworzyła drzwi z furią, nie patrząc nawet, kto za nimi stoi.

- Zapraszam, mości interesancie! W końcu północ to najodpowiedniejsza pora na wizytę u czarodziejki, czyż nie?! To nie tak, że ona potrzebuje snu!

- Właściwie – odparł znajomy, skrępowany głos – przyszedłem do Waszej Wysokości...

Myron stał na wprost drzwi z ustami otwartymi jak ostatni bałwan. Chevita wytrzeszczyła oczy i dopiero wtedy upewniła się co do tego, kto znalazł się na jej progu.

Silarus Temidan uśmiechał się niezręcznie.

- Ach – westchnęła czarodziejka. – Nie mówiłeś mi, Wasza Wysokość, że na czas mojej nieobecności przejmujesz moją sypialnię.

- Właśnie po to, żeby to magini powiedzieć, tutaj przyszedłem – oświadczył wspaniałomyślnie król, jednocześnie zaciskając szarfę na swoim pięknym, futrzanym szlafroku. Chevita, zupełnie wytrącona z równowagi, zaczęła spacerować po komnacie, zataczając kółka. – Czego ci trzeba, Silar?

- Cóż, chodzi o taką drobną sprawę... Dzisiaj rano uczyłem syna Waszej Wysokości fechtunku i zauważylem... No, zauważylem, że jest leworęczny.

Chevita spojrzała na króla ostro. Krew odpłynęła Myronowi z twarzy.

- No jest – przyznał. – Próbuje go tego odurczyć.

- Ale zupełnie niepotrzebnie! Wiele wybitnych wojowników, na przykład mój brat, rodzi się leworęcznymi i trzeba im pozwolić rozwijać ten talent. Tym bardziej, że Kallo drugą ręką radzi sobie świetnie – czuje się pewniej, ma większą frajdę i ogólnie ta jego ręka jest silniejsza. A Wasza Wysokość chyba nie jest przesadny, prawda?

- Nie, nie, skąd – Myron z ulgą otarł pot z czoła. – To bardziej przez naciski Habren. Wiesz, jakie są kobiety. Więc sugerujesz, żeby Kallo od dzisiaj robił wszystko lewą ręką?

- No, może nie wszystko, ale żeby robił rzeczy tak, jak jest mu wygodniej. Mówił mi też, że ma problemy ze wzrokiem, ale tym się już magini...

- Zajęłam się tym, tak – Chevita oparła się wreszcie o toaletkę. – Od lat powtarzam królowi, żeby przestał stresować dziecko. Dobrze wiedzieć, że posłucha wreszcie kogoś po jednym dniu obserwacji. Król sam urodził się z ręką ojcobójcy, wiedział pułkownik?

- Wystarczy, Chevita – warknął Myron nie znoszącym sprzeciwu tonem. – Oduczono mnie tego, bo moje ciotki wierzyły w te durne zabobony. Ale dziękuję ci, Silar, od dzisiaj będziesz miał sprawniejszego ucznia.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. Dobranoc, magini.

Opuścił komnatę, po cichu domykając drzwi. Myron przeczesał drżąca ręką włosy. Chevita wpatrywała się w niego jadowicie.

- Wiedzą... - wyszeptał król.

- Pewnie, że wiedzą – fuknęła czarodziejka, wpuszczając księżyckowe światło do komnaty. – Wszyscy wiedzą. Teraz wie także Kai Kohar. Habren jest pewnie ostatnią głupią.

- Może zachowają dyskrecję...?

- Dyskrecję?! Myron, co ci zawsze mówiłam o sekretach?! To twoja waluta na czarną godzinę! Powiedz, co wiesz o mnie? Jak mam na nazwisko?

- Nie wiem...

- Ile mam lat? Gdzie się urodziłam? Jakie jest moje ulubione zwierzę parzystokopytne?

- Nie wiem...

- Widzisz, to wszystko są moje sekrety, moja broń i waluta. Mogę ich użyć w najmniej spodziewanym momencie, mogą zranić cię w najczulsze, najboleśniejsze miejsce. Kiedy nikt nic o tobie nie wie, masz nad nim przewagę.

Myron spojrzał na nią spode łba.

- Ty wiesz o mnie wszystko, łącznie z rodowodem sto pokoleń wstecz i anatomią, a jednak to ja mogę wydać teraz rozkaz skrócenia cię o głowę.

Chevita uśmiechnęła się promiennie, po raz pierwszy tego wieczoru.

- To prawda – przyznała. – A jednak twoim sekretem pozostaje, czemu jeszczego nie zrobiłeś.

\*

Nie było na świecie osoby, której Cerro ufałaby mniej niż swojemu mężowi. No, może Myronowi. No, może Chevie. No, może Silarusowi Temidanowi. No, może Yazorowi Temidanowi. No, może całej rodzinie Temidanów. W każdym razie, nie ufała Kaiowi Koharowi za nuda, a jednak przekradała się przez las, umówiona z nim na nocną schadzkę.

Wzdrygnęła się, kiedy to słowo zmroziło jej umysł. Najpierw wymknęła się z zamku za pomocą starej sztuczki, a teraz szła między drzewami, zagładając w doręczoną jej przez Atiana mapę. Puszcza pełna śniegu była czarowna i straszna, a pewnie też zimna jak diabli. Cerro jednak, od stóp do głów odziana w białe futro i rozpalona podekscytowaniem, nie czuła ani podmuchu chłodu na swoich policzkach.

Widząc, że już prawie dotarła do umówionej polany, uniosła wzrok nad mapy i ze zduszonym okrzykiem czmychnęła za czarny pień dębu. Na polanie był jakiś ciemny kształt.

- Nie bój się – przemówił z rozbawieniem. – To tylko ja.

Cerro wyszła zza drzewa, poprawiając futrzana czapkę.

- Pomyślałam, że mnie wydałeś – burknęła, wchodząc na oświetloną mlecznym blaskiem polankę.

- Czemu miałbym to zrobić?

- Mogłabym ci wypisać listę powodów, ale nie mam całej nocy.

- Och, spieszy ci się gdzieś?

- Tak. Do miecza.

Wyciągnęła do niego rękę odzianą w dwupalcząstą rękawiczkę. Kai, otulony tylko brązową peleryną, spojrzał na nią z politowaniem.

- Lepiej ściagnij te futra. Zaraz się zgrzejesz i przeziębisz.

- No to daj mi spodnie na przebranie.

- Nie mam żadnych spodni na przebranie. Będziesz walczyć w sukience.

- Co takiego?! Chcesz, żeby wybiła sobie zęby?!

- Myślisz, że w kraju, w którym kobiety noszące spodnie są karane chłostą, będziesz mieć dużo okazji, żeby w nich walczyć?

- Nie miałeś przypadkiem zmienić prawa?

- Prawo łatwo zmienić. Trudniej z obyczajem.

Westchnęła, ziryutowana. Kai wręczył jej wreszcie miecz i Cerro uśmiechnęła się na krótką chwilę. Miecz był drewniany.

- Co to ma być? – obruszyła się.

- Miecz.

- Jestem kobietą, nie dzieciakiem.

- Umiesz tyle, co dzieciak.

- Nie myśl sobie! Podglądałam i ciebie, i Silarusa, i Myrona, i Melvourne'a, i niezliczoną ilość giermków, rycerzy i żołnierzy! Ćwiczyłam, kiedy nikt mnie nie widział!

- Mhm, to powinnaś wiedzieć, że wszyscy zaczynaliśmy od drewna. Ściągasz te futra?

On sam zrzucił swoją pelerynę. Cerro zadrżała z zimna w swojej żałobnej sukni.

- Nie dość, że w sukience, to jeszcze bić się sztachetą... – wymamrotała.

- Nie marudź – odparł Kai, czekając, aż jego uczennica przestanie się ociągać. – Nie chciałbym zrobić ci krzywdy już na pierwszej lekcji.

- Zaraz zobaczymy, kto komu zrobi krzywdę, ty rudy, tchórzliwy...

- Gotowa?

- Gotowa!

Uderzył ją w biodro i przydeptał jej suknię, zanim zdążyła choćby pchnąć powietrze.

Poleciała twarzą w śnieg.

- Kurwa!

- Nie tak głośno. Nie jesteśmy daleko od zamku.

- Oszukujesz!

- Niby jak?

- Przydeptałeś mi suknię, sukinsynu!

- A, no tak. Mówiłem, że tego nie zrobię?

Wstała, przemarznięta, mokra i zła. Kai stał, wyprostowany, uśmiechając się uprzejmie. Cerro ścisnęła mocno miecz w obu rękach.

- Gotowa?

- Tak!

Tym razem zdążyła ugodzić powietrze, ale Kaia nie było już nawet przed jej oczami, kiedy uderzył ją w ramię i podciął nogi. Tym razem runęła na królewskie siedzenie.

- Kurwa, kurwa, kurwa... - wycisnęła przez zęby.

- Trochę lepiej – uśmiechnął się z góry Kai. – Pomóc ci...

- Spierdalaj!

Wstała bez jego pomocy, jeszcze bardziej przemoczona, jeszcze bardziej zmarznięta i jeszcze bardziej zła. Spróbowała złapać miecz w jedną rękę, tak jak on, ale jego musiał być lżejszy.

- Go...

- Tak!

Machnęła mieczem w poprzek, coś ugodziło ją boleśnie w biodro, potem w ramię, a na końcu w dół pleców. Próbowała się odkręcić, przydeptała własną suknię i znowu runęła twarzą w śnieg, tym razem nawet trochę go połykając. Usłyszała za sobą śmiech Kaia i teraz, już naprawdę mokra, zziębnięta i wściekła, zawarczała głośno, porwała miecz i zerwała się, by wbiec z impetem prosto w niego.

Sila jego blokady wytrąciła ją z równowagi tylko na chwilę - zaraz znowu machnęła mieczem na oślep. Były to aż dwa ruchy w trakcie jednego starcia, ale zanim zdążyła wykonać trzeci, leżała już na plecach, ból pulsował w tyle jej głowy, a łzy paliły w oczach.

- Ty żmijo! – wrzasnęła, kryjąc twarz w dłoniach. Wstydu jej było, że doprowadził ją do płaczu. – Miałeś mnie uczyć, a nie upokarzać!...

- Nauczysz się czegokolwiek tylko wtedy, kiedy przestaniesz pogardzać swoim nauczycielem.

Ucichła, słysząc chłód w jego głosie. Wyjrzała znad dłoni. Stał nad nią bez cienia uśmiechu.

- Kiedy tu jesteśmy, nie jesteśmy małżeństwem, jasne? Jestem twoim nauczycielem, masz robić to, co mówię, tak długo jak będzie to przynosić rezultaty. Będziesz czuć je w kościach, zapewniam cię. A co do naszych relacji poza tą polaną, to uwierz mi, też ubolewam nad decyzją twojego ojca. Nie musimy się kochać, lubić, czy nawet znosić swojego towarzystwa, ale tak się składa, że jesteśmy na siebie skazani, więc darzmy się chociaż wzajemnym szacunkiem, dobra? Za każdym razem, kiedy zechce ci się powiedzieć, jaką tchórzliwą rudą wszą wykłętą przez własnego ojca jestem, przypomnij mi przy okazji, jak to dwa razy doprowadziłem cię do upadku na twarz, raz na własną dupę, raz na łopatki, a na koniec do wściekłego płaczu. Bo ja prędko zapominam. Wasza Miłość.

Cerro ucichła i podniosła się, otrzepując ze śniegu. Kai czekał, aż otrze twarz, myśląc pewnie, że uniesie się honorem i odejdzie. Ale Cerro schyliła się, podniosła miecz i odwróciła do niego z dziecięcym gniewem wypisany na twarzy.

- Gotowa – powiedziała cicho.

Kai zmarszczył brwi, zdziwiony i zadowolony.

- Jak ty w ogóle stoisz? Nogi szerzej. Szerzej. Nie aż tak. To miecz jednoręczny, złap go tak jak trzeba.

- Ueech...

- Nie stękaj. Od dzisiaj nie będziesz oszczędzać mięśni. Wolną ręką możesz teraz złapać suknię, żeby ci nie przeszkadzała. Dobra, teraz uderzę cię baaaaardzooo poooowoooooolii...

- To było bardzo powoli?!

- Gdybym był wolniejszy, to ty byś mnie okładała. Jeszcze raz. To miecz jednoręczny! Nie kwękaj!

Przynajmniej nie kłamał, kiedy obiecywał, że rezultaty będzie czuć w kościach. Wszystkich, w każdym ich skrawku, tak boleśnie, że rano nie była w stanie podnieść się z posadzki w swoim łazienkowym leżu.

## ROZDZIAŁ V

Chevita miała szczerą nadzieję, że tej nocy Kai Kohar spał wyjątkowo podle. Jako utalentowana magini, była oczywiście zdolna sprowadzić na niego paskudny sen – i przy tak jasnym blasku księżyca nie sprawiłoby jej to większego problemu – ale kiedy skończyła się pakować, kłócić z Myronem i zgrzytać zębami, była już tak zmęczona, że sama zasnęła i wstała w fatalnym nastroju.

Jak na złość, Kohar był radosny jak ptaszek. Kiedy podchodziła do stołu, przy którym siedział, widziała jak wesoło podrygiwał nogawką w rytm nuconej melodii. Powstrzymując się, żeby go nie kopnąć, zatrzymała się dwa kroki przed nim i stała tak, ubrana w podróżne futro i buty.

Nie była w bibliotece od wieków, a miejsce to było najstarszym w całym zamku. Podłużne korytarze pełne książek były wyrzeźbione w litej skale, którą wygładzono, by regały lepiej się w nią wpasowywały. Wąskie okna znajdowały się tylko na początku biblioteki, gdzie grasował stary jak sam zamek bibliotekarz Rius. Człowiek ten wiedział wszystko o wydarzeniach zamierzchłych, zarosłych pajęczyną czasu lub pochłoniętych przez płomień zapomnienia, jednak Chevita była pewna, że starzec od co najmniej czterech pokoleń nie orientował się zupełnie, że tron Świętej Unii zmienia właściciela.

Kohar natomiast siedział na samym końcu pomieszczenia, gdzie rozedrgane światło świec sprawiało wrażenie, że jest późna noc. W całej bibliotece znajdował się tylko jeden obraz, wiszący właśnie za plecami harona. Chevita zdążyła zapomnieć o istnieniu portretu, a teraz po jej plecach przeszły znajome ciarki. Dziwiła się, że można tak spokojnie siedzieć z nosem w książce, kiedy taki człowiek wbija wzrok w twój kark.

Portret ten był właściwie powodem, przez który przestała używać zamkowej biblioteki i wolała zamawiać woluminy z Akademii Czwartej Cnoty albo królewskich zbiorów w Pałacu Popiołów. Malowidło było stare, zapleśniałe, pokryte pajęczynami i grzybem. Pokójówki bały się go dotykać. Obraz przedstawiał księcia Dioną, brata Meaveletha Szarego, pierwszego znanego króla Świętej Unii. Dion, mimo królewskiego rodowodu, trudnił się jako kat i najemnik, ponieważ, przynajmniej według przypowieści, tak bardzo lubował się w zadawaniu ludziom bólu i śmierci.

Swoim życiem przypłacił zresztą odebranie życia własnemu bratu – w *Korzeniach Mocarstwa* Chevita przeczytała, że kiedy Dion zrzucił martwe ciało króla ze schodów prowadzących do północnej wieży Pałacu Popiołów, śmiał się serdecznie. Kiedy któryś z dworzan oskarżył go o chęć przejęcia władzy, Dion zaczął trzymać się za brzuch ze śmiechu.

Wcale nie zamierzał zasiąść na tronie – zabił własnego brata dla kaprysu. Wszyscy szli za nim, zbyt oszołomieni, by cokolwiek zrobić, lamentując nad Meavelethem. Dopiero, kiedy książę wsiadł na konia wraz ze swoją narzeczoną, wampirzycą Urialą, wreszcie go pochwycono, a potem skazano na najgorszy i najbardziej wtedy haniebny rodzaj śmierci – rozpołowienie ciała przez dwie klacze. Ścierwo zrzucono w urwiska nad Wielką Wodą, gdzie rozszarpały je głodzone wcześniej specjalnie na tę okazję rekiny. Przynajmniej Diana. O wampirzycy źródła nie wspominają.

W całej Świętej Unii nie było prawdopodobnie innego obrazu z wizerunkiem Dioną. Jego imię było wspominane z przestrachem lub wykreślone z kronik. Obecność portretu w Modrym Oku nie należała do wiedzy powszechnej, bo i związane z tym kontrowersje byłyby znaczne. Szczególnie wśród tych wierzących w zabobony.

Na portrecie Dion był cały odziany w zalazłą brudem biel, być może żałobną. Był smukły, gładkolicy, z poważnym wyrazem twarzy. Nie miał przy sobie żadnej broni, ani nic nie wskazywało na to, że jest niezrównoważony. Malarz musiał darzyć go co najmniej szacunkiem. W tle widać było Pałac Popiołów i Zatokę Łez w wiosennym, radosnym świetle. W jednej ręce książę trzymał modny w tamtych czasach aksamitny biały kapelusz chroniący przed słońcem. Dłoń miał drobną i delikatną. Nie była to dłoń mordercy. Drugą jednak wyciągał w stronę obserwatora – otwartą w oczekiwaniu na zapłatę. Jakby to stojący przed portretem zlecał mu zabójstwo. W tym wszystkim nie pomagał fakt, że oczy Diony zawsze wędrowały za widzem.

Kohar wreszcie uniósł głowę.

- O, dzień dobry – uśmiechnął się, na co Chevita odpowiedziała grymasem. Obejrzał się, podążając za jej wzrokiem. – A, ciekawy portret, prawda?

- Powiedzmy, że prawda.

- Rius powiedział mi, że to książę Dion. Ciekawe przedstawienie postaci, czyż nie?

Zastanawia mnie, co portret symbolu zdrady i okrucieństwa robi w Modrym...

- Tego Rius ci już nie powiedział?

- Powiedział. Ale zawsze lepiej zaczerpnąć informacji u...

- Obraz jest magiczny – westchnęła głęboko Chevita, przewracając oczami. – Nie sposób nawet zbadać jego wieku, bo magom rozsadza głowę, kiedy go dotkną. Zdjąć go również nie można. Autor jest nieznany. Czemu Dion tak tu wygląda, też nie wiadomo. Na moje oko, to furtka do jakiegoś sekretu.

- Sekretu?

- Mhm. Proste jak drut. Dion żąda zapłaty – ja i nadworni czarodzieje przede mną wsadzaliśmy w jego dłoń różnorakie przedmioty, ale albo chodzi o konkretną monetę, albo o konkretną kwotę. Albo o cokolwiek innego. Kiedyś oszacowałałam, ile kosztowałoby zabójstwo tak potężnego króla jak Meaveleth Szary i wręczyłam obrazowi cały wóór ówczesnych izosów.

- I co?

- I nic. Dalej nie wiem, co jest w albo za nim. Może tajne przejście, może... Sama nie wiem. Hipotezy są różne. Na przykład, że obraz namalowała wampirza narzeczona Diony i jest w nim po prostu zaklęte зло. Dlatego radzę trzymać się od portretu z daleka.

- Rozumiem... A skąd w ogóle wiadomo, że jest na nim przedstawiony książę Dion?

- Nie mam pojęcia. Wszystkie źródła tak mówią.

- Hmm... Dziękuję za te informacje, magini – kiedy znowu się uśmiechnął, Chevita z satysfakcją zauważała sine wory pod jego oczami. – Widzę, że jest już magini gotowa do podróży, więc przejdę do konkretów i konkretów oczekuję.

Rozwiązał bandaż zamotany na prawej dłoni. Chevita skrzyżowała ramiona na piersi.

- Co to jest? – zapytał bez ogródek.

Na dłoni wciąż widniało wyraźne słowo „UCIEKAJ”.

- Dobra rada – odpowiedziała czarodziejka. – Już nieaktualna.

- Nieaktualna?

- Brałam miłościwego harona za kogoś innego. Ta rada była skierowana do tej osoby.

- Jakiej osoby?

- Do Kaia Kohara.

Zmarszczył brwi. Kohar lubił posługiwać się zagadkami, a jego samego widocznie irytowało, kiedy ktoś robił to samo. Chevita uśmiechnęła się pod wpływem nagłej poprawy humoru.

- Rozumiem – wycedził ostrożnie. – Różnie można sobie pomyśleć. Przez tę dobrą radę szczęśliwy finał mojego ślubnego tańca zawisł na włosku.

- Jakież to szczęście, że jednak uratował go haron w ostatniej chwili.

- Mhm... Nieźle się wystraszyłem, jak to zobaczyłem. Ile zajmie gojenie się?

- Zadbałam o to, żeby to się nigdy nie zagoiło.

- ...Słucham?

- Ta rada – czarodziejka znowu sapnęła – była skierowana jednorazowo do Kaia Kohara, ale jej nie posłuchał. Jednak Szary Haron Kai również będzie mógł z niej skorzystać, i to nie raz i nie dwa. Proszę więc o niej pamiętać. Nie zasłaniać bandażem.

Kohar mrugał chwilę, zdezorientowany.

- Nie podoba mi się to – mruknął. – Nie podoba mi się ta kurtuazja między nami. Nie życzę sobie mieć na swoim ciele niczego, co magini uznała za stosowne tam wyryć, magią czy nie magią. Zdejmij to ze mnie.

- Nie – uśmiechnęła się, jakby słyszała najpiękniejszą dla swoich uszu muzykę.

- Jestem Haronem Sprawiedliwości. I w dodatku...

- Ja doradzam i królowi, i haronom. To najlepsze, co mogę dla ciebie zrobić, biorąc pod uwagę, jak niebezpieczne cele sobie wyznaczyłeś i na jak ryzykowną ścieżkę wkroczyłeś. Nie pragnę twojej krzywdy. Wręcz przeciwnie. Służę ci, haronie, słowem i czynem. Oto czeka już na mnie powóz. Spędzę w nim długie tygodnie w drodze do Alkaidei, gdzie będę wypełniać twoje rozkazy. Nie będę przez to obecna przy najbliższym zborze, jednak zgadzam się, że stworzenie antidotum na zimową gorączkę to sprawa priorytetowa.

- Dlaczego więc przez tyle lat się nią nie zajęłaś?

- Bo do tej pory nie dostałam rozkazu.

Wpatrywał się w nią spode łba, jak dziecko, które kiedyś strofowała za szwendanie się w pobliżu sali tronowej podczas harońskich zebrań.

- Zanim król Eneis IV wstąpił na tron, doradzałaś Landonowi II?

- Co za sprytne pytanie, żeby wybadać mój wiek.

- Odpowiedz.

- Tak, przez całe jego krótkie panowanie. I przez dwa ostatnie lata Karmina VIII.

- Obstawiam więc, że dobijasz sześćdziesiątki.

- Ach, czy to ważne, ile mam lat, a nie, na ile się czuję?

- A na ile się czujesz?

- Co najmniej dwieście dwadzieścia sześć.

Kai oparł podbródek na rękę, robiąc kwaśną minę

- Będziesz kłopotliwym, ale przydatnym sojusznikiem – zawyrokował. – Nie wiem, ile razy wbijesz mi noż w plecy, ale powiedzmy, że po prostu nie będę się nimi do ciebie odwracał.

- Dziękuję, Szary Haronie – ukloniła się głęboko, widząc, jak jego policzki płoną ze złości. – Spiszę się, zobaczysz. Powodzenia na zborze.

- Powodzenia z lekiem. Nie wracaj zbyt szybko.

- Oczywiście. Do najbliższego.

Odeszła parę kroków, z zadowoleniem bujając biodrami. Nagle zwolniła, udając, że dopiero teraz sobie przypomniała, że wcale całą tę rozmowę nie czekała, by wbić mu tę szpilę w skroń.

- A, dzisiaj rano otrzymałem wieści – odwróciła się do niego tylko połową twarzy. – Moje gratulacje.

Uniósł brew pytająco. Wygląda na to, że nie rozbudowuje pajęczyny osobistych szpiegów tak sprawnie, jak by wypadało. Może ten dwunastoletni admirałek to jego jedyny zausznik? O, zgrozo.

- Twoje siostry wyszły za mąż. I to nie za byle kogo! Każda z nich wspaniale spisze się jako haronea.

Kai zrobił się blady jak papier i zaniemówił. Chevita czekała, aż wypyta ją o szczegóły, ale nie zrobił tego; wstał, bez namysłu porwał ze stołu małą czarną książeczkę i ruszył przed siebie jak najszybszym krokiem, nie odpowiadając nawet na przywitanie bibliotekarza, który właśnie, jak zakurzona czarna ośmiornica, wynurzył się zza jednego z regałów.

Cóż było począć? Chevita narzuciła kaptur na głowę i ruszyła do drzwi wyjściowych, by zmaszerować na dół i nadrobić parę towarzyskich zaległości w Alkaidei.

\*

Tuż przed zborem śniegi chwilowo stopniały, dzięki czemu haroni wspinający się do Modrego Oka nie ślizgali się na lodzie, ale człapali w burym blocie. Tradycyjny spacer na szczyty Falgonów, choć upierdliwy, był też dla haronów okazją do pogawędki, dla ich dzieci do wybiegania się, a dla ich żon do plotkowania. Zwykle rozmowa zaczynała się od stęknięcia:

- Uch – tym razem był to Haron Nadziei. – Mogliby wreszcie zamontować tu jakąś platformę wznoszącą.

- Chevita zrobiłaby wreszcie coś pożytecznego ze swoją magią – zachichotał nerwowo Haron Przyjaźni. – Czy poznajeś już moją żonę?

Zwykle jak ognia unikano tematów politycznych, chyba że nosiło się nazwisko Immala albo Kastirron, którzy innych tematów nie znali. Dlatego haron Maginot zdziwił się niepomiernie, słysząc to zdanie z ust zatwardziałego kombinatora i kawalera, który innych tematów niż polityka nie znał. Kiedy zobaczył wskazaną przez Immala niewiadzę, jego zdumienie przekroczyło już jakiekolwiek wyobrażenie.

Jeśli zaś miało się na nazwisko Kohar, nigdy nie uczestniczyło się w tych rozmowach. Gaius Kohar, odkąd wydziedziczył swojego syna, przestał zajeżdżać do renomowanej gospody U Stóp Wulkanu i zawsze zjawiał się w zamku, jeśli w ogóle, jako ostatni, na umęczonym wspinaczką koniu, pewny, że uda mu się uniknąć towarzyskich obowiązków. Kai Kohar tę tradycję podtrzymywał.

Trudno by zresztą było, żeby szedł z nimi do zamku, skoro już w nim był – wściekły, niecierpliwy, wyglądający ich z zachodniego muru. Atian zerkał na niego, rzeźbiąc króliką z ziemniaka – widział, że to nie jest najlepszy moment, by wydać z siebie jakikolwiek dźwięk.

Jak na ironię, drzwi w baszcie otworzyły się raptownie przy akompaniamencie dwóch radosnych głosów. Kai odwrócił się, naprężony jak struna, i zwęził stalowozielone oczy z nienawiścią.

Na progu zatrzymał się Silarus, który na jego widok natychmiast przestał się uśmiechać i puścił urękawiczoną dłoń panienki Ceadmille. Ta otworzyła usta z westchnieniem i wycofała się w cień schodów, a biały pigment jej makijażu jakby nieco poróżował.

- O, Kai – powiedział bardzo błyskotliwie Silarus. – Myślałem, że jesteś na dole.

- Pułkowniku, ja już sobie...

- Tak, tak, panienko... To znaczy, zaraz cię odpro... Ech, Atian, mógłbyś...?

Atian lubił Silarusa, bo dobrze walczył i był czasem zabawny, ale ufać mu nie był w stanie. Zresztą, nikt nie będzie wydawał mu polecień! Kai mógł, bo był prawie wodzem i robił to w jakiś nieinwazyjny, szanujący admiralską dumę sposób. Ale Silarus?! Atian spojrzał na niego z oburzeniem.

Kai odwrócił się z powrotem do dziedzińca, napierając zbielonymi dłońmi na mur.

- Idź, Atian – rzucił od niechcenia.

Chłopak, dotknięty do żywego, dołączył do Ceadmille, trzaskając za sobą drzwiami.

- Naprawdę, Silarus? – warknął Kai. – Naprawdę? Czy ja nie dostałem dziś zaproszenia na jej ślub? I to z przyszłym haronem?

- Skoro ty jesteś po ślubie, to nie powinieneś być zazdrośnie – burknął w jego plecy pułkownik.

- Zazdrośnie? To jest ostatnia rzecz, która ostatnio chodzi mi po głowie. Mówię ci tylko, że wpakujesz się w kłopoty, Silar, i ciekaw jestem, kto cię będzie z nich wyciągał.

- Na pewno nie ty.

- Na pewno nie ja, nie mam najmniejszego zamiaru... O, popatrz! Są, kurwa, są!

Niemal wbił paznokcie w kamień, wbijając wzrok w bramę wejściową zamku. Silarus stanął obok niego i zobaczył nadchodzący orszak harońskich rodzin. Silarus i Kai stali na baszcie tuż nad wrotami budynku, nie widzieli więc witającej gości rodziny królewskiej, ale pułkownik miał wrażenie, że pośród szumu wiatru słyszy uroczysty głos Myrona.

- Nie powinieneś być na dole? – zapytał.
- Po co? – odwarknął Kai.
- Żeby ich witać. To chyba obowiązek rodziny królewskiej, prawda?
- Nie należę do żadnej cholernej rodziny królewskiej. A jak należę, to jestem tam bardzo niemile widziany.
- A więc Cerro dalej jest...
- Zamknij się, Silar. Zamknij się, bo zaraz wybuchnie mi głowa. Zobacz. Zobacz, kto tam idzie.

Kai faktycznie skurczył się i zasłonił głowę rękami. Silarus wytężył wzrok, wyglądając kogoś znajomego w tłumie, i zdziwił się niezmiernie, kiedy w oczy rzuciła mu się bujna ruda czupryna.

- Pinovar... - słowo niewypowiedziane od pięciu lat dziwnie owinęło się wokół jego krtani. – Co ona tu robi?

- Pozuje – ironia przesiąkała ton stłumionego głosu Kaia. – Poznaj Pinovar Immalę, szczęśliwą Szczurzycę, żonę Harona Przyjaźni! Kurwa mać, zabiję moją matkę...

Pinovar ubrana była w kopulastą bordową suknię, która wystawała spod przepastnego podróżnego palta wykończonego futrem białych lisów.

- No popatrz na to. Wyobrażasz sobie, żeby Koharowie mordowali kobry i nosili sobie uszyte z nich buty? – Kai zagadnął Silarusa nieco zbyt głośno i z niepokojącą dozą humoru.

- Mhm – odmruczał. – To pewnie dlatego nie ma żadnych sfinków. Wielcy przodkowie Temidanów musieli wszystkie wybrać.

- Nie wszystkie.

- Hmm?

- Przyjaźnię się z jednym sfinksem, nie mówiłem ci? Rządzi wyspą Regiseree, tą, którą Szczur sobie kupił. Wiesz, co Regiseree by z nim zrobiła, co by mu wyskrobała na brzuchu, gdyby postawił tam swoją stopę?

- Ty naprawdę poznałeś sfinksa? I ten sfinks mówił i...

Kai, zupełnie o niego nie dbając, przeskoczył kamienną balustradę i ześliznął się zręcznie na daszek bliżej wrót, gdzie skrył się za jednym z poskręcanych gargulców. Silarus, odrobinę zbitý z tropu i ubrany w swój zwyczajowy lekki mundur, zrobił to z o wiele

mniejszą gracją i większym hałasem, jednak przepłoszył tylko kilka gawronów drzemiących na zamkowych murach. Za chwilę obydwaj podglądacze ze spuszczonymi głowami łowili wśród świstu wiatru słowa króla i haronów.

- ...gratulacje, dlaczego jednak nie sprawiłeś nam radości, zapraszając nas na wesele?

- To była bardzo prędka i prywatna uroczystość – odparł niefrasobliwie Immala, trzymając Pinovar pod rękę. – Ufam, że Wasza Wysokość nie ma mi tego za złe.

- Ależ skąd! – Dureń chyba faktycznie uważało to za poprawne zachowanie. – Rozumiem wasze wzajemne oddanie i chęć przeżycia tego w samotności. Przyjmijcie jednak ten skromny podarek jako wyraz naszej modlitwy, aby wiodło wam się jak najlepiej.

Podarek trzymała Cerro. Był to pokaźnych rozmiarów drewniany statek o bordowych żaglach z wyhaftowanym na nich białym lisem. Księżniczka niezgrabnie wyprostowała ręce, podstawiając go haronowi pod nos.

- Och – zmieszał się Immala. – To bardzo piękny gest, ale...

- Taki sam jest właśnie konstruowany w Zatoce Łez – przerwał mu król. – Ufam, że będzie świetnie spisywał się na Wielkiej Wodzie.

Oczy harona urosły do rozmiarów spodek od filiżanek.

- Ja... Dziękuję, Wasza Wysokość...

Kai otworzył tylko usta z oburzenia, Silarus za to zaśmiała się tak donośnie i szyderczo, że wszyscy na dole unieśli głowy – Kai na szczęście zdążyła wciągnąć go za gargulca.

- Skurwysyn – syknął.

- Szczur na Wielkiej Wodzie! – Silarus wciąż chichotała. – Tyle lat się o to starał, a teraz ot tak... To małżeństwo było najlepszą rzeczą, jaka mu się w życiu przydarzyła.

Spostrzegł minę Kaia i natychmiast spoważniał.

- ...powiesz ani słowa do swojej szwagierki? Jesteście teraz przecież rodziną.

Obydwaj znów wystawili nosy za krawędź dachu. Cerro, której udało się pozbyć ciężkiego statku z rąk, trzymała teraz jedną za łokieć drugiej i stała, nie śmiejąc podnieść na nikogo wzroku. Pinovar drgnęła i w jej rudych włosach zamigotały złote łańcuchy.

- Wasza Wysokość, to nie jest konieczne – powiedziała dumnie i śmiało. – Niestety, z przyczyn niezależnych od nas nie jestem szwagierką księżniczki, chociaż nic nie uczyniłoby mnie szczęśliwszą niż dzielenie z nią nazwiska. Wasza Miłość to rozumie, prawda?

- Tak – odburknęła Cerro. - Rozumiem.

- Gdyby tylko inni rozumieli... – to wypowiedziała tonem donośnym i grobowym, a zaraz, ku zdumieniu Kaia i Silarusa, uśmiechnęła się promiennie. – Dziękuję bardzo za ten podarunek, Wasza Wysokość. Mój mąż marzył o tym od nie wiem, jak dawna.

- Ach, tak, to oczywiste, ale kogóż moje oczy widzą? Irysie, słyszałem, że twój najmłodszy wreszcie znalazła szczęście u boku nikogo innego, jak siostry tutaj obecnej niewiasty! Dlaczego ich ze sobą nie przywiozłeś?

- Ech, wiesz, jacy są młodzi – machnął ręką Oakter. – Darionowi nic, tylko włóczęga w głowie, ale lyrra Iver potrafi skutecznie odciągnąć jego uwagę.

Wybuchli rubasznym śmiechem. Paznokcie Kaia wyżłobiły już chyba głębokie bruzdy w kamieniu.

- Zapraszam do przygotowanych dla was komnat, drodzy haroni – powiedziała słodko królowa Habren, odrywając na chwilę rękę od ramienia swojej córki wymierzającej kopniaki próbującemu je omijać bratu. – Obrady rozpoczną się jeszcze przed obiadem.

- Ech, nie ma rady, kiedy obowiązki wzywają...

Weszli do zamku, śmiejąc się i gawędziąc, a życie na dziedzińcu wróciło do swego zwykłego rytmu.

Kai położył się na wznak, wściekły i bezsilny. Widok ten prawie sprawiał ból.

- Ale dlaczego...? – wyszeptał Silarus.

- Zdążyłem wypytać Myrona – odparł Kai. – Wygląda na to, że moja matka pozostanie nieoficjalną panią Pavilonu. Za cenę dwóch swoich córek.

Brwi Silarusa zmarszczyły się w gniewie, ale jego usta rozciągnęły w uśmiechu. Przerzucił nogi przez krawędź dachu.

- A nie wierzyłeś, że nasze matki to żądne władzy kreatury. Zabiją służące, utną im języki, zmuszą swoje dzieci do zabicia ich, sprzedadzą swoje nieletnie córki starym dziadom i wystawią na pośmiewisko... Nie noszą koron, a i tak rządzą.

- Dlatego, że nie noszą koron, muszą być tak okrutne i podłe? Nie wydaje mi się.

- Nie chcę cię osądzać, Kai, ale... Myślałeś, że co stanie się z haroneą, kiedy wyrzekałeś się nazwiska? Myślałeś, że ktoś pozwoli Pavilonowi po prostu sobie leżeć? Że ktoś pozwoli rządzić babie? Nie przyzwyczajony jestem do myślenia o tobie jak o naiwniaku.

- Myślałem, że tego chce... Że sobie poradzi.

- No i sobie radzi. Tak jak może. Dlaczego miałaby tego chcieć? Jak jakakolwiek matka może chcieć czegoś takiego?

- To wszystko przez tę ksi... Czemu ja to w ogóle robię? To tak jak z tym obrazem w bibliotece. Może też jest w niej зло? A może sekret? A może Chevita...?

- O czym ty mówisz? Kai, wszystko w porządku?

- Nie. Nic nie jest w porządku.

Zanim Silarus zdążył choćby otworzyć usta, Kai ześlizgiwał się po sąsiednim dachu, spacerował po nim chwilę i był już na zmierzniącym śniegu. Silarus patrzył, jak pospiesznie odchodzi w stronę bramy z rękami w kieszeniach i spuszczoną głową, nie odpowiadając na pozdrowienia służby i rycerzy. Silarus nie wstawał przez dłuższy czas. Przyjemnie było tak siedzieć wśród niezbyt mocnego wiatru i dyndać nogami w powietrzu. Przyjemnie było patrzeć w szarobure niebo rozcięte ocienionymi kłami Falgonów. Przyjemnie było myśleć nawet o tych nieprzyjemnych rzeczach, o których w końcu trzeba będzie jednak napisać w liście.

\*

Wysyłając Chevitę do Alkaidei, Kai wyściadczył wszystkim dworzanom przysługę – czarodziejka nie snuła się przy sali tronowej, pilnując, żeby nikt nie wściubiał nosa w nie swoje sprawy. Kiedy Silarus, Kai, Melvourne i Cerro byli młodsi, interesowało ich szalenie, o czym rozmawia się za tymi wielkimi zamkniętymi drzwiami. Cerro była mistrzynią w odkrywaniu co raz to nowych ukrytych przejść na loże wbudowane wysoko w ściany komnaty albo korytarze tuż pod podłogą. Chevita natomiast była nieoceniona w znajdowaniu tych kryjówek i zatrzaszaniu ich na magiczne kłódki. Z wiekiem Silarusa przestało to bawić i skradał się z młodszymi przyjaciółmi tylko dla towarzystwa i komicznie zdenerwowanej miny czarodziejki.

Cerro ciężko w ogóle nazwać jego przyjaciółką z dzieciństwa. Z Kаем też nigdy nie był tak blisko jak wszyscy teraz myślą. Jak on w sumie długi czas myślał. Ale nie widywali się dostatecznie często, kłócili prawie za każdym razem. Jednakże, musiał to przyznać, pakowanie się w kłopoty z Kаем było znacznie przyjemniejsze niż zwyczajowe pakowanie się w kłopoty z Melem. Poza tym wstyd było Silarusowi przyznać przed samym sobą, że jego rodzony brat jest jego najlepszym przyjacielem. Tłumaczył to sobie wojskowym wychowaniem i tym, że generał nigdy nie akceptował nikogo spoza rodziny, którą też zresztą tolerował wybiórczo. Ale Mel ma mnóstwo przyjaciół, ma własną kompanię, tę całą Sforę Sfinksa, z którą pije jak równy z równym, przeżywa przygody, śmieje się, a każdy z nich już co najmniej trzy razy zasłonił własnym ciałem drugiego. I generał ich lubił.

Kiedy Silarus był w Zlewisku, nienawidził wszystkiego, także ludzi pod sobą. Byli ociążali, spocenii, dławiali w nosie, nie mieli nic ciekawego do powiedzenia poza wzruszeniem ramion i otarciem czoła. Coś w nich zaskakiwało dopiero wtedy, kiedy widzieli niewolników – darli się wtedy i udowadniali, że każdy z nich przeczytał w swoim życiu przynajmniej

słownik inwektyw i wulgaryzmów, oraz poradnik tortur. Patrząc na nich, Silarus bał się, że stanie się taki jak oni. Albo gorzej – że będzie się uważało za lepszego od nich.

Więc o przyjaźni nie było tam mowy. Jeden kupiec zza Wielkiej Wody był bardzo w porządku, zawsze zabawiał Silarusa zamorskimi opowieściami. Pewnego dnia ułożył się z niewolnikami i zatrął muszlę, którą dał Silarusowi, by ten przyłożył ją do ucha. Kupiec został zabity na miejscu przez ludzi Silarusa, kiedy ten tylko osunął się na ziemię. Odratowany, nie słyszał na jedno ucho przez tydzień. Medyczka, która była akurat na targu i rzuciła się na ratunek, była bardzo przyjazna, a potem na dworze Harona Pokoju pojawiła się Ceadmille...

No właśnie. Silarus miał już tuziny kobiet, a Mel jeszcze ani jednej! Jest młody, prawda, i na pewno są rzeczy, o których nie mówi Silarusowi, ale czasem wydawało mu się, że Mel w ogóle nie jest tymi sprawami zainteresowany. Mela interesowały tylko przygody, kompania, śmiech i kariera. Jebany doskonały syn w jebanej doskonałej rodzinie jebanego doskonałego tatusia.

Więc świetnie, że Chevita nie mogła patrolować okolicy jak sęp, bo Silarus bez żadnego skradania mógł po prostu bardzo cicho otworzyć małe drzwiczki w ścianie na drugim piętrze, gdzie było malowidło nieba i oceanu. Na czworakach wszedł do loży i sparaliżowało go przerażenie – wpatrywała się w niego para wściekłych oczu.

- Znajdź sobie własną kryjówkę, kmiocie! – syknęła Cerro.

- Co ty tu robisz? – odparł, nie bardziej przyjaznym tonem, choć od razu przypomniał sobie, jak z Melem wciągali ją na konia, a potem Myron rozkazał nałożyć jej kajdany... i zawstydził się.

- To samo, co ty, tylko że dla siebie, a nie dla skurwiałego ojczulka!

- Och – Silarus był doprawdy fatalnym szpiegiem. – To zrób mi miejsce. Ja mam wojskowe rozkazy, a nie księżniczkowe zachcianki.

Posłusznie wcisnęła się w kąt loży, wystawiając nos nad poręcz i zezując w dół. Po drugiej stronie balkonu Silarus zrobił to samo.

- ...przychody, nie widzę powodu, czemu ludzie mają nie dostawać pieniędzy za swoją ciężką i podłą pracę – fukał Haron Mądrości, brodaty i zwalisty jak dąb. Jego syn, a przyszły mąż Ceadmille, miał identyczne szerokie ramiona i gęste brunatne włosy. – Ci biedni ludzie nie mogą sobie na to pozwolić.

- Przemyślałem to – odparł spokojnie Kai. Silarus widział czubek jego rudej głowy opartej na łokciach. Dziwnie wyglądał na miejscu Gaiusa Kohara, który zawsze siedział prosto i sztywno, jakby połknął kij od szczotki. - Powinni dostawać pensję tak jak urzędnicy państwowi.

- Chyba sobie żartujesz! – Kastirron złapał w palce niewidzialną batutę. – Skąd chcesz wziąć na to pieniądze?!

- Ze skarbca.

- Jeszcze czego! Królewskie pieniądze są przeznaczone na ważne wydatki, a nie pensje dla grabarzy!

- Haronie Pokoju, tak się składa, że pomimo mojego młodego wieku posiadam umiejętność czytania i lubię z niej korzystać. Stąd też wiem, że królewski skarbiec Świętej Unii jest bardziej pękaty niż skarbce dwóch najbogatszych krajów zza Wielkiej Wody razem wzięte. Ich ludność głoduje jednak pod złotymi sufitami, a nasza pod dziurawą strzechą, bo tacy Ronedańczycy znani są ze swojej rozrzutności, a my wręcz przeciwnie – jesteśmy wielkimi sknerami.

- Jesteśmy oszczędni – sprostował chłodno Oakter. – Pieniądze ze skarbca są przeznaczane na wyprawy felsidów, rozwój floty, a także na wypadek wojny czy klęski żywiołowej.

- To zabawne, bo generałowie Ulias i Ichos też zbierają pieniądze na felsidów, a generał Temidan na wojny. Co do klęsk żywiołowych, to zawsze jesteśmy nimi potwornie zaskoczeni i jakoś wtedy nie mamy skąd wziąć pieniędzy na...

- Posuwasz się za daleko, Kohar – warknął srebrnowłosy Haron Nadziei. – Tak się składa, że w Temarairze zawsze znać interwencję królewskich finansów, kiedy zatrzęsie się ziemia, nadejdą susze albo jakieś świństwo przypałęta się z Bagien i pożre wszystkie plony.

Kai widocznie się naburmuszył.

- No dobrze, przyznaję haronowi rację, bo zna się haron na tym lepiej niż ja. Nie mniej, za posługę w imieniu Szarego Człowieka koronerom należy się choćby symboliczna suma. Z głodu nie umrą, bo świadczą też inne usługi, ale...

- Ale to absurd! – syknął Kastirron, krzywiąc się, jakby natrafił na fałszywą nutę w komponowanej symfonii. – Przez tyle lat nikt się nie skarżył...

- To teraz ja się skarzę! Skarzę się na koronerów nie chcących pochować na swoim cmentarzu żebraczki, bo nie zapłaciła, przez co musi ona gnić w śniegu i szczynach, w jakiejś zapyziałej spelunie!

- Jeśli mogę być szczerzy...

- Nie, skąd! Proszę nawet nie próbować!

Haroni zafalowali w jednomyślnym oburzeniu, a Myron zachwiał się na swoim tronie, zgięty w beztroskim śmiechu.

- No coś takiego! Wreszcie ktoś ci wygarnął, Kastirron! – wykrztusił z siebie, podczas gdy uszy Harona Pokoju widocznie zzieleniały. – Pogadam o tym z rachmistrzami i skarbnikami, dobra, Kai? Jeśli to faktycznie drastycznie nie uszczupli skarbca, to rozpatrzę twój wniosek pozytywnie.

Kai spojrzał na niego, zdziwiony nie mniej od reszty haronów.

- Dziękuję, Wasza Wysokość...

- No nie, nie mogę w to uwierzyć – zatrzeszczał brodą Agver. – Będziesz spełniał każdą jego fantazję, bo kogoś obrazi albo cię rozbawi? Rozumiem, że lubisz ludzi z watażkowym charakterem, jednakże...

Twarz Myrona natychmiast skupiła się w rozwścieczoną maskę.

- Mówisz do mnie? Jeśli tak, to nie usłyszałem „Wasza Wysokość”.

Silarus nie mógł się powstrzymać i uśmiechnął się pod nosem. Agver, jako pan Cos ze stolicą w Naucenemes, znał Myrona od kołyski i nie był przyzwyczajony do przestrzegania dworskiego protokołu. Może dlatego wyglądał teraz, jakby ktoś wylał mu na głowę kubeł zimnej wody.

- Przepraszam... Wasza Wysokość.

- Nie żywię urazy. No, kończmy tę grobową sprawę. Jaki jest następny punkt obrad?

Sekretarz zaszeleścił papierami na swoim biurku, maleńkim i kruchym w porównaniu z potężną ławą haronów.

- Wniosek Harona Sprawiedliwości, aby publicznie ogłoszono, że każdy, kto potrzebuje osądu, ma prawo zgłosić się do niego z dowolną sprawą.

- Dobra, niech tak będzie, co dalej?

- Wniosek Harona Sprawiedliwości, aby procent pensji mu przyznawanej trafiał od razu na cele dobrotelne, nie opodatkowany.

- Dobra, jak sobie chce. Co to znaczy cele dobrotelne, Kai?

- We wniosku tym sprecyzowałem, że co zbór chce sam wybierać cel, na który mają być przeznaczane pieniądze.

- Rozumiem, da się to zrobić. Następna sprawa?

- Wniosek Harona Sprawiedliwości, aby w Naucenemes utworzono symbolicznie płatną szkółkę w dzielnicy Żuków...

- Zobaczmy, czy ktokolwiek tam będzie chętny, co dalej?

- Wniosek Harona Sprawiedliwości, aby...

- O, Szary Człowieku... - westchnął z cicha Oakter, przewracając jednocześnie oczami.

- No, Kai – wyszczerzył się Myron. – Widzę, że przejęłeś się swoją rolą. Jeśli jesteś taki gorliwy, to nie dziwię się, że z tobą w szeregach felsidzi przez ostatnie pięć lat odkryli pięćdziesiąt dziewięć nowych gatunków zwierząt, sto siedemnaście roślin i wielka wyspę na Letnich Morzach. Och, to mi o czymś przypomniało! Wiesz, haronie Immala, komu zawdzięczasz swoją najnowszą posiadłość? Nikomu innemu, jak swojemu szwagrowi!

Gdyby Myron nie miał królewskiego herbu na piersi, na pewno dostałby już w pysk. Silarus nie wiedział tylko, czy od Kaia, czy od Immali, który, nietypowo dla siebie milczący podczas tego zboru, spojrzał na władcę z żądzą mordu w oczach.

- Mhm, no tak – odparł cicho. – Nie wydaje mi się jednak, że mam jakiegoś szwagra...

- Słucham? Przepraszam, nie dosły...

- Mówi, że nie ma żadnego szwagra – powiedział, znacznie głośniej, Kai. – Cieszę się, że haron Immala dokonał wyboru z uszanowaniem tego, którego dokonałem ja.

Szczur spojrzał na Kaia, jakby miał nadzieję na ciepły uśmiech – kiedy jednak zwrócił do niego swoje oblicze, Kai miał twarz poczerwieniałą z gniewu i napiętą jak chmura gradowa.

- Ciężko mi to, doprawdy, zrozumieć – potarł swój wydatny podbródek Myron. – W Świętej Unii ważna jest dla nas rodzina. To nas odróżnia od tych dziwaków zza Wielkiej Wody. Rodzina to nie tylko nazwisko. Nie można się jej wyrzec. Ona zawsze jest z nami związana, a wygłaszanie formułek w stylu „To już nie jest mój syn, to nie moja siostra, to nie mój szwagier.” jest, jakby to nazwać, skurwysyńskie. I głupie. Przykład Gaiusa Kohara powinien wam to dobrze udowodnić. Ty i twoja siostra, Kai, dalej macie włosy waszej matki na głowie. Dalej macie krew waszego ojca w swych żyłach. Haronie Immala, wziął pan lyrrę Pinovar za żonę z posagiem, zaletami i wadami, ale nie jest haron w stanie przyjąć do rodziny jej brata?

Immala wbił wzrok w pulpit.

- On sam o tym zadecydował – powiedział cicho. – Wyrzekł się swojej matki.

- Miałem ważne powody! – zacietrzenił się Kai. – To miało inaczej wyglądać! Nie moja wina, że jesteście zwydrodnialcami łasymi na młodociane dziewczki! Nie moja wina, że haronea Nuria jest zbyt uparta, żeby zaakceptować coś na innych warunkach niż jej własne!

- A ja myślałem, że masz to po ojcu – wcale nie przyjaźnie mruknął haron Maginot, a reszta przytaknęła mu ochoczo, chichocząc.

Kai zaczął nagle wyglądać na małego, słabego, rudego wróbla otoczonego starymi, tłustymi sępami. Śmieszne były jego bura peleryna i lniana koszula, kiedy wokół wszyscy

odziani byli w opięte kaftany z emblematami swoich rodów. Jego pyzata, niezdrowo opalona twarz została pozbawiona spokoju, wiary w słuszność każdego swojego uczynku i dumy ze swoich wyborów. Kai przegrywał walkę na samym początku i nie miał żadnego sekundanta.

Palce Cerro zacisnęły się mocniej na kolumnach balkonu. Silarus skupił na nich uwagę tylko na chwilę i zobaczył coś w tle, coś między kolumnami przeciwnie loży. Rude włosy, złote łańcuchy i pozbawione wyrazu oblicze Pinovar.

- Ty, haronie Oakter – zwrócił się król do Harona Obowiązku – też nie przyjmujesz harona Kohara do rodziny?

- Przyjmuję, jeśli tylko on zechce do niej dołączyć – odrzekł Oakter.

- I co ty na to, Kai?

Kai milczał ze wzrokiem wbitym w pulpit.

- Odpowiedz mi, Kai – ponaglił Myron.

Kai potrąsnął gwałtownie głową.

- Dokonałem swojego wyboru, Wasza Wysokość. Nie noszę nazwiska rodu Kohar. Nazwisko to zresztą nic dla mnie nie znaczy, tak samo jak wielka łaska przyjęcia mnie do rodziny harona Oaktera. Nie jest to zresztą odpowiedni temat do dyskusji podczas zboru w kraju liczącym ponad trzydzieści milionów mieszkańców, z których jedna piąta cierpi głód. Nie sądzisz tak, Wasza Wysokość?

Myron zaśmiał się, w najmniejszym stopniu nie zawstydzony.

- Pouczasz mnie, Kai? Zostawiłeś swoją matkę i siostry na pastwę tych, jak sam stwierdziłeś, zwyrodnialców, a teraz mnie pouczasz? Pouczasz swojego króla? Swojego szwagra? A może mnie też wyklinasz ze swojej rodziny?

Kai wyglądał, jakby miał zaraz wybiec, trzaskając drzwiami, niczym rozwydrzone dziecko.

- Nie, Wasza Wysokość – mruknął.

- No to chyba wypada, byś mnie przeprosił.

Kai łyknął na niego złowrogo, a reszta – szczególnie upokorzony wcześniej Haron Mądrości – rozkoszowała się chwilą.

- Wybacz mi, Wasza Wysokość.

– Dziwacy za Wielką Wodą podobno biorą kutasy swych królów w usta, kiedy ich przepraszają – zasugerował jowialnie król. - Chcesz spróbować tej metody, Kai?

Haroni ryknęli rubasznym śmiechem. Silarus słyszał zgrzyt własnych zębów. Usta Kaia drżały tak, jakby miały się zza nich wymknąć tuziny jadowitych ripost – szczęśliwie jednak pozostawił je zamknięte.

– Och, nie cietrzew się już, drogi szwagrze, pamiętam o tych twoich głodujących mieszkańców – zarządził dumny ze swego dowcipu król. – Więc jaki jest następny punkt obrad?

- Wniosek Harona Sprawiedliwości, aby...

\*

Cerro plasnęła na śnieg z wrzaskiem. Upadek wykręcił jej kostkę w wyjątkowo bolesny sposób, ale ten ból prędko przerodził się we wściekłość.

- Myślałam, że masz mnie uczyć, a nie się na mnie wyzywać!

Kai niby stał nad nią z drewnianym mieczem w ręce, ale tak naprawdę wcale go tam nie było. Zamrugał, oprzytomniawszy.

- Co? A, przepraszam...

- Nie dotykaj mnie! Ustaliliśmy, że nie jesteśmy dla siebie kurwami, a ty co teraz robisz?!

Kai zmarszczył brwi.

- Ciężko jest mi się skupić na uczeniu cię czegokolwiek, kiedy wiem, że szóstka najbardziej wpływowych osób w tym kraju ma mnie w głębokiej pogardzie.

- Mówileś, że się tego spodziewasz i jesteś na to przygotowany – westchnęła Cerro, rozmasowując wykręconą stopę.

- Byłem przygotowany, że uznają mnie za zagrożenie, że będą chcieli mojej śmierci...

Księżniczka zaśmiała się głośno, z soczystą drwiną i jadem. Kai spojrzał na nią spode łba.

- Nie jesteś aż tak istotnym graczem, Haronie Sprawiedliwości. Nie jesteś już pionkiem, ale wciąż to nie ty rozdajesz karty. Taką pozycję trzeba budować latami.

- To kto niby rozdaje karty? – Kai skrzyżował ręce na piersi, a Cerro wstała, otrzepując się ze śniegu. – Może ten koronowany błazen?

- Nie, on tylko myśli, że rozdaje karty – sprostowała Cerro. – Jest jak dziecko w piaskownicy, dobrze go rozgryźłeś. Problem w tym, że reszta haronów też rozgryzła tego idiotę. Gdybym mogła ci wskazać najbardziej wpływowych, byliby to Oakter i Kastirron. Ten pierwszy jest po prostu stary i usadowiony w centrum kraju, a ten drugi ma mnóstwo kontaktów za Wielką Wodą i jest zdolnym do wszystkiego zwyrodniaczem. Immala też rośnie w siłę, swoją drogą, doczekawszy się statku pod swoim herbem. Maginot jest zbyt zajęty rodziną i wieśniakami, żeby budować swoją pozycję. Agver natomiast jest na to za głupi.

Twój ojciec był silny przez przyjaźń z moim, ale z powodu ich śmierci ty jesteś praktycznie nikim, ot rudym oszołomem w burej pelerynie, który broczy po zalanych głównem ulicach, tuląc trędowatych. Zabicie cię byłoby jak bieganie z łapką na muchy. Mucha irytuje, owszem, ale nie aż tak, żeby wstać i zmarnować czas i energię.

Udało jej się dźgnąć Kaia końcem miecza w piersią, ale ten, lekko oszołomiony, sparował cios i zaczął poruszać się na tyle wolno, żeby Cerro miała szansę poćwiczyć blokady.

- Nie chcę, żeby chcieli mnie zabić – powiedział. – Chcę, żeby byli zmuszeni iść za moim przykładem. To znaczy, za przykładem *Kodeksu*. Żeby to zrobić, musi być o mnie głośno wśród ludu, również poza Nauenemes. Już o tym pomyślałem, więc wysłałem Chevitę do Alkaidei. Ale wciąż to nie jest...

- Jeśli chcesz wpływów, to twoje siostry właśnie zostały wydane za władców Ynvuth i Naauzyki.

Kai wytrącił jej miecz z ręki.

- Nie ma mowy! W życiu się już do niech nie odezwę!

- Pewnie, kurwa – przytaknęła Cerro, podnosząc oręź. – Bo one miały taki sam wybór jak ty i ja.

- Nie znasz moich sióstr! Pinovar jest zdolna do wielu rzeczy, ale tylko wtedy, jeśli przynoszą jej osobistą korzyść. Jeśli nie, to wydrapie oczy, żeby czegoś nie zrobić. Uznała więc małżeństwo ze Szczurem za korzystne, a, co gorsza, stwierdziła, że pozwolenie Iver poślubić dwa razy starszego żołdaka też jest obiecujące. Iver jest teraz gdzieś w dzicy, a ja nie mogę bratać się z tak obrzydliwą, wyrafinowaną kreaturą jak Pinovar.

Cerro zaatakowała, przewracając oczami. Straciła równowagę i zaryłaby nosem w śnieg, gdyby Kai szarpnięciem nie poprawił jej postawy.

- Moim zdaniem – warknęła, naprężona jak struna – to ty wplątałeś swoje siostry w tę sytuację. Miałeś prowincję, nazwisko i skarbiec i porzuciłeś, to, bo... Bo co właściwie? Bo tak napisali w jakiejś spleśniałej książce? Bo myślałeś, że wszyscy zostawią twoją matkę i siostry w spokoju? I ty się masz za myśliciela? Nie jest ci chociaż trochę wstydu? Nie żałujesz ani odrobinę? Wolisz zasłaniać się śmieszną dumą, zamiast przyznać, że jesteś idiotą?

Kai nadąsał się jeszcze bardziej, machając mieczem w ślimaczym tempie, za którym Cerro była w stanie nadążyć.

- Podслушаłeś kilku zborów i myślisz, że już na wszystkim się znasz, co?

- Podслушаłam w swoim życiu więcej zborów niż ty przesiedziałeś!

- Tak? To co sądzisz o tym Maginocie? – zagadnął. – Mówiąś o nim, jakby był porządnym człowiekiem.

- Czy ja wiem, czy porządnym? Każdy haron ma coś za uszami.

- Każdy człowiek. Ale mój ojciec zawsze dobrze mówił o Maginotach. Kiedy mnie wydziedziczył, ten teraźniejszy... Jak on ma w ogóle na imię?

- Larrus.

- O! To imię legendarnego bohatera!

- Ta, a Cerro to imię najpiękniejszej gwiazdy na nocnym niebie. Jak widzisz, imiona niewiele mają wspólnego z ich posiadaczami.

- No, rzeczywiście. Różowa gwiazda w konstelacji Jednorożca, dokładnie na końcu jego rogu, Niebo Zachodnie. Twoi rodzice mieli wobec ciebie spore oczek... Au!

Cerro nadepnęła mu na stopę.

- To fechtunek, a nie tańce, jasne? – mruknął, skrzywiony.

- Więc koniec z przydeptywaniem sukni, mam rozumieć?

- Z tym absolutnie nie może być końca. Czerpię z tego zbyt dużą przyjemność.

- Więc wsadzanie ci paznokci w oczy również jest dopuszczalne?

- Spróbuj, jeśli potrafisz.

Chwycił rękojeść w dwie ręce, ale Cerro wykonała pierwszy w życiu sprawny unik, bez najmniejszego zachwiania. Jej naturalnie nadąsaną, matową twarz rozpogodził zaskoczony rumieniec.

- No, nareszcie – mruknął łaskawie Kai. – Co do polityki jednak, uważasz, że Maginot może być przychylny *Kodeksowi*?

- Czemu nie? Wydaje się, że obaj macie kij od szczotki w dupie. Nie pomyślałeś w ogóle, że może więcej ludzi byłoby temu *Kodeksowi* przychylnych, gdyby wiedziało o jego istnieniu?

Oczy Kaia rozjarzyły się blaskiem napadu geniuszu.

- Tak jest! Przecież tylko ja mam *Kodeks*, tylko ja go znam, nie ma go nawet w harońskiej bibliotece! Cały czas nurtuje mnie, dlaczego? Niemożliwe, żeby istniał tylko jeden starożytny egzemplarz, co się stało... Kiedy haroni przestali być tacy jak opisuje *Kodeks*, nie pamiętam, a byłem dobry z historii, oni zawsze byli tacy, już za czasów Meaveletha Szarego i przed nim... I skąd się wziął ten *Kodeks*, czy dobrze będzie go opublikować, nie chcę przecież być posądzony o... A w sumie mogę! W końcu reprezentuję Sprawiedliwość! Atian!

Cerro, przez cały trans Kaia przecinająca mieczem powietrze, podskoczyła ze strachu, kiedy z drzewa obok niej na śnieg zeszkoczył giętko mały parobek.

- Atian! Ten Maginot zatrzymuje się w mieście w gospodzie U Stóp Wulkanu. Powiedz mu, że jutro po zborze chcę zamienić z nim dwa słowa w bibliotece.

- To mogę tam zostać na noc? Nie bardzo mi się chce biegać w tę i we w tę.

- Możesz, tylko...

- On tam cały czas siedział?! – Cerro wyrzuciła ręce w powietrze, drżąc z furii. - To miał być sekret, kutasie!

- Przecież nikomu nie wygadam – żachnął się Atian. - I ładny unik, tak przy okazji. Myślałem, że Kai cię wtedy wreszcie zabije.

- Złamałeś umowę! Czego ja się zresztą spodziewałam, na Szarego...

- Nie mam tajemnic przed Atianem. To mój jedyny zaufany człowiek – odparł ugodowym tonem Kai. - I siedział tu po raz pierwszy, bo wiedziałem, że będzie mi prędko potrzebny. Jak tak bardzo ci przeszkadza, nie pozwolę mu tu więcej...

- Tak. Przeszkadza mi.

- Aaa, rozumiem – wyszczerzył się złośliwie admirał. – Chcesz pобыć sobie z nim sam na sam...

- Nawet tego nie sugeruj, bo każę cię poćwiartować – Chłód w głosie Cerro był przenikliwszy od zimowego powietrza. – Ugh, obrzydliwość.

- Ja tu stoję – przypomniał ponuro Kai. – I to naprawdę nie moja wina, że natura połączyła mój nieprzeciętnie wspaniały charakter z taką urodą.

- To chyba koniec ćwiczeń na dziś – zawyrokowała Cerro z miną, jakby faktycznie zrobiło jej się niedobrze. Wzięła przewieszone przez nagą gałąź futro, chowając pod nim swój miecz. – Możecie iść pozałatwiać swoje intrygi i sojusze. Ja udaję się na spoczynek.

- Czyli będzie machać mieczem i rozbijać wazon, utrwalając błędy.

Cerro rzuciła mu sponad ramienia ostre spojrzenie, jednak nie zaprzeczyła. Śnieg skrzypiał pod jej stopami, kiedy znikała w ciemności lasu.

- Nic się jej nie stanie? – zapytał Atian z niejakim niepokojem.

- Niby co? – wzruszył ramionami Kai. – Do Modrego Oka niedaleko, a gdybym ja był niedźwiedziem i zobaczył ją w środku lasu nocą, brałbym łapy za pas. Chodź, skoro mam wolną noc, to załatwię tę sprawę z Maginotem. Wiesz, czego trzeba temu zamkowi? Jakiejś platformy wznoszącej. To będzie mój następny wniosek do Jego Wysokości.

Szli w dół zbocza, zbytnio się nie spiesząc. Zakręcili ku małej, schowanej obok wykrotu grocie, której Kai używała jako kryjówka na treningowy sprzęt. Potem ruszyli dalej, ku światłom Naucenemes, a Kai wyciągnął z peleryny tanią drewnianą fajkę i próbował nią zakopcić.

- Wiesz, Kai – podjął niezręcznie Atian. – Kiedy proponowałeś mi pozycję swojego szpiega, myślałem, że będzie z tego więcej zabawy niż siedzenie pod zbutwiałą podłogą i słuchanie starych pierników opluwających sobie brody z żartów o kutasach. I siedzenie na drzewie w mrozie, podglądając cię na schadzce. I bieganie z tego zamku w góre i w dół.

- Ale misja „Królewski romans” ci się podobała.

- No tak. Ta jedyna. Ale też nie za wiele z tego wszystkiego nauki, poza rzecząmi, które już wiedziałem. Politycy mają poddanych w dupie, królowie pieprzą się z każdym, tylko nie z królowymi, a baby nie umieją walczyć, są kłotliwe i irytujące.

Brwi Kaia nasrożyły się. Atian miał nadzieję, że to z powodu nieposłusznej fajki.

- Co mi próbujesz powiedzieć, Atian? – mruknął. – Że się nudzisz?

- Nie, ale...

- Nie obiecywałem ci zabawy. Obiecywałem naukę i mnóstwo obowiązków. Potrzebuję cię, Atian, jesteś moją prawą ręką. Dzięki rzeczom, których się tutaj nauczysz, będziesz wspaniałym admirałem i wodzem. Kto wie, może pewnego dnia generałem?

- Tak, wiem.

- Więc co, chcesz mnie opuścić? W momencie, kiedy najbardziej cię potrzebuję, kiedy masz ogólną szansę, kiedy wszyscy mną gardzą i nawet własna rodzina odwraca się do mnie plecami?

- N-nie, Kai. Nie zostawiłbym cię w takiej chwili.

Haron uśmiechnął się ciepło.

- Dlatego jesteś moim najlepszym przyjacielem – wyznał.

Atian próbował odwzajemnić uśmiech. Kai wreszcie się zaciągnął i rozkaszał na pół lasu.

\*

Larrus Maginot od lat nie mógł powiedzieć, że się wysypia. Kiedy ożenił się z lyrrą Talią Agver, pierworodną córką Harona Mądrości, noce były zbyt ciekawe, by spać. Kiedy urodziła im się pierwsza córka, nie spał, zbyt zachwycony, by nie podziwiać cudu stworzenia dzień i noc. Kiedy przejął urząd Harona Nadziei, zamek Pieczara oraz prowincję Temarair ze stolicą w Memnos po swym ojcu, nie mógł zasnąć z powodu wagi swej pozycji. Temarair, największa i najuboższa część Świętej Unii, była jednocześnie najbardziej kłopotliwa. Nie było tu żyznej ziemi jak w Megarancie, ani prastarych puszczy jak na większości terenu Naauzyki. Były, co prawda, kaniony i pustynie, a ocean, owszem, oblewał brzegi Temarairu,

felsidzi zachodni mieli tu nawet swoją siedzibę, ale był to ocean zimny, ubogi w owoce morza i kapryśny – nie raz porywał z brzegów mniejsze wioski wraz z wątłymi mieszkańcami. W ogóle, rok w Temarairze bez co najmniej jednej klęski żywiołowej był rokiem niezwykłym.

Teren był dziwny, klimat był dziwny. Haron Maginot dorastał na wsi, bo ojciec chciał wychować go na człowieka ludu, stąd wiedział, że ludzie też byli dziwni – porównywał ich z tymi poznawanymi podczas wizyt w wielkich miastach. Ludzie w Temarairze nie myśleli o moralnej zgniliźnie, polityce, odkrywaniu nowych lądów, stosunkach z kontynentem za Wielką Wodą. Ludzie wokół Maginota mieli twarze pozbawione wyrazu, opalone, zmęczone orką na złej ziemi, w złych warunkach, pod złym niebem. Potrafili dyskutować całe dnie o tym, co jutro wrzucą do garnka lub przez cały dzień się nie odezwać. Nie ufali obcym, nie ufali sobie nawzajem. Nigdy nie kładli się spać głową w stronę Bagien, zawsze w jego kierunku spluwali. Opowiadały przyprawiające o ciarki na plecach opowieści o Ludziach Nieba i co chwilę pociągali nosem, ponuro przepowiadając morowe powietrze, jakby wróżyli burzę z chmur.

Bo Temarair i Megarant oddzielały Świętą Unię od Wrednych Bagien. Ich nazwa zawsze wywoływała bagatelizujące rozbawienie u tych, którzy nie wychowali się na południu - którzy nie wiedzieli, jak to jest wjechać do wsi i zastać wszystkie chaty pełne trupów przez lata trujących się wyziewami z Bagien majaczących za falującym horyzontem. Jedna piąta części Temarairu, ta granicząca z Bagnami, która stale się poszerzała, była praktycznie bez ludu – pleśnią zarastały tam porzucone wioski, gniły niepochowane zwłoki. Czasem wybierali się tam jacyś śmialkowie, by zbadać pogrążone w wiecznej mgle moczary. Czasem szli tam lekarze i naukowcy, hieny cmentarne również. Czasem Maginot zmuszony był się tam udać.

Nigdy nie przebyta plama Wrednych Bagien była naturalną granicą Świętej Unii, której strzec musieli Haroni Nadziei i Pokoju. Przed kim? Nikt nie był do końca pewien. Nikt nie wiedział, co jest po drugiej stronie. Na trujących moczarach żyły najdziwniejsze, najstraszniejsze stwory świata, a miejscowi wierzyli, że za bagnami jest trzeci kontynent zamieszkały przez Ludzi Nieba. Dalej jest już tylko Czeluść, do której wejść może jedynie Szary Człowiek.

*Czy ty, chłopcze, chcesz dać dyla?*

*Praca w polu cię znudziła?*

*Kuszą słodkie mgieł zapachy?*

*Chcesz pokonać ludzkie strachy?*

*Nim wyruszysz szukać przygód  
Nim wyrzekniesz się swych wygód  
Spójrz no tam, gdzie żółkną kości  
I przywitaj swoich gości*

*Oto idzie Człowiek z Nieba  
Jemu miecza nie potrzeba  
Nie potrzeba azyrydy  
Żeby zakuć ciebie w dyby*

*Czy to człowiek, czy to duch  
Kłosy zboża zmieni w puch  
Pożar w jego zimnych oczach  
Susza w jego wiotkich włosach*

*Człowiek z Nieba słowo rzeknie  
Błyskawica niebo przetnie  
Człowiek z Nieba zębem zgrzytnie  
Ciało twoje wnet rozetnie*

*Nie ma ostrych wcale zębisk  
Nie ma zakrzywionych szponisk  
Ale w noce księżycowe  
Kradnie twoje sny bajkowe*

*Jego ogar oślepiony  
By nie widział, nieproszony  
Jego rumak, chociaż wierny  
Bez języka, by być pewnym*

*Wypaliły się trzy słońca  
A ich życie nie ma końca  
Idą więc, niepocieszeni  
Przez Szarego odrzuceni*

*Tam, gdzie Człowiek z Nieba przejdzie*

*Wszystka ziemia jego będzie*

*Śpij spokojnie, pókiś zdrow*

*Zanim Człowiek przyjdzie tu!*

Nie było na tym świecie rzeczy straszniejszej niż Człowiek z Nieba. Maginot oczywiście nie wierzył bezkrytycznie w ludowe opowieści, ale też ich całkowicie nie bagatelizował. Coś tam musiało być za tym bagnem, ktoś tam musiał być. Zastanawiał się, czy haron Kastirron też nie śpi w nocy, bo boi się uduszenia przez morowe powietrze albo widoku całego pochodu Ludzi Nieba z ogniem w oczach, po prostu idących przed siebie jak żywe trupy, w towarzystwie niemych koni i psów, niszczących wszystko stojące na swojej drodze.

Kiedy był daleko od Bagien, spało mu się nieco lepiej, ale wciąż czuwał. Dlatego, kiedy ktoś zapukał w drzwi jego pokoju w karczmie U Stóp Wulkanu, natychmiast otworzył oczy i usiadł.

- Kto tam?

Drzwi uchyliły się, odsłaniając wąsatą twarz karczmarza.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale przyszedł do harona Szary Haron.

- Kto?

- No... Haron Kohar. Sprawiedliwości.

Maginot przeczesał włosy, zdziwiony.

- Zaraz do niego przyjdę.

- Dobrze, proszę harona...

Maginot wyszedł z łóżka i ubrał się jak najlagodniej, tak by nie obudzić Talii. Zajrzał jeszcze do dzieci, by upewnić się, że cała czwórka smacznie śpi, po czym zszedł po schodach na dolne piętro gospody.

Karczma U Stóp Wulkanu nawet po północy pełna była rozhukanych gości rozlewających wszędzie piwo, przechwalających się niestworzonymi przygodami z Nauenemeńskiej Puszczy i zaczepiających rozpiszczane kelnerki. Maginotowi nie przeszkadzał zgiełk. Nawet go lubił. Tam, gdzie był hałas, było życie i energia.

Tej nocy w zajeździe panował taki tłok, że brakowało ław i krzesel. Wielu gości musiało siedzieć na stołach lub podłodze, w tym i Kai Kohar, dwudziestoletni Haron Sprawiedliwości, smark trzynaście lat młodszy od Maginota, a wydający się sprytniejszy i odważniejszy niż najstarszy z haronów, Oakter. W końcu, jako piętnastolatek zrobił tę

niesamowitą rzecz ze sprawą Silarusa Temidana. To był pamiętny ostatni rok Maginota jako jeszcze-nie-harona.

Kai siedział ze skrzyżowanymi nogami na stole, plecami do pleców innych gości dzielących z nim miejsce, i popalał fajkę. Pod nim, na podłodze w nogach stołu, siedział jego nieodłączny towarzysz, dwunastoletni felsidzki admirał. Ciężko było nie przewrócić na ten widok oczami, jednak Maginot podszedł do nich, ukłonił się i spojrzał na harona z czujnością.

- Dobry wieczór – skinął głową Kai.
- Dobry wieczór – odkiwał głową Maginot. – Czemu zawdzięczam tę późną wizytę?
- A, tak, przepraszać za najście, ale chciałbym jak najszybciej się z haronem rozmówić. Proszę mi powiedzieć, czy kieruje się haron *Kodeksem*?

Wieczna bruzda między brwiami Maginota pogłębiła się ostrzegawczo.

- Żyję w zgodzie z własnym sumieniem, haronie Koharze.
- Więc haronowi niezmiernie zazdrościę, ale pytam o obowiązki jako harona. Skąd haron wie, jak służyć ludziom i Szaremu Człowiekowi, czego obu stronom potrzeba i w ogóle?

Haron Nadziei zakoływał się, kiedy nadął pierś, starając się nie okazać zdenerwowania. Białka oczu admirała błyskały do niego spod stołu.

- Masz ideały, znakomicie. Ja też je miałem, kiedy zaczynałem – mruknął, nie patrząc Kaiowi w oczy. – Musisz zrozumieć, że w naszym życiu nie zawsze wychodzi tak jak chcemy. Ludzie nie podporządkują się naszemu widzimisię. Jestem tylko człowiekiem i staram się wypełniać to, co przysięgłem w dniu mianowania na Harona Nadziei, ale zdaję sobie sprawę, że to nie zawsze wychodzi. Że jestem politykiem, biurokratą, zdrajcą czy czymkolwiek chcesz mnie nazwać. Nie każda decyzja, której dokonuję, jest dobra. Zawsze mam jednak dobre intencje.

Kai wydmuchał chmurę gęstego dymu, za którą zniknęły jego ciekawskie szarozielone oczy.

- Dlaczego zdrajcą? – zapytał.
- Jeśli zamierzasz odwiedzić dzisiaj wszystkich haronów sprzyjających Temidanom, to lepiej się pospiesz. Nigdy nie życzyłem źle twojemu rodowi i w życiu bym się nie zgodził, żeby generał z heretyckim epizodem w swoim życiu, a do tego człowiek chciwy do tego stopnia, że gotów był zabić dzieciaka dla stanowiska, i to rękami własnego dziecka... W żadnym wypadku nie sprzyjam Yazorowi Temidanowi i chcę, żebyś to wiedział. Jak lew walczyłem, kiedy dyskutowaliśmy, czy to on powinien przejąć stanowisko po twoim ojcu. Spytaj, kogo chcesz, na przykład swoją wściibską żonę...

- Rozumiem, że ani król, ani mój ojciec nie brali udziału w tych dyskusjach?

Maginot lekko poczerwieniał, ale postanowił zignorować uwagę.

- Moim zdaniem Temidan nie mógł dostać tego, czego chciał, nie po krokach, które podjął. Ale reszta haronów... Zależy im na „silnym sojuszniku”, jakbyśmy prowadzili ze sobą jakąś wojnę, a nie krzyczeli do siebie z przeciwnych końców ławy. Nie ufam Yazorowi Temidanowi. Ale Melvourne Temidan... Mądry, odpowiedzialny, wystarczająco odważny, by sprzeciwiać się decyzjom ojca, wystarczająco rozsądny, żeby go słuchać. Jest po prostu dobrym człowiekiem chętnym służyć ludziom, chociaż ma dopiero szesnaście lat... No, ale najmłodszy haron w historii piastował swój urząd od ósmego roku życia. I to twój przodek, zdaje się. Był, oczywiście, marionetką, ale lepszy słaby człowiek z dobrymi pobudkami niż silny ze złymi. Więc rozumiesz, byłem za Melvourne’em. Ale wtedy zjawiłeś się ty. I tak jest chyba lepiej.

Rozpędził ręką irytujący kłęb dymu.

- Więc naprawdę gotowi byliście oddać mój urząd Temidanom? – Usłyszał zimny głos Kai. – Tak po prostu? Tak otwarcie?

Maginot ponownie zakoływał się na stopach.

- Nie przyszedłeś tu domagać się sprawiedliwości w tej sprawie?

Kai roześmiał się beztrosko jak dziecko.

- Niby to było oczywiste, ale... Mój ojciec nie zdążył jeszcze paść trupem, a wy już sprzedaliście jego urząd największemu wrogowi.

- Nie Yazorowi, tylko Mel...

- Yazor Temidan nie chciał zasiadać przy tej żałosnej ławie. Przecież ma do dyspozycji cały pałac. Powiedz no, kiedy to doszedłeś do wniosku, że Melvourne Temidan to taki wzór rycerskich cnót?

Maginot zły był, że wyznał Kaiowi aż tyle. Skoro jednak chłopak nie chciał zemsty, to po co się tu zjawił?

- Dwa lata temu w Temarairze – powiedział niechętnie – zatrzesła się ziemia. Po tym przyszła susza. Melvourne zjawił się tam ze Sforą Sfinksa. Naprawiali domy, pozbywali się bandytów, czyściły rzeki z gruzu, przywozili wodę z innych prowincji. Nie wiem, co bym tego lata zrobił... bez niego.

- Szlachetne z jego strony. Melvourne to dobry chłopak. Aczkolwiek nie ruszy małym palcem bez rozkazu Yazora.

Maginot zacisnął usta, a potem machnął ręką w próbie przekonania samego siebie i Kai, że cała ta sytuacja nigdy nie miała aż tak wielkiego znaczenia.

- No, to dobrze, że się zjawiłeś, bo inaczej mielibyśmy kukiełkę generała jako Harona Sprawiedliwości, a ja byłbym obciążony strasznym długiem wdzięczności. Wciąż jestem, szczerze mówiąc. Może i jestem głupi, ale może i dobrze, że zgodziłem się na jego pomoc. Gdybym sprzyjał twojemu rodowi bezwarunkowo, może byłbym zbyt dumny, by tę pomoc przyjąć? I co, moi poddani zginęliby przez moją niechęć do uwielbianego generała?

- Nie oceniam cię, haronie. Twoja opowieść brzmi, jakbyś działał w imię Nadziei. Być może na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. Zresztą, nie przyszedłem tu krytykować twojej orientacji politycznej. Wręcz przeciwnie, interesuje mnie twoja moralność. I zdaje się, haronie, że czasem zupełnie nie wiesz, w którą stronę iść.

Maginot uśmiechnął się z politowaniem.

- I ty to, mam nadzieję, wiesz?

- Mam niejakie pojęcie.

Spod brunatnej peleryny wyciągnął czarną sfatygowaną książkę.

- To bardzo ważne, haronie.

Haron Nadziei wziął do ręki *Kodeks Harona w służbie Świętej Unii*.

- A więc miałeś na myśli dosłowny kodeks? – spytał, zaintrygowany, przeglądając pożółkłe strony. – Skąd to masz?

- Dostałem to od pewnego bardzo ważnego człowieka – odparł Kai, przyglądając się uważnie Maginotowi zza zasłony dymu. – To bardzo stara księga. Sądząc po narracji, z samych początków Świętej Unii, może nawet z czasów przed nią.

- Niezwykłe! Jeśli to autentyk...

- Jak to możliwe, że jesteśmy haronami i nawet nie wiemy, jakie są nasze korzenie? Jak to możliwe, że nie wiemy nic o tym, co było przed Meavelethem Szarym? Jak to możliwe, że nie wiemy o istnieniu naszego kodeksu?

- Nie mam pojęcia, Kai. Haroni istnieli zawsze.

Kai uniósł brwi.

- W historii nie ma takiego pojęcia jak „zawsze”, ani „nigdy”. Pierwsze oficjalne wzmianki na temat haronów pochodzą z czasów Meaveletha Szarego, i już wtedy nie byli oni niezależni od króla, nie byli wybierani w drodze elekcji, nie byli poświęceni ludziom i Szaremu Człowiekowi. Ta książka twierdzi, że wszystko powinno być na odwrót.

- Bieg dziejów jest nieunikniony i wszystko zmienia się wraz z nim. Być może haroni byli tacy kiedyś, jeszcze przed pożarem królewskiej biblioteki za czasów Meaveletha Szarego. Lecz widocznie przez lata zaszła konieczność, by się zmienili. Wciąż mamy do

dyspozycji książki historyczne o trzech erach nastęjących po jego pożarze, a i z tą przeszłością ledwo sobie radzimy.

Śmierdzący dym z taniej fajki Kaia nareszcie zniknął.

- Taaak... – zadumał się. – Wielki pożar, który wykreślił całą wcześniejszą historię kraju i Meaveletha Szarego... I w całym państwie nie było żadnych kopii tych ksiąg ani innych historyków, których akurat nie byłoby wtedy w bibliotece?

- Czy usłyszałeś tylko połowę tego, co powiedziałem? Czy nie masz wystarczająco do roztrząsania wśród kronik drobiazgowo pokrywających ostatnie trzy tysiące lat?

- Zastanawiam się po prostu, czy da się sięgnąć jeszcze dalej.

- Po co?

- Żeby wiedzieć.

- Wiedzieć o czym?

Kai nie odpowiedział, ale posłał Maginotowi takie spojrzenie, jakby jego żądza wiedzy rozumiała się sama przez siebie.

- Nigdy nie byłem najlepszy z historii – westchnął Haron Nadziei. – Pamiętam, że druk wynaleziono znacznie później, więc nie, nie było żadnych kopii, a stworzenie jednego tomu trwało całe życie autora. Meaveleth, widocznie tak samo jak ty zafascynowany tym, co było, zamiast tym, co jest, chciał zebrać w Pałacu Popiołów wszystkie dzieła historyczne. Wszyscy kronikarze i mecenasi zostali zaproszeni na wielkie otwarcie. I ktoś zaproszył ogień. Pewnie Dion, brat Meaveletha, ta czarna owca historii.

- Jego obraz wisiał na ścianie w naszej bibliotece.

- Naprawdę? Przecież to zdrajca i królobójca. No, ale do biblioteki nikt nie zagląda... Oprócz ciebie, rzecz jasna.

Kai nagle zeskoczył ze stołu. Admirał siedzący pod nim ledwo zdążył schować nogi, zanim haron na nie nadepnął.

- I ty, haronie, lepiej zacznij do niej zaglądać, jeśli chcesz być dobrym haronem. Bo chcesz, prawda? Chcesz dawać ludziom Nadzieję? Ten kodeks mówi, jak.

- Więc mogę go sobie poż...

- Nie! Nie ten egzemplarz. Jest cenny i kruchy, i być może jako jedyny, choć to śmiała teza, ocalały z tego pożaru trzy tysiące lat temu. Ale my mamy dzisiaj druk. Musimy rozpowszechnić to, co jest tu napisane. Nie tylko wśród haronów, ale i wśród prostego ludu, żeby mógł to od haronów egzekwować. Jesteś, haronie, ze mną?

Larrus Maginot westchnął głęboko.

- Cóż... Sam musiałbym ją najpierw przeczytać, ale wierzę, że ty gorąco wierzysz w jej słuszność... Jeden zapis jednak rzucił mi się w oczy.

Palce Kaia zacisnęły się na pustce, kiedy próbował wyjąć księgę z ręki Maginota.

- *Haron* – przeczytał Maginot, zerkając to na Kaia, to na matowe litery tekstu – *winien jest dbać o swoją rodzinę i swoją postawą względem rodziców, rodzeństwa, krewnych, żony i dzieci świecić jasnym przykładem.*

Kai wyrwał mu księgę z wściekłością.

- Gdzie niby jest to napisane...

- Nie będę po twojej stronie – oznał Maginot z uprzejmą prostodusznością – dopóki nie pogodzisz się ze swoimi siostrami i szwagrami. Nie będę robił sobie wrogów z Oaktera i Immali. Twoja matka pochodziła twoje siostry, żeby tylko zatrzymać Pavilon, owszem. Ale to ty wraz z nazwiskiem porzuciłeś swoje rodzinne obowiązki. A twoja rodzina potrzebuje cię teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Jeśli jesteś takim dobrym haronem, nie możesz jej zawieść.

Kai nie odpowiedział, maszerując do wyjścia. Atian, idący za nim krok w krok, uśmiechnął się do Maginota z aprobatą. Kai otworzył drzwi szarpnięciem, wpuszczając do gospody wiatr i kłęby śniegu. Nie obejrzał się nawet, tylko opuścił U Stóp Wulkanu bez słowa. Atian zatrzymał się na moment.

- Niech haron załatwi sobie zieloną pelerynę.

Śnieg zaskrzypiał donośnie i ręka wystająca spod brązowego płaszczu wywlekała Atiana z karczmy za jeden z jego trzech szalików.

\*

Robota się nie kleiła. Chociaż w piekarni na ulicy Przyskalnej w Naucenemes już dawno rozpoczął się zwyczajowy dzień pracy i Itsuk nie był tam sam, zakład wydawał się martwy. Bo i Itsuk się taki wydawał. Ugniatał ciasto mozolnie, bladymi, dygoczącymi rękami. Wsuwał bochenki chleba do pieca niezgrabnie i z wysiłkiem tak wielkim, że po każdej partii musiał usiąść i otrzeć pot z czoła. Wzbudziło to w końcu niepokój u jego współpracowników – opatuleni w szaliki i rękawice, przerażeni epidemią zimowej gorączki w ich dzielnicach, nie potrzebowali dodatkowego zagrożenia ze strony Itsuka.

Otoczyli go więc w czasie jednej z jego przerw na zaczepnienie oddechu.

- Itsuk? – burknął zza różowego szalika Utam. – Dobrze się czujesz?

Chłop był wielki jak niedźwiedź, ale gdy teraz uniósł głowę, wyglądał jak zapłakane dziecko.

- Ja? Tak, tak, tylko... Mam dzisiaj słabszy dzień.

- Bo wiesz – dodał Miklas wyposażony w puchate nauszniki – jak jesteś chory, lepiej idź do domu.

- Chory, chory, chory...

- Nie to, że ci nie ufamy, ale wiesz jak jest. Jest zima, to i gorączka, a ten twój dzieciak mógł coś przywlec z Murarskiej...

- To nie on! Skylle jest zdrowy, zupełnie zdrowy, a Moth tam nie chodzi!

- Spokojnie, chłopie, my tylko chcemy...

- Co tu się dzieje?

Rzecz zaskakująca, ale mistrz Tauron oderwał się od swoich papierów w godzinach pracy. Stał na środku piekarni, mierząc wszystkich karcącym spojrzeniem.

- Coś jest nie tak z Itsukiem, mistrzu – odezwał się Glion. – Mówimy mu, żeby szedł do domu, jak ma nas wszystkich zara...

- Czyś ty zdurniał, Itsuk? – warknął Tauron. Zamierzał podejść kilka kroków bliżej, ale zatrzymał się natychmiast. – Chcesz pozabijać nas i naszych klientów? Won do domu. I nie wracaj, dopóki się nie wykurujesz.

Itsuk wstał, pociągnął nosem, pokirał głową, i tyle go piekarnia widziała.

- Daję mu dwa dni – mrucnął Miklas, kiedy wszyscy wrócili do pracy w wyjątkowo podlonych nastrojach.

- Zwariowałeś? – obruszył się Glion. - To chłop na schwał. Takiego nawet zimowa gorączka łatwo nie wykończy.

- Dlatego daję mu aż dwa dni – wzruszył ramionami Miklas i szczerlej opatulił się swoją chustą.

Kiedy Itsuk wrócił do domu, zastał Skyllego czuwającego nad Moth, opowiadającego jej jakieś głupoty. Ona sama była przynajmniej przytomna – nie widział jej uśmiechu przez szalik, w który była owinięta, ale jej oczy powiedziały mu, że jest uprzejmie zadowolona jego widokiem. Itsuk zrobił wszystko, by nie upaść na kolana przy łóżku, i położył dłoń na jej czole. Gorące.

- Jak tam w piekarni? – spytała cichutko.

- Dobrze – skłamał. – A jak u ciebie?

- Dobrze. Czuję się coraz lepiej.

- Rzygała pół godziny temu – sprostował Skylle.

Itsuk pokiwał głową. A potem wyszedł do sąsiedniej izby, tej, w której swoje posłanie miał Skylle, i zaczął łkać, wstydliwie i rozpaczliwie, wgryzając się w swoje ramię, by zdusić wszystkie dźwięki. Jego potężne bary dygotały niekontrolowanie, kiedy wstrząsały nim spazmy. Słyszał Skyllego zabawiającego Moth rozmową, ale nie usłyszał, kiedy jej śmiech ustął, a chłopak znalazł się za jego plecami.

Skylle najwyraźniej uznał ten widok za zbyt żenujący i wyszedł z mieszkania, trzaskając donośnie drzwiami.

Moth nie wymiotowała już przez resztę dnia, a jej czoło nie było aż tak rozgrzane. A może Itsuk tak tylko sobie wmawiał. Czuwał przy niej cały czas, opowiadając głupie historie, śmiejąc się, płacząc podczas jej płytkich i zbyt krótkich drzemek. Choć ich małżeństwo było tak świeże jak ich poufałość, ośmienił się chwycić za jej woskowatą dłoń, a ona się uśmiechnęła. Odwiedziła ich pani Sarina. Przyniosła zupę i powiedziała, że Moth nie musi jutro zjawić się w pracy. Odwiedził ich mistrz Tauron. Dał Itsukowi pięć cersenów, szepcząc grobowym tonem w osobnej komorze, że rozumie sytuację i nie chce pozbawiać go zapłaty. Uściśniął go niezgrabnie, ale ze szczerym współczuciem. Kiedy wyszedł, Itsuk nie płakał, tylko wył.

Zmęczony był tym płaczem, zmęczony zimą, zmęczony biedą, zmęczony niesprawiedliwością swojego życia. Jeszcze tydzień wcześniej Szary Haron rozdawał za darmo lekarstwo na zimową gorączkę, a teraz trwał zbór i był zapewne zbyt zajęty dla swojego prostego ludu. Itsuk był zmęczony waleniem pięścią w przemarzniętą ścianę. W końcu z tego zmęczenia zasnął z głową na podołku Moth i jej dłońmi na swojej głowie.

Obudził go huk otwieranych drzwi i przekleństwa.

- I lepiej ją, kurwa, wylecz!
- Zrobię, co mogę, ale nie jestem cholernym cudotwór...
- To znajdź jakiegoś znajomka, który umie robić cuda! Bo cię zabiję, przysięgam, zabiję!

Do izby wszedł mężczyzna o niezwykle sumiastych wąsach, w niezwykle kosmatym futrze śmierdzącym na milę piżmem i wilgocią. Te wąsy i skroń miał zlepione krwią.

- Dobry wieczór, jestem lekarzem. To, jak rozumiem, jest moja pacjentka?

Moth, również wyrwana ze snu, zwymiotowała obficie między swoje palce. Doktor skrzywił się nieco.

- No, won, panowie. Trochę prywatności!

Itsuk dopiero teraz zobaczył stojącego za doktorem Skyllego, który celował czubkiem noża między łopatki lekarza. Itsuk wstał jak urzeczony i wyszedł za nim do sąsiedniej izby.

- Coś ty zrobił, Skylle? – wydukał.
- Coś, co ty powinieneś, zamiast się mazać. Poszedłem po lekarza.
- Nie stać mnie, zresztą na zimową gorączkę...
- Chuj, nie nie stać. Jak rozbijesz nos odpowiedniej osobie, to nagle cię stać.
- Skylle! Tak nie wolno!
- A chcesz, żeby Moth zdechła?! Co cię obchodzi nos tego parcha?! On zarabia, zabijając dzieci dziwek z Wisienki! To szarlatan, ale jedyny doktor, jakiego znam. I to dobry, jego dziewczyny są zawsze zdrowe jak rydze. A tak poza tym, ma u mnie dług wdzięczności.
- N-no to czemu rozbileś mu nos?
- Bo to fiut.
- A... A co, jak zrobi jej krzywdę?
- To spełnię swoje groźby i odetnę mu jaja.
- Co mi po nich, skoro Moth może już wtedy nie żyć?!
- Żyję, Itsuk! – usłyszeli słaby głosik Moth zza ściany. – Wszystko jest w porządku! Itsuk powiózł rozgorączkowanym wzrokiem po pokoju.
- No dobra...

Wreszcie, sprowokowany spokojem Skyllego, usiadł niezgrabnie na jego skromnym posłaniu.

- Tak w ogóle, to dzięki – powiedział pod wpływem olśnienia.
- Skylle uśmiechnął się pod nosem. Przełożył zardzewiałą nóż między palcami.
- Jeszcze mi nie dziękuj – mruknął. – Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, czy ten doktor wie, jak się mierzy gorączkę.

Dla Itsuka była to wieczność, ale w rzeczywistości po kilkunastu chwilach doktor zjawił się w progu komory. Wypuścił z trudem powietrze.

- No tak – oznajmił. – Jest przeziębiona, ale już z tego wychodzi. Niewysoka gorączka. Niedożywienie, anemia. Poza tym w porządku.

Itsuk nie mógł w to uwierzyć.

- No to czemu rzyga?! – wrzasnął, gotowy do nowej eksplozji płaczu.

Doktor drgnął, oburzony.

- No bo jest w ciąży.

Na moment wszystkie funkcje życiowe organizmu Itsuka zaprzestały pracy. Zastygły jego oczy, usta, ręce i nogi. Zaraz jednak wróciły do życia, by się jąkać, telepać i nie dowierzać.

- Jak... Jest pan pewien?

- Pewnie, że jestem! Powiedzmy, że ta sprawa podchodzi pod moją specjalizację.

- Ale chyba pan nie zabił tego dziecka?!

- Co? Czemu miałbym?... Skylle!

- Więc z Moth wszystko w porządku? Z dzieckiem wszystko w porządku?

- Takie szczegóły może panu powiedzieć tylko mag, no ale wydaje mi się, że tak. Dziewczyna się z tego wykaraska, tylko musi cieplej się ubierać, zażywać ruchu, świeżego powietrza, takich tam bzdetów. I proszę jej również nie kraść z talerza, jak ma donosić tę ciążę.

- Tak jest, to znaczy nie to, że kradnę, tylko... Ojej. Ojej, Szary Człowieku...

- No, to ja żegnam. Skylle, spłaciłem swój dług. Nie nachodź mnie więcej.

Lekarz jak najprędzej opuścił mieszkanie, ale Skylle wcale nie zamierzał za nim gnać. Był zbyt zajęty dopracowywaniem miny najszczerszego obrzydzenia, na jaką był w stanie się zdobyć. Nie dane mu było jednak osiągnąć doskonałości, bo Itsuk poderwał go na ręce wysoko pod sufit.

- Będę ojcem, Skylle! Będę ojcem!

Wleciał z nim do sąsiedniej komory, gdzie roześmiana Moth już wyciągała ręce, by ich do siebie zagarnąć, uścisnąć jak najmocniej i wyciąłać w każdy policzek.

- Będziemy mieli rodzinę! – pisał zarumieniony Itsuk prosto w ucho Skyllego. – Prawdziwą, najprawdziwszą rodzinę!

Skylle spuścił wzrok. A potem ścisnął rękę Moth, przytulił się do Itsuka i uśmiechnął nieśmiało. Może rzeczywiście było mu to przeznaczone? Może udało mu się zdobyć coś więcej niż komórkę w cudzym mieszkaniu? Może ktoś na tym świecie go chce? Może oni zawsze na niego czekali? I nieważne, co się stanie – jest ich? Jest wreszcie czyjś...

Było to piękne. I było prawdziwe.

\*

Jak na gust Cerro, jej treningów było stanowczo za mało, a Kaiowego siedzenia w bibliotece stanowczo za dużo. W takim tempie przerzuci się na stal za jakieś dziesięć lat, ale Kai wciąż upierał się, że ma dużo „pracy” pomiędzy wycieczkami do miasta i tej cholernej biblioteki. Pozostawało jej tylko włóczenie się po murach i podglądanie technik, które Silarus Temidan próbował wbić do głów giermków i dziedziców lokalnej szlachty. Atian zwykle kręcił się w pobliżu, zapewne na rozkaz Kaia, czasem pomagając w prezentacji nowych ruchów, częściej jednak nudząc się niemiłosiernie. Tak samo jak Cerro.

Dlatego nie trzeba go było jakoś specjalnie namawiać, żeby jednego wieczora zamknąć się w sypialni, wziąć stalowe miecze ze stojaka i zacząć ćwiczyć.

- Ha! – Atian wskoczył na łóżko, krzyżując z nią ostrza. – Tak się zyskuje przewagę, nędzny psie!

- A tak... - Cerro uchyliła się przed Atianem i wzięła zamach, rozbijając dzbanek pełen granatowego soku. – Znów chujowo go posklejał...

- Miał rację co do trenowania w samotności. Tylko utrwalasz błędy.

Cerro naburmuszyła się, unosząc miecz do ponownego starcia.

- Więc dobrze zrobiłam, chcąc trenować z tobą.

- Ty myślisz, że to trening? Przecież my się bawimy.

- Zamilknij, stawaj i nie oszczędzaj mnie, a będę mieć trening jak zahartowany w boju rycerz!

Atian parsknął śmiechem, prawie spadając z łóżka, kiedy Cerro na nie skoczyła, spychając go z krawędzi. Wyprostował się i sam ją oddepchnął, podczas gdy ona kręciła czubkiem ostrza, próbując przewidzieć jego ruchy, a kiedy wściekle machnęła mieczem, Atian uskoczył sprawnie.

Wtedy właśnie rozległo się pukanie do drzwi. Inne niż codzienne pukanie służących chcących zmienić pościel i zabrać ubranie do prania. Twardsze. Śmielsze.

Cerro i Atian wymienili spojrzenia, po czym odwiesili miecze. Atian usiadł na kamiennym parapecie, machając nogami w powietrzu, a Cerro przekręciła klucz w drzwiach i uchyliła je tak nieznacznie, żeby przybysz zdał sobie sprawę z nie bycia zaproszonym.

Słusznie, zważywszy na fakt, że ujrzała Pinovar Oakter.

- Dzień dobry, Wasza Miłość – rzekła, dygnąwszy. – Można?

- Jego tu nie ma – odparła Cerro.

- Wiem. Mój mąż, Haron Sprawiedliwości, Haron Obowiązku i Jego Wysokość właśnie wypili razem herbatę. Ustalili, że jesteśmy od teraz rodziną. Czy tego chcemy, czy nie.

Cerro zmarszczyła brwi podejrzliwie. Pinovar trzymała w rękach długi pakunek zawinięty w zielony materiał spięty srebrną kobrą.

- I my powinniśmy więc poznać się od tej strony – ciągnęła Pinovar. – Przyniosłam dla ciebie prezent ślubny. Spóźniony, ale bardzo cenny, wykopany z dna skarbcu Koharów. Wydaje mi się, Wasza Miłość, że mogłybyśmy znaleźć dużo wspólnych tematów, więcej niż za czasów naszego dzieciństwa. Jedziemy przecież na tym samym wózku.

- A co to niby znaczy?

- Wytlumaczę ci, Wasza Miłość, jeśli mnie ugościsz. Jest mi coraz ciężej...
- Niepotrzebny mi żaden prezent. I nie mam czym cię ugościć. Ani ciasta, ani soku...
- Sama pogawędka mnie nasyci.

Cerro obejrzała się na Atiana, który wzruszył ramionami. Uchyliła drzwi nieco szerzej, a Pinovar wśliznęła się do środka, podzwaniając łańcuchami i szeleszcząc liliową tkaniną, kiedy rzucała pakunek na potargane łóżko.

- Dzień dobry – rzuciła w stronę Atiana.
- Dzień dobry. Wiele się zmieniło, odkąd widzieliśmy się w...
- Odkąd wyniósł admirał Magmowy Miecz należący do moich przodków z ich zamku pod swoją pachą? Rzeczywiście, wiele się zmieniło.

Atian najpierw się zmieszał, a potem uśmiechnął do własnych kolan. Pinovar spojrzała na Cerro opartą o toaletkę.

- Mam udawać, że go tu nie ma czy jemu również mam się zwierzać?
- Myślałam, że to ty powinnaś wiedzieć, po co tu przyszłaś.
- Przyszłam do ciebie, Wasza Miłość. Możesz go wyprosić.

Cerro prawie zadrżała na myśl o pozostaniu z Pinovar sam na sam.

- Ale go nie wyproszę – burknęła.

Pinovar uniosła brwi.

- A więc chyba myliłam się co do naszego wspólnego wózka. Jednak sprzyjasz swojemu mężowi, skoro chcesz, żeby jego szpieg słyszał tę rozmowę. Zastanawiam się więc, skąd te plotki o tym, że nie śpicie w jednym łóżku.
- Przyszłaś mnie obrażać, smarkulo? W twojej pozycji przydałaby ci się każda przyjaciółka.

- Skąd pomysł, że nie mam przyjaciółek?

- Nie jesteś chyba na tyle naiwna, by myśleć, że nie śmieją się z ciebie za twoimi plecami? Ja przy moim przeklętym mężu nie wyglądam przynajmniej jak wnuczka.

Wyraz twarzy Pinovar był tak trudny do rozszyfrowania, jakby nigdy nie zmyła panieńskiego makijażu.

- Więc oferujesz mi swoją przyjaźń? – zapytała bez cienia urazy w głosie.
- Wszystko mi jedno. Jeśli chcesz, możesz straszyć nią tych, którzy zajdą ci za skórę.
- Skąd ta łaska?
- Szkoda mi cię. Stąd.
- Wszyscy zachowują się, jakbym doznała jakieś dotkliwej krzywdy, podczas gdy sami mogliby pomarzyć o ożenku z jednym z najpotężniejszych ludzi w Świętej Unii.

- Ta potęga właśnie zmiażdży cię, jeśli nie będziesz słuchać jego poleceń, jeśli prędko nie dasz mu syna...

- A jeśli będę ich słuchać i dam mu syna, będę mogła skorzystać z jego potęgi.

- Jeśli chcesz się karmić tą nadzieję, nie moja rzecz. Widziałam niezliczone tabuny głupich kobiet liczących na to samo i garstkę tych odrobinę mądrzejszych, nie liczących na nic.

- I ty, oczywiście, zaliczasz się do tych mądrzejszych?

- Zaliczam się do tych zbyt głupich, by zrozumieć, po co komu potęga i po co ktokolwiek miałyby o nią zabiegać.

- Choćby po to, by mieszkać w takim pięknym zamku.

Jej wzrok prześliznął się po złotych niciach wszytych w tapetę i mokrych szczątkach wazonu malowanego szkarłatnymi barwnikami.

Cerro skrzyżowała ręce na piersi, zatrzasnęła usta.

- I myślisz, że mam jakąkolwiek potęgę? Nie mogę nawet zdecydować, czy mogę tę piękny zamek opuścić.

- Ale możesz zdecydować, czy chcesz opuścić małżeńskie łóżko.

- Właśnie dlatego wszyscy zachowują się, jakbyś doznała wielkiej krzywdy. I właśnie dlatego oferuję ci swoją przyjaźń.

Uśmiech Pinovar nie objął jej oczu.

- I ja ci ją oferuję – rzekła z ukłonem. – Prawdziwszą niż ta pomiędzy mną i Kairem, no bo kobiecą, empatyczną i tak dalej. Ufam, że spotkamy się ponownie na weselu Ceadmille Davaden i będziemy mieć okazję, by podyskutować o jej głupocie lub mądrości.

Zbliżyła się o krok i ścisnęła wciąż zaplątaną na piersi rękę Cerro, po czym ruszyła do drzwi, oglądając się na Atiana.

- Ufam też, że kiedy spotkam tam Kaia, będzie już wiedział o każdym najdrobniejszym szczegółu tej rozmowy. Nie każ mi się powtarzać, chłopcze.

Atian aż się zacietrzenił, ale nie zdążył odpowiedzieć, bo Pinovar odeszła, zamykając za sobą drzwi. Ciarki na plecach Cerro wreszcie złagodniały.

- Co jest w tej paczce? – Atian od razu zeskokczył z parapetu.

- Pewnie pantalony – westchnęła Cerro, zsuwając wężowe obręcze z materiału. – Może przynajmniej będą wygodne, a nie...

Ale w środku był miecz. Wielki, chropowaty, wykuty z zastygłej magmy oplecionej żyłkami wciąż wściekle pryskającej lawy.

- Co to jest?! – wykrzyknął Atian. – Podróbka?!

Cerro spojrzała na Magmowy Miecz z napisem „Sprawiedliwość” wiszący na hakach nad czarnym od sadzy kominkiem.

- Jest prawdziwy – rzekła. – Patrz.

Wskazała na wyryty na podarunku napis „Prawda” biegący wzdłuż magmowego ostrza.

## ROZDZIAŁ VI

*Kapitanie Melvournie Temidan!*

*Z wielką radością oznajmiamy, że mamy zaszczyt zaprosić kapitana na uroczystość wesela magmową klamrą spinającego losy dwóch znamienitych rodów – Agver i Davaden. W imieniu Triana i Ceadmille zapraszamy w siódmy dzień po zborze do nadmorskiej posiadłości rodu Davaden w Ariano nad Wielką Wodą. Otrzymuje kapitan również pozwolenie oraz gorącą prośbę, aby wziąć udział w turnieju rycerskim, który całą uroczystość uświetni.*

*Goszczenie kapitana będzie zaszczytem.*

*Ilon i Raya Davaden*

*Eos i Temida Agver*

*Rodzice pary młodej*

Melvourne miał zwyczaj zagryzania wnętrza swego policzka, kiedy mocno się nad czymś zastanawiał. Zerkające na niego ciekawsko, płuczące się w jeszcze nie skutych lodem wodach Hebe diakorr widziały ruch jego szczęki teraz, kiedy siedział pod swym namiotem, przeglądając korespondencję, podczas gdy reszta Sfory Sfinksa pakowała manatki. Zachichotały głośno, tak, by zwrócić jego uwagę, ale Melvourne myślał o zupełnie innych kobietach - Ceadmille Davaden wychodzi wreszcie za mąż, i skoro Melvourne dostał zaproszenie, to Silarus na pewno też... Będzie musiał na to patrzeć... Czemu on zawsze wpłyta się w tak beznadziejne sprawy? Naprawdę, nie byłby chociaż raz w stanie pozostać w swoich spodniach?

Z rosnącego w Melvournie uczucia zmartwienia wyrwały go konspiracyjne szepty diakorr – poderwał głowę i zobaczył je, wytatuowane półludzkie-półzwierzęce kobiety zasłaniające usta, by ukryć swoje rozbawienie. Ale Melvourne dobrze wiedział, jakie jest jego źródło i że nie jest nim on sam.

Namiot Dariona został właśnie niezgrabnie złożony przez Iver Kohar, jego świeżo poślubioną prawie piętnastoletnią żonę. W przeciwnieństwie do wysokich, wysportowanych, chociaż dziwacznych diakorr, Iver była bardzo przeciętną dziewczyną. Była pulchna, niska, krępa i ruda; mogłaby uchodzić za córkę młynarza, gdyby nie nieskazitelność jej rumianej cery. Melvourne znał ją dość dobrze - zanim na stałe znalazł się w armii, zapraszał ją nawet

na swoje przyjęcia. Było to jeszcze przed banicją jej brata... Musiała Melvourne'a szczerze nienawidzić.

A on bardzo jej współczuł. Dwa lata młodsza od niego, z ciepłego zamku nagle została wciągnięta do złowrogiej puszczy, do której w ogóle nie jest przystosowana, a gdzie na każdym kroku czeka ją strach. Darion wcale w tym nie pomagał – nie był dla Iver podły, a nawet, można powiedzieć, dworsko uprzejmy, tak jak szambelan jest uprzejmy wobec wazonu, z którego ściera kurz. Na ich pospiesznym weselisku Melvourne bawił się świetnie, ale potem wszyscy słyszeli... Melvourne wciąż brzydził się wspomnieniem tych dźwięków, i tym, jak szeroko Iver stawia stopy, podchodząc do skraju rzeki i płucząc w nim swoją szatę. Diakorr najwyraźniej to tak bawiło.

Chociaż pewnie go nienawidzi, Melvourne postanowił zaryzykować, i podszedł do swej towarzyszki dziecięcych zabaw, a śmiechy umilkły za jego plecami.

- Dzień dobry – przywitał się miło.

Iver najpierw spojrzała w górę, a potem od razu się wyprostowała, wbijając wzrok w ziemię.

- Dzień dobry, kapitanie – bąknęła, ściskając mokry, szary materiał.

- Mel. Nie trzeba mnie tutaj w żaden sposób tytułuwać, a już na pewno nie może tego robić moja przyjaciółka z dzieciństwa.

- Mhm... - rumiane policzki Iver jeszcze bardziej spasowały. – Cieszę się, że mnie tak dobrze wspominasz.

- Tak, oczywiście, że tak! I... Mam cichą nadzieję, że ty mnie też, bo tutaj żadna zła krew między naszymi rodzinami nie obowiązuje. Rozumiesz?

Uniosła na niego oczy. Nie były wcale pokorne.

- Rozumiem – warknęła i wróciła do prania swej koszuli.

- Uraziłem cię jakoś? – Melvourne kucnął obok niej, zanurzając dłoń w lodowej wodzie.

- Nie. Po prostu są tematy, na które kto jak kto, ale nam nie ma co gadać.

- Hmm... Może masz rację, Iver. Więc co, mamy ze sobą przyjazne relacje? Trzymaj się mnie, a w tej Puszczy nie zginiesz. Obiecuję ci to.

Iver uniosła głowę, prawie się uśmiechając, ale blednąc na powrót, i w tym samym momencie Melvourne poczuł uderzenie potężnej ręki w swoje ramię.

- O czym tam szczebioczecie?

Obydwoje spojrzeli na Dariona, który wrócił z ogromnym naręczem drewna. Darion ogólnie był olbrzymim mężczyzną – Melvourne sięgał mu pach, pomiędzy którymi

odznaczała się pękata pierś, nad którą unosił się największy Darionowy skarb – broda, przez którą wyglądał dojrzałej niż jego dwaj starsi bracia, a czasem i sam haron Oakter. Melvourne cenił go zawsze za tę krzepę, przy jednoczesnej pomysłowości i lojalności, ale dopiero teraz zobaczył, jak komicznie i przerażająco wygląda przy swojej żonie, która, choć grubsza od niego w talii, czubkiem głowy sięga mu ledwo do piersi.

- A, wspominamy sobie – odpowiedział Melvourne.

- Ta? – Darion wrzucił drewno na miejsce wyznaczone przez diakorr. – I co tam sobie wspominacie?

- Dawne czasy. Jak bawiliśmy się razem w chowanego w Modrym Oku, Pałacu Popiołów i Pamięci.

- I zawsze ciebie znajdowałam najprędzej – dodała Iver.

- Prawda, jakbyś mnie śledziła albo…

- Ech, dziwnie się losy ludzkie splatają – Darion usiadł ciężko obok Melvourne'a, ściągnął buty i wsadził gigantyczne stopy w wodę. – Parzcie na nas, trzy harońskie dzieci w sercu Naucenemeńskiej Puszczy.

- Ja nie jestem harońskim dzieckiem.

- Ech, daj spokój, Mel. Wszyscy wiemy, że gdyby nie…

- Darion, nam nie ma co o tym rozmawiać, więc się przymknij!

Odwrócił się do Iver, by do niej mrugnąć. Jej twarz rozświetlił mało przytomny uśmiech, podczas gdy następca Harona Obowiązku spojrzał po nich ze szczerym zdziwieniem.

- O co ci chodzi? Co, mam się teraz przejmować, co i do kogo mówię?

- Właśnie tak. Najwyższy czas.

Darion zmarszczył brwi, obrzucając ich zniesmaczonym spojrzeniem.

- Dobra, to szczebioczcie sobie dalej – burknął, wstał i ruszył w kierunku witających go z uciechą diakorr. – Tylko nie zapomnijcie, że zaraz stąd wyjeżdżamy.

- On czasem taki jest – mruknął niezgrabnie Melvourne. – Prostolinijny i…

- Złe stosunki między naszymi rodami naprawdę nie mają znaczenia – przerwała Iver, patrząc na niego uważnie. – Kai wyrzekł się nas i nie jest już Koharem. Wszystko, co mu się przytrafi – nie moja rzecz.

Melvourne długo jej się przyglądał. Tak długo, że spuściła wzrok, zarumieniona.

- Mądra z ciebie dziewczyna, Iver – powiedział cicho. – Trzymaj się tej drogi i naprawdę nie zginiesz.

Odgarnęła kosmyk rudych włosów rozwiany przez wiatr.

- Dostaliśmy dzisiaj zaproszenie na ślub Ceadmille Davaden i Triana Agvera.
- To tak jak ja. Jak zgarniemy Ikkara, to chyba się tam zabierzemy.
- A co? Wiesz, gdzie on jest?

Melvourne uśmiechnął się tylko w sposób, którego Iver jeszcze nie znała.

\*

Kai po raz kolejny przewrócił oczami.

- Na litość Szarego Człowieka, Cerro – syknął wściekle. – Im szybciej się tam dostaniemy, tym szybciej będziemy mieć to z głowy. Przestań wydziwiać.

- Im szybciej znajdziemy mój kolczyk, tym szybciej się tam dostaniemy i będziemy mieć to z głowy! Więc może przestałbyś się burmuszyć i pomógł mi szukać?

Silarus i Atian, pochyleni nad sięgającym pasa sitowiem, posłali mu wymowne spojrzenie. Kai prychnął pod nosem, ani myśląc pomóc. Wciąż stał ze skrzyżowanymi rękami, oparty plecami o książęcy powóz. Cała delegacja ślubna z Modrego Oka stanęła w środku szczerego pola przeciętego Smoczym Jezorem i szukała kolczyka księżniczki Cerro, po który musieli się wrócić, kiedy ta uświadomiła sobie swoją stratę. Jako, że Kai zmuszony był dzielić z nią powóz, a ta była najbardziej irytującą towarzyszką podróży na świecie, nie zamierzał teraz jakkolwiek ułatwiać jej życia.

Ostatni raz widział ją podobnie wystrojoną w dniu ich ślubu, a nawet wtedy była ubrana skromniej. W rozkloszowanej sukni koloru śnieżnej bieli, ze srebrnymi paprociami w spiętych wysoko włosach, z merdającym ogonem psem u boku, wyglądała niedorzecznie. I było jej cholernie gorąco – wszystkim im było, kiedy wyjechali z zaśnieżonej prowincji Naucenemes do przeżywającego akurat odwilż Ynvuth. Cerro przy każdym postoju była atakowana przez guvernantkę poprawiającą jej makijaż, niezważąca na protesty złotego szczeniaka, którego Myron pozwolił jej zabrać, a który weszły szaleńczo, nie odstępując Cerro na krok.

- To to, Cerro?! – wychylił się z jakichś krzaków król. Na pierwszy rzut oka widać było, jak przednio się bawi.

- To jakiś cholerny chrabąszcz i wiesz o tym – warknęła Cerro. – Szukamy dalej.
- Masz jakiś milion kolczyków – przypomniał jej Kai.
- Ale te są wyjątkowe – odpowiedziała tonem mówiącym „A ty masz jakiś tysiąc mieczy!”

Kai zacisnął zęby z wściekłością, myśląc o Magmowym Mieczu przywiezionym z pavilońskiego skarbca do Modrego Oka przez jego własną siostrę. O Magmowym Mieczu wręczonym Cerro. Cerro, która ogłosiła go swoją własnością i schowała w jednym z setki sekretnych zamkowych pokojów, do których tylko ona potrafiła się dostać bez magii.

- Wyobraź sobie, że jakiś wieśniak go znajdzie – warknął. - Kupi sobie nowe gospodarstwo i pośle dzieci do Akademii Czwartej Cnoty. Może to przeznaczenie, że ci wypadł, co?

Cerro posłała mu drwiące spojrzenie i wróciła do rozgarniania chaszcy rękami w muślinowych rękawach. Kai zaklął siarczyście i wsadził ręce w kieszenie, po czym podszedł do Atiana i Silarusa zgiętych nad przydrożnymi pokrzywami.

- A wy co robicie? – burknął.

- A jak ci się wydaje? – odparł Silarus.

- Szukacie jakieś cholernej błyskotki! Jakbyście jej nie pozwolili sobą pomiątać, bylibyśmy już daleko stąd! Jedli, pili, tańczyli!

- Wydała rozkaz, Kai. Nie mamy przywileju marudzenia i warczenia na wszystkich wokół.

- Ale to chyba nie powód żeby ona tak tego przywileju nadużywała?! Ile już tutaj śleczymy?! Z pół godziny?! Jest gorąco, wszyscy są zmęczeni, a my szukamy jakiegoś cholernego świecidełka...

Odwrócił się od nich, by Cerro lepiej go słyszała, więc mogli tylko wyprostować się i spojrzeć z niedowierzaniem na jego plecy. Cerro natomiast naprężyla się jak struna i zaczęła maszerować w kierunku powozu, przepuszczając szczeniaka przed sobą.

- Znalazłam! – wrzasnęła. – I moim rozkazem jest zostawić harona Kohara tutaj, na tym zadupiu, niech sobie tańczy po drodze do Ariano, bo przysięgam, że go zabiję, jak każecie mi z nim przebywać jeszcze chociaż pół minuty!

Trzasnęła drzwiami karocy, a wszyscy westchnęli z ulgą, mozolnie wracając do swych powozów i nakarmionych nową porcją skolryposu koni.

- Nie martw się, Kai – poklepał go w ramię zadówolony nie wiadomo z czego Myron.

– Ten kolczyk jest prezentem od jej byłego adoratora. Kobiety lubią takie sentymenty. Szczero mówiąc, ja też wciąż mam chusteczkę od damy mojego serca...

- Ktoś kiedykolwiek adorował Cerro? – Zdziwienie w głosie Kaia było zupełnie szczere.

- Nie pamiętasz? Anoleis Vodrin herbu złamana podkowa z Euterpe.

- Szlachetny Ano? Jakoś zupełnie mi umknęło, że ją... A, zawsze był jej czempionem na turniejach rycerskich, pamiętam.

- Ciekawe, czy teraz będzie tak samo.

- A co, Anoleis tam będzie?

- To teraz ippo Anoleis z Euterpe, więc dlaczego miałby nie być? Jest zima, więc wszystkim tęskno do turniejów. Na ślubie młodego Agvera zjawi się kwiat naszego rycerstwa, mówię ci. Ale teraz ładuj się do powozu i nie przejmuj humorami Cerro. Mogę podrzucić ci kajdany, jeśli już naprawdę nie będziesz mógł z nią wytrzymać.

Król odszedł na czoło konwoju, a Kai dołączył do Cerro, nagle bardzo spokojny i ostrożny.

Jak tylko zamknął za sobą drzwi, Cerro zasłoniła okno i włożyła w usta jego fajkę, dymiąc z niej siarczyście. Majstrowała przy uchu, montując odnaleziony kolczyk – w kształcie połowy podkowy, jak dopiero teraz Kai zauważył.

- Więc... - zagadnął. – Te kolczyki mają historię, tak?

Jedną rzecz, którą musiały Cerro przyznać, było to, że umiała palić. Musiała robić to w ukryciu i tylko, jeśli ktoś użyczył jej fajkę, ale kłęby dymu, które potrafiła z siebie wykrzesać, budziły w Kaiu zazdrość i podziw. A także potworną irytację, kiedy siedzieli w ciasnym powozie, smażąc się w ukropie i swędzie.

- Co cię to obchodzi? – warknęła zza siwej kurtyny. Drugą ręką skrobała psa za oklapłym uchem.

- To może być ciekawa historia. Szlachetny Ano, tak?

- To nie twoja sprawą.

- Czyżby? Jako twój małżonek, mogę martwić się, że nakładasz kolczyki, które dostałaś od swojej wielkiej miłości, licząc na spotkanie z nią.

- Ano to nie żadna miłość! – szyja Cerro zrobiła się czerwona jak piwonia. – Zresztą, co z tym zrobisz?

- Nic. Skoro to nie twoja miłość, chyba nie mam się o co martwić. Ale w takim razie, dlaczego akurat te kolczyki?

- Dobrze jest, kiedy przyjaźni ci ludzie widzą, że o nich pamiętasz.

- A Ano wciąż jest ci przyjazny?

- To ty pięć lat spędzałeś w dzicy. Tu wszystko toczyło się normalnym rytmem i pozostało tak samo. Moja... przyjaźń z Ano też. Twoje wygnanie nie było tak wstrząsające dla świata, jak sobie wyobrażasz

- Być może. Ale jeśli chodzi o Ano, to nie zrób niczego głupiego.

Uniosła jasną brew.

- Co to znaczy?

- Nie daj się złapać. Niczego ci, oczywiście, nie śmiem zakazać, ale są kłopoty, w które możesz wciągnąć mnie, a z których obydwoje możemy się nie wykaraskać. Znasz prawo, prawda?

- Za kogo ty mnie masz, co?! Myślisz, że jak z kimś mam przyjazne relacje, to od razu muszę z nim... Brzydzisz mnie.

- Ta wiadomość może zrujnować twój dzień, żono, ale dla większości mężczyzn „przyjazne relacje” oznaczają właśnie to.

- Chyba tylko dla ciebie! I dla Silarusa, i dla Myrona, rzecz jasna! Banda obrzydliwców. Jak możecie w ogóle patrzeć na siebie w lustrze?!

- Czemu niby stawiasz mnie na równi z Silarusem i Myronem? Odkąd się pobraliśmy, jestem czyściutki jak łyza.

- Myślisz, że jestem aż tak głupia i nie wiem, co robisz na tych swoich przechadzkach po mieście? Nic mnie to, rzecz jasna, nie obchodzi, choć ktoś tutaj był podobno tak zaaferyowany tą całą Sprawiedliwością...

Kai wybuchnął serdecznym śmiechem, który Cerro przerwała, rzucając w niego rozpaloną fajką. Kiedy strzepał resztki popiołu ze spodni i peleryny, księżniczka leżała już na swoim posłaniu, usilnie próbując przespać resztę drogi, a szczeniak przeniósł się na łóżko Kaia, składając łeb na jego podołku. Kai mógł wreszcie pogłaskać jego głowę, otworzyć okno i zaczerpnąć świeżego powietrza.

Jadący tuż obok powozu Silarus uśmiechnął się do niego blado.

- Hej – Kai odwzajemnił uśmiech.

- Hej – odparł Silarus.

- Jak się trzymasz?

- Trzymam? A co, coś mnie łamie?

Kai spojrzał na niego wymownie.

- A, tak. Dzięki za przypomnienie.

- Wybacz. Ale sam najlepiej wiesz, że... no wiesz.

- Że w Wielkiej Wodzie mnóstwo ryb?

- No właśnie.

- Ta... Mel może wpadnie.

- Może? Myślałem, że to pewnik. Przegapiłby wielki turniej i wesele?

- Jest ze Sforą Sfinksa w Puszczy, robią coś dla diakorr. Nie wiem, czy się wyrobi.

- Mam nadzieję, że da radę. Byłoby jak za starych czasów.

- Ta... A co, masz zamiar wziąć udział?

- Haroni nie mogą. Ta dziecinada jest poniżej ich godności. Ale doszły mnie słuchy, że zjawi się Szlachetny Ano.

- Och, nie byłem pewny, czy sam będę stawał, ale teraz mnie przekonałeś. Skurwiel był istnym wrzodem na dupie, kiedy stacjonowałem w Megarancie.

- Co, recytował ci paragrafy kodeksu rycerskiego?

- Żeby tylko! Pomagał niewolnikom w buntach, planował je jak ostatni kretyn. Nie wiem, ile razy wydawałem komendę „Wszyscy pięćset batów, ippo Anoleis do taty.”

Silarus odwrócił głowę za przelatującym orłem, więc nie widział, jak rozbawienie na twarzy Kaia ustąpiło miejsca ponuremu grymasowi.

- Dobrze, że chociaż nazywasz ich po imieniu – mruknął.

Silarus spojrzał w słońce przed sobą. Miał profil godny bicia na monetach.

- Nie sprawiało mi to przyjemności – rzekł. – Gdyby nie byli takimi idiotami, uciekliby, a ja nie musiałbym tego robić. A tak byłem zmuszony przestrzegać prawa. Zresztą, niewolnicy to też niezłe skurwysyny. Podasz im palca, a odgryzą ci całe ramię.

- A to cwaniaki.

- Próbowałem coś dla nich zrobić, jasne? Ale jestem tylko żołnierzem, nie cholernym haronem. Przypominam, że również Kastirron machał na mnie batutą. Zapewniam, że moje odejście zrobiło dobrze nam wszystkim.

- Kogo generał przydzielił na twoje miejsce?

- Na pewno kogoś lepszego ode mnie.

- A co, jeśli to ktoś gorszy od ciebie?

Silarus ścisnął nieznacznie boki swojego parskającego całego czasu konia.

- To musiałby bardzo długo szukać.

Ściągnął raptownie lejce, ale jego garbaty rumak za nic się nie słuchał i poniósł go do przodu, prychając na prawo i lewo. Kai przekrącił głowę, by sprawdzić, jak miewa się Atian. Jechał w swym siodle z pochyloną głową, dziwnie smętny i zatroskany. Lepiej było nie zakłócać jego przemyśleń.

Kiedy Kai opadł na swoje miejsce, Cerro miała otwarte oczy. Spojrzeli na siebie krótko i odwróciły wzrok – ona skierowała go na psa, który znów do niej wrócił, wtulając się w jej suknię, a on otworzył bogato zdobione *Korzenie Mocarstwa* pióra magina Kandicka Iliama.

Orlica, mimo bycia najdziwaczniejszą kobietą, jaką Iver w życiu widziała, była też najbardziej majestatyczną i roztaczającą aurę najbardziej namacalnej potęgi. Iver rozumiała już co nieco ze zwyczajów diakorr – Mel wyjaśnił jej więź, jaką członkowie ludu czują z Puszczą, którą czczą jak boginię, a żyjące w niej zwierzęta są ich inspiracjami – tak ważnymi, że robią wszystko, by się do nich upodobnić. Mel mówił jednak, że same diakorr w pewnym momencie życia decydują, z którym zwierzęciem chcą być powiązane, a Iver nie miała bladego pojęcia, dlaczego ktoś chciałby być kojarzony z żabą.

Orlica, tak jak reszta diakorr, przewyższała większość znanych Iver mężczyzn o głowę, miała szerokie ramiona, płaską pierś i masywne uda wystające spod lekkiej tuniki splecionej z leśnych traw. Cała błyszczała zielonkawą maścią, która przywodziła na myśl żabią skórę, i Iver miała nadzieję, że Mel uściśnie z nią na pożegnanie rękę – przyglądałaby się wtedy, czy wytrze ją o spodnie, bo Orlica wyglądała, jakby dopiero co wyszła z wody. Jej twarz była dłuża i ponura, jej oczy zaskakujączo zwykłe, niebieskie, ale obramowane czarnym makijażem. Jej brązowe włosy ściecone były po męsku, jej ramiona wytatuowane w jaskrawe kropki kojarzące się Iver z ubarwieniem trujących żab, a rękawice i buty, które nosiła Orlica, pomiędzy palcami miały nawet błony służące do pływania. Dziewczyna widziała dziwnie wyglądające diakorr, ale przypominające przynajmniej lwy, sokoły lub aligatorów – dlatego fakt, że żabia Orlica budziła taki respekt i była wodzem całego plemienia, był co najmniej osobliwy.

- Ty myślisz, że jestem głupią, Sfinksie – warknęła do Mela, mrużąc groźnie oczy.

Darion, Livil i Braas spuścili wstydliwie głowy. Iver również, chociaż jej oczy wciąż miotały się ciekawie po ciasnym namiocie wódz diakorr.

- Nie śmiałbym tak o tobie pomyśleć, *ragi*...

- Śmiałyś i pomyślałeś, kiedy pozwoliłeś swojemu porwać Syrenę!

- Czemu zaraz porwać? – odezwał się leniwie mężczyzna leżący na czymś na kształcie siennika, ubrany w czaszkę i cętkowaną skórę wyliniałego zwierzęcia, nawet nie przestając dłużać między zębami kościaną wykałaczką. Po hekkyrsku mówił płynniej od Orliki, choć nie bez akcentu. – Nie mamy przecież żadnych dowodów, że...

Orlica uderzyła go drewnianą laską w twarz. Iver aż wciągnęła powietrze, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, a mężczyzna-hiena, złapał się, urażony, za szczepek.

- Nikt cię nie pytał, Mur – mruknęła, znów patrząc na zebranych przed nią. – Tylko głupi i leniwi mówią „brak dowodów”, kiedy mają głowę.

- Moja głowa mówi mi, że Ikkar i Syrena uciekli razem – po raz któryś powtórzył Mel.

- Kłamiesz – po raz któryś powtórzyła Orlica. – Ona i on nie mieli powodu, żeby uciekać.

- Dla zakochanych miłość to dostateczny powód.

- Miłość?! Syrena ma miłość do diakorr i obowiązku!

- Tak jest, a potem zjawia się ta jedna osoba, przez którą w sercu...

- Syrena ma w sercu diakorr i obowiązek! Ikkar ją porwał! Porwał najlepszą z nas!

- Nawet jeśli to prawda, nie udało nam się ich znaleźć i musimy już...

- Jaki ty jesteś wóz?!! Jaki ty jesteś Sfinks?! Gdyby Syrena odeszła, bo chciała, nie minałby dzień, a bym ją znalazła!

- Prosty *tavi* nie ma widocznie takich umiejętności.

- Ty nie byłes prosty *tavi*! Twoja Sfora pokonała Bestię! Wypędziła złego z Naucenemes! Teraz mówisz, że nie umiesz wytrącić swojego?

- Bardzo mi przykro, *ragili*. Możliwe, że Ikkar jest uczniem, który przerósł własnego mistrza. W końcu to ja pokazałem mu, jak przeżyć w lesie i zacierać ślady...

Głos Mela załamał się i nie mówił już dalej. Ludzkie oczy Orliki zrobiły się nagle tak samo wilgotne jak jej skóra. Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko, rozmasowując skroń.

- Wierzę ci, Sfinksie, że nie zepsułbyś przymierza, na które tak pracowałaś – powiedziała cicho, a mężczyzną, którego uderzyła, patrzyła na nią ze smutkiem. – Gdybyś natknął się na swojego albo Syrenę, albo oboje... Proszę... Proszę, niech ona wróci do domu...

- Zrobię, co w mojej mocy, *ragili* – Melvourne ukłonił się lekko i wymienił z Orliką mocny uścisk polegający na złapaniu się za przeguby. Nie wytarł po tym dłoni. – Jak znajdę czas, być może wrócę tu na poszukiwania.

- Wróć – przytaknęła ochoczo Orlica. – Niech Naucenemes prowadzi was najbezpieczniejszą z dróg, do waszego celu. I z powrotem, kiedy zechcecie tu wrócić.

Tak samo pożegnała się z resztą Sfory, a potem nagle stanęła przed Iver, wyższa o połowę, rzucająca masywny cień. Iver przełknęła z grozą ślinę, kiedy Orlica uniosła jej podbródek końcem śliskich palców lewej ręki, a tymi u prawej przeczesała jej włosy. Uśmiech diakorr był jednak dobrotliwy.

- Śliczne dziecko – powiedziała. – Niech Naucenemes będzie dla ciebie łagodna. Dla kogoś musi.

Iver prawie pisała, kiedy Orlica szarpnęła jej przegubem, by go uścisnąć. Kiedy się odsunęła, reszta Sfory patrzyła na nią z niejakim... zdumieniem?

- Polubiła cię – szepnął do niej Darion, kiedy opuścili szałas Orliki i inne diakorze zebrały się wokół ich koni. Mężczyźni i dzieci obrzucali ich zasuszonymi kwiatami, a kobiety komentowały w swoim prędkim, agresywnym języku.

- Naprawdę? – Iver czuła, jak się rumieni. – To chyba dobrze?

Darion upewnił się, że jej siodło jest solidnie umocowane do grzbietu Smoulda, ogiera, którego dostała w prezencie ślubnym od jednego ze swoich szwagrów. Jej mąż wyciągnął rękę, by pomóc jej się na niego wdrapać.

- Bardzo dobrze – odpowiedział. – My znacznie dłużej pracowaliśmy na nasze dobre imię. Ale sojusz z diakorrem jest tego warty.

- Dlaczego?

- To olbrzymy! I unikają walki, ale jak już do niej dojdzie – to demony, nie ludzie, mówię ci.

- A ma do niej dojść?

- Gdzieś na świecie cały czas dochodzi do walki. Kto powiedział, że nie trzeba być przygotowanym, jeśli dojdzie do niej tutaj?

Iver nie miała na to odpowiedzi. Sfora Sfinksa dosiadła swoich wspaniałych, objuczonych wierzchowców, i opuściła obozowisko diakorów, a ich obtoczone futrami dzieci jeszcze przez jakiś czas za nią biegły.

Jechali spokojnie, wręcz leniwie, wśród skrzypiącej śniegowej pierzyny, jakby wcale nie brakowało im jednego członka Sfory. Mel prowadził z nosem uniesionym do białego słońca, a za nim Braas pogrywający wesoło na fletni.

- Mmmmm... - zanucił nawet. – Lyrro Oakter, zna pani piosenkę o Łabędziej Królewnie?

Iver przyzwyczaiła się już, że Braas tak ją nazywał.

- Znam – przyznała.

- O, zaśpiewaj nam! Pobierałaś lekcje śpiewania, prawda? Wszystkie panienki z dobrych domów pobierają.

- Pobierałam, ale... Nie jestem w tym za dobra.

- Ach, to wcale nie o to chodzi! Chodzi o technikę i tembr, i echo. Proszę, zrób nam ten zaszczyt!

Iver ani myślała pozwolić, żeby sobie z niej szydzili.

- No dawaj, Iver – usłyszała zza pleców głos swojego męża.

- Nie będziemy się śmiać! – zapewnił zamknięty pochód Livil.

- No widzisz, lyrro Oakter – Braas wygrał na swej fletni starą jak świat melodię. – No dalej, śpiewaj!

Ponieważ Iver milczała, Braas powtórzył początek. Ale zamiast niej odezwała się Mel.

*Jestem złodziejem niegodnym jej wzroku  
A mimo to ona zaszczycia mnie nim  
Tańczę, wariuję jak w jakimś amoku  
A ona skrzydłami odmierza rytm  
Długo nie wytrwam, jest to rzecz pewna  
W końcu się znudzi Łabędzia Królewna*

Nie był to najpiękniejszy śpiew na świecie, ale Iver pomyślała, że jest przynajmniej urzekający. Melodię dwóch ostatnich linijek Darion wygwizdał, a Braas odegrał na swej fletni. Druga zwrotka dobiegła zza ich pleców, wywrzeszczana entuzjastycznie przez Livila, jakby śpiewał do pni wokół, a nie do nich.

*Lecz póki mnie kocha i bawi się mną  
Ja będę tańczyć i śpiewać!  
Przyjazne okręty niechaj odpłyną!  
Pozwalam mnie opłakiwać!  
Dobrze jest nie żyć, jest to rzecz pewna  
Gdy cię uśmierca Łabędzia Królewna!*

Koniec tej zwrotki wykrzyczeli chórem, a Iver przycisnęła rękę do przepony i wyprostowała się, przyjmując odpowiednią pozycję do emisji głosu.

*Nie ma na świecie skarbów tak lśniących  
Nie ma na świecie kobiet tak bladych  
Może zostanę w krainie śniących  
Nauczę się w końcu tutejszej oglady  
Byłem łajdakiem, los mój jest pewny  
Nie docenilem Łabędziej Królewny!*

I do niej dołączyli, lecz Iver zamilkła, kiedy usłyszała szósty, obcy głos, i spomiędzy gęstwiny wyłonił się jeździec z bursztynową papugą na ramieniu i wielkim uśmiechem na twarzy. Ikkar, piąty członek Sfory Sfinksa, miał rzadką jasną brodę, nierównezęby i przeszywająco niebieskie oczy. Miał też niecodziennego pasażera na koniu.

Iver od razu odgadła, że to Syrena, zaginiona diakorr, która, według zeznań Melvourne'a, zakochała się w Ikkarze z wzajemnością i oboje uciekli. Teraz jednak dziewczyna wcale nie wyglądała na zakochaną i szczęśliwą – przerzucona przez konia, była wygięta pod okropnym kątem, tak żeby jej nadgarstki i kostki spotykały się związane pod brzuchem wierzchowca. Syrena z kneblem w ustach mogła tylko ciskać błyskawice z oczu, i to do góry nogami, w czasie kiedy jej ciemne włosy sterczały na wszystkie strony.

Jej ciało było piękne, pokryte od nagich stóp do szyi tęczową łuską. Był to tatuaż, ale mienił się i błyszczał jak prawdziwy rybi pancerz, i pokryta nim była również połowa twarzy Syreny – druga pozostawała „ludzka”, nabiegła krwią i spocona. W pierwszej chwili Iver myślała też, że diakorr jest naga, ale była jednak ubrana w ciasno opiętą rybią łuskę „przyozdobioną” płetwami i pęcherzami. Iver odwróciła wzrok, niepewna, gdzie go podziać. Zdążyła jednak dostrzec marszczące się w furii brwi Syreny.

- Ikkar! – przywitał się z nim wyszczerezony od ucha do ucha Mel. – No coś takiego!  
Co dzisiaj złowiłeś?

- Wyjątkowo agresywną sztukę – Ikkar uniósł rękę, by pokazać zakrwawiony bandaż.  
– Nie wiem, co jej strzeliło do głowy, ale szamoce się... No, jak ryba.

- No wiesz, Ikkar – Braas podjechał bliżej. – To wciąż jest człowiek. Twoja narzeczona, a nie jeniec.

- Spróbuj jej to wy tłumaczyć! Cały czas jęczała tylko, że do domu i do domu, nie było innego sposobu.

- Teraz jest nas więcej. Wypuść ją – polecił Mel. – Możesz ją przywiązać za ręce do mojego i twojego konia.

- Rozwiązać jej nogi?  
- Jeszcze nie.

Tak zrobili, ale ściągnęli knebel dopiero wtedy, kiedy ramiona Syreny były rozpięte między uzdami ich koni.

- Witaj, Syreno...  
Splunęła Melowi w piękną twarz.  
- No tak – ciągnął spokojnie, z gracją starszy ślinę. – Rozumiem twoje oburzenie, ale nie było innego sposobu...

- Zabierzcie mnie do domu – Syrena zawyła głosem nabrzmiącym wściekłą desperacją.

– Co wam zrobiłam, cholerni *tavi*?

- Skradłaś moje serce, pani – Ikkar ukłonił się z przesadną elegancją, a Syrena wiergnęła tak gwałtownie, że konie zarżały, a on i Mel odskoczyli dwa kroki. Papuga zaskrzeczała, bijąc skrzydłami.

- Przeklinam dzień, w którym pozwoliłam ci wejść na mnie! – wrzasnęła, a Iver prawie słyszała łzy w jej głosie. – Przeklinam dzień, w którym wjechaliście do wioski!

- Syreno, spokojnie, nie chcemy zrobić ci krzywdy...

- Nie jesteście w stanie zrobić mi krzywdy, *gashdan*! To ja was wszystkich rozszarpać, jeśli nie pozwolicie mi wrócić do domu!

- Syreno, ja chcę się z tobą ożenić! Orlica nigdy nie pozwoliłaby nam się...

- Upadłeś na rozum! Chcesz mnie do siebie przywiązać jak do tego cholernego konia?! Ja cię nie chcę, już cię nie chcę, oszukałeś mnie, cieniu! Zdradliwy, obrzydliwy... Jak mogliście mnie oddzielić?!

- Syreno, to wszystko dla nas, dlaczego...

- Jestem diakorr, chcę zostać z diakorr, zabierzcie mnie do domu!

- Nie byłabyś tam szczęśliwa, Syreno, zobacysz, że wszystko nam się...

- Plwam na twoje obietnice! Przeklinam cię! Och, Naucenemes, jak możesz milczeć, kiedy w twojej piersi robią mi taką krzywdę...

- Rozwiąż jej nogi – mruknął Mel. – Tylko uważaj, żeby cię nie kopnęła.

Ich marsz był leniwy, przepełniony łkaniem Syreny, raz w swoim, raz w ich języku. Czlapała jednak wraz z końmi, czasem się wiergając, wznosząc oczy ku koronom iglastych drzew i błagając o ratunek. Iver nie mogła tego znieść, ale nie śmiała powiedzieć ani słowa. Dopiero, kiedy przed zmierzchem wyjechali na polanę i Darian zrównał się z nią koniem, szepnęła:

- Darian? Dlaczego ją porwaliście?

- To nie jest porwanie – żachnął się. – Dziewczyna jest przerażona, ale to minie. Od dwóch lat odwiedzamy diakorr tylko po to, żeby oni mogli sobie urządzać schadzki. Ikkar w końcu nie wytrzyma i chce się z nią ożenić. U diakorr nie ma czegoś takiego jak małżeństwo, więc nie ma pojęcia, na co się pisze.

- Ach... Aha.

Syrena nie wyglądała, jakby pisała się na cokolwiek, ale tego Iver nie miała zamiaru wytykać.

Kiedy rozłożyli obóz, a Iver obmyła się w lodowatym strumieniu, związano na powrót ręce i nogi diakorr. Wycieńczona, leżała przy ognisku, obojętna na wszystko, co mówił do niej poczerwieniały z wysiłków Ikkar.

Wskazał nagle na Iver palcem.

- To jest Iver, żona Dariona – wyartykułował wyraźnie. – Ona ci wytlumaczy, o co ze wszystkim chodzi.

Wzrok Syreny na chwilę spotkał się z jej oczami, a potem ponownie stał się obojętny.

- Iver, proszę, pomóż mi – mruknął Ikkar, głaszcząc papugę, która akurat uszczypnęła go w policzek, żądając pieszcztot. – Chciałbym zasnąć dziś w nocy bez obaw, że moja narzeczona puderżnie mi gardło.

Odszedł, mrucząc do siebie pod nosem, a Iver przyjrzała się leżącej na boku Syrenie. Jej dłoń była dwa razy większa od drobnych rąk Iver, uda i ramiona znacznie bardziej umięśnione. Mimo wieczornego chłodu, nawet nie drżała, i leżała na wyglądającej spod śniegu trawie tak jak leżały na niej lew zmęczony skwarem i trudem bycia królem sawanny.

Iver zrobiła kilka nieśmiałych kroków, po czym kucnęła u spętanych stóp Syreny.

- Mam na imię Iver – powiedziała. – Ty jesteś Syrena, tak?

- Powiedział mi, jak masz na imię.

- No tak, ale... Nie chciałam być niegrzeczna. Chcesz porozmawiać?

- Nie.

- Dobrze. To może opowiem ci coś na dobranoc? Zaśniesz wtedy o wiele...

Syrena wierzgnęła związanymi rękami i Iver odskoczyła od niej, przerażona nagłym ruchem.

- Co za historie mi opowiesz? Może o tym jak *tavi* zabijają swoje kobiety za jazdę na koniu i gwałcą je co noc, a kiedy się sprzeciwiają, torturują? Rodzą jedno dziecko rocznie, a jak nie, to wyrzuca się je na bruk, gdzie mają gnić i ropieć?! W dodatku czcicie złego, który...

- Przestań! Jeśli Szary Człowiek cię usłyszy...

Śmiech Syreny przypominał skowyty psa. Jej zęby były cienkie i ostre jak kły piranii.

- To wasz bóg? Nie mogę powiedzieć o nim słowa, bo się rozgniewa i mnie zabije?

- Wymaga szacunku, i co w tym dziwnego?!

- Słyszysz, co ona mówi, Naucenemes? Jej bóg wymaga szacunku. Wszyscy bogowie świata istnieją tylko dlatego, że ludzie w nich wierzą, i powinni być nam za to wdzięczni, dziewczyno.

- Szary Człowiek istnieje naprawdę. Nie to, co Naucenemes.

- Stań się po jej skórze, słyszysz jej wieczorne ziewnięcia, rozmawiasz z wszą mieszkającą w jej włosach, i śmiesz kwestionować jej istnienie? Wszystkie kobiety *tavi* są takie durne?

Iver czuła jak jej twarz czerwienieje ze złości.

- Według ciebie pewnie wszyscy *tavi* są durni, więc nie wiem, czemu w ogóle związałaś się z Ikkarem.

- Wiedziałam, że jest głupi. Nie miałam pojęcia, że jest okrutny.

- Kocha cię...

- Kocha! Ja też kocham! Kocham diakorr, kocham moje plemię, i muszę tam być, muszę tam wrócić, ochraniać ich! To moja rodzina, dziewczyno! Masz rodzinę?

Oko diakorr po ludzkiej połowie jej twarzy wbiło się przenikliwie w Iver.

- Mam – powiedziała.

- Inną poza gwałcącym cię mężem.

- On mnie nie gwałci!

- Wszystkie słyszałyśmy jak co noc...

- Przestań! Przestań!

- Dlaczego go nie zabijesz, głupia dziewczyno? Gdyby ktoś mi zrobił coś, co sprawiłoby, że zmywałabym krew z...

- O czym ty w ogóle mówisz? Gdzie bym się podziała, gdyby nie Darion?

- No a co z tą twoją rodziną? Nie mogłabyś do nich wrócić?

- Nie, ja... Nie miałam wyjścia.

- Za ile cię sprzedali, durna dziewczyno? Ty to nazywasz rodziną? Ludzi, którzy skazują cię na taki los?

Iver spojrzała na swoje ręce, pewna, że gdyby coś w nich miała, rozerwałaby to na strzępy.

- Moja rodzina w życiu by czegoś takiego nie zrobiła – Syrena uniosła się niezgrabnie na łykciu. – Moja rodzina mnie kocha. Gdybyś była diakorr, nie musiałabyś znosić upokorzenia bycia kobietą *tavi*. Upokorzenia, do którego byłaś wychowywana, a ja nie przeżyję...

Zrobiła pauzę, oczekując reakcji, ale Iver tylko wstała, wykręcając palce. Uświadomiła sobie, że to robi i spuściła ręce po bokach.

- Dziewczyno, nie zawsze będę w tych więzach – W głosie Syreny odezwała się inna, nieco desperacka nuta. – Moi wrogowie żyją krótko i umierają długo. Przyjaciół za to,

których mam niewielu, chronię za wszelką cenę. Wypuść mnie, dziewczyno, a nikt cię już nie skrzywdzi.

- Nie wypuszczę cię, żebyś pozabijała Sforę!

- Nikogo nie zabiję. Wrócę do domu. Wrócę do diakorr. Dziewczyno, Iver, oni mnie potrzebują, ja potrzebuję ich. Pomyśl, chcesz, żebyem dzieliła taki los jak ty?

- Jesteś taka odważna, a boisz się ożenku? Przecież kochałaś Ikkara...

- Nigdy go nie kochałam, bawiłam się nim, robiłam na złość Orlice! Ale teraz nie tylko o nią chodzi, tylko o diakorr, potrzebuję mnie, a jak *tavi* mnie porwie, zrobi ze mną... Nie będę już diakorr. Przeklną mnie, moja własna krew! Nie mogę jej zawieść! Ja nie mogę z nim być, dziewczyno!

Uśmiech Iver pełen był gorzkiego triumfu.

- I ty śmiesz oczerniać moją rodzinę, kiedy twoja może cię wypędzić?

- Nie o rodzinę chodzi, ale o krew w moich żyłach, która wrze, buntuje się...

- Nie buntowała się, kiedy była zakochana w Ikkarze?

- Zakochana! W jego papudze i jego chuci! Proszę, dziewczyno!

- Może go nie kochałaś, ale twoje gierki sprawiły, że on cię pokochał. Płać więc za swoją głupotę.

Odeszła w stronę namiotu jej i Dariona, widząc jego i Mela wracających z chrustem. Aż miała ochotę do nich wybiec, dumna z tego, co powiedziała. Syrena wykręciła się, by za nią wrzasnąć.

- Dziewczyno, oddam ci, co mam! Proszę, wypuść mnie! Wstrętna *harriva*, wypuść mnie! Wypuść mnie! *Gashdan*, wypuść mnie! Ty zapłacisz, zapłacisz za swoje, tylko czekaj! Czekaj!

Łkała długo, a wszyscy ją ignorowali, aż umilkła. Iver nie mogła zasnąć i na nic zdało się udawanie, że było inaczej – Darion wpełzł do namiotu, potrąsnął nią i zaczął się rozbierać, w czasie kiedy ona czekała, drżąc z zimna. Mówiła sobie, że to z zimna, dopóki nie usłyszała znowu przekleństw i szamotania diakorr i Ikkara – a potem ucichły, stłumione przez coś, może namiot i knebel, jednak wciąż tam były, okropne i niezrozumiałe, pełne bólu i desperacji.

Iver też czuła ból i żałowała, że tej nocy Darion chciał być z nią twarzą w twarz. Łzy ciekły po jej policzkach, i zaciskała zęby, by nie wydać z siebie najmniejszego dźwięku. Lecz odnalazła wybawienie, kiedy odwróciła głowę – przez szparę w namiocie widziała śpiącego Mela, grzejącego się przy ognisku z rękami za głową i kapturem nasuniętym głęboko na twarz. Papuga Ikkara przechadzała się obok niego, podobna do kury, szczypiąc go w palec z

prośbą o dotyk, której Mel uległ. Wyglądały razem jak z jakiegoś czarownego obrazka w książce, których Iver miała kiedyś tak dużo...

Darion złapał ją po obu stronach głowy i gwałtownie nakierował na siebie. Przestał. Jego oczy nad gęstą brodą były dzikie, pełne furii i niedowierzania. Iver oddychała głęboko. A potem Darion kontynuował, wolniej i mocniej, a Iver nie wytrzymała, i pisnęła, zagryzając wargę do krwi.

A kiedy skończył, a ona usiadła, by odetchnąć, wymierzył jej siarczysty policzek. Rude, potargane włosy opadły na jej wilgotną od łez i potu twarz. Diakorr była cicho. Darion odwrócił się na drugi bok i zasnął.

\*

Miasteczko Ariano położone było na wznieśieniu tuż nad Wielką Wodą. Nie było duże, ale jako że u jego podnóża roztaczały się żyzne ziemie należące do zamożnego rodu Davadenów, było wyjątkowo czarnym miejscem. Otoczone polami chmielu, winorośli, maków i słoneczników miało ciasne, kolorowe, czyste uliczki. Place były porośnięte zielenią i ozdobione fontannami w przeróżnych kształtach. Kai i Cerro, wyglądając przez okno powozu, widzieli wieloryba, którego ujeżdżało jakieś dziecko, tygrysa z kwiatową girlandą na głowie i krokodyla, który był herbem Oakterów rządzących Naauzyką, na terenie której się znajdowali. Pełno było również konwalii nawiązujących do herbu Davadenów.

Obrzucono nimi królewski konwój, a mieszkańcy Ariano wychylali się z okien, żeby chociaż musnąć wzrokiem sylwetkę ich władczy. Myron wcale się nie chował, pozdrawiając tłum ze swego białego rumaka, a królowa Habren, księżę Kallo i księżniczka Liara zbierali od poddanych kwiaty i podarki, wychylając się ze swojego dwupiętrowego powozu, który bardziej przypominał dom na kółkach. Cerro po chwili odsunęła się od okna, nie pozwalając nikomu się zauważyć.

Nad miasteczkiem górowała rezydencja Ariano – pełna wieżyczek i witraży, wyposażona w ogromne ogrody koloru pomarańczowego. Konwój zatrzymał się pośród nich, otoczony odurzającymi zapachami, a z posiadłości wyszli wystrojeni w najlepsze szaty państwo Davadenowie, haron i haronea Agverowie oraz sami państwo młodzi. Kai, oszołomiony feerią barw, wyskoczył z powozu i wyciągnął rękę, by pomóc wyjść z niego Cerro. Zajęty kręceniem głową na lewo i prawo, nie zwrócił nawet uwagi, kiedy księżniczka zignorowała jego pomoc.

- No, to jesteśmy... - westchnęła, nawet w połowie nie tak podekscytowana jak Kai, chociaż również była w Ariano po raz pierwszy.

Ledwo się odwróciła, a już zobaczyła guvernantkę biegnącą do niej z przyborami do makijażu.

Atian i Silarus zeskoczyli z koni, które natychmiast przejęli parobkowie. Głupi garbaty koń Silarusa jak zwykle rzął i się wyrywał.

- Jak to możliwe, że rosną tu te wszystkie rzeczy? – Atian w zachwycie pochylił się nad żółtym motylem, który przysiadł na czubku jego buta. – Przecież jest zima.

- Tutaj trwa ona jakiś miesiąc – odparł Silarus. – Wszystko przez ciepły Prąd Rhagoski, który sprawia, że zima jest skurwysyńska, ale bardzo krótka.

- A za tym – Atian wskazał na przystrojoną kwiatami arenę turniejową – jest Wielka Woda?

Nie było jej widać zza murów i drzew, ale Atian czuł morską bryzę we włosach i zapach soli przebijający się nieśmiało spomiędzy woni kwiatów.

- Tak – uśmiechnął się Silarus. – Tęsknisz za morzem, Atian?

Chłopak widocznie zmarkotniał.

- To nie tak, że ja tęsknię – wzruszył ramionami. – To po prostu... Moje miejsce.

- Chcesz powiedzieć, że to morze tęskni za tobą?

- W życiu bym tego nie powiedział – parsknął śmiechem. – Morze nosi wystarczająco dużo marynarzy. Ale jestem pewien, że jeszcze jeden by mu nie zawadził.

Krzyk za ich plecami przypomniał im, po co tu przyjechali.

- Atian! Silar!

Kai podszedł do nich dziarskim krokiem, jakby przez ostatni tydzień wcale nie zatrważał im życia swoimi humorami.

- Żarcie jest już podane, wiecie? I nie mogę po prostu napatrzyć się na to wszystko! Czemu rodzice nas tu nigdy nie zabrali?

- To będzie chrzest bojowy tej arenę, Davadenowie skończyli ją budować dopiero tej jesieni – wyjaśnił Silarus.

- O, coś takiego! Widziałem już Szlachetnego Ano i paru Modrych Rycerzy! Zawsze chciałem z nimi pogadać jak równy z równym... I zobacz, Silarus, zjawił się nawet... O...

Rozbiegana służba wnosiła ich bagaż do zamku bocznym wejściem, podczas gdy gospodarze witali rodzinę królewską u głównych wrót. Goście, którzy przybyli wcześniej, w tym rycerze w różnorakich zbrojach z różnorakimi herbami, haroni, szlachcice i szanowani magowie, opuszczali właśnie przystrojone girlandami miejsce ucztowania, żeby pokłonić się

królowi w pas z pięcią złożoną na sercu. W pierwszym szeregu wyprostował się Yazor Temidan.

- O kurwa – Silarus bezwiednie upewnił się, że obydwa czarne warkoczyki w jego włosach nie są rozplątane i przylegają ciasno do głowy.

- To byłoby zbyt piękne, gdyby nie przyjechał – westchnął Kai.

- Nigdzie nie widzę Mela.

- Ja też nie. Uch, muszę iść przywitać się z parą młodą...

Cerro, uwolniona ze szponów guvernantki, spojrzała wymownie na Kaia, który pospieszył, by towarzyszyć jej przy składaniu życzeń wraz z rodziną królewską.

- ...niezwykły zaszczyt, ale i prostoduszna radość – Myron ukłonił się głęboko, wręczając uśmiechniętej szeroko Ceadmille bukiet kwiatów.

- Dziękuję, Wasza Wysokość – powiedział Trian Agver głosem drżącym ze wzruszenia. Kai znał go jako chłopaka dobrego w mieczu, ale nie najlepszego w myśleniu. Chociaż minęło pięć lat, odkąd z nim rozmawiał. – To niewysłowiona przyjemność, gościć rodzinę królewską w najważniejszym i najszczęśliwszym dniu naszego życia. Zapraszamy na uczę!

Król, królowa i ich dzieci poklonili się jeszcze raz i odeszli w stronę stołów. Kai i Cerro zbliżyli się do pary młodej z umiarkowanym entuzjazmem.

- Wasza Miłość – Trian pochylił głowę z szacunkiem, a Ceadmille mrugnęła do Kaia sponad kwiatów. – Haronie.

- Wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia – Kai zahuśtał się na piętach. – Pamiętam, jak uganiałem się za tobą jak wściekły pies. A teraz popatrz na nas, droga Ceadmille.

- Kto by pomyślał? – zaśmiała się, opierając skróń o masywne ramię Triana. – Tak szybko dorastamy i nawet nie widzimy, kiedy.

Silarus kręcił się wciąż koło powozów z gorącą nadzieję, że w całym zamieszaniu uda mu się uniknąć stanięcia twarzą w twarz z parą młodą. Wtedy jednak natrafił na lodowe spojrzenie generała przecinające powietrze tuż nad ramieniem rozmawiającego z nim lyrra Pankula i, tak jakby zamierzał zrobić to od początku, ruszył dziarskim krokiem do wrót posiadłości.

Kiedy dotarł do składających życzenia Kaia i Cerro, Ceadmille i Trian słuchali ich w skupieniu. Ceadmille trzymała głowę na ramieniu Triana. Uniosła ją, kiedy zobaczyła minę Silarusa.

- ...oraz żeby wasze dzieci, jeśli chcecie je posiadać, były zdrowe, mądre, sprawne, szczęśliwe, tak samo ich wnuki i wnuki ich wnuków – recytowała Cerro, zupełnie jakby wyuczyła się przemowy dla jednej ze swych najwierniejszych dwórek na pamięć. – Po śmierci zaś aby Szary Człowiek zabrał was na niepowtarzalną przygodę i pozwolił wam wyruszyć w nią razem. Tego wam właśnie życzę z całego serca.

Para młoda zamrugała, lekko skołowana.

- Bardzo ładnie – Kai może nawet miał szczerą intencję pochwalenia jej, ale pokryta białym brokatem twarz Cerro oblała się różem, co musiało oznaczać, że pod spodem aż wrze z wściekłości.

- No, żeby wam się dobrze żyło, to miałam na myśli - machnęła niedbale ręką.

- Rozumiemy, Wasza Miłość – Trian zgiął się, przyciskając pięść do piersi. – Bardzo dziękujemy za te życzenia. Zapraszamy was teraz na ucztę!

Odeszli. Kai spojrzał na Silarusa krótko, ale Silarus nie zdołał dać mu znaku, że nie chce zostać sam.

Stał teraz naprzeciwko tego skończonego głupca i tej... Ceadmille. Wychodzącej za mąż dla rozrywki, przypomniał sobie. Rozmawiali już o tym. Ojciec chciał ją komuś sprzedać, a jej było obojętne, czy będzie kupiona. Między nią i Silarusem nic się miało nie zmienić. Ceadmille miała nawet zamieszkać w rezydencji Agverów w Naucenemes, a więc nieprzyzwoicie blisko niego. Powinien się cieszyć. Powinien widzieć obiecującą przyszłość.

Ale widział tylko jej skróń na jego ramieniu.

- Wszystkiego najlepszego – powiedział, patrząc w pyzatą twarz Triana. Jego ojciec pod brodą musiał wyglądać identycznie.

- Bardzo dziękujemy, pułkowniku – uklonił się następca Harona Mądrości. Oczywiście nawet nie przeszło mu przez myśl, z kim tak naprawdę rozmawia.

Widział tylko brązowe oczy Ceadmille nad płatkami królewskich kwiatów. Wpijały się w niego bezwstydnie, bez wyrzutów sumienia, bez wahania. Mgła w jego piersi była jak narkotyk. Uśmiechnął się blado i odszedł, by poszukać miejsca przy którymś ze stołów.

Były ułożone w kształt wydrążonej tarczy, w której centrum ustawiony był plac zabaw dla królików. Były różnorakiej maści, puszyste i spasione, a zachwycone dzieci biegały za nimi, by wyrywać im kępki futra.

Silarus rozejrzał się za wolnym miejscem i odetchnął z ulgą, widząc, że Kai kieruje go wzrokiem na krzesło między sobą a Atianem. Przy jego drugim ramieniu ze spuszczoną głową siedziała Cerro, głucha na radosne szczebiotanie księżniczki Liary, która porwała wielkiego czarnego kłapoucha na swoje kolana.

- O, bracie... - westchnął Silarus, kiedy upewnił się, że Yazor jest przejęty rozmową z Myronem.

Kai uśmiechnął się do niego pociesznie.

- Patrz na to jedzenie! Dlaczego na królewskim zamku nie ma takiej uczty codziennie?

Na miejsce obok oblizującego się Atiana opadł ktoś w jazgoczącej zbroi. Silarus spojrzał na niego i aż podskoczył na krzesło, kiedy ujrzał ciągnący się za swym sąsiadem rząd Modrych Rycerzy, którzy rzadko zaszczycali swoją obecnością dwory, wiecznie będąc na jakiejś misji i wypełniając jakieś graniczące z niemożliwym zadanie. Widok całej szóstki w pełnej krasie był co najmniej zachwycający. Wszyscy, choć z przeróżnymi bliznami, emblematami i kolorami peleryn, siedzieli identycznie sztywno, w identycznych zbrojach o morskim połysku. Atian wytrzeszczył oczy, Silarus szturchnął Kaia, a ten zakrztusił się pitym właśnie sokiem. Zaalarmował Cerro, a ta, wyjrzała zdziwiona znad jego głowy, otworzyła tylko usta z przejęciem. Liara wciąż szczebiotała w ucho królika, nie przejmując się niczym, co działo się obok niej.

Modry Rycerz siedzący obok Atiana skierował głowę na zainteresowaną nim czwórkę, a ci aż się odchylili. Woj miał kępkę tłustych, czarnych włosów, napuchłe na wieczność oko, i napęczniałe żyły biegające po bokach jego szyi. Jego peleryna była koloru błękitnego, a herb wyobrażający pelikana na piersi sygnalizował służbę Haronowi Pokoju.

- Pułkownik Temidan? – uśmiechnął się pożółkłymi zębami. – Łowczy Megarantu?

- No cóż... – Silarus zaśmiała się nerwowo. – To średnio adekwatny przydomek...

- No taaak – rycerz pociągnął tego z pucharu. – Byłeś bardziej Rybakiem, co? Ja cię tak nazywam, odkąd wysłuchałem zeznań ofiar.

- Ofiar? Jakich ofiar?

- Tych, które osmieliły się zerwać kajdany.

- Aaa, tych...

- Pewnie mi powiesz, że wykonywałeś tylko swój zawód, co?

- Właśnie tak.

- Zupełnie jak mój znajomy kat.

Silarus uśmiechnął się szeroko, ale oczy zwędził bardzo nieprzyjaźnie.

- Porównuj mnie sobie, z kim chcesz, cny rycerzu. Założę się, że wszystkie twoje blizny zostały zdobyte, kiedy bez oczekiwania żadnej zapłaty i wdzięczności osłaniałeś własną piersią słabych i maluczkich.

- A, tak – Modry Rycerz rozparł się na oparciu swojego krzesła, i przesunął rękę po żylastej szyi. – To trucizna, którą próbowała mnie zauroczyć pewna wiedźma, żebym stał się

jej pionkiem i wybijał jej wrogów. A to – dotknął palcem ohydnego oka – płonąca żagiew, którą dostałem w karczmie, którą nakazałeś podpalić, a z której ratowałem uciekinierów.

- Kto chciał, mógł wyjść – odwarknął Silarus. – Większość wyszła. W środku zostali sami przestępcy, którzy woleli spłonąć niż oddać się w ręce prawa. Bardzo mi przykro z powodu twojego oka.

- Straszni przestępcy, co? – wciąż uśmiechnięty wojoynik poskrobał się w podbródek.

– Walczący jak lwy o własną wolność, która przecież...

- Trzeba było samemu zostać namiestnikiem i otworzyć im bramy najszerzej jak się da.

- Jak miałbym to zrobić, skoro obowiązują mnie ślu...

- A, no tak, śluby, jakie to wygodne! Nic o mnie nie wiesz, rycerzu, nic o tym, co robiłem w Zlewisku.

- Uspokój się – mruknął Kai, ciągnąc za rękaw Silarusa, który plasnął pięściami w stół. – Należy mu się posłuch i szacunek...

- A mi się należy, żeby przestano mi wreszcie wypominać to przeklęte...

- Szary Haron, czyż nie? – Modry Rycerz wyszczerzył zęby do Kaia, pochylając się nad stołem. – Nie sądziłem, że będziesz tak knypkowaty jak wszyscy twierdzą.

- Aaa... Dzięki.

- Haron i książę – rycerz wzniósł puchar z upodobaniem. – Sługa ludu, protektor, wskaźnik moralny, rozparty w najlepsze obok kata, który nie dość, że próbował zabić jego, to jeszcze dokonał mordu tysięcy ludzi...

- Jestem hipokrytą, rozumiem – uciął niedbale Kai. – I durniem. Masz może, rycerzu, wieści, o których nic mi nie wiadomo?

- Jakie wieści, przecież to tylko plotki. To dla mnie zaszczyt spotkać twojego giermka, sługę felsidów wschodnich.

Atian, Silarus i Kai równocześnie sprostowali, że chłopiec jest admirałem. Rycerz uśmiechnął się kwaśno.

- Nawet daję się nabrac, że wszyscy w to wierzycie.

- Nigdy bym się nie spodziewał, że Modrzy Rycerze mogą być tak otwarcie grubiańscy – fuknął Kai, sam już rozzłoszczony. – Czy przez pięć lat mojej banicji tis Gavere z Pavilonu też stracił resztki swojej godności?

- Uwierz mi, dzieciaku, gdybym zaprosił do tej rozmowy Gavere'a, nie zostałaby na tobie sucha nitka nie splamiona jego plwociną.

Kai uśmiechnął się kwaśno, wychylając się, by zobaczyć rycerza z kobrą na zbroi, siedzącego na samym końcu rzędu Modrych Rycerzy. Niegdyś Gavere Suran, teraz tis Gavere z Pavilonu, był najmłodszym z braci matki Kaia. Wyglądał on, jakby z gracją wyszedł z ilustracji *Kodeksu Rycerskiego* – wysoki, smukły, długowłosy. Tylko rudy kolor jego spętanych u końca, niezwykle pięknych włosów zdradzał pokrewieństwo z własną rodziną. Nawet blizny na jego twarzy były najmniej widoczne ze wszystkich rycerzy, dodające charakteru i ani trochę nie szpeciące. Kai pamiętała go jako wzór do naśladowania roztaczający wokół siebie aurę respektu wybitnego wojownika, chociaż widział go posługującą się bronią jedynie na turniejach – podczas wizyt w Pamięci Gavere tylko przechadzał się po błoniach z jedną dłonią na rysowniku, a drugą na rękojeści miecza, głuchy na prośby o naukę i pytania. Zawsze gburowaty, małomówny, beznamiętny. Ciężko było wyobrazić go sobie wściekłego, a nawet jeśli – to jego rodzina z pewnością „nie zostawiłaby na nim suchej nitki nie splamionej jej plwociną”. Gavere zgłosił się do Modrego Rycerstwa w tajemnicy, krótko po tym, jak jego żona, Eurofa Formonoos, zaszła w ciążę, co pozostawiło głęboką brudzę na relacjach między między Formonoosami a Koharami, którą wciąż próbują ukradkiem załatać – bo Modry Rycerz w rodzinie to jednak unikatowy honor.

Gavere też porzucił rodzinę w imię misji, ale zrobił to gorzej – zostawił swoje dziecko. Kai pomyślała, że plwa na jego potencjalny gniew.

Wuj Gavere siedział i jadł dopiero co podaną zupę, pochylony nad talerzem, apatyczny, jakby wiecznie śpiący, a obok niego jak stalowa burza przeszedł Anoleis Vodrin, pamiętany jako Szlachetny Ano. Kai zapomniała o tym, że powinien coś odpowiedzieć nieuprzejmemu Modremu Rycerzowi. Skupił się tylko na prującym w jego kierunku Ano.

- Oho – mruknął Silarus.

Cerro wyprostowała się jak na damę przystało. Nieco pobladła.

Anoleis stanął dokładnie przed nią i ukłonił się głęboko, zamiatając blond lokami otaczającymi jego podłużną twarz i dziecięciowaty nos.

- Uszanowanie, pani mojego serca – przywitał się mało subtelnie.

Zanim poróżowała Cerro zdążyła odpowiedzieć, stalowa rękawica wylądowała w talerzu Kaia, rozpryskując pieczarkową na wszystkie strony.

- Och, pojedynek! – zapiszczała Liara, podrywając się z krzesła, a męczony przez nią królik wykorzystał okazję, by odkićać jak najdalej od niej.

W tym sektorze stołu natychmiast zapanowała cisza. Kai z obrzydzeniem wyłowił rękawicę i zrzucił ją na trawę.

- Coś wpadło do mojej zupy.

- Stawaj, haronie. Nie mogę puścić płażem żadnej zniewagi, choćbym bardzo chciał.

- Ależ możesz, kto ci zabrania?

- Choćby sam Szary Człowiek chciał poślubić księżniczkę, muszę rzucić wyzwanie temu, kto odebrał mi damę mego serca.

- Co ty – parsknął śmiechem Silarus – myślałeś, że kiedyś serio się z nią ożenisz?

- Kodeks to kodeks, a honor to honor – powiedział Modry Rycerz z Megarantu. – Niektórzy są w stanie to pojąć. Inni nie zawsze. I nie muszą. Wypadałoby im jednak milczeć.

- Kiedy mi mój haroński kodeks i haroński honor zabraniają z tobą walczyć – Kai znowu zwrócił się do Anoleisa. – I co teraz?

- Teraz będę nalegał. Chyba nie chcesz, haronie, by legendy o twoim tchórzostwie okazały się prawdziwe?

- Co ty, podpuszczasz mnie? Plwam na legendy. A raczej na plotki.

- Nie możesz plwać na plotki, które stają się legendami, wuju – księżniczka Liara pochyliła się nad stołem, by spojrzeć na Kaia surowo. – Jak stchórzysz, to okryjesz hańbą nie tylko siebie, ale i ciotkę, i tatę, i mnie! Nie możesz mi tego zrobić!

- Nie wtrącaj się w sprawy dorosłych – fuknęła Cerro. – Poza tym ja nie życzę sobie żadnego pojedynku, a na pewno nie w moim imie...

- Jakiego pojedynku? – Sylwetka Myrona zawisła nad nimi jak pysk wszystkosłyszącego nietoperza.

- Wuj Kai nie chce dać ippo Anoleisowi satysfakcji w związku z konfliktem o damę serca – Liara natychmiast zaczęła płakać, na co Cerro pociągnęła ją za czarny koński ogon. – Aua! Trzeba było się zenić z Ano, a nie!

- Może bym tak zrobiła, jakbym miała wybór, ty mała...

- Nie no, Kai, musisz dać Szlachetnemu Ano satysfakcję – zawyrokował król. – Taki despekt przeniosłby się na moją rodzinę kilka pokoleń wprzód! A poza tym trzeba rozruszać tę biesiadę.

- Nic nie będę ruszać, nie mogę się bić, to wbrew mojemu kodeksowi!

- Och, Kai, boisz się, że zgrzybiałeś, jeśli chodzi o azyrydę? Jestem pewien, że Ano zgodzi się na pojedynek do pierwszej krwi...

- Oczywiście, Wasza Wysokość – Anoleis przytaknął z ukłonem.

Myron aż przyklaskał.

- Pysznie, już informuję naszych gospodarzy! A wy, przygotowywać się i rozsuwać stoły. Rzekłem!

Odszedł dziarskim krokiem, a za nim pobiegła Liara, by z radością wskoczyć mu na plecy. Kai łypnął na Anoleisa, który oblał się lekkim rumieńcem.

- I co? Zadowolony jesteś, że robimy z siebie cyrk?

Anoleis natychmiast zadarł nos.

- Robię tylko to, czego wymaga ode mnie kodeks.

Schylił się, by podnieść śmierdzącą pieczarkami rękawicę i odszedł, zapewne w poszukiwaniu swojego giermka. Kai został na miejscu, nie wiedząc, że i on ma na twarzy mało przystojny odcień czerwieni.

Myron uwinał się prędko z powiadomieniem rodziców pary młodej i pokierowaniem służby, by wyłapała wszystkie króliki i przeniosła ich siedzibę w inny zakątek ogrodu. Dwóch giermków przyszło z naręczem azyryd, Kai wybrał tę z błękitnego drewna, a ci ostrzyli oba jej końce, aż iskry leciały. Anoleis po drugiej stronie kręcił paradne młynki, przenosząc ciężar z jednej nogi na drugą jak tancerz, czemu objadający się przystawkami lirrowie przyglądali się z aprobatą.

Jeden z giermków wyciągnął w końcu niebieską azyrydę do Kaina.

- Nic się nie bój o swojego mecenasa, Atian – odezwał się Silarus, który, wraz z Atianem i Cerro, stał przy labiryncie z żywopłotu i bawił się drobnymi listkami. – Jeszcze niedawno mówiło się, że w całej Świętej Unii tylko dwóch chłopaków tak macha azyrydą – ja i...

- Uff... - wypuścił z siebie Kai, kiedy chwycił za drzewiec, a ciężar pociągnął jego ramię w dół. Ostrze zaryło w ziemię, a Kai, nagle złany potem, rozejrzał się, czy nikt tego nie widział. Czy Yazor go akurat nie obserwował.

Yazor nie patrzył na niego, pogryzając chleb i rozmawiając z Pinovarem i jej mężem-Szczurem. Kai napiął mięśnie i podniósł azyrydę jedną ręką, by zaraz z powrotem wbić ją w ziemię i udawać, że uważnie przygląda się zdobieniom przy górnym ostrzu. Silarus, Atian i Cerro nagle otaczali go ciasniej niż giermkowie Anoleisa.

- Co jest? – zapytał Silarus. – Czy u felsidów nie powinieneś wyrobić sobie kondycji?

- Kondycję, owszem, ale nie krzepę. Używaliśmy tam tylko praktycznej, lekkiej broni.

Nawet się nie zorientowałem, że nie umiem już złapać za...

- Co się stanie, jak przegrasz? – Atian zapytał gorączkowo podekscytowanym głosem.

- Nic się nie stanie, a co ma się stać? – odparła jak zwykle naburmuszona Cerro.

- To po co ten cały pojedynek?

- Żeby zrobić z siebie idiotów i mieć nadzieję, że skończy się jako ten mniejszy idiota.

- Na co się burmuszysz? – warknął do niej Kai. – Nie tego chciałaś te kolczyki.

- Gówno wiesz o tym, czego chcia...

- Proszę o zajęcie miejsc, moi szanowni goście! – zagrzmiał głos Ilona Davadena. – Z przyjemnością pragnę ogłosić, że ślub mojej córki-jedynaczki jest okazją na tyle podniecającą, że i inni postanowili rozwiązać przy jego okazji swoje spory sercowe! Otóż ippo Anoleis z Euterpe rzucił rękawicę przed Harona Sprawiedliwości Kaia, małżonka Jej Miłości księżniczki Cerro, i ten ją podniósł!

Kai czuł pulsujące w jego policzkach zażenowanie. Naprawdę, do tego doszło w jego życiu, że jest w ten sposób przedstawiany?

- Staną do tradycyjnego pojedynku do pierwszej krwi! Pamiętajcie, moi drodzy, o kulturze, przeto pojedynkowi patronują Jego Wysokość król Myron, Jego Mądrość książę Kallo, Jej Litość królowa Habren i Jej Piękność księżniczka Liara, a także miłość pomiędzy moją córką i jej przyszłym mężem! A wy, zaci ni wojownicy, stańcie przedko w szranki.

Stanęli po dwóch przeciwnych stronach trawnika. Za plecami Kaia, na drewnianym podwyższeniu, zasiadała rodzina królewska, a obok niej para młoda. Za plecami Anoleisa haroni, lirrowie i generał beztrosko zajadali się smakołykami, którymi Kai nawet nie miał czasu się napchać.

Anoleis zapłaci mu za to. I za całe to upokorzenie też.

Lecz kiedy Myron skinął na znak rozpoczęcia, Kaiowi wcale nie poszło najlepiej. Anoleis zbliżył się do niego bez zawahań i wykwintności, a jednak Kai nie ruszył się z miejsca. Wciąż trzymał opartą o ziemię azyrydę dwoma rękami, kiedy Anoleis machnął prawym ramieniem. Kai skrzywił się, prawie czując cięcie na swoim boku - a jednak odskoczył, zanim zdążył podjąć o tym decyzję, i... jego ręce były puste. Miał wrażenie, że wszyscy zastygli z widelcami w połowie drogi do ust, nie mogąc uwierzyć, że to ON popełnił taki błąd.

Anoleis po prostu wyciągnął rękę i nagle miał dwie azyrydy. Uśmiechnął się, zaskoczony własnym szczęściem, i znów zamlynkował, jakby jego kończyny przemieniły się w wiatraki.

Popisywał się.

Robił wszystko z podręcznikową siłą, z podręcznikową szybkością i podręcznikową precyzją.

Kai odgarnął swoją brunatną pelerynę.

Anoleis znów się zamachnął, a Kai odskoczył, tym razem świadomie. Teraz Anoleis spróbował go ukłuć dwoma ostrzami naraz, teraz jednym, teraz drugim, a Kai cały czas się cofał.

Aż nadepnął na swoją pelerynę.

Wyłożył się jak długi i poczuł przy plecach ścianę drewnianej platformy, z której z ciekawością wychylała się rodzina królewska. Anoleis pokazał zęby w uśmiechu, zanim wbił azyrydy w trawę – bo Kai znów się odturlał i wstał jednym susem, a kiedy to zrobił, jego twarz znalazła się tak blisko Anoleisa, że ten machnął prawą azyrydą na oślep.

Kai chwycił ją, ale nie było mowy, żeby wyrwał ją z żelaznego uścisku Anoleisa. Drugą azyrydę przydeptał stopą tylko na krótką chwilę – Anoleis natychmiast wyrwał ją z ziemi bez żadnego wysiłku i zanim jeszcze skończył się chwiać przez brak impetu, z całej siły spróbował strząsnąć Kaia z prawej azyrydy. Machinalnie wyrzucił oba łokcie do tyłu, tak jak nakazywały podręczniki przy walce dwoma azyrydami, i pchnął, lecz zanim to zrobił, Kai puścił azyrydę i prześliznął się pomiędzy szeroko, podręcznikowo rozstawionymi nogami Anoleisa.

Szlachetny Ano nie zdołał powstrzymać siły, szybkości i precyzji, jakie wyrwały całe jego ciało do przodu, chociaż robił wszystko, żeby tylko nie uderzyć w królewską platformę. Upadł na twarz pośród łoskotu łamanych desek, bijących się talerzy i pisku królewskich dzieci. Myron trzymał mocno Liarę, Ceadmille i uczeponego jej Triana, kiedy platforma załamała się pod nimi, a Habren porwała Kallo w ostatniej chwili, zanim zdołał polecieć na złamanie karku przez krawędź, z której oglądał przedstawienie.

Chyba wszyscy poderwali się ze swych miejsc i instynktownie wyciągnęli ręce w kierunku drogocennej królewskiej rodziny, choć ta nie była już w niebezpieczeństwie. Prędko zeszła z rozpadającego się podwyższenia, a Ano zaczął zbierać się z trawy, z której już zdążył podnieść się Kai.

Był przy Anoleisie w strzępek chwili, z dolnym ostrzem azyrydy przy jego policzku. Rycerz zdążył rzucić mu tylko jedno złeknione spojrzenie i krzyknął, bardziej z zaskoczenia niż bólu, kiedy Kai przesunął końcem ostrza po jego twarzy. Płytką rysą wypełniała się krwią jak koryto rzeki, która wylała na palce Kaia.

Uniósł je, by pokazać wszystkim gapiom.

- Pierwsza krew! – krzyknął, obracając się na wszystkie strony. – Chyba wygrałem!

Ilon Davaden wzrokiem poszukał rady wśród Modrych Rycerzy i króla, po czym skinął głową, nieporadnie rozłożyszy ręce. Kai wytarł krew o pelerynę i uśmiechnął się do podchodzących do niego Atiana i Silarusa. Giermkowie Anoleisa rzucili mu się na pomoc, a

reszta starała się dopchać do rodziny królewskiej, która już doszła do siebie i ociekała ekscytacją, jakby właśnie zaśmiała się w twarz śmierci.

Tylko Cerro, jak zwykle, stała naburmuszona, skwaśniała i obrażona na cały świat, ignorując ukłon – rzeczywiście, być może lekko ironiczny, ale zawsze – który posłał jej Kai.

\*

Trzy dni w podróży sprawiły, że Syrena ucichła, osłabła i spokorniała. Ciasno spętane miała już tylko nadgarstki, a stopy związane luźno pod brzuchem konia, na którym jechała wraz z Ikkarem i jego papugą. Papuga nie mówiła, ale krakała do rytmu i Iver zaskoczona była, że wydaje się jedyną, którą doprowadza to do szalu.

Nie powiedziała na ten temat jednak ani słowa. Wolałaby całe noce słuchać papuzich piosenek niż płaczu i lamentacji diakorr. Sam Ikkar bał się spać z nią w jednym namiocie – kiedy zrobił z nią to, co chciał, przywiązywał ją ciasno do drzewa w pobliżu obozowiska i zostawał, a Syrena wyła do swojej bogini w swoim języku, słuchając odpowiedzi pustego wiatru. Iver źle spała w te noce – obolała, wychodziła po to, by dać Syrenie pić i zetrzeć łzy z łuski na jej twarzy. Ta nic do niej nie mówiła, ale przyjmowała wszystko z obojętnością, wzruszając oczy ku niebu albo opuszczając powieki ze zmęczenia. Miała niezdrowo rozpaloną twarz i Iver widziała w niej oznaki choroby, dlatego ucieszyła się niezmiernie, kiedy wjechali do cieplejszego regionu i na horyzoncie zamajaczyła wieś.

- Miodnik – powiedział Braas, kiedy wrócił ze zwiadu i wręczył Melowi mapę. – Ładna wieś. Bogata. Mają nawet znachorkę ze stygmatami na rękach i trzymają ją w samym środku miejscowości.

- Do Ariano niecałe dwa dni drogi – ucieszył się Mel. - Zdążymy jeszcze na wielki turniej!

- Twój brat zazna jednak trochę radości w tym uroczystym dniu – wyszczerzył zęby Ikkar. – Oczywiście, jeśli jeszcze nie utopił się we własnych łzach.

- Prędzej rzygowninach.

- Albo pierwszej lepszej pannie, która nawinęła mu się pod nos – dodał Livil. – Jak on to robi, nigdy nie zrozumiem. J jakim cudem ty nie podłapałeś od niego żadnych sztuczek, tak samo. Móglbyś mieć każdą, Mel!

- No nie wiem, Livil – Mel uśmiechnął się z przekąsem. – Są jeszcze na tym świecie kobiety ze standardami.

- Taki jesteś pewien? Jeśli nawet nasz uroczy Darion znalazł sobie...

Darion łypnął na niego zły wrogo, ale szczęśliwie Syrena akurat zwymiotowała, nawet nie racząc wygiąć się tak, by oszczędzić pelerynę Ikkara.

Mel nie chciał zostawać w wiosce dłużej niż to konieczne, więc obozowali u stóp małego wzgórza, nad rzeką. Wykapała się tam najpierw Sfora, a potem Iver i Syrena, która wyłożyła się na kamieniach, związana i cała zanurzona w rozpryskującym się na jej ciele wciąż nie najcieplejszym nurcie, jedynie z głową ponad taflą. Iver widziała ją tak zadowoloną po raz pierwszy, odkąd się poznały.

- Dlaczego akurat ryba? – spytała, odwrócona do diakorr bokiem, próbując się zasłonić.

- Co? – burknęła Syrena, ziryutowana, że ktoś zakłóca jej spokój.

- Dlaczego wyglądasz jak ryba?

- Nie jak ryba, tylko udathra, sum w kolorach tęczy. Nie ma go na nizinach, ale wysoko w górach na północy żyje w ciepłych jeziorach.

- Byłaś tam kiedyś?

- Nie. Ale jak byłam dzieckiem i bawiłam się w rzece, martwe ciało udathry spłynęło z tych gór. Nie wiem jakim sposobem, ani co go zabiło. Ale był piękny, wielki, silny... Orlica kazała go wypatroszyć i wszyscy mieliśmy jedzenia na tydzień, a z jego łuski pancerz zrobił sobie wojownika. Płetwę z ogona dał mi i mam ją wszytą w ubranie.

- Ciało martwej ryby zostało twoją inspiracją?

- Zostało mi w pamięci... Był z tak bardzo daleka, mówią, że z tęczy, a pokonał tak ciężką drogę, ciągnięty nurtem, martwy. Udathry są ogromne, mogłyby pływać w oceanach, a zamiast tego wolą ciepło i górskie kałuże... Ale gdzie by nie były, rzeka i tak zaprowadzi je tam, gdzie chce.

- A ty chcesz iść z nurtem rzeki, tak? Podróżować?

- Chcę podróżować do domu, nawet pod prąd. Jestem najlepszym zwiadowcą, Orlica wysyłała mnie tak daleko, w tak różne miejsca... Tak dobrze broniłam wioski. A nie potrafiłam obronić siebie.

Usiadła i wysunęła się na brzeg. Jej łuska lśniła przepięknie w blasku zachodzącego słońca. Iver odwróciła się, zawstydzona, kiedy diakorr spojrzała prosto na nią.

- Nigdy nie widziałam tak grubego człowieka – Syrena wypowiedziała to niemal z fascynacją. – Tavi się to podoba?

Iver nie odpowiedziała, tylko wybiegła z wody, by jak najszybciej się ubrać.

Została jednak blisko strumienia, zasiadłszy pod dębem, bo nie powinna zostawiać diakorr samej. Słońce świeciło zimnym blaskiem, zwiastując nadchodzący podmuch zimy, nie

tak mroźny i surowy jak w Pavilonie, ale jednak dokuczliwy. Liście na drzewach odznaczały się różnymi odcieniami zgniłej zieleni i brązu, a trawa była wysoka i szarpała łagodnym wiatrem. Mimo wszystko, przyjemnie tak było siedzieć przy wodzie, wciągać powietrze głęboko do płuc i przyglądać się spod półprzymkniętych powiek Melowi i Livilowi patroszącym zajęce na kolację.

Jeśli za parę dni znajdą się w Ariano, Iver zobaczy Kaia, Pinovar, może nawet matkę... Iver próbowała udawać, że jest tak zimna i twarda jak jej siostra, ale pewna była, że ona nie płacze co noc i na pewno owinęła już sobie swojego męża wokół palca... A Kai? Kai je zdradził i zostawił, tak powiedziała mama. Ożenił się z księżniczką i zamieszkał w zamku, a je zostawił na pastwę losu. Sprzedał je. To przez niego Iver podróżuje z bratem człowieka, który próbował zranić jej rodzinę; to przez niego Iver jest poahnibiona i to przez niego tak teraz cierpi...

Ciężko było w to wszystko wierzyć, kiedy przed haniebnym ślubem otrzymała się błogosławieństwo matki. Kiedy siedziało się pod tym drzewem, w błogim spokoju. Kiedy podróżowało się z wesołą Sforą Sfinksa. Przyszłość była straszna, ale prowadził ich Mel – Mel, który nigdy nie splamiłby się trucicielstwem, gdyby nie jego krwiożercza rodzina. Który nigdy się nie gubił. Który zawsze miał plan. Który był wspaniałym tancerzem, a którego uścisk podczas weselnego walca Iver wciąż pamiętała... Mel, którego poznała w czasie podróży, był uczynny, trzymał wartość do późna w nocy, częstował ją najsłodszymi jagodami i nie bał się ani trochę strasznych spojrzeń Dariona. A wtedy i Iver bała się ich trochę mniej.

W ostatnim liście mama pisała, że jej problemy miną, kiedy urodzi syna. Ciekawe, kto będzie pierwszy – ona czy Pinovar?

Iver usłyszała plusk oznaczający, że Syrena wyczołała się z wody, ale sama nie ruszyła się z miejsca, przyglądając się swoim nagim, pulchnym stopom. Diakorr może i są chudsze, silniejsze i ponad swoimi mężczyznami, ale tak samo jak każdy muszą troszczyć się o przetrwanie. Iver swojego rodu, a Syrena swojego plemienia. Zaskoczona tą nowo znalezioną płaszczyzną podobieństwa, podniosła się, by powiedzieć o niej Syrenie, kiedy napotkała jej nienawistny wzrok.

- Gdzie są moje ubrania? – warknęła diakorr.

Nie wytatuowana połowa jej twarzy była zarumieniona ze złości i gorączki.

Jej kostki i nadgarstki były pozbawione więzów.

- Powinny być tutaj – odparła Iver, bojąc się zniżyć oczy.

- To dlaczego ich nie ma, co? Oddawaj mi je, dziewczyno!

- Nie wzięłam twoich ubrań!

- Nie wzięłaś?!

Szarpnęła Iver za suknię tak, że zaskrzypiały szwy, a dziewczyna wybuchła rzewnym płaczem.

- Czemu beczysz?! Masz wyrzuty sumienia, złodziejko?! Spodobała ci się historia pancerza udathry?!

Iver tylko zaciśnięła powieki. Diakorr z przekleństwem pchnęła ją na pień drzewa i ruszyła do Livila i Mela.

Była o głowę wyższa od nich obu, i na jej widok obydwa zerwali się z ziemi, dobywszy mieczy. Syrena zatrzymała się, nawet nie myśląc o zakryciu swojej nagości.

- Jak się wydostałaś? – wyrzucił z siebie Livil.

- Dlaczego... Czego chcesz? – dodał Mel.

- Gdzie są moje ubrania, cholerni *tavi*?

- Ubrania?

- Moje ubrania z udathry! Gdzie one są, *gashdan*??!

- To Iver się z tobą kąpała!

Rozjuszona, odwróciła się znów do przerażonej Iver, co Mel wykorzystał, by zarzucić jej na szyję skórzany rzemień, którego wcześniej w jego ręku nie zauważała. Impet, z jakim powalił ją na ziemię, Iver poczuła pod własnymi stopami – tak samo jak siłę, z jaką diakorr zaczęła się wierzać. Livil natychmiast usiadł na niej, próbując przygwoździć jej nogi i ręce.

- Iver! – wrzasnął w desperacji. Dziewczyna wychyliła się zza korzenia. – Chodź tu, weźmiesz sznur i zwiążesz jej ręce!

- Co... Ja nie...

- Chodź, tu, kurwa, zanim nas powyrzyna...

Iver wstała, przerażona, i podbiegła do siodła, od którego odpoczywał koń Ikkara, gdzie przytroczena była lina. Porwała ją i podbiegła do nóg diakorr, która wydawała z siebie nieludzkie dźwięki wyciskane przez wpity w jej krtań materiał. Przekleństwa, których używał Mel, też wydawały się w jego ustach zupełnie niezrozumiałe.

- Mocno, mocno, dziewczyno! – wydyszał Livil, a Iver wcale nie zamierzała czynić inaczej. Owinęła kostki Syreny liną, kilka razy obrywając w ramię i szczękę, po czym zaparła się nogami i zaciśnięła więzy tak mocno, że diakorr zawyła – bolesnie i płaczliwie.

Livil od razu się odwrócił, by grzmotnąć ją pięcią w twarz. Korzystając z chwilowego ogłuszenia, Melvourne złożył razem ręce Syreny, a Iver znów ścisnęła ją ciasno linią i wstała, by rzemień wrył się w jej skórę. Złączone nogi i ręce nie przeszkodziły Syrenie w szamotaniu się, co Livil postanowił ukröcić przez kolejny cios. I jeszcze jeden. Syrena splunęła krwią i

zawyła jak opętana. Jeszcze jeden. To był już pisk. Paznokcie Iver wpiły się w jej czaszkę, kiedy zasłoniła uszy.

I Mel od razu był przy niej, przyciskając swoje dłonie do jej, odwracając od niedelikatnego widoku. Może słyszałaby stłumione dźwięki uderzeń i płacz Syreny – ale krew pulsowała w jej skroniach, zagłuszając wszystko. Wszystkie odcienie zieleni, zapachy lasu i krwi zlały się w całość, i ciepło palców Mela splecionych z jej, na jej uszach, odebrało jej zdolność przytomnego myślenia.

A potem przeszło na jej ramiona i usłyszała dyszenie Livila.

- Już po wszystkim? – powiedział cicho Mel.

- Jak się, do cholery, wydostała?! – krzyknął Livil.

- Ja... Nie wiem... - Iver postanowiła spojrzeć mu w twarz i pożałowała, bo ręce Mela zupełnie się z niej zsunęły. – Tylko na chwilę na nią nie patrzyłam.

- Wiesz, jaka ta dzikuska jest niebezpieczna?! Trzeba ją obserwować cały czas!

- Mamy szczęście, że żyjemy – mruknął Mel, ocierając pot z czoła. – Dobra robota z tymi linami.

- No – przytaknął niechętnie Livil. – Masz krzepę, lyrro. Ale lepiej, żeby nie było okazji do popisania się nią jeszcze raz.

Odszedł, mamrocząc coś do siebie, ale Mel pozostał i uklęknął przy diakorr. Był smutny, zmęczony, złany potem, i Iver sprzedawała duszę, żeby wiedzieć, o czym myśli. Jednak w pobliżu nie było żadnego chętnego kupca.

- Umyjesz jej twarz? – spytał cicho. – Tylko uważaj, żeby cię nie ugryzła.

Oczywiście, że nie odmówiła. Twarz Syreny po obmyciu wyglądała jak jeden paskudny strup – miała napuchnięte usta i siniejące „ludzkie” oko. Nie płakała już ani ostentacyjnie, ani długo. Wkrótce umilkła, patrząc tępco przed siebie. Iver siedziała przy niej jak strażnik, aby znów nie zawieść, podczas gdy Mel odszedł pomóc Livilowi oporządzić obóz. Było już ciemno i ognisko trzaskało, kiedy Darion, Ikkar i Braas wrócili z wioski, rozmawiając wesoło. Papuga Ikkara trzymała w szponach coś jakby znajomego.

Syrena też to zauważyła. Zamrugała niespokojnie.

- Co tu się, kurwa, stało? – Ikkar skrzywił na jej widok brew. – Dobrze, że już rozmówiłem się ze znachorką...

- Ona potrzebuje celi! – krzyknął Livil. – Uwolniła się, chciała nas pozabijać!

- Co? Iver jej nie pilnowała?!

- Syrena wpadła w szal – wy tłumaczyła się prędko Iver – bo zginęły jej ubrania...

- Te łachmany? – Ikkar wziął je od papugi i rzucił z pogardą na trawę. – Musiałem je jakoś zabrać. Przecież ukamieniowaliby ją, gdyby weszła tak do wioski. Kupiłem jej za to sukienkę...

- Nie nałożę nigdy szmaty *tavi* – odezwała się głucho i z wysiłkiem Syrena.

- Ta? – sapnął bez zainteresowania Ikkar, rozkładając się przy ognisku. – Gdzieś to już słyszałem.

- Nie...

- Nałożysz i będziesz mi za to dziękować. Zresztą jak mi się sprzeciwasz? Nie potrafisz poradzić sobie z dwoma cholernymi *tavi* i grubą babą.

Nikt się nie zaśmiał i nikt się nie odezwał.

- Bez obrazy, Darion.

Dopiero teraz mąż Iver nieco się rozchmurzył.

- Przecież wszyscy mamy oczy.

Wszyscy się zaśmiali. Nawet Mel. Tylko Syrena przymknęła obolałe powieki.

\*

Sok pociekł po podbródku Silarusa dwoma strugami, które spotkały się nad jego krtanią i popłynęły w dół wojskowego kaftana.

- Cholera jasna... - mruknął, odkładając wyssaną skórkę cytryny i strzepując kwas z palców.

Cerro ta kolejka poszła lepiej o tyle, że cała się nie upaćkała, ale chwyciła za gardło i rozkaszała. Kai i Atian przyglądali się im, nawet nie próbując kryć swojego milczącego osądu, a inni goście weselni, którzy akurat nie wirowali w szalonych tańcach, również od czasu do czasu zerkali w stronę ich stołu.

Cerro jeszcze nie zdążyła otrzeć łez z oczu, kiedy chwyciła butelkę krzakówki i znów im polała. Silarus jeszcze nie zdążył prowizorycznie się wytrzeć, kiedy przechylił wypełniony kieliszek i uderzył się pięścią w pierś, bo ciernie wpełzł do jego gardła bez kropli łagodzącego soku.

- Zobacz, Atian – odezwał się Kai – co te zawody miłosne robią z ludźmi. Uważaj. Niedługo i na ciebie przyjdzie czas.

- Czyli co? – odparł Atian. – Ty już masz to za sobą?

- Ja? Ja nie mam czasu na takie głupoty.

Częstka cytryny wyśliznęła się z palców Cerro i upadła prosto na pierś jej muślinowej sukni. Księżniczka westchnęła, skrzywiona, jakby miała wybuchać płaczem.

- Jeszcze nigdy nie byłam tak pijana – szepnęła. Była więc na tym etapie, kiedy wykrztuszenie z siebie zwykłych dźwięków jest zbyt bolesne. Silarusowi jeszcze trochę do tego brakowało.

- Pamiętaj, że wszyscy się na ciebie gapią – Kai wziął serwetkę i chwycił przez nią cytrynę, by odłożyć ją na talerzyk. Bujająca się na ławie Cerro chyba nawet nie zorientowała się, co się stało.

- I tak by się gapili – westchnął Silarus. – Niech przynajmniej mają na co.

- Dlaczego nie tańczymy? – Ciężko powiedzieć, w czym kierunku padły te słowa, bo Cerro nie spuszczała wzroku z podrygujących par. Kai i Atian spojrzeli na siebie z przerażeniem.

- Porzygasz się, jeśli zaczniesz tańczyć – wyjaśnił Kai. – Poza tym, nie lubisz tego, pamiętasz?

- Jestem – brnęła Cerro, dalej z żałosnie żałosną miną – taka nieszczęśliwa...

Szlachetny Ano wyszedł z sali, zaśmiewając się z czegoś wraz z innym rycerzem, jednak Cerro nie podążyła za nimi wzrokiem.

Kai chwycił butelkę i polał im jeszcze jedną kolejkę.

- Ech, wiem... Ale to nie jest chyba najlepszy moment, żeby zacząć to naprawiać.

- Każdy jest nieszczęśliwy – dodał Silarus, nawet nie zamierzając odwrócić się do parkietu. I tak wiedział, że zobaczyły tam tylko Ceadmille w objęciach Triana. – Dlaczego tutaj siedzimy? Zróbmy coś ciekawego!

- O, tak! – Cerro aż wstała. – Chodźmy na arenę, popróbujmy się!

- Wspaniały pomysł! – I Silarus był już na nogach. – Weźmy tylko butelkę i zagrychę...

- Chyba zwariowaliście, nigdzie nie idziemy – warknął Kai. – Arena jest przygotowywana na jutro, jest tam mnóstwo ludzi, a ciebie, Cerro, nie mogą przecież...

- Wszystko mi jedno – odparła i już uniosła suknię w bardzo nieskromnym geście, by przecisnąć się pomiędzy ławą a stołem, kiedy Kai złapał ją za przegub. – Nie dotykaj mnie!

Jej wrzask był mało dyskretny histeryczny, ale Kai nie zwolnił uścisku.

- Nie możesz tam iść, jasne? Zostań tutaj, napij się jeszcze...

- To chodźmy porobić coś innego! Nie chcesz, tak? Bo musisz robić maślane oczy do Yazora, tak? Ech, twój ojciec powinien był wydać cię za niego...

Kai spojrzał na Silarusa, jakby miał nadzieję, że ten nie słyszał. Ale Silarus słyszał. Obejrzał się i zobaczył generała gawędziącego z haronem Maginotem. Widzieli go gawędziącego już ze wszystkimi haronami. Ze wszystkimi, poza jednym.

Silarus usiadł z powrotem, ale Cerro wyśliznęła się z ręki Kaia i ruszyła do drzwi.

- Gdzie ty...

- Wysrać się. To mi chyba wolno, co?

Zostawiła ich, przez moment mając nadzieję, że skoczą sobie do gardeł, ale prędko o tym zapominając. Cerro bywała już w swoim życiu wstawiona, pijana i zalana, ale zawsze czuła się wtedy przytępiona i śpiąca. Tymczasem teraz miała wrażenie, że wszystko słyszy, widzi, a przede wszystkim odczuwa ze zwielokrotnioną mocą. Cały czas miała wrażenie, że czuje łzy na policzkach - ale kiedy ich dotykała, znajdowała tylko zrujnowaną warstwę makijażu. Cały czas miała wrażenie, że w jej piersi zieje wyrżnięta tępym nożem dziura - ale kiedy jej dotykała, natrafiała tylko na zawiłgotniały muślin. Sztywny gorset, który do tej pory specjalnie jej nie przeszkadzał, teraz pił i dusił niemiłosiernie. Nogi płatały jej się o wszystkie warstwy sukni, jakby było ich pięćdziesiąt, a nie pięć. Kiedy je uniosła, żeby zobaczyć parę swych trzewików, grupka dam w holu wejściowym zamilkła.

Cerro spojrzała na nie. Śmiały ją oceniać. Śmiały myśleć, że nie pamięta, kim jest. Śmiały się nie poklonić i zapewne śmiały plotkować, kiedy tylko Cerro się oddali.

Podeszła do nich, kolejąc się na boki. Owszem, dygnęły, ale nie tak jak powinny i dobrze o tym wiedziały.

- Dobry wieczór, Wasza...

- Daj mi to – powiedziała Cerro. Próbowała nie szeptać, ale jej głos całkowicie umykał jej kontroli.

- Co takiego, Wasza...

- Daj mi to – powtórzyła, wyciągając rękę do czoła damy.

Ta spojrzała w górę i ściągnęła z głowy wyrzeźbioną z rogów muflona opaskę.

- To, Wasza Miłość? To prezent od...

- Daj mi to.

Dziewczyna spojrzała po swoich towarzyszach, jakby szukając wsparcia. Nie znalazły go, oddała Cerro ozdobę.

- I to też – Cerro wyciągnęła rękę po puchar w ręku drugiej z dam i go również dostała. – Dziękuję.

Ugryzła się w język. Nie powinna była dziękować. Odwróciła się jednak, wypiła duskiem puchar mandarynkowego wina, które po krzakówce smakowało jak delikie, nacięła opaskę na włosy i wyszła na dwór.

Świeże powietrze uderzyło ją z taką intensywnością, jakby weszła do lodowego jeziora. Porzuciła kielich, zeszła po stopniach rezydencji i ruszyła poprzez ogrody pełne wyrzeźbionych w fantazyjne kształty żywopłotów. Wiele osób przechadzało się, unikając jej, być może dlatego, że ich brzydziła, być może dlatego, że woleli chować się i chichotać we własnym towarzystwie. Cerro nie bardzo to przeszkadzało. Wolała przyglądać się liściastemu łucznikowi, słoniowi z uniesioną wysoko trąbą, królikom schowanym pod parasolem, wężowemu smokowi Xiyanaape, który ciągnął się od jednego rogu rezydencji do drugiego, parze zakochanych...

Cerro stanęła przed tą krzaczastą rzeźbą, zauważwszy, jak dziwnie wyglądała. Właściwie, tylko kształt kobiety wyglądał dziwnie. Właściwie, tylko jej ręka złożona na brzuchu. Kobieta była wpatrzona w mężczyznę, a mężczyzna w nią, z dłonią na jej dloni. Cerro nigdy nie widziała takiego gestu, tylko czytała o nim w awanturniczych romansach. Na przykład, kiedy Śliczna Lopian albo Goela Lekkostopa żegnały się ze swoimi szlachetnymi rozbójnikami ruszającymi na wojnę, wystarczył jeden taki gest, i rozbójnik wiedział. Kiedy tata opowiadał jej te legendy, mówił „...i ta położyła dłoń na swoim brzuchu...”, i Cerro już wiedziała. Przedstawianie kobiet w ciąży na rzeźbach i obrazach jest jednak co najmniej niesmaczne, i brzuch kobiety był, w istocie, całkiem płaski. A mimo to Cerro miała wrażenie, że gdyby pokazała to komuś, jednemu z haronów albo Myronowi, wybuchłby skandal na taką skalę, że rodzina Davadenów przez najbliższe dwadzieścia lat musiałaby żenić wszystkich swoich męskich krewnych z córkami harona Kastirrona, żeby utrzymać obecny standard życia...

- Dobry Wieczór, Wasza Miłość.

Odwróciła się jak na komendę. Szlachetny An... To znaczy, ippo Anoleis uśmiechał się smutno.

- Chciałbym Waszą Miłość przeprosić za to dzisiejsze upokorzenie. Stanąłem w obronie honoru i czci moich ślubów, a tak je zhańbiłem...

- Ależ nic się nie stało – Cerro rada była, że nie miała wyboru, tylko piskliwie szeptać. Taki tembr odzwierciedlał jej nastrój. I to, jak jej się wydawało, że powinna brzmieć dama w jej sytuacji. – Właściwie, jestem zaszczyciona, że pamiętał ippo o mnie i tak bardzo ippo zależało.

- Jakże mogłoby być inaczej? Śluby zobowiązują na całe życie.

- No tak... Jak się bawisz?

- Bawiłem się wyśmienicie, aż zobaczyłem Waszą Miłość ze smutkiem przyglądającą się rzeźbie zakochanych. Zrobiłbym wszystko, co jestem w stanie, by móc uszczęśliwić...

- A nie, nie, nie o to mi chodziło. To znaczy... Nie patrzyłam na tę rzeźbę, tylko jakby w przestrzeni. W zamyśleniu. Chodźmy stąd.

Ruszyła i Anoleis podążył za nią, wsuwając rękę pod jej ramię. Całą połowę ciała Cerro przeszył nieprzyjemny dreszcz. Jednak uśmiechnęła się do Anoleisa łaskawie. Co jest w tym dziwnego, że rycerz jej serca chce iść z nią pod rękę? Nie ma w tym przecież nic zdrożnego. A kto ma wiedzieć, że Cerro nienawidzi swojego męża, ten już wie.

Dalej czuła się nieswojo i jakby traciła oddech. Czy nie szarpie Anoleisa za bardzo? Czy za bardzo się na nim opiera? Czy nie rozumie jej gorączkowego milczenia opacznie? Nie miała pojęcia, o czym z nim rozmawiać.

Złotawa kulka obdarzona skocznymi nogami i kłapiącymi uszami podbiegła do nich, szczerząc wesoło.

- Hirne! – Cerro zapomniała o wszystkich troskach, klękając i głaszcząc piękną sierść suki. – Nudziło ci się w psiarni?

Hirne zaszczekała w odpowiedzi, kiedy po jej śladzie podbiegły do nich jeden ze sług. Cerro miała go przywitać, ale wtedy Hirne zawarczała, a Cerro zauważyła rzemień w jego ręce. Człowiek nie pierwszej młodości zacisnął pięść na piersi, mamrocząc pozdrowienia i próbując jakby schować rzemień za plecami.

- Jak masz na imię? – warknęła Cerro.

- M-Mirok, Wasza Miłość.

- Po co ci ten rzemień, Mirok?

Sługa pokręcił wąsem, ale nie odpowiedział. Zamiast tego gruchnął plecami o ścianę budynku, kiedy Cerro przygwoździła go do niej, chwytając za kołnierz. Był z pewnością silniejszy od niej, ale struchlały z przerżenia. Ona była pijana krzakówką i kipiącą furią.

- Wasza Miłość!... – zaprotestował Anoleis.

- Jutro zawiśiesz, Mirok – syknęła Cerro, prosto w ohydną, oleistą twarz psiarza. – Myślisz, że odpuszczę ci bicie mojego psa? Że Myron odpuści ci bicie jakiegokolwiek psa? Wystarczy, że szepnę mu słówko.

- Wasza Miłość, to nie tak...

- Jeszcze raz zobaczę cię w pobliżu jakiegoś psa, usłyszę skowyty albo plotkę o skowycie, twoja żona zostanie wdową. Znajdź sobie inną robotę. Natychmiast. Zejdź mi z oczu.

Mirok prędko wyśliznął się z jej uścisku i uciekł, byle dalej od pсиarni. Cerro wytarła spocone i, miała wrażenie, przesiąknięte smrodem ręce o suknię, po czym splunęła na trawę, nie myśląc za bardzo o tym, co robi.

Szlachetny Ano zamrugał, żeby rozproszyć wszelkie wątpliwości.

- Nie znałem Waszej Miłości od takiej strony.

Cerro nie odpowiedziała od razu. Uklękła, drapiąc wniebowziętą Hirne po brzuchu.

- Bo ty w ogóle mało mnie znasz. Widzieliśmy się niegdyś może raz na rok, może rzadziej.

- Takie życie rycerza, Wasza...

- Ta, wiem. Szkoda, że mój mąż nie jest rycerzem. Spacerujesz ze mną dalej czy nie jesteś już zainteresowany?

- Gdzieżbym śmiał, Wasza...

- Pytam jako ja, a nie jako księżniczka. Mów do mnie po imieniu.

- ...Dobrze. Bardzo chętnie się jeszcze przespaceruję.

Spacerowali więc po ogrodach, najpierw mijając ludzi prawie nieprzytomnych, potem oczywiście nieprzytomnych, a potem już żadnych. Stanęły przy murze, gdzie w gwiaździstą noc nie trudno byłoby pewnie zobaczyć złociste uliczki i zielone kamienice Ariano. Teraz widzieli jedynie ciemność, ścianę drzew pomiędzy rezydencją a Wielką Wodą i areną, na której służący uwijali się, uklepując ziemię pod jutrzyszy turniej. Hirne odbiegła gdzieś, poszczekując wesoło.

- Szkoda, że niebo dzisiaj pochmurne – westchnął Anoleis, jakby czytał w myślach Cerro.

- Mhm – odpowiedziała.

- Wybacz mi, ale widzę, że jesteś nieszczęśliwa. Obawiam się, że nie mogę z tym żyć.

- Będziesz musiał jeszcze jakiś czas. Nie zapowiada się na zmiany.

- Gdybym tylko mógł... I jeśli mogę pozwolić sobie na śmiałość... Cerro... To ja leżałem w małżeńskim łóżu obok ciebie, zamiast Szarego Harona.

Cerro bardzo próbowała się nie skrzywić. Ponieważ nie bardzo jej się udało, spuściła nieco głowę, jakby za wszelką cenę chciała wykluć sobie oko, próbując zobaczyć zarys Ariano w ciemności.

- Ale czy w sytuacji dogłębniego nieszczęścia nie należy szukać choćby najdrobniejszego promyka radości? – Ano mówił dalej.

- Pewnie tak. Próbuję, w każdym razie. Dlatego jestem dziś w takim stanie.

- Jeśli nie działa ucieczka w trunki, to może w miłe wspomnienie?

- Jakie miłe wspomnienie? Za duża jestem, żeby cieszyć się pamięcią o zabawach z ojcem. A nic miłego mnie ostatnio nie spotyka.

Ramię Anoleisa znalazło się wokół jej talii, bardzo delikatne i lekkie jak pióro, a jego dłoń na jej dłoni, ciepła i ogromna. Cerro odchyliła się przez łuk jego ręki, wciągając brzuch i wstrzymując oddech, by jej skóra znajdowała się jak najdalej od jego.

- Wasza Miłość... Cerro...

- Co ty robisz?

- Chciałbym, żeby to było twoje miłe wspomnienie. Chcę, żebyś już zawsze mogła do niego wracać.

Cerro wiedziała, co się wydarzy, i widziała to tak dokładnie, jakby czas znacznie zwolnił. Widziała z każdym szczegółem karykaturalną twarz Anoleisa zbliżającą się do jej twarzy, i jak pokrakowato wygląda partner przy pocałunku. Czy ona wyglądała tak samo? Jeśli tak, Anoleis tego nie wiedział, bo sam zamknął oczy.

Czuła dokładnie, jak zimny był jego język, i czuła wszystkie ruchy, które wykonywał w środku, próbując spleść się z jej językiem. Nie chciało jej się wymiotować, ani wyrywać, ani odtrącać. Była po prostu sparaliżowana, jakby straciła możliwość ruchu, a zyskała nadnaturalnie wyczulone zmysły. Był to jej pierwszy w życiu pocałunek. W sumie rzecz biorąc, była szczęśliwa, że nie był on pocałunkiem z Kаем. Bardziej prawdopodobna była możliwość, że taki by się nigdy nie wydarzył – więc szczęśliwa była, że w ogóle pocałuje kogoś przed śmiercią.

Dlatego zamknęła oczy i zaczęła małpować ruchy Anoleisa, nawet zaciskając, dość desperacko, dłoń na jego ramieniu. Trwało to wszystko długo, zbyt długo, tak długo, że prawie zaczęła się martwić, że ktoś ich zobaczy. Nie stało się to jednak, a Anoleis w końcu się od niej nie oderwał. Cerro rozejrzała się po otaczających ich krzakach i pełnej ludzi arenie. Nikt nie zwrócił na nich uwagi.

Anoleis już jej nie dotykał, ale przyglądał się badawczo. Badawczo? Raczej beznamiętnie. Nie był ani zarumieniony, ani zdyszany. Cerro uspokoiła swój oddech i uśmiechnęła się blado.

- To będzie bardzo miłe wspomnienie – zapewniła uprzejmie.

- Będzie to więc jedyne pocieszenie nie tylko dla mnie, Wasza Miłość. Przepraszam.

- Nic się nie stało, Ano...

- Stało się. Złamałem kodeks. A ty złamałaś, Wasza Miłość, święte prawo.

Krew jakby zakrzepła w żyłach Cerro.

- Co takiego?

- Cieszę się, Wasza Miłość, że uważasz, że było warto. Być może jedna chwila hańby dokonanej w żarze pasji warta jest niekiedy wieczności wstydu.

Cerro słyszała o żarze pasji. Nic w zachowaniu Anoleisa jej jednak nie przypominało. Rycerz pochylił głowę ze smutkiem i przycisnął pięść do piersi, jakby się z nią żegnał.

- Co ty mówisz? – powiedziała, wiedząc, że jej język ledwo nadąża za myślami. – Jakiego wstydu? Chyba nikomu nie powiesz?

Anoleis spojrzał jej prosto w oczy z tym samym wyrazem bolesci.

- Muszę, Wasza Miłość. Honor mi każe.

- Honor? To ty mnie pierwszy... To ty to zacząłeś, ty też poniesiesz karę!

- Wiem, Wasza Miłość. Jestem na to gotów.

- Gotów?! Na co?! Na odwleczony awans?! Ja nie jestem gotowa na... na... Nie chcę nawet myśleć, co się ze mną stanie!

- Za błędy trzeba płacić, Wasza Miłość. Myślałem, że bierzesz to pod uwagę...

- Biorę pod uwagę, że nic nikomu nie powiesz! Pociągnę cię za sobą, rozumiesz? Jestem księżniczką, masz robić, co ci każę, inaczej twoja przyszłość jako Modrego Rycerza, a być może nawet twoje życie jest właściwie pogrzebane! Rozumiesz to?!

Anoleis znów się poklonił.

- Rozumiem, Wasza Miłość. Lecz lepiej, bym nie został Modrym Rycerzem niż żeby został nim ktoś ze splamionym honorem.

Odszedł, nie obejrzałszy się na nią. Cerro wpatrywała się w jego oddalające się plecy, słysząc, jak jej sparaliżowane serce powraca do normalnego rytmu. Potem ten rytm nienaturalnie przyspieszył i tłoczył krew tak głośno, że ledwo słyszała własne myśli.

Co jej grozi? Co grozi żonie za zdradę męża? Śmierć w niektórych wyjątkowo drastycznych przypadkach. Więzienie lub areszt domowy w mniej ekstremalnych.

Co grozi księżniczce za zdradę męża? Taula Mądra była święta. Kition, Hekel i Pytia Małomówna zabite na miejscu we wściekłym szale. Juaka Matka Królów do końca życia przykuta do łóżka w swej komnacie. Fikura Czarnooka została oslepiona i wożono ją na paradnej platformie, aż wykrwawiła się na śmierć, i to jedynie za to, że jej wzrok padł na grupę kąpiących się w rzece żołnierzy. Ale to było prawie dwieście lat temu, prawda? Ich mężowie byli wpływowymi ludźmi, nie to, co Kai. No i czasem donoszono nie do mężów, ale do krewnych, wśród których był sam król zhańbiony przez swoją siostrę albo kuzynkę...

Komu właściwie Anoleis zamierza donieść? Kaiowi czy Myronowi?

Jego pleców nie było już widać nigdzie w ogrodzie. Cerro otworzyła usta, by trzeźwiące powietrze mogło szybciej odświeżyć jej umysł i pomóc w odnalezieniu oczywistego, prostego wyjścia z tej sytuacji.

Z ciemności wychyliła się Hirne zadowolona ze swojego znaleziska. Tuż za nią podążał Atian. Jego głowa była pochylona, i Cerro wiedziała, że próbuje ukryć zażenowanie.

- Mogę nie mówić Kaiowi – westchnął. – Ale jak coś, to widziałem.

- Śledziłeś mnie? – Była gotowa rzucić mu się do gardła, gdyby tylko... - Jak się nie dowie, to już nie żyję.

Wziąwszy ostatni głęboki oddech, odeszła od murku i ruszyła przez ogród w wyraźnym pośpiechu. Atian i Hirne dreptali za nią jak cień.

\*

Odkąd bardzo pijana i bardzo ucieczona Ceadmille wyściakała Silarusa, nie przestając trzymać swojego równie pijanego i równie ucieczonego męża pod rękę, Silarus pił w zupełnej ciszy. Kai złamał zasadę o jednym pucharze wina tylko w Riggvare, ale uznał to za konieczność, którą autorzy *Kodeksu* na pewno byliby w stanie mu wybaczyć, gdyby tylko zobaczyli ten żałosny stan, w jakim Silarus się znajdował.

Pułkownik wydawał się już całkiem zapomnieć o tym, że generał przecież bacznie go obserwuje, że będzie zmywał mu o to pijaństwo głowę, że może szuka okazji, by się przysiąść. Taką przynajmniej Kai miał nadzieję, kiedy wzrokiem wodził za Yazorem po sali i próbował czytać z ruchu jego warg. Chciał z nim porozmawiać o tym, że owszem, Kai sprzątał mu stanowisko przed nosa, ale nie musi to oznaczać wzajemnej wrogości; o tym, że Sfora Sfinksa właściwie zniewoliła Maginota, ale jest to wybaczalnym, o ile będzie traktować jego najmłodszą siostrę tak jak należy; o tym, że Magmowy Miecz z napisem „Prawda” znajdował się w rękach Kaia i niedługo zawiśnie nad jego kominkiem, i w związku z tym... Kai po prostu bardzo chciał zobaczyć jego minę.

- Myślisz... – odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu Silarus, wyrywając Kaia z pełnego skupienia. – Ale tak szczerze... Że Ceadmille może kochać i mnie, i tego bałwana równocześnie?

Kai już otworzył usta i rozłożył ręce, kiedy Yazor Temidan nagle ukazał się w kącie jego oka, już w połowie drogi przez salę, wreszcie zmierzając, by porozmawiać z Kаем. Poprawiał sprzączki w mundurze zapiętym po szyję, przyglądał włosy, żeby być wzorowym

przykładem samokontroli i dumy, i nawet nawiązał już z Kaiem uprzejmy kontakt wzrokowy...

...kiedy Cerro wyrosła przed nim znikąd w brudnej sukni, rozciąpcianym makijażu i niedorzeczną opasce na głowie. W jej wzroku nie było żadnej uprzejmości.

- Mamy problem – warknęła.

Kai objął ją zdegustowanym spojrzeniem od góry do dołu tak, żeby dokładnie to widziała.

- My? – powtórzył.

- Tak, wy – potwierdził Atian.

Yazor Temidan usiadł bezszelestnie obok swego syna.

- Uszanowanie – sklonił delikatnie głowę. – Wasza Miłość, haronie, admirale...

- Uszanowanie – Kai uśmiechnął się ciepło. – Wspaniale widzieć generała...

Pięść Cerro uderzyła z impetem w blat.

- Nasz problem – wycisnęła przez zęby.

- No dobra – Kai przewrócił oczami. – Jaki znowu problem?

- Nie przy zdrajcach – wycedziła, patrząc generałowi prosto w oczy i jak zwykle rujnując wszystko, co Kai sobie misternie zaplanował.

- Na Szarego Człowieka! Dobrze, chodź, rozwiążemy twój problem!

Wstał i wypił do końca wszystko, co miał w pucharze, po fakcie przypominając sobie o znowu złamanej obietnicy abstynencji.

- Zabawiaj generała, Atian.

Atian zmarszczył brwi w gniewie, ale usiadł na ławie naprzeciw Temidanów, nie powiedziawszy nic, kiedy Kai i Cerro opuszczali salę.

- Streszczaj się – burknął Kai, kiedy wyszli z rezydencji i szli przez ogród. – Yazor miał właśnie zacząć ze mną gadać, może udałoby mi się...

Cerro odwróciła się napięcie i Kai uniósł lekko ramiona, jakby spodziewał się, że ta go uderzy, ale Cerro tylko okrążyła liściastą figurę przedstawiającą parę w objęciach, zajrzała w ciemne kąty innych żywopłotów i usiadła na trawie.

- Anoleis mnie pocałował – oznajmiła.

Kai parskanął śmiechem.

- Odważnie. Nie było mu głupio po tym dzisiejszym upokorzeniu?

- Nie było.

- No, to gratulacje dla was obojga. Nie musisz się o mnie martwić, nic mnie to nie obchodzi. Chyba że... Nie chciałaś, żeby to się stało?

- Chciałam. Tak jakby. Nie miałam nic przeciwko.

- No to w czym problem? Macie moje błogosławieństwo. Oczywiście, nie obnoście się z tym, bo jest to niebezpieczne, ale...

- Powiedział, że złamaliśmy prawo i musi o tym donieść.

- Donieść? Do kogo?

- Nie wiem. Do ciebie albo Myrona.

Kai zmarszczył brwi. Cerro obejmowała kolana, wpatrując się w przestrzeń.

- To musiałby też donieść na siebie. Nigdy nie zostanie Modrym Rycerzem.

- Powiedział, że honor jest ważniejszy.

Kai otworzył usta, jakby miał gotowe kolejne pytanie, ale zamiast tego zrobił kilka okrążeń wokół Cerro, przy trzecim wyłamując sobie palce u dłoni.

- Trzeba z nim negocjować... Pieniądze, tytuły, władza, on to wszystko ma...

Rzeczywiście, ma tylko honor, może sobie pozwolić na bycie fanatykiem.

- Więc jak się negocjuje z fanatykiem?

- Nie da się. Muszę go zabić.

- Nie możesz! – Cerro poderwała się z trawy.

Kai uniósł brew.

- Zostanę za to ukarany mniej niż ty za...

- Chyba nie rozważasz tego na poważnie?! Sama bym go zabiła, gdybym myślała, że nie ma innego wyjścia!

- To jakie jest, twoim zdaniem, inne wyjście?

- Nie wiem... Możesz powiedzieć, że ci to nie przeszkadza...

- Wyśmienity pomysł! Ale jeśli pójdzie z tym do...

Kiedy przerwał, Cerro spojrzała na niego z nadzieją. W oczach Kaia migotały iskierki pomysłu.

- Musimy znaleźć Myrona. Chodź.

Cerro bez słowa pospieszyła za nim.

Wiedzieli, gdzie mogą zastać pijanego króla w środku nocy – tam, gdzie tłoczył się krąg interesownych lyrrów, urzędników i wojskowych. Tłum o takim profilu znaleźli przelewający się przez wrota męskiej łazienki.

Rezydencja Davadenów miała łazienkę z prawdziwego zdarzenia, pełne odgrodzonych od siebie kabin, balii i natrysków, z basenem na środku. Męska i damska znajdująły się naprzeciwko siebie i były bliźniaczo podobne, różniące się tylko mozaikami. Tematem przewodnim w męskiej były węgorze, które zdobiły drzwi do kabin, wyobrażały kurki

puszczające ciepłą wodę i pływały w akwarium wbudowanym pod szklaną podłogą basenu. Cerro stanęła na palcach, by ponad głowami tłumu dostrzec źródło jego zainteresowania – zobaczyła Myrona, któremu jeden z giermków wlewał właśnie do ust gorzałkę z ogromnego dzbana. Myron skrzywił się, odkaszlnął i opadł na plecy z błogim westchnięciem.

Kai chwycił Cerro za rękę. Miała krzyknąć jak poparzona, ale ten już przedzierał się przez tłum, ciągnąc ją za sobą – Cerro zatrzymała się instynktownie, zanim przekroczyli próg męskiej łazieni, ale była to tylko chwila zawahania, zanim pospieszyła za Kairem, by stanąć wraz z nim przed Myronem.

Jeden ze służących wachlował go ogromnym pióropuszem, drugi trzymał w pogotowiu tacę zakąsek, a trzech kolejnych dzbany różnych alkoholi. Choć ścisk był tu mniejszy, kilku interesantów miało wyciągnięte papiery i pióra, jakby liczyli na królewski podpis, i śleczeli, przycupnięci, na krawędziach basenu, by jako taką zównać się z królem.

Sam Myron leżał na posadzce ze stopami zanurzonymi w wodzie. Był złany potem i gorzałką, i był właściwie cały mokry, choć wciąż w ubraniu. Zupełnie, jakby wcześniej wpadł do basenu, w którym teraz baraszkował książę Kallo. Pływał ponad ścianą oddzielającą go od błyskających węgorzy, desperacko trzymając głowę i ramiona ponad taflą wody – jego dloni nie puszczała królowa Habren, która klęczała przy basenie we wspaniałej szafirowej sukni, ciągnąc Kallo w tym kierunku, w którym akurat sobie życzył. Księżniczka Liara, ubrana w złoto, spała na ławce z szeroko otwartymi ustami i śliną skapującą na podłogę.

Habren pozdrowiła przybyszy uśmiechem, a urzędnicy oburzonym spojrzeniem. Być może dlatego, że kolejna kobieta przekroczyła próg męskiej łazieni, a być może dlatego, że wcięli się w kolejkę.

- Chcę zanurkować! – zamarudził Kallo.

- Nie ma mowy, i przestań prosić – ucięła Habren. Wydawało się, jakby nie wypiła nawet kropli alkoholu. – Co was sprowadza, haronie, Cerro?

- Sprawa jest do Myrona – odpowiedział Kai, wciąż nie puszczając dloni Cerro.

- Każdy ma do mnie sprawę – Myron uniósł się na łokciach, ledwo rozwierając usta i powieki. – Nie jestem w stanie... Nie jestem...

- Każ tu natychmiast wezwać Anoleisa.

Paznokcie Cerro wpiły się w skórę Kaia.

- Kto to... Ano...

- Szlachetny Ano. To nie cierpi zwłoki.

- Przyprowadźcie tu ippo Anoleisa – królowa zwróciła się do dwóch pobliskich strażników, którzy natychmiast odmaszerowali. – Znów chcecie się pojedynkować?

- To już sprawa kryminalna, a nie honorowa.

- Doprawdy? Cóż takiego się stało?

- Anoleis rzucił się na Cerro.

Wszystkie pary oczu spoczęły na niej. Tylko ona wbiła rozsierdzony wzrok w Kaia.

- Tak przy wszystkich!...

- Masz rację. Powiniensem bronić resztki twojej czci, droga żono. Wasza Wysokość, czy możemy zostać sami?

- Wszyscy won – wychrypiął Myron, siadając.

Tłum podniósł się i zaczął niechętnie wypływać na korytarz.

- A wy mnie nie słyszeliście? – zwrócił się do strażników, którzy pozostali nieruchomo.

- Wybacz, Wasza Wysokość, ale bezpieczeństwo...

- Sam zadbam o swoje bezpieczeństwo! Won!

- Wyjdę z wami – królowa wyciągnęła protestującego Kallo z wody, by potraktować go puszystym ręcznikiem. – To nie są sprawy dla moich uszu.

- Gdyby Wasza Łaskawość mogła zostać – odezwał się Kai – Cerro byłoby łatwiej to znieść.

Habren spojrzała na niego, a potem na Cerro, która niepewnie przytaknęła. Jej wzrok przeniósł się na Myrona, przemywającego właśnie twarz wodą, w której przed chwilą moczył stopy.

- Myron, czy mogę zostać?

- Jeśli tylko odprowadzisz dzieci. Nie powinny o tym słuchać.

- Odprowadźcie je do sypialni – poleciła niemrawo wycofującym się strażnikom.

Kallo narzucił na siebie wyszywaną szkarłatną nicią koszulę i wyciągnął ręce do woja, który niepewnie go podniósł. Liara spała snem zbyt głębokim, żeby odmaszerować o własnych siłach, toteż drugi żołnierz zarzucił ją sobie na plecy i podążył za swoimi kompanami, z których ostatni zamknął ozdobione promienistym węgorzem drzwi.

- Czy ty nie jesteś panią serca Anoleisa? – Myron nie czekał z pytaniami na oskarżonego.

Cerro łypnęła na niego złówrogo.

- No jestem, i co?

- Czy w drodze tutaj nie zgubiłaś kolczyka, który był prezentem od niego? Nie spędziliśmy paru godzin na szukaniu go w szczerym polu?

- I co? – odezwał się Kai. – Myślisz, że miał przez to prawo się na nią rzucić?

- Myślę, że nie było żadnego rzucania.

- Wolę uwierzyć własnej żonie niż twoim domysłom.

Myron wstał i podszedł do Kaia, lekko się zataczając.

- Kai, druhu. Twoja żona właśnie przyprawiła ci rogi.

Klepnął Kaia w ramię ze współczującym uśmiechem, podczas gdy Habren uniosła ręce do uszu - w ostatniej chwili powstrzymała się jednak przed ich zasłonięciem.

Myron podszedł do toaletki, na której stały kufel i butla.

- Po co więc Cerro by mi o tym powiedziała?

- Pewnie po to, żebyś się nie zdziwił, kiedy zacznie jej rosnąć brzuch.

Cerro wypruła w kierunku brata, ale Kai przytrzymał ją za ramię.

- Cerro, proszę. Racja jest po naszej stronie. Nie ma po co zaprzepaszczać naszej sprawy przemocą wobec sędziego.

Wyrwała rękę z jego uścisku, ale nie rzuciła się na Myrona z pazurami.

- On mnie tylko pocałował, jasne? – burknęła.

- Jestem sędzią? – wyszczerzył się Myron, poprawiając mokre włosy w lustrze. – To mi bardzo schlebia. Ale ty, jako Haron Sprawiedliwości, na pewno możesz mi przypomnieć, co grozi puszczającej się żonie.

- Wolałbym ci przypomnieć, co grozi gwałcicielowi księżniczki.

- Gwałcicielowi? Właśnie sama powiedziała, że ten głupiec ją tylko pocałował.

- Skoro to był tylko pocałunek, jak możesz to nazwać zdradą?

Myron odwrócił się od lustra i oparł o toaletkę. Uśmiech nie znikał z jego twarzy.

- Naprawdę w to wierzysz, Kai? Naprawdę jesteś takim idiotą? Cerro cię nienawidzi. Pół dworu plotkuje o tym, że nie śpicie w jednym łóżku, a gdybym nie miał męskiego potomka, przeprowadziłbym śledztwo co do konsumpcji waszego małżeństwa. Zawsze mi się wydawało że Cerro musi lubić dziewczyny. Na pewno bardziej od twojego ojca, niech Szary Człowiek pomoże mu w wędrówce.

- Słyszałem na dworze plotki, że mój ojciec lubił dziewczyny w podobnym stopniu, co twój.

Myron zastygł z kufllem w połowie drogi do ust.

- Rozmawiasz ze swoim królem, Kai. Mogę cię zabić za takie słowa. Mogę zabić, bo nie podoba mi się twoja głupia peleryna. Mogę zabić twoją ukochaną żonę za hańbienie mojego majestatu, albo mogę ją zabić tak po prostu, bo jestem królem.

- Myron...

Habren szepnęła to pomiędzy łyzami, wpatrując się w swoje drżące dlonie. Myron jakby zbladł, odstawił kufel i odchrząknął.

- Oczywiście, nie zrobię tego. Nie jestem jakimś szaleńcem. Chcę tylko, żebyście zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji.

- Zdajemy. Dlatego tu jesteśmy.

- W sumie rzecz biorąc, to, z kim się puszcza Cerro, obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczne Riggvare. Jak ty nie masz nic przeciwko, to co mi do tego? Szkoda tylko, że dała się złapać. Będzie musiała ponieść konsekwencje.

- Prawda. Nie ma wyjścia, kiedy ktoś da się złapać na ohydnej zbrodni małżeńskiej zdrady – Cerro słyszała w głosie Kaia niespodziewaną nutę zimnego triumfu. – Szczególnie, kiedy istnieją na nią skwapliwie kolekcjonowane dowody.

Nie było wątpliwości – Myron zrobił się blady jak kreda. Nawet Habren, która z całego zajścia rozumiała chyba tylko tyle, że chciała, żeby się jak najszybciej skończyło, wyczuła wagę słów Kaia i zerkała to na niego, to na swojego męża.

Najpierw rozległo się pukanie, a potem drzwi się uchyliły.

- Sprowadziliśmy ippo Anoleisa z Euterpe, Wasza Wysokość.

Myron otarł czoło, odzyskując animusza.

- Wprowadzić.

Anoleis wszedł do łazienki z miną męczennika, choć widać było, że zdziwił się lekko na widok Kaia. Cerro stanęła za nim, nie śmiejąc spojrzeć Ano w twarz, podczas gdy ten kłaniał się po kolejku każdemu w pomieszczeniu.

- Chciałem przyjść do ciebie pierwszego, haronie – powiedział. – Tak jest najwlaściwiej...

- Cerro już wszystko wyznała – odparł raźno Kai. – I mi, i królowi.

Myron przechadzał się nad krawędzią basenu, wpatrując się w przysypiającego pod szklanym dnem węgorza.

- Bardzo ubolewam nad takim obrotem wydarzeń – Anoleis zwrócił się do niego. – Jestem gotów na każdą karę.

Myron skrzywił się, potarłszy podbródek.

- Któreś z was ma choćby cień dowodu, że to się wydarzyło?

Anoleis otworzył szeroko oczy.

- Ja nie mam, Wasza Wysokość – odpowiedziała Cerro, ledwo powstrzymując się od szerokiego uśmiechu.

- Być może znalazłbym świadków... - zaprotestował Anoleis.

- Ja zapewne również mógłbym znaleźć świadków – wtrącił Kai. – Na moje tajne spotkania z Szarym Człowiekiem, chociażby.

Usta Cerro rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

- Nie mogę ukarać ani ciebie, ani mojej siostry bez cienia dowodu i wiarygodnych świadków – Myron rozłożył ręce. – Wierzę w twoją szczerość, ippo, ale nie w szczerość mojej siostry. Wychowaliśmy się razem, więc wiem, jaka z niej kłamliwa manipulantka.

Z uwagi roześmiali się krótko wszyscy, poza Anoleisem, który rozglądał się na wszystkie strony, jakby szukając wsparcia. Na próżno.

- A więc nie poniosę żadnej kary?

- Oczywiście, że nie. Powodzenia na turnieju.

- Ze swojej strony, ippo, radzę nie rozpowiadać o tym, na co nie masz dowodów – dodał Kai. – Taki despekt zobowiązany byłbym zmazać, a jako Haron Sprawiedliwości, musiałbym odwołać się do zapisów prawnych dotyczących rozprowadzania bezpodstawnych kłamstw na temat członków rodziny królewskiej. Jak pewnie możesz sobie wyobrazić, nie są one zbyt łagodne.

- Rozumiem, haronie. Proszę o wybaczenie.

- Ależ nie ma za co. Powodzenia na turnieju.

Kiedy Cerro udała się do kabiny w damskiej łaźni, by zmyć z siebie weselny brud, nie mogła przestać się uśmiechać. Wszyscy opuścili spotkanie zadowoleni, poza Myronem – w sumie rzecz biorąc, parszywy dzień nie mógł zakończyć się lepiej. Przeżyła pierwszy pocałunek. Ze zdradziecką świnią, prawda, ale przynajmniej nie z Kаем. Uniknęła konsekwencji. Kai jej nie wydał, ba, nawet jej pomógł! I wyraz twarzy Myrona, kiedy Kai wspomniał o dowodach!

Kiedy Cerro opuściła kabinę, ubrana w złotą koszulę nocną okrytą rozłożystym szlafrokiem, do łaźni weszły akurat wyraźnie zmarnowane damy dworu. Cerro zmrużyła oczy, kiedy jej się pokloniły – czy nie widziała już dzisiaj jednej z nich?

Podeszła do niej, kiedy ta ściągała pantofle przed wejściem za kurtynę.

- To twoje, panienko?

Wyciągnęła rękę, w której trzymała ozdobną opaskę. Pokryte rozmazanym makijażem oblicze dziewczyny rozjaśniło się.

- Tak, Wasza Miłość – sięgnęła po opaskę, ale powstrzymała się. – Mogę?

- Oczywiście. I dziękuję.

Jak wspaniałe jest życie, kiedy jest się z siebie zadowolonym!

Uśmiech nie znikał z jej twarzy, kiedy leżała na brzegu łóżka w przydzielonej im sypialni, znacznie większej i wystawniejszej niż jej zagracony pokój w Modrym Oku, choć pozbawionej prywatnej toalety. Leżała, zasłonięta baldachimem, za którym Kai i Atian rozmawiali ściszymi głosami o tym, cóż takiego mówił generał i cóż takiego po pijaku wygadał Silarus. Z tego, co wychwyciła, niewiele z tego miało jakąkolwiek wartość – Silarus kwilił, Yazor się wstydzili, a na końcu pozwolił synowi leżeć na posadzce we własnych łzach i rzygowninach. Atian był wyjątkowo znudzony. Kai mu podziękował. Atian zapytał, jak rozwiązał sprawę z Anoleisem. Kai obiecał opowiedzieć jutro. Atian milczał. Kai powiedział, że jest wykończony ale na pewno opowie jutro. Przypomniał, że Atian jest jego jedynym przyjacielem. Atian zrobił wymowną pauzę. Kai nie podłapał przesłania ukrytego za ciszą i się pożegnał.

Kiedy Atian odszedł, a Kai zgasił świecę i położył się na przeciwległej krawędzi łoża, nozdrza Cerro uderzyła fala zapachu pomarańczy, w którym musiał kąpać się Kai, a który oszałamiał, kiedy wchodził w kontakt z wiśniową parą ulatującą z jej jeszcze nie do końca osuszzonego ciała.

- Wydaje mi się, że masz wobec mnie dług wdzięczności – mruknął Kai.

Uśmiech zniknął z twarzy Cerro, ustępując miejsca grymasowi buzującej furii. Nie odda Magmowego Miecza. Należał teraz do niej i tylko do niej, i tak jak upiekło jej się z pozamałeńskim pocałunkiem, i cotygodniowymi lekcjami fechtunku, tak upiecze jej się z noszeniem go i posiadaniem go. Upiecze jej się... z pomocą Kaia.

- Czymże są jednak długi żony wobec męża? – Kai ziewnął ostentacyjnie i odwrócił się do niej plecami. – Co powiesz na zwiększenie ilości twoich lekcji do dwóch w tygodniu?

Uśmiech powrócił na przypisane mu miejsce na naturalnie posępnej twarzy Cerro.

\*

Miodnik był wsią małą i ponurą, ale Iver pocieszała się wyobrażeniami o bajkowym nadmorskim Ariano. Nigdy tam nie była, ale przecież słyszała opowieści!

Syrena jechała na koniu z Ikkarem, posiniaczona i napuchnięta, w komicznie przymałej sukni, zgarbiona z bólu. Wymiotowała od samego rana, znacząc ich szlak śmierdzącymi plamami, i Iver żal było na nią patrzeć.

- Pójdźesz ją pilnować do znachorki, dobra? – polecił jej Ikkar, kiedy karmiła sucharami jego bursztynową papugę. – Znasz etykietę i w ogóle, a ona sama pewnie nic nie powie.

Było to bardzo prawdopodobne. Syrena tylko patrzyła tępko w ziemię.

Wieśniacy przyglądali im się z nieufnością, ale nazwisko Mela i nazwa Sfora Sfinksa robiły wrażenie na kupcach. Syrena ze skrępowanymi nadgarstkami, oparta na ramieniu Iver, dotarła do maleńkiej chałupy znachorki – był to, szczerze mówiąc, prymitywny szalaś z kołatką w kształcie ula. Iver zdążyła użyć jej tylko raz, kiedy drzwi się otworzyły.

- A, a, a, to wy – najpierw skrzekliwy głos, potem szponiasta ręka zapraszająca do środka. – Wchodźcie, drogie damy.

W środku była jedna cuchnąca kapusta izba z klepiskiem, na którym Iver i Syrena przycupnęły. Paliła się tam tylko jedna zielonkawa świeca oświetlająca stosy i warkocze grzybów, kwiatów, chwastów, zwierzęcych skór i innych dziwacznych, śmierdzących rzeczy. Sama znachorka, która była malutką zasuszoną staruszką, śmierdziała czymś mdlym, co przypominało Iver lekarstwa, które wmurowano w nią jako dziecko. Kobieta miała ciągnące się po ziemi szare włosy zwisające z boków niemal łysej czaszki, a wzrostem nie dorównywała nawet Iver.

Usiadła naprzeciwko nich. Stygmaty na jej ramionach i wystających spod szaty brudnych stopach lśniły fioletem.

- A, a, a, dzika – wydała z siebie dźwięk, jakby miała kichnąć, a potem wskazała palcem na Syrenę – i szlachcianka – pokazała na Iver. – Kto komu służy, kto komu służyć powinien? Dziwny świat, dziwny. Ale każesz mi pomóc dzikusce?

- Proszę. Ma nudności od samego rana...

- A, a, a, nie psuj mi zabawy! Zaraz sama wszystko zobaczę! Ale jak już przyprowadziłaś mi tu diakorr, to wyjdź stąd, dziewczyno! A kysz! Kysz! Ja tu ją sobie pooglądam...

Iver była szczęśliwa, że może opuścić smrodliwe wnętrze chaty, ale Ikkar wcale nie był zadowolony, słysząc o braku wieści.

Czekali nie tak długo jak Iver się obawiała. Wzięła głęboki oddech, zanim staruszka pozwoliła jej wrócić do środka.

Kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi, Iver poczuła obrzydliwe łyapska sięgające pod suknię i dotykające jej brzucha.

- Co też...

- Pusta, pusta! – krzyknęła znachorka, wracając do diakorr. Syrena siedziała ze spuszczoną głową.

Iver ogarnęła materiał sukni i wyprostowała się z godnością, wyłamując palce.

- I co jej jest? – warknęła. Czarownica wbijała wzrok w Syrenę.

- Ty wiesz, prawda, dzikusko? – wychrypiała. – Wiesz, że nosisz dziecko *tavi*?

Iver spojrzała z przerażeniem na Syrenę.

- Wiem – odpowiedziała diakorr.

Czarownica zachichotała krótko. Jej klientki wyszły, nim zdążyła roześmiać się do rozpuku.

\*

Silarus pewien był, że głowa pęknie mu na dwoje przy hejnale trębaczego obwieszczającym rozpoczęcie turnieju. Miał wrażenie, że nawet chrapanie i tētent kopyt pod jeźdzami istnieje tylko po to, żeby go tortuować.

- Czy ta arena nie jest za mała na starcia konne? – Atian wodził lornetką po dziesiątce jeźdźców.

- Jest – mruknął Silarus, pociągając tego z piersówka. – Ale prestiż ważniejszy jest niż zdrowy rozsądek.

- A gdzie jest tor do wyścigów wodnych?

- Przecież mieszkają tuż przy oceanie. Po co im tor? Przed zachodem słońca wszyscy zejdziemy z klifu.

- Nigdy nie widziałem wyścigów wodnych. Powinni od tego zaczynać.

Wzrok Atiana, wyostrzony przez lornetkę, przesuwał się od ippo Narci z Holeumen, przez ippo Seruna z Malchoidei, po sierżanta Rue Hylesa, którzy błyszczeli barwami swych herbów w oblicza wiwatującej publiczności. Atian słyszał, że na „prawdziwych” turniejach czasem ściera się ze sobą i kilkuset uczestników w różnych kategoriach, że potrafią trwać tygodniami i rozstrzygać wojny, ale ten turniej był malutki, symboliczny i zamknięty dla większości zdolnych w nim uczestniczyć.

- Czy Kai nie dał ci tej lornetki, żebyś podglądał mojego ojca?

- W dupie go mam Kaja i twojego ojca.

Silarus uśmiechnął się i wziął kolejnego szybkiego łyka, zanim kobieta w pomarańczowej sukni i rozłożystym kapeluszu, która przepychała się przez ich rzad, zdążyła do nich dotrzeć. Obaj już szykowali się do chowania stóp, by ułatwić jej przeprawę, kiedy Silarus ją rozpoznał.

Jego oficerski but oparł się o ławkę przed nim, broniąc Caedmille przejścia. Zatrzymała się i spojrzała na niego spod ronda kapelusza.

- Przepuści mnie pułkownik?

- Chciałem tylko pogratulować – Silarus wzruszył niefrasobliwie ramionami. – Wczoraj nie miałem okazji.

- Ależ miał pułkownik, i nawet pogratulował. Pamiętam. To było jeszcze zanim upił się pułkownik jak świnia.

Silarus zmarszczył brwi w gniewie. Widzowie z sąsiednich ławek nastawili uszu. Czarujący uśmiech Ceadmille rozjaśniał cień rzucany przez kapelusz.

- No tak. Od tego są wesela, prawda?

- Tak. Na każdym weselu ktoś musi narzygać do beczki z rumem i cieszyć się, że oszczędził pułkownika tego zaszczyci mojemu mężowi.

Silarus schował nogę pod ławką, spuszczając głowę na wypadek, gdyby ktoś zainteresowany tą wymianą zdań chciał zobaczyć wyraz jego twarzy.

- Bardzo dziękuję – powiedziała Ceadmille, przechodząc obok niego, powolna, naprężona, roztaczająca wokół siebie woń kwiatowych perfum. – Następny razem proszę wymyślić jakiś sensowny powód, żeby mnie zatrzymać.

Odeszła na swoje miejsce przed zachwyconym jej przybyciem Trianem Agverem w turniejowej zbroi, a Silarus obserwował ją kątem oka, nienawidząc i kochając z całego serca.

- No wiesz – wyszczerzył się Atian. – Mówią, że w Wielkiej Wodzie mnóstwo...

- Zamknij się, Atian. To naprawdę nie czas.

Rzeczywiście, hymn ustął, a rycerze zsiedli ze swych koni, pozdrawiając króla. Cała rodzina królewska usadowiona była w najwyższej loży ozdobionej szkarłatnoliściem i winoroślą, naprzeciwko loży niższej, tej, gdzie siedziała para młoda i teściowie. Złotowłosa służąca już dolewała Myronowi i Habren wina, podczas gdy Liara i Kallo wychylali się nad krawędź loży, machając do rycerzy jak szaleni. Wszyscy byli ubrani w rubiny i haftowany aksamit, nawet Cerro w żałobnej bieli miała błyszczącą w słońcu szkarłatną biżuterię i krwisty brokat wtarty w twarz i obojczyki. Kai, który oczywiście siedział przy nich, wyglądał jak żebrak w swojej poszarzałej lnianej koszuli i brunatnej pelerynie. Jako jedyny, odmówił wina gestem, jakby w swej łaskawości zdejmował z kogoś karę śmierci.

Silarus zorientował się, że złotowłosa służąca jest wyjątkowo ładna i postanowił skupić na niej całą swoją uwagę.

- Szanowni goście! – dosiadający kasztanowego ogiera Trian Agver uniósł przylibcę swego hełmu, rozkładając wdzięcznie ramiona. – Wasza Wysokość, Wasza Mądrość, Wasza Łaskawość, Wasza Piękność i Wasza Miłość, drodzy haroni i haronee, szanowny generale, cni lyrrowie i lyrre, Modrzy Rycerze, pozwolę sobie podsumować, wszyscy niezwykli ludzie

będący radosnymi świadkami połączenia naszych rodów mażeństwem moim i Ceadmille z rodu Davadenów...

Ceadmille uśmiechnęła się, a po publiczności przeszedł cichy powiew radości i zachwytu.

- Chcemy uczcić naszą uroczystość skromnym turniejem rycerskim, który jednak zadziwi was swoją widowiskowością, albowiem zebrały się tu sami najlepsi! Przyszli Modrzy Rycerze, przyszli generałowie strzegący granic Świętej Unii i ja, przyszły Haron Mądrości, zmierzymy się przed waszymi oczami na koniach, ubitej ziemi i łodziach! Zatem, bez zbędnej gadaniny, Wasza Wysokość, czy możesz poświęcić arenę w imię Szarego Człowieka?

- Z przyjemnością – odparł Myron i rozrzucił zamaszystym ruchem garść owoców szkarłatnoliścia. Na ubitej ziemi pojawiło się kilka plam przypominających krew tak piękną i sztuczną, jakby używaną przez trupę podróżnych aktorów.

Ale nie tylko ręka króla się poruszyła, choć ruch innej zauważała tylko Cerro. Wypadł z niej tylko jeden mały owoc. Cerro spojrzała pytającco na Kaia, marszcząc brwi.

- No co? – mruknął. – Wszystko w imię Szarego Człowieka powinni robić haroni.

Potyczki konne byłyby właściwie dyscypliną nieobecną wśród rozrywek najwyższych klas społecznych Świętej Unii, gdyby nie pradziadek Myrona i Cerro, Farron VIII, który zakochał się w tym sporcie podczas kilkuletniego pobytu w Ronedanie. Mieszkańcy jego ojczyzny nie lubili dźwięku, jaki wydawały konie, kiedy upadały, nie lubili tego, że czasem nie wstawały, a najbardziej nie lubili marnotrawstwa surowca na rzeźbienie kopii, których jedyną rolą było zostanie skruszonymi podczas jednego krótkiego starcia. Haroni w otoczeniu króla Farrona nie rozumieli fenomenu kopii tak bardzo, że zirytowany władcą podczas jednego z turniejów nakazał wymienić je na azyrydy. Te, co prawda, nie łamały się z taką łatwością, ale ostrza wbijały się w krtanie i brzuchy wojów, marnując nieco cenniejszy surowiec. Od tamtej pory potyczki konne pozostały częścią turniejowego repertuaru w oryginalnej formie, choć stanowiły „rozgrzewkę” przed tym, co naprawdę widzów interesowało.

Rywale zostali podzieleni losowo, i w ten sposób Trian stracił z konia Rue Hylesa, Gastian Karip ippo Milva z Alkaidei, ippo Narci z Holeumen spadł z konia po podcięciu nóg wierzchowca Timota Kastirrona, ippo Serun z Malchoidei zwymiotował w swój hełm, kiedy przez trzy starcia dzielnie opierał się kopii porucznika Zefra Zoladena, a Filon Imis wyleciał w powietrze z takim impetem, że sam Syrakus z Gail ściągnął lejce konia, zdziwiony swoją siłą. Kiedy nadeszła druga, znacznie bardziej interesująca konkurencja, służący z zamku

musieli dowieść dodatkowe beczki wina, a niektórzy na widowni przechadzali się pomiędzy rzędami, gawędziąc beztrosko.

Choć i w pojedynkach na ubitej ziemi obowiązywało losowanie, pierwszeństwo miały osobiste porachunki, które przy okazji każdy mógł sobie honorowo rozstrzygnąć. To dzięki temu zwyczajowi te pięć lat temu Silarus i Kai mieli okazję pozabijać się przy świetle i aprobatie tradycji...

- Anoleisie z Euterpe – stary Davaden odczytał z kawałka pergaminu. Anoleis, który z jakiegoś powodu zrezygnował z udziału, drgnął. – Przykro mi, ale mój zięć musi wyzwać cię za wczorajszy incydent, w czasie którego zepsułeś wszystkim uczęte, oraz uraziłeś Harona Sprawiedliwości. Stawaj.

Ogólnie rzecz biorąc, Anoleis rozłożył Triana na łopatki, na co aż miło było Silarusowi patrzeć. Trian skończył z bokiem opatrywanym przez giermków, a Anoleis z dość beznamiętnym wyrazem twarzy powrócił na swoje siedzenie na widowni, by ustąpić miejsca następnej parze, tym razem jakimś szlachcicom tak mało znaczącym, że Silarus nie znał ich imion, i tak żałosnym w fechtunku, że Myron musiał przerwać pośmiewisko, ogłaszaając remis.

Następna walka, pomiędzy ippo Syrakusem a lyrrem Carilem Pankulem, była wspaniała. Nikt nie miał pojęcia, o co im poszło, ale musiało to budzić w nich wielką pasję, ponieważ obaj wybitnie posługiwali się azyrydami, a ogień buchał z ich oczu imięśni. Cerro nieświadomie wychylała nos za balustradę, próbując zapisać wszystkie ich doskonałe technicznie ruchy w pamięci. Kaia ten widok bawił bardziej niż kotłowanina u jego stóp. Piruety i wymachy, i młynki, i odskoki, i piruety, wymachy, młynki, odskoki, i znów piruety, wymachy, młynki, aż wreszcie Caril uderzył Syrakusa w rękawicę, przygważdżając ją do ziemi. Myron nakazał zatrzymać walkę, a Syrakus ściągnął rękawicę – krew wypłynęła spod niej, odznaczając paskudne pęknięcie na nadgarstku młodego rycerza, który zaklął szpetnie, ze zrezygnowaniem uderzając plecami o ubitą ziemię.

- Pierwsza krew – uśmiechnął się Myron, pozwalając tłumowi na wiwat. – Ale wspaniała walka, ippo, i gratuluję zwycięstwa, lyrrze. No dobra, kto następny?

Davaden zanurzył rękę w skrzyni na zgłoszenia.

- Tis Talion z Megarantu przeciwko Atianowi, admirałowi felsidów wschodnich.

Zapanowała cisza. Kai, mimo brzęczenia w głuchych uszach, słyszał rozkojarzone pytania: „Admirał? Jaki admirał?”. Widział wyrazy twarzy ludzi, którzy wiedzieli, że Atian to dwunastoletnie dziecko, które nie przyjechało tu ani z taką zbroją, ani z takim

doświadczeniem, jakie jest przydatne w Świętej Unii. Mimo to, Atian zdjął z szyi lornetkę i dumnie zszedł na arenę. Tis Talion, ogromny, zabliźniony rycerz, zaraz po nim.

Nastąpiło poruszenie, choć nikt Atiana nie zatrzymywał. Silarus wstał i widać było, jak jego usta poruszają się, ale Atian nie udzielił żadnej odpowiedzi. Kai tylko patrzył, wybałuszając oczy, jak trzy razy mniejszy chłystek w koszuli bez rękawów staje naprzeciwko ogromnego rycerza w pełnej zbroi. Widział też Silarusa dopadającego barierki po drugiej stronie. Nie słyszał, co krzyczał do Atiana, ale Atian wciąż nie odpowiadał.

Modrzy Rycerze, ponieważ było ich tylko sześciu najwybitniejszych, mogli wybrać broń inną niż azyryda, aby ułatwić swoim przeciwnikom zadanie.

- Katowskie miecze, proszę – przemówił. – Zobaczysz, czym jest ciężar władzy.
- Co takiego?! – krzyknął Kai, zrywając się ze swojego miejsca. – To bluźnierstwo!

Tylko Magmowy Miecz może dać wyobrażenie o ciężarze władzy, a na nie bić się nie możecie!

Atian spojrzał na niego zimno. Właśnie podano mu miecz, pod którego ciężarem ugięły się jego kolana. Kiedy się wyprostował, wbite w ziemię ostrze był prawie jego wzrostu.

- Przecież to niedorzeczne! – zawała rozpaczliwie Silarus. – Co próbujesz udowodnić, rycerzu?! Że umiesz pokonać dwunastolatka?! Co, zabrakło ci jaj na Rybaka Megarantu?!

Rycerz obrócił głowę w jego stronę.

- Ależ to on rzucił mi wyzwanie. Splamię godność Świętej Unii, jeśli go nie przyjmę.

Spojrzenia Kaia i Silarusa skrzyżowały się, zanim spoczęły na Atianie, który wciąż próbował rozgryźć użycie miecza.

- Myron, nie wygławiaj się – syknęła półgębkiem Cerro. – Unieważnij tę dziecinadę.
- Ale przecież to do pierwszej krwi – westchnął król, znudzony całym oburzeniem.
- Pierwsza krew w przypadku tego chłopaka może skończyć się całą jej utratą.
- Jestem gotowy! – obwieścił Atian.
- Widzicie? – ucieszył się Myron. – Admirał jest odważniejszy niż wy wszyscy razem wzięci. Przekonajmy się, czy za tą śmiałością stoi sprawność, czy głupota.

- Haronie! – Kai odwrócił się do Kastirrona. – Miejże litość! Nakaż swojemu rycerzowi spasować!

- I okryć hańbą Świętą Unię i mój ród? – Kastirron pokręcił głową, przybliżając kielich wina do ust. – Trzeba było przypilnować chłopaka.

- Koniec gadania, rzekłem! – uciszył tłum Myron. – Pojedynek czas zacząć!

I Modry Rycerz zaczął od razu, uderzając mieczem w nieprzygotowanego Atiana, który jednak uskoczył. Wydawało się, że ma przewagę nad przeciwnikiem z powodu lekkości i sprężystości, ale wcale tak nie było – Rycerz był sprytny, szybki i skoczny tak samo jak admirał. Jemu w końcu udało się zrobić zamach klingą, jednak tak niemrawy, że wbiła się ona w ziemię, a rycerz zwyczajnie od niej odspacerował. I Atian uciekł przed ciosem, puszczając rękę do swojego miecza, po czym pobiegł w kółko, i kiedy wojownik wciąż liczył, że go dosięgnie, Atian spróbował wskoczyć na jego plecy.

Reakcja Modrego Rycerza była natychmiastowa – po prostu, mało zgrabnie, rzucił się plecami na ziemię. Kai uświadomił sobie, że zasłonił uszy rękami, a i tak słyszał chróbot kości Atiana. Arena zamilkła, aż rycerz się podniósł i ukłonił przed Atianem, który uniósł z wysiłkiem głowę. Z ust leciał mu wodospad krwi.

Wszystko skończyło się tak szybko, że Silarus i Kai nie zdążyli usiąść, a Cerro zwolnił uścisku palców na podłokietnikach krzesła. Atian nie miał giermków, którzy od razu pozbierali go z ziemi. Wszyscy po prostu przyglądali się w ciszy, kiedy ten skręcał się w torsjach, a jego mięśnie drżały, wykręcone pod nienaturalnymi kątami, aż Kai, Cerro i Silarus znaleźli się przy nim. Kai uniósł ciało Atiana, którego kończyny zwisały bezwładnie, i odbiegł natychmiast w stronę namiotu lekarskiego, przytrzymując mu głowę. Cerro odwróciła się i splunęła tisowi Talionowi prosto na napierśnik ozdobiony herbem Kastirronów. Powiedziała jedno słowo, którego nikt nie usłyszał, a po którego wypowiedzeniu popędziła za Kairem. Silarus wciąż wbijał wzrok w ślad po ciele Atiana, który wyglądał, jakby zwalił się na niego koń.

- No – przemówił pobladły Myron. – Wygrał bezapelacyjnie tis Talion z Megarantu, lecz admirał Atian... walczył bardzo dzielnie...

Nikt nie klaskał. Nikt nie wiwatował. Talion z Megarantu ocierał ślina z białego pelikana na błękitnym tle.

Kiedy miecz Silarusa świsnął, Talion zdołał się uchylić. Zdołał nawet przyjąć parę ciosów na zbroję, na której pozostały znaczce pelikana bruzdy. Nie zdołał jednak podnieść katowskiego miecza, zanim uderzył plecami w łóżę nowożeńców. Talion miał wrażenie, że słyszy swój własny krzyk, podczas gdy miecz Silarusa nie przestawał uderzać silniej i szybciej.

- SILARUS! – ryknął ktoś z widowni, a Silarus przestał.

Tis Talion przewrócił się. Ostrze wisiało tuż przed jego twarzą, zdecydowane i nieruchome.

Pułkownik machnął ostatni raz. Na widowni rozległy się piski. Gęsta krew zalała oczy Taliona. Kiedy uprzytomnił sobie, że nie był to ostatni widok, jaki widział w życiu, starł ją i zobaczył przed sobą giermków i medyków, którzy krzywili się na widok głębokiego cięcia biegnącego przez oba jego policzki i nos.

\*

Nie powiedziały nikomu. Iver nie wiedziała, dlaczego, ale nie powiedziały nikomu.

Noc była chłodna, ale niedługo będzie w ciepłym Ariano. Kiedy będzie w Ariano, zobaczy się z rodziną. Ten koszmar się skończy albo chociaż na chwilę ustanie. Koszmar bólu między nogami i smrodu potu, i dźwięku wyzwisk w uszach. Iver nigdy wcześniej nie słyszała słów, których używał Darion, kiedy próbował spłodzić z nią syna – mówił je jednak takim tonem, że Iver nie miała wątpliwości co do ich charakteru.

Zawsze myślała, że mężczyźni to lubią. Zawsze tyle mówili o tym, jak nie mogą doczekać się nocy poślubnej, więc chodzili do domów rozkoszy. Nie mogli się nasycić nawet po ślubie, więc szukali otwartych ramion kochanek. Ale Darion czuł do niej tak ogromny wstręt, że nie mógł czerpać z tego żadnej przyjemności. Smutne, że oboje musieli się do tego zmuszać, jednak oboje walczyli o przetrwanie.

O to samo walczyła Syrena, i może w końcu to zrozumiała, bo tej nocy nie płakała. Było cicho i było chłodno, Mel nie spał na dworze i Iver prawie zasypiała, kiedy usłyszała przekleństwa Ikkara i odgłosy wymiotowania. Upewniła się, że Darion śpi, i wychyliła się z namiotu – diakorr klęczała ze spętanymi ciasno kończynami, naga, wymiotując, prawdopodobnie przez to wyrzucona z namiotu. Iver schowała się, bo nie chciała być zauważona i nie chciała widzieć – ale dźwięki pozostały. Rozległo się plaśniecie, którego Iver nie mogła zignorować – diakorr wpadła we własne rzygi.

Iver wyszła z namiotu ze ścierką, by umoczyć ją w strumieniu. Wróciła do diakor, która nawet nie łkała, i zaczęła obmywać jej ciało. Żadnych protestów, kiedy Iver przewracała ją na drugi bok. Żadnego wierzgania, obrażania... Jej strój z udathry leżał wciąż w ognisku, nie do końca strawiony przez płomienie. Barwna łuska Syreny nie wydawała się już tak lśniąca, jej mięśnie tak silne...

Kiedy Iver skończyła, weszła do namiotu i położyła się tak, by wciąż widzieć Syrenę. Widzieć, jak próbuje usiąść i uświadamia sobie, że jej więzy są przecięte. Patrzy na nie z niedowierzaniem. Staje na dwóch nogach. Prostuje się, ogromna i pełna godności. Bierze z paleniska szczątki swojego stroju. Łzy rozmyły obraz w oczach Iver, a kiedy znów się

poprawił, Syreny już nie było. Zniknęła bezszelestnie. Wróciła do swojego plemienia, które zajmie się nią i jej dzieckiem, i przywróci blask jej łuskom i siłę jej ciała.

Łzy na policzkach Iver były ciepłe i słodkie.

\*

Atian spał. Owinięty magicznymi opatrunkami, które wypuszczaly z siebie ostry zapach pokrzyw, wydawał się spokojny, chociaż wcześniej musiał poradzić sobie z nastawianiem połamanych kości i zatrzymaniem krwotoku w brzuchu. Przysiągł sobie też, że nie będzie płakać, przez co puściła mu się krew z nosa – ale nie uronił ani jednej łzy.

Teraz spał, wyczerpany, mokry od potu i uśmierzających bólu maści, a nad nim, w blasku księżyca, wciąż siedzieli Kai i Cerro. Wcześniej byli też Silarus, a nawet Pinovar, ale w końcu Yazor i Immala wezwali ich do siebie. Dużo osób przyszło powspółczuć, dużo ważnych ludzi pozałamywały ręce. Mniej ważni, jak służby i drobni rycerze, zostawili skromne podarunki.

Był też sam tis Talion z Megarantu, z paskudną, ale prędko opatrzoną szramą biegnącą w poprzek twarzy. Oboje nawet na niego nie spojrzeli.

A teraz siedzieli, sami, w blasku świec, milczący i zagubieni we własnych myślach. I nagle świece zgasły.

- Idźcie spać – szepnęła naczelna medyczka. – Z niczym mu już dzisiaj nie pomożecie. Wszystko będzie z nim dobrze.

- Będzie tak samo sprawny? – spytał twardo Kai.

Medyczka zawahała się.

- Będzie chociaż chodził?

- Idźcie spać. Haronie, Wasza Miłość. Błagam.

Odeszli posłusznie. Szli przez błonia i ogród, wzdłuż ściany areny i czarownego strumienia. Wszystko było opustoszałe, jeśli nie liczyć służby. Weselni goście oglądali wyścigi łodzi u stóp klifu.

- Wódz Toth mnie zabije.

Kai opadł na ławkę, podciągając kolana pod brodę. Cerro usiadła obok.

- Możliwe – odpowiedziała cicho. – Ale może zrozumie.

- Że co? Że nie umiałem upilnować jego syna?

- Nie, że... Atian jest głupi, a Talion okrutny. To nie do końca twoja wina, skoro Atian zgłosił się w tajemnicy i przecenił własne... To tylko dziecko, prawda?

Kai westchnął głęboko. Para służących chichotała w oddali, sprzątając po nieobecnej szlachcie.

- Nie wiem... Chyba nie. To po prostu nie jest człowiek stąd. A my widzimy w nim dziecko.

- Albo jest dzieckiem, któremu komuś udało się wmówić, że nim nie jest.

Zza drzewnej kurtyny oddzielającej Ariano od Wielkiej Wody dobiegły ich uszu wiwaty na cześć zwycięzcy wyścigu.

- Felsidzi uczą, żeby zawsze mierzyć siły na zamiary – powiedział Kai. - Najważniejsze jest przeżycie. A tutaj nagle jakiś honor, tradycja, władza... Każdy obcy, dwunastolatek czy nie, dostałby zajoba, próbując się w tym połapać.

- Nie tylko obcy. Czasem ktoś stąd może próbować i nic nie pojąć.

Kai spojrzał na nią z ukosa. Nie odwróciła wzroku.

- Mówisz teraz o mnie? Że ja nic nie pojmuje?

- Wyobraź sobie, że ten pech spotyka nie tylko ciebie.

Kai przeniósł spojrzenie na trawę pod ławką. Obok niej biegła pięknie wyrzeźbiona ścieżka. Zdążył już zapomnieć, że od paru dni cały czas wdycha woń pomarańczy i oceanu. Teraz przypomniał sobie na nowo i przyprawiło go to niemal o zawrót głowy.

- Myślałem, że zrobię sobie tutaj wczasy od pracy – uśmiechnął się do samego siebie.

– Wczasy, zanim w mojej pracy nastanie nowa era. Ale i ty, i Atian zadbałeś, żeby się nie rozleniwił.

- Z tego, co pamiętam, byłeś wczoraj oburzony, że straciłeś okazję na rozmowę z Yazorem. Kiedy dokładnie planowałeś się rozleniwić?

- I znów masz rację. Powinnaś robić lepszy użytek ze swojej przenikliwości niż tylko wkurwianie ludzi.

Wstała jednym zmęczonym, ale dziarskim krokiem.

- Myślałam o moim długu wdzięczności – oznała, splótłszy dlonie w królewskim geście. – Za wczoraj.

- Powiedziałem ci, że żona wobec męża nie ma...

- Ale ja mam. Nie jesteśmy mężem i żoną, nie tak naprawdę, i nie pozwolę, żebyś kiedyś mnie tym... napadem żaru pasji szantażował. Odpłacę ci tym, czego pragniesz, a w zamian nie chcę już nigdy słyszeć o tym, co się wydarzyło i co dla mnie zrobiłeś.

W dół piersi Kaia spłynął gorący dreszcz. Przyglądał się Cerro z rozchylonymi ustami i mrugającymi w zdziwieniu oczami.

- I czym mi zamierzasz odpłacić? – zapytał. – Czego takiego mogę pragnąć?

- Magmowego Miecza – oznajmiła z gorzkim triumfem. – Podzielę się nim z tobą.

- Mhm.

- Nie cieszysz się? Będziesz miał teraz dwa. Będziesz najbardziej harońskim haronem w historii.

- Cieszę się niezmiernie. Gdyby jeszcze ten miecz umiał uzdrawiać...

- Atian będzie miał najlepszych uzdrowicieli. Zadbam o to. Dług wobec niego też powinnam spłacić.

Kai przytaknął z wolna, nieco otępiący, lecz wdzięczny.

- Idę kazać przygotować nasz powóz tak, żeby Atian mógł w nim leżeć – oznajmiła, poprawiając dół swej sukni. – Kiedy zajedziemy do Naucenemes, zima będzie już trwała w naj...

Gdy wymijała ławkę, dłoń Kaia bardziej musnęła niż dotknęła dłoni Cerro. Szarpnęła nią jednak natychmiast i chwyciła się w nadgarstku jak poparzona.

- Już nie musisz mnie dotykać, jasne?

- Chciałem tylko... Dziękuję. Za Miecz i za przejmowanie się Atianem.

- Już ci powiedziałam, że spłacam wobec niego dług.

- Ale nie musiałabyś. On by cię nie szantażował.

- A chuj go wie. Nigdy nie wiadomo, co z takich dzieciaków wyrośnie.

Kai uśmiechnął się szeroko i przyjaźnie, a Cerro odwzajemniła się czymś, co bardzo ciężko nazwać pełnoprawnym uśmiechem, ale nie było wrogim grymasem. Potem odeszła, świecąc żałobną bielą w zachodzącym słońcu. Kai westchnął głęboko, jakby cały ten czas wstrzymywał oddech – cały ten czas, odkąd wysiadł z powozu pod rezydencją Davadenów i zaciągnął się narkotyczną wonią pomarańczowych plantacji.

\*

Wszystkich wyrwał ze snu spanikowany Ikkar i skrzek jego papugi.

- Syrena uciekła! Szary Człowieku, uciekła!

Wszyscy przetrząsali obóz, drżąc na widok własnego cienia.

- Może nas wszystkich pozabijać lada moment! – wrzeszczał Braas ze strzałą napiętą na cięciwie.

- Szukajmy, szukajmy... Zabrała linę!

Wszyscy spojrzeli na siodło jego konia.

- Linę... Ze wszystkich rzeczy...

Mel był pierwszym, który rzucił się do lasu, akurat w miejscu, w którym Iver udawała, że ochoczo szuka śladów diakorr. Chętnie ruszyła za nim.

I szli sami przez chaszce, Iver z sercem lekkim jak piórko, obserwując kruczoczarne warkoczyki Mela podskakujące przy każdym jego napiętym ruchu. Nagle się zatrzymał.

- Nie patrz, Iver.

Ale Iver spojrzała.

Syrena zwisała z gałęzi ciemnego drzewa z pętlą na szyi, lekko kołysana wiatrem. Ubrana w pozostałości swego stroju, z długimi włosami rozwianymi jak pajęczyna, z wyblakłą łuską i trupio bladą niewytatuowaną połową twarzy.

W jednej chwili Iver była w objęciach Mela, jego dłoń na jej oczach, jego palce zaciśnięte na jej ramieniu, palące żywym ogniem, będące jedyną rzeczą, która musiała być prawdziwa w tym otępiającym, fałszywym koszmarze.

- Wracaj do obozu, Iver. Wracaj i nie oglądaj się za siebie.

Tak zrobiła, ale nie zdążyła zatkać uszu, zanim w lesie rozbrzmiał krzyk Ikkara.

\*

Mimo, że siedzieli w powozie, po wjeździe do prowincji Cos nałożyli futra i opatulili nimi Atiana. Z ich oddechów powstawał biały dym. Wszystkie bukiety kwiatów, które dostał zraniony admirał, marzły tam razem z nimi. Leżał na posadzce powozu pomiędzy siedzeniami Kaia i Cerro, wyślizgując się z nieprzytomności i z powrotem w niej zanurzając. Było tu z pewnością cieplej i wygodniej niż w siodle, choć Cerro z Kаем i tak chuchali w rękawice i pociągali czerwonymi nosami. Hirne merdała ogonem przez sen, wtulając się w bok Atiana.

Kai zakrztusił się dymem z fajki i przekazał ją Cerro. Ta nawet nie oderwała wzroku od lektury *Przeklętego nurtu*, kiedy włożyła koniec fajki do ust i wypuściła imponujący biały kłęb. Jej oczy biegały od lewej do prawej, a bruzda pomiędzy prawie przezroczystymi brwiemi robiła się głębsza i głębsza.

Królewski pochod jechał przez Naucenemes, które było dziwnie tłoczne i głośne, jak na środek zimy i epidemii. I Myronowi wydawało się, że tłum coś krzyczy. I każdy podchodził do kolumny, ale wcale nie do wspaniałego, królewskiego rumaka otoczonego wianuszkiem strażników ze Wściekłą Wilczycą na piersi, ale do karocy, którą podróżowali Kai i Cerro. Silarus, który jechał tuż przy powozie, zaklął i popędził rumaka przygważdzanego przez tłum wyciągający ręce do okna, by jak najpierzej znaleźć się w Modrym Oku. Teraz, kiedy mieszczanie podeszli tak śmiało tak blisko, Myron zauważył

małe, czarne książeczki w ich dloniach, które wyciągali w góre i którymi walili w drzwi powozu. I Myron usłyszał też szeleszczący dźwięk zdania, które wypowiadali.

- Najszarszy Haronie, dziękujemy! Najszarszy Haronie, dziękujemy!

Ktoś śmiały machał tą książeczką tuż przy jego siodle. Myron złapał ją ze złością i przekartkował, by znaleźć tytuł.

*Kodeks Harona w służbie Świętej Unii.*

- Najszarszy Haron nas wyleczył! Najszarszy Haronie, jesteś najszlachetniejszy z nas wszystkich!

Okno karocy się otworzyło, i zanim Kai zdążył cokolwiek powiedzieć, tłum połknął go i poniósł daleko, daleko, wrzeszcząc i wychwalając. Cerro wystawiła głowę z powozu i cały pochód zatrzymał się, by obserwować Kaia raz ginącego, raz wyłaniającego się z fal gawiedzi, która wreszcie wtłoczyła go na rynkowe podium miejskiego pregierza, gdzie, ku zdziwieniu Myrona i furii Cerro, stała Chevita ubrana w różowe futro, i przywitała pijanego ekscytacją Kaia skinięciem głowy.

Przed nią, jakimś cudem wbite w podium, sterczały tępce ostrza dwóch pięknych, ogromnych, czarno-szkarłatnych Magmowych Mieczy.

- Wszyscy tu zebrani! – krzyknęła magini, przyciskając do serca *Kodeks*. – Oto wasz Najszarszy Haron, Haron Sprawiedliwości i Prawdy! On dał wam wieczne remedium na zimową gorączkę i pamięć o tym, co zapomniane!

Tłum zawył, a Kai uśmiechnął się jak idiota, chwytając za obie chropowate rękojeści.

## ROZDZIAŁ VII

Od powrotu z Ariano Kai przebywał w jakby magicznym wymiarze rzeczywistości. „Najszarszy Haron”, choć brzmiał niedorzecznie, nie był tylko pustym tytułem w ustach biedoty, która nazwałaby tak każdego szlachcica częstującego ją kromką chleba, ale pełną dyskomfortu drwiną w ustach haronów z rodowymi herbami na piersi. Kai słyszał, jak czasem podczas zborów wymawiali termin mimowolnie, karcąc się w duchu albo i prychając na głos ze zdenerwowaniem, które Kaia więcej niż satysfakcjonowało. Teraz wszyscy mieszkańców zamku kłaniali mu się w pas, piśmienną służbę widywały zatopioną w *Kodeksie*, a niektórzy nadgorlicy znali go lepiej niż on sam. Myron łypał na niego bardziej złowrogo, a Silarus bardziej strachliwie. Atian jeszcze nie wrócił do pełni sił na tyle, by znów mu towarzyszyć, i można mu było wychodzić ze skrzydła szpitalnego tylko raz na dzień. O tym, co się stało, uparcie nie chciał rozmawiać.

Tylko nastawienie Cerro się nie zmieniło. Nieważne, że Kai właściwie uratował jej życie. Nieważne, że zwiększył liczbę jej lekcji. Nieważne, że i tak planowała podzielić się z nim tym głupim mieczem – fakt, że wysłał do wracającej z Alkaidei Chevity notkę, żeby odnalazła ostrze, przekreślił wszystkie cieplejsze uczucia, jakie Cerro mogła zacząć do niego żywić. Dalej patrzyła na niego z pogardą, dalej spała na łazienkowej posadzce wraz z psami i dalej każda ich chłodna rozmowa kończyła się wybuchem.

Co jednak dziwne, teraz, kiedy dwa razy w tygodniu udawali się ćwiczyć na polanę, postępy w treningu Cerro stały się tak wyraźne, że Kai zaczął patrzeć i na nie, i na nią z zupełnie nowej perspektywy. Ćwiczenia nie były już tylko jego protestem przeciwko płciowej niesprawiedliwości, początkiem kulturowej reformy, ani jedyną skuteczną metodą na jako takie udobruchanie swojej małżonki – Cerro miała potencjał. Nie mógł przypisać tego wrodzonemu talentowi ani genetycznym predyspozycjom. Cerro nie miała odpowiedniej kondycji, odpowiedniego refleksu, odpowiedniego sposobu oddychania, odpowiedniej krzepy, odpowiednich mięśni. Nawet jej kości pozostawały sporo do życzenia. Nie miała przyzwyczajeń wojoownika trenowanego od dziecka – poruszała się powolnym, posuwistym krokiem, ręce najczęściej trzymając splecone. Bardziej niż na giętkości, skupiała się na wynioszej sztywności, a jej duma szła zawsze krok przed każdym jej ciosem. Kai wiedział, że zdoła nauczyć ją podstaw, ale nigdy nie uczyni jej nawet przyzwoitym wojoownikiem – będzie umiała tyle, by zaskoczyć przeciwnika, być może tyle, żeby kupić sobie nieco czasu przed ucieczką. Ale Cerro przekroczyła jego najśmieszniejsze oczekiwania.

Kiedy chodziła po zamku, nie widać było żadnych zmian w jej ruchach, lecz kiedy znajdowała się na polanie, z drewnianym mieczem w ręce, jej nogi zginały się jak na zwołanie, a ręce odskakiwały od ciała, pozwalając zachować lepszą równowagę i elastyczność. Była silniejsza, szybsza, sprytniejsza, ze wzrokiem bezsprzecznie skupionym na przeciwniku. Kai wiedział, że musi wymyśleć sposób na poprawienie podzielności jej uwagi i nauczyć ją korzystać z atutów otoczenia – ale nie spodziewał się, że kiedykolwiek zajdą tak daleko, że będzie musiał nad tym rozważyć.

Cerro jadła znacznie więcej mięsa i piła znacznie więcej wody. Kai wrócił pewnego dnia do sypialni i zastał ją wyłożoną w progu łazienki, czerwoną od potu i zdyszaną, w wilgotnej koszuli nocnej. Na jego widok od razu zerwała się z podłogi, tym razem czerwieniąc ze wstydu, i zatrzaszając wyłamane drzwi przed jego głupkowatym uśmiechem. Dopiero potem, analizując sytuację w kółko i w kółko, Kai zdał sobie sprawę, że przyłapał Cerro na ćwiczeniach.

Czasem fantazja ponosiła go do zupełnie, oczywiście, nieprawdopodobnej przyszłości, w której Cerro przestanie się na niego boczyć, dostrzeże sens jego działań i będzie wybitną wojoyniczką, może nawet jego sojuszniczką, cenniejszą niż teraz, bo nie tylko ze względu na wiedzę o zamku i relacjach międzyludzkich w jego murach, ale może nawet sprawną i chociaż odrobinę wdzięczną za szansę, która jej się trafiła. Było to, rzecz jasna, zupełnie absurdalne – choćby Kai uratował ją przed śmiercią jeszcze dziesięć razy, nie zdobędzie jej przyjaźni, a choćby ona robiła codziennie tysiąc przysiadów i machała mieczem każdego dnia kilka godzin, nie zastąpi tym wrodzonych umiejętności i wczesnodziecięcego treningu. Ale zawsze mógł pofantazjować, prawda? Z zachowaniem rozsądku, oczywiście. Bez ucieczki w kompletne urojenia, którymi ona się zapewne karmiła.

Mimo całej tej ostrożności i rozsądku był jednak, rzecz jasna, bardzo zdekoncentrowany tym całym „Najszarszym Haronem” i jej irytującym, lodowatym milczeniem, którym torturowała go nawet podczas treningów. Nie powinien się więc dziwić, jeśli ten jeden raz zdekoncentruje się do tego stopnia, że Cerro to wykorzysta, podcinając mu nogi i powalając na łopatki, prawda?

A jednak był zdziwiony. Bardzo. Nie bardziej niż Cerro, która jednak odzyskała animusza na tyle szybko, żeby uśmiechnąć się z triumfem, pokazując oba rzędy zębów. Chyba pierwszy raz w życiu widział tyle bieli w jej ustach.

- Ha! – dźgnęła powietrze tuż przed jego nosem.

Zaraz jednak jej ramię i kąciki ust opadły, kiedy przypomniała sobie, że jedynym, czym miała go obdarzać, miały być naprzemienne grymasy urazy i obrzydzenia. Lekkie, białe kryształki zaczęły opadać z ciężkiego nieba i przylepiąć się do pasm jej potarganych włosów.

Kai nie wstał ze śniegu od razu, przyglądając się jej badawczo.

- Jestem pod wrażeniem.

Jej brwi zmarszczyły się nad błękitnymi oczami gotowymi miotać błyskawice.

- Najpierw ledwo poradziłem sobie w pojedynku z Ano, teraz ty mnie powalasz...

Czyżbym stracił moją iskrę?

Cerro zdobyła się na prychnięcie.

- Nie martwisz się ani trochę, że przerośniesz mistrza?

Wzruszyła ramionami bez słowa. Kai zacisnął zęby, starając się nie wybuchnąć.

- Przecież dzielimy ten miecz tak jak chciałaś – warknął. – Wisi sobie na ścianie, możesz sobie nim pomachać, kiedy tylko...

- Nawet nie zaczynaj – syknęła, drewnianą klingą dotykając jego gardła. – Bo znajdę sobie innego nauczyciela.

- Ta? – uśmiechnął się z drwiną. - Niby kogo?

- Może Chevita mi kogoś załatwi? Zna moje kryjówki, wie, że miałam Magmowy Miecz w rękach, nie wydała mnie. To chyba wystarczająco, żeby jej zaufać, co?

Kai zmarszczył brwi. Nie podobała mu się nawet ironiczna myśl o kimś jeszcze wtajemniczonym w ich sekret. Szczególnie o Cheviecie, która zostawiła mu na dloni wypalone magią litery i pozostawała upierdliwym, lecz cennym sojusznikiem. Kai odtrącił drzewiec ze złością i wstał, otrzepując się ze śniegu, podczas gdy Cerro krążyła, zataczając leniwe kręgi mieczem.

- Kiedy przejdziemy na stal? – zapytała.

- Odzyskałaś głos?

- Nigdy go nie straciłam. Po prostu nie chciałam z tobą gadać.

- A teraz chcesz?

- Niestety, muszę, bo chcę wiedzieć, kiedy przejdziemy na stal.

Czy istniały słowa albo czyny, które byłyby w stanie ją udobruchać? Kai miał jej humorów już serdecznie dość. Nie po to tutaj przyjechał, nie po to robił dla niej to wszystko, żeby musieć użerać się z potokiem jej żółci. Znał, oczywiście, powody jej zachowania, nie uważał ich nawet za całkowicie nielogiczne... Ale niczego to nie ułatwiało.

- To był dopiero jeden maleńki triumf – zauważył.

- Już w ogóle nie czuję ciężaru miecza, nie wypada mi z ręki, całkiem nad nim panuję.  
Kiedy będzie czas na stal jak nie teraz?

Biały puch runął z nieba kolejną gęstą falą. Kai rozłożył przed sobą dłoń. Było tak zimno, że gwiazdy nawet nie topniały na jego skórze.

- Kiedy minie sezon tych oślepiających kurzaw.
- Co, jeśli kiedyś przyjdzie mi walczyć podczas śnieżycy?
- Walczyć? Niby z kim?
- Z przeciwnikiem. Mówiąłeś, że muszę umieć walczyć w sukience, więc muszę też umieć walczyć w śnieżycy.

Wyciągnął do niej rękę, a ona oddała mu miecz, od razu splatając dlonie w tym dojrzałym, wyniosłym geście. Do gałęzi, na której wisiało jej futro, niemal jednak dopłaszała. Kai wrzucił miecze do torby i narzucił na głowę ciężką obszytą futrem pelerynę z kapturem. Może nie było to zgodne z wytycznymi *Kodeksu*, ale nawet dla „Najszarszego Harona” było zbyt zimno, żeby trzymać się go z przesadną drobiazgowością.

Ruszyli w stronę jaskini służącej im za zbrojownię, widząc zza śnieżnej ściany jedynie wątłe światło księżyca.

- W sukience jesteś cały czas – burknął Kai. – Kiedy trwa śnieżycy, po prostu nie wchodź z domu.
- A jeśli ktoś mnie zaatakuje w domu?
- W twoim domu? Tym przepelnionym strażnikami z twoim rodowym herbem na piersi, gotowymi umrzeć za ciebie na zwołanie?
- Nie słyszałeś nigdy o zamachach stanu? Księżniczki też w nich czasem giną.
- Dobrze, że znasz tajne przejścia. To znacznie pewniejsza strategia niż walka z zamachowcami.
- Wiesz, co myślę? Myślę, że jesteś zazdrosny.

Brwi Kaia jakby chciały się wygiąć, ale uświadomił sobie, że cały czas były już wściekle zmarszczone. Cerro schowała złote włosy głębiej pod puchaty kaptur, dziwnie jaśniejąc po wypowiedzeniu tych słów.

- Nie jestem zazdrosny.
- Nie chcesz wiedzieć, o co jesteś zazdrosny?
- Na pewno nie o ciebie. Podciąłem nogi mężczyznom trzy razy większym od siebie, kiedy miałem osiem lat.
- I ile lat się tego uczyłeś? Mi wystarczyło kilka miesięcy
- Nazywa się to szczęściem nowicjusza.

- Chyba rzeczywiście powinnam zmienić nauczyciela. Na takiego, który mnie nie okradnie i doceni moje talenty.

- Jestem pewien, że kolejka będzie musiała z trzy razy owinąć się wokół zamku.

- Może jednak to ja powinnam iść do nauczyciela, a nie nauczyciel do mnie? Może powinnam popłynąć za Wielką Wodę?

- Gorączkujesz?

- Marzę sobie. Wiem, że miałabym kajdany na kostkach, zanim zdążyłabym zrobić krok w kierunku portu.

Kai usłyszał zgrzyt własnych zębów. Wystrzepił sobie język już wystarczająco, podkreślając, ile dla niej zrobił, a nie musiał, więc po co próbować dalej? Będzie milczał. Będzie traktował ją tak samo podle jak ona jego. A nawet gorzej. Nie będzie do niej mówił, nie będzie jej słuchał, nie będzie nawet na nią patrzył.

Cerro uniosła beztrosko dlonie, podziwiając białe płatki opadłe na jej białe rękawiczki. Były tak białe, że nie wiadomo było, gdzie się kończą, a gdzie zaczyna jej białe futro, połączone z białym śniegiem, na którym zostawała biała ślady. Cała była biała, biel przylegała do niej i promieniowała od niej jak od bajkowej Królowej Lodu, i czerń lasu wokół niej była coraz mniej widoczna spod zagęszczającej się bieli.

Odwróciła się do niego twarzą i widział teraz jej poczerwieniały nos i pukle blond włosów oblepione puchem. Jej jasne brwi uniosły się z podejrzliwością.

- Co? – warknęła.

Kai, zgodnie ze swoim postanowieniem, odwrócił gwałtownie wzrok.

- Nic.

Ruszył ku jaskini będącej ich sekretną zbrojownią, naburmuszony, zastanawiając się, czy dziwne wydawałoby się, jeśli zostałby przyłapany na ćwiczeniach wytrzymałościowych pod bibliotecznym portretem księcia Diona. Szczęśliwie, zbliżało się Riggvare i parada z okazji nowego roku, więc zamek był prawie całkiem opustoszały – nie bardziej niż biblioteka przez całą resztę roku, ale Kai i tak czerpał z tych okoliczności dodatkowy komfort duszy.

I tego wieczoru, kiedy rodzina królewska przygotowywała platformy na paradę, Kai leżał na zakurzonej podłodze między regałem z najstarszymi hekkyrskimi baśniami a leksykonami zwierząt, i unosił się i opadał, z *Kodeksem* w ręce i bólem w mięśniach brzucha, który jednak uparcie ignorował. Było mu nieco głupio, że nie znał jeszcze na pamięć całej lektury, a już nakazał ją wydrukować i rozpowszechnić, ale zaznaczał w każdym egzemplarzu i podkreślał na każdym przemówieniu, że to przede wszystkim obowiązki harona, a jeśli ktoś chce je zaadaptować do swojego życia, powinien dobrze się nad tym zastanowić, i kierować

rozsądkiem oraz ogólnie przyjętą moralnością. Zmienił też parę zapisów tu i ówdzie, jeśli były zbyt „archaiczne”, ale bardzo starał się, by sens pozostał ten sam.

Po raz drugi tego dnia zbliżał się już do ostatniej strony i jego myśli zdołały poszybować gdzieś daleko; do Atiana, który dzisiaj definitywnie opuścił skrzydło szpitalne, i Kai jeszcze z nim nie rozmawiał; do Silarusa, który być może pisze właśnie raport do ojca; do Cerro, która może bawi się chociaż odrobinę dobrze, planując wielkie parady i wybuchy, choć... w sumie rzecz biorąc, niech bawi się źle, niech bawi się potwornie. Czy Kai wrócił już może do dawnej krzepy? Miał nadzieję, bo już ledwo zipie, unosząc się i opadając, unosząc i opadając...

Skupił się na literach, bo akurat teraz zaczęły się układać w ciekawe, jakby w emocjach bazgrane zdania – o pożarze królewskiej biblioteki za Meaveletha Szarego, który był właściwie jedynym potwierdzonym przez kronikarzy wydarzeniem wspomnianym w całej książce, dzięki czemu Kai mógł umiejscowić jej powstanie pomiędzy 12 a 3011 rokiem po koronacji pierwszego z Meavelethów. Oczywiście, zakładając, że książka nie powstawała przez długie dziesięciolecia, o których mówił haron Maginot. *Kodeks* nie miał żadnych ozdobnych inskrypcji ani rycin, a jednak te same litery często różniły się od siebie na różnych stronach. Autor wpisu o pożarze bardzo ubolewał nad utratą zbiorów i naukowców, nazywał go „nieobliczalną tragedią” i „momentem upadku Świętej Unii”. Warto zapamiętać, był to solidny materiał do przemówień.

Autor kończył bardzo suchą notką o tym, że Dion, krwiożerczy brat Meaveletha Szarego, ten, który zabił go dla przyjemności, i lubował się w wampirzycach, „zadbał o przetrwanie kilku informacji”. Tyle. Była to bardzo kontrowersyjna nowina – książę Dion był chyba najbardziej plugawą postacią w historii Świętej Unii, a jednak zrobił coś takiego, mimo bycia głównym podejrzewanym w sprawie pożaru, jak twierdził choćby Kandick Illiam w *Korzeniach Mocarstwa*. Zresztą, może zrobił i to, i to, i była to jakaś polityczna gra?

Kai wiele razy wracał do tej strony i innych fragmentów, zwykle w sypialni, wcześniej jeszcze na statku Uliasa Odkrywcy, i nie bardzo wiedział, co z tą informacją zrobić. Ta strona była jedną z tych, które zdecydowały się pominąć przy druku. Nie był jej po prostu jeszcze do końca pewien i czuł, że musi ją rozgryźć, zanim zacznie nadpisywać karty historii stworzonej w erze, w której zaczęto prowadzić skwapliwe kroniki nie zająkujące się o tych rewelacjach nawet słowem. Nie wiedział, czy sam akceptuje tę nową, mętną prawdę, więc jak mógł oczekiwac jej akceptacji od innych? Jak może te liczące trzy tysiące lat wiadomości zweryfikować? Gdzie mógłby znaleźć więcej informacji o wydziedziczonym przez historię Dionie? Czy warto w ogóle podążać tym tropem?

Myśli te przebiegły przez zroszoną potem głowę Kaia leniwie, aż jego wzrok trafił na róg strony. Jego tors zawisł w powietrzu pod niewygodnym kątem jak sparaliżowany. Nie było tu tego wcześniej. Nie było czarnej plamy zrobionej grafitem, spod której wykwitały jaśniejsze słowa napisane niewidzialnym atramentem.

*Dionowi wystarczyła złota moneta  
By krew splamiła dlonie króla Meaveletha*

Kai usiadł, zdjęty przerażeniem i podnieceniem równocześnie. Ktoś majstrował przy jego dzienniku. Ktoś przy nim majstrował i ukazał mu nową wskazówkę. Kiedy? Kto? Co to znaczy? Słowa brzmiały złowrogo i bardzo niepokojąco. Coś nie pasowało mu w „dłoniach” – biorąc pod uwagę okoliczności śmierci Meaveletha, czy nie powinno być „głowę” albo „skronie”? Tak, „skronie” lepiej by pasowały. Zgadzałyby się i sylaby, i rym. A jednak są „dłonie”.

Kai nagle poczuł, że wcale nie chce być sam na podłodze w ciemnej bibliotece, w opustoszałym zamku, ze starym Riusem błąkającym się gdzieś między regałami. Zatrzasnął książkę, wstał i ruszył do wyjścia.

Ale ktoś na niego patrzył. Ktoś śledził go wzrokiem. Kai odwrócił się i zobaczył wiszący na ścianie portret Diona.

Wyciągającego do niego rękę.

Po zapłacie.

*Dionowi wystarczyła złota moneta  
By krew splamiła dlonie króla Meaveletha*

Kai wrócił do obrazu. Dotknął go. Nic nie poczuł. Nic ze złej magii, o której mówiła Chevita.

Złota moneta.

Wyciągnął cersena i parę nudów, które miał w kieszeni. Cersen był srebrny, nud rudawy. Żadna z monet nie była złota, ale... Może to tylko metafora?

Przyłożył cersena do dłoni Diona. Tak jak ostrzegała go Chevita, nic się nie wydarzyło. Wystarczy jedna moneta, jest to podkreślone, ale skąd on weźmie złotą monetę? Za Wielką Wodą było mnóstwo walut. A może tu, w Świętej Unii? Mieli kiedyś przecież złote izosy, Chevita też ich używała, ale może w złej ilości?

Więc moneta. Co dalej? Krew, dlonie, król Meaveleth. Dlaczego Meaveleth mógł mieć splamione krvią dlonie? To symbol zbrodni albo kary, to może być krew jego wrogów albo jego samego. Kto był największym wrogiem Meaveletha? Niewiele o nim wiadomo, tyle, że wszyscy go kochali... Dion. Dion był jego największym wrogiem. A płynęła w nich ta sama krew.

Te dywagacje szły zbyt daleko, ale... dlonie. Nie skronie. Czyli Meaveleth miał coś na sumieniu, został za coś ukarany... Za co? Odpowiedź była blisko, gdzieś bardzo blisko, Kai czuł jej zapach...

Moneta. Moneta i krew. Zapłata i zbrodnia, zabójstwo, mord. Dion pracował jako najemnik, każde dziecko zna tę legendę, Chevita mu o niej ostatnio przypomniała, czy to ona mogła ukazać mu tę wskazówkę?... Może zbiory z biblioteki Dion też uratował za pieniądze? Ale co ma z tym wspólnego Meaveleth Szary?

Krew.

Skąd on weźmie krew Meaveletha?

Z zamku, w którym mieszka czterech jego potomków, w których żyłach wciąż płynie jego krew.

Ale ta krew ma trzy tysiące lat, może tam nie ma nic z Meaveletha? Może jedyne, co z niego zostało, to nazwisko? Ale wciąż...

Moneta i krew. Moneta i krew. Moneta i krew...

No i te dlonie...

Coś wymyśli, coś na pewno wymyśli, moneta i krew, i dlonie...

- Dobry wieczór.

Kai krzyknął. Naprawdę krzyknął, a krzyk ten odbił się echem od kamiennych ścian biblioteki. Rius musiał być okropnie głuchy, skoro nawet nie podskoczył, a do tego uśmiechał się blogo.

- Przepraszam, Riusie... Tak tutaj ciemno... A, właściwie, wiesz, gdzie znajdę starego izosa?

- A ja mam jednego – odparł wesoło starzec. – Do mojej komory zapraszam.

Kai na pewno nie spodziewał się, że tej nocy wyląduje w ciemnej komnacie bibliotekarza. Była ciasna przez zbiory książą na regałach ustawionych pod ścianami, a w jednej z nich widać było wysuwane łóżko.

- To moje prywatne księgi – wysapał Rius do zaciekawionego Kaja, zabierając się za to łóżko.

Kai rzucił się, by pomóc starcowi.

- Nie dotykaj moich rzeczy, haronie. To najważniejsza zasada panująca za progiem tego pomieszczenia.

- Tak, przepraszam – zawstydził się Kai, natychmiast wracając do framugi.

Rius rozłożył pojedynczy, twardy siennik i sięgnął pod niego, by wydobyć mały szmaragdowy kamyk o nieregularnym kształcie. Kai zmarszczył brwi, kiedy Rius mu go wręczył.

- Magmowy Miecz rozbije kamień. Obojętnie, z jakim napisem – mrugnął, zaciskając palce Kaia wokół niego. – Wtopiłem go dla ochrony, czekając, aż się komuś przyda.

Przez barwę kamienia prześwitywał kształt monety.

- A skąd wiedziałeś, że się komuś przyda? – spytał Kai podejrzliwie.

- Ach, coś się zawsze może okazać użyteczne, szczególnie takie cacko. To historia i tajemnica, i kosztowność zamknięta w monecie, a moneta w kamyku. Niezwykłość.

- A czy może... Zaglądałeś do mojego *Kodeksu*? Majstrowałeś przy nim?

Rius zamrugał, zdziwiony jak dziecko, a Kai nie bardzo potrafił go sobie wyobrazić podbierającego mu książkę, którą ten zawsze miał przy sobie.

- Słucham?

- Nic, nieważne... Jeszcze nie teraz, w każdym razie. Dziękuję ci i dobranoc.

- Służę, haronie.

Kai szedł do sypialni po ciemnym, pustym zamku, obracając kamyczek w palcach, które zaciskał w kieszeni. Dziwnie było nie słyszeć krzatania sług ani plotkowania dam dworu. Dziwnie słyszeć z oddali odbite echem kaszlnięcie znudzonego strażnika na warcie. Wechodzić po schodach jak po stromym zboczu, z ręką na złobionej poręczy. Malowidła na każdej ścianie Modrego Oka były przepiękne, ale przerażające w mroku.

Na końcu korytarza na czwartym piętrze portrety wszystkich królów Świętej Unii były wkomponowane w rękojeść i ostrze namalowanego Magmowego Mieczu. Kai zatrzymał się i wziął pochodnię, żeby przyjrzeć się Meavelethowi Szaremu na samym czubku ostrza. Widać było tylko jego profil naznaczony czerwoną nicią, jedno jarzące się silą i niezłomnością oko. Kai wiedział, że to bardzo wątpliwe, żeby tak wyglądał Meaveleth – żył trzy tysiące lat temu, a fresk miał ledwie dwa tysiące. Stanął jednak na palcach i uniósł pochodnię najwyżej jak się dało, żeby zobaczyć Eneisa i Myrona wplecionych w rękojeść. Eneis, młody, z szerokim uśmiechem i wesołością w oczach, w jakimś stopniu przypominał tego, którego znał Kai – siwowłosego, ale dobrośliwego i pełnego energii. Cerro odziedziczyła jego złote włosy i rysy twarzy, które czyniły z Eneisa zachwycającego mężczyznę, a z Cerro nieco mdłą kobietę. Przynajmniej z wyglądu.

Myron natomiast bardziej przydał się do nieobecnej na malowidle, ale żywej w pamięci Kaia królowej Hestii. Na portrecie jego krzywy, szpecący nos wyglądał jak dumny orli dziób. Może on i Cerro mieli ze sobą cokolwiek wspólnego... Coś, co mieli oni i ich matka, ale nie widać tego było w naturalnym Eneisie... Jakaś gra, jakaś duma i pozowanie, nawet jeśli nieudolne.

Ruszył do swojej sypialni, mijając gobelin przedstawiający elfkę uwodzącą kupca, podarunek od jakiegoś króla zza Wielkiej Wody. W tle widać było ich świętego węża, Xiyanaape, który trwał, owinięty wokół kontynentu, i sam wyglądał jak mapa całego świata. Kai słyszał, że za każdym razem, kiedy ktoś zdobywa nowy ląd albo dochodzi do podziału jakiegoś kraju, odzwierciedla się to na skórze Xiyanaape. Ile Kai by dał, żeby go zobaczyć. Albo elfa.

Mimo pięciu lat swoich podróży, nie zobaczył nic. Może sfinksa i straszliwego rybiego człowieka, który wciąż śnił mu się, jak podnosi go z jego miejsca przy ławie haronów i wsuwa sobie do ohydnych ust. Nauczył się, żeby nie jeść owoców z nieznanego źródła durnowatej i odwagi. Niczego poza tym.

Wiedział, że gdyby skręcił w drugi koniec korytarza, obok schodów prowadzących do zachodniej wieży znalazłby portret trzech ostatnich pokoleń Meavelethów - Cerro, Myrona, Eneisa i jego starszego brata, Landona, króla przed nim, zmarłego na suchoty, zanim portret został rozpoczęty. I ich młodszej siostry, zmarłej na serce, zanim portret został ukończony. I ich starego ojca z siostrą bliźniaczką Raponą, zmarłych, zanim portret został opłacony. Chevita zakleżała malowidła do lekkiego ruchu, tak jak ślubny portret Cerro, ale magia już w nim wygasła – postaci były w stanie jeszcze lekko się uśmiechnąć lub zamrugać, mała dwuletnia Cerro zmarszczyć czoło. Kai przyglądał się już temu portretowi, ale teraz nie miał zamiaru – przekręcił klucz i wszedł do sypialni.

Na łóżku poniewierały się dwa szczeniaki, które rosły jak na drożdżach. Kai pomyślał, że to chyba Jorsalos i Mavok, ale ręki nie dałby sobie za to uciąć. Były rozkoszne, białe, miękkie i tłuste, i kiedy Kai się nachylił, by je pogłaskać, natychmiast skoczyły, by polizać go po twarzy. Kai zaśmiał się i ten śmiech wydał się obcy w pustej komnacie. Sprawdził, czy nikogo na pewno nie ma, i nikogo na pewno nie było. Ta myśl wcale go nie pocieszyła.

Szczeniaki przyglądały się uważnie, jak Kai wysuwa na środek taboretu, odrzuca z niego poduszkę, i na twardym drewnie kładzie małą zieloną błyskotkę. Potem zatrzymał się nad kominkiem, by zdecydować, którego z czarno-czerwonych mieczy użyć. Nie mógł się nie uśmiechnąć na myśl o tym, że trzyma sobie miecz Yazora jako bibelot. Ciekawiło go, czy wieści o tym dotarły do Pałacu Popiółów i jaka mogła być reakcja generała. W sumie rzecz

biorąc, Rius powiedział, że Magmowy Miecz przebije kamik bez względu na napis, a Kai wciąż nie miał pewności, czy „Prawda” jest autentyczny... czy jednak, tak jak twierdził Silarus, stworzyli go zmyślni, podstępni Ludzie Nieba. Druga okazja na test może się Kaiowi nie trafić. Ściągnął więc ciężki miecz ze ściany i odetchnął w napięciu, zanim uniósł go nad głowę. Wtedy szczeniaki, w panicznym skowycie, potykając się o własne łapy, pognały do toalety.

A tępe ostrze świsnęło jak najostrzejsza stal i rozbiło kamik na dwie połowy. Kai z zaskoczeniem przyjrzał się nawet nie wyszczerbionej magmie. Upewnił się, że na pewno użył miecza podarowanego Cerro przez Pinovar, a potem jego wzrok przyciągnął błysk złotego krążka, który leżał na taborecie.

Starodawny izos błyszczał nowością. Na jego awersie Meaveleth Szary z pięścią przyciśniętą do serca, a na rewersie – jego dlonie rozłożone w geście pobożnego darczyńcy.

\*

Myron był tak irytującym, nudnym i podlonym człowiekiem, że gdyby był za to jakiś order, na pewno nazwano by go jego imieniem. Ponieważ zażyczył sobie obecności siostry podczas tradycyjnych przygotowań do parady, Kai zaszył się w bibliotece, a Atian błakał się, nie życząc sobie żadnego towarzystwa, Cerro była zmuszona zaszczycić swoją osobą te cholerne przygotowania. Siedziała na ogromnych saniach sama, jeśli nie liczyć warującego przy niej Silarusa, który pilnował, żeby Myron dobrze ją widział, a cały motłoch, dla którego była to praktycznie jedyna w roku okazja, żeby zobaczyć królewską rodzinę przez luźne sztachety w skleconym naprędce płocie, ślinił się do jej futer i ufryzowanych włosów.

- To jest ta cała Cerro? – usłyszała konspiracyjny szept jakiejś starej kwoki. – Przecież to Parchata Irra w ładniejszej sukience! Ta, to by kradła mi klientów!

Grupa brudnych ludzi nie mających widocznie nic lepszego do roboty zachichotała. Cerro poczuła, jak płoną jej policzki i odwróciła głowę od pokrzykujących do noszących fragmenty makiet Myrona i Habren, którzy bardziej przeszkadzali niż pomagali sklepionym robotnikom. Chevita stała na jakimś pogrzebowym stosie, ozdabiając go magicznymi kamyczkami.

- Jest głucha czy nieśmiała? – zachichotała w miarę przyzwoicie ubrana, otyła kobieta.  
– Aua, ty stary wariacie!

- To Najszarsza Haronea – Cerro usłyszała wątply głosik i kątem oka zobaczyła, jak wychudły żebrak opada na kolana. – Najszarsza Haroneo, pomóż mi, umieram...

Śmiech tych wyuzdanych kobiet był okropny. Brzmiał jak kaszel albo syk i Cerro nie mogła go znieść.

- Głupi jesteś, Cal – Głos tej kobiety był niebrzydki, ale Cerro nie podobał się jego ton. – Za pięćdziesiąt nudów wyssę z ciebie każdą chorobę.

I znowu ten śmiech, i krzyki starca nazywającego ją Najszarszą Haroneą. Cerro wstała, czując, że zwymiotuje. Silarus, do tej pory w spokoju popalający fajkę i na pewno podśmiechujący się pod nosem wraz z plebsem, zablokował jej drogę. Cerro spojrzała na niego rozognionymi oczami.

- Mam rozkaz pilnować księżniczki – wyjaśnił, wydmuchując dym prosto w jej twarz.

- No to mnie pilnij – popchnęła go z całej siły, lecz ten nawet nie drgnął. – Jestem w niebezpieczeństwie. Przepędź stąd tych obrzydliwców!

- Pozwól im na trochę roz...

- Jestem księżniczką i nie pozwalam na rozrywkę moim kosztem! Wypuść mnie stąd!

- Wielka z ciebie księżniczka, skoro boisz się pijanego tłumu.

- Nie boję się, tylko...

- A co, chcesz wyjść do nich, żeby z nimi porozmawiać? Powiedzieć, że Najszarszy Haron ich kocha?

- Kocha?! Jeśli kogokolwiek, to na pewno nie te męty! A ja życzę sobie wracać do zamku!

- Niestety, posiedzisz sobie tutaj, aż król nie cofnie rozkazu, żeby cię pilnować. Pomyśl o swoich niegrzecznych słowach i ich wpływie na politykę twoego męża.

Pociągnął ją za połę futra, tak że usiadła z impetem, zaskoczona.

- Jak śmiesz?! – syknęła, ledwo będąc w stanie nie eksplodować. – Co będzie dalej??

Może znowu zakujesz mnie w kajdany??

Silarus zacisnął zęby.

- Pewnie, jeśli będzie trzeba.

- Gdybym miała teraz miecz...

Pułkownik wybuchał śmiechem.

- A co? Na złość mi wbiłabyś go sobie w stopę?

- Cóż to za makabryczne sugestie? Pułkowniku, nie godzi się chyba mówić tak do księżniczki.

Sanie ugięły się pod ciężarem jeszcze jednej osoby ubranej w rudawe futro, która zmaterializowała się obok Cerro – była to panienka Ceadmille z parującą filiżanką nowego wymyślnego naparu. Lyrra Agver, jak to sobie teraz Cerro uświadomiła.

- Napar z figowca, moja droga – przekazała filiżankę Cerro. – Rozgrzewa i pokrzepia.

Odkąd przeprowadziła się na Sowie Wzgórze, do zamku Harona Mądrości, spędzała znacznie więcej czasu z Cerro, zawsze przynosząc jakieś wymyślne herbatki jako pretekst. Obywały się już nawet bez ceremoniału.

Wyglądała olśniewająco nawet bez mikaonu. Jej krągłe, mechate policzki, smagnięta słońcem skóra, ogromne kocie oczy, brunatne włosy, które teraz miała upięte w wysoki warkocz – wszystko było w niej wymuskane i dopięte na ostatni guzik jak w barwnej rzeźbie. Odkąd Cerro wyszła za mąż i nie nosiła makijażowej maski, wszyscy już widzieli, jaka jest... papierowa. Wszyscy widzieli jej piegi, których nie było na tyle dużo, żeby dodawały jej urody, ale na tyle mało, żeby były podobne do mdłych pieprzyków. Widzieli jej niemal przezroczyste rzęsy i brwi. Włosy nosiła zwykle ledwo upięte albo luźno związane i nawet nie zaczesane na gładko, bo brakowało jej na to cierpliwości, a na u fryzowanie – umiejętności. Guvernантkom pozwalała się dotykać tylko w najwyższej konieczności.

Tak więc ten jaskrawy kontrast ożywił tłum, który zaczął życzyć Ceadmille wszystkiego najlepszego z okazji małżeństwa z ich przyszłym haronem, a ona posyłała im w podzięce chichoty, machnięcia ręką i lekkie ukłony. Cerro czuła zapach jej perfum i na pewno czuł go też Silarus – i, ku swojej ucieczce, Cerro zauważała, że się skrzywił, a jego humor znacznie przygasł.

- Moim rozkazem było pilnowanie tylko jednej damy – mrucnął.

Ceadmille natychmiast się do niego odwróciła.

- Pozostawisz mnie więc samą sobie, pułkowniku?

- To zależy od Cerro. W końcu to jej własne sanie.

Cerro akurat siorbnęła nieco naparu. Rzeczywiście, rozgrzewał mocniej niż koniak. Chwilę zajęło, zanim uświadomiła sobie, że rozmówcy patrzą na nią wyczekującą.

- Och, oczywiście, że Ceadmille może zostać.

Ceadmille rozparła się na siedzeniu, a Silarus prawie zamordował Cerro wzrokiem.

- Bardzo ci dziękuję, moja droga – zaszczepiotała przyszła haronea. – A więc, czy nie przeszkadzi ci grubiąństwo pułkownika?

- Co? A, nie...

- Gdyby jej przeszkadziło, chyba już by mnie odprawiła – burknął Silarus, zaciągając się głęboko swoją pięknie rzeźbioną fajką.

- Z pewnością księżniczka jest na to zbyt litościwa – odparowała Ceadmille. – Podziwiam cię, Cerro. Ja nie mogłabym znieść takiego braku oglady.

- Słyszałem, że jesteś w stanie znieść całkiem sporo braku jakiekolwiek etyki, lyrro Agver – skontrował Silarus.

- A skąd pochodzi ta plotka? Czyżby znów zabawiał się pułkownik z praczkami?

- Praczki są porządniesze od niejednego lyrra.

- A nawet lyrry – Ceadmille zaśmiała się perliście, jakby ta wymiana przykrości sprawiała jej niezwykłą przyjemność. – Początkowe praczki są pewnie na tyle porządne, żeby być w stanie same sobie wybierać mężów, co?

- Istotnie. Wychodzą za mąż dla czegoś więcej niż rozrywka.

- Eee, może ja jednak... - wtrąciła nieśmiało Cerro.

- Brzmią jak ideał – westchnęła z rozmarzeniem Ceadmille. – Ilu z nich już się pułkownik oświadczył?

- Wszystkim.

- Ach, rozumiem. Ojciec pułkownika będzie miał w czym przebierać.

- Owszem. Nie to, co ojciec lyrra Triana.

Cerro była zszokowana, że Ceadmille jeszcze się nie obraziła. Gdyby chodziło o nią, już trzasnęłaby Silarusa w ten zdradziecki pysk co najmniej trzy razy.

Ale Ceamille znów westchnęła z kocim uśmiechem.

- Cerro, przyjaciółko, powiedz mi – wyszeptała. – Czy kochasz swojego męża?

Nieco naparu wylało się na, szczerśliwie, grube futro księżniczki.

- Takie pytanie uchodzi w Ariano za przyzwoite? – prychnął Silarus.

- Nie pytałam ciebie, markietanko dla praczek. Pytałam księżniczki.

Cerro przełknęła ślinę pod naporem ogromnych oczu Ceadmille.

- No cóż... - wybąkała, chowając twarz za filiżanką. – Pobraliśmy się wbrew naszej woli...

- W myśl pośmiertnej woli Jego Doskonałości, prawda?

- Prawda...

- A mimo to odnajdujesz w swoim małżeństwie jakiekolwiek pozytywy, prawda?

Masz szczęście. Twój mąż okazał się dobry, wyjątkowy, magiczny. Nazywają go Najszarszym Haronem. Ja nie miałam tyle szczęścia. Trian to dobry człowiek, pewnego dnia nawet haron. Ale tylko haron. Nie ma w nim żadnych odcieni szarości. Więc cóż mi zostało, jeśli nie poszukiwanie rozrywki?

- Nic... – zgodziła się Cerro, marszcząc czoło w zamyśleniu. – Nie powinno tak być. Nie powinnyśmy zmuszać się do szukania szczęścia tam, gdzie ewidentnie go nie ma. Czemu nie mogę dokonać wyboru co do własnej przyszłości? Czemu mam oddawać tak ważny

wybór w ręce ojca-nieboszczyka, wrednych braci, ludzi, którzy nie będą musieli dzielić z moim mężem sypialni?!

- Eee, może rozmawiajcie o tym trochę ciszej...

- Ty, Silarus, możesz przebierać w babach! - wykrzyknęła z pasją. - Pewnie już napłodziłeś z setką bękartów, a żadnego ożenku na horyzoncie! Ile ty masz lat, co?! Jak dawno temu osiągnąłeś odpowiedni wiek?! Dla mojego ojca było nie do pomyślenia, żebym nie miała męża w wieku ledwo dwudziestu lat! Najpierw mną sterują, bo niby jestem dzieckiem, a potem nie pozwalają odpowiadać za siebie jak za dorosłą!

Cerro myślała gorączkowo, podczas gdy Ceadmille zaniosła się serdecznym śmiechem, od którego nikomu, kto go słyszał, nie mogło się nie zrobić gorąco w środku.

- Księżniczka mówi prawdę, pułkowniku – powiedziała, znów rozpierając się w saniach. – Nie tylko ty powinieneś mieć prawo trwonić swoje życie na kobiety i bimber.

- O, tak! – wrzasnęła Cerro i nagle zwróciła się do tłumu za płotem. – Słuchajcie, wy, mnie, Haronei, i to Najszarszej, nie pozwólcie mężczyznom decydować, co macie zrobić...

Ryk, jaki wydobył się z gardła motłochu, był raptowny i przeraźliwy. Kilka sylwetek aż położyły się ze śmiechu.

- O, Szary Człowieku... - mruknął Silarus. Oderwał wzrok od zmrużonych oczu Ceadmille i ściągnął wyrywającą się Cerro z sań.

- Tak jest! – wrzasnęła, kiedy filiżanka wyśliznęła się z jej dłoni i opadła w śnieg. – I powinnyście walczyć i nosić spodnie, przecież to tylko spodnie! W *Kodeksie Harona* nie ma nigdzie zapisane, że...

- Cerro? – Silarus usłyszał za sobą głos Myrona. – Co ty wygadujesz?

- To, co sobie chcę! Podobno jestem Najszarszą Haroneą, a co?!

Lodowaty pot zlał czoło Silarusa. Myron zmarszczył surowo brwi, trzymając w ręku skrzynię prochu do fajerwerków.

- Kim jesteś? Odprowadź ją do zamku, Silarus. Wspaniale się spisałeś. Nie omieszkam wspomnieć twojemu ojcu, że nawet na służbie nie potrafisz poradzić sobie z babą.

Teraz oboje płonęli gniewem - Cerro przeklinając i sapiąc, Silarus zaciskając zęby, by nie wrzeszczeć.

Wtedy nagle rozbawiona przemową gawiedź zaczęła napierać na ostrokokół i wyciągać ręce w zgodnym kierunku, mimo strażników dżgających ich na oślep azyrydami – i Silarus, i Cerro zobaczyli drobną postać w brunatnej pelerynie jadącą na pięknym, smukłym, czarnym koniu o lodowatych ślepiach, pozdrawiającą gestem wszystkich zebranych. Straż zaczęła odpychać ludzi od płotu, a jeździec uspokoił żołnierzy, uścisnął ludziom łaknące jego dotyku

ręce, położył dlonie na głowach dzieci. Krzyknął, żeby z każdym problemem przychodzić do niego do zamku. Oczy Myrona zwęziły się mściwie.

Kai, po sklonieniu się przed uśmiechniętą Ceadmille i parą królewską, podkłusował, zdyszany, do Cerro i Silarusa, po czym nachylił się, wyciągając do niej rękę.

- Żono – uśmiechnął się serdecznie – wybierzmy się na przejażdżkę.

Silarus uniósł jedną brew, uważnie obserwując reakcję Cerro. Ta uniosła obie brwi.

- Co?

- Przejedźmy się. Słyszałem, że przygotowania do parady i tak cię nudzą.

- Nie aż tak.

- Żono. Nalegam.

Cerro pojrzala niespokojnie i na Silarusa, i na Myrona.

- Gdzie i po co?

- Nie przy zdrajcach – wyszczerzył zęby Kai. – Wskakuj.

- Nie chcę siedzieć z tobą na jednym koniu!

- Wskakuj, nie pojedziemy daleko, a tak będzie bezpieczniej. Tłum jest jakiś dziki, coś się wydarzyło?

- Twoja żona się wydarzyła – powiedział Silarus, pomagając Cerro wdrapać się na grzbiet rumaka, a choć zaplątała się we własne muśliny i futra, udało jej się odepchnąć jego rękę z wściekłością. – Samozwańcza Haronea, i to Najszarsza.

Zdołała kopnąć go w ramię obiema stopami, by odbić się i usadowić w siodle.

- No, no – zacmokał z aprobatą Kai. Był w denerwującym humorze.

- Jak mam to wy tłumaczyć Myronowi? – Silarus zmiótł jasny ślad po cholewie księżniczki ze swego munduru.

- Wy tłumacz, że zabieram moją żonę na przejażdżkę.

- Przestań mnie tak nazywać! – warknęła Cerro. – Nie chcesz przypadkiem poszukać Atiana?

- A co, zgubił się?

- Nie, ale mówił, że musi z tobą porozmawiać...

- Żono, są rzeczy ważne i ważniejsze. A teraz chwyć się mocno.

Niepewnie chwyciła za czarną grzywę lewą ręką, prawą trzymając się uzdy. Silarus podziwiał baby za umiejętność utrzymania się na koniu z nogami po tylko jednej jego stronie.

- Czy to nie jest prezent ślubny ode mnie? – zapytał podejrzliwie.

- A, tak – wyszczerzył zęby Kai. – Nazwałem go Prawda.

Cerro pewna była, że Kai specjalnie zmusił konia do podskoczenia na dwóch nogach, by pisała i chwyciła go desperacko za ramię, co też uczyniła w instynktownym odruchu. Ruszyli z kopyta, zanim zmroziła go wzrokiem.

Silarus został sam. Obserwował odjeżdżających w stronę zamkowego lasu na tym pięknym, potężnym rumaku jak parę bohaterów z legend. Nie wiedział, czemu, ale to ukłucie podejrzliwości, które poczuł, prędko przemieniło się w zazdrość. Nie bardzo wiedział, czego, ale im zazdrościł.

Musnął wzrokiem Ceadmille dyskutującą z parą królewską, która pewnie narzekała na jego nieudolne pilnowanie księżniczki. Urwał jakiegoś zeszłego badyla z gałęzi drzewa, oddalił się parę kroków i już był na polanie blisko Puszczy, która służyła do wszelkich państwowych uroczystości. Parada w dzień Riggvare przejdzie odtąd aż do drugiego końca Naucenemes - śpiewacy ze Zlewiska, akrobaci i czarodzieje z Alkaidei, największe gwiazdy ze stolicy, artyści zza Wielkiej Wody. Może lyrra Glykeria, najbogatsza kobieta w całej Świętej Unii, która zawsze szokowała strojami i etykietą. Silarus był kiedyś u niej w domu na herbacie. Gdyby lyrra miała córkę, której w posagu dałaby te wszystkie wysadzane kryształami łyżki, Silarus na pewno byłby z nią kiedyś zaręczony.

Nienawidził tego miejsca. Nienawidził Modrego Oka, Naucenemes, dworu, tego cholernego szpiegowania i haronowania. Nienawidził Magmowego Miecza z napisem „Prawda”. Konia o imieniu Prawda. I tłoku na mieście. Żebraków żyjących ramię w ramię z królem. Śniegu po kolana. Nienawidził Kaia i od razu skrzywił się po tej myсли, bo wiedział, że to nieprawda. Cerro nawet lubił. Wstydził się kajdan na jej nadgarstkach i kostkach. Wstydził się, że nigdy nie mógł powiedzieć ojcu „Nie.”. Wstydził, bo ona nie wstydziła się mu tego wypomnieć. Ale wciąż ją lubił. Atiana, który teraz błąkał się, rozważając nad swoją przyszłością, też lubił. Ale to tyle. Wszystko inne to jego bezużyteczne szpiegowanie, gromadzenie informacji, które nikomu nigdy się nie przydadzą. Jakby on chciał... Jakby chciał...

Powiedzieć „Nie.”

Sięgnął do kieszeni po swoją fajkę, ale nigdzie jej nie było. Musiał ją upuścić, kiedy szarpał się z Cerro. Znowu zrobił z siebie pośmiewisko, ona zresztą też... Silarus kucnął na jednym kolanie, wyczerpany i gotowy zasnąć snem wiecznym tutaj, na ziemi... Gdyby tylko nie ten przeszywająco zimny śnieg...

- Pułkowniku! Pułkowniku Silarusie!

Silarus uniósł głowę i uśmiechnął się lekko. Przez śnieg brodził w jego kierunku księże Kallo z drewnianym mieczem w lewej ręce.

- Chodź, pułkowniku, potknijemy się!

Silarus wybuchnął śmiechem i wstał, gotowy na szarżącego bardzo powoli wojownika. Mieczem robił perfekcyjne młynki, ale ze skutecznymi ciosami było gorzej.

- Ha! – wrzasnął i zanim zdążył ugodzić Silarusa, ten już porywał go na ręce i kręcił wokół siebie z taką siłą, że miecz wypadł Kallo z rąk.

- Ha – powiedział krótko Silarus. – I co teraz?

- Oszukałeś! – Kallo wymachiwał pięściami w przerwach od śmiechu.

- Mhm – przytaknął Silarus, wkładając miecz z powrotem w rękę księcia. – Porwałeś się na przeciwnika lepszego od ciebie. Podstawowy błąd. Czy pojedynek admirała Atiana niczego cię nie nauczył?

- Gdybym miał wtedy miecz! – wykrzyknął w gniewie. – Już by nie było wśród nas tisa Taliona, tyle mogę obiecać!

- Taaak? To kuzyn twojej mamy, wiesz? Zabiłbyś swojego wujka?

Chłopiec zmarszczył brwi.

- Walczył nieładnie – stwierdził. – I Atian przez niego nie chce się już potykać.

- Bo jest ranny.

- Kiedy dzisiaj rano szedł dziedzińcem, powiedział, że już wcale nie chce mu się nic...

- Pułkowniku?

Kolejny głos był kobiecy i bardzo znajomy. Silarus odwrócił się, wciąż z Kallo na rękach, i zobaczył stąpającą lekko Ceadmille w swoim przepięknym futrze.

- Upuścił to pułkownik – powiedziała i wyciągnęła przed siebie fajkę ze żłobieniami na kształt morskich potworów.

Silarus postawił Kallo na ziemi, a ten od razu zaczął wymachiwać mieczem.

- A. Dziękuję – mrucnął i wsunął fajkę do kieszeni.

- Dobrze dogaduje się pułkownik z dziećmi.

- Tylko z nim. To mój uczeń.

Nie miał najmniejszej ochoty z nią rozmawiać, wdychać woni jej słodkich perfum i widzieć jej pięknej twarzy pozbawionej mikaonu, do tej pory dostępnej tylko dla niego, teraz wystawionej na pokaz dla wszystkich wokół. Starał się sobie wmawiać, że jest zazdrośnie jak kierowane instynktem dzikie zwierzę o kawałek obsikanego terytorium, ale... Było w tym znacznie więcej mięczakowatości. I uczucia.

Wbił wzrok w niebo między pniami sosen. Kallo wciąż krzyczał i bił się z powietrzem w oddali.

- Ty sam zachowujesz się jak dziecko – westchnęła Ceadmille.

Silarus odwrócił się, momentalnie rozjuszony.

- Ja? Jak dziecko?!

- Nie lubię się powtarzać. Już rozmawialiśmy o moich zaręczynach. Co się od tego czasu zmieniło?

- Co się zmieniło? To, że byłem na twoim ślubie, na przykład!

- A myślałeś, że czym kończą się zaręczyny? Wszystkie, poza twoimi, w każdym razie. Zawsze mogłeś nie odpowiedzieć na zaproszenie.

- Po co w ogóle jeszcze ze mną rozmawiasz?

- Po co? Po to, żeby cię zrozumieć!

- Nie powinna próbować zrozumieć swojego męża?

- To zrobiłam już dawno. Teraz kolej na ciebie. A co do ciebie, mam podejrzenia.

Kłopotliwe podejrzenia.

Stanęła tuż przed nim, straszliwie blisko i zaglądając prosto w jego twarz. Dotknęła poł jego płaszcza, jakby chciała go zatrzymać, choć Silarus nie był w stanie nawet spróbować odejść od jej iskrzących oczu.

- Czy moje podejrzenia...

- Nie – uciął. - Nie są słuszne.

- Chciałabym ci wierzyć. Bo jedyne, co się po moim ślubie zmieniło, to fakt, że mieszkam teraz tak blisko Modrego Oka, że bliżej byłoby już tylko na zamku, na którym i tak będę zostawać od czasu do czasu, ze względów towarzyskich, na noc.

Zmieniło się też to, że Silarus widział, jak Ceadmille dotyka Triana, jak trzyma głowę na jego ramieniu, jak z nim tańczy, jak go całuje... Ale nie był przecież aż tak żałosny, żeby to przyznać. Nie był też tak okrutny, żeby ją o to obwiniać.

- Zmieniło się też to – szepnął – że teraz za zdradę męża może czekać cię śmierć...

- Mhm. I to haniebna.

- ...a mnie tortury.

Ceadmille umilkła. Opuściła dlonie, które zniknęły w przepastnych rękawach jej futra.

- Nic na to nie powiesz? – zdziwił się Silarus.

- Co mam na to powiedzieć? Masz rację.

Jej oblicze nasrożyło się. Nie patrzyła na Silarusa, ale ten i tak przełknął ślinę w lęku przed wybuchem.

- Nawet o tobie nie pomyślałam – powiedziała. – Myśląc o tobie bez przerwy, nawet raz o tobie nie pomyślałam.

Ślina spłynęła do żołądka Silarusa jak kropla rozgrzanego wina.

- Bez przerwy? – powtórzył jak w transie.
- Nie na tych słowach powinieneś się skupić. Nie ma już zresztą o czym rozmawiać...
- Słusznie. Przejedźmy od słów do czynów.

Jej spojrzenie było ostre jak koniec igły.

- Moje podejrzenia – mruknęła bez śladu uśmiechu – robią się coraz bardziej i bardziej...

- Ja też mam swoje podejrzenia.

- Podejrzenia? Czy wymysły?

Silarus górował nad nią wzrostem tak jak nad każdym. Pierwszy raz jednak czuł, jakby górował nad nią sobą. Uśmiechał się, kiedy delikatnie uniósł jej okrągły podbródek, nad którym zaciskała uparcie usta. Jej zaszkalone oczy patrzyły wszędzie, tylko nie na niego.

- Chciałem tylko sprawdzić, pani, czy twe uczucia od czasu ślubu się zmieniły – wymruczał. – Teraz, kiedy wiem, możemy...

- Silarus, jak ty mnie nie zostawisz, to ja nie będę w stanie – szepnęła łamiącym się głosem, kiedy ścierała łzy z jej rzęs. – Widzisz sam... Widzisz przecież... Że już zaszłam za daleko, już mi wszystko jedno, a nie chcę... Nie chciałabym, żebyś ty... Czekaj chwilę.

Odepchnęła jego rękę łagodnie i odeszła kawałek, odwrócona do Silarusa plecami, posmarując, sapiąc i ocierając twarz jak umorusane błotem dziecko. Silarus pozostał w miejscu, nie bardzo wiedząc, jak mógłby jej pomóc.

Ale Ceadmille w końcu odwróciła się z figlarnym uśmiechem i kocim blyskiem w poczerwieniałych oczach. Z każdym słowem przybliżała się do Silarusa o jeden pociągły krok.

- Wybacz, pułkowniku, było to co najmniej niekurtuazyjne. Przemilczmy ten ambaras i zastanówmy się, co możemy zrobić, by zupełnie zapomnieć o nim albo i o wszystkim, co pomiędzy nami zaszło, bez żadnych niesnasek i waśni, rzecz jasna. Jako istota grzeszna, zepsuta i niedoskonała, oddaję ten wybór pułkownikowi, który jest uosobieniem honoru, cnót, a może nawet i rozsądku.

Silarus musiał zająć czymś usta, zanim padłoby z nich żałosne wyznanie, które w tej chwili cisnęło się z jego mózgu, piersi, brzucha, z każdej części jego ciała.

Ceadmille musiała w międzyczasie wspiąć się na palce, bo Silarus nie pamiętał, żeby schyłał się do jej ust. Jakaś magia musiała owinać jego ramiona wokół jej talii, bo nie pamiętał, żeby je tam kładł. Jakiś zwodny, ale niezwykle przyjemny urok musiał kierować ich krokami do jednej z sypialni dla gości, bo Silarus nie pamiętał, jak się tam znaleźli.

Kiedy dotykał jej ciepłej skóry po raz ostatni, zmuszony wrócić do swojej własnej kwatery, wciąż lekko zazdrościł Kaiowi i Cerro, że oni mają własną komnatę i własne łóżko, w którym wszystko jest dla nich dozwolone. Ale oni obydwoje musieli szalenie zazdrościć Silarusowi tego, że to on dostał zaszczytu bycia tym, którym przed śmiercią zabawiała się Ceadmille Davaden.

\*

Ani jedna myśl o Ceadmille Agver i Silarusie Temidanie nie przeszła przez głowę ani Kaia, ani Cerro, kiedy znaleźli się na swojej treningowej polanie. Zeskoczyli prędko z konia, którego Kai uwiązał do pobliskiej gałęzi, wciskając mu w pysk letnie jabłko sprowadzone z barwnych sadów Megarantu.

- No to czego chcesz? – spytała podejrzliwie Cerro, zadzierając wysoko nos.
- Myślałem i myślałem, i stwierdziłem, że nadszedł czas.

Z podłużnej torby przytroczonej do grzbietu pięknego rumaka wyciągnął dwa miecze o prostych, stalowych rękojeściach. Kiedy wysunął je z pochw, okazało się, że ich ostrza też były stalowe, gładkie i ostre. Oczy Cerro aż zaświeciły.

- Dlaczego teraz? – spytała jednak, wiecznie weszcząc spisek. – Wcześniej nie byłeś taki chętny.

- Bo dość wolno myśleć – westchnął Kai. – Mam to przesylabizować? Tak, byłem zazdrośnie. Wciąż, po prawdzie, jestem. Ale tak się nie godzi. Muszę oddać ci Sprawiedliwość i docenić twoje talenty.

- Czy ty...

- Nie, nie naigrywam się z ciebie. Robisz godne podziwu postępy. Nie tylko zasługujesz, ale i powinnaś przejść na stal, jeśli nie chcesz, żebyś zaczęła się cofać. Lub, Szary Człowieku, uchowaj, znalazła sobie nowego nauczyciela.

Złapał miecz tak, by Cerro mogła chwycić za rękojeść i wyciągnąć ją z pochwy, co po chwili wahania uczyniła. Jej ramię nawet się nie zgięło, a kiedy przejechała rękawiczką wzduż ostrej krawędzi, nie skrzywiła się. Ba, nawet się uśmiechnęła!

- No dobrze – rzekła, zdejmując futro. – To poćwiczmy.

Kai całą siłą woli musiał się zmusić, żeby jednak pokazać jej kilka nowych kroków, cięć i blokad, żeby pozwolić jej powtórzyć każdy wiarygodną ilość razy i żeby nie ugodzić jej jak najszybciej w jakieś dobrze ukrwione, ale nie śmiertelne i bardzo widoczne miejsce. Gdzie powinien uderzyć, żeby zdobyć krew Meavelethów? Jego ostrze z pewnością przebije

się przez warstwę koronek i przetnie jej udo - ale co, jak trafi na tętnicę? Plecy nie są aż tak dobrze ukrwione, a choć może krwi spłynełoby wystarczająco dużo, by skropić nią monetę, bał się, że przerażona Cerro nie pozwoli dotknąć się tam, gdzie sama nic nie widzi. Przedramię nie było głupią opcją, a jednak wydawało się zbyt odsłonięte. Nie chciał, by ktokolwiek zaczął zadawać jej niewygodne pytania na widok rany ciętej nieznanego pochodzenia.

Kiedy tak przyglądał się jej dokładnie z przodu, z tyłu i obu boków, Cerro zaczęła podążać za jego wzrokiem. Nachmurzyła się jak gotowa runąć potężna lawina, a Kai się zmieszał.

- No, to spróbujmy poważnego pojedyngu – oznajmił. – Zobaczmy, jak ci pójdzie, kiedy będę się odrobinę mniej ślimaczył.

Cerro zebrała wymykające się z jej toczka włosy i spięła je nad karkiem. Z nieba posypały się drobne płatki śniegu. Nadciągała kolejna śnieżyca.

- Zobaczmy.

Kai pozwolił jej rozpocząć, ale natychmiast sparował. Stal brzęknęła o stal dźwiękiem do tej pory na polanie nieobecnym. Innym niż głucho uderzenie drewna o drewno. Cerro na chwilę zaciśnięła powieki.

Zdołała zablokować dwa uderzenia Kaia. Trzecie przebiłoby jej kark, gdyby walczyli naprawdę i gdyby Kai nie powstrzymał się w ostatniej chwili.

Nie chciał jej przecież poważnie zranić. Ale trochę zranić musiał.

Opuścił, spłoszony, miecz wzdłuż ciała jak głupkowaty amator i Cerro, jak pojętna uczennica, od razu to wykorzystała – ale on i tak był szybszy. Cerro znów zaciśnięła powieki, jakby bała się pryskających ze stali iskier.

Zaczynało prószyć.

Kai smagał mieczem od góry szybko, ale przewidywalnie, jednak Cerro cofała się strachliwie, broniąc twarzy tak, jakby jej ostrze było tamą testowaną przez porywistą rzekę – mimo to, gdy Kai zamachnął się od dołu, zbiła jego uderzenie ze zduszonym okrzykiem wysiłku wydobywającym się z jej ust. Kai uderzył znowu, od boku, zwalniając tempo, ale nawet jej nie musnął. Cerro była dalej niż mu się wydawało.

Padało tak gęsto, że widział jej kształt i kolor mieszający się z bielą śniegu, ale nie mógł rozszyfrować wyrazu jej twarzy, ani odległości, w jakiej się od niego znajdowała. Sapnął, kiedy koniec jej ostrza wyłonił się spomiędzy kurzawy tuż przy jego uchu. Pochylił się, natychmiast oddał, już prawie trafiając ją w udo... Ale rozmyślił się w ostatniej chwili, czubkiem ostrza ledwo dotykając materiału jej sukni.

Cerro chwyciła miecz w dwie ręce i uniosła go wysoko jak kat. Jak upiorny, pozbawiony twarzy, pograżony w żałobie, rozmywający się w powietrzu kat.

Jej zaskoczony krzyk przedarł się przez wiatr i śnieg, kiedy Kai zareagował szybciej niż był w stanie pomyśleć. Wyprostował się, a Cerro, zaparta, żeby nie wypuszczać rękojeści, przyciskała ją razem z wolną dlonią do szkarłatnej plamy na swoim sercu.

Kai poczuł, jakby i on sam miał się zaraz rozpłynąć w powietrzu. Chwycił Cerro za ramiona, nie mogąc oderwać wzroku od konturów jej palców wyraźnie zarysowanych przez czerwoną farbę na białym płótnie jej rękawiczek.

- O, Szary Człowieku – jęknął w przerażeniu. – Przepraszam, Cerro! Przepraszam!

- Krew – odpowiedziała z nosem skierowanym na szkarłatniejące rozdarcie nad swoją piersią. – Moja.

- Tak cię przepraszam! Zabiorę cię do Chevity, nie wyda nas...

- Krew... Moja...

Zemdlała. Sflaczała w rękach Kaia, ściągając go w dół jak zbędny balast na okręcie. Gorset jej sukni przemakał krwią, a on przyglądał się mu z szeroko otwartymi ustami jak skończony dureń. Potem prawie wpił roztrzęsione palce w czaszkę, również jak skończony dureń. Otrząsnął się jednak, podniósł Cerro i pobiegł do chowającego się przed śniegiem pod koroną jodły konia.

\*

Cerro ocknęła się, co prawda, kiedy tylko znalazła się na grzbiecie czarnego rumaka galopującego pośród wirującej bieli, ale nie bardzo rozumiała, co się stało. Rozumiała tylko, że wiatr policzkował jej twarz i rozwiewał poły futra, i że jej kończyny są potwornie ciężkie. I że ktoś przyciska coś do jej piersi. Spojrzała w dół i zobaczyła palce Kaia wslizgające się pod materiał sukni przez zrobione przez ostrze rozdarcie.

Chciała krzyknąć, chciała uciec, chciała dać znać, że jest przytomna, chciała go rozszarpać - ale nie mogła ani się ruszyć, ani wydobyć z siebie dźwięku. Jego dłoń nie skierowała się niżej – oderwała się od jej skóry, mięsa i wylewającej się z niego krwi, która zalewała nie tylko jej ubranie, rękawice, końską szczecinę i siodło, ale i wygrawerowane na powierzchni małego złotego krążka rozchylone dłonie.

Kiedy ocknęła się po raz drugi, od razu kichnęła trzy razy, tak potężnie i siarczyście, że złapała się za tępniącą bólem piers, żeby chwycić swoje serce, kiedy będzie wyskakiwać przez dziurę w jej ciele.

- Dobry wieczór, Wasza Miłość – Cerro przedniej rozpoznała głos Chevity niż zobaczyła jej twarz. – Wypadek przy polowaniu, co?

Cerro otarła łzawą mgłę z oczu i zamrugała, by zobaczyć siedzącą na brzegu jej łóżka czarodziejkę z kpiącym uśmiezkiem na pociągłej twarzy i Kaią wpijającego w nią wzrok z nad obgryzanych nerwowo paznokci. Chevita zakręcała wieko słoiczka soli trzeźwiących.

- Hmm... – palce Cerro przesunęły się z jej piersi na krtań. Zdziwiona była słabością własnego głosu. Odchrząknęła mężnie. – Umieram?

- Pobożne życzenie, Wasza Miłość. Najszarszy Haron chybił akurat w dobrze ukrwione miejsce. Wszystko wyglądało bardzo ostatecznie, ale ostatecznie nie stało się nic.

- Cerro – Kai wystąpił z cienia, wyłamując palce. – Tak strasznie przepraszałam, to był wypadek...

- Zajrzyj w tej swojej bibliotece do leksykonu zwierząt, Najszarszy Haronie – mrucnęła Chevita, podnosząc się z łóżka i porządkując pełną bandaży i słoiczków z różnymi miksturami apteczki. – Nauczysz się odróżniać jelenia od własnej żony. Są tam też podręczniki myśliwskie. Zaskakujące, ile jest broni o wiele skuteczniejszych do polowań niż miecz.

Cerro zatrzymała pod kołnierz koszuli nocnej, w którą ktoś ją przebrał. Była ciasno owinięta bandażami wydzielającymi z siebie silną woń rumianku. Nie było na nich ani kropli krwi.

- Może nawet nie będziesz mieć blizny – powiedziała Chevita, sięgając za klamkę. – Rano zajrzyj do mnie na zmianę opatrunku.

- Nie trzeba przytaczać jej krwi? – odezwał się Kai. – Straciła jej tyle, że aż zemdlała...

- Jej Miłość mdleje na widok własnej krwi, odkąd wypadł jej pierwszy ząb. Ma duszę mizerotki, a nie wojowniczkę.

Chevita opuściła jej sypialnię, a Cerro, mimo słabości w każdym porze swego ciała, poczuła, jak jej twarz wściekle kraśnieje.

Kai usiadł na miejscu przed chwilą zajmowanym przez magini, z brwiami wygiętymi, jakby miał się rozboczyć. Cerro nie wiedziała, czy kiedykolwiek widziała go z tak bliska. Może wtedy, kiedy w przerażeniu chwycił ją za ramiona. Albo kiedy grzebał ręką pod jej suknią, ale wtedy... Przynajmniej prędko mdlała...

- Tak strasznie przepraszałam – westchnął, zanurzając twarz w dloniach. – Tak strasznie przepraszałam, Cerro, nie chciałem... Głupi byłem, że się na to zgodziłem, że to zrobiłem, tak strasznie przepraszałam...

Jak właściwie znalazła się w siodle? Czy musiał ją do niego nieść? W jaki sposób ją podniósł? Po co w ogóle to wszystko robił? Cerro dotknęła swoich uparcie piekących policzków.

Kai oddychał głęboko i urywanie, ale w końcu ucichł. Odsłonił twarz, by spojrzeć prosto na nią.

- No powiedz coś! Błagam, powiedz coś, cokolwiek, Cerro...

- Czy próbowałeś mnie zabić?

Mrugnął raz, zanim po prostu przyjrzał się jej ze zdumiono-oburzonym wyrazem twarzy.

- Nie! Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

- Prawie wbileś mi miecz w serce.

- To był wypadek! Refleks!

Zerwał się z łóżka, odwróciwszy do niej plecami, a ona wstrzymała oddech. Kai znów wyłamywał sobie palce i wzdychał ciężko, podczas gdy Cerro uważnie obserwowała każdy jego ruch. On też zdążył zmienić ubranie. Musiało być przesiąknięte jej krwią, na widok której pewnie znowu straciłaby przytomność. Czuła się słabiej od samego wyobrażania sobie...

- Prawdę mówiąc, myślałem, że to ty próbujesz zabić mnie – powiedział w końcu Kai, wciąż na nią nie patrząc.

- Co? Ja?

- Nie raz mi się odgrażałaś, a teraz, w swej głupocie i pysze, dałem ci okazję...

Szczególnie, że zaczęło tak straszliwie śnieżyć i miałaś przewagę...

- Miałam przewagę?

- Przez tę swoją cholerną biel! Wystraszyłem się. Tak, przyznaję, wystraszyłem się, i całkiem cię, zanim zdążyłem pomyśleć.

- Mogłeś się poddać.

- Ostatnio poddanie się nie skończyło się dla mnie zbyt dobrze.

- Mówisz, że bałeś się mnie bardziej niż Silarusa?

Kai spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Będziesz się tym pysznić? Prawie umarłaś.

- Chevita mówi, że ledwo mnie drasnąłeś.

- Mój rozsądek musiał zapanować nad moją siłą w ostatniej chwili...

- Albo chujowo ciążłeś.

Kai wyglądał, jakby miał eksplodować. Cerro czekała na to, co powie dalej.

- A myśl sobie, co chcesz – warknął. – Tylko nie to, że chciałem cię zabić. Gdybym chciał, to bym cię tu nie przywiózł, prawda?

- Hm. Może i prawda.

- Może? Wierzysz mi, prawda? Błagam, Cerro, uwierz mi...

- Przestań już jazgotać! Żyję, prawda? Odniosłam pierwsze rany, każdy kiedyś musi, a jeśli nie masz nic na sumieniu, to co ci tak zależy na tym, czy ci wierzę, czy nie?

Kai rozważył to przez chwilę.

- Prawda – przyznał. – Ale i tak mi głupio.

Cerro zmrużyła mściwie oczy.

- Bo to było głupie. Myślałeś, że bym cię zabiła i co potem? Uciekła do miasta bez jedzenia i nuda przy duszy?

- Już raz próbowałaś...

- Miałam wtedy zapasy i plan. I nie ciągnął się za mną wyrok śmierci, który teraz miałabym na głowie, gdybym zachowała się tak głupio, jak twój przerażony mózgostek sobie zaprojektował.

Z Kaia zdawały się wyparować wszystkie resztki „czucia się głupio”.

- Musisz odpoczywać – burknął. – Zanim się nadwierżysz i znowu padniesz trupem.

Nawet nie zająknął się na temat monety z grawerunkiem dłoni.

- Idziesz do biblioteki, tak? – Cerro ułożyła się wygodnie na swym pięciowarstwowym łóżku, na którym tak dawno się nie wylegiwała. – Zajrzyj po drodze do kuchni i przynieś mi dzbanek miodu. Niech to będzie twoja pokuta.

Kiedy za Kаем trzasnęły drzwi, Cerro zaciśnięła zęby, zanim uderzyła słabowitą pięścią w miękką jak obłok poduszkę. Nie wystarczyło. Jej głowa pulsowała bólem, niepokojem, strachem, a przede wszystkim wściekłością, kiedy warczała, wgryzając się w prześcieradło i trzymając za zdradziecką ranę, która cudem ominęła jej serce, która została skalana jego dotykiem i tajemniczą monetą...

Zamilkła, kiedy rozległo się pukanie. Usiadła, a od wysiłku i zaskoczenia zawirowało jej w głowie.

- Tak? – zapytała.

- Miód, Wasza Miłość – odpowiedział służący.

- Ach. Wejdź.

Chłopak wniósł aż pięć dzbanów. Każdy był ozdobiony innym owocem. Ustawił je na stoliku nocnym, zmuszony rozgarnąć zalegające na nim książki. Jego ohydne, plugawe książki.

- Skosztuj każdego – poleciła nagle Cerro.

Służący zamrugał, skołowany.

- Słucham?
- Skosztuj każdego.

Miał jakieś czternaście lat, długi, piegowaty nos i płowe włosy, ale teraz jego oczy wyrażały bezbrzeżne dziecięce zdziwienie pasujące do czterolatka.

- Miód przysłał Najszarszy Haron, Wasza Miłość...
- No to nie ma się czego obawiać, prawda? Kosztuj.

Chcąc, nie chcąc, musiał wypić po pucharze każdego smaku. Przy trzecim powstrzymywał się przed czkaniem, a przy piątym jego policzki wyraźnie się zaróżowiły.

- Teraz tu sobie posiedź – Cerro wskazała na obite aksamitem krzesło. – Możesz coś sobie poczytać, poszydełkować, cokolwiek.

- Moje – prawie czknął – obowiązki, Wasza Miłość...
- Wrócisz do nich za godzinę.

I wrócił, zataczając się lekko, kiedy opuszczał jej komnatę. Cerro wreszcie odważyła się skosztować jabłkowego trunku, którego zatrucie, musiała przyznać, byłoby bezbrzeżnie głupie po okazji, jaka nadarzyła się dopiero co na polanie... Wolała być jednak ostrożna aż do przesady. Z jej łóżka roztaczał się doskonali widok na Magmowe Mieczce. Wisiały na haczykach nad kominkiem, jakby zostały do tego stworzone, podczas gdy jeden z nich w ogóle nie powinien tu być. Im dłużej „Prawda” znajdowała się w zasięgu wzroku Cerro, tym mocniej jej wściekłość się pieniła.

Wstała więc i usiadła na parapecie, uchyliwszy okiennicę. Przyglądała się pobielałym szczytom Falgonów i czarnej przepaści, która ziała pod jej oknem, a która była zwykle kojącym widokiem. Mimo słodczy miodu, rana nad jej piersią pulsowała niepokojem, a fragmentaryczne wspomnienia ręki i monety sprawiły, że wkrótce znów się wściekła. Bardzo. Bardzo. *Bardzo*.

Kiedy wypiła wystarczająco dużo, by pozbyć się i źródła gniewu, i wyrzutów sumienia, zapadła w błęgi i głęboki sen, nie budząc się nawet wtedy, kiedy Kai powrócił, by umoczyć się cicho na podłodze w łazience.

\*

Kaiowi było głupio, naprawdę głupio, że nie został z Cerro, by rozwiązać jej złe przeczucia i swoje nieczyste sumienie - ale przede wszystkim było mu głupio, że wszystko zrobił dla tych kilku kropel krwi na monetę. Do tego czuł się potwornie, naprawdę

potwornoie, że kiedy zrobił Cerro krzywdę, nie zapomniał o całym istniejącym świecie z rozpacz i szoku, tylko pamiętał bardzo dobrze o tym, żeby podczas szaleńczego, jak mu się wydawało, wyścigu z czasem, rozchylić kołnierz jej sukni i zanurzyć monetę w rozcięciu nad sercem... Wiedział, że czułby się jak kretyn, gdyby zranił ją po nic, ale czuł się jak potwór ze świadomością, że pamiętał, po co ją zranił i że choć myślał, że ją zabił, wciąż nie porzucił wszystkiego, by lecieć jej na bezwzględny ratunek. Czułby się lepiej, gdyby po prostu rozbił Kallo nos podczas porannego treningu.

Ale ta sprawa nie mogła czekać do rana. Musiał zobaczyć, czy zrobił cokolwiek, czy wskazówka była przydatna, czy rozwiązał zagadkę, czy warto było prawie zabić jedną z niewielu prawie przyjaznych mu osób. I to akurat wtedy, kiedy nie najgorzej im się układało.

*Dionowi wystarczyła złota moneta  
By krew splamiła dlonie króla Meaveletha*

Okaże się, za chwilę się okaże, kiedy przejdzie przez ciemne korytarze Modrego Oka, wejdzie do biblioteki, sprawdzi między wszystkimi regałami, czy Rius już śpi, i zobaczy na własne oczy, na tylko swoje własne oczy, tak jak tylko jego własne oczy zobaczyły to, co było pod powierzchnią jeziorka na wyspie Regiseree.

A może nic się nie stanie, może popełnił błąd, może to był nic nie znaczący wierszyk, a on naraził życie Cerro...

Nie dowie się, póki nie sprawdzi, i zrobił to, przycisnął monetę zakrwawionym rewersem do dłoni namalowanego Diona.

Początkowo książę-bratobójca zamrugał, zdziwiony. Potem sięgnął po monetę, wrzucił ją do sakiewki i ukłonił się głęboko. Po czym zastygł.

I Kai też zastygł, ze szczęką gdzieś na podłodze. Udało się. Cokolwiek się udało.

W miejscu monety pozostał otwór w sam raz na oko. Kai zatrzał strachliwie do środka, ale nie było tam nic poza dziwaczny, rozedrganym, niebieskawym błyskiem. Chwycił za ramę, która teraz odsunęła się bez oporu, otwierając zupełnie nowe, ukryte pomieszczenie w zamku. Kai zobaczył w środku niebieskawą pochodnię i przestąpił próg pokoju jak oczarowany.

W środku były księgi. Księgi, kurz, grube jak kołdra pajęczyny i pajaki wielkości dłoni. Pierzchały od pochodni, którą Kai powiodł wokół pokoju – księgi były stare, większość na pierwszy rzut oka napisana ręcznie i oprawiona w misternie rzeźbione okładki ze skór, łusek, drewna i metalu. Leżały na rozlatujących się regałach albo w stosach na podłodze -

porzucone, zapomniane, grube, zapewne warte fortunę nie tylko przez wykonanie, ale przede wszystkim wiek i zawartość. Dla Kaia do zbadania i odkrycia prawdy.

Wyglądało na to, że Kai odnalazł uratowane z pożaru królewskiej biblioteki zbiory mogące powiedzieć mu wszystko o haronach, Meavelethcie Szarym i Świętej Unii.

Tak przynajmniej myślał, zanim sięgnął po pierwszą z ksiąg – poznaczoną symbolami, których nigdy w swoim życiu nie widział, ułożonymi w pionowe, zamiast w poziome rzędy. Rozejrzał się i dotarło do niego, że wszystkie były napisane tym samym obrazkowym pismem. Tym samym językiem, którego nigdy w życiu nie widział.

\*

Kai kochał te swoje książki. Atian to widział i trochę mu zazdrościł – książki były zawsze, wszędzie, i łatwiej uwierzyć słowom zapisanym przez osobę, do której w wyobraźni możesz dokleić dowolną twarz niż tym wypowiedzianym rzeczywiście przez nią. Atian już dawno przestał wierzyć w słowa Kaia.

A może właśnie wciąż uparcie wierzył, i może stąd jego podły nastrój?

A może stąd, że jego połamane kości wciąż się jeszcze nie zrosły?

Atian czuł tak palący wstyd na wspomnienie pojedynku z Talionem, że od razu zgarniał z najbliższego miejsca śnieg, by zanurzyć w nim twarz i w ten sposób zapomnieć choć na chwilę. Ból nie był najgorszy. Najgorsze były miny ludzi, miny Kaia, Silarusa, Cerro, króla, pełne niedowierzania, zawodu, współczucia i zrozumienia. Zrozumienia, że Atian wciąż jest głupim dzieckiem popełniającym...

Czego nie rozumieli, było to, że Atian, owszem, jest głupcem, ale nie jest już dzieckiem. Był admirałem floty felsidów wschodnich, wychowywał się z lampartami, od dziecka polował na ptaki wielkości jego potężnego ojca, a starszy brat nigdy nie pokonał go w pojedynku na szable. Atian pojmował to, czego nie pojmował nikt, kto urodził się na południe od Strażnicy Świata – w życiu wygrywa najsilniejszy. Można być mądrym, oczytanym, bogatym, sprytnym, szybkim, bezwzględnym, dobrze urodzonym, ale koniec końców wygrany, który będzie potrafił chwycić cię w pięść i zmiażdżyć. Bez wiedzy o tym prawie nie da się przeżyć jako felsid, a fakt, że ludzie na południu jakoś dawali sobie radę, był dla Atiana nie do ogarnięcia. Fakt, że on był tym wyjątkiem, który nie dał rady...

Cerro była słaba nie tylko fizycznie. Była głupia, niesympatyczna, z władzy też nie umiała korzystać, a umiała mimo niej pakować się w kłopoty. Nie tak Atian wyobrażała sobie księżniczkę, w której rękach jest niemal cały kontynent. Jej jedyną bronią były plotki, które

podслушаła, włócąc się, znudzona, po zamku przez dwadzieścia lat swojego życia. Co więcej, to działało - jej wartość w oczach Kaia dzięki temu wzrosła. Silarus był silny, był zręczny i sprawny, nie miał problemów z pokonaniem Atiana, ani nikogo innego. Tymczasem nie korzystał z tej siły – też snuł się po zamku i szpiegował dla ojca, zamiast mu się sprzeciwić, porwać Ceadmille, uciec, robić to, na co Silarus faktycznie miał ochotę. Kai traktował go jak przyjaciela i wroga jednocześnie, a Silarus się na to godził. Atian nie rozumiał.

Nie rozumiał wielu rzeczy, które Kai obiecał mu wy tłumaczyć, i nigdy tego nie zrobił. Jego umysł zaprzątały intrypy, sekrety, książki, sprawy ludu. Atian podziwiał go za odwiedzanie ludzi w domach, za autorytet, którym się w ich oczach cieszył. A potem ta cholerna książka, okrojona o to, co Kai chciał zatrzymać tylko dla siebie, znalazła się w rękach wszystkich, również Atiana, Kai pochwalił się wszystkim dwoma bezużytecznymi mieczami i zaczął być... niemal bóstwem. „Najszarszym Haronem”. Kai był kandydatem na wodza, bohaterem, wojownikiem, felsidem, kompanem, ale...

Atian długo o tym myślał. Analizował to, czym stał się Kai, a może to, czym był zawsze, a może to, do czego dopiero zmierza. Przyglądał mu się, jak ze zmarszczonym czołem, w swej brunatnej pelerynie, siedział w bibliotece, śliniąc palec, by przewrócić stronę zaśniedziałą książki. Kai był silny i pełen gracji, Atian podziwiał jego styl walki podczas nauk Cerro. Był sprytny, mądry, oczytany, miał tyle władzy, ile trzeba mu było, żeby pociągać za sznurki choćby harona Maginota albo czarodziejki Chevity, albo własnej żony i przyjaciela. I oni wszyscy szanowali go za to. Do tego Kai był świadomy prawa siły, nauczył się go dobrze wśród felsidów, i unikał walki z tymi, którzy mogliby go zmiażdżyć, zanim ten będzie w stanie zrobić to im. Kai wydawał się mieć wszystko, i Atian myślał sobie... I nie bał się przyznać, że bardziej ze strachem niż niepokojem... Że Kai może być najpotężniejszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkał.

Był rudy, niski i pyzaty, ale wszystkie kalkulacje na to by wskazywały.

I może atmosfera tego miejsca, może to, że wszyscy tu wydają się płacić inną walutą niż siła, dały Atianowi szaleńczą pewność siebie. A może chciał udowodnić im, jacy są głupi. Może chciał sprawdzić, jak zmieniło go południe. Może dlatego zgłosił się do tego cholernego turnieju i myślał, że jest gotów zapłacić cenę... Miał rację, trafił na silniejszego. Ale nie miał okazji udowodnić sprytniejszemu, że jego pomyślunek jest niczym wobec odpowiednio wyprowadzonego ciosu.

Co za wstyd... co za wstyd... Śnieg na rozpalonych policzkach boli, ale to odwodzi myśli od...

...od listu do ojca, którego nie był w stanie nawet zacząć. Wiedział, co chce napisać. Wiedział, że nie może. Nie wiedział, czemu. Ze strachu czy z wierności i odpowiedzialności? A może ze wstydu? Południe jest tak okropnie zimne, śnieg jest po pas, wiatr huczy jak upiór...

Wieczorem grzał się przy ogniu w komnacie, w której mieszkał Silarus. Wszędzie walały się ubrania, miecze, kawałki ćwiczebnej zbroi. W powietrzu czuć było damskie perfumy. Patrzyli w płomieniu i pili z jego piersówkii.

- Nie mogę odpisać ojcu na list – powiedział Atian.

- Dlaczego? – spytał Silarus.

- Po prostu nie mogę... A muszę. Co mam mu napisać, kiedy nie mogę tego, czego chcę? Co ty piszesz do swojego?

Silarus uśmiechnął się.

- Ostatnio pisałem mu o nowym, pięknym mieczu, który sprawił sobie nasz Najszarszy Haron.

W ogóle to Atianowi nie pomogło. Jego ojca nie obchodził żaden miecz, którym nie dało się utoczyć krwi.

Następnego dnia Atian wyszedł z zamku o świcie, bo i tak nie mógł spać dłużej. Noga wyjątkowo mu dokuczała, więc wziął ten cholerny upokarzający kostur, który obwieszczał jegoadejście stukotem. Wykułykał na wewnętrzny dziedziniec zamku i prawie nie zauważył na tle gwałtownej śnieżycy zanurzonej po sam nos w swoim białym futrze Cerro.

- Co tu robisz? – spytała, mrużąc zlepione śniegiem rzęsy.

- Wdycham świeże powietrze – odparł. – A ty?

Nie odpowiedziała od razu.

- Byłeś kiedyś w krypcie dla zmarłych?

- Nie.

- To chodź. Dziś trzecia pełnia od śmierci mojego ojca. I ponad trzeci rok od matki...

Zeszli pod ziemię, gdzie pachniało wilgocią, a korytarze przypominały labirynt. Wciąż słyszeli wiatr szalejący na górze, ale tu było światło z pochodni Cerro, która dobrze znała drogę.

- Tutaj – powiedziała.

Zawiesiła pochodnię na ścianie, a jej rozedrgane światło padło na kamienny piedestał. Na podobnym leżało ciało ojca Kaia, zanim pochowano je w wyłożonym kamieniami dole. Za nim stały kamienne półki, a na nich zakurzona luneta, filiżanka, para bucików w rozmiarze

dziecięcym, dwie książki, pawie pióro, grzechotka, wypchany pierzem smok i wiele innych dziwacznych przedmiotów.

- To nie jest grób moich rodziców, rzecz jasna – powiedziała. – Leżą na cmentarzu rodu Agverów... W taką pogodę nikt mnie tam nie zawiezie, dlatego przyszłam tutaj. Leżeli na tym piedestale, najpierw ona, potem on, kiedy ostatni raz trzymałam ich za ręce i całowałam... Mama wyładniała po śmierci, tata... Tata...

Jej głos załamał się i Atian odwrócił wzrok. Słyszał tylko pociąganie nosem i wypuszczane ustami powietrze.

- Kochała swoich rodziców? – spytał, bo wiedział, że tutaj nie było to tak oczywiste. Na południu wydziedziczano i wyrzucano z domu własne dzieci, żerowano na nich i sprzedawano jak klacze rozplodowe.

- Tak – powiedziała cicho Cerro. – Bardzo. Mówiłam im... za rzadko. Nigdy. Bo cały czas mnie złościili. Mama... Lubiła plotki, lubiła patrzeć na mnie surowo, kiedy zrobiłam coś nietaktownego, maltretować moje włosy... Ale zawsze brała moją stronę, kiedy kłóciłam się z Myronem. A tata... Szary Człowieku, kiedyś go uwielbiałam. Był mądry, opowiadał mi tyle historii, woził konno... Ale nigdy nie pozwalał mi wychodzić. On i mama, nigdy... Czemu... Ech, Atian... Wiesz, dlaczego... Wiesz, że mój ojciec się zabił?

- Tak, słyszałem.

- Dlaczego? Nie mogę przestać o tym myśleć. Dlaczego? Wiedział, że zostanę sama z Myronem.

Ukryła twarz w dygoczących dloniach, rozklejając się na dobre. Atian nie wiedział, co powiedzieć, aż coś sobie uświadomił.

- Ty myślisz, że to twoja wina? – spytał, nie bardzo dowierzając, że dorosła baba może być tak zdziecinniała. – Cerro, nigdy tak nie jest. Rodzice kochają swoich potomków bez...

- To tylko frazes, Atian – wychlipała. – Znam tyle historii o rodzinach nienawidzących swoich dzieci, tyle o dzieciach nienawidzących rodziców... Wiedział, co się ze mną stanie, i nie czekał, aż Szary Człowiek go zabierze, sam do Niego pobiegł, jakby już... już nie chciał się ze mną użerać. Chciał zostawić mnie samą.

- Ale nie jesteś sama. Masz Kaia, Silarusa, podobno Pinovar, nie widzę też, żeby Myron robił ci aż tak dotkliwą krzywdę, tylko... Ty jesteś słaba, a jak się jest słabym, trzeba polegać na silniejszych. Masz przy sobie najsilniejszych ludzi, jakich znam, czego więcej możesz chcieć?

Spojrzała na niego napuchniętymi, ale szeroko otwartymi oczami.

- Ja chciałabym być silna

- Ale nie jesteś. Możesz być dzięki nim, a ty nimi wzgardzasz.

- Wiesz co, nie dość, że nie jesteś tutejszy, to do tego jesteś jeszcze dzieciakiem.

Gówno wiesz o życiu, i nie jesteś nawet w stanie wyobrazić sobie mojego.

Atian naburmuszył się, zaciskając palce na drzewcu kostura.

- Wiesz, dobrze by ci było wśród felsidów – powiedział.

Cerro otarła łzy, próbując odzyskać swój zwykły, nadęty wyraz twarzy.

- Myślisz, że nadaję się do odkrywania nowych ziem i walki ze sfinksami?

Atian parsknął śmiechem.

- Nigdy w życiu. Czekałabyś na nas w Strażnicy Świata ze strawą, opatrywała rany, słuchała opowieści. Ale tak poza tym, to można tam chodzić, gdzie się chce, nieważne czy jest się kobietą, czy kiedyś było księżniczką. Żadnych muślinów, ani kajdan.

Cerro uśmiechnęła się kwaśno w wymuszonej próbie ukrycia wściekłości. Atian odwzajemnił gest.

Myślał jednak potem dużo o tej krypcie i jej płaczu, jej słabości i jej rodzicach... Myślał też o swoich. O pożółkłym, ale szerokim uśmiechu matki, jej sięgających stóp włosach i historiach na dobranoc. O tubalnym głosie ojca i dumnym wzroku, kiedy Atian albo Sygiet robili coś chwalebnego. Tak, łatwiej było być chwalebnym, kiedy się było felsidem. Wszystko było łatwiejsze.

Było? Zginęłyby, gdyby nie Kai, zaklęci w małpy albo po prostu jako rozbitekowie na wyspie Regiseree... Kai ich uratował. Kai dokonał zbyt niesamowitych czynów, żeby teraz siedzieć nad książkami jak gryzipołki. Jedyny sposób, w jaki Atian był w stanie to sobie wytłumaczyć, był taki, że Kai zaznał chwały – a teraz chce odpoczynku. Jak znużony stary wojak. Jak Meor albo Hiram. Atian nie miałby nic przeciwko, gdyby nie fakt, że on też chciał odrobiny tej chwały. Chciał ciepła i wypraw, znajomych twarzy, prostego, bezwzględnego życia, nie zającego wyjątków prawa siły...

Chciał, żeby było prościej.

Wstyd mu było, ale napisał list do ojca. Zanim go wysłał, musiał porozmawiać z Kаем i wysuchać jego wyrzutów. Jego wstyd pogłębiał fakt, że bał się tej rozmowy. Bał się rozmowy z najlepszym przyjacielem.

Krew buzowała mu w uszach, kiedy szedł do biblioteki, bo tam go oczywiście znajdzie. Szedł jednak dzielnie przez zamek opustoszały z powodu Riggvare z zaciętym wyrazem twarzy.

- Kai?

Aż podskoczył, z ręką na ramie spleśniałego obrazu na końcu długiego pomieszczenia.

Obejrzał się, jakby wystraszony.

- Muszę z tobą...

Ktoś wpadł za nim do biblioteki i zepchnął Atiana ze swojej drogi.

- Najszarszy Haronie! Najszarszy Haronie!

Zziajany człowiek w podróżnej pelerynie padł przed Kаем na kolana. Atian miał nadzieję, że z powodu zmęczenia.

- Najszarszy Haronie, Zwiastun dał znak – wypluł z siebie Phineas Nożownik we własnej osobie, przyciskając czteropalczastą pięść do serca. - Szary Człowiek... nadchodzi.

## ROZDZIAŁ VIII

Naucenemes drżało w posadach. Dorośli i dzieci, szlachcice i żebracy, rzemieślnicy i kupcy – wszyscy w wielkiej trwodze rozbiegli się do swoich domów, kiedy tylko nadeszły wieści. Parada z okazji Riggvare dopiero się rozpoczęła, rodzina królewska jechała na kwiatowej platformie, obrzucając tłum szkarłtnością – Skylle nawet złapał jeden chropowaty listek i dał go Moth na szczęście – a potem bębny zaczęły bić, heroldowie krzyczeć, rycerze porwali króla i jego rodzinę z platformy – i zaczęła się panika.

Itsuk rozpychał się łokciami, by Moth mogła przejść za nim, kurczowo ściskając ręce na brzuchu. Mistrz Tauron zamykał pochód, aż, klnąc, na czym świat stoi, zabarykadował się w swej piekarni. Skylle, Itsuk i Moth dotarli jakoś do tej zapchłonej dziury, którą nazywali domem, a Moth od razu złapała męża za ramię.

- Itsuk – wyszeptała. – Nie mamy ani kropli różanego olejku.
- Jak to? – Oczy Itsuka urosły do rozmiarów talerzy. – Co się z nim stało?
- Wysłałam do mamy, jej sąsiadka umarła... Pamiętałam, żeby kupić, ale było tyle ważniejszych rzeczy...
- Dobrze... Dobrze, zaraz coś wymyślę... Może haronowie będą go rozdawać?

Podobno w *Kodeksie* jest, że nam się należy, prawda?

- W takiej panice? Oni zaraz spotkają się z Szarym Człowiekiem, a co my zrobimy...
  - Mistrz Tauron nam pożycz! – wykrzyknął w olśnieniu Skylle. – Na pewno ma wystarczająco!
  - Musimy spróbować – kiwnął głową Itsuk. – Zaraz wróćmy, czekaj tutaj i nie bój się.
- Ucałował Moth w czoło i wybiegł za Skyllem, który już przeciskał się przez tłum, by trafić na drugą stronę ulicy Przyskalnej. Rzucili się do drzwi piekarni, które okazały się zaryglowane.
- Mistrzu Tauronie! – Itsuk walnął w nie pięścią. – Mistrzu Tauronie, pomocy!
  - Postradaliście rozum?! – Głowa mistrza ukazała się w oknie na górze. – Do domów, ale już! Szary Człowiek może już tu być!
- Nie mamy olejku!
  - Że co takiego!?
  - Nie mamy olejku! Błagam, pomóż nam!

Na dosłownie chwilę na dworze zrobiło się bardzo jasno, a wielka płonąca kula, która mogła być tylko słońcem, zatoczyła łuk po nieboskłonie. Za chwilę zniknęła za horyzontem – ale tyle wystarczyło, żeby wszyscy w Naucenemes zlali się potem, a sięgający ud śnieg

stopniał i zaczął spływać ulicami. Koślawą błyskawica przecięła czerń nieba, z którego runął grad, a potem deszcz, a potem znów deszcz i grad – Itsuk i Skylle przywarli do ściany, kryjąc głowy rękami, a krzyki mieszkańców zlały się z dudnieniem kroków zbiegającego po schodach mistrza Taurona.

- Do środka, ale już! – krzyknął i szarpnął Skyllego za ramię, a za nim do piekarni wpadł Itsuk. – Szary Człowiek wie, że jeszcze nie jesteście u siebie, złości się na nas!

- Potrzebujemy olejku, mistrzu! – wykrzyknął błagalnie Itsuk. – Daj nam i już nas nie ma!

- Ile go potrzebujecie? Nie bądźcie chciwi, ja muszę jeszcze skropić drzwi swoje i piekarni!

- Niewiele, mistrzu, niewiele, przysięgam! Parę kropel wystarczy.

Tauron zagderał, ale wszedł do gabinetu, w którym chwilę grzebał, po czym wrócił z małеньким słoiczkiem, na którego dnie znajdowała się odrobina różowego płynu.

- To wszystko, co mogę dla was zrobić – powiedział i wręczył fiolkę Skyllemu. – Przypilnuj tego, chłopcze. Chyba z tym potrafisz sobie poradzić, co? I nie wylewaj wszystkiego, bo zawsze może się przydać.

- Dziękuję, mistrzu – Skylle chwycił naczynie, wzruszony zaufaniem okazanym mu przez starego piekarza.

- A teraz won! – Tauron wskazał na drzwi. – Zanim jakaś rozpędzona skała walnie w moją najlepszą na świecie piekarnię!

Itsuk i Skylle wypadli przez drzwi piekarni, nie spodziewając się, że woda powstała z deszczu i stopionego śniegu zamarznie tak prędko. A jednak – i to ich zgubiło.

Skylle poleciał na brzuch i wyrżnął nosem w lód, który załamał się pod naporem jego ciała. Buchnęła gęsta krew, kiedy obok niego upadł Itsuk – buteleczka wyślizgiwała się akurat z dłoni Skyllego, leciała w powietrzu, by rozbić się w drobny mak podczas zetknięcia z brukiem. Różany olejek zmieszał się z krwią i dwa małe strumyki spłynęły w dół rozbitego, szybko marznącego nurtu, na oczach oszołomionych Skyllego i Itsuka.

Zmarnowali na to oszołomienie trochę cennego czasu, ale Itsuk jak najszybciej zanurzył dłoń w tej lodowo-krwawo-różanej brei i przebiegły, ślizgając się, przez ulicę, by naznaczyć nikłym śladem próg domu, w którym mieszkał. Otarł czoło, kiedy Skylle podniósł się z ziemi, trzymając się za pęczniący nos.

- Przepraszam – załkał. – Przepraszam...

- Nic się nie stało – Itsuk chwycił go za ramiona. – Zrobiliśmy, co mogliśmy. Szary Człowiek to doceni. Na wszelki wypadek będziemy się modlić. Całą noc. Ale ani słowa Moth.

Skylle przytaknął i przełknął łzy, a gdy weszli do domu, zapewnili oszalałą ze strachu Moth, że wszystko jest tak jak należy. Nie zadawała pytań, kiedy na środku większej izby Itsuk ustawił małeńki płomień, a cała trójka uklękła wokół niego z czołami przy podłodze. Po Moth ciąży jeszcze nie było widać, ale Itsuk i tak kazał jej opierać się czołem o poduszkę, by nie przemarzła. Wszyscy klęczeli i modlili się żarliwie, najpierw na głos, by nauczyć Skyllego, potem szeptem, i na końcu w ciszy, drżąc i błagając Szarego Człowieka o litość. Na zewnątrz hulał wiatr, rżały konie i grzmiały odległe lawiny.

Skylle bał się tak bardzo, że dygotał. Czuł się tak straszliwie winny i bezużyteczny, że dygotał. Nie pamiętał słów modlitwy, dlatego w kółko powtarzał błagania o bezpieczeństwo i przepraszał właściwie za wszystko, co w swoim życiu zrobił. Za bycie ciężarem, za bycie darmozjadem, za upuszczenie tej przeklecej buteleczki. Myślał z głęboką skruchą o wszystkim, co robi źle, o swoim pasożytniczym żywocie, kradzieżach, słabościach, i zalała go fala wyrzutów sumienia za samo istnienie. Guz, który napęczniał w jego gardle, skutecznie uniemożliwił mu skupienie się na modłach.

Świeca raptownie zgasła, a wszystkie dźwięki ustały.

\*

Szary Człowiek wszedł do miasta Nauenemes.

Ubrany zwiewnie jak mgła i twardo jak popiół, był szary jak dym, smukły jak jeleń i pozbawiony oblicza niczym lustro naprzeciw lustra. Spod jego popielatego kaptura nie wystawało nic poza ciemnością, a jego falujący strój pokryty był splotami podobnymi do tych, z którymi rodzą się magowie, jednak żadnego nie widziano nigdy ze stygmatami o takim kształcie i kolorze. Szedł i obracał coś w palcach pazurzastej dłoni okrytej srebrną rękawicą. Szedł przez miasto pachnące różami, podzwaniając ostrygami, szumiąc materiałami i stawiając ostrożne, donośne kroki.

Każdy, kto słyszał szczęk, krok i brzęk, robił wszystko, by nie wyjrzeć przez okno. Dorośli zatykali uszy sobie i dzieciom, chowali się pod łózkami, łykali ze strachu na zimnych piecach. Szary Człowiek czuł jednak róże bijące od ich progów i szedł wyznaczonym dla niego szlakiem, nie rozglądając się nawet. Ani jedna pochodnia nie była zgaszona, bo i wiatr zupełnie ucichł.

Widział porzucone dekoracje przygotowywane na Riggvare i z ciemności pod kapturem wydobyło się coś jakby urwany śmiech. Rodzina w domu obok skuliła się. Ktoś upuścił ściskany rozpaczliwie *Kodeks Harona w służbie Świętej Unii*, lecz Szary Człowiek nie zwrócił na to uwagi. Otaczały go cisza, puste miasto, szczećk ostryg i brzęk monety, którą podrzucał, no i ten okropny, słodkawy, mdżący zapach. Aż nagle Szary Człowiek przestał go czuć.

Zatrzymał się i spojrzał w kierunku budynku, z którego nie czuł róż.

Była to wąska część długiej drewnianej kamienicy niedaleko ulicy Przyskalnej, gdzie znajdowała się najlepsza piekarnia w Świętej Unii, należąca do mistrza Taurona. Czuć było tam krew i szlam, ale zapach olejku był wątły, zbyt wątły. Szary Człowiek podszedł bliżej do obdartej ściany i zajrzał przez skutą mrozem okiennicę, za którą coś nerwowo migotało.

W środku znajdowało się młode małżeństwo i dziecko, które nie było ich dzieckiem. Wszyscy klęczeli wokół dopalającego się płomienia, dygocząc. Włosy ciężarnej kobiety przesłaniały jej twarz wcisniętą w poduszkę leżącą na podłodze. Jasnowłosy mężczyzna oparł ciało na potężnych barkach. Rozczochrany chłopiec ubrany w łachmany telepał się z oczami wbitymi w podłogę.

Szary Człowiek dobrze znał tego chłopca. Tak dobrze, że nie był w stanie się do niego nie uśmiechnąć. Chłopiec zadrgał mocniej, tak że Szary Człowiek słyszał szczećk jego zębów. Podniósł dłoń, przyłożył ją do drzwi, wbił końce palców w zbutwiałe drewno, i przeciągnął nimi w dół. Kobieta pisała, zasłaniając uszy, mężczyzna upadł twarzą na deski, modląc się na głos, a chłopiec znieruchomiał. Pięć długich szczelin pojawiło się na drzwiach domu. Oczy chłopca przesunęły się w stronę okna.

Szary Człowiek wiedział, że może sobie na to pozwolić. Że może tylko na chwilę zsunąć kaptur i chustę. Może, żeby chłopiec dostąpił zaszczytu zobaczenia choć fragmentu jego oblicza – Szary Człowiek wiedział, że i tak nikt mu nie uwierzy, a nikt inny nie ma tyle odwagi, żeby podnieść głowę i spojrzeć w to okno. Rzeczywiście, naprawdę spojrzeć.

Chłopiec widział kawałek jego twarzy przez ułamek chwili – potem Szary Człowiek odszedł, doprowadzając się do porządku, i wrócił na pachnący różami szlak prowadzący do Modrego Oka. W zapchlonym domu bez różanego olejku dziewięcioletni chłopiec omdlał, próbując wydać z siebie krzyk przerażenia.

\*

Sześciu haronów szczekało zębami, siedząc na wysokiej półkolistej katedrze w sali tronowej. Ubrani w wieńce ze szkarłatnoliścią i, za namową Kaia, w kolorowe płaszczes, dygotali z zimna i strachu. Odkąd świece i płomienie zgasły, w komnacie było zimno i ciemno. Twarze haronów jaśniały w niej niczym trupie czaszki. Kai miał wrażenie, że przy bezgłośnej modlitwie wydobył się z jego ust obłok pary, ale miał nadzieję, że było to tylko przywidzenie.

Był oficjalnie pokłócony z królem, jeśli nie więcej – publicznie nazwał go durniem, i choć złość wciąż w nim wrzała, już żałował spojrzenia, jakie posłał mu Myron – spojrzenia mówiącego „Cieszyłeś się moją przychylnością. Do dzisiaj.” Myron był jednak naprawdę skończonym durniem, skoro życzył sobie siedzieć na swoim zwyczajowym tronie, mimo że prawa i precedens wyraźnie mówiły, że to miejsce trzeba zostawić dla Szarego Człowieka. Może lud zapomniał, że haroni mieli być niezależnym od monarchy organem – ale sam Szary Człowiek na pewno nie.

Toteż Myron się obraził, na co i tak zbierało się już długo. Siedział teraz pewnie w swojej komnacie, albo w komnacie Chevity, kotłując się jak woda w kadzi. Kai dobrze zrobił, że na niego nawrzeszczał, ale spojrzenia, które wymienili haroni... Sukinsyny. Szeptali, że to przez niego, że to przez sześciu haronów z siedmioma mieczami, jakby wizyta ich boga była jakąś karą. Durnie zginęliby, gdyby nie Kai - zupełnie spanikowali na wieść o Zwiastunie. Szczur dosłownie runął z wrzaskiem na ziemię, kiedy słońce przemknęło po widnokręgu. Na oczach sług, dam dworu i rycerzy, których haroni powinni ochraniać, świecić dla nich przykładem. Było strasznie, prawda – grad i rżenie oszałamiałych koni, trzeszczenie skał i ryk spod zamku, jakby zamknięty tam legendarny smok nagle się obudził... Ale to wszystko to pułapka, to wszystko pokaz fajerwerków, którego nie wolno się lękać – lękać należy się obrazów, tych obrazów malowanych w Zwiastunie, których nikt nigdy nie ujrzy, a które przedstawiają losy wszystkich. Lękać należy się nieznanego.

Prawdziwy lęk to to oczekiwanie i niepewność, gorączkowa modlitwa i patrzenie we wrota razem z piątką tak samo wystraszonych mężczyzn, którzy, choć go nienawidzą, robią, co im każe, bo myślą że on wie lepiej, bo on ma przydomek Najszarszy, on wie, co robić...

- Witajcie, haroni.

Głos jak świst wiatru, grzmot pioruna, huk gradu, szum deszczu i trzask ognia. Wszyscy skierowali głowę ku źródłu – i siedział tam, na królewskim tronie, wielki, dumny, przerażający, z nicością zamiast twarzy.

Jego dłoń obracała coś w palcach. To coś błyszczalo i było matowe. Brzęczało bezdźwięcznie.

Wszyscy zerwali się z miejsc, bardziej po to, żeby odskoczyć w przestrachu niż okazać gorliwy szacunek. Nikt nie był w stanie przemówić.

- Usiądziecie – polecił głos i gest ręki. Przyjazny, niemal jowialny. Usiedli. – Haronie Mądrości, który mamy rok?

Haron Agver rozdziawił oczy i usta.

- Jest p-po p-p-północy – wykrztusił. – Więc 3012.

- Ach, rocznica pachnącej kąpieli, którą Meaveleth zwany Szarym brał o tej porze dokładnie trzy tysiące dwanaście lat temu. Pośród mydlin wpadł na najważniejszy pomysł w historii Świętej Unii. Ważna kąpiel. Ważna data.

Nikt nie odpowiedział. Kai zamknął usta, bo uświadomił sobie, że były otwarte.

- Haronie Mądrości – zaszumiał Szary Człowiek. – Wiesz, co o tej porze trzy tysiące dwanaście lat temu robił ówczesny Haron Mądrości?

- Ja... Nie wiem, nie wiem, Szary Człowieku.

- Podsłuchiwał pod komnatą córki, chcąc się dowiedzieć, czy obcy mężczyzna odwiedza ją w nocy. Haronie Przyjaźni, czy wiesz, co o tej porze trzy tysiące dwanaście lat temu robił twój poprzednik?

Immala aż podskoczył, spocony, ze wzrokiem rozbieganym jak u rozszalałego gryzonia.

- Nie wiem, o panie...

- Uśmiechał się do żony i dziecka, o którym nigdy się nie dowiedział. A ty, Haronie Nadziei, wiesz, co działo się z twoim poprzednikiem w Riggvare 1 roku?

- Nie wiem – przyznał pokornie Maginot.

- Przysypiał z kpiącym uśmiechem, znudzony bajaniem staruch o cudach, których nie umiał objąć swoim umysłem. Co powiesz ty, Haronie Obowiązku?

- Nie mam pojęcia, Szary Człowieku – wyznał swym pięknym głosem haron Oakter.

- I ówczesny Haron Obowiązku nie miał pojęcia, że jego syn zgwałcił obojętnego na jego zaloty mężczyznę. A co powiesz ty, Haronie Pokoju?

- Mój poprzednik na pewno... był szlachetny.

Kai zwędził z zawiścią oczy na tę wyimaginowaną batutę, którą Kastirron śmiały chwycić w palce.

- Tamtej nocy przyglądał się kolonii karaluchów, które zastał w swojej nowej siedzibie, a które, przerażone żräcym kwasem, który na nie wylewał, deptały po sobie i mordowały się nawzajem, oszalałe ze strachu.

Kastirron zmarszczył czoło z niesmakiem, a wszyscy wciagnęli gwałtownie powietrze, kiedy Szary Człowiek uniósł lekko dlonie w pazurzastych rękawicach o bardzo długich palcach.

- Różni to byli ludzie – rzekł miękko. – Różne mieli troski, charaktery, zaszczyty, wady i zalety. Różne problemy duszy i serca. Jedno mieli jednak wspólne – miłość do Świętej Unii, miłość do moich obrazów. Powiedziałem wam, co robili równo o tej porze trzy tysiące dwanaście lat temu. A wiecie, co robili dwanaście lat później? Jak jeden mąż bronili księgozbiorów utraconych w pożarze królewskiej biblioteki. Ostatnim szlachetnym odruchem bronili ludzi, uczonych, wiedzy... Na próżno. Zginęli w płomieniach, a ich dziedzictwo, choć przetrwało, zostało splugawione, wypaczone, zhańbione jak ten tron, na którym za każdym razem uznajecie za stosowne mnie przyjąć. Ich nazwiska, choć wymazane z kronik, najpierw przez wyrachowanie, a potem przez niedbalstwo, ich zwyczaje, obowiązki, sumienność, pobożność, dobro – ja o tym nigdy nie zapomnę. Waszych jałowych dziadów i ojców nie zamierzam pamiętać, lecz wasze losy jeszcze nie są przesądzone. Choć, póki co, jesteście identycznymi kukłami, za których nikt pucharu wychylić nie powinien. Cóż. Nikt, oprócz mnie.

Po tych słowach w jego ręku pojawił się czarny, rzeźbiony kielich, a w owych rzeźbieniach pulsowała żywa lawa. W tym samym momencie rozległo się sześć zgrzytów – Haroni spojrzeli w dół i ujrzały identyczne puchary wypełnione czymś przypominającym bardzo ciemne wino. Immala pisnął cicho, podczas gdy reszta ograniczyła się do zduszonych okrzyków.

- Wypijmy więc, skoro trwa Riggvare! – zagrzmiał Szary Człowiek. – Za nowy początek! Za Świętą Unię! Za zmiany, i to zmiany na lepsze!

Kai nie chciał tego wypić. Patrzył w błyszczące białka własnych oczu odbijających się w płynie i wiedział tylko, że nie chce, że umrze, że płyn to trucizna, że rozerwie mu gardło, wypali wnętrze brzucha, zabije. Sprawi ból. Doprowadzi do szaleństwa z cholernego strachu.

Ale wszyscy podnieśli puchary i on zrobił tak samo. Bogu nie wypadało odmówić.

- Za Szarego Człowieka! – krzyknął ktoś, nie wiedział kto, bo nie miało to znaczenia w obliczu tego, że...

Zbliżył drżące naczynie do ust i zanurzył w płynie górną wargę. Smakował jak cierpkie wino, a pachniał siarką. Zamknął oczy i upił bardzo mały łyk.

Wraz z płynem cała krew runęła w dół ciała Kaia – przeniknęła przez skórę i wytrysnęła jak czerwony wodospad z jego ramion, podbródka, i ud. Puchar wyleciał z jego ręki, gdy zerwał się z krzesła, niezdolny do krzyku.

Jego ciało stało o własnych siłach. Nie przewróciło się jak wyssana do szpiku ofiara wampira. Kai zacisnął palce na oparciu krzesła i siła wciąż w nich była – mimo ogromnej plamy krwi, od której śliskie były schody prowadzące do półkolistego podium.

Rozejrzał się i zobaczył haronów – zobaczył ich na wskroś. Widział krew płynącą w ich żyłach, pompujące ją serce, ichmięśnie i kości. Wszystko zostało w ich ciałach, nieporuszonych, niemal znudzonych, głuchych, ślepych, otępiących. I Kai zobaczył też Szarego Człowieka – otchłań ziejącą spod jego kaptura. Otchłań patrzącą w niego.

- Ty to naprawdę wypiłeś – powiedział z kpiną. – No, to teraz możemy porozmawiać.

Kai miał wrażenie, że nie jest w stanie wydać z siebie jękiu przerżenia, a co dopiero prowadzić wymagającą poprawnej artykulacji konwersację. Miał wrażenie, że zaraz zemdleje, tak samo jak mizerna Cerro na widok rany, która nie była dotkliwa, tylko na taką wyglądała, kiedy Kai smagnął ją swoim ostrzem... Spojrzał na swoją bladą rękę, na sine, puste żyły wyżymające się przez skórę. Chciał spojrzeć na swoją twarz w pucharze, ale ten leżał na posadzce, a wokół niego plama krwi... A może wina? Już nie pamiętał...

- Usiądź, zanim upadniesz.

Kai tak zrobił, przykładając palce do skroni.

- Wiesz, co Haron Sprawiedliwości robił o tej porze trzy tysiące dwanaście lat temu?

Kai rozwarł ociężale powieki i spojrzał w otchłań.

- Spał.

Szary Człowiek parsknął śmiechem pozbawionym humoru, który zadrgał w ścianach i suficie.

- Jakbyś tam był – powiedział, rozbawiony. – Spał w komnacie z jednym Magmowym Mieczem pod poduszką. Dla ciebie to jednak za mało. Dlatego właśnie rozmawiamy.

- Rozmawiamy... Co się stało z haronami?

- Z nimi? – Szary Człowiek wychylił się lekko zza mięsistego mózgu Harona Agvera.

– Z nimi wszystko w najlepszym porządku. To ty wypiłeś płyn nieznanego pochodzenia od zakapturzonej postaci, mimo swoich doświadczeń z próbą skrytobójstwa za pomocą trucizny i toksycznymi owocami. Nigdy się nie nauczysz, prawda?

- Czy ja... umarłem?

- Och, bardzo wątpliwe. Wciąż rozmawiamy, prawda?

- Tak, ale... Czy oni nas nie słyszą?

- Owszem, a ty nie słyszysz ich.

- Dlaczego?

- To ja chcę wiedzieć, dlaczego. Dlaczego wypiłeś to wino?

- Dlaczego Szary Człowiek miałyby mnie zabić?

- Dlaczego? Choćby dla zabawy! Choćby po to, żeby patrzeć na twarze wszystkich, którzy chcą się ciebie pozbyć, tak pozytywnie zaskoczone – i tych, którym na tobie zależy, nie na tyle żeby płakać, ale żeby również się zdziwić.

- A więc dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Tego nie możesz być pewien. Ale możesz mi zaufać, tak jak zaufałeś z tym winem.

- No dobrze, ufam... Co teraz, Szary Człowieku?

Starał się nasycić głos respektem, ale było to trudne, kiedy patrzył na boga przesłoniętego kłębami rzadkiej, białej mgły. Pewien był, że śni albo zasnął, albo wpadł w jakiś przedziwny, narkotyczny trans.

- Co teraz, co teraz... - Szary Człowiek podrzucił ten przedmiot, który toczył w palcach, i złapał go w powietrzu. – Każdy chciałby wiedzieć, prawda? Głupcy od wieków próbowali podglądać moje obrazy, co zuchwalsi chcieli je malować, a jeszcze zuchwalszym na to pozwoliłem... Może tobie też pozwolę, Kai?

- Mi?

- A, tak, tobie. Może jesteś wybrańcem, a może moją zabawką. Może mówię to teraz każdemu. Chcesz się przekonać?

- Co to znaczy? Co mam zrobić?

- Naprawdę? To są pytania, które zadajesz, mając okazję porozmawiać z bogiem, którego jesteś podobno najwierniejszym wyznawcą? Myślałem, że stać cię na więcej.

Kai zmarszczył brwi nieco gniewnie, zanim zreflektował się, że nie powinien gniewać się na boga.

- *Kodeks* – rzekł. – Kto mi go wysłał?

- No chyba żartujesz – prychnął Szary Człowiek. – Nie będę z tobą gadał o jakiejś spleśniowej książce.

- Ktoś zostawił mi w nim wskazówkę. Czy to było na twoje polecenie?

Szary Człowiek wybuchnął gromkim śmiechem.

- Może jeszcze ciekawi cię, czy wykułem siódmy Magmowy Miecz?

- Tak! Muszę wiedzieć, czy...

- Haronie Sprawiedliwości, wychwyć aluzję i zabaw swojego gościa tematem, dla którego fatygował się do ciebie przez pół świata.

Kai zastanowił się chwilę, zagryzając dolną wargę od środka.

- Część biblioteki ocalała z pożaru trzy tysiące lat temu. To przez nią się tu pojawiłeś, prawda?

Coś zmieniło się w postawie boga – jakby się zaciekawił.

- Założmy, że tak – zaświschtał złowrogo. – No, Haronie Sprawiedliwości? Masz jakieś pytania dotyczące biblioteki?

- Całe mnóstwo... Co to za język? Ten, w którym większość książek jest napisana.

- Proste. Maucahhagge.

- Mau...? Kto posługuje się tym językiem?

- Miliony ludzi już dzisiaj martwych, a nawet jeszcze żywych. I miliony jeszcze będą się nim posługiwać.

- I gdzie znajdę tych ludzi?

- A po co chcesz ich znaleźć? Przecież nie dogadasz się z nimi.

- To gdzie znajdę kogoś, kto zna ten język, ale się z nim dogadam?

- Znacznie bliżej niż mogłoby ci się wydawać. Nie patrz tak na mnie. Wasze spotkanie jest nieuchronne, więc po co mam je przyspieszać?

- Bo mam dostęp do informacji, których nie umiem odszyfrować. Nie będę mógł zasnąć, dopóki nie dowiem się wszystkiego i o Dionie, i o pożarze biblioteki, i o moim kraju.

- Więc to po prostu ciekawość?

- To przede wszystkim obowiązek. Chcę, żeby ludziom żyło się lepiej. Chcę wiedzieć, czemu haroni żyją tak jak żyją. Chcę, żeby chętniej cię czcili.

- Widzisz, mówisz, że chcesz zaspokoić swoją ciekawość, ale też, żeby ludziom wokół ciebie żyło się lepiej. Co, jeśli te dwie rzeczy się wykluczają?

- A wykluczają? Niby jak?

- Ten obraz nie jest jeszcze gotowy. Musisz podjąć decyzję, patrząc tylko na szkic.

Kai uniósł brew.

- Skoro moja ciekawość może doprowadzić ludzi wokół mnie do zguby, to znaczy, że coś im zagraża. I to coś nadziejnie przedzej czy później. Wolę zająć się tym teraz i powstrzymać to zagrożenie.

- Czyli tak usprawiedliwiasz swoją ciekawość. No dobrze.

Jego ręka wylądowała na blacie, a z palców wytoczył się błyszczący przedmiot – śmignął pod nosami przezroczystych haronów i wylądował przed Kаем.

Zakrwawiony izos.

Kai podniósł go i obrócił – druga strona była czysta.

- Dlaczego nie zwróciś jej właścicielowi? – spytał, wciąż ubawiony, Szary Człowiek.

- Riusowi?

- Człowiekowi, który ją wybił, a któremu Rius ją ukradł.

- Ukradł? Komu?
  - Dlaczego nie spytasz swojego Harona Mądrości?
  - On jest mądry tylko z tytułu.
  - Co za arogancja! No to nie mam pojęcia, gdzie indziej szukać odpowiedzi.
- Kai zatopił wzrok w monecie.
- I on zna ten język couhamage?
  - Maucahhagge. Szczerze mówiąc, wątpię, że on umie czytać.
  - Ale mówić nim umie?
  - Nie umie.
  - Czy ty właśnie mnie okłamujesz? Czcidzny Szary Człowieku.
  - Zapytaj Harona Mądrości o monetę, podążaj za odpowiedzią, a sam się przekonasz.
  - I po to przyszedłeś? Żeby pomóc mi w moim śledztwie?
  - A bo to duży dla mnie wysiłek? Nudziło mi się, to przyszedłem.
  - Gdyby tak było, wychodziłbys codziennie.
  - Myślisz, że w moim wulkanie jest aż tak nudno? Jestem bogiem, Haronie Sprawiedliwości. Ludzkie sprawy to dla mnie jak mało skomplikowany labirynt dla pcheł. Nie masz pojęcia, jak wielu ludziom pomogłem dzisiaj ze śledztwami i olśnieniami. Ilu jeszcze dzisiaj pomogę. Śledztwa niektórych zmieniają oblicze kontynentów, innych materii, jeszcze innych wszechświata. Tylko ty do tej pory byłeś na tyle arogancki, żeby założyć, że to przez twoją śmierdzącą bibliotekę.

Kai otworzył usta, by zaprotestować, kiedy Szary Człowiek uniósł magmowy puchar.

- Za Prawdę, drodzy haroni!
- Nie, czekaj!...

Tyle zdążył krzyknąć, zanim bóg przyłożył naczynie do niewidzialnych ust, a plama krwi na posadzce wróciła do ciała Kaia, rozpalając jego żyły od środka. Czuł jej smak na języku i puls pod skórą. Zasłonił usta, żeby nie zwymiotować, a kiedy spojrzał po zasiadających przy ławie, ci znów mieli twarze, włosy i wszystkie tkanki ciała na swoim miejscu. Tylko miny bardzo skonfundowane i niewyraźne.

- Bo Prawda, haroni – ciągnął Szary Człowiek – wydaje się w tym 3012 roku po koronacji Meaveletha zwanego Szarym niemal siódową cnotą potrzebną do szczęścia mieszkańców Świętej Unii. Pamiętajcie o tym, poszukujcie jej, obchodźcie się z nią ostrożnie.

Twarze wszystkich zbladły – sam Kai czuł, jak z jego policzków spływał kolor. Spuścił wzrok, jakby szukając na biurku zapewnienia, że to nie to, o czym myśli. Yazor... To Yazor jest wielkim zagrożeniem. Yazor, jego Magmowy Miecz i jego proroczy sen o Szarym

Bogu zesłany przez infiltrujących Pałac Popiółów legendarnych Ludzi Nieba, którzy szli, nie zatrzymując się, jak kataklizm, jak klęska żywiołowa, jak nieznający wyjątków dziejowy postęp, który przedzej czy później ogarnie każdy zakamarek świata, nie zważając na niczyje wysiłki i protesty.

Jak dobrze, że Kai nie stchorzył przed obowiązkiem i nie powrócił na Letnie Morza! Któż inny zadałby sobie tyle trudu, by podążyć za *Kodeksem*? Któż inny zdołałby do czegokolwiek dotrzeć? Któż inny sprzeciwiłby się szaleństwu Yazora?

- Ja odchodzę, haroni – Szary Człowiek powstał. – Bawcie się, póki Riggvare trwa! Niech wam się darzy i pamiętajcie o uśmiechu!

- Szary Człowieku – wycisnął z siebie haron Oakter. – Powiedz mi, co...

- Wszystkim wam powiedziałem wystarczająco. Dobranoc, drodzy haroni.

Zerwali się, by uważnie obserwować, co zrobi Szary Człowiek, w jak magiczny i cudowny sposób opuści pomieszczenie. Zamieni się w mgłę? Machnie peleryną i zginie w jej połach? Przeniknie przez ścianę?

Rzeczywiście, podszedł do burej ściany, na której wymalowane były góry i Modre Oko takie, jakim było kiedyś – otoczone chmurami, dumne, nie posępne i zimne, ale dające otuchę i wskazujące wiernym drogę niczym latarnia morska. Sam fresk był wypłoszony i ledwo widoczny spod warstw wiekowego brudu, pozbawiony znaków szczególnych mogących świadczyć o tym, że znajduje się za nim sekretne przejście.

A jednak Szary Człowiek dotknął go i odgarnął niczym tkaninę, i wszyscy ich zobaczyli, a Kai aż zacisnął pięści i powieki, czując furię rozpalającą jego twarz. Cerro, Silarus, Myron i Atian, z minami jak przyłapani na podglądaniu czterolatkowie, nie mieli gdzie się schować.

Szary Człowiek zaśmiał się i gestem zaprosił drużynę do wyjścia. Tak zrobili, by natychmiast paść na przerażone twarze.

- Przepraszamy, o...

- Niby za co? I tak nie usłyszeliście słowa. Szczęśliwego Riggvare!

I odszedł w jamę ciemnego korytarza, zasuwając za sobą tkaninę, która wcale tkaniną nie była, ale twardą kamienną ścianą, która jednak w jego palcach zachowywała się jak teatralna kurtyna. Zniknął, a mimo to haroni stali jeszcze długo – a czwórka podglądaczy klęczała z czołami na posadzce.

Pierwszym, który się poruszył, był chyba haron Agver, który chciał sięgnąć po swój puchar – ale jego palce zacisnęły się na pustce. Puchary wszystkich zniknęły i letni grzmot zabrzeczał o okna przy sklepieniu komnaty.

- Zwykle za coś takiego grozi proces i nie lekka kara – burknął do otrzepujących kolana z kurzu haron Kastirron. – Ale skoro jest wśród was król...

- ...to żadnego procesu nie będzie – warknął Myron. – Zresztą i tak nic nie słyszeliśmy, ani nie widzieliśmy, Szary Człowiek musiał rzucić jakiś czar...

- Od jak dawna wiecie o tym przejściu? – pokręcił z niedowierzaniem głową haron Oakter.

- Cerro pewnie od zawsze wiedziała.

Cerro spojrzała na brata z nienawiścią i przelotnie musnęła wzrokiem Kaia, zanim skrzyżowała ręce na piersi. Atian, chwiejący się na swym kosturze, też tylko zerkał na niego lękliwie.

- Próbowałem ich powstrzymać! – oświadczył bardzo przekonującym tonem Silarus. – Ale na Meavelethów nie ma siły, kiedy się uprä. I na felsidów widocznie też.

Kai wiedział, że wszyscy haroni myślą o tym samym, co on – jeśli Silarus słyszał słowa Szarego Człowieka o Prawdzie, mogą mieć spore kłopoty. I wielkie zmiany faktycznie mogą się szykować. Być może to wielkie zagrożenie było bliżej niż Kaiowi się wydawało.

Tej nocy nikt już nie zamierzał kontynuować parady z okazji Riggvare. Na niebie kotłowała się dziwaczna tropikalna burza, a z lasu dobiegały przeraźliwe odgłosy. Stopniowo jednak i miasto, i zamek zmuszone były przygotować się do snu.

- Nie ja to wymyśliłam – warknęła do Kaia Cerro, kiedy tylko wyszli z sali obrad. – Myron mnie zmusił! Ale mówił prawdę. Nic nie widzieliśmy i nie słyszeliśmy.

- A ty koniecznie musiałaś iść z nim? – odsyknął Kai i spojrzał surowo na admirała. – A ty co, Atian? Chciałeś się przekonać, czy nasz bóg jest prawdziwy? No to jest, i jest dość przerażający, prawda? A z ciebie, Silarus, co za pułkownik, jak bandy rozwrzeszczanych dzieciaków nie umiesz upilnować?

- Pułkownik wydaje rozkazy, a nie pilnuje dzieciaków – Silarus uniósł kruczoczarną brew. – I nie jestem twoim slugusem, Kai.

- Prawda, jesteś pchłą słabo spisującą się w moim cyrku. Wybacz mi na chwilę, ale muszę znaleźć twojego niedoszłego teścia.

Nie widział min ich czwórki, bo odnalazł wzrokiem harona Agvera, któremu właśnie podawano kosmate niedźwiedzie futro.

- Później się z wami policzę, mam coś do załatwienia.

I znów nie widział, jakimi odprowadzili go spojrzeniami, kiedy on zastąpił drogę Agverowi.

- Przepraszam, Haronie Mądrości, ale...

- Nie przejmuj się, Kai – Dobrotliwy uśmiech wykwitł pod jego brunatną brodą. – To, że Szary Człowiek w ogóle się do ciebie nie odezwał, nie znaczy, że cię nie kocha.

- Co takiego?

- I tak robisz kawał wyśmienitej roboty i dobrze się spisujesz. Twój ojciec byłby z ciebie dumny, ale może Szary Człowiek myśli, że jesteś jeszcze za młody? Któż zgadnie, co w Jego głowie siedzi... Jeśli On w ogóle ma głowę...

Kai zmarszczył brwi w gniewie, ale faktycznie – Szary Człowiek przemawiał do niego tylko wtedy, kiedy reszta była przezroczysta i prawdopodobnie zupełnie nieświadoma tego, co się dzieje. Mógł więc wybaczyć Agverowi tę nieintencjonalną obrazę... Choć bardzo możliwe, że była ona intencjonalna... Kai spojrzał w ufne, nieskalane myślą oczka harona i potrzasnął głową.

- No tak, nie przejmuję się wcale – zapewnił. – Ale zastanawiam się, Haronie Mądrości... Wiesz, kto robi takie monety?

Wyciągnął dłoń, na której leżały dwa izosy – jeden jego, jeden Szarego Człowieka. Obydwa nie zakrwawioną stroną do góry.

Agver nie musiał nawet brać ich do ręki.

- Pewnie, że wiem! – wykrzyknął, jakby sam tym faktem zaskoczony. – To robota Merinosa, mennika. Sam mu wydawałem pozwolenie na założenie osady na ziemiach przyległych do Naucenemes z miesiąc temu.

- Naprawdę? – Oczy Kaia otworzyły się szeroko. – Założył tutaj osadę?

- A, tak, nie pamiętam, jak się nazywa... Ale jest otoczona Puszczą, i póki co są tam chyba tylko drwale i mleczarze. No i Merinos, który wykuwa takie fikuśne monety. Sam taką mam, o – uniósł nadgarstek, na którym ze splątanych ze sobą rzemieni zwisał identyczny izos. – Mój stryj sprawił mi ją w dniu mojej harońskiej przysięgi. Nie mógł, bidulka, wyrwać się z Memnos, a...

- A to normalne, żeby zakładać osady tak z dnia na dzień?

- Jak z dnia na dzień? To są długie procedury, i Merinos długo je wypełniał. Przybył tutaj z uchodźcami z Temarairu po którejś z klęsk żywiołowych parę lat temu. Zasłużył się i bardzo mu zależało na tej osadzie, to w końcu ją dostał. To porządnego chłop, ręczę za niego.

- A znasz, haronie, dokładniejszą lokalizację tej osady?

- Nie bardzo, ale Trian tam wizytował. Może cię zaprowadzić. Kiedy chcesz wyruszyć?

- O brzasku.

- Świeście! Powiem mu, żeby się naszykował.

- Dziękuję po stokroć, haronie!

Agver machnął niefrasobliwie ręką i wyszedł z zamku, od razu ocierając pot z czoła, bo burzowe ciśnienie dusiło i grzało. Przed Kaiem natomiast jak spod ziemi wyrosła sępia postać Myrona.

- Co to za tajemne wyprawy sobie urządzacie? – spytał podejrzliwie. – Po co ci jakiś mennik?

- Podobażą mi się te jego monety – odpowiedział Kai, uśmiechając się uprzejmie.

Myron zmarszczył gniewnie brwi.

- Wiesz, co, Kai? Nie wierzę ci. Jadę z wami.

- Ale po co? To nie jest najodpowiedniejsze...

- Ja decyduję, co jest najodpowiedniejsze! Stawię się pod bramą o brzasku, i pojedziemy odwiedzić tę osadę! To w końcu moje włości, prawda? Dobrze jest czasem uświadomić sobie zasięg swoich wpływów.

- No tak...

- I Silarus też pojedzie z nami. Jak pewnie się domyślasz, obiecałem Yazorowi wtajemniczać go w rozmaite sprawy.

Kai uniósł brew, słysząc tę bezpośrednią.

- Domyślam się.

- Szczególnie dotyczące ciebie. Nie życzę ci śmierci, ale mam już trochę dość tego kultu, który wokół siebie zrobiłeś. „Najszarszy Haron”, phi. Co za durnota... Może weźmiesz Cerro i przeprowadzicie się gdzieś, gdzie jest cieplej? Obydwojgu wam wyszłoby to na dobrze.

Teraz Kai był tą bezpośrednią oszołomiony.

- To ty, Wasza Wysokość, jesteś poza domem. Modre Oko należy do haronów.

- A haroni należą do mnie. Nic mnie nie obchodzi, jak było wtedy, kiedy ktoś napisał ten twój śmieszny *Kodeks*, teraz jest tak jak ja mówię. Zaczniż łaskawie zachowywać się tak jak inni i nadgoń za duchem cholernego czasu. Aha, i do tego – jego dłoń plasnęła o policzek Kaia z takim impetem, że ten odgiął się na bok, chwytając za poczerwieniałą kawałek twarzy. Cały hol ucichł. – Jeszcze raz nazwiesz mnie durniem i zabronisz mi siedzieć na moim własnym tronie, odrąbię ci głowę i skarmię ją psom Cerro. Ona też będzie mogła coś sobie uszczknąć.

Myron odszedł z wysoko podniesioną głową, a Kai odjął rękę od twarzy, nie chcąc wyglądać jak utemperowany giermek. Hol powoli znów się ożywił, mając kolejny powód do szeptów, a Kai ze złością skierował się ku schodom.

Cerro i Silarus już zniknęli i, jeśli Szary Człowiek jest łaskawy, nie widzieli tego policzka. Tylko Atian stał pod ścianą z miną zbitego psa.

- Kai, muszę z tobą...

- A ja jakoś nie mam ochoty z tobą rozmawiać. Wiesz, jakie to było niebezpieczne?

- Wiem, ale...

- Jestem zmęczony, a o brzasku wyjeżdżam. Jak chcesz się na coś przydać, to powiedz bibliotekarzowi Riusowi, że chcę sobie z nim zaraz porozmawiać. Tak dla ścisłości – ty masz zakaz wyjazdu. Miałbyś go zresztą tak czy siak po tym, jak wygłupiłeś się w Ariano.

Z tymi słowy ruszył schodami na górę, po raz trzeci tego dnia nie oglądając się na reakcję nikogo, lecz słysząc odległą muzykę burzy towarzyszącej podróży Szarego Człowieka.

Kai wszedł do sypialni, spodziewając się zastać w niej rozjuszoną Cerro. Nie było jej jednak ani w sypialni, ani w toalecie.

I bardzo dobrze, Kai i tak nie miał czasu się z nią awanturować. Wyciągnął kałamarz, pióro i pergamin, żeby wynotować sobie wszystkie pytania, które chciał zadać Riusowi. Usiadł przy toaletce Cerro, rozgarniając jej słoiczki pełne barwników i mazideł, i patrzył w przestrzeń w okolicach kominka, wiszącego nad nim Magmowego Mieczu i dwóch pustych haczyków.

Kai, który bezwiednie ssał końcówkę pióra, przestał. „Sprawiedliwość” wciąż wisiała nad kominkiem, ale „Prawdy” nigdzie nie było. Wstał, rozglądając się po pokoju, myśląc, że może rzucił miecz w kąt i o nim zapomniał. Nigdzie go jednak nie było.

- Kurwa, kurwa, kurwa...

Otworzył szafę na podręczne nakrycia Cerro. Jej biały rynsztunek leżał, ciśnięty, w rogu. Dwa z wieszaków były puste – jeden na suknie, drugi na podróżne płaszcze.

- Ja pierdolę!

Wybiegł z pokoju, najpierw kierując się do stajni, a potem do pociągi.

\*

Kiedy Cerro usłyszała rżenie konia, zacięła zęby, wsadziła ręce w kieszenie i po prostu zaczęła iść nieco szybciej poprzez topniejącą glebę. Kiedy jednak usłyszała szczenię, zaczęła przez nią biec – i to ją zgubiło.

Larrus, Jorsalos, Hirne, Berus i Mavok uznali to za zaproszenie do zabawy i rzucili się za nią, stając na tylnych łapach i zalewając ją oślinioną falą, finalnie powalając na ziemię.

Magia Szarego Człowieka sprawiła, że błoto akurat stwardniało, a z wielobarwnego nieba spadły kaskady gwiazd rozświetlających bezlitośnie całą tę żałosną scenę. Cerro klęła zawzięcie, jednocześnie głaszcząc swe szczeniaki i próbując wstać, by wznowić swoją ucieczkę. Udało jej się otrzepać z białej i złocistej sierści akurat, kiedy Kai ściągnął lejce swojego czarnego jak noc konia.

W oddali rozległ się grzmot, na który Larrus i Mavok zadygotali, lgnąc do jej spódnicy. Reszta rozszczękała się odważnie.

- Nie najlepsza pogoda na spacer – rzucił Kai.
- Nie jestem na spacerze – warknęła Cerro. – Uciekam.
- A niby dokąd?
- A niby co cię to obchodzi?

- Zabrałaś miecz po to, żeby ruszył za tobą w pogoń. Nawet nie pofatygowałaś się po konia, więc wyraźnie nie chcesz nigdzie uciekać. Przestań się wydurniać i powiedz, o co ci tym razem chodzi.

Cerro była tak wściekła, że nie wiedziała, czy złapać się za głowę, czy zaciągnąć pięści. Po namyśle odwróciła się i ruszyła przed siebie, w dół zbocza, a psy, skomląc, za nią.

Koń Kaia stanowczo zastąpił jej drogę, chociaż zadudnił niespokojnie kopytami, kiedy powietrze rozdarł kolejny grzmot. Na moment drzewa rozbłysły pełnym kwieciem, a spod ziemi wyprysły drzewne gałęzie – lecz zaraz wszystko znów wróciło na swoje miejsce, choć wciąż pomylone co do pory roku.

- Oddaj mi miecz – powiedział Kai, jedną ręką chwytając za stalową rękojeść u pasa, a drugą wyciągając sakiewkę spod płaszczu. – Chcesz, żeby potraktować cię jak złodzieja czy bandytę? Sprzedaj mi go i możesz iść w cholerę. Nie będę cię już niańczył i wyciągał z tarapatów, masz moje słowo. Miecz będzie mój tak czy siak, a ty albo odejdziesz stąd z ciężkim mieszkim, albo obolałą dupą. Mi wszystko jedno.

- To zbrodnia ukraść złodziejowi?
- Tylko ty tutaj jesteś złodziejką.
- Nie, nie tylko ja. Ten miecz należy do Yazora Temidana.

Kai jakby chciał się roześmiać, ale w połączeniu ze zmarszczonymi brwiами i kulistą błyskawicą wirującą na nieboskłonie, grymas, który wykonał, wyglądał dość upiornie.

- I co? Idziesz mu go odnieść? Będziesz zapierdalać na swoich mizernych nózkach aż do Rhagos, żeby przed nim klęknąć i mu go wręczyć? I myślisz, że co? Że pasuje cię na rycerza?

- Miecz został skonfiskowany przez mojego ojca...

- Który dał go mojemu ojcu.
- Na przechowanie! To wciąż własność króla!
- Myron jest w drugą stronę, cymbale.
- Wszyscy jesteście pierdolonymi złodziejami i gotowi jesteście zapierdolić się o to, kto jest najszarszy i najharoński! – zrobiła jeden krok w kierunku zdenerwowanego pogodą konia.
- No dalej, chodź, Najszarszy Haronie! Zapierdol i mnie! Zapierdol mnie za tępy miecz, tak jak gotowy byłeś zapierdolić mnie za krew na monecie!

W świetle niemej błyskawicy oczy Kaia były szerokie jak spodki. Cerro wyszarpnęła myśliwski nóż zza pasa, kiedy tylko Kai zeskoczył z konia.

- Potrzebowałem twojej krwi, prawda – powiedział, nagle wielce ugodowym tonem, a jednak z palcami wokół rękojeści. – Ale tylko kropli. Nie chciałem cię tak zranić. Nie chciałem, ale potrzebowałem...

Jego słowa utonęły w grzmocie, który rozdarł niebo, spuszczając z siebie deszcz wielkich jak grochy, pachnących różami kropel. Psy zaskomlały, a koń zarżały, uciekając w popłochu w kierunku zamku. Kai nawet na niego nie spojrzał. Patrzył uważnie na Cerro, widząc zapewne tylko Magmowy Miecz, który musiała mieć schowany pod peleryną.

- Są jakieś granice, których nie przekroczysz, kiedy sobie wmówisz, że czegoś potrzebujesz? – syknęła, walcząc z wpadającym do jej ust deszczem smakującym gorzko jak perfumy. – Prawie mnie zabiłeś, żeby mieć moją krew, i gotowy jesteś mnie zabić, żeby odzyskać ten głupi, tępymiecz...

- Nie jestem, Cerro, nie chcę...

- Oczywiście, lepiej utrzymać mnie przy życiu, mogę ci się jeszcze przydać! Będziesz trzymał blisko i wrogów, i przyjaciół, tak długo, jak są ci przydatni! Możesz pierdolić o zmianie prawa i o tym, że mi współczajesz, ale obchodzi cię tylko to, że jestem księżniczką i znam parę ukrytych przejść! Silarus to żmija czekająca, żeby ukąsić, ale jest dla ciebie przydatny do pogrywania z tym pierdolonym Yazorem, więc udajesz, że jego szpiegostwo jest nieszkodliwe! A odkąd Atian nie może być twoim chłopcem na posyłki, nie masz nawet czasu się z nim zobaczyć! Muszę stąd uciec! Muszę, bo boję się pomyśleć, co się ze mną stanie, kiedy wyczerpię swoją przydatność!

- Masz rację! – Głos Kaia przebił się przez ulewę, gromki jak dzwon. Cerro uniosła nóż, a wianuszek psów wokół niej nie spuszczał z Kaia wzroku. – Jesteś mi potrzebna, wszyscy jesteście mi potrzebni, i co z tego?! Robię politykę, a nie kącik wzajemnej adoracji!

- HA! – zaśmiała się Cerro, chwytając się pod boki. – HA – HA! Chciałabym, żeby był tu kronikarz! To jest pierdolony Najszarszy Haron, on i jego *Kodeks*! On i jego geniusz!

Bo tak sobie myślisz, tak? Że jesteś jakimś pierdolonym geniuszem, albo jeszcze lepiej, wybrańcem?! Że rozgryzasz tajemnice i odmieniasz świat?! HA – HA, odpowiadam! HA – HA!

- A odpowiadaj sobie, co chcesz! – wrzasnął Kai. – Po prostu oddaj mi miecz!

Cerro przez chwilę dyszała bez słowa. Wydawało się, jakby lał się na nich wodospad, a nie deszcz.

- Nie mam go – powiedziała.

Wszędzie pachniało pogrzebem.

- Co takiego? – zapytał Kai.

- Nie mam go.

- Więc gdzie jest?! Kto go zabrał?!

- Ja go zabrałam. Zabrałam go i rzuciłam w przepaść.

Błyskawic było kilka. Uczyniły z nieba koślawą kratę.

- Nie zrobiłaś tego – oświadczył Kai.

- Zrobiłam – odparła Cerro, czując, jak strach wpełza jej do ust. – Poproś o pomoc Chevitę. Może pomoże ci go znaleźć, jeśli nie roztrzaskał się o skały.

- Co ja... Co ja ci takiego zrobiłem? Za co ty mnie aż tak...

Grzmot nie zdążył wybrzmieć, zanim kolejny piorun uderzył – i uderzył prosto w ogromny świerk stojący tuż za Kairem. Błyskawica owinęła się wokół pnia i wyrwała go z korzeniami – Cerro ledwo zdążyła chwycić Kaia za kaptur, kiedy odwrócił się jak idiota, szukając źródła ogłuszającego trzasku. Odskakując, potknęła się o skamlującą Mavok, i wyrznięła kolanami o ziemię, wypuszczając nóż i chwytając go w panice – za ostrze.

Przynajmniej Kai upadł razem z nią, tyle że na plecy. Jego głowa natychmiast oderwała się od ziemi, kiedy odpełzł z krzykiem jak najdalej od pnia – a ten przy zetknięciu z ziemią rozpadł się w drobnutkie, nieszkodliwe drzazgi. Cerro mrugała, nie dowierzając własnym oczom, nawet nie przejęta krwią cieknącą z rozcięcia na wnętrzu jej dłoni i palców – dopóki Larrus nie zaczął jej troskliwie zlizywać.

- Co za głupota – odezwał się Kai. Spokój w jego głosie niepokoił bardziej niż krzyk.

– Co za głupota. Musimy schować się przed tą idiotyczną burzą.

Wstał, ocierając różaną wodę z oczu i chowając mieszek. Cerro też wstała, skołowaciała, lecz uparcie ściskając nóż. Kai ruszył pospiesznie, a ona za nim, wiedząc, że idą do jaskini, w której chowali drewniane miecze. Wążek złotych szczeniaków posłusznie za nimi podążył.

Grota była dość mała i płytka, jednak zaskakująco sucha, a nawet ciepła. Przytaczający zapach róż wydobywał się tu już tylko z nich samych. Mieczły były przykryte piaskiem, który psy natychmiast zmioły wesołymi ogonami i ciekawskimi nosami, lecz nie miało to znaczenia – byli tutaj bezpieczni i przed burzą, i przed ludźmi. Przez niski sufit i bawiące się psy było tak ciasno, że Cerro musiała siedzieć ze skrzyżowanymi nogami, a Kai, który postanowił wycisnąć wodę ze swojej peleryny, zmuszony był robić to na klęczkach.

Cerro rozpuściła włosy, ścisnęła je w pięści i skrzywiła się, czując pulsujący ból w dłoni, z której nie zamierzała wypuszczać noża. Krew wciąż się z niej sączyła, ale było jej niewiele, i w dodatku sama sobie jej utoczyła – i to w tak głupi sposób. Nie było powodu, żeby mdleć.

- Szary Człowiek niezłe sobie ze mnie zażartował – powiedział Kai, siadając pod przeciwną ścianą z westchnięciem. Cerro ledwo słyszała go spomiędzy rzęsistego deszczu, a widziała go tylko przy okazji niemych błyskawic. – Wyśle mnie na wyprawę przejębiego.

Cerro zaciśnięła usta, obracając nóż w dłoni.

- Dlaczego Szary Człowiek wyszedł ze Zwiastuna? – spytała. – Dlatego, że wyrzuciłem miecz?

- Nie wiem. Raczej nie. Nie wspominał o tym.
- Nie był wściekły?
- Wściekły? Nie.
- Ale rozmawiałeś z nim? Naprawdę z nim rozmawiałeś?
- Każdy haron z nim rozmawiał. Nie wiem, czy naprawdę.
- I po co wysyła cię na tę wyprawę?
- Nie wiem.
- Wiesz. Nie wytrzymałbyś, gdybyś nie wiedział.
- Nie wytrzymuję. Dlatego właśnie jadę.

Jej oczy przyzwyczaiły się nieco do ciemności. Widziała Hirne czuwającą najbliżej wylotu jaskini z głową pomiędzy łapami. Widziała, jak białka oczu Mavok błyskały niespokojnie. Widziała, jak powieki Jorsalos opadały błogo pod naporem głaszczonej ją ręki. Widziała, jak wolna ręka Kaia odgarnęła jego mokre włosy. Wyglądał zupełnie inaczej, kiedy jego czoło było widoczne – nagle jego szczeka robiła się wyraźna, a policzki traciły nieco na pyzowatości.

- Ale wiesz, po co była ci moja krew – odezwała się.

W prawej ręce wciąż trzymała nóż, ale lewą tracił nos Larrusa. Cerro pogłaskała jego złożoną na podołku głowę.

- Była pewna księga, do której nie mogłem się dostać bez krwi Meavelethów.
- Co to za księga?
- Nie wiem. Nie miała tytułu. Ale była dobrze zapieczętowana, więc rozbudziła moją ciekawość na tyle, żebym zaryzykował twoją ranę.

Cerro zamierzała go o to oskarżyć w następnym zdaniu, lecz teraz nie wiedziała, co powiedzieć. Berus przydreptała do jej prawego kolana, również kładąc pysk na podołku.

- Mogłeś mnie poprosić – wyszeptała. W blasku burzy oczy Berus i ostrze myśliwskiego noża jaśniły jednym rytmem. – Z chęcią sama bym ją przeczytała.
- Pierwsza strona głosiła, że kto przeczyta tę książkę, sprowadzi na siebie zgubę...
- Kłamiesz.
- Nie kłamię...
- Twój miecz mógł sprowadzić na mnie zgubę, tak samo jak książka. Co to by była dla ciebie za różnica?

Kai spojrzał jej prosto w oczy. Cerro nie odwróciła wzroku. Berus dotknęła błagalnie wierzchu jej dłoni nosem.

- Nie chciałem sprowadzić na ciebie zguby. Swojemu ostrzu ufałem bardziej niż książce.
- Głupio z twojej strony.
- Skąd wiesz?
- Może i nie wiem, ale będę wiedziała, kiedy zobaczę, jak dotkliwą zgubę na siebie sprowadziłeś.
- Nie będziesz. Wyrzuciłem tę książkę. Wyrzuciłem w przepaść, żeby już nigdy nikogo nie skłoniła do popełnienia takiej ohydy.

W jaskini było właściwie gorąco. Na tyle, że suknia Cerro wydawała się sucha i gruba jak futro, a krople nad jej ustami miały słony smak potu. Na tyle, że na twarz Kaia wstępły niezdrowe rumieńce.

- Kłamiesz – oświadczyła tonem nie tak zimnym, jak próbowała.
- Po czym poznajesz? – Kai zapytał tonem nie tak beztroskim, jak próbował.
- Ty cały czas kłamiesz.
- Nie. Nie cały czas.
- Cały. Kłamiesz, żeby zrobić złą rzecz, i żeby zrobić dobrą, i żeby nie zrobić nic.
- A ty kompletnie nie umiesz kłamać, nieważne, jak bardzo byś chciała.

- A może kłamię aż tak dobrze, że tylko myślisz, że mnie przyłapujesz?
- Nie. Podziwiam twój upór, ale zawsze dajesz subtelną wskazówkę, zanim spróbujesz.
- Niby jaką?
- Przed każdą próbą ubierasz się na biało.
- A ty... ty... Zawsze masz ohydne, rude włosy. Masz rude włosy i się czerwienisz.
- Jak rude włosy mogą być ohydne? Są piękne jak lisia kita.
- I ja tak myślałam, dopóki cię nie poznałam.

Kai ani się nie zaśmiała, ani nie zacietrzała – po prostu poruszył się dziwacznie, jakby chciał wstać, ale powstrzymał go niski sufit i chmara delikatnych szczeniąt sklepiona wokół niego, szczególnie pełen wyrzutu pomruk Jorsalos. Kai opadła więc z powrotem na podłogę i dopiero teraz się zaśmiała, spuszczając wzrok, ocierając z czoła pot i wytrzepując wodę z włosów, by móc schłodzić nią twarz, której kolor stał się im już wyjątkowo bliski. Cerro wcale się mu nie dziwiła – sama musiała mieć wypieki na szyi, kiedy fantazjowała o podwinięciu wszystkich warstw sukni nad łydką, żeby tylko złagodzić wypełniający jaskinię ukrop.

Masowana po brzuchu Jorsalos na powrót wyłożyła się na plecy, poruszając przez sen łapami. Larrus mrucnął, Mavok zachrapała, a Hirne zastrzygła uszami. Tylko Berus patrzyła na Cerro błagalnie, i ta w końcu uległa; odłożyła noż i pogłaskała ciepłą głowę towarzyszki, która od razu przymknęła oczy w wyrazie ulgi – i nie otworzyła ich, dopóki deszcz raptownie nie ucichł.

\*

Kaia nie było w bibliotece. Nie, żeby Atian spodziewał się innego stanu rzeczy – było, bądź co bądź, jeszcze ciemno. Kai na pewno zażywała regeneracyjnego snu mającego przygotować go do wyprawy. Atian spodziewał się jednak, że przed brzaskiem zajrzy choć na chwilę do swojego ukochanego miejsca. Tym bardziej, że miał porozmawiać z bibliotekarzem. Tu Atian go dopadnie i wszystko wyzna, i nikt nie usłyszy tego, co sobie wygarną. Poza ścianami, ale w tym zamku niemożliwe jest znalezienie takich bez uszu.

Usiadł w krześle przy biurku ze starym, zakurzonym portretem jakiegoś człowieka w bieli za plecami. Przed jego nosem leżały zaśniedziałe, cuchnące starym papierem tomiszcza. Atian westchnął ciężko. Nie byłoby go tutaj, gdyby nie pieprzone książki, a właściwie ta jedna, ten jeden owoc zatruwający duszę, zmieniający Kaia w człowieka, którym nigdy nie

był... A może był zawsze? Może Kai-felsid niczym się nie różnił od Kaia Kohara i Kaiaharona? Jedyne, co Atian mógł na ten temat wiedzieć, to tylko to, że jednego z nich woli znacznie bardziej niż pozostałych.

Westchnął znowu, postanowiwszy przenieść wzrok na cokolwiek, co nie było książkami. Było to trudne, zważywszy na fakt, że siedział w bibliotece. A jednak były tam drzwi do komnaty starego bibliotekarza, Riusa. Miły człowiek, choć budził w Atianie ten delikatny lęk, który powodowali w nim wszyscy starcy i staruszki, na których wiek odcisnął głębokie piętno. Mimo to – miły, spokojny człowiek.

I Atian mógłby przysiąc, że na drzwiach komnaty tego starego, schludnego bibliotekarza nie było nigdy głębokich, szeroko rozstawionych bruzd przypominających cięcia po szponach. Czy były tutaj wczoraj? Atian wiedziałby, gdyby wykonał rozkaz Kaia i odwiedził Riusa. Wyobraził sobie dźwięk towarzyszący tworzeniu bruzd, i sama fantazja przywróciła go o gęsią skórkę. Uświadomił sobie, jak strasznie jest siedzieć przed świtem w ciemnej i cichej jak grobowiec bibliotece. Starzy ludzie wstają wcześnie, więc dlaczego Rius musiał być wyjątkiem? Atianowi byłoby łatwiej, gdyby widział go spacerującego między półkami.

Zauważał te niepokojące symptomy, znaki, że coś jest nie tak, ale bardzo nie chciał tego tropu podjąć. Może nie miał prawa oceniać Kaia, skoro do pięt nie dorastał mu odwaga? Może faktycznie nie zasługuje na miano admirała... Ale wstał. Krótki, przenikliwy ból odezwał się w nodze zmiażdżonej przez Modrego Rycerza z Megarantu. Rzadko pamiętał o bólu, tak często o upokorzeniu...

I może znów pchał palce między drzwi, ale chodziło tylko o to, żeby upewnić się, że ze staruszkiem jest wszystko w porządku. Może zagdera, zwymyśla Atiana od góry do dołu za wyrywanie go ze snu, może wszystko będzie dobrze. Niech tylko okaże się, że te szramy na drzwiach nic nie znaczą. Atian dokuśtykał do drzwi na kosturze, zapukał i nie doczekał się odpowiedzi. Ani po drugim, ani po trzecim, ani po czwartym razie, kiedy już nawoływał i walił pomiędzy zadrapania pięścią. Odważył się nawet nacisnąć klamkę, ale ta nie wpuściła go do środka.

Dla Atiana była to wystarczająca przeszkoda, żeby odpuścić. Odszedł, syknąwszy, kiedy ból znów dał o sobie znać. Oby matka w Strażnicy Świata znała jakieś maści albo inne sposoby na to, żeby przywrócić jego ciało do dawnej sprawności. Nie wybaczyłby sobie, gdyby przez ten wypad do Świętej Unii został kuternogą albo nie był zdolny do służby...

Do biblioteki wpląsała się służka. Niewiele starsza od Atiana, zatrzymała się na jego widok i dygnęła z ręką w miejscu, gdzie jest serce. Atian niezgrabnie pochylił lekko czoło.

- Dzień dobry, lyrrze – powiedziała dziewczyna, z szacunkiem w głosie, ale bez żadnej rezerwy zbliżając się do niego. – Przyszłam do Riusa.

- Chyba śpi – odparł Atian. – Wołałem go, ale nie odpowiada.

Dziewczyna wytrzeszczyła na niego oczy i wyciągnęła rękę, by nacisnąć klamkę. Cofnęła się, kiedy zobaczyła bruzdy na drzwiach

- A to co to? – spytała z plebejską prostotą, od której Atian się odzwyczał, a za którą tak straszliwie tesknił.

- Nie wiem. Było, jak już tu przyszedłem.

- Rius nie przyszedł na śniadanie o tej porze, co zwykle, dlatego Moira wysłała mnie sprawdzić, czy coś się stało... I wygląda, że stało.

Milczeli chwilę, patrząc na drzwi.

- Sprowadzę straż – powiedziała krótko dziewczyna i odeszła prędko, uważając, żeby nie wpaść w płas.

Straż, po bezowocnych nawoływaniach, otworzyła drzwi wytrychem, i znalazła Riusa leżącego na łóżku, z półotwartymi ustami, z rękami splecionymi na kołdrze. Spał spokojnym snem, snem bez snów, wiecznym i smutnym. Strażnicy, stwierdziwszy to, chwilę stali w milczeniu, zapewne kontemplując wiekowość i łaskawe okoliczności, w jakich starzec udał się na wielką przygodę, prowadzony przez Szarego Człowieka. Służąca zakryła swoje usta fartuszkiem, tak że tylko zmarszczone brwi i spuszczone powieki nad niego wyglądały. Do biblioteki wpadła też naczelną kucharka zwana Pomarszczoną Moirą, początkowo w celu zestrofowania dziewczyny za ociąganie – potem, żeby lamentować i ronić ciężkie jak pociski łzy.

A Atian usiadł ciężko, przeklinając siebie za wejście do tej biblioteki, za przyjechanie do tego cholernego zamku, który cuchnie śmiercią, który wymalowany jest w portrety władców martwych od tysięcy lat, który istnieje tylko po to, żeby być zimnym, niedostępny domem dla pozbawionych węchu i wzroku szaleńców górującym nad cywilizacją głupców i słabeuszy godzących się na całe зло, które ich spotyka, czczących boga, za którym ciągnie się różany odór śmierci

Nie zostanie w tym zamku ani jednej nocy dłużej.

\*

Nikt nie wiedział nic o żadnej rodzinie Riusa, toteż przeleżała w krypcie jedną noc, gdzie natarto go olejkami, a Pomarszczona Moira złożyła pocałunek na jego ustach i rękach.

Następnego dnia, skoro świt, wszyscy udali się na cmentarz rodu Agverów, gdzie ciało bibliotekarza złożono w rzędzie innych wiernie służących w Modrym Oku. Na doczesnym padole mogli być tylko bezwolnymi biedakami, których żywot składał się z wykonywania poleceń i nie kwestionowania ich – ale takie piękne miejsce na cmentarzu, gdzie spoczywały ciała królów, być może było tego warte.

Przystrojony szkarłatnoliściem Haron Przyjaźni, przystrojony odprawiał pochówek, czytając z *Kodeksu*. Nie znał żadnych formuł na pamięć i Kai zastanawiał się, czy ten kiedykolwiek w swoim życiu prowadził pogrzeb. On albo jego poprzednicy noszący to samo nazwisko.

Kai był zniecierpliwiony i ziryutowany. Nie mógł skupić się na kontemplacji i tesknocie za Riusem, skoro jego śmierć sprawiła, że wyprawa została odłożona na dwa dni później, z powodu „obowiązku Myrona wobec wiernego sługi”. Żałował tylko, a właściwie był wściekły, że umarł człowiek, który dał mu klucz do biblioteki, klucz do sekretów, klucz do poznania Prawdy, a przynajmniej jej części. Kai miał teraz dwie okrwawione monety – tę, której użył, i tę którą dał mu Szary Człowiek, i zastanawiał się cały czas, czy może być ich więcej. Czy Rius miał ich więcej? Czy sam wiedział cokolwiek o tajnej bibliotece? Przed wyprawą zamierzał wypytać go o wszystkie tajemnice i tego mennika, do którego się wybierają – i nie zdążył. Przez Cerro... Nie. Przez samego siebie. Mógł przecież iść do niego od razu, mógł nie przejąć się Magmowym Mieczem, mógł pozwolić Cerro uciec, zamiast siedzieć z nią w tej jaskini i... Kai był zniecierpliwiony i ziryutowany.

- Muszę z tobą porozmawiać – szepnął do niego Atian.
- Teraz nie mogę – odparł Kai, starając się nasycić ton głosu współczuciem i zrozumieniem.
- Nie teraz – zgodził się chłopak. – Ale jak najszybciej.
- Wiem, że nie zachowywałem się tak jak na przyjaciela przystało, ale mam teraz urwanie głowy z tą wyprawą. Pogadamy, jak wrócę z Puszczy.
- Nie będzie mnie tutaj, jak wrócisz z Puszczy.

Kai przekrucił głowę, by spojrzeć prosto na niego. Atian udawał wielce zafascynowanego Szczurem, który zaczął wyć żałobną pieśń na fałszywą melodię.

- Co to ma znaczyć?
- Potem pogadamy.

Napięcie w powozie, którym wracali z Cerro na zamek, było przenikliwe i stawało włosy dęba. Nawet ona je czuła i nie odzywała się, zaciągając tylko fajkę Kaia.

Wysiedli i ruszyli do wrót, kiedy Atian zatrzymał się.

- Nie idę dalej – oznajmił. – Mam już przysykanego konia.

Kai zaciągnął pięści i usta, ale Cerro podeszła do Atiana, sunąc po białej ziemi białymi połami sukni.

- A więc to dziś? – spytała. – Na pewno nie chcesz zostać dłużej?

- Nie dam rady – Atian uśmiechnął się niewyraźnie. – No wiesz...

- Wiem. Bywaj, Atian. Drzwi tutaj zawsze stoją przed tobą otworem.

Podała mu nieśmiało rękę i Atian potrąsnął nią mocno.

- Wiedziałaś, że chce wyjechać? – warknął Kai.

- Każdy przy zdrowych zmysłach by chciał.

- To miło, że mi powiedziałaś.

- Nie napisali o tym w tych twoich książkach? Szary Człowiek ci tego nie wyznał? A to niespodzianka.

- Możesz już iść. Nie przypominam sobie, żeby Atian chciał rozmawiać na raz i ze mną, i z tobą.

- Nie chciał. Ja rozmawiałam z nim wystarczająco.

Opuściła ich, ostatni raz machnawszy ręką do Atiana. Kiedy na dziedzińcu została już tylko niezainteresowana nimi służba, Kai spojrzał wściekle w jego oczy.

- No to mów.

- Przepraszam cię – zaczął Atian, na co Kai uniósł brwi w zdziwieniu.

- Przepraszasz mnie?

- Tak. Zawiodłem. Nie wytrzymałem.

- Niby czego nie wytrzymałem?

- Tego – Atian rozłożył rękę, którą nie opierał się na lasce, jakby chciał objąć chód zamku i góru. – To nie jest moje miejsce.

- Tchórzysz więc.

- Nazwij to jak chcesz, nic mnie nie obchodzi tutejsze standardy odwagi.

- Obchodzi cię tutejsze cokolwiek? Nie widzisz, jaką wiedzę tutaj zdobyłeś? Ile doświadczeń, znajomości?

- Taaak, i tyle mi chyba wystarczy.

Kai prychnął z pogardą, a śnieg zaskrypiał pod jego butami.

- Jak może ci tyle wystarczyć? Już jesteś, według samego siebie, doskonałym człowiekiem?

- Nie przyjechałem tu, żeby się nim stać.

- To po co? Nie po to, żeby być lepszym, żeby dostać szkołę życia?

- Po to, żebyś nie był sam.

Teraz Kai zaśmiał się, w bardzo pocieszny i radosny sposób, a jednak obcy i nienaturalny. Sam Atian zawstydził się, mimo że mówił szczerą prawdę.

- Ale teraz nie jestem już sam? – powiedział, wciąż rozbawiony. – Teraz mam mnóstwo wiernych kompanów i możesz zostawić mnie z czystym sumieniem?

- A jaki masz ze mnie pożytek?

- Jaki pożytek? Atian, jesteś moim jedynym sprzymierzeńcem, jedynym przyjacielem, jedynym, komu mogę ufać. To dlatego wyzwałeś na pojedynek tisa Taliona? Czułeś się bez...

- Nie – uciął stanowczo Atian. – Nie dlatego. Dlatego, że nie rozumiem tego świata i zapłaciłem za to.

- Tym bardziej powinieneś zostać, żeby go pojąć i nie popełniać więcej takich błędów.

- Ja wcale nie chcę i nie muszę go pojąć. Wśród felsidów jest moje miejsce.

Rude brwi Kaia zbliżyły się do siebie, a cienkie usta wykrzywiły w gniewnym grymasie.

- Myślisz, że to takie proste? – warknął. – Myślisz, że ja nie chciałbym tam wrócić?

Do przygód i odkrywania nowych miejsc, i wodza...

- To jest takie proste. Wsiądź na konia i jedź na północny wschód.

- I co stanie się z Unią, z haronami? Z Cerro i generałem? Co stanie się z tymi wszystkimi biedakami?

- A kogo to obchodzi? Będziemy daleko stąd.

- Nie jestem typem człowieka, który tak po prostu porzuca swoje zobowiązania.

- Myślałem, że wobec felsidów i rodziny też miałeś zobowiązania.

Oddech na chwilę zamarł w piersi Kaia.

- Ty śmiesz... Wiesz, masz rację. Doszło do tego, że moje zobowiązania wykluczały się wzajemnie. Ku mojej rozpacz, wybrałem to najważniejsze.

- Więc może wśród felsidów nie jest tak naprawdę twoje miejsce.

- Co to ma znaczyć?! Byłem tam najszczerliwszy na świecie! Oddałbym wszystko, żeby tam wrócić!

- Nic nie musisz oddawać. Nazwiska i rodziny już nie masz. Po prostu wsiądź na konia i jedź na północny wschód.

Kai po prostu stał, a połami jego harońskiej peleryny targał wiatr. Atian wcale nie spodziewał się innego obrotu spraw, nie planował nawet proponowania tego rozwiązania – ale i tak zrobiło mu się przykro.

- Zostań – ponowił Kai. – Ja nie mogę wyjechać. Mam zbyt ważne rzeczy do zrobienia.

- Ubzdurałeś sobie, że jesteś jedynym remedium na problemy całego tego cholernego kontynentu?

- Może nic sobie nie ubzdurałem.

- Kto ci to powiedział? Ten demon? Ta książka? Przysłana przez nie wiadomo kogo nie wiadomo po co? Może przysłał ją ktoś, kto jest zły? Kto steruje tobą jak lalkarz?

- A może ktoś dobry, kto daje mi wskazówki?

- I to wystarczy, żeby ufać...

- Gdybyś ją przeczytał, wiedziałbyś, że każę nie ufać jej zupełnie, tylko kierować się rozumem, moralnością...

- Przeczytałem ją od deski do deski. I to tę nieocenzurowaną wersję. Nie jesteś ani trochę wzorem harona, którego ta książka chce.

- Ale staram się nim zostać.

- I co potem? Czemu reszta ma iść za twoim przykładem?

- Atian, odwiedził nas sam bóg! Odwiedził nas z mojego powodu, bo ja coś odkryłem, bo mam szansę zmienić...!

- Mam dość tej rozmowy. Może faktycznie masz rację i czekają cię wielkie rzeczy, i będziesz dokonywał wielkich rzeczy. Może ja też mam rację i też będę ich dokonywał... Ale na pewno nie tutaj. Na pewno nie dla tych... żmij.

- Nie każę ci przecież nikogo lubić, tylko...

Stajenny wyprowadził obładowanego konia na którego Atian od razu się wspiął, krzywiąc na ból w sztywnej nodze, korzystając z pomocy kostura i sługi. Kai przyglądał się, czerwony z gniewu, przytłoczony brakiem słów, a raczej tym jednym, które kołatało się głuchy w jego głowie – „zdrada”.

Atian spojrzał z góry na przyjaciela, którego wzrok nie był tak łagodny, szczery i wesoły jak kiedyś.

- Wracam do domu, Kai. Nauczyłem się tu wystarczająco. Powodzenia. Pamiętaj, że wśród felsidów czekają na ciebie przyjaciele i stopień...

- Pierdol się – burknął Kai.

- A więc tak się żegnamy – prychnął Atian, wstrząsnął lejcam i ruszył z kopyta, a krzątający się po dziedzińcu służby uskoczyli przed jego wierzchowcem.

Stało się to tak szybko, że Kai aż nabrał powietrza, by krzyknąć za Atianem w żalu, że nie zdążył zapisać sobie jego obrazu w pamięci, że nie powiedział nic więcej, inaczej... Ale nie krzyknął nic.

Wypuścił ze świstem powietrze z piersi. Jego ramiona i głowa pochyliły się, przywożdżone świadomością, że pozostał całkiem sam.

## ROZDZIAŁ IX

- Spójrzcie tylko na nas – Trian Agver zaciągnął się dziarsko poranną mgłą. – Czterej bohaterowie, nieustraszeni jeźdzy z ponurymi minami, którzy udają się w nieznane, błądząc we mgle gęstej jak mleko...

Jego przemowę przerwało rżenie garbatego konia Silarusa, który znowu przestraszył się wyschniętego krzewu.

- Dlaczego jeździsz na tym osłe? – parsknął Myron.
- Muszę go ułożyć.
- Szkoda czasu na tak brzydkiego i upartego konia. Jest trochę garbaty, nie widzisz?
- Wierzchowiec świadczy o jeźdźcu, Ceadmille zawsze tak powtarza – dodał Trian. – Pierwszy raz, kiedy się spotkaliśmy, szczotkowałem akurat mojego Diakorra, i zrobiło na niej wrażenie, że tak o niego dbam...

- Kiedy pierwszy raz spotkałem Ceadmille, mój koń zaczął żuć jej kapelusz – powiedział Silarus z bardzo głupim uśmiechem, który nie uszedł uwadze i podlemu humorowi Kaii.

- No widzisz, Silarus, od razu znać, że głodzisz zwierzę. Ale jestem pewien, że Ceadmille nie miała tego kapelusza za złe.

- Och, wręcz przeciwnie...
- Daleko jeszcze? – przerwał Kai, strofując Silarusa wzrokiem. Pułkownik wzruszył ramionami, wciąż uśmiechając się jak błazen do końskiej grzywy.

- Wcale nie daleko – odpowiedział Trian. – Już między drzewami są wykarczowane pnie, widzisz, haronie?

- A tak, widzę. Skąd w ogóle wzięli się osadnicy, żeby zaludnić Ajgaj?

- Większość przyszła z Temarairu, wygnana suszą i morowym powietrzem. Reszta to pewnie biedacy z Naucenemes, którym Merinos obiecał pracę i dach nad głową.

- Właśnie, co to za człowiek, ten Merinos? – zaciekał się król, a srebrna uzda jego wspaniałego konia zadźwięczała, kiedy podjechał bliżej Triana. – Nie podoba mi się, że przychodzi tu sobie, zakłada osadę, a ja nie mam o tym bladego pojęcia. Mojego ojca też tak traktowaliście?

- Ależ oczywiście, Wasza Wysokość – zapewnił, jak wystraszone cielę, syn Harona Mądrości, a Silarus zagwizdał cichą, wesołą melodię. – To osadnicy ze Świętej Unii, a nie zza Wielkiej Wody. To tak jakby przenieśli się z jednego końca pokoju na drugi. Po co angażować w to nadzorcę budynku? Wystarczy załatwić to między współlokatorami.

- No, skoro tak mówisz... Więc to nie będzie podejrzane, że sam król do nich przyjeżdża?

- Nie wiem, Wasza Wysokość. A po co my właściwie tam jedziemy?

Główy wszystkich przekręciły się w kierunku Kaia.

- Znalazłem zabytkową monetę – oznajmił. – Haron Agver powiedział mi, że robi je Merinos, więc się nim zainteresowałem.

- I to jest ta ważna, niebezpieczne wyprawa? – uniósł brew Silarus.

- Nie mówiłem, że jest ważna i niebezpieczna. Gdyby nie królewska obietnica, wcale by cię tu, Silarus, nie było, a tak będziesz miał o czym pisać z ojcem...

- Och, wyborna obelga, Kai – prychnął Myron. – Rozumiem, że jedyny haron z dwoma Magmowymi Mieczami, jedyny, do którego Szary Człowiek nie przemówił, musi chwytać się każdego pomysłu, jaki mu się trafi.

W środku Kaia kipiało od wściekłej chęci, żeby przypomnieć królowi o tym, kto został zdemaskowany i upokorzony jak małe dziecko przez tego samego Szarego Człowieka, ale stwierdził, że w niczym by mu to nie pomogło. Szczególnie biorąc pod uwagę ten niesprawiedliwy królewski policzek.

Na skutej mrozem połaci wykarczowanego lasu spostrzegli człowieka, który siedział na pniu i pykał fajkę. Nie podniósł się na ich widok, ale zmarszczył brwi, gdy podjechali bliżej, a oni zobaczyli i usłyszeli kwilące wesoło, ubrane w grube skóry dziecko sypiące śniegiem po sankach. Mężczyzna pewno zastanawiał się, skąd w dzicy znalezli się tak porządnego wyglądający jeźdzy.

- Witaj, dobry człowiek – powiedział do niego Trian, wypinając dumnie pierś. – Jesteś może osadnikiem z Ajgaj?

- No jestem – odparł człowiek o ogorzałej, skropionej szarym zarostem twarzy. Zmarszczki i bruzdy sprawiały, że wyglądał na starszego niż był w rzeczywistości.

- Co tu robisz?

- Bawię dziecko.

- A czemu tak daleko od osady?

- Bo chciało się bawić tutaj.

Pyzata buzia dziecka była czerwona od mrozu, ściśnięta przez kaptur. Usiadło na sankach i przyglądało się im wielkimi brązowymi oczami.

- To twój syn? – zapytał Myron.

- Córka – sprostował człowiek.

- Ach, no tak, ciężko rozpoznać w tych skórách. Jak ma na imię?

- A co was to?

Nawet królewski koń prychnął gniewnie, kiedy Trian aż się zapowietrzył.

- Uważaj, do kogo mówisz, brudasie! – warknął.

- Nie mam pojęcia, do kogo mówię – odrzekł spokojnie człowiek.

- Oto Myron VII...

- Spokojnie, Trian – Na ustach Myrona zagościł dobrotliwy uśmiech. – Jestem twoim królem, człowieku. Myron VII Meaveleth, tak mnie zwą.

- Moim królem? – powtórzył osadnik i ton jego głosu, coś między kpiną a ciekawością, bardzo nie spodobał się Kaiowi.

- Tak jest – przytaknął Myron, bardzo starając się udawać niezrażonego brakiem żywej reakcji ze strony rozmówcy. – Może powiniensem był założyć koronę?... Ale zobacz, po brązowej pelerynie możesz poznać swojego Harona Sprawiedliwości, Kaia...

- To zbędne, Wasza Wysokość – uciął przedko Kai. – Nie chcieliśmy zakłócać twojego spokoju, dobry człowiek. Powiedz, jesteś osadnikiem stąd czy z Temarairu?

Wargi mężczyzny rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Nawet usta i oczy dziecka zdawały się kpić z Kaia.

- Mój Haron Sprawiedliwości? – powtórzył, jakby próbował powstrzymać się od wybuchnięcia śmiechem.

- Odpowiadaj, kiedy haron cię pyta – warknął Trian, a Silarusowi bardzo nie spodobał się ten ostry ruch, jakim przyszły haron położył dłoń na rękojeści miecza.

Dziewczynka wdrapała się na kolana mężczyzny, który wciąż patrzył prosto w Kaiowe oczy. To nie był zwykły biedak z Naucenemes, ani wieśniak z Cos. Nikt z tych stron nie patrzyłby na czwórkę uzbrojonych szlachciców tak hardo.

- Znasz Merinosa? – spytał Kai.

- A jakże – odparł człowiek. – Pewnie rozdziela teraz jedzenie.

- Dlaczego?

- Bo zima sroga.

- To pewnie jedyna klęska żywiołowa, jakiej nie zaznają w Temarairze – rzucił Silarus.

- Pewnie tak – odparł Kai. – Odjeźdzamy, człowiek.

- Chwila – odezwał się Myron. – Wciąż nie dowiedziałem się, jak ma na imię twoja córka.

- Dziecko wtuliło głowę w szyję mężczyznę.

- Tulivne – zachrypiął.

- Tulivne! – powtórzył Myron, a różnica w akcentach wybrzmiała z całą mocą. – Jakie niespotykane imię! Ma jakieś znaczenie?

- Chodźmy stąd – warknął Kai i ruszył, nie czekając na resztę, która po chwili do niego dołączyła.

- Nie podobał mi się tamten obszczymurek – skomentował Trian. – Jak można nie mieć ani krzyny szacunku do...

- Daj spokój, Trian – odrzekł Myron. – Nie wszyscy muszą padać na twarz przed naszym Najszarszym Haronem.

Kai nie odpowiedział i nie odwrócił się. Nie chciał zobaczyć ani oczu mężczyzn, ani jego dziecka wycelowanych w ślady kopyt.

Z początku nie byli pewni, czy to domostwa, ponieważ pokryte były śniegiem i lodem. W końcu zobaczyli jednak ludzi owiniętych w skóry i bure futra, rzucających im nieufne spojrzenia, a ich chałupy stały w kręgu na białej polanie. Większość jadła parującą zupę z drewnianych misek, a niektórzy wciąż czekali w kolejce do jednej z okazalszych, ale wciąż skromnych chat, z której dachu zwisały ogromne sople lodu.

- Oto i Ajgaj – obwieścił dziarsko Trian, zeskakując z konia, a siedzące w pobliżu zakopane w futrach kobiety obrzuciły go nieufnym spojrzeniem. – Wioska całkiem się rozrosła od naszej ostatniej wizytacji.

- Kim jesteście? – warknął jakiś człowiek owinięty szalikiem, z ręką tuż przy mieczu.

- Wasz pan lenny, Trian Agver – odpowiedział przewodnik. – Nieźle się wam tu...

- Nasz pan lenny to Eos Agver – odburknął mężczyzna.

- Ja jestem jego synem. Pierworodnym. Można się zorientować po nazwisku – wyjaśnił Trian, po krótkiej pauzie. – To jest wasz król, Myron VII Meaveleth, to wasz Haron Sprawiedliwości, a to...

- Po co tu przyjechaliście?

- Człowieku, powinieneś złożyć poklon.

- To zbędne – mruknął Kai, który zdrapał się już z konia, opatulił twarz szalikiem i, wraz z Silarusem, rozglądał się po dość niezwykłej wsi ułożonej na kształt kręgu.

Ale Myron wciąż siedział na swym rumaku i patrzył z góry na osadnika.

- Wcale nie zbędne – fuknął Trian. – To król całej Świętej Unii! Jak możesz być tak bezczelny?!

Mężczyźnie z mieczem nawet nie drgnęła powieka.

- Przyjechaliśmy na wizytację – odezwał się Kai, podchodząc bliżej. – Jak tu sobie radzicie, w środku lasu, w środku zimy?

- Jakoś radzimy – odburknął mężczyznę.
- Właśnie widzę. Móglbym rozmawiać z Merinosem?
- Po co?
- A czy nie jest on waszym sołtysem? Z kim mam rozmawiać, jak nie z nim?
- Merinos rozdaje teraz zupę.
- Więc znajdę go w tamtej chacie? Bardzo dziękuję.
- A co wy chcecie zwizytować? Żyjemy tu tak jak możemy.
- Świetnie. Może znajdziemy sposób, żeby wam pomóc.
- Nie potrzebujemy waszej pomocy.
- Nie byłbym taki pewien – Myron pochylił się odrobinę, wciąż w siodle. – Jak się nazywasz, wieśniaku?

Człowiek miał stalowe spojrzenie, kiedy zajrzał w popielate oczy Myrona.

- Beau – odpowiedział.
- Beau i ojciec Tulivne – Myron pokwał głową z aprobatą. – Zapamiętam was sobie, ludzie z nieugiętymi karkami.
- Chodź już, Myron – syknął Kai i ruszył do chaty, do której prowadziła kolejka.

Ludzie nie patrzyli na nich z przyjaźnią, kiedy ich przepraszali, by przepchać się do wnętrza, z którego buchało gorąco. Kiedy w końcu się tam znaleźli, zabrakło im oddechu. Kai rozwiązał szalik, Silarus rozpiętał sprzączki kaftana pod szyją, Myron przewiesił swe ciężkie tygrysie futro przez ramię, a Trian odgarnął długie włosy, które od razu przylepiły mu się do twarzy.

Ukrop kipiał z potężnego kotła, w którym jeden człowiek co chwilę zanurzał chochłę, którą wypełniał miskę za miską, by podawać je głodnym osadnikom. Dwóch uzbrojonych ludzi stało po jego bokach, pilnując porządku w kolejce i przyszpilając czterech przybyszów wzrokiem. Kai zauważył pod ścianą dwa inne kotły, które już musiały zostać opróżnione, zaraz jednak powrócił wzrokiem do człowieka wydzielającego jedzenie.

I on obdarzył go krótkim spojrzeniem. Miał może ponad pięćdziesiąt lat i był drobnym, niskim mężczyzną o wypłowałych włosach i matowej twarzy poznaczonej zmarszczkami człowieka, który wiele przeszedł. Ubany był w koszulę o południowym kroju, kremową, a może białą, z dekoltem rozciętym do pasa, nie wsuniętą w zimowe spodnie wpuszczone w długie buty z foczej skóry.

- Merinos? – spytał Kai.
- Czego? – warknął jeden z uzbrojonych drabów.

- Spokojnie – odrzekł drobny człowiek, nie przestając nalewać zupy kolejnym rodzinom. – Tak, nazywam się Merinos. Witam, lyrru Agverze. Witam, Haronie Sprawiedliwości. Wybaczcie mi, że nie przywitam was należycie, ale obowiązki...

- Ależ nic nie szkodzi – machnął ręką Trian, zadowolony, że ktoś okazał mu należywy szacunek. – Cieszę się, że mnie pamiętasz, Merinos, i że poznajesz Najszarszego Harona. No, trudno go nie poznać. To natomiast jest twój król.

Merinos zerknął na Myrona szybko i niespokojnie.

- Oooch – powiedział. – To wielki zaszczyt, jakże mi głupio... Ale nie rozumiem, czemu...

- Wyjaśnię ci, kiedy skończysz – Kai zatrząsł ukradkiem do gara, w którym bulgotała brązowa zupa. Wyglądała jak ropa, ale nie pachniała najgorzej. – Co to?

- Grzybowa. Przepis mojej praprababki.

- Pochodziła z Temarairu?

- Tak, panie. Mnie i większość tych ludzi przegnało morowe powietrze.

- Rozumiem, dlaczego ich tu przywiódłeś, ale dlaczego wydajesz im te racje za darmo?

- Wcale nie za darmo. Wszyscy szukali grzybów, hodowali warzywa i zdobyli inne potrzebne składniki. Miałbym jeszcze żądać opłaty?

Kai zgodził się milczeniem, a ponieważ złowrogie spojrzenia strażników stały się już zbyt natarczywe, odszedł w kąt, w którym zdomowili się jego towarzysze.

- Nie zaproponujesz nam nawet miski tej brei? – mrucnął Silarus.

- Masz jedzenie w jukach.

- Tak, ale to dość niegościnne z jego strony, nie uważasz?

- Uważam, że ważniejsze są pełne brzuchy tych ludzi.

Na to Silarus nie odpowiedział.

Kiedy zresztą skończyła się kolejka, a zupa wraz z nią, kobiety ustawiły ławę i zaczęły znosić rzeczy na skromną ucztę – wytoczono beczki z piwem, śliwowicą i jabłecznikiem. Podano też pasztet z grzybami i papryką oraz ciasto dyniowe, a wspaniałe zapach pieczonej gęsi przesiąkał z sąsiedniej izby, kiedy Merinos podejmował czwórkę dystyngowanych gości najlepiej jak umiał.

- Wybaczcie, że tak skromnie, cni lyrrowie.

- Nie ma lepszej kuchni nad wiejską – zawyrokował Myron z policzkami wypchanymi pasztetem.

- Wasza Wysokość jest nazbyt łaskawy – wymamrotał nerwowo gospodarz, upijając nieco z drewnianego kubka.

- Bardzo ci dziękujemy, Merinos – powiedział Kai. – Jestem pod wrażeniem, że w środku surowej zimy młodziutka osada tak dobrze sobie radzi.

- Nie takie trudności napotykały nas w Temarairze.

- Jednak nie był to śnieg, prawda?

- Nie, ale susza i zarazy uczą oszczędności i pokory. Przyprowadziłem tu ludzi, żeby żyło im się lepiej, ale nie łatwiej. I żeby dorobek ich życia nie został w jedną noc zmarnowany przez trujące powietrze albo pożar...

- To jestem w stanie zrozumieć, dobry człowiek. Ale dlaczego aż na drugi koniec kontynentu? Taka karawana musiała iść z dwa miesiące. Dlaczego nie ruszyliście na Megarant?

- Żeby sprzedali ich w niewolę? – prychnął nad swojego talerza Silarus.

- Otóż to, haronie – wzruszył ramionami Merinos.

- No dobrze – przyznał Kai, nie bardzo zadowolony, że Silarus podsunął przesłuchiwanemu wymówkę. – Więc dlaczego nie w Naauzyce? Nie sięga tam ani morowe powietrze, ani łowcy niewolników...

- Dzicy – odparł od razu Trian, jakby bawili się w zgadywanie. – Plemiona pół-ludzi, pół-zwierząt żyją tam w Puszczy.

- Tak jest, panie – potwierdził Merinos, kiedy Kai mordował Triana wzrokiem. – Prawda jest jednak taka, że prawa lokacyjne są najkorzystniejsze w Cos. Sprzyja też bliskość ogólnego miasta, no i znam się z dawnych czasów z Haronem Mądrości.

- Tak? A to skąd?

- Z zawodu jestem mennikiem, niegdyś może artystą w swoim fachu. Wykonywałem różne takie fikuśne...

Drzwi do sąsiedniej izby otworzyły się.

- Merinosie, gęś... - powiedział wieśniak.

- A, tak, już idę.

Drobny człowiek wstał i wyszedł. Kai spojrzał po zajętych jedzeniem towarzyszach, po czym zerwał się i wybiegł za Merinosem.

W sąsiedniej izbie znajdowała się kuchnia o niskim suficie i bardzo intensywnym zapachu pieczeni i grzybów. Uwijało się tam dwóch tępich chłopów, a teraz także Merinos, który doprawiał gęś.

- Jest już gotowa – powiedział na widok Kaia. Uśmiechnął się nawet lekko. Grymas ten nie odjął jego twarzy wyrazu wiecznego zmartwienia. – Zaraz podam, może się haron...

- Chciałbym dosłownie chwilę z tobą porozmawiać. Na osobności, jeśli to nie problem.

Obaj wieśniacy od razu spojrzeli na niego. Merinos zamrugał, speszony.

- Żaden, haronie – odpowiedział. – Proszę, zostawcie nas samych.

Wyszli, nie spieszając się i nie szczędząc złowrogich spojrzeń. Jeden z nich prawie zahaczył swym ramieniem o bark Kaia. Ten uśmiechnął się, bo ostatnim, który odważył się tak wobec niego zachować, był Sygiet, brat Atiana, w jakimś odległym, poprzednim życiu.

- O co chodzi, haronie? – Merinos wcierał zioła w zbrązowiały drób.

Kai stanął z drugiej strony stołu i sięgnął do kieszeni.

- Przybyliśmy tu nie tylko z inspekcją – wyciągnął zakrwawione izosy. – Prawdę mówiąc, interesuje mnie twoja przeszłość mennika. Poznajesz te monety?

Na ich widok Merinos zmrużył oczy, a za chwilę wziął je do ręki.

- O, tak – powiedział. – Na wzór starożytnych izosów, z wizerunkiem Meaveletha Szarego. Tu profil, a na rewersie – zdziwił się na widok zakrwawionego metalu – dlonie...

- A więc to nie są starożytne izosy? – dociekał Kai. – Tylko się na nich wzorowałeś?

- Tak, haronie. Zrobiłem wiele takich monet na przeróżne okazje, najczęściej państwowe święta.

- Przypominasz sobie zleceniodawców?

- To było tak dawno... Nie przypomnę sobie, haronie.

- Naprawdę? To jest takie zwykłe zamówienie?

- Szczerze mówiąc, tak. Kułem monety o tęczowych barwach, monety wielkości koni, graverowałem na nich rękawice kucharskie i grube kocury w pieluchach. Te monety są stare, trochę toporne, pewnie zrobiłem je dawno, dawno temu, ale nie ma w nich nic szczególnego.

Oddał je Kaiowi i odszedł do półki z sosami.

- Może był to Rius? – podsunął Kai. – Królewski bibliotekarz?

Ręka, którą Merinos sięgał po butlę sosu, zatrzymała się w powietrzu i cofnęła.

- Może – przyznał.

- Podobno ci je ukradł.

- Ukradł?... Może. Skoro się przyznał...

- A więc znałeś go?

- Dawno, dawno temu, ale... Tak, znałem go, i bardzo możliwe, że mi jedną podebrał. Mądry człowiek, ale nie grzeszył poczuciem etyki. Ale to stare, stare czasy, i my obaj zmieniliśmy się od tego czasu wielce.

Kai nawet się cieszył, że Merinos był do niego odwrócony plecami, bo nie chciał widzieć jego twarzy, kiedy powie mu to, co musiał.

- Bardzo mi przykro – odezwał się cicho. – Rius umarł w noc Riggvare.

Niestety, Merinos się odwrócił.

- Co takiego?! – jego usta nie krzyknęły, ale oczy nasiąkły najszczerszym żalem.

- Tak – Kai spuścił wzrok. – Bardzo mi przykro. Zmarł spokojnie, we własnym łóżku... Bardzo mi przykro.

W jednej chwili Merinos postarzał się o kolejne pięćdziesiąt lat. Jego zmarszczki pogłębiły się, ramiona opadły, oczy zniknęły pod drżącymi powiekami.

- Och... - westchnął. – Rius...

- Przepraszam, że przynoszę takie...

- Dziękuję ci, haronie. Gdyby nie ty, pewnie nigdy bym się nie dowiedział.

Kai uniósł wzrok, kiedy Merinos posypywał gęś ostatnią przyprawą.

- Teraz mogę się za niego przynajmniej pomodlić.

Merinos nie pozwolił, by wiadomość o śmierci starego bibliotekarza zepsuła nastrój biesiady – wszyscy zachwalali gęś, która była pękata, solidnie przyprawiona i pyszna, a jej aromat skłaniał do wesołych rozmów i przekrzykiwania się nawzajem. Podobnie działały trunki.

Kai za to przygasł i nie jadł wiele z bezmięsnych potraw, zastanawiając się. Zastanawiał się i nad monetami, i nad Riusem, i nad słowami Szarego Człowieka. Czy to możliwe, że starzec wiedział, że izos był kluczem? Ukradł go specjalnie? Czy Merinos wiedział o izosie-kluczu? Skąd? Rius mógł się dowiedzieć o nim z *Kodeksu*. Czy to znaczy, że to on wysłał go Kaiowi? Cholera, dlaczego bibliotekarz musiał umrzeć, zanim Kai zdążył go o cokolwiek zapytać? Czy to możliwe, że miał odpowiedzi cały czas przed nosem, ale był zbyt ślepy, żeby je zauważyc?

Idiota, głupiec. Myśl.

Co z tym językiem maucahhagge? Czy nie przyjechał tutaj po kogoś, z kim mógłby się w jego sprawie dogadać? Czy ta wioska nie była dziwna? Zbudowana na dziwny kształt? Jakby zamieszkała i zbudowana przez obcych? Kai, co prawda, nigdy nie był w Temarairze, które przecież było tak odległe i inne, że mogło równie dobrze leżeć na innym kontynencie... Będzie musiał zapytać o to Maginota. O ojca tej dziewczynki, Kai nie pomnął jej imienia...

Dziewczynka miała dziwne imię. Podobne słowa Kai mógł widzieć w księgach z sekretnej biblioteki i nawet nie zdawać sobie z tego sprawy. Czy nie miał znaleźć kogoś, kto zna ten język? Czy Merinos go zna? Czy wszyscy mieszkańców mogą go znać? Miał kogoś znaleźć, tak mu obiecał Szary Człowiek. A może wcale nie obiecał? Może cały czas kłamał i bawił się nim? Cholera, czemu jego malowidła muszą być tak mętne?

Idiota, głupiec, ślepiec!

- Proszę się jeszcze częstować, haronie – usłyszał głos Merinosa, który nałożył mu na talerz solidną porcję kiszonej kapusty.

- Dziękuję – bąknął Kai i, chcąc nie chcąc, musiał wrócić do rozmowy.

- ...zbaraniałem, przysięgam! – zaśmiewał się Myron, rozchlapując naokoło jabłcznik, a Trian wtórował mu, waląc pięścią w stół. – Nieźle go wyszkoliłeś, Silar! Gotów byłem uwierzyć w to całe gówno o ręce ojcobójcy...

- Może świat byłby lepszy, gdyby to nie był tylko przesąd – zachichotał Silarus. – No ale, niestety, Melvourne przedżej obdarłby ze skóry całą Sforę Sfinksa, jednego po drugim, niż powiedział ojcu, że pobrudził się na nosie.

- Nie dziwię się wcale – pokręcił głową Trian, wytrzeszczając oczy. – Sam pod siebie sram, jak widzę generała.

- On chce, żeby każdy tak reagował! Nie wolno mu dawać tej satysfakcji, powiadam wam!

- I kto to mówi! – żachnął się Myron. – Sam widziałem, jak cię musztrował, kiedy przybiegłeś do niego, ledwo dopinając portki po...

- A ty nie jesz, gospodarzu? – spytał głośno Kai, obawiając się, że pijany Myron powie o słowo za dużo na temat Ceadmille i Silarusa.

- W moich stronach gospodarz je dopiero, kiedy goście posilą się do syta – odpowiedział z uprzejmym uśmiechem Merinos.

- No to sobie poczekasz, bo nie zamierzam wypuszczać tego ptaka z dłoni! – wrzasnął ze śmiechem Myron. – Przysięgam, ostatnio jadłem tak dobrą gęś na czymś weselu.

- Może moim, Wasza Wysokość? – spytał z nadzieją Trian.

- Nieee... Z twojego wesela pamiętam gulasz, który jadłem z Liarą, kiedy Kai starł się z Anoleisem o cześć Cerro! Ha! Do końca życia będę to pamiętać! Wybitnie skopana walka, Kai.

- Dzięki – burknął haron, wcale nie skory do poruszenia tego tematu.

- No a jak tam się wam układa? Bo idzie czwarty miesiąc waszego pożyczania, a brzuch Cerro wciąż jakiś podejrzanie płaski...

- E, u Koharów to normalne – zarżał Trian. – Ile lat minęło od ślubu, zanim stary Gaius spłodził naszego Najszarszego – czknał – Harona? Ze dwudziestu?

- Dziewiętnaście – szepnął Kai.

- Hęęę?

- Był, widać, zajęty. Bunt Namiestnika i...

- ...i król – zachichotał Silarus, malowniczo zarumieniony od trunku i pieprzności plotki.

Jakby dał Kaiowi w mordę. Uśmiech zastygł na ustach Myrona, a złowrogie błyski zamigotały w jego oczach. Kai zaciągnął się śliwowicą, modląc się, że Silarus też je widział.

- Co „i król”? – spytał Myron.

Ale Silarus właśnie wychylił kolejny kubek.

- No że on i stary król... - wymamrotał, próbując pokonać śmiech.

Myron nachylił się nad stołem.

- Co takiego? Co on i stary król? Nie wiem, o czym mówisz.

W tym momencie Silarus uświadomił sobie, na kogo patrzy i do kogo mówi. Położył rękę na czole, jakby spodziewał się, że będzie rozpalone gorączką.

- Nic – odparł.

- Jak to „nic”? Powiedz mi, Silarus! Powiedz, co on i stary król!

- Ha! – ryknął Trian, w olśnieniu hukając kufllem o blat stołu. – On i stary król dzielili łóże jak...

Ten sam kufl rozprysnął się w drzazgi na jego czole, kiedy Myron zerwał się na równe nogi. Trian runął na posadzkę, zemdlony, a Merinos, Kai i Silarus za chwilę byli przy nim.

- Stracił przytomność – oświadczył gospodarz. – Z szoku i przepicia... Ale nic mu nie będzie.

- Na Szarego Człowieka – wybąkał Myron, przyglądając się guzowi pęczniającemu na czole Triana. – Nie chciałem... Aaaale należało mu się, co nie? Jestem w końcu królem i muszę bronić czci swojego ojca!

- Tak jest – przyznał Kai, po raz pierwszy chyba w miarę ciepło się z nim zgadzając.

- Szlag by to – mrucnął Silarus, wyglądając za małe okienko. – Ciemno jak w grobie...

- A daj spokój, nie wracamy do domu – machnął ręką Myron. – Gospodarzu! Znajdziesz dla nas miejsce? Lepiej niech tak będzie, bo cię poćwiartuję, zobaczysz!

- Pewnie, że się znajdzie – przytaknął Merinos. – Już o tym pomyślałem. I waszym kompanem też się ktoś zaraz zajmie...

- No to nasze podziękowania! Za rzadko piję, jeśli jakiś jabłecznik tak mnie urządził...

Prawie powiedział mu o tobie i Ceadmille, Silarus.

- Zamknij się! – krzyknął pułkownik tonem, którym nie powinien mówić do żadnej koronowanej głowy.

- Żadnego szacunku, a przecież ja... Muszę się położyć.

- Misisz – kiwnął głową Kai i złapał króla, zanim ten osunął się na podłogę, rzygając na wszystkie strony.

\*

W zagraconej Tkalni Cudów panował ukrop i zaduch, które, choć usypiające i odejmujące energii, były Chigusowi milsze niż wyjący wiatr i podły śnieg, który zalegał w Naucenemes wszędzie, a przybywało go jeszcze więcej. Źle zrobił, że został w Świętej Unii na zimę, bardzo źle. Ale cóż, mleko się rozlało – i zamorski przybysz pił je, wyszywając złote hafty w szkarłatnym jedwabiu do późnej nocy, by zarobić na chleb i powrót do rodziny.

Jego tkalnia, choć mała, cieszyła się wielką popularnością wśród miejscowych. Zanim Chigus po raz pierwszy przybył ze swojej ojczystej Iggavverry, nasłuchał się wielu opowieści o nieprzystępności i wrogości ludzi zza Wielkiej Wody. Lecz kiedy już dopłynął na czarnym elfim statku do brzegów Świętej Unii i zdomowił się w Naucenemes, Mieście Świętych, przekonał się, że ludzie tutaj są tacy sami jak w domu – ciekawscy, bojaźliwi, nudni, interesujący, ubodzy i bogaci. Mogli mieć inny język, inne maniery i inne wychowanie, jednak zachwycali się kramem Chigusa, zamorską modą i wszelkimi drobiazgami, które przywoził, nawet jeśli nie mogli sobie pozwolić na ich kupno. To władza panująca w Hekkyranie była nieprzystępna i wroga – straż miejska w pozbawionych fantazji brunatnych pancerzach przeprowadzała inspekcje w Tkalni częściej niż w sąsiednich zakładach, a o pozwolenie na wyłożenie swoich towarów na pokaz Chigus musiał starać się pół roku. Kiedy jednak udało mu się je zdobyć, nie było takiej siły, która powstrzymałaby tutejszych bogaczy, lyrrów i lyrre przed kupowaniem wspaniałych tkanin i strojów szytych w Iggavverrze i Ronedanie przez Chigusa i jego światowej klasy krawców.

Trudno się było zresztą dziwić – bogaci mężczyźni nosili tutaj gustowne i dobrze dopasowane kaftany, którym jednak brakowało jakiejkolwiek wymyślności, nawet subtelnego wzorku przy rękawie, że o rzeźbionych w fantazyjne wzory guzikach nie warto nawet wspomnieć. Kobiety zresztą też, choć klosze ich sukni nie ustępowały w niczym tym zza oceanu, rzadko wychylały stopę poza tę nieznośną monochromatyczność. Być może

wynagradzały to sobie pstrokatym makijażem, który często przypominał maski. Chigus wiedział, jak drogie są pigmente i specyfiki do przygotowania mazideł, ale w Świętej Unii nawet najuboższa plebejuszka, jeśli liczy na znalezienie męża, powinna naznaczyć swoją twarz sygnalizującą gotowość do ożenku bielą. Tyle Chigus wiedział, zanim tu przybył – panny w Świętej Unii malują twarze. Nikt nie przygotował go na możliwość, że mężatki również mogą to robić, ani na mnogość różnych wzorów i kolorów. Chigus zgadywał, że różnice między nimi zależały od statusu społecznego, materialnego i fantazji nosicielki – wciąż jednak nie rozgryzł, co można na ich podstawie tak naprawdę powiedzieć.

Jak na ironię, kobiety w Świętej Unii kochały odważne, krzykliwe wzory i kroje z drugiego kontynentu – a w Iggaverrze inspirowane hekkurską pruderią i powściągliwością stroje szyte przez Chigusa sprzedawały się jak świeże bułeczki. Widać, obie strony pociąga to, co obce. Nawet, jeśli wydaje się to często drogie i nieprzyjazne.

W Świętej Unii czczą w końcu przeklętego boga, prawda? Jest to najczęstsze pytanie, jakie Chigus otrzymuje, kiedy wraca do siebie i otacza go nowy tłum ciekawskich. Jak ci ludzie mogą żyć, wiedząc, że czczą demona? Jak mogą nie przejmować się gniewem Sześciu Artystów, prawdziwym gniewem prawdziwych bogów, którzy wygnali siódmego ze swojej domeny, kiedy poznali się na jego przewrotnej naturze? Jak Hekkyranie mogą żyć w ciągłym strachu, że Malarz wyjdzie ze swojej kryjówki i rozedrza ich wszystkich na strzępy dla kaprysów?

Tym razem Chigus przywiezie niezwykłe wieści – w końcu nie dalej jak trzy dni temu Szary Człowiek maszerował przez cały kontynent i Chigus doświadczył tego wszystkiego – śniegu topniejącego w ułamku sekundy, słońca spadającego z firmamentu, księżyca płonącego żywym ogniem, kwiatów rozkwitających z całą mocą zapachów, zimujących zwierząt biegących w dzikim popłochu przez miasto. I mimo że drżała w nocy z przerażenia, pokropił próg różanym olejkiem i nie modlił się do Sześciu Artystów – modlił się do siódmego, tego przez nich odrzuconego, potępionego jako zdrajcę i okrutnika. Niestety, nie dało się ukryć – ten bóg przynajmniej odpowiadał.

Dreszcz przeszedł po jego plecach na samo wspomnienie tej okropnej nocy, i w tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi Tkalni Cudów. Był już dość późny wieczór, jednak nie na tyle, by Chigus bał się otworzyć drzwi – podszedł do nich i odsunął skobel.

W progu ukazała się postać w czarnej pelerynie. Osłaniała twarz przed szalejącym śniegiem, jednak uniosła krawędź kaptura na tyle, żeby Chigus mógł ją zobaczyć i rozpoznać.

- Harnenn Vea! – wykrzyknął z niekłamaną radością. – Zapraszam, zapraszam!

Dziewczyna wpadła do sklepu i Chigus zatrzasnął za nią drzwi. Vea odetchnęła, straciła śnieg ze swych ramion i lekko przemokłych blond włosów, z których odrzuciła kaptur.

- Jaka radość! – Chigus potrąsnął jej urękawiczoną dłonią, zapraszając gestem na krzesło przy stole, z którego zrzucił poduszkę na szpilki. – Czym służyć?

Nie był to pierwszy raz, kiedy widział Veę bez makijażu. Jako mała dziewczynka, przychodziła tu ze swoją matką, harnenn Gaią. Kiedy Vea skończyła piętnaście lat, zaczęła zasłaniać twarz, a wkrótce przychodzić bez matki, kiedy ta zmarła. Była to dopiero druga wizyta Vei, odkąd sama stała się harnenn i już nie musiała się malować. Chigusowi przyjemność sprawiało porównywanie dziecięcych rysów dziewczyny zapisanych w jego pamięci z tymi, które widział przed sobą. Gaia i Vea były w dodatku jednymi z tych klientek, które nie tylko podziwiały, ale i kupowały – były rodziną jakiegoś kupca lub szlachciankami, tak Chigus podejrzewał. W prawdziwość ich imion wątpił – panujące tu obyczaje darzyły bardziej respektem niż zrozumieniem i mówiły łamaną hekkyrszczyną, ale wiedział, że imiona, jakimi posługują się kobiety, są najbardziej powszechnymi, jakie można tu znaleźć, a ponieważ nigdy nie widział mężów harnenn Gai i Vei, domyślał się, że obejmuje je zakaz kontaktu z obcym.

Ich rzadkie wizyty bardzo go jednak cieszyły i zaraz rzucił się do podgrzewania wody, by zaparzyć Vei iggavverrskiego czaju.

- Ja nie na długo – powiedziała Vea, a jej czujne oczy pochłaniały żarłocznie całe otoczenie. Kochała wszystko, co Chigus ze sobą przywoził. – Skorzystałam z nieobecności męża.

- Cieszę się! – wykrzyknął Chigus. – Szkoda, że mąż zabrania... Ale inny zostawił dla ciebie, harnenn, prezent.

Wręczył Vei przypominający beczkę kubek z gęstym naparem pachnącym figami, daktylam i mandarynkami. Dziewczyna objęła go dłońmi, mrugając z zaskoczeniem.

- Prezent... Jaki?

- Nie powiem, nie powiem... Pokażę – podszedł do szafy, w której trzymał przeróżne kolorowe pudła i pakunki, w myślach karcąc się za tak słabą znajomość tego i tak trudnego języka. – Zamówił dawno... Harnenn ostatnim razem wyszła, on wszedł. Pytał o Iggavverę, zamówił płaszcz. „Dla dziewczyny, co była przede mną.”, powiedział i kazał dać jak przyjdzie. O, tu jest!

Znalazł ciężką, drewnianą szkatułę z herbem, na którym wyobrażona była rybacka sieć i harpun. Chigus zamówił ją z najlepszej kuźni w Górzach Miedzianych, gdzie płatnerze są

wielcy jak wierzby, a obrośnięci jak rzeczne szuwary. Wspaniała robota, a klient sowicie za nią zapłacił. Chigus, lekko zdyszany, położył pudło na kolanach Vei, która, upiwszy niewiele, odstawiła kubek na stół z nieco kwaśną miną.

- Jak wyglądał ten człowiek? – spytała, przesuwając palcami po wygrawerowanym godle.

- Mały, rudy – odparł Chigus. – Miły i...

- Nie mów nic więcej – burknęła Vea, a jej pięści zacisnęły się wściekle. – Sukinsyn, we wszystko się wmiesza...

Chigus przyglądał jej się, zmieszany. Przez chwilę miał wrażenie, że dziewczyna odrzuci pudło, nawet nie ciekawa, co jest w środku. Ta jednak podniosła klapę i jej nachmurzone oblicze rozjaśniło się w zdziwieniu.

Chigus, zadowolony z jej reakcji, oparł się na tyle jej krzesła, by również podziwiać płatnerską robotę. Były to damskie rękawice – wspaniale wykonane rycerskie rękawice. Drobne płyty na palcach lśniły jak srebro, a w środku wyłożone były miękkim jak pierzyna, ciepłym welwetem mieniającym się jak syrenia łuska. Na wierzchu rękawic odciśnięty był ten sam herb, który widniał na pudle.

- Piękne – zacmokał Chigus. – Elastyczne. Silne. Grube. Oddychające.

- Co to za godło? – spytała, dość obcesowo, Vea.

- Herb Lavanagh z Górz. Wiesz o niej?

- Kto nie wie – zamknęła wieko i skrzyżowała ramiona na piersi. – Kobieta-rycerz, jedyna w Świętej Unii.

- Nie rycerz – egid!

- Co za różnica?

- Wielka, harnenn! Rycerz to żołnierz, przysięga królowi, ma kodeks! Egid to wojownik, zabójca, żołnierz też, i czarownik, idzie tam, gdzie pieniądze, nie król. Ale fachowiec, mistrz! I Lavanagh była egidem i szła tam, gdzie pieniądze. Na Wielką Wodę poszła, kiedy wojna była, i sztorm wyrzucił na Hekkyran ją i księcia Sarena. Nie umiała siąć i gotować i nie miała jak żyć. Kobiety tutaj nie mogą mieć miecza i tarczy, to ona wzięła widły i rybacką sieć, i hełm, żeby nikt jej nie poznał. I służyła u króla Hekkyranu, była najlepsza, i zbierała pieniądze, żeby iść z Sarenem do domu. I król dał jej nagrodę po jedenastu latach, pozwolił iść jej i księciu, ale wtedy jeden doradca zobaczył Lavanagh w kąpieli, gołą. Powiedział o tym królowi, król nie chciał uwierzyć – ale powiedział przy tłumie „Lavanagh! Ściegnij hełm!”. I Lavanagh tak zrobiła. I wszyscy zobaczyli, że jest kobietą. Wtedy powiedziała „Nie złamałam prawa – nie trzymałam miecza, tylko widły i rybacką sieć.”

Wtedy doradca powiedział – „Ale nosiłaś spodnie.” Rycerze rzucili się na Lavanagh, ale ona była egidem. Powiedziała, że zabije króla, jeśli nie pozwolą jej i księciu wrócić do domu. Pozwolili i wróciła, a król był jej więźniem na statku. Kiedy byli na brzegu Ronedanu, powiedziała „Wracaj do domu, królu.” I wrócił, zawstydzony, a ona, po jedenastu latach, wróciła z księciem do Górz Miedzianych, ożeniła się i była królową Vayaku.

- Nie taką wersję słyszałam – odezwała się Vea. – Tata mówił mi, że Lavanagh powieszono za zdradę, a jej trup gnił na murach Pałacu Popiołów...

- Nie mówię wersji! – obruszył się Chigus. – Mówię prawdę!

- Taaak, pewnie tak – mruknęła Vea. – I tak myślałam, że to tylko bajka, ale skoro ma herb...

- To nie bajka! Kroniki są, kroniki mówią prawdę!

- Mhm, skoro coś jest napisane, to to musi być prawda, tak? Świecznie dogadałbyś się z moim mężem...

Chigus nie zrozumiał wiele, ale widział, że Vea nie jest zadowolona. Najwyraźniej kobiety w Świętej Unii były tak samo kapryśne jak te w jego ojczyźnie. Nieco jednak mizerniejsze i bledsze.

- Chigus, powinnam odwdzięczyć się temu człowiekowi za prezent. – Vea wstała, przyglądając się gobelinom. – Ale nie będę czekać, aż tu wróci. Mam jaja, żeby wręczyć mu go osobiście... Co proponujesz?

- Ooo! – zatarł ręce Chigus. – Do brązowej peleryny piękny biały kaftan ze srebrnym haftem!

- Zamówił u ciebie brązową pelerynę?

- Tak, dłuższą, cieplejszą, z futrem! Trochę droższą niż...

- Ma tupet – warknęła Vea, robiąc krok w kierunku grającej pozływki. – To musi być coś ze znaczeniem, Chigus... Bo te rękawice chyba jakieś mają mieć. Chyba. No i to też dość praktyczne. Masz jakieś pomysły?

- Co lubi ten mężczyzna?

Vea wydawała się zmieszana albo zaskoczona tym pytaniem.

- No... Książki – wzruszyła ramionami.

- Nie mam do sprzedania – Chigus rozłożył bezradnie ręce.

- Jest dobry w walce, ale nie wiem, czy to lubi. Raczej woli unikać... Lubi palić fajkę i wypić, ale może tylko w Riggvare. Lubi żartować i pomagać ludziom, i dużo gadać... Nie lubi tańczyć. Sama nie wiem. Masz coś związanego z haronami?

- O, nie – Chigus cofnął się o krok. – Nie chcę nic od nich i z nimi.

- No tak, boisz się naszego boga.

- Wszyscy powinni! Parę nocy temu wywrócił ziemię do góry nogami!

Vea uśmiechnęła się kwaśno, lecz nagle jej oczy rozbłysły.

- Co to jest?

Wymieniąła Chigusa i podeszła do półki przy ścianie, na której stała szklana butla – w jej środku kłębiła się czerwonaworóżowa mgła, a kiedy Vea wytężyła wzrok, jej oczom ukazał się wspaniały okręt targany morskimi falami. Po pokładzie biegali przerażeni malutcy żeglarze, a z głębin wyskoczył nagle szeroki łeb gigantycznego węża – musnął czarnym pyskiem wierzch butelki i zanurkował, łukiem omijając okręt. Za chwilę chmura mgły znów zgęstniała, a kiedy opadła – okręt płynął po spokojnym, lekko pofałowanym morzu.

- Coś takiego! – wykrzyknęła z zachwytem. – To jest zaczarowane?

- Tak, harnenn, ale nie jest na sprzedaż.

- Dlaczego? Bardzo dobrze zapłacę, to byłoby idealne! Ten typ uwielbia morze, był kiedyś felsidem! Ucieszy go to jak...

- To jest nawigator, harnenn. Pokazuje, czy jest porządek z moimi statkami.

- Ale... Ten potwór właśnie...

- To Xiyanaape, nie potwór. Święty wąż-obrońca. Pozwolił statkowi płynąć. Dobrze.

- Niesamowite! Ale chyba nie przyda się Kaiowi, on nie ma żadnych statków...

- O, to pokazuje nie tylko statki. Bogini miłości, Tancerka Harma, zrobiła nawigator, żeby jej ukochany patrzył i wiedział, że jest wierna – ale ukochany nie był i patrzył na inną. Tak nawigator działa – pokazuje, co kochasz. Prawie. Musisz iść do maga i on powie, co zrobić. Ja musiałem dać drzazgę statku – mag zaczarował i teraz mogę patrzeć.

- Ahaaa... - Vea zmartwiła się nieco. – Przydatne, ale... Nie dla niego. Ale myślę też sobie, że skoro dał mi rękawice, to może ja dam mu buty? Hm? Masz jakieś szykowne?

- O, tak, o, tak, harnenn! Chodź, chodź! Nie będziesz zła, kiedy zobacysz! Mam idealne buty, ciepłe, suche, piękne! Nie patrz, harnenn, na nawigator, buty lepsze! Zobacz, jakie piękne! Zobacz, jakie ciepłe!

\*

Kai przemarzł na kość. W Ajgaj nie było żadnej wolnej chaty, żeby pomieścić czwórkę gości na raz, więc Merinos przydzielił każdego do innej rodziny. Gospodarze, którzy przyjęli Kaia, spali pod cienkim kocem, całą czteroosobową rodziną, w grubych foczych kurtkach. Oddychali miarowo, uśpieni ciepłem własnych ciał, a Kai, któremu dali równie

cienki, ale bardziej dziurawy koc, leżał samotnie na wiklinowej leżance, dygocząc, otulony najszerzej jak się dało swoją peleryną.

Nie było mowy, że zaśnie tej nocy, a leżanka była twarda i niewygodna. Wstał, wydmuchując obłok pary z ust i doczlapał, zupełnie skostniały, do drzwi. Zaciągnął zęby, kiedy zaskrzypiały – ale rodzina pogrążona we śnie nawet się nie poruszyła.

Kai miał wrażenie, że nawet na dworze jest cieplej niż w tej wychłodzonej chacie, chociaż z nieba sypał biały puch, którego wcale nie brakowało na ziemi. Stał, posmarując, pod krawędzią dachu, z której spływały ogromne sople lodu, tak jak z reszty dachów domów ustawionych w okręgu. Noc na polanie była jasna, śnieg się skrzył, a w oddali Kai widział żywe światło pełniącego wartę strażnika wioski – było przenikliwie zimno, ale spokojnie i cicho, prawie jak na bajkowej ilustracji.

W takich chwilach, kiedy świat wydawał się odrobinę lepszym miejscem, Kai lubił wracać myślami do rzeczy przykrych. Pomyślał o izosie i języku maucahhagge, którego zagadki nie rozwiązał, mimo że Szary Człowiek kazał szukać odpowiedzi dokładnie w tym miejscu, które, owszem, było dziwaczne, ale czy wystarczająco, by być nazwanym podejrzanym? Jedyne, czego Kai się tutaj dowiedział, to fakt, że izosów z Meavelethem Szarym było kilka i każdy z nich mógł być kluczem. Czy Rius o tym wiedział? Czy dlatego je ukradł? Nie powiedział o tym Haronowi Mądrości, chociaż ten miał monetę na bransolecie. Może Rius nigdy tego nie zauważał? Może po prostu ufał Kaiowi bardziej? Czy sam zaglądał do sekretnej biblioteki? Czy mógł o niej wiedzieć, skoro nie miał *Kodeksu* i ukrytej w nim zagadki? A może go miał, aż wysłał go Kaiowi? Może to on jest tajemniczym nadawcą? Po co mógłby to zrobić? Po co Kai tu w ogóle przyjechał? Gdzie znajdzie kogoś zdolnego przetłumaczyć bibliotekę? Czy naprawdę pomoże mu to w walce z zagrożeniem w postaci generała Yazora? Czy Szary Człowiek sobie z niego zakpił?

Czy był sterowaną przez niego kukłą?

Zerwał się mocniejszy wiatr i Kai zaciągnął powieki przed żądłącymi go w twarz okruchami śniegu. Kiedy powrócił spokój i otworzył oczy, ciepłego światła oznaczającego czujność strażnika już nie było.

Kai się zawahał. Było mu zimno, był zmęczony, był nieostrożny – lecz z drugiej strony, światło zniknęło. Coś mogło stać się strażnikowi. Ten człowiek może teraz potrzebować pomocy. Może jednak po prostu zasnął – nie był tak daleko, więc gdyby zaatakował go wilk albo cokolwiek innego, raczej byłoby to słyszać w wiosce. Może... Może człowiek z jakiegoś nieznanego powodu wszedł do lasu. Może to wcale nie był strażnik.

Może ktoś z jakiegoś powodu wymykał się z wioski. A może po prostu podmuch wiatru zdmuchnął lampion i wszystko zaraz wróci do normy?

Toteż Kai czekał. Nic się jednak nie zmieniło. Kai naciągnął zaciśnięty pod nosem płaszcz jeszcze wyżej, przytroczył do pasa miecz, który leżał obok jego leżanki, i ruszył szerokimi, niezgrabnymi krokami do miejsca, w którym jeszcze niedawno widział światło.

Kiedy przedzierał się przez śnieg, wiatr wzmagał na sile i Kai pluł sobie w brodę, że musiał wyjść akurat teraz, musiał zobaczyć to światło i nie oprzeć się pokusie – był przemarznięty, przemoknięty i zły, a stróża wciąż nie było widać.

- Hej! – spróbował przekrzyczeć szum wiatru kołyszącego drzewami i zasłonię materiał, którą miał na ustach. – Hej, gdzie jesteś?

Naturalnie, nic mu nie odpowiedziało. Zatrzymał się, niepewny, gdzie iść dalej – odwrócił się i musnął wzrokiem linię ciemnej Puszczy – a w niej zobaczył światło. Co wieśniak może robić o tej porze w lesie?

Kai postawił pierwszy krok, zanim uświadomił sobie, co robi, i dopiero wtedy skarcił się w duchu. Wchodzi do lasu bez żadnego towarzysza. Do lasu rosnącego przy dziwnej wiosce, gdzie mieszkają dziwni ludzie, co do których przyjaźni nie mógł mieć pewności. Umrze jednak z zimna, jeśli zmusi się do powrotu do wioski po wsparcie – umrze z ciekawości, jeśli wróci na leżankę. Z zimna i niewygody zapewne również.

Zresztą, komu tam może ufać? Silarusowi, który jest szpiegiem generała? Myronowi, który sprzyja generałowi? Trianowi, który był tak głupi, że z pewnością będzie stwarzał więcej kłopotu niż pozytku?

Wolał już samotnie stawić czoła temu, co tajemnicze, więc, starając się myśleć pozytywnie, wstąpił w mrok lasu i szedł do światła z dłonią zaciśniętą na rękojeści. Przypomniał sobie fioletowe jezioro pełne morskich potworów i błysk na jego dnie, do którego płynął i płynął poprzez gęstniejącą ciemność. Lecz tu był sam, zupełnie sam. Po wędrowcu też nie zostało nic, poza lampionem.

Leżała w dziupli, migocząc, zostawiony tam wyraźnie celowo. Dreszcz przeszedł po karku Kaia, jeden z wielu, które wywoływały mróz – ale zanim uświadomił sobie, że to ani nie zimno, ani nie niepokój, ani strach, tylko wrzeszczące złe przeczucie – było już za późno.

Coś użądliło go w ucho i wbiło się w pień drzewa przed nim – krótka stalowa lotka, z której wytrysnęły rdzawe plamy. Wiedział, że coś z boku jego głowy skapało na śnieg, ale nie miał zamiaru się temu uważniej przyglądać – natychmiast wskoczył za gruby pień pobliskiego dębu, wyszarpując miecz i dysząc ciężko. Wychylił się lekko, mając nadzieję, że

mimo śnieżnej kurzawy zobaczy chociaż kształt chowającego się w drzewach napastnika. Lecz kiedy tylko to zrobił, rozległ się świsz następnej lotki – wpadła w śnieg, chybając.

Idiota, co za idiota! Dał się zwabić jak małeńka rybka goniąca za światełkiem na wędce, na końcu której czai się zębaty morski potwór. Dotknął ucha chropowatego od zamarzniętej krwi – miał wrażenie, że ból rozchodzi się na nerwy za jego gałkami ocznymi, że wylewa się przez zatoki, że doprowadzi go do wymiotów. Igielka na końcu tego bełtu mogłaby go zabić, gdyby trafiła w głowę. Ale... Co, jeśli ten ból to trucizna?

Wyciągnął zza pasa nóż myśliwski, ślubny prezent, chyba tylko po to, żeby poczuć się pewniej z dwoma „ostrzami” w rękach. Mógł równie dobrze nie mieć ani jednego – jakie mają szanse z przeciwnikiem, którego nie widzi i nie może nawet powiedzieć, czy działa w pojedynkę czy grupowo? Nikłe, mizerne, żadne, musi uciekać. Wioska nie jest już przyjazna. Przynajmniej ten jej mieszkańców nie jest, ale Kai ma w niej towarzyszy i konia. Musi się do nich dostać. I to najlepiej zacząć od konia. Wioska nie jest daleko - gdyby nie śnieżyca i drzewa, widziałby domostwa. Gdyby nie ten ból spuszczający mu uporczywie coraz grubszą zaslonę na oczy, widziałby rozwiązanie... Musi się skupić, musi myśleć, musi biec... Wróg może być już nad nim.

Wiatr wył tak przeraźliwie, że Kai nie miałby szansy usłyszeć nawet trzasku łamanej gałęzi, a co dopiero drobnego skrzypu pod doświadczonymi stopami. Z drugiej strony – wróg może nic nie widzi, albo przynajmniej jest mu ciężej. Szczękając zębami, Kai ściągnął z siebie swoją brunatną pelerynę wykończoną ciepłym futrem i puścił jej skraj, natychmiast porwany przez wiatr – nie wiedział, czy sobie wyobraził czy rzeczywiście usłyszał świsz lotki – po czym sam puścił się między czarnymi pniami w kierunku wioski.

Biegł, ile sił w nogach, z mieczem i nożem nad głową, jakby liczył, że odbije nimi wszelkie pociski. Kiedy wybiegł na polanę wykarczowanych pni, przeskakiwał je, mając wrażenie, że słyszy głuchy dźwięk strzały wbitej w drewno – nie odwracał się jednak, zbyt przerażony, chociaż ciekawy, czy jego przeciwnik zmuszony był zejść z drzewa. Zapewne i tak nie zobaczyłby nic w śnieżycy, ale to już nie było ważne, ważna była wioska, wciąż śpiąca, wciąż jak z bajki, zupełnie nieświadoma tego, co przeżywa Kai, który właśnie dopadał stajni, sięgał do zasuwy drzwi i...

Jego prawą nogą szarpenięło i cała wioska była już świadoma, że dzieje się coś niedobrego – wrzask Kaia poniósł się echem po całej okolicy, a wieśniacy jak na komendę wyskoczyli z domów, rozglądając się w osłupieniu. Z przydzielonej mu chaty wypadł też Silarus – od razu z mieczem w ręku.

- Co jest?! – przekrzyczał śnieżycę, mimo zlepionych snem warg. – Co się dzieje?!

Jakaś kobieta pokazała na Kaia palcem i zakryła usta dłońmi. On sam nie wiedział, kiedy znalazł się na ziemi. Nie mógł wstać. Nie chciał wiedzieć, dlaczego. Wbił miecz w glebę i próbował się podnieść, a kiedy nie dał rady przez ciężar zaciskający szczęki na jego prawej nodze, zaczął czołgać się do stajni, z której słyszał rżenie wybudzonych ze snu koni.

Jeden z wioskowych stróżów zaklął w języku, którego Kai nie znał. Zaczął iść w jego kierunku. Kai przypieszył pracę łokci ciągnących za sobą resztę jego ciała.

- Co jest?! – Usłyszał za sobą zaspany głos Myrona. – Co...

Móże to bujna wyobraźnia Kaia, a może potencjalna trucizna, no bo jak mógł usłyszeć szczek mieczy w taką pogodę? A jednak słyszał i widział strażnika rozcapierzającego dłoń, by chwycić go za włosy, kiedy Silarus przygwoździł go do ściany – mieczem wbitym w jego brzuch do połowy.

Wszystko działało się zbyt szybko. Kobiety i mężczyźni zaczęli wrzeszczeć. Wściekle.

- Kai?! – wrzasnął Silarus, nachylając się nad nim. – Jak...?!

- Uciekajmy! – załkał Kai, ledwo dosiągając skobla na drzwiach stajni. Kiedy spojrzał w dół, zobaczył swoją nogę aż do połowy uda zanurzoną w pułapce. Najdziwniejszej i najstraszniejszej pułapce, jaką widział w życiu. – Uciekajcie!

Silarus odwrócił się, bo ktoś się na niego zamachnął, a Kai wczołgał się do środka stajni. Podniósł się, opierając na drewnianej podporze, a z każdym ruchem pułapka owinięta wokół jego nogi jak stalowy bluszczy wydawała się zaciskać i kąsać bardziej i bardziej. Kiedy spróbował zrobić krok, prawie upadł - w ostatniej chwili chwycił się grzywy czarnego jak węgiel rumaka. To nie był jego koń, ale był to koń. Wystarczyło wejść na jego grzbiet, gdyby tylko nie był tak rozszalały. Gdyby tylko Kai nie był tak rozszalały – obydwa słyszeli krzyki, szczek mieczy, upiorną śnieżycę i czuli woń krwi.

- Uspokój się – wycisnął przez zaciśnięte z bóluzęby, głoścząc koński pysk. – Uspokój się, to...

Koń miał mlecznobiałe ślepia, które wbiły w zielone oczy Kaia, natychmiast pokorniejąc. Zwierzę było ślepe. Kai rozejrzał się wokół – wszystkie tutejsze konie, choć różnych ras i maści, były ślepe. Kai nie miał odwagi sprawdzić, czy nie miały też języków. Dokładnie tak jak w legendach o Ludziach Nieba.

W progu stajni ukazał się człowiek ubrany w grubą skórę, z toporem w ręku – i natychmiast zniknął, kiedy spanikowany garbus Silarusa uwolnił się z boksu i stratował wszystko i wszystkich na swojej drodze. Kai, bez sił, by dotrzeć do Prawdy, spróbował wskoczyć na ślepego, czarnego rumaka, i nie mógł zrobić tego bez krzyku – noga uwięziona

w pułapce była straszliwie ciężka, a ból trawił i kąsał. Jakimś cudem znalazł się jednak na grzbiecie konia, leżąc płasko i trzymając kurczowo za jego grzywę.

- Jedź – jęknął, wiedząc, że koń go nie rozumie.

Mylił się. Koń stanął na dwóch kopytach, nie wydając z siebie nawet najcichszego rżenia - Kai w ostatniej chwili zdążył zacisnąć na jego bokach uda, a na jego uszach ręce – i ruszył. Wybiegł ze stajni i świsnął przez wioskę, która zamieniła się w kotlujące pole bitwy – Kai widział czerwień na bieli śniegu. Widział leżących ludzi. Widział kogoś, kto mógł być Trianem, walczącym z dwoma kobietami równocześnie.

Kłamie, legenda kłamie. Ludzie Nieba umieją walczyć. Nie kłamie jednak co do ich rumaków – nie wyjawią żadnych tajemnic.

\*

Zasnął, obudził się i wpadł w panikę. Jak mógł zasnąć?! Pędzi na koniu Ludzi Nieba i mógł spaść w każdej chwili! Nie, nie, co jeśli to jedno wielkie nieporozumienie, a on pozostawił tych ludzi na rzeź... Cóż on wygaduje?! Ma ich pułapkę na noce! Zwabili go do lasu, chcieli jego zguby! A teraz krew z niego ucieka, i musi to powstrzymać. Pułapka zaciska zęby i ciągnie go w dół. Jego kamraci tam umierają! Jego król, jego przyjaciel i Trian umierają, zabijając! Jak mógł zasnąć i o nich zapomnieć?!

Nie słyszał nic poza wyciem wiatru. Niebo było jasne, a śnieżyca wciąż trwała. Czarny ogier mknął przez las, przeskakując nad powalonemi drzewami, nie prychając i nie zwalniając. Okruchy śniegu gryzły Kaia w twarz. Ból w nodze i uchu ćmił.

Jak mógł zasnąć? Jak daleko zajechał? Dokąd jedzie? Musi się zatrzymać, musi pomyśleć, musi zatrzymać krwawienie.

Popatrzył naprzód, wychyliwszy się zza szyi wierzchowca. Miał wrażenie, że widzi coś między drzewami. Coś o nieregularnym, dziwnym kształcie. Coś dziwnego, coś...

Ruiny. Ruiny obrośnięte bluszczem. W środku zimowej śnieżycy.

Wyciągnął do nich rękę w gorączce i spadł. Spadł z konia, a ten, nie oglądając się, zawrócił i odbiegł. Może do właściciela? Może on zna jakiś sposób, żeby donieść, jaki człowiek go porwał, gdzie jest, i jak go dopaść...

Leżąc w śniegu na wznak, dwa kroki od tych ruin, krwawiąc, Kai coś sobie uświadomił – może umrzeć.

Nie chce umierać.

Wieczorem ma lekcję z Cerro. Musi porozmawiać z Yazorem. Musi powstrzymać Ludzi Nieba. Musi odkryć Prawdę. Musi pomóc ludziom. Wieczorem ma lekcję z Cerro.

Jeszcze chwila tego rozmyślania i śnieg zupełnie go zasypie. Nie mógł wstać, więc przeturlał się na brzuch i zaczął się czołgać. Było mu zimno, mokro i niedobrze z bólu. Musiał dotrzeć do tych cholernych ruin, bo tam, za jedną z rozwalonych ścian, ochroni się przed wiatrem, przyjrzy się nodze, coś wykombinuje. Będzie odrobinę mniej zimno. Nie cieplej, ale mniej zimno. Jeszcze parę podciągnięć. Nie powinien płakać, jest mężczyzną, jest kretynem, ale jest dorosłym mężczyzną, nie powinien płakać...

Wpełzł z zaciśniętymi z wysiłku powiekami po sięgającej mu kolan, gdyby stał, ścianie, i upadł twarzą na coś dużo twardszego niż śnieg – i zemdlał.

\*

Jego oddech cichły. Obserwowały go płaskie oczy słonia, królika i lisa uczujących przy stole, tuzina tańczących na balu par, które właściwie oczu nie miały, i elfki z napiętym łukiem. Z sufitu szczerzył się do niego pirat i siedząca na jego ramieniu małpka – w tle, przed domem, bosa czarnowłosa dziewczyna machała za nimi ręką.

Ludząco podobna do niej osoba z opaską na oczach stała za parawanem i się telepała. Materiał powoli nasiąkał zimnymi łączami, a jejzęby szczekały w panice. Zaciskała spocone palce na rafelce i napiętej na cięciwie strzale, bardzo starając się nie uronić ani jednego dźwięku – ale było to tak trudne, kiedy słyszała w swoim domu, tuż przy swoim łóżku, pod swoim oknem, obcy oddech. Oddech, który nie należał ani do niej, ani do taty - łapczywy, charkliwy, ale coraz cichszy.

Zebrała się w sobie, by brzmieć adekwatnie do zagrożenia, jakie stwarzała.

- W-wyjdź stąd!

Poniosła w tej kwestii sromotną porażkę. Przeknęła ślinę i spróbowała jeszcze raz.

- Wyjdź stąd, to nic ci się nie stanie!

Nie słyszała już nawet oddechu.

Przeknąwszy ponownie, najpierw wystawiła zza parawanu grot, potem bosą stopę, a potem wychyliła się cała, na ugiętych kolanaх i z zaciśniętymi szczękami. Nikt jej nie zaatakował, więc ruszyła w kierunku, z którego było zimowe powietrze – do okna, spod którego buchał obcy zapach skóry, potu, moczu i... czegoś jeszcze. Meglyne była tak obyta w poruszaniu się w opasce, że mogłaby spokojnie sobie poradzić, gdyby pewnego dnia oślepła – teraz jednak skradała się po swojej komnacie jak po obcej przestrzeni, nieufnie i niezgrabnie.

Aż natrafiła stopą na obcego człowieka, i natychmiast przyjęła do perfekcji wyćwiczoną pozycję namalowanej na ścianie elfki, kierując jednak strzałę w dół.

- Ostrzegam cię – warknęła. – Wyjdź stąd i nie wracaj, a nikomu nie stanie się krzywda.

Żadnego oddechu, a zapach krwi - tak, to była krew - bardzo dużo krwi - sprawiał, że kręciło jej się w głowie.

- Jesteś ranny? – spytała, choć znała odpowiedź.

Uklękła, odłożyła łuk i położyła rękę tam, gdzie powinna być twarz obcego – i była. Miała nos, usta, policzki i rzęsy na powiekach, a Meglyne zabrała dygoczącą rękę jak poparzona. Nawet nie czuła potoków łez zalewających jej własne policzki, kiedy przysunęła ucho do rozchylonych ust obcego – i oddech tam był. Słaby i płytki, ale był.

Zaczęła chlipać, sunąc rękami w dół, tam, skąd dochodziły zapachy. Obcy był ubrany w skórzanaą bluzę z metalowymi sprzączkami, lnianą koszulę i ciasne skórzane spodnie, które nasiąkły cieczami i brudem na prawym udzie. Nic dziwnego – tkwiła w nim zaciśnięta aż do szpiku zębata pułapka na koniokradów.

- Och... - westchnęła Meglyne, tracąc nagle wszystkie siły. Wiedziała, co musi zrobić, czytała o tym w *Medycynie polowej*. Lecz nie miała pojęcia, jak przetłumaczyć to na warunki domowe.

Musiała otrzeć pot z czoła, gdy udało jej się zaciągnąć go na pościel wraz z żelastwem ciasno zakleszczonym na jego nodze. Nie było czasu do stracenia – wymacała na kredensie buteleczkę o ostrych krawędziach, w której trzymała magiczny płyn wyżerający brud z ran. Opatrywała nim tatę, kiedy wracał z wypraw, a on ją, kiedy była małą dziewczynką i obiła sobie kolana. W kredensie były też bandaże, igła, nitka, sole trzeźwiące, nasenne kadzidło oraz bardzo silny kwas, z którego zwykle mieszała farby. Tyle, a przynajmniej Meglyne miała taką nadzieję, wystarczyło. Może uda jej się uratować nogę biednego koniokrada. Gdyby chociaż mogła na nią spojrzeć, wiedziałaby, porównałaby z obrazkami z książek, ale... Nie mogła.

Móże lepiej, że stracił przytomność, bo nie czuł bólu, kiedy Meglyne nakładała pędzlem kwas na szczęki pułapki, a te rozluźniały się niechętnie jak paszcza rosiczki, pozwalając jej w końcu wyzwolić jego nogę. Wydawała się praktycznie przepołowiona, ale... ale przecież chirurdzy po coś mają igłę i nitkę. Jeśli przybysz miał szczęście, nie tracił krwi z tętnicy i miał nienaruszoną kość, ale jeśli nie... Och, co powie tata, jeśli wróci, i zobaczy martwego człowieka na łóżku? Co powie tata, gdy zobaczy tu jakiegokolwiek obcego,

żywego czy martwego? Uwierzy jej, że on tak po prostu tu wszedł, ona wcale nie chciała, ostrzegała go...

Jeśli go ożywi, to może przynajmniej stąd odejdzie, prawie cały i żywy, dlatego zdjęła jego zrujnowane spodnie i przemyła głęboką ranę lodowatą wodą najlepiej jak umiała, w czasie gdy wypełniony gorącą wodą garnek grzał się na palenisku. Wtedy polała ranę tym magicznym, śmierdzącym płynem, i słyszała jak się spienił, wyżerając brud. Skrzywiła się sama, wiedząc jak to boli, i oddech obcego nieco przyspieszył. Powtórzyła procedurę siedem razy, aż płyn się nie spienił, a wtedy woda zaczęła bulgotać i Meglyne nasączyła nią ręczniki, jeden kładąc na czole obcego, a drugim znów przemywając jego ranę – ręcznik śmierdział krwią i miksturą, ale nie pozostało jej już nic innego, jak chwycić igłę i nić. Udo obcego poruszało się w rytm ukłuć, mimo że pozostawał nieprzytomny, a Meglyne cieszyła się niezmiernie, że ma na oczach opaskę. Kiedy skończyła, wytarła jego nogę ostatni raz, ułożyła na niej wszystkie zioła, jakie znalazła w kredensie i przycisnęła je do skóry zaciśniętymi ciasno bandażami.

Ostatniego kroku Meglyne bała się najbardziej, nawet bardziej niż kwasu i szycia, dlatego odwlekała go, aż krew skrzepła, a oddech obcego się unormował. Ale w końcu uklękła u wezgłowia łóżka i podsunęła pod nos obcego sole trzeźwiące.

\*

Ciemność była gęsta jak mleko, ale czarna, zupełnie czarna, aż zaczęło się z niej wyływać trochę rozchobotanych, zamazanych świecił i sylwetka otoczona czarną mgłą – i wtedy Kai zobaczył, że to nie mgła, tylko kręte wronie włosy i podłużna twarz bez oczu. A potem zamrugał, powoli i ociężale, i zobaczył wąskie, zaciśnięte usta i czarną opaskę tam, gdzie oczy być powinny.

Usta coś powiedziały, ale nie zrozumiał.

- Co... - wykrztusił ze ściśniętego gardła.

- Och – Wyrwało się z obcych ust. – Wpadł w pułapkę. Próbowałam pomóc... Nie wiem, czy mi się udało.

Kai mrugał cały czas, próbując pozbyć się mgły i zwidów.

- Kim... ty jesteś? – zapytał niewyraźnie.

Dziewczyna jakby się zawahała, zanim użyła ostrego tonu głosu.

- To właściwie nie twoja sprawa. Wtargnęłaś do mojego domu bez pytania. Nikt cię tu nie zapraszał. Nie jest tu bezpiecznie... Musisz odejść, i to jak najszybciej.

Kai starał się oddychać głęboko i usiąść – dziewczyna wyprostowała się, nie pewna, skąd pochodzą szelesty ubrania i kołdry. Kai spojrzał na swoją nagą nogę i zobaczył brązowawe mięso otaczające bandaż na sinej skórze. Próbował poruszyć piekącą kończyną i prawie zwymiotował, kiedy zdołał przesunąć ją tylko od uda wzwyż – reszta nogi, od uda do stopy, ledwo się poruszyła, jakby szturchnięta słabymi drucianymi połączeniami. Kai nie śmiał nawet próbować ruszyć palcami u bladej stopy.

Kiedy ochlonął, zobaczył też komnatę, w której się znalazł – wcale nie ruiny, które pamiętał, ale okrągłe pomieszczenie ozdobione kolorowymi freskami, nieduże, ale dziwnie przytulne i ciepłe, z ogniem trzaskającym pod paleniskiem. Trochę jak kuchnia, a trochę jak sypialnia młodej dziewczyny.

I przy łóżku kucała właśnie ta dziewczyna, w opasce na oczach i przykrótkiej bordowej sukni, spod której wystawały nagie stopy i przedramiona... na których zobaczył rozwidlające się szare, prawie przezroczyste stygmaty.

- Jesteś czarodziejką – westchnął, niezdolny w tym stanie do wyrażenia zachwytu, zdziwienia i strachu jednocześnie.

- Nie – dziewczyna uśmiechnęła się skromnie. – Medykiem też nie, ale robiłam, co mogłam. Ale pułapka zacisnęła się prawie do końca... Musisz jak najszybciej iść do prawdziwego medyka albo czarodzieja.

- Nigdy nie widziałem takich stygmatów.

- Co? Aaa... No cóż, ja nigdy nie widziałam innych.

- Co to znaczy? Mieszkasz tutaj? Gdzie my w ogóle jesteśmy? I na co ci ta opaska?

- Jesteś w moim domu, więc to ty musisz odpowiedzieć pierwszy. Kim jesteś i skąd się tu wzięłeś?

Na posadzce obok dziewczyny leżała rafelka i kołczan pełen strzał. Oraz zakrwawiona pułapka o dziwaczny, złowrogim kształcie rośliny pasożytyjącej na gałęzi albo kilkuogonowego węża, który owija się i zaciska, zaciska, aż... Na to wspomnienie Kai skrzywił się, syknął i machinalnie złapał za prawe ucho – to ono tak pulsowało bólem i zaćmiewało mu umysł. Było raz śliskie, raz chropowate, raz... wyraźnie wybrakowane.

- Nie mam ucha – oznajmił beznamiętnym tonem.

- Słucham? – Brwi pod opaską być może uniosły się lekko.

- Nie mam ucha, prawdopodobnie zabiłem moich towarzyszy, pograżyłem tych ludzi, a sam... - spojrzał na swoje dlonie. Po prawej spływała krew z rany na uchu. - Idiota, kretyn, skończony dureń! Tak mnie możesz nazywać, magini.

- Hola – odparła niezręcznie. – Zamierzam nazywać cię tylko twoim prawdziwym imieniem. Moje brzmi... Meglyne. Zdradź mi swoje i opowiedz, co ci się przytrafiło. A ja opatrzę twoje...

Kai złapał ją za nadgarstek, gdy próbowała sięgnąć do jego ucha.

- Gdzie jestem? – spytał. – Po co ci ta opaska? I niby dlaczego mi pomagasz, dziewczyno z dziwnym imieniem?

Meglyne poruszyła palcami ręki schwytanej w żelaznym uścisku.

- Wszedłeś do mojej wieży przez okno i zemdlałeś. Nie wiem, jak, nie wiem, dlaczego, ale skoro już się tu znalazłeś i byłeś ranny, dlaczego miałabym ci nie pomóc? Im szybciej wyzdrowiejesz, tym szybciej się stąd wyniesiesz.

- Ja nie wchodziłem do żadnej wieży. Pamiętam tylko ruiny i...

- Cóż, mój strażnik widział cię z daleka, jak się zataczasz, a...

- Twój strażnik? Kim on jest? Nie jesteśmy tu sami?

- Jouarmaes to duch wielkiego wilka, który strzeże mojej wieży. Jest nas więc troje.

Póki co.

Kai żałował, że nie może spojrzeć obcej prosto w oczy.

- Dlaczego kłamiesz, że nie jesteś magiem?

- Nie kłamię.

- Masz stygmaty, zaklętego wilka...

- Stygmaty odziedziczyłam po tacie i to on zakłnął wilka.

- Ach, więc to tak. Więc gdzie on jest?

- Nie wiem, na jakieś wyprawie... I lepiej, żebyś był daleko, kiedy on wróci.

Kai miał za mało siły, żeby ją powstrzymać, kiedy wyrwała ramię z jego uścisku i odeszła do krzywego kredensu, szukając czegoś po omacku.

- Jesteście jednymi z nich? – warknął.

- Jednymi z kogo?

- Ludzi z Ajgaj. Ludzi Nieba.

- Nie wiem, co to Ajgaj, ani Ludzie Nieba, a moje imię brzmi Meglyne.

- Dlaczego zachowałaś mnie przy życiu? Skoro twój ojciec chce mojej śmierci?

- Co? – Cynowy garnuszek wypadł z łoskotem z ręki dziewczyny, kiedy odwróciła się gwałtownie, przerażona. – On nie chce niczyjej śmierci! Wręcz przeciwnie, on chce jej zapobiec, rozumiesz?! Rozumiesz??!

- Nie rozumiem. Nic nie rozumiem.

- Może nie musisz. Ważne, żebyś wyzdrowiał i był daleko jeszcze przed jego powrotem.

- Powiniensem więc się go bać?

- Co? Skąd! Ale wytlumaczenie, skąd się tu wzięłeś... Brzmi niewiarygodnie nawet dla nas obojga.

- A jak ono brzmi?

- Wszedłeś przez okno.

- Po prostu... wszedłem... przez okno...

Meglyne zapaliła wonne kadzidło, z którym usiadła na posadzce, krzyżując nogi. Kai musnął wzrokiem lśniące stygmaty na jej stopach.

- Teraz pójdziesz spać i obudzisz się silniejszy. Ale najpierw powiedz mi, jak masz na imię.

Kai miał jeszcze wiele pytań, wiele pretensji, wiele protestów przeciwko uśpieniu go i zrobieniu nie wiadomo czego w czasie jego nieprzytomności. Ale powiedział tylko:

- Kai.

- Kai – powtórzyła z dziwnym akcentem, który dopiero teraz zauważał. Z dziwnym zachwytem i dziwną manierą. – Bardzo mi przykro z powodu twojej nogi. A teraz dobranoc.

\*

Kadzidełka działały w osobliwy sposób – najpierw budził się umysł Kaia, potem jego oczy, a usta jeszcze przez długi czas nie chciały się otworzyć. Wytlumaczyła mu to dziewczyna w opasce, już rozbudzona, kiedy odzyskała przytomność. Kai obserwował, jak po omacku gotuje zupę, ja ceruje jego spodnie, jak wylewa za okno miskę, do której lał przez sen. Oszacował liczbę książek na kredensie, których tytułów nie mógł rozszyfrować z dystansu. Ocenił również wszystkie malowidła pokrywające ściany i drzwi obok parawanu, za którym była pewnie toaleta. Ta chwila niemoty pozwoliła mu uspokoić galopujące myśli, wysnuć własne domysły, zaplanować kolejność, w jakiej padną najważniejsze pytania.

- Kim jesteś ty i twój ojciec? – brzmiało pierwsze, wymówione metalicznym tonem, z nad talerza parującej zupy jarzynowej, na którą nie miał ochoty.

Dziewczyna w opasce zadumała się nad tym pytaniem, przyciskając łyżkę z zupą do ust.

- Tata jest podróżnikiem – odpowiedziała. – A ja jego córką.

- Jak się nazywa?

- Hmm...

Kai długo nie odpuszczał.

- Nie wiesz?

- Nie wiem.

Nie byłoby to aż tak dziwne, gdyby Meglyne wyglądała na pięć lat.

- Więc często się przenosicie?

- Nie, nie. Mieszkamy tutaj od zawsze. Tylko on wychodzi i wraca.

- Kiedy wróci?

- Nie jestem pewna. Obiecał, że przed ostatnimi śniegami... Ale parę dni temu wszystkie śniegi raptownie stopniały. Ale teraz znowu przyszła śnieżyca. A tata nie przyszedł...

- Śniegi stopniały, bo przez Unię szedł Szary Człowiek.

- Kto?

Pytanie brzmiało jak zadane przez nieświadome braku elementarnej wiedzy dziecko.

Albo ciekawskiego cudzoziemca.

- Nie wiesz, kim jest Szary Człowiek?

- Nie – teraz się jakby zawstydziła. – Ale na pewno jest bardzo...

- A co wiesz o Ludziach Nieba?

- Znowu oni? Bredziłeś o nich w gorączce, ale ja nigdy o nich nie słyszałam. Prawdę mówiąc... Nie jestem najlepszym źródłem wiedzy, jeśli chodzi o zewnętrzny świat.

- Nie wychodzisz na zewnątrz?

- Nie...

- I nie wiesz dosłownie nic o świecie poza wieżą?

- Coś tam wiem... Mam książki i tata opowiada mi różne takie... Ale jakbyś ty chciał mi opowiedzieć o tym, co jest na zewnątrz, to byłabym bardzo wdzięczna.

- Dlaczego nie wyjdziesz sama zobaczyć?

- Niewiele bym, szczerze mówiąc, zobaczyła.

Jej uśmiech był ponury, z bardzo delikatną szczyptą ironii. Kai poczuł ukłucie współczucia.

- A, no tak... - wysiorbał łyżkę zupy. Była ciepła i smaczniejsza niż na to wyglądała. – Jesteś ślepa?

- Co? Nie, nic z tych rzeczy, widzę świetnie. Aż za dobrze, szczerze mówiąc... Ale moje oczy są chore.

- Chore? Jak to? Jeśli mogę zapytać.

- Tak, lepiej, żebyś wiedział... Jeśli na kogoś spojrzę, to ten ktoś umiera.

Przez chwilę słyszać było tylko stukot jej łyżki obijającej się o dno miski.

- Nie ma takiej choroby – oświadczył Kai.

- Możliwe, że to nie choroba, ale... klątwa.

- Da się rzucić taką klątwę?

- Nie wiem. Mam to od urodzenia, tata szuka lekarstwa po całym świecie, ale... nic.

Dlatego nie mogę wychodzić z wieży i strzeże mnie Jouarmaes. I dlatego noszę opaskę przy tobie i tacie.

- I nigdy nie widziałaś żadnego człowieka? Nawet swojego taty?

- Mój wzrok nie działa na mnie samą, więc widziałam tylko siebie i pewnie kogoś, kiedy byłam niemowlęciem, i ten ktoś nie skończył dobrze, więc...

- Może twoja klątwa już straciła moc? Albo to był nieszczęśliwy zbieg okoliczności?

Ludzie uwielbiają rozdmuchiwać takie sytuacje. Na przykład jednego mojego znajomego marynarza posądzili o to, że umie latać, bo...

- Nie, przestań, to na nic. Myślałam tak samo parę lat temu i... Klątwa działa. Klątwa albo choroba. A nawet jeśli nie, to nie mam zamiaru ryzykować życiem innych, żeby sprawdzić.

Kai nie miał żadnych argumentów przeciw temu.

- Bardzo mi przykro – powiedział, wracając do zupy. – Ale... Mówisz, że masz książki, a nie wiesz nic o Szarym Człowieku? To chyba pierwsze imię, jakie słyszą dzieci w Świętej Unii.

Brwi Meglyne uniosły się nad jej opaską.

- Świętej Unii? – powtórzyła bezwiednie.

Opowieść była długa. Kai nie ufał dziewczynie na tyle, żeby mówić o sobie, ale o historii, zwyczajach, ziemiach, legendach – o tym mógł prawić bez obaw godzinami, i tak uczynił, kreśląc przypominającą kotwicę mapę Hekkyranu i kontynentu za Wielką Wodą na kawałku pergaminu, który mu podała i z którym chowała się za parawanem, by mu się przyjrzeć. Mówił tak długo, że dziewczyna, na początku zasłuchana w jego słowa z otwartymi ustami, cały czas zadająca własne pytania, w końcu namówiła go na ćwiczenie poruszania się – i zakończyło się to sromotną porażką. Kai zwymiotował, gdy spojrzał w dół, na poszarpane mięso wykrzywiające się pod nienaturalnymi kątami.

- Magicy to naprawią – zapewnił Meglyne i samego siebie, gdy wątpliwości ogarnęły i ją. – Póki kość się trzyma...

Meglyne nie odpowiedziała. Ścierał ją wyrzyganą przez niego jarzynową. Zapytała, jakim cudem statki wypełnione ciężkimi towarami nie idą od razu na dno.

Ogarniał go żal, kiedy musiał tłumaczyć Meglyne podstawy funkcjonowania świata – ale dominującym uczuciem była zdecydowanie fascynacja. Dziewczyna, nie dość, że nie skalana złem i przykrością innych ludzi, była też nie naznaczona przez kulturę, status społeczny, religię i mentalność Świętej Unii. Nigdy nie przeżyła strachu przed gniewem Szarego Człowieka. Nigdy nie nałożyła mikaonu, Na wieść, że kobiety nie mogą nosić spodni i trzymać broni, zaśmiała się jakby w zachwycie, zadziwiona tymi zakazami, o których nigdy nie miała pojęcia i mogła je w beztrosce ignorować. Siedziała przed nim na podłodze, bosa, w przykrótkiej sukience, z szeroko rozstawionymi stopami, które wygrzewała przy palenisku. Kai nie mógł się powstrzymać i porównywał ją w wyobraźni z Cerro – z pewnością znienawidziłaby Meglyne, płonąc z zazdrości.

Była też niezwykle pojedna. Zapamiętywała bez trudu imiona władców i nazwy zupełnie nowych dla niej krajów. Gdy dowiedziała się, który jest rok, na palcach policzyła datę swojego urodzenia i zapisała ją ze łzami w oczach na ścianie za framugą łóżka, jakby nie chciała, by ktokolwiek inny ją poznał. Raz na jakiś czas Kai przerywał opowieść, aby skarcić się w duchu za udzielanie informacji obcemu, podejrzewanemu odludkowi, ale była to wiedza elementarna, do której każdy powinien mieć dostęp – a rolą haronów było przecież nauczanie. Nie powierzał jej też sekretów wagi państwowej, ani nawet nie uronił słowa o sobie samym – zresztą, na samo wspomnienie o swoich towarzyszach ogarniał go wstyd, że tak sobie siedzi przy trzaskającym ogniu. Obolały i prawie rozczlonkowany, prawda – ale nie jest mu najgorzej.

- A ty, Kaiu – zagadnęła o zmierzchu Meglyne, nastrajając lutnię o wypłowiających kolorach – kim jesteś? Skąd tu się wzięłeś?

- A jak myślisz?

- Jesteś... podróżnikiem. Myśliwym. Koniokradem?

- Może tak, a może nie.

- Powiedz mi, jak wyglądasz.

- Mam długie srebrne włosy i oczy błękitne jak ocean. I nie mam jednego ucha.

- A z jakiego miejsca na mapie pochodzisz? Będę mogła o tobie pamiętać, kiedy już tam wrócisz.

Kai milczał chwilę.

- Trudno powiedzieć, Meglyne.

- Trudno powiedzieć?

- Tak. Podróżowałem tyle, że sam już nie pamiętam.

- Jeśli kiedyś wyzdrowieję... Chciałabym móc powiedzieć to samo.

Kai nie zdążył westchnąć sceptycznie, bo Meglyne zaczęła grać – melodię mu nieznaną, ale ładną.

A potem zaczęła śpiewać.

Kai na początku myślał, że to po prostu artystyczna stylistyka, popularna wśród wielu bardów – ale potem uprzystomnił sobie, że nie rozumie ani jednego słowa, poza powtarzającym się w melodycznym refrenie „Meglyne”. Jego serce opadło aż do żołądka, kiedy patrzył na usta pod opaską wyginające się w obce dla niego głoski.

Pozwolił jej dojść do trzeciej zwrotki.

- Co to za piosenka? – warknął.

- Kołysanka – odparła, znów płynną hekkyrszczyną. – Nazywa się „Joe Vervve’ calen Meglyne”

- Co to za język?

- Nie wiem. Mój i taty.

Zaczęła śpiewać kolejne obce słowo.

- Podaj mi jakąś książkę z regału. Napisaną w waszym języku.

Meglyne odłożyła lutnię i wykonała polecenie, wciąż nucąc beztrosko. Kai wziął do ręki gruby tom ozdobiony rysunkiem pirata i jego okrętu – bardzo podobnym do tego na suficie komnaty.

Na górze widniały też znaki ułożone w pionowe rzędy – Kai nie miał pojęcia, co oznaczają, ale widział je już wcześniej – w starych księgach, którymi wypełniona była sekretna biblioteka w Modrym Oku.

Meglyne chciała odejść, ale Kai złapał ją za nadgarstek poznaczony śliskimi stygmatami.

- Jak się nazywa ta książka?

- „Baśnie kurtyzan” po twojemu. To moja ulubiona.

- Co... Znasz ten język?

- Tak, to język mój i taty, właśnie w nim śpiewałam.

- Co to za język?

- Mój i taty.

- Ja mówię po hekkyrsku, a wy?

- Ja... Nie wiem.

Kai otworzył wysłużone tomiszcze na losowej stronie.

- Przeczytaj coś – chwycił jej palec wskazujący i położył go na szczycie pionowego rzędu znaków. - Po mojemu. Tak, żebym cię widział.

- Nie mogę, mam...

- Po prostu patrz cały czas w dół, tylko na książkę. Odsunę się i powiem ci, kiedy będziesz mogła założyć opaskę

- Kaiu, to jest igranie z...

- Wszystko będzie dobrze, zaufaj mi. To bardzo ważne. Musisz mi przetłumaczyć ten fragment. Proszę.

Palce Meglyne drżały, kiedy opuściła głowę, a pukle czarnych włosów zasłoniły jej oblicze. Zsunęła opaskę na szyję, wzięła głęboki oddech i zaczęła czytać, starając się nie brzmieć płaczliwie.

- „W chacie stał tylko wiatr, a właściwie nie stał, ale hulał, a wraz z nim tańcowały muszle, które dzwoniły, obijając jedną drugą, przewlecone przez rybie ości, zaczepione na haku przy oknie. Zsztyte jedna z drugą, brzęczały głośniej i upiorniej niż zęby starego, przemoczonego do suchej nitki sternika, i miał wrażenie, że są coraz głośniejsze, ostrzegają kogoś o jego prezencji, kogoś, kto nie znosi intruzów, nawet takich, którzy...”

- Przestań.

Meglyne natychmiast połknęła ostatnie słowa.

Kai obserwował znaki, za którymi dziewczyna wodziła wzrokiem. Oddychał chrupliwie i czuł powracającą gorączkę.

- Nie zmyślasz? – spytał z przekąsem.

- Co? Dlaczego bym miała?

- Możesz nałożyć opaskę.

Zrobiła to z wyraźną ulgą.

- Więc znasz język Ludzi Nieba?

- Nie znam żadnych Ludzi Nieba! Ile razy mam powtarzać? Nawet do nich nie doszedłeś w swoich opowieściach.

- I nie wiem, czy powiniensem... Ludzie Nieba są nieśmiertelni i krwiożerczy, wiadomo o nich bardzo niewiele. Mówią się, że nie używają ani mieczy, ani łuków, ani azyryd, po prostu idą przed siebie... I kiedyś zajmą cały świat.

- Jak?

- To tylko legenda. Chyba, że... Może to nie tam miałem ich znaleźć... Może cały czas miałem dojść... do ciebie.

- Kaiu, nie mam pojęcia, o czym ty bredzisz. Chyba masz gorączkę i powinieneś...

- Wiesz, co znaczy słowo „maucahhagge”?

- To dwa słowa. „Mowa” i „Chmury”.

Kai usiadłby, podniecony, gdyby mógl. Wyskoczyłby wraz z Meglyne przez okno i pognał prosto do zamku, gdyby mógl.

- To ty. Miałem odnaleźć kogoś, kto pozwoliłby mi zrozumieć ten język... Ale zabijasz wzrokiem... No tak, oczywiście, musiał być jakiś haczyk... Jak myślisz, na jakich warunkach ojciec zgodziłby się ciebie wypuścić?

Twarz Meglyne stała się trupio blada.

- Na żadnych – westchnęła w trwodze, odchodząc pod najdalszą ścianę komnaty, gdzie znajdowały się zapieczętowane magicznymi znakami drzwi, przez które umiał przejść tylko jej ojciec.

- Miałabyś świetną opiekę, przysięgam, twój ojciec dostanie za ciebie fortunę... Ale kiedy tutaj wróci? I czy się zgodzi, skoro jest jednym z nich... Musisz ze mną odejść, Meglyne. Musisz. Jak najszybciej.

- Co takiego?! Skąd nagle ten pomysł!?

- Nikt nie zna tego języka, a ja go potrzebuję! Potrzebuję ciebie!

- Jestem morderczynią! Jestem niebezpieczna! Moje własne imię znaczy „przeklęta”!

Nie mogę stąd odejść, bo zrobię krzywdę...

- Albo znajdziemy lekarstwo! Nie masz pojęcia, co są w stanie zrobić czarodzieje z Alkaidei, kiedy wydać im...

- To przyjedziesz do mnie z lekarstwem. Nie zamierzam ryzykować.

Skryła się za parawanem i pozostał po niej tylko zgarbiony cień rzucany przez trzaskający ogień.

- Kiedyś dzień w dzień błagałam tatę, żeby pozwolił mi wyjść do ludzi albo kogoś przyprowadził – powiedziała dźwięcznym szeptem. – Upierałam się, aż się zgodził. Kończyłam piętnaście lat, byłam już duża, więc przyprowadził Adriena, Ettę i Romulusa, moich rówieśników. Najpiękniejszy prezent urodzinowy na świecie. Należeli do trupy teatralnej i mieli piękne głosy, i cały czas gadali, gadali, gadali! Tańczyliśmy, jedliśmy to, co ugotowałam, rozmawialiśmy cały dzień. I spociłam się podczas tańców, i niby niechcący, oszukując samą siebie, zatrzymałam się przy lustrze i, niby ocierając pot spod opaski, nieco ją uchyliłam... Pomyślałam, że może spojrzę tylko w odbicie, i tylko na stopy... Ale Adrien krzyknął i... I nałożyłam opaskę, ale słyszałam, jak wszyscy krzyczeli, i jak się przewrócił, i uciekli, tata im pomógł, kiedy oni wrzeszczały, że... Różne rzeczy wrzeszczały.

Nie powiedziała nic więcej. Kai może też powinien był milczeć, ale zapytał:

- Spojrzałaś tylko na jego stopy?

- Tak.

- Bazyliszek musiał zatrzymać prosto w oczy, żeby zabić, a to jedyny znany przypadek choć trochę przypominający twoją chorobę.

- Tak. Wiem.

Po chwili namysłu Kai oświadczył, że idzie spać, a Meglyne z ulgą i uklonem podziękowała mu za opowieści.

\*

Całe życie spędzone w wieży może nie było według Meglyne takie złe, ale Kai już czuł, że nie zniesie więcej. Węszył smród bijący ze swojej nogi, na którą nie chciał patrzeć, a co dopiero na niej stawać. Z drugiej strony – musiał stąd odejść. Nie wytrzyma niewiedzy, co stało się z pozostałymi. Do tego celu jego wyprawy, osoba znająca język książek w sekretnej bibliotece, była niemal niemożliwa do zwerbowania.

Leżała na posadzce w księycowej ciemności, owinięta grubymi futrami, bo bała się zostawać rozpalone ognisko na noc. Spała z otwartymi ustami, wciąż z opaską na oczach, oddychając miarowo i spokojnie, z jedną ręką zakrzywioną nad przekreconą w jego kierunku głową. Kai chciałby powiedzieć, że stygmaty na jej rękach błyszcząły w białym świetle, ale nie byłaby to prawda – symbole było po prostu widać, jak koryto wyschłej na wiór rzeki, jak skórę, której pozbył się wąż, jak puste w środku szklane rzeźbienie. W płaskich malunkach na drewnianych drzwiach było o wiele więcej życia.

- Więc twój ojciec jest czarodziejem? – spytał ją wcześniej, przerywając opowieść o Świętej Unii.

- Nie wiem – odparła Meglyne, mieszając w kotle z gulaszem. – Nigdy nie widziałam, żeby czarował.

- Ale to on zakłnął wilka? A te drzwi pokryte symbolami są zaczarowane tak, żeby tylko on mógł przez nie przejść?

- Jego symbole na nie działają.

- Więc ma moc, ale ty nie?

- Może jego symbole są inne.

- Nie słyszałem nigdy o kimś, kto ma symbole, ale nie ma mocy. To w nich zbiera się magia. Niektórym magom za karę wyrywało się je kiedyś z ciała. Bez nich magia nie ma gdzie się zbierać, krąży w żyłach i doprowadza człowieka do szaleństwa. Zresztą, czeka ono

każdego maga. Stygmaty rozrastają się z wiekiem, osłabiają ciało i umysł. Zarosłyby pewnie całe głowy magów, aż do czubka, ale nikt nie żyje aż tak długo. I nikt by też chyba tego nie wytrzymał.

Meglyne nie zaciekawił ten temat, co nieco Kaia zdziwiło. W milczeniu podała mu porcję bezmięsnego gulaszu. Jej wyrastające z paznokci stygmaty ledwo sięgały nadgarstków.

- Twoje też rosną wraz z wiekiem? – zagadnął.
- Tak – odparła krótko.

Nie chciał naciskać, więc zmienił temat.

Teraz ta naznaczona, ale pozbawiona mocy ręka wśliznęła się pod opaskę pograżonej we śnie Meglyne. Instynktownym gestem pocierała lewe oko. Może o czymś śniła. Kai skarcił się w duchu za głupotę, ale nic nie mógł poradzić na to, że te tajemnicze oczy Meglyne były tak fascynującym zjawiskiem, że nie liczyła się cena, jaką przyjdzie mu zapłacić za zobaczenie ich. Patrzył bez mrugnięcia na jej zamkniętą, najzwyczajniejszą w świecie powiekę, i zastanawiał się, jak...

Nastała ciemność.

Kai spojrzał w okno.

W ogromne wilcze oko, w którym Kai zobaczył własne, szkliste odbicie.

Jouarmaes zawył ogluszajaco.

Meglyne usiadła jak poparzona i zdusiła okrzyk, gdy ujrzała wilczą źrenicę – czarne, upiorne lustro obejmujące całą komnatę.

Ze zduszonym okrzykiem naciągnęła opaskę z powrotem.

- Kaiu?! – wrzasnęła. – Kaiu!
- Czy to...
- Kaiu...
- Czy to...
- Musisz się schować – syknęła, podbiegając do łóżka. – Musisz...
- Co? Co się dzieje?

- Mój tata nie może cię tutaj zobaczyć – sapnęła, ściągając Kaia z łóżka. Zawył z bólu przepoławiającego jego nogę. A może to Meglyne zawiesiła oko na jego odbiciu i klątwa zaczynała działać... – Proszę, bądź cicho... I nie ruszaj się, nie dawaj znaku życia... Tylko nie umrzyj, ja nie chciałam, nic nie widziałam...

Kai zaciskał zęby tak mocno, że gorące łzy zalały jego policzki. Meglyne wepchnęła go pod łóżko, rozpychając skrzynie, materiały i pajęczyny. Jedna przylepiła się Kaiowi do twarzy. Odrzucił ją z obrzydzeniem, plując.

- Kaiu? Kaiu, żyjesz?
- Żyję – syknął. – Ale co się dzieje?
- Wszystko będzie dobrze, nic nie widziałam.

Z tymi słowami zasunęła jedną ze skrzyń pod łóżko tak, że Kaia i resztę świata oddzielała tłumiąca odgłosy ściana i ciemność, w której jego nogi gorzała bólem.

Usłyszał stłumiony głos – nie należący do Meglyne. Wyteżył słuch.

- Tata...

Kai przełknął ślinę i spróbował ściszyć chrapliwy oddech. Ojciec Meglyne. Prawdopodobnie mag. Prawdopodobnie Człowiek Nieba.

- Ale tu zimno... Rozpal ogień, kruszyno... Co to, spałaś na podłodze?

Meglyne odpowiedziała niezrozumiale.

- Mów do mnie tym drugim językiem, skarbie, powinniśmy go poćwiczyć.

Pauza.

- Nie... To posłanie przygotowane nawój powrót.

Zaśmiał się. Nie był to śmiech przyprawiający o ciarki na plecach. Głos człowieka również nie był zimny i niepokojący. Kai nie wiedział, czego się spodziewał, ale... Coś nie pasowało. Dlaczego rozmawiali po hekkyrsku?

Przez szczeliny w obwarowaniu, które stworzyła Meglyne, przedarło się rozdygotane światło ogniska.

- Ależ masz bałagan pod łóżkiem. Co się stało z moją schludną Meg?
- Ja... Robiłam porządkи i tak jakoś...
- Odjeżdżam, skoro świt. Nie frasuj się porządkami, póki tu jestem.
- Skoro świt? Czyli...
- Tylko kilka godzin przyjdzie nam spędzić razem, Meg. Zagrzejmy się i zjedzmy jakieś śniadanie.

Ojciec Meglyne nie miał za wiele do powiedzenia o podróżach, poza tym, że jest zmęczony. Meglyne za to szczebiotała cały czas; o farbach, które ojciec jej przywiózł; o kolorach, których zobaczenia nie mogła się doczekać; o wspaniałym futrze o nieziemskiej fakturze; o śniegu, który ostatnio stopniał, kiedy z nieba spadło słońce.

Rozległo się skrzypnięcie i Kai pojął, że ktoś musiał usiąść na łóżku tuż nad nim. Musiał być to ojciec Meglyne – jej głos dobiegał z innego kąta. Kai przyłożył dlonie do ust, by uciszyć swój oddech.

- Co to za tajemniczy napis, Meg? Dwa tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt dwa. Cóż to oznacza?

Meglyne przerwała beztroską paplaninę.

- Skąd o nim wiesz? – spytała w końcu. – Zawsze mnie zastanawiało, skąd wiesz o rzeczach nawet bez spojrzenia na nie.

- Och, kochana Meg, kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć najlepiej, że nie trzeba widzieć, aby wiedzieć.

- Ja... W opasce nie wiem nic.

- Ależ wiesz.

- Nie wiem... Nie wiem nawet, jak masz na imię.

- Cóż by ta wiedza powiedziała ci o mnie? Przestałabyś mnie wtedy nazywać tatą?

Pękłoby mi serce, Meg.

- Nie, nigdy!... Ale... Ile masz lat, tato?

- A więc chcesz myśleć o mnie jak o starcu?

- Nie, ale... Chcę wiedzieć cokolwiek.

- Wiesz o mnie wystarczająco, Meg. Że jestem twoim tatą i że cię kocham. Czego więcej ci trzeba?

Meglyne nie odpowiedziała. Rozległo się siorbanie i skrzyp bujanego fotela.

- Więc co oznaczają te liczby? – ciągnął ojciec Meglyne.

- Akordy. Przyśniły mi się i nie chciałam zapomnieć.

- Coś takiego.

Jedli. Potem Meglyne usiadła w bujnym fotelu, a jej ojciec wyłożył się na łóżku, które skrzypiało niemiłosiernie, a kurz spomiędzy szprych sypał się w oczy drżącego Kaia. Kiedy już wydawało się, że człowiek powinien ułożyć się na nim najwygodniej na świecie, skrzypienie wciąż nie ustawało – łagodne i rytmiczne, nieznośne. Jęk bujanego fotela przyspieszył.

- Nie mogę się na ciebie napatrzeć.

Meglyne nie odpowiedziała.

- Meg?

- Słucham.

- Chodź do mnie. Bardzo za tobą tęskniłem.

- Nie... Krwawię.

- A kiedy mi to ostatnio przeszkadzało?

- Nie czuję się dobrze.

- Nie wzięłaś lekarstw?

- Nie pomogły.

- Ja ci pomogę. Podejdź tutaj.

- Nie, nie dzisiaj, błagam.

- O co mnie błagasz? Żebym już sobie szedł? Przyniosłem ci prezenty, więc już mogę sobie iść w cholerę? Nie obchodzi cię, co przeżywam przez te miesiące bez ciebie?

- Nie, to nie tak...

- Wreszcie cię widzę, a ty tylko szukasz powodów, żeby sprawić mi przykrość.

- To nieprawda...

- Nie odejdę, dopóki nie dowiem się, co się z tobą dzieje, Meg. Myślałem, że mnie kochasz.

- Kocham, ale...

- Zostanę tu tak długo, aż to „ale” zniknie.

Dźwięki fotela ustały, a z łóżka ponownie posypał się kurz i pajaki. Po drugiej stronie drewnianej leżanki musiała trwać szamotanina. Nikt jednak nie wydawał z siebie jęków bólu. Rozległo się mlaśnieście i rozedrgany szloch Meglyne.

- Kocham cię – powiedział jej ojciec.

- Ja ciebie też – odparła.

Znowu nieznośne skrzypienie i szczek desek. Kai nie był pewien, czy żałuje, że dwuznaczne dźwięki, które słyszy, są tak stłumione, czy wolałby już na zawsze stracić słuch. Był zupełnie skołowany i coś niebezpiecznie pulsowało w jego głowie. Szloch Meglyne urywał się od czasu do czasu – a potem wracał ze zwielokrotnioną siłą, a mimo to jej ojciec był na niego głuchy.

- Ustami, moja droga.

Kai miał gorącą nadzieję, że się przesłyszał.

- Nie...

- Powiedziałaś, że mnie kochasz.

- Nie dzisiaj...

- Włóz go do ust. Pokaż, co potrafisz.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, i za każdym razem, kiedy przerwał ją świd oddechu ojca Meglyne, jej zawodzenie albo dźwięk, którego Kai za żadne skarby nie chciał słyszeć, miał wrażenie, że zwymiotuje. Pająk szamotał się w jego włosach, a on nie śmiał odjąć palców od zaciśniętych kurczowo warg. Znów rozgorzała w jego głowie gorączka przyjmiewająca nawet ból w cuchnącej nodze.

- Teraz się odwróć, Meg.

Wykonała to bez żadnych protestów. Przez dłuższy czas Kai słyszał stłumiony płacz dochodzący z różnych kątów łóżka, kiedy miarowy rytm skrzypienia zostawał na moment przerywany. W końcu i ono ustąpiło. Niestety, ohydny głos mężczyzny odezwał się ponownie.

- Wcale nie krwawisz. Dlaczego skłamałaś?

- Musiało się... akurat skończyć.

Potem Meglyne wyła i jęczała. Kai przeniósł dlonie z ust na uszy – na jedno ucho i to, co zostało z drugiego. Zaciskał powieki, modląc się o koniec i ten wreszcie nadszedł – ostatnie skrzypnięcie i coraz cichszy, aż niesłyszalny skowyt Meglyne.

Ogień trzaskał. Cienie sączące się przez szczeliny pomiędzy skrzyniami tańczyły jak pijane diakorr. I cisza zaczęła się Kaiowi dłużyć – był w stanie usłyszeć własne myśli i nie były one przyjemne.

Dlaczego nie skoczył na ratunek Meglyne? Oczywiście było, że ten człowiek ją krzywdzi, a nawet jeśli jest jej ojcem – dłoń do ust, trzeba powstrzymać torsje – nie miał prawa tego robić. Oczywiście, Kai nic by nie zrobił – jego nogi skutecznie ostudziłyby każdy ratunkowy zapał. Prawda była jednak taka, że Kaiowi nawet przez myśl nie przeszła pomoc Meglyne. Był jak dziecko podsłuchujące rodzinną awanturę – był bezbronny, przerażony, i tylko modlił się, żeby to się już skończyło.

- Zaśpiewaj mi piosenkę, Meg.

Dreszcz przeszył całe ciało Kaia. Musiał przytrzymać szczękę, żeby nie zaklekotała.

- Jaką? – odpowiedział słaby głos dziewczyny.

- *Balladę o włamywaczu*.

Meglyne milczała dłuższą chwilę

- To musi być ta?

- Tak. I weź lutnię.

Głuche plaśnięcie stopy o posadzkę. Strojenie lutni. Delikatne skrzypnięcie łóżka. Melodia. Śpiew.

*Nie zamykam okien, nie zakluczam drzwi*

*Nie narażam się nikomu, nawet jak kto ze mnie drwi*

*Bogactw tutaj nie uświadczysz, choćbyś bardzo chciał*

*Choćbyś każdą luźną deskę z tej podłogi rwał*

*Choćbyś, choćbyś*

*Każdą deskę rwał*

*Znam gusła, porzekadła, klątwy i zaklęcia  
Moje skarby są chronione przez sprytne zamknięcia  
Biada temu, kto jest przeciw przychylnym mi siłom  
Włamywaczu, omijaj szerokim łukiem ten dom*

*Włamywaczu, włamywaczu  
Omijaj ten dom*

*Śpiąca choroba, co budzi się kiedy  
Czuję, jak w sakwach przybywa mi biedy  
Instynkty szepczą mi w ucho jak wróżka  
Złodzieju, wyjdź już spod tego łóżka*

*Złodzieju, złodzieju  
Wyjdź spod łóżka*

\*

Zgodnie z obietnicą, ojciec Meglyne opuścił wieżę, skoro świt. Kai słyszał ich czułe pożegnanie, bo przez noc nie zmrużył oka. Wszystko go bolało. Był skostniały z zimna i trzęsącego nim strachu. Nie mógł powiedzieć, że poczuł ulgę, kiedy ojciec Meglyne zniknął – musiał teraz w końcu stawić jej czoło.

Ale ona długo nie usuwała barykady. Kai leżał w napiętej ciszy, coraz bardziej zaniepokojony, aż jedna ze skrzyń się odsunęła i w szparze ukazała się sercowata, blada jak papier, zaslonięta opaską twarz Meglyne,

- Żyjesz? – szepnęła.
- Żyję – odpowiedział odwykłym od mówienia głosem.
- Jej wargi zadrżały.
- Jak? – jęknęła.

Kai nie odpowiedział. Meglyne odsunęła resztę skrzyń i usadziła go na łóżku, przepraszając za każdym razem, kiedy syczał z bólu.

Kai bardzo nie chciał na nim siedzieć. Ale nie miał innego wyboru. Tylko stąd iść. Patrzył na krzywo pozszywaną, zszarzałą nogę bez obrzydzenia – ot, kawał mięsa, który zaraz zostanie uleczony. Mógł trafić gorzej.

Meglyne, w brązowej sukni zapiętej pod szyję, kucnęła przy palenisku.

- Odchodzę – oznajmił Kai.

Nie odpowiedziała, zajęta rozniecaniem ognia.

- Musisz iść ze mną.

Zadrżała, jakby nazwała ją szpetnym słowem.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

Pociągnęła nosem, ale nie odpowiedziała.

- Powiniensem być martwy – mruknął pod nosem.

- Co?

- Powiniensem być martwy. Spojrzałaś na mnie.

- Nie spojrzałam.

- Widziałaś moje odbicie. Wepchnęłaś mnie pod łóżko, bo myślałaś, że zaraz umrę, a jak wytłumaczyłabyś temu skurwielowi, że...

- JAK ŚMIESZ?!

Rzuciła w jego czoło krzesiwem. Trafiła bezbłędnie, w sam środek. Nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Prawie nie czuł rosnącego guza.

- Meglyne... Zabiorę cię tam, gdzie cię nie dotknie...

- Nie chcę o tym słyszeć! Przepraszam, że... Ja zawsze się tak upokarzam, tak dramatyzuję...

- Zawsze? Ile to trwa? Od kiedy on ci to robi?!

- Zamknij się! Może nie potrafię być dobrą córką jak te tam... Te na zewnątrz, w twojej Świętej Unii...

- Dobrą córką? Żaden normalny ojciec nie zmusiłby swojej córki do czegoś takiego!

Gorączkowe łzy wypływały spod opaski Meglyne.

- Tata mówił mi...

- No, co ci mówił?

- Że każda córka i każdy tata...

- To wariat! To... Meglyne, on... Nie możesz tu zostać! Żaden ojciec nie robi tego swojemu dziecku! To potwór, który cię zamknął, odizolował od świata, tylko po to, żeby cię krzywdzić i folgować swojemu szaleństwu! Musimy stąd uciekać!

- Nie, nie... Gdybyś tu nie przyszedł...

- To żyłabyś w kłamstwie!

Wstał, zaciskając zęby, opierając się o wystającą ze ściany cegłę. Dawno już widział świat z perspektywy wyprostowanego człowieka. Meglyne wciąż kuliła się przy palenisku.

- Tam, na zewnątrz, czeka na ciebie lepsze życie! Prawdziwe życie! Nikt cię nie będzie okłamywał! Nikt... Pomyśl, przez dwadzieścia lat... On wmówił ci, że zabijasz wzrokiem, żebyś nigdy go nie zobaczyła! Tylko dlatego!

- Zabijam wzrokiem! Adrien...

- A może to on go zabił? W końcu nie widziałaś, jak umiera, a twój ojciec mógł tylko czekać, aż...

- Przestań! PRZESTAŃ!

- Widziałaś mnie, Meglyne! Widziałaś mnie w oku wilka! Jak wyglądam, co?! Mam długie srebrne włosy??

Nie odpowiedziała.

- Mam?!

- Nie wiem!

- Wiesz! Czy mam długie, srebrne włosy??

Zaszlochała z rozpaczą.

- Nie – potrąsnęła gwałtownie głową. – Są rude.

Kai westchnął głęboko, jednocześnie z ulgą i z żalem.

- Jestem rudy i piegowaty, i wiesz o tym! Widziałaś mnie i żyję! Mam się znakomicie!

- To było tylko odbicie, może...

- Na Adriena podobno zadziałało odbicie!

- Lustrzane, a nie... Może...

- Meglyne! Zgłaszasz się na ochotnika, popatrz prosto na mnie! No dalej, nie boję się!

Jak umrę, to nawet lepiej, bo będę mógł zapomnieć o istnieniu tego obrzydliwca, który wmówił ci, że jest twoim ojcem.

- Przestań! Przestań!

- Spójrz na mnie, Meglyne! To ostatnia rzecz, do jakiej ktokolwiek kiedykolwiek cię zmusi, przysięgam. Albo umrę, albo przejrzyesz na oczy i zabiorę cię tam, gdzie nikt nigdy już cię nie skrzywdzi. No, dalej. Popatrz na mnie.

Wstała. Zszarpnęła opaskę z oczu. Ale długo się nie odwracała, zapatrzona w tkaninę, którą przykrywała lustro.

W końcu się jednak odwróciła.

Zdrowa noga ugięła się pod Kаем i życie przeleciało mu przed oczami – a potem wszystko wróciło do normy. Poza tym, że widział oczy Meglyne.

Były wielkie, lśniące od łącz zaschlanych na policzkach. Były niezaprzeczalnie, intensywnie brązowe – bez centek, bez innych odcieni, nie wpadające w czerń, ani zieleń, po prostu najbardziej brązowe oczy, jakie można sobie wyobrazić. I zupełnie normalne, bez śmiercionośnej skazy, szeroko otwarte pomiędzy dwoma łukami sklejonych wilgocią rzęs.

Dla Meglyne każdy szczegół twarzy Kaia był niezwykły. Widziała twarz człowieka, który nie był nią. Płomienność jego niemytych przez długi czas włosów na tle jutrenki budzącej się za oknem. Twarz o dziecięcym, okrągłym kształcie, poznaczoną jednak wypaloną słońcem skórą, piegami i białymi bliznami, a do tego zlaną niezdrowym potem. Zadarty nos. Parę zielonkawoszarych oczu wpatrujących się w nią, jakby rzucały jej wyzwanie. Rudawe brwi nad nimi uniesione wysoko. Rozchełstaną, zaplamioną krwią, kurzem i niewiadomego pochodzenia brudem czarną koszulę. Bosą nogę, która wystawała spod rozdartych spodni. I tę drugą, która wyglądała doprawdy jeszcze paskudniej niż śmierdziała. Rękę zaciśniętą na kawałku ściany w wysiłku, jaki kosztowało jej właściciela utrzymanie równowagi.

Świadczyły też o nim usta, które zaciął w wyrazie skupienia, determinacji, uporu. Może wyglądał nawet na trochę rozsierdzonego. Meglyne patrzyła na niego w oniemieniu. Na tę pierwszą w życiu obcą twarz, którą zobaczyła – i jakże się cieszyła, że to była akurat ta twarz. Tak ciekawa, tyle wyrażająca, tyle opowieści kryjąca. Twarz kogoś, kto wywarzył wiecznie zamknięte drzwi oddzielającego ją od prawdziwego świata.

Twarz, która zaraz mogła zblednąć i zwiędnąć, rażona śmiertelnym gromem.

- Czuje się świetnie – sapnął Kai, jakby czytał w jej myślach.

Adrien nie miał czasu nic takiego wypowiedzieć. A więc... A więc...

Co to tak naprawdę znaczy? Co to wszystko znaczy? Po co siedzi w tej wieży? Dlaczego jeszcze nie ma jej na zewnątrz? Tak ciężko było nagle pamiętać, a kiedy przypominała sobie dotyk tatowej dłoni, jego słowa, jego... To było coś więcej niż kłamstwa. Coś więcej niż podstęp. Meglyne nie potrafiła znaleźć odpowiedniego słowa w żadnym z dwóch języków, którymi władała.

Musze wyjdzie na zewnątrz i tam je znajdzie.

- Jak stąd wyjdziemy?

Spytał Kai.

- Tak jak się wchodzi.

Odpowiedziała machinalnie, bez namysłu, jakby od zawsze to planowała. Podeszła do okna i przeszła na drugą stronę.

Kai wydał z siebie urwany krzyk. Ale kiedy spojrzał z przestrachem w dół, Meglyne stała spokojnie na śniegu. Wiatr targał jej brunatną suknię i czarnymi włosami, a ona stała z głową wzniesioną do góry, jakby podziwiając drzewa z nowej perspektywy.

Kai pomyślał, że zrozumiał. Schylił się, by porwać z podłogi łuk, kołczan, dwie pary butów i futro sprezentowane Meglyne przez tego straszliwego człowieka. Miecz musiał zgubić już dawno, jeszcze wtedy, kiedy spał na grzbiecie oślepionego konia. Zanim przerzucił chorą nogę przez okno, miał wrażenie, że kątem oka dostrzegł poskręcane symbole znikające z tajemniczych drzwi - glisty chowające się przed dziennym światłem.

Wylądował na ubitym śniegu twardo i pewnie – uczucie w jego żołdku przypominało to, kiedy schodząc w zamyśleniu po schodach, zdarzało mu się zapomnieć o ostatnim stopniu. Tym razem jednak, zamiast zachwiać się i od razu wrócić do równowagi, zawył z bólu i polecał na twarz. Meglyne od razu kucnęła przy nim.

- Przepraszam, Kai... - spróbowała przekrzyczeć wichurę wzbierającą wokół nich. – Musimy znaleźć lekarza...

Olbrzymi wilk zaskowyczał żałośnie. Oboje odwróciły gwałtownie głowy.

Zamiast wyższej od najwyższych dębów wieży, zobaczyli stare, pokryte bluszczem ruiny – te same, do których Kai wpełzł ostatkiem sił, z pułapką na koniokradów zaciśniętą wokół jego nogi. Olbrzymia, półprzezroczysta łapa Jouarmaesa o czarnych jak otchłań oczach stanęła na nich z głuchym dźwiękiem destrukcji, jakby miażdżyła niewidzialną wieżę – i wilk odszedł spokojnie, rozpływając się wśród płatków śniegu rwanych przez wiatr, wydając z siebie ostatni smętny jęk.

\*

Szli długo we względnym milczeniu. Futro okryło ich oboje, lecz Meglyne musiała stale podtrzymywać Kaia. Trzęsli się z zimna, przemoczeni do suchej nitki. Ona wybuchała raz na jakiś czas płaczem, zadając pytania pozbawione odpowiedzi. On chlipał i modlił się o ustanie bólu. Było to jedyne, co czuł, poza potwornym zmęczeniem.

Pod wieczór pogoda się uspokoiła. Byli jednak zupełnie wyczerpani, powłócząc nogami wśród drzew, z których każde było dla nich jednakowe. Kai nie powiedział Meglyne, że nie jest tak naprawdę pewien, dokąd iść – jej morale było wystarczająco niskie, a jego działało, póki miał przynajmniej wrażenie, że jest w ruchu i działa.

- To jest Nauenemeńska Puszcza – wyszczękał przez zęby. – Niedaleko jest miasto Nauenemes. Rysowałem ci je na mapie.

Meglyne spojrzała na niego wielkimi, smutnymi oczami, ale zanim udała zainteresowanie, spomiędzy drzew naprzeciwko nich wypadł koń.

Nie był to jednak zwykły koń. Rudawy, narowisty i garbaty, stanął przed nimi, rząc głośno.

- To koń Silarusa – powiedział Kai, a jego zdumienie dorównywało euforii.

- HEJ! – rozległ się krzyk z głębi lasu. – Moja SZKAPA kogoś znalazła!

Kai zaśmiał się w głos i pomachał ręką do kluczącej przez pnie i gałęzie sylwetki Silarusa.

- Kai! – wrzasnął pułkownik, podbiegając ku niemu, podczas gdy garbus obwąchiwał włosy uczepionej jego ramienia Meglyne. – Aż nie chce mi się wierzyć, że żyjesz!

- Ledwo – przyznał Kai. – Moja noga...

- KAI! – ryknął Trian, wyskakując naprzeciw nich na swym gniadym rumaku. Za nim dwóch zamkowych strażników jechało wojskową karetką – Ty żyjesz! I to cię znalazło!

- Kompas to najmądrzejszy koń w całej Świętej Unii! – oznajmił z dumą zza czarnego szala, którym był opatulony, Silarus, chwytając Kaia z przeciwej niż Meglyne strony. – Pamiętałem o twojej nodze. Wy dwaj! Brać harona na nosze! A twoja towarzyszka?...

Trian najpierw wykręcił się ciekawsko, by zerknąć na Meglyne, a potem skłonił po dworsku głowę. Ta opatuliła się szczelniej futrem, zasłaniając oczy.

- Jedzie z nami na zamek – oświadczył Kai.

- Najpierw jedziemy do Ajgaj – odrzekł Silarus, patrząc na dziewczynę podejrzliwie. – Myron rozbił obóz wojskowy na czas poszukiwań. Medycy i Chevita zajmą się tam wami.

- Obóz wojskowy w Ajgaj? Co na to wieśniacy?

- Ha! – wybuchnął śmiechem Trian. – Sam zobaczysz!

Sam Trian zeskoczył z konia, by asystować przy przenoszeniu Kaia na nosze, a potem do wnętrza karetki. Wszyscy żartowali, pełni ulgi, że odnaleźli przyjaciela, a Meglyne stała sama ze swym futrem, nie wiedząc, gdzie podziać oczy. Rudy koń prychnął i trącił ją chrapami, na co odskoczyła, przerażona, gotowa do ucieczki od tych potężnych zwierząt i nowych, zbyt różniących się od siebie twarzy.

Rzuciła jednak okiem na wojskową karetkę, w której zniknął Kai. Wysoki mężczyzna z pojedynczymi pasmami kruczoczarnych włosów splecionymi w wąskie kłosy przylegające do boków głowy jakby sobie o niej przypomniał i wyciągnął ku niej otwartą dłoń w czarnej rękawicy. Meglyne stała, wpatrując się w nią, instynktownie zasłaniając oczy futrzanym kapturem.

- Meglyne! – rozległ się głos Kaia. – Meglyne, chodź tu natychmiast!

Zignorowała wyciągniętą rękę i wbiegła do karetki, rzucając się Kaiowi na szyję i roniąc gorące łzy.

\*

Z drzew wokół Ajgaj zwisały powieszone za nogi trupy. Tęgie wieśniaczki miały twarze zasłonięte zamarzniętymi spódnicami. Niektórzy z wyższych wieśniaków muskali śnieg końcami sinych palców. Ciałami dzieci wiatr bawił się tak, jak mu się żywnie podobało.

W środku tego trupiego ostrokołu Myron urządził obóz wojskowy jak się patrzy – zniszczone chaty zdążono już rozebrać, aby służyły na opał, a każdą z zachowanych wykorzystano w bardzo praktyczny sposób, czyniąc z nich kuźnie, sypialnie i latryny. Również zdobycznych okaleczonych koni nie zamierzano marnować – oszalałe od zapachu posoki, stawały dęba pod ręką każdego, kto próbował je ułożyć.

Kai dostał własny ciepły pled, więc Meglyne owinęła się w swoje futro aż po nos i nie zdejmowała kaptura. Tylko jej brązowe oczy wystawały spod okrycia, obserwując wszystko dokładnie i chłonąc każdy widok – skupienie, z jakim studiowała nabrzmiałe ciała wisielców, z pewnością wydało się przyglądającym się jej żołnierzom co najmniej niezdrowe.

Nie odstępowała jednak Kaia na krok, kiedy wniesiono go do namiotu szpitalnego. Pułkownik Silarus, ten wysoki, również został przy nim, tłumacząc coś o jakimś menniku i masakrze, która według kogoś była pełnoprawną bitwą, co Silarus uważało za szaleństwo. Trian, ten długowłosy, wyleciał z namiotu, by zwołać – Meglyne nie miała pewności, czy się nie przesłyszała – króla.

Zamiast niego, do środka weszła kobieta. Miała na sobie przepiękne białe futro okrywające rozłożystą suknię, a jej jasne włosy okalały bladą, pełną cierpienia twarz.

Na jej widok Kai podparł się na łokciach i syknął z bólu.

- Cerro? – wykrztusił.

- Kai – odparła dość formalnie. – Miło widzieć cię w jednym kawałku.

- Pochlebstwa – wyszczerzył zęby. – Obawiam się, że przez jakiś czas nie będziemy mogli spacerować po leśnych zagajnikach

- Tego się obawiałam – usiadła, pełna gracji, na pledzie obok niego. – Ale nie frasuj się. Słyszałam, że Silarus towarzyszy damom, gdzie tylko sobie zażyczą.

- Gdzie tylko sobie zażyczą? Jeśli to prawda, już nic nie będzie cię powstrzymywać przed poderżnięciem mi gardła.

Cała trójka się zaśmiała. Meglyne nic nie pojowała.

Kiedy do namiotu weszła czwórka ludzi, wszyscy - poza Kairem - zerwali się na równe nogi, więc Meglyne zrobiła to samo. Jeden z nich był Trianem, drugi musiał być medykiem, bo przyniósł teczkę z narzędziami, a kobieta była na pewno czarodziejką – pysznie ubrana, nie kryła się ze swymi stygmatami, w których płynęła czerwona, intensywna, hipnotyzująca magia.

Czwarty człowiek, który żartował z Kairem jak równy z równym, musiał być królem.

Medyk podciągnął nogawkę spodni Kaia i spojrzał na nią w czasie, kiedy król go zagadywał. Wyraz jego twarzy na pewno nie uspokoił Meglyne – widziała ruch umalowanych ust czarodziejki, kiedy ta zmarszczyła nos i powiedziała „Jest zgniła.”

Tylko Silarus to usłyszał i zamrugał prędko. „Nie ma wyjścia”, powiedział lekarz. „I tak ledwo się trzyma.”, a czarodziejka przytaknęła. Meglyne bardzo pragnęła powiedzieć, że musi być jakieś wyjście, że tak bardzo się starała, ale nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Może stała się nie tylko niema, ale i niewidzialna? Wszyscy ją ignorowali, zajęci Kairem i jego brakiem ucha, z którego już stroili sobie żarty.

- Nie tylko małżowniny będzie ci zaraz brakować – powiedziała czarodziejka. – Z tej nogi nic już nie będzie.

Zapadła cisza, a uśmiechy znikły.

- Co takiego? – warknął Kai. – Wywab gangrenę i przyszyj ją porządnie...

- Jest za późno. Od połowy uda do stopy – to nie twoje ciało. To kawał zepsutego mięsa, które może zepsuć resztę ciebie.

- Nie wygłupiaj się, Chevita – rozkazał król. – Pomóż biedakowi. Cena nie gra roli.

- Nie gra – przytaknęła magini. – Dlatego nic nie zmieni. Poślę po siekierę.

- Co?! – Kai szarpnął się wściekle, a medyk i Silarus przytrzymali go w miejscu. – Nie pozwalam! Nie pozwalam!

- Haronie – powiedział medyk. – Jeśli nie usuniemy nogi, to...

- To mnie zabijcie, co za różnica?! Bez nogi nie będę mógł walczyć, ani chodzić, ani... Nic nie będę mógł! To będzie koniec!

- Bzdury, Szary Haronie, wiele kalek żyje pełnią życia...

- Nie chcę! Nie chcę, nie zgadzam się!

Magicznej kobiecie przyniesiono lśniącą siekierę. Jasnowłosa dziewczyna odeszła pod przeciwną stronę chaty, przyciskając dłoń do ust pod zalonymi łzami policzkami.

Medyk wziął siekierę i ukląkł, a Kai znowu się szarpnął – Silarus i król usiedli na jego rękach, a czarownica od niechcenia przytrzymała jego nogę w kostce. Ta nawet nie drgnęła, kiedy kat przebrany za lekarza uniósł swój krwiożerczy instrument.

- Skoro nie ma wyjścia...

- Jebać to, jebać was, jebać! Nie! NIE! NIE POZWALAM WAM, NIE!

Meglyne myślała że wytrzyma i otwierała oczy szeroko, nieważne, że widziała wszystko jak zza mgły. Myślała, że teraz, kiedy widzi, musi widzieć wszystko, także to, musi mrugać jak najmniej, nie zamykać oczu za żadne skarby – ale nie wytrzymała i wraz ze świstem siekiery jej dlonie pofrunęły do oczu, z których spłynęły dwa potoki łez. Trzy szlochy splatały się ze sobą w żałosną kanonadę – jej, jasnowłosej dziewczyny i Kaia, którego król gładził po zroszonym potem czole, a którego pospiesznie opatrywali medyk i czarodziejka.

Dopiero ona zwróciła uwagę na obecność Meglyne – zatopiła drapieżny wzrok w jej wyschniętych na wiór stygmatach.

## ROZDZIAŁ X

Kropla wody rozprysła na nosie Skyllego, gwałtownie go przebudzając. Topniejące sople lodu sterczały z krawędzi dachu jak ociekające jadem kły gotowe zanurzyć się w jego wątłym ciele.

Skylle podparł się na łokciach i spojrzał w dół, na miasto odżywiające wraz z pierwszymi powiewami wiosny. Była to dopiero pierwsza taka odwilż i do rozwitających pierwiosnków i Wypędzania Zimy było jeszcze daleko, a ludzie już chodzili żwawiej i witali się ze sobą weselej. Nawet kilka skowronków przysiadło na dachu piekarni po drugiej stronie ulicy i kręciło łebkami, przypatrując się rozgardiaszowi i chlupie.

Okno, przy którym leżał Skyrre, otworzyło się gwałtownie, łamiąc sople, które pospadały na jego głowę.

- Aua! – zawył wściekle. – Jesteś jakiś ułomny?!

- Przyszedłem zadać ci dokładnie takie samo pytanie – Itsuk dźgnął go palcem w piers.

– Co ty sobie wyobrażasz? Masz jakieś obowiązki w tym domu, wiesz? A jak już musisz się od nich wymigać, to nie w taki sposób!

- Nazwała mnie darmozjadem!

- A nim nie jesteś?!

- Przynoszę do domu pieniądze!

- Kradzione!

- To dlaczego nie nazwała mnie złodziejem?!

- Pod naszym dachem nie ma miejsca dla złodziei!

- Dlatego śpię na zewnątrz... Kurwa, aua!

Itsuk porwał go za fraki i wciągnął do środka, by postawić brutalnie na podłodze i zacząć otrzepywać z okruchów lodu.

- Nie możesz kraść, rozumiesz? Kara może spotkać nie tylko ciebie, ale i nas. Albo się postarasz i tu zostaniesz albo się oddasz i wylatujesz, rozumiesz?

Skylle spojrzał z odrazą na stojącą w kącie kołyskę, której Itsuk nie skleciłby, gdyby nie deski, które Skyrre ukradł z budowy szkołki w dzielnicy Żuków.

Itsuk jakby to zauważył i jego oblicze złagodniało. Przykłęknął, by zrównać się z chłopakiem twarzą – był to gest, którego Skyrre szczerze nienawidził.

- I nie denerwuj Moth, dobra? – zagadnął przyjaźnie, jakby wcale właściwie nie zrugał chłopaka od góry do dołu.

- To niech ona nie denerwuje mnie! – fuknął Skyrre.

- Ty nie nosisz dziecka.

- A co, jak dziecko też się trochę zdenerwuje? Ja całe życie chodzę wkurwiony i mam się świetnie!

- Dobra, nie ma się o co z tobą sprzeczać, więc będę po prostu wydawać ci polecenia. Po południu idziesz z Moth po resztki z Zakwitania, rozumiesz? Macie się pogodzić i przynieść tyle jedzenia, ile zdołacie. Jedzenia, a nie wina, rozumiesz? I pilnuj jej, jasne?

Skylle skrzyżował ręce na piersi z hardą miną i natychmiast dostał w skroń wielką łapą Itsuka.

- Dobra, dobra – burknął, gdy się zatoczył. – Mam po nią przyjść na stragan?

- Tak jest – Itsuk wyprostował się. – I masz być potulny jak jagniątko. Ja wracam do pracy.

Idąc już do drzwi, włożył rękę do kieszeni i wyciągnął pękatą pomarańczę. Wylądowała w rękach Skyllego, który, tak jak reszta domowników, słyszał burczenie swojego brzucha dopiero wtedy, kiedy miał w rękach jedzenie.

Po południu poszedł po Moth, która czekała na niego, rozmawiając z inną z mieszkańców. Jak na ironię, zamiast rosnąć i błyszczeć, odmienny stan sprawił, że Moth wychudła i zmatowała. Wypukłość jej brzucha byłaby być może w ogóle niezauważalna, gdyby nie denerwujący gest, który w sobie wyrobiła, a który polegał na splataniu dłoni na podbrzuszu tak, żeby każdy mógł widzieć jej stan i związane z nim przywileje. Tak też robiła teraz, kiedy Skylle zbliżała się do niej, przewracawszy oczami.

- Idziemy? – warknął, poprawiając pusty worek przewieszony przez ramię.

Znajoma Moth spojrzała na niego z przestrachem, jakby dzikie zwierzę przemówiło ludzkim głosem.

- Idziemy – przytaknęła Moth.

Rozmawiała wciąż ze swoją znajomą i coraz więcej biednych podążyło w tym samym kierunku, co oni, z tobołami, workami albo całymi wozami.

- Skąd w ogóle wzięła się ta nowa szlachcianka? – Skylle nie bardzo był tego ciekaw, ale czemu miał nie podsłuchać rozmowy przechodzących obok niego mieszkańców?

- Nie wiem, ma jakieś niemożliwe do wymówienia imię.

- Podobno to faworyta Najszarszego Harona.

- Co takiego? To on niby taki porządný, a...

- Ćsss! Porządný, nie porządný – chłop.

- A co to niby miało znaczyć?!

Kiedy zaczęli się nawzajem uciszać i przekrzykiwać, Skylle stracił zainteresowanie zupełnie. Wkroczyli właśnie na plac, na którym trzy miesiące wcześniej nadjeście Szarego Człowieka przerwało święto Riggvare. Teraz znów były tam tłumy cisnące się jak najbliżej platformy, z której wydawano resztki po uczcie zorganizowanej z okazji Zakwitania. W tym dniu, pierwszym dniu wiosny, szlachcianki osiągające odpowiedni wiek nakładały po raz pierwszy makijaż i obżerały się, ile wlezie, po wszystkim resztki oddając biedakom. Jak obchodzą ten dzień mieszkańców i chłopki, Skylle nie miał pojęcia. Podejrzewał, że mogą budzić się o godzinę później.

O wiele ciekawsze było dla niego święto Ziębnięcia w pierwszy dzień jesieni, kiedy chłopcy dostawali swoje pierwsze miecze i organizowano wielki turniej rycerski, na który zapraszano również plebs. Mieszczanie i chłopi też dostawali małe nożyki albo niechlujnie wystrugane łuki, a zamiast turnieju organizowali zapasy. Skylle aż podskoczył wesoło na myśl o swoim Ziębnięciu. Wtedy będzie na tyle duży i silny, że położy każdego - i Arfo, i Mate - na łopatki.

Ziębnięcie było o wiele zabawniejsze, ale po Zakwitaniu przynajmniej było co do gęby włożyć.

Resztki po uczcie wydawały służące chronione przez królewskich strażników, którzy w jakiś sposób musieli ogarnąć ten głodny, niezorganizowany motłoch. Skylle, Moth i tłusta sąsiadka już dawno oddzielili się od towarzyszących im sąsiadów i rozpsychali się łokciami, próbując dotrzeć do owoców i warzyw – przybyli za późno i wszystkiemięsiwa były już pewnie ogryzione do najmniejszej kosteczki.

Moth trzymała się kurczowo za brzuch, skulona, biorąc wszystkie przypadkowe ciosy łokci na swoje barki, aż Skylle zacisnął zęby, przebiegł obok niej i wynurzył się przed jej nosem, klnąc i kopiąc wokół. Zdenerwowałby się, gdyby zobaczył, że Moth tego nie popiera, a nie chciał widzieć jej rozdartej między wdzięcznością a dezaprobatą, więc po prostu się nie oglądał.

Dotarli w ten sposób do koszy pełnych owoców, gdzie dostali dwa granaty i dwie kromki owocowego chleba, a przy warzywach załapali się na cukinię i główkę kalafiora, która zastąpiła w ramionach zachwyconej Moth ściskany troskliwie brzuch.

- Wreszcie zjemy coś innego niż spalone bułki – uśmiechnęła się blado do Skyllego, a ten, mimo że wciąż ziryutowany, rozchmurzył się nieco na tę pocieszającą perspektywę.

- Ty to masz szczęście, Moth – westchnęła towarzysząca im gruba sąsiadka. – Mój stary pracuje u krawca. Co mam jeść, włóczkę?

- Z tego kalafiora zrobię tyle zupy, że mogę cię zaprosić na obiad.

- A daj spokój, chudzino, nie ośmieliłabym się.

Skylle znów stracił zainteresowanie rozmową, lecz zaalarmował go fakt, że nie kierowali się ku mieszkaniu, a ku innemu stoisku – obleganemu przez kobiety z ogromnymi brzuchami, z których każda obejmowała swoją wypukłość z większą zaciekleścią niż Moth i ciskała błyskawice z oczu w każdą, która osiągnęła już większe rozmiary. Większość z nich miała w dodatku nieco czystsze włosy i nieco droższe niż Moth suknie, a towarzystwo bogatszych osób zawsze sprawiało, że Skylle robił się nieco nerwowy.

- Zapraszam, zapraszam! – skoczny, pokrzywiony człowiek z biało-czarnymi włosami na policzkach i nad ustami zawała do jednej z kobiet, a ta zbliżyła się do siedzącego na stertach wzorzystych poduszek bardzo dziwnego jegomościa.

Miał krzaczastą brodę i rzadko spotykaną w Naucenemes czerwonawą opaleniznę. Cały był ubrany na żółto, i żółte były pióra wplecone w jego brodę i sterujące z jego związań w kuc włosów. Skylle aż stanął na palcach, nie chcąc uronić ani chwili z tego, co zajdzie między nim a ciężarną kobietą.

Ta usiadła, bardzo powoli i ostrożnie, w tej samej pozycji, co mężczyzna, czyli na piętach. Brodacz uśmiechnął się do niej tak szeroko, że tylko szparki zostały z jego obramowanych zmarszczkami oczu – i wsunął do jej ust drewnianą łyżkę, którą uprzednio zanurzył w stojącym obok kociołku. Kobieta zamknęła usta na samej szyjce łyżki, pilnując, żeby nie uronić ani jednej kropli.

- Prędko, prędko, panie, już niewiele zostało! – krzyczał pokrzywiony człowiek, wznosząc małe fiołki pełne mlecznoróżowego płynu. – Chyba że któraś zechce zabrać troszeczkę do domu, butelka tylko pięćdziesiąt cersenów!

- Pięć... Ile?! – wykrztusił z siebie Skylle, czując jak włosy stają mu dęba. – Moth, co my tu robimy?

Moth już stała w kolejce do żółtego brodacza z twarzą jaśniejącą szczęściem i kalafiorem przyciśniętym do piersi.

- Spokojnie, dla już oczekujących dziecka jedna łyżka jest za darmo – odparła, równie zafascynowana widokiem, co Skylle.

- Ale co to w ogóle jest? Płynne szafiry?

- Płynne szafiry, co za tłumok – prychnęła gruba sąsiadka, odpychając łokciami każdego, kto mógłby wejść Moth w drogę. – To mleko biznatów, bardzo rzadkich stworzeń. Wiesz, jak trudno je znaleźć? U nas żyją tylko na południu, w jaskiniach, do których dotrzeć mogą tylko felsidzi, którzy często giną, próbując je upolować. Wiesz, jak ciężko takie monstrum zabić? A jak ciężko wydoić?

- Co to jest biznat?

- Trochę byk, a trochę ryba – odpowiedziała Moth, przesuwając się o krok do przodu.

- I po co pić mleko takiego czegoś?

- Skończony dureń – Sąsiadka w szale odpędzania dziabnęła w skroń również Skyllego. – Wiesz, jakie to mleko jest zdrowe? Jedna łyżka to rok witalności i żadne choroby się ciebie nie mają! Dlatego dają to kobietom w odmiennym stanie, żeby wytrzymały trudy, a dziecko było zdrowe i silne. A sprzedają to na potem, jakby zachorowało. Ech, gdyby mnie było stać, to moja Darla by jeszcze po świecie hasała...

- I podobno jest pyszne – dodała Moth, z maślanym uśmiechem.

- Och, kobieto! – Grubaska oparła się na jej ramieniu, wachlując ręką spocone od batalii czoło. – Miałam pięć łyżek tego specjału w swoim życiu. Nie smakowałaś w życiu niczego lepszego.

Skylle szczerze wątpił, ale oczy Moth robiły się coraz bardziej iskrzące, aż nadeszła jej kolej. Cisnęła kalafior w ramiona Skyllego i usiadła przed żółtym brodaczem.

Gruba sąsiadka wycofała się natychmiast z zaciskającego się tłumu, przez który Skylle musiał się niemal czołgać. Pilnując kalafiora jak własnego dziecka, wynurzył się przy stole pełnym fiolek z różowawym mlekiem i włazł na upatrzone wcześniej drzewo, z którego miał nadzieję wypatrzeć pobłogosławioną Moth.

Ale Moth siedziała wciąż przed brodaczem z czarnymi pięściami zaciśniętymi na podołku. Brodacz trzymał łyżkę w garnku – odwrócił się do skocznego sprzedawcy i Skylle zobaczył zmarszczone brwi nad jego wesołymi oczami. Sprzedawca doskoczył do brodacza, który wyszeptał mu coś do ucha – obydwa obejrzeli Moth od góry do dołu.

- Panienka wybacz – powiedział szorstko sprzedawca. – Panienka musi stąd iść.

Lodowata bryła spłynęła w dół brzucha Skyllego. Wolał nie myśleć, co wydarzyło się wewnątrz Moth.

- Co takiego? – powiedziała, wytrzeszczając oczy.

- To jest dla pań w odmiennym stanie.

- Ja jestem w odmiennym stanie!

Złapała się za prawie płaski brzuch, a Skylle spuścił głowę, przeczuwając, co się zaraz wydarzy. Nie chciał na to patrzeć. Mieniające się fiolki były łaskawszym widokiem.

- W którym miesiącu? – usłyszał silący się na dyskrecję głos sprzedawcy.

- A co to pana obchodzi?! Noszę dziecko, dogląda mnie lekarz, czuję je w sobie!

- Mistrz Aravash zna się na macierzyństwie jak mało kto. Jeśli on mówi, że dziecko panienki jest martwe, to znaczy, że tak jest.

- Co...

Pomimo rozmowy, wszyscy słyszeli słowa sprzedawcy i widzieli mistrza Aravasha kiwającego głową. Zapadła cisza.

- Skąd mistrz Aravash może to wiedzieć? – syknęła Moth. – Czy on w ogóle wie, jak wygląda oczekująca kobieta w tych stronach?

- Ależ, panienko, roją się wokół panienki ciężarne kobiety z tych stron.

- Nie jestem panienką, jestem panią! Jestem żoną piekarza z najlepszej na świecie piekarni mistrza Taurona!

- O, to słynne miejsce, mistrz Aravash przepada za tamtejszym chlebem – mistrz Aravash pokwał gorliwie głową. – Skoro tak dobrze się pani powodzi, może skusi się pani na butelkę, tylko pięć...

- Noszę dziecko i potrzebuję łyżki tego mleka! Właśnie dlatego, że jest takie słabe, że myślicie, że go nie ma!

- Pani, wiesz, ile innych używa takiej wymówki, żeby dobrać się do naszego mleka? Mężczyźni w strojach kobiet, baby z poduszkami pod sukniemi, takie kościotrupy jak ty. Mistrz Aravash widzi to wszystko na wylot i piętnuje. Nie dajemy mleka kłamcom.

Skylle poderwał głowę, płonąc z gniewu. Po tłumie przeszedł chichot i szmer.

- Ja...? – Moth wstała chwiejnie, a jej otwarte w niedowierzaniu oczy lśniły łzami. – Kłamcą...?

Cofnęła się parę kroków, świadoma wrogości tłumu. Wpatrywała się wciąż w dwójkę straganiarzy – ale spuściła w końcu wzrok i weszła między kobiety.

Wyzwisk, szyderstw, śmiechów i kuksańców nie było końca i nie było też żadnego ich źródła, jakby wszystko działało się samo, jakby nikt nie musiał wyciągnąć ręki i otworzyć ust. Gruba sąsiadka, może uwierzywszy mądrości mistrza, może bojąc się o własną reputację, odeszła prędko – i z tłumu wyciągnęły Moth pokracznie długie ręce Skyllego.

Miała ślinę i okruchy spleśniałego chleba we włosach, mnóstwo różnokolorowych plam na sukience, nad której piersią biegło rozdarcie sięgające aż przeciwległego biodra. Moth się jednak nim nie przejmowała – zgięta w pół, zalana łzami, ściskała kurczowo swój brzuch. Skylle pociągnął ją lekko w stronę lasu i wzgórz, żeby oszczędzić jej upokorzenia wracania przez miasto – długo jeszcze słyszeli za sobą szmery ciskające wyzwiska, choć, kiedy Skylle się obejrzał, nie widział nikogo patrzącego wprost na nich.

Moth padła pod nagą jeszcze lipą na jednej z fałd terenu. Padła i zawyła jak zranione zwierzę, kuląc się i młócząc wściekle nogami. Walnęła nawet pięścią w ledwo odrosłą trawę,

kiedy Skylle usiadł, opierając się o cienki pień Nie pocieszał jej, ani nie uspokajał – czekał, aż sama to zrobi, obserwując widok przed sobą.

Obok było miasto, ale przed nim parę nagich wzgórz i ciemny mur puszczy gęstej jak sierść obrastająca jakieś pradawne monstrum. Widać było też Falgony i plac pełen straganów, ale tam Skylle w ogóle nie patrzył.

Śledził wzrokiem dwie małe postacie, które najpierw stały na wzgórzu, patrząc w dół, na platformę i motłoch – a potem szły powoli w stronę lasu. Były to, sądząc po strojach, dwie kobiety, i Skylle nie mógł wymyślić, jaki mogłyby mieć powód, żeby iść samotnie do puszczy – nie mniej, kiedy Moth usiadła obok niego, oparta o pień i pociągająca nosem, kobiety już dawno zniknęły w ciemności za ścianą drzew.

Moth złapała nagle miejsce pod piersią – na tyle gwałtownie, że Skylle się zaniepokoił. Ale Moth się uśmiechnęła.

- Gideon nie jest martwy – szepnęła. – Właśnie mnie kopnął.

- Znakomicie – prychnął Skylle. Nie wiedział, że Moth już wymyśliła imię. – Chłopak.

- Chłopak.

- Nie przesadziłaś z imieniem? Jak je słyszę, przychodzi mi na myśl wielki lyrr.

- Nie tylko bogacze mają przywilej nadawania dzieciom ładnych imion. I gideon to gatunek najdroższej perły, a mój ojciec był ich poławiaczem. Wszystko się w tym imieniu zazębia.

- Itsukowi też się spodobało?

- Mieliśmy konflikt o jego zdanie na temat Igshivayasa, ale ostatecznie wygrałam.

Skylle spojrzał na nią, chcąc wiedzieć, czy żartuje. Moth natychmiast wybuchła beztroskim śmiechem.

- Będzie ci ciężko – przypomniał jej.

- Wiem – odparła, próbując prowizorycznie zasklepić rozdarcie w sukni. – Ale jakiś stary mleczarz, który nawet nie widział mnie nago, nie będzie mi mówił, czy mam dziecko czy nie. Z tygodnia na tydzień czuję jak rośnie i czuję jak kopie coraz mocniej. Doktor mówi, że się nie mylę. Więc wszystko będzie dobrze.

- Ale jak się urodzi, i tak będzie ciężko. Może nawet ciężej.

- Ale lepiej – odparła, głoścząc nikłą wypukłość. – Może być ciężko, byle by było dobrze.

- Takie mleko naprawdę by ci się przydało.

Westchnęła ciężko.

- To prawda, przydałoby mi się. Czemu mnie torturujesz?

- Ja? Torturuję? Nic z tych rzeczy.

Sięgnął do kieszeni.

Wyciągnął z niej fiolkę pełną różowobiałego płynu.

Dlonie Moth w zdumieniu pognały do jej twarzy, a oczy roziskrzyły zachwyt – zanim zmrużyły się w gniewie.

- Jak śmiałeś?! – zagrzmiała. - Więc nie jestem kłamcą, ale za to złodziejem?!

- Ty nie – Skylle obracał kruchą fiolkę w palcach, rozkoszując się swoim wyczynem.

– Ja jestem.

- Ty wiesz, ile to jest warte? Wiesz, co zrobiłeś?

- Zabrałem to, co i tak się tobie należało.

- Mi należała się jedna łyżka, a tu jest... No z dziesięć!

- To weź sobie jedną, a resztę zostaw dla Gideona.

Wystawił do niej otwartą dłoń. Moth miała wzrok zatopiony w zawartości fiolki, ale nie podniosła jej.

- Potraktuj to jako zapłatę za czynsz.

- Cały czas tak traktuję ukradzione przez ciebie pieniądze!

- To jest co innego. Potrzebujesz tego. Należy ci się to.

- Skylle, to jest...

- ...mleko jakiejś wydumanej kroworyby. Albo w ogóle buble, jeśli cię to pocieszy.

Daj spokój, Moth. Akurat miałem pięćdziesiąt cersenów i zostawiłem je na stole, kiedy zabrałem tę flaszkę. Uwierz mi na słowo.

Wyszczerczył do niej zepsutezęby i Moth wreszcie wzięła fiolkę. Obejrzała ją dokładnie, kierując pod słońce. Odkorkowała ostrożnie i powąchała. Po czym wciągnęła jeszcze więcej woni, która dotarła i do Skyllego – była słodka, jak kasza manna, ale też jak truskawki, ale też jak coś zupełnie innego, jak lek, którym czasem śmierdziął doktor...

Moth wzięła bardzo nikły, nieśmiały lyczek, i przymknęła powieki.

- Glazia miała rację – szepnęła. – Niebo w gębie.

Spojrzała na analizującego zapach Skyllego i wyciągnęła fiolkę w jego kierunku. Jej ręka drżała.

- Napij się. Należy ci się.

Skylle spojrzał na różowy, gęsty płyn. Pokręcił głową.

- Nie ufam temu paskudztwu. Faszeruj tym siebie i tę swoją perelkę.

Moth bez słowa zakorkowała buteleczkę i wsunęła ją do torby, między zdobyte tego dnia warzywa i owoce. I znów z troską położyła dlonie na brzuchu – jej uśmiech był jednak zupełnie spokojny.

\*

Król był szczupły i wysoki, o wypiętej do przodu piersi, tak jak dumni książęta bywali rysowani w książkach w wieży. Nie miał za to korony na głowie – były tam tylko czarne, sięgające karku włosy, spiczasty podbródek, wąskie usta, rzadkie brwi i duży, haczykowaty nos, a nad nim para oczu o przejrzystej barwie. Kiedy tak przeszywały Meglyne na wskroś, czuła się, jakby przyamarzły do niej dwa sople lodu. Głowę trzymała nisko, starając się nie gapić.

Kamienna posadzka, na której stała, pełna była malowideł – zaśniedziały, popękanych i tylko powierzchniowo wypolerowanych – lecz gdyby Meglyne mogła zobaczyć je w latach ich świetności, mogłaby się pomylić i myśleć, że jest na kwiecistej łące. Potem uniosłaby głowę, zobaczyła ciężkie biurko, wysokie sklepienie i ściany pozbawione okien, ale pokryte draperiami imitującymi widoki na różnorodne krajobrazy – portowe miasto na zachodzie, strzeliste góry na wschodzie, ciepłe morze na północy i czarującą dżunglę na południu. Zobaczyłaby też wyraz twarzy magini Chevity, a jego surowość pewnie wzbudziłaby w Meglyne coś na kształt złości. A może tak zadziałałby jej pstrokaty strój, a może wspomnienie płomieni, które strawiły rafelkę, a które Chevita roznieciła dotknięciem magicznej ręki...

Meglyne zobaczyłaby też wyraz twarzy Kaia, ale wysiłek, by podnieść na niego wzrok, byłby mniejszy – jego twarz była najniżej, ponieważ jako jedyny w gabinecie siedział. Pragnienie ujrzenia jego reakcji na to wszystko zwyciężyło i Meglyne uniosła głowę w nadzieję, że zobaczy w jego oczach otuchę, może smutny, ale szczery uśmiech, może jakiś nieznany jeszcze Meglyne wyraz, który sprawi, że wreszcie opuści ją strach...

Ale Kai opierał głowę na łokciu, pogrążony w myślach, mało zainteresowany słowami Chevity. Nie wyglądał ani na zrozumiale załamanego, ani na zaskakująco wesołego. Tylko brak tego ucha, którym był do Meglyne skierowany, a którego nie dało się zakryć miedzianorudymi włosami, przywodził na myśl brak jego nogi zamaskowany stołem do grania w karty...

- Pokaż ręce, dziewczyno – poleciła Chevita.

Meglyne wyciągnęła ręce przed siebie. Król przysunął się nieco bliżej.

- Więc to jakaś anomalia, tak? – spytał, skrobiąc się w koniec podłużnego podbródka.

- Nie inaczej – westchnęła magini, wyraźnie zmęczona tłumaczeniami. – Ma stygmaty, ale brak w nich mocy. W żadnym podręczniku nie można też znaleźć wzmianki na temat takiego wzoru ani koloru. Grzechem by było nie zbadać takiego okazu.

- Więc dlaczego nie odeślemy jej do Alkaidei?

- No wiesz. To my ją znaleźliśmy, my zrobimy z niej użytek.

- Ale nie będzie to niebezpieczne? Skoro nie wiemy, do czego jest zdolna...

Meglyne wciąż wrzała, kiedy mówiono o niej jak o rzeczy, ale dzień spędziły w wiosce wisielców i w podróży, w towarzystwie Chevity, uświadomił jej, że ludzie na zewnątrz wieży są bardzo osobliwi, a osobliwe kultury trzeba badać i szanować.

- Ja również jestem za tym, żeby Meglyne tu została – przemówił Kai. – Wiele przeszła.

- Ale to nie przytułek – wzruszył ramionami władcę.

- Ani nie królewski pałac – Kai zmałpował jego gest. – Życzę sobie towarzystwa Meglyne, a jeśli magini zgadza się nią opiekować, to nie wiem, o czym jeszcze dyskutujemy.

I o to chodziło, Kai jej wszystko przetłumaczył! Ci ludzie, mimo surowości, chcą dla niej jak najlepiej, a ich rezerwa jest w zupełności zrozumiała...

Król spojrzał prosto na nią.

- A ty czego chcesz, dziewczyno?

Uśmiechnął się ciepło, kiedy to mówił. Meglyne głos uwiązł w gardle.

- Ja... hmm... nie wiem...

- Wiesz doskonale – Chevita przewróciła oczami. – Nie masz nawet gdzie pójść.

- Masz możliwość trafić do Alkaidei, gdzie...

- Nie rozśmieszaj mnie i nie sugeruj jej przechodzenia przez jeszcze większe piekło, Myron. Wiesz, co by z nią zrobił taki Neysus?

- Szczerze mówiąc, to...

- Nawet nie śmieję odpowiadać. Meglyne oficjalnie zostaje pod moją kuratelą. Najszarszy Haron sobie tego życzy, słyszałeś.

- Życzę sobie, żeby się z nią spotykać – sprostował Kai. - Co do kurateli, to już mi obojętne.

Meglyne nie widziała twarzy króla, kiedy ten odwrócił się do Kaia.

- Co powiedzą ludzie, kiedy dowiedzą się, że mieszkasz pod jednym dachem ze swoją żoną i nałożnicą?

- Pewnie to samo, co o tobie.

- Ja jestem królem. Zwisa mi to, co o mnie mówią. Ale czy twoja reputacja niemalże świętego nie zawiśnie na włosku?

- Myron, oczywiste jest, że ta dziewczyna nie będzie niczyją kochanką – Twarz Chevity, mimo skupienia i statyczności odpowiedniej dla marmurowych rzeźb, potrafiła wyrażać setkę ekspresji przez sam ton jej głosu i westchnięcia. – Najszarszy Haron jest pragmatykiem, a nie sadystą. Dziewczyna zostanie tu tylko jako dowód jego altruizmu. Poza tym, jego standardy nie są chyba aż tak niskie, by przywozić sobie do łoża bosą znajdę z lasu. Tak czy siak, ja łaskawie zezwalam na ich schadzki, nieważne, jaki ich cel. Masz coś przeciwko, Wasza Wysokość?

Rozłożył ręce z kwaśnym uśmiechem, patrząc najpierw na Kaia, który nie odwzajemnił gestu, a potem na Meglyne, która to nieśmiało uczyniła.

- Nie narób problemów, dziewczyno – powiedział dobrze. – Spotkał cię wielki zaszczyt, wiesz? W Świętej Unii nobilitacja kogoś, kto jest nikim, zdarza się raz na trzysta lat.

- To nie będzie prawdziwa nobilitacja – sprostowała Chevita. – Ale rzeczywiście, masz szczęście, dziewczyno. Lepiej okazuj swoją wdzięczność, kiedy i komu tylko możesz.

Meglyne przytaknęła i jej los był przypieczętowany.

Czy rzeczywistość jakkolwiek sprostała marzeniom o wydostaniu się na wolność, które snuła przez dwadzieścia lat?

Nie była nawet w stanie sobie ich teraz przypomnieć. Były mgliste, odległe, nieaktualne, tak inne od tego przepięknego zamku, w którym się znalazła, górującego nad tężniącym życiem miastem. Meglyne nie miała pojęcia, że taka ilość ludzi może zmieścić się na ciasnych ulicach, i to bez dorykania siebie nawzajem, i że mogą być tak zupełnie różni! Mali, duzi, średni, grubi, chudzi, umięśnieni, sfaczali, ciemni, jaśni, uśmiechnięci, ponurzy, wściekli, obojętni, modrooczy, węglooczy, złotoowlosi, krętowłosi, łysi, starzy, młodzi, bogaci, biedni, każdy z unikalnym grymasem na twarzy w jednej chwili, z zupełnie innym w drugiej, każdy z własnymi sprawunkami do załatwienia...

- Wypadniesz przez to okno, jeśli będziesz się tak wyginać, dziewczyno. Zamknij je, bo wieje.

Nie mogła rzucić się w wir smakowania wolności – teraz musiała żyć zgodnie z pewnymi zasadami. Z zasadami społeczeństwa. Rozumiała to, zawsze się z tym liczyła. Dlatego robiła z tatą to, co robiła, taka, tak twierdził, była zasa...

Magini Chevita była tą, która podjęła się wprowadzenia Meglyne do nowego świata, i Meglyne była za to wdzięczna. Nie przeszkadzała jej maleńka klitka w skrzydle dla wyższej rangą służby, w której miała mieć teraz sypialnię, ani nawet obcesowość, z jaką magini ją

traktowała. Poznanie ludzi, którzy byli dla niej niemili, było równie wspaniałe jak poznanie tych, którzy byli mili. Zresztą – Chevita to czarodziejka, prawdziwa czarodziejka, ze stygmatami, w których pulsowało życie! Były czerwone, cieniutkie jak żyłki, płaczające się jak pajęczyny, działające. Ginęły pod rozłożystymi rękawami żółtej sukni, na którą opadały kasztanowe, gładko zaczesane włosy okalające suchą, bardzo poprawną i symetryczną twarz magini wyglądającą, jakby była wykuta dłutem niepewnego swych umiejętności rzeźbiarza. Meglyne nie bardzo jeszcze wiedziała, co oznacza być pięknym, ale to uczucie, które budziła w niej twarz magini, ta rezerwa i chęć posłuszeństwa...

- Znowu się na mnie gapisz.
- Przepraszam.

Uczyła się heraldyki, geografii, astronomii, matematyki, literatury, historii, wszystkiego - z grubych ksiąg, które traktowała jak najpiękniejsze powieści. Może poza matematyką. Magini uczyła ją też dobrych obyczajów – jak się witać, jak przysięgać, jak unikać wzroku w elegancki sposób, jak odpowiadać na pozdrowienia, jakimi tytułami zwracać się do jakich osób. Wszystko to, choć bywało irytujące lub dziwne, potrafiło sprawić, że Meglyne nie spała w nocy, zbyt podekscytowana zdobyta tego dnia wiedzą i perspektywą zdobycia kolejnej. A kiedy przyjdzie jej ją przetestować! Ach...

Kolejną rzeczą, za którą były wdzięczna magini, było to, że nie tylko Meglyne musiała dostosować się do zasad społeczeństwa, ale i one zostały lekko nagięte dla niej. I tak Chevita rozprawiała długo o tym, jaki ciekawy obraz musiał Szary Człowiek zmalować, żeby to właśnie Kai wszedł do leśnej wieży, człowiek, który mógł od razu zabrać ją na salony, a Meglyne nie mogła się nie zgodzić – bez Kaia z pewnością wciąż by tam siedziała, wciąż w opasce na oczach, czekając na tatę i...

Ale na zewnątrz też nie było jej dane wyjść od razu. Chevita trzymała ją przy sobie, kiedy tylko mogła. Pół dnia Meglyne spędzała w jej gabinecie, ślecząc nad książkami, a kiedy mogła wrócić do siebie, musiała nauczyć się materiału na następne zajęcia. Dzień lekcyjny zaczynał się śniadaniem, a kończył obiadem, który Meglyne pochłaniała w ilościach budzących zdegustowanie Chevity – miał to być jednak jej ostatni posiłek.

- Jesteś przyzwyczajona do jedzenia kolacji? – Chevita o takie sprawy pytała tonem innym niż wtedy, kiedy sprawdzała znajomość materiału. Jakby tylko udawała znudzenie. – To zwyczaj zza Wielkiej Wody. W Świętej Unii wieczorem je się tylko podczas specjalnych okazji.

Meglyne przełknęła zachomikowane w policzkach tłuczone ziemniaki.

- W wieży obiady były skromniejsze – popiła natychmiast sokiem z marchwii. – Na wieczór głodniałam.

- Interesujące. Jedz przedzej. Najszarszy Haron już pewnie na ciebie czeka.

Meglyne jadła przedzej.

Najprzyjemniejszą częścią dnia były lekcje, podczas których Meglyne stawała się nauczycielką, a jej uczniem zostawał Kai, znany wśród mieszkańców zamku jako Najszarszy Haron, cieszący się ogromnym szacunkiem i współczuciem...

Zawsze był już w bibliotece, kiedy tam przychodziła. Siedział za biurkiem przed portretem ubranego w biel szlachcica, prawdopodobnie księcia Diony, brata pierwszego historycznego króla Świętej Unii, ze stosami książek przed sobą. Meglyne wiedziała już, jak ważne jest stanowisko harona, co oznacza przydomek Szary, i znała poczatki wszystkich obecnie rządzących Świętą Unią rodów – i wyglądało na to, że ostatnie ogniwko łańcucha Koharów znała osobiście. Chevita wprowadziła ją w ciekawe kolejne żywota Kaia, a Meglyne aż skręcało, żeby wypytać go o detale, jednak miała w sobie na tyle taktu, żeby nie wymuszać z niego tego, o czym może nie chciałby opowiadać.

Zawsze chciał wiedzieć, jak jej się podoba w zamku, co sądzi o Cheviecie, czy wszyscy dobrze ją traktują. Meglyne nie była jeszcze dobra w unikaniu wzroku, lecz Kai był w tym mistrzem i naśladowała go często, kiedy streszczała mu treść nauk tego dnia lub zapewniała, że wszyscy są dla niej nad wyraz mili.

Bo w sumie byli, tylko że ich... nie było. Meglyne znała drogę ze swojej komnaty do gabinetu Chevity, łazieni i biblioteki – reszta zakamarków Modrego Oka była dla niej tajemnicą. Czasem mijała jakąś służącą, która natychmiast czymchała przed jej wzrokiem. Czasem damę dworu we wspaniałej sukni i makijażu podobnym do maski, przed którą uroczyście dygała. Posiłki jadła z Chevitą, z Chevitą korzystała z łazieni wtedy, kiedy było już tam pusto, grymasy Chevity zaczytanej w księgach o błyszczących okładkach znała na pamięć. Nie osmiałyby się nazwać Modrego Oka więzieniem. Nigdy, nigdy by się nie osmiała. Wiedziała, czym jest więzienie.

Bywały poranki, że budziła się przerażona, nie wiedząc, gdzie jest, a uprzytomniwszy sobie prawdę, westchnienie ulgi wyrywało się z jej piersi. Bywało, że strach się tylko wzmagał. Strach i poczucie winy, i... Tata będzie tak wściekły, kiedy wróci, tak zmartwiony, tak nieporadny...

Co zrobi? Będzie jej szukał? Gdzie? Co zrobi, kiedy ją znajdzie? Co zrobi ona, kiedy zostanie znaleziona? Już nigdy, nigdy nie pozwoli się zamknąć! Nigdy nie pozwoli się dotknąć! Nie ugnie się nawet, jeśli będzie błagał i płakał! Nawet jeśli będzie miał doskonala-

wymówkę! Tata ją oszukiwał! Okłamywał ją całe życie! Zmuszał ją do rzeczy, do których nikt nigdy nikogo nie powinien! Jak on mógł?! Po co to było?! Co w ten sposób osiągnął?! Dlaczego, dlaczego to jej się przytrafiło, dlaczego jej to zrobił, dlaczego jeszcze po nią nie wraca, co się stanie, kiedy wróci?

Zamek jest pełen strażników. W zamku jest Kai, jej wybawiciel. Siedzi przed nią, sylabizując zupełnie obce mu słowa, które Meglyne wynajduje w zaśniedziałycych księgach. Były przedziwne i przeróżne – atlas grzybów, dziecięcy elementarz, podstawy gramatyki elfiej, powieści detektywistyczne, klechdy Ludzi Nieba, historia Ludzi Nieba, arkana magiczne Ludzi Nieba...

- Te może zostawimy na kiedy indziej, co? – Kai uśmiechnął się niewinnie, odbierając jej książkę z rąk.

- Nie chcesz dowiedzieć się więcej o Ludziach Nieba? – Meglyne zamrugała w zdziwieniu. – Myślałam, że po to uczysz się tego języka.

- Chcę, ale... Jeszcze nie teraz.

- Więc kiedy?

- Kiedy będę umiał więcej.

Książki już nigdy nie pojawiły się z powrotem na biurku. Więc dalej uczyła go gramatyki z atlasów zwierząt i chmur. I była w tym dobra. A może on był wyjątkowo lotny. Był sympatyczny i zabawny, i Meglyne usłyszała już o jego czynach - o tym, że był żeglarzem zaprzyjaźniającym się z potworami, o tym, że wyrzekł się bogactw i ziemi, o tym, że pomaga biednym i chorym, że chce, by wszyscy równi mu rangą żyli w ubóstwie i spędzili resztę swojego życia na pomaganiu innym. Sam, wzbijając się na wyżyny skromności, zbywał każde jej pytanie o te tematy, preferując rozmowy o niej, jej nowych zainteresowaniach, planach, wrażeniach, których miała aż nadmiar, a choć z pewnością nie były tak interesujące jak misja Kaia, była wdzięczna, że ten udaje.

- Nie zastanawia cię czasem – spytała raz Chevita, nie odrywając wzroku od swej magicznej książki, za to odrywając Meglyne od wykresów opisujących zmiany klimatyczne na przełomie pięciu ostatnich stuleci – co się z tobą stanie, kiedy Najszarszy Haron nauczy się od ciebie wszystkiego, czego będzie chciał?

- Zastanawia – skłamała gładko, momentalnie złana zimnym potem.

- Mnie też. Na twoim miejscu zacząłabym już snuć plany.

Przewróciła stronę. Meglyne zaciśnięła wargi, siląc się na odwagę.

- Jego Wysokość mówił, że mogłabym pojechać do Alkaidei.

Czujne oko Chevity spoczęło na Meglyne.

- Mogłabym studiować na Akademii...
- Niby co studiować?
- Cokolwiek z tego, czego się uczę...
- A egzaminy dzięki tej elementarnej wiedzy, którą w ciebie wmuszam, zdałabyś śpiewając?

- No... Z rekomendacjami magini...

Chevita wybuchnęła śmiechem. Śmiała się rzadko, zawsze bez humoru.

- Dlaczego miałabym się tak skompromitować?
- Nie skompromitowałaby się magini. Jego Wysokość mówił...
- Jego Wysokość jest idiotą. Nie miał zresztą na myśli twojego samorozwoju ani edukacji. W Alkaidei jest nie tylko Akademia. Są również ośrodki badawcze.

- Mogłabym w takim pracować...

- Ty byś tam była obiektem badawczym. Dziewczyno, jesteś aż tak tępą? Myślisz, że dlaczego twój ojciec zamknął cię na tyle lat? Dlaczego cię oszukiwał? Dlaczego zmuszał cię do tego, do czego zmuszał? Myślisz, że dlaczego ja cię przygarnęłam? Dlaczego Najszarszy Haron w ogóle zwraca na ciebie uwagę?

Meglyne miała gorącą nadzieję, że Chevita potraktuje te pytania jako retoryczne i od razu udzieli odpowiedzi. Ta jednak milczała.

- Nie wiem, dlaczego – przyznała, czując drganie własnej szczęki.

Była aż tak tępą i wstyd jej było spojrzeć Chevicie w oczy.

- Ponieważ jesteś żywym reliktem – Ton głosu czarodziejki zabrzmiał nową, miękką barwą. – Masz stigmaty, których nie widziano w tych stronach od kilku tysiącleci. Znasz język, którym nikt nie potrafi się posługiwać. Obcowałaś z magiem tak wiekowym, że już dawno powinien nie żyć. Jesteś... wyjątkowa. Ale nie z powodu urody i przymiotów charakteru.

Łza wyciekła z oka Meglyne. Wytarła ją instynktownie, od razu tego żałując.

- Chcesz o coś zapytać? – spytała Chevita.
- Tak. Więc parę tysięcy lat temu istnieli ludzie z takimi stigmatami?
- Ostatnie opisane przypadki, owszem.
- Kim oni byli? Dlaczego ich już nie ma?
- Zdelegalizowano ich istnienie.

Meglyne z trudem przełknęła ślinę.

- Co to znaczy?

- To, co słyszysz. Powołując cię do istnienia, twój ojciec złamał bardzo stare prawo. Tak stare, że wiedza o metodzie jego złamania jest już zapomniana.

- Dlaczego to prawo w ogóle powstało? Co jest takiego złego w moim istnieniu?

- Popatrz na siebie, dziewczyno. Mażesz się jak dzieciak. Jak mam ci powiedzieć całą prawdę, skoro nie potrafisz znieść prologu do niej prowadzącego?

Meglyne zaciśnięła pięści i usta, bardzo starając się powstrzymać łzy. Chevita torturowała ją natarczywym spojrzeniem.

- Dzieciak z ciebie – prychnęła w końcu i sięgnęła do miseczki pełnej kwiastych wiśni.

– A w czasie Zakwitania będziesz z dziewczynami młodszymi od siebie. Nie będzie ci wstydu?

- Proszę powiedzieć mi prawdę.

- Ani mi się śni. Żeby jednak rozwiać twoje urojenia – twoi poprzednicy, podobne abominacje, również nie potrafili czarować. Nie ma najmniejszych szans, żeby kiedykolwiek obudził się w tobie talent magiczny. Nikt w Alkaidei nie weźmie cię na nauki. Nie jesteś czarodziejką i nigdy nią nie będziesz. Przestań kraść moje książki. Koniec zajęć na dziś. Jesteś głodna?

- Nie jestem.

- Więc żegnam.

Meglyne jak najprędzej zamknęła za sobą drzwi gabinetu i natychmiast wybuchła niemym szlochem. Przerodził się on w zduszony pościelą ryk, kiedy rzuciła się na łóżko w swojej komnacie, by w końcu umilknąć, gdy zmorzył ją łaskawy sen.

Tata nigdy nie pukał do drzwi, nie miał po co, on chodził tam, gdzie chciał i kiedy chciał, wspinał się, musiał być odważny, by wspinać się po tak wysokiej, gładkiej wieży, czy na pewno, skoro wieża była tylko ruinami, mieszkała w ruinach, w każdej chwili mogła się rzucić z okna, tak jak tyle razy się przymierzała, i jedyne, co by ją czekało na dole, to...

Lecz teraz pukanie było natarczywe, coraz głośniejsze, bo była w budynku, w którym ludzie zamykali się na klucz, gdzie mogli sobie na to pozwolić, i korzystali z tego, ci zamknięci, strachliwi, nieprzystępni...

W progu stał Kai.

- O – Meglyne zamrugała, by odpędzić resztki snu z oczu. – Co za miła... Nie, wcale nie. Zapomniałem. Zapomniałem o naszej lekcji. Strasznie przepraszałam, zasnęłam i...

Kai uśmiechnął się szeroko, wypuszczając powietrze przez nos.

- Nic się nie stało. Wystraszyłem się tylko, że coś ci się przytrafiło.

- Nie, nie, nic, możemy iść do biblioteki...

- Dajmy sobie z tym dzisiaj spokój, dobrze? Widzę, że jesteś wyczerpana i wcale się temu nie dziwię. Chcesz mnie dzisiaj przyjąć w gościnę?

- Tak, oczywiście... Z przyjemnością!

W komnacie było miejsce tylko na łóżko, na którym Meglyne musiała spać z podkulonymi nogami, i pełną szuflad komodę, jednak i tyle wystarczyło, by panował w nim, jak na gust Meglyne, bałagan. Już otworzyła usta, by za to przeprosić, kiedy spostrzegła dziwny sposób, w jaki Kai stawał kroki – i spłonęła rumieńcem, widząc wygięty kawałek drewna wystający z nogawki jego spodni, zbyt luźnych jak na ubiór charakteryzujący szlachcica. Kai w ogóle wyglądał inaczej niż oni – w przetartej koszuli i długiej pelerynie... Bez ucha i nogi...

Na szczęście nie widział jej zakłopotania, zajęty sadowieniem się na brzegu łóżka. Nawet taka czynność sprawiała mu trudność, a Chevita opowiadała przecież, jak wspaniałym wojownikiem był Kai...

Nie miała pojęcia, czy wypada mu pomóc, więc tylko stała jak słup, zamknawszy drzwi. Kai rozejrzał się po pokoju, wciąż uśmiechnięty, lecz w inny, gorzkawy sposób.

- A więc tu cię ulokowano? – zagadnął. – A myślałem, że to ja mam najgorszą sypialnię w tym zamku. No cóż. Przynajmniej mieszkasz sama.

Skoro zajął łóżko, Meglyne przycupnęła na rogu komody. Miała wrażenie, że jego brwi zbliżyły się do siebie, kiedy to zobaczył.

- Więc tak szczerze, Meglyne – Lubiła sposób, w jaki wymawiał jej imię. Zupełnie niepoprawny. – Jak ci tu jest?

- Bardzo dobrze – odparła gorliwie Meglyne. – Wszędzie byłoby dobrze, ale to, że trafiłam tutaj, to wyjątkowe szczęście.

- Ha. Naprawdę tak sądzisz?

- Oczywiście! Nie codziennie trafia się przecież na królewski dwór.

- To nie jest właściwie królewski dwór, ale siedziba haronów. Chevita na pewno mówiła ci o tym.

- O tak, po prostu... No, użyłam takiego skrótu myślowego. To miejsce jest niezwykłe.

- Taaa, pełne wielu sekretów... A co sądzisz o Chevicie?

- Jestem jej bardzo wdzięczna.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Miał rację.

- Ma wielką wiedzę – dodała Meglyne. – Wiele mnie nauczyła w bardzo niedługim czasie.

- Mhm, właśnie słyszę. Meglyne, jesteśmy przyjaciółmi. Nie znamy się długo, ale przeżyliśmy chyba wystarczająco, żebyś była ze mną szczerą. To znaczy, nie chcę naciskać...

Teraz on się kłopotał, a ona uśmiechała.

- Chevita nie jest tak zła jak może się wydawać – westchnął Kai. – Chce dobrze, tak mi się przynajmniej wydaje. Wiesz, że wynalazła lek na zarazę, która co roku pochłaniała kilka istnień? I to w dzielnicy biedy, o którą nikt się nie troszczy. Faktycznie, ma wielką wiedzę. I wielki tupet. Płakała dzisiaj przez nią?

Instynktownie przetarła suchy już policzek. Kai pokirał głową ze zrozumieniem.

- To jej życiowy cel. Doprowadzić każdego, kogo zna, do ryku. Kiedy byłem mały i odwiedzałem zamek, wybuchałem płaczem na sam jej widok, odkąd Silarus nastraszył mnie, że Chevita włamuje się do domów rudych dzieci i robi z ich włosów nici do czyszczenia zębów. Możliwe, że usłyszała kiedyś, jak skarżę się na to matce, i dlatego tak mnie nie znosi.

- Mówi o tobie z wielkim szacunkiem.

- I ja o niej też. I szczerze suki nie znoszę.

Meglyne parsknęła śmiechem.

- Chce dobrze. Jestem tego prawie pewien. Tylko droga do tego „dobrze” często wygląda...

Zauważał coś na dłoni, którą gestykulował.

- Ha, zobacz. Mój prezent ślubny od Chevity. Gdybym go przyjął, może wciąż miałbym nogę.

Na wewnętrznej stronie dłoni odznaczała się czerwona blizna wypalona w słowo „UCIEKAJ”.

- Nie mogła mi tego po prostu wyjaśnić? Zgaduję, że to nie byłoby w jej stylu.

Dreszcz przeszedł Meglyne po kręgosłupie. Nieważne, po prawdziwe, jakie były intencje Chevity. Ważne, że mogła zrobić wiele, była potężną czarodziejką, w dodatku u władzy, budzącą strach samego Najszarszego Harona, zdolną do wyleczenia zarazy zapewne samym dotykiem... A Meglyne z nią zadarła. Okradła ją. Dumna była z siebie, że jej się udało, lecz teraz... Usiadła na krawędzi łóżka, osłabiona strachem. Kai obserwował ją uważnie.

- Zastanawiam się – powiedziała – co się ze mną stanie, kiedy nauczczę cię wszystkiego, czego zechcesz.

Lewa brew Kaia zniknęła pod końcówkami jego włosów.

- Co się z tobą stanie? Co zechcesz, tak myślę...

- A więc nadzieję taka chwila, że przestanę być dla ciebie przydatna?

Jego milczenie trwało odrobinę za dugo.

- Co to znaczy „przydatna”? Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi, Meglyne.

- Bo jesteśmy. Ale co się ze mną stanie, kiedy spłacę swój dług?

- Nie masz żadnego dłużu, Me...

- Jestem ci winna wszystko, ja... Będę twoją dłużniczką do końca życia i nawet dłużej, ja... Nie mam ci co dać. Nie wiem, co mogłabym dla ciebie zrobić, poza nauką tego języka, ale przecież...

- Nie uwolniłem cię z wieży po to, żeby cię niewolić jakimiś długami. Zrobiłem to dlatego, że to było właściwe...

- Było, prawda... Ale co się stanie, kiedy przestanę być ci potrzebna?

- Jeśli będziesz się tu źle czuć, będziesz mogła odejść. Będę cię namawiał, żebyś została, ale jeśli zdecydujesz...

- Nie chcę stąd odchodzić. Nigdy. Chcę ci pomóc. Ale pewnego dnia nie będę już miała nic do zaoferowania...

- Meglyne, pomagać można na wiele sposobów. Czasem sama obecność wystarczy. Czasem milczenie. Czasem nawet raniące słowo. Czasem wbrew temu, komu chce się pomóc. Zresztą, życie nie jest tylko po to, żeby żyć dla innych. Nie twoje, w każdym razie. Czego ty chcesz?

- Ja? Być szczęśliwa.

- No, to bardzo rozsądne z twojej strony. A co da ci to szczęście?

Co do tego, nie była taka pewna.

- Magini powiedziała, że nigdy nie dostanę się do Akademii.

- Ach, więc chcesz się kształcić? Nie wiem, czy istnieje na tym świecie bardziej chwalebny cel. Wątpię też, żeby Chevita miała na myśli to, że...

- Powiedziała, że jestem abominacją, w Alkaidei będę... obiektem badań. Z drugiej strony, nie chciała mi powiedzieć, czego dowiedziała się na mój temat. Na temat tego.

Wyciągnęła przed siebie rozprostowane palce przepołowione szarymi żyłkami.

- Bo co, bo jestem dzieciakiem? Nawet dziecko ma prawo do poznania prawdy o samym sobie...

Opuściła ręce i wsunęła kolano pod brodę. Kai przyglądał się jej ze współczuciem.

- Skoro tak, zagadnij ją o to po Zakwitaniu – zaproponował. – Już bardziej dorosła się po tym nie staniesz.

Był to pomysł właściwie genialny. Dokładał również kolejny powód do sterty sprawiających, że Meglyne nie mogła doczekać się Zakwitania.

- Tak zrobię – postanowiła. – Dziękuję, Kaiu. Nie wiem, już naprawdę nie wiem, jak i czy kiedykolwiek ci się...

- Bądź szczęśliwa i to będzie mi wystarczyło.

Powiedział to z uśmiechem, który jednak stopniowo zszedł.

- Mam coś dla ciebie – zaczął szukać czegoś w kieszeni. – Na znak przyjaźni.

Wyciągnął naszyjnik zrobiony z maleńkich, kruchych muszelek. Meglyne wzięła go delikatnie w dlonie, przyglądając się każdej prędze, plamce i ułamanej końcówce.

- Nie musisz go nosić, oczywiście, ale pomyślałem, że może ci się...

- I znów nie mam jak ci się odwdzięczyć.

- To absolutnie nie jest konieczne. A jeśli bardzo chcesz, możesz przecież zawsze napisać mi jakiś wiersz albo interesujący esej o magii stosowanej.

Usta Meglyne rozwarły się w promiennym uśmiechu.

- Przepiękne – westchnęła. – I w każdej słyszać szum morza? To tak, jakbym słuchała pięćdziesięciu mórz.

Od razu zawiązała naszyjnik na szyi, nie mogąc się doczekać, aż wybierze się do łazieni i zajrzy w lustro. Spojrzała na Kaia, starając się nasycić swój wzrok bezgraniczną wdzięcznością, na którą on zareagował, pesząc się lekko.

- No – plasnął dłońmi w kolana. – To idę. Ciekawe, do czym uszu dotarły już wieści o tym, że Najszarszy Haron spędza czas w twojej sypialni.

- Będziesz miał kłopoty z tego powodu?

- Och, na pewno – powiedział beztrosko i wstał, przytrzymując się komody. – Jeśli będziesz miała jeszcze jakieś wątpliwości co do życia w cywilizacji, przychodź do mnie z nimi bez wstydu.

- Och, mam mnóstwo wątpliwości! Naprawdę nie mogę chodzić w spodniach i nosić broni? Tata nigdy mi tego nie zabraniał, a Chevita twierdzi, że należy mi się pięćdziesiąt batów, jeśli...

- Słuchaj Chevity, jeśli o to chodzi. I spytaj ją po Zakwitaniu. Może wyjaśni ci więcej.

W nocy spała spokojnie, przepełniona otuchą, śniąc o ceremonii, z dlonią na sznurze muszelek i książką o magii pod poduszką. Odniosła ją następnego dnia z pokorą do gabinetu Chevity.

- Co to jest? – warknęła magini, widząc tomiszcze.

- Książka.

- Ta, którą ukradłaś? Już zamówiłam nową. Tego egzemplarza nawet nie chcę widzieć. Księga wróciła więc do komnaty Meglyne i umilała jej wieczory aż do Zakwitania.

Dla piętnastoletnich dziewczyn ceremonia oznaczała osiągnięcie dojrzałości – zobowiązane były do noszenia makijażu obwieszczającego, że są gotowe do ożenku, choć precedens zakładał, że czeka je jeszcze minimum pięć lat panieństwa. Były wyjątki od tej reguły – Meglyne wiedziała o siostrach Kaia, które wzięły się w rodzinie haronów wcześniej niż powinny – lecz dla Meglyne cała ceremonia nie miała nic wspólnego z ożenkiem lub dorosłością, ale statusem społecznym. Jako „przybłeda” i „znajda”, nie powinna znaleźć miejsca na królewskim dworze. Oprócz plotek, mogło ją spotkać zwyczajne „pohańbienie”, jak to określiła Chevita, utrzymując, że szlachcice w tym kraju mogą zrobić z kobietą, co im się żywnie podoba.

- Matka Najszarszego Harona w przeciągu paru tygodni pochowała męża i została porzucona przez pierworodnego syna. Żeby nie wyrzucili jej z posiadłości, w której spędziła większość swego życia, musiała sprzedać swoje dwie niewielkie córki. Kobieta nie ma tu żadnej racji bytu, nawet szlachcianka, a co dopiero ty, dziewczyno. Jesteś dla naszego króla pchłą, nieważne jakie akademie ci poleca. Musimy ci zapewnić warunki do utrzymania chociaż części czci, której twój ojciec jeszcze nie splugawił, a która nie jest przywilejem zamkowych służek.

Makijaż nie służył jedynie do rozpoznawania stanu cywilnego, ale i statusu społecznego. Jeśli więc Meglyne będzie nosiła szlacheckiego makijaż, ludzie będą mieli się przy niej na baczności – wciąż będzie pchłą, ale taką, która może być czyjąś ulubioną pchłą. Kogoś ważnego, może nawet samego dyrektora cyrku. Życie Meglyne może się stać w ten sposób łatwiejsze.

A poza tym, będzie mogła wychodzić na zewnątrz. Z kontrolą Chevity, oczywiście, ale będzie miała większą wolność. Meglyne śniła więc coraz intensywniejsze sny o ceremonii Zakwitania, aż stały się one rzeczywistością.

Oczywiście, w poprzedzającą ją noc nie zmrużyła oka. W komnacie nie było żadnych okien, toteż o nadaniu światu świadczyły dźwięki człapania starej służącej potrząsającej blaszanym dzwonkiem, a ranek rozpoczynał się, kiedy do uszu Meglyne docierały stłumione rozmowy i skrzyp głównych wrót, a zza nich rozgardiąsz dziedzińca. Tego poranka Meglyne usiadła wyprostowana jak struna i natychmiast wyskoczyła z łóżka, by uchylić odrobinę drzwi. Przez powstałą szparę ujrzała dwie służące dekorujące kolumny podtrzymujące sklepienie girlandami kwiatów – kwiatów przywiezionych z daleka, gdzie zdążyły już

wyrosnąć, ponieważ z północy kontynentu zima odchodziła naj wolniej – i posadzkę zalana rzeką słonecznego blasku.

Meglyne ubrała się prędko, nie w wiotką koszulę, ciasny kubrak zapinany na czarne sprzączki i sztywną spódnicę, które nosiła zwykle na zajęcia z Chevitą, ale w przepastną, prostą suknię koloru ocienionej pniem drzewa trawy. Nie nałożyła też skórzanych trzewików, ale usiadła na łóżku, wiedząc, że jeszcze nie ma po co wychodzić, majtając ze zniecierpliwienia bosymi stopami i bawiąc się naszyjnikiem od Kaia, który nałoży, jak tylko ceremonia się zakończy, a potem już nigdy go nie zdejmie.

Kiedy rozległo się pukanie, otworzyła drzwi natychmiast.

- Panienko – ukłoniła się elegancko służka z wiankiem pachnących odurzająco kwiatów na głowie – już czas.

Meglyne miała ochotę piszczeć z ekscytacji, ale tylko przytaknęła i dołączyła do orszaku dziewcząt przechodzących Zakwitanie, którym przewodziła najstarsza guvernantka.

Było ich sześć razem z Meglyne. Wszystkie miały piętnaście lat, były niższe od niej o głowę, pochodziły z wielkich szlacheckich rodów rezydujących w Naucenemes i okolicach, i choć były ubrane tak samo jak Meglyne, patrzyły na nią jak na dziw przyrody. Były to więc bliźniaczki z domu Usso, obie o pociągłych twarzach i czarnych włosach sięgających pasa; była panienka Kalyr o biuście pięć razy obfitszym niż ten należący do Meglyne; panienka Uporr, której włosy kręciły się jak srebrna wełna; oraz panienka Gavalryna obdarzona długimi rękami i nogami, za to pozbawiona wcięcia w talii. Meglyne mogła wyrecytować płynnie opis herbu każdego z tych rodów, a także nazwę i datę wybudowania ich rezydencji – lecz nikt tego sobie na pewno w tej sytuacji nie życzył.

Guvernantka, która je prowadziła, musiała cieszyć się na tyle dużym zaufaniem, by móc zbliżyć się do córek lyrrów, przeprowadzić je przez hol zamku i wprowadzić do sali tronowej.

Kiedy wrota się otworzyły, dech uwiązał w piersi Meglyne.

Sala była ogromna nie w szerokości, ale wysokości – musiała sięgać sklepienia zamku i szczytów gór, na pewno! Wysoko ze ścian wystawały loże, a same ściany pokryte były przepięknymi, nieco już wyblakłymi freskami, na których rozrysowano potężne budynki, zwycięskie bitwy, religijne obrzędy, miłosne intragi i doniosłe wydarzenia, które Meglyne mogły studiować całymi miesiącami, gdyby jej uwagi nie przykuwały multum innych rzeczy.

Pod ich stopami było pełno kwiatów – była to niemal polana, jednak polana, na której wszystko było ścieśte i martwe, a zatęchłego zapachu nie rozwiewał wiatr, więc unosił się i

zapewne osiądał na jedzeniu, od którego uginąły się ławy. A uginąły się od deserów, owoców, soków, dżemów, miodów, ciast, ciasteczek, budyni, bakalii i czekolady różnego rodzaju - słowem, wszystkiego, co sprawiało, że dziecięce serce biło szybciej. Bo i dlatego deser spożywano w dzień Zakwitania jako pierwszy – aby przypominał o słodczy dzieciństwa.

Służąca prowadziła je ku wysokiej katedrze zwieńczającej komnatę. Widniał za nią malunek gór i zamku, w którym właśnie się znajdowali. Na katedrze zasiadali wszyscy haroni, by potem dołączyć do swych rodzin przy stołach. Ponieważ zasiadała tam jednak również rodzina królewska, na którą składał się król Myron, królowa Habren, dwójka ich dzieci i siostra Myrona, księżniczka Cerro, Kai miał swoją żonę przy sobie. Meglyne uniosła głowę, by napotkać jego spojrzenie – i było tam, tak samo jak dodający otuchy uśmiech, który Meglyne odwzajemniła. Księżniczka Cerro, jak zwykle w olśniewającej bieli, również na nią patrzyła – na jej matowej twarzy nie było jednak żadnej łatwej do odszyfrowania emocji.

Król powiedział parę słów pożdrowienia, a w tym czasie jego dzieci targały go za włosy z każdej strony. Król jednak wydawał się być tym tylko ubawiony, i Meglyne słuchała go z rozczerleniem – jako jedyna wśród dziewcząt mających grobowo poważne wyrazy twarzy. Spostrzegłszy się, Meglyne zerknęła na Kaia w poszukiwaniu aprobaty lub potępienia, lecz jego oczy zatopione były w księżniczce, której właśnie mówił coś do ucha. Usta pogrążonej w żałobie kobiety – ku zdumieniu Meglyne – zadrżały i rozciągnęły się w niechętnym uśmiechu, zanim odpowiedziała półgębkiem.

Po przemówieniu króla służąca wskazała im piknikowy koc wyłożony na kwiatowym morzu, na którym wszystkie przysiadły. Wtedy też wszyscy goście usiedli na przydzielonych im miejscach i rozpoczęła się uczta, a bardowie ruszyli wzduż stołów, rozgłaszaając swą kakofonię.

Na kocu również stały półmiski pełne słodkości, których jednak każda z dziewcząt wstydziła się wziąć. Każda wzrokiem poszukiwała swej rodziny wśród gości, a kiedy ją znalazła, oddychała z ulgą. Meglyne siedziała tyłem do zebranych, bo i nie miała kogo wśród nich szukać. Zerkała na Kaia, który pił sok mandarynkowy, pogrążony w rozmowie z haronem Maginotem, i sama też wstydziła się sięgnąć po czekoladę, za którą przepadała. A co dopiero, jeśli chodzi o te owoce, których nigdy w życiu nie kosztowała.

Wtedy zwinna dłoń panienki Uporr porwała jedną kostkę białej czekolady i w ten sposób każda z dziewcząt zaczęła skubać swoje ulubione łakocie, aż jedna z bliźniaczek Ussy wpychała sobie do ust całą kiść winogron, druga chrupała rurki kokosowe, panienka Kalyr starannie wygryzała półksiężyca arbuzu, panienka Uporr zlizywała krem biszkoptowy z

ciastek, panienka Gavalryn wysysała miąższ z częstek pomarańczy, a Meglyne brała do ust jedną bryłę czekolady za drugą – najpierw brązowa, potem biała, różowa, pomarańczowa, niebieska, zielona...

- Uwielbiasz czekoladę, panienko Meglyne – wybuchła śmiechem panienka Uporr, a wraz z głową, którą odchyliła, zakołysały się kędziora jej włosów.

Ten zwrot w jej kierunku był tak niespodziewany, że Meglyne zaniemówiła – nie rozmawiała do tej pory z nikim z zewnętrznego świata. Tylko z Chevitą, Kairem, kilkoma służącymi i ten jeden raz z królem, jeśli można by to nazwać rozmową.

- Tak – powiedziała, zdając sobie sprawę, że reszta dziewcząt przygląda się im. – Jest przepyszna.

- Jednak robi się mdła po jakimś czasie – zauważyła jej rozmówczyni. – Musisz popijać sokiem lub wodą. Zgodzicie się ze mną, dziewczęta?

Bliźniaczki natychmiast spuściły głowy, jednak panienka Kalyr zmarszczyła brwi, nadymając pierś jeszcze bardziej.

- Zgodzę się, jak najbardziej – oświadczyła i wzięła do ręki dzbanek pełen soku z granatu. – Przysuń mi swój kubek, panienko Meglyne.

Meglyne tak zrobiła, czując jak na twarz wychodzą jej brzydkie, rumiane plamy. Trzymała jednak w górze napełniający się sokiem kubek.

- Mówcie mi po prostu Meglyne – rzekła cicho.

- Jakże mi miło!

Panienka Uporr położyła swoją dłoń na jej, i rękę, w której Meglyne trzymała kubek, zakołysała się, rozchlapując sok.

W mgnieniu oka znalazły się przy niej cztery służące, by zetrzeć plamę, wymienić zachlapane kwiaty i zapewnić, że nic się nie stało.

W tym momencie cała twarz Meglyne musiała stać się jedną brzydką, rumianą plamą.

- Cały czas źle wymawiałam twoje imię, prawda? – zapytała panienka Uporr, trzymając już ręce przy sobie.

- Nie... Nie wiem, to ja je chyba źle wymawiam.

- Jak można źle wymawiać swoje własne imię? – prychnęła znienacka skupiona na pomarańczy panienka Gavalryn.

- To nie jest trudne, kiedy ma się na imię Vessa – odparowała natychmiast panienka Uporr, by znów spojrzeć na Meglyne ze wzrokiem pełnym słodyczy. – To jest właśnie Vessa Gavalryn. To Tia Kalyr, te dwie identyczne to Quilkhassan i Nel Usso, a ja nazywam się

Ismena Uporr. Mam nadzieję, że znajdziemy wspólny język, Meglyne. Czy powiedziałam to dobrze?

- Tak – odparła Meglyne, zbyt wzruszona, by ją poprawić. – I ja mam też taką nadzieję. Jestem starsza od was i... no, z o wiele gorszym pochodzeniem...

- Nie ma czegoś takiego jak gorsze pochodzenie – odparła Ismena, karcąc wzrokiem wszystkie dziewczęta. – Są tylko urodzeni pod bardziej i mniej szczęśliwą gwiazdą. Czyż nie tak, Quilkhassan i Nel? Z waszych imion można wywnioskować, która była tą goręcej wyczekiwana.

- Ja się urodziłam jako Quilkhassan – fuknęła jedna z bliźniaczek. – Ale zamienili nam imiona tylko dlatego, że ONA wcześniej nauczyła się czytać...

- Jestem po prostu inteligentniejsza – oświadczyła oschle Quilkhassan. – Moje imię częściej będzie wymawiane w ważnych sprawach, a zabawnie jest widzieć, jak liryrom płaczą się języki.

- Jesteś idiotką, ty mała...

- Ja wszystko słyszę – okwiecona guvernantka wyrosła nad nimi znikąd. – Dzisiaj jest dzień, kiedy osiągacie dorosłość, wiecie? Powinien nastąpić kres waszych waśni.

- A co, Nel się wyprowadza?

Nel odpowiedziała jej kuksańcem, jednak obie zachichotały.

- Może powinnam poczekać rok, zanim dopuszczę was do Zakwitania – westchnęła niania. – Chociaż wątpię, że to by cokolwiek dało. Zapraszam, dziewczęta. Oto stajecie się kobietami.

Wytarłszy ubabrane cukrem palce w koc, wstały i podążyły na środek sali, by ustawić się w szeregu i wsunąć stopy w przyszykowane dla nich pary aksamitnych pantofli. Ismena jeszcze uśmiechnęła się do Meglyne ostatni raz i zamieniła swą twarz w kamienną maskę pełną powagi, a Meglyne podążyła za jej przykładem. Uświadomiła sobie, że lepkimi od potu rękami trzymała się pół własnej sukienki, więc puściła je prędko, mając nadzieję, że nie narobi plam.

Wiedziała, że to moment, w którym matki, macochy lub starsze siostry podchodziły do pleców dziewcząt. Słyszała poruszenie po swojej prawej stronie, gdzie stały wszystkie panienki. Czuła też zniecierpliwiony oddech na własnym karku, i wiedziała, kto powinien za nią stać, lecz i tak trudno jej było uwierzyć...

- Wasze córki są dorosłe – obwieścił Haron Obowiązku w kwiatowym wiązku, grzmiąc z wysokiej katedry i rozkładając ramiona. Miał piękny, głęboki głos i karnację koloru mlecznej czekolady.

W tym momencie wszystkie matki i macochy chwyciły za zwisające z sukienek szarfy i pociągnęły za nie z całej siły, zaciskając ukryty w środku gorset, który opiął się ciasno wokół wszystkich talii.

Ismena zakołyzała się pod wpływem impetu, sama Meglyne wydała z siebie zduszony okrzyk i instynktownie złapała za żebro – zaraz jednak opuściła rękę, nie chcąc być posądzoną o brak taktu. Czuła jak zwinne palce zawiązują ciasne kokardy za jej plecami i słyszała jak panienka Kalyr chlipie.

Haron Obowiązku i goście przyglądali im się z tkliwymi uśmiechami.

- Wasze córki są pannami – powiedział.

Matki stanęły naprzeciwko córek i wtedy Meglyne zobaczyła Chevitę. Kierowana zażenowaniem i nawykiem, spuściła głowę.

Magini trzymała w nastygmatyzowanych dloniach maskę, którą uniosła, by przyłożyć Meglyne do twarzy. Była to forma, dzięki której mikołaj zostanie zrobiony szybko i perfekcyjnie, choć na co dzień robi się go pędzelkami. Maska była śnieżnobiała, z zaznaczonymi zielonymi kwiatami kośćmi policzkowymi i bordowymi łukami wyrysowanymi wokół ust. Całość dodatkowo mieniła się różowoperłowym brokatem, tak drogim, że Meglyne ledwo powstrzymywała się przed omdleniem, ponieważ jakiś nieznany, demoniczny głos w jej głowie krzyczał desperacko, wrzeszczał, rwał się i drapał, bo to nie może być prawda, to nie jest jej miejsce, nie powinna tu być, nie chce stąd odchodzić, nie może...

Chevita przyłożyła maskę do jej twarzy z zaskakującą delikatnością. Była ciężka, mokra i nieprzyjemnie pachniała. Palce Chevity wysunęły spod niej zabrudzone kosmyki włosów Meglyne i wycisnęły z nich farbę.

- Wasze córki zakwitły – oznajmił haron i maski zostały zdjęte.

Chevita z uniesioną brwią oceniła efekt na twarzy Meglyne, a wszyscy goście przyglądali im się z minami pełnymi... jakby politowania. Wiedziała, że czasem się myliła. Czasem twarz na pierwszy rzut oka pokazywała jedno, a wyrażała co innego. Meglyne bardzo chciała się mylić i bardzo chciała przestać czuć lodowaty pot zlepiający wnętrze jej dloni.

Niektórzy komentowali między sobą nowe twarze dziewcząt. Niektórzy na pewno komentowali twarz Meglyne. Wszystko zagłuszył koncert, który wznowili grajkowie; i te rozmowy i ostatnie słowa harona, który wypowiedział je ze wzruszeniami ramionami, zanim zszedł z podwyższenia. Również ustawione w szeregu dziewczęta rozbiegły się, by móc zostać ucałowane przez swych dumnych rodziców, a przez główne wrota wlała się lawina służby, by wymienić desery na typowe dania obiadowe, z których resztki, zgodnie ze

zwyczajem, trafią do ubogich miasta Naucenemes. Tylko Meglyne została pośrodku tego rozmordiaszu - ona i Chevita za ścianą hałasu, zza której się jednak wyłoniła.

- Jesteś głodna? – spytała, uśmiechając się bez cienia humoru.

- Tak – odpowiedziała natychmiast Meglyne.

Chevita zdziwiła się.

- Nie napchałaś się słodyczami?

- Kiedy nastepnym razem będę mieć okazję, żeby tyle zjeść? Czy mogę jeszcze zostać?

Wzniosła oczy, by spojrzeć na Chevitę błagalnie. Tak błagalnie, jak będzie musiała jeszcze raz spojrzeć na nią później, kiedy będzie prosić o wyznanie prawdy o samej sobie.

Ciekawe, czy na obydwie prośby dostanie taką samą odpowiedź.

- Oczywiście – powiedziała Chevita. – To przecież twoja uroczystość.

Ku zachwycie Meglyne, Chevita poprowadziła ją do ławy, przy której zasiadała rodzina królewska i haroni – a wśród nich Kai, który przywitał ją rzędem wyszczerzonych zębów i przysunął wolne krzesło bliżej siebie. Meglyne niemal na nie wskoczyła, podczas gdy Chevita zajęła miejsce po jej drugiej stronie.

- Moje gratulacje – powiedział Kai. – Wyglądasz jak prawdziwa obywatełka Świętej Unii.

Meglyne podziękowała mu ze śmiechem, chociaż nie miała pojęcia, jak mogło mu przyjść do głowy coś takiego, kiedy siedział obok niego ideał hekkyrskiej urody, do tego przystrojony w tak smutny, ale przyciągający spojrzenia kolor.

Księżniczka Cerro miała tak jasne brwi i rzęsy, że były praktycznie przezroczyste. Pełna była bieli i jasności. Najciemniejsze były w niej oczy, które i tak jarzyły się jak przejrzysty strumień. Jej długie, przerzucone przez ramię włosy były skręcone w niezwykle skomplikowany, ale hipnotyzujący sposób, który tylko dodawał żałobnego uroku do jej stroju. Mimo że był on przeznaczony dla kobiety opłakującej śmierć krewnego, nie można było mieć wątpliwości, kim owa kobieta jest i kim był jej ojciec – suknia miała zwisające do ziemi rękawy, bufy na ramionach, ogromną rozkloszowaną spódnicę i przecudną koronkę na wyciętym głęboko dekolcie.

Księżniczka jadła niewiele i powoli, a włosy zasłaniały jej twarz.

Meglyne jadła tak, jakby zaraz ktoś miał jej zabrać talerz przed nosa i skazać na miesięczny post.

- Jesz jak zwierzę – mruknęła Chevita, która niczego nie tykała. – Wiesz, że ten kapłon już ci nie ucieknie?

Meglyne chciała odpowiedzieć, ale miała usta pełne mięsa i ziemniaków.

- Lepiej się spiesz, Meglyne, bo ja nie wytrzymam i zjem go całego – wrącił wesoło Kai. Sam jednak nie tknął absolutnie niczego.

- Nie jesteś głodny? – spytała Meglyne, dysząc z wysiłku po przełknięciu papki, którą miała w ustach.

- Najadłem się słodyczami...

- Najszański Haron nie ośmieliłby się odjąć ani kęsa od ust mieszkańców Świętej Unii – zaśmiał się król, widocznego przysłuchującego się ich rozmowie, nakładając na talerz córki dużą porcję marynowanych jarzyn.

I księżniczka, i Kai spojrzeli na niego, średnio zadowoleni z tego komentarza. Widelec Meglyne zawisł w powietrzu i znowu poczuła jak się czerwieni – tym razem zimną falą, od czubka głowy w dół.

- Och, no tak – powiedziała. – Zapomniałam zupełnie, że uczta trafia do ubogich...

- Ależ nie! – zaperzył się Kai, kiedy Meglyne skrzyżowała sztućce na talerzu pełnym jedzenia. – Zapewniam cię, że resztek z uczty będzie wystarczająco. Nie jem z pobudek czysto samolubnych, po prostu nie jestem głodny...

Meglyne wytarła usta skrajem chusteczki i uśmiechnęła się szeroko.

- Ja też już jestem zupełnie syta. Zresztą, teraz muszę dbać o talię.

Wszyscy przyglądali jej się w bardzo dziwaczny sposób. Jej Miłość Cerro była pierwszą, która z zaciekleścią wróciła do posiłku, a w jej ślady poszedł jej brat, śmiejąc się rubasznie.

- Skoro się najadłaś, idziemy – Meglyne usłyszała zimny głos Chevity.

Tego nie przemyślała.

- A. No tak.

- Do zobaczenia, Wasza Wysokość, Wasza Miłość. Najszański Haronie.

Chevita skinęła krótko, a Meglyne, pokloniwszy się w pas z pięścią na sercu, podążyła za magini.

Odwróciła koniec uczty nie tylko ze względu na okazję do rozmowy z Kаем i napatrzenia się na ideał księżniczki Cerro, ale głównie przez postanowienie, w którym się utwierdziła, a co do którego zaczęła teraz nabierać wątpliwości – aby zapytać Chevitę o to, o czym ostatnio Chevita prawie mówić zaczęła.

Kiedy biła się z myślami, szukając odpowiedniego momentu, zauważyła, że nie podążają ani do komnaty Meglyne, ani do gabinetu Chevity.

- Eee... Magini? Dokąd idziemy?

- A jak ci się wydaje? – odparła zimno Chevita. – Bardziej dorosła nie będziesz. Chyba czas, byś poznała prawdę.

Zatrzymały się w ciasnym korytarzyku na przedostatnim piętrze, na którego ścianie widniało malowidło przedstawiające ogromnego, stojącego na dwóch łapach niedźwiedzia dobierającego się do pszczelego ula.

- Każdy zamek ma tajne przejścia i komnaty – powiedziała magini. – Zanim się tu zjawiłaś, ekspertem od nich był bibliotekarz Rius, teraz już martwy. Najszarszemu Haronowi wydaje się, że zna ich sporo, ale jest to nic w porównaniu z tym, co wie jego żona. Mieszkala tu całe życie, z nudów wciskając się w różne miejsca. Dzięki niej odkryłam wiele z nich. Ale o tym nie wie nikt. Tylko ja i ty.

Plasnęła dłonią w niedźwiedzia, który upadł na cztery łapy i odszedł, niepocieszony, do rogu ściany. Okazało się, że zasłaniał malunek drzewa o dziupli na tyle szerokiej, że człowiek mógłby włożyć w nią rękę.

Chevita właśnie to uczyniła, mocując się z grzechoczącym zamkiem po drugiej stronie, a kiedy skończyła, była zdolna przesunąć ukryte drzwi, za którymi ziąła ciemność.

Meglyne była tak ogłupiała tym, co właśnie zobaczyła, że nie zareagowała na zapraszający gest Chevity.

- Boisz się, dziewczyno? – Czarodziejka zmarszczyła brwi.
- N-nie – Meglyne potrąsnęła głową i zrobiła krok naprzód. – Mam tu wejść, tak?
- Lotnaś.

Znalazły się w korytarzyku tak wąskim, że musiały iść bokiem. Sunęły w ciemności, ocierając się o odarte ściany. Meglyne zobaczyła przed sobą mały świetlisty otwór przewiercający ścianę na wylot.

- Co to jest? – spytała.
- Cicho, dziewczyno. Nie chcemy przestraszyć pokójwek. Są może za tą ścianą, możesz je podejrzeć.

Meglyne tak zrobiła. Zaglądała do wnętrza pokoju ze stołem karcianym, w którym przesądzono o jej pobycie w zamku.

- To służy do podglądania?
- Nie inaczej. Twoje oczy są zamaskowane jako element fresku. Dalej zobaczysz jeszcze dwa takie otwory: do komórki służących i królewskiej sypialni.

Do tych pokoi Meglyne nie śmiała zająrzeć. Dotarły w końcu do drzwi, które były zamknięte na klucz. Chevita otworzyła je i puściła Meglyne przed siebie.

Kiedy Chevita zatrzasnęła za nimi drzwi, ciemność stała się doskonałą, gęstą, przerażającą czernią. Grunt pod butami Meglyne był nierówny i jakby pochyły, przez co stawiała stopy szeroko i wyciągała ręce przed siebie.

Za jej plecami rozległ się dźwięk rozpalanego ognia – pochodnia w ręku Chevity rozproszyła ciemność.

Meglyne ledwo zdusiła okrzyk przerażenia i zachwytu.

Znajdowały się w olbrzymiej jaskini, w której nie było nic, poza szkieletem ogromnego zwierzęcia. Stały na jego kręgosłupie, który spływał w dół, obrośnięty mchami, kończący się długim ogonem. Jego szczeka – szczeka gada – podtrzymywała fundamenty zamku, który wkuty został w ową jaskinię.

- Co to jest? – wykrztusiła przejęta Meglyne.

- Legendarny smok, który powinien buszować w skałach pod Modrym Okiem – odparła nonszalancko Chevita. – Jak widzisz, dał tej budowli więcej niż nazwę.

- Jak on się tu znalazł?

- Nie mam bladego pojęcia. Trzyma się w kupie dzięki bardzo starej magii, jak i samej starości. Nieco ironiczne, nie sądzisz?

- Tak, ale... Nikt o tym nie wie, poza nami?

- Teraz, owszem. I wolałabym, żeby tak pozostało. Nie pokazuję ci tego w tajemnicy, żebyś zaraz o tym rozgadała, jasne? Zresztą, i tak tylko mag może wejść w interakcję z niedźwiedziem.

Meglyne przytaknęła i ruszyła za Chevitą w dół ciała ogromnego gada. Czarodziejka szła zupełnie pewnie, jedną ręką tylko przytrzymując skraj spódnicy, natomiast Meglyne ślizgała się co chwilę, z trudem utrzymując równowagę i przytomność umysłu w obliczu otchlani, która ziała pod nimi.

- Co by się stało, gdybym spadła?

- Nie wiem. Pewnie byś zginęła.

Meglyne robiła więc wszystko, żeby nie spaść.

- Dlaczego on nie ma skrzydeł?

- Nie wszystkie smoki mają skrzydła. Ale ten, prawdę powiedziawszy, żadnego znanego nie przypomina. To po prostu wielki gad.

Kiedy dotarły do końca, Meglyne była wyczerpana i bolała ją każda kończyna. Szybszym sposobem na zejście na sam dół było z pewnością potraktowanie kręgosłupa jak zjeżdżalni, ale wolała nie mówić o tym na głos.

Czekało je jeszcze parę kamiennych stopni w górę i wyszły przez klapę między bardzo gęsto rosnącymi drzewami. Meglyne bardzo ciężko było powiedzieć, gdzie są, lecz Chevita, zamiast odpowiedzieć na jej pytanie, kazała iść za sobą.

Kiedy wyłoniły się z zagajnika, oczom Meglyne ukazały się górujące nad nimi Falgony, kawałek wieży i zamku, a przed nimi – krystalicznie czysty strumyk i miasto, a właściwie jego obrzeża.

- To prowadzi na sam dół...?

- Do stóp Falgonów. Nie od strony Smoczego Jezora. Kiedyś musiała być to wybrana droga ucieczki.

- Więc czemu nikt o niej dziś nie wie? Może się przydać...

- Może, dlatego ci o niej mówię.

Meglyne koniecznie musi nauczyć się kłamać – z jej twarzy, nawet pod warstwą makijażu, od razu dało się wyczytać wszystkie emocje.

- Chcesz coś powiedzieć? – Chevita zadała pytanie dość ostrzegawczym tonem.

- Mhm... Kai pokazał mi bliznę na ręku...

- Nierożsądnie z jego strony. I co sądzisz o tej bliźnie?

- Ja? Sądę tylko, magini, że skoro pokazujesz mi drogę ucieczki, a mu napisałaś...

- Nie piśniesz Koharowi ani słówka o tym przejściu, jasne?

Meglyne zamilkła. Chevita nie podniosła głosu, ale Meglyne wiedziała, że wyprowadziła ją z równowagi.

- Kiedyś się mnie bał, wiesz? Twój ukochany Najszarszy Haron wybuchał płaczem na mój widok.

Meglyne nie odpowiedziała.

- Nie było to aż tak dawno, szczerze mówiąc. Potem zobaczył mnie w objęciach króla i myślał, że odkrył jakąś przełomową tajemnicę, którą mógł nade mną machać jak sflaczałym batem. A potem go wydziedziczyli. I, ku wielkiemu zdumieniu wszystkich, wrócił, ani trochę nie spokorniawszy, jako wielki pan. Jako wskaźnik moralny. Jako Najszarszy Haron, który zaczął wszystkich zawstyduć i rozstawać po kątach. Gromadzi sekrety jak te swoje książki, aż wysypują mu się z rąk. Zawiera dziwaczne sojusze, organizuje dziwaczne eskapady, z których wraca z dziwacznymi łupami. I nie konsultuje się z nikim, kto mógłby podać mu pomocną dłoń. Więc nie zamierzam tego robić. Knuł i węszył, odkąd pierwszy raz przekroczył próg tego zamku – może wyweszy również to przejście.

Meglyne pokiwała głową, wciąż nie mogąc znaleźć adekwatnych do sytuacji słów.

- Chcesz iść do miasta?

- Och, tak!

Jednak nie wkroczyły do niego, cały czas trzymając się linii gór; mimo to widok na Naucenemes był może nawet lepszy niż gdyby były w samym jego centrum. Widziały pola sięgające aż granic puszczy, liche chałupy na pograniczu wsi i miasta, wokół których biegały psy i dzieci. Widziały coraz wyższe budynki przytulone do siebie albo przedzielone tak ciasnymi uliczkami, że z pewnością trzeba było przedzierać się przez nie bokiem. Widziały zakłady rzemieślnicze, głośne, pełne życia i skupienia, i przypominające małe pałace rezydencje lyrrów, z których wież mieli zapewne kontrolę nad całym miastem.

Naucenemes nie było największym miastem Świętej Unii, ale było najludniejszym – pełnym brudu, biedy i rozkładu, siedliskiem wszy tuż pod Modrym Okiem, w którym znajdowało się polityczne, moralne i religijne centrum kontynentu. Ironią aż kipiało.

- Magini? – zagadnęła Meglyne. – Dlaczego Naucenemes tak wygląda?

- Zapytaj architektów.

- Mam na myśli... Modre Oko to przepiękny zamek, ocieka bogactwem, no i to praktycznie stolica. Stolice powinny być chyba najokazalszymi miastami, prawda?

- Naprawdę? Po trzech miesiącach nauki nie potrafisz powiedzieć, co jest stolicą Świętej Unii?

- Wiem, że to Rhagos, ale... Nie ma tam ani króla, ani haronów.

- Może dlatego tamto miasto wygląda tak jak wygląda, a to wygląda tak jak wygląda.

Myślałaś o tym w ten sposób?

Meglyne zmarszczyła brwi, zamysiona.

- Więc haroni i król nie są najlepszymi panami?

- Tylko jeden haron rządzi Naucenemes, a Myron jest królem niespełna pół roku. Zresztą, żeby tak pograżyc miasto, trzeba działań wielu pokoleń. Widzisz, masz rację co do tego, że Modre Oko ocieka bogactwem. Potrafisz oszacować, jak bogaty musi być ród trwający od co najmniej trzech tysięcy lat, czerpiący zyski z wybrednego handlu z rozrzutnymi państwami zza Wielkiej Wody, zdzierający podatki bez sumienia z kilkumilionowej społeczności rozrzuconej po ogromnym, bogatym w zasoby naturalne terenie, uciekający się do handlu niewolnikami i manipulujący strachem przed straszliwym, żywym bogiem? Że o łupach płynących z ekspedycji nie wspomnę.

- No... Muszą mieć bardzo duży skarbiec.

- W rzeczy samej. Skarbców jest siedem, każdy znajduje się w innej prowincji, no i w Pałacu Popiołów, a to, co znajduje się na powierzchni, jest niczym. Prawdziwe bogactwa są składowane w lochach pod ziemią. Zachwycający widok, jeśli lubisz błyskotki.

- Wyobrażam sobie...

- Jednak enormouszą przywarą narodową mieszkańców Świętej Unii jest wrodzone skąpstwo. Dotyczy to zarówno żebraka żałującego samemu sobie kromki chleba, bo może za tydzień będzie bardziej głodny, jak i króla, który, mając do dyspozycji siedem skarbców, nie wyremontuje własnego domu, bo jego skarbce nie będą wtedy wyglądać tak okazale jak by mogły.

- Niektórzy nazwaliby to oszczędnością.

- Nie mylisz się. Zobacz więc, co te małe oszczędności, które są w każdym mieście, narobiły w Naucenemes, połączone z tymi ogromnymi oszczędnościami królewskiej rangi.

Meglyne nie widziała tego aż tak wyraźnie jak by chciała – jednak chyba miała swoją odpowiedź.

Chevita prowadziła ją do Naucenemeńskiej Puszczy – ciemnego, złowrogiego lasu, w środku którego był jej dom, którego złowrogą magią przesiąknięty był każdy pień i liść. Tak trudno było uwierzyć, że jej wieża była tak niedaleko. Gdyby uciekła, w jeden, może dwa dni dotarłaby do cywilizacji i byłaby wolna... Czy jej tata wrócił już do domu? Ile zajmie mu zorientowanie się, gdzie jest? Czy po nią przyjdzie? Co ona zrobi, kiedy to się stanie?

Nie pójdziesz, oczywiście, że nie pójdziesz! Okłamywał ją, zabraniał patrzenie na twarze, zabraniał żyć, krzywdził! Dlaczego? Po co?

Chevita jej to wyjaśni. Choćby nie chciała, choćby Meglyne znowu powiedziała coś nie tak – musi wiedzieć. I lepiej, żeby się okazało, że to wszystko nie było na marne.

W oddali widać było mrowie ludzi garnących się do platformy, przy której rozdawano resztki z królewskiej uczty. Meglyne w życiu nie wyobrażała sobie takiego tłumu – może nigdy nie podejrzewała, że istnieje taka liczba ludzi na świecie. A każdy ma inną twarz, nawet bliźniaczki takie jak siostry Usso różnią się, jedna unosi brwi wysoko, druga je nieustannie marszczy...

Weszły między drzewa i zaczęły unosić wysoko nogi, by nie zaczepiać skrajami sukni o gałęzie. Było duszno i ciemno, a niebo ledwo prześwitywało między koronami drzew.

Chevita wyglądała tak nie na miejscu w swoim pstrykatym stroju, z włosami, w które zaplątywały się małe listki... I Meglyne pewnie też, w swoim świeżym mikoaniu, choć barwa jej sukni... Może to było jej miejsce?

- Dlaczego nie zadajesz mi pytań? – Chevita odwróciła głowę przez ramię.

Meglyne przeskoczyła nad zmurszałym pniem.

- Czym jestem?

Chevita wydała z siebie rozbawiony dźwięk.

- Wreszcie przechodzisz do konkretów.

Dotarły do maleńkiej polanki stworzonej przez ogromną wierzbę płaczącą zabraniającą innym drzewom dostępu do podziemnych źródeł. Chevita zatrzymała się, tykając czubkiem buta mrowisko.

Meglyne stanęła przy wierzbie, nagle uprzytomniając sobie ból nóg. I delikatny głód.

- Tak szczerze, dziewczyno. Utrzymujesz jakiś kontakt ze swoim ojcem?

Meglyne była prawie oburzona.

- Nie! Skąd ten pomysł?

- Z ciekawości. Nie boisz się, że po ciebie wróci?

- A-a powinnam?

- Nie powinnaś bać się niczego, ani nikogo. Ale powinnaś też umieć walczyć.

- Spaliłaś, magini, moją rafelkę.

Chevita parsknęła suchym śmiechem.

- Nigdy w życiu nie miałam broni w rękach. No, nie konwencjonalnej...

- Masz, magini, stygmaty.

- Ty również.

- Moje są bezużyteczne...

- Zależy, dla kogo.

Dlonie Meglyne były słabe i zimne.

- Dla kogo mogłyby być użyteczne? – warknęła.

- To dość długa lista – Chevita usiadła nagle na przewalonem pniu, zakładając nogę na nogę. Z pewnością wykraczało to poza zasady etykiety, których uczyła Meglyne. – Zaczniemy więc od twojego ojca, co?

- Zaczniemy.

Meglyne skrzyżowała ręce na piersi, oparłszy się o pień. Nie ruszy się z miejsca, dopóki nie usłyszy wszystkiego. I będzie niemiła, jeśli magini zacznie mówić zagadkami!

- Żeby dowiedzieć się, czym są twoje stygmaty, musiałam sięgnąć do ksiąg zakopanych głęboko w archiwach Alkaidei i bibliotekach za Wielką Wodą, oraz wyjaśnić wiele niewygodnych przysług, a to, co znalazłam, nie zaspokoilo mojej ciekawości nawet w połowie. Nie mniej – kiedyś, kiedy w Seleanie istniały ledwie trzy państwa, a w Świętej Unii działało się nie wiadomo co, a więc długo, bardzo długo przed Meavelethem Szarym, być może, prawdopodobnie, bardzo możliwe, że właśnie wtedy istnieli ludzie tacy jak ty. Naczynia.

- Naczynia? Nie brzmi to zbyt magicznie.

- Masz talent do mówienia rzeczy, które są bezbrzeżnie głupie, a jednak trafne. Otóż Naczynia rodziły się z pustymi stygmatami. Były hodowane, a właściwie jeszcze ich rodzice podlegali kojarzeniu takiemu, jakiemu oddaje się konie albo psy. Taki człowiek, nazwijmy go mecenasem, który życzył sobie mieć Naczynie, musiał mieć pewność, że dziecko, które się urodzi, będzie magiem – a potem, jeszcze w łonie matki, musiał zacząć tłumić jego magię.

Meglyne nieco bała się zadać następne pytanie.

- Jak to robił?

- Informacje na ten temat były szczątkowe. Wnioskując z tego, jak twój mecenas traktował ciebie – kłamstwami, torturami psychicznymi i fizycznymi.

- Tata mnie nie... Dobrze mnie traktował.

- Doprowadził cię do stanu, w którym bronisz własnego gwałciciela i kata. Do tego robił to perfidnie, pod płaszczkiem rodzica. Ten, który podawał się za twojego ojca, jest niezwykle wyrachowany. I ma wyjątkowo ponure poczucie humoru. I przerażającą wiedzę.

- Podawał się za mojego ojca? Skąd wiesz, że nim nie był?

- Nie wiem, to bardzo optymistyczne założenie. Staram się wierzyć, że żaden ojciec nie zrobiłby tego swojemu dziecku.

- Mój ojciec miał takie same stygmaty.

- Ale one nie były puste, prawda?

- Nie wiem, nigdy ich nie widziałam... Były namalowane na drzwiach, przez które tylko on umiał przechodzić, no i wiem... że miał je na całym ciele.

Chevita milczała chwilę, w czasie której Meglyne przycupnęła pod drzewem, bawiąc się pędem trawy.

- Co wyczytałaś w książce, którą ukradłaś, na temat stygmatów?

- Chciałam ją oddać.

- Nie o to zapytałam.

- Ja... Tata mówił mi, że stygmaty rosną całe życie. Moje też rosną.

- Nie okłamał cię. Rosną jednak bardzo powoli. Większość magów dożywa wieku, kiedy górne stygmaty sięgają nasady ich czaszki, a dolne bioder.

- Tata miał je na czubku głowy, na brzuchu, na plecach, na... Wszędzie.

Wyrwała całą kępę trawy zakończoną grudą wilgotnej ziemi.

- Co wyczytałaś ze skradzionej książki?

- Że nikt nie powinien dożyć tak długo...

-Więcej. Nie zdziwię się, jeśli tego nie zrozumiałaś, dlatego postaram się to teraz wytlumaczyć. Dar magii to również po części choroba. Postępujące szaleństwo. Im starszy

mag, tym bardziej skłonny do zapominalstwa, irracjonalnego zachowania, okrucieństwa, nagłych zmianastroju, w końcu i halucynacji, paranoi i deluzji. Stygmaty to narośl, która stopniowo wyniszcza organizm – jednak jest to też swego rodzaju magazyn broniący ciało maga przed tą właśnie chorobą. Dający mu czas. Kiedy magia skupia się w stygmatach, ciało może funkcjonować poprawnie przez długie lata, a w dodatku używać zgromadzonej w nich mocy. Bez stygmatów dar magii przesiąkłby cały organizm – zainfekowałby ciało, skórę, krew, gałki oczne, włosy, paznokcie,mięśnie, kości. Byłby wszędzie, nie dałoby się nad nim zapanować i wykończyłby nosiciela w przeciągu kilku bolesnych lat. Istniała jeszcze paręset lat temu forma kary dla przestępcy posługującego się magią – wyrywano mu stygmaty i zamykano w lochu, a po śmierci rozdzierano jego ciało na strzępy, żeby sprzedać je jako artefakty o wielkiej mocy.

- Ojej...

- Jak myślisz, co stało się z magią, która powinna krążyć w twoich znakach?

- Hmm... Hmmm...

- Po co ci właśnie opowiedziałam o ciałach magów, którzy nie mają możliwości korzystać ze stygmatów?

- Ale ja nie umiem czarować. Sama magini mówiła, że nie ma we mnie krzty magii. I nie jestem szalona, mam dobrą pamięć, nie wpadam w gniew...

- Nie ma w tobie krzty magii, którą ty mogłabyś wykorzystać, owszem. Ale pukiel twoich włosów kosztowałby... No, z dwa tysiące cersenów.

Meglyne wzięła rzecznego pukiel w palce, patrząc na niego z niesmakiem.

- Kiedy ścinałam włosy, tata ich nie sprzedawał, tylko wyrzucał przez okno.

Chevita drgnęła jak tknięta dreszczem.

- Och, naprawdę tak robił? Wiejskie wiedźmy zaklinają włosy, a potem rozrzucają je na polach, żeby obficie rodziły.

- Hmm... Wokół wieży rosło dużo krzewów owocowych. Tata zbierał owoce i robiłam z nich ciasta... Ale... To tylko do tego miałam mu służyć? Po to zostałam tym Naczyniem? Nigdy nie próbował się na mnie wzbogacić, ani nie zmuszał do czarowania, ani sam przy mnie tego nie robił...

- Nie znam twojego ojca, nie mogę wiedzieć, co się dzieje w jego głowie. Gdybym miała jednak zgadywać, powiedziałabym, że czekał na odpowiedni moment. Poza tym nie da się przewidzieć, w jaki sposób będzie się manifestować moc Naczynia. Istniało jedno, które potrafiło wyleczyć każdą chorobę, kiedy zapadło w głęboki sen. Istniało takie, które miało prorocze wizje, kiedy szczytowało, chociaż poddawano w wątpliwość autentyczność tego

przypadku... Było też takie, które w chwilach grozy zabijało każdego, kto znalazł się w zasięgu jego wzroku. Naczynia na smyczy mecenasa potrafiły dokonać ogromnych zniszczeń, a sam proces ich tworzenia, polegający na ciągłych torturach i presji, został w końcu zdelegalizowany. Tak dawno, że nikt już o tym prawie nie pamięta, a więc nikomu nie przychodzi do głowy, aby je złamać. Księgi, w których znalazłam informacje, traktują to zjawisko jako pół-mit, legendę, związaną ściśle z jeszcze mniej prawdopodobną egzystencją Ludzi Nieba. Od nich podobno pochodzi ta praktyka. Jak zresztą, według haronów i starych wieśniaczek, każde wątpliwe moralnie działanie i każda porcja skwaśniałego mleka.

Meglyne odwróciła wzrok od Chevity, spiesząc myślami do biblioteki, w której czytała z Kairem księgi pełne niezbitych dowodów na istnienie Ludzi Nieba. Spieszyła też do tych ksiąg, których Kai nie chciał czytać wraz z nią. Książek o historii, kulturze i magii ludu, o którego przedstawicielstwo oskarżała ją jeszcze w leśnej wieży.

- A więc ci Ludzie Nieba istnieli? – bardziej stwierdziła niż zapytała.

- To ty, jak niosą plotki, mówisz ich językiem. Jeśli istnieli, dlaczego zginął po nich słuch? Co było w nich takiego, że urosły do rangi straszydeł, którymi zmusza się dzieci do mycia rąk przed posiłkiem? A przede wszystkim – czy wciąż istnieją?

Meglyne nie odpowiedziała.

- Pamiętasz, kiedy opowiadałam ci o wystąpieniu Yazora Temidana?

- Pamiętam.

- Dlaczego wystąpił przeciwko haronom?

- Twierdził, że miał wizję od Szarego Boga. I obudził się z Magmowym Mieczem pod poduszką.

- A na mieczu było napisane „Prawda”.

- Mhm.

Milczenie dłużyło się. Było ciepło, a wiatr nie wył, tylko lekko kołysał tą niewyległą jeszcze całkiem trawą. Te promienie słońca, którym udało się przedrzeć pomiędzy koronami drzew, grzały Meglyne w łydki, a jej powieki stały się rozkosznie ciężkie...

- To jest zaskakujące...

Otworzyła natychmiast oczy, by ujrzeć Chevitę wpatrzoną prosto w nią.

- Najszarszy Haron i Yazor Temidan mają tę samą wiedzę i ten sam cel. A jednak zabierają się do niego w zupełnie inny sposób.

Wstała, poprawiając poły sukni, i Meglyne zrobiła to samo.

- Jak się czujesz, wiedząc, kim jesteś?

Meglyne wzruszyła niemrawo ramionami.

- Ciekawi mnie, czy ta niby-moc kiedyś się ujawni... i w jaki sposób...
- Jeśli nie dowierzasz, że jest w tobie magia, przyłóż ucho do ziemi.

Meglyne uniosła brew, próbując zrozumieć tę metaforę. Chevita również uniosła brew, widząc jej sceptyczym.

- Przyłóż ucho do ziemi – powtórzyła.
- Po co?
- Żeby usłyszeć.
- Co?
- Dowiesz się, kiedy usłyszysz.

Meglyne zaciśnięła pięści, a jej usta stały się cienką linią pilnującą, by żadne zbyt ubogie w szacunek słowo się z nich nie wymsknęło. Chevita patrzyła na nią z założonymi rękami, wyczekując. Było to spojrzenie przyszywające na wylot – spojrzenie brązowych, ciepłych oczu o tej samej barwie, co oczy Meglyne, ale o zupełnie innym odcieniu. Zastanawiała się, czy kiedyś zobaczy niebieskie oczy, które potrafiłyby być tak głębokie i pełne wyrazu – ich chłód wydawał się niemożliwy do przebicia.

Meglyne uklękła na trawie, pilnując, by nie zrobić tego twarzą do stóp Chevity, i nachyliła się nad nią tak, że końce ździebel muskały jej nos.

- Słyszę ptaki.
- Przyłóż ucho do ziemi. Blisko.

Chevita odspacerowała kawałek, splatając ręce za plecami. Meglyne westchnęła i wykonała polecenie.

Słyszała ptaki ćwierkające w koronach drzew. Widziała świat z kolejnej zupełnie nowej perspektywy – robaka albo jakiejś polnej myszy. Czuła zapach gleby i wczesnowiosennej trawy. A potem...

A potem poczuła, jak ktoś wewnątrz niej zaciska sękatą rękę na jej malutkim sercu, które wcale nie przyspieszyło tętna – było równomiernie, mniejsze niż można sobie wyobrażać, zamknięte w więzieniu z kościstych palców. Poczuła, jak pajęczyna zastępuje jej skórę, wiotka, szara, odbierająca siły, nie będąca w stanie utrzymać ciała Meglyne w kupie. W jej mózgu musiały się załac larwy pełznące teraz pomiędzy zwojami, jej czaszka i kości były spróchniałe jak pnie starych drzew. A jednak jej ciało nie rozleciało się. Krew w jej żyłach zwolniła, wydostała się przez otwór w uchu i wsiąkła w ziemię, gdzie spało, czuwało, obserwowało, dyszało, zaglądało, podsłuchiwało, wyczekwało...

- Co to jest? – wykrztusiła z siebie, odrywając się od ziemi.

- Zło – odpowiedziała Chevita. – Nie wiem, jak to inaczej opisać. Tak dzieci ze stygmatami dowiadują się o swej mocy. Oczywiście, ty nie mogłaś, tak wysoko w swej wieży...

Meglyne wstała, otrzepując kolana z ziemi. Zdziwiona była, że jej ręce nie drżały. Cała była przesycona spokojem.

Chevita nie patrzyła w jej twarz, ale na owe kolana.

- Wracajmy na zamek. Może i nadeszła odwilż, ale wciąż jest dla mnie stanowczo za zimno.

\*

Podczas tych rzadkich okazji, kiedy Cerro jadła sama, lubiła wywalić łokcie na stół i analizować z obrzydzeniem każdy pojedynczy kęs przed włożeniem go do ust. Był on, rzecz jasna, wykwintnie pyszny, jak na królewską kuchnię przystało, ale wszystkie negatywne konotacje związane z Modrym Okiem mogła z łatwością zobaczyć w tym idealnym i nudnym do bólu plastrze szynki z ananasem i cynamonem.

Teraz jednak, kiedy Myron załatwiał z Haronem Mądrości sprawy związane z masakrą leśnej wioski, której mieszkańcy byli na tyle durni i śmiali, by porwać się z motykami na Najszarszego Harona, zamiast na króla, a Habren, Liara i Kallo wyjechali do włości jej ojca w Rodos, Cerro jadła zgodnie z etykietą - pospiesznie i z apetytem – dopóki sobie tego nie uświadomiła.

Dokąd tak się spieszy? No właśnie. Nie ma pojęcia. A dokąd by mogła? Przełknęła papkę warzyw, którą mieliła w ustach, i odłożyła widelec.

Poczuła się bez niego jak bez oręża. Tak jak czuła się, odkąd Kai...

Odkąd Kai stracił nogę. No tak. To przecież prawda. Może nie chcieć o tym rozmawiać, może to ukrywać, może udawać, że jest pełen chęci do życia i nic go to nie obeszło, ale to przecież prawda. Chodzi tylko z sypialni do biblioteki i z powrotem, i to w takich porach, żeby nikt, poza dziewczyną z lasu, go nie widział. Donoszą mu jedzenie prosto do pokoju. Skończył z pielgrzymkami do miasta. Modre Oko stało się dla niego takim samym więzieniem jak dla Cerro.

WCale jej to nie cieszyło. Czemu by miało? Brak jego nogi to brak lekcji szermierki, a brak lekcji szermierki czyni go dla niej bezużytecznym. Czyni te ogromne rycerskie buty z kamienia kosmicznego, które zamówiła mu aż z Gergeru, kompletnie bezużytecznymi. Kai, jakby nie było, był wędrowcem i wielkim wojownikiem. Cerro wciąż pamiętała jego

dziecinne bójki z innymi rycerzami, przede wszystkim z Silarusem Temidanem; pamiętała, jak Kai rozbił mu kiedyś nos poluzowaną sztachetą z dachu królewskiego kurnika; jak wywrócił łódkę, w której płynął z panienką Kition, do góry dnem, żeby potem uciekać, ile sił w nogach, rozchlapując błoto w każdym ukrytym przejściu, które Cerro zdołała mu do tej pory pokazać... Uśmiechnęła się do nadzianego na widelec groszku, przypominając sobie natychmiast, że ten sam groszek z tej samej grządki je od dwudziestu jeden lat swojego życia i nienawidzi go do szpiku kości.

Rozległo się pukanie.

- Proszę – rzuciła od niechcenia.

Wąsaty służący wśliznął się do środka.

- Wasza Miłość, lyrra Ceadmille.

Oczy Cerro otworzyły się szerzej.

- Hmm... No dobrze, wpuść ją.

- Tak jest, Wasza Miłość.

Uśmiech Ceadmille wpuszczał do pozbawionej okien królewskiej jadalni rażące promienie słońca.

- Cerro! – przeszła przez cały pokój z rozłożonymi ramionami, a gdy Cerro wstała, została zmiażdżona w uścisku. – Jak się miewasz, moja droga?

- Eee... Dobrze. Miło cię tu widzieć.

- Zaprawdę! Z miesiąc mnie nie było, to się nazywa zimowanie! Przepraszam, że przerywam ci posiłek, ale dopiero przyjechałam, a...

- Nic się nie stało.

Nic się nie stało, ale Cerro znów poczuła, jakby gdzieś jej się spieszyło. Dokąd? Na co? O czymś zapomniała?

Ach, niemożliwe... Po prostu nie cierpi rozmawiać z Ceadmille.

Nie, to nie tak... Ale jest to wyczerpujące, to prawda.

Ceadmille usiadła na ławie pod ścianą, nie śmiając tknąć królewskiego stołu. Udrapowała misternie fałdy swej czarno-granatowej sukni i poprawiła głęboki dekolt pokryty gęstą koronką kończącą się kryzą. Cerro uświadomiła sobie, że stoi, więc wróciła na miejsce. Wtedy uświadomiła sobie, że niezręcznie siedzieć przy zastawionym jedzeniem stole, kiedy jej gość siedzi tak daleko od niego.

- Nie wstawaj, Cerro – machnęła ręką Ceadmille. – Zaraz przyniosą nam... O, właśnie.

Dwie służki z filiżankami w dloniach rozeszły się na dwie strony – jedna postawiła dymiące naczynie przed Cerro, a druga włożyła je w dlonie Ceadmille.

- *Akju* – uśmiechnęła się szeroko. – To „dziękuję” po aeorsku, a stamtąd pochodzi dzisiejszy napar. Cytrusy, cynamon i porzeczka. Proszę, skosztuj, księżniczko.

Czy naprawdę za każdym razem, kiedy się spotykały, musiały pić te cholernie herbatki? Nie były złe, zdarzały się dobre – ale najwspanialszy smak może być zepsuty przez poczucie przymusu.

Cerro zajrzała więc z obrzydzeniem do naczynia, z którego buchała woń pomarańczy i czegoś mdlego. Może migdałów?

- Przepyszne. Spróbuj, Cerro.

Kiedyś Cerro próbowała się z nią kłócić i skończyło się to zdecydowanie zbyt długim tłumaczeniem, że wcale nie żywi urazy do całego jej rodu pięć pokoleń wstecz, a herbatkę musiała wypić i tak.

Pociągnęła więc łyk przez zaciśnięte wargi. Była dobra.

- Smaczne – przyznała. – Ale co cię sprowadza po tak długim czasie nieobecności?

- Oczywiście, wyprawa twojego męża, droga przyjaciółko. Każdy wrócił z niej z bliźniami, jednak haron... Bardzo mi przykro.

- No tak. Wyrazy przykrości mogłaś wysłać listownie.

- Ależ... Jestem bardzo zmartwiona, Cerro. Znam ciebie i twojego męża od dziecka.

To naturalne.

- Taaak... Wrócił z wyprawy nie cały i nie zdrowy, jednak z niewolnikiem, więc uznaje ją za udaną.

- Niewolnikiem? – Ceadmille uśmiechnęła się jakoś kwaśniej niż zwykle. – Krążą słuchy, że haron zagwarantował jej wyjątkowe przywileje.

- A wśród kogo one krążą?

- Tu i ówdzie. Wiesz, jak działają plotki. Nie mniej, to bardzo łaskawe ze strony harona, tak nobilitować znajdę.

Cerro postarała się ukryć swoje niezadowolenie, biorąc łyk naparu.

- Ale nie o tym chciałabym rozmawiać. Choć właściwie bardzo bym chciała, jednak istnieją sprawy ważniejsze. Takie jak nagrodzenie mojego męża za udział w tej felernej wyprawie.

- Nagrodzenie? Chce, żeby Kai mu zapłacił?

- Wasza Miłość obraża mnie i mojego męża – Ceadmille wcale jednak na obrażoną nie brzmiała. Kąciki jej ust jakby drgnęły. - Ród Agverów jest w znakomitej kondycji finansowej i w każdej innej też. Nie mniej, zgodzimy się chyba obie, że Trian zasłужył na nagrodę?

- Wybacz mi, Ceadmille, ale ja byłam w tej wiosce i widziałam tych wszystkich ludzi... nawet dzieci... z których twój mąż zrobił wisielców.

Starała się to powiedzieć tak delikatnie, jakby wyrażała odmienną opinię na temat ukochanej powieści Ceadmille. Mimo to, koloryst spłynął z twarzy lyrry – widok ten chyba nigdy do tej pory nie pojawił się przed oczami Cerro.

- No tak. To twój brat wydał rozkaz...

- I jemu też nie dałabym żadnej nagrody. Wręcz przeciwnie. Skoro jednak on i twój mąż rozumieją się tak dobrze, dlaczego nie poczekasz na jego powrót?

I po raz pierwszy w życiu Cerro zobaczyła Ceadmille, której odebrało mowę.

- Potrzeba ci właśnie Kaia i głupio ci go prosić osobiście, tak? – wypiła resztki naparu, próbując nie wydać się z drżeniem dloni. – Czego od niego chcesz?

- Trian zamierza zgłosić się do wyborów na króla Somnargeru i chce poparcia Harona Sprawiedliwości. Tak, wiem, jak niedorzecznie to brzmi, ale wcale nie ma takich małych szans. Szanują tam naszą kulturę, tytuł przyszłego Harona Mądrości robi na nich wrażenie, o Najszarszym Haronie nawet tam już krążą legendy...

Cerro odłożyła filiżankę i skrzyżowała ręce na piersi, bardzo próbując się nie roześmiać.

- Ambitne plany.

- Nie naigrywaj się z niego. Pomyśl, czeka go w życiu tylko zastąpienie ojca, tak jak on zastąpił swego ojca, a ten swego, i tak od paruset lat. Nic się tu nigdy nie zmienia. Umierasz tym, kim miałeś szczęście lub nieszczęście się urodzić, przewegetowawszy całe życie. Sama powinnaś o tym wiedzieć najlepiej. Twoja dynastia trwa ponad trzy tysiące lat i nie wygląda, żeby gdzieś się wybierała, a ty nie masz robaka między nogami, więc nie możesz mieć w tym żadnego udziału. I tak tu jest. Nic się nie dzieje. Nawet wojny już nie wybuchają na tym spróchniałym kontynencie. A w Somnargerze? Nazwisko króla zmienia się co kilka lat, jeden zaczyna rządzić jeszcze za rządów starego, zdarzają się kobiety-króle, ba, są kobiety-żołnierze, kobiety-bankierzy, kobiety... No co sobie żywnie zamarzysz, tam mogłabyś robić.

Wspaniale brzmiał ten Somnager. Cerro nie była pewna, gdzie to jest, ale już wyobrażała sobie to jako pełne słońca i wolności miejsce. Ile by dała, ile by mogła dać... By móc się ludzić tak samo jak żona Triana Agvera w tym momencie.

- Więc chcecie się tam przenieść? – spytała, wodząc palcem po krawędzi filiżanki.

- Bardzo – odpowiedziała Ceadmille. – Trian obiecywał mi to, odkąd się we mnie zadurzył. I wierzę, że może to osiągnąć.

- Wybacz moje może zbyt śmiałe pytanie, Ceadmille... Ale co zrobisz z Silarusem?

- Z Silarusem? – parsknęła śmiechem. – A co mu do tego?

- Myślałam, że wy...

- No tak. Ale co on niby może mi teraz dać?

Cerro była daleka od sympatyzowania z człowiekiem, który wykonał rozkaz zakucia jej w kajdany – a jednak coś zacisnęło się pomiędzy jej płucami. Jednak Ceadmille też było jej szkoda. I gorzko jej zazdrościła.

- Rozumiem – mruknęła. – Dobrze. Porozmawiam z Kаем.

Ceadmille wytrzeszczyła oczy.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Ale nie mam pojęcia, jak na to odpowie.

- Och, Cerro, Cerro...!

Znów została zmiażdżona przez pachnące goździkami ramiona Ceadmille.

- Jakże się cieszę, że ciebie mam – zaśmiała się, ściskając Cerro za ręce. – Chociaż trochę żałuję, że nie mam okazji, żeby pójść płaszczyć się przed znajdą...

- Miałaś taki plan?!

- To teraz nieważne, Cerro. Dziękuję ci z całego serca. Zostanę tu jakiś czas, czekając na odpowiedź Kaia, więc możemy spotkać się w każdej chwili. Pospacerować, porozmawiać... O, i niech nie dowie się o tym haron Agver, dobrze?

- A, więc to sekret...

- Sekret, kochana. Ach, jakże się cieszę, że jesteśmy tak serdecznymi przyjaciółkami!

- Jesteśmy...?

- Oczywiście! Rozumiemy się jak mało kto. No, będę się zbierać, Wasza Miłość, nie chciałam przerywać ci posiłku, lecz...

Cerro, wciąż z niezręcznym uśmiechem przylepionym do ust, odprowadziła ją za drzwi królewskiej jadalni, która była właściwie malutkim, położonym bezpośrednio nad kuchnią pomieszczeniem przylegającym do sali tronowej. W korytarzu po drugiej stronie wejściowego holu znajdowały się pokoje ważniejszej służby, a na końcu pokój znajdy – z tego korytarza właśnie wykuśtykał skrzywiony bólem Kai.

Jego oblicze wygładziło się w zdziwieniu, kiedy zobaczył wpatrzone w niego Ceadmille i Cerro.

- Lyrro Agver – uśmiechnął się milutko, lecz stanął w miejscu, prostując się na tyle, na ile mógł. – Co za niespodzianka.

- Zostanę parę dni w zamku – odparła Ceadmille z ukłonem. – Do zobaczenia, haronie. Wasza Miłość.

Ostatnie dwa słowa wymówiła przeciągle, jakby czerpała z tego przelotnego spotkania sycącą satysfakcję.

A uczucie pośpiechu opuściło Cerro zupełnie.

Zastąpiła je zimna furia, biała jak śnieżyca i tak samo oślepiająca.

Upewniwszy się, że nikt go nie widzi, Kai ruszył w stronę Cerro. Niemrawo. Neelegancko. Niegodnie jak na wielkiego wojownika. Ona nie zrobiła ani kroku w jego stronę.

Kiedy przed nią stanął, był zdyszany.

- Co tu robiła Ceadmille? – zapytał, jak gdyby nigdy nic. Jakby właśnie nie wyszedł z sypialni kobiety, o której krąży już tyle plotek.

- Interesy – odpowiedziała, próbując uspokoić swój oddech.

- Ach, tak? Ciekawe.

Nienawidziła go. Nienawidziła tej wyrwy w uchu, którą bezskutecznie zasłaniał rudymi kłakami. Nienawidziła szlamowatych oczu, którymi nie był w stanie patrzeć na nią dłużej niż kilka chwil. I tego zadartego nosa, i tej ropuszej twarzy, i tej taniej peleryny, i szarawej koszuli, i spodni, spod których wystawała ta drewniana łyżwa, przez którą już nigdy...

- Wszystko w porządku?

- Co tam robileś?

- Gdzie?

- W pokoju znajdy.

Zmrużył oczy przemienione w dwa szlamowane okruchy lodu.

- Tak łatwo przychodzi ci bycie tak straszliwą pizdą – wycedził. – Imponujące.

- Kupiłam ci buty, kiedy wyjechałeś na wyprawę, wiesz?

Patrzył na nią przynajmniej wtedy, kiedy go zadziwiała – ale wtedy ona nie wytrzymywała naporu jego spojrzenia.

- Po co?

- Żebyś w nich, kurwa, chodził. Kupiłam je w tym samym sklepie, w którym ty kupiłeś mi rękawice, ale byłeś zbyt wielką pizdą, by wręczyć mi je osobiście. W tym samym sklepie, do którego mnie śledziłeś.

Na jego pobladłą z wrażenia twarz wystąpił pełen poczucia winy rumieniec.

- Dlaczego?

- Żebyś była bezpieczna...

- Ty sam siebie nie jesteś w stanie przypilnować.

- Wtedy jeszcze miałem nogę, wiesz? Mogłem się ludzić, że jestem w stanie.

- Tak, a teraz... Teraz nic nie możesz mi dać.

- Słucham?

- Nic nie możesz mi dać. To prawda. Nigdy już nie będziemy się pojedynkować.

Nigdy nie nauczę się więcej niż umiem. Czeka mnie wegetacja. I tyle.

- Dlaczego tak dramatyzujesz?

- Bo nie masz pierdolonej nogi.

Twarz Kaia miała barwę skrzywdzonej do żywego cegły, lecz Cerro zrobiła wszystko, by nie dać po sobie poznać skruchy.

- Coś wymyślę, jasne? Trochę wiary...

- Ale ty masz teraz nowe zainteresowania, prawda? Znajda i jej język...

- Dlaczego ją tak nazywasz? Naopowiadały ci tego baby przy studni?

- Dlaczego byłeś w jej sypialni, co?

- Bo z nią rozmawiałem! A ciebie co to obchodzi?

- Bo ja za coś takiego byłabym już przy pięćdziesiątym bacie!

Kai rozłożył ręce bezradnie, wymyślając zapewne oczywiste i przekonujące argumenty o tym, jak uratował ją przed konsekwencjami pocałunku ze Szlachetnym Ano. Nie był jednak wystarczająco szybki - bezsilne łzy już zebrały się w oczach Cerro, mimo jej zacieklego ocierania.

- Ceadmille chce, żebyś poparł Triana w wyborach na króla Somnageru – powiedziała prędko. – I żebyś nikomu nie mówił.

- ...Co? Wyrznał tę wioskę, a teraz...?

- Nie wiem, tyle mi powiedziała. Jej sypialnia jest na drugim piętrze.

Odeszła prędko, by wbiec po dwóch kondygnacjach schodów, ocierając coraz gęstsze łzy i flegmę zbierającą się w jej nozdrzach.

Gotowa była wbiec do sypialni i natychmiast paść na swoje posłanie w łazience, na które powróciła, ponownie odstępując okaleczonemu Kaiowi łóżko - jednak jej ręka zatrzymała się, zanim dotknęła klamki. Kai prędzej czy później tu wróci i pewnie będzie chciał, jak to ma w zwyczaju, pogodzić się z nią. Była to ostatnia rzecz, której chciała ona.

Było wiele miejsc w tym zamku, o których Kai nie wiedział, a jeszcze więcej, do których nie mógł się w obecnym stanie dostać. Było to jedno w zachodniej wieży.

Cerro ruszyła do końca korytarza, a potem spiralnymi stopniami, na których powinien zalegać kurz, gdyby nie sprzątaczki, skracane o głowę, jeśli nie dawały zamkowi iluzji, że jest żywszy niż w rzeczywistości. Cerro szła i szła, ocierając oczy i nos, aż dotarła do drzwi prowadzących do komnaty w najwyższej wieży. Wystraszyła się, że może nie mieć klucza, ale klamka puściła pod naporem jej dloni. Była tu po raz czwarty od śmierci matki. Po raz trzeci od śmierci ojca.

W środku pozostały tylko teleskop i stół. Nie było regału z książami. Nie było filiżanek po kawie. Nie było poduszek. Nie było krzesła. Po jej ojcu pozostały tylko koślawe malunki gwiazdozbiorów i wzorów matematycznych na ścianach. Te drugie skupiały się przy teleskopie, wypisane w rzędach jak rozpisana dań w karczmie, jak podręczna pomoc naukowa. Nie odważyła się podejść do okna i spojrzeć przez teleskop. Zamiast tego chwyciła za krawędź stołu i wysunęła go na środek okrągłego pokoju.

Wszystko tutaj ślizgało się na kilkumiesięcznej warstwie kurzu. Cerro nie zdziwiłaby się, gdyby na dworze krążyły plotki o nawiedzeniu tego miejsca. Nie tego się bała.

Wspięła się na stół i zaczęła wodzić dłońmi po suficie, aż wymacała uchwyt ukrytej klapy. Otworzyła ją, wypluwając cały kurz, który osiadł na jej wargach. Wzięła drewniany stołek stojący tuż przy otworze, postawiła go na stole, wspięła się na niego i podciągnęła, wreszcie docierając do ukrytego pokoju.

Stryszek był taki, jakim go zostawiła. Małe i niski tak, że mogła w nim jedynie siedzieć. Oświetlony blaskiem zmierzchającego słońca wpadającym przez okrągłe okienka dachu zwieńczającego wieżę. Pełen jej starych zabawek, zjadzionych przez mole poduszki, książek z rysunkami. Były tu pędzle i manuskrypty jej nigdy nie skończonym powieści, koślawe rzeźby z kostek mydła, lutnia z pękniętymi strunami; archiwum wszystkich pasji, do których próbowała się przekonać, ale nigdy nie zdołała. Zamknęła za sobą klapę i rozsunęła poduszki, żeby znaleźć owinięty srebrną kobrą materiał, który skrywał miecz. Nie cudowny, magmowy, ale zwykły, stary, ćwiczebny miecz. Nie był jeszcze zardzewiałym, bo była to rzeczywiście porządnego robota. Innego dnia, w innych okolicznościach, ciekawiłoby ją może, czy Kai pamięta ten miecz – ten, który zostawił w zbrojowni tego dnia, kiedy go wydziedziczyono. Wszyscy pomyśleli, że wziął go bezczelnie ze sobą, ale to Cerro ukradła go ze stojaka, kiedy zapadła noc.

Usta znów jej zadrgały, a na materiale pojawiła się okrągła wilgotna plamka. Cerro schowała miecz z powrotem i podkuliła nogi pod brodę. Wreszcie pozwoliła sobie zacząć

szlochać ze strachu. Nie bała się ducha ojca, ale bała się śmierci, której była tak blisko w tym ukrytym pokoju nad komnatą, w której jej ojciec podjął o śmierci decyzję. Bała się, że umrze, nie zaznawszy szczęścia. Bała się, choć było to tak straszliwie głupie i nie w jej interesie, że Kai umrze, nigdy nie zaznawszy go jeszcze raz. Siedziała pośród artefaktów swojego dawnego życia i bała się, że kolejne jej życie się kończy. Bała się, że wyczerpała swoją przydatność, Kai znalazł kogoś przydatniejszego od niej, a i on wyczerpał swoją przydatność względem niej. Potem płakała ze strachu przed samą sobą; przed tym, że zamiast skupić się na jego oczywistym cierpieniu, zamiast zrozumieć jego kalectwo, tak jak rozumiała kalectwo Atiana, zamiast zaakceptować, że mógł być sobie, w czyjej sypialni mu się podobało, tak jak on zaakceptowałby to w jej przypadku, myślała tylko i wyłącznie o sobie. Potem płakała, że rozdmuchuje swoje problemy, zamiast myśleć o biedocie i nieuleczalnie chorych. Płakała, że nie była taka jak Kai. Że nie była jego przeciwnieństwem. Lepsza od niego.

Płakała, aż w komnacie zapanowała całkowita ciemność.

Kiedy wróciła, wyczerpana, do sypialni, Kai już tam był - na łóżku, z książką w jednej i brzoskwinią w drugiej dłoni.

- Gdzie byłaś?

Zignorowała go, chcąc jak najszybciej znaleźć się w łazience. Chociaż nie była już zła, dalej było jej wstydu.

- Załatwiałem ci nowego nauczyciela szermierki.

Złość jakby wróciła. Cerro zatrzymała się. Odwróciła w jego kierunku. Jego twarz była schowana za księgą pełną rzędów jakichś dziwnych symboli. Brzoskwinia zniknęła tam na chwilę. Rozległo się siorbanie. Kiedy się wynurzyła, była nadgryziona.

- Kogo mi załatwiałes?

- Jakiegoś mistrza z Iggavverry. Chigus, ten sklepikarz z Tkalni Cudów, ma kogoś zorganizować. Będzie tu w okolicach Święta Gościnności.

- Czyli teraz cała Iggavverra będzie o tym wiedzieć?

- Mistrz będzie sowicie wynagrodzony za milczenie, i złotem, i możliwością zachowania życia. Poza tym, w Iggavverze kobiety mogą walczyć. Nie będzie widział w tym nic dziwnego.

Przewrócił stronę w książce.

- A ty skąd weźmiesz na to pieniądze?

- Z harońskiej wypłaty.

- A ty nie powinieneś się jej zrzec?

- Po co? Żeby Myron miał jeszcze więcej?

Cerro wrzała. Gdyby miała szklankę w rękach, zgniotłaby ją.

Oczy Kaia wynurzyły się znad książek.

- Nie jesteś zadowolona?

- Jestem. Bardzo. Będę mieć fachowe lekcje, a ty będziesz miał mnóstwo czasu na swoje schadzki.

Całe oblicze Kaia wynurzyło się znad książki. Uśmiechał się uprzejmie.

- Z radością udzielałbym ci dalszych lekcji, Wasza Miłość, ale śmiałbym delikatnie zwrócić uwagę na fakt, że nie mam pierdolonej nogi.

- Masz rację, Najszarszy Haronie, wybacz mi, całkowicie to rozumiem, ale czego nie rozumiem, to dlaczego znajda, która pozbawiła cię tej nogi, zamieszkała na stałe w tym pierdolonym zamku?

- Jeśli jesteś o nią zazdrośna, po prostu to powiedz, żebym mógł cię szczerze zapewnić, że nie łączy mnie z nią nic, poza lekcjami lingwistyki.

- Nie jestem o nią zazdrośna!

- Świeśnie, bo byłoby to niedorzeczne! Przeszła piekło, krążą o niej obrzydliwe plotki, jest jakimś pojebanym ewenementem medycznym, a ty pieklisz się, bo nie skupiam na tobie całej mojej podzielnej uwagi?!

- Czyli co, teraz robisz z zamku przytułek? Dlaczego w każdej komnacie nie ulokujesz po pięciu żebraków?

- Wiesz co, to nie jest taki zły pomysł. Choć obawiam się, że musiałabyś, niestety, zamieszkać w jednej ze swoich innych dziesięciu rezydencji. Twoje królewskie geny raczej nie dałyby radę pokojowo współistnieć dwa piętra ponad ich śmierdzącymi rodowodami.

- Widzisz, miewasz tak wyborne pomysły niemal co do jedynej zgadzającej się z treścią twojego *Kodeksu*, a wpadasz na nie już po tym, kiedy załatwisz sobie zapatrzoną w siebie podręczną niewolnicę!

Kai zatrzasnął księgę z hukiem i odłożył brzoskwinię z plaśniectwem, co Cerro bardziej słyszała niż widziała, krążąc po komnacie od łazienki do okna i z powrotem.

- O co ci chodzi?! – ryknął. – O co tym razem ci, do cholery, chodzi?! Miałaś do mnie pretensje, że stałem się bezużyteczny, to ten ostatni raz byłem użyteczny i załatwilem ci nauczyciela! Przepraszam, że nie jest w stanie spakować się i przepłynąć oceanu w jedną noc, z całego serca przepraszam, wytrzymaj jeszcze te parę miesięcy! Masz do mnie żal, że traktuję Meglyne za bardzo jak człowieka czy za mało jak człowieka?! Bo już doprawdy nic nie pojmuje!

- Mam żal, że w ogóle pojechałeś na tę cholerną wyprawę.

- Szary Człowieku, a co miałem zrobić?!

- Wrócić z nogą, na przykład! Naraziłeś moje życie dla krwi na monecie, żeby móc narazić swoje dla...

- ...ja pierdolę, ile razy mam cię za to...

- ...pojechaliście w czterech chłopa, i tylko ty wróciłeś kaleką...

- ...no chyba żartujesz, mam cię przepraszać za to, że mam takie psie szczęście...

- Nie masz szczęścia, tylko trociny zamiast mózgu! Nikomu nie powiedziałeś, po co tak naprawdę tam chciałeś jechać, nikomu nie powiedziałeś, żeby ci towarzyszyli, kiedy chciałeś zbadać tajemnicze chuj wie co, nikomu nie uchyliłeś rąbka tajemnicy, po co to wszystko było! Mogłeś zginąć i nikt by nawet nie mógł odgadnąć, na chuj ci to wszystko było! Tymczasem dowiaduję się z plotek między praczkami, że ty i twoje nowe narzędzie rozmawiacie w nikomu nieznanym języku! Dowiaduję się od Myrona, że ma być nobilitowana! Dowiaduję się od Ceadmille, że miała iść do niej po prośbie, żeby ONA wpłynęła na CIEBIE! Ja do tej pory nie wiem, gdzie znikasz, kiedy nie mogę cię znaleźć w całym zamku, nawet w tej pierdolonej, zajebanej, zawszonej bibliotece! Nie wiem, o czym czytasz w tych cholernych książkach sprowadzających na czytelników zgubę! Nie wiem nawet, po co była ci moja własna krew! Atian też tego wszystkiego nie wiedział i wyjechał, bo miał dość! Ja nie mogę wyjechać, więc... więc...

Zatrzymała się. Wzięła głęboki oddech, przyciskając brzegi złożonych dloni do ust. Nigdy nie wierzyła w to, że głębokie wdechy i wydechy pomogą jej się uspokoić, kiedy wpada w szal, ale teraz nie miała innego wyjścia, jeśli nie chciała wyrwać sobie wszystkich włosów z głowy.

Nie zauważyła, kiedy Kai wstał. Zauważyła, kiedy położył dlonie na jej ramionach. Były łagodne, stanowcze i tak niespodziewane, że ukrop popłynął w dół jej brzucha. Spojrzała na jego twarz. Potem na jego oczy. Potem na jego usta, które poruszały się, jakby próbowały coś powiedzieć, ale rezygnowały. Im bardziej zbliżały się do jej ust, im powieki Cerro opadały niżej, tym te próby były bardziej uparte. Aż nagle zupełnie ustały.

Cerro nie bardzo pamiętała, co działało się dalej. Nie potrafiła sobie przypomnieć, jak jej dlonie odsłoniły jej usta i jak komicznie Kai mógłby wyglądać z tak bliska. Nie bardzo potem rozumiała, skąd wie, jak brzoskwiniowy i gorący jest jego język, jak aksamitnie jego włosy gną się pod jej dłońmi, jak jego palce piorunują, kiedy okalają jej szczękę i policzki, jak ocierają jej zlepione łzami rzęsy, jak delikatnie gładzą jej szyję...

Pamiętała, jak gruchnęła plecami o ścianę, tracąc oddech i odzyskując wzrok, przytłoczona ciężarem, który od razu się wycofał. Kai mamrotał przeprosiny, schylając się, by poprawić drewniany kikut, przez który się zachwiał.

Myron załawił mu ten kikut. Pierdolony król pierdolonej Świętej Unii sprezentował mu kawałek hebanowego drewna jako królewski podarunek. A Kai był zbyt głupi, zbyt uparty, zbyt zawstydzony, by załawić sobie coś lepszego.

Im bardziej jej oddech się uspokajał, tym więcej jej wspomnień sprzed paru sekund wcześniej wracało.

- Obrzydliwe – oświadczyła donośnie.

Kai nie zdążył nawet unieść głowy, zanim Cerro otarła usta rękawem sukni i trzasnęła wyważonymi drzwiami toalety.

\*

Akmneruuli, Ludzie Nieba, wyglądały tak samo jak Ludzie Kamienia, jak nazywali Hekkyran. Kai pochyłał się z Meglyne nad ich przekrojem anatomicznym i widział jedno serce, dwa płuca, jeden mózg, jedną wątrobę. Wszystko na swoim miejscu. Przyglądał się też Meglyne – owszem, miała dziwaczne stygmaty, którymi interesowała się Chevita, a Kaiowi powiedziała tyle, że nie są niebezpieczne – ale poza tym wyglądała jak co druga Hekkyranka.

Dzieje Ludu Nieba były opisane w sposób niezwykły dla do tej pory czytywanych przez Kaia kronikarzy – nie było żadnych dat, miejsc, bitew. Czas wydawał się dla nich zupełnie nieistotny – coś wydarzyło się lub było procesem, lecz o jego początkach i przebiegu nic nie było wiadomo. Znany jest jedynie rezultat, który nastąpił nie wiadomo kiedy, ale trwa teraz.

Mitów, skąd wzięli się Ludzie Nieba, było wiele, ale imię pierwszego człowieka zawsze to samo – Zye. Wyłonił się on z mgły lub zszedł z chmur lub z morskiej piany lub urodził go ktoś, kto nie był Człowiekiem Nieba, ale to Zye posiadał dar reinkarnacji, czyli przenoszenia duszy w inne ciało. Jak Zye dowiedział się lub wynalazł ten sposób? „Okoliczności były zbyt osobiste, by je zdradzać.”, mówiły księgi. Kai marszczył brwi, pierwszy raz widząc coś, co jest „zbyt osobiste” na mit o kreacji. Opis rytuału pokrywał się niemal idealnie z tym, co w dniu jego ślubu opowiedział mu Silarus. Przez krótki czas po śmierci, około ośmiu minut, można przenieść życie do innego ciała – nie może to być ciało maga, którego stygmaty są nierozerwalnie związane z jego umysłem, i on również nie jest zdolny do posiadania innego ciała. Nie będzie też zdolny zrobić tego człowieka, który w wieku

niemowlęcym nie połknął smoczego zęba, i to nie wyrwanego siłą, ale zrzuconego przez samego smoka. Hodowcy smoków, treserzy smoków, zbieracze zębów – o tych zawodach mówiono na kartkach ksiąg jak w Świętej Unii o hodowcach krów, treserach psów i zbieraczach jagód.

Było wiele parametrów, które musiały wypełnić ciała, aby doszło do reinkarnacji. No i potrzebna była osoba trzecia – mag wyszkolony w tej sztuce. W jaki sposób Zye odkrył tę sztukę i na kim ją przetestował, skoro był pierwszy – Kai nie miał pojęcia. Zye jednak przedłużał życie swoje, swojej żony, swoich dzieci, aż sekret znało morze ludzi, którzy lgnęli do Zye'a, chcąc obwołać go swym przywódcą. Kiedy odmawiał, nazywali go bogiem. Zye ostatnie stulecia życia spędził w izolacji, być może kwestionując wartość swego odkrycia – wielu ludzi nadużywało daru nieśmiertelności lub, pomimo posiadania młodych ciał, nie potrafiło zachować jasności umysłu. Zye zdecydował się zakończyć swe życie, a wszystkie lata, które przeżył, przemieniły się w chmury, które na wieczność zasnuły niebo nad krajem Ludzi Nieba, rzadko przepuszczając promienie słońca. Porzucili wtedy niemal zupełnie pracę na roli, a ci, którzy mieli do tego chęci i warunki, stali się wyjątkami cieszącymi się władzą i szacunkiem wśród myśliwych i rzemieślników Ludzi Nieba.

Jeden z uczniów Zye'a, Enggvion, udał się w te same góry, w których umarł jego mistrz, i przyniósł jego zapiski, notatniki i pamiętniki. Oznajmił, że zgodnie z ostatnią wolą Zye'a, sekret reinkarnacji będzie dostępny tylko dla wybranych, tylko dla wiernych sług dziedzica Zye'a, Enggviona, którzy udowodnią swą wartość. W ten sposób Enggvion stworzył niemal całąację długowiecznych sług gotowych zrobić wszystko, by zapewnić prawo do reinkarnacji swoim dzieciom – a ponieważ było ich tak wielu, a ziemi rolnej mieli niewiele, musieli migrować. Zjawiali się na nowych terenach, zawsze nastawieni przyjaźnie, jednak żyjąc dłużej niż rdzenna ludność. Obserwowali jej wymarcie, aż mogli nazwać te tereny własnymi. A jeśli napotykali opór – znajdowali inny sposób, by wedrzeć się w szeregi wroga. Nie znali czegoś takiego jak armia, wojsko, bitwy, oblężenia, w czasie których ludzie giną masowo i nieodwracalnie – ale znali szpiegostwo, skrytobójstwo, wywiad, kłamstwa i intrygi. Ludzie Nieba, tak głosiły ich własne zapiski, to wybitni myśliwi i indywidualiści, z których każdy, który pragnie reinkarnacji, ma wyższy cel w życiu, do którego nie zdąży dotrzeć w czasie przeciętnego żywota. Są zdeterminowani, nieugięci, nie dbający o funkcjonowanie organu władzy stojącego nad nimi do tego stopnia, że nawet sama jego struktura jest sekretna – jego poddani wiedzą tylko, że może zapewnić im wieczność.

Kiedy ziemia Ludzi Nieba znów stała się jałowa, Enggvion poprowadził ich na północ, na lodowe pustkowia, aż dotarli do ogromnej, wzburzonej wody, której nie mogli

przekroczyć. Zamarzający magowie nie mogli wykonywać rytuału, Ludzie umierali z głodu i przemęczenia. Sam Enggvion umarł, upadając w oceaniczne głębiny, a jego ciało było niemożliwe do odnalezienia. Kiedy nadzieja całkiem opuściła Ludzi Nieba, z tłumu wyłonił się człowiek imieniem Reon. Łamał on lód w taki sposób, by stworzyć most pomiędzy lodową krainą a nowym, upragnionym lądem, do którego dotarli po kilku pokoleniach wędrówki. Ta ziemia stała się ich nowym domem, a Reon, który zadziwił wszystkich swoją mądrością i uporem, przewodzi po dziś dzień.

Kai skrzętnie notował najważniejsze informacje i własne przemyślenia, w końcu będąc umiarkowanie pewnym, że dopasował wszystkie wskazówki poprawnie tylko dlatego, że tworzyły razem w miarę sensowny obraz. Ów Zye udał się na izolację w góry, których nazwy Kai nie odnalazł, podobnie jak dokładnej lokalizacji pierwszego kraju Ludzi Nieba – intuicja podpowiadała mu, że jest on gdzieś na odległym południu, za Wrednymi Bagnami, z których okolic przybyli osadnicy z Ajgaj kołyszący się teraz na gałęziach, a może już zupełnie pożarci przez muchy. Po śmierci Zye'a niebo zasnuło się obłokami, które nigdy nie ustąpiły, i Kai słyszał kiedyś o takim zjawisku w Świętej Unii. Trzy tysiące dwanaście lat temu Zwiastun doświadczył ogromnej erupcji, a pył wulkaniczny spowiół cały kontynent i wisiał nad nim przez dwa lata. Kiedy opadł, Meaveleth I zasiadał na tronie Świętej Unii.

Kai zastanawiał się... Czy w pierwszym kraju Ludzi Nieba istniał podobny wulkan? Jednak pył powinien w końcu opaść, a jeśli niebo nad głowami Ludzi Nieba zawsze jest pochmurne, może to być po prostu literackie wyobrażymienie zwykłych warunków atmosferycznych – tak samo jak nazywanie Axelle, stolicy Ramponu za Wielką Wodą, Wkrótce Zatopionym Miastem, ponieważ deszcz siąpi tam niemal codziennie. Dodatkowo, Kandick Illiam twierdził, że pył ze Zwiastuna był czarny i ciężki, a Ludzie Nieba traktowali to, co nadeszło po Zye'u jako chmury – może więc w ich kraju istnieje inny wulkan emitujący inny rodzaj dymu? Być może jest ich całe mnóstwo, tak jak na Ropos, straszliwej wulkanicznej wyspie na Letnich Morzach? Ropos jest jednak właściwie niemożliwa do zamieszkania, więc jak Ludzie Nieba mogli poradzić sobie w takim środowisku? Znali, oczywiście, sekrety reinkarnacji, hodowli smoków i migracji na ogromne odległości, jednak nie odkryli sposobu na uprawę ziemi w taki sposób, by starczyło jej na długie lata urodzaju. Kai zastanawiał się, czy którykolwiek z ludów, które Ludzie Nieba miażdżyli na swej drodze, próbował wymienić się wiedzą rolniczą w zamian za przetrwanie, czy Ludzie Kamienia będą pierwszymi posiadającymi ten atut. Czy możliwe jest, że działa się to w czasach tak zamierzchłych, że techniki roli były nie aż tak powszechnie? Czy naprawdę w ich mrożącej

krew w żyłach legendzie chodziło tylko i wyłącznie o to, że nie wpadli na pomysł trójpółówki?

Niektóre z książek w tajemnej bibliotece nie były aż tak stare, by pamiętać czasy Meaveletha I. Były napisane mniej zagadkowym językiem, bardziej sformalizowanym pismem. Ludzie Nieba używali systemu obrazkowego, który w niektórych książkach składał się z niezwykle szczególnych, mało praktycznych rysunków – legenda o mądrym kocie była właściwie po prostu ilustracją przedstawiającą lud proszący geparda o radę, jednak Meglyne na podstawie kilku dodatkowych kresek, kropek i gestów była w stanie powiedzieć, że rada miała dotyczyć sporu o wyższość podążania za gniewnym impulsem przeciwko metodycznemu spokojowi, i że metodyczny spokój zdecydowanie zwyciężył, kiedy bracia, którzy byli na granicy pobicia się, po prostu porozmawiali o swoich uczuciach. Wszystkie te opowieści miały podobny moral – Kai, przyzwyczajony do legend, w których bohaterowie robili rzeczy, słuchał z fascynacją opowieści o protagonistach, którzy rozmawiali o robieniu rzeczy. Młodsze znaki już znacznie mniej przypominały to, co oznaczały, wciąż były jednak pełne zawijasów. Różniły się od siebie czasem tylko jedną kropką lub kreską, ale przynajmniej wyglądały jak jakiś rodzaj pisma.

Kai znalazł nawet rysunek Reona i sam zdołał sobie przetłumaczyć wszystkie gesty i cytaty, które go otaczały. Zwężone oczy – mądrość. Broda – długowieczność. Ciemne włosy – witalność. Dziwaczny przyrząd, który Meglyne nazwała kompasem, w jednej dloni – przywództwo. Druga dłoń schowana za plecami – spryt. Siedzący ze skrzyżowanymi nogami – wyczekiwanie. Proste ubranie – człowiek ludu. Podpisany był tytułami takimi jak Ten, Który Już Jest; Chodzący Po Tym, Co Przezroczyste; Zrodzony Z Zakrzepłej Krwi; Słuszny; Wieczny.

To on objawił się w śnie Yazora Temidana jako Szary Bóg kpiący ze skromności Szarego Człowieka. Kazał mu bronić Prawdy i wyplenić zepsucie Świętej Unii, a Yazor obudził się z Magmowym Mieczem pod poduszką. Jak Ludzie Nieba zdołali wykuć taki miecz? Według nauk haronów, tylko Szary Człowiek posiadł tę sztukę... Lecz on żyje w wulkanie, a skoro Ludzie Nieba pochodzą prawdopodobnie z wulkanicznej krainy, dlaczego nie mieliby umieć wykuć miecza z magmy przynajmniej na tyle dobrze, by zmylić naiwnych haronów, a nawet szmaragdowy kamyk skrywający w sobie monetę-klucz do sekretu? Co by się stało, gdyby to Yazor dostał monetę od Riusa? Co by się stało, gdyby to on odkrył niewidzialną wskazówkę w *Kodeksie*?... Któryś ze szpiegów Ludzi Nieba, na przykład Mitra, mógł po prostu wsunąć miecz pod poduszkę generała. Lecz dlaczego Prawda? Dlaczego Szary Człowiek to podłapał? Uznał to za zabawne? A może im również się objawił? Może

sam wysłał Szarego Boga z tytułem i misją? Dlaczego jednak Ludzie Nieba zesłali sen akurat na generała? Dlaczego w ogóle zesłali sen? Dlaczego zależy im na tym, żeby „przygotować” kraj na ich przybycie? Jak blisko są, skoro wiedzieli, kim jest generał, skoro znają zwyczaje religijne Świętej Unii i potrafią je wykorzystać? Ilu z nich już infiltruje Pałac Popiołów? Czy dotarli dalej? Czy ich wioska tak niedaleko Naucenemes świadczyła o dyszącej w kark inwazji? Czy są już w Modrym Oku? Czy są pod nosem Kaia? Co uczyniłby Yazor Temidan, gdyby to wiedział? Co Kai powinien uczynić?

*Raport Wynna* był inny niż większość zgromadzonych w tajnym pomieszczeniu książek. Składał się ze sklejonych ze sobą odręcznie pisanych listów. Niektóre były na drzewnym papierze, inne na trzcinowym. Niektóre na materiale, którego Kai nie potrafił rozpoznać. Niektóre ładne, inne pogięte, podarte i poszarpane. Niektóre śmierdziały starością, inne ze starością rozchodziły się w palcach. Niektóre były napisane porządnym atramentem, inne grafitem, jeszcze inne sadzą. Były, na szczęście, podpisane „datami” – *Maei*, zima, *Nygl*, wiosna, *Dukki*, lato, *Hhiurt*, jesień, powtarzające się w kółko wiele razy, jakby przez wiele lat.

Wynn raportował o około trzydziestu trzech żyjących w harmonii, opływających w dostatek plemionach skupiających się wokół osady Megarant. Ich pulchne ziemie nazywane Krainą Miliarda Języków były przecięte niezliczonymi nitkami rzek wpadającymi do pełnego żywności morza, dzięki czemu nigdy nie cierpieli nieurodzaju. Na spichrze Megarantu jednak regularnie napadali bandyci ze stepu, którzy w późniejszych listach jednocyli się pod banderą Muarka Ciskacza Kamieni. Zahartowani treningami na bagnach Samyssarys, pozbawieni żywych gleb, gnębili Rzecznych Ludzi tak zaciekle, że przedstawiciele plemion wyruszyli na pielgrzymkę po pomoc. Znaleźli ją u Naauzyki, samozwańczej Królowej Puszczy, która obiecała im swoją armię w zamian za pomoc w wyplenieniu diakorr, które traktowały Naauzykę jak gwałcicielkę przywłaszczającą sobie władzę nad ciałem ich bogini. Plemiona Megarantu udaly, że chcą zawrzeć sojusz z Hakiem, najsilniejszym przywódcą diakorr, i ich magowie rzucili na niego podstępne czary, dzięki którym zarządzili, by diakorr udały się nad brzeg wielkiego oceanu i skonstruowały statki, którymi udały się na zachód, poszukując nowej ziemi. Niektóre diakorr zbuntowały się przeciwko Hakowi i pozostały, dołączając do wojsk Muarka II Celnej Strzały, który odziedziczył władzę po ojcu. Naauzyka i plemiona Megarantu starły się z nimi w bitwie o Terzeh, na granicy dwóch rywalizujących terytoriów. Muark zginął, lecz jego rozwścieczonemu wojsku dodało to tylko sił. Napierało ono na żywne ziemie wokół Megarantu, aż Naauzyka, wbrew woli plemion, zgodziła się na rozejm przypieczętowany małżeństwem z Muarkiem III Cichą Wodą, synem Muarka II. Pokój zakładał, że lud Muarka przeniesie się na ziemie wokół Megarantu, a dobra będą

dzielone pomiędzy wszystkie zamieszkałe tam plemiona. Nie podobało się to większości zaangażowanych w konflikt ludom i samym poddanym Muarka, z których większość czuła przywiązanie do nieprzyjaznej gleby, która ich zahartowała i umożliwiła osiągnięcie celu, o który walczyli przecież od blisko stu lat. Wkrótce buntownicy pod chorągwią maga Auroka wyrwali się spod władzy Muarka i pozostali na swoich ziemiach, a Muark z nieliczną drużyną i swoją żoną osiadł w stale rosnącym Megarancie jako Protektor. Wynn raportował, że „skontaktował się z diakorr” walczącymi po stronie Muarków, dla których, zgodnie z traktatem, nie było miejsca na żadnej z ziem, i więcej nie było już o nich ani słowa. Megarant był wtedy centrum wielu kultur, języków, bogów, systemów moralnych, ceremonialów i ludów, które przez większość czasu żyły we względnym pokoju, od czasu do czasu sprzeczając się o daną odnogę jednej z wielkich rzek. Zamiast egzekucji, woleli zmuszać podbitech ludzi do pracy na rzecz zwycięskiego plemienia – czasem chodziło o kilka lat, czasem kilkadziesiąt, czasem kilkaset.

Wynn donosił, że jego uszu dobiegały plotki z odlegiej północy. Podobno materialna istota o straszliwej potędze, którą Muarczycy nazywali Złym, której niektóre z megaranckich plemion oddawały cześć jako inkarnacji jednego z ich bogów, a inne tylko z formalnego przestrachu, zyskiwała coraz większy posłuch wśród północnej populacji. Od zawsze wszyscy wiedzieli o sześciu dziwakach, którzy wędrowali pieszo, pomagając ludziom, modląc się do Szarego Człowieka i przyjmując uczniów, którzy potem ich zastępowali, jednak zrobiło się o nich znacznie głośniej po „uczcie w Modrym Oku”. Forteca ta była słynna również na południu jako cudo architektury – „mówili, że jest tak wysoko jak oko smoka szybującego pod chmurami”. Przez dwieście lat budowali ją członkowie północnych plemion, zjednoczeni – podobno – w wizji stworzenia czegoś niepojętego pięknego, twierdząc na straży strzelistych szczytów, wśród których mogli znaleźć gorące źródła, nieodkrytą jeszcze florę i faunę, która byłaby własnością każdego. Początkowo – podobno - byli ochotnikami. Potem niewolnikami pod batem czarodziejki Uriali. Wybuchł bunt i Uriala sama przez resztę życia pracowała wraz z rzeczywistymi ochotnikami, spośród których wyłonił się Adas, znanca roślin, Lutt, znanczyni zwierząt, i Kaspian, rzeźbiarz. Kiedy Kaspian dowodził pracami wykończeniowymi zamku, Lutt i Adas udawali się w górskie ekspedycje i w końcu zakochali się w sobie. Lutt i Adas mieli córkę imieniem Vea, a kiedy Adas umarł, Lutt wyszła za Kaspiana i miała z nim córkę Danikę. Uwielbiane przez gromadzących się wokół Modrego Oka, były pierwszymi paniami zamku. Dowodziły ekspedycjami, gromadziły kamienie szlachetne, stworzyły system druku, by dzielić się odkryciami, które docierały w najdalsze zakątki kontynentu i – podobno - były w sobie zakochane. Żadna z nich nigdy nie wyszła za

mąż, ale na łożu śmierci Danika, już po śmierci Vei, wyznała, że całe życie kochała swojego doradcę, maga Sylvirna – który zresztą powtórzył te słowa pogrążonej w żałobie gawiedzi – i spłodziła z nim syna, który aktualnie podróżował wraz z pięcioma innymi wyznawcami Szarego Człowieka.

Rozpoczęły się poszukiwania i odnaleziono Museona, który wraz z resztą haronów – jak siebie nazywali – został zaproszony do Modrego Oka. Haroni zamierzali zamieszkać w zamku, który miał być nie tylko ośrodkiem badawczym, ale i miejscem kultu, sądem, urzędem, szpitalem, przytułkiem, poradnią i bawialnią. Chcieli rozdzielić fortunę Vei i Daniki pomiędzy plemiona, które ochoczo na to przystały, lecz wtedy na zamku, w środku uroczej uczty, pojawił się Irrun – wojownik o niedźwiedziej posturze i przenikliwym umyśle, który utrzymywał, że jest nieślubnym dzieckiem Vei i jakiegoś diakorrskiego podróżnika. Irrun chciał, aby zamek stał się fortecą mogącą odeprzeć potencjalne ataki rosnącego w siłę południa, którego północ zaczynała się rzeczywiście obawiać, wiedząc, co stało się przed wiekami z diakorr Haka i jak krwawa była bitwa pod Terzeh. Rozgorzały debaty na temat podzielenia zamku, rozważano nawet małżeństwo Museona i Irruna, którzy wypatrywaliby wśród młodych potencjalnych silnych i lotnych następców, kiedy na zamek przybyła Kalli Małomówna, wódz plemienia Vilon, które, za bogactwa zdobyte na szaleńczych wyprawach na północne morza, zainicjowało budowę aż trzech zamków nie tak zjawiskowych jak Modre Oko, ale na jego projektach wzorowanych. Kalli oznajmiła, że również jest nieślubną córką Vei, a choć miała już wtedy trzech mężów pochodzących z innych plemion, może wyjść za Museona, spłodzić z nim kolejnego dziedzica-geniusza, a dodatkowo wzmacnić północ na wypadek ataku krwiożerczego, niecywilizowanego południa. Podobno świadkowie twierdzili, że Kalli była jak skóra zdjęta z Vei, a jej upór i charyzma natychmiast zjednały sobie zwolenników.

Irrun, choć zachęcaný do pozostania jako jeden z panów zamku, przestał być niezbędny do jego zarządzania. Po ślubie Kalli i Irruna udali się na ekspedycję w gorące źródła Falgonów, by zebrać trujące mchy, skały i grzyby, które mogły posłużyć jako obrona w być może nadchodzącej wojnie. Niestety, podczas wyprawy Kalli wpadła w głęboką skalną szczelinę, a kiedy Irrun wrócił z Museonem i pomocą, nie było już jej słyszać. Nie znalazłszy nawet jej ciała, zamek i okolice grodu nazwanego, zgodnie z sugestią Irruna, na cześć bogini wygnanych przez południowców diakorr, pogräzyły się w czuwaniu, które kilka tygodni później przemieniło się w żałobę. Ludzie zwracali się o pomoc do Szarego Człowieka, jedynego boga, który kiedykolwiek objawił się przed człowiekiem, jedynego, którego pomoc mogła być namacalna, ale który był jednak wybredny. Irrun wdziałał w końcu wykutą

specjalnie dla niego modrą zbroję mieniającą się błękitem w promieniach słońca i wyruszył na pielgrzymkę na niebezpieczne południe, do wulkanu Zwiastuna, by osobiście prosić Szarego Człowieka o ratunek dla Kalli.

Kalli powróciła. Karmiona blisko miesiąc przez dzikiego biznata, zdołała powrócić do Modrego Oka i oskarzyć Irruna o próbę zabójstwa. Ten, dowiedziawszy się o powrocie Kalli, udał się do Megarantu, w którym urzędowała prapraprapraprawnuczka Naauzyki i Muarka, Serena. Tamtejsze plemiona widziały, co dzieje się z ich ziemią. Widziały, że Protektorka Serena jest już właściwie królową, a ich zróżnicowane społeczeństwo, w którym każda wioska stanowiła własne prawo, staje się monarchią, w której to Serena jest prawem. Powstania przeciwko władzy, bunty niewolników i zamachy skrytobójcze były codziennością wśród tamtejszej ludności, która, wbrew północnemu przekonaniu, zamiast rozprawiać się krwawo z pokonanymi, wolała zaprzegać ich w dyby, smagać batem i zmuszać do kopania kanałów wodnych, orania pól, budowania domów. Wynn raportował, że plemię Raushi zaatakowało plemię Tantakk, lecz Tantakk zwyciężyło bitwę i zmusiło Raushi do niewolniczej pracy. Nie minął tydzień, a Raushi zbuntowali się i teraz Tantakk byli ich niewolnikami. Nie minął tydzień, a z odsieczą przybył inny szczep plemienia Tantakk, Tantakk-Vure i znów Raushi byli niewolnikami. Wtedy znów najechali ich Gaol, i teraz Raushi byli niewolnikami u boku Tantakk i Tantakk-Vure, którzy wspólnie mogli wszczęć bunt i zniewolić Gaol, i tak właściwie ciągnęło się to w kółko, w różnych częściach krainy, którą już zaczęto pogardliwie nazywać Zlewiskiem, nie tylko przez obfitość rzek, ale i mnogość kultur, które podbijały się wzajemnie w niekończących się, zapętlonych cyklach. Na taką ziemię przyjechał oskarżony o próbę morderstwa Kalli Małomównej Irrun.

Natychmiast zaoferował swoje usługi Serenie, która oficjalnie wciąż nosiła tytuł Protektorki. Była ślepa od urodzenia i desperacko szukała na to lekarstwa, przede wszystkim wśród magów, którzy założyli szkołę czarów w Idei, a którą Serena z hojnością finansowała. Przeprowadzali oni eksperymenty i uskutecznieli badania przede wszystkim w kierunku medycyny, lecz nic nie przynosiło oczekiwanych przez Serenę efektów. Irrun ruszył wtedy znów do Zwiastuna i podobno świadkowie widzieli go wychodzącego z wulkanu – kiedy ten wrócił do Megarantu, zastał Serenę zdolną do podziwiania widoków i czytania. Sama twierdziła, że objawił jej się człowiek z ciemnością zamiast twarzy, który wyjął jej oczy i wstawił nowe. Rzeczywiście, oczy Sereny nie były już brązowe, ale niebieskie, szeroko otwarte i pełne nowej wiary. Zapomniała też kompletnie o naukowych wysiłkach magów w Idei.

Serce Sereny zapłonęło żywym ogniem dla uczynności Szarego Człowieka, lecz niekoniecznie dla Irruna, który, być może, przekonał boga do pomocy Serenie, ale wrócił właściwie z pustymi rękami, bez dowodu, że była to właśnie jego zasługa. Irrun przekonywał Protektorkę, że północ zagraża jej i jej poddanym, podczas gdy północ domagała się zwrotu Irruna Prawie Mordercy. Magowie z Idei, pozbawieni dofinansowania, udali się do Sereny, oferując inne usługi, jednak ta zgodziła się na pomoc jedynie pod warunkiem, że magowie również oddadzą się pod jej „protekcję”. Tak zrobili, porzucając jednak ośrodek naukowy w Idei i przenosząc stolicę do ich drugiego największego grodu, Temarairu, z nadzieją, że im dalszy dystans od Megarantu, tym większą niezależność utrzymają. Południe, choć dalekie od zjednoczenia, było potęgą, z którą północ musiała się liczyć, kiedy przeciwne strony spotkały się na neutralnym gruncie, we wsi Rhagos, by ocenić swoje siły i negocjować los Irruna. Kiedy Kalli i Museon stanęli naprzeciwko Sereny i Irruna, Protektorka wbiła nóż krtań potomka diakorr i spuściła z niego krew na oczach ludzi z północy. Serena oznajmiła, że wyściadcza w ten sposób przysługę i północy, i Szaremu Człowiekowi, i zażądała spotkania z haronami. Pertraktacje skończyły się jej podróżą do Modrego Oka, w którym zobaczyła system funkcjonowania zamku, sposób działania samych haronów, miłość, jaką żywili do nich ludzie. Zawarła pokój z północą, na dowód którego w miejscu pierwszego styku północy z południem założono gród i zaczęto budować pałac, który mógł być rezydencją i władców południa, i północy. Kiedy Serena wróciła do Megarantu, nałożyła obowiązek wyznawania Szarego Człowieka, który egzekwowano krwawo i zaciekle.

Za życia Wynna Szary Człowiek trzy razy pielgrzymował przez cały kontynent, o wiele więcej razy pojawiając się na osobistych wizytach. Nie było już zakątka, w którym nie było słyszać o nim, ani o haronach i ich Modrym Oku, w którym założono monumentalne centrum kultu wypatrujące znaków od Zwiastuna, w pobliżu którego wyrosło Rhagos, wspaniałe miasto ozdobione wspaniałym pałacem. Megaranckie plemiona były jednak zjednoczone jak nigdy – wciąż różne i pełne sprzeczności, porzuciły wzajemne waśnie, by podjąć próby zdetronizowania Sereny, a kiedy ta umarła spokojnie we śnie, jej pierworodnego syna, Shimira, wciąż nazywającego siebie Protektorem. Każde plemię miało własnych bogów, których nie traktowali, według raportów Wynna, zbyt poważnie, i odmawiali wyznawania jednego boga, a co dopiero takiego z rzeczywistą, śmiertelną czcią. Udało im się zabić Shimira, a potem, na wszelki wypadek, zabili też całą czwórkę jego młodszego rodzeństwa, wszystkich wysoko postawionych urzędników i bogaczy, i Megarant znów był miastem wszystkich, a żyzne ziemie wokół niego spłynęły złotem.

Haroni w Modrym Oku byli tym, oczywiście, rozjuszeni. W Megarancie szalało bałwochwalstwo, a Temarair nie kwapił się, by je tłumić – z jednej strony zapewniali, że wiara w Szarego Człowieka jest niezaprzeczalnie jedyną słuszną, z drugiej nie widzieli nic złego w przyzwoleniu na dowolność kultu i zatracenie dusz Megarantczyków. W dodatku część diakorr dobiła zachodnich brzegów Wielkiej Wody i na powrót zdomowiła się w Naucenemeńskiej Puszczy, wrogo reagując na wszelkie próby kontaktu, a już szczególnie na te dotyczące Szarego Człowieka. Kontynent przez kilkadziesiąt lat stał u progu wojny religijnej na niepojętą skalę.

Wynn bał się i chciał wracać „do domu”.

Pewnego dnia Zwiastun wybuchł i czarny pył zasnuł wszystkie zakamarki lądu. Ziemia nie mogła wydawać plonów, wody były zanieczyszczone, zwierzęta w lesie padały martwe. Haroni próbowali czytać znaki, kontaktować się z Szarym Człowiekiem, lecz na marne. Pewien młody pastuch wszedł jednak podobno do Zwiastuna, by pomodlić się za swoją trzodę – i opuścił go z wiadomością, że poruszony czystością jego serca Szary Człowiek pyłem karze ludzi za nieposłuszeństwo i zwady. Młodzieńiec niósł także sześć mieczy, w których wciąż tępniła żywą lawa, na dowód, że przekazuje wolę samego boga. Pastuszek ruszył w pielgrzymkę do Modrego Oka, by wręczyć miecze haronom. Wzruszony jego poświęceniem i czystym sercem, ówczesny Haron Pokoju ustąpił ze swego stanowiska i oddał je pastuszkowi, by ten mógł spełnić wolę sprzyjającego mu Szarego Człowieka. Każdy z haronów dostał jeden miecz i podpisał się na nim nazwą cechy korespondującą z przybranym przez niego tytułem. Nowy Haron Pokoju wyruszył do pogrążonego w rozpaczce Megarantu i zażądał posłuszeństwa. Przerażeni Megarantcy przysięgli wierność Szaremu Człowiekowi i oddali się pod władzę Harona Pokoju. Ten następnie pospieszył do Temarairu i obiecał magom pieniądze w zamian za posłuszeństwo. Ci przysięgli wierność Szaremu Człowiekowi i oddali się pod władzę Harona Nadziei. W ojczystej puszczy Naauzyki diakorr nie chciały słuchać wysłannika i konflikt został rozwiązany krwawo. Choć miały przewagę terenu, haroni mieli armię i magię, i wkrótce diakorr musiały się poddać w zamian za łaskę dla garstki, która przeżyła. Przysięgły wierność Szaremu Człowiekowi i oddały ziemię pod władzę Harona Obowiązku. Haroni w Naucenemes, oddali ziemię pod symboliczne władanie Harona Mądrości, najstarszego i najuczciwszego z nich, podczas gdy Haron Pokoju wyruszył do zamku Pavilon, by rozmówić się z Okarią Vilon, z którą właściwie nie musiał się rozmawiać, ponieważ już była wierną przyjaciółką haronów i zagorzałą wyznawczynią Szarego Człowieka. Mimo to, kiedy Haron Pokoju wrócił do Naucenemes, obwieścił, że Pavilon staje się własnością Harona Sprawiedliwości, ponieważ i Okaria, i jej mężowie, i

żony, i dzieci, i wnuczeta, są martwi. Nic nie zostało dla Harona Przyjaźni, toteż Haron Pokoju przeciął nożem część mapy należącą do sędziwego Harona Mądrości i oznajmił, że jest to teraz Ynvuth, ziemia Harona Przyjaźni.

W raporcie Wynna padały słowa takie jak „tymczasowo”, „kuratela”, „doradztwo” i „pomoc”, lecz i on przestał ich używać, kiedy Haron Pokoju osadził swojego zastępcę w Megarancie, a sam ulokował się w Pałacu Popiołów. Z pewnością wszyscy wokół niego protestowali, lecz kiedy zasiadł na tronie, chmura wulkanicznego pyłu rozstąpiła się. W ziemię, wodę i powietrze wstępisko nowe życie. I tak samo stało się z plemionami Megarantu, które, choć wysławiały wielkość Szarego Człowieka, nie zgadzały się na rządy haronów – lecz Meaveleth I Szary natychmiast zdusił ich wysiłki, uznając każdego mieszkańców prowincji za niewolnika w świetle prawa.

Dwanaście lat minęło, odkąd haroni obwołali go królem Królestwa Świętej Unii Ziemi Zjednoczonych Miłością Szarego Człowieka w świetle milczącej aprobaty Zwiastuna, kiedy Meaveleth otworzył królewską bibliotekę, w której zebrane były wszystkie wynalazki, artefakty, drukowane i pisane ręcznie egzemplarze literatury naukowej, historycznej i ludowej z całego królestwa. Zaprosił też magów, haronów, uczonych i historyków na wielkie przyjęcie uświetniające tę okazję. W czasie zabawy ktoś zaproszył ogień, z którego nie uratowała się ani jedna książka i ani jedno ludzkie istnienie. Cała wiedza tych mnogich ludów, wśród których Wynn ukrywał się przez tysiąc sto lat swojego żywota, przepadła. Nie wiadomo nawet, jakie imiona nosili haroni pełniący swą kadencję w czasie powstania Świętej Unii – został tylko Meaveleth.

\*

Kai leżał na podłodze skulony w embrion. Byłby właściwie skulony w embrion, gdyby mógł zginać nogę, której nie miał. Zamiast tego, hebanowa narta leżała wyprostowana, sztywna i apatyczna.

I Kai też był apatyczny. Nie, nieprawda. Był zdruzgotany. Nie, nieprawda. Był bezsilny. Nie, nieprawda... Był przytłoczony. Leżał i wiedział, że nie powinien, ale cóż miał zrobić? Ma bić na alarm przeciwko Ludziom Nieba? Właśnie przeczytał o historii swojego kraju w ich języku, bo tylko w tym jest to w ogóle możliwe do przeczytania. Król, którego nazwali przydomkiem Szary, król, który był haronem, zniszczył wszystko, żeby zdobyć władzę w imię boga, któremu służy Kai. I cóż?... I bóg, i potomkowie króla, i haroni rządzą po dziś dzień. Nie było żadnej kary, ani odkupienia. Raport się kończył, kiedy Wynn prosił o

przepustkę do domu, a potem pewnie umarł. Ostatecznie. Już wtedy był tak blisko stolicy, za Wrednymi Bagnami, zapewne gdzieś w Zlewisku. Tyle wypatrzył. Pewnie podobny Wynn jest już w Modrym Oku od kogo raczy wiedzieć ilu lat... od stuleci...może tysiącleci... I co? Przyjdą, wyróżnią każdego? Przecież nie muszą. Wystarczy, że ich przeżyją. Na Kaiu wyrośnie trawa, a po niej stąpać będzie Człowiek z Nieba. Naturalny krąg życia. Tak jak wioskę zastąpił gród, gród miasto, te kilka miast państwo, państwa złączyły się w imperium, a imperium przemieni w zwierciadlane odbicie nieba... Tak już chyba być musi. Żal tylko, że wiedza o tym, co było, jest tak... przytaczająca.

Ktoś odsunął obraz księcia Diona od zewnętrz. Kai uniósł się na łokciach jak rażony piorunem.

- Silarus?

Silarus stał w świetle błękitnej pochodni, uśmiechając się gorzko.

- Ja – odpowiedział.

- Skąd... Jak...

- Kiedy byliśmy w Ariano, świsnęliśmy z Atianem twoją książkę. Znalazłem zagadkę, dostałem kamień od Riusa i rozlupałem go mieczem ojca, kiedy byłeś z Cerro na schadzce. Rozbiłem Kallo nos w czasie treningu i znalazłem to miejsce. Potem zgubiłem monetę, wiem, że jestem kretyinem, ale kiedy Rius umarł, znalazłem w jego pokoju jeszcze cztery.

Wpatrywali się w siebie.

- I co teraz? – wychrypiał w końcu Kai.

- I nic teraz – odparł Silarus i wszedł do środka, zasuwając za sobą portret.

- Zamierzasz nauczyć się...

- Nie. Nie zamierzam nawet zgadywać, co jest w tych książkach. Pewnie niezłe bajki, co?

Jego wzrok ślizgał się po tytułach, ale jego dłoń nawet nie próbowała żadnego dotknąć.

- Powiedziałeś o tym ojcu?

- Nie. I nigdy mu nie powiem.

- Dlaczego?

- Bo nie chcę, żebyście się pozabijali. I to o Ludzi Nieba, phi. Powinieneś przestać w nich drażyć, ale wiem, że cię nie przekonam. Skoro historia mojej matki cię nie ostrzegła, to już chyba nic nie da się zrobić.

- Silarus... Tu jest o wiele więcej niż ta zakichana reinkarnacja...

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Naprawdę? W ogóle cię to nie ciekawi?

- W ogóle. To znaczy, to nie do końca prawda. Ciekawi mnie, ale nie na tyle, żeby szukać tłumacza wśród wrogiego ludu, uczyć się wrogiego języka i, co najgorsze, musieć zaraportować o tym ojcu, który jest generałem. Już się najadłem wystarczająco strachu, kiedy znalazłem to miejsce. Nie zamierzam zamęczać się treściami tych książek, ani przyspieszać tego, co nieuniknione. Ostrzegam jednak, że jestem słaby w nie donoszeniu, dlatego, jak widzisz, donoszę teraz na samego siebie.

Usiadł, skrzyżowawszy nogi, wciąż z jakby zażenowanym uśmiechem.

- Dlaczego? – wykrztusił Kai.

- Długo stąd nie wychodziłeś i zacząłem się martwić. Nie zdziwiłbym się, gdyby były tu trująco-duszące książki. Albo jedne z tych wciągających cię do papieru...

- Ty mnie naprawdę cały ten czas szpiegowałeś? I to aż tak dokładnie?

- Czasem tak, czasem nie. Zależało od mojego nastroju. Dzisiaj ostatecznie przestaję.

- Dlaczego?

- Niedługo wyjeżdżam.

- Dokąd?

- Za Wielką Wodę.

Obydwaj przyglądali się sobie z bardzo głupimi minami, choć mina Kaia była z pewnością o stokroć głupsza.

- A więc znalazłeś tajne informacje – brnął Kai – nie zamierzasz ich wykorzystać i mówisz mi o tym?

- Dokładnie.

- Nie pojmuję.

- Myślałem, że zajmujesz się kombinowaniem, jak tu owinąć sobie haronów wokół palca, a potem znalazłem to miejsce. Rozpoznałem pismo z tego zaszyfrowanego liściku, o którym Melbourne doniósł mojej matce, i prawie się posrałem ze strachu. Jednak milczałem. A potem zabrałeś mnie na wyprawę do wioski Ludzi Nieba. Nie chcę wymieniać z nazwiska, kto tym razem posrał się ze strachu. Sprowadziłeś też sobie jednego z Ludzi Nieba na zamek i ciężko jest teraz spać w nim bez codziennej potrzeby zmiany pościeli. Widzę, że zmierzasz w kierunku przepaści i nie da się ciebie powstrzymać. Ja nie zamierzam mieszać się w tak niebezpieczne sprawy i mogę ci tylko doradzić to samo.

- Jak mam niby się w to nie mieszkać? Oni mogą tu niedługo nadjeść. Może już tu są.

- Dlatego ja stąd spieprzam.

- Tobie może być łatwo.

- A ciebie co zatrzymuje? Bierz wszystkich, na których ci zależy, pod pachę, i uciekaj.

- Co to da? Prędzej czy później dotrą też za Wielką Wodę.

- Wtedy już dawno będzie rosła na nas trawa.

- I to cię zadowala?

- Gdybym żył tyle, co oni, to może przejmowałbym się czymś więcej. Ale nie jestem ani tak szalony, ani tak ambitny.

- Wiesz, tu są książki nie tylko o nich. Są też o tym, co było tu przed Świętą Unią. O tym, co działało się przed Meavelethem Szarym.

- To pewnie dlatego tak marnie wyglądasz.

- Tak... Tego też nie jesteś ciekawy?

- Nie. Wolę słodką łaskę błogiej niewiedzy.

Wyłożył się na sprochniałej podłodze, zakładając ręce za głowę. Kai po chwili dołączył do niego. Leżeli ramię w ramię, wpatrując się w pozbawiony fresków sufit.

- Czy wielu ludzi ma takie samo podejście? – zapytał, wciąż odrętwiały po fali informacji, które musiał przyswoić.

- Ciężko wymagać, żeby ktoś przejmował się tym, kto zabił kogo trzy tysiące lat temu. Trochę powagi, Kai.

- Niech się nie przejmują. Ale mogliby chociaż pamiętać.

- Teraz ty pamiętasz. Przetłumacz te książki i rusz tę swoją spółkę z Maginotem, żeby je wydali.

- To jest, doprawdy, nie najgorszy pomysł, Silarus.

- Dziękuję.

- I w ogóle, odkryłeś to miejsce, zanim ja je odkryłem. Imponujące.

- Dziękuję.

- Rozmawiałeś po jego odnalezieniu z Riusem?

- Rozmawiałem. Pokazywał mi swoją kolekcję monet ze wszystkich stron świata, aż wynudził ze mnie wszelką podejrzliwość.

- Mhm. Jest jeszcze coś, o czym wiesz, a ja nie wiem, że wiesz?

Silarus myślał chwilę.

- Wiem, że Magmowy Miecz ojca leży na dnie przepaści.

- Mhm.

- Wiem, gdzie udzielasz lekcji szermierki Cerro.

- Czasem mam wrażenie, że pół dworu wie.

- I wiem, że zamówiła ci prezent w Tkalni Cudów.

- Co takiego? Przecież... A wiesz, co to takiego?
  - Wiem. Ale ci nie powiem. Dostaniesz go w Zakwitanie.
- Kai miał domagać się odpowiedzi, ale jednak zrezygnował.
- Powinniśmy byli częściej rozmawiać, Silar. Będzie mi cię brakować.
  - A mi ciebie, Kai.

\*

W dzień Zakwitania Kai modlił się, by jakimś cudem wszyscy o nim zapomnieli i nie zmuszali do uczestniczenia w uroczystości, podczas której będą tańczyć, przechadzać się i współczuć Kaiowi, że on tego robić nie może. Mógł tylko kuśtykać, chwiać się i siedzieć, skryty za ciężkimi meblami bo wtedy ludzie przynajmniej zapominali, że nie ma nogi. On sam czasem zapominał. A potem wstawał. A potem się budził.

Czasem jeszcze po przebudzeniu miał wrażenie, że ją ma. Mógłby przysiąc, że rusza palcami. Mógłby przysiąc, że swędzi go kolano. Mógłby przysiąc, że czuje materiał prześcieradła.

Lecz wtedy odkrywał kołdrę i widział, że nic pod nią nie ma.

Cerro odsunęła drzwi łazienki i wyszła z niej, poprawiając włosy. Dół jej śnieżnobiałej sukni ledwo mieścił się w progu.

- Gotowy? – zapytała, zajęta swoim odbiciem w toaletce.

Nie był i nie chciał, ale ona już była, a Kai zrobiłby wiele, by być w jej obecności. Pamiętał w końcu o prezencie, o którym mówił Silarus.

- Jeszcze chwilę – odpowiedział.

Ostatecznie cieszył się, że wygramolił się z łóżka, bo Meglyne z pewnością byłoby przykro, gdyby go nie zobaczyła. Mogła być sobie Człowiekiem Nieba, ale Kai był prawie pewien, że nie jest szpiegiem. Chyba, że oni umieją aż tak dobrze kłamać. No, w każdym razie lepiej, że jest pod jego nosem. Ale jeśli kłamie, to skąd ma wiedzieć, czy język, którego go nauczyła to maucahhagge? Nie, to niedorzeczne, nie skonstruowałiby sztucznego języka tak, żeby pokrywał się co do jedynej z treścią książek i dawał tylko inne znaczenie. Chyba, że i te książki są napisane tym sztucznym językiem i podstawiono je, żeby wprowadzić go w błąd...

- Chcesz się wybrać na przejaźdżkę?

Dla Kaia mogłaby to być całość tajemniczego prezentu. Samo to pytanie wypowiadane znudzonym, beznamiętnym tonem sprawiło, że jego stopy zaczęły podrygiwać w podekscytowaniu. Przynajmniej, dopóki nie uświadomił sobie, że tak naprawdę

jego prawa stopa wcale nie podryguje. Jego prawa stopa już dawno stała się popiołem w nastygmatyzowanych dloniach Chevity. Musiał wykuśtykać z pełnej ludzi sali, ślizgając się na kwiatach i zwieszając swoją pelerynę tak, żeby sięgała jak najniżej, najlepiej do samej podłogi. Potem musiał jeszcze wdrapać się na konia, i to z pomocą stołka zwykle podsuwaneego kobietom i dzieciom. Nawet Cerro poradziła sobie zgrabniej od niego, a na pierwszy rzut oka widać było, że boi się koni i najchętniej by się do nich nie zbliżała. Wszędzie było tyle ludzi... Wszyscy przechadzali się po obu dziedzińcach i pozdrawiali Kaia. Uśmiechali się do niego. Tylko niektórzy łaskawie udawali, że wcale na niego nie patrzą i są bardziej zainteresowani brodzeniem w reszkach śniegu pod ich stopami. Ciekawe, jak ten dziedziniec wyglądał za czasów Vei i Daniki.

Jechali dłuższą drogą, nie aż tak stromą, a koń Cerro niósł ją nieco naprzód. Kai widział krople potu na jej skroni, kiedy chwiała się na potężnym zwierzęciu, nad którym panować musiała z dwoma nogami tylko po jednym jego boku. Kai nie znalazł jeszcze informacji, dlaczego i kiedy w Świętej Unii kobiety zaczęły być traktowane inaczej niż mężczyźni, ale pamiętała raport na temat masakry na zamku Pavilon, na rodzinie kobiety, która była sojusznikiem Meaveletha, nie miał więc powodu...

- Dlaczego nic nie mówisz? – spytała Cerro, a jej dyskomfort nie pozwolił jej nawet się obejrzeć.

- A o czym mam mówić?

- Zawsze coś wymyślasz.

Koń Cerro parsknął wesoło, a ta chwyciła lejce tak mocno, że kłykcia jej palców zbielały.

- Jak jesteśmy sami i jeździmy po lesie, możesz siedzieć normalnie. Przynajmniej o tyle będzie ci łatwiej.

- Przecież siedzę normalnie. Poza tym, za chwilę wjeżdżamy do miasta.

Kai uniósł brwi w zdziwieniu, czego Cerro, oczywiście, nie widziała. Zastanawiał się, czy jadą dopiero odebrać prezent z Tkalni Cudów - i rzeczywiście, wkrótce jechali przez przystrojone kwiatami ulice targu. Pomyśl, by jechać konno poprzez ciasne i zatłoczone uliczki, nie był najmądrzejszy, i Kai posyłał rozpoznającym go mieszkańców przepraszające spojrzenia, jednak i tak każdy pierzchał przed koniem księżniczki, której zapewne nigdy na oczy nie widzieli, ale słyszeli o jej wiecznie żałobnym stroju i wyniosłym obliczu.

Kiedy zeskoczyli z koni przy Tkalni Cudów, Chigus leżał akurat rozłożony w hamaku przy swoim sklepie.

- Harnenn Vea i przyjaciel! – uśmiechnął się promiennie, wyciągając do nich miskę jakichś egzotycznych orzechów, którymi Kai bez namysłu się poczęstował. – Najlepsze życzenia na Zakwitanie!

- Dziękujemy, choć my dzisiaj nie zakwitamy – Cerro odwzajemniła uśmiech. – Przyjechaliśmy po przesyłkę.

- Tak! – Chigus podniósł się z hamaka, ani przez moment nie dając im do zrozumienia, że przerwali mu wypoczynek. – Chyba najdroższa rzecz, jaką tutaj sprzedałem.

Kai, z policzkami wypchanymi orzechami, spojrzał na Cerro z przestrachem, lecz ta już przestępowała próg sklepu. Kai podążył za nią.

Tkalnia Cudów była miejscem wyglądającym, pachnącym i nawet brzmiącym magicznie za sprawą dzwonków i pozytywek wygrywających przedziwnie zharmonizowane takty. Chigus szukała pakunku w stosie skrzyń, a Cerro nachyliła się nad mglistą kulą, w której maleńki statek koływał się na spokojnych falach.

Chigus wyciągnął w końcu długie pudło i położył je na ławie. Cerro podniosła je i zachwiała się, jakby zdziwiona ciężarem. Wręczyła je jednak Kaiowi, zanim sprzedawca zdążył odezwać się choćby słowem.

- Dla ciebie – powiedziała. – Za tamte rękawice.

- No cóż... Dziękuję.

Kai odłożył paczkę z powrotem na stół, podniósł wieko i poczuł się nagle bardzo słaby.

W środku była proteza. Była piękna jak misternie rzeźbiona magiczna różdżka albo gałąź drzewa przywiezionej z Wrednych Bagien. Składała się ze splotów złota, stali i błękitu, które pulsowały magią, ułożone tak, by przypominały ludzkie udo, kolano, łydkę i stopę. Było to tak bardzo przypominające jego nogę, a jednocześnie tak bardzo od niej inne, że był bliski zwymiotowaniu.

- Nałóż ją – powiedziała Cerro. – Spodoba ci się.

- No nie wiem – mruknął Kai, zanim się zreflektował. – To znaczy, to wspaniały prezent, ale...

- To nie prezent, tylko inwestycja. Nie odzyskasz nogi, prawda, ale będziesz mógł robić to, co dawniej. Dalej będziesz mógł udzielać mi lekcji. Będziesz mógł pomagać biednym. Będziesz użyteczny i dla mnie, i dla siebie, i dla Świętej Unii. Nałóż ją.

- Tam usiądź, przyjacielu – Chigus wskazał na stołek pod ścianą.

Kai bardzo nie chciał, ale usiadł na stołku, po drodze kuśtykając na tym żenującym, drewnianym palu. Mógł poprosić Chevitę, Myrona, kogokolwiek, o załatwienie mu lepszej protezy, mechanicznej, albo nawet magicznej. Ale przedzej by chyba szczeżł ze wstydu.

Chigus uniósł sztuczną nogę, która raz wydawała się Kaiowi kawałem mięsa, raz czymś w ogóle do ludzkiego ciała niepodobnym. Podszedł do Kaia i kucnął przy nim, od razu podwijając nogawkę jego spodni. Kai natychmiast wyrwał mu materiał z rąk i sam dokończył, zmuszony podwinąć go tak, by odsłonięte było wszystko, co zostało z jego uda. Nie mógł przypomnieć sobie, kiedy ostatnio wstydził się tak bardzo. Chyba... Chyba, kiedy obudził się po amputacji i uświadomił sobie, że to nie jest sen, i nie może nawet o własnych siłach wstać się odlać.

Cerro znów pochylała się nad statkiem w kuli. Litowanie się nad jego dumą nie było do niej podobne. Ale tak samo nie było do niej podobne dawanie mu prezentów. I odwzajemnienie wyskakującego znikąd pocałunku...

- Robota qukkmerskich kapłanów – powiedział Chigus, rozplątując pasma protezy i zacieśniając je wokół kikuta. – Qukk zgodził się i pobłogosławił. Przesyła pozdrowienia.

- Qukk? W sensie, król Qukkmeru?

- Harnenn chciała najlepsze dzieło. Magiczni kapłani quukka są najlepsi, ale potrzebują błogosławieństwa quukka.

- Czy dla niego nie jestem przypadkiem wojującym heretykiem?

- Tak, przyjacielu. Powiedział, że z dwóch bogów, którzy chodzą po ziemi, wybierz łaskawszego.

Kai uśmiechnął się lekko i wciągnął powietrze w przestrachu, kiedy Chigus bez żadnego oporu zgiął protezę w miejscu przypominającym kolano. Przyzwyczajony do dreptania na prostym palu, ze zgrozą przyglądał się Chigusowi bawiącemu się ruchomymi częściami kolana, kostki i uda.

- Mag zrobi to najlepiej – odezwał się Chigus. – Trzeba oszczędzać z magią, więc z nogą też. Możesz przez nią chorować, jeśli będzie za dużo. Ale teraz powinno być dobrze. Rusz tutaj.

Wskazał na miejsce, w którym sploty kolorowych tętnic i kruszów udających kości zacieśniały się i oddzielały sztuczną łydkę od sztucznej stopy. Kai pomyślał, że oddałby duszę, by móc zakręcić stopą.

Jego oczy urosły do rozmiarów spodków, kiedy sztuczna stopa wykonała polecenie jego myśli. Chigus natychmiast wpuścił protezę, która nagle jakby nabrala ciężaru i życia, i

Kai poczuł się, jakby ten właściwie obcy człowiek przez ostatnie pięć minut dotykał jego ciała, i to właśnie stąd wynikał cały dyskomfort, który teraz ustąpił miejsca niedowierzaniu.

Jego nowa noga poruszała się identycznie jak ta stara, która wyrosła mu w łonie matki, zamknięta w bucie i nogawce spodni, wyglądająca na wręcz upośledzoną bez wyraźnie rozdzielonych palców, kostki, łydki, uda. Kai mógł ruszać palcami, mógł zginać nogę w kolanie, mógł sięgać nią w dowolnych kierunkach, mógł ją unosić. Nie czuł w niej nic i przyglądarki się jej ruchowi było jak próba rozruszania ścierpiącej kończyny – tylko że nie przychodziło ani mrowienie, ani rwący ból, którego Kai cały czas się spodziewał. Nie mniej, mógł wstać. Mógł przejść. Instynktownie, zaczął kuśtykać na zupełnie wyprostowanej protezie, zanim uświadomił sobie, że może zginać prawą nogę tak samo jak lewą. Więc przeszedł jeszcze raz, zupełnie swobodnie, zupełnie tak jak kiedyś, i Chigus zaśmiała się, szczęśliwy, a Cerro oderwała oczy od statku i podziwiała go z uśmiechem.

Kai kucnął, opierając łokieć na prawdziwym kolanie, a potem na sztucznym. Przesunął palcami po śliskiej, skomplikowanej powierzchni, zupełnie innej niż skóra, pory, włosy. Gdyby jego druga noga miała nogawkę zadartą aż po udo, czułby się niemalże nagi, ale teraz patrzył na cud magii i techniki, dzięki któremu... będzie mógł robić to, co dawniej. Wszystkie te rzeczy, które Cerro wymieniła.

Wstał i podszedł do niej, bo mógł. Już nie musiał kuśtykać, mógł iść długimi albo i krótkimi krokami. Cerro uśmiechała się, szczęśliwa. Nie próbowała tego ukryć, ani udawać, była po prostu szczęśliwa. Gdyby nie obecność Chigusa, Kai pewnie znów by się na nią rzucił.

- Nie wracajmy na zamek – powiedział.

Szczęśliwy uśmiech spłynął z ust Cerro.

- Co?

- Nie wracajmy dzisiaj na zamek. Pobawmy się na mieście. Jest Zakwitanie i odwilż, wszyscy się bawią.

Teraz uśmiechnęła się, próbując powstrzymać zadowolenie.

- Dobra – kiwnęła głową.

- Potrzebujemy nowych ubrań, Chigus – Kai zwrócił się do zachwyconego sprzedawcy. – Daj nam coś, co noszą zamorscy mieszkańców.

Klamstwem byłoby stwierdzenie, że nikt nie zwracał na nich uwagi, kiedy płasali ulicami Nauenemes. Wielu ludzi rozpoznawało Kaia po włosach, lecz w dzielnicach nie należących do szlachty i bogatego mieszkańców właściwie każdy oglądał się za Cerro tylko z powodu jej stroju – mogła uchodzić za cudzoziemkę w czarno-szkarłatnej sukni, z której

zwieszały się czerwone kokardy wieńczące ogony wyhaftowanych na materiale dalmatyńczyków. Suknia prawie odsłaniała ramiona, jej rękawy kończyły się na łokciu, a spódnica nie zasłaniała stóp, na których widniały błyszczące, czarne trzewiki na plecionej czerwonej platformie. Suknia wyglądała nieco niedorzecznie, ale Chigus zarzekał się, że jest to szczyt mody na pamiońskich ulicach, tak samo zresztą jak czarna koszula pozbawiona guzików, za to wyposażona w wysoko stojący kołnierz i haft wyobrażający kiście szkarłatnych czereśni, którą nałożył Kai. Koszula ta, podobno, miała nie być włożona w spodnie, ale wisieć na nich luźno, podczas gdy one luźne robiły się dopiero w okolicach nogawek odsłaniających platformowe trzewiki ozdobione czereśniowymi koralikami.

Wyglądały absurdalnie, kiedy przejrzały się w lustrze Chigusa, lecz wyszli od razu na główne ulice, by mijać mieszkańców kierujących się w przeciwną stronę, zapewne po resztki z królewskiej uczty, i Cerro co chwilę gubiła się w tej fali, co i rusz odskakując od kogoś, kto ją niechcący otarł, jakby myśląc, że ten ją zaczepił, jakby miał do niej sprawę. Nie była jednak przerażona – była podekscytowana, rozchwytywana przez bodźce i nie miała pojęcia, na który zareagować, na którym się skupić, a o którym zapomnieć. Kai szedł tuż za nią, domyślając się, że ona wygląda tak jak on się czuje – mógł opierać swój ciężar równomiernie na dwóch stronach, mógł chodzić z gracją, mógł wskakiwać na krawężniki, mógł podbiegać do Cerro, kiedy fala ludzi ich rozdzielała, mógł wyprzedzić ją i oprzeć się o stragan, zakładając protezę na nogę, by wskazać na kolekcję wymyślnych pochw na myśliwskie noże, które mogły Cerro zainteresować.

Nie wprowadził jej, oczywiście, w najbiedniejsze, ani w najniebezpieczniejsze zakamarki miasta, ale nie widział nic złego w odwiedzeniu dzielnicy rzemieślniczej, w której ci, którzy nie mogli pozwolić sobie na przerwę z okazji święta, a więc przede wszystkim czeladnicy i ich pomocnicy, lepili garnki, kuli podkowy, lukrowali ciasta, mieliły przyprawy, prali materiały, wyrywali zepsutezęby i piekli pieczywo. Cerro zobaczyła najlepszą na świecie piekarnię mistrza Taurona, z której chleb jadła codziennie rano; skosztowała jabłcznika z cukierni; pogawędziła, spłoszona, z kobietą próbującą sprzedać jej drewnianą biżuterię i obserwowała, zachwycona, obrót koła garncarskiego. Kai, choć sam musiał wykonywać wiele z tych prac w Strażnicy Świata, zapewne przyglądałby się wszystkiemu z nie mniejszą fascynacją, gdyby nie był bardziej zajęty przeskakiwaniem przez kałuże, wdeptywaniem śniegu w chodnik i robieniem piruetów z wyimaginowanym mieczem w ręku. Oczywiście, starał się, by akurat nikt na niego nie patrzył.

Dotarli wreszcie do Pyne, dzielnicy artystów, w której garncarze, malarze, krawcy i rzeźbiarze pracowali niemalże na ulicach, na widoku, ku ucieczce gawiedzi. Ludzie tutaj byli

na tyle bezpośredni, że krzyczeli za Cerro, podziwiając jej strój. Czasem dało się wyczuć w tonie ich głosu ironię, czasem szczery zachwyt, jednak Cerro na nic nie odpowiadała, uśmiechając się tylko niezręcznie. W ogóle, nie przestawała się uśmiechać.

Kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi, dotarli do oczka wodnego. Przewoźnik łodzi popalał akurat fajkę, stojąc przy brzegu, i Kai od razu sięgnął do kieszeni, szukając możliwej zapłaty, kiedy zobaczył Cerro opartą o płot jakiegoś mało godziwego przybytku.

Stanął obok niej i zobaczył małe amfiteatr pełen ludzi. Zamaskowani aktorzy odprawiali akurat jakiś taniec, drepcząc na palcach po niebieskim materiale i falując rękami. Kai mógł się tylko domyślać, że odgrywają ryby.

Sprawdził prędko, czy jest w stanie stanąć na palcach. Był.

- Chcesz tam iść? – zapytał.

Cerro przytaknęła i podążyła za Kairem, który przeszedł przez płot, unosząc wysoko najpierw nogę, potem protezę.

Kiedy zbliżyli się do tłumu, jakiś zakapior natychmiast wystawił do Kaia otwartą rękę. Kai wrzucił na nią parę srebrnych monet, na które zakapior wybałuszył oczy.

- Czyli miejsca siedzące – powiedział. – Zapraszam.

Pozwolił im wejść tak, by byli w stanie przepchnąć się na siedzącą publiczność, jednak było to właściwie niemożliwe, toteż udali się na połać trawy, też gęsto usianą rozłożonymi na niej ludźmi. Niektórzy z nich leżeli na kocach, inni zajadali się chlebem jak na pikniku, jeszcze inni dyskutowali donośnie. Kai i Cerro usiedli pod płotem, oglądając przedstawienie w pomarańczowych promieniach słońca.

- Bul-bul – powiedziała jedna ryba do drugiej.

- Bul-bul-bul - odpowiedziała druga ryba.

- Bul-bul-bul-bul – zaprotestowała pierwsza. – Bul-bul-bul. Bul-bul?

Druga już miała się odezwać, lecz wtedy na scenę wszedł mężczyzna, na którego widok niektórzy z publiczności westchnęli, przestali rozmawiać, jeść albo podnieśli się do pozycji siedzącej. Mężczyzna miał długie brązowe włosy które kończyły się u pasa. Ubrany był wyjątkowo odważnie, w zwiewną niebieską koszulę pozbawioną rękawów, przez którą widzowie w pierwszych rzędach mogli z pewnością zobaczyć jego nagość. Jego getry były jakby pokryte łuską i bardzo, bardzo, bardzo obcisłe, kończące się nad bosymi stopami. Kai chyba rzeczywiście spędza za dużo czasu z tymi zapiętymi po szyję dziadami, jeśli taki strój wydaje mu się „odważny”.

Mężczyzna, który był również obdarzony kanciąszką szczęką, opaloną cerą i wyraźną muskulaturą, trzymał w ręku ozdobne krzesło, które postawił z hukiem na scenie.

- Ty uczeszesz mi włosy – powiedział do pierwszej ryby. – Ty obetniesz mi paznokcie – powiedział do drugiej.

Usiadł na krześle, patrząc wprost na widownię, jakby była malarzem właśnie uwieczniającym jego wdzięki. Widownia zachichotała.

- Bul-bul? – zapytała pierwsza ryba.

- Bul-bul – wzruszyła ramionami druga.

Mężczyzna przewrócił oczami.

- Ty – włosy. Ty – paznokcie.

Wrócił do poprzedniej pozycji, a skonsternowane ryby sięgnęły za krawędź sceny, by poszukać potrzebnych narzędzi.

Jedna wyprostowała się, trzymając w płetwach szczotkę i widelec.

- Bul-bul? – zapytała.

Większość publiczności zagłosowała na widelec, którym wdzięczna za pomoc ryba zaczęła cześć długie włosy człowieka. Widownia zachichotała.

- Bul-bul? – zapytała druga ryba, która miała w ręku malutkie cążki i olbrzymie nożyce.

Widownia już miała udzielić jej rady, kiedy ktoś wrzucił na scenę pędzel ubabrany żółtą farbą.

- Bul! – wykrzyknęła w triumfie ryba i zabrała się do smarowania palców człowieka, który zmarszczył brwi podejrzliwie.

Widownia ryknęła śmiechem, i śmiali się też siedzący z przylegającymi do siebie ramionami Kai i Cerro, przez resztę sztuki o minstrelu podszywającym się pod Króla Mór stażący się wielbicielami wszystkich aktorów, a w szczególności Zefira, który, jak szeptała podekscytowana dziewczyna siedząca wraz z koleżanką niedaleko płotu, z pewnością będzie kiedyś występował na królewskim dworze.

Po tym, jak aktorzy zostali obrzuceni płatkami kwiatów i oblani winem, właścicielka przybytku powstała, by zaprosić wszystkich na zabawę uświetniającą Zakwitanie dotyczące w tym roku również jej córki. Kai i Cerro weszli więc do środka i skulili się w kącie ławy, gdzie do ściany przyciskała ich masa jakichś wyjątkowo nerwowych młodzieńców, którzy, choć bycie ochlapanym winem przeznaczonym dla utalentowanych aktorów uznawane jest za szczęśliwy znak, byli tym faktem raczej mało zadowoleni i desperacko wycierali chodaki szmatką podaną im przez karczmarkę. Kai i Cerro zamówili polecone przez nią ciemne piwo gruszkowe i rozglądali się, obserwując rozwój zabawy.

Na dworskich uroczystościach zwykle zaczynało się od przemowy, potem trwała uczta, potem tańce i wreszcie rozmowy, podczas gdy tutaj wszystko działało się równocześnie i natychmiast. Pobrudzeni winem młodzieńcy rzucili się od razu po względnym oczyszczeniu w wir tańca z pokrytymi mikaonem dziewczetami, a na ich miejsce przysiedli się spocen podskokami nieco dojrzałsi mężczyźni, którzy wysysali zawartość ostryg ze wspólnego półmiska. Wkrótce do zabawy dołączyli również wciąż poplamieni winem aktorzy, którzy natychmiast przystąpili do tańca, a śledzenie, które pary wymieniają się z którymi, stało się już完全nie niemożliwe.

Kai czuł drżenie pod stopami od bliżej nieokreślonego czasu, a kiedy zajrzał pod stół, zobaczył platformowe buty Cerro plassujące w rytm szaleńczej muzyki. Kai zobaczył też swoje platformy i wystającą spod nogawki sztuczną kostkę – i uświadomił sobie, że przecież może zaprosić ją do tańca.

Nagle koło jego stopy pojawił się maleńki klapouchy pies, który zlizywał sos z ostryg z podłogi. Kai poskrobał psa między uszami, a ten polizał i jego palce, merdając ogonem, toteż Kai wziął szczeniaka na ręce i postawił go na stole.

- Popatrz, Cerro.

Cerro odwróciła głowę od parkietu do stołu.

- Oooch – westchnęła błogo, natychmiast gąsaczając wniewbowziętego psa po całym pokrytym ciapkami ciele. – Jesteś przerozkoszny!

Z wirującej brei ludzi na parkiecie nagle wyłonił się aktor Zefir. Spocony, zdyszany i odprowadzany pożądliwymi spojrzeniami, położył rękę na prawie gołym ramieniu Cerro, a ta podskoczyła, wybałuszając na niego oczy. Rzeczywiście, z tak bliskiej perspektywy nagość Zefira zakryta cieniutkim materiałem była wyraźna i bezsprzeczna.

- Tańczy pani? – zapytał.

Cerro wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, nawet nie próbując odpowiedzieć. Lekko skonsternowany Zefir spojrzał wtedy na Kaia.

- Tak, tańczy – powiedział. – Nie jest stąd, nie za bardzo rozumie języka.

Zefir zrobił minę pełną zrozumienia i przybrał pozycję charakterystyczną dla walca aregorskiego. Cerro wstała i wpasowała się w pozycję, zanim Zefir chwycił ją za rękę i zaciągnął w wir ludzi, którzy tańczyli coś zupełnie walca aregorskiego nie przypominającego, a wymagającego podnoszenia nóg wysoko, szybkiego przebierania piętami, podnoszenia rąk i częstej zmiany partnerów. Kai próbował śledzić sukienkę i głowę Cerro wyłaniające się od czasu do czasu z tłumu i widział, jak wpada w ramiona jednego tancerza za drugim, w pewnym momencie nawet tancerki, na co Cerro odskoczyła jak poparzona, przepraszaając ją

gorączkowo, a tancerka tylko zaśmiała się, chwyciła Cerro po męsku i powróciła do tańca. Kai uśmiechał się, obserwując tę scenę, mimo że uświadomił sobie, jak fatalnie się czuje.

Właściwie nic sobie nie uświadomił. Poczuł się fatalnie w momencie, w którym Cerro opuściła stół.

Wstał tak gwałtownie, że i pies, który wrócił pod stół, i zagradający mu przejście biesiadujący spojrzały na niego, zdziwieni. Kai mógł przeskoczyć stół - i to zrobił. Zbliżył się do tańczących, naśladowując ich ruchy i dopasowując je do ich rytmu, ponieważ mógł. Potem wbił się w jeden z ciasno przylegających do siebie płaszących pierścieni i odnalazł Cerro. Uśmiechnął się szeroko, a ona uśmiechnęła się jeszcze szerzej, odsłaniając zęby.

- Hej – powiedziała.
- Hej – odpowiedział. – Przetestujmy twoją inwestycję.

Natychmiast złapała go za talię, jakby był partnerką, a on instynktownie chwycił ją za ramię jak partnera. Cerro wybuchła śmiechem, widząc głupawą minę Kaia i wciągnęła go w płataninę rąk, nóg i materiałów, w której co chwilę rozstawali się, by dotknąć kogoś innego, ale finalnie powracały do siebie.

Kai mógł równie dobrze kręcić się tam parę godzin, czasem niesiony bardziej siłą tłumu niż swoją własną, aż zrobił świadomym wysiłkiem, żeby z niego uciec i opaść na bar przed karczmarką.

- Dwa pokoje – wydyszał, kładąc cerseny na blat.
- Na jedną noc? – dopytała uśmiechnięta gospodyn.
- Na razie – odparł Kai, dostał klucze i powrócił do tańca.

Kiedy siedzieli potem na balkonie łączącym ich pokoje, byli tak wyczerpani, że ledwo mogli myśleć. Książyc odbijał się w jeziorku, po którym przewoźnik obwoził krzyczącą w pijackim amoku parę, a w świetle ulicznych lampionów widzieli ludzi potykających się o własne nogi, śmiejących się, tańczących i ani myślących iść spać. Zabawa na dole wciąż trwała w najlepsze i wylewała się z karczmy żądnym świeżego powietrza strumieniem. Jakiś malarz podszedł do brzegu oczka i postawił sztalugę, uparcie malując w skąpym świetle księżyca.

Cerro wyrzuciła obie nogi na balkonową poręcz. Kai mógł, więc zrobił to samo. Cerro roześmiała się radośnie, zwracając twarz ku niemu.

- I jak? – zapytała.
- Dobrze – odpowiedział.
- Jesteś szczęśliwy?

Kiedy właśnie słyszał jej śmiech?

- Jak nie mógłbym być? – odpowiedział. – A ty?

Cerro wzięła głęboki oddech, ściągając nogi z poręczy.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby to był najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

Pocałowała go pierwsza, nieśmiało i niezdarnie, ale jednak pierwsza, i Kai poczuł, jak cały rozpuszcza się i wsiąka w moc, z jaką ten pocałunek odwzajemnił. Robił wszystko, co tylko mógł – całować jej usta, ich kąciki, jej podbródek, jej szczękę i jej szyję. Jej uśmiech dał mu znać, że mógł całować niżej, jej obojczyki i aksamitną skórę pomiędzy nimi, i jeszcze niżej, materiał sukni. Jej przymknięte powieki dały mu znać, że może zejść ustami tam, gdzie był jej gorset, spódnicą i splecione nerwowo dlonie, którymi przeczesała jego włosy. Kai nawet nie podejrzewał, że jakikolwiek dotyk może być tak przyjemny. Padł na oba kolana, ponieważ mógł. Jej przyspieszony oddech powiedział mu, że może odchylić welon jej sukni i piąć się wyżej – całować pończochy na jej kostkach, łydkach i kolanach. Całować halkę na jej udach. Całować bieliznę pomiędzy nimi. Jej ciche westchnięcie dało mu znać, że może jeszcze więcej, więc robił wszystko, ponieważ mógł, a ona wszystko, ponieważ chciała.

## ROZDZIAŁ XI

*Drogi Silarusie,*

*twój ostatni list czytało mi się jak mrożące krew w żyłach opowiadanie przygodowe. Smutkiem napawa mnie jednak, że miało taki, a nie inny final – takiego końca chyba nikt z nas Kaiowi Koharowi nie życzył.*

*Nie wydaje mi się, że móglbym doradzić ci coś innego niż skrzętniejsze wykonywanie rozkazów ojca – Kai jest niebezpieczny, a wydaje mi się, że nieco wymyka ci się przez palce. Mówisz, że przywiózł z lasu biedną dziewczę i tyle wystarczyło, by dostąpiła nobilitacji? Wygląda to tak, jakby to on rozdawał karty, a nie inni haroni, ani nawet nie król. Do tego ma zbyt wiele sekretów i okazuje ci podejrzane zaufanie – uważaj na niego nie tylko ze względu na dobro naszej rodziny i Unii, ale przede wszystkim na siebie.*

*Skoro o tym mowa – wiesz, że igrasz z ogniem, prawda? Chcesz znać reakcję ojca? Mogę spróbować ją odtworzyć.*

*„Twoja niepohamowana chuć będzie tym, co zgubi ciebie i nasz ród, Silarus. Nie widzisz, jak ta zepsuta dziewczyna wodzi cię za nos? Bawi się tobą tak jak ty bawisz się innymi. Miałeś w swoim życiu wiele okazji, by udowodnić, że nie jesteś kretynem, a je zaprzepaściłeś – nie zaprzepaść chociaż tej.”*

*Mam nadzieję, że słyszałeś jego głos, kiedy to czytałeś. Jeśli chodzi o moje zdanie – Silarus, teraz to jest żona przyszłego harona. Nie wiem, czemu to nie wystarczy, żeby cię powstrzymać – ani jak to świadczy o niej, skoro jej to nie powstrzymuje. Martwię się o ciebie. Słyszałem opowieści o ludziach popełniających głupstwa z miłości, i nigdy się to dobrze nie kończyło.*

*Jeśli chodzi o mnie i Sforę Sfinksa, kierujemy się do Rhagos leniwie, bez pośpiechu, unikając wiosek i miast. Zostanę tam chyba do lata, a potem ruszę na południe, do Temarairu. Znów będziemy walczyć z morowym powietrzem i choć w zeszłym roku ledwo to przeżyłem, w tym jestem dobrej myśli. Ty również bądź dobrej, lecz nie zapominaj o ostrożności – tkwisz w paszczy lwa i próbujesz wyrwać z niej kły. Taka metafora przyszła mi do głowy teraz, kiedy siedzę na korzeniu starego dębu i piszę te słowa.*

*Z wyrazami tęsknoty,  
Melvourne*

P. S.

*Czuję się fatalnie, że zapomniałem odpowiedzieć na jedno z twoich pytań – siostra Kaia Kohara ma się zupełnie dobrze. Jest bardzo miła i nie najlepiej znosi życie w podróży, jednak po powrocie do Rhagos Darion zabierze ją do swoich włości w Ilfidromes, gdzie pozostanie pewnie na dłucho. Powiedziałem jej, że dostalem list z Modrego Oka, nie precyzujeąc, od kogo, i ze skrzącymi oczami poleciła załączyć gorące pozdrowienia. Toteż załączam.*

Silarus uśmiechnął się gorzko i złożył list kilka razy, zanim wsunął go do juk przy grzbiecie rudego Kompasa. Mimo tylu pochwał i treningów, koń był tak kapryśny i uparty jak zawsze. Wyprawa do Puszczy nic go nie zmieniła.

Czy zmieniła Silarusa? Nad tym zastanawiał się dług. Błądząc po lesie w białej wichurze, zastanawiał się, co napisze ojcu w raporcie – mają szczęście, Kai Kohar zginął i najpewniej nie wróci żywy? Mają pecha, Kai Kohar zginął z ręki Ludzi Nieba, a Silarus znów się nie sprawdził? Może najpierw napisze do Melvourne'a i zaproponuje jemu przekazanie złych wieści? A może właśnie dobrych, może jest w stanie to zaryzykować? Może będzie grał skruszonego, a ojciec powie, że przecież wszystko jest dobrze? Ale człowiek, który nie jest w stanie rozpoznać swojego sukcesu to skończony nieudacznik...

Nie mniej, kamień spadł Silarusowi z serca, kiedy zobaczył Kaia pośród tej upiornej bieli, nawet jeśli potem wypadki potoczyły się tak jak się potoczyły.

Kompas chleptał ostatnie łyki wody z poidła pod szynkiem, świadom, że Silarus zaciska wszystkie sprzączki przy siodle i ciężkich jukach, bo będą jechać szybko – szybko i daleko. Zarżała, czując pot nadjeżdżających wierzchowców i słysząc tętent ich kopyt – i Silarus również go słyszał.

- Prrr! – Trian Agver szarpnął lejcam, i to samo zrobiło dwóch jego towarzyszy z długimi płaszczami spiętymi klamrami w kształcie ośmiornicy. – Czołem, Silarus!

Silarus uśmiechnął się bez wysiłku.

- Czołem, Trian.
- Co robisz U Stóp Wulkanu?
- W tym momencie odjeżdżam.

Jeden z jego towarzyszy odchrząknął i, zyskawszy w ten sposób uwagę Triana, wskazał podbródkiem na bagaż Silarusa.

- Odjeżdżasz z całym swoim kramem?
- Tak, dość daleko. Do Euterpe.
- Ach, stęskniłeś się za Zlewiskiem?

- Mam tam parę spraw do załatwienia z aktualnym namiestnikiem.

- Rozumiem, rozumiem. Jednak nie rozumiem, czemu noc tutaj przekładasz nad zamkowe wygody?

- Jestem przesłuchiwanym? Dlaczego od razu nie trafię na gałąź?

Przytyk został odczytany przez drugiego z druhów Triana, który zakaszłał znacząco. Twarz Triana zbladła i jakby spuchła. Pominawszy satysfakcję, jaką Silarusowi sprawił ten widok, ogarnął go wstyd – czasy, kiedy wydawał podobne rozkazy w Zlewisku, nie były przecież aż tak dalekie.

- Wybacz, Trian – powiedział tak donośnie, żeby sam to usłyszał, i wdrapał się na konia, gotów do odjazdu, gdyby coś durnego przyszło im do głowy. – Obyśmy spotkali się ponownie w szczęśliwych czasach.

- Obyśmy. Szerokiej drogi, Silarus. Mam nadzieję, że nie przejmiesz się, jeśli wpadnę w oko twojej tutejszej dziewczyny.

Kompas ruszył stępa, ale Silarus nie zdążył powstrzymać uśmiechu.

- Powodzenia – powiedział i ścisał piętami boki Kompasa, który przeszedł w kłus.

Wyjechał ze szlachetniejszej części Naucenemes, gdzie ulice były szerokie i brukowane, galopował królewskim szlakiem, aż koń pod nim instynktownie zboczył w odnogę prowadzącą na Sowie Wzgórze, na którym czerwieniła się w słońcu twierdza rodu Agver – była to widocznie droga aż zbyt dobrze mu znana. Nie przeczuwał pewnie, że przemierza ją po raz ostatni.

W ogrodach otaczających posiadłość zawsze było mnóstwo służby. Wszyscy, wszyscy wiedzieli, jednak haron Agver wyraźnie nie egzekwował takiego poziomu lojalności jak generał Yazor, któremu natychmiast o wszystkim donoszono. Silarus nie bardzo miał nawet pojęcie, skąd służący, zawsze na widoku, zawsze pilnowani, wiedzą wszystko o wszystkim. W każdym razie, tych w odległym Pałacu Popiółów obawiał się bardziej niż tych zajmujących się pylącymi ogrodami Agverów, przez które właśnie przejeżdżała, z czystej przyzwoitości ścieżką za gęstymi tujami, które nieco go ukrywały.

Oczywiście, kiedy Trian się zorientuje, zaczną zadawać pytania służbie w pierwszej kolejności, a ci wygadają się, bo czemu by nie mieli? Ale wtedy Silarus będzie już daleko.

Przywiązał konia do rusztowania obrośniętego bluszczem i wspiął się po nim tak jak zawsze to robił. Zawsze czuł się też niemożebnie głupio, ale w ten sposób mógł znaleźć się od razu w pokoju, w którym był zawsze umówiony z Ceadmille, a i ona miała pretekst do śmiechu – w końcu to takie romantyczne, jak w awanturniczych legendach. Lubiła wyraźnie tego rodzaju historie.

Więc dotarł do wąskiego okna i zapukał witrażkowi przedstawiający sowę o ogromnych niebieskich oczach, które zdawały się zaglądać w mroki ludzkiej duszy. Silarus czuł się co najmniej nieswojo, kiedy był zmuszony przyglądać się jej i czasem też zastanawiał się, czy jest jednym.

Zawsze, kiedy już miał dojść do konkluzji, sowa jednak znikała, a w jej miejscu pojawiało się uśmiechnięte oblicze Ceadmille z rozwianymi włosami.

Zawsze wyglądała jakoś inaczej, i to nie była sprawa sukni, fryzury czy makijażu, tylko czegoś w jej oczach, jej ustach, jej skórze, co sprawiało, że gorący dreszcz przechodził przez kręgosłup Silarusa za każdym razem, kiedy ją widział. Tego dnia ubrana była w fiolet. Włosy miała prawie zupełnie rozpuszczone, skórę ciemniejszą, oczy ogromne, usta kremowe. Silarus usiadł na parapecie, nie zamykając okna, i przyciągnął ją do siebie, by pocałować.

- Czołem – wykrztusiła z siebie, kiedy skończyli. Silarus przylgnął czołem do jej czoła i przeczesał palcami wodospady jej włosów. – Ktoś się za mną stesknił.

Uśmiechnął się wcale nie gorzko, ani nie kwaśno, chociaż te uśmiechy były jego specjalnością. On też był tego dnia jakiś inny.

- Wynosimy się stąd – oświadczył szeptem.

- ...Słucham?

- Wyjeźdzamy. Uciekamy. Porywam cię. Jakkolwiek to nazwać. Ważne, że kiedy to odkryją, będziemy już daleko.

Ceadmille nie odtrąciła go, ani nie zrzuciła z parapetu. Wygięła się jedynie, by zajrzeć w jego oczy.

- Nie mówisz poważnie, prawda?

- Śmiertelnie poważnie. Jestem już spakowany.

Teraz nachyliła się nad parapetem, by zajrzeć w dół, a kiedy zobaczyła toboły przewieszone przez Kompasa, zatrzasnęła przedko okiennicę.

Silarus nie spodziewał się zupełnego entuzjazmu, jednak zależało mu na czasie.

- Ceadmille...

- Coś ty wymyślił? Jak ty to sobie wyobrażasz? Dokąd chciałbyś uciec?

- Gdziekolwiek. Najchętniej za Wielką Wodę. Mam nieco kontaktów i pieniędzy...

- Zostałbyś parobkiem, a ja pomywaczką?

- To ustalimy na miejscu, teraz najważniejsze...

- Skąd ci w ogóle przyszło do głowy, że ja chcę...

Nabrała ze świstem powietrza, gdy to do niej dotarło. Silarus oparł się o rzeźbioną kolumnę łóżka z triumfem na twarzy.

- Wiesz – wyszeptała. – Wiesz o Somnargerze...

- Wiem. I wiem też, że jesteś żądna rozrywki – Skrzyżował ramiona na piersi z dumą.

– A więc ci ją zapewnuję. Może nie zostanę królem Somnageru, ale bądźmy szczerzy, Trian też nie, a ja przynajmniej mam przeróżne, zabawne plany. Pojedź ze mną, a nie będziesz musiała jechać z nim, będzie ciekawie i będziemy szczęśliwi. Nie będzie żadnych plotek, reputacji, przykrości, obowiązków, nakazów, rozkazów, zakazów, misji, konieczności, powinności. Słowem, wszystkiego, na co musimy marnować życie. Spędzisz jego resztę wolna i szczęśliwa. Ze mną.

Ceadmille otworzyła usta, ale nie spłynął z nich żaden dźwięk.

- Silarus – zagrzmiała w końcu. – To jest niemożliwe. Zginęlibyśmy przy pierwszej okazji...

- Przynajmniej zginiemy razem.

- Rodzice nas wytropią...

- Właśnie, że nie, jeśli się pospieszymy!

- Zamkną mnie w celi o chlebie i wodzie...

- Nie wytropią nas, Ceadmille – chciał złapać ją za rękę, ale nawet nie zdołał jej dotknąć, kiedy raptownie się oddaliła. – Poza tym, nie warto spróbować? Tam, gdzie pojedziemy, nikt nie będzie mógł cię nigdzie zamknąć. A z Trianem nawet za Wielką Wodą będziesz nieszczęśliwa.

- Tego nie wiesz.

- Wiem to bardzo dobrze. Dlaczego jeszczego się wahasz? Dlaczego bierzesz go pod uwagę? Ze mną możesz być pewna.

- Pewna, że będziemy uciekinierami przymierającymi głodem. Gdybyśmy byli parą świniopasów z brakiem perspektyw na przyszłość, może bym się zgodziła, ale...

- A jakie ty masz perspektywy na przyszłość?! Jakie mam ja?!

- Będziesz kiedyś generałem trzymającym za mordę cały ten kraj...

- Nawet, jeśli, to przez ile?! Trzy dni?! Potem ktoś mnie otruje albo sam rzucę się z okna, bo nigdy nie chciałem być generałem, nigdy nawet nie chciałem być żołnierzem...

- Tylko świniopasem.

- Myślisz, że to mnie obraża? Wolałbym orkę moich szczodrych przodków niż służbę w Zlewisku! Niż mordowanie ludzi, kiedy miałem trzynaście lat!

- Szalenie ci współczuję, że twój ojciec uczynił ci taką przykrość i dał ci godną przyszłość, ale...

- Nie chcę godności, tylko rozrywki! Tak jak ty!

- Jaka rozrywka czeka mnie za Wielką Wodą?! Mam się świetnie bawić, pasąc świnie i orząc pługiem?! Tak mam spędzić resztkę mojego życia?!

- Wolisz spędzić ją z Trianem robiącym z siebie pośmiewisko na obydwa kontynenty?!

- Z nim przynajmniej będę miała co jeść!

Silarus miał wrażenie, że się przesłyszał.

- Czyli wolisz czekać na usraną śmierć w swoich muślinach, zamiast wyjść ze mną naprzeciw przygodzie? Wolisz zaryzykować, że każe ci w końcu zachowywać się jak żona, zamiast mieć pewność, że ja nigdy tego nie zrobię?

- Przynajmniej będę miała co jeść.

- Jak może ci się w ogóle chcieć jeść?! Budzę się codziennie, nie mogąc patrzeć na swoje odbicie, szukając rozwiązań, a co dopiero...

- Za Wielką Wodą będziesz miał to samo odbicie, Silarus.

Teraz nie miał wątpliwości, że do jego uszu dotarło to, co dotarło. Aż zabrakło mchu i zachwiał się – na tyle wyraźnie, że Ceadmille chwyciła go pod ramię, a on potrząsał głową, nie będąc w stanie jej odeprchnąć.

- Kocham cię, wiesz? – wychrypiął. – Zakochałem się w tobie, kiedy tylko zobaczyłem cię wtedy, na weselu Kaia...

Ceadmille puściła jego rękę. Zabolało tak, jakby ją złamała.

- To twoja wina – wycedziła. – Przysięgałeś, że kiedy wyjadę z Euterpe, już nigdy się nie zobaczymy. Przysięgałeś, że nigdy się we mnie nie zakochasz. Przysięgałeś, że odejdziesz, kiedy się zorientujesz. I ja mam ci ufać?

- Jak możesz nie ufać komuś, kto jest w tobie zakochany?!

- Przysięgałeś.

- Daj spokój, wiedziałaś, że kłamię.

- Nie wiedziałam. Nie wiedziałam, że możliwe jest zakochanie się we mnie, kiedy się wie. Po to ci powiedziałam. Żebyś wiedział i żebyś...

- Jesteś tak...! Nic mnie nie obchodzi, co się z tobą stanie, rozumiesz?! Nie obchodzi mnie, czy twoje ciało zacznie ropieć, czy talerze będą lecieć ci z rąk, czy umrzesz, bełkocząc o zeszlorocznej szarlotce, czy będę musiał wycierać ci...!

- Romantycznyś.

- Kocham cię, rozumiesz?! I nie obchodzi mnie, co się z tobą stanie! Obchodzisz mnie tylko ty!

Wstał, by chwycić jej twarz w dlonie, jednak Ceadmille odwróciła się i odeszła w kąt komnaty, zagryzając paznokcie drżącej ręki. Była blada jak trup.

- Ale ja cię nie kocham – oświadczyła zimno.

- Jeśli tylko przestaniesz martwić się o „oszczędzenie mi cierpienia” i dopuścisz do siebie myśl, że...

- Nie. To nie ma nic wspólnego z żadnym cierpieniem. Nie kocham cię, bo mnie nie interesujesz. Romantycznie. Tak po prostu.

Silarus przyjął to do wiadomości z mniejszą gracją niż by sobie życzył. Otworzył usta, jakby chciał podać rozsądny argument przeciw, ale w porę się zreflektował i po prostu przytaknął powoli głową.

- To też mnie nie obchodzi – zdecydował w końcu. – Mogę być twoją nałożnicą albo po prostu przyjacielem. Nie obchodzi mnie nic poza tym, żebyś była szczęśliwa.

- Jak mam być szczęśliwa, wiedząc, że mnie kochasz?

- No to się odkocham. Znasz mnie przecież.

- To jedź po jakąś ukochaną praczkę i paś z nią świnie za Wielką Wodą.

Silarus spojrzał na nią z oburzeniem tak instynktywnym, że z pewnością by się zażenował, gdyby Ceadmille go zauważała – ta jednak wpatrzona była w podłogę, zaabsorbowana połyskiem swoich trzewików.

- Jesteś... obrzydliwa, wiesz?

Żadna kobieta w żadnych okolicznościach nie posłała mu nigdy tak morderczego spojrzenia.

- Nazwij mnie jeszcze dziwką i idź już sobie.

Wymaszerowała z kąta, otworzyła okno i wskazała na nie zamaszystym gestem. Gwar podwórka i ćwierkanie ptaków prawie zagłuszały huk burzającego się w głowie Silarusa świata.

- Dziękuję za gościnę – warknął. – Wyjdę drzwiami.

Zanim zdążyła się opanować, wyciągnęła rękę, jakby chciała go zatrzymać, po czym cofnęła ją prędko – Silarus widział to kątem oka, już naciskając klamkę. Uśmiechnął się mściwie.

Szedł wyłożonymi dywanami korytarzami, pozdrawiając służących, którzy teraz zobowiązani byli traktować go jak lyrra, a nie jak mola na ścianie. Dygali przed nim i kłaniali się w pas, a rycerze umilający sobie czas grą w karty bili się w piersi. Ceadmille podążała za nim jak cień, pilnując, żeby nie zrobił nic, co kosztowałoby ją więcej niż była w stanie poświęcić.

A jakąż ochotę Silarus miał coś takiego zrobić!

- Uszanowanie, haronie, haroneo – ukłonił się, zastając ich na werandzie, również zajętych kartami.

Brodaty Haron Mądrości zamrugał głupkowato, a siwa, chroniąca się przed słońcem parasolem haronea Temida wytrzeszczyła oczy – błękitne i puste jak oczy jej syna.

- Pułkownik? – zdziwiła się. – Co pan tu... Co za niespodzianka...

- Tak wyszło. Jednak już się zbieram.

- Co... – Haron wstał, mimo usilnych gestów Silarusa każących mu pozostać na miejscu. – Jak... Nie zauważaliśmy pułkownika...

- Nic nie szkodzi, i tak znalazłem się tu przypadkiem. Miłego popołudnia, haronie, haroneo.

Ukłonił się po raz ostatni i odszedł, zostawiając ich z bardzo głupimi minami, a Ceadmille obserwującą każdy jego ruch z okna, aż on, jego koń i kram zniknęli za horyzontem.

Satysfakcja, jaką Silarus czuł, idąc korytarzami zamku na Sowim Wzgórzu, ułotniła się prędko, ustępując miejsce rozrywającemu bólowi – bólowi tak wielkiemu, że Silarus wjeżdżała do Modrego Oka na wpół zgięty nad końską szyją, nie bardzo dbając o to, jak żałosnie wygląda, ani o to, że się ześliźnie.

Uniósł jednak głowę, słyszcząc na dziedzińcu wyjątkowy tumult. Wokół zamku zebrało się mnóstwo mieszkańców i wieśniaków, którzy z rozdziawionymi gębami podziwiali majestat rezydencji.

- Jakiś bunt? – Silarus zeskoczył z konia, wiedząc, że instynktownie złapał za rękojeść u pasa.

- Gdzie tam – odparł stajenny, wciskając jabłko w zęby Kompasa. – Najszarszy Haron wymyślił, że będzie rozsądał spory w zamku.

- Rozsądał spory? Mamy aż tak kłótki społeczeństwo?

- A to tylko ci zapisani na dzisiaj – Tytuś poruszył krzaczastymi brwiami, prowadząc konia do boksu.

Kolejka ciągnęła się przez cały hol Modrego Oka aż do otwartych na oścież drzwi sali tronowej, gdzie na podeście, na miejscu zwykle zajmowanym przez króla, siedział Kai. Coś notował – przed nim, przy ławach, siedziało kilka różnych grup patrzących na siebie wilkiem mieszkańców ubranych w łachmany – jednemu z nich krew buchała z nosa, a inna kobieta miała rozdartą rękaw koszuli. Strażnicy ustawieni pod ścianami obserwowali ich uważnie, a królewski gryzpiórek rozglądał się z szaleństwem w oczach po całym tłumie, aż Kai zaczął dyktować.

\*

- Rodzina Guntara ma pomóc w załatwaniu dachu rodzinie Kirtesa, rodzina Hroba naprawi piec rodzinie Ektora, rodzina Trotha zapłaci za sztachety w płocie rodziny Ooby, rodzina Loertesa odkupi łódź rodzinie Marva...

Loertes otworzył bezzębne usta w oburzeniu.

- ...a rodzina Marva odbuduje chlew rodziny Loertesa. Dodatkowo, Fayan zaszyje koszulę Ooby, a Hrob będzie miał uciętą rękę za uderzenie Ektora.

Twarze wszystkich sądzących się wypełniła identyczna barwa kredy. Pod samym Hrobem wyraźnie ugięły się kolana.

- Najszarszy Haronie, ja...

- Pewnie bardzo żałujesz, prawda?

- Tak, panie, ja nigdy...!

- Szary Człowiek naucza o przebaczeniu. Ektorze, zgadzasz się, że to najbardziej wartościowy dar dla kryminalisty?

- T-tak, panie!

- Skoro Ektor ci przebacza, to ja też to zrobię, Hrobie. Na razie.

- Najszarszy Haronie, najłask...

- Każdego z was odprowadzi do domu strażnik i będzie was odwiedzał, dopóki to, co wam zasądzone, nie zostanie wykonane. A niech mu włos z głowy spadnie, to odwiedzi was cały oddział, i wszyscy traficie do lochów. Jeśli się wam poszcześci. Wyraziłem się jasno?

- Tak, panie!

Królewski sekretarz Iptis właził na krzesło, by podsunąć Kaiowi dokument, który ten przestudiował szybko wzrokiem, po czym wylał brązowy inkaust i przybił go niezgrabnie wykonaną pieczęcią w kształcie wulkanu. Uważając na nie wyschnięty inkaust, urzędnik pobiegł do ławy zajmowanej przez czterech ludzi, w tym – co budziło zgrozę i konsternację – dwie kobiety. Pisali jak szaleni, równocześnie dwoma rękami, żeby wykonać stosowną liczbę kopii wyroku. Kai mógłby przyglądać się im z podziwem i zazdrością godzinami, lecz, niestety, nie było na to czasu.

- Następna sprawa – zarządził, gdy żołnierze wyprowadzali już załatwionych interesantów.

- Ja mam sprawę.

Do podium podszedł Silarus. Wyglądał, jak na niego, wyjątkowo parszywie.

- Zapisz się u Gavorna i dołącz do kolejki. Wszyscy jesteśmy równi wobec biurokracji – odparł Kai, przewracając strony notesu, w którym miał napisany plan kilku najbliższych dni. – Dopasujemy twoją sprawę do innych podobnych, a jeśli chcesz być załatwiony prywatnie, będziesz dłużej czekał na rozwiązanie...

- Cerro podsłuchuje.

Cerro stała ostentacyjnie w loży wysoko nad nimi i pogryzała jedno ze złocistych jabłek, za którymi przepadała, a których Kai nie znosił. Posłała Silarusowi lodowe spojrzenie, które odezwało się ukropem w piersi Kaia.

- Nie podsłuchuje, tylko słucha. Ma moje pozwolenie – skłamał gładko.  
- Czyli całkiem ci odbiło – zawyrokował Silarus.  
- Bynajmniej. Być może. Zależy, do czego pijesz.  
- Rozwiążujesz spory tłuszcz?   
- Tylko te naruszające prawo. Heh, „tylko”. W każdym razie, ktoś musi, a ja jestem Haronem Sprawiedliwości.

- Nigdy nie słyszałem, żeby twój ojciec albo ktokolwiek z twoich przodków robił coś takiego.

- Widocznie wszyscy byli złymi haronami.

Królewski gryzipiórek, który już wyglądał na wyczerpanego, spojrzał na niego ze zgrozą.

Silarus aż zacisnął pięści. Kai obrzucił go zdziwionym spojrzeniem.

- Wszystko u ciebie w porządku, przyjacielu? Nie powinieneś się pakować czy...  
- Nie! – ryknął. – Idę do siebie! Do swojego lochu, mam na myśli!  
- No cóż... Nie będę kłamał, w trakcie naszej pogawędki zdążyłbym rozwiązać co najmniej dwie sprawy. Ale uderz do mnie później, z chęcią cię wysłucham. Bywaj zdrów, Silarus.

Silarus odszedł rozsierzdzonymi krokami, a następny proces rozpoczął się.

Szkoda, że Atiana tu nie ma. Wiele by się nauczył. Albo nie, pewnie miałby to wszystko gdzieś. Albo przeszkadzałby tylko dla hecy. Nieważne. Ważne, że nie zobaczył Kaia bez nogi, a Kai doskonale sobie bez niego radził.

Rozwiązywał spory już wcześniej, nie miał procedur, ani pieczęci, jednak groził ludźmi strażą, karą boską, i jakoś działało. Dlaczego miał jednak do nich wychodzić, skoro Modre Oko należało do nich, zostało przez nich wybudowane? Mikoło być schronieniem, domem ludzi, którzy powinni być najgościnniejszymi na świecie – toteż Kai otworzył przed nimi wrota, nie dbając o ubieganie się o pozwolenie króla, bez którego zresztą i tak zrobiłby

to, co chciał. Miał *Kodeks*, autorytet, przydomek, blizny wojenne, magiczną nogę i tajemną wiedzę – miał wszystkie narzędzia do konsekwentnego wypełniania swojej wielkiej misji. Czasem wpadał w psychę, myśląc o własnej drodze – od dziedzica Pavilonu, przez banitę, po jedną z najpotężniejszych person w Świętej Unii. Wtedy przypominał sobie jednak wszystkie te imiona ludzi znacznie ważniejszych od niego, których nikt dziś nie pomni. Które pozostały tylko w *Raporcie Wynna*. Natychmiast pokornał.

Za każdym razem, kiedy Kai przypominał sobie o Winnie, lustrował wzrokiem wszystkich wokół siebie, szukając jego współczesnego odpowiednika – czy jest to ten wieśniak? Czy może to być ten strażnik? Czy jest to sam Silarus albo Cerro, albo ktoś tak straszliwie blisko, że Kai w życiu się nie zorientuje? Czy jest to szambelan albo królewski protokolant? Czy to jedna z czterech osób, które Kai zatrudnił do kopiowania jego dekretów?

Poddął ich niemal paranoicznemu prześwietleniu pod względem pochodzenia. Kiedy Agda zgłosiła się na stanowisko z siniakiem, z wściekłością wykrzyczała, że tak, zrobił to jej mąż, i pewnie jeszcze nie raz z podobnym siniakiem się zjawi. Kai poczuł się wyjątkowo głupio i okrutnie, bo co, czyżby podejrzewał, że Agda starła się po drodze z jakimś czujnym unijnym szpiegiem? Sam nie wiedział. Ale obiecał, że jeśli jeszcze raz zobaczy Agdę z siniakiem, zrobi porządek z jej mężem, po czym ta zaczęła przychodzić w makijażu w dziwnych miejscach. Poza tym, jej historia była bez zarzutu i potwierdzona przez wszystkowiedzące bezdomne dzieci i żebrawków – Agda urodziła się w Naucenemes i pracowała jako rachmistrzyni, aż jej mąż się rozpił i nie był w stanie wychować trójki chłopców. Teraz chłopcy byli starsi, a ona nie mogła znaleźć nowych klientów, dlatego praca na królewskim dworze spadła jej z nieba.

Madrigale był poetą, więc, naturalnie, od razu wzburdził podejrzenia. Potem było już tylko gorzej – urodził się w wiosce Suchy Chrust w Temarairze i wszyscy mieszkańców złożyli się, by wysłać dziecko-geniusza do Akademii Czwartej Cnoty. Madrigale miał skończyć medycynę i wrócić do wioski. Zamiast tego, skończył historię i uciekł do Rhagos, a potem do Kyrymu, i dopiero co przybył do Naucenemes. Kai oddelegował Omara Wiatr W Polu, któremu wciąż płacił za gapienie się na Zwiastuna, do Suchego Chrustu, skąd ludzie pogonili go widłami, kiedy tylko usłyszeli pytania o ich byłego wychowanka. Tak naprawdę miał na imię Seen, lecz Madrigale stał się jego pseudonimem artystycznym, pod którym wydawał sonety, ballady, treny, fraszki i awanturnicze artykuły na temat nierówności społecznych, które przybijał do tablic miejskich, aż władze miast kazały mu przestać albo się wynosić. Erotyki wydawał jako M.

Mnemosyne miała dopiero siedemnaście lat, ale znakomicie dogadywałaby się z Cerro, gdyby postanowiły się zaprzyjaźnić. Odmawiała noszenia panieńskiego makijażu, ponieważ „nie jest do wzięcia, więc po cóż to sygnalizować?”, dawała do zrozumienia, że pod kloszem spódnicy może kryć tylko nóż, a może równie dobrze kryć coś większego i nielegalnego; kochała psy i miała ich dwójkę, o czym mówiła jak o nieobliczalnym wydatku. Rodzice Mnemosyne prowadzili zresztą schronisko dla dzikich i bezpańskich psów, które bywały niekiedy tak agresywne i pokiereszowane, że nic, tylko roznosiły chorobska i zagryzały ludzi. Teraz Mnemosyne chciała nazbierać pieniądze na studia, a już w ogóle najlepiej na przeprowadzkę do jakiejś leśnej gęstwiny, z dala od cywilizacji. Wszystko w jej papierach się zgadzało. Nawet fakt, że jako czternastolatka otrzymała pięćdziesiąt batów za wyciągnięcie miecza na przechodnia.

Lourdes był złodziejem, który nauczył się pisać podczas czteroletniego zesłania do megaranckiego więzienia. Uciekł stamtąd do felsidów, a kiedy uświadomił sobie, że ma chorobę morską, włóczył się, aż dowłóczył do Naucenemes. Twierdził, że przez jakiś czas żył nawet wśród diakorr, ale przyznał, że zmyśla, kiedy Kai dał mu do zrozumienia, że sprawdzi każdą podaną przez Lourdesa informację. Reszta, o dziwo, była prawdziwa. Nawet to, że Lourdes przez jakiś czas służył jako protokolant Harona Przyjaźni. Kai otrzymał nawet opatrzone jego pieczęcią znakomite referencje. W takiej sytuacji przyjął Lourdesa, który wyglądała i zachowywała się jak poeta bardziej niż Madrigale. Jak poeta albo jak narkoman.

Królewski pismak Iptis zwrócił Kaiowi uwagę na to, że jeśli przeprowadza już tak dokładne śledztwa, mógłby chociaż wyznaczyć jakieś kryteria, według których nie mogli być przyjęci. Na przykład przeszłość kryminalna, skłonność do kłamstwa, oszustwa... Ale Kai chciał wiedzieć tylko, czy kłamią co do swego pochodzenia i czy umieją szybko pisać. A zresztą, nawet jeśli zatrudnił jakiegoś Człowieka Nieba, to czy miałby w ogóle szansę się zorientować? Czy nie powinien w takim razie zatrudnić po prostu tych, którym może w jakiś sposób pomóc? Kto wie, może pokaże, jaką Człowiek Kamienia może być miłą istotą i przekona Ludzi Nieba do pokojowej koegzystencji i podzielenia się sekretami?

Poczynił zresztą jako takie kroki, by nawiązać z nimi kontakt. Jeśli poproszenie Chevity o zesłanie snu na nieznanego człowieka można tym nazwać.

- Nie jestem ekspertką od snów – westchnęła, kiedy skończyła egzaminację jego sztucznej nogi, która wymagała od czasu do czasu magicznego dostrojenia. – Ale coś tam potrafię. Na kogo i co mam zesłać?

- Eee... Na Reona. Szarego Boga.

Chevita spojrzała na niego pełnymi pogardy oczami i usiadła przy biurku. Wyciągnęła z szuflady igłę i nakłuła swój czerwony stygmat, z którego popłynął kleisty płyn. Chevita pozwoliła paru kroplom spaść do kubka, w którym zamoczyła pędzel, po którym dokładnie rozprowadziła substancję. Potem zanurzyła go w atramencie.

- I co mam mu przekazać?
- Że chcę pokoju. Że chcę z nim porozmawiać.
- ...I jakimi obrazami chcesz tę myśl wyrazić?
- Nie wiem, złączonymi rękami albo grudą żyznej ziemi...
- Czyś ty już całkiem oszalał, Najszarszy Haronie? Naprawdę chcesz pokazać grudę ziemi straszydłu zmyślonemu przez Yazora Temidana?
- A jeśli on nie jest zmyślony?
- To łatwiej ci będzie zapytać Yazora Temidana, jak się z nim skontaktować.

Kai skrzywił się na tę sugestię, ale nie odrzucił jej całkowicie. Chevita obiecała, że mimo wszystko spróbuje zesłać sen, a Kai odszedł, zadowolony, na codzienną lekcję z Meglyne.

Przemieniły się one właściwie w sesje przepisywania starych tomów w obcym języku na nowy papier w rodzimym języku. Kai wykorzystał sugestię Silarusa na temat przetłumaczenia książek i nie widział nic złego w tym, żeby Meglyne mu pomagała – dla niej każda wiedza o historii Świętej Unii była wiedzą utraconą i ukrytą, toteż przepisywała nazwy plemion i bogów Megarantu, nie do końca zdając sobie sprawy z ich wagi.

Kai polubił ją nieprzebranie i byłby zdruzgotany, gdyby okazała się szpiegiem. Była tak samo żądna wiedzy, nauki i przygody jak on, a przy tym jej żądze były zupełnie czyste, pozbawione politycznego czy nawet osobistego celu. Była zwyczajnie ciekawska i nie robiło to z niej lepszej osoby. Po prostu czyniło jej towarzystwo niezwykle przyjemnym. Meglyne mogła dowiedzieć się o magicznym rytuale, w wyniku którego powstają wilkołaki, o obliczeniach, dzięki którym statki nie toną, a pewnego dnia będą mogły latać albo o tym, co Kai zjadł na śniadanie – wszystko to zaspokajało jej ciekawość tak samo sycąco.

- To ciekawe, Kai – powiedziała raz, kiedy streścił jej okoliczności swojej banicji, znudzony przepisywaniem składników o nieprzetłumaczalnych nazwach potrzebnych do upieczenia ciasta o nieprzetłumaczalnej nazwie – że ty i generał wydajecie się mieć tę samą wiedzę i ten sam cel, a zabieracie się do niego w zupełnie inny sposób.

Było to zaskakująco trafne spostrzeżenie, po którego uczynieniu Meglyne niepotrzebnie się zawstydziła.

Rzeczywiście, czy nie mógłby mieć w Yazorze Temidanie sprzymierzeńca chcącego uzdrowienia Świętej Unii? Musi w końcu tę nieprzyjemną ewentualność przemyśleć. Prawda, próbował go zabić, ale w imię wyższej sprawy, nieprawdaż? Jest przerażony nadieżciem Ludzi Nieba tak samo jak Kai, już poniósł w wyniku ich działań straty, obserwował je z bliska. Może i chce zabezpieczyć swoją pozycję na dworze Szarego Boga, ale kto by nie chciał? Kto przy zdrowych zmysłach chciałby walczyć z kimś, którego nazywają Tym, Który Już Jest? Gdyby Kai dogadał się z Silarusem, gdyby uczynił z niego most pomiędzy sobą a Yazorem, zyskałby potężnego sojusznika – jeśli nie na polu dyplomatycznym, to na wojennym, na wypadek odrzucenia propozycji pokoju przez Ludzi Nieba. Czy nie istnieje jednak szansa, że Yazor opowiedziałby się wtedy po stronie Szarego Boga? Postrzegał go jako wysłannika Szarego Człowieka czy jedynie udawał przed haronami? Bardziej liczy się dla niego pozycja jego rodu czy przeżycie całej rasy Ludzi Kamienia? Czy od tamtego czasu zmienił w jakichś kwestiach zdanie?

Nieważne, w jak podły humorze jest Silarus. Kai musi coś z niego wydusić.

- Następna sprawa – zakomenderował.

Powtarzał to, aż wszyscy wpisani na dzień dzisiejszy byli załatwieni – pięćdziesiąt sześć spraw to wynik, którego nawet się nie spodziewał. Obiecał wystarać się o jakąś ziemię dla rodu Iptisa, którego wycieńczone oczy wychodziły z orbit, a grupka niezwykle uzdolnionych kopistów strzepowiła ręce, podekscytowana pracą – poklonili się głęboko haronowi, który podszedł do nich tanecznym krokiem.

- Wspaniała robota – oznajmił.

- Istotnie – odezwała się natychmiast Mnemosyne, występując krok do przodu, jakby została wywołana przed szeregi. – Dzisiaj Najszarszy Haron zaszczyci nas swoją obecnością czy znów musimy obejść się smakiem?

- Dzisiaj gramy moją talią – dodał Lourdes, jak zwykle ubrany w barwy tak pstrokate, że wyglądające aż dziwacznie na tle zwyczajowych czerni, szarości i brązów. – Dlatego postulowałem, żebyśmy grali o potrójne stawki.

- Tym bardziej boli mnie, że dzisiaj też muszę odmówić – westchnął Kai. – Obowiązki rodzinne. Jednak jutro nie będę miał żadnych wymówek i zdobędę klucz do pokoju karcianego.

Pożegnał się z nimi i przystanął, patrząc, jak gawędzą, kierując się do wrót zamku. Trudno było w takich chwilach uwierzyć, że mógł o kimkolwiek z nich myśleć jak o potencjalnym zdrajcy. W takie dni trudno było uwierzyć, że kiedykolwiek nawiedzają go myśli inne niż przepełniające otuchą.

Przeszedł przez hol, z którego straż wyprowadzała ostatnich maruderów, po których pokójówki już sprzątały i wietrzyły. Cerro czekała na niego w ciemnym zakamarku pomiędzy komórkami służby, oparta nonszalancko o ścianę. W Kaia wstępowało szaleństwo, kiedy ją widział. Przylgnął ustami do jej ust, piersią do jej pleców i sztywniejącym kroczeniem do tyłu jej spódnicę. Cerro westchnęła z zachwytem, kiedy ścisnął jej piersi. Odwróciła się, by chwycić za kołnierz jego koszuli i oprzeć go o ścianę, powracając do pocałunku.

W ostatnim czasie zachowywali się jak zwierzęta. Na początku, kiedy wrócili z miasta, Cerro unikała Kaia z miną zdegustowanej ohydą świata dewotki. Wystarczył jednak jeden zacięty trening szermierki, by okalające polanę drzewa stały się świadkami ich dzikiego ferworu. Tak samo było z freskami w kilku kątach zamku, bibliotecznymi księgami i wszystkimi meblami w ich sypialni i łazience. Niewiele właśnie brakowało, by kamienne ściany i drewniane drzwi pokoju służby również do tego grona dołączyły.

Cerro jednak oderwała się od niego, zataczając, kiedy poprawiała gorset i rusztowanie spódnicę. Kai westchnął niemalże z bólem między nogami. Nie miał pojęcia, jak mógł przez tyle miesięcy małżeństwa wytrzymać bez dotyku Cerro. Nie miał pojęcia, jak tyle razy mógł ją widzieć i nie twardnieć w mgnieniu oka, jakby na powrót miał piętnaście lat. Nie miał pojęcia, jak teraz daje radę wytrzymywać, nie dotykając jej wszędzie, cały czas, i jak znajduje w sobie wystarczająco dużo silnej woli, by poprawić bieliznę i włożyć koszulę w spodnie.

- Więc tak będzie wyglądać Sprawiedliwość? – Cerro uśmiechała się z wredną satysfakcją ustami, które cały czas chciała całować. – Wszystkich będziesz mierzył jedną miarą, żeby tylko zaoszczędzić na czasie?

Mina Kaia zrzedła. Bardzo był dumny z systemu, który opracował – pomógł mu z tym Madrigale, który, oprócz poetyckiego, miał doświadczenie prawnicze, więc stworzył model wniosku o rozprawę, a Kai dał pracę co najmniej pięćdziesiątce ludzi, którzy biegali po mieście, roznosząc druzki i pomagając wypełnić je niepiśmiennym – mieli też jasne wytyczne, co brać pod uwagę, żeby nie zajmować się krzywymi spojrzeniami i komicznie błahymi sąsiadzkimi waśniami. Potem cała czwórka protokolantów, Kai i Iptis spędzili mnóstwo czasu, grupując podobne sprawy w zespoły, które można by załatwić na raz. Z każdej rozprawy powstawały protokoły wytyczające szlaki dla kolejnych, podobnych spraw, które kopiści skwapliwie archiwizowali. System z pewnością nie był doskonały, ale, póki co, działał wyśmienicie.

- Jestem Haronem Sprawiedliwości – przypomniał Cerro, starając się nie brzmieć na urażonego. Gestem pozwolił jej na rozpoczęcie przechadzki. Jeszcze nie byli na etapie

chodzenia pod rękę w miejscach publicznych. – Robię, co mogę, żeby poświęcić swój czas każdemu.

- Każdemu w Naucenemes. Co z resztą kraju?
- Małymi kroczkami.
- A wyroki wydajesz na oko, czy już zapamiętałeś wszystkie przepisy i kruczki?
- Znam to zaśniedziałe prawo i jego niesprawiedliwość, mam kodeksy i prawnika-poetę pod ręką. Autorytet wystarczy, żeby wzbudzić posłuszeństwo, słowo pisane, żeby wyrok wyglądał na ważny. Poza tym, ten sam czyn wynika czasem z różnych okoliczności życiowych, i je też, mimo wyraźnego protokołu postępowania, należy wziąć pod uwagę.
- Brzmi to wszystko całkiem przemyślanie, ale dobrze od czasu do czasu mieć wątpliwości. Nawet, jeśli robi się słuszną rzeczą.
- Taaa, mój ojciec zawsze przewracał oczami, kiedy król to mówił.
- Twój ojciec miał mózg z ołówku. Wcale się nie dziwię, że nie panował nad oczami.

Kai zaśmiała się, idąc z nią przez wewnętrzny dziedziniec, zbyt zasłuchany w jej głos, by słyszeć, jak ktoś wzywał jego imię, aż zszajana Meglyne zastąpiła im drogę.

- Kaiu! – wrzasnęła, szczerząc zęby, po czym skloniła się w pas. – Wasza Miłość.
- Witaj, Meglyne – Kai ucieszył się na jej widok tak jak zwykle. – Skończyłaś już zajęcia?

Meglyne, wciąż zgięta, uniosła umalowane oblicze. Jej twarz wyjątkowo mocno przypominała maskę w mikoaniu pozbawionym widocznych smug pędzla i ścisłe trzymającym się książkowych kanonów. Nawet naszyjnik, który składał się z białych muszli nawleczonej na czarny rzemień, pasował idealnie do jej kubraka i włosów.

- Tak! Wiem, że jest jeszcze czas przed naszą lekcją, ale ja mam teraz...
  - Nie musisz być cały czas zgięta.
- Spojrzał na Cerro, która odchrząknęła, przestępując z nogi na nogę.
- Nie musisz.

Meglyne wyprostowała się, dygając w kierunku Cerro.

- Dziękuję, Wasza Miłość.
- Więc masz teraz czas wolny i nie wiesz, co z nim zrobić? – ciągnął Kai. – Dobrze się składa. Idziemy akurat do kaplicy.

- Do kaplicy?
- Tam, gdzie się modli do Szarego Człowieka. Byłaś tam?
- Jeszcze nie, ale z chęcią się wybiorę!
- Więc zapraszamy. O czym uczylaś się dzisiaj?

Całą drogą opowiadała z ekscytacją o rodzajach liści i owoców, które w ogrodzie pokazywała jej Chevita, a potem o treningu rycerzy, któremu się przyglądały, a Chevita uczyła ją taktyki i nazw ciosów. W trakcie tej opowieści Cerro spojrzała z oburzeniem na Meglyne, jednak ta była w niej zbyt zatopiona, by to zauważyc.

- Magini powiedziała, że chociaż nigdy w życiu nie wezmę miecza do ręki, nie ma powodu, dla którego nie miałabym znać teorii.

- Magini ma rację. A uczyła cię samoobrony?

- T... O tym nie mogę mówić.

Kai wybuchnął śmiechem, a Cerro przyspieszyła kroku.

- Słuszna odpowiedź, Meglyne. Pamiętaj jednak o refleksie i lekkości. Cerro, dokąd tak pędzisz? Choćbym miał swoją starą nogę, nie dałbym rady za tobą nadążyć.

- Móglbyś chociaż spróbować – mrucnęła ledwo zrozumiale, otwierając srebrną furtkę.

Zamkowa kaplica znajdowała się na półce skalnej pomiędzy dwoma stromymi jak ściany grzbietami Falgonów. Wiatr był tutaj silniejszy i można się było poczuć odizolowanym od reszty świata, naprzeciwko mglistej przepaści, nieba i skał, których szczyty tonęły w obłokach.

Kaplica otoczona była zdobnym płotem porośniętym szkarłatnoliściem, które również, wygniezione kolanami modlących się ludzi, pełzło po trawie i zarastało wiekowy kamienny pomnik Szarego Człowieka, stojący tyłem do pielgrzymów, zapatrzony w widok przed nim.

- Ależ tu pięknie – szepnęła Meglyne, przejęta monumentalnością miejsca.

- Musisz tu w takim razie częściej przychodzić – odparł Kai.

Cerro uklękła pierwsza i przyłożyła czoło do ziemi. Kai zrobił to samo, czując podłożę tylko pod jednym kolanem. Meglyne uklękła tak samo jak oni.

Ziemia pachniała wilgocią i wiosną. Kai przymknął oczy i modlił się. Modlił się naprawdę. Cerro mówiła, że zawsze najpierw wypowiada z trzy formułki – dopiero potem mówi Szaremu Człowiekowi to, co naprawdę myśli. Zwykle narzeka. Kai od razu przechodził do rzeczy, a jego modlitwy pełne były pytań.

Co powinien zrobić? Czy wszystko robi dobrze? Czy cokolwiek robi dobrze? Co to znaczy „dobrze”? I wypada ci podziękować, Szary Człowieku, za to, co przydarzyło się ostatnio, nie jest łatwiej, ale tak bardzo lepiej, tak lepiej się czuje, często nawet wpada w ekstazę, a może jest już całkiem szczę...

- Jak się modli?

Przekręcili głowy, by spojrzeć na Meglyne, której makijaż skutecznie ukrył rumieniec.

- Chevita nie nauczyła cię modlić?
  - Nauczyła, co robić... Ale powiedziałam, że nie wierzę w Szarego Człowieka, więc...
  - Nie możesz mówić takich rzeczy na głos, nie powiedziała ci tego?
  - Szary Człowiek istnieje – dodała Cerro.
  - Właśnie, więc jak może być bogiem? – odparła Meglyne.
  - Lepsi są niemi bogowie zza Wielkiej Wody?
  - Oni nie istnieją, ale Szary Człowiek odpowiada i podobno rzeczywiście spełnia życzenia, to wbrew definicji...
  - Bóg nie jest od spełniania życzeń!
  - Dlaczego się tak pieklisz, Cerro? – uniósł brew Kai. – Od kiedy jesteś taka pobożna? Jej rumieniec miał kolor cegły. Przepięknej cegły.
  - Przynajmniej nie bluźnię w kaplicy!
  - Właśnie to robisz, unosząc się gniewem.
  - Ale z ciebie kutas, Kai!
  - Co mówiłaś przed chwilą o bluźnieniu?
  - Idę sobie.
- Nie zatrzymał jej, chociaż bliskie euforii uczucie opuszczało jego pierś z każdym jej krokiem.
- To była jedna z tych łagodniejszych reakcji tubylców – zwrócił się z otuchą do Meglyne. - Wspaniała prezentacja autorstwa naszej księżniczki.
  - Czy uraziłam...
  - Nie. W ogóle się tym nie przejmuj.
- Meglyne uśmiechnęła się blado.
- Szary Człowiek rzeczywiście nie spełnia życzeń. Maluje obrazy, które potem przydarzają się w naszym życiu. Robi to w swym wulkanie, Zwiastunie, i raz na jakiś czas z niego wychodzi. Ostatnio zrobił to w święto Riggvare.
  - Wtedy, kiedy cały śnieg stopniał, prawda?
  - I słońce wzeszło w środku nocy, prawda. Modlimy się do Szarego Człowieka, żeby namalował dla nas łaskawy obraz, albo żeby podziękować mu za to, co namalował do tej pory. Możemy też z nim po prostu pokontemplować.
  - I on... słyszy nas teraz?
  - On słyszy i widzi wszystko, nawet to, czego nie mówisz i sama nie wiesz, że o tym myślisz.
  - Po co więc w ogóle się modlić?

- Żeby wiedział, że jesteś mu oddana.

- Ale nie jestem.

- Powiedzmy, że jest drugą osobą po tobie samej zdolną zmienić twój los. Lepiej być z nim w przyjaznych stosunkach. Może też zrobić znacznie więcej niż ty sama. Może zrobić wszystko.

Meglyne zastanowiła się chwilę, po czym kiwnęła głową i przylgnęła czołem do ziemi, a Kai powrócił do swej dziękczynnej modlitwy, uświadamiając sobie, że to chyba jego pierwsze doświadczenie z procedurą nawracania.

- Kaiu? – odezwała się Meglyne. – Jeśli będę mówić na głos, usłyszy mnie lepiej?

- Jeśli chcesz, to możesz, ale... Jeśli chcesz, mogę cię zos...

- O, Szary Człowieku! Dziękuję ci za to, że istniejesz. Dziękuję ci za to, że żyję i mogę patrzeć, dziękuję za Kaia, dziękuję, że namalowałeś to, jak zabiera mnie z wieży i prowadzi tutaj, żeby mogła zobaczyć ten piękny widok. I dziękuję ci za księżniczkę i króla, i za haronów, i za rycerzy, i za mieszkańców, i za tych wszystkich ludzi, których nie znam, ale tak się cieszę, że są! Dziękuję też za zwierzęta, drzewa, liście, owoce, warzywa, dziękuję za magini Chevitę, która mnie o tym wszystkim uczy. Chciałabym, żeby była milsza, ale i tak dziękuję. Proszę, spraw, żeby wszystkim ludziom było dobrze i żeby oni też byli dobrzy, niech mają w życiu takie szczęście jak ja. Ale niech nie mają też tak źle jak ja, ani tak jak ci ludzie, którzy mają jeszcze gorzej niż ja miałam. Proszę, Szary Człowieku. I... Niech mój tata nie martwi się o mnie. I niech mnie nie szuka. Niech mu będzie dobrze, i niech on będzie dobry. Proszę cię, Szary Człowieku, niech się nie martwi, proszę...

Ille Kai by dał, żeby tu nie być. Żeby nie słyszeć tych słów i załamującego się głosu. Nie widzieć pięści, które zaciskały się desperacko. Meglyne jednak wyprostowała się, a na jej twarzy nie było ani śladu łez.

Wyprostował się zaraz po niej, niezdolny do skupienia na własnych modlach.

- Chyba mnie usłyszał, bo czuję się jakoś tak... dobrze – powiedziała Meglyne, zaintrygowana własnymi emocjami.

Kai zaśmiał się, wstając chwiejnie.

- Teraz chodź do królewskiej krypty. Sprawdzimy, jak dobrze znasz się na historii.

\*

Cerro chciało się rzygać za każdym razem, kiedy widziała znajdę, co do tego nie było wątpliwości. Od Zakwitania wszędzie było jej pełno – rozmawiała swobodnie z rycerzami,

zapewne oczarowanymi jej naiwnością, a nawet wśród szlachcianek i dam dworu potrafiła wywołać serdeczny śmiech. Cerro zobaczyła ją raz pomagającą nosić naczynia starej służącej i myślała, że zaleje ją krew – chociaż był to czyn szlachetny, to prawda, czyn godny Najszarszego Harona...

To nie była zazdrość. O nie, Cerro była tego pewna. Nudziła się, oczywiście, potwornie, kiedy Kai spędzał ze znajdą czas na lekcjach, ale wałęsała się po zamku jak najdalej od biblioteki. A gdyby była zazdrosna, to przecież przystawałaby ucho do drzwi, prawda? Gdyby usłyszała stłumiony śmiech Kaia z drugiej strony, ten rodzaj śmiechu, którym zbywa się niezabawny żart, głowa by jej chyba eksplodowała... Zresztą, Cerro przejrzała znajdę na wylot – nie ośmieniłaby siebie zapewne nazwać nawet przyjaciółką Kaia. Nawet, jeśli ten dał jej naszyjnik, który dostał od Atiana... I co z tego?! Pewnie po prostu za bardzo cierpiał po stracie towarzysza i chciał dać go komuś nic nieznaczącemu, żeby porzucić wspomnienie o przyjaźni. Kai był tylko jej idolem, mentorem, wzorem do naśladowania. To pomaganie służącym, spoufalanie się z każdym w zasięgu wzroku, pomijanie statusu i płci – to wszystko było tylko małpowaniem tego, co robił Kai. Nie różniła się tym niczym od zawszawionych włóczęgów przechadzających się po mieście i wygłaszających wersety z *Kodeksu Harona*.

Tylko że znajda miała do Kaia stały dostęp.

I co z tego? Nie ośmieniła się. Zresztą, nawet jeśli – Kai tego nie zrobi. A jeśli zrobi – to Cerro się dowie. A nawet jeśli się nie dowie – to co z tego? Nic jej to nie obchodzi. Kai mógł zrobić sobie, co chciał i z kim chciał, i ona tak samo. Jego nie obchodziła sytuacja z Ano, wyciągnął ją z tego marazmu, i Cerro odwdzięczyła się za tę przysługę z godnością. W końcu Kai zasługiwał na znalezienie kogoś poza tym całym pomyłonym małżeństwem. Sama by pewnie skorzystała z okazji, gdyby ktoś godny zaufania pojawił się w zasięgu jej wzroku. Kai znalazł po prostu kogoś, z kim może czytać te swoje książki, gadać jakimś obcym, znanym tylko im językiem, i jej nie pozostało nic, tylko rozglądać się za kimś, kto będzie dla niej kimś podobnym. Jeśli była o cokolwiek zazdrosna, to właśnie o to.

Ale jeśli jeszcze raz tak uprzejmie się do niej uśmiechnie, chyba eksploduje.

Kai może i nie zawsze jest uprzejmy wobec Cerro, ale zawsze szczery – śmieje się, mówi to, co myśli, złości się, smuci... Prawie zawsze. Może dalej udzielał wymijających odpowiedzi, jeśli chodzi o tajemniczy język, tajemniczą wioskę i krew Meavelethów na tajemniczej monecie... Ale czy jest to aż tak istotne?

Istotne było to, że to ona spała z nim w jednym łóżku. Czasem przypominała sobie, dlaczego nie rzucili się sobie w ramiona już podczas nocy poślubnej. Częściej zupełnie o tym

nie pamiętała. Czasem patrzyła w dół i widziała ślad po ranie, z której kiedyś utoczył jej krwi, a który natychmiast znikał, kiedy Kai pokrywał ją pocałunkami. Wszystko znikalo, kiedy TO robili - czasem nawet zdrowy rozsądek, czasem nawet miejsce, czasem nawet głosy zbliżających się ludzi, którzy mogli ich zobaczyć, a zawsze obrzydliwość ich nagości i całego tego zwierzęcego instynktu, któremu bezwstydnie się oddawali. Cerro nigdy nie rozumiała, jak dla kobiety TO może być aż tak przyjemne, by popełniać dla TEGO głupoty tak durne jak Ceadmille z Silarusem i tylu innych ludzi, o których słyszała plotki, w które nie wierzyła, a słowa takie jak „pasja” i „rozkosz” nie były dla niej satysfakcjonującym wytlumaczeniem. A teraz, kiedy je rozumiała, nienawidziła się za spróbowanie tej trucizny. I za to, że ze wszystkich ludzi na świecie perwersyjną pasję i rozkosz TEGO musiała odkryć z pierdolonym Kаем! Lecz za każdy następny raz, przy którym traciła zmysły i odzyskiwała je dopiero, kiedy fala przyjemności kończyła obmywać jej ciało, tak ciężko było jej siebie i jego nienawidzić...

Nie cierpiała o TYM myśleć. TO działało się bez żadnego procesu myślowego z jej strony i nie zamierała poświęcać TEMU więcej uwagi niż było to konieczne do obwiniania się za bycie obrzydliwcem. Tylko czasem pozwalała sobie na więcej, by zaraz zganić się za to, że właśnie przez podsycanie swojego zboczenia w samotności cały czas doprowadza do takich sytuacji z udziałem Kaia. Nienawidziła siebie za to i nie chciała przyjąć do wiadomości, że jest jedną z tych zepsutych, zamroczonych TYM kobiet, które kończą przyłapane w łóżkach kochanków, oddające się byle komu w burdelach albo rodzące jedno dziecko rocznie. Nienawidziła siebie i za to, że podczas jednej z herbatek z Ceadmille upokorzyła się zapytaniem o tajniki nie zajścia w ciążę. Nienawidziła siebie za to, że upokorzyła się, dzieląc się nimi z Kаем. Nienawidziła siebie za to, że oboje tak często musieli je stosować. Nie potrafiła nienawidzić go za to, że był pod tym względem wzorowym mężczyzną, jakiego mogła sobie wymarzyć, zanim została wydana za mąż wbrew własnej woli. Ani za to, że tak na nią patrzył, tak do niej mówił, tak ją dotykał... Nienawidziła siebie za to, że już nie potrafiła go nienawidzić.

W każdym razie - znajda nigdy nie zazna tych rozdzierających duszę uczuć. A już na pewno nie z Kаем. Jedyne, na co oni muszą uważać, to na bycie przyłapanym podczas mówienia nieznanym językiem - a kto zachodzi do biblioteki? Na pewno nie Cerro. Już nie, odkąd nawet regały z książkami nie ostudziły jej żądzy. Będzie trzymać się od biblioteki jak najdalej i, właściwie, po raz kolejny roztrząsając sprawę schadzek Kaia i znajdy, przyłapała się na tym, że nie czuje już ani gniewu, ani goryczy, ani niczego nawet szcątkowo przypominającego zazdrość.

Jednak podczas wieczornego treningu Kai był wyraźnie nadąsany. Nie odezwał się do niej ani słowem, unikał jej wzroku, a chociaż był wyjątkowo zaciekły, nie przerodziło się to w gorączkę, z jaką rozrywała zapięcia jej sukni...

Jeszcze kilka miesięcy wcześniej mógł z łatwością wyżyć się na niej, upokorzyć ją, napawać się widokiem księżniczki na łopatkach. Lecz teraz, choć jej taktyka składała się bardziej z obrony niż z ataku, Cerro stawiała mu zaciekły opór, aż prawie wypchnął ją z polany i ugodził mieczem w korę sosny za jej plecami, kiedy ta tylko się uchyliła.

Kai zaparł się nogą o pień, by wyciągnąć wbite w niego ostrze.

- Do czego tym razem potrzebujesz mojej krwi? – zapytała niewinnie.

Kai zaciągnął usta, nachmurzając się jeszcze bardziej.

- Wybacz – mrucnął bez śladu skruchy w głosie. – Zamyśliłem się.

- Nie przepraszać. Potencjalny przeciwnik będzie chciał nieco jej utoczyć.

Łypnął na nią złowrogo.

- Tym potencjalnym przeciwnikiem ma być Meglyne?

- A co? – starała się zamaskować czujność w swoim głosie. – Już knuje przeciwko mnie?

- Nic nie knuje, a na pewno nie przeciwko tobie. Nie widzisz, jaka jest tobą zachwycona?

- Nie widzę.

- Więc może nie patrzysz wystarczająco uważnie.

- Czy popełniam jakąś zbrodnię, nie poświęcając jej uwagi? Czy naprawdę popadnie w rozpacz, jeśli choć jedna osoba nie będzie jej bezbrzeżnie uwielbiać?

- Ach, czyli jednak zazdrość.

Słowo, które rozpalęło złość Cerro jak pryskająca iskra.

- O co mam być zazdrosna? Nie ma ani większej urody, ani lepszego pochodzenia.

- Przecież nie obchodzą cię takie rzeczy.

- No właśnie, więc o co mam być zazdrosna? Nie rozumiem tylko, dlaczego wszyscy się tak nią zachwycają. Bo co, bo ma jakieś stygmaty, z których i tak nie może zrobić użytku? Bo ma smutną historię? Każdy żebrak z Naucenemes ma smutniejszą. Czemu ich nie wprowadzają na salony?

- To ja wprowadziłem ją na salony, więc domyślamsię, że przede wszystkim do mnie masz o to wyrzuty.

Cerro wyraźnie poczerwieniała. Naciągnęła głębiej swoje rękawice ozdobione herbem Lavanagh z Góru.

- Nie schlebiaj sobie. Wszyscy gorąco cię poparli.

- A jednak wyżywasz się tylko na tej, która nie miała żadnego wpływu na swój los.

- Na nikim się nie wyżywam. Po prostu nie jestem nią oczarowana. Naprawdę jej samoocena runie, jeśli tylko jedna osoba nie będzie wokół niej skakać?

- Czy twoja samoocena runie, jeśli nie będziesz jej wyzywać?

- Chodzi ci o to, że nazwałam ją bluźniercą? Dziwię się, że ty tego nie zrobiłeś. Nie jesteś w końcu kapłanem Szarego Człowieka?

- Gdybyś nie odeszła, śmiertelnie obrażona, zobaczyłabyś, jak łatwo nawrócić kogoś bez agresji. Poza tym, boli mnie bardziej twoje wyzywanie jej od znajd i przybłęd.

Cerro, widząc lekki strach w oczach Kaia, odgadła, że kipiąca w niej furia objawiła się na jej twarzy.

- No, skoro CIEBIE to boli – powiedziała przeciągle – to zacznę skakać wokół niej z taką radością jak wszyscy inni.

Kai poczerwieniał i nie powiedział nic podczas reszty treningu, który przemienił się w ćwiczenia ataku przy jego nieprzerwanie defensywnej pozycji.

Okazja, by wcielić obietnicę w życie, nadarzyła się już następnego dnia, kiedy Cerro wyróżała przez okno na korytarzu i zobaczyła Meglyne siedzącą na wewnętrznym dziedzińcu. Cerro natychmiast wróciła się do sypialni i nałożyła złotą suknię wysadzaną bursztynami, którą ostatni raz nosiła... Właściwie, żadna okazja nie była jeszcze wystarczająco podniosła, by ją nałożyć. Do tego upięła włosy wysoko i wplotła w nie srebrne nici. Na czubek koka nałożyła Koronę Wilczycy - obsydianowy diadem ozdobiony tylko jednym rubinem, jeden z najdroższych przedmiotów na świecie, a bury i skąpy jak sama Święta Unia. Makijaż też zrobiła trudny i pełny, nie do końca przystający mężatce i nie do końca udany, lecz złożony z tak drogich i trudno dostępnych składników, że wielu rozrzutnym koronowanym głowom zza Wielkiej Wody zbielałoby oko.

Tak wystrojona, zeszła dostojsnym krokiem po schodach, a naewnętrzny dziedziniec wkroczyła jeszcze dostojuniejszym. Znajdę otaczał, rzecz jasna, wianuszek adoratorek. Właściwie były tylko dwie. I wcale jej nie otaczały, tylko wylegiwały się na trawie, oparte o zieloną lipę, podczas gdy Meglyne siedziała na ławce, zatopiona w lekturze. Cerro podeszła do nich, splatając po królewsku palce i odchrząkując znacząco.

Panienki Ismena i Tia natychmiast poderwały się na widok księżniczki, tak jak ona tego zresztą oczekiwала. Meglyne była ostatnia – uniosła głowę, zatrzasnęła książkę i zeskoczyła z ławki, dołączając do zgiętych w pół dziewcząt.

- Wasza Miłość!

- Dzień dobry. Jak się miewacie, dziewczęta?
- Wprost wybornie, Wasza Miłość!
- Ale nie będącie miały nic przeciwko, jeśli zostanę z panienką Meglyne sama?
- Oczywiście, że nie!
- Więc zmykajcie do kaplicy.

Nie mogły w ten sposób udać się do ringu dla rycerzy, który był za plecami Cerro, żeby wysyłać z tamtej strony w kierunku Meglyne wskazówki i tajne znaki. Odeszły sztywno, nie oglądając się za siebie, a Meglyne pozostała zupełnie, zupełnie sama, nie będąc w stanie nawet spojrzeć onieśmielająco błyszczącej księżniczce w oczy.

- Dobrze sobie radzisz w zamku – odezwała się Cerro.
- Bardzo dziękuję - przyznała znajda.
- Więc zgadzasz się ze mną? Że dobrze sobie radzisz?

Meglyne nie odpowiedziała od razu.

- Oczywiście, że zgadzam się z Waszą Miłością – rzekła w końcu, jakby zachwycona swym geniuszem improwizacyjnym.

- Więc nie jesteś głupią. Jesteś znajdą znikąd, a rozmawiają z tobą lyrre, haroni, koronowane głowy. Zdajesz sobie sprawę, jak szeroko los się do ciebie uśmiechnął?
- Oczywiście, Wasza Miłość, nigdy nie będę zdolna wyrazić mojej...
- Wiadomo, okupiłaś to pewnym cierpieniem. Znasz jego smak. Wiesz, dokąd możesz wrócić. Dlatego lepiej by dla ciebie było... Co trzymasz w ręku?

Meglyne uniosła niewielką czarną ksiązeczkę.

- Książkę. *Kodeks Harona w służbie Świętej Unii*.

Mimo solidnej warstwy bieli pokrywającej twarz Cerro można było na niej dostrzec wykwitłe plamy czerwieni.

- Po co to czytasz?
- Wszyscy to znają, no i Kai o tym mówi, więc...
- Dopiero teraz? Od czterech miesięcy zamykasz się z nim w bibliotece na intelektualne pogawędki i dopiero teraz czytasz tę książkę?
- Wcześniej przeczytałem kopię, Wasza Miłość, ale teraz...
- Daj mi to.

Meglyne natychmiast oddała jej tom. Sfatygowany, zniszczony, wiekowy, pełen ręcznych zapisków kogoś sprzed paru wieków. Cerro była tak zła, że prawie zwymiotowała. Właściwie, prawie zemdlała, kiedy mroczki zaczęły tańczyć przed jej oczami.

- Po co Kai dał ci tę książkę? – warknęła.

- Bo byłam ciekawa.
- Ciekawa? Ciekawa czego?
- Haronów, Wasza Miłość.

Cerro zaczęła odchodzić, pewna, że skonfiskuje książkę, bo czemu by nie miała? Była księżniczką, była żoną Kaia, była jego pierdoloną kochanką i wydawało jej się, że zasłużyła na jego zaufanie, a jednak wolał zawierzyć tom, który Cerro musiała kartkować w tajemnicy, tej cholernej znajdzie!

Wtedy jednak zatrzymała się i odwróciła do niej, wciąż zgiętej w ukłonie. Cerro przegrała. Przegrała z nią. Ciężko powiedzieć, z jakiego powodu. Może była pojedniesza, ciekawsza, smutniejsza, weselsza. Może po prostu Kai się w niej zakochał. Jakikolwiek nie byłby powód, nigdy nie będzie wystarczająca. Nigdy nie będzie narzędziem, które może posłużyć w każdym celu. Nigdy nie będzie pełnoprawnym partnerem, któremu Kai zawierzy swoje tajemnice. Nigdy nie będzie godna zaufania. I może powinna cieszyć się z tego, że jest przynajmniej godna jego dotyku.

Wyciągnęła książkę do Meglyne, a ta odebrała ją z ulgą wypisaną na twarzy.

- Nie musisz cały czas się giąć, kiedy ze mną rozmawiasz.

Meglyne wyprostowała się, dygając w podzięce.

- Co robisz na tych schadzkach z Kаем? O czym rozmawiacie?
- O historii. Najpierw uczyliśmy się języka maucahhagge, a teraz...
- A cóż to za język?
- Ludzi Nieba. Ale teraz...
- Ludzie Nieba mają język? Oni w ogóle istnieją?
- Według jednych przekazów, tak, według innych, nie.
- A według Kaia?

Meglyne wyglądała na strapioną.

- O tym akurat nie rozmawialiśmy. Ale Kai twierdzi, że mogę być jednym z nich, bo znam ten język. Tak samo jak mój tata.

- I dlaczego się nimi zainteresował? Po co mu ich język?
- Do czytania książek. Ma ich całe mnóstwo, ale do niedawna jeszcze nie znał języka. Jest w nich mnóstwo tajemnej wiedzy i utraconej historii. Teraz tłumaczymy te książki na hekkyrski, żeby Kai mógł je wydać.

Wzrok Cerro wówczas się w o wiele skromniej umalowaną twarz Meglyne tak intensywnie, że ta przestąpiła z nogi na nogę w dyskomforcie.

- I to są jego wielkie sekrety? Książki historyczne?

- Hmm... Nie wiedziałam, że to były sekrety, Wasza Miłość.

Cerro miała wrażenie, że Meglyne nie kłamała. Owszem, Kai wtajemniczył ją w niektóre ze swoich spraw, ale ta nawet nie zdawała sobie sprawy, że to tajemnice. Nie wie więcej od Cerro. Wcale nie jest jego partnerem. Wie po prostu co innego i stoi po drugiej stronie. Ale dystans między nimi a nim jest taki sam.

- Wiesz, że jesteś dla niego tylko narzędziem? – zapytała. – Meglyne. Dobrze to wymawiam?

- Tak, Wasza Miłość.

- No. Więc jesteś tylko narzędziem. Zresztą tak jak każdy. Masz coś, czego on chce i tylko dlatego obraca się w twoim towarzystwie. Myślałaś kiedyś o tym?

- Tak, Wasza Miłość.

- Ale nie wierzyłaś, że to może być prawda, tak? Otóż jest, zaufaj mi. Z tobą przebywa tylko wtedy, kiedy chce. Ze mną jest zamknięty nawet wtedy, kiedy nie ma ochoty nosić maski. Radzę ci, Meglyne, weź sobie od niego jakąś zapłatę za to, że cię wykorzystuje. Bo przedżej czy później wyczerpiesz swoją przydatność i zostaniesz z niczym.

- Już wzięłam zapłatę – odparła Meglyne. – Wydostałam się z wieży.

Cerro nagle pojęła, dlaczego wszyscy, a właściwie, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, nie wszyscy, ale ci, którzy mają choć krztę współczucia, skaczą wokół Meglyne jak wokół kopniętego szczeniaka. Sama miała ochotę przytulić ją jak zapłakaną przyjaciółkę, choć Meglyne ani nie wyglądała, jakby miała wybuchnąć płaczem, ani nigdy nie miałaby szansy zostać przyjaciółką Cerro. Cóż, tego drugiego Cerro nie była taka pewna. Kai z pewnością nie dałby jej żyć bez złośliwych przytyków, gdyby nagle zaczęły przesiadywać razem pod lipą, ale przynajmniej miałaby kogoś, z kim mogłaby to robić. Nie Ceadmille pojącą ją naparami pod pretekstem wymuszenia przysług, ani damy dworu plotkujące za jej plecami. Tylko tę szczerą i naiwną przybłądę, która nigdy nie chciała niczego więcej poza wyjściem z wieży.

- Jeśli będziesz czegoś chciała – ponowiła Cerro, czując się pokonana przez swój własny misterny plan – czegoś, czego Kai nie będzie mógł albo chciał ci zapewnić... Jestem tylko siostrą króla, ale wciąż mogę dużo.

- To zaszczyt, Wasza Miłość.

- Możesz mi właściwie mówić Cerro.

Meglyne wiedziała widocznie wystarczająco o ceremoniale, żeby wybałuszyć oczy, ale nie wystarczająco, żeby przyjąć to z wdzięcznością albo milczeniem.

- Dlaczego, Wasza Miłość?

- Tak po prostu – Cerro machnęła na nią ręką i ruszyła do zamku. – Zawołaj swoje koleżanki i bywaj.

Kiedy tylko przekroczyła próg, wiedziała gdzie musi iść, żeby wypłakać się do woli, żeby zrozumieć, co właściwie się stało, co sobie uświadomiła i gdzie zniknąć, żeby nikt, kto mógłby to skomentować, nie zobaczył jej idiotycznej sukni i makijażu. Przebiegła obok wypełnionej po brzegi sali tronowej, pomiędzy mieszkańców czekającymi na łaskawy osąd harona, i przeskakiwała po dwa stopnie na raz, zmazując farbę rękawami i łączami. Wreszcie dopadła drzwi komnaty w zachodniej wieży, wpadła do środka i zatrzasnęła je za sobą, wybuchając rozpaczliwym szlochem.

Nie była nawet pewna, czemu czuła się tak podle. Przez tych sekretnych Ludzi Nieba? Przez Kaia? Przez Meglyne? Pewna była tylko, że nie pozyje długo, że z pewnością w końcu jej serce pęknie tak jak serca wszystkich tych matron, księżniczek-lalek z legend, które zawsze tak ją denerwowały i istniały tylko po to, żeby być smutnymi, zmartwionymi i zdruzgotanymi, a teraz sama była jedną z nich.

Opadła na podłogę z plecami przycięszonymi do drzwi, a dłońmi do oczu. Kiedy przesunęła palce, zmazując farbę wymieszaną z wodą, i rozwarła powieki, by poszukać stołu do podsunięcia pod klapę, wrzasnęła wniebogłosy.

Dwójka ludzi stała przy teleskopie jej ojca.

- Wasza Miłość – skłonili się natychmiast z pięściami przy piersi. Kobieta i mężczyzna. Kobieta mówiła dalej. – Wybacz, Wasza Miłość, nie wiedzieliśmy, że to twoje miejsce.

Miała jasne włosy spięte w kitkę nad karkiem i prostą, fiolkową suknię o mało imponującej spódnicy. Była chyba młodsza niż Cerro, a mimo to nie miała makijażu. Mężczyzna obok niej był dość wysoki, ubrany w długi szary frak połatały w kilku miejscach, a oczy osłaniały mu dwa szklane koła połączone drutem. Cerro nie pomknęła ich imion, ale rozpoznała w nich dwójkę z ludzi, których Kai zatrudnił do archiwizowania wyroków.

- C-co – wykrztusiła, kuląc się i kryjąc, jakby zastali ją w kąpieli – co tutaj robicie?!

- Używaliśmy teleskopu – pospieszyła z odpowiedzią dziewczyna. – Drzwi były otwarte, a musieliszy popatrzeć na gwiazdy.

- W dzień...?

- To moja wina, Wasza Miłość – odezwała się mężczyzna. Miał głos wykładowcy. – Założyłem, że skoro drzwi są otwarte, to nie muszę pytać nikogo o pozwolenie. Chodzi o mój nowy sonet. Całkiem zapominam o odpowiedzialności, kiedy napadnie mnie inspiracja.

- Ach... Aha...

Cerro podniosła się chwiejnie, musząc przytrzymać się drzwi. Dziewczyna przekrzywiła głowę, przyglądając się jej.

- Jak możemy pomóc, Wasza Miłość? – spytała. – Co się stało?

- Nic... Nic się nie stało... Gorzej się poczułam i chciałam tu przyjść. Lubię tu przychodzić. Piękne widoki.

- O, tak! – zgodził się mężczyzna i nabrał powietrza, by perorować dalej.

- A wy nie powinnicie być teraz w pracy?

- Mamy przerwę, Wasza Miłość – odparła dziewczyna. – Haron Sprawiedliwości wybił zbadać sprawę skomplikowanego zabójstwa. Nie wiadomo, czy dziś jeszcze wróci, ale jeśli tak, czekamy i my, i inni interesanci.

- Aha... A nie jest was przypadkiem czwórka?

- Jest, ale... No, Madrigale miał ten napad natchnienia, a ja chciałam zobaczyć teleskop.

- Rozumiem. Więc gdzie jest pozostała dwójka?

Dziewczyna i mężczyzna imieniem Madrigale spojrzeli po sobie.

- Mają znaleźć przekąski – odpowiedziała Madrigale, tak cicho i słabo, jakby wyznawała przeraźliwie wstydliwą tajemnicę.

- Przekąski? – powtórzyła Cerro, zaintrygowana.

- Tak... Haron Sprawiedliwości nam pozwolił, przysięgamy.

- Na co wam pozwolił? Na branie przekąsek z królewskiej kuchni?

- Tylko kilku, i to nie najświeższych.

- Na korzystanie z salonu karcianego też nam pozwolił – dodała prędko dziewczyna. – Przysięgamy, wystarczy go zapytać, a on poświadczycy.

Cerro wpatrywała się w dwójkę ludzi przerażonych jej obecnością tak, jakby zobaczyli ducha.

- Więc bierzcie jedzenie z królewskiej kuchni i gracie w karty w królewskim salonie?

Przytaknęli, mężczyzna blady jak trup, a dziewczyna zlana gorączkowym potem. Cerro roześmiała się. Teraz mężczyzna się spocił, a dziewczyna zbielała.

- To najlepsza reforma, jaką haron do tej pory wymyślił – powiedziała. – Czy mogę się do was dzisiaj przyłączyć?

Nie sądziła, że można być jeszcze bledszym i jeszcze bardziej mokrym.

- T-to byłby zaszczyt – wykrztusił Madrigale.

- I przednia zabawa! – przyklasnęła dziewczyna.

- Prowadźcie, wobec tego – Cerro otworzyła drzwi, natychmiast zarażona jej entuzjazmem. – Wieki tam nie byłam, ledwo pamiętam, gdzie...

- Tylko, Wasza Miłość – dziewczyna nagle podeszła bliżej i ściszyła głos, wskazując palcem na swoją twarz. – Czy taki makijaż chciałaby Wasza Miłość...

Cerro uprzytomniła sobie, jak musi wyglądać po sesji ścierania i płakania.

- Och, rzeczywiście! Najpierw chodźmy, żebym przemyła twarz, a potem na karty!

Ci ludzie nie grali w cesarstwo, króliczki, igłę w stogu, ani w pary, ale w krąg, kłamcę, oszusta, śmierć i balet - w gry męskie, szemrane i wymagające kapitału, o który się zakładali. Cerro musiała nauczyć się ich zasad, toteż najpierw przyglądała się, wiedząc, że choćby rwała się i krzyczała, nie przekona ich, żeby nie pozwalali jej wygrać. Każda z tych gier wymagała blefu, taktyki, zabawiania przeciwnika rozmową, odwracania jego uwagi, śmiałości. Madrigale i Mnemosyne, bo tak miała na imię jasnowłosa dziewczyna, przekomarzali się bez ustanku, i choć dziewczyna wydawała się czujna jak wyżeł, czasem przegrywała, zwykle z winy właśnie Madrigale'a, który wydawał się cały czas bujać w obłokach i czynić głupie ruchy tylko po to, by wygrać w wyjątkowo zgrabnym stylu.

Madrigale'a na wylot znał Lourdes, który był również mistrzem w rozpraszaniu graczy przedziwnymi anegdotami. Twierdził, że po drodze z kuchni do saloniku widział drepczącą kaczkę, która przemieniła się w królewskiego sekretarza, a kiedy wszyscy się roześmiali, ten nalegał, że jest to prawda, i nawoływał Agdę, z którą wtedy szedł, do potwierdzenia jego historii. Najczęściej gubiła Lourdesa rozrzutność, którą Agda z cynizmem prowokowała. Sama grała tak jak wyglądała – ostrożnie, zgodnie z zasadami i bezlitośnie. Była chyba najstarsza z nich lub wyglądała na najstarszą z powodu szarawo-purpurowej cery, ciemnych kręgów pod oczami i sukni zapiętej po sam podbródek. Wyprostowana jak struna, symetryczna i jednokolorowa, wyglądała co najmniej ciekawie naprzeciwko Lourdesa ubranego w jakieś pozszywane byle jak łachmany i dziwaczna bezkształtną czapkę. Agda była też jedyną osobą, której wciąż nie przechodziło przez gardło imię Cerro, kiedy ta pozwoliła im tak się do siebie zwracać.

Ledwo Cerro poczuła się na tyle pewnie, żeby zasiąść do stołu i podejrzewać, że może wygrać dzięki swoim umiejętnościom, drzwi otworzyły się i do środka wszedł Kai i Meglyne. Kai uniósł na jej widok brwi, po czym rozpromienił się i usiadł naprzeciwko niej, podczas gdy Meglyne przystawiła sobie krzesło na końcu stołu, pomiędzy Lourdesem a Agdą. Kai nie zadawał Cerro żadnych pytań, tylko od razu zaczął opowiadać o śledztwie, które zakończyło się tym, że nie miał wyjścia i musiał zatrzymać prawdopodobną morderczynię na noc w lochu, by wznowić sprawę następnego dnia, a Cerro w żaden sposób nie skomentowała

towarzystwa, w jakim się pojawił, choć oczywiste było, że nie jest to pierwszy raz, kiedy wszyscy, oprócz niej, grają w tym składzie. Żartowali z Meglyne, droczyli się z nią, zagładzali jej w karty i oszukiwali bez żadnych problemów. Cerro trzymała swoją talię tak blisko oczu jak tylko to było możliwe, zdeterminowana, by może nie zgarnąć całej puli, ale na pewno nie dać pobić się Meglyne.

Było to dzieciście łatwe – w końcu Mnemosyne zagarnęła do siebie wszystkie monety, śmiejąc się dziko, a Cerro czuła aż w cebulkach włosów parzącą satysfakcję z tego, że miała drugą najlepszą kartę, podczas gdy Meglyne przegrała sromotnie, ukazując swoje żałosne karty, na których widok wszyscy ryknęli śmiechem. Lourdes rozpoczął tyradę drwin na temat wszystkich jej działań w rozgrywce, a te były jak muzyka dla uszu Cerro. Spostrzegła, że Meglyne ociera łzy spod oczu. Nie były to jednak łzy wstydu czy smutku. Dziewczyna po prostu popłakała się ze śmiechu. I sama podsumowała swoją fatalną taktykę żartem, który trafił do wszystkich, wszyscy wybuchli kolejną falą szczerego, instynktownego rechotu.

I nagle Cerro zrozumiała, że chociaż Mnemosyne wygrała w śpiewającym stylu, chociaż sześciu z siedmiu graczy miało lepszy wynik niż Meglyne, to i tak uwaga wszystkich skupiła się właśnie na niej. Nie zrobiła nic bardziej imponującego niż Mnemosyne, nie była zabawniejsza niż Lourdes, nie mówiła o niczym bardziej intrygującym niż Madrigale i nie robiła nic przynajmniej poprawnie, tak jak Agda. A jednak wszyscy lgnęli właśnie do niej. Mieli harona i księżniczkę w pokoju, a i tak lgnęli do niej.

Cerro zaciśnęła zęby. Nienawidziła Meglyne. Nawet jeśli nie cały czas i nie tak gorąco jak by sobie życzyła, nienawidziła jej i była z tym pogodzona. Ktoś w końcu musiał.

Poczuła, jak coś obejmuje jej kostkę. Prawdopodobnie stopa i coś mniej giętkiego i odrobinę bardziej niezdarnego, jak sztuczna stopa. Kai uśmiechał się do niej lekko, zmęczony i zaspany, nad łokcia, na którym opierał głowę. Cerro odwzajemniła uścisk stóp swoją własną nogą. Uśmiechnęła się łaskawie i zebrała karty, by przetasować je przed następną partią.

\*

Silarus westchnął błogo. Choć balia była odrobinę za mała i musiał wystawić za nią nogi, woda była tak rokrosznie gorąca, że nie pozostawało nic, tylko wygiąć głowę do tyłu i nie myśleć absolutnie o niczym.

Oczywiście, nie dane mu było długo tak trwać, ponieważ usłyszał kroki na deskach. Podniósł ręcznik z oczu i zobaczył dziewczynę wyginającą się przed lustrem, by zawiązać gorset.

- Już idziesz? – spytał głupio.

Spojrzała na jego odbicie w poznaczonym śladami palców lustrze.

- Życzy sobie pułkownik, żebym została? – odparła grzecznie.

- Jeśli ty sobie życzysz, to oczywiście.

- I co będziemy robić?

- No... Moglibyśmy porozmawiać.

Dziewczyna uśmiechnęła się, zaciskając ostatnią wstążkę i narzucając suknię. Silarus rad był, że ukrop już wcześniej uczynił całe jego ciało czerwonym.

- Mam sprawunki do załatwienia – dziewczyna wsunęła stopy w chodaki. – Następnym razem, pułkowniku. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia – odbulgotał Silarus, już z połową twarzy zanurzoną pod wodą.

Kiedy dziewczyna otworzyła drzwi, zabawa z piętra niżej rozbrzmiała z pełną mocą, a potem znów przycichła. Silarus podkulił nogi, by zmieścić się w balii w całości, i leżał w błogim ukropie, jedynie z oczami nad taflą wody.

Nagle zabawa znów stała się głośna, a Silarus wysunął się na powierzchnię tak gwałtownie, że rozchlapał wodę wszędzie wokół, na chodaki dziewczyny również. Spojrzała na nie z chłodem, lecz na niego z ciepłym uśmiechem.

- Akurat przyjechał posłaniec ze stolicy – powiedziała, wręczając mu list zapieczętowany sfinksem. – Do zobaczenia.

Silarus wziął list, a dziewczyna znowu zamknęła za sobą drzwi. Dalej leżał w gorącu, które jeszcze nie zdążyło zlecieć, a jednak nie było w nim już nic błogiego ani rozkosznego. Był list w jego ręce i pieczęć na nim. Były kolejne rozkazy od ojca. Było Modre Oko i Pałac Popiołów. Był Kai Kohar i Yazor Temidan.

List w jego dłoni pozostał poza balią, suchy, kiedy cała jego głowa zniknęła pod powierzchnią wody.

## ROZDZIAŁ XII

Cerro raptownie zwolniła, wyzwalając się ze szponów upokarzającego ferworu, ale Kai i tak odrzucił do tyłu głowę z błogim westchnięciem. Cerro zagryzła wargę, przyglądając się jego zroszonej kroplami wody i potu twarzy, kiedy jego ukoronowane czarnymi rzęsami powieki uniosły się powoli, jakby budził się z rokognnego snu. W takich chwilach, kiedy widziała kolumnę jego szyi, rys jego szczęki i zaczerwienione od ukropu policzki, do których przylepiały się nici wilgotnych włosów, był w pewnym sensie... no, nawet piękny. Poruszył się pod nią i Cerro zaczepnęła głośny oddech, instynktownie wpijając paznokcie w jego ramiona. Kai uśmiechnął się z triumfem, a Cerro opadła czołem na jego piers, chcąc ukryć swoje zażenowanie.

Kai jednak uniósł jej podbródek, spojrzał na nią spod półprzymkniętych powiek i położył dłoń na jej policzku, kciukiem wodząc po jej ustach.

- Jesteś tak straszliwie piękna – wymruczał.

Cerro odkaszlnęła niezręcznie, po czym zaczęła bawić się włosami nad jego karkiem.

- Kai – powiedziała, nie brzmiąc nawet w połowie tak uwodzicielsko jak umiała Ceadmille, ale z nadzieję, że ruchy jej biader to zrekompensują – o co chodzi z Ludźmi Nieba?

Powieki Kaia rozwarły się tak szeroko, jak tylko to było możliwe. Złapał za jej uda, stanowczo je unieruchamiając.

- Z jakimi Ludźmi Nieba? – odparł z gwałtownością, która nie zwiastowała powodzenia planu Cerro.

- Z tymi, których języka się uczysz – oznajmiła niewinnie. - A skoro mają język, czy znaczy to, że są prawdziwi? Znalazłeś na to jakieś dowody? Czeka nas zagłada czy coś w tym rodzaju?

- Skąd... Meglyne ci powiedziała? Nie wiedziałem, że jesteście teraz takimi przyjaciółkami, żeby zwierzać się sobie...

- Ona nawet nie wiedziała, że to jakiś wielki sekret. Trzeba jej było powiedzieć, że...

- Gdybym jej powiedział, to... Zresztą nieważne. To nie jest twoja sprawa.

- To w czym zaszkodzi, jeśli mi o niej trochę opowiesz?

- Bo to moja sprawa, a czy ja wtrącam się... Dlaczego mówisz o tym teraz? Akurat teraz przyszło ci do głowy zażądać ode mnie informacji?

- Zażądać? Przecież ja tylko pytam. I chyba najwyższy czas, żebym zaczęła. Skoro sprawa tak cię porusza, to jest pewnie ważna. Czeka nas ta zagłada rodem z wiejskich bajań czy nie?

Kai wypiątał się z jej nóg i ramion, po czym wstał gwałtownie i wyszedł z balii, owijając się ręcznikiem.

- Bo jeśli tak, to daleko temu do bycia tylko *twoją* sprawą, najłaskawszy Najszarszy Haronie – rzuciła za nim Cerro, zasłaniając się mydlinami.

- Może jest powód, dla którego ci o tym nie mówię, co? – odwarknął Kai, siadając na krawędzi łóżka i wycierając zaciekle włosy. – Może to niebezpieczna wiedza?

- I dzielisz się nią z Meglyne? Może powinnam ją ostrzec.

- Meglyne jest jedyną osobą mogącą pomóc mi w zdobyciu tej wiedzy, jasne? Kiedy już połączę kropki, wszyscy się o tym dowiedzą.

- Mam nadzieję, że stanie się to, zanim Ludzie Nieba wyjałowią glebę i pokryją cały świat jak szarańcza.

Kai, który właśnie naciągnął spodnie, już miał odpyskować, kiedy rozległo się pukanie. Cerro natychmiast zanurzyła się w balii po sam nos, a Kai nałożył przez głowę byle jaką koszulę i otworzył drzwi tak, by tylko połowa jego zagniewanej twarzy była widoczna.

- Pilne wieści z Rhagos – powiedział sługa, zanim zdążył usłyszeć powitanie. – Jego Wysokość wzywa do pokoju karcianego.

Kai zmarszczył brwi pytająco, lecz przytaknął, i wkrótce, mimo dość późnej pory, zjawili się na miejscu.

Przywitał ich tam Silarus, Myron, Habren i Chevita. Wszyscy, poza tym pierwszym ubranym w swój zwyczajowy czarny mundur, w koszulach nocnych i szlafrokach

- A ty co tu robisz? – Myron warknął natychmiast w kierunku Cerro, porzucając tasowane niedbale karty.

- To samo, co twoja żona – odparowała. – Domyślam się więc, że wieści dotyczą całej rodziny królewskiej.

- A nieobecność moich dzieciaków nie daje ci nic na ten temat do myślenia?

- Ty...

- Daj jej spokój, Wasza Wysokość – mrucnął Kai, zanim rodzeństwo zdążyło rzucić się sobie do gardeł. – Złe wieści lepiej dostawać szybko, więc tak to załatwmy.

- Skąd wniosek, że muszą być złe? – zauważył pogodnie Silarus. – Ojciec nie zawsze zwiastuje katastrofę.

- Ale zwiastuje przygotowania do zapobiegania katastrofie. No, pokazuj ten list.

Silarus wyciągnął kopertę zapieczętowaną sfinksem i położył ją na stole przed Myronem. Król z niesmakiem przełamał pieczęć.

- Ty wiesz, co jest w środku?

- Domyślam się.

Myron prędko przewertował list wzrokiem, trzymając go tak, że prawie dotykał końca jego haczykowatego nosa. Im dalej brnął, tym bardziej wygładzało się jego oblicze.

- O – zdziwił się jak dziecko. – Skończono remont zachodnich ogrodów.

- Naprawdę? – Albo Kaiowi się wydawało, albo Cerro uniosła pięści, podekscytowana.

- Coś takiego – powiedziała Chevita, bez śladu entuzjazmu. – Rzeczywiście, takie wieści nie mogły czekać do rana.

- To znaczy, że cały Pałac jest już gotowy i Temidan zaprasza na wizytację! – wykrzyknął Myron. - Wyśmienicie!

- Taaak! – Albo Kaiowi się wydawało, albo Cerro uczeplała się ramienia szczęśliwego Myrona. – Mogę się tam wreszcie przenieść, Myron!

- Tak! Generał pisze, że wszystko poszło świetnie! I łaźnia, i ring, i hipodrom...

Cerro zaczęła podskakiwać i nie było co do tego wątpliwości.

- Nareszcie! Nareszcie, nareszcie, nareszcie!

- Co nareszcie? – obrzucił się Kai. – Robiliście remont?

- Prawie cztery lata! Kiedy umarła matka, nic mnie nie trzymało w Modrym Oku, więc chciałem tam wrócić, ale ojciec stwierdził, że w Pałacu Popiółów nie godzi się mieszkać, więc zorganizował remont i budowę całego tego niepotrzebnego badziewia, a teraz to się wreszcie skończyło!

- Tego nie wiadomo. Trzeba przeprowadzić wizytację – Myron potarł podbródek w zamyśleniu. – Tylko ja się wybierałem akurat do Strażnicy Świata...

- Do Strażnicy?! – obruszył się Kai. – A niby po co?

- Muszę kontrolować moich lenników. A co, chciałbyś wybrać się ze mną?

- Teraz wolałbym zająć się tym, dlaczego Yazor Temidan wysyła wiadomość o końcu remontu. Nie powinien robić tego główny architekt czy ktoś podobny?

- Jest tam załączony raport głównego architekta – odpowiedział spokojnie Silarus. – Ale czemu jakiś umorusany tynkiem gryzpiórek ma się kontaktować bezpośrednio z królem?

- To pułapka, i do tego mało zmyślna. Nikt nie pojedzie na żadną wizytację.

Myron i Cerro równocześnie wydali z siebie oburzone okrzyki, przez co trudno było rozszyfrować choć jeden. Silarus zbladł. Chevita parsknęła śmiechem.

- Powinieneś uważać, na kogo wskazujesz palcem, Najszarszy Haronie – wycedziła.
- Kto ma większe prawo wskazywać na niego, jak nie ja? Próbował mnie zabić!
- Pułkownik próbował.
- Dlatego powiedz, Silarus – kogo generał życzyłby sobie na takiej wizytacji?
- A bo ja wiem? – odfuknął zapytany. – Zapewne króla.
- Króla? A on nie ma ważniejszych spraw na głowie niż przyglądarki się hipodromowi?

- Nie wiem, jak ty to sobie wyobrażasz, Kai. Że ojciec zaprosi króla i go zabije? I co wtedy? Przejmie tron? Dalej będzie sobie generałem? Dalej będzie w ogóle żywy? Nie sądzisz, że wymyśliłby coś odrobinę sprytniejszego? I coś, co faktycznie pomogłoby mu zrealizować jakiś cel?

- Czy ja władam krajem, w którym własny generał chce i może mnie zaszlachtować? – wtrącił Myron. – Nie wydaje mi się. Yazor Temidan cieszy się ponurą sławą, ale tylko przez jeden incydent, od którego czasu odkupił swe winy. Czy twój ojciec wciąż wspomina o tym całym Szarym Bogu?

- Nie, Wasza Wysokość.
- A dlaczego Silarus nie miałby kłamać? – zezłościł się Kai. – Wtedy cała rodzina Temidanów stała za nim murem.

Silarus spojrzał na niego z uniesioną brwią.

- Bo znalazł ten niby-Magmowy Miecz pod poduszką. Wszyscy go widzieliście. Co wy byście sobie na naszym miejscu pomyśleli?

- Dobra, rozmowa z jego szpiegiem i tak nie ma sensu – Kai wiedział, że Silarus dał mu sporo dowodów zaufania, ale był zbyt wzburzony, miał zbyt silne przeczucie i był zbyt niegotowy na Yazora Temidana czyniącego pierwszy ruch. - Jestem za tym, żeby nikt nie jechał na tę cholerną wizytację.

- Oszalałeś – oświadczyła Cerro. – Ja pojadę. Ja się nie boję. Poza tym generał nie ma żadnego interesu w robieniu mi krzywdy.

- Ty? – w głosie Chevity zabrzmiała prawie autentyczna nuta rozbawienia.
- Wykluczone – Kai oparł się o stół, żeby znieść ciężar ze swojej protezy, która bolała, kiedy nosił ją zbyt długo. – Co, jeśli weźmie cię na zakładnika?

Silarus wstał, a Habren zakryła uszy dłońmi.

- Grabisz sobie, Kai – burknął Silarus. – Może jeszcze zażąda miliona cersenów i statku za Wielką Wodę?

- Może zażądać urzędu, władzy, czegokolwiek.

- Ma wojsko i stolicę. Mógłby już dawno przejąć trzy czwarte Unii, gdyby chciał.

- Ciężko się nie zgodzić – przytaknął Myron. – Bardziej obawiam się, że Cerro tam pojedzie i wróci bez żadnych pożytecznych informacji.

Cerro odwróciła się do niego gwałtownie.

- Myślisz, że nie jestem w stanie ocenić, czy kafelki na ścianie są równe położone?

- Ani czy farba dobrze zaschła.

Myron wciąż przyglądał się listowi, kiedy Cerro uderzyła go w nos. Zaciśniętą pięścią.

Aż gruchnęło.

Nagle wszyscy byli naprężeni jak struny, w pełnej gotowości, z lekko rozpostartymi ramionami, nie bardzo wiedząc, co zrobić.

Myron zatoczył się na stół do gry i chwycił za nozdrza. Spojrzał na Cerro, zaskoczony nie mniej od niej. Był też rozwścieczony nie mniej od niej, kiedy sam uderzył ją zaciśniętą pięścią w środek twarzy.

Habren i Chevita podniosły krzyk, chwytając Myrona za oba ramiona, podczas gdy siła uderzenia niemal powaliła Cerro na posadzkę. Kiedy tylko odzyskała równowagę, natychmiast rzuciła się w kierunku Myrona z rozcapierzonymi dłońmi, a ten wyrwał ramię z uścisku Habren, by szarpnąć Cerro za włosy i próbować ją kopnąć, na co tym razem Kai i Silarus podnieśli krzyk, łapiąc Cerro za ramiona i właściwie przenosząc ją na drugi koniec pomieszczenia.

Choć próbowała się wyrwać, nie mogła ruszyć się z miejsca, a Myron runął wraz z Habren na podłogę, klnąc i kipiąc.

- Uderzyłaś króla, ty kurwo! – wrzasnął, znów chwytając się za poczerwieniałe nos. – Mogę cię za to poćwiartować i nawet mi cię nie będzie szkoda!

- Z chęcią zrobię to drugi raz, pizdo! – Cerro, która krwawiła z rozciętej dolnej wargi, rzuciła się całym ciałem do przodu tylko po to, by Silarus mało subtelnie przygwoździł ją z powrotem do zachodniej ściany. – AUA! Jestem, kurwa, księżniczką, ty nie możesz traktować mnie jak szmatę!

- Możesz traktować ją jak zaropiałą dziwkę, Silarus! Masz pozwolenie, nawet rozkaz od króla!

- Czyś ty oszalał, Myron? – Habren wytrzeszczyła oczy, by zamknąć je w obrzydzeniu, kiedy ślina Cerro wylądowała nie tylko na Myronie, ale i na niej.

- Taki z ciebie, kurwa, król! – ryknęła Cerro. – Może znów zakujesz mnie w kajdany, pizdo?! Aż tak się mnie boisz??

Myron prawie poderwał się z podłogi, upadając na nią z powrotem pod jednym dotknięciem Chevity.

- Zabiję cię – bardziej oznajmił niż wykrzyczał. – Zabiję cię i za sam ten fakt ogłoszą mnie najlepszym królem w historii.

- HA-HA! Co za wyczyn! Jesteś nikim, jesteś tylko kutasem, który...

- Zamknij się – syknął Kai. – Nie warto.

- Wyjątkowo zgodzę się z Najszarszym Haronem – odezwała się Chevita. – Jej Miłość szaleje przez ciążową burzę hormonalną, a Jego Wysokość daje się sprowokować jak pięciolatek.

- Nie jestem w żadnej ciążowej burzy! – wrzasnęła Cerro. – Jak chce mnie zabić, to niech spróbuje...!

- Jesteś. Jesteś też idiotką za szukanie zwady w takim stanie. Musimy teraz iść do mojego gabinetu i przejść przez bardzo niekomfortową egzaminację. Będzie ona niekomfortowa dla nas obu, jeśli cię to pocieszy.

I Cerro, i Myron przestali się wyrywać. Sam Kai czuł, jak lodowaty paraliż ogarnia całe jego ciało.

- Jestem w ciąży? – wydukała Cerro. – A ty skąd to niby wiesz?!

Chevita spojrzała na nią prawie ze współczuciem.

- Jestem czarodziejką odpowiedzialną za bezpieczeństwo, a więc też przetrwanie ciągłości obecnej linii rządzącej Świętą Unią. Mieszkam na dworze już trzeciego króla tej dynastii. Śmiem podejrzewać, że jestem dość dobra w tym, co robię.

Dłuższą chwilę nikt się nie poruszał. Potem Cerro wyrwała się najpierw z uścisku Kaina, a potem Silarusa. Nie próbowali jej już przytrzymać, bo i nie musieli – Cerro oparła się ciężko na blacie stołu.

- Habren też jest przy nadziei – oznajmił Myron.

Wszyscy, łącznie z Habrem, spojrzeli na niego w zdziwieniu.

- Jest? – Chevita udała uprzejme zaskoczenie.

- Tak. I to na pewno będzie chłopak.

Powiedziawszy to, spojrzał prosto w oczy Kaina.

- Chevita, pamiętaj, by sprawdzić, kto jest ojcem mojego siostrzeńca. Wszyscy chcielibyśmy wiedzieć, komu gratulować.

- Zamilknij – mruknęła Chevita.

- A ty myślisz, że dlaczego możesz tak do mnie mówić, kurwo?! Ciebie też mogę poćwiartować, mogę wyrwać ci stygmaty i...

- Spróbuj. Zobaczmy, jak ci pójdzie.
- To jest jakiś żart! Puść mnie, kobieto! Jestem królem i mogę robić co chcę, a wy...!
- Wychodzę stąd – oznajmiła Cerro, a Silarus i Kai rozstąpili się przed nią posłusznie.
- Zapraszam do mojego gabinetu – Chevita ostatni raz pchnęła Myrona na podłogę delikatnym dotknięciem dłoni, pod wpływem którego zwalił się na nią jak przygnieciony drzewem. – Potwierdzimy tę całą ciążę. Zawsze może się okazać, że się myle.

Cerro nawet nie spojrzała na Kaia.

- Dobra – zgodziła się w końcu i nacisnęła klamkę, a Chevita pospieszyła za nią.

Kai i Silarus bez przerwy wpatrywali się w Myrona, który dyszał i sapał, próbując wstać, a zapłakana Habren wciąż trwała uczepona jego ramienia. Kiedy król wreszcie się podniósł, strzepnął ją z taką siłą, że ta gruchnęła plecami o ścianę, po której prędko prześliznęła się do kąta izby. Myron odgarnął włosy z twarzy, biorąc głębokie wdechy i podnosząc wymiętoszoną korespondencję z posadzki.

- Ty też powinnaś iść na egzaminację do Chevity, Habren – powiedział spokojnie.

Królowa zrobiła niepewny krok w jego stronę.

- Kiedy ja...

- Jesteś królową, a Chevita właśnie opatruje kurwę. Może i sala tronowa, i królewski salon karciany stały się już przytułkami dla biedoty i degeneratów, ale żywię gorącą nadzieję, że gabinet nadwornej czarodziejki uniknie takiego losu. Idź wypełnić swoje szczątkowe obowiązki: słuchaj się mnie i reprezentuj rodzinę królewską.

Habren opuściła komnatę, ocierając łzy.

- No, to co z tym zrobimy? – Myron położył list i raport architekta przed sobą.

Do końca spotkania Silarus i Kai nie ruszyli się spod ściany, udzielając rozsądnych rad.

\*

Kai wpadł w lekką panikę, kiedy nie mógł znaleźć Cerro ani w gabinecie Chevity, ani w sypialni, ani w kaplicy, ani w zachodniej wieży, ani w ogóle nigdzie w całym zamku. W końcu wskoczył na konia i znalazł ją pod drzewem na ich polanie treningowej. Przywiązał uzdę do gałęzi i zbliżył się ostrożnie do Cerro, siadając naprzeciw niej. Siniak na jej policzku i krew na jej wardze już zaczynały ciemnieć. Kai nie miał śmiałości ich dotknąć.

- Hej – powiedział.

- Hej - odpowiedziała.

Dalej była tylko cisza. Nie było nawet wiatru ani świerszczy. Nawet skubiący trawę koń nie robił tego donośnie.

- Jak to w ogóle możliwe? – podjął Kai. – Przecież tylko raz...

- Chevita powiedziała, że żadna metoda nie jest pewna – przerwała Cerro. – A za pierwszym razem, chociaż jest to ciężkie, nie jest niemożliwe. Powiedziała, że... że jeszcze siedem miesięcy. Więc było to pewnie wtedy.

Kai przeczesał włosy ręką, zastanawiając się, co w ogóle powiedzieć.

- Cerro... Przepraszam...

- Są sposoby, żeby nie mieć dziecka – Kai zobaczył, z jakim trudem ślina przecieka przez jej gardło, a zdźbło trawy, które wyrwała z ziemi, staje się coraz drobniejsze i drobniejsze. – Ceadmille mi o nich mówiła. Trzeba znaleźć maga albo mądrą kobietę. Mogłabym iść do miasta albo pojechać na wieś...

Kai słuchał jej z uwagą, ale Cerro przerwała. Spojrzała na niego.

- Co o tym myślisz?

Nie odpowiedział od razu, a w tym czasie strzępki zdźbła stały się jeszcze mniejszymi strzępkami.

- Nie ma znaczenia, co myślę...

Nie spodziewał się, że akurat w tym momencie oczy Cerro napełnią się łzami. Wyciągnął do niej ramię, lecz powstrzymał je prędko, postanawiając się wy tłumaczyć.

- I Chevita, i Myron już wiedzą, a kiedy stracisz dziecko, domyślą się, co się stało. Tym bardziej, że Chevita podała ci pewnie szereg specyfików, żeby upewnić się, że to się nie stanie... Cerro, jak cię o to oskarżę, a potem znajdę dowody, czeka cię...

- Wiem, że byś sobie poradził – wyszlochała, ocierając potoki łez. – Sama nic nie wskóram. Jak tylko wejdę do miasta, doniosą na mnie strażnicy. Nie znam tam nikogo. Nie mogę błagać obcych o pomoc. Zlinczują mnie. Myron się dowie. Zabije mnie. Ale wiem, że gdybyś chciał, pomógłbyś mi. Znalazłbyś sposób. Z Chevitą da się dogadać. Myron myśli, że chcesz mu ukraść tron, więc nawet na rękę byłoby mu, gdybym to zrobiła. Ale musiałabyś pomóc mi to ukryć. Habren musi teraz wmuszać w siebie jakieś kuracje, żeby urodzić mu drugiego syna, chociaż kłopotem jest dla niej w ogóle zajście w ciążę. Nie musiałaby, gdyby nie było tego dziecka. Ja nie musiałabym chodzić w ciąży przez następne siedem miesięcy, rodzić, nie wiedząc, czy przeżyję, a potem... a potem już zawsze być matką, już do końca życia być matką...

To już nie był szloch, tylko rzewny, niepowstrzymany płacz, a Kai przyglądał mu się bezradnie. Bez słowa.

- Nie chcę rodzić dziecka, Kai – Cerro pisała desperacko zza kurtyny drżących palców. – Nie potrafię powiedzieć tego wyraźniej. Nie chcę. A ty mógłbyś mi pomóc.

- Cerro...

Ale ani on, ani ona nie powiedzieli nic więcej. Był tylko jej szloch i jego bezradność.

- Ty chcesz mieć to dziecko, prawda? – wykrztusiła z siebie w końcu.

- To nie ma znaczenia, czy chcę czy nie...

- To po prostu odpowiedz.

Znów nie mówiła nic więcej.

- A czy to taka straszna zbrodnia, chcieć dziecka?

Cerro zawyła jak zranione zwierzę, a Kai znów jakby chciał ją objąć, po czym zrezygnował.

- Możesz mieć je z każdą. Nie będę zazdrosna, nie będę zła, przysięgam, przysięgam na Szarego Człowieka, masz moje błogosławieństwo, tylko nie każ mi...

- Ja nic ci przecież nie każę. Cerro, gdybym mógł, sam urodziłbym to dziecko. Ale ponieważ nie mogę, przysięgam na wszystko, co dla mnie święte, że ci z nim pomogę.

Spojrzała na niego nasiąkłymi bólem oczami.

- Sprowadzę najlepszych medyków, najlepszych czarodziejów, wszystko, czego będziesz chciała, żeby nie musieć o tym myśleć, a po wszystkim sam będę je wychowywał. Załatwię najlepsze mamki i guvernantki, nie będziesz nawet musiała na nie patrzeć, jeśli tylko nie będziesz chciała...

Jej ciałem wstrząsnęła nowa fala szlochu.

- I tak to sobie wyobrażasz? Mam wytrzymać siedem miesięcy z człowiekiem rozpychającym się wewnętrz mnie? Mam w ogóle się nim nie przejmować? Mam urodzić go w bólach, które są w stanie zabić, a na koniec mam udawać, że nie istnieje i mnie nie potrzebuje, a najlepiej w ogóle, że nie nienawidzisz mnie za to?

- Nigdy nie będę cię nienawidził, Cerro. Nigdy. Błagam tylko, żebyś pozwoliła mi pomóc tak, jak uważam za najlepsze, żebyś nie żałowała...

- Nie wolisz mieć dziecka z kimś, kto będzie je kochał? Dla wszystkich tak by było najlepiej.

- Chcę mieć dziecko z kimś, kogo ja kocham.

Cerro zamknęła usta. Kai znów się nie odzywał. I tak nie miał nic do dodania. Potem Cerro parsknęła śmiechem. Śmiała się śmiechem, którego nigdy nie słyszał. Wyciągnął rękę i tym razem postanowił, że choćby nie wie co, nie cofnie jej za żadne skarby...

- Nie dotykaj mnie – powstrzymała go bez cienia uśmiechu na ustach, zanim zdołał zbliżyć dłoń do jej ramienia. Cofnął ją natychmiast. – Zostaw mnie samą.

- Cerro, błagam....

- Po prostu mnie zostaw.

Wstał, samego siebie obejmując ramionami. Miał wrażenie, że firmament właśnie wali mu się na głowę. Miał wrażenie, że pogrzebał wszystko, na czym kiedykolwiek mu zależało. Miał wrażenie, że zabił to, co ożyło między nim a Cerro. Miał ochotę cofnąć wszystko, co powiedział. Miał ochotę jechać z nią do miasta i szukać mądrzej baby, do której zwykle wysyłał mieszkańców w podobnej sytuacji. Ale... Ale wtedy nigdy nie chodziło o niego.

Odwiązał konia i zostawił Cerro samą. Siedział na parapecie w sypialni, zastanawiając się, czy jednak pójdzie szukać pomocy w mieście. Czy sprowadzi na siebie kłopoty. Czy postąpił dobrze czy źle.

Wróciła wcześniej niż się spodziewał i, choć bardzo się tego wstydził, podążył wzrokiem za jej brzuchem, wiedząc, że i tak nie zobaczyłby żadnej różnicy między ciążą w tym stadium a jej brakiem. Cerro nie wyglądała ani na wściekłą, ani na obolałą, ani na zrozpaczoną. Nie wyglądała na żadną.

Kai zrobiłby wszystko, żeby cofnąć czas.

Żeby cofnąć czas do tego jednego, jedynego razu, kiedy zapomnieli.

- Przemyślałem całą tę sprawę z zaproszeniem do Pałacu – powiedział, przerażony słabością w swoim głosie. – Najlepiej będzie chyba, jeśli ty pojedziesz. Chciałabyś?

Zaczęła rozpinać ubrudzony ziemią szlafrok i koszulę nocną. Nigdy się przy nim nie przebierała, a komfortowo z nagością czuła się tylko, kiedy o niej zapominała. Kai przeniósł wzrok na szczyty Falgonów.

- Chciałabym – odpowiedziała. – Jeśli jest ci to akurat na rękę.

Kai westchnął z żałością.

- Przysięgam, że opowiem ci o Ludziach Nieba. I będziesz mogła zdecydować, czy chcesz, czy nie chcesz... pomóc mi z pewną sprawą ich dotyczącą.

Kątem oka widział, jak Cerro już miała zrzucić koszulę z ramion, ale nagle jej ręce opadły, a drżące wargi zaciśnięły się.

- Nienawidzę cię – oznajmiła, a w serce Kaia trafił okruch lodu. – Będę twoim narzędziem. Jak sobie życzysz. Ale zawsze będę cię nienawidzić.

- Cerro... - Głos Kaia zadrżały, kiedy przełykał piekające łzy przez zaciśnięte gardło. – Cerro, błagam cię... Przysięgam, zrobię wszystko, żebyście byli szczęśliwi...

Spojrzała na niego jak na robaka. Bez śladu łez w oczach.

- Nienawidzę cię.

Weszła do toalety, zasuwaną za sobą drzwi. Kai teraz spodziewał się usłyszeć kakofonię płaczu. Nie usłyszał żadnego, poza swoim własnym.

\*

Itsuk wpatrywał się w pęczniające ciasto.

Kolejny rok z rzędu mistrz Tauron odmówił przeprowadzenia egzaminów mistrzowskich.

- Jeszcze za mało umiesz – powiedział.

Itsuk był uczniem Taurona od sześciu lat. Czeladnikiem od pięciu.

- Niedługo będę miał dziecko, mistrzu – powiedział Itsuk. – Muszę chociaż więcej zarabiać.

Nie mógł upominać się o więcej bez zdanych egzaminów.

- Przykro mi, Itsuk – odpowiedział Tauron.

Itsuk wpatrywał się w pęczniające ciasto.

- Jesteś za dobry – powiedział Miklas. – Nic dziwnego, że nie chce pozwolić ci założyć własnej piekarni. Jego nie byłaby już wtedy najlepsza na świecie.

- Można być za dobrym w pieczeniu chleba? – parsknął śmiechem Skylle.

Itsuk nie założyłby własnej piekarni. Jeszcze nie przez przynajmniej rok. Poza tym, żeby założyć piekarnię, musiał zebrać pieniądze na pozwolenie i urzędnika do odczytywania i podpisywania.

Itsuk wyjął gotowe ciasto z pieca.

- Należy się dwanaście cersenów – powiedziała mądra baba.

Moth znów zasłabła.

- Należy się dziesięć cersenów – powiedziała mądra baba.

Skylle znów wrócił do domu z czerwonymi oczami i kieszenią dzwoniącą pieniędzmi.

- Należy się piętnaście cersenów – powiedziała mądra baba.

Moth znów zasłabła.

- Nie ma z niej żadnego pozytku w pracy w takim stanie – powiedziała pani Sarina.

Itsuk włożył kolejną porcję do pieca.

Być może znalazłby lepszą pracę, gdyby nauczył się czytać i pisać. Lecz kto go nauczy?

- Nie – powiedział mistrz Tauron.

- Nie – powiedziała pani Sarina.

- Nie za darmo – powiedział nauczyciel z pobliskiej szkółki.

Itsuk wpatrywał się w pęczniające ciasto.

Nie był pewien, czy przetrzymywanie go cały czas jako czeladnika jest zgodne z prawem, ale na pewno było powszechnne. Itsuk słyszał, że jedynym sposobem, by to sprawdzić, jest udanie się do Modrego Oka, gdzie Najszarszy Haron podejmuje wszystkich, i biednych, i bogatych, i piśmiennych, i nie, słucha ich i stara się rozwiązać ich problemy, a, co najważniejsze, wypłaca podwójne dzienne wynagrodzenie. Oczywiście, jeśli uda się do niego dostać – kolejka interesantów była niekiedy tak długa, że widać ją było z Przyskalnej.

Znaczyło to też, że Itsuk musiał po raz pierwszy w swojej karierze spóźnić się do pracy. Lub w ogóle nie stawić, jeśli Najszarszy Haron nie zdoła przyjąć go przez cały dzień. Podjął jednak decyzję i wstał tak samo wcześnie jak zwykle. Ucałował czoło i brzuch śpiącej Moth i zajrzał do izby, w której Skylle ślinił się przez sen. Przepłukał jeszcze pozostałe w jego dziąsłach zęby wodą miętową, której smak pozwalał oszukać pusty żołądek czasem na dłużej niż godzinę, i wyszedł w orzeźwiającą szarugę świtu.

Szedł długo, ale nie sam. Wielu pielgrzymowało do zamku, najpierw otulając się wszystkim, czym mogli, dzwoniąc zębami w porannym chłodzie, potem pozbywając się kolejnych warstw, kiedy zaczynali pocić się w wiosennym słońcu. Niektórzy rozmawiali wesoło, inni milczeli, tak jak Itsuk, który nie mógł zająć się rozmową, kiedy myślał o piekarni, w której po raz pierwszy go nie ma.

- Z drogi! – usłyszał za plecami.

Odwrócił się w porę, by królewski parobek z wozem pełnym chleba na plecach go nie potrącił. Nie gubił ani bochenka.

Itsuk nie spodziewał się, że kiedykolwiek zostanie przepuszczony przez bramy zamku, dla którego codziennie wypiekał chleb, i nawet o tym, szczerze mówiąc, nie marzył. A jednak tu był i średnio potrafił sobie wyobrazić, że Modre Oko zostało zbudowane ludzką ręką. Itsuk słyszał legendy o modrookim smoku, który mieszkał w Falgonach, pustosząc okolice, wreszcie pokonanym przez magina Idusa i Modrego Rycerza Kanavara przez podstęp, dzięki któremu zatrzasnęli smoka w górskich jaskiniach i wybudowali zamek na cześć swego zwycięstwa. Smok żył tam, rycząc i obijając się o ściany skał, lecz w końcu zdechł z głodu i zamilkł, a Modre Oko stoi po dziś dzień pełne chwały. Nie sposób było nie zadzierać głowy, kiedy się na nie patrzyło – na wieże dorównujące górkim szczytom, na błękitnobiałe ściany wtapiające się w stalową szarość skał, na rzeźby kobiet z ułamanimi głowami, mężczyzn z ułamanimi rękami i smoków z wykruszonymi pazurami, które tkwiły tak wysoko, że

Itsukowi trudno było powiedzieć, czy są wielkości dorosłego człowieka czy znacznie większe. Dziedziniec zamku, choć nieduży, był wyposażony i w stajnię, i w kuźnię, i w kurnik, i w chlew, i we wszystko, czego było trzeba, i jeszcze więcej - tak, by nie musieć nigdy z niego wychodzić i nawet nie mieć czasu na nudę, ani nie tesknić za miastem, którego nie było widać zza chmur i drzew.

Kiedy Itsuk wlał się wraz z tłumem do środka, znów musiał patrzeć z zachwytem w górę. Na suficie tak wysokim, że z pewnością musiał skrobać nieboskłon, nie było ani jednego fragmentu pozbawionego malunku, a na ścianach fragmentu pozbawionego draperii. Itsuk zdał sobie sprawę, że rozdziawia usta, więc zamknął je prędko i wraz z resztą próbował dopchać się do otwartych na oścież ogromnych drzwi strzeżonych przez dwóch strażników z azyrydami, którzy co chwilę krzyżowali je w przejściu, krzycząc coś do tłuszczy.

Po paru godzinach, kiedy Itsuk znalazł się blisko wrót, zobaczył małego człowieka w todze z czarną wilczycą szczerzącą kły na piersi.

- Imię? – powiedział królewski urzędnik z księgią w dłoni.

- Zia, panie – powiedziała kobieta, która stała obok Itsuka, przygarniąc dwójkę swoich dzieci do piersi. – Ja i moje dzieci nie możemy mieszkać z tym potworem, jego...

- Przemoc domowa, dobrze – powiedział urzędnik, zanotował coś w księdze i spojrzał na Itsuka. – Imię?

- Itsuk – odparł Itsuk. – Jestem czeladnikiem, a...

Kiedy urzędnik notował, kiwając głową, z sali wybiegła płacząca ze śmiechem na ustach starsza kobieta, którą podtrzymywał siwy jak śnieg mąż, nie mniej wzruszony od niej.

- Zia może wejść do środka! – urzędnik krzyknął tak, by wszyscy go usłyszeli, jakby zapomniał, że Zia stała tuż przed jego nosem. – I razem z nią Klio, Ofelia, Dramitsa, Vea, Kaama i Farion!

Zia, jej dzieci i inne matki wbiegły do środka, kiedy strażnicy rozkrzyżowali azyrydy. I Itsuk wkrótce znalazł się w środku.

Ten pokój też sięgał nieba i był wyposażony w opustoszałe balkony i wysoką katedrę, do której z obu stron prowadziły kamienne schody. Na katedrze, w półkolu, stało siedem krzeseł zdobionych herbami haronów i króla, a Itsuk mógł tylko podejrzewać, że za jedno z nich byłby w stanie wyżywić swoją rodzinę przez dziesięć lat. Najwyższe krzesło, którego podłokietniki były wrzeźbione w kształt wilczych paszcz, nie stało wcale w środku, ale na końcu półkola. W środku stało krzesło bez żadnych widocznych ozdób, a na nim siedział Najszarszy Haron.

Siedział wysoko i daleko, tak, że Itsuk musiał zmrużyć oczy, by dokładniej mu się przyjrzeć. Był niezaprzeczalnie rudy i mały, a choć Itsuk nie widział wyraźnie i wiedział, że haron jest w podobnym do niego wieku, miał wrażenie, że jest znacznie młodszy. Ubrany w burą koszulę i brązową pelerynę, rozczochnany i notujący coś z zatrważającą szybkością. Nie pasował do scenerii, a jednak nad nią panował. Rzeczywiście, nie miał ucha, lecz nie wyglądał dziwacznie z miejscem braku zasłoniętym włosami. Jego magicznej nogi, niestety, nie było widać.

- I co było dalej? – powiedział głosem, który nie pasował do jego wieku, aż Itsuk przylapał się na tym, że przecież pasuje, po prostu to on zaczął już myśleć o haronie jak o dziecku.

Kobieta stojąca najbliżej katedry, w wolnej przestrzeni pomiędzy strażnikami a stołem zajętym przez ludzi piszących dwoma rękami na raz, westchnęła. Pisarczycy zastygli z piórami nad dokumentami, łowiąc każde słowo przesłuchiwanej.

- I nic nie było dalej – powiedziała. – Uciekł.
- Ale pamiętasz, pani, jak wyglądał? Możesz podać jego dokładny opis?
- No tak, miał czarne włosy, był raczej wysoki...
- Nie mi, tylko rysownikowi. Larrus, jesteś tu?!

Zza katedry wyskoczył zaaferowany chłopiec niewiele starszy od Skyllego, który poklonił się przed damą. Miał sztywny kubrak wyszyty złotą nicią i miecz u pasa.

- Odejdź, pani, na stronę, i opowiedz mu wszystko. Jeśli portret będzie udany, straż zrobi, co tylko w jej mocy, by znaleźć oszusta.

Brwi kobiety uniosły się.

- Dziękuję ci, haronie – ukłoniła się delikatnie, po czym udała w kąt sali za Larrusem, a kolejna osoba została poproszona o przedstawienie swej sprawy.

Itsuk czekał w sali kolejną godzinę, aż rozwiązanych zostało jeszcze dziesięć spraw, i Zia odeszła, zadowolona, z obietnicą, że któryś ze strażników porozmawia z jej mężem, a w przyszłości kobiety w jej sytuacji będą zdolne do ucieczki od podobnym problemem. Kiedy nadeszła jego kolej, ukłonił się i otworzył usta, z których nie wydostał się żaden dźwięk. Jego nogi trzęsły się jak galareta i musiał chwycić prawy nadgarstek w lewą dłoń, ponieważ telepał się, jakby nagle wzięła go febra.

Najszarszy Haron spojrzał na Itsuka i uśmiechnął się. Teraz, wciąż tak wysoko, że trzeba było wyginać kark, by na niego spojrzeć, ale jednak nieco bliżej, widać było słoneczne

przebarwienia i zbielałe blizny na twarzy harona, które sprawiały, że nagle wyglądał na starszego niż był w rzeczywistości.

- Mów śmiało – powiedział z ciepłem w głosie.

Itsuk nabrął powietrza w usta. Stojący z nim w rzędzie popędzali go niecierpliwymi gestami. Słyszał tłum na zewnątrz i widział kątem oka pisarczyków przyglądających mu się w wyczekiwaniu.

- Najszarszy Haronie – wyrecytował Itsuk. – Mam na imię Itsuk i pracuję w piekarni mistrza Taurona, która codziennie dostarcza chleb na królewski stół. Pracuję tam już szósty rok, piąty jako czeladnik, a mistrz Tauron, mimo ciągłych pochwał, odmawia przeprowadzenia egzaminu...

- ...na mistrza, tak – przerwał haron, zanotował coś sobie, a stół piśmiennych natychmiast zaskrobał. – Jest to, niestety, problem systemowy dotyczący całego tego miasta, jeśli nie kraju. Fakt, że dotyczy również królewskiej piekarni, nie dziwi mnie, ale oburza. Niestety, spraw podobnych do twoich jest dużo i nie da się ich rozwiązać w jeden dzień. Zbieram materiały, by przedstawić je podczas zboru, toteż mogę jedynie podwoić wynagrodzenie, które straciłeś, przychodząc tutaj, podziękować ci i obiecać...

- Najszarszy Haronie – Itsuk znów nabrął powietrza i próbował zignorować drganie swoich łydekk. – Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie moja żona. Przygarnęliśmy jedno dziecko, które jest za słabe, by pracować. Teraz mamy mieć własne dziecko i moja żona jest zbyt schorowana, by pracować. Cierpimy głód tak wielki, że czasem ledwo powłoczmy nogami, a z jednej skromnej pensji nie możemy zaspokoić głodu. Boję się każdego dnia, że moja żona nie da rady... donosić dziecka.

Podczas gdy gryzpiórki spisywali zawzięcie każde jego słowo, brwi ukryte pod końcami rudych włosów harona zmarszczyły się.

- Kiedy masz powitać swoje dziecko? – zapytał.

- Za dwa księżyce, Najszarszy Haronie – odpowiedział Itsuk.

- Przez trzy miesiące będzie przychodził do ciebie parobek z jadłem po zamkowych posiłkach. Sytuację młodych rodziców również będę musiał poruszyć podczas zboru. Wybacz mi, proszę, że tylko tyle mogę dla ciebie dzisiaj zrobić.

- To aż nadto, Najszarszy...

- Oczywiście, tobie i innym interesantom należy się też podwójna dzienna stawka. Ile zarabiasz w ciągu jednego dnia?

- Piętnaście cersenów – skłamał gładko Itsuk.

Człowiek z wilczycą na piersi wydzielał wypłatę ustawionym w kolejce czeladnikom. Dla Itsuka wyliczył trzydzieści srebrnych monet z ogromnej skrzyni zamkanej na sześć zamków. Kiedy piekarz zaczął pakować pieniądze do kieszeni, obejrzał się, by podziękować haronowi – ten był już jednak zajęty kolejną sprawą.

Kiedy Itsuk schodził z gór w promieniach zachodzącego słońca, nie czuł się dobrze, choć nieco lepiej. Nie załatwiał sobie egzaminu, tylko daninę, jednak lepsze jest to niż nic, prawda? Najszarszy Haron był rzeczywiście kimś niezwykłym. Kimś, kto się przejmował. Kimś, komu zależało.

Kiedy szedł przez Przyskalną, mistrz Tauron wyjątkowo, zamiast w gabinecie, siedział przed swoją piekarnią i pykał fajkę.

- Itsuk? – zapytał.

Itsuk stanął przed nim.

- Przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

- Gdzie byłeś?

- Dostałem list od ciotki. Musiałem pomóc jakiejś jej chorej znajomej. Zatrzymała mnie przez cały dzień. Miklas ci nie mówił?

- Mówił.

Itsuk nie poruszył się z miejsca, przygwoźdzony przez stalowe spojrzenie Taurona.

- U mnie już roboty nie znajdziesz.

Mistrz zgasił fajkę i wszedł do piekarni, trzasnąłwszy drzwiami.

Itsuk wszedł do domu, w którym roznosił się mdły, ale pokrzepiający zapach szczawiówka. Moth stała o własnych siłach, z ręką na wydatnym brzuchu, mieszając w garze i uśmiechając się na jego widok. Skalle pomachał mu szmacianym rycerzem, którego zrobił dla Gideona, a któremu teraz strugał azyrydę z patyka.

Następnego dnia dworski sługa przywiózł im skrzynię nadgryzionego pieczywa, pomarszczonych owoców, surowych podrobów, nawet kilka ryżowych ciastek z niezlizanym, zatęchłym kremem. Następnego dnia to samo. Następnego sługa przywiózł im same ogryzki i kości. Następnego w ogóle się nie pojawił.

\*

- Więc jest brzemienna, co?

- Tak słyszałem.

- Myślisz, że to prowokacja? Albo jakiś podstęp?

- W jakim celu? Jednym z postulatów Kaia Kohara jest, żeby urząd nie był dziedziczony.

- Tak było, kiedy nie miał dziedzica, ani nie zapowiadało się, że będzie miał. Teraz jego zamiary, tryb życia i postulaty diametralnie się zmienią. Córka Eneisa Meaveletha płodzi dziecko z synem Gaiusa Kohara. Nieco ironiczne. I niespodziewane. Głównie przez skąpstwo, z jakim Silarus o tej relacji się rozpiszywał.

Melvourne nie odpowidał, kończąc zapinać sprzączki munduru. Mógł być synem generała, a Yazor samym generałem, jednak ciasną szatnię dzielili ze zwykłymi żołnierzami – jeśli zwykłymi można nazwać tych najlepszych, pilnujących stolicy, od których sprawniejsi są tylko ci strzegący samego króla. W szatni roiło się więc od czarnych jak wrony, zapinanych pospiesznie mundurów, wśród których tylko Melvourne i Yazor potrafili ukryć nerwy związane z wizytą harona.

- Generale? – zagadnął Melvourne, upewniając się w lustrze, że warkoczyki zwisają po obu stronach jego twarzy w miarę symetrycznie.

- Słucham.

- Ile on tu będzie?

- Podobno to ten typ człowieka, który wiecznie się spieszy i ma coś do zrobienia. Daję mu, góra, tydzień.

- A co potem? Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

- Będziesz mógł zostać albo pojechać, zanim nadjejdzie lato. Kiedy nadjejdzie, zwołujesz Sforę i jedziesz do Temarairu.

- To wiem. Miałem raczej na myśli, co z Silarusem.

Krzaczaste brwi generała drgnęły, kiedy zapiął ostatnią sprzączkę wspaniałej, obszytej futrem czarnego lwa peleryny.

- To zależy, jakie dostanie rozkazy.

- ...Móglbym wiedzieć, co to za rozkazy?

- A co? Chcesz móc się im sprzeciwic?

- Przewidujesz, że ich nie poprę?

- Przewiduję, że twój rozsądek zawsze schodzi na drugi plan, kiedy sprawa dotyczy twojego brata.

- Albowiem jest to mój brat...

- Przemyślę to następnym razem, kiedy mój rodzony brat będzie prosił o pieniądze na nową aparaturę do pędzenia bimbru. Idziemy.

- ...a twój syn.

Rękawica generała zacisnęła się na klamce, jednak na nią nie naparła. Spojrzał na Melvourne'a zwężonymi podejrzliwie oczami.

- Uważasz, że jestem wyrodnym ojcem, wysyłając syna-fajtłapę na misję polegającą na grzaniu łóża przyszłej haronei?

- Skądże – Melvourne przełknął ślinę. – Jednak Silarus nie jest fajtłapą, kiedy robi to, co chce...

- Nikt nie jest wtedy fajtłapą. Ale nie można spędzić całego życia, robiąc to, co się chce.

- Robiąc to, czego się nie chce, również...

- Proponujesz więc złoty środek? Może. Kiedy zasłuży.

- Czy nie zasłużył? Zwabił Kaia Kohara do Pałacu Popiołów, na jego warcie ucięto Kaiowi Koharowi nogę, donosi o wszystkim regularnie.

- I za to mam go wynagrodzić? Za przypadkowe łuty szczęścia?

- Jeśli to są łuty szczęścia, to sprawdzają się bardziej niż moje talenty.

Yazor pokręcił głową, jednak na jego twarzy odmalował się grymas, który tylko jego rodzina mogłaby nazwać dumą.

- Jesteś dobrym negocjatorem. Uderzasz we wszystkie czułe punkty. Zastanowię się – powiedział, a Melvourne znacznie się rozchmurzył. - Ale tylko, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Otworzył drzwi, za którymi stał jeden z żołnierzy z ręką uniesioną z zamiarem zapukania. Zdziwił się lekko na widok generała, po czym zacisnął pięść i walnął nią w napierśnik.

- Delegacja zbliża się, generale!

- Więc na miejsca, wszyscy.

Melvourne dołączył do żołnierza, uderzając w wojskowy trucht, a Yazor udał się za nimi mocnym krokiem, upewniając po drodze, że jego wspaniała peleryna nie zadarła się w żadnym miejscu.

Dziedziniec przed pałacem był pełen żołnierzy, którzy czernią mundurów przesłaniali pyszny błysk rycerskich zbroi i przepych sukni tych jedynych czterech starych dam dworu, które pozostały się, kiedy dzieci Eneisa Meaveletha dorosły. Yazor patrzył na to i rozpierała go duma. Nie mógł nazwać swego wojska rodziną. Ale stadem, w którym panowała lojalność, hierarchia i sprawiedliwość? Z pewnością.

Właściwie, uświadomił sobie, w jego armii wprowadzone były wszystkie Cnoty mające charakteryzować władzę w Świętej Unii. No, z pominięciem Prawdy. Ale tego przecież haroni nie zaakceptowali.

Za armią, murem i żywopłotem rozciągało się ogromne, płaskie, biały szare Rhagos, a na białym bruku Smoczego Jezora majaczył ogromny korowód pełen koni obładowanych koszami z podarkami, w środku którego majaczył królewski powóz, również pełen bagażu. Generał zmarszczył brwi, spodziewając się po Najszarszym Haronie nieco większej skromności – czyżby przyjechał z królem?

Korowód wjechał na plac przed pałacem, a jadący na czele herold zeskoczył z konia i prawie wylądował w godnym podziwu klęku tuż przed Yazorem Temidanem.

- Generale, oto...!

- Nie jestem koronowaną głową, nie musisz przede mną klękać – syknął półgębkiem Yazor, starając się nie patrzeć w dół.

Wszyscy w armii wiedzieli, jak nienawidzi zwyczaju klękania i wdzięczny byłby, gdyby wiedział o tym cały świat. Oszczędziłoby mu to wiele zażenowania.

- Zasłużony tytuł szlachecki nie...

- Wstawaj, durniu – Yazor użył tego tonu, któremu jeszcze nikt nigdy nie ośmielił się sprzeciwić. – I mów, co tam musisz.

Herold wstał, otrzepał się i, czerwony jak piwonia, zamierzał podjąć przemowę na nowo.

- Czemu to tak długo trwa?!

Głos ten wydobył się z otwartego okna powozu. Był niewątpliwie kobiecy i znajomy. Wąsaty woźnica, w okolicach którego skupiła się nagle cała uwaga tłumu, zaczervienił się jak burak i nachylił do okna.

- Jeszcze nie, Wasza Miłość...

- Już za późno, wychodzę.

Otworzyła drzwi, zanim wyznaczony przez Yazora komitet zdążył to zrobić – żołnierze rzucili się w panice naprzód i Cerro cofnęła się o krok, wystraszona, prawie chowając z powrotem w powozie. Kiedy jednak uklękli przed nią z pięściami przy sercu, ponownie nabrąała animuszu, splotła palce przed sobą w tym geście udowanej kontroli i ruszyła w kierunku Yazora. Za nią wyskoczyła szóstka sięgających uda psów o złotej sierści i klapniętych uszach.

- Jej Miłość Cerro Vilicenta Meaveleth, księżniczka Świętej Unii, siostra Jego Wysokości króla Myrona Karmina VII Meaveletha, córka Jego Doskonałości króla Eneisa Farrona IV Meaveletha, Haronea Sprawiedliwości – wyrecytował pospiesznie herold.

- Sama? – zapytał ukradkiem Yazor.

Tragarze już zaczęli rozpakowywać wnętrze i zewnętrze powozu.

- Sama – przytaknęła księżniczka, stając tuż przed jego nosem.

### ROZDZIAŁ XIII

Cerro siorbnęła i natychmiast przestała, szukając oburzenia po drugiej stronie stołu. Był on tak długi, że trudno było odszyfrować emocje na twarzy Yazora. Ale jadł raczej spokojnie, nieporuszony jej etykietą.

Jadalnia w generalskim skrzydle była oświetlona nielicznymi świecami i trzaskającym w kominku ogniem – poza tym pełna była czarnego, hebanowego, misternie rzeźbionego drewna i mosiądzu zdobiącego kominek i schody prowadzące na antresolę, gdzie znajdowały się przedzielone jedynie parawanami sypialnie dla generała i gości, chociaż jedynymi gośćmi w całej Świętej Unii, którzy byliby w stanie w czasie snu być tak odsłoniętymi przed generałem, byli prawdopodobnie tylko jego synowie. Dziwne to było pomieszczenie, ponieważ jadalnia i sypialnie stanowiły właściwie jedno – do tego pełne było map, księga, ozdobnych azyryd, włóczni, tarczy, masek, stojaków na zbroje i innych drobiazgów, które na jej przyjazd musiały być wyszorowane do czysta, a i tak sprawiały wrażenie porozrzucanych w nieładzie i zaśniedziały.

W milczeniu zjedli zupę i pieczeń, a na deser kawowe ciasto, którego Cerro nie znoсиła, ale nie wypadało o tym mówić. Nie tutaj. Nie przy nim. Nie zmienia to faktu, że dąbierała łyżką w cieście i wyraźnie jej nie szło.

Yazor, który już zjadł, być może się zniecierpliwił, bo wstał, podszedł do gabloty i wyjął przepiękną, mieniącą się kolorami tęczy karafkę pełną fioletowobordowego płynu i dwa rzeźbione w drewnie kielichy, na których wymalowane były kształty mające przypominać sztukę pierwotną. Yazor podszedł do tego końca stołu, przy którym siedziała Cerro, postawił naczynia obok niej i nalał do nich płynu. Nawet nie czekając na jej reakcję, wypił zawartość swego kielicha jednym haustem i napełnił go z powrotem.

- Elfie wino – oznajmił. – Bezpieczne.
- Niestety, podziękuję – odparła Cerro.
- Wypiłem je na oczach Waszej Miłości.
- Po prostu nie mam ochoty.
- Jakże więc mamy rozmawiać o polityce, tak bez wina?
- Ja jestem w stanie.
- Ja nie bardzo. Pozwoli więc Wasza Miłość, że będę popijał? Samo trzymanie kielicha w dłoni dodaje mi kurażu.

Cerro wiedziała, że się z niej naigrywa.

- Pozwolę – burknęła i wstała, sama chwytając drewniany kielich. Ruszyła na leniwy spacer po pełnej światłocieni komnacie. – Nie jesteś, generale, zadowolony z mojego przyjazdu, co?

- Jestem szalenie zadowolony. Brat Waszej Miłości nie sprawiłby mi aż tyle radości. Wydaje mi się, że mam z nim aż za dużo okazji do rozmowy, podczas gdy z Waszą Miłością jeszcze żadnej.

- A o czym, wydaje ci się, generale, można ze mną porozmawiać?

- O remoncie pałacu, naturalnie. O twoich zainteresowaniach, ideałach, życiu. O tym, co dzieje się w Modrym Oku. Tutaj, w Pałacu Popiołów, jest bardzo stabilnie i spokojnie. Czasem mam wrażenie, że tylko tutaj.

- Co to oznacza?

- Nudę. Jedną, wielką nudę.

Przysiadł na skraju stołu, a Cerro na poręczy fotela przed kominkiem.

- Coś o tym wiem – pokiwała głową.

- Doprawdy? – Yazor uniósł brwi.

- Owszem. A niby po co tu przyjechałam? W Naucenemes, w zamku, może działać się wiele, ale przecież nie na moich oczach. Nie przy moich uszach.

- Mam uwierzyć, że nic nie dociera do ciebie z ust Harona Sprawiedliwości? Zaczynacie słynąć jako wzorcowe małżeństwo.

- Owszem, bardzo się o tę reputację stara. Ale kiedy pragnę coś usłyszeć albo zobaczyć, podążam za krokami pułkownika Silarusa. I udaje mi się czasem podążać za nim tak daleko, że na pewno byłbyś mile zaskoczony, generale, gdyby mi się zechciało napisać do ciebie list.

Cerro pociągnęła łyk wina przez rozciągnięte w uśmiechu usta. Był to chyba najprzedniejszy płyn, jakiego kiedykolwiek kosztowała.

Yazor uśmiechnął się dopiero po chwili – wcześniej mierzył Cerro spojrzeniem żmijowatych oczu. Doprawdy, Cerro pamiętała, jak wyglądała generałowa, i nie potrafiła nie zastanawiać się, jak z dwóch tak nieatrakcyjnych twarzy mogli narodzić się dwaj tak przystojni synowie.

- To co? Może obejrzymy zmiany, jakie zaszły w Pałacu? – Yazor zagał ze słodyczą w głosie.

- Najwyższy czas – Cerro wypiła wino do dna i wstała z ochotą, wygładzając draperię na swej sukni. – Chodźmy.

\*

- Więc uważasz, że nie jest szalony?

Chevita po raz kolejny uniosła pełną wyniosłości brew.

- Nie ma żadnych pobudek, by myśleć, że jest szalony.

- Zdarzyło mi się parę razy być wściekłym, ale nigdy do tego stopnia.

- Do stopnia przemocy i wyzwisk?

- Do stopnia rzucania się jak rekin i kąsania wszystkiego w zasięgu wzroku.

Chevita pokręciła głową, wyraźnie mając serdecznie dość tej rozmowy. Silarus wciąż siedział w fotelu na końcu pokoju i grzebał wykałaczką w zębach, wymyślając, zapewne w jej przekonaniu, co jeszcze głupszego może zasugerować.

Najpierw rozległo się pukanie, a kiedy Chevita wymruczała pozwolenie, do środka weszła Meglyne. Jej lekko kręcące się włosy spięte były w krzywy kok, w którym więcej było widać szczerzych chęci niż umiejętności, a twarz była pokryta mikaonem, w którym nie znać było żadnej indywidualności. Silarus uświadomił sobie, że zna właściwie tylko wygląd jej oczu, które pamiętała z dnia, kiedy znaleźli ją i Kaia w Puszczy. Były wtedy głodne i przerażone, wystające sponad ciężkiego futra. Teraz widział, ile wigoru jest w jej krokach, a jej ubrania były czyste i uszyte na miarę, nawet pasujące do naszyjnika z muszli, który kiedyś nosił Kai. Od innych kobiet w Świętej Unii różniła się tylko tym naszyjnikiem i imieniem.

Przywitała się z magini, nawet nie zauważwszy Silarusa, i usiadła na krześle, otwierając księgi i chwytając za pióro.

- Pułkowniku, nie pozwolę ci przysłuchiwać się naszej lekcji – powiedziała Chevita, a Meglyne obejrzała się i podskoczyła na jego widok.

Silarus odłożył wykałaczkę na stojący na nocnej szafce półmisek po oliwkach.

- Panienko Meglyne – odezwała się – dlaczego królowie mają władzę?

Meglyne wybałuszyła oczy na Chevitę.

- Czemu ma służyć to pytanie? – odparowała magini, na tyle wściekła, by pozwolić swoim brwiom się zmarszczyć

- Ciekawi mnie perspektywa kogoś, kto żył z dala od naszej cywilizacji.

- Nie żyłam na tyle daleko, by nie wiedzieć, kim jest król – powiedziała Meglyne pospiesznie, zanim Chevita mogła zabronić jej odpowiadać. – Byli w książkach, które czytałam.

- Więc nie powinnaś mieć z tym pytaniem problemu.

- Królowie rządzą, ponieważ są mądrzy, odważni, opiekuńczy i całe życie przygotowywani do wielkiej odpowiedzialności.

- To odpowiedź wkuta ci w głowę przez Chevitę.

- Zgadzam się z nią.

- W takim razie pozwól, że dopytam. Czy masz na myśli, że królowie rodzą się predysponowani czy stają się predysponowani przez wychowanie?

- Pułkowniku – wcięła się Chevita – jak chcesz sobie podebatować z ciekawą przybłędą, to zarezerwuj sobie u niej czas, tak jak ja i Najszarszy Haron.

- Kiedy zżera mnie ciekawość, ponieważ tak się składa, że spędzam dużo czasu z księciem Kallo i muszę powiedzieć, że jest zupełnie przeciętnym dziewięciolatkiem. Nie mądrzejszym, odważniejszym, odpowiedzialniejszym i bardziej opiekuńczym niż inni dziewięciolatkowie. Jest nawet lekko chorowity, co magini z pewnością może potwierdzić, wspominając czas, kiedy uratowała oczy księcia znad przepaści ślepoty.

- To, że pułkownik nie zauważa w nim wyjątkowości, nie znaczy, że jej nie ma.

- A więc jesteś, magini, za tym poglądem? Uważasz, że królowie są wyjątkowi dzięki krwi, która płynie w ich żyłach? Dynastia Meavelethów trwa jednak od co najmniej stu pokoleń. Czy możemy być pewni, że Myron i Cerro dzielą ze swoimi przodkami cokolwiek poza nazwiskiem?

- Ja mogę być pewna, pułkowniku. Jestem czarodziejką.

- A ja nie i muszę polegać na twojej pewności, magini, która wynika pewnie po części z twojej dbałości o przetrwanie królewskiej linii zapewniającej ci posadę, z czym radzisz sobie świetnie, będąc już przy trzeciej koronowanej głowie. Dlatego tak łatwo przychodzi mi kwestionowanie twego stanowiska.

- Władza króla Myrona pochodzi od Szarego Człowieka – odezwała się Meglyne, a Chevita zgromiła ją wzrokiem.

- Władza Meaveletha Szarego pochodziła od Szarego Człowieka, jeśli wierzyć legendom. Dlaczego mielibyśmy wierzyć, że władza Myrona od niego pochodzi? Myron nie był nawet zaproszony do sali podczas ostatniej wizyty Szarego Człowieka.

Meglyne spojrzała z czujnością na Chevitę.

- Czy pułkownik rozwija spisek?

- Dziewczyno, czyś ty oszalała... - westchnęła Chevita, a Silarus wybuchnął śmiechem.

- Byłbym, doprawdy, głupcem, rozważając go przy magini – powiedział, nachylając się w fotelu. – Po prostu chcę pomyśleć na głos w jedynej komnacie zamku, która nie ma uszu.

- Niektórzy nie są pewni, za którym poglądem się opowiadają – kontynuowała Meglyne tonem tak wyniosłym, jakby próbowała przebić Chevitę. – Dlatego w niektórych krajach za Wielką Wodą panują dwaj królowie. Jeden wybierany z ludu, a drugi z królewską krwią w żyłach.

- Ach, tak – Silarus uciechył się jak dziecko. – Czy takie pragmatyczne podejście nie jest lepsze? W Somnargerze król jest wspierany przez króla-zastępcę jeszcze za życia, a w Hamari władca urodzony w pałacu poślubia władcę urodzonego w lepiance.

- To jeden wielki pic na wodę – Chevita westchnęła, jakby musiała tłumaczyć coś pięciolatkowi. – W Somnargerze wybrany zostaje zausznik szlachty, który często paraliżuje działanie władzy, a w Hamari króla z ludu wybiera wyrocznia, która oczywiście dostaje wizje pod wpływem przemyconych pod stołem worków pieniędzy. Że już nie wspomnę o tym, że Hamari przeżywa właśnie kryzys diarchii i prawdopodobnie na Święcie Gościnności podejmiemy reprezentanta jedynego tamtejszego króla.

- Co zatem z Aeorem? To najbogatszy kraj kontynentu, a nie ma tam żadnego króla.

- Aeor jest dwadzieścia sześć razy mniejszy niż Ynvuth – Meglyne powiedziała to takim tonem, jakby już kiedyś słyszała odpowiedź na to pytanie. – Na tak małej przestrzeni o wiele łatwiej jest nie zbudować absolutystycznej hierarchii. Poza tym, Aeor jest bogaty, ponieważ mieszkają tam bogaci ludzie, a nie ze względu na brak absolutnego władcy.

- Owszem, a do tego izolują się od świata, niechętni dzielić się własnym bogactwem. Niczym nasz król. Aeorczycy są jednak szczerzy, jeśli chodzi o swoje skąpstwo, a czasem nawet, kiedy zawstydzeni poprzez wewnętrzną rywalizację, przestają być aż tak skąpi. Nasz król nie jest zobowiązany dzielić się niczym, nawet jeśli jego złoto rozsadza siedem skarbców Świętej Unii tak, że trzeszczą w szwach, ba! Jest nawet zobowiązany do wydzierania biedakom ostatnich oszczędności, ponieważ wierzymy, że jest od nich lepszy. Oni sami w to wierzą.

- Pułkownik wybaczy, ale znam historię młodego rodu Temidanów. Dzieli pułkownik podobne poglądy, co pułkownika dziadek i ojciec, lecz nie każdy ma tyle motywacji, by zostać nobilitowanym.

- Można powiedzieć, że mój dziadek i ojciec urodzili się lepsi od innych, mimo braku królewskiego wychowania. A obydwa urodzili się w słomiankach.

- Największych słomiankach we wsi – dodała mściwie Chevita.

- Będzie magini wypominać moim dziadkom to, że mieli nieco więcej świń i nieco więcej kur, kiedy siedzimy w zamku człowieka, do którego należą wszystkie zwierzęta i wszyscy ludzie na tym kontynencie?

- Każdy może urodzić się wyjątkowy lub otrzymać odpowiednie wychowanie – odezwała się Meglyne. – To chyba nie jest nic odkrywczego.

- Skoro tak, to w królewskiej linii mogą też chyba pojawić się ludzie nie-wyjątkowi i odporni na wychowanie, prawda? Większość władców Świętej Unii nie dokonała niczego szczególnego. Byli po prostu urodzonymi pod szczęśliwą gwiazdą bezczynnymi bogaczami.

- Kiedy król nie ma nic do roboty w kraju, to znaczy, że jego kraj jest szczęśliwy.

- Czyżby? Byłaś kiedyś, panienko, na spacerze po Naucenemes?

- Byłam. Bieda nie oznacza nieszczęścia, a bogactwo szczęścia.

- Jednak łatwiej jest być szczęśliwym z pełnym brzuchem, prawda?

- Nawet z pełnym brzuchem bywa to niemożliwe.

- To jest, doprawdy, niezwykłe ciekawe podejście. Wiedziała panienka wtedy, kiedy była panienka nieszczęśliwa, że jest takową, czy widzi to panienka teraz, z perspektywy kontrastu, kiedy mieszka panienka w królewskim zamku i ma zapewnioną zamkową ochronę? Panienka wybacz, ale znam krótką historię panienki rodziny. Panienki poglądy są kompletnie rozbieżne z poglądami panienki ojca.

Zapadła cisza, ale Chevita nie wykorzystała jej, by zakończyć dyskusję. Wręcz przeciwnie. Wpatrywała się w uczennicę z lekko rozchylonymi ustami.

Silarus nie był w stanie powiedzieć, jaką minę ma Meglyne. Mogła się równie dobrze roześmiać, a równie dobrze wybuchnąć płaczem. Naznaczony stygmatem palec u dłoni złożonej na jej kolanie lekko drgnął.

- Jedyne, co ten argument udowadnia, to to, że niewiedza jest błogosławieństwem – rzekła.

- A więc, gdyby można było cofnąć się do czasu niewiedzy, zrobiłaby to panienka?

- Co ma wspólnego moja osobista i bardzo osobliwa historia z dyskusją na temat źródła władzy?

- Przenika każdy argument panienki, jak i moja osobista i osobliwa historia. A skoro jest tak osobista i osobliwa, dlaczego ma być regułą dla wszystkich, których o wiele łatwiej jest wrzucić do jednego lub dwóch worków?

- Cóż to za worki?

- Biedni i bogaci.

- Choćby Święta Unia stała się diarchią, republiką czy całkiem upadła, bogaci i biedni pozostaną.

- Prawda. Nie będzie natomiast beznadziejnie biednych i niewyobrażalnie bogatych, którzy będą usprawiedliewiać swoje bogactwo łaską Szarego Człowieka, a jego brakiem obwiniać biednych.

- Wierzy pułkownik, że Szary Człowiek jest dobry?

- Jak każdy.

- Skoro więc dał władzę Meavelethowi Szaremu i nie interweniuje w sprawie sukcesji od tamtego czasu, dlaczego mielibyśmy kwestionować jego obrazy?

- Szary Człowiek nazywany jest przez przerażonych jego istnieniem heretyków zza Wielkiej Wody Malarzem, ale czy nie jest mu bliżej do pisarza? Pisarz, choć kocha postaci, które stworzył, nie może przecież napisać książek o tym, jak siedzą przy kominku i jest im dobrze. Musi wprowadzić chaos w ich życiu i czerpie z tego rozrywkę.

- Należy więc pan do odłamu galoranizmu nazywanego chaotyzmem – teraz Meglyne na pewno uśmiechnęła się uprzejmie. – Wierzy pułkownik, że Szaremu Człowiekowi nie zależy na dobru ludzi, ale na własnej rozrywce. Pułkownikowi podobni wybierają zwykle życie na odludziu, pogodzeni z bezsilnością.

- Wśród chaotystów są jeszcze peismatyści – Silarus również uśmiechnął się szeroko – ci, którzy się nie godzą...

- ...a od nich już tylko krok do jarkmonów, którzy chcą zdetronizować Szarego Człowieka.

Silarus zaśmiał się krótko.

- Straciłem zainteresowanie tymi oszołomami, kiedy miałem trzynaście lat. Ciekawi mnie jednak, czy to jest dla panienki rozsądne rozwiązanie wszystkich problemów – ucieczka na odludzie?

- Mi wydaje się to absurdalne, ale brzmi jak coś, co mogłoby odpowiadać pułkownikowi.

- Mam pozostawić ludzi, wiedząc, że cierpią?

- A cóż jest pułkownik w stanie zrobić? Pomaganiem powinni zająć się, z całym szacunkiem, ludzie mniej wrażliwi.

Silarus nie odpowiedział od razu, a potem znów parsknął śmiechem i wstał, rozciągając kości.

- Co za rozkoszą jest rozmowa z panienką – przyznał. – Jeszcze jedno pytanie. Co w przypadku, jeśli król jest szalony?

- Już zamilcz – przewróciła oczami Chevita. – Myron nie jest szalony, tylko zakompleksiony, i to przez twojego drogiego Najszarszego Harona i twojego niedrogiego ojca, więc z nimi sobie dyskutuj, jak chcesz obalić monarchę. Dziewczyno, oczy do książki.

Meglyne, która odprowadzała Silarusa wzrokiem, natychmiast odwróciła się i zawiesiła nos nad drukiem. Silarus położył rękę na klamce, wciąż uśmiechając się głupkowato.

- Silarus – zagrzmiała nagle Chevita. – Jeśli zbałamucisz mi uczennicę, to...

- Nie zbałamucę – teraz to Silarus przewrócił oczami, po czym nacisnął klamkę. – Nie jestem jakimś zwierzęciem.

Zamknął za sobą drzwi, a Meglyne zerknęła na magini, wyraźnie z siebie zadowolona.

- Oczy do książki, dziewczyno.

\*

Cerro rozchlapała nieco mętnej wody stopami, po czym westchnęła błogo. Bolesne ćmienie w nogach odzywało się za każdym razem, kiedy patrzyła na hipodrom, staw i ogrody, które musiała cały poranek obchodzić z Yazorem Temidanem – opowiadał o pracach remontowych bardzo ciekawie, jednak grunt był jeszcze zbyt miękki, by można było wypróbować na nim konia, a staw zbyt mroźny, by można było się po nim przepływać. Ogrody, wiadomo, jak ogrody – cieszące oko, ale poza tym mogą być rozrywką tylko dla dzieci zdolnych do wciskania się w ich zakamarki. No i dla psów, które galopowały z wywieszonymi językami, goniąc za kaczkami i zakopując ich kości w ziemi.

Niestety, z werandy Pałacu Popiołów widok na te wszystkie obiekty był wyśmienity – było też jednak miasto. Szaro-błękitne, płaskie, ciągnące się aż po horyzont. W Rhagos klimat był o wiele cieplejszy niż w Naucenemes, jednak ten dzień był wyjątkowo mglisty i chłodny. Cerro grzała odciski w balii i siedziała na ławce, otulona grubym pledem, toteż było to dla niej najwygodniejsze miejsce w całej Świętej Unii.

Wyciągnęła spod pledu kawałek ozdobnego papieru, przełamała pieczęć w kształcie wulkanu i zaczęła czytać.

Papier wilgotniał w jej palcach przez parę wydobywającą się z balii, jednak sechł pod wpływem nienaturalnego wiatru. Cerro spojrzała w bok i zobaczyła służącą z ogromnym wachlarzem w ręku.

- Dziękuję, nie trzeba – pokręciła głową. – Możesz odejść.

- Wasza Miłość, generał kazał...

- A ja każę co innego. Idź sobie.

Służąca skloniła się pokornie i odmaszerowała, ale za jej plecami Cerro zobaczyła kolejną – z półmiskiem pełnym owoców i pieczywa.

- Ty też sobie idź – warknęła. – Chcę zostać sama.

- Przepraszam – dygnęła służka – ale nie jest Wasza Miłość wygłodzona po takim...

- Nie jestem, na Szarego Człowieka, odejdź stąd! I przekaż innym, że chcę być sama.

Służąca pierzchła, gdzie pieprz rośnie, a Cerro wróciła do treści listu. Przeczytała akurat ostatnie słowo, kiedy przeszkodziło jej pukanie w stolik przy ławce.

- Dzień dobry, Wasza Miłość – zagał wesoło Melvourne. – Jak oceniasz zmiany w pałacu?

- Powiedziałam już chyba wszystkim, że chcę być sama.

- A ja łaknę towarzystwa. Szczególnie twojego, droga księżniczko. Widujemy się zdecydowanie zbyt rzadko.

Melvourne usiadł w fotelu obok i zaciągnął się świeżym powietrzem.

- Cudowny widok, prawda? Melancholijny, ale cudowny.

- Istotnie – odparła Cerro, składając papier na dwie połowy. – Właściwie dobrze, że jesteś. Mam list do ciebie.

Brwi Melvourne'a zmarszczyły się wrogo. Spojrzał na kartkę w ręce księżniczki.

- List? Od kogo?

- Od Harona Sprawiedliwości.

- I rozumiem, Wasza Miłość, że uznałaś za stosowne go przeczytać?

- Oczywiście, że tak. Nie będę jakimś naiwnym posłańcem.

Melvourne wziął od niej nieufnie list i zatopił się w jego treści.

I im niżej schodził jego wzrok, tym jego piękna skóra w kolorze alabastru stawała się coraz bledsza i bledsza, aż Melvourne wydawał się prawie przezroczysty, a jego czarne oczy ziały próżnią jak dwa puste otwory nad drobnymi, czerwonymi kropkami trądziku.

Odłożył list i zacisnął drżące palce na oparciu fotela. Cerro obserwowała go uważnie.

- Skąd on o tym wie? – wykrztusił.

- A jak myślisz? – odpowiedziała księżniczka.

- Silarus by nie... On by nie powiedział...

Cerro uśmiechnęła się, przeczesując palcami włosy. Nagle Melvourne zerwał się na równe nogi i stanął przed jej nosem – gdyby był uzbrojony, zapewne już miałby w ręce miecz.

- To nie było tak, jak się wam może wydawać – oświadczył. – Nie wiedziałem, co robię, byłem dzieciakiem...

- Czy haron prosi cię w liście o wyjaśnienia?

Melvourne zamilkł.

- Pytam, bo może przegapiłam jakiś niewidzialny atrament.

- Nie. Nie prosi.

- A o co cię prosi?

- To nie ma sensu, ja nic nie wiem! Ta cela jest już dawno oczyszczona, ta kobieta pewnie nie żyje...

- A co z magiem, który przeprowadził rytuał?

Melvourne znów zmarszczył brwi.

- Po co to Kaiowi? Żąda nieśmiertelności? Jest na tyle głupi, żeby powtórzyć błędy mojej matki?

- Chce poznać Ludzi Nieba...

- Nie pozna ich, bo to kłamcy, oszuści i zdrajcy! Nie da się z nimi zaprzyjaźnić, nie da się ich wykorzystać!

- Skąd wiesz? Próbowałeś?

- Moja matka próbowała! Ech... - przetarł oczy dłonią. – Nawet gdybym nie uważałem twojego męża za kretyna i krwiożerczą pijawkę, nie mógłbym ci pomóc. Nie wiem, gdzie jest przetrzymywany ten mag i służka, ani czy w ogóle żyją.

- Naprawdę? Zastanów się.

- Naprawdę! Zostałem odcięty od całej sprawy, od tamtej pory nikt nigdy nie wspominał przy mnie o Ludziach Nieba i życzyłbym sobie, żeby tak pozostało! Nie mam jak was pomóc.

- No to lepiej coś wymyśl. Bo Silarus jest tym, który najbardziej potrzebuje twojej pomocy.

Melvourne rzucił jej ostre spojrzenie.

- Co mu zrobiliście?

Cerro nie odpowiedziała. Ponownie zmaciła pełną leczniczych substancji wodę w balii.

\*

Silarus aż oblizał się ze smakiem, odbierając od kramarki świeżą porcję lodów posypanych bakaliami. Były tak dobrej jakości, że aż pachniały. Żadnego oszustwa, żadnych kawałków wiecznego lodu zamiast masy, żadnej pleśni.

Dołączył do Kaia, który już przyglądał się magikom na rynkowym podeście. Miał na twarzy kaptur, choć wszyscy i tak wiedzieli, kim jest. Przynajmniej wiedzieli, żeby go nie zaczepiać.

- Daj trochę – nie czekając na odpowiedź, zanurzył palec w masie, włożył go do ust i skrzywił się. – Fu.

- Pytałem, czy jakieś chcesz.
- Nie chcę, nie mam pięciu lat.
- No to cierp sobie w swojej starości.

Czarodziejka na podeście była nienaturalnie piękna. Jej długie falowane włosy były jaśniejsze niż srebro, czarna jak kosmos skóra miała porcelanowy połysk, a oczy były ogromne i w idealnym odcieniu błękitu pasującym do jej sukienki i stygmatów. Szeroki uśmiech nie znikał z jej wybrokatowanego oblicza, kiedy tańczyła i wyginała się w sposób niemożliwy dla zwykłego człowieka, a zatrzymany w czasie i przestrzeni strumień wody odwzorowywał jej ruchy ku zachwytowi gawiedzi.

Pojawiła się przed nimi młoda dziewczyna, którą Kai zatrudnił do kopiowania wyroków. Na głowie miała kapelusz o pokaźnym rondzie.

- Czołem, haronie – rzekła. – Czołem...?
- Silarus – odpowiedział Silarus, taksując ją wzrokiem od góry do dołu.
- Ach – odpowiedziała krótko, nagle zaintrygowana.
- Tak, ten Silarus – odezwał się Kai. – To jest Mnemosyne, jedna z moich sekretarek.
- Tych, z którymi grywasz w karty?
- Tych samych – odpowiedziała raźno dziewczyna. – Druga z nich będzie dzisiaj recytować nowy wiersz.
- Drugi – sprostował Kai. – Zgaduję, że właśnie to wiekopomne wydarzenie cię tutaj sprowadza?

- To i dzień wolny, i fakt, że nie ma nic innego do roboty w Karmevare – stanęła obok Kaia, podziwiając magiczkę zwijającą swoje ciało w okrąg. – Ech. W zeszłym roku był tu mężczyzna, który potrafił zrobić to samo, a nie miał stygmatów.

Kobieta rozplatała się i wyrzuciła ramiona w powietrze, a wraz z nimi woda wypryskała na wszystkie strony, by nagle zatrzymać się ponad tłumem, po którym przeszedł szmer zdumienia. Ludzie oglądali się, podziwiając krople, a dzieci sięgały rękami, by spłynęły w dół

ich dloni. Kai też sięgnął i zgarnął kilka kropli za jednym zamachem, zanim wypłyneły z jego nie wystarczająco pospiesznie zamkniętej dłoni.

Kiedy ludzie się nacieszyli, czarodziejka pozwoliła wodzie opaść, a ta łupnęła o chodnik, mocząc tłum aż po kolana. Magiczka dygnęła z uśmiechem mającym udawać przeprosiny i zeszła ze sceny, odprowadzana śmiechem i oklaskami. Z balkonów bogatszych mieszkańców runął grad monet, o które ekipa czarodziejki przepychała się z członkami publiczności, wreszcie ustępując miejsca następnemu artyście. Na rynkowe podium wskoczył mężczyznna w krzywo pozszywanym fraku i drucianych okularach.

- Jest i on – mruknął Kai.
- Oby nie przyniósł nam wstydu – odmruknęła Mnemosyne.

Człowiek powitany został uprzejmie zdziwionymi okrzykami, jakby tutejsi już go znali i darzyli sympatią.

- Witajcie, dobrzy ludzie – powiedział Madrigale. Odgarnął włosy koloru kundlej sierści i strzepnął różowawy papier, który miał w dłoni. – Będę teraz czytał poezję, a jestem bardzo wrażliwym człowiekiem, więc wszystkich uzbrojonych w pomidory proszę o okazanie serca ten jeden, jedyny raz.

Tłum roześmiał się. Madrigale znów strzepnął papier i odchrząknął donośnie.

*Gdybym powiedział, że wiem, skłamałbym  
Godzina zbyt wcześnie i błędem jest twierdzić, że nastąpała  
Nie znoszę nie mieć racji, ale i nie znoszę czekać  
I gdybym był prorokiem, po prostu bym mógł  
Lecz nie jestem*

*Drzwi są zamknięte i słyszać zza nich krzyki  
Ci, którzy weszli, wyszli przemienieni  
Mogę zszywać strzępki, mogę snuć domysły  
Ale trudno podążać za wielonogim śladem  
Lecz staram się*

Silarus miał wrażenie, że słyszy nienaturalnie rytmiczne brzęczenie, które zbliżało się i zbliżało, aż ze wszystkich zaułków przecinających rynek wyłały się strumienie królewskiej straży. Tratowali i rozpsychali ludzi na swej drodze, przebijając się do sceny. Madrigale był zbyt pochłonięty swoją poezją, żeby zwrócić na cokolwiek uwagę.

*Nie jestem człowiekiem wielkiej wiary, lecz wierzę  
Że krew szlachetna, która w żyłach kielkuje...*

Strażnicy wtargnęli na scenę, a jeden z nich chwycił za ramię Madrigale'a, który musiał łapać okulary zsuwające się z jego nosa. Jego poezja opadła w tłum, zdeptana i zatracona, kiedy ludzie próbowali wyrwać się z pierścienia, który utworzyła straż. Byli w potrzasku, a Silarus, Kai i Mnemosyne razem z nimi, nie wiedząc, co się dzieje, tak samo jak oni.

Madrigale'a sprowadzono ze sceny. Straż odepchnęła falę ludzi od podwyższenia, i ktoś wytrącił wafel pełen lodów z ręki Silarusa. Opadły w tłum, zdeptane i zatracone.

- Co się dzieje? – Silarus usłyszał głos Mnemosyne trzymającej się kurczowo Kaia, by nie rozdzielił ich tłum. Sam Silarus trzymał jego pelerynę, chcąc zadać to samo pytanie.

Na scenę wkroczył Myron. Po tłumie przeszedł pomruk zrozumienia, a potem oklaski, pokłony i okrzyki. Myron uśmiechnął się szeroko. Nie mógł ruszać głową, żeby ciężka Magmowa Korona nie zsunęła się z niej, jednak obrócił sztywnym karkiem, wysuwając rękę spod rubinowego płaszczu i pozdrawiając tłuszczę.

- Witajcie, moi poddani – przemówił donośnie. – Założę się, że wyśmienicie bawicie się podczas Karmevare. Od tego jest w końcu Święto Sztuk, czyż nie? Od zapomnienia o brzydotce życia i skupienia się na jego pięknie. Oczywiście, niektórzy z nas nie mogą o brzydotce zapomnieć. Czy mogą o niej zapomnieć zgwałceni, obrabowani, pobici? Ci, których bliscy zginęli z ręki mordercy?

Tłum najpierw przytakiwał, potem mruczał, potem znów przytakiwał.

- Doszły mnie słuchy – oznajmił – że nawet Haron Sprawiedliwości wziął sobie dzisiaj dzień wolny. Dzisiaj Haron Sprawiedliwości chce mieć święty spokój i nawet król nie zmusi go do wypełnienia swoich obowiązków. Cóż, nie jestem despotą, a Haron Sprawiedliwości też musi się wysypiać, czyż nie?

Tłum zgadzał się z każdym słowem Myrona.

- Ale Sprawiedliwość nigdy nie śpi, dobrzy ludzie. Jeśli cierpicie dzisiaj, powinniście móc przyjść z tym do sędzi jeszczego dzisiaj. I ja jestem dzisiaj sędzią, i ja dam wam to, czego chcecie i potrzebujecie! To ja przychodzę do was, a nie wy do mnie, i pytam – na kim mam dzisiaj wymierzyć Sprawiedliwość?

Tłum ucichł. Ale tylko na chwilę.

- Ten człowiek mnie okradł! – wrzasnęła jakas kobieta i wskazała na kieszonkowca próbującego przedostać się przez łańcuch strażników.

- Przyprowadźcie go tutaj!

Król usiadł na tronie podróżnym, który przystawił mu jeden ze strażników. Drugi z nich trzymał poduszkę, na której Myron złożył Magmową Koronę.

Trzeci ze strażników przyciągnął złodzieja na scenę i rzucił go na kolana. Nie mógł mieć więcej niż czternaście lat.

- Błagam, panie...

- Jak prawo każe złodziei? Podejdźże tutaj, Iptis!

Królewski sekretarz wystąpił na scenę z grubym kodeksem prawnym w ręce. Był blady jak ściana. Zaczął gorączkowo kartkować księgi.

- Złodziej może zwrócić to, co ukradł – wyczytał.

- Oddaj, co ukradłeś, złodzieju – polecił Myron.

- Kiedy ja nic... Ja nic...

- Złodziej nie ma jak oddać, Iptis.

- W takim wypadku... - Iptis prawie płakał. – W takim wypadku złodziej może ubiegać się o okres, w czasie którego będzie mógł uzbierać fundusze, by...

- Dobra, okradziona kobieto! Czy masz czas czekać na swoją Sprawiedliwość?!

- Nie!

- Ona nie ma czasu, Iptis. Co teraz?

- Teraz... Musi być proces...

- Właśnie robię proces, Iptis! Co teraz?!

- Złodziej... Jeśli jest to jego pierwsza zbrodnia... Powinien mieć ucięte dwa palce...

- Wykonać.

Strażnicy chwycili chłopaka i przycisnęli jego rękę do ciężkiego stołka. Spomiędzy ludzi Myrona wystąpił najprawdziwszy królewski kat w masce zrobionej z jeleniej czaszki, zwykle widywany tylko podczas ścinania zdrajców. Ubrany był w multum koralików i węzłów mających chronić przed klątwami i złymi urokami, a kiedy podniósł olbrzymi miecz, woń różanego olejku przeszła po całym rynku.

Miecz swisał, a chłopak wrzasnął. Tłum pisał; wielu zasłoniło usta dłońmi, wielu zaczęło płakać, wielu zaklaskało. Straż wrzuciła chłopaka z powrotem w tłum, a jego palce do worka.

- Kto dalej? – zwrócił się do tłumu Myron.

- Moja matka mnie bije! – wrzasnęła jakaś dziewczynka.

- Twoja matka? Gdzie jest ta kobieta?

Dziewczynka szarpnęła próbującą skryć się pomiędzy nogami tłumu kobietę, a straż wciągnęła ją na scenę.

- Jaka jest kara za bicie dziecka?
- Dwadzieścia batów, Wasza Wysokość.
- Wykonać.

Mnemosyne zwymiotowała, widząc czwartą pręgę na plecach kobiety.

- Kto dalej?!
- Panie, ukaż mojego gwałciciela!
- Kto cię zgwałcił, dziewczyno?
- Lyrr Klion Uporr!

Główne wszystkich przekręciły się w kierunku rezydencji Kalyrów, która górowała nad rynkiem. Jeszcze parę chwil wcześniej przesłonięty parasolami balkon pełen był lokalnej szlachty, a wśród niej bawili się również Uporowie. Teraz strażnicy wpadli do ich domu, a ze środka dobijały dźwięki krzyków, ciosów i rozbijanych przedmiotów. Po chwili wywlekli stamtąd Kliona Uporra z jasnymi wąsami umorusanymi krwią, i rzucili go na scenę.

- Wasza Wysokość, to kłamstwo! - załkał.
- Jaka jest kara za gwałt, Iptis? – powiedział zimno Myron.
- No... Zależy, czy zgwałcona była dziewczyną...
- Czy była dziewczyną, dobra dziewczyno?
- Tak!
- Co w takim przypadku, Iptis?
- W takim... Śmierć.

Uporr wierzgnął się szaleńczo, kiedy jego bełkocząca głowa została przyciśnięta do stołka.

Kat podniósł miecz, kiedy Kai wreszcie dopchał się do podwyższenia.

- Wystarczy! – ryknął. Tłum i Klion zamilkli. Kat opuścił miecz.  
- O – ucieszył się Myron. – Haron Sprawiedliwości przerywa swój wolny dzień? W obronie gwałciciela?

- Myron, wystarczy. Proszę cię.
  - Jestem twoim królem, haronie. Ja wiem, kiedy wystarczy.
  - Jako Haron Sprawiedliwości, gorąco doradzam. Wystarczy.
- Myron odwrócił od niego wzrok.
- Wykonać.

Katowski miecz świsnął. Głowa lyrra Uporra potoczyła się po deskach sceny. Niektórzy zemdleli, inni krzyczeli, a piski i płacz dzieci utonął w oklaskach.

Kai zamrugał, patrząc na rozpolowione ciało, które strażnicy rzucili wraz z palcami kieszonkowca na przystawiony wóz. Potem wskoczył na scenę.

Straż natychmiast chwyciła go za włosy i skrępowała jego ręce za plecami.

- Chcesz sobie poħaronaować? – wycedził Myron. - Proszę bardzo. Daj mu kodeks, Iptis.

Iptis przeszedł nad plamą krwi, by wręczyć Kaiowi księgi. Strażnicy puścili go, a ten ją odebrał, czerwony i z trudem chwytający powietrze.

- Czy uważacie harona Kaia za najbardziej praworządnego harona w historii?! – Myron zwrócił się do tłumu, który przytaknął gorąco. – Jego wyroki nie mają jednak nic wspólnego z twardą literą prawa! Najszarszy Haron łamie prawo nagminnie, całymi dniami, i zapewne usprawiedliwia to litością! Ale czy można czuć litość wobec gwałciciela?!

Tłum definitelynie zaprzeczył.

- Kto następny?!

- Moja żona mnie zdradziła! Zarżnij tę kurwę!

- Ha! Wybornie! Wybiora sprawa! Dawać ją tutaj!

Straż wrzuciła kobietę na scenę. Była w zbyt ciężkim szoku, żeby szlochać.

- Nie zdradziłam go – powiedziała tonem bardziej oznajmiającym niż błagalnym. – Nie mogę mieć z nim dzieci.

- To żadna strata – zaśmiał się Myron. – No, Kai. Czytaj, co tam grozi za zdradę.

- Najpierw trzeba przeprowadzić śledztwo – warknął Kai. – Trzeba przesłuchać świadków, znaleźć dowody...

- Zrobić wszystko, żeby nie spojrzeć prawdzie w oczy, co? Czytaj. To jest rozkaz.

Kai przerzucił kartki na odpowiednią stronę.

- Za zdradę grozi pięćdziesiąt batów lub...

- Czytasz to, co dotyczy mężczyzn. A kobiety?

Kai dyszał z wściekłości.

- Kobiecie grozi sześćdziesiąt batów albo kara pieniężna.

Tłum był tym więcej niż rozochocony.

- Kłamiesz – powiedział zimno Myron. Tłum ucichł. – Okłamałeś swojego króla.

- Te prawa – Kai zatrzasnął księgi i rzucił ją z hukiem na drewno – są przestarzałe, okrutne i nieludzkie! Dlatego nie przestrzegałem ich co do jedy i dlatego apelowałem o słuchanie własnego sumienia!

- Czy wasze sumienia, dobrzy ludzie, uważają śmierć tej kobiety za sprawiedliwą?!

Silarus desperacko łowił wzrokiem tych, którzy nie przytaknęli.

- Wykonać.

Dopiero teraz kobieta zaczęła piszczeć i się wyrywać. Wierzgała jeszcze przez chwilę nawet wtedy, kiedy jej głowa upadła na deski podium. Wdowiec po niej zasłonił usta ręką i zawył, wybuchając płaczem.

- Teraz ja! Wiem, kto mnie okrada!

- Poczekaj chwilę, dobry człowiek – Myron uśmiechnął się do kogoś wyrywnego. – Najpierw muszę wymierzyć sprawiedliwość za zdradę stanu. Bo czymże innym jest okłamanie króla?

Spojrzenia jego i Kaia skrzyżowały się.

- Przeczytaj, Kai, jaka kara grozi zdrajcy stanu.

Kani nie podniósł książek leżącej w plamie krwi. Tłum czekał.

- Nie okłamałem cię – odpowiedział Kai. Tak cicho, że Silarus bardziej czytał z ruchu jego warg. – Pomyliłem się.

- Co takiego? Nie dosłyszałem.

- Pomyliłem się. Kiedy czytałem.

- Słyszeliście, dobrzy ludzie? Haron Sprawiedliwości pomylił się! Czy mam mu uwierzyć?!

Tłum poparł króla i w tym.

- Wierzę ci, Kai. Ale martwi mnie twoja nieuwaga w tak kluczowej sprawie. Tamta zdzira mogła odejść stąd żywa, gdybym nie znał prawa na pamięć.

Tłum rad był, że król zna prawo na pamięć.

- Musisz ponieść karę, żeby pamiętać o skupieniu. A ponieważ tylko ja mogę wymyślać nowe prawa, niniejszym skazuję cię na dwadzieścia batów.

Strażnicy rzucili Kaia na kolana, zerwali z niego brunatną pelerynę i rozszarpali jego koszulę. Silarus wytrzymał ucinanie palców, głów i baty wymierzane obcej skórze, ale odwrócił się, zanim pierwszy świsnął przed spotkaniem z plecami Kaia. Ten nawet nie jęknął. Nie jęknął też przy drugim. Po trzecim szlochał już aż do dwudziestego.

Nawet tłum oglądał w milczeniu. Silarus wciąż nie miał odwagi się odwrócić.

- Jeszcze jeden – polecił Myron.

Świst i wrzask.

- Jeszcze jeden. I jeszcze jeden. I już ostatni, przysięgam.

Silarus spojrzał na Mnemosyne wytrzeszczającą oczy znad dloni zasłaniającej usta. Kiedy już ich nie zamykała, Silarus wziął to za dobry znak. Odwrócił się.

Kai akurat podnosił się z desek. Na jego plecach gęsto było od nabiegłych krwią pręg. Myron przyglądał mu się bez mrugnięcia.

- Bierz księgę i czytaj dalej – polecił, kiedy Kai wstał.

Kai wziął księgę i stanął na poprzednim miejscu, ledwo powłócząc nogami.

- No, to kto tu kogo okradał?

Po kilku godzinach, kiedy wóz napełnił się ciałami odseparowanymi od głów, ciałami zakatowanymi na śmierć, uciętymi kończynami, wyłupionymi oczami i wybitymi zębami, Myron wstał, a strażnicy pozwolili tłumowi się rozejść. Wszyscy, nieważne jak głośno wiwatowali chwilę wcześniej, pierzchli, zanim król zdążył oddalić się od rynku. Zostali tylko żebracy przyglądający się Kaiowi z cienia krużganków, Silarus, Mnemosyne i Madrigale.

Kai patrzył w przestrzeń, trzymając otwarte ręce przed sobą, jakby nie uświadomił sobie, że księga została mu odebrana. Kiedy zbliżyli się do niego, opadł na kolana przy gruchocie stali w protezie. Nic nie mówił. Nawet na nich nie patrzył. Z kraty jego ran sączyła się krew.

Kiedy Silarus pospieszył wynająć wóz, zastanawiał się, jak mógł posądzać Myrona o szaleństwo, pomimo wychowania do bycia królem. Jak mógł nie widzieć, że król był wychowany do bycia szalonym.

\*

Melvourne jechał bardzo powoli, cały czas oglądając się na Cerro, która stawała się coraz bardziej podejrzliwa co do celu ich podróży. Już dawno opuścili mury miasta, którego kontury majaczyły w oddali, rozmazane poranną mgłą. Jechali teraz szeroką wiejską drogą, mijając pola, pokryte strzechą chaty, pasące się krowy i ludzi tłukących motykami w grudy ziemi.

Cerro odgarnęła wystające spod kaptura, zawilgotniałe pukle włosów, kiedy Melvourne pociągnął za lejce. Byli u celu.

Stali pod okazałą drewnianą chatą, wokół której biegały kurczaki i świnie. Gdzieś za domem słychać było łańcuch, do którego przyczepiony musiał być pies. Szamotał się i szczekał, wyczuwając obcych.

Melvourne pomógł Cerro zejść z konia i zaprosił ją gestem przed siebie. Podciągnęła skraj białej sukni, by nie ubrudzić go błotem.

Stanęli na ganku i Melvourne zapukał do drzwi.

- Czego? – Z wnętrza dobiegły obcesowy charkot.

- Tu Melvourne Temidan – odkrzyknął niechętnie Melvourne.

Usłyszeli dźwięk odsuwanego krzesła, po czym drzwi otworzyły się.

Cerro cofnęła się o krok, przerażona, lecz zaraz opanowała swe nerwy. Najpierw przestraszyła się wrogiej twarzy mężczyzny, a potem jej karykaturalnego podobieństwa do twarzy Yazora Temidana. Była to jednak twarz o wiele brzydsza niż i tak nieszczególnie urodziwe oblicze generała – pomarszczona, niezdrowo nalana, z rozdrapanymi krostami i przekrwionymi oczami. Nad jednym z nich zwisała ociężała powieka, do której przykleił się pukiel tłustych, czarnych włosów. Mężczyzna był menstrualnie wysoki i przerażająco chudy, ubrany w rozchełstaną koszulę desperacko potrzebującą igły i nici, kalesony desperacko potrzebujące prania i kamizelkę desperacko potrzebującą śmietnika. Był też zapach – okropny odór gorzałki i pleśni.

- Dzień dobry, stryju – przywitał się Melvourne, próbując nie marszczyć nosa. Cerro zakaszlała w rękawiczce. – Możemy wejść?

- A po co? – odwarknął mężczyzna.

- Porozmawiać.

- Niby o czym?

- Dowie się stryj, kiedy nas wpuści.

- A to kto?

Wskazał pokrytym szczeciną podbródkiem na Cerro.

- Cerro Meaveleth – odparł Melvourne.

Mężczyzna zmrużył oczy tak, że były prawie zamknięte i schylił się, by zrównać się z twarzą Cerro. Odważyła się na niego spojrzeć – wtedy splunął jej prosto między oczy.

Wydała z siebie zduszony okrzyk, pewna, że śmierdząca plwocina wypali jej gałki oczne. Melvourne natychmiast był przy niej, przepraszając i wycierając ślinę skrajem płaszcza.

- Dobra, właźcie – Usłyszała głos mężczyzny. – Ale nie mam nawet co wam dać do żarcia.

- Nie trzeba! Cerro, wszystko w porządku? Możemy sobie stąd iść, jeśli...

- Nie! – warknęła, ostatni raz przecierając oczy. – Idziemy!

Weszła do środka, a Melvourne zamknął za nią drzwi.

W środku znajdowała się przestronna izba, która pełniła rolę kuchni, jadalni i toalety. Była też drabina, która prowadziła na górę, jednak gospodarz już siedział przy stole na środku

izby i nabijał sfatygowaną fajkę tytoniem. Melvourne odsunął dla Cerro krzesło jak najdalej od stryja, po czym sam usiadł naprzeciwko niego.

- Jak tam twoje zdrowie? – zagiął.

- Ano jakoś – mężczyzna podrapał się za brudnym uchem. – Chcecie mojego błogosławieństwa?

- Nie, stryju. Przyszliśmy po informacje.

- Na temat czego? Ulubionych przysmaków Loch w porze rui?

- Nie. Na temat twojego ostatniego spotkania z ojcem.

Mężczyzna zaciągnął się głęboko, odginając kark.

- Nie pamiętam, kiedy to było.

- Ja pamiętam. To było tuż po śmierci mojej matki. Po spotkaniu ojca i króla w Avernnis.

- Hmm... No tak.

- Chcemy wiedzieć, co się stało z człowiekiem odpowiedzialnym za jej śmierć.

- A skąd ja mam to wiedzieć?

- Nie rozmawialiście ze sobą od wielu lat. A jednak ojciec zdecydował się ciebie odwiedzić.

- No pewnie. Musiał się komuś wybeczeć.

- Potem zabójca zniknął. Co się z nim stało?

Stryj wydmuchał kilka kłębow dymu.

- Nawet, gdybym wiedział, dlaczego miałbym ci powiedzieć?

- Bo księżniczka jest tutaj ze mną. To żona i siostra najpotężniejszych ludzi na kontynencie.

- Nie schlebiasz sobie za bardzo, kochasiu?

- Nie. To żona Kaia Kohara.

Stryj parsknął śmiechem, ukazując wybrakowane żółte uzębienie.

- I co? Ta ruda pchła jest niby taka potężna?

- Słuchaj więcej wieści ze świata. Tę pchłę nazywają Najszarszym Haronem. Zainicjował wynalezienie remedium na zimową gorączkę. Odniósł rany w bitwie pod Ajgaj. Odkrył, w jakich okolicznościach umarła moja matka. I teraz żąda informacji.

Mężczyzna zmierzył wzrokiem Cerro.

- To czemu przysiął tu swoją dziwkę?

- Bo ma ważniejsze sprawy na głowie niż łażenie po jakichś chlewach – syknęła szybko Cerro, zanim Melvourne zdążył jej przerwać. – Daj nam, po co przyszliśmy.

- Jeśli chcesz iść do chlewu, księżniczko, z chęcią cię tam zaprowadzę – odparł stryj, patrząc w sufit. – Ty i twój najszarszy alfons jesteście tak samo durni jak Yazor i Ines. Na chuj wam ta nieśmiertelność?

- Oni nie chcą nieśmiertelności – pokręcił głową Melvourne. – Kai Kohar węszy zagrożenie...

- Rozmawiam teraz z jego dziwką.

- Nie nazywaj mnie tak – warknęła Cerro.

Mężczyzna napiął się, by splunąć jeszcze raz, lecz Cerro była szybsza – jej ślina spłynęła z jego nosa, a ten z radością ją złizał. Cerro rozszczepiła palce, by rzucić się na niego z pazurami, jednak Melvourne złapał ją w pół, usadził na krześle i zaczął uspokajać. Stryj zaśmiała się gromko.

- Głupia kurwa – westchnął. – Przerażające, że najszarszy alfons zaprzata jej główkę takimi sprawami.

- Ten człowiek, Kai Kohar – Melvourne zakrył usta wciąż szamoczącej się Cerro – to demon, mówię ci. Zrobi coś strasznego, jeśli nie damy mu informacji.

- Zrobiłeś się taką pizdą, że słuchasz żądań szantażysty?

- On nie szantażuje, ale... dużo wie. Wie o Ludziach Nieba. Że mogą być jeszcze bliżej niż myśleliśmy. Kai potrzebuje jak najwięcej informacji.

- Chuj mnie obchodzą jacyś Ludzie Nieba. Niech przyjdą. Niech przyjdą i niech zasrają całą tę ziemię.

- Stryju, błagam cię.

- Daj mi coś w zamian, bratanku.

- Co mam ci dać? Przecież ty niczego nie chcesz.

Mężczyzna znów podrapał się w podbródek.

- Chcę obietnicy, ba! Przysięgi!

Melvourne westchnął.

- Jakiej przysięgi?

- Że kiedy go was pokażę, nie zabierzecie mi go.

Cerro przestała się wiercić, zapominając, że Melvourne trzyma rękę na jej ustach.

- Nie, nie zabierzemy – przyrzekł Melvourne. – A do czego ci on potrzebny?

- Do mycia naczyń, krojenia ziemniaków, takich tam...

- On jest tutaj?

- Pewnie. Twój ojciec stwierdził, że moje towarzystwo będzie dla niego najokrutniejszą karą.

Wstał, odszedł parę kroków i odsunął słomę zasłaniającą klapę w podłodze. Wyciągnął zza pazuchy klucz i otworzył ją.

Melvourne i Cerro podążyli za nim na dół, uczepieni swych ubrań jak przerażone dzieci.

Było tam zupełnie ciemno, aż gospodarz zapalił dwie pochodnie. Zobaczyli wtedy kontur długowłosego mężczyzny, wokół którego fruwały muchy i ćmy. Mężczyzna nie podniósł głowy na ich widok – siedział z wyciągniętymi przed siebie brudnymi stopami wystającymi spod worka na kartofle, w który był ubrany. Jego włosy były długie, jasne, sklejone brudem i opadały na jego pociągłą twarz poznaczoną nierównym zarostem. Były też blizny – okropne, krwawe, głębokie blizny po wyrwanych stygmatach, które ciągnęły się przez jego przedramiona i nogi przykute łańcuchami do ściany.

Cerro wciągnęła z sykiem powietrze, kiedy uświadomiła sobie, na co patrzy.

Stryj Melvourne'a popatrzył na nią jakby z sympatią.

- Taaa. Ja i mój braciszek to para zwydrodnialców.

- Wy mu to zrobiliście...? – zapytał głucho Melvourne.

- Osobiście, kochany. To miał być nasz mały, niecny sekret. No, ale skoro jego ulubione dzieciątko chce znać prawdę...

- Da się z nim porozmawiać?

- Da. Jest tępawy i powolny, ale może będącie mieli wystarczająco cierpliwości. No, przynajmniej ty.

Wyjął pękatą cebulę ze zbutwiałej skrzynki i rzucił nią w głowę więźnia. Ten ocknął się, drgając, przyjrzał się gościom i pochylił głowę ponownie.

- Przesłuchajcie go sobie – mruknął stryj Melvourne'a, kierując się ku drabinie. – Tylko nie róbcie mu krzywdy. Musi być zdolny do ruszania rękami.

Zamknął za sobą klapę, a Melvourne usiadł na beczce, plecami do maga.

- Rozmawiaj sobie z nim – burknął. – W końcu chciałaś.

Cerro stanęła przed więźniem, wyprostowana. Ten spojrzał na nią szklistym, wyleknonym, ale też ciekawskim wzrokiem.

- Jesteś Człowiekiem Nieba? – spytała Cerro, starając się mieć jak najdłuższy ton głosu.

Twarz mężczyzny jakby się rozświetliła. Przyglądał się Cerro z zachwytem.

- Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Piękna pani, Kobieta Kamienia...

- Rozumiesz... - mruknęła Cerro, i nawet Melvourne obejrzał się na dźwięk wyjątkowo pięknego, lekko ochrypłego głosu mężczyzny. – Ty jesteś człowiekiem, który zabił lyrę Ines, prawda?

- Nie ja ją zabiłem, piękna pani, to jej młodszy syn...

- To ty ją zabiłeś! – oburzył się Melvourne. – Ty i służąca o pseudonimie Mitra, pamiętasz ją?

- O tak, biedna Lirner... Biedna, służyła sprytnej kobiecie, która nagle stała się głupią, nie słuchała mnie...

- Ten cały rytuał reinkarnacji jest prawdziwy? – przerwała mu Cerro.

- Jest – odparł mężczyzna, wytrzeszczając oczy. – Ale ja już nie jestem apfrem, piękna pani, i musiałaby pani połknąć smoczy ząb...

- A więc to prawda – szepnęła z zachwytem Cerro. – Wszystkie legendy o was to prawda?

- Nie wiem, piękna pani. Nie znam wszystkich legend.

- Przeprowadziłeś rytuał na Mitrze i jeszcze jednej służącej. Dlaczego ten się udał?

- O tak, one miały w sobie zęby...

- Miały? Czyli obie były Ludźmi Nieba?

Melvourne spojrzał na więźnia, nie dowierzając.

- Były? Co się z nimi stało? Odpowiedz mi!

- Piękna pani, ta druga umarła wtedy, kiedy lyrra. Chciała zrzuconą skórę Lirner. Była starsza.

- Lyrra nie wolałaby młodszego ciała?

- Może się nie udać, jeśli ciało jest zbyt małe. Straszne, straszne rzeczy się dzieją...

- No to co się stało z Mitrą? Wiesz, gdzie jest?

- Nie, pani, nie pamiętam, nie znałem jej. Zniknęła.

- W takim razie co z legendami? Co planujecie? Wędrujecie, szpiegujecie, osiedlacie się, a potem co? Czego chcecie? Dlaczego zesłaliście wizję od Szarego Boga na Yazora Temidana? Kim on dla was jest?

Przesłuchiwanego potrąsnął głową, a muchy wyfrunęły z jego włosów.

- Powoli, Cerro – powiedział Melvourne. – On jest na w pół szalony.

- Kim jest Szary Bóg? – brnęła Cerro.

- Nie wiem – odparł więzień.

- Nie wiesz?

- Znam tylko Białego Boga. Tego, Który Już Jest.

Twarz więźnia stała się dziwna. Jakby przypomniał sobie smak czegoś słodkiego. Dreszcz przeszedł po kręgosłupie Cerro.

- Czy przedstawił się Yazorowi jako Szary Bóg?
- Nie wiem, nie wiem, nie wiem...
- No dobrze. To kim jest ten Biały Bóg?
- On prowadzi – odpowiedział więzień.
- Więc to wasz król?
- Przywódca.
- To dlaczego nazywa się bogiem?
- Jest przedwieczny, mądry. Zabawny.
- I co, i tyle u was wystarczy, żeby być przywódcą?
- Nie wiem, piękna pani. Reon był zawsze.
- Reon... Czego od nas chcecie? Całkiem nas wybić, zabrać nasze ziemie?
- Nie chcę nikogo wybić, piękna pani. Ziemia też mi niepotrzebna.
- Ale pytam o waszych przwódców. O wszystkich Ludzi Nieba.

Więzień zmarszczył czoło, ale nic nie powiedział.

- Skąd miałby to wiedzieć? – odezwał się Melvourne. – To jakiś zwykły szeregowiec.
- No to spróbuj zgadnąć, szeregowcu! Jesteś magiem, prawda? Magowie są mądrzy.

Więzień patrzył tępo w podłogę.

- Waszych szpiegów jest więcej?
- Zagaduję, że tak, piękna pani.
- Znasz jakichś?
- Nie, piękna pani.
- Mitrę znałeś. I tę drugą. Wysil pamięć.
- Nie znałem Lirner. Ona znała mnie i wezwała mnie. Poleciła mi wybrać tę drugą.
- Ona ci poleciła?

- „Z tą się uda.”, powiedziała.

- Więc zaplanowała powodzenie pierwszej próby. To rzeczywiście był zamach.
- Nikogo nie planowałem zabić, piękna pani, nigdy nikogo...
- Cerro przemaszerowała parę kroków, wykręcając sobie palce.
- Cholera – syknęła. – Wiem za mało... Za mało mi powiedział... Nie ma żadnego sposobu, żeby zawieźć więźnia do Naucenemes?

Melvourne pokręcił zdecydowanie głową.

- Przysięgliśmy stryjowi, że go nie zabierzemy.

- Technicznie rzecz biorąc, ja nic nie...

- Cerro.

- Mel, ta sprawa jest ważniejsza niż jakaś zasmarkana przysięga.

- Nie sądzę, że w Naucenemes wiele więcej z niego wyciągniecie. To jest jakiś pionek, a nie żaden gracz. Poza tym jest na wpół szalony.

Cerro znowu westchnęła, odgarniając włosy z twarzy.

- A więc ci Ludzie Nieba istnieją i nadchodzą – podsumowała. – Śmierć twojej matki to nie był przypadek. Mitra wybrała tę drugą służącą, wiedząc, że to Człowiek Nieba. Chciała, żeby ten pierwszy rytuał się udał. Żeby generałowa uwierzyła. Biały Bóg to tylko staruch o imieniu Reon. Twój ojciec chciał manipulować haronami, nazywając go Szarym.

- A niby skąd ta konkluzja?! Szary Bóg mógł manipulować nim! A może jest ich dwóch?!

- Może. A może Yazor bał się, że kiedy powie im o Białym, każą mu szykować się na świętą wojnę i ani pomyślą o przydzieleniu mu stanowiska harona.

- On znalazł Magmowy Miecz pod poduszką! Oczywiście jest, że podszywali się pod wysłanników Szarego Człowieka! A ty ufasz mordercy i spiskowcowi czy generałowi, który tyle razy uratował twój ród przed zgubą?!

- Średnio ufam człowiekowi, który zakuł mnie w łańcuchy. Średnio ufam człowiekowi, który wyrwał magowi stygmaty. Poza tym oboje wiemy, że pod względem spisków i intryg generał w niczym nie ustępuje Ludziom Nieba.

Melvourne miał przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby lekko się zarumienić.

- Hej, ty – Cerro znów zwróciła się do więźnia. – Twierdzisz, że ten Biały Bóg już jest. No więc gdzie jest teraz?

- Wszędzie.

- Co to znaczy?

- On błędzi i znajduje, chociaż nie szuka.

Cerro przewróciła oczami.

- Nie mam ochoty słuchać żadnych zagadek. Jeśli chcemy więcej informacji, musimy znaleźć tego Białego Boga lub jego zauszników. Może da się z nimi pertraktować.

Zerknęła na maga ostatni raz.

- Jak ty w ogóle masz na imię?

Ten skulił się w sobie.

- Nie mogę sobie przypomnieć, piękna pani. Nie mogę, nie chcę, nie mogę...

- Rozkazuję ci powiedzieć, natychmiast!

- Nie pamiętam, nie, nie, nie, nie, nie...

- Zostaw go, Cerro – Melvourne położył dłoń na jej ramieniu. Strząsnęła ją instynktownie, ale ten nie wydawał się urażony. – Chodźmy stąd.

- Nie ma sposobu? Mamy go zostawić tutaj, na tym...

- Cerro – Melvourne stanął tuż przed jej twarzą, srożąc brwi. – Ten człowiek był i być może wciąż jest niebezpieczny. Trzymanie go tutaj przez sześć lat działało. Dlaczego mielibyśmy to zmieniać?

- Może być niebezpieczny? Niby w jaki sposób? Ma wyrwane stygmaty... - Nagle Cerro spojrzała hardo w jego oczy. – Nie chcesz, żeby to wyszło na jaw, tak? Martwisz się, co czekałoby biednego tatusia?

- Nawet jeśli, co w tym złego? Chwalebnie jest troszczyć się o swoją rodzinę.

- Nawet, jeśli twoja rodzina zrobiła coś bestialskiego? Jeśli oszukała haronów?

- Może miała dobre powody.

- Ten człowiek jest osobistym niewolnikiem twojego stryja! On i twój ojciec wyrwali mu stygmaty...!

- Ten człowiek wrobił dziecko w zabicie własnej matki! Nie wiem, czy ta kara jest wystarczająco okrutna czy nie, ale musisz zrozumieć... A nawet, jeśli nie zrozumiesz, to zaufaj, że tak jest po prostu najlepiej. Myślisz, że w Modrym Oku on będzie kimś więcej niż niewolnikiem twojego męża?

Cerro nie chciała się oglądać na szlochającą postać w kajdanach.

- Kai i tak się o tym dowie – wyszeptała.

- Oczywiście – przytaknął Melvourne.

- I jeśli zdecyduje inaczej, sprowadzi go do Modrego Oka.

- Jasne.

Cerro pierwsza wspięła się po szczeblach drabiny. Wzrok Melvourne'a przesunął się po kajdanach więźnia. Podążył za księżniczką na górę.

\*

Silarus miał sen, w którym stał na dole albo na górze wieży, na której szczyt prowadziły kręte schody. Silarus nawet nie wspinął się, ani nie schodził w dół, tylko myślał o tym, że powinien się ruszyć, wyobrażała sobie, co się wtedy stanie, a schody już zaczynały się kręcić, tak samo jak niebo i sufit, i był na szczycie wieży, a potem znów na jej dole, i schody wirowały, a przez rozmazane plamy czasem przenikały twarze, częściej dłonie, kufle i fajki, a

potem już tylko sufit, żadnych schodów, tylko sufit i wyrywanie, i wiercenie w nosie i dziąsłach.

Aż poczuł, że się topi i chwycił za twarz palącą jak dotyk lodu na nagiej skórze i zobaczył swoje kolana, trawę, ciężki materiał. Uświadomił sobie, że jest na dworze, otrzeźwiały, przemoczony do suchej nitki i powalony na kolana.

Uniósł głowę i zobaczył piękną twarz Ceadmille, na której nie było nawet cienia uśmiechu.

- Jeszcze? – wycedziła.

Strażnik z ośmiornicą na piersiach uniósł wiadro pełne wody.

- Nie – wykrztusił Silarus. – Już nie trzeba.

- Wybornie. Zostawcie nas samych.

Wszyscy z ośmiornicami na zbrojach wbiegli ochoczo do rozwrzeszczonej karczmy.

Silarus nie patrzył na Cedamille, ale czuł, że ona patrzy na niego jak na robaka.

- Król szlachtuje swojego lennika na miejskim rynku, a ty celebруjesz.

Silarus czuł się jak robak.

- Już ogłoszono żałobę?

- Nie drwij z tego. Ludzie już mówią o tym jak o masakrze.

- Bidulka – Silarus wstał, ledwo będąc w stanie się wyprostować, i zatoczył się do beczki. Zanurzył w niej ręce, by przemyć twarz. - Zginęła jakaś trzydziestka mniej znaczących ludzi za mnie znaczące zbrodnie. Ale ty przejmujesz się gwałcicielem, bo był on również lennikiem twojego męża, prawda?

Silarus uświadomił sobie, że poza rozszerzonymi spodniami, nie ma na sobie nic. Rozejrzał się z nadzieją i odnalazł płaszcz Ceadmille, który ta już trzymała w dwóch palcach przed jego nosem, ostentacyjnie zasłaniając własne oczy. Silarus narzucił na siebie śliwkową tkaninę i zawiązał rozporek.

- Został przeprowadzony proces, by udowodnić mu ten gwałt? – Ceadmille położyła dlonie na biodrach.

- Według króla, owszem.

- A według wszystkich innych nie. Porzuć ten cynizm chociaż dla Kaia, który jako jedyny miał odwagę...

- Śleczęalem przy łóżku Kaia przez kilka ostatnich dni.

- I myślisz, że mu się polepszyło?

- I myślę, że ja na jego miejscu nie miałbym ochoty nikogo widzieć.

- Więc to są twoje jedyne wybory? Albo ślecznenie przy jego łóżku albo upadlanie się w jakiejś podrzędnej karczmie?

Silarus spojrzał wreszcie prosto w jej oczy, zdobywając się na tak głęboką pogardę, jaką słyszał w jej głosie. Ceadmille nie owdróciła wzroku.

- Czego ty ode mnie chcesz, co? Po co przyjechałaś do tak niegodziwego przybytku?

- Po pomoc.

- Po pomoc? Może mam otruć Myrona? Może wymyślić szalenie inspirującą przemowę, dzięki której ten gnój abdykuje? A może interweniować u ojca, żeby jego wojsko wypowiedziało posłuszeństwo? No, która opcja zapewni ci najlepszą rozrywkę?!

Ceadmille zbladła, a Silarus poczerwieniał.

- Żadna z powyższych – powiedziała. – Ale widzę, że przemyślałeś wiele interesujących wariantów.

- Zapomnij, że o czymkolwiek wspominałem – mruknął, próbując sięgnąć pod mundur po piersiówkę, zanim przypomniał sobie, że nie jest w niego ubrany.

- Zapomnę, bo wiem, że nie jesteś sobą – westchnęła Ceadmille. – Rozpoznaję symptomy. Trian po powrocie z waszej leśnej wyprawy najpierw się chełpił, potem milczał, potem upijał, a potem znów milczał.

Silarus zacisnął zęby.

- Cieszy mnie, że ja i lyrr Agver jesteśmy tak podobni. Łatwiej ci było nas sobie wymieniać.

- A ty wciąż jak dziecko. Chciałeś mnie porwać do jakiegoś chlewu i...

- Nie chcę o tym rozmawiać, dobra? Powiedz, po co tu przylazłaś i idź sobie.

- Przylazłam tu, bo chcę, żebyś porozmawiał z Trianem.

Zachcianka była tak bezczelna, że Silarus zapowietrzył się z oburzenia jak stara matrona widząca swą bratanicę podlewającą ogrodowe kwiaty bez mikaonu na twarzy. Potrzasnął jednak głową, zanim zaczął na temat tej bezczelności perorować.

- Nie. Żegnam.

- On ci nic przecież nie zrobił – wyjaśniła powoli Ceadmille. - A odkąd wrócił z wyprawy, nie jest taki sam. Ma koszmary i napady szału, i płaczu, i częściej siedzi w kaplicy albo na cmentarzu z trupami, znacznie rzadziej z żywymi. Wiem, że prześladują go ludzie, których Myron kazał mu zabić, i dlatego usnuliśmy ten plan o wyjeździe do Somnargeru, ale to ciągnie się już zbyt długo, i...

- Ceadmille, nic mnie to nie obchodzi. Niech sobie gada o swoich uczuciach i planach z tobą albo z niainką, albo nawet z tymi trupami. Byle nie ze mną.

- Kiedy ty wiesz, co on czuje. Byłeś dzieckiem, kiedy musiałeś zabijać w Zlewisku, na pewno...

- Przestań. Jak sama się domyślasz, przywoływanie tych wspomnień nie wzbudza we mnie nic, poza chęcią upicia się.

- Proszę cię tylko, Silarus, o pomoc. On nie jest w stanie wyjść z domu, a co dopiero popłynąć do Somnargeru. Myślisz, że jeśli on będzie nieszczęśliwy, to ja i ty będziemy szczęśliwi? Jak to według ciebie działa?

- Mam gdzieś jego i twoje szczęście.

Ceadmille zagryzła wargę, zanim wyszeptała:

- Myślałam, że zamierzasz się we mnie odkochać.

- Już dawno się odkochałem.

- Gdyby tak było, nie upijałbyś się. Nie mściłbyś się na Trianie, który żadnej twojej krzywdzie nie jest winien.

- Nie masz pojęcia, jak bym się zachował.

- Wiesz, że każesz mnie za nieodwzajemnienie twojego uczucia. Strach pomyśleć, jak byś mnie ukarał, gdybym była twoją żoną.

Jej okrutny szept łupał echem w i tak już rozhuczanej czaszce Silarusa. Zacisnął zęby, przetarł powieki i wziął głęboki wdech.

- A skąd pomysł, że ta rozmowa cokolwiek Trianowi da? – warknął.

- Jeśli nic nie da, to trudno – odparła Ceadmille. – Chcę wiedzieć, że spróbowałam wszystkiego.

Silarus westchnął ponownie.

- Prowadź.

- Nie dzisiaj, kretynie! Najpierw wyśpij się, umyj i wytrzeźwiej!

Silarus ruszył posłusznie w kierunku karczmy.

- A ty dokąd?

- No wyspać się. Na dobry początek.

Ceadmille mierzyła pogardliwym wzrokiem przybytek, w którym ktoś właśnie zaintonował wyjątkowo wulgarną piosenkę o lyrre Uporrze i jego odciętej głowie.

- Nie możesz tego zrobić na zamku? – wycedziła.

- Już nie mieszkam na zamku.

- Dlaczego?

Silarus może by nawet odpowiedział, gdyby mu się chciało. Ponieważ mu się nie chciało, rozłożył tylko ręce.

- Mój płaszcz – przypomniała Ceadmille.

- A, tak.

- I powiedz moim ludziom, żeby do mnie wrócili.

Silarus zrobił to, prześlizgując się prędko do swojego pokoju, by nikt nie zauważył jego żałosnego, wybrakowanego stroju. W środku wypił właściwie cały dzban wody jednym haustem, a potem padł na łóżko i, zanim zdążył o czymkolwiek pomyśleć, szczęśliwie zasnął.

\*

Cerro przysięgła sobie, że nie tknie tego specyfiku, który dała jej Chevita. Pod koniec podróży czuła się jednak tak źle, że musiała całkiem rozsznurować gorset, by choć trochę zmniejszyć nacisk na piersi, w których, miała wrażenie, nagle wyrosły ciężkie okrągłe odważniki, które rozpychały się, gniotły i bolały. Kiedy zwymiotowała za okno powozu, napiła się wreszcie naparu, który smakował zaskakująco dobrze, właściwie nie do odróżnienia od niektórych herbatek Ceadmille. Bóle i nudności ustąpiły momentalnie, jakby w jej ciało wstąpiło nowe, zdrowe życie, i wypiła wszystko do ostatniej kropli.

Kiedy wkroczyła do zamku, skrzynia weszła tuż za nią.

- Do najgłębszego lochu – poleciła. – I rozpakować. Tylko ostrożnie.

Zbrojni odbiegli rytmicznie, a ona wspierała się po schodach, by jak najprędzej znaleźć się w sypialni. W pewnym momencie obejrzała się, tknięta przeczuciem, i przez okno wychodzące na dziedziniec zobaczyła kilka ubranych na biało kobiet. Być może się myliła, a być może były wśród nich Meglyne i Mnemosyne.

Wbiegła po stopniach jeszcze szybciej i otworzyła drzwi sypialni. Kai był tam, żywy, na własnych nogach, ubrany bardziej niż zwykle. Rozpiniał akurat śnieżnobiałą koszulę, kiedy uśmiechnął się lekko, widząc ją z powrotem w zamku.

- Kto umarł? – spytała od razu, zanim zdążył się przywitać.

Na łóżku leżała aksamitna biała szarfa.

- Lyrr Uporr.

Cerro zmarszczyła brwi.

- Był chory?

- Nie... To długa historia.

- Nie było mnie niewiele ponad cztery tygodnie.

- Właśnie – przeszedł w konspiracyjny szept. – Zdziałałaś coś?

- Tak – przyznała po pełnej podejrzeń pauzie. – Chodź za mną.

## ROZDZIAŁ XIV

W jednej z najgębiej osadzonych cel zamkowego więzienia leżał zwinięty w kłębek brudny mężczyzna z budzącymi litość i odrazę bliznami biegnącymi wzdłuż rąk i nóg. Był on obecnie jedynym więźniem w całym Modrym Oku – czas przetrzymywania tu wrogów politycznych lub wyjątkowo groźnych przestępcołów dawno już minął.

- Kto to? – spytał Kai.

- Człowiek, który zamordował Ines Temidan.

Wzrok Kaia wyostrzył się jak u jastrzębia, który dostrzegł obiecującą zdobycz.

- Człowiek Nieba?

- Owszem.

- Skąd go wytrzasnęłaś?

- Od Iglota Temidana.

Kai rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Tak, tak, nie dziw się. Podejrzewam, że generał nie chciał już nigdy na oczy widzieć ani swojego brata, ani tego tutaj, więc dlaczego miałby nie wsadzić ich do jednej lepianki?

- I co? Igłot tak po prostu go wypuścił?

- Nie tak po prostu. Jego wzrost razy pięć w złocie i „brak nerwów związanych z utrzymywaniem tajemnicy przed bratem”.

- Czyli wygada się Yazorowi, kiedy ten tylko zapyta, a my będziemy mieć poważny problem?

- Nie wiem. Być może. Jeśli tak, to jest to problem na później. Móglbyś przestać przepypywać mnie, a zacząć więźnia?

Kai posłusznie skierował uwagę na leżącego wśród brudnych szmat starca.

- Rozumiesz naszą mowę? – rozpoczął.

- Rozumie, rozmawiałam…

- Ćsss. Przesłuchuję więźnia.

Szkliste oko starca otworzyło się szeroko. I zamknęło z powrotem.

Kai powrócił wzrokiem do Cerro.

- Może zostawisz nas samych?

- Żebyś zataił przede mną jeszcze więcej informacji o nadciągającej zagładzie? Nie.

Kai nie zamierzał się z nią kłócić.

- No więc jak cię zwał, Człowieku Nieba?

- Więźniem – odpowiedział mag z wyrwanymi stygmatami.

Jego głos był niespodziewanie przyjemny dla ucha. Cerro prychnęła ozięble.

- Chodzi mu o twoje imię – wyjaśniła. - Którego podobno nie pamiętasz, prawda?

- Nie pamiętam, piękna pani.

- I czy to ty zabiłeś lyrrę Ines, pewnie też nie pamiętasz?

- Nie ja ją zabiłem, ale jej młodszy syn, piękna pani.

- Tak, tak, rzeczywiście. Opowiedz teraz wszystko, co wiesz o Białym Bogu.

- O Białym...? – zająknął się Kai.

Na ustach Cerro prawie zagościł triumfalny uśmiech.

- Tak. Reon to Biały Bóg, a nie Szary. To znaczy, że Yazor...

- Cerro – przerwała jej Kai. – Możesz mi o tym opowiedzieć gdzieś indziej. Na razie zostawmy maga w spokoju. Niech coś zje i niech zbada go Chevita. Potem go przesłucham.

Cerro zmrużyła oczy z podejrzliwością.

- Jeśli zrobisz to bez mnie...

- Nie zrobię. Przysięgam – Kai odwrócił się do więźnia. – Odpocznij.

Więzień zaśmiał się słabo i ochrykle. Kai i Cerro ruszyli do wyjścia, ignorując śledzące ich echo upiornego rechotu.

Kiedy znaleźli się w rogu zamkowego holu pełnego maleńkich grupek ludzi w bieli, Kai się zatrzymał. Cerro instynktownie zrobiła to samo.

- Jak się czujesz? – zapytał szepcą.

- Ja? Dobrze – odpowiedziała, zdziwiona. Wtedy sobie przypomniała. – Aha. Pytasz mojego brzucha.

- Gdybym pytał jego, to bym się schylił.

Jego wzrok błądził po ścianach i podłodze. Jego ręce były skrzyżowane na piersi. Cerro nie wiedziała, że był z lyrrem Uporem tak blisko.

- A więc czuję się dobrze – powtórzyła. – A ty?

- Ja? Ja też – odparł niedbale. – Czy Yazor wie już o twoim brzuchu?

- Chyba tak. Wcisnął we mnie wino.

- A plan z listem zadziałał?

- Zadziałał. To Melvourne zaprowadził mnie do Iglota. Nie będzie szczęśliwy, kiedy odwiedzi stryja i dowie się, że porwałam dowód na bestialstwo jego tatusia. Ale wiedziałam za mało, żeby go przesłuchać.

- Rozumiem i dziękuję – z każdym słowem cichł coraz bardziej. - Zrobiłaś znacznie więcej niż śmiałem mieć nadzieję. Nie sądziłem nawet, że mag jeszcze żyje...

- Dlaczego szepczesz? Dlaczego lyrr Uporr umarł? Czy nie był dość młody? Dlaczego jest tutaj tak dziwnie?

Na dziedzińcu wybuchło poruszenie. Wychylili się zza rogu, by zobaczyć Myrona w białej szarfie, w otoczeniu posepnej, lecz uzbrojonej po zęby straży przybocznej. Składał właśnie uroczyste kondolencje, kłaniając się głęboko przed Ismeną i Malią Uporr.

- Opowiem ci w bibliotece – szepnął w ucho Cerro Kai. – Chodźmy stąd.

\*

Trian dziabnął w węgle, by tchnąć nieco życia w wypłowiałe płomienie. Silarus tasował już dawno przełożone karty sztywnymi z niezręczności palcami.

Wreszcie Trian odłożył pogrzebacz i spojrzał na Silarusa swym zwykłym, głupkowatym wzrokiem. Wszystko było w nim zwykłe i głupkowe, tak jak zawsze.

Silarus zaczął rozdawać karty.

- W co będziemy grać? – Głos Ceadmille był przesycony sztucznym podekscytowaniem.

- W ucho – odpowiedział Silarus.

- Nie, nie grajmy w ucho – zaprotestował Trian. – W co gracie z Kiem?

Teraz to spojrzenie Silarusa musiało być nieco tępę.

- Z Kiem?

- Na wieczorkach karcianych. Słyszałem, że macie je prawie codziennie.

- Ja akurat w nich nie uczestniczę. Rzadko bywam teraz na zamku.

- Ach... Aha. A wiesz, z kim gra Kai?

- Z kimkolwiek, kto się nawinie...

- A kiedy będą grać następnym razem?

- Nie wiem, nie interesowałem się...

- Kai ma teraz na pewno dużo zajęć w związku ze stanem Cerro, słońce – wtrąciła miękko Ceadmille. – Zakręć się w pobliżu po zborze i na pewno dostaniesz zaproszenie.

Spojrzała znacząco na Silarusa.

- O tak – mruknął. – Przymuję tam każdego.

Trian zmarszczył brwi, a Meglyne spojrzała ostro na pułkownika, jakby ten jawnie obraził jej męża.

- Na przykład Madrigale'a – ciągnął Silarus, reflektując się, że miał być dla Triana wsparciem. – Jest poetą. Pracuje teraz nad tomikiem własnych snów. Kai opowiadał mi o niektórych.

Trian nie wyglądał na zbyt zainteresowanego. Ceadmille wpatrywała się w niego, zmartwiona i urzeczona. Jakby jej na nim zależało.

- Niektóre są całkiem straszne – brnął Silarus, wcześnie nie patrząc na Triana. – Jak on na tym zarabia, ja też bym mógł. Opisywałbym swoje koszmary. Podobałaby ci się taka praca, Trian?

Trian chwycił pogrzebacz i wrócił do ognia.

- Chyba nie – powiedział. – Wolę walczyć niż pisać.

- Ale gdybyś nie umiał walczyć?

Syn harona tylko zaśmiał się chełpliwie.

- Nie potrafię sobie wyobrazić takiego siebie.

- Cóż... Kiedyś miałem koszmary, z którymi nie potrafiłem sobie poradzić. Może byłoby mi lepiej, gdybym je opisał. Albo z kimś o nich porozmawiał.

- Jak miałeś pięć lat?

- Nie. Jak musiałem wydawać wyroki na ludzi w Zlewisku. Wieszać ich własnoręcznie. Ucinać głowy.

Trian jakby skurczył się w sobie. Jego ozdobiony sowim pierzem kubrak przypominał teraz garb.

- Ale minęły, prawda?

- Tak.

- Już cię nie nawiedzają?

- Nie.

Trian rozchmurzył się jak za dotknięciem czarodziejskiej róźdżki i zabrał się za mieszanie kart.

- No, to gramy w to ucho!

Kiedy Silarus szedł przez kamienne korytarze rezydencji Agverów, był zirytowany. Schodząc po schodach, był rozdrażniony. Mijając czuwających strażników, był wściekły. Kiedy był w głównym korytarzu prowadzącym do wrót wejściowych, miał ochotę rozszarpać Triana na strzępy.

Co za kretyn! Co za słabeusz! I on ma być Haronem Mądrości?! I on ma być królem Somnargeru?! I on ma być mężem Ceadmille?! Nigdy, przenigdy! Silarus coś zrobi, jeszcze

nie wie co, ale coś zrobi, żeby nie pozwolić mu mieć i tych tytułów, i tych przygód, i tego spojrzenia, które powinno... powinno spoczywać na nim...

- Silar...

Jego stopy zatrzymały się, zanim jego myśl zdołała wydać im rozkaz. Ceadmille stała w progu jednej z tuzinów komnat, bawiąc się koronką oplatającą jej szyję.

- Pułkowniku, mogę na słówko?

Silarus przeszedł obok milczących żołnierzy sztywnymi, pełnymi rezerwy krokami. Komnata, w której się znalazł, była kolejną jadalnią wypchaną sprzętem do jedzenia nie potrzebnymi. Ceadmille stanęła w jej rogu, nie komentując faktu, że Silarus ośmielił się zamknąć drzwi.

- Dziękuję – wyszeptała. – Wiem, że poprosiłam cię o więcej niż miałam prawo po...

- Ależ skąd – oznał mi donośnie. - Temat koszmarów już dawno przestał być dla mnie delikatnym.

- Ach, no tak... No tak...

Spod klosza jej błękitnej sukni dobiegało stukanie nerwowej podeszwy.

- Zabrzmi to głupio, jeśli cię teraz przeproszę, prawda?

- Za co?

- Za to, co wtedy powiedziałam...

- Nie masz za co mnie przepraszać. Powiedziałaś, co czułaś.

- No tak. Powiedziałam. A mimo to masz do mnie pretensje.

- Nie mam.

- Więc dlaczego mnie unikasz? Dlaczego się do mnie nie odzywasz? Nie jesteś nawet w stanie na mnie spojrzeć.

Silarus prawie usiadł na pozłacanym kredensie i, na dowód swojej siły, spojrzał prosto w oczy Ceadmille, która z każdym słowem cichła coraz bardziej, aż, żeby było słyszać „spojrzenie”, musiała zbliżyć się do niego na wyciągnięcie ramion.

- Tamtego dnia – wyszeptał – pomyliłem się. Co do wielu rzeczy. I od tamtej pory głupio mi, kiedy cię widzę.

- Rozumiem. Ale czy chcesz marnować życie z powodu czucia się głupio?

- A czy je marnuję?

- A czy nie marnujesz?

- A więc to kwestia sporna. Pozwól jednak, że decyzje na temat swojego życia podejmować będę ja...

- A kto mówił cokolwiek o twoim życiu? Ja mówię o swoim.

Maska chłodu na twarzy Silarusa na moment ustąpiła miejsca zdumieniu.

- Kiedy cię nie widzę – Ceadmille cichła z każdym krokiem. – Kiedy z tobą nie rozmawiam. Czuję, jak gniye resztka mojego życia.

Ukrop w piersi Silarusa, tak dawno ugaszony, rozgorzał teraz z taką siłą, że momentalnie stał się bolesną, euforyczną pożogą. Ceadmille była teraz tak blisko, że wystarczyło się jedynie nachylić, nie zadawać żadnych pytań, nie drążyć, nie mówić już ani słowa...

- Wciąż jestem w tobie zakochany – zaszepnął, zanim jego myśl powstrzymała język.

Ceadmille uśmiechnęła się. Silarus czuł jej oddech na swoich ustach.

- Wiem – odszeptała, wspinając się na palce, przyciągając go za podbródek i całując.

Byli uważni i cisi, starając się nawet nie łapać oddechu, nasłuchując kroków i słów, które mogły paść tuż za drzwiami. Kiedy Silarus w końcu zaczepnął orzeźwiającego powietrza, słodkie spojrzenie Ceadmille spoczywało na tym, na kim powinno.

\*

Jedyny więzień w lochach Modrego Oka spał snem spokojnym, lecz pełnym czujności. Słyszał miękkie kroki najpierw schodzące po schodach, potem stąpające wzduż kamiennego korytarza. Zatrzymały się przy jego celi. Więzień słyszał to wszystko jakby przez sen, lecz obudził się natychmiast, kiedy tylko miska z jedzeniem brzęknęła o podłogę.

- Proszę. Ciepły posiłek – powiedział głos. W jego języku. Z jego akcentem.

Więzień podniósł się i odwrócił. Stała przed nim służąca w skromnej sukience, odsunięta na bezpieczny dystans.

Więzień podpełzł do krat.

- Biały Bóg dotarł już tak daleko? – wychrypiał.

- Owszem – odpowiedziała dziewczyna. – Również dzięki tobie.

- Umrę tutaj. Nie otrzymam nagrody.

- Nie mogę zrobić dla ciebie wiele – Dziewczyna uklękła, przyglądając mu się ze współczuciem. – Jednak zrobię wszystko, co mogę, żeby ci pomóc. Ale ty musisz pomóc mi. Słyszałam plotki o tym, co zrobiłeś i muszę wiedzieć więcej.

- Plotki o tym, że zabiłem Ines Temidan?

- Tak. Czy ktoś kazał ci to zrobić?

- Moja historia to mój sekret. Dlaczego mam się nim z tobą dzielić?

- Ponieważ jestem tuż pod nosem haronów i króla, a ty jesteś okaleczony i nigdy nie przekażesz tych sekretów dalej. Proszę, podziel się nimi ze mną i pozwól mi je wykorzystać, żebym mogła kontynuować twoją pracę.

Więzień spuścił wzrok, pokonany.

- Powiedz mi, jak masz, w takim razie, na imię – wyszeptał.

- Meora.

- Jak masz naprawdę na imię.

Służąca przymknęła powieki, jakby wyznawała mu wielką tajemnicę.

- Tulivne – wyszeptała.

Łzy napłynęły do oczu więźnia. Zaciągnął brudne palce na prętach celi.

- Tyle lat minęło, odkąd słyszałem tę mowę – wychlipał. - Nie pamiętam własnego imienia, nie pamiętam własnego dzieciństwa... Tylko ten przeklęty incydent, tylko tamtą przeklętą piwnicę!

- Proszę cię, nie mamy zbyt wiele czasu. Musisz jeszcze ten jeden, ostatni raz przeżyć te wspomnienia i opowiedzieć mi o nich. Co robiłeś w Rhagos? Jak się ukrywałeś?

- Byłem aptekarzem dla Ludzi Kamienia, apfrem dla Akmneruuli. Mieszkałem tam wiele lat, nie pamiętam, ile. Pamiętam żonę ze skały. Chciała mieć dziecko, ale jak można rodzić, jeśli nie ma skąd wziąć smoczego zęba? Urodziła je, a ja nie mogłem patrzeć na ich powolną śmierć.

- Jakie było twoje zadanie w Rhagos?

- Żyć. Byli tam ważniejsi ode mnie. Ja miałem tylko żyć. Jednego dnia przyszła do mnie służąca z zamku ze swoimi paniami. Wyznała, kim jestem.

- To była Mitra?

- Tak nazywali Lirner.

- Kim były jej panie?

- Jedna była tą, która umarła. Nie wiem, kim były te obok niej.

- A pamiętasz, jak wyglądały?

- Jedna miała wiewiórcze włosy i węże z metalu we włosach. Druga była wysoka...

Miała warkocz, futro... Nie pamiętam więcej.

Minął długi czas, odkąd jego słuchaczka ostatni raz zamrugała. Jej brązowe oczy były otwarte szerzej niż ślepia czujnej sowy.

- Czego od ciebie chciały? – zapytała.

- Lirner wyznała, że jestem apfrem. Kazała zrobić rytuał na sobie i żonie generała. Ale panie najpierw chciały dowodu. Odjechały, a próbą zajęła się Ines Temidan. Zaprowadzono

mnie do zamku, kazano znaleźć dobry obiekt do próby. Lirner zawiązała czerwoną nitkę na nadgarstku. Zobaczyłem służącą z taką samą. Wybrałem ją i próba zadziałała.

- Ona też była w ukryciu?
- Nie wiem. Nigdy z nią nie rozmawiałem.
- Co się z nią stało?
- Umarła wtedy, kiedy żona generała.
- A z Lirner?
- Nie wiem. Nie siedziała obok mnie w celi.
- Nie została zabita?
- Nie wiem. Nie wiem, Tulivne.
- Rozkazano ci zabić generałową?
- Ja miałem tylko żyć. Ostrzegałem ją. Mówiłem, że ząb trzeba połknąć po urodzeniu.
- I naprawdę nie byłeś w stanie jej ożywić?

Mag nie odpowiadał, patrząc na dziewczynę z niemym błaganiem o łaskę.

- I po tym odesłano cię do Iglota Temidana?
- Nie. Król Kamienia przyjechał mnie zobaczyć.
- Król Kamienia? Eneis Meaveleth?
- Tak. Generał zawiódł mnie do innego miasta. Król i ta pani z warkoczem patrzyli na mnie, zadawali pytania. Generał mówił, że jestem zamachowcem, że chciałem zabić Króla Kamienia. Nie mówił mu, że jestem Akmneruuli. Tylko generał i pani wiedzieli. Król kiwał głową. Pani powiedziała, żeby wyrwać mi znamiona. Król się zgodził. Zrobił to generał i ten szpetny człowiek, pan piwnicy, w której żyłem potem.

- Ktoś od tamtej pory cię w niej widział?
- Tylko matkobójca i piękna pani, która mnie tu przywiozła.
- Dlaczego ludzie tutaj myślą, że Biały Bóg to Szary Bóg?
- Podobno Reon przedstawił się jako bóg w śnie generała. Pewnie zażartował. Oni są straszliwie zaaferowani tym, że nie wiedzą, jakiego był koloru.

Dziewczyna spuściła wzrok.

- Czy jest coś jeszcze? – wyszeptała.
- Umrę tutaj, prawda?
- Nie zabiją cię. Jesteś zbyt cenny.
- Więc umrę tutaj ze... starości.

Służąca zignorowała to słuszne stwierdzenie.

- Jest coś, co mogę dla ciebie zrobić?

- Uwolnić mnie.

- Tego nie jestem w stanie. Może coś ci ugotować, albo kupić, albo...

- Chcę się wykapać.

- Wykapać? Dobrze. To jestem w stanie ci zapewnić.

Podniosła się, otrzepując kolana z kurzu.

- Będę kontynuować twoje dzieło. Biały Bóg jest już blisko.

Mag westchnął ciężko i przeciągle, jakby dopadło go straszliwe wycieczzenie.

- Nie wystarczająco. Żegnaj, Meora.

Meglyne odeszła od celi statecznym, powolnym krokiem, lecz kiedy tylko znalazła się na piętro wyżej, pognała, ile sił w nogach, do biblioteki. Kai już tam czekał, nachylony nad biurkiem.

- Zrobione – Meglyne wyszczerzyła zęby.

Kai wyprostował się z szeroko otwartymi oczami.

- Nabrał się?

- Chyba tak. Dużo mi powiedział. W zamian chce się wykapać.

- No to siadaj i opowiadaj.

- Oczywiście! Jeszcze tylko oddałę się na chwilę, no wiesz... do toalety?

- Co? A, tak, leć.

Meglyne wpląsała do kobiecej łazienki i podeszła do olbrzymiej rzeźby pięknej syreny stojącej pośrodku pomieszczenia. Pochyliła się i wystukała wzór na łuskach ogona, a syrena uchyliła go na tyle, że oczom Meglyne ukazał się okrągły otwór – akurat taki, żeby była w stanie się przez niego przecisnąć. Zrobiła to i spadła na twardą podłogę w sypialni Chevity. Ta akurat przygotowywała jakiś eliksir pachnący jak ciężkie perfumy.

- I co? – spytała.

- Już po wszystkim. Jeszcze nic nie powiedziałam Kaiowi.

- Spisałaś się. A teraz wracaj do niego.

Meglyne przystawiła stołek, by móc wdrapać się z powrotem do łazienki. Gramoliła się, mając nogami, i krzyknęła, zaskoczona, kiedy Chevita chwyciła za jedną nogę stołka i uniosła go wraz z Meglyne na wysokość sufitu.

- Sprężaj się – poleciła. – Też nie mogę doczekać się opowieści.

Meglyne dotarła do łazienki i zamknęła za sobą przejście.

\*

Ten zbór był zupełnie inny niż wszystkie, w których Kai uczestniczył za swojej kadencji. Nie było nudy, sprzeczek, wniosków, ani z jego, ani z niczyjej innej strony. Na rozkaz króla żaden z haronów nie pominął tego zboru – nawet Kastirron i Maginot pojawiły się we własnej osobie, mimo że dla nich podróż do Modrego Oka stanowiła kilkutygodniową, niewygodną przeprawę. Wszyscy milczeli ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, mało przytomnie słuchając Iptisa czytającego pozdrowienia i raporty z różnych zakątków Świętej Unii. Nawet wiadomość o tym, że odległe elfie królestwo Hamari oficjalnie przestało być diarchią, weszło we władanie kultysty i pochłonęło królestwo Ramponu, stając się trzecim największym krajem na świecie, nie wywołała żadnych znaczących reakcji.

Kai rozumiał swoje zachowanie, i zachowanie innych haronów też. Nie mieli oni być może pękniętej aż do kości skóry na plecach, ale z pewnością potrafili wyobrazić sobie pełne detali opowieści świadków Masakry na Krwawym Rynku, jak incydent już obwołała gawiedź. Słyszeli o śmierci lyrra Uporra, słyszeli o biczuaniu Harona Sprawiedliwości, i choć z pewnością wielu z nich odczuwało w związku z tymi wydarzeniami obojętność, może nawet satysfakcję, musieli przecież obawiać się, że i oni nie są już nietykalni.

Czego Kai nie rozumiał, to zachowania Myrona. Król nie odzywał się. Nie wyglądał ani na dumnego, ani na rozwścieczonego. Wyglądał, szczerze mówiąc, na wygódzonego. Miał zapadnięte policzki i bladą skórę zwisającą tak, że nie sposób było nie myśleć o kształcie królewskiej czaszki. Kai zastanawiał się, czy Cerro ma odwagę dzisiaj podsłuchiwać, czy i ona zachowuje się nietypowo. Mimo zasłużonej nienawiści, jaką do niego żywiała, nienawiść żywiona do Myrona musiała być intensywniejsza – kiedy Kai opowiedział jej o tym, co wydarzyło się w Karmevare, dyszała z wściekłości. Kiedy pokazał jej rany, wpadła w taką furię, że gotowa była pobiec go zasztyletować. Kai czuł wtedy niemalże ulgę. I beznadziejną miłość.

W każdym razie, na lożach jej nie było, pokój za freskiem był już pewnie zamurowany, a pod podłogą nie sposób było jej wykryć, nawet jeśli tam była.

- Dziękuję ci, Iptis – rzekł Myron, kiedy protokolant skończył. – Teraz ja muszę powiedzieć parę słów.

Blady jak ściana gryzpiórek usiadł za swoim maleńkim biurkiem. Maleńkim, w porównaniu z ogromną harońską ławą. Kai czuł się tak jak Iptis wyglądał.

- Ostatnio – podjął Myron – uświadomiłem sobie, że choć jestem królem już dziewięć miesięcy, nie jestem traktowany jak król. Roześlioło mnie to. Bardzo. Potem jednak ochlonąłem i uświadomiłem sobie, że nie dziwota, że nie jestem tak traktowany, ponieważ wcale nie zachowuję się jak król. Mój ojciec, niech Szary Człowiek pomoże mu w wędrówce,

tuż po objęciu tronu wsławił się zduszeniem w zarodku Buntu Namiestnika. Odkrył trzy nowe gwiazdy. Napisał co najmniej dwa podręczniki o astronomii, o których wiemy tylko dlatego, że wydał je pod swoim nazwiskiem. Dokonał eksploracji sześciu nowych lądów. Otworzył wiele przytułków dla najuboższych. Utrzymywał przyjazne stosunki z krajami zza Wielkiej Wody. Miał oko do talentów, jeśli chodzi o zdolności akademickie i militarne. To ciężkie brzemię do uniesienia dla jego syna, zwłaszcza, jeśli ten syn przypomni sobie o długiej linii swoich przodków, którzy dokonali rzeczy jeszcze chwalebniejszych. Byłem rad nieść to brzemię. Byłem odważny i gotowy.

Recytował, jakby czytał z kartki, choć żadnej w ręku nie miał.

- Ale cóż takiego zrobiłem, odkąd zostałem królem? Nic. Trwoniłem czas i pieniądze, nie dbając ani o mój lud, ani o moją ziemię, ani o moje imię. Przyszedł więc czas, abym zaczął zachowywać się jak król i abym dorównał moim przodkom. Chciałbym, drodzy słudzy mnie i Szarego Człowieka, abyście w każdy zbór przedstawiali trzy projekty reform. Każdy z was ma przyjeździć z wnioskiem, który, oczywiście, nie zawsze będzie akceptowany, ale nie może też być napisany tak, żebym zorientował się, że przyjechaliście z jakimś świątkiem dla odbębnięcia formalności. Jeśli nie jesteście w stanie przyjechać, ma się zjawić oddelegowany przez was zastępca, za którego słowa i czyny bierzecie pełną odpowiedzialność. Poczyniłem kroki, by stworzyć przypisane do mnie i do was komplety korespondencji synoskiej. Jak zapewne się domyślacie, będą one gotowe za około osiem lat. Pokryję koszty ich produkcji, ale musicie donieść mi o wszystkich kompletach, które wy posiadacie, a których zniszczenie mogę wasm rozkazać. Jeśli tego nie zrobicie, czeka was śmierć. Jeśli w waszych domach znajdą się komplety lub fragmenty kompletu, o których mi nie doniesiecie, czeka was śmierć. Każda wiadomość, która jest na tyle poufna, byście chcieli użyć tego rodzaju komunikacji, ma najpierw zostać skonsultowana ze mną. Inaczej czeka was śmierć.

Nikt nie odpowiedział, nie przytaknął, nie oburzył się. Kai pomyślał o małej fortunie, którą już zdążył wydać na marynatę magicznej mikstury, w której przez osiem lat powinien moczyć się shim, by złączyć go z jakimś wiernym szpiegiem, który do stosownego momentu na pewno objawi się jako ten, z którym Kai powinien spleść swoje dłonie i oczy. O małej fortunie, która pojedzie na marne.

- Chciałbym też, żeby trzy dziesiąte waszej pensji były przekazywane na wybraną przez was szlachetną inicjatywę. Mogą to być posiłki dla głodnych dzieci. Mogą to być zasiłki dla wdów. Cokolwiek, z czego nie będziecie czerpać korzyści finansowych. Poza tym, mam nadzieję, że wszyscy przeczytaliście *Kodeks Harona w służbie Świętej Unii*. Jeśli nie, zróbcie to niezwłocznie i radzę wiele ze znajdujących się tam porad zaimplementować w

swoim życiu. Przede wszystkim jednak, dzisiaj nakazuję wam ubierać się zgodnie z tamtejszymi wskazaniami. Chodzi mi o kolory peleryn, aby każdy wiedział, kim jesteście i że może się do was wrócić. W każdej ze stolic prowincji nabyłem również budynki, w których co najmniej raz w miesiącu każdy z was ma siedzieć od wschodu do zachodu słońca i słuchać swego ludu. Pomoże wam to zapewne w projektowaniu propozycji reform. Oprócz tego...

Zaczerpnął łapczywie oddech, jakby był bliski szlochu.

- Doszły mnie słuchy, że gawiedź, która gorąco poparła mój sąd w Święto Sztuk, od razu po nim okrzyknęła go Masakrą na Krwawym Rynku, Czerwonym Karmevare, Dniem Królewskiego Szaleństwa, Osądem Bata i Miecka i różnymi tego typu bezceństwami... Doszły mnie nawet słuchy, że niektórzy, których do gawiedzi trudno zaliczyć, powtarzają te oszczerstwa. Od dzisiaj karą za użycie którejkolwiek z tych szpetnych nazw jest pięćdziesiąt batów. Nieważne, czy wieśniak, czy lyrr. Rzekłem. Iptis, podaj pudełko.

Iptis wyciągnął zza biurka wysadzaną rubinami skrzynię i wdrapał się po schodkach za krzesłem Myrona, by mu ją wręczyć. Pismak wrócił na swoje miejsce, a Myron podniósł wieko i wyciągnął z niego sześcioczęściowy diadem, który nie wydawał się zrobiony z niczego innego poza rubinem. Myron włożył go na włosy, i gdyby Kai nie był tak zmrożony szokiem i złym przeczuciem, pewnie parsknąłby śmiechem.

- Magmowa Korona jest zbyt ciężka, by nosić ją na co dzień – wyjaśnił władca. – Od dzisiaj jest to oficjalne królewskie insygnium, które wagą ustępuje tylko i wyłącznie Magmowej Koronie. Rzekłem. Jakieś pytania?

Nikt nie śmiał o nic zapytać.

- Wyśmienicie.

Myron zatrzasnął wieko skrzyni, po którą Iptis natychmiast przybiegł. Następnie wyciągnął spod pulpitu plik dokumentów.

- Haronie Mądrości, twój budynek to dom lyrra Uporra, na pewno wiesz, który. Kupiłem go od wdowy po nim po okazyjnej cenie, ponieważ sama lyrra Uporr wychodzi za lyrra Rauttaga i wyjeżdża do Kantamaris. Haronie Sprawiedliwości, twój budynek znajduje się w mieście Orchidei, podobno jest nawiedzony, ale to tylko babskie bajanie, na ulicy Aksamitnej 10. Haronie Obowiązku, twój budynek znajduje się...

Kai ledwo słyszał resztę lokalizacji przez wściekłe dzwonienie w uszach. Czekał jednak cierpliwie, aż Myron się zamknie i pozwoli innym mówić. Nagle wszystko było Kaiowi jedno, ile batów dostanie, choć jego rany wciąż były w niektórych miejscach rozjastrzone.

- Jakieś pytania?

- Tak, Wasza Wysokość.

Wszystkie głowy zwróciły się w kierunku źródła słabego, przelękłego głosiku. Kai bardzo starał się nie uronić ani nuty sarkazmu.

- Proszę – Myron odłożył papiery i splótł palce. – Pytaj.

- Czy Wasza Wysokość zgadza się z *Kodeksem Harona w służbie Świętej Unii*?

- Z większością, oczywiście.

- Czy zgadza się Wasza Wysokość z zapisem o Modrym Oku będącym siedzibą haronów?

- Zgadzam się, dlatego zbory przeprowadzamy właśnie tutaj.

- Czy wobec tego mógłbym przyjmować swój lud w Modrym Oku?

- Nie. Modre Oko to siedziba haronów. Jak dla mnie, wszyscy możecie się tu wprowadzić. Ale wasz lud nie będzie przynosił swoich kos i wideł do miejsca, w którym biegają moje dzieci. Poza tym, tutejszy lud należy do Harona Mądrości, a nie do ciebie, Haronie Sprawiedliwości. Twój jest w Pavilonie.

- Wasza Wysokość, chciałbym móc poświęcić mojemu ludowi, którym są wszyscy wyznawcy Szarego Człowieka, więcej niż jeden dzień, a tak się składa, że mieszkam w siedzibie haronów, zgodnie z...

- To nie jest pytanie.

Kai zacisnął pięści skryte pod pulpitem, ale uważały, by jego gniew nie ujawnił się w jego twarzy. Zaciągnął wargi, jakby bliski płaczu.

- Czy mogę kupić budynek w Naucenemes i w nim przyjmować mój lud?

Myron opadł na oparcie swego zdobionego krzesła, jakby rozważając.

- Nie wiem, haronie – powiedział w końcu. – Musisz napisać w tej sprawie formalny wniosek. Masz przynajmniej jeden z głowy, jeśli chodzi o przyszły zbór. Rzekłem. Ktoś inny ma jakieś pytania?

Kai kipiał, a para buchała ze świstem z jego nosa, ucha i tego, co po drugim uchu pozostało.

- Ach, jeszcze jedno – Myron szukał, aż znalazł pożądany papier w pliku dokumentów. – Yazor Temidan upomina się o zwrot jakiegoś więźnia. Nie wiedziałem, że mam jakiegokolwiek więźnia, a kiedy już miałem rozpocząć dochodzenie, dowiedziałem się, że dryfuje on w balii w żeńskiej łaźni, głową w dół. Wydaje się, że nikt nie wie, skąd i jak on się wziął nie tylko w rzeczonej łaźni, ale i w lochach Modrego Oka. Oczywiście, mam swoje podejrzenia, jako że moja droga siostra wróciła ostatnio z odwiedzin u Yazora Temidana...

- Kazałem jej go przywieźć – powiedział Kai.

Wszyscy znów spojrzeli na niego, jeszcze szerzej otwartymi oczami.

- Dlaczego? – odparł Myron.

- To więzień z wyrwanymi stygmatami. Cerro doniosła mi o nim.

- Rozumiem, że podczas podziwiania wyników pałacowego remontu, egzaminowała też lochy?

- Poprosiłem ją o to. Więzień z wyrwanymi stygmatami wydawał się pewnym źródłem inkryminujących informacji na temat generała.

- I takich dostarczył?

- Niestety, jego szaleństwo było już zbyt daleko posunięte. Ale blizny na jego rękach i nogach mówiły same za siebie.

Myron przyglądał mu się uważnie i długo, zanim wrócił wzrokiem do listu.

- Pewnego dnia się pozabijacie – burknął. – Mam nadzieję, że na moich oczach.

Kai nie odpowiedział, a Myron zamknął obrady.

\*

Cerro zauważyła, oczywiście, że Kai nie bardzo przejął się śmiercią więźnia, co musiało oznaczać, że nie dość, że jest podlącym człowiekiem, to przesłuchała go bez jej obecności. W związku z tym do Pavilonu jechali, ostygając po zacieklej awanturze. Kai był szczególnie wściekły, że musi wracać do ojczystej prowincji, ale potem zmieniał zdanie, stwierdzając, że w sumie szczerliwie się zdarzyło, skoro i tak jego kolejnym tropem jest matka – więzień mówił o „kobiecie z warkoczem” i „kobiecie z wiewiórczymi włosami”. Jedna musiała być królową Hestią, druga haroneą Nurią. Matka Kaia wiedziała o Ludziach Nieba. Była jedyną żyjącą spośród trójki przyprowadzonej przez Mitrę-Lirner do apteki więźnia. Cały ten czas wiedziała. I milczała.

Lecz Kai nie miał żadnego planu ani podstępu na wyciągnięcie z niej informacji. Każdy potok myśli, strategii, przyczyn i skutków natrafiał na tamę w postaci faktu, że będzie musiał wejść z matką w interakcję. Napisać do niej list albo nawet spojrzeć prosto w jej twarz. Musiał wrócić do Pavilonu. Był tak wściekły, że nie mógł nawet wyglądać przez okno i przyglądać się równinom, po których biegał jako dziecko. Po prostu siedział, burmuszył się i czasem głaskał Mavok, która śliniła mu spodnie, chrapiąc.

Usłyszeli powitalne okrzyki i wyczuli różnicę w powierzchni, po której jechał powóz. Kai westchnął głęboko, wiedząc, że są w mieście. Rozprostował protezę teraz, by nie krzywić się z bólu na oczach ludzi, kiedy wysiądzie, ale napotkał gromiące spojrzenie Cerro, więc i

teraz zacisnął zęby. Miał sińce, pęcherze i przetarcia, ale i tak nosił nogę przez cały czas. Nie było mowy, żeby spał bez nogi. Nie było mowy, żeby budził się bez nogi.

Powóz zatrzymał się dokładnie na ulicy Aksamitnej 10, na której od zawsze stał porzucony w popłochu bank. Kai bawił się w nim kiedyś, biegając po zabitych deskami pomieszczeniach i wyskakując zza rogu na swoich przyjaciół, by, podsyceni legendami o nawiedzeniu, piszczały w przestrachu. Kiedy Kai podrósł, ojciec wyjaśnił mu, że bank w mieście Orchidei chciała założyć kobietą, która wpisała w dokumentach fałszywe dane, podając się za mężczyznę. Prace wykończeniowe miały ruszyć pełną parą, kiedy ojciec dowiedział się o jej kłamstwie i natychmiast cofnął pozwolenie, a kobieta, jako że mieszkała w tym czasie w Kyrmie, stała się „bólem głowy” Harona Przyjaźni.

Z powozu najpierw wyszła Cerro, potem jej psy, a dopiero potem Kai. Kiedy tylko postawił nogę na bruku, zaczął żałować, że nie wyjrzał wcześniej przez okno.

Herold odczytywał wszystkie ich tytuły, kiedy stanęli twarzą w twarz z komitem powitalnym, na którego czele pozowała Iver w wysokim koku i brokatowej sukni w kolorze cytryny. Była też w zaawansowanej ciąży. Krew zakrzepła w żyłach Kaia, kiedy spojrzał na jej rozjaśnioną uśmiechem i zroszoną łzami twarz piętnastolatki. Obok niej stał mężczyzna o ogorzałym obliczu, krzaczastej brodzie i wzroście olbrzyma, który mógł być tylko jej mężem, trzydziestoletnim Darionem Oakterem. Ramiona Dariona wydawały się ledwo mieścić w bufiastym fraku, a jego pierś prawie rozsadzała cytrynową koszulę. Wyglądał jak drwal wciśnięty w dworskie szaty.

Poklonili się przed nimi wraz z resztą dworu i służącymi, tamując ruch na drodze. Kai nie mógł oderwać wzroku od brzucha Iver.

- Wasza Miłość – odezwała się Davaden. Głos miał tak samo głęboki i przyjemny jak jego ojciec. – Haronie Sprawiedliwości. W imieniu haronei Nurii witamy w twojej siedzibie.

Budynek był dwupiętrowy, odnowiony i pomalowany w różne odcienie zieleni.

- Wasza Miłość – powiedziała Iver. – Kai...

Rzuciła się na jego szyję w momencie, w którym on miał ją do siebie przygarnąć. Wszyscy stali, czując się zapewne dość niezręcznie, kiedy Kai próbował się nie poryczeć, a Iver chlipała z nosem wciśniętym w jego ramię.

- Nie spodziewaliśmy się takiego powitania – Kai usłyszał próbującą dyplomacji Cerro.

- To jeszcze nic – żachnął się Darion. – Haronea zaprasza do siebie na obiad.

- Jest zdziwiona – Iver puściła Kaia i otarła łzy – że nie powiadomiliście jej o przyjeździe. Na szczęście Jego Wysokość o to zadbał i sypialnie są już gotowe.

- Nie zamierzaliśmy kłopotać haronei – mruknął Kai.

- Ale dyshonorem byłoby być w Pavilonie i jej nie odwiedzić – wraciła Cerro. – Udajmy się tam niezwłocznie.

Kai nie miał siły się sprzeciwiać. Tym bardziej, że pod presją mógł zawsze liczyć na przypływ inspiracji odnośnie załatwienia sprawy Mitry-Lirner. Powinien skonfrontować matkę z tym, co wie? Powinien zachować to w tajemnicy? Czy jest coś, co mógłby zrobić, by nie musieć na nią patrzeć?

Nic takiego nie wymyślił. Matka wyraźnie się zestarzała. Miała więcej zmarszczek, więcej makijażu, którym próbowała to zamaskować, więcej siwych włosów, które próbowała symetrycznie upinać. W ogóle nie patrzyła na Kaia. Nie siliła się też ani na podtrzymywanie energicznej rozmowy, ani na utrzymywanie pogodnego nastroju. Tę rolę przejęła widocznie Iver.

- Szczęśliwy przypadek, że jeszcze nie wyjechaliśmy z Pamięci – paplała, nie pozwalając nikomu pograżyć się we własnych rozmyślaniach nad jedzeniem. – Darion niedługo jedzie ze Sforą Sfinksa do Temarairu.

- W jakiej sprawie? – spytała uprzejmie Cerro.

- Zbliża się susza – odparł Darion – a wraz z nią lokalne wojny o wodę i jedzenie. Sfora Sfinksa jeździ tam co roku. To już taka tradycja. Przywozimy zapasy i pacyfikujemy bandytów.

- Szlachetnie – bąknęła Cerro.

- Ja, niestety, nie będę mogła im pomagać – powiedziała Iver, jakby wcale nie było jej z tego powodu przykro. – Zostanę w Ilfidromes aż do rozwiązania.

Iver nie była drobną dziewczyną, a jednak jej brzuch przerastał ją, przerastał jej wiek i jej nieletnie ciało, a jednocześnie był niczym przy menstrualnej posturze Dariona, który jej ten brzuch sprawił. Kai stracił resztki apetytu.

Kiedy skończyli, matka nawet nie odezwała się, kiedy zaproponował, że wraz z Cerro przespacerują się po zamku. Niestety, Darion i Iver natychmiast zaoferowali, że się przyłączą, i niezręcznie było ich zbywać, więc żazili po trzech piętrach, ogrodach, cmentarzu, podczas gdy Iver cały czas szczebiotała, próbując skłonić Kaia do wspominek na temat zabaw ich dzieciństwa. Ale Kai nawet żadnych nie mógł sobie przypomnieć. Myślał. Myślał gorączkowo. Trochę o plemieniu Vilon, które zostało wymordowane przez przodka jego żony, a o którego istnieniu nikt już nie pomnie. Ale przede wszystkim myślał o tym, jak zdobyć informacje o Mitrze.

Odezwał się w miarę przytomnie, by zaproponować spacer po lochach, na co wszyscy zareagowali ze zdziwieniem, ale i aprobatą. Tak jak Kai się spodziewał, cele były puste, zalazłe grzybem i wilgocią. Na dłużej zatrzymali się w komnacie tortur, w której rdzawe plamy w kątach musiały jeszcze pamiętać czasy, kiedy poprzedni Haroni Sprawiedliwości z już wymarłego rodu Zydelle rozciągali i nakluwali ciała pojmanych żołnierzy z rodu Koharów. Koharowie, oczywiście, również używali dostępnych tu narzędzi, ale ich waśnie dotyczyły przede wszystkim dłużników, którzy wypłacali się na sam widok żelaznej dziewczyny.

Darion i Iver przeglądali zawartość szafy pełnej przyrządów, których przeznaczenie kiedyś przyprawiłoby dziewczynę o mdłości, a nie o śmiech. Wyglądali, w każdym razie, jakby dobrze się dogadywali, a Cerro jakby bladła. Kai już miał zapytać ją o samopoczucie, kiedy od ścian lochów odbiło się coś jakby człapanie i podzwanianie. Iver i Darion przestali się śmiać, przylegając do siebie. Kai stanął za plecami Cerro, która tkwiła najbliżej przejścia. Dochodziły zza niego coraz bliższe dźwięki, i Kai gotów był przesunąć Cerro szarpnięciem, jeśli wynurzyłby się stamtąd krwiożerczy potwór.

Ale z ciemności wyłonił się bezzębny, szeroko uśmiechnięty klucznik.

- Szary Człowieku – Iver chwyciła się za piers, wzdychając z ulgą. – Przyprawiłeś nas o zawał serca, Koerze!

- A kogo się spodziewaliście? – zarechotał klucznik. – Ducha?

- Wcale bym się nie zdziwiła! To, doprawdy, upiorne miejsce.

- W takim stanie może lepiej nie narażać się na takie upiorności, co, przyszła odpowiedzialna haroneo? Tym bardziej, że jesteś w towarzystwie księżniczki – podszedł do Cerro i uklonił się z pięścią przy sercu. – Wasza Miłość, to zaszczyt znów cię spotkać.

- Znów? – zdziwiła się Cerro.

- Pewnie nie pamiętasz, Wasza Miłość, ale kiedy twoja rodzina przyjeżdżała w odwiedziny do harona Gaiusa, to ja pilnowałem, byś nie włamywała się do zbrojowni.

- Ach. Ach, tak...

- I witaj w domu, haronie Kaiu – klucznik uśmiechnął się i do Kaia. – Wieści o twoich dokonaniach docierają też tutaj i napełniają wszystkich dumą. Nawet haroneę Nurię, choć próbuje to dzielnie ukrywać. Twój ojciec nie mógłby liczyć na wybitniejszego następcę.

- To wiele dla mnie znaczy, kluczniku – Kai uśmiechnął się jak najserdeczniej i uścisnął dłoń starego człowieka, z którym ostatnio widział się, płacąc mu srebrną monetą za mimowolną pomoc w wyrzeczeniu się matki. – Wspaniale jest wrócić i widzieć ciebie wciąż na posterunku.

- A cóż jeszcze może robić niedołężny starzec, jeśli nie czuwać?
- Może jeszcze dzielić się swoimi naukami. Musiałeś widzieć tutaj wielu ciekawych więźniów.

- Nic podobnego, haronie. Zwykle sami dłużnicy i moczymordy, które po pijaki złorzeczyły na twoją rodzinę, a które po otrzeźwieniu przysięgały jej wierność. Twój ojciec tylko raz skorzystał z dobrodziejstw tej komnaty.

- Naprawdę? Kiedy?

Wszyscy, poza Cerro, która usiadła, znudzona, pod ścianą, zbliżyli się, by słuchać opowieści klucznika. Po lechtało to wyraźnie jego skromną próżność.

- Było to niedługo po tym, kiedy stał się panem zamku – wyznał. – Dawno temu, kiedy był gwałtownym człowiekiem, kiedy złościła go najdrobniejsze plotka…

- Wybacz, Koerze, ale interesują nas chyba czasy nieco mniej zamierzchłe – przerwał mu Kai.

- Nieprawda – zaprotestował Darion. – Mnie ta opowieść bardzo ciekawi.
- A ja wolałbym wiedzieć – zignorował go Kai – kim mógł być ostatni więzień tych lochów?

Koer zastanawiał się, skubiąc palcami dolną wargę.

- Pamiętam – oznajmił z triumfem. – Była to sama haronea Nuria.

Nawet półprzymknięte oczy Cerro otworzyły się szeroko.

- Kiedy powróciła wraz z haronem z rycerskiego turnieju, z którego panicz Kai już nie wrócił, była pogrążona w histerii. Krzyczała, groziła haronowi, że go zrani, straszyła, że skrzywdzi siebie. Haron Gaius, mimo łamiącego się serca, zrobił jedyną rozsądную rzecz. Zamknął haroneę w celi, samą ze swoim smutkiem, na miesiąc. W tym czasie haronea zrozumiała kolej rzeczy i słuszną, choć gorzką decyzję swego męża. Jakby nie było, bez pobytu u felsidów panicz Kai nie stałby się tak wybitnym haronem, jakim jest teraz. Lud nie nazywałby go Najszarszym.

Kai odwrócił się, zdjęty słabością, opierając rozpalone czoło na zimnym kamieniu ściany. Ból w jego nodze zapulsował z nową mocą.

- Nam powiedział, że matka jest w uzdrowisku – wydukała Iver.
- Zajebałbym skurwielą – wycisnął przez zęby Kai. – Gdyby żył, zajebałbym go.
- Kai!...
- Ale już nie żyje. Już nic nie jestem w stanie mu zrobić. Tylko modlić się, że Szary Człowiek porzuci go, pozwoli mu gubić się w wędrówce aż do krawędzi zaświatów…

- Nie godzi się tak mówić o zmarłych – zaprotestował gwałtownie klucznik. – Co dopiero o rodzicach...

- Daruj sobie – warknął Kai, znów stając przed starcem. – Mówisz, że moja matka była ostatnim więźniem? A kto był tu przed nią? Może kobieta z Rhagos?

Koer zmarszczył brwi, oburzony.

- Nie pamiętam takiego więźnia. Jedynymi przybyłymi z Rhagos były służące, którymi wymieniła się haronea i królowa Hestia, niech Szary Człowiek...

- Wymieniły się służącymi? Dlaczego?

- Taką miały fantazję, haronie. Był to wyraz przyjaźni i...

- Czy jedna z nich miała ucięty język?

- Wszystkie, haronie. Lyrre nie chciały, żeby ich sekrety...

- I było to tuż po śmierci generałowej Ines?

Koer liczył w pamięci, ale Kai na niego nie czekał. Ruszył ku wyjściu z lochów, nie oglądając się na nikogo, a potem wbiegł po dwóch kondygnacjach schodów, aż zobaczył stróża przy drzwiach do gabinetu ojca.

- Haronea jest w środku? – warknął.

- Jest – odpowiedział strażnik. – Pracuje.

- Wpuść mnie. To bardzo ważne, a ja jestem Haronem Sprawiedliwości.

Strażnik odsunął się niechętnie, a Kai nacisnął klamkę i wparował do środka, trzaskając za sobą drzwiami.

Haronea siedziała za biurkiem, wypłakując oczy w aksamitne chusteczki, które leżały na biurku, kolorowe i obsmarkane. Kiedy go zobaczyła, wyprostowała się w fotelu, zbyt zaskoczona, żeby dalej szlochać.

- Sprowadziłaś sobie tutaj zabójczynię generałowej i nawet nie wsadziłaś jej do lochu – syknął Kai, starając się, mimo tężniącej w nim furii, nie wrzeszczeć. – Sprowadziłaś sobie wrogiego, zabójczego szpiega do domu, w którym żyły twoje dzieci, i zrobiłaś to tak, żeby nikt się o tym nigdy nie dowiedział.

Haronea zamrugała.

- A skąd ty...

- Powiesz mi, co się stało z Mitram. Powiesz mi, która to jest, pozwolisz mi zabrać ją do Modrego Oka i wyjaśnisz, czemu cały czas wiedziałaś o Ludziach Nieba i nic nikomu nie powiedziałaś.

Matka chwyciła czerwoną chusteczkę i osuszyła nią oczy, próbując nie robić tego trzęsącą się ręką.

- Nie wiem, skąd ty... Jak... Ale to był pomysł Hestii. Wpadła na niego w Avernnis, ale zdołałyśmy go zrealizować już po twoim... wygnaniu. Musiałyśmy zrobić to w ten sposób. Gdybym sprowadziła sobie więźnia tylko po to, by trzymać go w lochu, każdy by się nim zainteresował.

- A nie chciałaś, żeby ktokolwiek się nim interesował, ponieważ...?

- Ja, Ines i Hestia zawarłyśmy pewnego rodzaju pakt... Żeby utrzymywać tego rodzaju rzeczy w sekrecie. Czekać na stosowny moment.

- Tego rodzaju rzeczy?

- Rzeczy ważne, które mogłyby sprawić, że miałyśmy jakąkolwiek decyzyjność w tym kraju. Na przykład w obliczu inwazji nieśmiertelnego ludu, o którym do tej pory wszyscy słyszeli tylko w legendach. W obliczu potrzeby zmian, które mogłyby się okazać zmianami na naszą korzyść.

- Na waszą korzyść? Utrzymywałyście nadchodzącą inwazję w tajemnicy, żeby mieć więcej władzy?

- Miałeś szczęście urodzić się mężczyzną, Kai...

- I o to się wam rozchodziło?! Utrzymywałyście niechybny konflikt, fakt, że legendarny lud istnieje naprawdę, w tajemnicy, bo nie macie kutasa między nogami?!

Burza wstąpiła w oczy haronei, od razu trzaskając piorunami.

- Mój drogi synu. Najszarszy Haronie, czyż nie tak? No więc byłbyś nikim, gdybyś urodził się bez kutasa między nogami. Byłam dziesięć razy mądrzejsza od mojego ojca, brata i męża, a to i tak nie znaczyło nic... Tak samo było z Hestią i Ines. Toteż zawarłyśmy pakt, by mieć chociaż pół kutasa. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, ile razy nasz triumwirat powstrzymał panów Świętej Unii przed podjęciem idiotycznych decyzji. Taką na pewno by podjęli, gdyby dowiedzieli się o Człowieku Nieba w Pałacu Popiołów.

- Czy idiotyczną decyzją nie jest pozwolenie zabójczyni biegać po zamku, w którym wychowują się twoje dzieci?!

- Nie była zabójczynią. Mag-aptekarz wyjaśnił nam, że bez smoczego zęba połknietego w dzieciństwie reinkarnacja się nie uda. Mi i Hestii to wystarczyło, żeby się zniechęcić. Ines była uparta. Do tego Yazor obudził się z Magmowym Mieczem pod poduszką, więc wkrótce i on wiedział. Ines zawsze była najgorsza w dyskrecji.

- Skąd znalazł się tam ten Magmowy Miecz?

- Mitra, jak ją nazywasz, miała rozkazy, które musiała wykonać. Mówiła, że dostaje je w postaci snów. Polegały zwykle po prostu na obserwowaniu. Kiedy Ines zażądała dowodu, że Mitra jest Człowiekiem Nieba, Mitra powiedziała, że Yazor za kilka dni obudzi się z

Magmowym Mieczem pod poduszką. Tak się stało. Yazor miał sen o Szarym Bogu, który potraktował bardzo poważnie. Sam pamiętasz.

Kai drgnął, po czym pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Więc co? To nie była prawdziwa wizja? Szary Bóg nie przekazywał mu swojej woli?

- Z pewnością nie było to żadne proroctwo. Wiesz, jak magowie tworzą sny? Opisują je na specjalnym papierze, specjalnym atramentem, i śpią z nimi pod poduszką. Jeśli spodoba im się to, co wyśnią, mogą to komuś przekazać albo zmienić niektóre szczegóły, by wzmacnić przesłanie. Nie jest to nic innego jak manipulacja, malowanie ruchomego obrazu. Nie był to też sam Szary Bóg przemawiający do niego, tylko wyobrażenie Szarego Boga mówiące to, co autor snu sobie zażyczył.

- Co to zmienia? To znaczy, że Szary Bóg lub jego podwładni istnieją i chcieli manipulować Yazorem. Że Mitra o tym wiedziała.

- Nie wiem jak dla ciebie, ale dla mnie pokrzepiająca jest świadomość, że Yazor nie jest prorokiem, tylko idiotyczną marionetką. Wygląda na to, że miał tylko zrobić z siebie głupca, zasiać ziarno strachu wśród haronów. Być może miał uwierzyć w sprawę Ludzi Nieba. W każdym razie, żeby odciągnąć go od krawędzi szaleństwa, Ines musiała mu zdradzić, skąd wziął się ten cały sen, musiała powiedzieć mu o Mitrze i magu-aptekarzu. Ines lubiła swojego męża. Przez to najtrudniej było jej zawsze dotrzymywać sekretów triumviratu.

- A co z Magmowym Mieczem? Wiem, że jest autentyczny.

- Jak możesz potwierdzić autentyczność czegoś wykonanego przez boga? Skąd możemy wiedzieć, że Ludzie Nieba nie posiadli sztuki wykuwania mieczy z magmy? Tak na dobrą sprawę, nie wiemy nawet, skąd haroni mają te swoje miecze. Możemy jednak wiedzieć, że ta banda głupców nie rozpoznałaby różnicy pomiędzy podróbką a oryginałem, choćby miecz Yazora był zielony.

- To nie ma sensu. Nie zgodzili się z nim. Upokorzyli go.

- Gdyby Yazor nie miał ich owiniętych wokół palca, zostałby rozczerlonkowany za herezje. Ale miał, więc pozwolili mu zachować nie tylko życie, ale i stanowisko. A może wierzyli, że rzeczywiście, Szary Człowiek przemawia ustami Szarego Boga, a Szary Bóg ustami Yazora. Nie wyszedł z wulkanu, żeby mu przeszkodzić, w każdym razie.

Kai podsunął sobie krzesło i usiadł. Haronea uśmiechnęła się blado.

- Zdradź mi, skąd się tego wszystkiego...?

- A ty skąd wiesz o tym wszystkim, co zaszło między Ines a Yazorem? Przesłuchałaś służącą na temat Szarego Boga?

- Kiedy ją widziałam, a ta była jeszcze w stanie mówić, ani ona, ani Ines nie zajęknęły się na temat Szarego Boga. Potem miała już wyrwany język, a sprawą wydawała się dość jasna.

- A więc wiesz o wszystkim od Ines? Czy kiedykolwiek nazwała Szarego Boga Białym?

Haronea uniosła rudą brew, a jej wzrok wyostrzył się.

- Nie przypominam sobie – odparła powoli. – Dlaczego?

- Ten wasz triumwirat rozpadał się widocznie jeszcze na długo przed śmiercią jednej z członkiń. Teraz powiedz mi, co się stało z Mitrą.

Nuria bezwiednie schowała palce pod biurkiem, ale Kai wiedział, że je sobie maniakalnie wykręca. To ona nauczyła go tego znienawidzonego tiku.

- O tym wiem tylko z ust Hestii. Po śmierci Ines Yazor, Eneis i Hestia spotkali się w Avernnis. Yazor powiedział, że mag-aptekarz zabił Ines i sprowadził na niego wizje, że był częścią jakiejś wyssanej z palca grupy spiskowców. Eneis uwierzył i pozwolił okaleczyć maga, a Hestia doradziła mu zawierzenie generałowi rozprawienie się z resztą grupy. Hestia zatrudniła dużą część służących, które już się nie mogły przydać Ines, ale, za porozumieniem z Yazorem, okaleczyli je tak, by nie mogły „powtórzyć sekretów zmarłej”. Eneis był takim bujającym w gwiazdach młotem, że nie zobaczył w tym nic dziwnego. Niedługo potem ja i Hestia zamieniłyśmy się służącymi, dwudziestoma, dla niepoznaki, a chodziło tylko o jedną z nich. Mitra była zamknięta w ciele młodszej służącej, niema, pozbawiona możliwości śnienia przez jakiegoś maga z podziemia, którego wynajął Yazor. Była odcięta od rozkazów, przybrała nowe imię Ikka, została przeszkolona do bycia nadworną pokojówką, i stała się właściwie niegroźna. To tylko praczka, która zna dwa języki, w żadnym nie może mówić, a pisać tylko w jednym. Ale i tak trzymałam ją przy sobie. Na wszelki wypadek. Nikogo to nie alarmowało. Tylko Pinovar. Od razu zorientowała się, że nagle zaczęłam mieć dwie ulubione służące, w tym jedną dopiero co przybyłą do Pavilonu niemotę. Tłumaczyłam, że się starzeję i potrzebuję więcej pomocy, że potrzebuję pocieszenia po twojej banicji... Pewnie podejrzewała, że mam z nią romans czy coś w tym rodzaju.

- I gdzie Ikka jest teraz?

- Podarowałam ją Pinovar w prezencie ślubnym.

Każdy miesiąc w ciele Kaia zastygł.

- Żartujesz, prawda?

- Nie żartuję. Jeśli chcesz porozumieć się z Ikką, to rozmawiasz ze złą haroneą.

- Rzeczywiście, oszalałaś na starość. Przekazałaś groźnego więźnia pod opiekę własnej, nastoletniej córce! Powiedziałaś jej chociaż, kim jest kobieta, która grzeje jej wodę w balii?!

- Nie. Zdziwiłabym się jednak, gdyby już o tym nie wiedziała. Jeśli któryś z moich dzieci powinno dowiedzieć się o Ludziach Nieba, to właśnie Pinovar.

- Dlaczego chciałabyś, żeby którekolwiek było w to zamieszane?! Twoja przyjaciółka zginęła przez tę wiedzę! Zasztyletował ją jej własny syn!

- Ines była nieostrożna, a Hestia aż zanadto. I co? Obie już nie żyją. I ja też wkrótce umrę, i nie zamierzam zabierać ze sobą tak istotnej wiedzy do grobu. Pinovar zrobi z niej najlepszy użytek. Jej umysł i osobowość... Podejrzewam, że ludzie tacy jak ona rodzą się raz na tysiąc lat.

- To wciąż twoje dziecko! Nie jesteś choć trochę przerażona, że je narażasz?

- Jestem. Byłam. Czasem wciąż jestem. Ale cóż mi pozostało?

- Mogłaś... Mogłaś wysłać Ikkę do mnie. Ja byłbym w stanie coś z tym zrobić.

- Jesteś w stanie zrobić wiele tylko dlatego, że masz tego wcześniej wspomnianego kutasa. Gdyby Pinovar miała ten atut, wykorzystałaby go, a nie odrzuciła związane z nim prawa do dziedziczenia tytułów i majątku dla jakiegoś wyższego celu dyktowanego przez spleśniąłą książeczkę. Zrobiłam, co mogłam, by dać Pinovar namiastkę tytułu i namiastkę majątku, i dałam informację, dzięki której będzie mieć może namiastkę kutasa.

- Przestań. Przestań już to powtarzać...

- To ty zacząłeś.

- To jest doprawdy godne podziwu, że tak zaciekle walczysz o emancypację. Ale kiedy Ludzie Nieba tu przyjdą, wymordują nas. Wszystkich ludzi. Ludzi Kamienia. Kobiety i mężczyzn. Wymordują nas albo przeżyją i żadnej emancypacji nie będzie. Ani dla Pinovar, ani dla nikogo.

Haronea uśmiechnęła się, jakby nabierając koloru w policzkach.

- Czy ty słyszysz panikę w swoim głosie? Właśnie dlatego to Pinovar najlepiej nadaje się do otrzymania tej informacji.

Kai osunął się powoli na oparcie krzesła. Sam nie wiedział, czy czuje większy gniew czy smutek.

- Wiesz, kto mógł wysłać mi *Kodeks Harona*? – zapytał cicho.

- Nie mam pojęcia. Ja, Ines i Hestia nie bardzo interesowałyśmy się przeszłością, ani religią, jeśli o to pytasz. Wypytałam też Uliasa Odkrywczę, ale utrzymuje, że książka była dołączona do oficjalnego pisma z Pamięci.

- To może król? Może nie był aż takim durniem?

- Eneis? Nie wiem. Być może.

- To dzięki *Kodeksowi* dowiedziałem się o Ludziach Nieba. Dowiedziałem się, co było tutaj przed Meavelethem Szarym. Nauczyłem się języka Ludzi Nieba. Doprowadziło mnie to do tego samego punktu, w którym chcesz, żeby znalazła się Pinovar.

- Przeczytałam ten cały *Kodeks*. Nie widziałam tam nic o Ludziach Nieba.

- To było tylko w moim egzemplarzu, na marginesie, i... i Silarus opowiedział mi o nich na moim weselu. Tylko dlatego wiem o Mitrze i o tym, co stało się generałowej.

Kai miał wrażenie, że za każdym razem, kiedy sznurki myśli miały się rozplatać i połączyć w idealne, jednolite, mające sens linie, niewidzialna ręka przecinała je, nie pozwalając dojść do konkluzji, która, wydawało się, jest tuż-tuż.

- Mam mętlik w głowie – mruknął, pocierając powieki palcami.

- Domyślam się – westchnęła Nuria, nachylając się, żeby zająrzyć mu w twarz jak wtedy, kiedy był dzieckiem, i próbowała mu wy tłumaczyć, że wyjście na mróz bez czapki jest błędem. – Wierzę, że Yazor Temidan i jego synowie nie są twoimi przyjaciółmi. Wierzę, że generał przedkłada swój własny interes nad perspektywą śmierci własnej cywilizacji i zrobi wszystko, by być pierwszym w szeregach Ludzi Nieba, jeśli tylko dadzą mu wyższe stanowisko. A jeśli masz rację, i nazwał Boga ze swojej wizji Szarym, zamiast Białym... to tylko kolejny dowód.

- A wierzysz, że z Ludźmi Nieba da się pertraktować?

Występowała się, a jej brwi zbliżyły się do siebie.

- Wierzę, że ktokolwiek wysłał ci tę książkę, sprowadził na Świętą Unię niechybną zagładę.

## ROZDZIAŁ XV

Przez pierwsze kilka godzin Itsuk nalegał, że będzie w środku, ale sąsiadki wykopły go bez żadnego respektu dla jego potężnej postury. Najpierw więc chodził po mieście, szukając pracy, chociaż takiej drobnej, kilkuminutowej, z wnoszeniem skrzyni po schodach. Potem siedział pod drzwiami, odsłaniając uszy tylko po to, by wyjaśnić przechodniom, dlaczego jego żona krzyczy. Ściskali jego dłoń i gratulowali, a Itsuk dziękował im szczerze, ale jak najszybciej, by znów móc zacisnąć kurczowo pięści. Potem Skylle wyszedł z domu, żeby powiedzieć, że jeszcze trochę, i odepchnął Itsuka, kiedy ten chciał zająrzeć do środka.

- Ty myślisz, że masz tyle szczęścia na zbyciu, żeby ryzykować, że klątwa jest prawdziwa?! – wrzasnął. – Siedź na dupie albo idź się przejść.

Itsuk postanowił pójść się przejść. Obok cukierni znalazł wyschniętą na wiór cytrynę, którą wydrążył w środku, napełnił drobnym żwirem i zakleił kitem zdrapanym z okiennej ramy. Wrócił, zadowolony, z własnoręcznie zrobioną grzechotką, ale wypuścił ją, kiedy podszedł do drzwi i Moth znowu wrzasnęła, płaczliwie i długo. Itsuk usiadł więc na ziemi i westchnął, znów przyciskając pięści do uszu.

Odetkał je dopiero, kiedy drzwi za jego plecami otworzyły się i Itsuk prawie wpadł do środka. Miał już zadać pytanie, ale usłyszał dziecięcy płacz. Sąsiadki uśmiechały się szeroko.

Itsuk podniósł grzechotkę i wreszcie wszedł do wnętrza, w którym panował drapiący w nosie zaduch. Skylle i popijający z piersówka medyk siedzieli pod ścianą, spocenii i wyczerpani, ale nie tak spocenii i wyczerpani jak Moth, której włosy lepiły się do błyszczącej twarzy i szyi, a która jednak uśmiechała się szeroko i trzymała drące się wniebogłosy, owinięte w prześcieradło dziecko w rękach.

Itsuk przysiadł, by zająrzeć w jego twarz. Była mała, ciemna, zarumieniona i mokra, a oczy z niej wyrastające były tylko cienkimi, pozbawionymi rzęs szparkami. Moth włożyła dziecko w ręce Itsuka, a ono zamachało małeckimi ramionkami. Było tak kruche, że Itsuk ledwo czuł jego ciężar.

- Jest trochę mały – odezwał się medyk, przekazując piersówkę Skyllemu. – Ale raczej zdrowy. I głodny.

I Itsuk znów został wykopany z własnego domu, tym razem wraz ze Skyllem i doktorem. Siedzieli w pełnej radości ciszy, aż sąsiadki wyszły. Jedna z nich rzuciła, że tym razem nakarmiła Gideona, ale Itsuk powinien jak najszybciej zgłosić się do jakiejś mądrej baby.

Cerro nigdy nie lubiła patrzeć na siebie w lustrze, a teraz, choć tego nienawidziła, nie mogła przestać. Co ranek rozpinała koszulę i wpatrywała się w brzuch, który jakby próbował odlepić się od jej pleców. Był ogromny, wiedziała, że urośnie jeszcze większy, aż będzie olbrzymim, twardym pęcherzem, w którym będzie szamotał się obcy człowiek, którego nie będzie mogła odciąć ani odłożyć. Będzie miała wystający pępek, którym będzie musiała jakimś cudem o nic nie zaczepić... Nie będzie się mogła wysikać, będzie ją bolał kręgosłup, być może zobaczy, jak człowiek w środku rozpycha jej wnętrzności stopą. Być może poczuje, jak ją tą stopą kopie.

Zrobiło jej się słabo, więc usiadła, próbując się nie rozpłakać. To nie tak, że nienawidzi tego człowieka. Z pewnością go pokocha. Tak powtarzały jej guvernantki, i dla niej samej byłoby najlepiej, gdyby go pokochała. Kai już go kochał, już mówił do jej brzucha, kiedy udawał, że mówi do niej. Choć Kaia nienawidziła z całego serca, nawet to już ją męczyło. Nie chciała się obwiniać, nie chciała płakać, nie chciała nienawidzić, ani się złościć, ani czuć dyskomfortu, bo to mogło skończyć się źle i dla niej, i dla dziecka, a naprawdę nie życzyła mu żadnej krzywdy. Słyszała straszne historie o kobietach, które cierpiąły w ciąży przeraźliwe bóle i były właściwie przykute do łóżka, a Cerro miała bardzo przyjazną ciążę i łykała specyfiki od Chevity za każdym razem, kiedy nawiedzał ją ból w piersiach, nudności lub dziwne uczucie w brzuchu. Właściwie, przez większość czasu w ogóle nie czuła się, jakby była w ciąży. Raz pomyślała, że to może przez to nie może wykrzesąć z siebie bardziej intensywnych uczuć dla człowieka w środku, i przez ten dzień uparcie nie brała żadnych medykamentów. Leżała na łóżku, czując się wyjątkowo słabo, i głaskała brzuch chyba kilka godzin, a może tylko minut, zanim zapadła w drzemkę, z której przebudziła się, kiedy podskórny ciężar znów rozsadzał jej piersi. Próbowała wytrzymać i głaskać brzuch, uparcie próbując sobie wyobrazić, że głaszczę śliczne, idealne dziecko, a nie własną skórę - aż Chevita przyszła, zaalarmowana brakiem wizyty Cerro, i na nią nawrzeszczała.

Cerro z jednej strony czuła się jak więzień we własnym ciele, a z drugiej strony jak strażnik, który musi wyjątkowo ważnego więźnia pilnować. Jej piersi były ogromne i żylaste. Jej brzuch był twardy i rósł. Jej stopy były napuchnięte. Jej krtań była ścisnięta. Jej pachy były spocone. Jej twarz była rumiana. Jej myśli kręciły się wokół jej wnętrzności jak nigdy dotąd. Cały czas chciało jej się wymiotować i kiedy się do tego zmuszała, była zaskoczona, że nie wyrzygiwała tego, co rośnie w jej brzuchu. Potem czuła się winna, że zabiera pokarm człowiekowi w środku. Nie życzyła mu źle. Chciała po prostu, żeby był na zewnątrz.

Najlepiej bezboleśnie, ale o tym nie była w ogóle w stanie myśleć - o bólu i pozycji, w jakiej się rodzi - bo kiedy tylko zaczynała, czuła się tak słabo, że była gotowa osunąć się na ziemię i już nigdy z niej nie wstać.

Ale co potem, kiedy człowiek już będzie na zewnątrz? Będzie musiała włożyć mu swoje piersi do ust. Oczywiście, nie będzie musiała tego robić więcej niż raz, zgodnie z tradycją, ale wszyscy przecież będą myśleć, że jest okropną matką. Nie musi go przewijać, myć, przytulać, dotykać, ale przecież wszyscy będą o niej plotkować. Że jest potworem. Właściwie, pewnie będą mieli rację. Matka patrzyłaby na perspektywy tych wszystkich czynności z ekscytacją. Cerro nie mogła nawet zdecydować, czy zależy jej na byciu dobrą matką, czy byciu uważaną za dobrą matkę, czy w ogóle na żadnej z tych rzeczy jej nie zależy. Nie wiedziała, czy ma wyrzuty sumienia, czy tylko zmusza się do myślenia, że je ma. Chciała, żeby nikt nie uważa jej za potwora. Chciała, żeby nadszedł ten magiczny moment, o którym mówiła guvernантka, w którym Cerro nagle zapała do człowieka w środku miłością tak gorącą, że będzie w stanie dla niego żyć, cierpieć i umierać. A jednocześnie wciąż pozostanie sobą.

Kai powinien być w ciąży. Chciał tego dziecka bardziej niż jej, choć podobno ją kochał. Był stworzony do macierzyństwa. Czytał na głos jakieś dyrdymyły, a choć twierdził, że ćwiczy dykcję, Cerro wiedziała, że emiteme głos w kierunku jej brzucha, a nie twarzy. Zasugerował raz z ostrożnością, że mogą pomyśleć nad imionami, a ona wybuchła płaczem, bo jej nawet nie przyszło to do głowy. Myron zarządził, że jeszcze przed Świętem Gościnności mają przenieść się do większej, pokazowej sypialni, w której nie było osobnej łazienki, więc musieli spać razem na o wiele szerszym łóżu wyposażonym w zasłony. Była tam, co prawda, sofa, jednak Cerro wolała spać z Kаем. Choć odsuwała się na sam skraj materaca, czuła się jakoś bezpieczniej, kiedy spał obok. I mogła lepiej kontrolować, czy ściąga protezę na noc. Czasem udawał, że już śpi, żeby tylko tego nie robić, ale wtedy sięgała brutalnie do zatrzasków, a on odtrącał jej dlonie i robił to sam, sapiąc ze złością. Cerro z ponurą satysfakcją domyślała się, że nienawidzi budzić się bez nogi. Ona lubiła się budzić i nie widzieć swego brzucha. Potem jednak wstawała, patrzyła w dół i próbowała powstrzymać się od szlochu.

Tak straszliwie teskniła za tymi paroma tygodniami, kiedy... kiedy jeszcze nie wiedziała, że w jej wnętrzu jest człowiek. Kiedy jej największym problemem było to, że jest jej zbyt przyjemnie. Kiedy miała błągłą przerwę w nienawidzeniu Kaia, na którą już nigdy nie będzie mogła sobie pozwolić. A choćby nawet próbowała – nie mogła go ani w pełni nienawidzić, ani w pełni kochać. Już nigdy. A może nigdy nie była w stanie iść

konsekwentnie żadną z tych dróg. Czasem zupełnie nie pamiętała, jak czuła się, kiedy obronił ją przed szlachetnością Szlachetnego Ano i zranił po to, żeby dobrać się do jej krwi. Pamiętała tylko, że to się wydarzyło. Nie chciała, by czas rozwiały także wspomnienie o tym, jak czuła się, kiedy odmówił jej pomocy z pozbyciem się ciąży. Pielęgnowała je, stale je analizowała i przeczuwała, że straci resztki jakiegokolwiek szacunku do samej siebie, jeśli wybaczyc mu chociaż jedno słowo, które wtedy wypowiedział.

Kiedy byli w Pamięci, myślała, że zdemoluje jego dziecięcą sypialnię, gdy znów kłóciła się z nim o przesłuchanie bez niej więźnia, którego sama mu przywiozła. O ukrycie wszystkich poszlak, które zebrał, a potem o zaangażowanie w to wszystko Meglyne. Śmiała jeszcze nie chcieć opowiedzieć jej o rozmowie, którą odbył ze swoją matką, a jego jedynym argumentem było to, że przecież rozmawia z nią o Myronie. Z nią i Silarusem, w blasku błękitnego płomienia w sekretnej bibliotece, do której dostał się dzięki jej własnej krwi, czasem rozmawiali na ponure tematy dotyczące Myrona - i to było wszystko, na co powinna była liczyć. Tyle razy akceptowała już, że w oczach Kaia nigdy nie będzie mu równą, a za każdym razem i tak zapominała, i znów czuła zawód. Wiedziała, że Kai po kłótni z matką pisał pilny list do Pinovar Immali i domyślała się, że rozmówią się przy okazji Święta Gościnności, ale pewna była, że Kai znajdzie jakiś sposób, żeby Cerro przy tym nie było. Była na niego tak wściekła, doprowadzona do tak dalekich granic wytrzymałości... że znów zaćmienie ogarnęło cały świat wokół niej i nie wiedziała, jak to się stało, że nagle przyciskała palce do tyłu jego głowy, a swoje usta do jej przodu.

Cerro często wracała wspomnieniami do tej nocy, płonąc ze wstydu i wściekłości. Ale nie potrafiła się powstrzymać. Gdyby miała więcej odwagi, zapytałaby Chevitę, czy kobieta kochająca TO ohydztwo naprawdę jest wybrykiem natury - lecz nie miała, więc cierpiała w swoim wstydzie samotnie. Czuła się, jakby była uzależniona – zanim TEGO nie spróbowała, w ogóle o TYM nie myślała, a kiedy już raz to zrobiła, ledwo mogła bez TEGO wytrzymać. Tamtej nocy stare łóżko Kaia skrzypiało przy jego najmniejszym ruchu, dlatego był wyjątkowo powolny, a Cerro ściskała pręty z nadzieją, że będą w ten sposób robić mniejszą hałasu. Nie wiedziała, czy to dlatego, że nie byli w Modrym Oku, czy dlatego, że uderzył ją „ciążowy blask”, czy dlatego, że już nie musiała martwić się spłodzeniem dziecka, ale czuła się tej nocy wspaniale w swojej skórze. Miała na sobie koszulę nocną, a jej brzuch jeszcze nie był tak widoczny, ale i tak zaciskała powieki, ciesząc się rozpryskami wzorów, które pod nimi widziała. Czuła w podbrzuszu palącą satysfakcję z tego, że była ubrana bardziej od Kaia, że ma bezwstydnie rozchełstaną koszulę, że ręce Kaia rozwierają jej nogi tak szeroko jak to możliwe i że każda przykra myśl wyparowała jej z głowy.

Wtedy rozległo się pukanie. Kai musiał otworzyć drzwi, a za nimi ukazał się Darion Oakter. Rozmawiali na zewnątrz, a Cerro kuliła się na łóżku, czując się na powrót fatalnie. Jest beznadziejnym, zdegenerowanym przypadkiem. Jest jak suka w rui, która rzuci się na pierwszego lepszego, nawet na tego kundla, który miesiąc wcześniej ją pogryzł. W dodatku za drzwiami znów działało się coś, na co nie ma wpływu i o czym nawet nie będzie wiedzieć. Czy ma jeszcze w ogóle siłę się o to awanturować? Łzy kluły ją w powieki, ale próbowała nie szlochać, żeby nie zadraćcać człowieka wewnętrz swoimi problemami jeszcze bardziej. Wyobrażała sobie, że wszystkie okropne rzeczy, które czuła, musi siłą woli gromadzić ponad swoją talią, żeby tylko nie dotarły niżej i nie zatrąły wód płodowych. Bała się, że człowiek urodzi się chory, jeśli ona natychmiast nie przestanie się wszystkim tak torturować.

Wtedy Kai wrócił i powiedział:

- Chce się układać. Mówi, że jest spora szansa, że haron Oakter mianuje go swoim następcą, bo Darion jako jedyny spośród braci ma, póki co, potomka. Rzeczywiście, chyba powiniensem zacząć brać pod uwagę współpracę z gwałcicielem mojej siostry.

Cerro uniosła czoło, momentalnie zapominając, za co tym razem się nad sobą pastwiła.

- Co? Czy on...?

- Nie. Nie wiem. Ale ktokolwiek, kto majstruje dziecko dziecku, nie może nie być gwałcicielem.

Miło z jego strony, że nie musiała się o ten raport z pogawędki z Darionem wykłócać. Pewnie informacja była dla planów Kaia tak mało istotna, że nadawała się na ochłap, którym Cerro mogła się nasycić.

- Chcesz... No wiesz, dalej?

Pokręciła stanowczo głową, nagle niezdolna do powstrzymania dwóch wilgotnych potoków wypływających spod jej powiek.

- Dobrze.

Kai po prostu usiadł obok niej. Przytulił ją, kiedy się rozpłakała, a ona przylgnęła do niego jak... jak ostatnia wywłoka bez szacunku do siebie. Zapytał, co jest nie tak, a ona mu powiedziała. Szary Człowieku, wszystko mu powiedziała, te ohydne, wstydliwe, okrutne rzeczy, które zamierzała zabrać ze sobą do grobu, teraz on o nich wie, a sam nigdy nie powie jej o niczym podobnym, pewnie sam nigdy ich nie poczuje... Powiedział tylko, że żadna z tych rzeczy nie jest ani ohydna, ani wstydliwa, ani okrutna. Powiedziałby wszystko, żeby Cerro zrobiła to, czego od niej chciał. Tej nocy widocznie chciał, żeby zasnęła w jego ramionach. Rankiem Cerro nienawidziła się za to, że mu uległa.

Teraz potrąsnęła głową, wyrywając się ze studni wspomnień i wstała ze swojego nowego, pysznego łóżka. Pokój miał dość miejsca na stolik i dwa krzesła, dzięki czemu nie musiała już w królewskiej jadalni, co było dla wszystkich najlepszym rozwiązaniem. Lepiej, żeby miała jak najmniej styczności z Myronem. Odkąd dowiedziała się, co zrobił w Karmevare, oczami wyobraźni obserwowała siebie okładającą Myrona po twarzy, aż zostaje z niej krewawa papka. Obserwowała siebie pokonującą Myrona w pojedynku tak żałosnym, że wszyscy widzowie obrzucają go jedzeniem i gównem, a on ucieka z kraju i zostaje felsidem, a słuch po nim ginie. Niech zdechnie i zginię, Cerro było wszystko jedno, byle już nigdy nie widzieć jego mordy na oczy. Te obrazy z pewnością również nie były zbyt zdrowe dla człowieka w środku. Jej umysł robił po prostu wszystko, by uczynić ją najbardziej menstrualną kreaturą na świecie.

Reszta pokoju, choć przestronna, była zawalona prezentami ze wszystkich stron świata. Żaden z nich nie był dla niej, tylko dla człowieka w środku, tak samo jak piękna kołyska, do której nie cierpiała zaglądać, choć była pusta. Cerro wiedziała, że pokój dziecka będzie tak właściwie na górze, w jej starej sypialni, ale jakoś nie sprawiało jej to wcale radości. Kolejne dziecko zamknięte w tym samym pokoju. Dziecko z jej krwi. Najlepszym uczuciem, jakie mogła z siebie dla niego wykrzesać, było współczucie.

Nałożyła suknię, która odsłaniała obojczyki, a przedramiona chowały tylko rękawy ciągnące się do samej ziemi, gdzie kończyła się rozłożysta spódnica zaczynająca się już pod piersiami. Ostatnio było tak gorąco, że taki strój był akceptowalny, a w dodatku z dużym powodzeniem zasłaniał jej brzuch, na którego temat nie chciała słyszeć żadnych komentarzy, witając harońskie rodziny przyjezdzące na Maldevare. Spojrzała jeszcze raz w lustro, by upiąć włosy, kiedy rozległo się pukanie.

- Proszę – poleciła Cerro.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich służąca z emblematami Immalów na rękawie. Dydnęła, schylając nisko głowę otuloną czepek, ale nie przywitała się. Cerro zerknęła na nią, ziryutowana.

- Zabłędziłaś?

Służąca wsunęła dłoń do kieszeni i wyciągnęła kopertę zapieczętowaną białym lisem. Wyprostowała ramię i Cerro zobaczyła wypisane wyraźnymi, błyszczącymi, zbyt dużymi literami: „Do bratowej”.

Cerro odebrała kopertę i przełamała pieczęć, by ze środka wyciągnąć tylko jedną kartkę.

*W odpowiedzi na udzielający skąpych informacji list twojego męża przesyłam wyznanie Ikki, mojego cichego prezentu z okazji narodzin mojego bratanka lub bratanicy. Choć nie wiem, jak głęboko jesteś wtajemniczona w niebezpieczne zainteresowania twojego małżonka, ja bardzo na jego ciekawości skorzystałam, więc uznalam, że i ty powinnaś. Przekazuję ci tyle, ile uznalam za stosowne, i ty możesz stać się źródłem informacji, z którego twój mąż będzie zmuszony zaczerpnąć – tym listem daję ci wybór skapstwa lub wylewności. Ikka twierdzi, że nigdy nie widziała swojej ojczyzny. Urodziła się na pryczy w pokoju dla służby w Pałacu Popiołów. O swojej ojczyźnie wiedziała od rodziców, którzy mówili innym językiem, kiedy nikt nie słyszał, oraz ze snów, dzięki którym wiedziała, jak niebezpieczne jest mówienie nim przy innych. Ona i jej rodzice mieli takie same sny, nie były to rokazy, ale wiadomości. Rodzice nauczyli ją pisać tylko w tym jednym języku. Kiedy rodzili się jej młodsi bracia, rodzice wysyłali ją do aptekarza po smoczezęby do połknięcia. Kiedy jej najmłodszy brat zachorował, rodzice przyprowadzili do aptekarza jego i bezdomne dziecko, żeby móc nabyć jego zdrowe ciało. Stąd Ikka wiedziała, do kogo zaprowadzić generałową Ines, kiedy ta znalazła jej zaszyfrowaną wiadomość. Było to wyznanie miłosne do stajennego, którego Ikka podejrzewała o bycie takim jak ona, ale chciała mieć pewność. Taką pewność miała co do służącej, która wsunęła Magmowy Miecz pod poduszkę generała, i to ona straciła życie wraz z generałową. Ikka nie chciała umrzeć, i zachowała życie kosztem generałowej, przyjaciółki, własnego języka i snów. Twierdzi też, a to może twojego męża wyjątkowo zaintrygować, że tylko generał i generałowa nazywali postać ze snu Yazora Szarym Bogiem. Jeśli chcesz, możesz spróbować porozumieć się z Ikką, lecz kiedy ją odprawisz, już nigdy nie będziesz mogła zadać jej kolejnych pytań.*

Cerro uniosła głowę i spojrzała na służącą. Wyglądała jak każda inna – w niemal całkowicie białym makijażu, niezbyt chuda, ale i niezbyt tłusta, z dużym, okrągłym nosem, małymi, pokornymi oczami, cofniętym podbródkiem i cienkim warkoczem wypływającym spod jasnego czepka. Jeśli to wszystko prawda, nie było to ciało, w którym się urodziła, ale ciało kobiety, w które wdrożyła je magiczna siła i chęć przeżycia. Cerro stała przed żywą legendą, potworem z opowieści, którymi straszono ją w dzieciństwie. I nie widziała w nim nic szczególnego.

- Jesteś Człowiekiem Nieba znanym niegdyś jako Mitra i Lirner?

Służąca przytaknęła krótko. Obie nie odrywały od siebie spojrzenia.

- Zgadzasz się z tym, co jest tu napisane? – Cerro strzepnęła kartkę.

Służąca przytaknęła niepewnie.

- Umiesz czytać po hekkyrsku? Nie? Więc jak możesz wiedzieć? Ufasz Pinovar?

Po serii kręcenia głową służąca przytaknęła raz, bardzo powoli i otwierając szeroko oczy.

- Szczerze.

Służąca nie mrugnęła, ale i nie kiwnęła głową drugi raz.

- Więc lepiej naucz się jej języka. Inaczej wszystkie twoje słowa przeinaczy własną ręką.

Dziewczyna skinęła krótko głową. Dziewczyna? Kobieta?

- Ile masz lat?

Służąca wystawiła rozwarste palce cztery razy, a potem tylko jedną dłoń i kciuka. Nie wyglądała na więcej niż dwadzieścia pięć lat.

- Więc ile jest prawdy w legendach o was? Nie macie armii? Idziecie przed siebie, aż pokryjecie cały świat? Pod waszymi stopami więdną kwiaty, a w waszych ustach kwaśnieje mleko?

Zaprzeczyła tylko w odpowiedzi na ostatnie pytanie.

- Więc jak zamierzacie przejąć Świętą Unię?

Ikka westchnęła i rozłożyła ręce nieporadnym gestem. No tak. Jak miałaby o tym opowiedzieć? Dlaczego miałaby to zdradzić? Dlaczego miałaby to wiedzieć? Była tylko pokojówką. Nie, to nieprawda. Była szpiegiem.

- Jak przesyłałaś informacje swojemu dowództwu?

Ikka otworzyła oczy jeszcze szerzej, jeśli było to w ogóle możliwe, i znów pokręciła głową.

- Przesyłałaś im jakiekolwiek informacje? Nie? Więc po co w ogóle umieszczać cię na królewskim dworze?

Ikka potrząsała głową, jakby była nakręcaną lalką, nie odrywając spojrzenia od Cerro, która ledwo już mogła wytrzymać pod jego naporem.

- Dostałaś rozkaz zabicia generałowej Ines?

Służąca pokręciła głową zaciekle.

- Więc dlaczego tak się to wszystko skończyło?

Służąca znów rozłożyła ręce, zanim zaciśnięła dlonie wokół własnej szyi i potrąsienna głową.

- Nie chciałaś umrzeć? I jej śmierć była niby jedynym rozwiązaniem? Nie miałaś żadnych przyjaciół, żadnych pomocników?

Dwa „tak” i jedno „nie”.

- Nienawidzisz Ludzi Kamienia? Rodzice i sny wychowały cię tak, byś ich nienawidziła?

Głowa Ikki nie przestała mająć się w lewo i prawo, a jej oczy wypełniły łzy. Położyła dlonie na sercu i teraz wbiła wzrok w Cerro z taką intensywnością, że było to aż niepokojące.

- Czyli... da się z wami dogadać? Drogą pokojową?

Łzy wypłynęły z oczu Ikki dwiema strugami, kiedy lekko kiwnęła głową.

- A jeśli byśmy nie chcieli? Jeśli nie chcemy was na naszej ziemi? Co wtedy zrobicie?

Ikka opuściła ręce i wzruszyła ramionami. Cerro westchnęła głęboko.

- Czy ty cokolwiek wiesz? Czy ty się do czegokolwiek przydajesz? Jak mam zaufać choć jednemu twemu gestowi? Jak Pinovar udało się z ciebie to wszystko wyciągnąć?

Służąca zawahała się, po czym odwróciła tyłem. Cerro naprężyla się, gotowa prędko sięgnąć do stojaka na miecze, gdyby miało wydarzyć się coś dziwnego. Jednak Ikka rozpięła tylko najwyższe dwa guziki na tyle swojej koszuli, by Cerro mogła zobaczyć podłużne ślady poparzeń kryjące się pod ubraniem pokójówki. Krzyżowały się, marszczyły i wyraźnie ciągnęły znacznie, znacznie niżej.

- Ach – bąknęła. – Rozumiem.

Ikka zapięła koszulę i odwróciła się do Cerro twarzą.

- Wiesz chociaż, jak skontaktować się z Białym Bogiem? Albo kimkolwiek, kto ma pojęcie o waszej inwazji?

Służąca złożyła dlonie jak do modlitwy i przyłożyła je do ucha, zamykając oczy.

- Masz na myśli sen? Kai próbował. Ale trzeba wiedzieć chociaż w przybliżeniu, gdzie jest osoba, na którą chcesz sen zesłać. Gdzie jest Biały Bóg? Gdzie jest wasz król, dowódca, nadworny magin, ktokolwiek, kto ma znaczenie?

Łzy znów polały się z oczu Ikki, kiedy ponownie musiała bezradnie rozłożyć drżące ramiona.

Cerro nie miała siły zejść do reszty rodziny królewskiej, by witać haronów w progu Modrego Oka, ale obserwowała Ikkę spieszącą do komnaty, w której ulokowano Immalów, opierając się o balustradę na szczycie schodów. Była tak wykończona, jakby ścigała się na dystansie do miasta i z powrotem. I tak smutna, jakby zajęła ostatnie miejsce.

- Hej – odezwał się Kai, wspinając się po schodach, by przy niej stanąć. – Podekscytowana Maldevare?

- Mhm. A ty?

- Pewnie. Wreszcie się najem. Pierwszy raz zobaczę króla kraju innego niż Święta Unia, i do tego elfa...

- Twoja siostra już przybyła na zamek.

Kai spojrzał na nią z ukosa.

- Tak. Wiem.

- Rozmawiałeś z nią?

- Jeszcze nie. A co?

- Dostałam list od jej służącej, niejakiej Ikki, która twierdzi, że jest Mitrą. W nim potwierdza, że Szary Bóg jest, w rzeczy samej, Białym Bogiem.

Kai zamrugał, skołowany.

- Mogę... zobaczyć ten list?

Cerro zaciśnęła zęby, nie odwzajemniając jego spojrzenia.

- To jest, doprawdy, niewiarygodne – Kai nagle zasyczał. – I moja matka, i Pinovar, i ty. Rozumiem kobiecą solidarność i walkę o prawa wszelkimi możliwymi środkami, ale ja jestem przecież po waszej stronie. Moja matka była w szoku, kiedy dowiedziała się, że nie jestem idiotą i wiem o Ludziach Nieba, moja siostra wciąż za idiotę mnie ma, a teraz ty, mimo że uczę cię walczyć, będziesz zatajać kluczowe informacje...

- Ja?! Zatajać kluczowe informacje?! Dostałam prywatny list, a ty chcesz do niego wglądu, jednocześnie nie dając nic w zamian!

- Nic?! Uczę cię...

- A ja noszę twoje dziecko, kolaboruję z tobą, przywożę ci więźniów, których nawet nie pozwalasz mi przesłuchać, i jeszcze mam dzielić się z tobą korespondencją, podczas gdy ty możesz wszystko zatrzymać dla siebie?! Plwam na twoje „bycie po mojej stronie”! Ikka nigdy nie była szpiegiem, Ines groziła jej śmiercią, a twoja siostra ją torturuje! To wszystko, co musisz wiedzieć! Ale pewnie chcesz wiedzieć więcej! Naślój Chevitę na moją skrytkę jak najpędzej, zanim podrę ten list na strzępy i dorzucę go do tego cholernego miecza w przepaści!

Zbiegła z wściekłością po schodach, kierując się do kaplicy, zostawiając Kaia samego przy rzeźbionej balustradzie.

\*

Szczotkowaty pędzel w dłoni Symona poruszał się w górę i dół, w górę i w dół, bardzo poprawnie, tak, by ślady po pociągnięciach zniknęły w ciągu kilku godzin. Miał wrażenie, że niby przymknięte ślebia żebrawków drzemiących pod balkonami śledziły każdy jego ruch,

dlatego ściskał pełne wiadro farby pomiędzy nogami. Już cały rynkowy podest był zielony, odnowiony i piękny. Przynajmniej z daleka.

Symon wziął wiadro do ręki i podszedł do tego miejsca, w którym wciąż widniała krew. Mimo półmroku, ciemne plamy prześwitywały przez trzy warstwy farby, i Symon domyślał się, że jedyne, co może zrobić, by zachować życie, to wykosztować się na pomoc maga. Zaklął siarczyście, podejrzewając, że za całą tę robotę zarobi finalnie niewiele więcej niż zaśpiewa sobie mag.

Nie był skupiony na wiadrze w dłoni tylko przez chwilę. Tyle wystarczyło.

Kupa szmat wybiegła z ciemności i chwyciła wiadro obiema brudnymi rękami. Symon szarpnął za kawałek „ubrania” chłystka, lecz ten wyrwał się, rozchlapując tylko trochę drogocennej farby. Nie był zbyt szybki i Symon z pewnością dałby radę go dogonić, gdyby nie dwie kupy szmat na wyższych chłystkach, które stanęły przed nim z wyprostowanymi przed siebie brudnymi rękami, gotowe do blokowania drogi. Symon zatrzymał się, nie chcąc, by go dotknęli i zarazili czymś więcej niż smrodem. Złodzieja farby nie było już widać, a spod krużganków wypełzała reszta żebraków, by podążyć jego śladem. Symon zaklął szpetnie, draby posłały mu ostatnie ostrzegawcze spojrzenie i rzuciły się pędem w tę samą uliczkę, w której zniknął złodziej.

Skylle biegł, ile sił w nogach, już ich właściwie nie czując, czując tylko wiadro w swoich objęciach, skurcze w swoim brzuchu i noże w swoich płucach. Mało widział i mało słyszał, aż był na obrzeżach, na kawałku zieleni, na którym mógł przykleknąć, by złapać oddech i odłożyć wiadro. Reszta, która za nim biegła, choć jej nie słyszał, ale wiedział, że tam jest, usiadła wokół, chwaląc go i zacierając ręce. Potem Korf wyciągnął z kieszeni rybie pęcherze, które obrobił z Mate, a Mate wyciągnął łyżkę i wydzielał każdemu farbę. Skylle dostał trzy pęcherze za to, że się narażała; dwa z nich zawiązała, by mieć je na później, i schowała je pod koszulą, modląc się, że nikt mu ich nie ukradnie. Z nie zasznurowanym pęcherzem odszedł na bok, by przynajmniej udawać, że jest sam, i że nikt go nie widzi. Wszyscy cieszyli się, że Arfo zginął, porwany przez jakieś zboczeńca albo łowcę niewolników, bo nie musieli się z nim dzielić. Skylle trochę też się z tego cieszył. Usiadł na trawie, przystawił pęcherz do ust, otworzył je i zaczął wdychać upajające opary farby. Czekał, aż ból w brzuchu umilknie, i czekał, i czekał, aż zaczął myśleć, że ta farba musi być jakimś bublem, ale wtedy ból minął jak za dotknięciem różdżki i Skylle zaczepnął świeżego powietrza, a ono przeszyło jego płuca życiodajnym wiatrem.

Leżał na plecach, i niebo leżało nad nim, a na nim gwiazdy, które robiły się tym jaśniejsze, im niebo ciemniejsze. Korf też leżał obok niego, i wkrótce też Kilon, i być może

nawet Arfo, i pewnie inni też, i ktoś wrzeszczał na Mate, ale wtedy Skylle zaciągnął się kolejny raz, i nie słyszał już nic nieprzyjemnego, tylko cykady ukryte w trawie, których, miał nadzieję, żaden z nich nie zgniótł. Zaciągał się znów, by nie myśleć o tej możliwości.

Kiedy wracał do domu, przysypiał, ale nie zatrzymywał się. Nie mógł zasnąć na ulicy tej nocy, bo ktoś z pewnością ukradłby jego pęcherze. Nie mógł też zasnąć w progu domu, bo nie zniósłby min Itsuka i Moth. Musiał paść na swoje legowisko, a wcześniej schować pęcherze pod luźną deską, żeby nie zgniótł ich niechcący przez sen.

Itsuk, Moth i Gideon, mimo gorąca, spali razem. Mądra baba powiedziała, że Gideonowi jest cały czas zimno, więc trzeba go grzać, i tak leżeli, pocąc się jak świnie, ledwo oddychając, ale jakimś cudem zasypiając. Skyllego wkurwiało, że w ich mieszkaniu nigdy nie jest dobrze – w zimie zamarzają, w lecie się palą, a na jesień i wiosnę przecieka sufit. Wkurwił się tak, że nie mógł przestać o tym myśleć i siedział na swojej leżance, zastanawiając się, czy nie pociągnąć ostatni raz z pęcherza, ale nie chciał, żeby Itsuk albo Moth poczuli zapach farby. Do tego, Skylle nie był pewny, jak to działa, ale wolał nie ryzykować, że opary z drugiego pokoju choć trochę podtrują Gideona.

Toteż położył się, nie nakrywając kocem, i leżał, śledząc wirujące pęknienia i plamy na suficie, i zasypiając z nadzieją, że obudzi się jeszcze bez skurczów, a kiedy niechybnie nadejdą, może nawet wytrzyma z nimi do południa.

\*

Kai nigdy nie był w Modrym Oku na Święcie Gościnności. Uczestnictwo w nim nachmurzało jego ojca, a ekscytowało jego matkę, i Kai, ku swojemu zdziwieniu, przyłapał się na empatyzowaniu ze swym ojcem. Za dzieciaka uwielbiał Maldevare. W Pamięci podejmowane były z tej okazji rodziny lenników, jednak dzieci nie musiały brać udziału w powitalnym tańcu, toteż Kai tylko czekał, aż wszyscy będą na tyle pijani, by nie zwracać uwagi na coraz bardziej ryzykowne zabawy znudzonych dzieciaków. Teraz był jednak dorosły i musiał chwycić dłoń Cerro i unieść ją wysoko, by utworzyli taki sam łuk jak ramiona Myrona i Habren przed nimi, i harona i haronei Oakter za nimi. Para królewską szczerzyła się w przestrzeń, prowadząc za sobą „most” w rytm odrobinę zbyt entuzjastycznego, jak na sztuczną nogę Kaia, rytmu, aż Myron nakazał szambelanowi otworzyć drzwi.

- Jego Wysokość Musure I dynastii Hanaka, Król-Opiekun Hamari, Najwyższy Kapłan Tancerki, Ukażany W Wizjach i Dziedzic Krwi wraz z małżonkami Danutą z Derago i Kairo z Ogu!

Kai po raz pierwszy w życiu zobaczył elfa. Po raz pierwszy w życiu zobaczył człowieka z dwiema żonami. Po raz pierwszy zobaczył króla innego kraju niż Święta Unia.

Musure był jedynym władcą, który odpowiedział na zaproszenie osobiście. Był on usurpatorem, który zniszczył diarchiczny system Hamari i przyłączył do swego państwa Rampon, którego władze „wyraziły pragnienie zjednoczenia ze swymi północnymi kuzynami” z pobudek czysto sekciarskich – Musure był kapłanem Tancerki, członkini zamorskiego panteonu bogów, której doktryny wydawały odnosić się tylko do przyjemności cielesnych, intensywnych emocji i buńczucznego stylu życia. Tyle Kai przynajmniej usłyszał z odczytywanych podczas zboru raportów, a sam był zbyt zajęty Ludźmi Nieba, by interesować się tym drugim kontynentem pełnym niezliczonych kultur, religii i języków. Raporty sugerowały też, że władze Ramponu już żałują swej decyzji, a były kraj jest rozdarty i wyludnia się, niekoniecznie na korzyść Hamari. Żadnego z tych zmartwień nie było widać ani po królu, ani po jego żonach – Musure był wysoki, długowłosy, z dzieciowatym nosem, spiczastym podbródkiem i ostro zakończonymi uszami wystającymi spod włosów. Kai pomyślał, że wygląda podobnie do Myrona – choć włosy Myrona były zdecydowanie ciemniejsze, a budowa jego ciała bardziej imponująca. Jego drugi związek był również ukrywany, podczas gdy Musure nie widział powodu do poufności i trzymał za ręce dwie kobiety, kiedy przebiegał pod mostem z rąk mieszkańców Świętej Unii, by zająć miejsce na jego końcu. Być może było to odrobinę niegrzeczne w stosunku do ich monogamicznej tradycji, lecz nikt z gospodarzy nie dał po sobie poznać oburzenia – wszyscy uśmiechali się jak głupki i rozsunęli trochę szerzej, by następni goście nie obijali się o nich tak brutalnie.

Berło szambelana huknęło o podłogę.

- Markiza Liliyah dynastii Madeiów, Wschodząca Cesarzowa, Dziedziczka Gryfa i Strumień Mądrości, oraz ambasador Glanek Riota z Ronedanu!

Córka cesarza największego na świecie kraju po Świętej Unii była niziutka i jasnowłosa, z wiankiem stokrotek koronującym jej rozpuszczone włosy, podczas gdy jej towarzysz był wysoki i opalony, a do piersi na kubraku przyszurowane miał stokrotki i koniczynę. Sklonili się, szeroko się uśmiechając i zachowując przeszywający kontakt wzrokowy z parą królewską, zanim przebiegli pod łukiem ramion.

- Ambasador Eiko goa Maruta oraz ambasador Deoki goa Saskono z Aeoru!

Łączniki w nazwiskach dwóch elfów z najbogatszego kraju na świecie znaczyły, że należą do najwyższej rangi obywateli republiki. Mogli przygotowywać i przegłosowywać ustawy, które były zdolne zmieniać ustrój całego kraju. Musieli też być tak bajecznie bogaci, że przy ich wysadzanych diamentami płaszcach rubinowy diadem Myrona wyglądał jak błyskotka z pchlego targu. Kai miał nadzieję, że Aeor wyśle kobietę jako reprezentanta, choćby tylko po to, by rozzłościć haronów. Aeorowi zależało jednak na dobrych kontaktach ze Świętą Unią – być może bardziej niż z krajami na ich rodzimym kontynencie. Mężczyźni nawet nie złapali się za ręce, kiedy przebiegali pod łukiem.

- Książę Magin Erwin dynastii Dekuuna, Trzynasty Po Tauterze III, Profesor Niezwykły Akademii Sztuk Magicznych Andavatena Skarli w Bibbon, i ambasador Sarven Taluk z Karattu!

Magin wydawał się zbyt młody, by być profesorem, a jednocześnie zbyt stary, by mieć nadzieję na to, że kiedykolwiek zasiądzie na jakimkolwiek tronie. I on, i jego towarzysz mieli krótkie rękawy odsłaniające ich skórę w bajecznie ciemnym odcieniu, który Kai widział ostatnio w Strażnicy Świata, w skórze Sygieta, wodza Totha, Atiana... Książę miał rękawiczki, które bardziej symbolicznie niż skutecznie ukrywały jego stygmaty, a ramiona ambasadora wytatuowane były w gęste i ruchliwe abstrakcje tak zachwycające, że wiele osób, i pośród gospodarzy, i gości, westchnęło z zachwytu.

- Książę Kodar dynastii Levki, Trzeci Po Hauputrze I Szklanookim, i Księżniczka-Małżonka Priyanka z Delgattu!

Kobieta ciągnąca za sobą welon czarnych perel i ogromny mężczyzna z perłami wplecionymi w krzaczastą brodę upadli przed gospodarzami na jedno kolano, zanim pobiegli, śmiejąc się dziko i jazgocząc kosztownościami.

- Ambasador Kerkki Shomel-II i ambasadorka Tuula Ritan-II z Gergeru!

Potomkowie wymarłych już krasnoludów byli krępi, mieli gęste włosy i grubo ciosane twarze. Oboje trzymali w rękach futra, pewnie przyzwyczajeni do zimnego klimatu, nie wierzący, że w Świętej Unii trwa pełnia słonecznego lata. Kai próbował sobie przypomnieć, co znaczą przyrostki ich nazwisk. Czyżby chodziło o ich status matrymonialny? Coś takiego. Kiedy przebiegли, pociągnął nosem z przyjemnością, bo rozpostarł się za nimi jesienny zapach brzoskwiń, dyni i cynamonu.

- Księżniczka Fanako dynastii Ganme, Szesnasta Po Umaki XII, Protektorka Biały Równin i Honorowa Członkinia Panoskiego Klubu Książki, i ambasador Aigako Eruda z Noveshu!

Niektórzy zaśmiali się, słysząc o klubie książki, ale Kai nie śmiał, nie chcąc popełnić kulturowej gafy. Co, jeśli książki są tam czymś tak ważnym jak azyrydy w Świętej Unii? Nie byłoby to dla Kaia wcale takie złe miejsce do zamieszkania, choć plotki o niegościnności elfów z Półwyspu Inigamskiego niosły się daleko i szeroko... Reprezentanci ostatniego z elfickich państw wyglądali dość komicznie – księżniczka była wiekowa i pomarszczona, a ambasador młodziutki, z cieniem wąsa i pyzatą twarzą

- Harmala Miy i baron Aadral Pio z Vibeyanu!

Kapłanka rosnącego w siłę kultu bogini miłości miała szokująco głębokie wycięcie w dekolcie zwiewnej różowej szaty, a zapach jej owocowych perfum otaczał ją jak niewidzialna, ciężka chmura. Jej towarzysz wyglądał na co najmniej oczarowanego, kiedy biegł z nią pod „mostem”, cały czas zahaczając głową o jego „strop”.

- Pelg Sesmos Igravith i pelg Klavier Kannut z Somnargeru!

Podobno krasnoludy były niższe od przeciętnego mieszkańców Świętej Unii, lecz tych dwóch ich potomków było nie aż tak małego wzrostu Kaia. Nie mieli bród i tonęli w grubych, strzelistych zbrojach stylizowanych chyba na płomienie, a może na bardzo gęstą i potarganą sierść. Sklonili się lekko, zanim chwycili za dlonie i przebiegli pod łukiem, odprowadzani wzrokiem haronów, którzy zapewne pierwszy raz w życiu widzieli dwóch mężczyzn trzymających się za ręce.

- Magin Hrabia Danos Ze' Artedau i Magin Hrabia Kat Poni' Krios z Ogbarantu!

Dwóch mężczyzn było ubranych w stroje tak szalone, że Kai ledwo zdążył rozszyfrować gęsty makijaż na ich twarzach, peruki, w których coś się ruszało, i fakt, że jeden z nich miał na sobie spódnicę, zanim ci chwycili się za ręce i świsnęli na koniec korowodu.

- Książę Lue dynastii Varkold, Trzeci Po Igisie II, i harmal Bov z Nantesalii!

Arystokrata i kapłan Tancerki, ubrany w tak samo głęboki dekolt jak harmala Miy, również chwycili się za ręce i Kai bardzo chciał już przestać to odnotowywać, ale nie potrafił, i miał nadzieję, że jego głupawy uśmiech zostanie zinterpretowany jako dobry humor.

- Ambasador Vaur Lebans i klee Płonący Oręź z Vedraru!

Urzędnik i rycerz, którego oczy jarzyły się złowrogim blaskiem z otworów w przyłbicy, również uklękli na jedno kolano przed haronami i rodziną królewską, zanim chwycili się za ręce i rzucili w zataczający kręgi ciąg par.

- Książę Kavanasz dynastii Delgassi, Piąty Po Yanie III, Postrach Wampirów, i Księżniczka-Małżonka Magini Rona z Aklemy!

Książę nie rozstawał się z dłonią swej ubranej w bardzo przylegające do ciała spodnie żony – dłonią uzbrojoną w skryte pod rękawiczką magiczne stygmaty.

- Hrabia Jaedel Nibett Mandal i baron Kitoshi Irquett Tarulom z Javanagh!

Baron o elfim pochodzeniu był młodziutki i kościsty, podczas gdy hrabia wyraźnie nie przymierał głodem. Zamiast za dlonie, złapali się za ramiona, zanosząc się śmiechem i rozbijając o „filary mostu”.

- Ambasador Uuan Berkazzez i ambasador Meggakk Iadden z Iggaverry!

Ubrani w zwiewne, barwne i skąpe szaty mężczyźni bardziej ślizgali się niż biegli przez coraz dłuższy tunel, równocześnie wrzeszcząc wniebogłosy. Kai na ten dźwięk aż podskoczył, lecz większość gości tylko się śmiała.

- Rirra Omaska Vivec i rirra Noel z Sadwick z Vayaku!

Mieszkańcy Vayaku, którzy byli agresywnymi odludkami wierzącymi, że pochodzą od syren, uważani byli za największych dziwaków żyjących na terenie Znanego Świata – dwaj rycerze-reprezentanci tylko ten stereotyp potwierdzali. Choć w pełnej zbroi, byli bosi, a do pasów przytroczone mieli martwego jeża i wiewiórkę. Ich twarzy nie było widać wyraźnie zza kłębów splątanych włosów, które wydawały się przypadkowo przykleić do ich twarzy, a nie z niej wyrastać. Rybi odór towarzyszył każdemu ich pokracznemu krokowi.

- Ambasador Sael Pan Ma Vael i ambasador Kail Har Hat Xail z Qukkmeru!

Kai uznawał za ciekawe, że podczas komponowania listy gości, która oczywiście wysyłała jasne sygnały polityczne, zdecydowano się wcześniej wywołać bluźnierców czczących własnego króla jako boga niż te kraje, w których diakorr miały dość duże wpływy.

- Ambasador Iger Hao Ivn Tiger i ambasador Tukk Mao Iri Shuk z Xaniyanu!

Członkowie „bliźniaczych” narodów zostali więc wywołani obok siebie, lecz Kai miał szczerą nadzieję, że będą usadzeni przy dwóch różnych stołach – Kai słyszał, że raz, kiedy był mały, a stół był tylko jeden, ambasador Qukkmeru nie przeżył starcia ze śmiertelnie obrażonym ambasadorem Xaniyanu.

- Ambasador Geon Atshivak i ambasador Peus Hadec z Mandatu!

Królowa Mandatu nie przysłała więc żadnych kobiet-reprezentantów. Być może rozsądnie. Być może tchórzliwie.

- Dom Shaura Filander i dom Kava z plemienia Naezev z Sesmonu!

Jedyne w znanej historii cesarstwo, w którym kobiety były jedynymi dziedziczącymi władzę, nie zawiodło. Shaura ubrana była w ciężką, zapierającą dech w piersiach złotą zbroję i hełm ukształtowany na podobieństwo aligatora, a diakorr Kava miała na twarzy tatuaże przypominające kolorowy pysk pawiana – za jej nogami ciągnęło się kilka uciętych małpich ogonów. Nie chwyciły się za dlonie, kiedy biegły pod łukiem.

Szambelan zamknął drzwi, a Myron i Habren prowadzili wijący się, roześmiany korowód, w rytm skocznej melodii.

- Musimy ich wszystkich zapamiętać? – Przy obecnej głośności pytanie Cerro brzmiało niemal jak szept.

- No co ty – odparł Kai, szczęśliwy, że odezwała się, mimo swojego kilkudniowego obrażenia. – Jak kogoś będzie trzeba, to zapamiętasz.

Wyglądało na to, że Gomora znów nie przysłała posłów. Stosunki pomiędzy Świętą Unią a państwem rządzonym przez gildię egidów od zawsze były napięte – odzwierciedlały to legendy zarówno w jednym, jak i w drugim kraju, a także liczne potyczki pomiędzy flotą felsidów wschodnich a morskimi jednostkami egidów. Minęło już dziesięć lat, odkąd stoczyli ostatnią prawdziwą bitwę, ale na zaproszenie z okazji Święta Gościnności nie odpowiadali od ponad dwudziestu.

Chociaż...

Szambelan otworzył drzwi, jakby ktoś się do nich dobijał, i rzeczywiście, w progu stanęły dwie postaci. Jedna była drobnutka i niska, a druga wysoka i szeroka jak góra. Pokazali strażnikom pismo. Ci odebrali im broń i wskazali na wrota sali tronowej. Kai wykręcał głowę i mrużył oczy, nie mogąc się doczekać, aż wyjdą z cienia. Kiedy wyszli, nie zawiódł się.

Było to dwóch elfów. Mała elfka miała ścięte po męsku jasne włosy, ogromne, podłużne, chabrowe oczy i drobne blizny na twarzy. Jej ciało pokrywała tania, zużyta zbroja. Jej towarzysz był ogromnym brodaczem w krwistoczerwonym egidzkim kubraku. Rozglądał się ciekawko, jakby chciał się roześmiać. Jakby wszystko wokół niego było dość zabawnym zbiegiem okoliczności. Szambelan zwołał z holu jednego z tłumaczy – Lourdesa we własnej osobie, który, choć znał po trochu każdego elfiego języka, miał być tego wieczoru tłumaczem aklemskiego – a tłumacz zagadnął o coś dwójkę przybyszów. Odpowiedział mu mężczyzna, a Lourdes przekazał to szambelanowi, który huknął berłem w posadzkę, lekko pobladły.

- Jej Wysokość Kiuko z Shiruki, Królowa-Opiekunka Hamari, Ukażana W Wizjach, i ambasador Rekkin z Gomory!

\*

Jelita maga wylądowały w blaszanej misce z ohydnym plaśnieciem, tuż obok jego serca i nerek. Meglyne nie chciała patrzeć, a jednocześnie nie mogła przestać. Ludzkie organy były znacznie mniejsze niż sobie wyobrażała. Kruche i sflaczałe.

Chevita otarła czoło wierzchem rękawicy, zostawiając na nim krwawą smugę. Cmoknęła, niezadowolona, i zsunęła materiał z dwóch nastygmatyzowanych palców. Przesunęła nimi po smudze, a ta znikła jak za dotknięciem róźdżki.

Mieszkańcy Świętej Unii byli oszczędni, jeśli chodzi o używanie magii – popisywanie się magicznymi sztuczkami uważano za niegrzeczne, dlatego Meglyne rada była widzieć każdy, choćby najmniejszy czar. W sumie rzecz biorąc, cały proces usuwania organów był czarodziejski – moc Chevity nadawała jej palcom odpowiednią delikatność, precyję, a czasem ostrość równą ostrzu skalpela. Jednak w żadnym stopniu nie była to wielka magia, o której ujrzeniu Meglyne marzyła. Na przykład taka, która jest w stanie stworzyć olbrzymiego duchowego wilka-strażnika.

Podczas gdy one kisiły się w zatęchłym lochu, w zapachu formaliny, ambasadorzy zza Wielkiej Wody tańczyli, objadali się lub popisywali czarami dla czystej zabawy. Nikt ze Świętej Unii, poza haronami i rodziną królewską, nie mógł uczestniczyć w uczcie z okazji Maldevare, jednak Meglyne miała nadzieję, że uda jej się zobaczyć któregoś z magów-ambasadorów. Najlepiej w momencie, kiedy będzie się popisywał.

Chevita wrzuciła do miski trzustkę Człowieka Nieba i Meglyne zawstydziła się. Powinna być myślami z jego duszą. Powinna pograżyć się w poczuciu winy – to ona zaoferowała mu tę kąpiel. To ona dała mu okazję do odebrania sobie życia. Wykorzystała go i zostawiła w zamknięciu, w kalectwie, a być może był człowiekiem z jej ludu, który jako jedyny rozumiał jej język. Nie powinna myśleć o uczcie i zagranicznych gościach.

Chevita chwyciła za głowę maga i otworzyła jego czaszkę tak jak otwiera się jabłko. Zakrwawiona breja w środku przypominała chmarę tłustych, fioletowawych larw.

- Czasem mam ochotę tak zrobić Haronowi Mądrości – mruknęła Chevita.
- Przeprowadzić mu sekcję? – spytała Meglyne.
- Sprawdzić, czy ma mózg.

Objęła breję dłońmi i wyciągnęła ją z kościanego naczynia. Uniosła na wysokość oczu i przyjrzała się jej dokładnie.

- Nieszkodzony, niewyróżniający się niczym. A wystarczy jeden zwój, żeby przygotować Eliksir Długiego Snu albo rzucić Klątwę Księżycową. Albo mieć tydzień haju.

- Haju?
- Pewnie. Jeśli nie brzydzi cię kanibalizm.

Wyplątała jeden ze splotów i wrzuciła go do misy w rękach Meglyne. Potem drugi i trzeci. Wszędzie było pełno krwi i flaków.

- Co z tym zamierzasz zrobić, magini?

- Zbadać. Wykorzystać.  
- Tego człowieka nie powinno się w końcu pochować?  
Kolejny zwój plasnął o dno misy.  
- Znasz metody pochówku Ludzi Nieba?  
- No nie, ale...  
- Ja też nie. Poza tym, jest już martwy. Niczego nie chce i nikim nie jest. Po co jego moc ma się marnować?

Meglyne nie odpowiedziała.

- Coś cię trapi, dziewczyno?  
- Nie trapi. Zastanawiam się tylko, co się stanie ze mną, kiedy umrę.  
- Nic się z tobą nie stanie. Ty nie będziesz już istnieć.  
- Z tym, co kiedyś było moim ciałem.  
- Zależy, jak umrzesz. Mnie już dawno nie będzie, żeby zrobić ci sekcję. O to możesz być spokojna.

- A gdybyś była? Magini.  
- Tak bardzo zależy ci na tym, żeby twoje truchło gniło w ziemi?  
- Chyba wolę to niż żeby ktoś robił z niego trucizny i narkotyki.

Magini uśmiechnęła się kwaśno.

- Na szczęście twoja wola po śmierci nie ma żadnego znaczenia.

Ostatni kawałek mózgu spoczął na wierzchu stosu organów.

W sumie rzecz biorąc, w Modrym Oku było niewiele okien – w klitce, w której mieszkała Meglyne, nie było ani jednego. Trudno było też znaleźć jakiekolwiek okno w pobliżu – konstrukcja zamku wzynającego się w skały nie pozostawiała wielu opcji. Jednak Meglyne była już prawie artefaktorką i umiała wykorzystywać poznane sekrety.

Chevita powiedziała, że Meglyne nie będzie nigdy „prawdziwą” artefaktorką, ale skąd ona może wiedzieć? Szukanie i kolekcjonowanie tajemnic tego świata nie jest przecież zarezerwowane dla tych obdarzonych talentem magicznym – wystarczy choćby spojrzeć na zainteresowania i osiągnięcia Kaia. A choć Meglyne nie umiała wypuszczać iskier z palców, w jej ciele wciąż była moc. Mnóstwo mocy.

Strażnicy stali w korytarzach tak ciasno, że trudno było zobaczyć choćby czubek głowy któregoś z ambasadorów zza Wielkiej Wody, a co dopiero jego potencjalne stygmaty. Gwardziści z odświętnymi azyrydami w dłoniach posłali Meglyne groźne spojrzenie, kiedy skierowała się do swojej sypialni.

Przekręciła kluczyk, kiedy znalazła się w środku. Przykłęknęła na podłodze, by otworzyć jedną z szuflad, z której wyciągnęła pusty, na pozór, słoiczek. Wytrząsnęła z niego drobne, czarne rzęsy, które zebrała w kupkę na kawałku posadzki. Do opustoszałego naczynia wsunęła oślizgły kawałek mózgowego zwoju – na tyle drobny, że Chevita nie miała prawa się zorientować, choćby była jasnowidzem. Taką przynajmniej Meglyne miała nadzieję. Schowała słoik z powrotem do szuflady i zajęła się rzęsami.

Pozbierała dokładnie drobne czarne nitki z podłogi, zaciskając je w pięści, i wyciągnęła spod łóżka małe kadzidełko, które pożyczyła z królewskiej krypty cmentarnej – Kai jej pozwolił. Powiedział, że martwym nie przeszkadza, jeśli Meglyne aż tak się spodobało. Miała też eleganckie, praktyczne krzesiwko, z którego wykrzesała iskrę opadłą na kadzidło. Odstawiła je, przykrywając kubkiem, żeby mogło się w nim sklebić nieco dymu.

Przysunęła do nosa malutkie lusterko stojące na komodzie i chwyciła palcami prawej ręki za najdłuższą rzęsuszeczkę prawnego oka – pociągnęła mocno, krzywiąc się, lecz już nie sycząc i nie jęcząc. Przyzwyczaiła się, odkąd zaczęła je wyrywać, a mogła codziennie pozbyć się tylko jednej z każdego oka, żeby Chevita się nie zorientowała. Kolejna rzęsa dołączyła do reszty, po czym Meglyne zajęła się drugim okiem. Poszło jej szybko i sprawnie. Otarła umęczoną łzę z policzka i była gotowa.

Odkryła kadzidełko, wrzuciła do niego rzęsy i natychmiast przyłożyła do niego nos, by zaciągnąć się dymem, poprawiając też tym, co zostało w kubku. Dym najpierw pachniał jak dym, potem jak woda, potem jak trawa, a potem jak słodycze. Meglyne przymknęła oczy, oddychając głęboko i głośno.

Głośno i głęboko.

Myślała, że jej powieki będą ciężkie, ale wcale tak nie było. Jej stopy, oczy, łokcie, wszystko było leciutkie. Spojrzała na ścianę, ale nie zobaczyła tego od razu. Miała ochotę przyłożyć ucho do ziemi, by sprawdzić, czy coś się zmieniło, jednak wtedy poczuła. Gdyby to było widzialne, opisałaby to jako pulsujące, mgliste fale, które się coraz bardziej zbliżały – a chociaż nie mogła tego zobaczyć, samo czucie jej wystarczyło. Czucie dokładnych kroków wszystkich tańców, czucie koloru stygmatów ambasadorki Aklemy, czucie rozmowy dwóch ubranych na biało mężczyzn, których języka nie rozumiała.

Położyła się na łóżku, uśmiechając szeroko do ściany, za którą było jeszcze kilka ścian, a dopiero potem sala tronowa. Właśnie zrobiła swoje pierwsze czary – i zadziałały! Była w stanie to zrobić, była w stanie czarować. Mogła być artefaktorką, mogła być, kim tylko chciała. Mogła teraz odpreżyć się i zamknąć oczy – a i tak widziała.

Sala tronowa była nie do poznania. Była pełna ludzi nie trzymających się protokołu. A raczej trzymających się swoich własnych protokołów. Niektórzy co jakiś czas tukli w blat stołu, jakby grali na bębnach; niektórzy rozmawiali tak głośno i żywo, że tłumacze ledwo za nimi nadążali; niektórzy wąchali podejrzliwie każdą potrawę; niektórzy, jak na przykład król Hamari, rzucali pucharami o posadzkę. Myronowi tak się to spodobało, że wkrótce obie koronowane głowy stały, domagając się więcej talerzy i tukując nimi o ściany, z których wykruszały się wiekowe freski. Kai cieszył się, że jego miejsce przypadło przy drugim stole, ale i tak czuł się nieswojo, kiedy tłumacz jego i Cerro dyszał im w karki, a oni wstydzili się odezwać sami do siebie.

Cerro uśmiechnęła się niezręcznie do siedzącej naprzeciwko księżniczki Priyanki, która obserwowała ją uważnie, szepcząc coś do swego tłumacza. Kiedy skończyła, ten przeszedł cały stół, by pochylić się nad Cerro.

- Księżniczka Priyanka chciałaby wiedzieć, w którym jest Wasza Miłość miesiącu, jeśli nie jest to zbytnie przekroczenie intymności.

Cerro, która unosiła łyżkę do ust, opuściła ją, zmieszana.

- Chyba u progu piątego...

Tłumacz ukłonił się głęboko i wrócił do Priyanki. Ta pokiwała głową z uśmiechem i znów zaszeptała do tłumacza. Ten przeszedł cały stół ponownie, by zaczepić Cerro.

- Księżniczka Priyanka pragnie przekazać swoje gratulacje, a także pochwalić się, że sama jest w połowie drugiego.

- Hmm, bardzo... dziękuję.

- Markiza Liliyah – Kai podskoczył na dźwięk głosu w swoim drugim uchu – pragnie zauważyc i pochwalić niezwykły kolor włosów harona.

Liliyah popijała wino, słuchając innego tłumacza gestykulującego żywio.

- Bardzo dziękuję – odpowiedział Kai, czując, jak jego twarz zbliża się kolorem do jego niezwykłych włosów. – Możesz jej przekazać, że również ma ładne włosy.

Tłumacz ukłonił się i odszedł, odsłaniając ponure, wodnistre oko rycerza z Vayaku wbite w twarz Kaia.

Kai uśmiechnął się blado i przyzwał gestem tłumacza vayackiego.

- Możesz zapytać pana siedzącego obok mnie, jak mu smakujejadło?

Tłumacz wydał z siebie serię obcych dźwięków. Wojak odburknął jedno słowo i wrócił do zupy grzybowej.

- Smakuje – odpowiedział tłumacz.

Kai pokiwał głową i odprawił go, czując płomienie w swoich policzkach.

Im więcej wina, gorzałki i nalewek wypełniało puchary biesiadników, tym huczniej upadały barierę językowe i kulturowe. Nim nadeszła północ, wiele osób wstało od stołów, by prosić muzykantów o ulubiony repertuar, lub podążało za swymi tłumaczami, chcąc rozmawiać z obcokrajowcami twarzą w twarz. Kai obserwował gromadę barwnych ludzi z fascynacją, podziwiając ich niemal skandaliczną otwartość w wyrażaniu uczuć i poglądów. Wojowniczka z Sesmonu tańczyła lekko i zwiewnie, mimo pełnej zbroi, a ambasadorzy z Qukkmeru i Xaniyanu obejmowali się, wyając pijacką pieśń. Kai widział, jak haronom opadały szczęki na widok publicznych pocałunków wymienianych przez przedstawicieli tej samej płci, jak próbowali sztywno tańczyć, jak, rozochoceni atmosferą, sami opowiadały żarty i deklarowali miłość do swych żon, i co chwilę miał ochotę pokazać Cerro jakąś skandaliczną scenę, ale bał się, że znów powie coś, co przypomni mu, że nienawiść Cerro jest nieskończona i nieodwoalna.

Gdyby nie ten strach, pewnie już by tańczyli... W sumie, czy aby na pewno? Pamiętał ten felerny wieczór Zakwitania, który spędził wraz z Cerro w mieście, i wiedział, że oboje są w stanie lubić tańczyć. Tu jednak było zupełnie inaczej. Dlaczego częściej nie wychodzili z Cerro do miasta, kiedy się tak kochali? Dlaczego nie wychodzą teraz, kiedy Kai powinien robić wszystko, żeby wynagrodzić jej cierpienie? Powinien to zmienić. Powinien zrobić wszystko, żeby była szczęśliwa. Powinien się z nią na coś umówić pod pretekstem rozwijania jej bitewnego talentu - szczególnie, że treningi sprawiają jej coraz większą trudność. Choć, oczywiście, nigdy się do tego nie przyzna. Tak samo jak on się nie przyzna, że czasem ledwo daje radę chodzić z tą przeklętą nogą...

Chciał podejść do kogoś, lecz sam nie wiedział, do kogo – najchętniej do każdego. Gdyby nie ta nogą, która paliła i teraz wydawała mu się nie cudem techniki magicznej, ale śmieszny patykiem, na którym mógł tylko pokracznie kuśtykać. Gdyby nie brak jego ucha, który nagle wydał mu się tak ewidentny, że co chwilę nerwowo przygładzał włosy.

Zataczający się ambasador z Iggavverry chwycił go za ręce, szczebiocząc w swoim języku. Jego kapelusz był przekrzywiony, a szal ciągnął się smętnie za jego plecami. Tłumacz natychmiast był przy nich, sprzeczając się o coś z ambasadorem – w miarę przyjacielsko, Kai miał nadzieję. W końcu Iggavverrczyk puścił jego dlonie, zrobił dziwny gest przy skroni, po czym chwycił za rękę Cerro.

- Ambasador Irdden chciałby z tobą zatańczyć, Wasza Miłość – powiedział tłumacz.

Cerro posłała Kaiowi przerażone spojrzenie, lecz entuzjastyczny Iggavverrczyk już ciągnął ją na parkiet. Stała tam jak kołek, starając się zasłonić brzuch, którego w sukni o takim kroju i tak nie było widać, aż ambasador zmusił ją do dzikich obrotów i podskoków.

Kai wybuchnął śmiechem. Przyzwały do siebie tłumacza iggavverrskiego.

- Czego ambasador chciał ode mnie?

- Również z tobą tańczyć, Najszarszy Haronie.

- Dlaczego mi tego nie powiedziałeś?

- Najszarszy Haron musi mu wybaczyć za tę skandaliczną propozycję, nie wszyscy rozumieją tutejsze obyczaje...

- Może bym się zgodził.

- Dlatego właśnie najlepiej było mu zabronić...

Kai poczerwieniał jeszcze bardziej i odprawił sługę.

Nagle spostrzegł, że jego stół opustoszał – zostali tylko on i ambasadorzy z Gomory.

Nawet vayaccy rycerze stali pod ścianą z pucharami wina i rozprawiali żywo z Somnargerczykami. Elfka podająca się za królową miała twarz opartą na łokciach i wpatrywała się w coś bez mrugnięcia okiem – kiedy Kai podążył za jej wzrokiem, zobaczył króla Musure pochylonego w tańcu z płasającą żywą harmalą Miy. Obok niego Myron walcował z jedną z jego żon, a druga chichotała obok Habren wraz z tłumaczem pomiędzy nimi, zapewne komentując taniec Cerro i ambasadora Irddena. Kai powrócił wzrokiem do końca stołu – siedzący obok elfki egid miał ręce założone za głowę i podrygiwał stopą w takt muzyki. Spod jego długich brunatnych włosów wystawały długie, odstające uszy o ostrych zakończeniach. Kai bardzo próbował nie dać się przyłapać na gapieniu, ale egid sięgnął akurat po podłużne ciastko leżące na półmisku i go zobaczył – od razu wyszczerzył w kierunku Kaia zęby.

- Świecka wyżera! – krzyknął z obcym akcentem, lecz z perfekcyjną wymową hekkyrskiego.

Kai uśmiechnął się, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Elfka nasrożyła się i mruknęła coś do elfa – szepiali do siebie niezrozumiale, a Kai powrócił do wpatrywania się w gości, marząc, żeby Cerro wreszcie wróciła i żeby mógł wcielić w życie swój plan czynienia ją szczęśliwą, póki był zdeterminowany.

Po namyśle jednak westchnął głęboko, rozmasował obrzęknięte udo, wstał i przywołał tłumacza, który miał na kubraku godło przedstawiające olbrzymią diakorr umalowaną jak paw, która przyglądała się miejskim budynkom i roniła łzy formujące płynącą przez miasto rzekę.

- Chodź ze mną do pań z Sesmonu – nakazał śladze.
- Rozkaz, Szary Haronie.

Kai otulił się ciasno peleryną, jakby chciał w niej zniknąć. Miał wrażenie, że jego nogi boli bardziej niż zwykle, i że każdy widzi, jak uryka. Czuł, jakby zatrzaski zdzierały mu skórę i wbijały się w mięso, a te spojrzenia i tak były bardziej dotkliwe. Doczlapał w końcu do krańca stołu, przy którym siedziała diakorr. Na widok Kaia odsunęła krzesło i charknęła coś w swoim języku.

- Proszę siadać – przypisany jej sługa natychmiast pospieszył z tłumaczeniem.

Kai gestem odprawił tego, którego przywiódł ze sobą, po czym usiadł i uśmiechnął się przyjaźnie. Kava nie odwzajemniła gestu. Kai odkaszlnął niezręcznie, zastanawiając się, ile z tych rozmów zostanie potem powtórzonych przez tłumaczy Myronowi, Yazorowi lub komukolwiek innemu zainteresowanemu.

- Chciałbym wiedzieć, jak ambasadorce smakują potrawy.
- Ambasadorka chciała wiedzieć, co to znaczy „Najszarszy Haron”, a ja wyjaśniłem, że haron jest niemal świętym, ponieważ karmi, sądzi i naucza ubogich, wynalazł lekarstwo na zimową gorączkę, ma dwa święte miecze, stracił nogę i ucho w wielkiej walce przeciwko spiskowcom, szanują go generał i haroni dwa razy starsi od niego. Do tego był felsidem i zabijał morskie potwory. Czy dobrze?
- Eee... nie musiałeś być tak szczegółowy...
- Ambasadorka Kava twierdzi, że bardzo smakują jej tutejsze potrawy.
- Ciekawi mnie, czy wie, że mamy diakorr w Świętej Unii.
- Wie, haronie, choć są to inne klany. Liczne i stroniące od polityki, podczas gdy diakorr rządziły niegdyś połową Seleanu.
- Czytałem o tym w książkach do historii. Powiedz, że podziwiam wojoyniczość i upór mieszkańców Sesmonu czy coś w tym rodzaju.
- Ambasadorka pyta, czy prawdą jest, że w Świętej Unii ucina się kobietom rękę za trzymanie miecza.
- Nie jest to prawdą, dom Kavo. Za trzymanie miecza przywiązuje się kobiety do pręgierza i wymierza im trzydzieści batów. Mogą potem odejść, jeśli są w stanie.
- Ambasadorkę zawsze ciekawiło, dlaczego mężczyźni w Świętej Unii, używając jej słów, „boją się” kobiet.
- Istnieje mnóstwo legend, zabobonów, moim zdaniem, w których kobiety są przedstawiane jako złe, niemądre i słabe. Plyną one zapewne jeszcze z czasów, kiedy mieszkańcy Hekkyranu nie umieli pisać, siać i budować.

- Skoro według Najszarszego Harona to zabobon, to znaczy, że on się kobiet nie boi?
- Bynajmniej.

Tłumacz mówił znacznie dłużej niż Kai się spodziewał, a wzrok Kavy prześlizgiwał się po tańczących, aż trafił na Cerro.

- Co jej powiedziałeś?
- Że twoją żoną, Najszarszy Haronie, jest najbardziej wojownicza kobieta w całej Świętej Unii, a mimo to udało ci się ją poskromić i spłodzić z nią dziecko.
- Szary Człowieku...

Kava nachyliła się, wskazując końcem noża do masła na Cerro.

- Ta... - tłumacz zmieszał się na moment - ...niepozorna kobieta? Jest wojowniczką?
- Pewnego dnia być może będzie. Jednak nie chciałbym rozmawiać o tym, a o polityce.

- Dom nie jest tym zainteresowana. Najszarszy Haron powinien zaczekać, aż dom Shaura skończy tańczyć.

- Nie chodzi mi o politykę Sesmonu, ale samych diakorr. Czy dom nie byłaby zainteresowana integracją z tutejszym plemieniem?

- Jaka byłaby jej cena?
- Dom wydrukuje książkę przetłumaczoną na sesmoński i ten wariant *ygli*, którego używa jej plemię, i rozprowadzi ją wśród prostego ludu.

Kai wyciągnął z kieszeni płaszczu świeżo wydrukowany egzemplarz *Kodeksu Harona w służbie Świętej Uni* i podał go Kavie. Przekartkowała go bez zainteresowania. Tom wyglądał na jeszcze mniejszy w jej ogromnych dłoniach.

- Dom Kava jest pod wrażeniem, że książka jest już przetłumaczona na sesmoński. Chciałaby jednak wiedzieć, o czym jest ta książka.

- O wskazówkach dotyczących tego, jak być dobrym człowiekiem, popartych wieloletnimi badaniami pokoleń haronów.

- Dom pyta, dlaczego miałaby rozprowadzać religijną propagandę po Sesmonie.
- To nie jest religijna propaganda, bardziej dzieło filozoficzne z elementami pozwalającymi poznać kulturę i tradycje Świętej Unii, również tutejszych diakorr. W dodatku, to wydanie zaktualizowane o nowo poznane fakty historyczne. Wiedziałaś, dom, że diakorr narodziły się prawdopodobnie tutaj, i dopiero potem przybyły na twój kontynent? Świadomość tej historii zacieśniłaby integrację obu naszych narodów.

- Dlaczego Najszańskiego Harona interesuje integracja z narodem, który został zaproszony na ucztę jako ostatni? Czy nie powinien teraz rozmawiać o tej samej sprawie z markizą Liliyka?

- Pragnę zmienić krzywdzące prawa Świętej Unii i wierzę, że droga ku temu wiedzie poprzez integrację kulturową z ludem o skrajnie odmiennej kulturze.

Kava krzywiła się coraz bardziej i bardziej, słuchając tłumacza.

- Według dom Kavy, kultura Świętej Unii jest okrutna i dzika, a jej religia... Nie rozprowadzi książki, szczególnie w dobie jednego... niebezpiecznego kultu rozprzestrzeniającego się po Seleanie.

- Ta księga nie namawia do żadnej wiary, ale do przyzwoitości. To wręcz przeciwnieństwo tego, co dzieje się teraz, jeśli chodzi o harmalizm.

Kava mówiła długo, głośno i żywo, plując i pukając palcem w stół, zanim trzasnęła w niego ręką. Kilka osób już im się przyglądało. Potem zaczęła wydzierać kartki z *Kodeksu* i rzucać je na posadzkę, by na koniec oblać je koniakiem i cisnąć w nie świecą. Rozszarpana książka zajęła się płomieniami, budząc już znacznie większe zainteresowanie i wywołując przejęte okrzyki. Kava opuściła salę, nie patrząc nawet na zaferowanego szambelana wzywającego straż, a tłumacz pognał za nią, mamrocząc przeprosiny do Kaia, który zdążył zerwać się z krzesła, ale nie robił nic, by ugasić płomienie pożerające egzemplarz *Kodeksu*, nad którym tak długo pracował. Miał tylko nadzieję, że Maginotowi z Liliyka poszło nieco lepiej.

W płomieniach znalazła się ubrana w obcisłe czerwone spodnie nogą i zdusiła je takim ruchem, jakim zginiata się insekta. Noga w spodniach należała do kobiety ubranej w pelerynę tak rozległą, że można by ją uznać za suknię. Obok kobiety stał Lourdes.

- Księżniczka Rona jest zafascynowana twoim, haronie, wyborem sojuszników – powiedział, szczerząc się szeroko. W szykownym kubraku zapiętym po szyję, na którym widniało godło Aklemy, wyglądał dziwniej niż w swoich zwykłych posklecanych byle jak szmatach. – Skoro drzwi są otwarte, możecie wyjść na spacer po ogrodzie i porozmawiać o tej całej księżce. Albo o jakiejkolwiek innej. Oczywiście, przy jej mężu i twojej małżonce. Książę Kavanasz kipi zazdrością obficie niż hekkyrski chłop.

\*

Meglyne otworzyła oczy powoli i z rozkoszą. Dawno nie miała tak pysznej, głębokiej drzemki.

Drzemki?!

Usiadła gwałtownie i chwyciła się za przeszytą bólem głowę.

- Cholera!

Nie widziała i nie czuła już żadnych prądów płynących ze stygmatów ambasadorów.

Jak mogła tak po prostu zasnąć?! Czy przypadkiem nie udało jej się naćpać?!

Natychmiast wyskoczyła za próg swego pokoju. Z holu i sali tronowej dobiegały odgłosy muzyki, śmiechów i rozmów, jednak przejścia w korytarzu wciąż strzegli strażnicy łypiący na nią złowróźbnie.

To nic. Minęła ich bez słowa, ruszyła schodkami pod posadzkę i szła pospiesznym krokiem, aż bezceremonialnie weszła do kuchni.

Służki, znużone przygotowaniem uczty, natychmiast się ożywiły i schowały za spódnicami butle wina skradzione z królewskiej piwnicy. Lecz Meglyne nie była nimi w najmniejszym stopniu zainteresowana. Przemierzyła całe pomieszczenie, docierając do olbrzymiego, trzaskającego kominka.

- Panienko Meglyne, czy możemy ci w czymś...

Meglyne chwyciła za kubeł wody stojący na ławie i chlusnęła nim w palenisko.

- Co panienka wyprawia...?!

Meglyne schyliła się i weszła do środka, w ciemności wymacując wajchę. Kiedy jej użyła, usłyszała klik i mogła odsunąć ciężki płat kamiennej ściany skrywający ciemny korytarz.

- Nie polecie w nim, dopóki nie wrócę. Proszę – uśmiechnęła się na pożegnanie i zniknęła w ciemności.

Właściwie biegła przez mrok, jedną ręką wodząc po ścianie, drugą wyciągając przed siebie. Po części się spieszyła, a po części bała, i odetchnęła z ulgą, gdy jej dłoń natrafiła na ślepy zaułek i wymacała kolejną wajchę. Kiedy przeszła przez przejście, znalazła się w królewskiej krypcie i po chwili była już na zewnątrz, blisko pijackich okrzyków i śmiechów. Strzepała kurz ze spódnicy, wyplątała pajęczyny z włosów i ruszyła przez tłum, splatając ręce przed sobą, żeby wyglądać niewinnie, jakby była w miejscu, do którego była zaproszona.

Niektórzy z ambasadorów byli nieco... ekspresyjni, jeśli chodzi o okazywanie uczuć. Suknie niektórych dam odsłaniały więcej niż powinny. Języki niektórych znajdowały się głęboko w cudzych gardłach. Kobiety obejmowały kobiety, a mężczyźni mężczyzn. Mnogość słów i szybkość, z jaką tłumacze musieli je przekładać, była porażająca. Niemal upajająca.

Meglyne wiedziała, że eleganckim zwyczajem za Wielką Wodą jest noszenie rękawiczek zasłaniających stygmaty, toteż ich wypatrywała – te jednak gestykulowały

zawzięcie, tłumacząc coś, te nieskromnie podwijały skraj sukni, a te kurczowo trzymały za brzuch torturowany wymiotami. Meglyne w żadnym wypadku nie chciała nikomu przeszkadzać.

Mijała właśnie nowiutką, ledwo oszlifowaną fontannę wyobrażającą Wściekłą Wilczyczę goniącą za zajęcem, kiedy kamienne zwierzątko zeskozczyło z podium, zupełnie jak żywe, wywołując okrzyki uciechy wśród ambasadorów. Zajęc okrążyło jedną ze śmiejących się do rozpuku dam, po czym przykicało do Meglyne – obwąchało ostrożnie falbanę jej sukni i odbiegł, spłoszony złowrogim warkotem.

Wilczyca szczerzyła kamiennezęby, dumnie zstępując z podium. Para ambasadorów przylgnęła do siebie, spłoszona majestatem posągu – a wtedy jeden z mężczyzn wskoczył na jego grzbiet, niemal przesłaniając Wilczyczę kloszem swej wzorzystej peleryny. Statua wierzgała jak rozwścieczony byk, a człowiek krzyczał w obcym języku, jednak z wyraźną uciechą, której wtórowało przytakiwanie gapiów.

Wilk w końcu zrzucił ambasadora, a ten upadł, ubawiony, poprawiając przekrzywioną błękitną perukę, którą miał na głowie. Błyszczały w niej srebrne nici, pozłacane rozgwiazdy i chyba pływał przez nie statek albo jakiś stwór morski. Meglyne nie była pewna, ale była zachwycona. Dwóch towarzyszy zabaw przedko podniosło mężczyznę, a Meglyne zdążyła to zobaczyć – Znamię Motyla, zielonkawy wzór stygmatów biegnący przez jego łydki.

Magin pociągnął tego z podanego mu pucharu i zajęc wskoczył w jego rozpostarte ramiona. Czarodziej głaskał go z czułością, pozwalając dotknąć go innym, po czym wsunął rękę do wody na najniższym piętrze fontanny – natychmiast skuł ją lód, na który wkroczył jeden z ambasadorów. Tafla załamała się pod nim i mężczyzna runął jak długi, wywołując wielki plusk i kolejną salwę śmiechu.

Meglyne postanowiła skorzystać z rozproszenia uwagi tłumu i znalazła się u boku czarodzieja.

- Dobry wieczór – powiedziała.

Magin odwrócił się do niej, mierząc zdziwionym spojrzeniem, po czym pstryknął palcami – tłumacz znalazł się przy nim natychmiast.

- Chodzi o fontannę? – sługa przetłumaczył jego słowa. – Hrabia Poni' Krios zapewnia, że posągi wrócą na swoje miejsce jeszcze przed świtem.

Meglyne natychmiast skloniła się głęboko przed czarodziejem, przyciskając pięść do serca.

- Hrabio, bardzo przepraszałam, że się ośmielam, lecz proszę tylko o chwilę czasu dla mnie.

Sługa powtórzył jej słowa w obcym języku.

- Ambasador Poni' Krios chciałby wiedzieć, kim jesteś.
- Jestem Meglyne, przyjaciółką Harona Sprawiedliwości.

Ambasador zadał pytanie, przez które tłumacz się zmieszał. Przez błękitne pasma włosów w peruce człowieka pływał maleńki pies. Tłumacz odpowiedział coś cicho, a magin przystał i wskazał na ławkę, do której od razu zaczął zmierzać.

- Hrabia proponuje, aby spocząć.

Meglyne usiadła obok niego, zachwycona, że rozmawia z maginem z obcego, odległego kraju. Jak dla niej, mógłby on być nawet z równoległego wymiaru. I z pewnością tak wyglądał. Objęła go całego wzrokiem – płaszcz opowiadający historię pełną nagich kobiet, wodospadów i gwiazd; zaczarowaną perukę; makijaż nie udający maski; kamiennego zająca w jego objęciach; ciekawski uśmiech.

- Hrabia jest wybitnym czarodziejem – rzuciła do przełożenia tłumaczowi.

- Hrabia twierdzi, że jesteś przesadnie pochlebna, lecz bardzo ci dziękuje. Sama również jesteś czarodziejką, prawda?

- Nie. Jestem pewnego rodzaju... anomalią. Mam stygmaty, które nie mają mocy. Nie potrafię zrobić z nich żadnego użytku.

- Doprawdy? Urodziłaś się taka?

- Tak, odkąd pamiętam...

- Jesteś więc wyjątkowym w swoim rodzaju przypadkiem medycznym, o którym hrabia nigdy nie słyszał.

- Tak mi mówiono, jednak mimo mojej ułomności, wciąż bardzo interesuje mnie magia i jej arkana, i dlatego bardzo chciałem porozmawiać z magiem z innego kręgu kulturowego. Poznać inną perspektywę. Skąd hrabia jest?

- Tego nie przetłumaczę, bo się obrazi – mruknął półgębkiem tłumacz. – Jest z Ogbarantu. Co byś chciała wiedzieć?

- Hmm... Przyszłam tu z nadzieję zobaczyć wielkich czarów, ale już widziałam wspaniały pokaz z fontanną... Czy myślisz hrabia, że mogłaby zostać artefaktorką?

- Byłoby to trudne bez talentu magicznego. Są na tym świecie mechanizmy, drzwi i zagadki, które można rozgryźć tylko za pomocą magii.

- Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że pewnie musiałabym od czasu do czasu prosić o pomoc koleżanki po fachu. Jednak sama jestem w stanie na przykład przyrządzać mikstury. Dzisiaj sporządziłam swoją pierwszą. Tutaj mówimy na nią Talent Podglądacza.

- Nie jest to szczególnie łatwy przepis. W jaki sposób tchnęłaś moc w miksturę?

Meglyne zatrzejepotała rzęsami.

- Nie mam mocy w stygmatach, ale krąży ona w całym moim ciele. Wystarczy kawałek paznokcia albo włosa i zwykły płyn staje się magicznym eliksirem.

Amasador Poni' Krios wpatrywał się w nią zagadkowym wzrokiem.

- Hrabia pyta, czy pozwolisz mu zbadać kawałek twojego ciała.

- Mogę ułamać sobie kawałek paznokcia, jeśli cię to zadowoli, maginie.

- Jak najbardziej.

Paznokcie Meglyne wciąż nie odrosły całkowicie, odkąd ścięła je, by trzymać w szufladzie na czarną godzinę, ale udało jej się zeskrubać nieco tkanki, którą wręczyła czarodziejowi. Ambasador przyjrzał się dokładnie kawałkowi paznokcia i zacisnął go w swej pięści – kiedy ją otworzył, Meglyne znalazła tam motyla z paznokciowymi skrzydłami, którymi poruszał niemrawo. Dziewczyna otworzyła usta w zdziwieniu, a magin zaśmiał się dźwięcznie, pozwalając paznokciowemu motylowi odfrunąć.

- Rzeczywiście! – wykrzyknął tłumacz, któremu również udzielił się zachwyt nad dziełem stworzenia. – Czy czarodziej może przyjrzeć się bliżej twoim stygmatom?

- Oczywiście! Musi magin przyznać, że artefaktorka z takimi znamionami z pewnością sobie poradzi.

Meglyne uniosła rękaw koszuli i odsłoniła swe puste znaki. Rękawiczka Poni' Kriosa, która oddzielała jej palce od przegubu Meglyne, była niezwykle delikatna i przyjemna w dottku.

Oczy czarodzieja rozbłysły ciekawskim blaskiem.

- Hrabia chciałby wiedzieć, czy ktoś kiedyś badał substancję w twoich stygmatach.

- Tylko powierzchownie.

- Zgodziłabyś się więc na mały test?

- Jaki mały test?

- Magin wytnie maleńki kawałeczek twojego znaku.

Meglyne próbowała cofnąć rękę – uścisk mężczyznny, choć delikatny, był uparty i stanowczy.

Ambasador zaśmiał się i puścił dłoń Meglyne, by zsunąć rękawiczkę i odsłonić zielonkawy, przepiękny splot przeciety duzą blizną.

- Magin twierdzi, że twoje stygmaty są piękne, czyste i nienaruszone, ale nic się nie stanie, kiedy zostaniesz w nie lekko zraniona. On sam ma bliznę po wypadku i jego stygmat jest lekko w tym miejscu wybrakowany, ale jego moc ma się zupełnie dobrze. Tobie też się nic nie stanie, a jego zabieg zostawi ci znacznie mniej ubytku.

Meglyne spojrzała na swoje puste, matowe, proste znaki i skomplikowaną, pulsującą życiem konstrukcję na ręce ambasadora. Wyprostowała swe ramię, oferując je czarodziejowi.

- Dobrze. Tylko nie dużo.

Hrabia uśmiechnął się życzliwie i uderzył paznokciem w stygmat Meglyne – rozległ się dźwięk, jakby puknął w metalowy pancerz, a jego uśmiech ustąpił miejsca zdziwieniu. Wpił paznokieć w znak pod kątem prostym, a jej stygmaty ożywiły się, jakby były taflą lodu powstrzymującą bagnistego potwora przed wydostaniem się na powierzchnię. Meglyne jęknęła, nagle przeszyta bólem – palec magina był jak rozgrzany do czerwoności, ostry jak brzytwa szpon uderzający w najczulsze nerwy jej przedramienia.

- Boli! – krzyknęła, próbując wyrwać rękę z żelaznego uścisku magina. – Już nie chcę!

Przerażony tłumacz zabełkotał do ambasadora, a ten odbełkotał w odpowiedzi.

- Jeszcze tylko trochę! – Tłumacz przeskoczył z nogi na nogę.

Palec Poni' Kriosa przebił się do środka, a Meglyne poczuła, jakby ktoś wsadził zardzewiałą pręt wmięso jej ciała.

Upadła na kolana i wrzasnęła, nie będąc w stanie już formować słów – patrzyła na opuszek palca magina zataczający mały krąg, który sprawił, że ból podpalił jej czaszkę. Kiedy już wydawało jej się, że nie może boleć bardziej, zaczynało boleć o wiele, wiele bardziej... I nagle ustąpiło. Ustało, kiedy znikąd pojawiły się dwa rozcapierzone palce godzące Poni' Kriosa w oczy.

Zerwał się z miejsca, klnąc, zasłaniając powieki, puszczając rękę Meglyne. Była zlana potem i wciąż pulsowała przeszywającym bólem, ale nie była już rozdzierana na pół. Szary stygmat został tylko powierzchownie naruszony – nie było dziury, krwi, ani mięsa, tylko małe wgłębienie. Magin włożył do środka jedynie opuszek.

Meglyne przełknęła ślinę, dysząc, i uniosła głowę.

Chevita wpatrywała się w Poni' Kriosa, pozwalając mu się wykrzyczeć, a tłumaczowi lękliwie przełożyć wszystkie groźby i przekleństwa.

- I tak ci nikt nie uwierzy – burknęła w końcu nadworna czarodziejka. – Jeśli kiedykolwiek jeszcze odezwiesz się do tej dziewczyny, przekonam króla, żeby pokazał ci, co w Świętej Unii robi się z nieposłusznymi magami. Przetłumacz to.

Tłumacz powiedział kilka słów, po których mag zamachnął się otwartą ręką na policzek Chevity – ta odparła cios szybciej niż przeciętny człowiek byłby w stanie, spokojnie i z godnością, jednak nogą ambasadora natychmiast zdradziła jego prawdziwe intencje i wystrzeliła, trafiając Chevitę między nogi z takim impetem, że ta zwinęła się w kłębek z

bolesnym, zdziwionym westchnięciem. Magin doprawił jeszcze jednym kopniakiem, który wycelował w jej brzuch.

Hrabia nawet nie spojrzał na Meglyne i odszedł ku zamorskim ambasadorkom przyglądającym się scenie ze zniesmaczonymi minami. Tłumacz i kamienny zajęc popędzili za nim, by przekazać wszystkie plotki i wyzwiska.

Chevita wstała, z początku nie mogąc się wyprostować. Westchnęła i w końcu stanęła napięta jak struna, patrząc na Meglyne z góry. Ta uświadomiła sobie, że wciąż klęczy z jedną ręką w troskliwym uścisku drugiej, więc wstała prędko, otrzepując spódnicę z ziemi.

Nie miała śmiałości spojrzeć na Chevitę. Przez długi czas słyszała tylko jej ciężki oddech.

- Kurwa – warknęła w końcu – kupczy usługami swojego ciała. Zarabia, a nie traci z niego ani płatka skóry. Ty za to rozdajesz je za darmo. Gotowa jesteś oddać swoje mięso, żeby usłyszeć parę fałszywych komplementów i zobaczyć kilka kugalarskich sztuczek. Nie wiem, czy istnieje słowo na kogoś ceniącego się aż tak nisko.

Meglyne nie odpowiedziała. Trawa była wgnieciona w miejscu, z którego magini przed chwilą się podniosła,

- Co? – syknęła znowu. – Nie podejrzewałaś, że jestem w stanie się przewrócić?

Meglyne przełknęła ślinę.

- Do pokoju.

Meglyne posłuchała bez słowa.

Kiedy do niego dotarła, rzuciła się na łóżko, wypłakując oczy bólem, upokorzeniem i wyjątkowo dotkliwym wyrazem cierpienia, którego nawet w swojej wyobraźni nie potrafiła ubrać w słowa.

- Nienawidzę! – wrzasnęła tylko, tłukąc pięścią w zroszoną łzami poduszkę. – Nienawidzę!

\*

Głowa Cerro uderzyła w blat stołu.

- Au – jęknęła.

Kai roześmiał się, rozłupując kolejnego orzecha.

- Zmęczona?

- Wyczerpana. Lubię oglądać obcych z daleka. Rozmawianie z nimi? Katorga.

- Radziłaś sobie całkiem nieźle. Powstrzymałaś się przed pochwalaniem się swoimi muskułami.

- Mhm. Ledwo – Przez chwilę słyszać było tylko łuskane przez Kaia łupiny, a powietrze wibrowało od jego zadowolenia z powodu tego, że ze sobą rozmawiali. - Czy dziecko już może mieć nogi?

Kai zgniotł skorupę kolejnego orzecha.

- Zależy od dziecka. Kallo ma nogi, i Liara ma nogi, ale widziałem takie, które...

- Dziecko w brzuchu. U progu piątego miesiąca. Chyba mnie kopie.

Drzwi sali tronowej zatrzasnęły się. Cerro uniosła głowę, a Kai obejrzał się za siebie.

Przy drzwiach kręcili się ambasadorzy z Gomory. Mężczyzna klepnął plecy szambelana z taką siłą, że ten przewróciłby się, gdyby nie jego berło.

- Dziękuję, dobry człowiek. Wasza Wysokość, pora pomówić.

Myron, który ściskał w dłoniach wygiętą żałośnie rubinową koronę, którą z taką radością ciskał o ściany wraz z królem Hamari chwilę wcześniej, uniósł załamany wzrok na egida.

- A, tak – mrucnął. - Wybaczenie, ale nie spodziewaliśmy się nikogo z Gomory. W ramach zadośćuczynienia ulokuję was tutaj, za zamku, w sypialni, w której do tej pory mieszkali sami...

- To będzie, w sumie rzecz biorąc, zbędne – odparł brodaty elf. – Za chwilę odjeżdżamy. Mamy zaproszenie do Rhagos.

Spoczęły na nich oczy wszystkich pozostałych w sali, którzy nie byli zainteresowani zabawą na dziedzińcach - czyli wszystkich haronów, ich żon i najstarszej córki Kastirrona, która zastępowała w obowiązkach towarzyskich swoją zmarłą macochę. Wyglądało na to, tylko obywatele Unii mieli już dość całego tego świętowania.

- Zaproszenie? – powtórzył Myron. – Od kogo, jeśli można wiedzieć?

- Od samego generała Yazora Temidana – wyszczerzył zęby wojak. – Chcielibyśmy uprzednio podziękować ci, Wasza Wysokość, za gościnę. Na osobności, jeśli można.

- Eee... No cóż...

- Nie tylko król jest waszym gospodarzem, ale przede wszystkim my, haroni – wracił Kai. – Ten zamek to nasza oficjalna siedziba, dlatego raczej nie chcielibyśmy zostawać króla samego na pastwę gości.

- Co, myślisz, że go zjemy? – zarechotał elf. – Haroni to doradcy króla, tak?

- Coś podobnego.

Egid zwrócił się do swojej towarzyszki i powiedział coś w jej języku. Elfka skrzyżowała ręce na piersi i zatupała groźnie w posadzkę, po czym odburknęła cicho.

- No dobra – wojak wrócił do hekkyrskiego. – To ilu was będzie?
- Siedmiu – odpowiedziała Kastirron.
- Dobra. To czy można prosić pozostałych o opuszczenie komnaty? Robimy się żenującymi wylewni, kiedy okazujemy wdzięczność.

Król dał znak i wszystkie zbędne osoby ruszyły ku drzwiom. Nawet Cerro.

- Cerro, won – warknął, mimo to, Myron, wspinając się na swoje miejsce na katedrze.
- I tak wszystko podsłucham. Wysrany przez karaluchy skurwielu – odwarknęła Cerro.

Myron był za daleko, by ją uderzyć. I chyba nie chciał wyglądać na furiata przy gościach. Egid kłaniał się wszystkim wychodzącym - i haroneom, i służącym - podczas gdy samozwańcza elfowa mordowała Myrona wzrokiem.

Szambelan zamknął drzwi od zewnętrz, haroni zajęli swe miejsca, a Myron zabębnił palcami o pulpit.

- Ponownie cię witamy i przepraszamy za spóźnienie – rozpoczął elf. – Nazywam się Rekkin, jestem egidem, a tymczasowo również tłumaczem Kiuko, prawowitej następczyni jednego z tronów Hamari.

Odpowiedziała mu cisza. Kiuko ukłoniła się lekko na dźwięk swego imienia.

- To będzie interesujące – zaśmiała się nerwowo Myron. – A więc jesteście buntownikami?

- Gdzie tam. To Musure jest buntownikiem. Uzurpatorem, właściwie.
- Skąd tak dobrze znasz hekkyrski? – spytał haron Immala.
- Miałem kiedyś ukochanego ze Świętej Unii.

Ponownie odpowiedziała mu cisza, lecz teraz Rekkin wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego.

- Do rzeczy – Kastirron chwycił w palce wyimaginowaną batutę. – Jaki masz do nas interes?

- To Kiuko ma do was jakikolwiek interes.

Zwrócił się do niej, a ta zaczęła mówić – długo, po każdym zdaniu pauzując, by Rekkin mógł przetłumaczyć.

- Jak zapewne Wasza Wysokość i haroni, kojarzycie, jeszcze do niedawna Hamari była diarchią. Jeden król był arystokratycznego pochodzenia, a drugi rodził się wśród ludu, lecz wyrocznie odczytywały ze znaków odpowiednie imię i, jak nadszedł czas, to knypka koronowali. Kiuko jest właśnie takim knypkiem. Obaj królowie muszą być przeciwej płci,

aby się pobrać i spłodzić następnego króla-arystokratę, który będzie dzielił władzę z kolejnym królem-plebejeuszem, i tak w kółko.

- Więc Musure jest królem-arystokratą? – zgasnął Myron.
- Musure jest nikim.

Kiuko szturchnęła Rekkina, by przetłumaczył jej to, co właśnie powiedział, a kiedy to zrobił, ta pokiwała żarliwie głową i brnęła dalej.

- Tak się składa, że obaj królowie powinni być rówieśnikami, i Kiuko urodziła się w roku urodzin Junjiego XVII z dynastii Reoki. Kiedy umarł jego ojciec, a, co za tym idzie, jego małżonka musiała zstąpić z tronu, świeżo koronowany Junji postanowił wybrać się na wycieczkę do Vibeyanu, a Kiuko udała się w podróż do królewskiego pałacu. Zanim zdążyła do niego dojechać, rozeszły się wieści, że Junjiemu się zmarło. Oczarowany kulmem Tancerki, zaćpał się, zapił i zadupczył na śmierć. Jego ciało do Hamari przywiózł harmal Musure i, kto wie, może sam go zaciuńkał.

- Uważaj, na kogo rzucasz oskarżenia – przerwał mu haron Maginot. – Jakie macie podstawy, żeby podejrzewać morderstwo?

- „Zaciuńkać” to może złe słowo, ale jest bardzo prawdopodobne, że Musure sprzyjał balangom Junjiego. Doradzał mu, co z czym i kogo z kim mieszać, i tym podobne sprawy. Skarb, a nie przyjaciel. Sam Musure był Hamarczykiem, ale w Vibeyanie znalazł powołanie jako sekciarz i jebaka, stąd nie mógł zdecydować się na jedną żonę.

- Jak śmiesz odzywać się takim językiem do króla? – nasrożył się Haron Mądrości.
- Ależ ja tylko tłumaczę – Oczy Rekkina nasiąkły karykaturalną niewinnością.
- O co chodzi z tą sektą? – zapytał Kai, pragnąc nie zbaczać z kursu rozmowy.
- Od wielu stuleci większość mieszkańców Seleanu wyznaje Sześciu Artystów, a Tancerka Harma, jest jednym z tych bóstw. To bogini miłości, zapomnienia, przyjemności ciała, radości i beztroski, więc nic dziwnego, że ludziskom podoba się czczenie jej. Dziwię się, że dopiero teraz jej kult trafia pod strzechy. W każdym razie, Musure szybko został jednym z ważniejszych harmałów, do tego bardzo popularnym. Również, niestety, w Hamari.

- Dlaczego niestety?
- Tamtejsze elfy nawet nie wierzyły w tych śmiesznych Artystów. Ich bogowie to ocean, wiatr, gwiazdy, równowaga, przeznaczenie i takie tam. Jednak Musure przywiózł ciało Junjiego i jego pogrzeb zamienił w pijacką orgię, a głupi lud, zamiast się święcie oburzyć, zaczął kochać Musure i wynosić go na piedestał, a ten skwapliwie z tej miłości skorzystał.
- Czy nowi królowie nie powinni być wybrani na miejsce Junjiego i Kiuko? – wtrącił Haron Obowiązku.

- Powinni. Junji nie zdążył spłodzić potomka i nie miał żadnego rodzeństwa, ale po królestwie zaczęła krążyć plotka, że on i Musure byli kuzynami. Natomiast wyrocznie wskazały imię króla z ludu – Musure. Pojebane, zważywszy na fakt, że tylko jeden Musure urodził się w ciągu ostatnich trzydziestu lat. I to właśnie nasz kochany obiekt zainteresowań, który dał Kiuko jasno do zrozumienia, że jeśli nie odpuści tronu, to on upuści jej krwi.

- Wasz system jest tak dziurawy – Immala skrzyżował ręce na piersi – że dziwię się, że dopiero teraz zdarzyła się taka sytuacja.

- Nie wiem, jak to jest dokładnie, sam urodziłem się i wychowałem w Gomorze, w dupie mając hamarską historię. Jednak byłem akurat w Ramponie, kiedy spotkałem wygnaną Kiuko i usłyszałem jej smutną historię.

- W Ramponie przed czy po aneksji?

- W trakcie. Rampon, tyle lat w spokoju rozdarty wojną domową, w końcu został zjednoczony przez jakąś przybłądę rozprawiającą o wspaniałości Tancerki. Podarowano jej koronę, a ona natychmiast przekazała ją Musure i poprosiła o przyłączenie do Hamari. Połowa kraju wyznająca Harmę ją poparła. No a skoro poprosili, no to czemu Musure miał się nie zgodzić?

- Prawda, czemu?

- Ponieważ ta kobieta była egidem wynajętym przez Musure do manipulowania sytuacją polityczną. Wynajął ją do tego, żeby przekazała mu kraj.

- I co? – wzruszył ramionami Agver. – To jest u was nielegalne?

- To jest u nas skurwysyńskie. Na szczęście, druga połowa kraju była niezadowolona ze swojej nowej narodowości, i to do nich zwróciła się Kiuko, obiecując wolność i niezależność. Poruszyła też moje serce. Zabrałem ją do gildii, a ona przekonała ją do swoich racji. Teraz szukamy dalszego poparcia i nieskromnie pozwolę sobie zauważyc, że rozmowy z Ronedanem idą nie najgorzej. Dlaczego pomocy nie mielibyście udzielić nam i wy?

- A dlaczego niby mielibyśmy to zrobić? – prychnął Myron. – To dzieje się setki tysięcy kailów stąd i nie ma żadnego wpływu na Świętą Unię.

- Przepraszam, ale czy wy nie jesteście przypadkiem teokracją? Czytałem sobie ten wasz *Kodeks*. W nim Galoran każe wam szerzyć wiarę w niego. Jakiś heretyk przejmuje władzę w największym elfim państwie na świecie, a wy co? Nic? Na ucztę go sobie zapraszacie? Jak tak dalej pójdzie, to Hekkyran będzie wierzył w Malarza, a Selean w Tancerkę, a ta królewska braterskość długo nie potrwa. Wystarczy, że pewnego dnia król jednego lądu spostrzeże, że drugi król ma ląd o kilka kailów dłuższy od niego. To bomba,

która czeka, żeby wybuchać. A Selean, pragnę zauważyc, jest lądem odrobinkę większym od Hekkyranu. To potwarz, Wasza Wysokość! Potwarz!

Po wzmiance o *Kodeksie* głowy haronów co chwilę przekręcały się wymownie w kierunku Kaia.

- Na Seleanie jest mnóstwo wierzeń – zauważył. – Moglibyśmy rozpocząć wojnę już teraz, gdybyśmy chcieli nawracać ludzi w ten sposób. Byłoby nam nawet łatwiej ją wygrać.

- Co zrobi Galoran, kiedy będzie musiał rywalizować z Harmą? – odparł Rekkin. - Czy on nie jest przypadkiem okrutny i szalony?

- Jest z góry w tej rywalizacji zwycięzcą. Czy z Harmą można porozmawiać? Czy wiadomo, gdzie mieszka? Czy jest w stanie iść przez cały kraj? Czy da się ją zobaczyć?

- Nie da się z nią zrobić żadnej z tych rzeczy. Stąd wiadomo, że jest boginią.

- Stąd nie wiadomo, czy w ogóle istnieje.

- Nie jest ważne, co wiadomo, tylko to, w co się wierzy. A konkretnie, w co wierzą masy. A jako, że jestem częścią masy, wydaje mi się logiczne, że lepiej wierzyć w przystojną kobietę mówiącą mi, że należy życie przejść, tańcząc nago i zapijając się w trupa, niż w zamaskowanego mężczyznę, który wyznacza szóstkę ludzi do życia w ubóstwie, by następnie nie reagować, kiedy ci stają się obrzydliwie bogaci i znieszczuleni na biedę ludu.

- W jaki sposób obrażanie nas ma nas przekonać do twojej sprawy? – westchnął swym pięknym głosem Oakter.

- Nie chcę nikogo obrazić. Mówię tylko, jak postrzega was większość świata. Waszych poddanych, zapewne, też.

- A wiesz to, ponieważ...?

- Ponieważ ludzie tu i tam nie są tak bardzo od siebie różni. Przekonałem się o tym, kiedy zakochałem się w jednym z was...

- Zamilcz – warknął Myron. – Wybór, który przedstawiasz, jest pomiędzy poparciem bałwochwalcy i kobiety w portkach. Oba nie zgadzają się z naszymi prawami i sumieniami.

- W *Kodeksie* nie ma nic o kobietach...

- Zamilcz! – Myron uderzył pięścią w stół, a Kai zawstydził się, wiedząc, że wszyscy haroni instynktownie schylili głowy. Oczy Kiuko otworzyły się szeroko, omiatając ich. – Plwam na ten *Kodeks*! Plwam na jakiegoś najemnika z zadupia, który pierdolił się z odszczepieńcem i myśli, że wyruchał z niego całą wiedzę na temat Świętej Unii! I plwam na jakąś wieśniaczkę, która ubierze się w kupę żelastwa i myśli, że może się bić i królować! Czy w tym waszym egidzkim burdelu nie uczą was, że król jest królem, nawet kiedy nie nosi korony?! Czy nie uczą was, że trzeba go szanować każdym słowem i gestem?! Że może zabić

każdego pstryknięciem palców?! Że nie musi się z nikim układać ani znosić niczych obelg?!  
Robię wam łaskę, w ogóle udzielając audiencji i wpuszczając tę kurwę...

- Wasza Wysokość – przerwał mu łagodnie haron Oakter – jest Święto Gościnności.

Jego głos był nasycony idealnie wymierzoną dawką pogardy pod adresem przybyszów. Na oczach wszystkich Myron przestał dyszeć, a zaczął oddychać głęboko i miarowo, a zbielałe kłykcia jego palców odzyskały normalny kolor. I Kiuko, i Rekkin przyglądali mu się z niezdrową fascynacją, bez śladu strachu czy pokory na twarzach.

- Bylibyście martwi, gdyby nie Święto Gościnności – ponowił Myron – które dla was już się skończyło. Opuście Świętą Unię jak najszybciej. Rzekłem.

- Jak sobie Wasza Wysokość życzy – uśmiechnął się Rekkin i szturchnął skołowaną Kiuko w ramię, oddalając się ku drzwiom. – Od razu po naszej wizycie w Rhagos.

Kiedy wyszli, już całkiem zmasakrowana korona Myrona odbiła się z impetem od dopiero co zamkniętych za ambasadorem wrót. Myron znów dyszał. Jego pięści znów były blade.

- I ja przenoszę się do Rhagos – wycisnął przez zęby. – Mam tego dość. Mam dość bycia traktowanym w ten sposób. Jestem królem! – trzasnął dlonią w pulpit, i wszyscy znów podskoczyli. – Ten ostrouchy zboczeniec, który musiał dostać się na tron kłamstwami i zabójstwami, dostaje więcej szacunku ode mnie! Dostaje więcej szacunku od swoich wrogów niż ja od potencjalnych sojuszników! Co to ma być?! Co to ma być, pytam! Po jego policzkach toczyły się łzy, a z jego nosa spływała flegma. - A jeśli ktoś udzieli wsparcia sprawie tej dwójki, nieważne czy generał czy wieśniak, nie umrze tak po prostu, łaskawie. Własnoręcznie utnę mu palca po palcu, kończynę po kończynie, wypruję żyłę po żyle. Rzekłem!

- Ma się rozumieć, Wasza Wysokość – przytaknął ochoczo Kastirron. – Pamiętaj, proszę, że nasz szacunek i posłuszeństwo są wieczne i bezgraniczne.

Myron szlochał. Potem wybiegł z sali, zasłaniając twarz przed wzrokiem gości i służby. Kai nie wstawał, mając nadzieję, że ktokolwiek się odezwie. Mając nadzieję, że ktokolwiek powie na głos to, co on myślał. Ale nikt nic nie powiedział. Najpierw wstał Kastirron, a potem reszta. Kai też wstał. W holu spotkał Cerro. Posłał po Silarusa. Po czym poszli razem prosto do biblioteki, by zamknąć się w sekretnej komnacie i odnaleźć *Poczet królów Świętej Unii*. Szukali korelacji pomiędzy szaleństwem a skróconą długością życia króla.

\*

Tego dnia, zamiast mądrzej baby, do domu przyszedł mężczyzna. Nie był biednie ubrany. Nie był wzdęty ani wychudzony. Nie widać było wszy w jego włosach. Skylle widział tylko te włosy, kiedy zaglądał do izby, schowany za progiem – były płowe, gęste i czyste.

Skylle widział twarze Itsuka i Moth. Mówili szeptem. Może po to, żeby nie obudzić Gideona. Może po to, żeby Skylle nie słyszał. Najpierw byli zdziwieni wizytą nieznajomego. Potem Moth zaczęła szlochać i krzyczeć. Wciąż szeptem, niezrozumiałym nawet wtedy, kiedy Skylle przykładał ucho do progu. Potem Itsuk ukrył twarz w dłoniach. Jego ramiona trzęsły się jak galareta. Były wiotkie i wydawały się miękkie. Moth odgarnęła włosy z twarzy i pomiędzy jej palcami zostały ciemne kłęby. Wytarła je szybko w spódnicę, ale każdy zobaczył. Zaczęła płakać nową falą, a Itsuk chwycił ją za dłoń. Obcy wciąż mówił. W końcu wstał i wyszedł, a Skylle skrył się prędko i znów nie zdążył przyjrzeć się jego twarzy. Kiedy zajarzał z powrotem do większej izby, po nieznajomym została tylko Moth wyjająca w ramię Itsuka i kilka monet na stole. Skylle podszedł do drzwi, starając się zrobić to bezszelestnie.

- Skylle?

Itsuk uniósł czerwoną, mokrą twarz. Skylle szybko odwrócił wzrok.

- Gdzie idziesz?

- Przejść się.

- ...Musisz?

Żadnego odpytywania, prób, żeby został, zwracania uwagi na późną porę. Skylle pchnął drzwi.

Nieznajomy szedł szybko. Skylle ledwo zobaczył jego plecy, zanim skręciły w boczną uliczkę. Skylle podbiegł lekko, starając się nie dyszeć zbyt głośno, bo choć ulice nie były jeszcze wyludnione, bał się zwrócić na siebie uwagę. Kiedy znalazł się na dystansie na tyle bezpiecznym, by wiedzieć, że nie straci nieznajomego z oczu, szedł za nim miarowym krokiem, czasem kopiąc w kamienie, czasem zatrzymując się, by pogłaskać leżące na rozgrzanej ziemi koty.

Obcy wszedł do budynku naprzeciwko podrzędej, ale znowu nie takiej najgorszej karczmy. Karczma miała pogiętą kamienną rynnę, która spuszczała deszczówkę na ulicę. Skyllemu udało się wspiąć po niej na tyle, by mógł dosiągnąć daszku, na którym zawieszony był szyld, a z tego daszku mógł podskoczyć i chwycić za krawędź właściwego dachu. Jęknął, kiedy to zrobił, i jego ciało naprężycie się bolesnie, ale udało mu się zacisnąć zęby i nie wrzasnąć. Udało mu się nawet podciągnąć i wejść na ten przeklęty dach. Kiedy to zrobił, przetoczył się na plecy, wyczerpany jak po maratonie.

Skylle czuł się jak gówno. Widział Mate i Korfa robiących znacznie bardziej wymagające akrobacje, i żaden z nich nigdy nie zlewał się potem i nie wypluwał sobie płuc. Dobrze, że go teraz nie widzieli. Dobrze, że...

Przetoczył się na brzuch, by wypluć ślinę, w której, miał wrażenie, topił się. Ślina była różowa. Rozkaszlał się, próbując zdusić dźwięki dlonią, a czerwone krople wyfruwały spomiędzy jego palców. Ledwo mógł złapać oddech, a kiedy wreszcie się uspokoił, splunął jeszcze raz – wciąż na różowo.

Skylle miał wrażenie, że jego ciało się rozpada. Że jedyne, co jest w stanie z siebie wydalić, to krew. Że jedyne, co jest w stanie czuć, to ból. Nieważne, czy to promienie słońca, czy smak surowego ziemniaka, czy dotyk Moth czochrającej mu włosy. Wszystko go bolało.

Chyba, że nie czuł ciała w ogóle. Chyba, że wdychał farbę. Nie powinien marnować ostatniego pęcherza na taką okazję, a właściwie brak okazji, ale jednak usadowił się tak, by nikt go nie widział, a on widział okna budynku przed sobą. Wyciągnął farbę z kieszeni wszytej w worek po ziemniakach, który był jego zbroją. Zaczął wdychać, starając się jak najmniej mrugać.

Budynek miał dwa piętra, a sześć okien od tej strony, na którą patrzył. Świeca paliła się przy jednej z otwartych na oścież okiennic na parterze. Młoda kobieta siedziała przy biurku i przepisywała coś z jednego papieru na drugi. Miała suknię z długim rękawem, ale rozpięte pod szyją guziki. Co chwilę otwierała usta i wachlowała się dlonią.

Wkrótce świeca zapaliła się w uchylonym oknie na ostatnim piętrze. Skylle widział poruszający się tam cień, jednak jego właściciel nie stał blisko okna. Na chwilę podszedł do niego, by przymknąć okiennicę – Skylle zobaczył podwinięte rękawy koszuli, płowe włosy i okrągłe rysy wokół oczu. Oddychał tak szybko, jakby spodziewał się, że ujrzy znajomą twarz. Oddychał tak szybko, jakby wiedział już wszystko o tym, kim jest nieznajomy. Oddychał tak szybko, że połknął trochę farby.

W sumie rzecz biorąc, wiedział, że oni wiedzą. Ale najgorsze było to, że rozumieli. Byłoby mu łatwiej, gdyby nie rozumieli. Ale nie zadali żadnych pytań. Nie podnieśli żadnego krzyku.

W sumie rzecz biorąc, najlepiej będzie dla wszystkich, jeśli go sprzedadzą. Oni będą mieli co jeść, Gideon będzie miał co jeść, nieznajomy na pewno będzie miał co jeść, Skylle też pewnie będzie miał co jeść. Żaden z niego robotnik, kiedy nie ma co jeść.

W sumie rzecz biorąc, nawet, kiedy jadł, nie był najlepszym robotnikiem. Może po prostu go potortują i zabiją.

W sumie rzecz biorąc, może spotka Arfo. Może będą grać w pchełki. Może uciekną. Może zaczną żyć w lesie. Albo w sadzie. Albo na farmie.

W sumie rzecz biorąc, wszystko byłoby inaczej, gdyby umiał wciągnąć wóz do zamku. Nie zrobiłby z siebie dzikusa przed całą ulicą, która być może stałaby się jego miejscem zatrudnienia. Oddawałby wszystko Moth i Itsukowi. Moth miałaby co jeść i mógłaby pracować. Miałaby mleko. Gideon nie byłby słaby. Nie musieliby opłacać mądrzej baby. Itsuk nie musiałby błagać Najszarszego Harona o jałmużnę. Nie straciłby pracy. Nie przyjeżdżałyby do nich wozy pełne ogryzków jabłek i nagich kości. Gdyby ten jeden raz w życiu Skylle potrafił nie myśleć o bólu, i nie myśleć o sobie, i nie myśleć o niczym, tylko wysilić się i dać radę.

W sumie rzecz biorąc, mógłby to zrobić z łatwością. Mógłby wnieść nawet i sto bochenków chleba. Był szybki, silny, skoczny i prawie że dorosły. Szkoda, że wtedy tego nie wiedział. Szkoda, że nie czuł wtedy tego tak wyraźnie jak teraz. Szkoda, że wtedy nie wniósł tego cholernego wozu na tę cholerną górę.

## ROZDZIAŁ XVI

Skylle widział lustro tylko raz w życiu, kiedy był bardzo mały. Nie pamiętał, kiedy i gdzie się w nim przeglądał, ale pamiętał prostą ramę, kilka smug brudu na tafli, swoją pucołowatą twarz jeszcze nie zeszczeconą żadną blizną i poskręcone włosy opadające na wielkie, błyszczące oczy. Był wtedy całkiem tłusty, jak bogate dziecko, ale wiedział, że niektóre dzieciaki robią się takie, kiedy nabrzmiewają z głodu.

Skylle widział siebie potem w kałużach i strumieniu, ale zawsze, myśląc czy śniąc o sobie, widział tego pucołowego dzieciaka z czystą cerą i migoczącymi oczami. Wyglądał na smutnego i mądrogo.

Lustro, które teraz miał przed sobą, było tak ogromne, że pewnie objęłoby go całego, gdyby nie siedział. Jego rama była złocista, skręcona tak, że wyglądała jak gałęzie jabłoni uginające się pod ciężarem owoców. Na tafli nie było ani jednego odcisku palca i Skylle widział swoją twarz dokładnie.

Była tak dogłębnie wyszorowana, że aż zaczerwieniona i podrapana. Zakończona wąskim podbródkiem, ciemna, bliznowata. Blizny były brązowe, jakby wypełnione wieczną ropą zastygłą jak magma. Jego oczy były matowe, małe i wąskie, a pomiędzy nimi widniało kilka bruzd nadających tej twarzy wiecznie naburmuszony wyraz. Włosy były jeszcze wilgotne, pachnące pianą, zaczesane tak, że odsłaniały szerokie czoło Skyllego i jego zapadłe policzki. Znacznie bardziej zapadłe niż pamiętała.

Jego ramiona były szerokie, ale kościste, a koszula w kolorze cersena wisiała na nich jak na trupie. Ramiona były przedziwnie długie – tak samo jak palce, którymi Skylle się uszczypnął, by upewnić się, że naprawdę widzi samego siebie. Wcale go to nie upewniło. Był właściwie przekonany, że wskutek jakieś pojebranej magii zamienił się z kimś ciałami, że jest martwy, że patrzy na kogoś zupełnie obcego, który małpuje jego ruchy. Jego oczy zaszły dziwną mgłą, kiedy je zamknął. Usłyszał swój własny szloch.

Ktoś nim szarpnął i krzyknął do niego. Może ten obcy człowiek albo ten znajomy. Ten, który siedział w kącie i miał kolorową nogę. Albo ten, który miał sukienkę i miecz. Albo ten, który siedział w lustrze i nienawidził Skyllego.

Śniło mu się, że się przegląda. Prawdziwy on, pucołowy i mądry. Wtedy dżdżownica wyszła z jego ucha – chwyciła ją w pulchne palce i zjadła. Moth podała mu talerz dżdżownic. Prawie się porzygał, patrząc, jak się wiją.

Talerz też się odbijał i przez to były dwa. Dwa razy sterta ohydnych robali i szczek psów z ciemności odbijany echem. Skylle wiedział, że to sen, wiedział, że może się obudzić,

ale nie potrafił. Wstał i czuł się tak, jakby był wtopiony w imadło, jakby coś było przywiązanego do jego rąk i musiał to ciągnąć, szybciej i szybciej, zanim dogonią go psy, a haronowie zgłodnieją.

Psy już dawno odeszły i Skylle to wiedział. To był tylko sen. Nie bał się. Był tylko bardzo smutny.

Kiedy się obudził, nie był pewien czy zrobił to na pewno. Znowu widział malowidła na suficie, które wyobrażały złote stado owiec i złotych pasterzy grających na złotych fletniach. Drewnianą fletnię miał kiedyś Arfo, zanim przegrał ją w kulkę. Zanim zniknął z ulic tak jak inne dzieci ulicy przed nim.

Kształt, który majaczył na horyzoncie, był przesłonięty przez różowawe firanki. Skylle leżał pod nimi, być może na miękkiej pierzynie, być może lewitując. Spróbował poruszyć palcem u stopy. Udało się i mrowienie przeszło całe jego ciało. Odwrócił głowę, skrzywiony.

Rudy człowiek siedział przy łóżku z książką w ręku. Opierał łokieć na kołdrze, a głowę na dłoni w taki sposób, że było widać tylko jego piegowaty nos, szeroko otwarte przemykające od lewej do prawej oczy i potargane pomarańczowe włosy. Kącik ust podskoczył mu na widok przebudzonego Skyllego. Odsłonił przed nim swą pucołowatą twarz, obok której brakowało jednego ucha.

- Dzień dobry – powiedział.

Skylle chciał zapytać, gdzie jest, ale tylko zmarszczył brwi, jęknął krótko i rozejrzał się. Ledwo mógł poruszać głową.

- Jesteś w zamku Modre Oko. Pamiętasz cokolwiek z naszej wczerajszej rozmowy?

Przymknął powieki, próbując odsiąć sny od wspomnień.

- Pamiętam.

Miał pustkę w brzuchu.

- Pamiętasz, kim ja jestem?

- Pamiętam.

- To dobrze. Wczoraj zemdlałeś i spałeś do teraz.

Trawienie i formowanie słów przychodziło Skyllemu z najwyższym trudem.

- I byłeś tu... cały ten czas?

- Nie, dopiero godzinę temu wróciłem z sądu. Wcześniej siedziała tu Cerro. Pamiętasz Cerro, prawda?

Skylle milczał przez chwilę.

- I tak po prostu siedzieliście?

- Nie wiem jak ona, ale ja czytałem książkę.

- Jaką książkę?

- Atlas toksycznych grzybów. Znajomy mi polecił, ale to straszna chała.

Skylle nie odpowiedział.

- Chcesz tu zostać? – zagadnął.

Skylle przymknął oczy, nie chcąc, by mgła znów go pochłonęła.

- Jestem głodny.

- Dziwne, gdybyś nie był, nie jadłeś co najmniej dwa dni. Zaraz coś na to zaradzę.

Wstał dość niepewnie, z dziwnym wyrazem twarzy. Wykuśtykał z pokoju.

Skylle spojrzał na okno, wstał, wyskoczył przez nie i uciekł.

Kiedy kuternoga wrócił, weszły za nim cztery kobiety ubrane w takie same suknie, fartuchy i czepki. Każda z nich niosła tace jedzenia – Skylle rozpoznawał zapach mięsa i wygląd paru owoców, ale poza tym nie miał pojęcia, co położyły w nogach jego łóżka. Usiadł, ciągnięty przez wonie, a kobiety ukłoniły mu się i wyszły.

- Jedz, ile chcesz – polecił kuternoga.

Skylle wpił zęby w tłuste mięso wyglądające jak korpus jakiegoś ptaka. Nigdy nie czuł takiego smaku na swoim języku i myślał, że zemdleje z rozkoszy. Potem chwycił brzoskwinię i sok zachlapał pościel i koszulę.

- Nie przejmuj się... - chyba rzucił kuternoga, lecz zaraz wrócił do swej główianej lektury.

Dziwna dłuża zielona roślina chrupała w jego ustach, a pomidory pluskały w jego podniebieniu sokiem. Skylle wrócił do mięsa i wypchał sobie nim usta do tego stopnia, że musiał się napić – sięgnął po znajomy sok pomarańczowy, ale smakował tak jak jeszcze żadenłyk żadnego napoju w jego życiu. Musiał z siebie wydać westchnięcie zachwytu, ale zaraz powrócił do uczty, aż kołdra była mokra od resztek, a on był tak objedzony, że myślał tylko o zapadnięciu w sen.

Ale kuternoga wyraźnie chciał czegoś w zamian.

- Smaczne? – spytał, zamykając książkę.

- Mhm.

- Jak chcesz, możesz mieć takie uczty codziennie. Możesz tu zostać.

Skylle uśmiechnął się szerzej niż robił to od skończenia uczty.

- Ta? Dlaczego?

- Dlaczego nie?

- Czego chcesz?

- Żebyś miał co jeść i gdzie spać.

Skylle prychnął, przymykając oczy.

- Chcesz, żebym grzał ci pościel? Albo sprzedać mnie do Zlewiska, tak? Albo żeby wasi czarodzieje robili na mnie eksperymenty?

- Ciekawe teorie. Skąd ci przyszły do głowy?

- Zasnąłem chuj wie gdzie, a obudziłem się w pałacu. Często tak sobie lazisz i przynosisz przybłędy do domu?

Skylle zacietrzewił się, słysząc śmiech.

- Zdziwiłbyś się. Na pewno pamiętasz, kim jestem?

- Tym rudym haronem, który przemawia na placach. Tym, któremu król wpierdolił w Karmevare na Zielonym Rynku. Tym, który wysyła nam wozy gówna do jedzenia.

Kuternoga przełknął ślinę.

- No... tak. Mam na imię Kai. A ty?

Skylle nie czuł potrzeby odpowiadać. Było mu niedobrze.

- Ile masz lat?

- Odpierdol się.

- Jeśli nie wiesz tych rzeczy, to żaden wstydu. Wiem, że sytuacja w niektórych dzielnicach Nauenemes jest...

- Umiem liczyć, odpierdol się. A na imię mam Skylle.

- Skylle? To twój przydomek czy prawdziwe imię?

- Odpierdol się.

Żuł skórkę chleba zaciekle. Chciał zjeść jak najwięcej, zanim go wyrzucą. Może uda mu się nawet coś zwędzić. Ale Kai uśmiechał się z nienaturalną przyjaźnią.

- Twoi rodzice żyją?

- Odpierdol się.

- Masz gdzie mieszkać?

- Odpierdol się.

- Dlaczego tu nie zostaniesz?

- Wiem, że to pułapka!

- Jaka pułapka? Czy zamek nie jest lepszy od życia na ulicy? Tylko spójrz na to całe jedzenie.

- Życie na ulicy jest zajebiste! Polecam ci czasem wyplątać się z tych swoich sreber i spróbować!

Próbował wyskoczyć z łóżka, ale ciężar w głowie i brzuchu natychmiast go przygwoździł. Osunął się na kolana.

- Uspokój się – Kai chwycił go za ramiona delikatnie jak Moth, pomagając mu wrócić do łóżka. - I tak musisz tu zostać na jeszcze jedną noc, żeby wydobrać. Poleż tu i wołaj, kiedy ci będzie czegoś trzeba.

Skylle rzygnął obficie, całym sokiem, i mięsem, i warzywami, i owocami, i na kołdrę, i na koszulę Kaia.

- To nic – powiedział. – Spodziewałem się, że...

Skylle nie dowiedział się reszty, kiedy wygłodzony żołądek wyrzucił z siebie kolejną porcję jedzenia.

\*

Zanim otworzył oczy, słyszał szepty. Krążył wzrokiem, próbując znaleźć ich źródło, jednocześnie nie dając znać, że się obudził. Kątem oka zobaczył w końcu Cerro. Pamiętał Cerro. Znał Cerro. Rozmawiała z kimś, kogo Skylle nie znał i nie pamiętała, ale kto mógłby z powodzeniem być modelem do posągów na fontannach albo aktorem na teatralnych deskach. Gdyby nie blizna ciągnąca się od jego szczęki i ginąca pod czarnym mundurem.

Mówił coś tak cicho, że nawet Cerro, którą dzielił od niego tylko stolik, musiała odgarnąć włosy za ucho i odwrócić głowę tak, żeby było bliżej jego ust. Skierowała twarz do łóżka, a Skylle nie zdążył w porę zamknąć oczu.

Cerro wstała, a posąg natychmiast zamilkł.

- Równo w porę karmienia – powiedziała, pojawiając się przed nim z tacą. – Masz nosa lepszego niż moje psy.

Na tacy były dwie kromki chleba posmarowane jakąś pastą i woda zaprawiona kropelką soku. Skylle był, oczywiście, bardziej niż zadowolony, choć odnotował skwapliwie, że Kaiowe obietnice codziennych uczt już zostały złamane.

- To jest pułkownik Silarus Temidan – Cerro wskazała na posąg. Namoczone w oliwie kromki były pokryte jajkiem, papryką, szczypiorkiem i czymś jeszcze. Oczy Skyllego prawie wywróciły się do środka jego głowy z rozkoszy. – Mówią, że nikt w całej Świętej Unii tak nie macha azyrydą i mieczem. Szczęśliwie dla przyszłych pokoleń, udziela im lekcji.

Skylle łyknął złowrogo na posąg, który siedział, speszony, z nogą założoną na nogę.

- Miło mi cię poznać – powiedział. – Jej Miłość miała na myśli, że mogę uczyć i ciebie.

Skylle pokręcił głową, połykając resztę kromki.

- Mogę jeszcze? – skierował błagalne, miał nadzieję, spojrzenie na Cerro.

- Nie – odpowiedziała stanowczo jak Itsuk i nalała wody do szklanki tak nieudolnie, że zmoczyła całą tacę. – Popij.

Posąg wstał i zbliżył się do łóżka. Był tak wysoki, że z pewnością musiał odchodzić pod samą ścianę, by zmieścić się w lustrze o złotej ramie.

- Jesteś jeszcze słaby, ale kiedy wydobrzesz, przyjdź poprzyglądać się chłopakom w twoim wieku na wewnętrznym dziedzińcu. Spodoba ci się.

Skylle beknął donośnie, a Cerro nalała następną szklankę.

- Nie mam pieniędzy – powiedział, znów przyssawując się do szklanki.

- Prowadzę lekcje za darmo.

Skylle zmarszczył brwi, oburzony.

- Dlaczego do tej pory o tobie nie wiedziałem?

- Powiedzmy, że się nie reklamuję. Z moich usług korzystają tylko członkowie dworu.

- I oni też nie płacą?

Pomnik nie odpowiedział od razu.

- Nie. Nie płacą.

- Pij – Cerro przypomniała mu o szklance w jego dłoni.

- I wystarczy tu przyjść – Skylle ponowił, kiedy Cerro nalewała ostatnią, miał nadzieję, porcję wody - żeby dostać darmowe lekcje?

- Nie – westchnął pomnik. – Wystarczy zostać przygarniętym przez Harona Sprawiedliwości i Jej Miłość. Zobacz, ile rzeczy masz za darmo, kiedy stajesz się bogatym.

- Powinieneś skorzystać z okazji – dodała Cerro, kiedy Skylle znów wlewał w siebie wodę. – Nie interesujesz się szermierką? Każdy w twoim wieku marzy o machaniu mieczem.

- Jak się zgodzę, będę musiał tu zostać, co nie?

- Nigdzie nie musisz zostawać. Ale droga z miasta do ringu jest długa. A tak miałbyś go pod ręką.

Skylle wmusił w siebie ostatni łyk kwaśnej wody, krzywiąc się i wzdrygając.

- Muszę się wysikać.

- Masz trzy minuty.

Zawsze zostawiali go sam na sam z wiadrem, a on i tak jeszcze ani razu nie skakał z okna. Przyglądał się skalistym szczytom i ptakom, które nawet nie mogły marzyć o podleceniu tak wysoko. Skylle był wysoko. Znacznie wyżej niż Naucenemes, Itsuk, Moth i Gideon.

Musiał skończyć, siedząc na krawędzi łóżka. Nie wiedział, ile już tu jest. Ile dni spędził na spaniu, jedzeniu, rozmawianiu i zasypianiu. Na nic więcej nie miał siły.

\*

Skylle miał wrażenie, że wszyscy chłopcy byli o głowę niżsi od niego. Mieli jednak w ręku drewniane miecze, a na piersi karmazynowe surduty. Po wewnętrznym dziedzińcu niósł się dźwięk drewna uderzającego o drewno, żartobliwe wyzwiska i śmiech młodszych dzieci przyglądających się pojedynkom.

Stał w cieniu filaru z rękami w kieszeniach spodni wartych więcej niż piekarnia mistrza Taurona, przeżuwając resztki kanapek, które dostał na śniadanie. Był już na tyle silny, by móc brać dokładki i przechadzać się po zamku – z murów nawet nie było widać miasta. Tylko drzewa, skały i mgłę. Mogłoby się wydawać, że w takich warunkach nie istniało nic prostszego niż zapomnienie o nim. Ale Skylle nie potrafił.

Stał, przyglądając się bogatym chłopcom bawiącym się w walkę i na poważnie zastanawiał się o porzuceniu Itsuka i Moth. Wiedział, że tylko mu się wydawało, że chce go sprzedać tajemniczemu nieznajomemu. Że był to tylko narkotyczny majak. A i tak miał wrażenie, jakby wydarzyło się to naprawdę. Zastanawiał się, czy jedzą więcej, odkąd go nie ma. Czy Moth ma mleko. Czy Gideon wciąż musi ssać cyca tej wstępnej, śmierdzącej zgniłymi jajami mądrzej baby.

Na ławce pod drzewem w pobliżu filaru właśnie ktoś usiadł – ktoś wyglądający na urzędasa. Nie ociekał bogactwem jakoś wyjątkowo, nie był też jednak obdarty i brudny. Miał płowe włosy. Siedział w niekomfortowo bliskim dystansie od Skyllego, zwrócony do niego plecami, i pucował dwa szczepione ze sobą kawałki szyby, które potem założył na nos.

Serce Skyllego ześliznęło się w dół jego brzucha.

Okrążył nieznajomego i stanął mu naprzeciw. Rysy wokół jego oczu były tak naprawdę drucianymi okręgami wypełnionymi szkłem.

- To ty – wyjąkał.

- Ja – przyznał jakby smętnie porywacz dzieci. Handlarz niewolnikami. Człowiek, który go kupił.

Skylle obejrzał się. Silarus klęczał na jednym kolanie, pojedynkując się z chichoczącym beztrosko knypkiem. Silarus nie pozwoli go zabrać, prawda? Może nie znali się długo, ale Skylle mógł mu zaufać, prawda? Dlaczego Kai miałby go sprzedawać? Czy nie jest już wystarczająco bogaty?

- Powodzi ci się teraz o wiele lepiej niż pod moją opieką kiedykolwiek by mogło – mówił dalej nieznajomy. – Wiele dzieciaków musi ci zazdrościć.

Skylle postanowił już nie odklejać od niego wzroku.

Obcy zerwał soczyście zielony liść lipy i uniósł go pod słońce.

- Wiesz, co to za drzewo?

Skylle rzucił się pędem do wnętrza zamku, przez nie na zewnętrzny dziedziniec, a potem do otwartej bramy w murze, którą już prawie przekroczył, kiedy czyjaś ręka przygwoździła go do ziemi.

Skylle wył i nie przestawał. Wpił paznokcie w ziemię, próbując się wyrwać, ale ktoś prawie na nim leżał, próbując unieruchomić. Ktoś zwołał po czarodziejkę i Skylle wierzgnął się jak opętaniec.

- Skylle, spokojnie! – usłyszał głos Silarusa. – Uspokój się! Co ci odbiło?! Spokojnie, Skylle, spo... AUA!

Uścisnął Silarusa zelżał tylko na chwilę i nie na tyle, żeby Skylle mógł się wyrwać. Nabrął powietrza w płuca i zawył nową falą, prawie zagłuszając zimny, kobiecy głos. Zrobiło mu się zupełnie ciemno przed oczami i zupełnie cicho w uszach.

\*

Kiedy otworzył oczy, znów był w łóżku pod złotymi owcami, złotymi pasterzami i ich złotymi fletniami. Jego głowa pulsowała bólem, a powieki były ciężkie jak z ołowiu. Zaburczało mu w brzuchu. Podniósł się na łokciach i rozejrzał po ocienionym zmierzchem pokoju. Pod przeciwną ścianą siedział człowiek z okrągłymi szkłami na twarzy, pochylony nad lekturą.

Skylle wyskoczył z łóżka i wyrżnął o podłogę całym ciałem, poza prawą ręką, która została na pościeli, wykręcona pod dziwaczny kątem. Była przywiązana do kolumny łoża. Skylle szarpnął nią, wściekły, lecz mebel ani drgnął.

- Hej, spokojnie – odezwał się człowiek, a jego głos coraz bardziej się zbliżał. – Nie chcę ci zrobić krzywdy, nie jestem łowcą niewolników...

Skylle kopnął w toaletkę, od której obcy zdążył odskoczyć, zanim lustro w złotej ramie grzmotnęło o podłogę z ogłuszającym brzękiem.

- Skylle, uspokój się! Widziałem się z Itsukiem i Moth, słyszysz?! Mam wieści od nich, jestem ich przyjacielem!

Skylle przestał wymachiwać nogami. Dyszał ciężko, kiedy spojrzał na obcego, który klęczał po drugiej stronie lustra, ze swoimi oczami na poziomie jego oczu.

- Wypuść mnie – wychlipał Skelle.

- Oczywiście, za chwilę, tylko...

Drzwi otworzyły się, a do środka zajrzała kobieta w czepku. Miała nasrożone brwi i podejrzliwie zwężone oczy.

- Zawołać magini?

- Nie, nie – powiedział szybko obcy. – Nie będzie takiej potrzeby.

Drzwi znów się zatrzasnęły. Skelle otarł wolną ręką nos, kuląc się obok nocnej szafki.

- Co chcecie mi zrobić? – wyszeptał, czując wilgotną sól na języku.

- Nikt ci nie chce nic zrobić, Skelle. Jesteś w dobrych rękach, w rękach przyjaciół.

Bardzo potężnych przyjaciół. Jesteś na królewskim dworze, wiesz o tym? Wiesz, co to znaczy?

- Chcę do domu...

- Nie chcesz, uwierz mi. Chcesz spotkać się z Itsukiem i Moth, prawda?

Skelle pokiwał głową, wybuchając nową falą płaczu.

- Możesz to zrobić, kiedy tylko wydobrzesz. Widziałeś mnie, kiedy ich ostatnio odwiedziłem, prawda? Nie jestem łowcą niewolników, ani naukowcem, ani żadnym szaleńcem. Odwiedziłem Moth i Itsuka, bo chciałem nauczyć cię pisać, czytać, rachować, recytować...

- Co? – wychrypiął Skelle. – Po co?

- Bo mi cię szkoda. Bo wiem, co dzieje się z dziećmi takimi jak ty w tym przeklętym mieście. Bo widziałem jak kradniesz farbę i wiedziałem, co z nią zrobisz.

- Czemu akurat do mnie się przyczepiłeś? Ja miałem Moth i Itsuka, a inni...

- Itsuk był tutaj w sprawie swojego egzaminu mistrzowskiego, robiłem z niego protokół. Pamiętałem go, znałem jego sytuację, i kiedy zobaczyłem, że idziesz, podtruty farbą, do jego domu... To niezwykle dobrzy ludzie. Ale kwestią czasu było, aż sam byś zrozumiał, że musisz odejść lub zaćpać się na śmierć, zanim zabije cię głód. Dlatego chciałem cię przygarnąć. Ale ty mnie ubiegłeś. Znalezli cię sami haron i księżniczka, ledwo żywego, tuż przy zamkowych murach. Teraz oni cię przygarnęli. Jesteś dla nich jak syn. Zdajesz sobie sprawę z własnego szczęścia, Skelle?

- Nie chcę – pokręcił głową.

- Musisz. Musisz jeść, pić i korzystać ze swojego szczęścia. Dlatego proszę, żebyś tu pozostał.

- Nie mam wyjścia! – Skylle szarpnął wściekle całym ciałem, ostatnim beznadziejnym ruchem próbując uwolnić rękę.

- Zaraz cię, rzecz jasna, odwiążę. Dostaniesz swoje jedzenie. Już jesteś w stanie przełknąć mocniej przyprawioną rybę. Czy to nie wspaniałe wieści? Ale kiedy będziesz wolny i najedzony, zostań, proszę. Zacznię uczyć się szermierki od pułkownika. Zacznię bawić się z innymi dziećmi w zamku. I zacznię, proszę, uczyć się ze mną alfabetu.

- Nie chcę – wychlipał znowu Skylle.

- Proszę. Kai powie ci, że to zapłata za wszystko, co dla ciebie zrobił.

- Co niby dla mnie zrobił?!

- Przyniósł cię tutaj, otrutego kimonikiem. To jest ta substancja w farbie, która zapewnia narkotyczny efekt. A ten narkotyczny efekt to nic innego, jak uczucie towarzyszące powolnej śmierci mózgu. Wiesz, ilu królów zostało tą substancją zamordowanych?

- Ja nie chciałem! Nie wiedziałem!

- Skylle, masz jedenaście lat. To bardzo młody, ale i bardzo mądry wiek. Wiesz, że tysiące dzieci przed tobą umarły na ulicy, czy to z głodu, czy to z wychłodzenia, czy to z zatrucia, czy to z ran kłutych. Wiesz, że tysiące umrą. Od zawsze jesteś na to zapewne gotowy. Ale tobie się poszczęściło.

- Nie chcę. Chcę do Itsuka i Moth.

- Ale oni nie mogą przyjąć cię z powrotem.

- A ty skąd, kurwa, wiesz, co?! Zabroniłeś im?! Kupiłeś mnie od nich?!

- Próbowałem.

Skylle zamilkł i przełknął ślinę.

- Mogłem zaoferować osiemnaście cersenów. Kai zaoferował sto pięćdziesiąt.

Obcy odwiązał rękę Skyllego od kolumny, Opadła bezwładnie na podłogę, tam, gdzie kuliła się reszta jego ciała, obok której usadowił się obcy, kładąc na kolanach tacę różowego tuńczyka pośród zielonych warzyw.

- Będą teraz mogli żyć jak ludzie – powiedział obcy. – Ale ty będziesz mógł żyć jak książę.

Brzuch Skyllego dał o sobie znać głośno i bolesnie. Było to może nikłe echo bółów, które jeszcze niedawno znosił dniami, ale za każdym razem, kiedy je czuł, miał wrażenie, że jego ciało znów się rozpada. Że powinien jeść jak najwięcej, póki może, na zapas, żeby nigdy nie poczuć tego ponownie, nie dbając o żaden honor, ani uczucia, ani godność.

Sięgnął po tacę i przełożył ją na swoje kolana.

- Tak w ogóle, mam na imię Madrigale – powiedział obcy, nagle jakby ogarnięty ulgą.  
– Zwykle jestem poetą.

\*

Skylle w zamku nigdy nie bywał głodny, spragniony, ani brudny, lecz stale bywał samotny. Czasem sen morzył go południem, czasem w nocy, i zupełnie nie potrafił liczyć dni od czasu, kiedy ostatni raz widział Itsuka i Moth. Nie wiedział, ile posiłków dziennie mu przysługuje. Nie wiedział, który jest rok. Wiedział, że coraz rzadziej kręci mu się w głowie. Że może już jeść smażone mięso i pikantną paprykę. Wiedział, że jest w stanie odtworzyć rozgrzewkę uczniów Silarusa, których podglądał z okna na korytarzu. Wiedział, jak przemknąć się do łazieni. Wiedział, że w bibliotece są książki z obrazkami, które wychodzą ze stron i mówią.

Wiedział, że Kai spędza całe dnie w miejskim sądzie, w którym przyjmował ludzi ze sprawami, a potem załatwiał sprawy w zamku. Wiedział, że jest wiecznie zajęty. Wiedział, że stracił nogę i ucho w pułapce na koniokradów, a nie w bitwie, tak jak mówili w mieście. Wiedział, że nie leczy dotykiem, ani nie rozmawia codziennie z Szarym Człowiekiem, ani nie rzucił klątwy na króla za to, co ten zrobił mu w Masakrę na Zielonym Rynku. Wiedział, że to było tylko kilka batów, a nie żadne pięćset, i że jego pryskająca krew wcale nie leczyła kurzajek. Wiedział, że raz na jakiś czas zjeżdżają się haronowie, i wtedy Kai jest jeszcze bardziej zajęty. Przychodził ze wszystkich najrzadziej.

Wiedział, że Cerro jest brzemienna, ale że Skylle nie ma się o co martwić, bo pieniądze rodziny królewskiej nigdy się nie kończą. Wiedział, że Cerro nie ma jeszcze wymyślonego imienia dla dziecka. Wiedział, że jej psy nazywają się Hirne, Berus, Larrus, Mavok i Jorsalos, są ciepłe, milutkie i rozleniwione. Wiedział, że jej brat-król przeprowadził się ze swoją rodziną do Rhagos, i teraz jej mąż jest właściwie panem zamku. Wiedział, że bardziej interesują ją treningi chłopaków niż herbatki z jej przyjaciółką, którą Skylle widział raz, kiedy w ukryciu ciemnego korytarza migdała się z Silarusem. Sama mogłaby być posągiem. Cerro przychodziła zwykle, kiedy było jeszcze jasno.

Wiedział, że Silarus nie mieszka na zamku i zjawiał się w nim tylko od czasu do czasu. Wtedy z rana uczył giermków szermierki, a potem przechadzał się z Cerro albo jej piękną przyjaciółką, jeśli ta akurat kręciła się w pobliżu, a zwykle kręciła. Silarus zawsze go odwiedzał, kiedy akurat był. Raz nawet pokazał mu podstawowe ruchy drewnianym mieczem. Potem przyszedł Kai i zabrał Silarusa na „rozmowę”.

Wiedział, że Madrigale pracował dla Kaia w mieście i właściwie nie było powodu, by zjawiał się na zamku, ale jednak czasem to robił. Zawsze siedział długo, a nie tylko chwilę. Czytał Skyllemu książki i prosił, żeby ten zaczął wychodzić do ludzi. Nieważne, jak głośno Skylle na niego wrzeszczał.

Już nikt nie czuwał nad nim, kiedy się budził. Kobiety, które przynosiły mu jedzenie, nie miały czasu z nim rozmawiać. Jedzenie zawsze było wspaniałe. Nie takie jak dowożone do Itsuka i Moth.

Myślał i nie myślał o nich stale. Tęsknił i nie tęsknił. Miał pytania i sam sobie na nie odpowiadał. Czuł się zdradzony i ich usprawiedliwiał. Chciał ich odwiedzić i nie wstawał z łóżka.

Pewnego dnia obudził się i wyjrzał przez okno, a tam, choć w ringu wciąż zbierali się giermkowie, nie było już Silarusa. Znaczy, że kręci się po zamku. Albo już go opuszcza.

Skylle zerwał się, wybiegł z pokoju, zbiegł po marmurowych schodach i przeleciał po holu, by znaleźć się na dziedzińcu. Silarus już wyjeżdżała przez bramę, kiedy Skylle krzyknął. Garbaty koń zarzął i odwrócił się, zanim jeździec wydał jakąkolwiek komendę. Silarus uniósł brew.

- Zabierzesz mnie do miasta? – zapytał Skylle.

Silarus uniósł brwi. Potem kiwnął głową.

- Ale muszę wymienić konia. Ledwo daję sobie z nim radę, kiedy jadę sam. A ty nałoż buty.

Skylle nigdy nie jeździł konno i było to bardziej bolesne niż się spodziewał, a jednak tak zabawne, że nie chciał już nigdy z niego schodzić. Całą drogę spędził, czesząc jego grzywę i głaszcząc gorącą szyję pokrytą krótką szczeciną, aż Silarus zatrzymał się, przywiązał konia do paśnika przy jakimś pięciopiętrowym przybytku i powiedział, że dalej wypada iść piechotą.

Skylle szedł tak, żeby czyste włosy przesłaniały jego zabliżzoną twarz, a nogawki aksamitnych spodni jego skórzane buty. Modlił się też, by nie zauważyl żadnego z chłopaków. Nie wiedział, czy da radę nie wybuchnąć wtedy płaczem.

- Wiesz, że będę musiał odwieźć cię z powrotem? – zagadnął Silarus.

- Wiem – odburknął Skylle.

- To sporo kłopotu. Jesteś mi dłużny.

- Ile?

- Roczne lekcje szermierki.

Połowa ust Skyllego wykrzywiła się. Dotknął ich, przerażony, kiedy uświadomił sobie, że się uśmiecha. Nie pamiętał, kiedy ostatnio to robił.

Drewniany kloc przytulony do innych drewnianych kłoców, w którym mieszkali Itsuk i Moth. Był chyba mniejszy niż teraźniejszy pokój Skyllego. Nie było też witraży w pozbawionych szyb oknach, nie było malowideł i kolorów, ani kwiatów na kawałku wyschniętej trawy. Skylle zastanawiał się, czemu nigdy nie wpadł na to, by znaleźć kawałek kredy i chociaż namalować owcę na ścianie. Czemu nie mógł zebrać jakichś nasion i posadzić ich przed domem.

- To tutaj?

Skylle uświadomił sobie, że stał już naprzeciwko domu, w cieniu parawanu, który rozstawiał sobie latem ich sąsiad, pan Halkus. Tu nie było go widać ani z piekarni, ani z przeciwnego budynku.

- Tam – wskazał podbródkiem na drugą stronę zakurzonej ulicy.
- Nie musisz tam wchodzić, jeśli nie chcesz.
- Ale chcę.
- Możesz spróbować następnym razem.

Grupa roześmianych dzieciaków przebiegła drogą, skręcając w ciasną uliczkę i cichając. Skylle widział, że najwyższy z nich to Kilon. Widział, że wyrywają sobie przypalone ciastko z ubłoconych rąk.

Skylle westchnął. Przeszedł na drugą stronę i zadudnił w drzwi. Zanim zdążył uciec, otworzyła je Moth. Miała na sobie pomarańczową sukienkę, której Skylle nigdy wcześniej nie widział. Była tak szokująco radosna na żałośnie wychudłej Moth, że trudno było oderwać od niej wzrok. Uśmiechała się, kiedy otwierała drzwi. Przestała się uśmiechać, kiedy go zobaczyła.

- Skylle – powiedziała ze łzami wypełniającymi jej oczy. Jego imię w jej ustach brzmiało zupełnie inaczej niż w ustach Kaia, Cerro, Silarusa, Madrigale'a... Upadła na kolana jak zdjęta chorobą. – Skylle...

Itsuk pojawił się nad nią, zanim Skyle zdążył powiedzieć choćby słowo.

- Skyle? – powtórzył, wybałuszając głupio oczy. – To ty?

- Ja – odpowiedział podejrzanie cicho i miękko. Poczuł, jak coś skapuje z jego policzka. Przetarł go ze złością. Dość już miał tego całego płakania. – Przyszedłem zobaczyć, jak się miewacie.

Natychmiast wciągnęli go do środka i zatrzasnęli drzwi. Nawet nie zauważyli biednego Silarusa ukrytego pod parawanem.

Skylle tkwił pomiędzy nimi, w ciepłych objęciach. Czuł ich kości, i skórę, imięśnie, i włosy, i oddech, i wodę, i sam ściskał ich rozpaczliwie, nie chcąc nigdy puszczać.

- Przepraszamy, Skelle – wyszeptała po chwili Moth. – Tak strasznie przepraszamy...

- Masz prawo nigdy nie chcieć już na nas spojrzeć – dodał, dławiąc się łzami, Itsuk. – Ale jeśli byś chciał, zawsze znajdziesz się tu dla ciebie miejsce. Wszystko, co na tobie... zarobiliśmy... wszystko będzie też dla ciebie! Zobacz!

Itsuk zwolnił uścisk, by zatoczyć krąg po izbie. Stały tam cztery krzesła zamiast dwóch. Stało szersze i solidniejsze łóżko pokryte grubszą pierzyną. Stała szafka pełna naczyń, słoików i tac, które były pełne.

- I popatrz tutaj!

W drugiej izbie stały kołyska i stare łóżko. Stała też szafa, a na niej wisiały dwie czyste koszule.

- To jest teraz twoje łóżko – powiedziała Moth. – Kołyskę zabierzemy do siebie, jeśli sobie tego życzysz. Chciałbyś coś zjeść? Mogę ugotować ci pomidorową albo nawet upiec kurczaka...

- Uczę się pisać i rachować, Skelle – dodał Itsuk, prowadząc go do stołu. – Wprowadzono nowe prawo, Tauron musi mnie przyjąć z powrotem i egzaminować, to już w przyszłym tygodniu. Będę mógł więcej zarabiać i odłożyć na własną piekarnię. Będę wreszcie bogaczem, Skelle! Dzięki tobie!

- Jesteś świętym dzieckiem, Skelle – powiedziała Moth, stawiając przed nim kubek soku i półmisek malin. – Szary Człowiek wiedział, co robił, kiedy namalował twój portret wspólnie z naszym! Sam Najszarszy Haron się na tobie poznał, i ten nauczyciel, i... Tak strasznie się baliśmy, Skelle...

- Nigdy bym tego nie zrobił. Nigdy – dodał Itsuk. – Gdybym wiedział, że Moth się pochoruje, że ty się tak strasznie pochorujesz... W życiu, za żadne pieniądze nie chciałbym nigdy nikomu cię oddać, Skelle. Jesteś dla mnie jak brat, rozumiesz?

- I dla mnie – wychipała Moth. – Zachowaliśmy się jak świnie i tylko dzięki opatrznosci Szarego Człowieka wszystko tak się odwróciło. Czy wybaczysz nam, Skelle? Błagam cię, wybacz nam.

Dopiero teraz zamilkli, a Skelle przełknął gulę w gardle.

- Co mam wasm wybaczać? – uśmiechnął się blado. – Mieszkam teraz w pałacu.

- Jak cię tam traktują? – zapytał Itsuk, nagle bardziej podekscytowany niż skruszony.

- Bardzo dobrze. Bardzo dobrze karmią.

- Jak tam jest? – zapytała Moth, rozciągając w uśmiechu wargi, które wciąż przecinały ścieżki łącz.

- Ładnie. Mam łóżko z kolumnami i widok na góry.

- Umiesz już czytać? – Itsuk wygrzebał z kredensu jakąś starą ulotkę. – Pewnie masz najlepszych nauczycieli i tak bystry umysł, że czytasz o wiele szybciej ode mnie. Ale ja wcale nie zamierzam być gorszy, posłuchaj. „Za-praaa-sza-my naaa po-kaz...”

- Na razie uczę się miecza.

Ich oczy prawie wyskoczyły z orbit.

- Naprawdę?! Masz szansę zostać rycerzem?!

- Nie wiem. Jeszcze nie wiadomo, czy jestem w ogóle dobry.

- Och, Skylle! Będziesz jak drugi generał Temidan! Słyszałem, że urodził się w chlewie, a teraz...

Z izby obok rozległ się przeszywający płacz. Cała trójka poderwała się na równe nogi. Moth chwyciła Skyllego za rękę i niemal wbiegła z nim do pokoju obok.

Wyciągnęła owiniętego w puszysty koc Gideona z kołyski. Miał kępkę brunatnych włosów na głowie i darł się wniebogłosy, wymachując mięsistymi piątkami. Skylle rad był, że mógł nazwać je mięsistymi. Że mógł nazwać jego pociemniałą od płaczu twarz pucołowatą.

Moth nuciła, kołysała i stroiła miny, a płacz przemienił się w chichot. I Skylle uśmiechnął się szeroko.

- Nawet zęby ci wybielili – parsknęła śmiechem Moth. – Straszliwie przystojny z ciebie młodzianek, paniczu.

- Ja wstawię sobie niedługo złote – oświadczył Itsuk, oparłszy się o framugę. – I też się kiedyś nauczę miecza. Czemu nie, co?

Skylle znów się roześmiał, a Moth przykłękła, jakby chciała, by orzechowe oczy Gideona spoczęły na Skyllem.

- Zawdzięczasz temu pięknisiowi życie, Gidi – powiedziała. – Umarłbyś, gdyby nie lekarz, którego dla ciebie sprowadził. Gdyby nie mleko biznatów, które dla ciebie zdobył. Gdyby nie cena, jaką zaśpiewał sobie za niego...

Oczy Moth znów napełniły się łzami, a wargi zaciśniły w gorzki grymas. Gideon otworzył usta szeroko, jakby wyśmienicie się bawił.

- To prawda, Skylle – powiedział wzruszony Itsuk. – Nie wiem, co byśmy bez ciebie...

- Nie mielibyście kłopotów beze mnie.

- Nie mielibyśmy nic bez ciebie.
- Muszę już iść – ucał szybko. – Chciałem się tylko upewnić, że... no że...
- Upewnij się jak najczęściej – Moth, zamiast go potarać, pogłaskała łagodnie. – To zawsze będzie twój dom.

Gideon wydał z siebie dziwaczny gulgot i chwycił za garść włosów Skyllego.

Skylle siedział tam dłużej niż zamierzał, ale Silarus wciąż na niego czekał, rozłożywszy się pod parawanem i zapaliwszy fajkę.

- I jak? – ziewnął przeciągle.
  - Mogą wprowadzić się ze mną? – wypalił Skelle.
- Silarus wypykał trzy imponujące kręgi dymu.
- Na zamek? Nie sądzę.
  - Ale da się namówić do tego Kaia?
  - On jest dziwakiem, więc bym się nie zdziwił. Gorzej z marudnym królem, który niby się wyprowadził, ale nie ma co się oszukiwać, że już nie wróci. Ale dlaczego oni chcieliby mieszkać na zamku?
  - Co to za durnowate pytanie? To zamek! Mój pokój jest większy niż ta ich zgrzybiała buda! Jem na śniadanie tyle, ile oni w tydzień! Dziecko Kaia będzie miało cztery nianki i rodziców, a Moth nosi Gideona na rękach, stojąc za straganem przez cały dzień! Ten kretyn wydaje pieniądze na lekcje czytania, a przecież na zamku wszystko jest za darmo! Wystarczy poprosić!

Silarus zgasił fajkę i wstał, by ruszyć ku miejscu, w którym zostawili konia. Skelle pospieszał za nim.

- Gdyby wystarczyło poprosić, nie byłoby w Świętej Unii ani jednego bezdomnego dziecka i ani jednej takiej rodziny jak twoja – Silarus uśmiechnął się gorzko.
- No to co trzeba zrobić?
- Nie wiem, Skelle. Mieć szalone szczęście. Liczyć na to, że gwiazdy ułożą się w pożądany sposób, że urodzi się w odpowiedniej fazie księżyca...
- Ale dla mnie już się ułożyły i teraz mogę pomóc im!
- Ty jesteś tak jakby wyjątkowy.
- Co to niby znaczy? Co takiego wyjątkowego zrobiłem?
- Objawiłeś się przed Kаем w doskonałym momencie.
- Padłem naćpany w lesie pod ich zamkiem!
- W rzeczy samej. Kiedy Kai prowadzi sprawy w sądzie, przychodzi do niego wielu ludzi w podłącz sytuacji, ba. Był tam sam Itsuk. Kai nie przyjął żadnego z nich pod swój dach,

nawet, jeśli był poruszony ich historią. Ty mu się... objawiłeś. Kai wierzy w takie rzeczy. Albo raczej je czuje, bo nie sądzę, że sam przed sobą się do tego przyznaje.

- No to zrobię tak, żeby objawili mu się Itsuk, Moth i Gideon.

- Nawet nie odradzam ci próbowania. Samego mnie ciekawi odpowiedź Kaia. Ale nie sądzisz, że wolą godne, uczciwe życie od zamkowego pasożytyowania?

- Godne, uczciwe życie z brzuchem tak pustym, że pożera cię od środka!

- Już nie przymierają głodem.

- Dzisiaj może nie. A jutro ktoś się pochoruje albo Tauron wymyśli, jak obejść nowe prawo tak, żeby znów ruchać Itsuka w dupę.

- To samo może stać się w zamku.

- W zamku wszystko jest za darmo, a pieniądze nigdy się nie kończą!

Na horyzoncie majaczył już garbus, na którym przyjechali.

- Masz rację – westchnął Silarus. – Trzeba będzie cię trochę utemperować.

- Co to niby znaczy?!

- Że mam nadzieję, że nam się nie uda.

\*

- Spróbuj skupić się na książce.

Skylle parsknął i przeniósł spojrzenie z pustego nieba na pełną czarnych liter kartkę.

- Już wiesz, co jest napisane w trzecim rzędzie?

- Nie.

- Przeczytaj pierwszą literę.

Skylle przymknął powieki.

- Czy ty udajesz, że przysypiasz?

- Nie. Przysypiam naprawdę.

Madrigale w ostatniej chwili powstrzymał ciężkie westchnięcie.

- Wiesz, że nasza praca byłaby o wiele ciekawsza i mniej wyczerpująca, gdybyś ze mną współpracował? Ja też nie chcę, żebyś się nudził. Mógłbyś już pisać nowele o tym, co cię interesuje, co...

- A to moja wina że nie rozumiem?

- Jesteś inteligentniejszy niż...

- No chyba jednak nie jestem!

Znów zaczął wściekle wpatrywać się w błękit za oknem.

- No dobrze – mruknął Madrigale. – To próbujemy litera za literą. Zaczynaj.

Skylle wyglądał, jakby miał zwymiotować, kiedy znów powrócił do podręcznika.

- Jaka jest pierwsza litera?

Druk był czarniejszy od nocy, a papier zaśniedział i śmierdzący. Skylle widział jego włókna i małe dziurki tam, gdzie starość wykuła...

- Słucham, jaka jest pierwsza litera?

- Nie wiem!

- Spojrzałeś na nią chociaż?

Skylle spojrzał na początek zdania i milczał.

- No więc?

- Co „no więc”?

- Co to za litera?

- Nie wiem.

- Na jaką literę zaczyna się słowo „koło”?

Skylle zacisnął wargi w proteście.

- No, powiedz.

- Na „k”?

- Dobrze, świetnie! Wskaż wszystkie „k” w tym zdaniu.

Skylle zrobił to swoim długim jak patyczak palcem wskazującym.

- Widzisz, wskazałeś literę na początku zdania. Więc jaka to litera?

- „K”.

- Świeńcie. Jaka jest druga litera?

- Nie wiem.

- Skylle, chcesz tu siedzieć cały dzień?

- No po prostu nie wiem, co mam zrobić?!

Madrigale spojrzał na niego błagalnie. Skylle skutecznie uniknął jego wzroku.

\*

Młoda wiedźma zerknęła ukradkiem na Skyllego.

- Oczy do książki, dziewczyno.

Wróciła do alchemii drugiego stopnia, a on czytał dalej:

- „...i wszedł do domu. Kot lubił dom. Dom był czysty. Kot lubił czystość. Kot postanowił się wyczyścić. Nie ma nic lepszego niż przygody i powrót do czystego domu.”

Odetchnął głęboko, kiedy magini Chevita zabrała rozjarzone magią ręce z jego skroni.

- No widzisz, chłopcze. Nie jesteś aż takim bałwanem. Koniec lekcji. Módl się, żeby Madrigale już więcej cię do mnie nie przysyłał.

Chłopak zatrzasnął podręcznik i wyparował jak najszybciej z sypialni Chevity. Młodsza czarodziejka zebrała swoje książki i pospieszyła za nim.

- Hej – powiedziała, a on aż podskoczył. Dziewczyna w panieńskiej masce uśmiechała się tak szeroko i przyjaźnie, że aż krew zamarzała w żyłach. – Magini tak naprawdę nic by ci nie zrobiła...

- Odpierdol się – fuknął, trzymając gruby tom jak tarczę przeciwko jej stygmatom.

- Ja nawet nie jestem czarodziejką. Nic ci nie zrobię, Chciałam tylko ci powiedzieć, żebyś nie dawał się tak...

- Odpierdol się ode mnie.

Odszedł prędko, lapiąc na nią przez ramię, a ona wreszcie usłuchała, zmierzając w przeciwnym kierunku, na zewnętrzny dziedziniec.

Kiedy Skylle znalazł się na szczycie zachodniej wieży, jego nogi wciąż trzęsły się jak galareta. Madrigale nawet nie odsunął się od teleskopu.

- Ta dziwka chciała mnie zabić! – wrzasnął Skylle. – Chciała wytopić mi dziurę w mózgu!

- Skoro nie masz żadnej dziury, zakładam, że nie dałeś jej pretekstu – odparł pogodnie wierszokleta.

- Może po prostu nie nadaję się do całego tego czytania!

- Nie przesadzaj. Z nazwami dań w kuchni jakoś sobie radzisz.

- Nie czytam ich nazw, tylko podpytuję i...

- Dobrze już, dobrze. Podejdź tutaj.

Madrigale wyciągnął z kieszeni barwione szkiełko i wkręcił je w tubus teleskopu. Ściągnął okulary i zmrużył jedno oko, zaglądając w metalową rurę.

- Wybornie! – ucieszył się i przesunął na bok, z powrotem nakładając swoje szkła w drucianych obwódkach. – Popatrz.

Skylle przyłożył oko do okulara. Mimo jasnego dnia, widział rozgwieżdżone niebo.

- Wiesz, gdzie jesteś? – spytał Madrigale.

Skylle westchnął głęboko.

- W Bramie Vversyloss.

- Złożonej z gwiazd...?

- Kalibamme, Kyvvinyle, Shkarinn i Eos Hattk. Kto wymyślał te durne nazwy?

- Nie odwracaj wzroku. Dzisiaj jest równonoc. Pamiętasz, co dzieje się dzisiaj w Bramie Vversylos?

Skylle przycisnął szeroko otwarte oko do okulara.

- Przejedźda przez nią Wiatr.

- Dokładnie. Już za chwilę.

Skylle bał się mrugać. Czekał i czekał, przyglądając się połyskującym iskrom i bezdennej czerni, co chwilę zawieszając wzrok na pustej przestrzeni pomiędzy białymi Kalibamme i Kyvvinyle a złotymi Shkarinn i Eos Hattk. W końcu pojawiły się na niej zmarszczki. Wyglądały tak jak wyobrażenia wietrznego podmuchu na dziecięcych rysunkach, które przybierały na długości, gęstości i wyrazistości, aż zaczęły targać za sobą mgłę i iskry migoczące jak najdroższe, najpiękniejsze, różnokolorowe klejnoty.

- Nie odwracaj wzroku – usłyszał głos Madrigale'a. – Mogę cię tam przybliżyć.

Skylle zbliżała się do Bramy, wokół której wszystko pozostało stałe i nieporuszone, podczas gdy przez nią pędził strumień kolorowych ogników i fal. Skylle widział je coraz wyraźniej, były oślepiające, a jednak nie mógł zamknąć oka. Widział biegające diuny gwiazdnego pyłu i kształty w promienistych koronach, których mógł teraz właściwie dotknąć, mógł je połknąć...

- Przestań – wyjąkał. Ale uświadomił sobie, że może po prostu odejść od teleskopu.

Tak zrobił. Z wysiłkiem, jakby wynurzał się spod przewróconej łodzi. Usiadł na krześle, przytrzymując wirującą głowę.

- Dobrze się czujesz? – Madrigale przyglądał się mu z niepokojem.

- Dobrze.

- A więc co się stało? Przeraża cię piękno?

- Nie... Po prostu było za blisko.

Sięgnął po szklankę soku z granatu. Odkąd obudził się w łóżku z kolumnami, nie czuł na języku nic innego niż doskonałość.

Madrigale kucnął naprzeciwko niego. Kucnął i nic nie mówił. Tylko przyglądał mu się nad drucianych obwódek swoich szkieł.

- Co? – Skylle zmarszczył brwi, instynktownie szukając ostrza w rękawie, w którym nie było już nic, poza kościanymi guzikami.

- Mój nowy poemat będzie o dualizmie dziecięcej duszy – odpowiedział Madrigale. Głoś miał rozmarzony i nieobecny, ale wzrok przytomny i skupiony.

- Co? – odparł Skylle.

Madrigale wstał i wypruł wszystkie swoje szkiełka z teleskopu.

- Przez Bramę mojego serca przejeżdża właśnie Natchnienie – oznajmił. – Do jutra, Skylle.

- ...No do jutra.

Madrigale zabrał swoją wypchaną notatkami, książkami i szklami torbę, i wyszedł. Skylle, wciąż lekko skołowany, znów przyłożył oko do teleskopu i znalazł księżyce – fachowo, jak Madrigale mu wyjaśnił, Ddarel. Był prawie pełny, żółtawy jak wyschnięta trawa, obiegły szarą obręczą przerwaną w jednym punkcie stale zmieniającym położenie. Skylle zmrużył oczy z nadzieją, że być może akurat jemu uda się dostrzec wjazd prowadzący do miasta Ludzi Księżyca.

\*

Myronowi śniło się, że trzyma nowonarodzone dziecko w ramionach. Miało gęste, czarne włosy, przytomne spojrzenie i imię Aedor. Było tak samo piękne jak Kallo i Liara tuż po urodzeniu. Było tylko straszliwie ciężkie. Tak ciężkie, że Myron usiadł i ułożył je na kolanach, a na skórze lewej dłoni zobaczył plamy wykwitłe z wysiłku. I jego kolana coraz bardziej bolały, jakby leżał tam rosnący w zatrważającym tempie niedźwiedź, a nie jego syn.

Usta Aedora otworzyły się szeroko, a dłoń Myrona włożyła w jego usta małe, ciężkie, stalowoczarne jajko. Aedor połknął je i stał się tak lekki, że Myron znów mógł bez przeszkód porwać go na ręce i podrzucać, a Aedor śmiał się donośnie.

Ręka Myrona nacisnęła klamkę i znalazła się na dziedzińcu, którego nie znał, ale wiedział, skąd wziąć miecz - zdobiony rubinami Cesarsz - miecz, którego nie miał, a który powinien mieć. Był zbyt piękny, żeby walczyć nim w treningowym ringu, ale Aedor już czekał, tupiąc w twardy grunt długimi, mocnymi nogami. Dzierżył miecz prawą ręką, długą i umięśnioną, a na jego ramiona opadały gęste, błyszczące włosy, falujące jak włosy Habren, a czarne jak włosy Myrona. Aedor wyglądał jak starsza wersja Kallo, a jednocześnie jak niepokonany wojownik z legend, który ubrał się w treningowy pancerz dla żartu. Uśmiechnął się, kiedy ruszyli na siebie.

A jednak Myron był lepszy i przebił brzuch Aedora. Chłopak wypluwał z siebie krew, konając na kolanach Myrona, który porzucił Cesarsza, zastanawiając się, czemu nie wybrał drewnianego miecza i czemu nie udawał, że jest słabszy niż w rzeczywistości. Jego łzy mieszały się z krwią wypływającą z ust i brzucha Aedora, kiedy wypłynęło z niego coś jeszcze – małe, ciężkie, stalowoczarne jajko. Aedor podniósł je i uśmiechnął się. Otworzył

usta i znów je połknął, a kiedy Myron spojrzał w dół, na brzuchu Aedora nie było nawet rozdarcia.

Aedor zerwał się, chwycił Cesarza i dotknął nim piersi Myrona z triumfem. Myron roześmiał się gromko.

- Myron?

Obudził się, przeszyty piorunującym dreszczem. Habren pochyłała się nad nim ze zmarszczonym czołem.

- Dobrze się czujesz?

- Tak – uniósł się na łokciach na kozetce, na której zasnął po kolejnej sesji rozmów ze znachorką. Jego koszula lepiła się od potu. – Śniło mi się, że urodził nam się drugi chłopiec.

Habren kucnęła przy łóżku, uśmiechnięta, chwytając jego ślepką dłoń.

- To pewnie proroctwo – powiedziała. – Jestem przy nadziei.

Myron najpierw otworzył szeroko oczy, a potem zaśmiał się i przygarnął żonę do siebie.

- Przepraszam, lepię się od...

- To nic.

I ona przytuliła go mocno i ucałowała w spocone czoło.

- Spróbuje jeszcze dogonić znachorkę. Może będzie miała jakieś porady. A ty odpoczywaj, kochany.

Pocałował ją i dotykał jej dłoni, póki końce ich palców się nie rozłączyły. Kiedy usłyszał cichy trzask zamkanych drzwi, opadł z powrotem na poduszkę. Musiał zasnąć przez te uspokajające kadzidła i grzyby, którymi karmiła go znachorka. Na trzeźwo z pewnością nie byłby w stanie – kozetka była straszliwie wąska, a pod poduszką uwierało go coś tak przykrego, że nawet potrójna warstwa pierza nie była w stanie tego stłumić.

Myron sięgnął pod poduszkę i wyciągnął spod niej małe, ciężkie, stalowoczarne jajko.

## ROZDZIAŁ XVII

- To smocze jajo? Prawdziwe smocze jajo?

- Zgadzają się co do tego i magowie, i przyrodnicy. Nigdy jednak nie wyrośnie z niego smok. Nie ma w nim życia. Jest mnóstwo magii.

- Myślisz, że Gomorczycy je podłożyli?

- Nie miałoby to żadnego sensu. Myron leżał na tej kozetce dziesięć razy od czasu ich wyjazdu. I on, i służący przenosili poduszkę, i nikt nigdy nie znalazł żadnego jajka.

- Może przekazali je komuś i ten ktoś czekał na odpowiedni moment, żeby je podłożyć?

- Na odpowiedni moment, kiedy król będzie miał akurat proroczy sen?

- Oni również mogą porozumiewać się snami.

- Nawet jeśli, jaki mieliby w tym cel? Król myśli, że jego syn będzie nieśmiertelny, a nie, że poparcie rebelii Kiuko to rozsądna polityczna decyzja.

- Może to pierwszy taki sen, mający wzbudzić zaufanie? Może będą kolejne? Na pewno widzieli, że król jest... w drażliwym stanie. Dlaczego nie mieliby tego wykorzystać?

Palce generała skubały powoli jego dolną wargę. Jego wzrok już od dawna nie śledził Myrona łapiącego z Kallo pstrokate żaby nad pałacowym jeziorem, ale ścieżki możliwości, prawdopodobieństw i teoretycznych sprawców.

- Słyszałem o snach udających proroctwa. Ale Myron też o nich słyszał – mruknął. - I ja, i on uwierzyliśmy w nasze sny. Były wyjątkowe i podarowały nam coś namacalnego. Wtedy nie było tu żadnych Gomorczyków. Tylko Ludzie Nieba.

Melvourne westchnął i zamajał nogami, obijając piętami o kamienną balustradę, na której się usadowił. Umarłby szczęśliwym człowiekiem, gdyby już nigdy nie usłyszał tych dwóch słów w tej przeklętej konfiguracji.

- Dlaczego mieliby dzielić się swoim sekretem z królem?

- Myron myśli, że jajo zapewni jego synowi nieśmiertelność. Że jest wybrańcem. Słyszałem plotki, że już pobąkiwał coś o zmianie prawa sukcesji na rzecz dziecka, które jeszcze się nie urodziło. Ale my wiemy, że jajo nie daje nieśmiertelności, tylko możliwość reinkarnacji. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby ktoś posiadł ciało przyszłego króla.

Melvourne przestał machać nogami.

- Może powinniśmy powiedzieć mu o Ludziach Nieba?

- Myślisz, że to go powstrzyma? Sam połknie jajo jak kretyn, a nas skróci o głowy.

- Nie, jeśli będziemy mieć informacje...

- To zamknie nas w lochu i weźmie sobie informacje torturami.
  - Zostawmy informacje i ucieknijmy.
  - Za dużo ostatnio pisujesz z pułkownikiem.
- Chyba warto poświęcić nasze tytuły dla życia, prawda? Nadchodzi inwazja przeciwników, których nie da się powstrzymać, a ty, generale, zastanawiasz się nad zatajeniem tej informacji, bo może przysłużyć ci się w dworskich intrygach?

Yazor zgromił go takim spojrzeniem, że Melvourne musiał spuścić pokorne wzrok.

- Kiedy byłem znacznie młodszy od ciebie, denerwowało mnie, że dziadek i ojciec cały czas powtarzają w kółko te same historie, jakby zapominali, że już je tyle razy opowiedzieli. Ale to nie oni zapominali, tylko ja, tak jak i ty zapomnisz znowu, kiedy po raz kolejny ci przypomnę, i twoim przekleństwem jest słuchanie tego, a moim powtarzanie z płonną nadzieję, że kiedyś zainteresuje cię to na tyle, żeby to sobie zapisać w pamięci.

Melvourne poczuł, jak rumiane wypieki wykwitają na jego policzkach.

- Twój prapradziadek był sołtysem najbogatszej wsi w kraju. Przyjaźnił się z każdym jednym haronem, wiedział, jacy są z nich głupcy, dawał im mądre porady. A i tak żadne pieniądze i intelekt nie kupiły mu głosu w kraju. Twój pradziadek trenował walkę od dziecka i studiował strategię na Akademii Sztuki Wojennej w Ilfidromes przez pięć lat tylko po to, żeby zostać kapralem i nie mieć żadnego głosu w kraju. Twój dziadek został osobistym strażnikiem królowej Eurydyki i zaręczył się z damą dworu tylko po to, żeby jej rodzina wydziedziczyła ją za rozwarcie małżeństwa z chłopem, który śmiał chcieć głosu w kraju. Twój ojciec wraz z twoim dziadkiem musiał spreparować trzy spiski na koronę, podżegnąć dwa buntys i wyświadczyć niekończący się szereg przysług, żeby wreszcie dostać ten cholerny tytuł i żebyście ty i twój brat mogli dorastać, nie zaprzatając sobie głowy żniwami, nawozem i paszą dla świń, ale wciąż głos mają głupcy, a nie ja i wy. I, oczywiście, macie to wszystko w głębokim poważaniu, bo urodziliście się na wygranej pozycji. Ale ja nie. Ja wciąż pamiętam i wciąż się wstydzę tego, co zrobiłem po to, żeby zostać generałem, którym nawet nie chciałem być. Ale co miałem zrobić? W tym kraju nic się nigdy nie zmienia. Nazwiska u władzy od wieków są tymi samymi nazwiskami. Granice od wieków są tymi samymi granicami. Zamachy są udawane, spiski zmyślone, powstania małe, wojny już nawet nie wybuchają, bo wszystko stoi twarde i bezsensownie jak nieporuszalna skała. Ci Ludzie Nieba to pierwsza prawdziwa rzecz, jaka przydarzyła się na tym kontynencie od niepamiętnych czasów. Pierwsza mająca jakiekolwiek znaczenie rzecz. Pierwsze rzeczywiste zagrożenie. A skoro jestem już tym generałem, to chcę w końcu zmierzyć się z czymś, z czym prawdziwy generał powinien, bo haroni, król, szlachcice - oni wszyscy nawet się nie zorientują, kiedy ta

nieporuszalna skała, na której wylegają się od wieków, nagle się zatrzęsie i rozłupie pod ich plecami, i wpadną w bezdenną otchłań, a wszyscy inni wraz z nimi. Po co to wszystko, według ciebie, było, co? Żebyś uciekł i schował głowę w piasek? Żebyś porzucił tytuł i rodzinę i próbował żyć bez nich, oszukując samego siebie, że w ogóle potrafisz? Nikogo innego nie zdołasz.

Melbourne zawsze czuł się jak niewdzięczny smarkacz, kiedy ojciec przypominał mu o pracy i poświęceniu dziadków. Inni lirrowie stale słyszeli o samoistnej wielkości swojego rodu, o oczywistej wyjątkowości krwi w swoich żyłach. Ale nie Melbourne i Silarus. Ich przodkowie rzeczywiście robili wszystko, by pomóc przyszłym pokoleniom - życie poświęcili, próbując dodrapać się do czegoś więcej niż było im dane przy urodzeniu, i Melbourne nie mógł sobie pozwolić na zapomnienie o tym. Musiał pamiętać kleksy w dziennikach prapradziadka Onedaia. Musiał pamiętać sękatą rękę pradziadka Temidana na swojej głowie, jego ostatnią przedśmiertną opowieść. Musiał pamiętać dziadka Ifigena i ich wspólne polowania. Musiał pamiętać ojca i jego nigdy nieprzerwaną musztrę. Inaczej skończy jako Parszywiec – ten jeden przeklety w pokoleniu syn, ten, który zawsze wszystko psuje, który sprowadza katastrofę na samego siebie, który bardziej przeszkadza niż pomaga, który kończy tak jak stryj Igłot, i przestryj Klion przed nim, i praprzestryj Ouvel, przed nim, i prapraprzestryj Livil. A los parszywca jest gorszy od śmierci.

- Więc jaka decyzja? Pakujesz się?

- Nie to miałem na myśli.

- Więc co?

Melbourne chciał, żeby ojciec czasem nie musiał wszystkiego na pewno usłyszeć, żeby nie musiał wszystkiego drażyć. Żeby nie musiał tak wwiercać wzroku. Przecież i tak już wiedział.

- Skoro twierdzisz, generale, że da się ich pokonać, to chciałbym mieć w tym swój udział.

Yazor łaskawie wrócił do wpatrywania się w przestrzeń, a Melbourne odetchnął głęboko.

- Jak blisko muszą być – kontynuował generał – skoro mają króla w zasięgu swoich zsyłających sny magów? Skoro wciąż mogą podkładać fenty pod poduszki?

Melbourne znowu westchnął.

- Przesłuchiwałeś, generale, znachorkę?

- Kurtuazyjnie. Myron mianował jej męża lyrrem za zasługi, które przyniosły mu jej medykamenty. Wydaje się zupełnie nieświadoma tego, co się naprawdę wydarzyło, ale tamta Mitra też się taka na początku wydawała.

- Może znowu winna jest jakaś pokojówka?

- Każdy mógł wejść do tego pokoju, kiedy Myron spał jak w malignie. On pamięta tylko Habren, i tak, zastanawiałem się nad tym, ale nie jestem na tyle szalony, żeby próbować ją przesłuchać.

- Królowa miałaby być Człowiekiem Nieba? Z całym szacunkiem, generale, ale czy nie sądzisz, że popadasz w lekką...

- To mógłby być każdy i nie wiem, czy sens ma przetrzebienie całego zamku. Większość z nich to pewnie mięso armatnie pokroju Mitry. Miewają sny, znają język, i nic poza tym. Każdy z nich może stać się posłańcem albo skrytobójcą, jeśli tylko otrzyma tak... sugestynny sen.

Melvourne zeskoczył z murku i stanął obok ojca, próbując zatrzymać wzrok w jego twarz. Yazor tym razem, jak na złość, nie odwzajemniał zainteresowania.

- Kai Kohar może wiedzieć więcej – szepnął. – Był zainteresowany więźniami do poziomu porwania go, Silarus zdradził mu historię...

- Kai Kohar jest przyczyną wszystkich tych problemów – żachnął się Yazor. – Podważył autorytet Myrona do tego stopnia, że ten całkiem ogłupiał. Dopiął swego, wygonił go z Modrego Oka, a ja nie mam już wolnej ręki. Zastanawiam się, czy Kohar w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, jakim zagrożeniem są Ludzie Nieba. Czy widzi w nich tylko ciekawostkę, zagadkę kryminalną, którą pułkownik jak bałwan przed nim wyłożył...

- Te pytania z pewnością mogą znaleźć odpowiedzi, jeśli tylko porozmawiacie, wymienicie się informacjami, przemyśleniami...

Yazor znów spojrzał prosto na niego swoimi sokolimi oczami, a Melvourne zamilkł i wyprostował się.

- Otrzymałeś jakąś propozycję? – wycedził.

- Nie propozycję – odpowiedział Melvourne. – List od Silarusa. W którym Silarus zastanawiał się, czy jest taka możliwość...

Yazor parsknął śmiechem pozbawionym humoru.

- Nie toczę wojny z Najszarszym Haronem. Jeśli Jego Najszarszość życzy sobie mnie przesłuchać, może wysłać rozkaz...

- Próbowałeś go, generale, zabić.

- A, tak, często zapominam. Byłem wtedy jednak w tak ekstatycznej słabości umysłu jak Myron teraz.

Myron turlał się po trawie z Kallo i Liarą w objęciach, nie zważając na zielone plamy pozostałe na ich ubraniach.

- Niech da mi rozkaz – powiedział generał. – On, a nie jakiś pułkownik.

Generał odszedł, poprawiając sprzączki rękawa. Melvourne zamrugał, zaskoczony. Nie spodziewał się, że pójdzie tak gładko.

\*

Skylle przymknął oko i naciągnął cięciwę powoli, spokojnie, na tyle mocno, że jego palce zadrżały. Zajęc stanął na tylnych łapach i zastrzygł uszami – Skylle natychmiast puścił strzałę, na dźwięk której zajęc odskoczył i pognął w gęstwinę, nie oglądając się za siebie.

Skylle poszukał dezaprobowującego spojrzenia Silarusa siedzącego na drzewie naprzeciwko. Nie zawiódł się – Silarus pokręcił głową i szarpnął nią na znak, że Skylle ma ruszać dalej.

Westchnął, nałożył łuk na plecy i wdrapał się na gałąź wyżej, by dostać się na następne drzewo, a potem jeszcze na następne. Silarus dotrzymywał mu kroku po przeciwej stronie leśnej ścieżki, robiąc to tak zgrabnie i bezszelestnie, jakby wychowały go pantery. Spod każdego kroku i chwytu Skyllego sypały się liście, pyłki i drewno, a czasem nawet z jego ust wyrywały się mimowolne sapnięcia.

- Pssst! Skylle!

Silarus wskazał palcem na sowę siedzącą na gałęzi wysoko ponad nim. Miała zamknięte oczy i tkwiła całkiem sztywno pośród mozaiki kory i listowia.

Skylle puścił strzałę. Nie trafił. Sowa obudziła się, lekko zszokowana, i odleciała ze skrzekiem.

- Ona dosłownie spała – szepnął Silarus.

Skylle zacisnął zęby ze złością. Ruszyli dalej, aż dotarli do polany zarośniętej wyschniętą trawą. Tu przystanął zajęc, obwąchując kawałek prażącej się ziemi w pobliżu szarobrązowego kamienia. Skylle przymknął jedno oko i napiął cięciwę. Wstrzymał oddech, jego język wysunął się na brodę, a strzała świsnęła.

Kwik, który się rozległ, zmroził krew w żyłach i Silarusa, i Skyllego – obaj wyprostowali się, nie dbając już o przyczajanie się w ukryciu.

Zajęc uciekał w podskokach od oszalałego z przerażenia włochatego głazu, któremu nagle wyrosły cztery racice.

- Trafiliś dzika! – krzyknął Silarus, dobywając własny łuk i zeskakując z drzewa tak miękko, jakby wychowały go dachowce. – Szybko, jest tylko ranny!

Skylle zeskoczył z gałęzi, potykając się o własne przerośnięte nogi, i pognał z Silarusem za kuśtykającym, ale desperacko walczącym o przeżycie zwierzęciem.

Jego druga strzała powaliła je na ziemię.

- Tak jest, Skylle! Znakomicie!

Pijani radością, podbiegli do dzika. Jedna strzała była wbita w jego nogę, a druga w żebro – wciąż oddychał i patrzył na nich z szeroko otwartymi, zażawionymi oczami.

Uśmiech spłynął z twarzy Skyllego.

- Cholera – mruknął Silarus. – Musisz go dobić.

Skylle się nie poruszył.

- Nie pozwól mu cierpieć...

- Nie chcę!

- Co, chcesz zjeść go żywcem?

Silarus zobaczył zaciskające się pięści i kroplę spadającą na trawę.

- Hej... - powiedział łagodnie. – Jest już za późno. Im dłużej się wahasz, tym dłużej go boli...

- Nie chcę! – wrzasnął Skylle, przyciskając ręce do twarzy, jakby próbował wcisnąć łzy z powrotem do środka.

Silarus uklęknął i wydobył zza pasa nóż myśliwski, by poderżnąć zwierzęciu gardło. Zamknęło oczy, nie wydając żadnego dźwięku.

Skylle też był cichy, choć jego policzki były przemoczone do suchej nitki. Dłoń Silarusa spoczęła delikatnie na jego ramieniu – tylko po to, by Skylle wzdrygnął się i strząsnął ją gwałtownie.

- Co robisz?!

- Pocieszam cię.

- Nie trzeba mi pocieszenia!

- Dobrze by było, żeby ta śmierć się nie zmarnowała. Bierzemy go do zamku?

Skylle popatrzył na truchło, po czym podniósł je, sapiąc, i zarzucił sobie na ramiona. Ugiął się pod ciężarem zwierzęcia, ale zaraz wyprostował i ruszył. Silarus podążył za nim.

- Powiniensem zaliczyć ci ten egzamin? – zgodnął beztrosko. - Trafiliś w ruchomy cel, owszem, ale w znacznie większy niż miałeś.

- Jasne, że masz go zaliczyć! Ten dzik był szybszy i mocniejszy!
- Zmarnowałeś dwie strzały...
- Zaliczyłem ten egzamin, jasne?! Dzięki mnie będziesz miał dzisiaj dziczyznę zamiast pasztetu!

Silarus uśmiechnął się do siebie. Skylle przyspieszył, pocąc się z wysiłku pod bezlitosnymi promieniami słońca, które jeszcze nie zorientowało się, że lato chyli się ku końcowi.

Kiedy dotarli do zamku, a krępa służąca odebrała Skyllemu dzika, nawet nie wydając z siebie stęknięcia wysiłku przed wzięciem go pod pachę, Silarus natychmiast zakasał rękawy przetartej koszuli i zanurzył ręce w beczce wody po same łokcie. Wtarł ją w twarz, szyję, kark, a nawet za uszami. Skylle zmarszczył nos, zdegustowany, ale podążył za jego przykładem. Woda była tak zimna, że aż bolała.

- Udane łowy? – zagadnął Tytus, dłużąc sobie nożem w zębach.
- Wyjątkowo – odparł Silarus. – Dziczyzna. Trochę poszarpana, ale...

Skylle łyknął na Silarusa złowrogo, ale ten tylko błysnął równiutkimi, białymi jak perły zębami.

- Wybitnie jak na pierwszą wyprawę – Tytus kiwnął w jego kierunku głową z aprobatą. – Zdolny z ciebie młodzik.

Skylle pewien był, że jego twarz robi się bordowa.

- Choćby chciał ustrzelić zajęca, to trafi dzika – zaśmiał się Silarus, po czym prychnął wściekle, gdy Skylle chlusnął w niego lodowatą wodą.

Kiedy Silarus znów zanurzył ramiona w beczce, najwyraźniej zamierzając się odpłacić, Skylle odskoczył do tyłu ze śmiechem i, rzecz jasna, na kogoś wpadł. Na kogoś ważnego, bo aż zagrzechotało złotem. Mężczyzna miał pyszny kubrak opinający dumnie wypiętą pierś i srebrne zapinki przy pelerynie. W kształcie ośmiornic. Skylle przydeptał buty panu tych ziem, a ten nawet na niego nie warknął. Nawet nie zwrócił na niego uwagi.

- Trian? – odezwał się Silarus.
- Ledwo cię poznałem bez munduru – zaśmiał się jowialnie Trian, podchodząc do Silarusa i potrząsając jego mokrą ręką. – Jak się miewasz?
- Dobrze. Właśnie wróciłem z lasu...
- Skoro dobrze, dlaczego tak rzadko goszczę cię na Sowim Wzgórzu?
- Cóż... Mam teraz nowego wychowanka. Skylle, to lyrr Trian Agver. To on będzie zdzierał z ciebie podatki, jak dorośniesz.

Trian zaśmiał się i machnął niefrasobliwie rękami, jakby był to tylko jeden z jego licznych talentów.

- Miło mi cię poznać – ukłonił się, splatając ramiona za plecami. – Nowy nabytek Kaia, nieprawdaż?

- Rodzicielstwo rzuca mu się na umysł bardziej niż Cerro – Silarus wciął się szybko, zanim Skylle zdołał cokolwiek odparować. – Przygarnąłby chyba każde dziecko, które ma choć trochę smutku w oczach. A ty przyjeżdżasz ze sprawą do niego? Wraca z miasta dopiero tuż przed zmierzchem.

- Nie, właściwie... Przyjechałem chyba pożegnać się z zamkiem. Ze wszystkim. I ze wszystkimi, więc rad jestem, że ciebie spotkałem.

- Och. Wyjeżdżasz?

- Wypływam. W ciągu dwóch tygodni. Do Somnargeru.

Silarus uśmiechał się przyjaźnie, choć jego klatka piersiowa uniosła się znacznie, a powietrze, które wypuścił, leciało długo i szumnie.

- A więc to pewnik? – zapytał.

- Nie, ale muszę być tam osobiście. Może osiądziemy tam z Ceadmille. A może wróć tutaj błagać o powrót do łask.

Obaj się zaśmiali. Skylle usiadł, znudzony, opierając się plecami o beczkę z nadzieją, że porozmawia sobie chociaż z Tytusem, ale ten był zbyt zajęty przyglądaniem się rozmawiającym z ledwo widocznym uśmieškiem.

- Pozostaje mi życzyć wam powodzenia – powiedział Silarus.

- Dziękuję, druhu – odparł Trian Agver. – Za wszystko.

Skylle usłyszał oddalające się kroki miękkich, drogich butów i podzwanianie srebrnych sprzączek, a potem ogłuszający plusk tuż przy swoim uchu – to Silarus włożył swoją głowę w wodę aż po barki.

\*

Oddech Meglyne tworzył na szybie szare plamy szronu, a jej czoło zostawało biały ślad makijażu. Widziała, jak stajenny podciął nogę kucharce; jak kowal przekuwał powyginaną zbroję giermka; jak jakiś stary rybak pobił wszystkich opiekunów kurnika, chlewu i obory w ucho; jak Skylle przyniósł upolowanego dzika; jak pułkownik wsadził głowę w beczkę - i nic nie sprawiło, żeby się chociaż uśmiechnęła. Z chęcią doiłaby krowy albo rozrzuciła ziarno kurom, albo biegała za uciekającymi prosiakami. A najchętniej byłaby

jak Skylle i wychodziłby z zamku. Chłopak był o połowę młodszy od niej, gorszy w czytaniu, historii, matematyce, geografii, alchemii, heraldyce, w łuku na pewno też. A mimo to wychodził za mury zamku, kiedy tylko chciał.

Chevita mówiła, że wyjdą, jak będzie mieć czas, ale Meglyne myślała, że całe to Zakwitanie było zorganizowane właśnie po to, żeby mogła swobodnie chodzić, gdzie i kiedy chciała, bez czekania na czas Chevity. Podejrzewała, że magini każe ją za Święto Gościnności; podejrzewała, że Chevita jest po prostu wredna i zawistna, choć twierdziła, że jest zapracowana, i to wszystko wina Kaia, bo po wyjeździe króla nie ma komu zarządzać Modrym Okiem. Meglyne i Kai skończyli tłumaczyć *Raport Wynna*. Kai zamierzał wydać go pod nazwą *Jedyne odratowane z biblioteki Meaveletha Szarego skrócone przedstawienie narodzin Świętej Unii*. Powiedział, że muszą sobie zrobić przerwę od lekcji. Teraz biblioteka, którą czasem zamykał na klucz, należała do niego, księżniczki i pułkownika. Dla Meglyne nie było tam miejsca. Pamiętając o słowach magini i Jej Miłości, starała się nie uczyć Kaia wszystkiego, co wiedziała, zbyt szybko, ale poszło jej to chyba tak dobrze, że on sam nie orientował się, że czegokolwiek mu brakuje. Stało się to, co stać się miało – nie była mu już potrzebna. Przestał ją odwiedzać. Odkąd Jego Wysokość przydzielił mu budynek w mieście, na zamku brakowało też Lourdesa, Mnemosyne i Agdy. Pokój karciany stał pusty i się kurzył. Madrigale czasem się pojawiał, ale zajmował się nowym narzędziem Kaia. Meglyne czasem nie mogła się powstrzymać i dywagowała na temat przydatności bezdomnego chłopca i zastanawiała się, kiedy i ona się wyczerpie.

To, oczywiście, nie tak, że nie rozumiała. Kai był haronem. Wybitnie zajętym i odpowiedzialnym człowiekiem. Wszystko, co robił, robił dla ludzi. Przygarnął ją, przygarnął Skyllego, a do tego miał dziecko w drodze. Ale i tak było jej żal.

Pułkownik wyciągnął głowę z wody, bo ktoś wręczył mu list. Meglyne przeniosła wzrok na jeszcze nie lysiejące korony leśnych drzew. Czerwone wyglądały, jakby zakwitły szkarłatnymi różami, a żółte jak płatki krokusów w pełni wiosny. Brązowe były wiórami mlecznej czekolady, takiej, jaką Meglyne najbardziej lubiła, z migdałami i rodzynkami. Poczuła się jeszcze gorzej na tę myśl i odeszła od okna, zgarbiona i wycieńczona, jakby miała upaść na podłogę bez sił i zmysłów.

Ze schodów prowadzących na ostatnie piętro sypialni schodził ktoś o ciężkim, niezgrabnym i sprawiającym słyszalne trudności kroku. Meglyne przylgnęła chyłkiem do ściany, lecz nie było potrzeby się ukrywać – księżniczka Cerro usiadła na trzecim stopniu od dołu, wachlując się dlonią i przyciskając pięść do piersi.

- Wasza Miłość – Meglyne dygnęła pospiesznie.

- A. To ty – sapnęła. Jej brzuch był tak ogromny, że Meglyne nie trudno było wyobrazić sobie, że pływają tam trzy niemowlęta. – Dzień dobry.

- Wszystko w porządku, Wasza Miłość? Czy mam sprowadzić Chevitę?

- Nie – odparła księżniczka. – Po prostu się zmęczyłam.

Wytarła pot z czoła żałobnym rękawem. Wyglądała smutno i pięknie. Jak świeżo rozkwitła biała róża.

- Co tutaj porabiasz? – zapytała.

- Nudzę się, Wasza Miłość.

- Ach. Nie dziwota.

Uśmiechnęła się blado, ale łaskawie.

- Spokojnie tu bez mojego brata, co? Damy dworu i giermkowie pojechali za nim, połowa służby też. Niedługo i Chevita za nim pojedzie. A ty?

- Zostanę tutaj – wyrecytowała Meglyne. – Z woli magini i Harona Sprawiedliwości.

- Oczywiście. Jesteś mu potrzebna.

Meglyne przez chwilę biła się z myślami.

- Nie sądzę – wyznała w końcu. – Już nie udzielam mu lekcji.

Jasne brwi księżniczki wygięły się ku górze.

- Przykro mi. Naprawdę. Musisz znaleźć teraz do roboty coś, co nie kręci się wokół niego.

- Masz może jakieś... sugestie, Wasza Miłość?

Cerro zamyśliła się, zanim posłała Meglyne gorzki uśmiech.

- Nie.

Chwyciła za kolumnę schodów, by wstać, i Meglyne była natychmiast przy niej, by podtrzymywać jej ramiona.

- Nie potrzebuję... Uoch...

Stanęła prosto, poprawiła suknię i odgarnęła wymykające się ze srebrnego toczka włosy.

- Dziękuję – bąknęła. – Leć teraz zrobić coś dla siebie.

Zaczęła schodzić po następnej kondygnacji schodów, tej, która prowadziła na hol, i Meglyne nie musiała już jej pomagać, bo do zamku wpadł pułkownik i natychmiast do niej podbiegł, gorączkowo o czymś szepcząc. Meglyne znów stała się niepotrzebna. Jeśli księżniczka w ogóle kiedykolwiek chociaż przez ułamek chwili jej potrzebowała.

Osunęła się na posadzkę pod malowidłem niedźwiedzia szukającego miodu. Muszle owinięte wokół jej szyi zagrzechotały.

- I jak?

Obrazek był zgrabny. Woda była mokra, piasek był piaszczysty, niebo było... wietrzne.

- Zmysłne – powiedział Silarus, opuszczając palce, którymi badał magiczne płótno.

Ceadmille westchnęła z kwaśnym uśmiechem.

- Kiczowate, prawda?

- Nie, nie. Skąd. A nawet jeśli, to ja akurat uwielbiam kicz.

- To już się boję spojrzeć na twoje dzieło.

Silarus pokazał jej malunek Modrego Oka, którego nawet trzylatek by się wstydził. Ceadmille zaciśnięła usta, wyraźnie próbując nie parskać śmiechem, po czym dotknęła koślawych ścian, marszcząc brwi.

- Hmm... Na pewno użyłeś farby do kamienia?

- Użyłem. Jestem po prostu beznadziejny, i żadna farba mi nie pomoże.

- Nieprawda. Jesteś bardzo oryginalny. Niemożliwe będzie dotykanie tego obrazu i nie myślenie o tobie.

Jakby na dowód, wyjąła małe płótno z jego dłoni i zagarnęła je wraz ze swoim do serca. Wiatr dał o sobie znać, targając jej rozpuszczonymi włosami, i Silarus wiele by oddał, żeby ktoś błyskawicznie namalował jej portret dokładnie w tej chwili, ze szczegółowością uwzględniającą położenie każdego piega, najlepiej farbą oddającą fakturę każdego płatka jej skóry.

- Nie wytrzymam bez ciebie długo – wyznał.

Jej uśmiech jakby zrzedł.

- Będziesz musiał.

- Nie będę. Mój szlak wkrótce powiedzie mnie za Wielką Wodę.

Twarz Ceadmille znów pojaśniała.

- Jesteś komiczny. Popłyniesz za mną? Mam w to uwierzyć?

- Może popłynę za tobą, może nie za tobą. Ale na pewno cię znajdę.

- A co z twoimi nowymi przyjaźniami?

- Nowymi?

- Z Cerro i Kaiem.

- Znam ich od dziecka.

- Ale nigdy nie czytaliście sobie swoich listów. Nie znikaliście wszyscy w tym samym czasie.

Silarus uśmiechnął się chytrze.

- Jesteś zazdrosna?

- Powinnam być?

- Nie. I nie powinnaś mieć żadnych wątpliwości. Wkrótce Cerro i Kai zaprzyjaźnią się z moim ojcem tak mocno, że nie będzie tu już ze mnie pożytku dla żadnego z nich. Będę wolny. Będę mógł pływać, gdzie chcę.

Ceadmille odgarnęła włosy, które wiatr wrzucił jej do ust.

- Teraz moja kolej, by być komiczną. Chciałabym, żeby magowie wreszcie nauczyli się zatrzymywać czas – westchnęła. – Chciałabym...

Nie śmiała za nią dokończyć. Nie był pewien, czy dokończyły tak samo. Ceadmille przykłębka tak, by móc wziąć jego twarz w dlonie. Silarus przymknął oczy, kiedy wodziła palcami po jego policzkach, ustach, rzęsach, karku...

- Mogę zostać na jedną, ostatnią noc w zamku – szepnęła. – Cerro z pewnością potrzebuje teraz przyjaciółki do wyżycia się. Mogę zaoferować swe plecy.

Silarus uniósł powieki, przyciskając jej ciepłe dlonie do swoich wychłodzonych policzków.

- Umarłbym ze szczęścia, gdybyś to zrobiła.

- Lepiej nie. Możliwe, że ja będę musiała wyżyć się na tobie.

- Jeszcze raz przepraszam za złamanie wszystkich przysiąg. Przepraszam cię za to, że kocham cię, Ceadmille. Jak nikogo innego, nigdy. Nie sądzę, że kiedyś przestanę. Choćbyś rozleciała się w pył, oszalała, zrobiła mi najgorsze świństwo, to nie wyobrażam sobie, żebym mógł kiedyś cię nie kochać. Nawet już nie pamiętam, jak to jest cię nie kochać.

Jej ciemne oczy zamigotały

- Mam nadzieję, że mówisz to każdej.

- Każdej. Przysięgam.

Roześmiała się, zanim pocałowała go najczulej jak umiała, a on przycisnął ją do siebie najmocniej jak potrafił.

\*

Król nie zjawił się już na drugim zborze z rzędu, co Kaia zarówno niepokoilo, jak i cieszyło. Obrady przebiegały zgodnie z narzuconym programem, z żywą dyskusją i

owocnymi wynikami. Haroni nosili kolorowe peleryny narzucone na kubraki w rodowych barwach i faktycznie przysyłali reprezentantów, kiedy nie mogli się stawić. Kai skończył tłumaczyć *Raport Wynna* wraz z Meglyne i poprawiał szczegóły, by w lekturze nie było ani wzmianki o Ludziach Nieba i perspektywie stronniczego szpiega – chodziło mu tylko o to, co dotyczyło korzeni Świętej Unii. Nie sądził, że sama Unia jest już na to gotowa. On sam nie wiedział, czy jest już na to gotowy. Nie śniło mu się, że mógłby osiągnąć to wszystko dzięki „szaleństwu” Myrona.

Dwa razy z rzędu nie pojawił się w Pavilonie na obowiązkowy dzień służby. Wysyłał tam Lourdesa i Mnemosyne, którzy mogli tam pozostać dłużej niż dwa dni, a na ich miejsce zatrudnił dwie młode kobiety, których nigdy nie poznał aż tak dobrze jak pierwszą czwórkę. Potem zatrudnił dodatkowe sześć osób, ponieważ pracy było za dużo, a czasu zawsze za mało. Poważnie zastanawiał się nad rozpoczęciem szkolenia dla potencjalnego następcy, z którym mógłby się wymieniać. Zastanawiał się, czy Skylle by się nadawał. Czy jego dziecko by się nadawało. Choć, szczerze mówiąc, chyba dopiero w chwili śmierci będzie w stanie pogodzić się z myślą, że musi pozostawić Sprawiedliwość w rękach innych niż swoje.

Kiedy wypadał dzień jego niby-wizyty w Pavilonie, nie chodził do sądu. Zwykle odsypiał do zmierzchu. Potem chwiejnie wstawał z udem rozpoławianym bólem, klął, że zmarnował cały dzień, żądał jedzenia do łóżka i nie wychodził z pokoju. Zwykle siedział pośród zabawek, wyobrażała sobie swoje dziecko z nimi w piąstkach i huśtała kołyską, żałując, że dziecka jeszcze w niej nie ma.

Nie mógł się doczekać Tyreusa albo Yavannis. Imię dla chłopca zawsze mu się podobało, a dla dziewczynki znalazła w śpiewniku Ludzi Nieba i choć zgadzała się, że jest to nieco niepokojące źródło, nie mógł przestać myśleć o córce jako o małej Yavie. Cerro nie była zainteresowana rozmową o imionach, toteż Kai wątpił, by miała co do jego wyborów szczególne obiekcje.

Cerro w ogóle interesowała niewiele związanego z nadchodzącym dzieckiem. Interesowała ją, żeby jej nie bolało i żeby dziecku nie stała się krzywda. Kai rozumiał i był jej niewyobrażalnie wdzięczny. Był oszalały z wdzięczności za wszystko, co robiła – za to, że nosiła to dziecko; za to, że pozwalała mu czasem dotykać swojego brzucha mimo kapiących z jej oczu łez wielkich jak grochy; za to, że mimo tego, co jej zrobił, czasem pozwalała mu na szczyptę nadziei, że być może nie nienawidzi go do cna. Im więcej kawałka świata zajmowało dziecko, tym Cerro wydawała się zajmować go mniej – nie mogła już trenować, nie mogła się kochać, nie mogła krzyczeć. Ledwo mogła chodzić, a nawet mówienie

przychodziło jej z trudem. Kai szalał z żalu, widząc jak usycha, i nie mógł się doczekać, aż będzie miał dziecko w ramionach – i dla niego, i dla Cerro będzie wtedy doskonale.

Małżeństwo z Cerro rzadko było dobre, lecz kiedy już było, było niemal bajkowe. Kiedy Cerro nie pamiętała o dziecku, śmiali się, dyskutowali, sprzeczali i kochali. Kai miał przed nią coraz mniej sekretów. Opowiadał jej o nowych odkryciach na temat Ludzi Nieba, a ona była nimi zaciekawiona tak jak dziecko legendami – wystarczyło jej o nich słuchać, a nie weryfikować. Interesowała się też nimi tak jak egid interesuje się karkołomnym, ale opłacalnym wyzwaniem. Kiedy z Rhagos przyszły wieści na temat snu Myrona i smoczego jaja, Cerro nie była przerażona, ale przejęta jakąś demoniczną, inspirującą energią. Kai był przerażony – jeśli nowonarodzony książę połknie jajo, Człowiek Nieba będzie mógł ukraść jego ciało. Wtedy wszystkie pokojowe plany, które snuł, wezmą w łeb. Wiedział to też Silarus i na pewno Yazor Temidan. Być może powinni wszystko wyjaśnić królowi. Ale król był szalony.

Pewnego dnia po Zielonym Karmevare Kai, Cerro i Silarus spotkali się w trójkę w tajemnej bibliotece, i okazało się, że choć zgadzają się co do tego, że coś trzeba zrobić, nie zgadzają się co do tego, czy król oszalał. Cerro twierdziła, że Myron zawsze taki był, po prostu nigdy nie był królem. Silarus twierdził, że ktoś wychowywany na króla jest jednocześnie wychowywany na szaleńca. Kai bał się Myrona. Bardzo się tego wstydził, ale zaczął przebąkiwać, że Świętą Unię nie może rządzić szaleniec. Cerro zrozumiała i oświadczyła, że Kai jest równie szalony, jeśli chce zorganizować zamach na króla Świętej Unii jako kaleka, z pomocą ciężarnej kobiety i niezdarnego jebaki. Kai musiał się zgodzić, tym bardziej, że w obliczu inwazji Unia potrzebuje silnego władcy. Silarus był opętany wizjami radosnego kraju bez króla, w którym zawartość skarbców zostaje podzielona równo pomiędzy wszystkich mieszkańców, i każdy z tych mieszkańców w magiczny sposób odmienia swoje życie i staje się szczęśliwy. Cerro, po niezręcznej pauzie i nazwaniu Silarusa najbardziej szalonym ze wszystkich stąpających po ziemi szaleńców, zauważyła, że cokolwiek się nie stanie, następny w kolejce do tronu jest Kallo – młodzik, naiwny, podatny na wpływy chłopak. Pobożny na tyle, by słuchać się haronów, ufny na tyle, by słuchać się Silarusa. Ale wtedy król wyjechał, zabrał ze sobą rodzinę i spłodził dziecko, o którym już krążyły plotki, że wygryzie Kallo w wyścigu do korony.

Nie próżnowali jednak. Cerro, pod pretekstem „napływu potrzeby darzenia miłością” odnawiała kontakty z zapomnianą szlachtą i wpływowymi kobietami w rodzinach haronów, pisząc listy. Zapraszała wszystkich na prezentację swojego dziecka, gdy już urodzi i wróci do sił. Kai zjednywał sobie miłość ludu w budynku sądu, przygotowywał ostateczną wersję

książki odsłaniającej Prawdę i był miły dla haronów. Silarus zorganizował spotkanie z Yazorem.

Ioto Kai stał za biurkiem przed portretem księcia Dioną, a na końcu biblioteki pojawił się generał. Jak zwykle w czarnym mundurze, podróżnym płaszczu przerzuconym przez ramię i z dlonią na rękęjeści przedstawiającej sfinksa, przeszedł przez całą długość pomieszczenia.

- Dobry wieczór – Yazor przyłożył niedomkniętą dłoń do piersi. – Przybyłem na rozkaz.

- Dziękuję – odparł Kai, uśmiechając się słodko jak miód. – Proszę usiąść, generale.

Usiadł, a Kai rozsunął szerzej dwa stosy ksiąg, by mieć na Yazorę lepszy widok, zanim sam się usadowił. Jego obrzędniety kikut bolał jak skurwysyn, bo notorycznie zapominał ściągać protezy do snu przez ostatni miesiąc, a Cerro nie miała sił mu przypominać. Przypomniała tuż przed tym spotkaniem, ale Kai nie mógł przecież pokazać się Yazorowi tak bez nogi. Poluzował jednak ukradkiem zatrzaszki.

- Jak zdrowie Jego Wysokości? – zagadnął w międzyczasie.

- Jest z pewnością szczęśliwszy, odkąd wyjechał z Modrego Oka – odpowiedział Yazor, zerkając na portret Dioną. - Inne powietrze. Więcej przestrzeni. Spodziewa się nowego potomka.

- Wiadomo już, kto podrzucił mu jajko?

- Sprawa jest trudna do zbadania. Lista podejrzanych rozciąga się na każdego służącego w zamku, ambasadorów z Gomory, Jej Mądrość Habren i, ze względu na możliwość pojawienia się tam jajka w sposób magiczny, właściwie każdego na tym świecie, kto wie o tej sztuczce.

- A więc rozumiem, że legendarni Ludzie Nieba są głównym podejrzany?

Yazor ułożył dlonie na podłokietnikach krzesła.

- W rzeczy samej – uśmiechnął się delikatnie. Jego oczy zamieniały się w szparki nawet przy tak drobnym grymasie, nadając mu wygląd szakala.

- Istnieją jakieś dowody? – brnął Kai.

- Tylko moja własna wizja przed siedmiu lat. Po której zachowywałam się podobnie jak król teraz. Po której dowiedziałam się o tym, że Ludzie Nieba nie są tylko potworami z rymowanek dla dzieci.

- Jak sądzisz, generale, kim są Ludzie Nieba?

- Sądzę, że są ludźmi. Rozmawiałeś z ich magiem i służącą, więc wiesz, że obaj wiemy o całej sprawie tyle, ile nam powiedzieli. Zamiast budować suspens, przejdźmy po prostu do konkretów.

- Chciałeś przybyć na mój rozkaz, ale nie chcesz na mój rozkaz rozmawiać? Czyżbyś po prostu potrzebował pretekstu, by zjawić się w Modrym Oku?

- Nie – Yazor rozmasował powieki palcami, westchnawszy głęboko. – Chłopcze. Kai. Mogę ci mówić po imieniu? Ty również nie musisz mnie tytułuwać.

Brwi Kaia zniknęły pod jego włosami, zanim wróciły na swoje miejsce i zbliżyły się groźnie do siebie.

- Jestem mężczyzną, a nie chłopcem. I myślę, że straciłeś prawo do mówienia mi po imieniu, kiedy nasłałeś swojego syna, żeby mnie zabił.

- Wreszcie rozmawiamy o konkretach. Czytałeś szczegółowy opis snu Myrona, prawda?

- Czytałem, i niby co w związku...

- Wyobraź sobie, że pewnej nocy masz sen, który jest inny niż wszystkie sny, które miałeś do tej pory. Nie możesz się z niego przebudzić i nie możesz oprzeć się wrażeniu, że to, na co patrzysz, to proroctwo. W tym śnie rodzi się twoje ukochane, upragnione dziecko. Twój żona jest być może zbyt słaba, by donosić dziecko do rozwiązania, a jednak trzymasz je w ramionach, żywe i zdrowe, wyjątkowe od momentu, kiedy pierwszy raz zapłakało. Czujesz jego ciepło, ciężar w swoich ramionach, i wbrew własnej woli wrzucasz mu jakiś kawałek ołowiu do gardła. Dziecko połyka go chętnie, nic mu nie jest. Potem widzisz, że im twoje dziecko staje się starsze, jest doskonalsze. Zabijasz to dziecko. Niechcący, rzecz jasna, po prostu przeceniłeś je, a nie doceniłeś samego siebie, tak jak nigdy nikt cię nie docenia. Dziecko wykrwawia się w twoich ramionach. Ale nie umiera – wszystko dzięki temu tajemniczemu obiekowi. To on zapobiegł tragedii, której nigdy byś sobie nie wybaczył. Budzisz się ze snu innego niż wszystkie sny, które miałeś do tej pory i dowiadujesz się, że twój żona, rzeczywiście, jest przy nadziei. Rzeczywiście, wreszcie się udało - jak sen, wydaje ci się, przepowiedział. Znajdujesz pod poduszką przedmiot, który do tej pory widziałeś tylko w tym śnie, z którego właśnie się przebudziłeś. Czy nie przywiązywałbyś szaleńczej wagi do tego snu?

- Wiedziałbym, czym ten sen jest.

- A król nie wie. I ja nie wiedziałem.

- A więc co przyśniło się tobie?

Każdy uśmiech Yazora wyglądał jak kpina. Uniósł oczy do sufitu, jakby sobie przypominał, choć w jego głosie nie było żadnej mało efektownie wstawionej pauzy, ani zawahania.

- Mój sen był bardzo długi. Widziałem każdy dzień swojego życia i dzień swojej śmierci, odczuwając upływ każdej godziny. W śnie byłem chłopem. Codziennie rozsypywałem ziarno dla kur, sypałem paszę dla świń, czyściłem oborę. Wiosną siałem pszenicę, jesienią jęczmień. W śnie nie zasypiałem, tylko wpatrywałem się w sufit godzinami. Wydawało się, że jestem sam na świecie. Nie miałem rodziny, nie miałem pomocników. Sam obsiewałem całe pola. Miałem piekające pęcherze na rękach i stopach. Nikt nigdy mi za to nie płacił, a plony nigdy nie wschodziły. Jadłem pozbawione smaku ziarno. Nigdy nie wychodziłem poza moje pola, bo i nic nigdzie nie było – jak okiem sięgnąć, poorana ziemia. Ale pewnego dnia, mniej więcej w połowie mojego sennego życia, na progu mojego gospodarstwa pojawił się dziad proszalny. Miał kiedyś białą brodę, kiedyś białą koszulę. Był chory na trąd. Nie przestąpił ostrokołu, tylko siedział pod nim. Nie zbliżałem się do niego, bojąc się zarazić. Dziad powiedział, że w swojej rodzinnej wiosce cieszył się wielkim posłuchem, ponieważ był czysty, uczciwy, mądry i uczynny. Z tego powodu postanowił wybrać się do Modrego Oka, by zostać haronem. Wędrował tam pieszo, boso, podpierając się kosturem i jedząc jagody. Kiedy dotarł do Modrego Oka, przejął go przepych i potęga haronów. Akurat brakowało im jednego, więc pozwolili zasiadać mu między sobą, ale szydzili z niego i traktowali jak błazna. Nazywali go Białym Bogiem, mówili, że zawsze był w żałobnym nastroju, bo i miał po temu powody – obrady haronów polegały na torturowaniu tych, którzy nie mogli się bronić. Na kłamaniu. Na przywłaszczaniu sobie coraz większego bogactwa i ziem. Mówili i robili rzeczy, które zatrważały duszę i ciało Białego Boga. Z każdym ich słowem czuł się coraz gorzej, aż zaczęły pojawiać się na nim plamy. Plamy zaczęły ropieć, jego skóra zaczęła odchodzić od kości. Wtedy haroni wyrzucili go z zamku i Biały Bóg błakał się, próbując wrócić do swojej wioski. Nigdy nie poprosił mnie o nic do jedzenia ani picia. Tylko siedział pod płotem. Było mi go niewypowiedzianie żal, a kiedy pewnego dnia wyszedłem przed dom, a jego nie było, uświadomiłem sobie, że go pokochałem. Biegałem i szukałem go wszędzie, ale nie znalazłem nic na nigdy nie kończących się polach. Resztę snu przeżyłem, teskniąc za nim. Wciąż doglądałem zwierząt i pól, wciąż nie zaznawałem ulgi snu, a do tego cały czas o nim myślałem. Widziałem po swoich rękach, że robię się coraz starszy. Czułem w środku, że robię się coraz słabszy. Pewnego dnia runąłem twarzą w ziemię, którą spulchniałem i zrozumiałem, że umieram. Próbowałem się ruszyć, próbowałem płakać, ale nie mogłem. Dniami i nocami. I tak

skończyła się moja marna senna egzystencja. Obudziłem się złany potem i wyskoczyłem z łóżka. Nikt nie mógł uspokoić mnie przez jakąś godzinę. Bredziłem o Białym Bogu, o haronach, o siewie i korycie. Powoli zrozumiałem, że nie jestem już na wsi. Że jestem jednym z tych, którzy kłamią, grabią ziemię, bogactwo i torturują tych, którzy nie mogą się bronić. Byłem bezpieczny. Ale wtedy położyłem się z powrotem do łóżka i znalazłem Magmowy Miecz pod poduszką. I wszystko, wydawało mi się, zrozumiałem.

Yazor odkaszlnął, ochrypnawszy po długiej opowieści. Kai słuchał ze zmarszczonym czołem.

- Ludzie Nieba dobrze znają i ciebie, i króla – mruknął.
- W rzeczy samej. Przerażające, czyż nie?
- Przerażające, ale i godne podziwu. Dlaczego powiedziałeś wszystkim, że to był Szary Bóg?

- A kto by uwierzył w Białego Boga? – wzruszył ramionami Silarus. – Kto by się nim przejął? Wszystko, co szare, robi się w oczach ludu słuszne i święte.

Teraz Kai zwęził czujnie oczy.

- A ty uważasz go za szarego? Za słusznego i świętego? – zapytał.
- Już wiem, czym ten sen był – odpowiedział spokojnie Yazor. - Iluzją. Tak silną, że kiedy moja żona tłumaczyła mi, że zrobię z siebie głupca i heretyka, jadąc do haronów, nie słuchałem jej. Tak silną, że kiedy przedstawiła mi szpiegów Ludzi Nieba, którzy przyznali, że Biały Bóg jest ich przywódcą i zesłał na mnie sen, by mną manipulować, nie słuchałem jej. Tak silną, że kiedy trzymałem jej martwe ciało zasztyletowane przez jej własne dziecko, wciąż nie mogłem przestać wierzyć w dobroć Białego Boga. Tak silną, że zaplanowałem zabicie chłopca rękami mojego syna tylko po to, by przejąć wysokie stanowisko i naprawić kraj dla Białego Boga. Tak silną, że poświęciłem wszystko, na co pracowałem ja i moi przodkowie przez długie, długie lata. Tak silną, że... Przez ten sen straciłem prawie wszystko. Maga-mordercę trzymałem w lochu, ale kiedy raz wpadłem w szal... sam wiesz, co z nim zrobiłem. Odezwałem się do mojego brata po latach milczenia, żeby ukarać go w najdotkliwszy sposób, jaki znałem. Królowa Hestia i twoja matka wiedziały mniej więcej o Ludziach Nieba i wybłagały o łaskę dla tej służącej, przez którą to wszystko się zaczęło. Obiecały, że w zamian nie powiedzą o tym ani królowi, ani nikomu innemu. Chciałem nigdy już nie słyszeć słowa o Ludziach Nieba. Ale potem pomyślałem, że ci nadchodzą niechybnie. Zrobią innym to samo, co mi, Ines, Melbourne'owi, a na dworze już mnie wyśniąli. Musiałem więc po prostu się przygotować. Odzyskać autorytet wśród haronów, żeby ufali mi i podążali za mną, jak przyjdzie co do czego. Fakt, że ty masz dwa Magmowe Mieczes, a ja ani

jednego, świadczy o tym, że byłem durniejszy niż te świnie, które karmiłem, zanim tytułowało mnie Świńskim Lyrrem.

- Nie myślałeś o tym, żeby przedstawić haronom dowody na istnienie Ludzi Nieba? Może wtedy byliby bardziej skłonni za tobą podążyć. Strach to silny argument.

- Może nie wierzę już w proroctwo mojego snu, ale wierzę w zepsucie haronów i króla. Sam w nie wierzysz. Jeśli to w ogóle jest kwestią wiary, a nie faktów. Ty doświadczyłeś tego zepsucia na własnej skórze. Dlatego w ogóle tu wróciłeś. Żeby wszystko naprawić. Ines też była zepsuta, jak każdy z nas. Chciała sekretów Ludzi Nieba, chciała nieśmiertelności i potęgi. I każdy z tych kretynów chciałby tego samego, dokładnie tak jak Ludzie Nieba zaplanowali. Jeden po drugim bawiliby się w szukanie nieśmiertelności, podczas gdy Ludzie Nieba idą i się nie zatrzymują, i są już tak blisko, że nie da się odróżnić ich od naszych pobratymców. Ty sam przecież czytasz ich książki, pożadasz ich tajemnic, trzymasz na zamku jedną z nich świadomie z nadzieją, że ta jest inna niż reszta.

- Meglyne nie miewa takich snów i nie wie nic o Ludziach Nieba. Zna tylko ich język.

- Pewnego dnia i ty będziesz mieć sen, a ona podrzuci ci coś pod poduszkę.

- Nie uważasz, że dobrze jest trzymać swoich wrogów blisko?

- Uważam. W lochu lub na smyczy. Nie pod okiem przewrotnej czarodziejki, która uczy jej wszystkich naszych sił i słabości. Która robi z niej lyrrę i honorową adeptkę sztuk tajemnych.

- Łatwo jest utrzymać w ryzach kogoś, kto nie wie, że jest więźniem.

- Być może. Ale ktoś, kto spędził w więzieniu całe życie, dość szybko się zorientuje.

- Nie wiesz, co działało się w tej wieży, w której była uwięziona. Nie jest trudno zaskarbić sobie jej dozgonną wdzięczność.

- O tym mówię, chłopcze. Możesz udawać, że to część twojego genialnego planu, ale ja wiem, że jest on dziurawy jak stara onuca. Nie więzisz jej, tylko ją gościsz. Nie manipulujesz nią, tylko jej współczajesz. Jeśli powstrzymanie Ludzi Nieba jest w ogóle możliwe, to nie przez współczucie. Oni żerują na naszym współczuciu. Oni wiedzą, co nas boli. Żal mi było Białego Boga i gotów byłem zrobić wszystko, żeby go uszczęśliwić. Myronowi żal jest jego jeszcze nie narodzonego syna i zrobi wszystko, żeby go chronić. Tobie żal było gwałconej, okłamywanej dziwaczki, i zrobisz wszystko, żeby nie dać sobie wmówić, że jest niebezpieczna. A co, jeśli wszystko, co zobaczyłeś w jej wieży, jest iluzją taką samą jak mój sen? Zmyślnym przedstawieniem?

- Szary Człowiek wysłał mnie do tej wioski. I on zrobił przedstawienie tylko po to, żeby zrobić sobie ze mnie żart?

- Założę się, że Zwiastun trzęsie się teraz od jego śmiechu. Szary Człowiek może i jest gadatliwy, ale to wciąż bóg. Co bogu zależy, kto zatrumfuje nad kim?

- Haroni, reprezentanci tego boga, mają wyraźny moralny kodeks. Założę się, że Szary Człowiek chce, aby wyznawcy tego kodeksu zawsze triumpowali.

- Czyli wyznawcy tego boga. Czyli my.

- Czyli wyznawcy Nadziei, Sprawiedliwości, Pokoju, Mądrości, Obowiązku, Przyjaźni i Prawdy. Nieważne, czy wiedzą, że to robią, czy nie. Nieważne, czy pochodzą z Hekkyranu, zza Wielkiej Wody, zza Wrednych Bagien, czy z księżyca.

Paznokcie Yazora skubnęły jego wąską dolną wargę, która kolorem nie różniła się niczym od reszty jego spalonej słońcem twarzy.

- Ludzie, którzy zamordowali moją żonę i którzy zamordują twojego króla, ciebie i twoją rodzinę, są według ciebie wyznawcami Cnót?

- Nie wiem. Wiem, że Meglyne je wyznaje.

- Skąd? Jak możesz...

- Ludzie Nieba nie są tak bardzo różni od nas. Śmiem nawet podejrzewać, że niektórzy zrobili dla naszego kraju więcej niż niektórzy z naszych pobratymców.

- Na jakiej podstawie tak podejrzewasz?

- Na podstawie ksiąg, które przed tobą leżą.

Yazor popatrzył na nie bez entuzjazmu. Wziął do ręki *Poezje Wiśniowe*, nie wiedząc nawet, od której do której czytać zagadkowe pismo.

- A, tak – burknął Yazor, odrzucając księgę z obrzydzeniem. – Twoje podręczniki arkanów Ludzi Nieba. Warto było uczyć się ich języka?

- To żadne arkana. To zwykłe książki. Nie ma tam żadnych demonicznych rytuałów, ani poradników wysysania niemowlęcej krwi. To bajki, atlasy nieba, słowniki frazeologizmów. Interesuje ich to samo, co nas, i wkładają więcej wysiłku w utrwalenie tego, co było. Trzy tysiące lat temu utraciliśmy całą swoją historię, utraciliśmy możliwość uczenia się z niej, utraciliśmy możliwość sprawiedliwego osudu przodków. Straciliśmy z oczu źródło naszej wędrówki, a przez to i jej cel. Ludzie Nieba nigdy tego nie stracili i oddali nam namiastkę naszej przeszłości.

Kai wyciągnął z szuflady biurka związany sznurkiem prawie gotowy rękopis *Jedynego odratowanego z biblioteki Meaveletha Szarego skróconego przedstawienia narodzin Świętej Unii*. Yazor rzucił krótkie spojrzenie na tytuł.

- W tej książce zawarłem wszystko, co Ludziom Nieba udało się uratować. Dzięki nim możemy odzyskać to, co nam odebrano. Dowiedzieć się, co stało się naprawdę.

- Chcesz wydać tę książkę?

- Tak.

- Chcesz zdradzić wszystkim o Ludziach Nieba?

- Nie. Nie zawałem w niej wzmianki o nich. Jeszcze nie czas, by wszyscy wiedzieli.

Yazor oparł się na biurku łokciami, przykładając splecone dłonie do ust. Kai zmrużył oczy. Miał wrażenie, że Yazor powstrzymuje się od śmiechu

- Więc wszystko tutaj jest kłamstwem? Łącznie z tytułem?

- Nic tutaj nie jest kłamstwem, poza tytułem. Ale chyba zgodzisz się, generale, że teraz, kiedy jeszcze nie wiemy wszystkiego...

- A w jaki sposób zweryfikujesz te informacje napisane przez wrogą nam rasę na temat wydarzeń mających miejsce ponad trzy tysiące lat temu? Wyślesz do niej list z uwagami? A nawet, jeśli oni z jakiegoś powodu nie skłamali, to przecież ty za nich nadrobisz. „Odratowane z biblioteki”? „Nie zawałem wzmianki o Ludziach Nieba, chociaż to wszystko ich relacje”? Dlaczego tak bardzo ci zależy, żeby ludzie uwierzyli w to, co jest tu napisane? Dlaczego ty w to wierzysz?

- Ponieważ to wszystko zmienia! Meaveleth Szary był tyranem, haroni byli ubodzy, Modre Oko było przystanią dla pielgrzymów i uczonych, a Hekkyran był pełen zmiażdżonych kultur, języków, kultów i zwyczajów!

- A więc zależy ci, aby zasiać w ludziach nieufność do swoich władców, gniew do swoich kapłanów, a wreszcie rozbić ich poczucie zjednoczonej wspólnoty? Czy to nie jest recepta na chaos, który wróg mógłby z łatwością wykorzystać?

- Nie prowadzimy wojny, generale, a ludzie zasługują na poznanie prawdy!

- Więc napisz w tytule, że to stronicze zeznania Ludzi Nieba.

Kai myślał nad odpowiedzią. Yazor parskanął śmiechem.

- Ty decydujesz, na jaki procent prawdy ludzie zasługują, czyż nie? Ty jesteś wyjątkowy, więc zasługujesz na więcej? Tak samo selekcjonowałaś materiał do tego swojego *Kodeksu Harona*? Dowiedziałaś się w ogóle, kto ci go wysłał? Głupio by było, gdybym zrobił to na przykład ja, żeby zrazić do ciebie wszystkich potencjalnych sojuszników i samego ciebie skłonić do przemienienia całej swojej polityki w błazenadę. Miałbym wtedy gwarantowaną pozycję przyszłego harona.

Kai otworzył usta, żeby cokolwiek powiedzieć, ale jego wargi zadrżały gwałtownie.

- To byłeś... ty?

Yazor roześmiał się jeszcze raz. Kai zdziwiony był, że jego śmiech był tak przepelny humoru, pozbawiony kpiny i wymuszenia. Był szczerzy, niepowstrzymany i niestosowny.

- Twoja naiwność byłaby roczulająca, gdyby nie była też przerząjąca. Taki idiota dostaje większą pensję niż ja? Taki idiota ustala prawa, do których wszyscy muszą się stosować? Wyobraź sobie, co zrobiłaby rozwścieczona tłuszczka, gdybym napisał książkę o naszej rozmowie. Oczywiście, zakładając, że jest aż tak łatwocienna jak ty, co, przyznaję, jest dość problematyczne do wyobrażenia.

- Przyjechałeś tu, generale, aż ze stolicy tylko po to, żeby mnie obrażać?

- Teraz już sam nie wiem, po co przyjechałem. Słyszałem, że jesteśmy rywalami, a moglibyśmy być sojusznikami. Słyszałem, że mamy podobne postulaty. Słyszałem, że jesteśmy równie wpływowi. Słyszałem, że w Naucenemes uważają cię za świętego, podczas gdy w Rhagos za sztukmistrza. Teraz już wiem, kto miał rację. Szkoda, że na darmo wymęczyłem konie.

Uderzył dłońmi w uda jak po niezręcznym wystąpieniu i powstał. Kai wpatrywał się w niego z niedowierzeniem.

- A ty możesz chcieć oszczęścić na druku – dodał generał, wskazując podbródkiem na *Narodziny Świętej Unii*. – Nawet piśmienną gawiedź średnio obchodzi, co wydarzyło się w kraju trzy tysiące lat temu. Bardziej interesuje ich dzień jutrzyszki. Nikt nie odebrał nam naszej historii, pałac kilka książek z wymienionymi imionami władców i nazwami bitew. A nawet gdyby tak było, to od razu po pożarze biblioteki zaczęliśmy pisać nową. Trzy tysiąclecia to sporo bazy do pamiętania i wyciągania wniosków. A skoro po ich przestudiowaniu nie zorientowałaś się, że ludzie kłamią, a Szary Człowiek nie dba o triumf wyznawców Cnót, to i pięć dodatkowych er ci nie pomoże.

- I mnie interesuje dzień jutrzyszki – wydyszał Kai, wstając i chwiejąc się, bo zapomniał zacisnąć zatrzasków. Oparł się jednak na biurku i wbił wzrok prosto w twarz generała, nie pozwalając patrzyć na siebie z góry. – Nie chcę doprowadzić do bezsensownej wojny. Nie chcę, żeby tym krajem rządził szaleniec. Nie chcę, uwierz mi, żeby ludzie byli pograżeni w kłamstwie. Ale nie chcę też, żeby potencjalni wrogowie mogli wykorzystać te informacje przeciwko nam.

Yazor pokirał głową, jakby rozumiał.

- Twoje zachcianki są dla mnie rozkazem.

Po prostu odwrócił się, falując peleryną, i ruszył ku drzwiom. Kai otworzył usta, niedowierzając, zanim zacisnął je wściekle.

- I to wszystko?! – wrzasnął rozpaczliwiej i głośniej niż zamierzał. - Odrzucisz moją pomoc, bo zawiodłeś się na rozmowie ze mną?

- Możesz wysłać mi kilka tych bezcennych tomów Ludzi Nieba do Pałacu. Więcej od ciebie nie potrzebuję.

- Myślisz, że rozgryzłeś mnie do cna? Myślisz, że masz rację? To ciekawe, bo tak się składa, że twój własny syn we mnie wierzy, twój własny syn cię zdradził i spis...

Yazor zamknął za sobą drzwi. Kai otwierał i zamykał usta, próbując zrozumieć, co się stało. Próbując przypomnieć sobie, w którym momencie wszystko poszło nie tak. Próbując znaleźć wyjaśnienie dlaczego, jak on śmiał, jakim prawem, jak ten skurwiel mógł Kaia tak potraktować?!

Chwycił za krawędzie biurka i zwalił je z impetem na kamienną posadzkę. Z krzykiem, jak sobie uprzystomnił, klęcząc pośród fruwającego kurzu i zaśniedziałykh kartek na ropiejącej nodze.

\*

- Dwa minus sto dwa?

- Zero.

- Nie, już ci to tłumaczyłem.

- Dlaczego mnożenie na jabłkach działa, a to gówno już nie?

- Bo niektóre rzeczy nie działają na jabłkach.

- Nie mogę mieć minus jabłek. Czego mogę mieć minus?

- Wyobraź sobie, że jesteś sadownikiem. Co miesiąc musisz oddawać lirrowi pięćdziesiąt jabłek, ale twój sad nawiedziła szarańcza. Dwa miesiące z rzędu nie mogłeś dostarczać jabłek. Ile jabłek jesteś dłużny po trzech miesiącach?

- Sto pięćdziesiąt.

- Widzisz? Do policzenia tego użyłeś tej części osi liczbowej, która jest na minusie.

- No właśnie wcale nie, bo...

Drzwi otworzyły się bez pukania. W progu stał lyrr Agver i kilku innych drabów z ośmiornicami na piersi.

- Słucham? – uniósł brew Madrigale, ale ci wlewali się do pokoju jednostajnym i obojętnym na zasady grzeczności strumieniem.

Było ich strasznie dużo.

- Gdzie jest Silarus Temidan? – zapytał lyrr Agver.

Ku zdziwieniu Skyllego, pytanie było skierowane do niego.

- Co...?

Jeden z drabów przyłożył mu w nos. Skylle zawył, Madrigale krzyknął, najpierw w gniewie, potem w bólu. Ledwo mroczki zniknęły sprzed oczu Skyllego, dwóch ludzi poderwało go z krzesła za ramiona i przycisnęło do ściany.

- Gdzie jest Silarus Temidan?!

- A skąd ja mam...

Nie był w stanie zliczyć, ile ciosów posypało się na jego twarz i brzuch. Dławił się krwią spływającą mu na język.

Poczuł ostrze na swojej krtani i rozwarł zaciśnięte powieki. Lyrr Agver trzymał miecz przy jego gardle. Miał łzy w pustych jak bezchmurne niebo oczach.

- Gdzie jest Silarus? – powtórzył.

- On mieszka w...

- Nie ma go tam. Gdzie jest on i Ceadmille Agver?

- Ceadmille?

Jedna z rąk szarpnęła za jego włosy w góre. Skylle ledwo mógł oddychać, czując ostrze na napiętej krtani.

- Gdzie jest Ceadmille?!

- Widziałem ją wczoraj... Ale nie wiem, gdzie jest teraz...

- Gdzie była wczoraj? Z księżniczką?

- Nie... Pokójka niosła jej pościel do pokoju...

- Jakiego pokoju?!

- Sypialni dla gości... skrajnej... Koło malunku łabędzia...

- Idziemy.

Agver schował miecz i ta część przywiedzionego garnizonu, która nie trzymała Skyllego, zaczęła wylewać się z sypialni. Uderzył Skyllego w twarz otwartą dłonią. Wyciągnął zdobioną ośmiorniczą chusteczkę, by obetrzeć rękę z krwi. Skierował się do drzwi, a ostatnie draby puściły Skyllego. Chłopak upadł na kolana, próbując złapać oddech, kiedy znów dostał w brzuch opancerzonym butem. Przetoczył się na bok, zwinięty w kłębek, tylko po to, żeby dostać kolejny raz, tym razem w plecy, a potem znowu w brzuch. Kopali go, klnąc i plując, a on tylko zasłaniał głowę i modlił się o koniec. Kiedy ten nadszedł, splunęli na niego ostatni raz. Odeszli... ale wcale nie zrobiło się spokojnie. Na zewnątrz pokoju, piętro wyżej, na korytarzu przy skrajnej sypialni, słyszać było krzyki.

Madrigale podpełzł do Skyllego i położył dłoń na jego czole.

- Zaraz sprowadzę Chevitę – wykrztusił z siebie. – Już za chwilę...  
Do krzyków dołączyły śmiechy i gwizdy.

\*

Zgieldk było słychać już z daleka. Agda przerwała zdanie w połowie, patrząc w kierunku drzwi. Kai też tam spojrzał, i tak samo wszyscy zasiadający pod ścianami, czekający na swoje procesy. Wtedy drzwi się otworzyły i do środka wparował cały garnizon Harona Mądrości. Z kompletnie nagim, pokrytym rysami krwi Silarusem na czele.

Trian Agver miotnął Silarusa na środek sali. Jego ręce były spętane za jego plecami, a jego głowa wisiała tak nisko, że niemal dotykała czołem posadzki.

- Sądź go! – wrzasnął Trian. Miał napuchnięte oczy i ledwo wydobywał dźwięki ze ścisniętego gardła. – Sądź go za jebanie tej zepsutej kurwy, z którą się ożeniłem!

Czoło Silarusa dotknęło posadzki. Ścisnięci ze sobą mieszczanie wpatrywali się w niego, zasłaniając szeroko otwarte usta. Niektórzy chichotali.

Kai też wpatrywał się w Silarusa. W jego siniaki, zadrapania i krwawe plamy. Uświadomił sobie, że sam ma szeroko otwarte usta, więc spróbował je zamknąć, choć zaraz znów otworzyły się ponownie, próbując formować adekwatne do sytuacji słowa.

- ...Co się stało? – zdołał w końcu wydukać.

- Pierdolił moją żonę! – Trian robił wszystko, żeby nie zanieść się szlochem. – Moją żonę! Moją gnijącą od środka żonę! Na nic nie zważyłem! Na nic! Wszystko bym dla niej zrobił! Dla niej znosiłem plotki! Dla niej odprawiałem lekarzy! Dla niej chciałem nawet zamieszkać w śmierdzącym karlim kraiku! A ona puściła się z żołdakiem śmierdzącym świńskim gównem!

Umysł Kaia opustoszał. Nie mógł w nim nawet znaleźć wściekłości.

- Trianie, trzeba zrobić śledztwo...

- Widziałem ich! Cały mój oddział widział! Kurwili się pod twoim nosem, skalali sobą święty zamek! Powinienem uciąć mu tego kutasa i dać jej do pożarcia...

- Trianie – przerwał mu Kai. – Jak mam wydać wyrok, skoro nie ma tu drugiego oskarżonego?

- To moja żona! Wywrócę jej cipę wierzchem do środka, jeśli tylko będę chciał! Rozpruję jej brzuch! Rozetnę jej kurewskie półdupki na...

- Trianie. Muszę poznać cały obraz sytuacji. Zrozum.

Trian rozejrzał się po swoich ludziach, buchając dymem z noszdrzy.

- Dobra! Poznaj ją sobie! Popatrz sobie na moją żonę! Wszyscy na nią popatrzcie!

Żołnierze śmiali się, przepychając pomiędzy sobą Ceadmille. W końcu Agver rzucił ją na kolana obok Silarusa.

Jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie Kai kiedykolwiek widział, miała tak napuchniętą twarz, że była właściwie nie do poznania. Krew zaschła na jej popękanych wargach, a pozlepiane nią włosy opadały na nagie ciało, posiniaczone i podrapane równie mocno jak ciało Silarusa. Ceadmille też miała ręce związane za plecami. Łkała. Mieszczanie szemrali.

- Przepraszam... - wyjakała. – Najszarszy Haronie, błagam... błagam...

- Masz tupet błagać, dziwko?!

Trian szarpnął za kępkę jej gęstych włosów.

- Zostaw ją, Trian – zagrzmiał Kai. – Muszę jej jeszcze wysuchać.

Trian puścił Ceadmille i usiadł na krześle, które podstawił mu jeden z jego ludzi. Założył nogę na nogę. Czekał.

- Okryjcie ich czymś – mruknął Kai.

Dwóch protokolantów narzuciło na nich grube, sprane koce, w których zwykle spały chore dzieci, czekając, aż ich rodzice załatwią swoje sprawy.

Kai otarł spoconą dłoń o stół, mając nadzieję, że nikt tego nie zauważy.

- Ceadmille, co się stało?

Ceadmille potrząsała głową, falując potarganymi włosami. Czoło Silarusa wciąż nie odlepiął się od podłogi.

- Błagam... Kai, Najszarszy Haronie, błagam... Ja nie chciałam...

- Co to, kurwa, znaczy, że nie chciała?! – Trian zerwał się z krzesła. – Twoja pizda bardzo chciała!

Garnizon zgodził się z nim gorąco.

- Rozumiem twoje wzburzenie, ale to ja ich przesłuchuję! – Kai zakończył krzykiem, zanim znów starał się mówić łagodnie, ale bez wyraźnej stronniczości. – Co masz na myśli, Ceadmille, mówiąc, że...

- Otrułem ją – oznajmił nagle Silarus, wciąż nie odrywając czoła od posadzki. – Otrułem napojem magicznym.

Nawet mieszkańców zamilkli.

- Słucham? – upewnił się Kai.

Silarus wyprostował się. Sztywny koc zsunął mu się z jednego ramienia. Wciąż wbijał czarne jak węgiel oko, wokół którego puchła czerwona skóra, w popękaną posadzkę.

- Otrułem ją napojem magicznym – wyznał. - Inaczej nie potrafiłem jej uwieść.

Twarz Ceadmille wykrzywiła się, zanim wybuchła gorzkim, niemym płaczem. Usta Triana otworzyły się szeroko.

- Skąd wzięłeś napój? – zapytał sucho Kai.

- Od miejskiej zielarki. Byłem pijany. Nie wiem, gdzie mieszka, ani jak się nazywa.

- I jak działa ten napój?

- Parę kropli i ten, kto je wypije, zakochuje się w pierwszej osobie w zasięgu swojego wzroku. Lyrra Agver spędzała ostatnią noc na zamku. Wiedziałem, że niedługo wyjeżdża. Wykorzystałem okazję.

- Masz świadków, którzy potwierdzą twoją opowieść?

- Jej Miłość Cerro. Na pewno powie, że Ceadmille zaczęła zachowywać się dziwnie po łyku herbaty, którą we trójkę piliśmy.

Z każdym jego słowem Ceadmille płakała coraz żałosniej.

- Zabiję cię – Trian wyciągnął miecz. – Zabiję cię, skurwielu.

Zanim Kai zdążył wydać polecenie, sami gwardziści Triana chwycili go za ramiona.

- Zostawcie mnie! Zostawcie, kurwa!...

- Mieliśmy cię, lyrrze, pilnować – syknął jeden. – Miało być po kodeksowemu...

Trian przestał się wyrywać. Pozwolił odebrać sobie miecz. Gwardziści puścili go, a on usiadł na krześle, chowając twarz w dłoniach.

- Jak długie jest działanie napoju? – spytał cicho Kai.

- Pół doby – odpowiedział Silarus. – Przestał działać, kiedy byliśmy w drodze tutaj.

- Ceadmille, czy to prawda?

Ceadmille zawyła nową falą. Potem pokiwała gorliwie głową.

- Nie wiem, co mi się stało, haronie – zawiśliła. – Ledwo cokolwiek pamiętam...

- Rozumiem – Kai westchnął głęboko. – To, co zrobiłeś, Silarus, było więcej niż podłe. Warto było?

- Nie – odparł Silarus, wciąż wpatrując się w podłogę. – Brzydzę się sobą.

Przepraszam. I lyrrę, i lyrra.

- Plwam na twoje przeprosiny – warknął Trian. – Choćby haron cię oszczędził, przyjdę do twojej celi, wyłupię ci oczy, wypruję ci flaki, upierdolę ci kutasa razem z jajami i...

- Dość! – ryknął Kai, zanim gwardziści rozochocili się na tyle, żeby zacząć klaskać. – Nie ma zbrodni tak obrzydliwej, żeby tak obrzydliwa zemsta była uzasadniona! Prawda, Silarus w imię własnej chuci skrzywdził lyrra Agvera, przyszłego harona, i lyrrę Agver, przyszłą haroneę, ale przede wszystkim skrzywdził samego siebie. Żałuje. Rozumie, co

zrobił. Rozumie, dlaczego to go spotyka. Rozumie, jak do tego doprowadził. Rozumie, że musi zapłacić. Nie ma mowy o łasce.

Teraz gwardziści wyrażali stonowane poparcie dla słów Kaia. Ten omiotł całą salę surowym wzrokiem.

- Skazuję cię na wygnanie, Silarus.

Gwardziści zamknęli się, Ceadmille przestała płakać, Trian zerwał się na równe nogi, a Silarus spojrzał czarnymi jak agaty oczami prosto w oczy Kaia po raz pierwszy od początku całej tej szopki.

- Wygnanie?! – wrzasnął Train. – W kodeksie prawnym pisze, że...

- W kodeksie prawnym pisze, że powiniensem wrzucić cię do lochu za przerywanie mi – wycedził Kai. – Silarus Temidan nie jest już pułkownikiem, lyrrem, ani w ogóle nikim. Nie znajdzie gościny w żadnym porządnym domu, w którym się pojawi. Nie znajdzie bogactwa, ani lojalnej służby, ani przychylności Szarego Człowieka. Dostanie tylko konia, żeby mógł jak najprędzej zniknąć z naszych oczu. No i ubrania, bo...

- Dajcie mi miecz... Mój miecz...

- TRIAN!

Trian aż podskoczył.

- Zajmij się swoją żoną, którą niesłusznie pobiłeś i pohańbiłeś za zbrodnię, której nie była winna!

Dwie protokolantki pomogły Ceadmille wstać i podprowadził ją do Triana, który ucałował ją, szlochając, w napuchnięte usta, i przygarnął do swojej piersi. Jeden z gwardzistów rozciął jej więzy. Ceadmille położyła drżące ręce na łopatkach Triana. Koc opadł z jej pleców.

- Dajcie jej ubrania! – zwołał wściekle Trian. - Dajcie jej cholerne ubrania, wy zwierzęta!

Nikt nie miał żadnej zapasowej sukni, więc Trian okrył ją swoim płaszczem i wyprowadził z sądu. Jego garnizon sączył się powoli za nim.

- Jemu też znajdziecie jakieś ubrania – mruknął Kai, wskazując na Silarusa. – I naszykujcie mojego konia.

Wspólnym wysiłkiem znaleźli dla niego parę pasujących ciżem, za które Kai zapłacił jakiemuś mularzowi trzy razy więcej niż były faktycznie warte. Dał też Silarusowi swoje zapasowe spodnie, które trzymał na okazję, gdyby te, które nosił, przesiąkły smrodem ropy cieknącej z pęcherzy na kikucie. Ledwo zakrywały Silarusowi łydki. Lnianą, poplamioną koszulę podarowała mu jakaś krawcowa, która miała z niej zrobić gorset. Lourdes dał mu

nawet swój błękitny płaszcz, którego koniec zdobiły rzędy różnokolorowych piór. Silarus wyglądałby komicznie, gdyby nie jego poraniona, nieobecna twarz i zbolełe, sztywne, koślawe ruchy.

Dwóch protokolantów prowadziło go do czekającego na niego konia. Prezent ślubny od Temidanów, jak Kai sobie teraz przypomniał. O imieniu Prawda, jak sobie teraz przypomniał.

Trian i jego ludzie wciąż stali pod sądem, kiedy mieszkańców i protokolanci wylegli na ulice, by przyglądać się sensacji. Trian obejmował Ceadmille, natychmiast zasłaniając jej oczy, kiedy Silarus wyszedł z budynku. Wielu gapiów przybiegło z okolicznych zaułków. Jakieś dzieciaki zbierały z ulicy kamienie. Uciekły, kiedy Kai zgromił je wzrokiem.

Silarus wsiadł na konia. Kai nie pamiętał do końca, co zostawił w jukach, ale miał nadzieję, że był tam skolrypos i trochę pieniędzy.

- Jedź, wygnańcu! – rozkazał donośnie. – Byle dalej od nas!

Tłum zaczął krzyczeć, rzucać jedzeniem i kamieniami.

- Dziękuję – szepnął Silarus.

Ugodził konia piętami i ruszył tak szybko, że tłum musiał się przed nim gwałtownie rozstąpić.

## ROZDZIAŁ XVIII

Kiedy Silarus podjechał do bram Strażnicy Świata, był śmierdzący, zarośnięty, zmarznięty i obszarpany - ale wyprostowany i uśmiechnięty. Chciałby móc powiedzieć to samo o swym wiernym, okrutnie naćpanym skolryposem rumaku - ale ten stracił sporo wagi, wigoru i rozsądku w ślepiach.

Strażnicy nachylający się ku niemu z murów zwęzili oczy podejrzliwie, spluwając czarną od tytoniu mazią.

- Ktoś ty? – warknął jeden z nich, ocierając usta mięsistym ramieniem.
- Nowy rekrut – odpowiedział Silarus, starając się wyglądać na sprawnego i przyjaznego.

- Twoje miano?
- Nie mam żadnego. U felsidów nie jest ono nikomu potrzebne.

Drugi strażnik, który opierał się, znużony, o azyrydę, odwrócił się w kierunku twierdzy.

- Hej! – ryknął i splunął. - Przyprowadź no tu kto Uliasa! Silarus Temidan przyjechał!

Brama rozwarcia się przed Silarusem szeroko. Przejechał przez nią bez cienia uśmiechu.

- Wieści szybko się rozchodzą – mruknął.
- Ano – odparł jeden z podstarzałych felsidów przy kołowrocie. – Podobno da się ciebie poznać po łachach.

Silarus zeskoczył z konia, łyknąwszy na niego złowrogo. Płaszcz Lourdesa może i był niedorzeczny, ale prawdopodobnie uratował go przed zamarznięciem na stepie, który nagle złośliwie sobie przypomniał, że jesień jest tą chłodniejszą porą roku.

Strażnica Świata była twierdzą obejmującą w większości pustą przestrzeń, na której nawet trawie nie chciało się rosnąć. Budynki były wiekowe, nierówne, krzywe, pokruszone z wielu stron i stojące oddziennie jak założek małego miasta, a nie pełnoprawna twierdza. Za nimi widać było bezkresny basen Kastu – jednego z trzech Letnich Mórz - który zastępował Strażnicy jedną ze ścian wysokiego muru.

Silarus stał z lejcami w ręku, ale nikt nie kwapił się, by zaprowadzić jego konia do stajni.

- Mogę gdzieś przywiązać konia? – spytał, żałując w momencie, w którym stawał znak zapytania.

Obsługa znieruchomiałego kołowrotu zarechotała, nie oderwawszy wzroku od kart.

- Możesz go nawet ubrać w gorset i wydupczyć.

Reszta zaśmiała się jeszcze głośniej. Nawet mury się śmiały. Silarus wziął głęboki oddech. Kai na pewno też czuł się tu nieswojo na początku, pewnie nawet bardziej, bo był tylko dzieciakiem, a i tak zdobył tu przyjaciół, wiernych kompanów, został nawet bohaterem...

- Admirale! – usłyszał jowialne powitanie. – Co za miła wizyta!

Od strony niższej z dwóch wież przybył generał felsidów wschodnich, Ulias Odkrywca. Nie był zbyt wysokim, ale na pewno szerokim mężczyzną z bardzo twarzową blizną odcinającą od reszty jedną czwartą włosów na jego głowie. Towarzyszył mu miecz i czterech felsidów, którzy wzrostem dorównywali Silarusowi, a masą mięśniową wyraźnie go przerastali.

Ulias przycisnął dłoń do piersi. Silarus zrobił to samo.

- Zaszczyt, generale. Mnie nazywasz admirałem?

- Oczywiście. Gratulacje, swoją drogą.

- Kiedy ostatnio rozmawiałem z człowiekiem, nie byłem już nawet pułkownikiem.

- To musiało być szmat czasu temu w takim razie! Może zechcesz, admirale, zajść do mnie na spoczynek i butelkę wina?

Silarus nie chciał.

- Nigdy nie odmawiam – powiedział.

- Wybornie. Niech któryś z was, darmozjadów, zajmie się jego koniem. Bez żadnych numerów z gorsetem.

Za siedzibę Ulisesa służyła cała wieża, w której miał nawet własną ciasną kuchnię i jadalnię i w której służący przesiadywali z ubłoconymi butami wyrzuconymi na kulawy stół. Znajdujący się prawie na szczycie budowli gabinet Ulisesa był okrągły i wyłożony skórami zdjetymi z aligatorów, leopardów i papug. Dziwnie przez to pachniał.

- Twój ojciec powiadomił mnie o twoim awansie – mówił, nalewając wina do kielichów tak zakurzonych, że Silarus wolałby pić prosto z butelki. – I o tym, by cię wypatrywać.

Czterech drabów siedziało w milczeniu na kozetkach przy drzwiach, a Silarus czuł cztery pary oczu wbite w tył jego głowy.

- Dobrze się składa, że awansowałem do marynarki – powiedział z nutą ostrożnego entuzjazmu. – Bardziej wam się przydam.

- O, tak – odparł Ulias, stawiając kielichy na biurku. – Nie myślałeś, żeby przedyskutować to z ojcem?

- Nie za bardzo miałem czas, uciekając przed wściekłą tłuszczą pod wodzą świętojebliwego haroniątka.

- Ależ wystarczyło, że skierowałbyś konia na południe, zamiast na północ.

- Jakoś tak poniósł akurat na północ.

- Napij się wina. Własnej roboty.

Silarus oplotł palce wokół szyjki kielicha.

- Chcę dołączyć do felsidów i nie będę tego konsultować z ojcem – oznajmił.

- No to będziemy mieć kłopot – westchnął Ulias. – Obiecałem mu, że cię do niego odeślę.

- Niby po co?

- A ja wiem? Pewnie po to, żeby knuć.

- No to nie dotrzymuj obietnicy. Może cię nie przeklinie.

- Twój ojciec to jeden z najlepszych generałów w historii...

- Niby czemu? Wygrał jakąś bitwę?

- ...a ja zarządzam bandę takich samych maminsynków jak ty. Nie mogę sobie pozwolić na obrazę potężnych sojuszników.

- Nie jestem maminsynkiem. Umiem walczyć lepiej od Kaia Kohara.

- Kai Kohar przyszedł tu pieszo, zanim zaczęły mu rosnąć pierwsze włosy na gębie, nie chwalił się, że umie machać mieczykiem. Ryczał w poduszkę nocami, dostawał ciągi dniami. Żadnych narzekań. Przez całe trzy lata. Aż pozwoliliśmy mu ruszyć na morze.

- Mogę ryczeć i dostawać ciągi, ile sobie życzysz, generale.

- Ale, widzisz, on nie miał nikogo, kto by się o niego upomniał. Jedź do ojca i wróć, jak się dogadacie.

Silarus podniósł kielich., wzdychając ostentacyjnie.

- Ale jak tu wrócę, to mnie przyjmiecie?

- Bez żadnych pytań – Ulias uśmiechnął się i upił ze swojego kielicha.

- Dajcie mi się chociaż przespać.

- Oczywiście.

- I coś ciepłego na grzbiet. I nowego konia.

- Bez dwóch zdań.

- I jakąś porządną broń. Wyjechałem tylko z jakimś scyzorykiem w jukach.

- Coś się znajdzie do rana.

Silarus przyłożył kielich do ust i przechylił go. Nie pozwolił napojowi dotknąć swoich warg.

- Ale lura – skrzywił się, wstając. – Taka poniewiera najmocniej. Mam tu przyjaciela, admirała Atiana, syna wodza Totha. Zastałem go może?

Atian ćwiczył krzepę wraz z innymi felsidami w promieniach zachodzącego nad morzem słońca. Mury Strażnicy Świata były rozległe i ginęły w Letnich Morzach marszczonych leciutką bryzą. Było ciepło. Pachniało rybą i potem, ale Silarus i tak wciągnął powietrze głęboko do płuc, jakby zaciągał się wonią świerków.

- Czterysta! – krzyknął w końcu liczący pompki felsid, rozłożony na plaży i wyraźnie na granicy drzemki. – Starczy!

Niektórzy runęli twarzami w piasek, niektórzy ledwo podnieśli się z kolan. Ale nie Atian. Atian, mimo plamy potu na bluzie, od razu wstał i podbiegł do Silarusa, niemal klaszcząc nogami w powietrzu.

- Druhu – uśmiechnął się szeroko, ściskając dłoń Silarusa. Zapaścił włosy tak, że kręciły się już w czarne kędziora. I chyba urósł parę opali. – Spodziewaliśmy się ciebie. Jak się trzymasz, admirale?

- Nie tak dobrze jak ty, admirale – odparł Silarus. – Jak zdrowie?

- Musiałem od nowa uczyć się biegać, ale poza tym lepiej niż kiedykolwiek. Popatrz na to! – napiął ramię, na którym wyrosło małe wzgórze. – Nieźle, co?

- Nieeeźle – roześmiał się Silarus, odchodząc nieco na bok i ciesząc się, że Atian zrozumiał aluzję i za nim podążył. – Słuchaj, potrzebuję łuku.

- Łuku?

- Tak. Najlepiej długiego.

- Mamy parę. Ale nie wolałbyś kuszy?

- Nie, nie. Musi być łuk. I kołczan strzał, jeśli łaska.

- No dobra, to chodźmy do zbrojowni.

- Nie, nie – Silarus zniżył głos do szeptu, rozglądając się po drewnianych strażnicach, które wyrastały ponad wodę na długich tykach, a w których bez wątpienia ktoś mógłby słuchać. – Możesz wychodzić poza mury?

- No mogę. A ty możesz mówić jaśniej?

Silarus wymownie zatoczył oczami.

- Kiedy wróciłem z Modrego Oka –.sapnął Atian – przez miesiąc miałem wrażenie, że każdy pal ma uszy i oczy. Ale nie przejmuj się. Tutaj nikogo twoje łucznicze intrypy nie obchodzą.

- Echhh... - Silarus i tak kucnął, żeby być jak najdalej od podłogi strażnicy. – Musisz wziąć łuk i kołczan, i zakopać je poza murami. Tak, żeby nikt ze Strażnicy nie mógł cię zobaczyć.

- A czemu musisz zrobić z tego tak wielką tajemnicę? Ulias da ci łuk, jeśli tylko...

- Ulias nie da mi łuku, tylko kuszę, jak sam zauważysz. Albo nie da mi nic, skoro mam jechać prosto do Rhagos, głównym szlakiem.

- Ach. A ty nie chcesz jechać.

- Otóż to. Skrczę do Puszczy. Spróbuję znaleźć diakorr. Może akurat nie będzie z nimi Sfory Sfinksa.

- A jak będzie?

- Mam kilku przyjaciół w Zlewisku.

- Mhm. Wolisz jechać do Zlewiska niż do własnego ojca.

- Pewnie, że tak. Wiesz, że awansował mnie na admirała? Za zajście za skórę Kaiowi?

To pojeb, a nie ojciec.

- No dobrze, a co po Zlewisku?

- Mam nadzieję, że statek i nieznane lądy. Cokolwiek.

- Nie możesz po prostu uprzejmie zapytać, że tu zostajesz? Co ci niby może zrobić z Rhagos?

- Widzisz. Kiedyś popłynąłem z grupą przyjaciół ze Zlewiska na Tromos. Mieliśmy zostać tydzień, ale trochę przesadziliśmy i nie było nas miesiąc. Mój ojciec znalazł tam kogoś, kto podrzucił kilka usypiających kropel do mojego wina. Obudziłem się w swoim łóżku w Euterpe.

- No tak, ale ile wtedy mogłeś mieć lat, z piętna...

- Dwadzieścia cztery. Pomożesz mi czy nie?

Atian pokręcił z dezaprobatą głową, uśmiechając się jednak, jakby cała ta sytuacja tylko go bawiła.

- Oczywiście, że ci pomogę. Zorganizuję wszystko, ale najpierw przedstawię cię mojej matce. Opowiesz nam, jak miewają się Kai i Cerro, nie wspomnisz ani słowa o byciu namiestnikiem w Zlewisku, a jak będziesz dla niej miły, to da ci wigoryzujące sole do kąpieli.

Dla matki Atiana nie było trudno być miłym. Miała niezwykle ciemną skórę, niezwykle białe zęby i niezwykle grube włosy sięgające ziemi, które opłatała zasuszonymi kwiatami. Trzymała w ustach fajkę, nie przejmując się żadnymi obyczajami, i łuskała daktyle, z czym musieli jej pomóc w czasie, kiedy Silarus snuł historię o przybłędzie z lasu, szalonym królu i dziecku z ulicy. Na koniec odebrał buteleczkę soli, wszedł do swojej obskurnej sypialni i uświadomił sobie, że poza łóżkiem, nie ma tam nic.

- Atian? – Silarus wychylił głowę zza drzwi. – Gdzie zgłosić się po balię?

Atian, który miał jedną nogę na stopniu prowadzących w dół schodów, zmarszczył brwi.

- Po co ci balia? Masz morze pięć kroków stąd.

- To jak mam użyć soli?

- Zostaw je sobie na specjalną okazję, kretynie! Wiesz, ile ich zrobienie kosztuje?!

Silarus ogolił się więc i wykapał się w ciepłym, słonym morzu pełnym ostrych jak brzytwa, śliskich kamieni, meduz i rybek mniejszych od jego paznokci. Żadna z tych rzeczy nie koiła jego świeżych ran, ale nawet się cieszył, że wciąż je czuje. Musiał o nich pamiętać.

Kiedy zaczął odrobinę za dużo myśleć, wyszedł z wody i poszedł spać, zastawiwszy drzwi łóżkiem.

Rano dostał tępawy miecz, wyliniałe, ciężkie futro, na które było za gorąco na wybrzeżu, spodnie, w których nie wyglądał jak błazen, dwie koszule do zmiany, dwadzieścia cersenów, trochę sucharów, trochę herbaty, zapas skolryposu wyliczonego co do pyłku na dystans między Strażnicą Świata i Rhagos, i siwego konia o muskulaturze nie tak imponującej jak jego poprzedni wierzchowiec. Podziękował pięknie, pożegnał się z Atianem i odjechał.

Przez piasek ciężko się kluczyło. Tym bardziej, że za każdym razem, kiedy Silarus się obejrzał, Strażnica Świata wciąż majaczyła na horyzoncie. Wokół nie było prawie żadnej roślinności. Tylko suche krzewy i kwiaty stepu pachnące jak zgniłe mięso, wabiące jaszczurki i muchy.

Jeden z tych kwiatów był wyrwany wraz z korzeniem i ułożony płatkami do dołu. Silarus zszedł z konia, odtrącił kwiat i zaczął kopać. Nie musiał robić tego zbyt długo – najpierw wyciągnął kołczan, potem łuk. Uśmiechnął się do niego promiennie, narzucił na plecy i wrócił na szlak.

Kiedy dojechał do linii Nauenemeńskiej Puszczy, było już dawno po pierwszych śniegach.

\*

Dzień, w którym urodził się Tyreus, był najgorszym dniem w życiu Cerro. Przez ostatni miesiąc ledwo mogła oddychać, a Chevita cieszyła się, że dzięki jej specyfikom Cerro jest w wyjątkowo dobrej formie. Od dawna nie mogła już ćwiczyć, jej suknie ledwo trzymały się w szwach na piersiach i brzuchu, a kiedy czuła, jak człowiek w środku się porusza, modliła się, by jakimś cudem rozpruł jej brzuch, wyskoczył z niego i sobie poszedł, zupełnie

samodzielnny. Zwykle nie było bólu - czasem tylko w nocy, kiedy budził ją kopaniem, jakby chciał połamać jej żebra. Kai raz pobiegł po Chevitę, a kiedy ona powiedziała, że to zupełnie normalny, a nawet znakomity omen świadczący o sile dziecka, i żeby więcej nie zrywać jej w środku nocy przez takie głupoty, Kai po prostu trzymał Cerro w ramionach, kiedy szlochała. Nie było to właściwie aż tak bolesne - po prostu obrzydliwe. Nie mogła znaleźć na to innego słowa. Nie chciała, żeby Kai gładził jej brzuch, niby zmartwiony, a tak naprawdę pewnie zachwycony cudem stworzenia. Nie chciała, żeby przytulał jej rozdygotane ciało, myśląc o ciele kogokolwiek innego. A już na pewno nie chciała, żeby radował się czymś, co jej sprawiało tyle cierpienia.

Na domiar złego, wody spłynęły w dół jej ud, kiedy wchodziła do balii pełnej ukropu. Z wrażenia aż się nim poparzyła i musiała się ubrać, zanim pospieszyła do Chevity, czując, jak wycieka z niej życie. Meglyne dostała polecenie zaprowadzenia Cerro z powrotem do sypialni, uspokojenia i ułożenia w łóżku. Za chwilę wykopała ją stamtąd jakaś piętnastka służących, wśród których jedna była szczęśliwsza od drugiej. Zerwały z Cerro kołdrę, suknię, bieliznę i rozłożyły jej nogi. Chevita przyszła i spytała, dlaczego Cerro płacze, skoro jeszcze nic jej nie boli. Wkrótce w środku pozostały tylko cztery położne klęczące pomiędzy jej szeroko rozwartymi nogami, i magini karmiąca ją ułatwiającymi poród kroplami.

Cerro nie wiedziała, co bolało bardziej – poród czy upokorzenie? A może obie te rzeczy były ze sobą nierozerwalnie splecione, jedna była tak naprawdę drugą, i nie dało się odróżnić początku jednej od końca drugiej? Modliła się o to, żeby zemdleć. Błagała Chevitę o coś na sen, lecz ta oznajmiła, że to niemożliwe. Mówiła, kiedy krzyczeć, kiedy brać oddech, kiedy go wypuszczać, kiedy przeć, kiedy się napić. Cerro robiła wszystko tak jak jej kazano, a poród się nie kończył i przypominał o swoim trwaniu paraliżującymi skurczami i falami upokorzenia wyciekającymi spomiędzy jej rozwartych ohydnie nóg.

Chevita stale coś notowała, co denerwowało Cerro tak potwornie, że w końcu wytraciła jej dziennik z ręki.

- Pomóż mi – jęknęła słabo, ocierając pot ze skroni.
- A co niby robię? – odparła zimno magini.
- Nie możesz pisać. Zabraniam ci. Albo mnie uśpij, albo go ze mnie wyciągnij.

Chevita westchnęła i ujęła śliniką dłoń Cerro.

- Przyj. Możesz ściskać moją rękę, ile wlezie.

Cerro ściskała, drapała i gryzła, w kółko wychylając się i cofając nad granicy omdlenia.

Aż nagle było po wszystkim.

- Chłopiec, Wasza Miłość! Zdrowy i głośny!

Cerro przetarła łzawiące oczy, przejęta taką ulgą i szczęściem, że zaśmiała się, nie słysząc swojego głosu poprzez wrzask dziecka. Już nie było nikogo w jej brzuchu. Już nic nie będzie bolało. Mogła przestać rozkładać nogi.

Natychmiast zostały rozstawione mało delikatnymi dłońmi położnej.

- Jeszcze łóżysko, Wasza Miłość!

Cerro spojrzała w dół; na kałużę krwi pomiędzy swoimi nogami; na wydzieliny w kolorach przyprawiających ją o mdłości; na brzuch, który wciąż wyglądał, jakby w środku coś było; na drugą służącą, która zanurkowała pod jej spódnicą. Był to najwyższy czas, by wreszcie spokojnie zemdleć.

Ale położna ułożyła dziecko na jej piersi.

- Proszę, Wasza Miłość. Ma twoje oczy.

Cerro miała niebieskie oczy, lecz dziecko trzymało swoje zamknięte, drąc się wniebogłosy. Były czerwone, pomarszczone, wilgotne i owinięte w rodowy ręcznik ze Wściekłą Wilczycą.

- Proszę przeć, Wasza Miłość!

Parła, ściskając dziecko w ramionach, nie czując już bólu, tylko mokre, galaretowe upokorzenie. Musi zwolnić wszystkie te służące od razu po całej procedurze, bo nie zniesie myśli, że łażą po zamku i rozwidlają o tym, co widziały pomiędzy jej nogami. Chevita przetarła jej czoło, powiedziała, że już po wszystkim, a nogi Cerro spoczęły na posłaniu płasko i blisko siebie.

Spodziewała się, że albo zakocha się w dziecku w momencie, w którym na nie spojrzy, albo ostatecznie i definitelywnie go znienawidzi. Tymczasem osunęła się w sen raptownie i bez żadnych trudności, mimo jego ciężaru w jej ramionach i jego płaczu tuż przy jej uchu.

- Trzeba go nakarmić – usłyszała głos Chevity. – Pierwszy raz musisz to być ty.

Cerro rozwarła powieki i instynktownie plasnęła w dlonie służącej dobierającej się do jej guzików.

- Chciałam pomóc – jęknęła, zdjęta grozą.

- Nic się nie stało – odparła Chevita. – Jej Miłość zrobi to sama. Daj mi dziecko i rozepnij suknię.

Cerro oddała dziecko Chevicie i rozpinała guziki powoli, mając nadzieję, że zanim skończy, służące posprzątają i sobie pójdą. Ale one wymieniły prześcieradło pod Cerro,

kołdrę na Cerro, poduszkę pod głowę Cerro. Pościeralały plamy z podłogi i stanęły przy łóżku z jej suknią ślubną w rękach.

- Długo ci jeszcze jezdzie? – sapnęła Chevita.
- Dziękuję wam za pomoc, ale już sobie poradzę – Cerro uśmiechnęła się do służek.
- Nie potrzebujesz pomocy w przebraniu się, Wasza Miłość? – spytała jedna z nich.
- Nie, dziękuję. Możecie iść.
- Wasza Miłość, zaszczytem byłoby dla nas karmienie małego księcia.
- On nie jest księ...
- Czy zgodzisz się, żebym ja, Raila, Anais i córka Tafony były jego mamkami?

Raila, Anais i Tafona dygnęły kolejno. Cerro spojrzała na Chevitę podrygującą ukrytym w materiale dzieckiem, które krztusiło się własnymi łzami.

- Brały te same specyfiki na dobre mleko, co ty – powiedziała, zatopiona w oczach noworodka. – Głupotą byłoby się nie zgodzić.
- No więc się zgadzam – mrucnęła Cerro. – Możecie odejść.
- Nie możecie – wcięła Chevita. – Jej Miłość jest za słaba, by przygotować się na gości, a, niestety, nie wygląda najlepiej. Odwrócić wzrok, kiedy Jej Miłość będzie karmić syna. Chyba, że zamierza głodzić go w nieskończoność.

Służące zajęły się swobodną pogadanką, kiedy Cerro rozpięła suknię na tyle, że mogła dosunąć głowę dziecka do piersi. Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale wytrzeszczyła oczy, bo jakimś cudem tuż po urodzeniu dziecko wiedziało, co ma robić. Chyba rzeczywiście było wygłożone, bo w jego rwaniu i szarpaniu nie było nic z delikatności i wrażliwości noworodka, której się spodziewała. Tylko przerażający, stanowczy instynkt.

- Nie chcę żadnych gości – oświadczyła półgębkiem Cerro.
- Kolejka wylewa się już poza mury zamku – odrzekła Chevita, znów z notatnikiem w dłoni.
- Nie obchodzi mnie to. Nie chcę nikogo widzieć.
- Ale wszyscy chcą widzieć nowego księcia-harona.
- Nie ma żadnego księcia-harona.
- Oczywiście. Ale ludzie swoje wiedzą.
- Skoro chcą zobaczyć jego, to ja nie mogę położyć się w innym pokoju?
- Nie. Zaciśnij zęby i wytrzymaj jeszcze tylko do końca tego dnia. O, zobacz. Zasnął.

Kiedy Chevita podniosła go delikatnie, Cerro natychmiast wytarła się o kołdrę, a służące już były przy niej, by pomóc jej nałożyć świeżą bieliznę, pozapinać suknię i zapleść

włosy. Czuła się jak dziecko. Jak dziecko z obolałym kroczem. Minęła już rocznica jej przeklętego ślubu. Właśnie urodziła. Czuła się jak dziecko z obolałym kroczem.

Służące wyszły, a do środka wszedł Kai, również przebrany w swój ślubny kontusz. Cerro, która znów trzymała noworodka, uciechyła się na jego widok i położyła dłoń na jego przedramieniu, a on uśmiechnął się szeroko. Złożył pocałunek na jej czole i ogarnął ją ramieniem, zanim odchylił skraj materiału, by spojrzeć na twarz dziecka w jej objęciach.

- Prześliczny – szepnął. – O, Szary Człowieku...

Łatwo było śmiać się przez łzy, kiedy obejmował ją tak, jakby nie był pewien, czy ona przeżyje całą tę procedurę. Trudniej, kiedy podniósł dziecko i uśmiechał się do niego jeszcze szerzej niż do niej.

Cerro miała wrażenie, że teraz już musi zemdleć - teraz, kiedy uświadamia sobie, że jest podłą matką zazdrosną o własne dziecko.

- Jak się czujesz? – Kai znów na nią spojrzał.

- Wyborne – odpowiedziała, zamiast Cerro, Chevita. – Wszystko poszło sprawnie, tylko sześć godzin, cały czas przy pomocy środków na ból. Chłopiec jest zdrowy, krzepki i przyszedł na świat w królewskiej pozycji.

- Czuję się fatalnie – sapnęła Cerro. – Nie chcę nikogo widzieć.

Kai usiadł na krześle przy łóżku.

- Musimy – powiedział. – Nie mamy już wielu przyjaciół na dworze, a odprawienie ich byłoby obrazą.

- Nie można im powiedzieć, że potrzebuję snu? Albo że umieram? Przysięgałeś...

Jedną ręką wciąż trzymał dziecko, drugą głaszcząc jej włosy. Cerro otarła łzy, których miała już serdecznie dość.

- Przepraszam – powiedział cicho. – Możesz przysypiać i nie musisz się dużo odzywać. Ale proszę, wytrzymaj jeszcze tylko do końca dnia.

Rada była, że przynajmniej nie musi patrzeć na mordę Myrona, który nie pokwapił się z Pałacu Popiołów. Rada była, że przyszli Skylle, Madrigale, Agda, Mnemosyne i Lourdes. Rada była nawet, że przyszła Meglyne. Miała mieszane uczucia na widok Ceadmille. Nie rozstawała się teraz z Trianem i niewiele mówiła. Dużo się uśmiechała. Nosiła suknię, której kołnierz opinał się ciasno wokół szyi, a rękawy wokół nadgarstków. Włosy miały gładko zaczesane i upięte nad karkiem jak przyzwoitka. Wszędzie karmazyn i ośmiornice. Nie miała żadnego ślady makijażu, poza kremem w kolorze skóry, spod którego i tak widać było strupy. Jej mąż pochwalił się, że sami spodziewają się dziecka. Tyreus, jak Kai go wszystkim przedstawiał, zaczął płakać, domagając się pokarmu.

Cerro tęskniła za Atianem i Silarusem. Tęskniła za rodzicami. Tęskniła za dzieciństwem i tęskniła za tym krótkim czasem, kiedy byli tylko ona i Kai; za tym, kiedy dziecko było jeszcze niewidoczne w jej brzuchu. Za tym, kiedy go w ogóle nie było. Właściwie, tęskniła za każdym momentem, który nie był tym.

Kiedy Tyreus obudził się w nocy, wezwała jedną z mamek i kazała zanieść jego kołyskę do przeznaczonej mu sypialni – tej, w której sama była kiedyś więźnem. Kai też się obudził, lecz nie powiedział słowa, i Cerro zasnęła z jego ramieniem wokół talii. Lecz kiedy otworzyła rano oczy, Kaia nie było ani w łóżku, ani w bibliotece, ani w miejskim sądzie.

\*

Silarus napiął cięciwę. Wycelował. Kark sarny wydawał się miękki i delikatny. Dwójka koźlatek trzymała się matki kurczowo, dłużąc nosami w śniegu. Silarus wpuścił obłok mrozu z ust. Nie zaczepnął kolejnego oddechu. Pora strzelić.

Strzała wbiła się w przedramię jego lewej ręki. Zanim zdążył w ogóle zorientować się, że przepołowił ją ból, runął z gałęzi z impetem, po drodze hamowanym przez łamiące się drewno. Plasnął żałośnie o śnieg i dopiero wtedy wrzasnął, ułamując drzewiec czarnej, cienkiej, przystrojonej jastrzębim piórem strzały diakorr.

- No co wam zrobiłem?! – wrzasnął w przestrzeń, choć nikogo w niej nie widział. – Chciałem złożyć wam podarunek!

- *Z koima ragili?* – prychnął głos z wysoka.

- Myślałem, że jej *koima* to żaba – wymamrotał Silarus, krzywiąc się na widok krwawej brei w przedziurawionym rękawie koszuli.

- Źle myślałeś. Orlica już nie jest *ragili*.

- A co się stało?

- A masz interes?

- Mam. Jestem bratem Melvourne'a Temidana, przywódcy Sfory Sfinksa, i proszę o schronienie. Odwdzięczę się.

Zza pnia czarnego dębu wychylili się łucznicy. Ten, który przemawiał, miał na sobie płaszcz z jastrzębich piór, dziobów i pazurów.

- Masz szczęście, że Orlica nie jest już *ragili* – powiedział. – Inaczej musielibyśmy rozszarpać cię na strzępy.

Zaprowadzili go do dość odizolowanej od głównego obozu chatki, w której kobieta dorównująca Silarusowi wzrostem i przewyższająca szerokością barów opatrzyła jego

przedramię. Miała na plecach coś przypominającego żółwi pancerz, co było zrobione z dziwacznego, śliskiego materiału.

- *Hanun* – podziękował, a kobieta posłała mu mało sympatyczne spojrzenie i odeszła w kąt izby.

- Jesteś zbiegiem? – zapytał jastrząb, który siedział na podłodze, ostrząc groty strzał.

- Skąd ten pomysł?

- Po co szukałbyś u nas azylu?

- Nie szukam azylu, tylko schronienia. Przed zimą.

- Nie macie w zamkach pieców?

- Ja nie mam.

- Nie jesteś bogaty? Sfinks Melvourne jest.

- Jesteś *ragili*? Jeśli nie, to wybacz, ale nie chce mi się gadać.

- *Ragili* będzie na mnie zła, jeśli przyprowadziłem do domu niebezpieczeństwo.

- Nie przyprowadziłeś. Śpij spokojnie.

*Ragili* nie przyszła do końca dnia, i do końca następnego też nie. Silarus nie miał pozwolenia odchodzić zbyt daleko od chaty, i żółwia kobieta krzyczała, żeby wracał za każdym razem, kiedy wystawił stopę poza linię ośnieżonego podwórka. Kiedy stał, oparty o zlodowaciały pień sosny, mógł się tylko przyglądać. Widział chaty, zamarzniętą powierzchnię Hebe, diakorr, z których niektóre wykrzykiwały coś pod jego adresem, inne się uśmiechały, a inne łypały złowrogo. Ale nikt nie przychodził. Tylko on i kobieta-żółw, która albo nie lubiła go tak bardzo, że udawała głuchą, albo po prostu nie знаła ani słowa z hekkurskiego.

Trzeciego dnia, kiedy tak stał, *ragili* wreszcie nadeszła.

- *Tavi* Sfinks! – krzyknęła z entuzjazmem. Nie miała żadnego orszaku ze sobą. – Bardzo dobrze cię gościć!

Miała, oczywiście, kilka sarnich futer na sobie, kopytka przywiązanego do dłoni i stóp, sarnie uszy przyczepione do głowy, oraz imponujące, rudawe owłosienie na całej twarzy. Nie było długie, ale wyraźne i równomiernie rozłożone, i Silarus zapłaciłby dziesięć cersenów, żeby dowiedzieć się, czy jest wyhodowane czy przyklejone.

- Do środka! – poleciła, i weszli do chaty.

Kobieta-żółw kiwnęła głową na przywitanie, ale poza tym dalej ugniatała jakieś ostro pachnące przyprawy. Silarus usiadł na swoim posłaniu, a *ragili* na podłodze obok.

- Po co ty tu? – zapytała, z pewnością nie chcąc brzmieć niegrzecznie, ale mając trudności z językiem. Człowiek-jastrząb mówił o wiele lepiej. Może często handlował z mieszkańcami Naauzyki... a może sam był kiedyś jednym z nich...

Silarus żałował teraz, że znudził się nauką *ygli* po jakimś tygodniu.

- Chcę schronienia – odpowiedział. – Mogę polować, gotować, rąbać drewno.

Cokolwiek w zamian.

- A twój brat?

- Tak, Melvourne Temidan to mój brat.

- Po co on tu?

- Melvourne? Jest tu?

- Jest. W moim domu.

Silarus poczuł się, jakby dostał obuchem w brzuch. Zwiesił głowę z westchnięciem.

- Od kiedy?

- Od rana. Wczoraj wysłałam wiadomość.

- Dlaczego?

- Czas Orliki się skończył. Nie będziemy odrzucać Sfinksa.

- Odrzucać? Nie żyliście sobie zgodnie jak małżeństwo?

- Żyliśmy. A potem Syrena się zabiła. Szkoda, ale nie możemy iść na wojnę za jedną.

Orlica wiedziała i nie walczyła długo, kiedy ją zaprosiłam.

Silarus rozumiał tyle, że Melvourne czegoś mu nie powiedział.

- Wciąż mogłaś nie wysyłać mu tej wiadomości – mruknął.

- Wiedział, że przyjedziesz. Gdyby zapytał, a ja bym skłamała, zdradziłabym.

- No dobra, rozumiem. I pewnie Melvourne chce ze mną pogadać?

- Chce.

- No dobra. To niech się pokwapi i przyjdzie.

- Zabieram broń jemu i tobie. A jeśli chcecie zabić się rękami, to z dala od *kimsh*.

Silarus otworzył usta, ale nic nie powiedział. *Ragili* skosztowała palcem szczypty proszku startego przez żółwią kobietę i mruknęła z aprobatą. Potem odeszła. A potem przyszedł Melvourne - w czarnym płaszczu z obszytym futrem kapturem, w eleganckim mundurze, w wysokich oficerskich butach. Jego uśmiech zbladł na widok Silarusa.

- Przywiozłem gorzałkę, ciepłe ubrania i ostrą brzytwę – powiedział.

Więc poszli nad rzekę. Silarus golił się nad przerębem, a Melvourne trzymał okrągłe lusterko przed jego twarzą.

- Trochę bardziej w prawo – rozkazał Silarus, a Melvourne wykonał.

- Kai Kohar ma syna.

Silarus uśmiechnął się od razu, myśląc o Cerro, która może wreszcie odetchnąć. Zapomniał o niej, i o jej przez siedem miesięcy połykanych łzach za każdym razem, kiedy

ktokolwiek wspominał o dziecku. Zapomniał o tym, jak szukał słów pocieszenia i przekliniał się za niemożność ich znalezienia. Zaskoczony był, że parę tygodni w dzicy wystarczyło, żeby zapomniał o tak niegdyś kluczowych sprawach.

- Tyreus Gaius Meaveleth – Melvourne mówił dalej. – Myron był rozwścieczony tym Meavelethem, ale udało się go przekonać, że skoro jego syn będzie nieśmiertelny, nie ma co przejmować się jakimś bękartem noszącym jego rodowe nazwisko.

- Wciąż myśli, że to nie dziecko Kaia?

- Cholera wie, co on myśli i czy w ogóle. Ale nazywa Tyreusa bękartem i czeka na raport Chevity odnośnie ojcostwa Kaia.

- Mhm. No cóż. Rad jestem, że wszystko się układa.

- Mam też wieści o Ceadmille.

- Dobre?

- W zasadzie, dobre.

- Tyle mi wystarczy, dziękuję.

Przemył twarz wodą tak lodowatą, że nie ściągał ręczników, by jej zaczerpnąć.

- Ile jeszcze będziesz tu siedział, zanim wrócisz?

- Jestem wygnancem.

- Jesteś pierwszym oficjalnym wygnancem w Świętej Unii od... zawsze. Zasady tego wygnania Kai Kohar wymyślił na poczekaniu i nikt nie będzie się do nich stosował.

- Zrobił mi przysługę.

- Wypędzając cię z dworu?

- Do wyboru miał to albo pozwolenie Trianowi Agverowi na urżnięcie mi kutasa.

- Mógł wtrącić cię do lochu. Ojciec by cię wykupił.

- Błagałbym wtedy Triana Agvera, żeby się pospieszył.

- Silarus – Melvourne wypowiedział jego imię tym rodzajem tonu, którego używał tuż przed tym, zanim dostawał to, czego chciał. – Jak zwykle sojusznicy mieszają ci się z wrogami. Haron pokłócił się z generałem i natychmiast pozbywa się jego szpiega. Nie wydaje ci się to dziwne?

- Dziwne wydaje mi się, że generał pokłócił się z haronem i natychmiast jeden z najważniejszych ludzi harona nie ma żadnego innego wyjścia, tylko odejść.

Melvourne zmarszczył brwi, oburzony.

- Generał to też twój ojciec! Jest surowy, ale żaden rodzic nie chciałby widzieć swojego dziecka traktowanego w taki sposób jak Agver cię potraktował...

- Ależ ojciec nic nie widział. Był już dawno w drodze do Rhagos.

- Masz zupełnie skrzywioną perspektywę. Kai Kohar mógł cię ułaskawić.

- I tak wszyscy zorientowali się, że złagodził mój wyrok. Jeśli całkiem by mnie uniewinnił, straciłby autorytet.

- Dlaczego zawsze znajdajesz dla niego wymówki, a dla ojca nigdy?

Silarus przetarł znużone powieki.

- Nie mam ochoty o tym wszystkim rozmawiać, Mel – westchnął. – Przyjechałeś, żeby przekonać mnie do powrotu, ale nie uda ci się.

- Więc jaki jest twój plan? Dołączysz do diakorr?

- Nie twój interes.

- Co ty wygadujesz, Silar? Nie jesteśmy już rodziną?

- Jesteśmy. Dlatego wiem, że rozmowa z tobą to po prostu przyjemniejsza wersja rozmowy z ojcem.

Dzieci diakorr wybiegły na lód, ślizgając się na brzuchach jak foki. Przelatywały koło nich, wystawiając języki i machając. Jeden z chłopców wszedł na lud niepewnie jak pingwin, po czym pośliznął się, lądując na plecach i prześliznął się, rozbijając resztę dzieci jak kręgle. Silarus parskanął cichym śmiechem, poprawiając sploty swych warkoczyków.

- Ceadmille jest przy nadziei – odezwał się Melvourne. – Na pewno z Trianem.

Silarus skierował na niego wypełnione furią oczy. Melvourne dzielnie wytrzymał to spojrzenie.

- Jeszcze raz wspomnisz jej imię...

- To co? Byłeś jej nałożnicą, a teraz nie ma już z ciebie żadnego pożytku. Musisz w końcu przestać biegać na oślep, zatrzymać się i pomyśleć.

- Zamknij się.

- Widzisz? Nawet nie jesteś w stanie o tym rozmawiać. To dlatego, że w głębi duszy wiesz, że...

Silarus uderzył go zaciśniętą pięścią prosto w nos. Dzieciaki zaśmiały się perliście, a Silarus ukłonił się im uroczyście, jednak wciąż siedział z nogami pod brodą, otulony futrem, podczas gdy Melvourne zbierał się ze śniegu.

- Świecznie – warknął, próbując zatamować krew w nosie aksamitną chustką. – Ojciec będzie wniebowzięty, wiedząc, że obu jego synów ma złamane nosy.

- Myślałeś, że tak po prostu będziesz mógł przejąć tytuł najprzystojniejszego Temidana?

Melvourne zaśmiał się, a krew spłynęła do jego dziąseł.

- Wiesz, co powinniśmy zrobić? – zagadnął. – Zamiast okładać się po gębach, powinniśmy świętować nasze spotkanie. Powinniśmy upić się. Albo jeszcze lepiej – nahajcować.

- Nie wiem, czy diakorr spojrzałyby na to przychylnym okiem.

- A widzisz, jakie masz szczęście. Przyjechałeś do nich tuż przed Koc, magiczną nocą, kiedy Niebieska, Różowa i Biała gwiazda nieba zachodniego układają się w łuk, a diakorr wcierają, wciągają i jedzą magiczny proszek, który pozwala im połączyć się z ich zwierzętymi przewodnikami, by pomóc im w trudnym, zimowym czasie.

- Co za przypadek.

- A i owszem. Możemy poczekać jeszcze dwa tygodnie na przesilenie zimowe albo przetestować proszek już dzisiaj.

- Nie mam żadnego zwierzęcego przewodnika.

- Ten proszek pomaga też zatrzymać wewnętrz wewnętrz duszy. Odkrywa sekrety, z których istnienia i wagę sam sobie możesz nie zdawać sprawy.

- Tym bardziej nie chcę go brać!

- A co? Boisz się, co odkryjesz?

Silarus uniósł brew wymownie, a Melvourne roześmiał się, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Zgrywam się tylko. Po prostu nahajcujemy się i będziemy się dobrze bawić. A ten proszek nie ma żadnego nasennego działania, przysięgam. Nie porwę cię do domu. Przysięgam.

Krwotok ustał, a Silarus kiwnął nieznacznie głową. Melvourne łupnął w jego plecy i poszedł do *ragili* prosić o pozwolenie na użycie proszku. Dzieciaki śmiały się, przylepiając swoje języki do lodu.

Wieczorem kobieta-żółw, która, jak się okazało, miała na imię Pogoda, wydzieliła im po maleńkiej porcji żółtawego proszku.

- Z czego to właściwie jest? – spytał Silarus, przyglądając się maleńkim ziarenkom.

- Jakieś grzyby, zioła i zwierzęce odchody – odpowiedział Melvourne. Silarus uniósł brwi. – W zamku jadłeś zwierzęce żołądki i ci nie przeszkaǳało. No, zanim uśnięem.

Polał im nalewki, którą przywiózł z Rhagos.

- Nie chcę mieszać – odparł Silarus.

- Jak tam chcesz. Ale nic ci się nie stanie. Gotowi? *Serasi*?

Jednocześnie wciagnęli proszek, po którym Melvourne i Silarus porządnie się rozkichali. Pogoda położyła łokcie na stole i wbiła wzrok w punkt na ścianie, w którym Silarus nie mógł dostrzec nic interesującego.

- Za ile zacznie działać? – zapytał, zaczerpując wody z kubka, by zwilżyć nagle przeraźliwie suche gardło.

- Za jakieś pięć minut.

Pogoda zaczęła mówić. Mówiła długo, robiąc pauzy, marszcząc brwi i gestykulując. Szczęka Melvourne'a opadała coraz niżej i niżej, a jego brwi wędrowały coraz wyżej i wyżej.

- Co ona mówi? – spytał w końcu Silarus.

- Że działa – odpowiedział Melvourne, łapiąc za swój napitek i krzywiąc się. Cała jego piękna twarz krzywiła się jak ten nos, który Silarus mu złamał, jak ten, który Silarus widział w lusterku, kiedy się golił.

Wstał z takim impetem, że jego kompani podskoczyli.

- Muszę się przewietrzyć! – oznajmił i wyszedł na dwór.

Leżała tam śnieg, który błyszczał jak konstelacje i nie trudno było sobie wyobrazić, że stoi się na gwiazdnym pasie wygiętym jak łuk. Silarus zastanawiał się, czy jest mu w nogi zimno czy ciepło i nie zdążył podjąć decyzji, kiedy uświadomił sobie, że gwiazdy z całą pewnością go rażą, tak bardzo, że musiał zasłonić oczy, a kiedy nieśmiało je odsłonił, była już wiosna.

Wiosna znacznie bardziej mu się podobała. Podobały mu się labirynty pośród ściółki, którymi na pewno przemykały mrówki. Podobały mu się wzory wyżłobione w korze sosen, a raczej wzory, które kora sama w sobie wyżłobiła. Tamtedy też na pewno przemykały mrówki, może nawet miały własne twierdze, podziemne miasta i... właściwie nie podziemne, tylko podkorne. Wewnętrzdrzewne. Silarus napił się wody ze strumienia, a ta była tak pyszna, jakby pił najprzedniejsze wino. Oblizał się jak dziecko i rozkoszował smakiem, a ptaki, drzewa i strumień ćwierkały.

- Silarus? – obejrzał się i zobaczył dłoń Melvourne'a na ramieniu. – Wszystko w porządku?

Silarus kochał swojego brata, bo był zajebisty, ale nigdy nie kochał go dlatego, że płynęła w nich ta sama krew. Teraz niemal widział siatkę jego szkarłatnych żył wiążącą się na tym ramieniu z siatką jego szkarłatnych żył, która płatała się z siatkami drzewnych korzeni, małych nóżek robaków przemyskających po ściółce i fundamentami wszystkich domów i twierdz świata. Nie dało się tego wszystkiego nie kochać.

- Tak – odpowiedział.

- To dobrze – ziewnął Melvourne i położył się z powrotem na trawie.

Silarus zrobił to samo i próbował sobie przypomnieć, co jest po wiośnie.

Nie miał ochoty na lato. Natychmiast zachciało mu się pić i znów przyłożył wypełnioną wodą dłoń do ust. Miał tak spierzchnięte wargi, że niczym już nie różniły się od kory dębu. Cała jego twarz była zimna i poznaczona czymś, co pod jego palcami nie mogło uchodzić za nic innego niż krosty. Nie miał krost, odkąd skończył siedemnaście lat. Przejrzał się w rzece, ale była pokryta lodem.

Już nie mógł dłużej wytrzymać.

- Idę się odlać – powiedział głośno i wyraźnie. Spodziewał się, że będzie mamrotał.

- Już pięć razy byłeś – sapnął Melvourne. – Nic z ciebie teraz nie wyleci.

Silarus poszedł i tak, i rzeczywiście, nic z niego nie wyleciało. Kiedy wrócił, Melvourne leżał pod ścianą chaty z futrem naciągniętym na głowę. Wyglądał jak dziecko. Jak bardzo naepane dziecko o ogromnych, szeroko otwartych, czarnych jak niebo oczach. Silarus nie mógł patrzeć na tak straszne rzeczy. Ogólnie, ten haj nie był jakiś niesamowity. Nie tak dawno spróbował w Pełnym Rogu okrągłej kapsułki, która smakowała jak jagody i miała tak zjawiskowe działanie, że Silarus obudził się po paru godzinach w zimnej balii, cały pomarszczony, zmuszony do pogodzenia się z faktem, że wcale nie płynął żadnym nurkującym statkiem wzduż Xiyanaape, próbując znaleźć koniec jej ogona.

Ciekawiło go, czy na tamtej pigułce dałoby się uprawiać seks. Ciekawiło go, czy na tym proszku dałoby się, i z pewnością dałby radę, ale chyba natychmiast straciłby ochotę, gdyby zobaczył choć jedną zmarszczkę albo pieprzyk na swojej albo czyjejś skórze. Odlewanie się w takim stanie było wystarczająco obrzydliwe. Na tyle, że choć myślał, że pęcherz zaraz mu eksploduje, nie chciał już rozpinac spodni i się dotykać, i jeszcze pogodzić się z tym, że nic z niego nie wyleci. Dlaczego myśli o tak ohydnych rzeczach?

Czy to nie jest w ogóle straszliwie hańbiące, że Silarus przyjechał tutaj, do tych diakorr, i bierze ich święty proszek, żeby myśleć nad sikaniem? W ogóle, to tak sztampowa sytuacja – przyjechać w odwiedziny do innej kultury i zajmować się tylko ich używkami. W ogóle, brać używki, żeby zatrzymać w głęb siebie – co za sztampowy pomysł. A on dał się na to złapać. Oczywiście, że dał się na to złapać.

- Idę się odlać – powiedział, wstając z ziemi. Nie pamiętał, kiedy się położył.

Melvourne niemal zaszlochał.

- Nie musisz mi za każdym razem mówić!

Silarus odszedł za chatę, rozpięły spodnie i wreszcie dał radę. Sikał chyba przez pięć minut i dawno nie czuł takiej rozkoszy połączonej z bólem. Z żółtej kałuży na śniegu parowało. Był środek zimy.

- Czemu wypuściłeś mnie bez płaszczu – jęknął, wracając przed chatę.

- Żebyś ty pamiętała, jak nakłada się płaszcz.

Silarus pamiętała. Pogoda wciąż siedziała przy stole, rysując z fajką w zębach. Taką zwykłą, o jakiej palenie nie podejrzewałby diakorr trzymającej się na dystans od destrukcyjnej cywilizacji. Zobaczyła wzrok Silarusa i podarowała mu nową wraz z woreczkiem tytoniu.

- *Hanun* – uśmiechnął się, a Pogoda pokiwała głową, nie dając się oderwać od swej rysowanki.

Slarus nabił fajkę zupełnie zwykłym, megaranckim tytoniem. Wyszedł przed chatę i zaciągnął się. Tak dawno palił. Za tym tesknił zdecydowanie najbardziej. Za gorącą kąpielą codziennie, za trzema cieplymi posiłkami dziennie, za dobrym bimbrem, za porządną brzytwą do golenia. To wszystko takie durnoty. Nawet teraz ma o wiele więcej niż przeciętna chłopka na podgrodziu, a i tak teskni za tymi bzdetami, które miał kiedyś. W sumie rzecz biorąc, był zadowolony. W sumie rzecz biorąc, rozpierała go euforia. Kiedy to zauważał, znacznie się osłabiła. Miał kilka godzin na napawanie się szczęściem, a zmarnował je na jakieś dyrdymały. Już nawet ciężko mu było zmusić się do zachwytu nad wzorami i kolorami. Wciąż tam były, ale w sumie nie były już w ogóle godne uwagi.

- Mel? – zapytał. – Wszystko w porządku?

Melvourne wciąż siedział skulony pod futrem. Przynajmniej jego oczy nie były już tak szeroko otwarte. Jego twarz była normalna, nawet mimo krzywego nosa. Zresztą, to wszystko Silarus pewnie sobie wyobraził.

- Tak – odpowiedział Melvourne. – Jestem wycieńczony. Jak tam twoja podróż w głąb siebie?

- Co, ty miałeś jakąkolwiek podróż?

Melevourne uniósł brew.

- A ty nie?

Silarus podrapał się w głowę, spacerując i myśląc. Wtedy poczuł rzemień na krtani i upadł na plecy, ciągnięty przez śnieg z niedźwiedzią siłą.

- SILAR!

Choć próbował zapierać się nogami i wrzeszczeć, nie mógł przez pętlę zaciskającą się ciaśniej i ciaśniej na jego szyi. Nagle stanął na nogach, pociągnięty w górę jak marionetka, i jego nogi znalazły się niebezpiecznie blisko oderwania od ziemi.

Melvourne biegł za nim z palem drewna w ręce, i Silarus widział tylko, jak ten się zamachnął – że trafił, poznał po tym, że upadł na kolana, mógł ściągnąć sznur i nabrać powietrza w steskione za nim płuca. Klęczał i dyszał, i próbował przestać charczeć, a kiedy mu się udało, usłyszał głuchy dźwięk, jakby ktoś uderzał raz po raz w coś, w co już nie było sensu uderzać.

Odwrócił się i zobaczył Melvourne'a biorącego kolejny zamach.

- MEL! – ryknął i odciągnął go od ciała.

Na śniegu leżała ogromna diakorr. Jej skóra wyglądała jak wilgotna żabia tkanka, a jej ubrania zrobione były ze skrawków skóry i przypalonej rybiej łuski. Silarus słyszał opowieści Melvourne'a o pięknych, jaskrawych tatuażach Orliki, ale teraz nie widział ich przez ogromną krwawą plamę rozprysniętą na boku jej głowy.

Melvourne wypuścił zakrwawioną kłodę i wpił paznokcie w głowę

- O Szary Człowieku – wystękał – O Szary Człowieku...

Diakorr nadeszły od strony wioski. Jedna z nich podbiegła do Orliki. Przykładała palce do jej szyi, słuchała jej serca, próbowała podnieść jej dlonie, głowę, powieki...

- Próbowała zabić mojego brata – lkał Melvourne, raz po hekkysku, raz w *ygli*. Nikt z tłumu nie patrzył na niego. – Musiałem go bronić, musiałem! O, Szary Człowieku...

Twarz diakorr była mokra, kiedy spojrzała na *ragili* i pokręciła głową.

- Won – powiedziała *ragili*.

- *Ragili* – jęknął Melvourne. – Ty rozumiesz. Orlica żyła zemstą, dlatego rzuciłaś jej wyzwanie...

- Won – powtórzyła *ragili*. – Bo odeślemy was do ojca w strzępach.

Silarus błyskawicznie wbiegł do chaty po łuk i kołczan, i wybiegł z niej równie szybko, zderzając się w drzwiach z Melvourne'em. Mel upadł w śnieg tak głupio i nieporadnie jak dziecko na lodowej ślizgawce. Zamrugał szybko i spojrzał, zapłakany, w górę, w twarz brata.

Jego oblicze niczym nie różniło się od oblicza trzynastolatka, który leżał w jednym z ustronnych basenów w ogromnej łaźni w letniej rezydencji Harona Pokoju w Harpionie, odpoczywając po pierwszej zwycięskiej bitwie z niewolnikami. Chyba tylko mityczna krasnoludzka opatrzność czuwała nad Silarusem tej nocy, sprawiając, że kiedy wpadł do łaźni wraz z Ofel i Makotem Manzarekami, przyparł plecy Makota do parawanu skrywającego

akurat ten basen. Makot oderwał się od niego na chwilę, by przylgnąć do swojej świeżo poślubionej, drżącej z tremy żony i rozpiąć własnymi drżącymi z tremy palcami przód jej sukni. Uśmiechali się do siebie nerwowo. Silarus był wtedy już zbyt pijany, by czuć jakiekolwiek nerwy, lecz i tak pociągnął jeszcze jeden łyk. Potem otworzył oczy zamroczone goryczą bimbru w swoim gardle i słodyczą winą na języku Makota, i już miał skosztować ust Ofel, kiedy jego wzrok prześwidrował parawan przez małe otwór wyrzeźbiony na kształt liścia paproci. Odepchnął wtedy od niego i Makota, i Ofel, i odsunął parawan, odsłaniając trzynastolatka, który podniósł się, skrępowany, podczas gdy z jego najlepszego, odświętnego munduru lały się potoki wody, a spomiędzy jego wstydliwie zasłaniających przedramiona palców sączały się wodospady krwi.

Ale teraz, widząc to oblicze, Silarus nie krzyczał, nie kłał, nie lamentował i nie wzywał pomocy. Zatrzymał się tylko na ułamek chwili. Potem narzucił łuk na plecy i puścił się biegem, by odwiązać wypoczętego konia, wskoczyć na niego, ścisnąć jego boki i ruszyć na południe, wzduż koryta Hebe.

\*

Trudno było oprzeć się wrażeniu, że wraz z narodzinami Tyreusa w Modre Oko wstąpiło nowe życie. Podczas zboru haroni zgromadzili się nad jego kołyską i każdy z nich miał coś uprzejmego do powiedzenia. Mnóstwo lyrr i lyrrów, z którymi Cerro odnowiła kontakt, poszukując potencjalnych sojuszników, odwiedziło zamek w odpowiedzi na jej serdeczne zaproszenie a Cerro stale zajęta była zabawianiem ich. Trudno już było, co prawda, mówić o jakiekolwiek konspiracji teraz, kiedy nie mieli Silarusa, a Kai po porażce z Yazorem nie miał jeszcze żadnego nowego planu, ale cieszył się, że po całej tej sprawie z wygnaniem nie opuścili ich siły i nadzieje.

Książka o poczatkach Świętej Unii ukaże się, jak kłamliwa by nie była, w Riggvare, w stolicach wszystkich prowincji. Kai przygotował przedstowie o rozpoczęciu nowego roku z Prawdą i przekonał Maginota do wydruku *Raportu*. Mieli o to największy, jak do tej pory, konflikt – Kai nie mógł w końcu przedstawić żadnych dowodów na prawdziwość opowieści i wciąż nie zamierzał wspominać o Ludziach Nieba, a jednak pisał, że „długie i wnikliwe badania doprowadziły go do konkluzji, że te historie są najprawdopodobniejszym archiwum przebiegu wydarzeń”. Haron Nadziei bardzo chciał wiedzieć, skąd Kai to wszystko wytrzasnął, a Kai o Ludziach Nieba nie zamierzał już nikomu więcej mówić. Nawet Maginotowi. Póki co, oczywiście. Argumenty Kaia za próbą porozumienia z przybyszami

były wciąż zbyt słabe, by mieć pewność, że ci, którzy o tym usłyszą, nie poprą stanowiska Yazora i nie ruszą na Ludzi Nieba – lub kogokolwiek oskarżonego o bycie Człowiekiem Nieba – z motyką i kosą. Ludzie lękają się mitów okazujących się prawdą. Lękają się tego, co nieznane, niewidzialne i potencjalnie silniejsze od nich - a Maginot nie był, niestety, wyjątkiem. Nawet generał Temidan nie był, jak się okazało, wyjątkiem. Maginot zarobił jednak krocje, zakładając spółkę drukarską – *Kodeks* był, co prawda, wydawany za darmo, ale poezje, opowiadania i awanturnicze powieści, które przyszły potem, już nie, i znaczny procent z jego zarobków przeznaczany był na poprawianie warunków bytowych ludu Temarairu, ekspedycje na Wredne Bagna i budowę drugiej rezydencji Maginotów daleko, daleko w Ynvuth. Rodzina i lud Maginota ucierpieliby znacznie, gdyby Kai skłonił innego harona do drukowania ksiąg albo, co najgorsze, zaczął robić to sam, toteż Maginot, koniec końców, zgodził się.

Współpraca z innymi haronami nie wydawała się nawet teraz tak bardzo niedorzecznym przedsięwzięciem. To byli, jakby nie patrzeć, ludzie, a nie rywale i wrogowie czyhający na życie Kaia. W przeciwieństwie do Yazora, nie mieli już nic do ugrania. Trzeba było tylko trochę ich przycisnąć. Kiedy zmusiło się ich do wymyślania wniosków, nie mieli jakichś durnowatych pomysłów – Agver planował założyć drugą filię Uniwersytetu Czwartej Cnoty w Naucenemes, i chciał nawet, by kilka kursów było przeznaczonych dla kobiet. Ograniczać się one miały do teologii, historii i krawiectwa, ale taki początek był lepszy niż żaden. Immala chciał nawiązać kontakt z kilkoma krajami zza Wielkiej Wody, by wymienić się nowinkami technologicznymi na temat rybołówstwa, które i ułatwiłyby życie mieszkańców Ynvuth, i przyniosłyby większe zyski jemu samemu. Kai pisywał z Pinovar – bał się pisać o Ludziach Nieba bezpośrednio, ale domyślał się, że skoro jeszcze nie ukatrupiła swej cichej służącej, byłaby skłonna zostać filarem idei Kaia. Pamiętał słowa matki o intelekcie i potencjale Pinovar, i nie zamierzał tego przeoczyć. Z matką też zresztą pisał – wysłał jej parę narysowanych przez Agdę i zaczarowanych przez Chevitę rysunków, na których bawił się ze śmiejącym się Tyreusem. Matka odesłała mu rysunki Mii, którą parę miesięcy wcześniej urodziła Iver. I ona, i Pinovar spędzały zimę w Pamięci, i Kai obiecał odwiedzić je wraz ze swoją rodziną, kiedy tylko stopnięją ostatnie śniegi. Oakter nie mówił o niczym innym, tylko o swojej pierwszej wnuczce, i Kai zdołał już wyrazić sztuczną aż do bólu nadzieję, że Iver przedżej czy później urodzi też chłopca, żeby Oakter mógł przekazać mu stanowisko. Oakter nie przyznał, że zastanawia się nad wyznaczeniem na swojego następcę Dariona, ale zauważył, że jego starsi synowie w ogóle nie kwapią się do dorosłej odpowiedzialności. Niepokoili go też marne stosunki między Sforą Sfinksą a diakorrem – dla

Kaia były to niezmiernie dobre wieści świadczące o słabnącym autorytacie Temidanów, ale Oakter obawiał się ataku na naauzyckie wioski. Myślał nad stworzeniem jakiegoś rodzaju okazji, aby diakorr czuły się mile widziane w Naauzyce, a ludzie mniej się ich bali. Kaiowi niezmiernie się ten pomysł podobał i koniecznie chciał, by było to coroczne Święto Dwóch Kultur lub coś w tym rodzaju. Dziwił się, że sam na te pomysły wcześniej nie wpadł. Nawet Kastirron nie mówił od rzeczy, kiedy proponował, by stworzony został specjalny oddział rozbijający szajki handlarzy ludźmi. Utrzymywał, że szajki te składają się przede wszystkim z obcokrajowców i że nie jest to aż tak porażający problem jak się wszystkim wydaje, ale i tak nie zamierzał bezczynnie przyglądać się „takiemu bestialstwu”. Kai podchodził do całej inicjatywy z ostrożnością, ale nie był do niej wrogo nastawiony.

Myron w odpowiedzi na rysunki Tyreusa przysłał rysunki smoczego jaja w różnych miejscach i pozycjach. Było jajo na poduszce, jajo w misie pełnej wody, porównanie jaja smoczego z kurzym i strusim. Był też jeden malunek Habren leżącej na kozetce i głaszczonej brzuch, na którym leżało jajo. Jeśli ktoś upierałby się, że to nie jest korespondencja szaleńca, Kai nie miałby już pojęcia, jak tego kogoś przekonać. Przyłapywał się jednak na wstydzie, pamiętając, co rozważał w ciemności sekretnej biblioteki wraz z Cerro i Silarusem – jak mógł myśleć o pozbyciu się tego człowieka, który z taką nadzieję rozpisuje się o planach na przyszłość, o swoich dzieciach, o tym, jak o wiele lepiej czuje się poza Modrym Okiem, które jednak planował odwiedzić po ostatnich śniegach? Kai być może zbyt surowo go oceniał. Jakby nie było - to dzięki Myronowi haroni zaczęli przejawiać tyle inicjatywy. Tak rozmyślał i rozmyślał, aż wreszcie przypominał sobie, jak został wybatożony na oczach całego miasta.

Wściekłość opętywała go też, kiedy myślał o Trianie Agverze. Może i podobały mu się inicjatywy jego ojca, ale nie podobał mu się brak potępienia dla tego, co Trian zrobił ze Skyllem, Madrigale’em, a przede wszystkim z Ceadmille i Silarusem. Cieszył się, że wszyscy wyszli z tego żywii, choć gdyby Trian był nie tylko okrutny, ale też mądry, niewykluczone, że Kai opłakiwałby właśnie kilku przyjaciół. Nie było powodu, by tak katować tego chłopca, który ledwo wyśliznął się śmierci, kiedy Kai i Cerro znaleźli go przy ich treningowej polanie, a który dopiero co zaczął normalnie jeść, normalnie się uczyć i normalnie żyć. Nie było powodu, by tak upokorzyć dwójkę zakochanych w sobie ludzi. Kai nie mógł wyobrazić sobie scenariusza, w którym tak by zareagował, przyłapując kogoś w łóżku z Cerro. Nie znał myślenia o tym, ale nie musiał śleć nad tym długo, by wiedzieć, że na pewno nie zareagowałby w tak popierdolony sposób.

Mimo całego swojego współczucia i obrzydzenia postawą Triana, Kai był też zły na Silarusa. Bo zachował się jak idiota. Cały ten czas zachowywał się jak idiota, a Kai nic mu

nie powiedział. Co niby miał mu powiedzieć? Przecież Silarus i Ceadmille byli w sobie zakochani. Przecież nie mogli ze sobą być i z pewnością uschliby z żalu, gdyby Kai cokolwiek na ten temat wspomniał. Teraz łatwo było myśleć, że nie powinno to mieć nigdy znaczenia. Że w momencie, kiedy Silarus stał się sojusznikiem Kaia, Kai powinien zabronić mu tych spotkań... Doradzić mu, żeby przestał się z nią spotykać. Trzeba było pozbyć się wszystkich potencjalnych kłopotów najszybciej jak to było możliwe.

Kai spodziewał się, że Silarus będzie przynajmniej mógł pomagać mu z pozycji felsida - ale Cerro dostała od Atiana list. Kai naburmuszył się, kiedy się dowiedział, że piszą ze sobą dość regularnie. Atian donosił, że Silarus, owszem, zjawił się w Strażnicy Świata, dowiedział się, że został mianowany admirałem i że powinien wracać do Rhagos. Silarus odjechał, nie wiadomo, dokąd, ale nie wykluczone, że jest w drodze do stolicy albo już tam dotarł. Kai zastanawiał się, czy w takiej sytuacji mógłby wywołać jakąś awanturę pod pretekstem Yazora ochraniającego banitę, ale ani nigdy wcześniej nikt nikogo ze Świętej Unii nie wygnał, ani Kai nie miał choćby śladu dowodu, że Silarus jest w Rhagos. Gdziekolwiek był, Kai za nim tesknił. I miał nadzieję, że nie wypapla wszystkiego.

Póki co, jego życie było spokojne i przyjemne. Czekał na burzę, która rozpęta się po wydaniu książki i rozkoszował się ciszą. Chevita skonfiskowała jego protezę i kazała zaleczyć mu rany na pozostałości nogi. Powiedziała, że doprowadził ją do takiego stanu, że nie może nawet chodzić na tym starym palu, na którym kiedyś kuśtykał, toteż spędzał czas głównie w pokoju karcianym, do którego, z pomocą laski, ścian i balustrad, dawał radę doczłapać, kiedy nikogo nie było akurat na korytarzu. Tam odwiedzali go jego protokolanci i tam wraz z Meglyne rozpoczęli tłumaczenie kolejnej księgi, tym razem o historii Ludzi Nieba, którą Kai opatrzał własnym komentarzem porównującym fakty z mitami. Meglyne, o dziwo, nie była nawet trochę rozwierconiona, kiedy wrócili do regularnych spotkań. Potem z każdym dniem gasła i gasła coraz bardziej.

- Wszystko z tobą w porządku? – zapytał jednego dnia, kiedy skończyli.

- Tak – odpowiedziała, zerkając na niego krótko. – A co?

- Jesteś jakaś przybita.

- Chyba zima tak na mnie działa. Nie wiem.

Niedługo minie rok, odkąd opuściła leśną wieżę.

- Zbliża się Riggvare – powiedział Kai. – Nie mogę doczekać się parady.

- Ja też – odpowiedziała najmniej podekscytowanym tonem na świecie. –

Przygotowujesz coś specjalnego?

- Zostawiam takie rzeczy szambelanowi i Chevicie. Ale samego mnie ciekawi, co w tym roku wymyślą.

- Mhm.

Postanowił nie drążyć. Dalej tłumaczyli, a kiedy wyszła z komnaty, żegnając się chłodno i oficjalnie, do środka od razu wśliznął się Skylle. Nosił ręce w kieszeniach, tak jak zwykle, i świeże pęknięcia na jego zabliźnionej twarzy już się właściwie zagoiły. Krążył po pokoju, jakby szukał czegoś do kopnięcia.

- Jakieś wieści od Silarusa?

Kai starał się nie wzduchać z rozdrażnieniem.

- Jeszcze nie – odpowiedział. – Ippo Darell nie spełnia oczekiwania?

- Nie spełnia – odparł Skylle. – Nie jest Silarusem.

Usiadł przy stole i łupnął w nie czołem.

- Wiem, jak się czujesz – Kai porządkował swoje notatki, by wsunąć je pomiędzy strony *Korzeni Mocarstwa*. – Ale tak musiało się stać.

- Nie musiało. Mógł trzymać chuja na wodzy.

- Mógł. Ale tak nie zrobił, a przeszłości nie da się zmienić.

- Nie chcę zmieniać przeszłości, tylko to, co jest teraz. Silarus nie może jakoś przeprosić czy coś?

- To tak nie działa. W oczach Triana Ceadmille zawsze będzie skalana, a Silarus tym, który ją skałał.

- Przecież Trian myśli, że Ceadmille nic nie zrobiła.

- Poddała się uwodzicielowi.

- Co, kurwa? Otruty poddaje się truciźnie, jak umiera?

- Wiem, że to głupie, ale tak to już jest z rzeczami. Bywają głupie.

- Ale przez te głupie rzeczy Silarus jest wypędzony!

- Silarus został wypędzony za faktyczny romans z żoną harona. Wiesz, że blefował z tym napojem miłosnym, prawda?

- Wiem. Ale jak Ceadmille chciała się z nim jebać, to po co wychodziła za Triana?

- W dużym skrócie, ponieważ tak wypada.

- A co się stanie ze mną, jak dorosnę? Mi też będzie wypadało ożenić się z jakąś szpetną babą?

- Ty będziesz robił, co ci się żywnie podoba. Zaraz po tym, jak skończysz szkołę.

- Szkołę?! Jaką, kurwa, szkołę!?

- Wybitną Akademię Czwartej Cnoty. Pozwolę ci wybrać kierunek.

- Zgrywasz się, prawda? Nie pójdę do żadnej pierdolonej Akademii!

Kai wzruszył ramionami z uśmiechem, a do komnaty weszła guvernantka z Tyreusem na rękach i nie istniało już na świecie nic poza dzieckiem w ramionach Kaia. Zawsze słyszał, że ojcowie zakochują się w swoich dzieciach dopiero, kiedy czegoś ich nauczą – postawić pierwszy krok, powiedzieć pierwsze słowo, upolować pierwszą zwierzynę. Ale to wszystko była nieprawda. Kai kochał Tyreusa na długo, zanim w ogóle zaczął być widoczny w brzuchu Cerro, a czasem miał wrażenie, że całe życie go kochał i tylko czekał, żeby ten się wreszcie pojawił. I oto był - tłusty, rozwrzeszczany i łysy, i każdy, kto na niego spojrzał, zakochiwał się w nim. Poza Cerro.

Myślenie w ten sposób zawsze mroziło go w środku. Niesprawiedliwie było tak o niej myśleć. Wiedział, że kiedy go urodzi, nic się magicznie nie zmieni. Wiedział, że wcale nie ma obowiązku go kochać. Wystarczyło, żeby urodziła, a potem wszystko może działać się zupełnie bez jej udziału. Tak jej obiecał i słowa zamierzał dotrzymać. Ale i tak miał nadzieję, że może, kiedy Tyreus zacznie rosnąć, kiedy Cerro nauczy go stawiać pierwszy krok, kiedy nauczy go pierwszego słowa...

Ale ona w ogóle nie spędzała z nim czasu. Kiedy goście go oglądali, stała w progu, a pokazywała go wszystkim Kai albo jedna z niań. Potem Cerro zabierała towarzystwo na spacer po murach i krypcie. Nigdy nie była tak blisko ludzi jak teraz. Nigdy nie była tak zajęta jak teraz. Teraz to ona wracała wieczorem; czasem rozmawiała ze Skyllem; czasem szła prosto do łóżka; czasem Kai otwierał oczy w środku nocy, zbudzony skrobaniem pióra w jej dłoni. Cerro robiła dużo pauz, kiedy pisała i rozglądała się wokół, szukając słów. Kai pisał niemal ciągiem, kreśląc i podkreślając, bo i tak wiedział, że wszystko to potem będzie musiał poprawiać.

- Do kogo piszesz?

Odwróciła się. Jej pozbawiona brwi twarz i rozpuszczone proste włosy wyglądały magicznie w świetle świecy.

- Do Talii Maginot – odpowiedziała.

- A nie ma jej przypadkiem U Stóp Wulkanu?

- Wyślę ten list, kiedy już będzie w Memnos. Obudziłam cię?

- Nie. Po prostu tak jakoś...

Odłożyła pióro i usiadła na łóżku.

- Myślisz, że jestem potworem? – spytała, wykręcając sobie palce.

- Słucham? Dlaczego miałbym tak myśleć?

Nie odpowiedziała, ale i nie odwracała wzroku.

- Nie myślę, że jesteś potworem – zapewnił. – Nie wiem, co musiałabyś zrobić, bym to pomyślał.

Otworzył ramię, Cerro wtuliła się w jego pierś, a on obsypywał jej twarz pocałunkami, aż jej powstrzymujący szloch grymas przerodził się w niepohamowany śmiech.

\*

W karczmie Silarus sprzedał płaszcz za osiemnaście cersenów, które od razu wydał na owies dla konia i krople na gorączkę dla siebie. Wiedział, że na tej szerokości geograficznej zima objawia się drobnym północnym wiaterkiem i wiedział też, że wokół jest tak gorąco, że chłopi noszą spodnie zawinięte po uda - a jednak telepał się, jakby stał po szyję w śniegu. Kiedy wziął krople, wysypał owies przed koniem i usiadł obok niego, pilnując, by nikt biednej szkapy nie ukradł. Naprzeciwko niego był trawnik, a na nim wyłożyli się ci, którzy byli za biedni, by pić w karczmie. Nawet nie ukrywali tego, że gapią się na niego ciekawsko.

Z Kniei Monsunowej co chwilę dobiegały jakieś przeraźliwe dźwięki - skrzek papug, jaszczurek, ropuch, panter, a może nawet tygrysów. Ale najgorsze były małpy, które kradły koniowi owies z czystej złośliwości. Silarus nie miał siły ich odganiać, toteż ściskał tylko w objęciach juki, łuk i kołczan, a koń podgryzał stworzenia, charkał na nie i tupał groźnie. Silarus po prostu czekał, aż poczuje się lepiej.

Poznał, że jest lepiej, po głodzie. Koń spał ze zwieszoną nisko głową, a Silarus podniósł się, wciąż osłabiony. Chyba przysnął. Nie było już małp, a wszystkie strzały i zawartość juk były na miejscu. Pijaków na trawie też już nie było, ale w karczmie wciąż trwała zabawa. Silarus wyciągnął z juków nóż i wszedł do środka.

Karczmarz opierał znudzoną głowę na rękę. Miał długie włosy splecone pięknymi, drewnianymi koralikami. Silarus położył nóż na blacie.

- Pięćdziesiąt cersenów – wystąkał.

- Pięć – odparł karczmarz.

- Wiem, że wyglądam jak małpie gówno, ale wiem też, ile ten sztylet jest warty. Wiem też, jak wbić ci go w krtań tak głęboko, żebym mógł sam zabrać sobie cały życiowy urobek.

- Hm. To dobrze, że nie masz go w ręku.

Obaj spojrzeli na sztylet na blacie. Silarus porwał go szybko, myśląc, że karczmarz spróbuje zrobić to samo. Ale ten tylko uśmiechnął się drwiąco, nawet nie drgnąwszy, i sięgnął po drewniany kufel.

- Siedem cersenów i kufel piwa na koszt lokalu.

- Nie chcę piwa, ani siedmiu cersenów – jęknął Silarus. – Chcę pięćdziesiąt cersenów.

Widzisz te złobienia? Tę stal? Tę rękojeść? Są w nią wtopione dosłowne szmaragdy.

- Powoli mnie męczysz, przyjacielu. Przyjmij moją ofertę albo ruszaj w drogę.

- Ruszę. Tylko muszę mieć za co żreć.

- Nie wybierasz się do Kniei na polowanie?

- Nie. Zamierzam ominąć ją szerokim łukiem.

Karczmarz zmarszczył brwi, jakby zobaczył trudne hasło w krzyżówce.

- Więc co cię tu sprowadza?

- Przeziębilem się – westchnął Silarus. – Inaczej byłbym już dawno daleko stąd.

- Przyjezdzasz z miejsca, w którym da się przeziobić?

- Wszędzie da się przeziobić, jeśli masz odpowiedniego pecha, przyjacielu. Co powiesz na czterdzieści cersenów?

- Osiem cersenów, piwo, posiłek i trochę prowiantu na drogę.

- A żeby cię... Dziesięć cersenów, nie dawaj mi piwa, a daj jedzenie i kapkę skolryposu.

- Stoi.

- Kiedyś wróć tu po ten nóż, szubrawcu, i nie będę się wtedy targował! Masz moje słowo!

Cisnął ostrze na blat, a karczmarz poszedł do kuchni i wrócił z nogą kurczaka w pikantnym sosie i morzu brokułów. Silarus zjadł wszystko w zatrważającym tempie, mimo że musiał co chwilę wycierać nos, dla którego sos był stanowczo za ostry, a potem wydał cersena z tego, co zarobił, na dokładkę. Popił wszystko wodą z Hebe, zdrzemnął się, wciąż z całym swym dobytkiem w objęciach, a rankiem wsiadł na posmutniałego tym faktem konia, któremu musiał siłą wetrzeć proszek w dziąsła, i ruszył dalej.

Nie wjeżdżał w Knieję i nie mijał żadnej wioski przez następne cztery dni i cztery noce. Nie miał też żadnych specjalnych przygód poza jednym tygrysem, który leżał na piasku i chleptał wodę z rzeki, i nawet nie podniósł głba, kiedy Silarus przegalopował tuż za jego zadem.

Wreszcie dojechał do podgrodzia nad ujściem Hebe, które otaczało rosnące w sile i rozmiarze miasto Harpion. Graniczyło ono bezpośrednio ze Zdradzieckim Morzem, którego jedyny poznany brzeg najeżony był ostrymi jak kły skałami wyrastającymi z wody jak uzębienie otwartej szeroko paszczy podwodnej bestii. Domy biedniejszego mieszkańców stały tu na drewnianych palach jak stróżówki w Strażnicy Świata, wysunięte daleko poza

brzeg, a rybacy pływali wąskimi łódkami, którymi ślizgali się pomiędzy skałami, nadziewając obficie występujące tu ryby, gąbki, najeżki i węgorze na harpuny. Silarus był tu tylko raz i nienawidził tego splamionego niewolniczą krwią miejsca jeszcze bardziej niż Euterpe. Teraz, w pomarańcu zachodzącego słońca, po tygodniach podowej podróży, było piękniejsze niż kiedykolwiek był w stanie sobie w ogóle wyobrazić.

Znalazł duży czerwony dom przy miejskim murze, stanął na końskim grzbiecie, wdrapał się na mur, a z niego od razu na gałąź wiecznie kwitnącej wiśni.

Jej kwiaty zatrzasły się pod jego ciężarem i w sumie doskonale się złożyło, bo siedzący pod nią zatopiony w lekturze człowiek zerwał się natychmiast na równe nogi.

Po chwili przerażenia zbliżył się jednak do gałęzi i zmrużył oczy w niedowierzaniu. Silarus uśmiechnął się przepraszająco.

- Silarus? – Makot wyglądał, jakby zobaczył ducha. Natychmiast rozejrzał się podejrzliwie. – Co ty tu robisz?

- Ukrywam się.

- Na drzewie? W moim ogrodzie?

- To tylko chwilowa kryjówka. Ukrywam się przed moim ojcem.

- Tyle się domyśliłem. Dlaczego tutaj?

- Nigdzie indziej się już nie dało

Oczy Makota otworzyły się szeroko.

- Coś ty narobił?...

Ale usiadł z powrotem pod drzewem, unosząc księgę tak, by zasłaniała jego usta na wypadek, gdyby ktokolwiek zajrzał do ogrodu. Przewrócił nastygmatyzowaną dłonią kilka stron naraz. Silarus spróbował wygiąć się tak, by kwiecie jak najbardziej go zasłaniało, choć była to ledwie marna, ozdobna wiśnia.

- Nikt nie może cię tu zobaczyć – zaszemrał Makot. – Ofel by mnie chyba zabiła, a ojciec... Nawet nie chcę myśleć, co by mi zrobił.

- Chcę stąd zniknąć tak samo mocno jak ty. Potrzebuję pracy.

- A ja niby jak mam ci z tym pomóc?

- Mogę być rybakiem. Twój ojciec chyba nie zna wszystkich swoich pracowników, prawda?

- Rybakiem? Ty? Postradałeś rozum?

- Co, nie nadam się?

- Jesteś admirałem, a nie rybakiem!

Silarus westchnął głęboko.

- Więc wieści dotarły aż tutaj?

- Haron Kastirron dotarł aż tutaj. Wraz z nowym namiestnikiem, niech imię jego będzie po tysiąckroć... Wybacz. Przyzwyczajenie. Ojciec jest tak rozwścieczony, że nie jest w stanie wyjść z domu.

- A więc mnie nawet nie zobaczy. Dasz radę wkręcić mnie do rybaków?

- Nie wiem nawet, czy się nadasz! Nie wiem nawet, gdzie cię ulokować! I w ogóle nie wiem, czemu mam się tobą przejmować!

- Nie dam ci logicznego powodu, ale jak już zacząłeś zadawać sobie te pytania, to nie przestawaj, aż znajdziesz odpowiedzi. Proszę, Makot. Wybacz mi w imieniu swojej rodziny albo chociaż w swoim. Nie chciałem odchodzić ze stanowiska. Ale już dłużej nie mogłem.

- No i jak ci poszło po karierze namiestnika?

- Nie najlepiej, przyznaję...

- Zawsze będzie ci nie najlepiej. Zawsze będziesz szukał czegoś innego, lepszego, i zawsze będzie na twoje miejsce przychodził ktoś gorszy, a płacić za to będą...

- Makot. Jestem zmęczony, głodny i chcę zacząć uczciwie zarabiać na życie. Pożycz mi pieniądze na obiad i nocleg, i załatw chociaż sprawdzian u rybaków.

Makot przełożył kolejne strony książki.

- Dobrze. Ale robię to z zemsty. Żebym ojcu na łóżu śmierci mógł powiedzieć, że morderca mojego brata, Łowczy Megarantu, łowi kolczatki na naszej płyciźnie.

- Twój ojciec nazywa mnie mordercą Ektora?

- Mówi, że „zabiłeś w nim nasiona dobra, zanim te miały szansę wykielekować”.

Silarus zaśmiała się gorzko. Ektor miał trzydzieści dwa lata, kiedy przejmował posadę namiestnika po Silarusie, a z rodziną nie rozmawiał od lat jedenastu. Jeśli były w nim jakiekolwiek nasiona, miały dość sporo czasu na wypuszczenie chociaż symbolicznego pędu.

Makot zostawił dziesięć cersenów w trawie i półgębkiem polecił tawernę Ognisty Skorpion. Silarus czekał, aż odejdzie, by rozejrzeć się, zebrać pieniądze i zeskoczyć z muru. Uliczki Harpionu były tak wąskie, że koń ocierał się bokami o ściany budynków. Z radością zanurzył pysk w pełnym wody korycie przy karczmie, a Silarus od razu zrozumiał, skąd pochodziła nazwa – z podziurawionej skrzyni na środku ciemnego wnętrza gromada bywalców wyciągała mniejsze i większe skorpiony, podpalają ich ogony knotem świecy i wrzucała szybko na wyżłobione w podłodze tory wyścigowe. Odskakiwali ze śmiechem, kiedy oszalałe zwierzę zaczynało biegać wokół bez ładu i składu albo strzykać dookoła śmiercionośnym jadem. Silarus zjadł poleconą przez kucharza rybę, starając się nie zwracać uwagi na zgiełk, i wynajął pokój, o którego wymianę natychmiast poprosił, kiedy zobaczył w

kącie pajaka większego niż jego dłoń. Po wnikliwej egzaminacji pokoju drugiego stwierdził, że się nada, i położył się niepewnie na łóżku, które było zresztą jedynym w nim meblem.

Nawet nie chciał wiedzieć, skąd Makot wiedział o tym miejscu. Zapewne miało to coś wspólnego z uciekającymi niewolnikami i innymi wielkodusznymi czynami rodu Manzareków. Silarus zawiercił się, próbując pozwolić swoim zmordowanymmięśniom na rozluźnienie. Nie zdawał sobie sprawy, jak jego spieczona słońcem, wygotowana gorączką skóra jest nieprzyjemna i niewygodna – nawet jego powieki wydawały się parzyć, kiedy trzymał je zamknięte. Dziwnie było leżeć pod dachem po tylu nocach spędzionych pod niebem. Dziwnie było leżeć pod dachem i nie móc się wykąpać z braku balii i nadmiaru wody wokół. Dziwnie było drapać się w policzek i czuć chropowaty zarost pod opuszkami. Dziwnie było słyszeć zza ścian język, który był niby tym samym, ale akcentem i tempem różnił się znacznie od tego, do czego Silarus przywykł przez ostatni rok.

Był namiestnikiem wojskowym Megarantu przez cztery lata i nigdy nie czuł się tu jak w domu.

W końcu Makot przybiegł z wieściami o sprawdzianie, na który Silarus miał stawić się o świcie. Powiedział, że sam po niego przyjdzie i zaprowadzi go na miejsce. Odszedł jak najszybciej, a Silarus zasnął w ubraniu, z bolesnie zimną kołdrą zarzuconą na głowę, ponieważ perspektywa robaka wpełzającego do jego ucha była bardziej porażająca niż zagotowanie się na śmierć. Makot zerwał z niego okrycie, kiedy niebo było jeszcze biało-różowe, i ruszyli razem nad brzeg.

- To twój manikon – Makot wskazał na wąską łódź ozdobioną malunkiem serpentyny mającej przypominać falę. Silarus wiedział, że jest to symbol kompanii rybnej Manzareków, jednak o znaczeniu innych malunków nie miał pojęcia. – Widzisz tę wysepkę? Tę z altanką? Spotkasz się na niej z Filonem. To on przeprowadzi twój egzamin.

Silarus wgramolił się już do łodzi i chwycił za wiosło. Makot rozglądał się w panice na wszystkie strony, jakby pomagał w napadzie na królewski skarbiec.

- A tutaj nie mógł się ze mną spotkać? – zagadnął Silarus.

- Nie ja wymyślams zasady. Chce pewnie zobaczyć, czy jesteś w stanie przepłynąć prosty odcinek bez zachłyśnięcia się. Pamiętaj, masz na imię Rue i jesteś bękartem sołtysa wsi Wichura w Naauzyce.

- Pamiętam.

- No, to leć. Będę cię ratował, jak odwróciisz manikon do góry brzuchem.

Silarus odepchnął się od pomostu wiosłem i natychmiast wstąpiła w niego dzika, dziecięca radość. Kręcił ramionami z tak promieniącą energią, jakby przez ostatnie tygodnie

nie jadł nic, poza najprzedniejszym mięsem i najsoczyszszymi warzywami. Obejrzał się, zachwycony, na Makota, który pomachał mu, zanim zniknął z Silarusowego pola widzenia – wyjątkowo szeroka skała zasłaniała stąd całe miasto tak, że z wysepki nie było go w ogóle widać.

Wyspa miała kształt liścia lilii wodnej i wystarczyło kilkanaście ruchów wiosłem, by ją opłynąć. Na brzegu nie było nikogo.

- Filon! – krzyknął Silarus. – Już jestem!

Jeszcze go nie było. Silarus nachuchał w zmarznięte porannym chłodem dłonie. Będzie wybitnym rybakiem - przepłynął ten dystans bez żadnego potknięcia, i to całkiem szybko! I nawet nie miał zadyszki!

Czy ten Modry Rycerz, ten skurwysyn, który zmiażdżył Atiana na turnieju, nie nazwał Silarusa Rybakiem Megarantu? Ha! Miał rację. I chuj mu na miecz!

Wysepka pieała się w górę pod tak ostrym kątem, że trudno było mówić o jakimkolwiek wybrzeżu. Był jednak wbity w jej „ścianę” pal, do którego Silarus przywiązał sznur na czubie łodzi i po którym wspiął się na górę, wpijając czubki butów w ślinikę, zroszoną poranną wilgocią trawę, żeby zrobić „schody”. Znalazł się w końcu na górze, w altance, i choć wciąż nie było stąd widać ani skrawka miasta, widok na morze był cudowny; horyzont, na którym rodziło się słońce; skały ostre jak kły i ogromne jak wzgórza; lekko marszcząca się modra woda, z której od czasu do czasu wyskakiwały skrzydlate ryby. Za parę miesięcy praktyki Silarus będzie nadziewał je na harpun w powietrzu.

Postanowił poczekać na Filona w altance, by zrobić piorunujące pierwsze wrażenie, ale nie było tam ani ławki, ani fotela, ani huśtawki. Kamienny daszek na czterech kamiennych kolumnach był porośnięty mchem, hubą i bluszczem. Na środku stał równie zaniedbany cokół w kształcie... Silarus nie był pewien, co to było. Kiedy był z Kaiem na festiwalu w Karmevare, w to nieszczęsne Mięsne Karmevare, występująca czarodziejka zatrzymała w powietrzu krople wody, i niektóre wyglądały podobnie – jak dwie okrągłe cząstki połączone wodnym mostem, tyle że tu tylko jedna kropla była wyraźna, a druga wtapiała się w podium, z którego wyrastał ten dziwaczny kształt. Może jest to jakiś starodawny zegar? Może pomnik klepsydry? Może jakaś rzeźba o falicznym podtekście? Wyglądało to również jak więzadełko pod podniebieniem, tyle że odwrócone do góry nogami. Albo po prostu jak język. Kiedy Silarus o tym pomyślał, nie mógł już zobaczyć niczego innego – i poczuł gęsią skórkę na ramionach.

Zadygotał. Wiedział, że to głupie, że tylko to sobie wyobraża, ale czy ta wysepka... czy ta wysepka nie znajduje się przypadkiem w samym centrum okręgu tych skał? Czy gdyby

się teraz rozejrzał, nie zobaczyłby kilku rzędów ostrych jak brzytwa kamieni, zupełnie jakby były to pełne długich zębów, otwarte szeroko usta ogromnej ryby?...

Silarus poczuł gęsią skórkę na łydках.

Wskoczył prędko z powrotem do łodzi i odbił się od brzegu. Pierdoli to. Może to głupie, ale nie zamierza sterczeć na tej upiornej wysepce sam. Poczeka sobie na Filona na brzegu, wraz z Makotem. Wypłynął wreszcie zza tej szerokiej skały i zobaczył miasto, a w nim Makota.

Ale Makot nie stał na brzegu sam.

Stali tam jego rodzice. Ofel. Haron Kastirron. Ektor. Jakaś setka żołnierzy. Połowa miała błękitne mundury z godłem pelikana. Połowa czarne jak pozostawiony w Modrym Oku mundur Silarusa. Wszyscy stali i przyglądali się mu w milczeniu.

Silarus odłożył wiosła.

Cóż mu pozostało? Mógł zawsze płynąć przed siebie, spróbować przebyć nigdy jeszcze nie przebyte Zdradzieckie Morze, które było częścią niekończącego się Oceanu Szklanego. Mógł przynajmniej spróbować to zrobić. Manikonem. Bez jedzenia, wody i broni. Mógł też płynąć wzduż linii brzegowej, modląc się, że żołnierze po prostu nie wejdą do wody i nie wyciągną go z niej siłą. Mógł siedzieć tu w nieskończoność i liczyć na to samo.

- Nie wygłupiaj się, admirale! – zadudnił z brzegu pełen satysfakcji głos Kastirrona. – Nie będziemy czekać na ciebie w nieskończoność!

Silarus ukrył twarz w dłoniach.

Nie było miejsca na zewnątrz i wewnątrz jego ciała, które nie bolało. Które nie paliło... wstydem. Wewnątrz jego ust panowała bolesna, wstydliva pustynia. Nie wiedział, jak mógł dać się złapać jak dziecko. I to po całej tej katorżniczej podróży. Nie wiedział, czego się spodziewał po Makocie po zignorowaniu błagań całej jego rodziny i zostawieniu niewolników Megarantu pod jarzmem Ektora Manzareka, wiedząc, że ten pewnego dnia może być zmuszony ściąć własnego ojca. Nawet nie był na Makota zły. Nawet nie był już zły na Melvourne'a. Nawet nie był już zły na siebie za bycie na niego złym – Melvourne nie musiał zabijać Orliki, pewnie, nie musiał w ogóle przyjeżdżać do diakorr. Ale przecież ratował własnego brata. Silarus nie był też już zły na Uliasa – każdy musi przecież robić to, co dla niego najkorzystniejsze. Nawet Silarus. Bardzo się starał, w każdym razie, robić to, co dla niego najkorzystniejsze. Szkoda, że jest takim pierdolonym krótkowzrocznym idiotą, przez którego... przez którego Ceadmille...

...Ceadmille...

Ceadmille! Jej imię przez wszystkie te tygodnie przedzierało się przez zgiełk w jego głowie i za każdym razem Silarus wpychał je z powrotem na samo jej dno, odmawiając rozwinięcia wszystkich skojarzeń, jakie w nim budziło. Tak bardzo starał się o niej nie myśleć przez cały ten okropny, okropny czas, i to nie myśleć o niej bez wspomagania się gorzałką... A teraz nie miało to już żadnego sensu. Silarus chciał poczekać, aż rozpocznie nowe życie, aż pozna kogoś nowego, aż cała ta sytuacja będzie tylko słodko-gorzkim wspomnieniem... Ale przecież nigdy tak nie będzie. Nigdy nie miało prawa tak być, bo Ceadmille już od dawna nie była „kimś nowym”. Silarus ją kochał. Ledwo wyrwał się z Megarantu – dla niej – i już został przykuty do Modrego Oka – dla niej. Dla romansu z nią. Czy tak właśnie było? Nie pamiętał. Pamiętał tylko Ceadmille.

Czy rzeczywiście próbował robić to, co było dla niego najkorzystniejsze? Czy jego instynkt przetrwania jest zepsuty? Przecież desperacko próbował być szczęśliwy. I często był. Być może zbyt często, skoro teraz boli tak, że ledwo jest w stanie...

...Ceadmille...

Och, Ceadmille... Zniszczył jej życie. Kiedy Trian popychał ich, nagich, przez ulice miasta, Silarus utracił swoją pozycję – a ta natychmiast została mu zwrócona. Ale życie Ceadmille legło w gruzach. Już nigdy nie wyrwie się ze szponów Triana. Już nigdy nie opuści Świętej Unii. Już nigdy nie zazna... rozrywki. Silarus już nigdy nie będzie jej kochankiem. Ceadmille wkrótce umrze. Jako nieszczęśliwa, ropiejąca, poskręcana, samotna niewolnica. A Silarus już zawsze będzie ją kochał. Nic nigdy nie będzie mógł z tym zrobić. Móglby zabić Triana. Gdyby był szalony. Choć to, co Trian zrobił im tamtego dnia... ułatwiało bycie szalonym. Ale Silarus nie może się już nigdy pokazać w Naucenemes. Ani po to, żeby zabić Triana, ani po to, żeby porwać Ceadmille, ani po to, żeby zrobić zakupy na targu. Żadna strata. I tak nienawidził Naucenemes. A jednak chciałby chociaż... Chciałby cofnąć czas i po prostu porwać Ceadmille. Albo cofnąć czas, by uciec za Wielką Wodę, zostać kimś ważnym i wtedy przypływać z powrotem po Ceadmille. Może jeszcze za jego życia magom uda się manipulować osią czasu. Może jeszcze za jej życia wynajdą dla niej lekarstwo...

Jego manikon dryfował bez celu. Podłużne, wąsate ryby podpływają do niego, by skubać we wzorzyste drewno.

Nawet w Strażnicy Świata nie chcieli go przyjąć. Kai dał mu przepustkę do dziecięcego marzenia, a... a Silarus nie był jak Kai. Nie został zmuszony do małżeństwa z kobietą, w której, zbiegiem okoliczności tak rzadkim, że niemal magicznym, zakochał się. Z którą miał dziecko, które wychowa na własnych zasadach, tak jak na własnych doszędź do tego, że nazywają go Najszarszym. Do tego, że wygonił króla, który miał siłę, by go

publicznie wybatożyć, ze swojego domu. Do tego, że kocha go plebs, a szlachta się boi. Nawet ojciec się go boi. Nieważne, jak ostentacyjnie go obśmiał - generał Yazor Temidan boi się Kaia Kohara. A Kai Kohar nie poniósł z tego tytułu żadnych konsekwencji. Konsekwencje, jak zwykle, spadły na Silarusa.

Im dłużej myślał o tym, kto mógł wydać jego i Ceadmille Trianowi, tym bardziej przekonywał samego siebie, że nie mógł to być nikt inny, tylko jego ojciec. Chciał rozbić ten maleńki sojusz, który Silarus zawiązał z Kаем i Cerro. Chciał Silarusa z powrotem, choćby wszystkim na złość. Dlatego go awansował. Dlatego przysłał Melvourne'a. Dlatego jego wojska stały teraz na brzegu. Silarus nienawidził go. Nienawidził go całym sercem. Co on mu kiedykolwiek zrobił?! Co sprawia, że jest w jego oczach tak żałosną istotą?! Owszem, nie radził sobie z tłumieniem buntów, kiedy miał trzynaście lat, tak jak nie radził sobie z nimi, kiedy miał lat dwadzieścia. Ale jest tyle rzeczy, w których jest dobry! Jest dobrym wojownikiem, bardzo dobrym nawet, być może lepszym niż Melvourne! Zawsze robił to, co mu się kazało, zawsze! Czy to jego wina, że wszystkie jego narzeczone zrywały zaręczyny? Czy to wina Silarusa, że sam oszczędzał im nieszcześć, zrywając zaręczyny? Nigdy nie chciał nikogo skrzywdzić, nigdy, a przecież robił to – bo ojciec mu kazał! Zbuntował się, tak naprawdę się zbuntował, dopiero wtedy, kiedy znalazł sekretną bibliotekę Ludzi Nieba. Dopiero wtedy wystraszył się, co ojciec może zrobić, gdyby się o niej dowiedział... Ale to było ledwie rok temu. A ojciec gardził nim od zawsze. Nawet, kiedy chwalił Silarusa. Kiedy go nagradzał. Zawsze robił to z niechęcią i tylko dlatego, że mama patrzyła, a kiedy przestała patrzeć... I to nawet nie Silarus wbił sztylet w jej pierś! To nie Silarus znalazł zaszyfrowany list! Był niezainteresowany całą sprawą, był przerażony całą sprawą nawet bardziej niż Melvourne! Lecz Melvourne... Och, Melvourne... Melvourne, zostawiony w lesie na pastwę diakorów i samego siebie... O nim Silarus nie chciał myśleć pod żadnym pozorem.

Pewnie dlatego ojciec nim gardził. Silarus był tchórzem. Był słabeuszem, który nie mógł nigdy stawić czoła nawet własnej głowie. Przez to nigdy nie miał pojęcia, co robił, i wszystko, co robił, kończyło się... tak jak teraz. To Silarus był Parszywcem tego pokolenia Temidanów. Nie było już po co się oszukiwać, że klątwa nie istnieje. Może da się ją pokonać - lecz on nie zdołał. Generał powinien już dawno się poddać i pozwolić Silarusowi zapić się na śmierć. Powinien pozwolić mu skończyć w brudzie i nędzy jak stryjowi Igłotowi. Więc dlaczego ojciec wciąż go prześladuje? Aż tak bardzo zależy mu na tym, by ratować twarz rodziny? Już lepiej by było, gdyby wyklął Silarusa, gdyby zapomniał, że kiedykolwiek miał dwóch synów. Sam Silarus mógłby przecież skoczyć teraz w odmęty z nadzieją, że nikt na brzegu nie umie pływać. Że nie zdąży do niego dotrzeć, kiedy on trafi na trującą albo

krwiożerczą rybę... Ale Silarus był tchórzem. Był słaby. I chciał żyć. I desperacko chciał być szczęśliwy. Jak głupie, naiwne dziecko, które dało się złapać w tak głupią, naiwną pułapkę...

Wplótł palce we włosy. Zdziwił się, czując w nich warkoczyk. Ledwo się, co prawda, trzymał jego głowy. Ledwo w ogóle przypominał kłos. Ale jednak tam był. Silarusowi nigdy nie przyszło do głowy go rozplatać. Zapomniał, że tam był, chociaż go widział, widział w odbiciu w wodzie, w lusterku, które przywiózły mu Melvourne... I Silarus nigdy go nie rozwiązał.

Chwycił za wiosła i dobił powoli do brzegu. Kiedy na nim stanął, ktoś natychmiast zarzucił mu na ramiona koc, którym od razu się opatulił. Nie było mu zimno.

- Cóż ten rudy świętojebca ci zrobił – westchnął Kastirron. Położył swoją żylastą dłoń na ramieniu Silarusa i przystawił swoją podobną do trupiej czaszki twarz odrobinę zbyt blisko. – Wszystko w imię Sprawiedliwości, co?

Zamiast wysłać Silarusa od razu do Rhagos, zamiast go lżyć, zamiast zamknąć go w lochu, zawieźli go do tej przeklętej harpiońskiej rezydencji Harona Pokoju. Silarus bywał częściej w euterpskiej siedzibie Kastirrona, do której dwa lata temu dorosła Ceadmille przyjechała otoczona woalem plotek... W każdym razie, Silarus wiedział, czego może się obawiać ze strony Harona Pokoju bez względu na rezydencję, i jedyne, czego chciał, to żeby pozwolili mu iść spać. Mogli go nawet podtrwać tak, by zapadł w kamienny sen i obudził się już w Pałacu Popiołów. Wszystko było lepsze niż bycie gościem harona Kastirrona.

Ale Silarus został przyjęty jak gość. I on, i Kastirron, i Ektor Manzarek usiedli przy długim stole w kształcie podkowy, i byli przy nim jedynymi mężczyznami. Silarus pamiętał podobną ucztę wydaną wtedy, kiedy Ceadmille już zdomowiała się w Euterpe, już nauczyła się trzymać język za zębami, ale wciąż była przerażona... Teraz to Silarus dłużał w swoim gulaszu, ledwo będąc w stanie cokolwiek przełknąć. Chciał iść spać. Chciał paść nieprzytomny. Odpowiadał jednym słowem za każdym razem, kiedy siedząca obok niego Jadean, najmłodsza z siedmiu córek Kastirrona, o cokolwiek go zagadywała.

Niektóre z kobiet przy stole Silarus pamiętał z przyjęć w zamku harona. Również z tych, z których potem uciekał wraz z Ceadmille... Pamiętał córki Kastirrona, pamiętała damy dworu, pamiętała kilka kochanek i kilka prostytutek. Niektórych nie chciał pamiętać. Niektórych nie mógł. Kastirron skończył jeść, odłożył z brzękiem noż oraz widelec i rozparł się na krześle. Silarus mielił jedzenie zębami i cały czas popijał je sokiem w kolorze wina, nie podnosząc wzroku. Nie chciał widzieć rozbierających się kobiet. Nie chciał widzieć całujących się kobiet. Nie chciał widzieć dotykających się kobiet. Najbardziej nie chciał

widzieć tych, po których łatwo było poznać, że się do tego zmuszają. Ale nie mógł ich nie słyszeć – ich i nerwowego śmiechu Ektora, kiedy kobiety zaczęły dotykać i jego.

Podczas tamtej uczty, wydanej „ku pochwale ulotnego zdrowia”, Ceadmille wybiegła z zamku, płacząc. Silarus pamiętała owłosioną rękę lyrra Pankula i nienaturalnie długie języki Ygra Oaktera, którymi traktowali Ceadmille jak... jakby nie chronił jej szlachecki makijaż. Bo i nie chronił. Już nie. Wizyta Ceadmille w Megarancie była potwierdzeniem plotek.

Kiedy Silarus ją znalazła, leżała, zwinięta, na trawie. Wystraszyła się go, kiedy wytoczył się z ciemności. „Och, odejdź, nie teraz!”, wychlipała. „Mogę uciąć im ręce.”, wybelkotał Silarus. „Mogę uciąć im języki. Cokolwiek zechcesz.”. Wystraszyła się go jeszcze bardziej. „A niech się mną bawią.”, powiedziała. „Niedługo umrę. Wszyscy o tym wiedzą. Wszyscy wiedzą, jak umarła moja matka. Wszyscy wiedzą, że umrę tak samo. Jestem ochłapem gnijącego mięsa. Niedługo zacznę tracić kontrolę nad własnym ciałem. Potem nad własnym umysłem. Potem zamknę się w domu, ropiejąca i poskręcana. Wszyscy wiedzą. Nikt nie weźmie mnie za żonę. Nikt nie spłodzi ze mną dziecka. I ja nie chcę go mieć. Ta przeklęta linia Davadenów umrze razem ze mną. Jedyne, co mi zostało, to sztylet na nadgarstkach albo... rozrywka.”. Mniej więcej tak wtedy powiedziała. Silarus średnio pamiętała. Był pijany. Bardzo pijany, kiedy przysięgał, że może znaleźć rozrywkę u niego. Kiedy przysięgał, że nikomu nigdy nie wygada, również. Kiedy przysięgał, że po jej wyjeździe z Megarantu i tak już nigdy się nie zobaczą, tak samo.

Była tak silna... O wiele silniejsza od niego. Nawet nie drgała jej powieka, kiedy widziała swych kuźnów przyjezdżających na wczasy, by kupić dzieci i zamknąć się z nimi w jednej z wielu sypialni rezydencji harona, zza drzwi których słyszać było krzyki. Kiedy widziała kobiety i mężczyzn sprowadzanych z całej Świętej Unii, sprzedawanych do komnat tortur w domach lyrrów. Kiedy widziała najświętszych i najporządzniejszych ludzi czyniących najgrzeszniejsze i najohydniejsze rzeczy, nie dbając o to, czy ktokolwiek ich widzi. W końcu nic nie opuszczało murów budynku – a jeśli opuszczało, po dotarciu do celu stawało się tylko plotką. Legendą. W Zlewisku wszyscy zachowywali się inaczej. W Zlewisku wszystko było inaczej. „Zlewisko potrzebuje Świętej Unii tak jak ty potrzebujesz wchodka, pułkowniku.”, mówił generał.

A więc Silarus w tę potrzebę nie ingerował. Tak jak tylu przed nim i po nim. Ceadmille była jedyną osobą, która go rozumiała. Która go nie strofowała. Której mógł szepctać w pijackim amoku o tym wszystkim, co codziennie widział i słyszał, a o czym nigdy nie będzie mógł powiedzieć głośno...

Silarus drgnął jak poparzony, kiedy Jadean dotknęła jego dłoni.

- Chodźmy stąd – powiedziała z powagą. Miała ogromne, czarne oczy świniki morskiej.

Wstała, wciąż trzymając go za rękę, i pociągnęła do wąskich, kamiennych schodów, które pieły się w górę ponurą spiralą. Otworzyła drzwi na ich szczyt, wprowadziła go do środka, posadziła na łóżku i pocałowała. Ciałem Silarusa zawładnął całkowity paraliż. Chciał stracić przytomność.

Ale nie stracił, a Jadean nie dała po sobie poznać, że przeszkadza jej jego tułaczy smród. Rozpięła jego koszulę i spodnie, i klęknęła przed nim, a ciało Silarusa zachowywało się dokładnie na odwrót niż Silarus tego sobie życzył.

Gdyby istniał jakiś guzik, jakiś nerw, który mógłby przycisnąć, żeby stracić przytomność albo nawet po prostu, na zawsze...

Przez nie zamknięte drzwi weszła całkowicie naga, znacznie starsza od niego kobieta, której Silarus nie znał lub nie pamiętał. Przyrowadziła ze sobą całkowicie nagiego młodego mężczyznę. Ani on, ani Jadean nie zrobili nic, by się ukryć, a kobieta pchnęła mężczyznę w ich kierunku. Ten, całkowicie zamroczyony, potknął się o nogę Jadean i runął jak długi na podłogę, wybuchając nienaturalnie głośnym śmiechem.

- Tak jak lubisz, admirale Temidan – powiedziała kobieta, po czym wyłożyła się na poduszkach z błogim westchnięciem. Wyrzuciła stopy na ramiona Silarusa i przygwoździła jego sztywne jak deska plecy do prześcieradła pomiędzy swoimi nogami. – Daj mi znać, jeśli chcesz dokładkę.

Kiedy mężczyźnie udało się wstać i usiąść na Silarusie okrakiem, powiedział mu, rozchichotany, że przepięknie pachnie.

W drodze do Rhagos nie pozwalali mu spać w namiocie, jeśli nie był otoczony wartownikami. Nie pozwalali mu oddalać się na wierzchowcu. Nie pozwalali mu nawet srać w samotności. Ale pozwalali pić. Jego piersówka nigdy nie była pusta, a beczki wszelkiej maści megaranckich alkoholi, które wypełniały dwa potężne powozy, nigdy się nie kończyły.

Kiedy przejechał przez cztery bramy czterech Pałaców Popiołów i po jego czterogłowego konia zgłosiło się czterech stajennych, wszystko zawirowało jeszcze szybciej niż do tej pory, i znalazł się z ośmioma rękami na ziemi, wypluwając rzygi i błoto.

\*

W momencie, w którym Chevita powiedziała Kaiowi, że może nakładać protezę i nosić ją przez krótkie odcinki czasu, powiedziała też, że „mogą starać się o następne

dziecko". Choć o drugim dziecku nie mogło być mowy, Kai z euforią powrócił do kochania się z Cerro - tym bardziej, że i ona wydawała się ponownie robić to z radością. Choć byli bardziej stonowani niż kiedyś, Kaiowi stawał na samą myśl o byciu z nią sam na sam w jakimkolwiek pomieszczeniu. Uwielbiał jej skórę, i jej język, i jej palce, i każdy miesiąc w jej ciele, i był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, kiedy ona wplatała palce w jego włosy, ściskała jego biodra i uśmiechała się z satysfakcją, słyszcząc wszystkie dźwięki, których nie dawał rady zdławić.

Następnego ranka obudził się wyjątkowo później niż ona. Była już całkiem ubrana i siedziała w na brzegu łóżka z butami opartymi o fotel, znów skrobiąc jakiś list. Kai objął jej talię, całując materiał jej sukni, pod którym kryło się jej biodro, a ona zaśmiała się krótko. Nie istniał bardziej kojący dźwięk niż jej śmiech, który znaczył, że już jest po wszystkim, już mogą być szczęśliwi, Cerro już go nie nienawidzi...

- Wyjeżdżam – powiedziała. – Jeszcze przed Riggvare.

Kai usiadł. Przetańczył powieki, upewniając się, że już nie śpi.

- Dokąd? – wychrypiał.

- Do Temarairu. Talia Maginot zaprosiła mnie na ekspedycję na Wredne Bagna.

- Jedziesz na ekspedycję na Wredne Bagna z Talią Maginot?

- Nie zabiorą nas aż na Bagna, ale w głęb pustyni. Porozmawiam z ludźmi. Posłucham opowieści o Ludziach Nieba. Może jakichś spotkam.

Kai wciąż miał nadzieję, że jednak się jeszcze nie obudził.

- I... I kiedy wrócisz?

- Nie wiem – odpowiedziała, nie patrząc na niego. – Zależy, czy mi się tam spodoba.

- A nasze treningi? Już możemy do nich wrócić.

Przez chwilę nic nie mówiła. Wciąż nie zaszczycała go spojrzeniem.

- I tak na nic mi się przecież nigdy nie przydadzą.

## ROZDZIAŁ XIX

Cerro spędziła Riggvare w drodze do Pieczary, jak pieszczotliwie nazywali swój zamek Maginotowie. Był on jednopiętrowym, płaskim plackiem w kolorze piasku, za to otoczonym ogrodami, które wdzielały się do środka przez wiecznie otwarte drzwi do licznych pokojów dziennych. Wszystkie komnaty bez wyjątku, nawet sypialnia Cerro, były zagracone dziecięcymi zabawkami, i cały dom huczał od kłotni i zabaw czwórki harońskich dzieci. Były jednocześnie bardzo pojedne i uprzejme, i nawet ich najmłodsza córka, Vectr, biegała po domu z drewnianym palem, którym okładała brata jak mieczem, choć i ona, i wszyscy domownicy upierali się, że to „różdżka”.

O Pieczarze było bardzo łatwo myśleć jak o domu. Z wszystkich pokojów dało się wszędzie dojść, jej okna były na tym samym poziomie, co okna memnoskiego pospolstwa, i Cerro nie znalazła tam ani jednego ukrytego przejścia. Nie miała jednak szansy szukać dłucho, bo wkrótce spakowali się i wyjechali karawaną na południe.

Kiedy wyszła tego dnia ze swojej sypialni, niemal wpadła na rycerza w misternie rzeźbionej zbroi, który ukłonił się przed nią głęboko. Był jakieś dziesięć lat starszy od niej, miał długie, rude włosy i szczupłą, przystojną twarz naznaczoną wiecznym znudzeniem. Jego prawe oko przecięte było niezwykle charakternym zadrapaniem, które bardziej go upiększało niż oszpecało.

- Wasza Miłość – przywitał się głosem wyrażającym podobną apatię, co łagodne łuki jego brwi. – Będę ochraniał cię podczas podróży.

Zamrugała, zdziwiona.

- Tis Gavere? – zapytała.

- Owszem – odpowiedział Modry Rycerz z Pavilonu.

- To on tisa tu przysłał, tak?

- Owszem.

- I ja nie mogę tisa odesłać?

- Możesz, Wasza Miłość. Ale ja muszę słuchać rozkazów Harona Sprawiedliwości.

Cerro westchnęła i domknęła za sobą drzwi.

- Dobrze więc. Chodź, tisie Gavere.

Jechała powozem wraz z Talią i Larrusem, jak miała go nazywać teraz, kiedy byli kimś więcej niż znajomkami. Talia była właściwie wspaniałym materiałem na przyjaciółkę Cerro – była tak szczerą i prostolinijną, że aż onieśmielająca, a chociaż była córką Harona Mądrości, ani o nim, ani o swoim bracie nie wypowiadała się zbyt ciepło. Larrus był

gubołowatym mrukiem jakby cały czas pogrążonym w myślach na temat umierających szczeniąt i katowanych dzieci. Mógł też myśleć o premierze nowej księgi, którą w Riggvare wydał Kai, oczywiście promując ją jako prawdę objawioną. Cerro zdążyła już całość przeczytać i sama nie wiedziała, co myśleć. Słyszała od Kaia strzępy tych historii wcześniej i brzmiały jak wspaniałe legendy, lecz nie wiedziała, co miała z tymi informacjami zrobić. Tak jak i nie wiedziała, co ma zrobić z sekretną biblioteką Ludzi Nieba w Modrym Oku. Może i wspaniale było czytać o Danice i Vei kochanych przez lud; o Naauzyce prowadzącej swoje armie w walce o słuszną sprawę; o pozostałościach słów z Krainy Miliarda Języków – wspaniale, ale nic poza tym. Czy Cerro miała czuć się zdradzona po dowiedzeniu się, że Meaveleth Szary był okrutnym usurpatorem ogarniętym manią wielkości? Nie miała nawet pojęcia, jaki stopień pokrewieństwa ich łączył i ile „pra-” musiałaby użyć, żeby to określić. Nie był to nawet dla niej nikt obcy, tylko... ktoś, kto nie żył już od bardzo, bardzo dawna i był bardziej mitem niż człowiekiem. Może i w jej żyłach płynie promil tej samej krwi, ale dzieli ich nieskończoność genów i doświadczeń nabytych przez trzy tysiące lat dziejowego postępu. Może i Myron nie powinien być królem, ale nie dlatego, że jest potomkiem Meaveletha Szarego, tylko dlatego, że jest skurwielem.

Cerro miała wrażenie, że ostatecznie tylko Naucenemes przejmowało się Kаем do tak fanatycznego poziomu. Być może było tak przez ogromny dystans między Cos a Temarairem, a być może przez fakt, że księga nie zrobiła na nikim takiego wrażenia jak *Kodeks Harona w służbie Świętej Unii* – Cerro w każdym razie nie widziała piśmiennych mieszkańców i wieśniaków zatopionych w lekturze lub czytających nowy tom na głos tym, którzy czytać nie umieli. Nietaktem na dworze Maginotów było nie przeczytanie jej, ale komentarze lyrr i lyrrów ograniczały się do „ciekawe, fascynujące i pasjonujące”. Nie było żadnych marszczonych brwi, nie w porę powstrzymanego cierpliego grymasu i zgryźliwych uwag. Nawet „kobietami-wojowniczkami” nikt się za bardzo nie oburzał. Zupełnie jakby były tylko wytworem czyjejś wybujałej fantazji.

Cerro nie była nawet zła na siebie za to, że nie złości się na ten brak jakiekolwiek reakcji. Była po prostu zdziwiona.

Przez pierwszy odcinek drogi, który trwał pięć dni, na zmianę drzemała i wyglądała przez okno powozu, za którym karłowate lasy przemieniły się w pofałowany step. Przemykały po nim szakale i kojoty, a na maleńkich poletkach przy wsiach pasły się porośnięte długim włosiem rogate krowy, które na początku stale przykuwały wzrok Cerro, by zdążyć zbrzydnąć już do pierwszego postoju. Te zdarzały się rzadko i były bardziej kurtuazyjne niż konieczne – jeźdźcy i wierzchowce Maginotów efektywnie gospodarowali

skolryposem, dzięki czemu poruszali się nieprzerwanym tempem i mogli odsypiać nawet w trakcie jazdy.

Wieś, w której wreszcie się zatrzymali, była tak mała, że dało się ją objąć wzrokiem, lecz zajazd, w którym spali, przypominał piękną wieżę o dachach tak szerokich, że mogły dać schronienie przed morderczymi promieniami słońca nawet setce ludzi, którzy akurat zażyczliby sobie zjeść lub zdrzemnąć się na dworze. Przybytek nazywał się Na Szlaku Harona.

Wszyscy rozpoznawali w niej księżniczkę zapewne przez obecność Modrego Rycerza u boku, choć sama, wzorem Talii, ubrana była we wsuniętą w spódnicę koszulę z prostym haftem. Proponowali jej skosztowanie darmowych potraw, darmowych napitków, darmowych soli do kąpieli, na które grzecznie odmawiała, chcąc jak najszybciej zasiąść przy stole, przy którym Maginot spotykał się z pułkownikiem Simmerlim, namiestnikiem generała Temidana w Temarairze.

Wstał, skłonił się przed nią i natychmiast usiadł z powrotem. Miał dość niedbały zarost i ciemną, czerwonawą skórę poznaczoną bliznami od oparzeń. Kiedy mówił, składał długie palce tak, by stykały się opuszками.

- Więc jaka jest sytuacja? – zapytał Maginot, zabierając się za jedzenie.
- Nerwowa – odparł Simmerli. – Jak zawsze przed ekspedycją.
- Co z trzecim zajazdem?
- Dalej w rękach maruderów.

Jasne brwi Maginota zbliżyły się do siebie.

- Nie potraficie odbić karczmy z rąk garstki bandziorów?
- Trzecia karczma znajduje się na wznieśieniu, tuż przy jeziorze i dużej wsi. Nic, tylko stać w jej oknie i strzelać.

- Z pewnością zdarza im się chybiać.
- Nie wystarczająco często. I dowodzi nimi czarodziejka.
- Co Temidan mówi o posiłkach?
- Z całym szacunkiem, haronie... To słowa generała, a nie moje. Stwierdził, że nie będzie wysyłał pułku, żeby odbić karczmę.
- Ta karczma, jak sam zauważłeś, ma wyjątkowe właściwości strategiczne.
- Żeby z niej strzelać, owszem. Nie, żeby serwować w niej kapłony i odżywcze kąpiele. To słowa generała, nie moje.

Maginot odkroił sobie kawałek strusiej nogi nieco gwałtowniej niż było to konieczne.

- Więc mów swoimi słowami.

- Maruderzy nie oddalają się od zajazdu i nie terroryzują wiosek. Nie mają nawet po co napadać na handlarzy. Powinniśmy poczekać na lato. Na Sforę Sfinksa, haronie.

- Czy nie jesteś w stanie zrobić nic bez pomocy Sfory?

- Nie sądzę, haronie.

- A czy oni są jakimiś tytanami? Z każdym problemem zawsze polecasz zwrócić się do Sfory, a oni zawsze wymyślają jakieś banalnie proste, sprytne rozwiązanie, na które ty nie byłeś w stanie wpaść.

- Są najlepsi, haronie.

- Są bandą najemników wspieraną przez generała, któremu ty jesteś zmuszony na każdym kroku ustępować. Mój dług wdzięczności wobec Sfory, gdyby został przeliczony na srebro, pochłonąłby cały temairski skarbiec. Lękam się dnia, w którym będę musiał go splacić, a mam wrażenie, że ty nie możesz się go doczekać. Tak samo jak generał.

- Nic podobnego, haronie.

- No więc jakie jest twoje rozwiązanie? Czy moja żona zapraszała tu Jej Miłość, a Jej Miłość tukla się tu aż z Naucenemes tylko po to, żeby zwrócić przy drugiej karczmie?

- Daj spokój, Larrus – wtrąciła cicho Talia. – Możemy przecież odbić na zachód i zatrzymać się w tamtejszych wioskach. Ja i Jej Miłość zwróciśmy, kiedy dotrzymy do ostatniej odnogi Hakkon. Skoro maruderzy nie atakują przejezdnych, możemy nadłożyć maksymalnie dzień drogi.

- Z ostatniej odnogi Hakkon widać Wredne Bagna – pokręcił głową Maginot. - To zbyt daleko i zbyt niebezpiecznie.

- Jest zima, więc morowe powietrze nam nie grozi.

- Ale ruchome piaski...

- Mamy przecież przewodników, którzy znają pustynię jak własną kieszeń. Jestem pewna, że nie będziemy mieć aż takiego pecha.

Maginot spojrzał pytającco na pułkownika.

- Ten plan wydaje się wystarczająco bezpieczny – powiedział, na chwilę rozkładając i ponownie składając palce.

- No dobrze, zróbmy tak – zgodził się Maginot. – Tylko żebym potem tego nie żałował.

Cerro w myślach trzymała pióro i notowała wszystko, co słyszała, by zamieścić to potem w liście do Kaia. Przez tydzień pobytu w Pieczarze napisała ich tyle, że miała ochotę zaczynać kolejne, zanim otrzymała odpowiedzi, i marzyła o załatwieniu sobie kompletu korespondencji synoskiej wiążącej ze sobą ich oczy i dłonie. Tęskniła za Kairem tak szalenie,

że aż ogarniał ją wstyd. Jednocześnie nie miała żadnej ochoty być znów w Modrym Oku. Chciała, żeby Kai nagle zmaterializował się przed nią jak sztukmistrz, ale nie chciała do niego wracać.

W zajeździe pokoje wynajmowali tylko i wyłącznie ludzie harona. Karczmarka wspominała, że niekiedy zatrzymują się tu kupcy i ekstrawaganccy miłośnicy przyrody, ale poszukiwacze skarbów i myśliwi płacą zwykle tylko za miejsce na werandzie, na której wykładają się ze śpiworami. Cerro wyszła na nią, podziwiając skromną wioskę oświetloną rozedrganymi pochodniami, które przyciągały jaszczurki i ćmy wielkości dloni. Patrzyła też na rozległy, zarośnięty lichymi pnączami step, który stykał się z niebem tak upstrzonym gwiazdami, że trudno było uwierzyć, że taki widok mógłby się komukolwiek kiedykolwiek znudzić.

Tis Gavere podążył za nią, oczywiście, jak cień.

- Pamiętam dzień twoich ślubów, tisie – odezwała się.
- To zaszczyt, Wasza Miłość.
- Nie było to znowu tak dawno. I pamiętam, że moja matka, niech Szary Człowiek pomaga jej w wędrówce, wspominała, że masz wielki talent do malarstwa.

Rycerz nie odpowiedział od razu.

- Może kiedyś tak było, Wasza Miłość.

Cerro wyciągnęła z jednej z kieszeni kawałek papieru i grafitowy rysik.

- A dałbyś radę narysować ten krajobraz? Chciałabym załączyć go do listu do Kaia.

Gavere wziął niepewnie kartkę i instrument. Usiadł na ławce i zaczął, ku ucieczce Cerro, przenosić to, co widział, na papier.

\*

Kai mógłby stać godzinami w oknie ptaszarni, czekając na wiadomość od Cerro – gdyby tylko nie fakt, że było to jednak nudne, miał rzeczy do załatwienia, a ptaszarnia śmierdziała. Wydał majątek na szkolonego przez magów koswoela, który był tak szybki, że w tydzień potrafił przebyć dystans z Nauenemes do Memnos. Tam jednak list musiał przejąć posłaniec, który z kolei musiał odnaleźć karawanę Maginota w terenie. Kai, oczywiście, życzył Cerro wspaniałej przygody, ale w duchu modlił się modlił się, by nie spodobało jej się na tyle, żeby chciała tam zostać na stałe. Zazdrościł jej też całej tej podróży. Ile by dał, żeby...! Nie. To nie była prawda. Nie miał najmniejszej ochoty wystawiać nosa poza Nauenemes. Chciał tylko, żeby Cerro też tu była.

Święta Unia wciąż próbowała się zdecydować, co sądzi o swoich korzeniach. Kai spodziewał się nieco żywnej odpowiedzi, jednak tłuszczu, póki co, w żaden sposób się nie piekliła, a szlachta nie oburzała. Tak jak Yazor przewidział. Może to nawet dobrze się składa. Może to znak, że wieści o Ludziach Nieba zostaną przyjęte z podobnym spokojem, a nie żądzą krwi i paniką.

Kai zobaczył przez okno Itsuka, Moth i Gideona odprowadzających Skyllego pod drzwi poczty. Nie miał ochoty z nimi rozmawiać, a zamiast tego zatęsknił żywo za Tyreusem i zapragnął jak najszybciej wrócić do zamku. Poczekał, aż rodzina piekarza uściśnie Skyllego i oddali się, klucząc w głębokim śniegu, po czym zbiegł na dół, szczelniej otulając się peleryną.

Meglyne, która podziwiała przeróżne gatunki pocztowego ptactwa, lekko uśmiechnęła się na jego widok. Zaraz jednak przygasła, widząc stos korespondencji, który Kai z trudnością mieścił w kieszeniach.

- Większość to jakieś szlachetki proszące o wstawiennictwo – mruknął. – I sklepy chcące wizyty i błogosławieństwa.

Meglyne kiwnęła głową, nieprzekonana, i ruszyła do drzwi. Skylle przestępował z nogi na nogę, chowając czerwony od mrozu nos pod szalikiem.

- Mogę spać dzisiaj u Itsuka i Moth? – zapytał. – Madrigale powiedział, że mogę, jeśli się zgodzisz.

- Nie podoba ci się już w zamku? – odparł Kai.
- Podoba. Ale u Itsuka i Moth też mi się podoba.
- No to leć.

Skylle wyszczerzył zęby i pobiegł w pokrytą śniegiem uliczkę. Kai uśmiechnął się do Meglyne.

- No, to wracamy sami.
- Chciałabym jeszcze się przespacerować.
- Ech... No dobrze. To prowadź.
- Możesz wracać na zamek. Ja i tak wolę sama.

Kai zmarszczył brwi, zdziwiony.

- Nie chcesz przejść się ze mną?
- Chcę pobyć sama.
- Możesz pобыć sama na zamku.
- Ale chcę w mieście.

Nie była ani trochę tak zdziwiona jego reakcją jak on jej deklaracją.

- Nie – pokręcił głową. – Jeśli chcesz się przejść, możesz przejść się ze mną.

Nigdy nie widział takiego wyrazu na naturalnie ugodowej i przyjaznej twarzy Meglyne. Jej brwi zbliżyły się do siebie, a usta rozchyliły lekko.

- Co to znaczy „nie”? – powiedziała.

- Robi się ciemno – wyjaśnił. - Jest zima. Droga na zamek daleka, a Naucenemes nie jest bezpiecznym miastem.

- Nie chcę spacerować aż tak długo. Poza tym, mogę nocować u Mnemosyne. Wiem, gdzie mieszka. Powiedziała, że zawsze mnie przyjmie.

- To dlaczego chciałabyś być sama?

- A dlaczego nie?

- I to jest twój powód?

- Skylle nie musiał dawać ci żadnego powodu.

- Wiem, jaki jest jego powód. Tęskni za swoimi przyjaciółmi. Za kim ty tęsknisz?

Meglyne zbliżyła się do niego jednym stanowczym krokiem. Kai nagle sobie uświadomił, że jest odrobinę od niej niższy. Pierwszy raz widział w jej zawsze szeroko otwartych, wiecznie zdziwionych oczach coś, co mógł uznać za furię. Wyglądała dość komicznie w nausznikach i jednopalczastych rękawiczkach, a jednak coś w środku jego żołądka zakluło ostrzegawczo. Nie podejrzewał, że Meglyne może być zdolna do odczuwania czegokolwiek ponad drobną irytacją.

- Czy ja jestem więźniem? – warknęła.

Teraz Kai otworzył szeroko oczy.

- Nie. Co to za pytanie? Nie jesteś więźniem. Robię wszystko, co mogę, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo i…

- Od urodzenia siedzę w więzieniu. Potrafię poznać, kiedy jedyne, co się zmieniło, to strażnik. Nie jestem gościem, nie jestem wolna, nie jestem nawet narzędziem. Jestem twoim wrogiem, którego lepiej trzymać pod nosem. Ale ty przecież jesteś taki szlachetny i potrzebujesz mojej pomocy, więc trochę ci głupio nałożyć mi smycz. Mogę nie robić nic podejrzanej, mogę bez zajęknięcia wykonywać wszystkie twoje polecenia, mogę cię fanatycznie usprawiedliwiać, a i tak zawsze będę dla ciebie tylko wrogiem!

Kai musiał zaciągnąć zęby i pięści, choć wiedział, że jego gniew i tak odbił się wypiekami na jego twarzy.

- Podслушаłaś moją rozmowę z Yazorem?

- Tak! Podслушаłam!

- Po co? Żeby udowodnić, że nie jesteś wrogiem? Słaba strategia.

- Księżniczkę Cerro też nazywasz wrogiem?! Podsłuchuję z nudów, tak samo jak ona! Ale ona nie jest Człowiekiem Nieba, tak? Jej pozwolisz uciec przed własnym dzieckiem na drugi koniec kontynentu, bo ona przynajmniej nie jest Człowiekiem Nieba! Mi nie pozwolisz nawet przespacerować się po zawszonym podzamczu!

Odwróciła się, chcąc odejść, ale Kai chwycił ją za przedramię.

Meglyne ani nie próbowała się wyrwać, ani nie krzyknęła, żeby ją puścił, ani nie odwróciła się z zapłakaną twarzą. Po prostu przyłożyła mu zaciśniętą pięścią w nos.

Kai puścił ją i instynktownie cofnął się o krok, chwytając się za twarz. Meglyne nie odbiegła. Wręcz przeciwnie - podeszła do niego i pchnęła go tak jak pijany rycerz popycha przeciwnika po przegrany turniej. Meglyne była od rycerza znacznie słabsza, ale na pewno nie mniej entuzjastyczna – po chwili, kiedy Kai wbił stopy w ziemię, zamachnęła się znowu, tym razem na jego szczekę, którą Kai zdołał zasłonić, na co Meglyne zaciśnięła drugą pięść. Kai odparchnął ją. Był bardziej zdziwiony niż wściekły.

- No chodź! – ryknęła Meglyne i posypała go gradem ciosów, z których żaden nie trafił, a gdyby któryś trafił, niewiele by mu zrobił. Kai i tak jej oddał. A kiedy oddał, ona zdwoiła liczbę zamachów, z których jeszcze mniej było skutecznych, za to każdy był opatrzony jej przekleństwem i sykiem w obu znanych jej językach.

I Kai też przeklinał i warczał, kiedy zaczęli tarzać się w śniegu, bijąc na oślep i przyciągając tłumy gapiów składających się głównie z bezdomnych i turystów. Kai podejrzewał, że musieli wyglądać jak dwójka nadpobudliwych dzieciaków, młócąc rękami na oślep, szczypiąc się, szarpiąc za ubrania i notorycznie nie trafiając. Meglyne nie próbowała go kopać, nie starała się trafić w najczulsze miejsca na jego ciele, nie chciała go znokautować, a za każdym razem, kiedy miała okazję, jej cios w ostatniej chwili tracił siłę i ledwo go muskał lub trafiał w powietrzu obok jego twarzy. Meglyne nie chciała go zranić. Była po prostu wściekła.

I on też nie był taki znowu spokojny i z radością by się na kimś wyżył, więc nie robił nic, żeby ją unieruchomić. Czekał, aż oboje się zmęczą, żywiąc nadzieję, że zagrzewający ich do walki gapi prędko się znudzą.

- Co jest?! Co to ma być?!

Czyjeś ręce uniosły ich za fraki i postawiły na śniegu. Oboje wyszarpnęli się z uścisku miejskiego strażnika i zaczęli strzepać z siebie ślady śniegu. Meglyne podniosła swoje połamane nauszniki, czerwona jak pomidor.

- Och... Zaatakowała cię, Najszarszy Haronie?

- Nie! – Kai zaprzeczył gwałtowniej niż zamierzał. – Drobne nieporozumienie. Nic się nie stało.

- Na pewno...?

- Na pewno! Tego was uczą w koszarach? Kwestionowania słów haronów?

- Nie, nie... To ja rozpędzę to zbiegowisko.

- Świetny pomysł.

Strażnik do tego właśnie przystąpił, a Kai i Meglyne odeszli jak najdalej od śmiejącej się z nich tłuszczycy.

- I komu powtarzasz to, co podsłuchasz? – mruknął półgębkiem Kai.

- Chevie! – odparła w ogóle nie dyskretnie Meglyne. – Żadnemu Człowiekowi Nieba!

- Mhm. Ciekawe, komu powtarza ona.

Odwrócił się, stanął naprzeciw dziewczyny i uświadomił sobie, że i jego, i jej twarz zastygły komicznie w wyrazie bitewnego ferworu. Wyglądał więc czoło i uśmiechnął się pokrzepiająco.

- Przepraszam za wszystko – powiedział. – Nie chcę, żebyś była więźnem. Boję się po prostu, że możesz zostać moim wrogiem wbrew swojej woli. Czytałaś te same księgi, co ja. Wiesz, że Ludzie Nieba miecz zamienili na kłamstwo. Wiesz, jak łatwo manipulują snami i czynią ludzi swymi narzędziem.

- Przecież rozpoznam zesłany przez nich sen! A poza tym wątpię, że jestem na tyle ważna, bym była dla nich użytecznym narzędziem.

Kai zamrugał tępo, jakby dostał obuchem w głowę.

- To... bardzo słuszna uwaga – powiedział jak w transie. – Muszę to rozważyć. A ty idź na ten swój spacer.

Meglyne otworzyła szeroko oczy, na powrót wyglądając jak wiecznie dziwiące się, nieskalane podłą myślą dziecko.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Tylko wróć najdalej jutro, bo zacznę się martwić.

- Kaiu... Tak strasznie przeprasza...

- Nic się nie stało. Leć.

Meglyne rozpromieniła się i jakby chciała zawisnąć Kaiowi na szyi. W ostatniej chwili powstrzymała się i przelała całą energię w pełen entuzjazmu ukłon, po czym odbiegła w przeciwnym do zamku kierunku, niemal tańcząc po oblodzonej drodze, i zbierając skrzący śnieg z płotów. Kai miał wrażenie, że nigdy nie mógłby ufać nikomu bardziej niż tej

niewinnej dziewczynie - a choć wiedział, że to tylko pozory, że może go okłamywać albo ktoś może posługiwać się nią bez jej świadomości, wrażenie było zbyt przyjemne, by się nim nie napawać. Nie chciał na pewno skupiać się na drugim, o wiele bardziej gorzkim – na tym przeczuciu, które mówiło mu, że dopiero teraz, przez chwilę, po raz pierwszy od opuszczenia wieży, on i Meglyne byli ze sobą szczerzy.

\*

W ostatniej z dużych wiosek na granicy kamienistej pustyni Harvakkion Cerro dotknęła krokodyla ze ściśniętym sznurem pyskiem, zjadła deser z jaj szarańczy i piła nalewkę z kaktusa przy ognisku rozpalonym przez starszynę. Larris poszedł spać do domu sołtysa najszybciej, jak było to możliwe, a Cerro i Talia zostały, drapiąc po brzuchu oswojoną hienę i słuchając opowieści, które chłopi odgrywali, przebierając się w rytualne kostiumy. Tis Gavere kreślił po papierze jak szalony, wiedząc, że Cerro wszystko to z zachwytem odeśnie do Kaia.

- My znamy historię Faina aż za dobrze – zaskrzeczała spod sięgającej kolan olbrzymiej maski ubrana od stóp do głów w strusie pióra staruszka, machając „berłem bajarza”. – Ale czy Jej Miłość ją zna? Jej Miłość powinna wiedzieć, jeśli jutro udaje się w głęb Harvakkion.

Wszyscy zebrani przy blasku ognia zgodzili się żywo, i Cerro również przytaknęła ochoczo, drapiąc hienę za uchem. Tęskniła nieprzerwanie za swoimi psami, które zostały w Pieczarze razem z dziećmi Maginotów.

- A więc niech Jej Miłość dowie się o Fainie! Niech strzeże się jego losu!

Kobieta wzięła łyk kaktusówki i splunęła nią w ogień, który buchnął wysokim płomieniem.

- Fain był uczonym naszej wioski w czasie, kiedy nawiedzała ją szajka Odypta Furiata, rozbójnika tak strasznego, że wystarczyła jedna iskra, by jego rozżarzony gniew pochłaniał całe wioski. Fain troszczył się o swą wioskę, ale nie był wojownikiem. Był za to pełen Nadziei – i z Nadzieją powędrował do osady na południe stąd, w głęb pustyni. Patrolujący akurat zwiadowca Odypta doniósł hersztowi o mężczyźnie kierowanym Nadzieją, i rozwścieczony Odypt ruszył w pogon za Fainem z toporem w ręce. Fain usłyszał dyszenie Odyptowego konia i puścił się biegem ku wiosce, która już falowała na horyzoncie. Tam padł na kolana przed wioskową magini. „Powstrzymaj Odypta!”, błagał, „Nie pozwól, bym umarł! Jestem jedyną Nadzieją swej wioski!”. Wtedy Odypt wkroczył do chaty magini i

zanim ta wbiła zaczarowaną azyrydę w jego brzuch, ten ostatnim wysiłkiem wbił topór w plecy Faina. Fain przestał widzieć i słyszeć, lecz obudził się wkrótce do pełni zmysłów, żywego, i wyszedł z chaty, by, ku własnej grozie, zobaczyć samego siebie nabitego na pal, ku ucieczce mieszkańców wioski tańczących wokół gnijącego truchła. Fain dopadł studni i spojrzał w taflę wody, i ujrzał w niej twarz Odypta. Rozpiął koszulę i ujrzał ziejącą dziurę po azyrydzie! Fain zrozumiał swoją naiwność. Zrozumiał, że padł ofiarą Złodziejki Twarzy. Zrozumiał, że już przez wieczność musi nosić ohydne ciało mordercy. Wpadł w szal. Chwycił za topór i nie odkładał go, aż piasek stał się mokry od krwi. Wsiadł na Odyptowego konia i ruszył na poszukiwanie Złodziejki Twarzy, pałac i mordując każdego, kto nie dał mu wskazówka. Mówią, że wciąż czasem podjeżdża blisko naszej osady, i patrzy na nią tesknie, jednak nie wjeżdża do środka. I jesteśmy za to wdzięczni, nieprawdaż?

Słuchacze zgodzili się chórem

- Na pustyni nie należy darzyć nikogo zaufaniem, Wasza Miłość. Należy mieć Nadzieję, lecz nie mylić jej z naiwnością.

Cerro już dawno przestała zajmować się hieną i wpatrywała się w wykrzywioną upiorne maskę bajarki.

- Mogłabym usłyszeć jakąś historię o Ludziach Nieba?

Wszyscy zamilkli, zwracając głowy w jej stronę. Bajarka ściągnęła z siebie maskę i uśmiechnęła się do Cerro.

- Do opowieści o nich poproszę mistrza.

Wręczyła maskę młodemu chłopakowi z brunatnym warkoczem i czarnymi stygmatami na dłoniach. Ten wstał, nałożył ją na siebie, wziął kaktusówkę, wlał ją w szeroko otwarte drewniane usta i splunął w ogień, który buchnął jadowicie zielonym płomieniem budzącym chóralny zachwyt.

Chłopak wziął garść piasku spomiędzy stóp i zacisnął na niej dłoń. Kiedy ją otworzył, stała w niej figurka mężczyzny.

- Oto Człowiek z Nieba – powiedział rzeczowo. – Jego ciałem są obłoki.

Figurka rozbiła się na piaskowe chmury.

- Zamiast oczu, ma gwiazdy.

Z chmur zaczęła formować się głowa, w której błyszły dwie iskry.

- Zamiast umysłu, ma księżyca.

Ręka Człowieka z Nieba otworzyła czoło tak jak otwiera się piec, by sprawdzić stan wypieku. W środku widać było rogal księżyca.

- Zamiast serca, ma pustkę.

Popiersie otworzyło drzwiczki pod szyją, a w środku ziąła absolutna czerń. Bajcarz zamknął piasek, którym czarował, w dłoni, i wrzucił go do ognia, który zapłonął czernią. Nagle zrobiło się niezwykle ciemno.

- Człowiek z Nieba idzie – Język ogniska przyjął kształt maszerującego człowieka o gwiazdnych oczach – nie prowadzony przez nikogo. Jest czarną plamą na obrazach Szarego Człowieka. Nikt go nie popędza. Za nim nie podąża. Idzie przed siebie i nigdy się nie męczy. Nigdy nie głodnieje. Nigdy nie czuje pragnienia. Nigdy nie umiera. Jego krok wystarczy, by wyjałowić ziemię. Jego oddech wystarczy, by zatruc pustynię.

Wysokie ognisko zapadło się na chrust. Pozostał jedynie wciąż idący gwiazdooki człowiek.

- Nie da się go zatrzymać. Nie da się go usłyszeć. Nie da się go dojrzeć. Można tylko uciekać. Choć i tak was dopadnie.

Ognista figurka nagle ruszyła z chrstu na grupkę dzieci, które odskoczyły od niej z piskiem. Wszyscy inni zaśmiali się, i same dzieci po chwili uspokoili się i zacietrzeniły, twierdząc, że wcale się nie bały. Sam bajcarz pochylił się, pozwalając Człowiekowi Nieba wejść na swoją dłoń, i rzucił go z powrotem w chrust, przy jego komicznie piskliwym krzyku. Ogień znów zapłonął zwykłym, ciepłym płomieniem. Bajcarz zsunął maskę.

- Morowe powietrze nie grozi ci zimą, Wasza Miłość – powiedział, uśmiechając się lekko. – Widocznie zimą Ludzie z Nieba piją wodę miętową.

- No wiesz co? – obruszyła się starsza bajarka, kiedy wszyscy się zaśmiali. – Z morem nie ma żartów.

- Nie ma, dlatego nie wiem, po co ta cała dziecinada. Ludzie z Nieba to bujda zmyślona, żeby berbecie nie włóczyły się same blisko bagien. Tak samo zresztą historia Fiana.

- Może nie zdradzaj tych sekretów przy berbeciach, co?

- Zdradzam je, bo widzę, że Jej Miłość się przelękła.

Wszyscy spojrzeli na Cerro, która poczuła, jak czerwienieje.

- Wcale się nie przelękłam – mruknęła i, jakby na dowód, podrapała hienę za uchem. – To była bardzo ciekawa opowieść.

- O Ludziach z Nieba mamy jeszcze jakieś trzy tysiące. Chce Wasza Miłość posłuchać?

- Damy sobie już spokój – Talia ziewnęła, zasłaniając usta dłonią. – Niedługo musimy udać się na spoczynek.

Bajarz odłożył berło, nałożył maskę i pobiegł za piszącymi dziećmi. Talia rozłożyła ramiona, przeciągając się w czasie ponownego ziewania, i wyłożyła się na kocu.

- Dobrze, że Larrus do nas nie dołączył – uśmiechnęła się spod przymkniętych powiek. – Nie cierpi historii o Ludziach Nieba.

- Dlaczego? – zaciekała się Cerro.

- Nasłuchał się ich tyle, że może ci większość z nich wyrecytować, przebudzony w środku nocy. Oczywiście, nie z taką fantazją.

- Interesował się nimi nigdyś?

- Nie, po prostu jego ojciec chciał wychować Larrusa na człowieka ludu, więc lokował go w różnych większych wsiach i wysyłał na ekspedycje. Temarairczycy wszędzie widzą Ludzi Nieba. To przez nich przychodzi morowe powietrze. Przez nich dzieci rodzą się martwe. Przez nich mleko kwaśnieje, a dziewczki nie chcą iść na siano.

- Może jest w tych legendach trochę prawdy?

- Trochę jest, ale nie o bohaterach opowieści, tylko o ich narratorach. Kiedy byłam w Ronedanie, słyszałam to samo. Ronedańczycy twierdzili, że Gergerczycy zabierają im miejsca pracy, Iggavverczycy roznoszą choroby, a Aklemczycy uwodzą ich żony. Po tej stronie Wielkiej Wody wszyscy jesteśmy jednym, wielkim narodem. Nie ma na kogo zrzucić winy za nasze niepowodzenia. Dlatego trzeba wymyślać nieśmiertelnych, złych do szpiku kości Ludzi Nieba.

Cerro zatopiła wzrok w płomieniach.

- Nie zawsze byliśmy jednym narodem – odezwała się – jeśli wierzyć tej nowej książce...

- A, tak, niestety. Jeśli to prawda, kiedyś cały kontynent musiał być stale rozdzierany wojnami, tak jak Selean jest dzisiaj. Twój przodek, może i brutalnie, ale zażegnał wszystkie te konflikty. Przez wieczność wszyscy będą mu wdzięczni, Cerro.

- Ale konflikty wciąż wybuchają. Bunty w Zlewisku, zamachy, wojny między haronami...

- Wszystkie te spiecia są niczym wobec seleańskiej wojny tysiąclecia, która pochłonęła miliony istnień. Niczym wobec ekspansji agresywnego Ronedanu, która trwa już blisko wiek. Niczym wobec otwartej wojny między elfimi państwami, która wkrótce wybuchnie. Wszyscy w Świętej Unii jesteśmy jedną, wielką, troszeczkę kłotliwą rodziną.

Cerro patrzyła na bose dzieci turlające się w piasku, nigdy nie znające śniegu, i długiego spaceru po stromych stopniach prowadzących do Modrego Oka, i wygod miękkich łóżek, i ciepła wody w łaźni. Patrzyła na maga ubranego w maskę tak straszną i obca, że nie

umiała nawet wymówić jej lokalnej nazwy. Na maga czarującego w sposób, jakiego nigdy nie widziała. Ściszącego piasek tak, by ten przemienił się w gatunek węża, którego nigdy nie znała, a który dzieci rozpoznawały, przerażone, bo wiedziały, że może wpełnić do ich maleńkich, pozbawionych wież i ukrytych pokoi chat. Patrzyła na oliwkową skórę rozmawiających ze sobą myśliwych, którzy popijali trunek zrobiony z rośliny, która była dla Cerro tak obca jak dla nich szkarłatnoliście. Słuchała ich cichej, spokojnej, wręcz flegmatycznej mowy, w której każdy twardy dźwięk brzmiał głośno i dźwięcznie. W której żadna końcówka słowa nie była połykana i wszystko brzmiało jak sarkazm.

- A co ty sądzisz, tisie Gavere?

Gavere uniósł głowę nad rysunku, spojrzałszy na nią krótko.

- Co sądzę na temat czego, Wasza Miłość?

- Na temat Ludzi Nieba.

- Słyszałem, że w każdej ludowej mądrości jest ziarno prawdy.

- Więc wierzysz, że Ludzie Nieba przyniosą nam klęskę?

- Wierzę, że klęski się zdarzają, a ludzie nie potrafią znaleźć ich celu i przyczyny.

Czasem wskazanie palcem na człowieka ulepionego z chmur i gwiazd jest równie sensowne, co wskazanie na obrazy Szarego Człowieka.

Talia zachrapała, drzemiąc już chyba od dłuższej chwili. Gavere nakreślił ostatnie linie na czarnym sercu Szarego Człowieka, mocno dociskając rysik.

Dwa dni później dojechali do pierwszej martwej wioski. Była skłębiona w oazie, jedynej soczystie zielonej plamie pośród spieczonej słońcem ziemi.

- To Ogród – powiedział ociekający potem zwiadowca. – Jest tam bezpiecznie, ale lepiej niczego nie dotykać. I pod żadnym pozorem nie pić wody.

Ociekający potem Maginot odwrócił się do ociekającej potem Cerro.

- Na pewno chcesz tam zaglądać?

Cerro przytaknęła, a Maginot zarządził krótki postój przy oazie.

We wsi było zupełnie cicho i zupełnie pusto. Cerro spodziewała się, że nie będzie tam żadnych ludzi, ale nie było też żadnych mrówek, much i pajków. Woda w oczku wyglądała na czystą, zdrową i zachęcającą. Cerro napiła się prędko ze swego bukłaku, jakby przerażona, że staw ją zahipnotyzuje i zmusi do picia. Talia zajrzała do jednej z chat, westchnęła i powiedziała, że poczeka w cieniu palmy.

Cerro i Gavere stanęli w progu tej chaty. W środku stało jedno łóżko na wysokich nogach, spod którego wyciągnięte były skrzynie, z których rabusie musieli wynieść wszystkie kosztowności. Zostawili tylko wystrugane z trzciny i łuskowatego drewna zabawki. Brak było

kogokolwiek, by się nimi bawić. Na stole obok łóżka leżała miska pełna naniesionego przez wiatr piasku i resztek jakiejś tłustej, kisnącej od wielu lat papki. Brak było kogoś do wyrzucenia jej. Nie latały nad nią muchy. Nie tarzały się w niej żadne larwy.

W chacie obok stało nieco większe łóżko, a na zewnątrz suszyło się poszarpane pranie, na którym nawet bandytom nie zależało. Brak było kogokolwiek do zdjęcia go. Obok niego, między dwoma palmami, zawieszony był hamak. Nad nim, oplecone wokół pnia, wisiały kolorowe kamyczki i ślimacze muszle obijające się o siebie od czasu do czasu, wydające przyjemny dźwięk. Jednak brak było kogokolwiek do zachwycania się nim.

W największej chacie było osiem pustych posłań i pozostałości wyrwanych z okien zasłon. Na piaskowym kredensie stały gliniane naczynia, a obok nich sfatygowana książka z zaznaczoną kawałkiem trzciny stroną. Cerro wyciągnęła rękę.

- Lepiej nie, Wasza Miłość – odezwała się stanowczo Gavere. – Pierwszy zwiadowca radził niczego nie dotykać.

- Co mi może zrobić książka?
- Skoro zatrute powietrze wsiąka w wodę, dlaczego nie mogłoby wsiąknąć w papier?
- Więc ty ją otwórz. Masz stalowe rękawice.

Wyraz twarzy Gavere'a był jeszcze mniej zadowolony niż zwykle, kiedy podszedł, sięgnął ozdobioną szmaragdami rękawicą po okładkę książki i zaczął ją kartkować tak, żeby Cerro wszystko widziała.

Było to *Książęce wesele* w tłumaczeniu Upitta Heaghyrra, aklemski klasyk romansu, w którym Cerro zeczytywała się na długo przed własnym ślubem. Czytelnik dotarł do momentu, w którym Ankha odrzuca anonsy Irekha przez głupie nieporozumienie i pewnie odłożył, sfrustrowany, lekturę. Widocznie nie dowiedział się nigdy, że Irekh ostatecznie przekonuje się, że tylko myślał, że kochał Ankhę, i kończy na ślubnym kobiercu z Mihaną.

- Wystarczy – zarządziła.

Gavere zatrzasnął książkę z wyraźną ulgą i polał rękawicę wodą z własnego bukłaku z nadzieję, że zmyje potencjalną toksynę. Cerro wyszła na zewnątrz, a on czym przedzej podążył w jej ślady. Karawana harona stała w bezpiecznej odległości od wioski, cierpliwie czekając, aż Cerro się napatrzy. Miała w kieszeni papier i rysik, i miała w planie poprosić Gavere'a o rysunek i tego miejsca. Ale nie miało tu sensu. Gavere narysowałby chaty, posłania, książki, naczynia. Nie narysowałby braku, którym przesycone było powietrze w Ogrodzie. Kai musiałby tu przyjechać, żeby zobaczyć to wszystko, czego było brak.

\*

Tego poranka nikt nie zerwał Silarusa z łóżka na codzienną musztrę. Mimo to instynktownie otworzył oczy o świcie i nic nie dawało zamykanie ich. Leżał z pulsującą bólem głową, z wyschniętym na wiór gardłem, zbyt słaby, by się podnieść i napełnić piersówkę. Wiedział, że ma kłopoty, i cierpliwie czekał, aż nadjejdą.

General przyszedł, kiedy słońce stało już wysoko, i miał tacę w ręku. Na ten widok Silarus aż uniósł się na łokciach. Prawie jęknał z bólu, kiedy jego głowa zagruchotała. General Yazor przyniósł mu śniadanie do łóżka. Silarus wiedział, że ma kłopoty, ale nie, że aż tak poważne.

Na tacy leżał półmisek cukrowych ciastek i galaretek oblanych czekoladą, a obok stał słoik kiszonych ogórków, dzbanek żurawinowego soku i jego piersówka. Musiał ją poprzedniego wieczoru zgubić, lecz z pewnością była jego; wytarta i porysowana. Wszędzie by ją poznał. Przełknął ślinę, kiedy generał postawił tacę na nocnej szafce i przystawił sobie krzesło, by usiąść.

- Twoje medykamenty – wskazał na tacę. – Słyszałem, że sprawdzone.

Silarus naburmuszył się, znów przełykając ślinę, która uparcie wypełniała mu usta. Nie chciał patrzeć na tacę. Nie chciał patrzeć na generała. Najchętniej nakryłby głowę kocem i zacząłby się drzeć, by zagłuszyć wszelkie kazania. Starał się jednak pamiętać, że nie ma już dziesięciu lat.

- Chciałeś mojej uwagi – powiedział gość. – No to ją masz. Słucham.

Silarus spojrzał na niego ostro i bardzo dobrze wiedział, że wygląda jak oburzona dewotka - ale nic nie mógł na to poradzić. Generał siedział z nogą założoną na nogę, a palce trzymał splecione pod kolanem.

- Ja chcę twojej uwagi? – warknął Silarus. – Ja chcę, żebyś mi dał święty spokój.

- Dlatego zjeździłeś pół kontynentu, uparcie odmawiając powrotu do domu?

- Dlatego.

- Nie mogłeś chociaż przyjechać ze mną porozmawiać? Chociaż wytłumaczyć, co się wydarzyło? Chociaż powiedzieć, że nie mam o co się martwić?

- Zostałem wygnany.

- Chyba znasz prawo na tyle, żeby wiedzieć, że...

- Ano nie znam. A gdybym znał, gówno by mi to dało. Kai robi sobie z prawem, co chce. Wziąłeś to pod uwagę? Wziąłeś? Co byś zrobił, gdyby Kai skazał mnie na śmierć? Co byś zrobił, gdyby Trian rozerwał mnie na strzępy?

Żaden mięsień na twarzy generała nie zadrżała.

- Pozabijałbym ich – odpowiedział.

- Oczywiście – warknął Silarus, żałując, że poprzedniego wieczoru miał wystarczająco oleju w głowie, żeby przebrać się w koszulę nocną. W porzuconym na podłodze mundurze zostawił fajkę. – Nie wróciłoby mi to życia, ale ty miałbyś dobry pretekst.

- Mógłbyś mówić jaśniej?

Silarus zagryzł wargę od środka, próbując powstrzymać jej drżenie.

- Wiem, że to ty powiedziałeś Trianowi – oznajmił, patrząc prosto w oczy ojca. – Wydałeś mnie, bo nie dogadałeś się z Kiem. Wyżyłeś się na mnie, zabrałeś Kaiowi ważnego sojusznika...

Coś w oczach generała poruszyło się wraz z jego brwiami.

- Czyś ty oszalał, Silarus? – zapytał bez cienia gniewu czy oburzenia. Za to z dziwnym żalem. – Ty cudem uniknęłaś śmierci. Myślisz, że słałbym za tobą pomoc po całym kontynencie, gdybym chciał cię zabić?

- Wliczyłeś mnie sobie w ryzyko. Ważne było, że Kai ucierpi, ale skoro był takim bałwanem, żeby puścić mnie wolno... To ty mnie sprowadzisz z powrotem i wykorzystasz. Prawda?

- Wykorzystam? To niby dlaczego od miesiąca się do ciebie nie odzywam?

- No właśnie, dlaczego?!

Silarus ukrył twarz w dłoniach, zanim ta wykrzywiła się jak do płaczu. Dyszał ciężko, jakby miało mu to pomóc w powstrzymaniu wilgoci przed zebraniem się w jego oczach. Chyba całkiem by się wtedy rozkleił i już nigdy nie spojrzałby ani generałowi, ani sobie samemu w oczy.

- Silarus – powtórzył generał. Jego imię w jego ustach brzmiało tak obco, jakby mówił innym językiem – gdybym chciał zranić Kaia Kohara, sprowadzając cię z powrotem do Rhagos, po prostu wysłałbym ci list. Dlaczego miałbym dać komuś pretekst do zakatowania cię? Żeby zemścić się na Kaiu, taka jest twoja teoria, tak? Ależ jest tyle sposobów, na które mógłbym się na nim zemścić, a ten jest najgorszym z nich. Czy on by w ogóle zranił Kaia Kohara? Chyba nawet dałby mu satysfakcję.

- Mógł mnie zabić – odparł zza ściany dloni Silarus, starając się panować nad głosem.

– Mógł ze mną zrobić, co tylko mu się podobało. A on mnie wypuścił.

- Bo tak jak ty lubisz się ludzić, że byłeś jego ważnym sojusznikiem, tak on lubi się ludzić, że jest litościwy. Słyszałem, że było sporo gapiów.

- To skoro jestem tak chujowym sojusznikiem, tak chujowym szpiegiem, tak chujowym namiestnikiem, to dlaczego po prostu mnie nie zostawisz?! Dlaczego nie pozwoliłeś mi zostać felsidem?!

- Silarus. Wybacz mi, ale ja prowadzę wojsko, a nie studnię życzeń. Niekiedy najlepiej wykonuję zadania ci, którzy najmniej chcą je wykonać. Nie zainstalowałbym cię na żadnej z tych pozycji, gdybyś był chujowy.

- Za mojego urzędu wybuchło siedem powstań!...

- ...które stłumiłeś najlagodniej i najmniej krwawo jak to tylko było możliwe, równocześnie wykruszając autorytet harona Kastirrona.

- Przestałem raportować ci o ważnych odkryciach...

- ...bo chciałeś wzbudzić zaufanie Kaia Kohara.

Silarus odsłonił twarz, niedowierzając.

- Wzbudzić?!... Wzbudzić, kurwa, zaufanie?! Ty wiesz, co ja zrobiłem?! Ja zbratałem się z wrogiem! Zdradziłem cię! Przeszedłem na jego stronę! Spiskowałem z nim! Nauczyłem się ciebie oszukiwać, nauczyłem się, że nie jesteś wszechwiedzący, nauczyłem się, ile z tego, co mówisz, to pierdolony blef! Zdajesz sobie sprawę z tego, ile rzeczy przed tobą zataiłem?! Ile jest sekretów Kaia Kohara, o których nigdy się nie dowiesz?!

- A ile moich sekretów zdradziłeś Kaiowi Koharowi?

- Wszystkie! Wszystkie, o których wiedziałem!

- No. To chyba nie za wiele, co?

Silarus myślał, że wyskoczy z siebie i rzuci się generałowi do gardła. A jednak tego nie robił. A jednak wpatrywał się tylko w ojcowskie ręce, które wlewały zawartość piersówka do dwóch małych kielichów.

- Powiedziałem mu o tym, jak umarła mama – warknął. – O tym, że zrobili to Ludzie Nieba.

- No – pokwał głową generał, znowu markotniejąc. Opadł na krzesło, wzdychając. – I co Kai Kohar zrobił z tą informacją?

- Znalazł ich wioskę tuż pod nosem króla! Sprowadził sobie jedną z nich do zamku! Nauczył się ich języka, poznał ich sekrety!

- Sekrety, które sami pozwolili o sobie poznać, tak?

- A ty co zrobiłeś, co? Potortuowałeś sobie maga! Tak bardzo chciałeś się na nim wyżyć, że zaprosiłeś do tego swojego sparszywiałego brata! Zrobiłeś z siebie głupca przed całym krajem i prawie przypłaciłeś to posadę, o którą dziadkowie, o których poświęceniu tyle pierdolisz, tak się starali! I co ci to dało, co?! Bo nie dość, że Ludzie Nieba wybudowali się pod nosem króla, to jeszcze wleźli do jego głowy!

- Wlezli, prawda – przyznał generał i Silarus miał nadzieję, że nie wmmaścia sobie, kiedy wydaje mu się, że usłyszał cień gniewu w jego głosie. – Trudno powiedzieć, czy ta

wyrżnięta wioska i ta dziewczyna z wieży to pełnokrwiści Ludzie Nieba, ale w głowie króla na pewno próbują się zagnieździć. I wiesz, co Kai Kohar zamierza z tym zrobić?

- Nic, tak samo jak ty?!

- Zamierza w tym pomóc. Świadomie czy nie, jest instrumentem w ich rękach, na którym grają jak im się żywnie podoba. Przyjechał do tej nieszczęsnej wioski w gościnę. Dał znajdzie wygody jak dla zamorskiej ambasadorki. Spija każde słowo ze stron ich kłamliwych książek, o których nie chce powiedzieć umiłowanej gawiedzi. Chce, żeby król był marionetką...

Słowa wyrwały się z ust Silarusa, zanim zdążył im przeszkodzić.

- On chciał zabić króla, ty durniu! – wrzasnął desperacko. - Spiskowałem z nim, bo chcieliśmy zabić króla, bo...

- A ZDRADZIŁ, CO ZAMIERZA ZROBIĆ Z CIAŁEM?!

Głos uwiązał Silarusowi w gardle. Generał często mówił głośno i donośnie, ale rzadko ryczał jak... jak...

...jak sfinks.

Generał wziął kieliszek i przechylił go jednym ruchem, a wszystko spłynęło w dół jego gardła. Skrzywił się i odkaszlnął, uderzając się o uda.

- Co za lura – jęknał. – Pewnie jakiś rarytas.

Odkaszlnął jeszcze raz, a Silarus siedział, obejmując ramionami skulone pod pierzyną kolana. Czekał na dalszy rozwój spraw. Jak na egzekucję.

- Powiedziałbym, że twoja służba była bez zarzutu – odezwał się generał. – Nie zdradziłeś mnie, nie zdradziłeś siebie, nie zdradziłeś ludu Świętej Unii. Ale jednak zostawiłeś własnego brata na pastwę losu w obozie diakorr tuż po tym, jak uratował ci życie. Własnego brata, Silarus.

Silarus usłyszał to, co w końcu musiał. Zanurzył głowę za kolana i zaczął łkać jak dziecko. Bez żadnego wstępu, bez żadnego dźwięku. Łzy wielkie jak grochy staczały się w milczeniu z jego policzków i robiły na pościeli plamy wielkie jak kałuże.

- Nie potrafię tego zrozumieć. Czy wpływ Kaia Kohara jest aż tak daleki, że nie liczy się już nikt, poza nim? Ani twój król, którego zaszlachtowanie potrafiłeś sobie usprawiedliwić wyższym dobrem? Ani twoja ukochana, której nie chciałeś uratować przed felernym małżeństwem? Ani twój brat, który rzucił się za tobą tyle razy w ogień? Który przyjechał ci pomóc? W którego obronie zawsze stawałeś, tak jak i on zawsze stawał w twojej? Cały ten miesiąc przyglądałem się, jak dokazujesz z rycerzami i żołdakami, i głowiłem się, co się z

tobą stało. Czyżby Ludzie Nieba zaczęli mieszać i w twojej głowie? Czy to po prostu ty całkiem się pogubiłeś?

Na policzkach Silarusa nie było już suchego kawałka skóry. Wył jak zarzynane zwierzę.

- Nieważne, jaka jest odpowiedź. Wina leży i po mojej stronie – westchnął ojciec, znów odkorkowując piersówkę. – Pora, żebym wysłuchał twoich życzeń i uczynił je twoimi obowiązkami. Byłeś wybitnym namiestnikiem, byłeś wybitnym szpiegiem, a teraz będziesz wybitnym ambasadorem Świętej Unii w Gomorze.

Silarus ucichł, wciąż drżąc i łkając.

- Co? – wyjąkał. – Teraz? Teraz ci się zebrało?

- Teraz.

- Teraz, jak jestem jebanym wygnańcem?

- Silarus. Odśwież sobie zasady prawa powszechnego, z którego w Akademii miałeś przecież stopień celujący. Trochę wstydu. W kodeksie prawnym nie ma takiej kary jak wygnanie. Wygnańcem jesteś tylko dla Kaia Kohara. No już, nie maż się. Wybaczą ci, Melvourne już dawno ci wybaczył, a ty jesteś mężczyzną. I to całkiem dorosłym.

Silarus otarł łzy średnio męskim i dorosłym gestem. Przyjął upragniony kieliszek, kiedy ojciec wsunął mu go w rękę.

- No – uniósł swoje naczynie – to lu.

Silarus pierwszy raz w życiu wychylił kieliszek z własnym ojcem. Do jego żołądka wlała się czysta, gorąca, płynna, życiodajna ulga.

\*

Wredne Bagna nigdy się nie kończyły. Były szeroką taśmą mdłej zieleni ciągnącą się od jednego krańca horyzontu do drugiego. Znad niej wyrastały drzewa tak wysokie, że ich korony ginęły w kłębiących się chmurach. Ze szczytu wydmy ekspedycja wyglądała jak pochodź mrówek transportujący królową – dwudziestu jeźdźców pędziło na spotkanie przygody z wozem zapasów pośrodku.

- Ładnie – mruknął完全nie niezainteresowany Larrus. – Ja już wracam do powozu. Pospieszcie się, bo chcę się stawić na najbliższy zbór. Jakby nie mogli wybudować tego zamku bliżej, psiakrew...

Usłyszeli tumult kopyt i odwrócili się, by zobaczyć posłańca. Cerro uśmiechnęła się szeroko, zanim zdążyła się powstrzymać. Strażnicy karawany przepuścili go, a ten podbiegł

prędko do Cerro, ukłonił się przed nią w pas i wręczył jej zapieczętowane Wściekłą Wilczycą pismo.

- Wiadomość od Jego Wysokości, Wasza Miłość.

Cerro wzięła list i przełamała pieczęć, rozdrażniona.

- „Najdroższa siostro!”, ciekawie się zaczyna...

Jej oblicze wygładzało się i srożyło w trakcie czytania kolejnych linijek.

- Mój brat jest chyba jedynym człowiekiem w Świętej Unii, który przejął się książką Kaia – powiadomiła Talię i Gavere'a, gnioząc list w pięści. – Wzywa mnie, bym dołączyła do niego w Modrym Oku, by Kai odpowiedział za „poħażbienie” naszego najwybitniejszego przodka. Zabiera ze sobą chyba pół wojska.

- Ojej – bąknęła Talia. – Jestem pewna, że Kai jakoś to wyjaśni...

- Oczywiście, że wyjaśni. Czy Myron zrozumie choć słowo, to już zupełnie inna sprawa.

Spojrzała na pustkowie, na którym po ekspedycji zostały już tylko ledwo widoczne ślady.

- Wygląda na to, że i ja będę obecna podczas najbliższego zboru.

## ROZDZIAŁ XX

- „Reon otwiera drzwi i widzi morze trupów. Ludzie w czarnych mundurach przechadzają się nad trupami i sztyletują niedobitków. Apfrowie...” Dobrze to wymawiam?

- Nie wiem. Chyba tak.

- „Apfrowie biegają wokoło, próbując przeprowadzać rytuały, ale dobiegają za późno. Próbuję odciągać niedobitków, próbuję odpychać czarne mundury magią. Na próżno. Lecz wtedy Kai Kohar przybiega do Reona, wpycha go do środka pomieszczenia, zamyka za sobą drzwi. Kiedy znów je otwiera, czarne mundury przechadzają się po zapierającym dech w piersiach ogrodzie, przyglądając się leniwie przechadzającym się pod rękę lub dyskutującym z pasją lub wspólnie przygotowującym posiłki ludziom, z których połowa idzie po kamiennej, a druga połowa po obłokowej ścieżce, a te biegną blisko siebie i splatają się co jakiś czas.”

Chevita rzuciła okiem na Kaia, który pokiwał gorliwie głową.

- Tylko zrób to jakieś bardziej poetyckie i perswazyjne – dodał.

- Postaram się, Najszarszy Haronie – westchnęła – ale i tak to właściwie na nic, póki nie wiem, gdzie konkretnie ten Reon jest.

- Wiem – Kai również westchnął, bujając gruchającego Tyreusa w ramionach. – Spróbuj ograniczyć się do Wrednych Bagien i terenu tuż za nimi.

- Żebym ja chociaż wiedziała, co za nimi jest.

- Ech... Po prostu spróbuj. A powiedz, gdybym i ja miał sen, potrafiłabyś prześledzić jego drogę?

Chevita pokręciła głową, dodając notatki do scenariusza snu.

- Sen nie przebywa drogi, tylko się pojawia. A nawet, gdybym znalazła ślad jego twórcy, nie wiemy, jak przepastne są Wredne Bagna, a już mogę ci powiedzieć, że ten teren, który znamy, jest zbyt duży.

- Ale gdybym miał sen, dałoby się wywnioskować, kto jest szpiegiem, prawda? Skoro Myron miał sen grający na jego pysze, a Yazor przeszłości, da się odgadnąć...

- Niby tak, ale przeszłość generała i pycha króla są dość powszechnie znane. Ktoś, kto stworzył ich sny, jest po prostu dobrym znawcą charakterów. Musiałbyś przefiltrować całe Rhagos, żeby znaleźć tego, który wykorzystał informacje o generale, i prawdopodobnie całą Świętą Unię, żeby znaleźć tego, który wykorzystał informacje o królu.

- Mhm. No tak.

Kai usiadł, ocierając Tyreusowi usta końcem śliniaka. Dzieciak roześmiał się, mrużąc pozieleniałe oczy, a Kai odwdzięczył się uśmiechem.

- Więc co mam zrobić, żeby otrzymać ten sen?

Chevita spojrzała na niego z wygiętą pytającą brwią.

- Próbujesz mnie przyłapać na wygadaniu się, że jednak szpieguję dla Ludzi Nieba?

- Próbuje przeprowadzić burzę mózgów i znaleźć rozwiązanie.

- Tego snu nie „otrzymujesz” tylko jest w ciebie wmuszany, żeby wykorzystać twoją słabość.

- Każdy ma jakąś słabość, a znamy tylko dwa przypadki tych snów.

- Zakładając, że są to też jedyne przypadki, możemy wnioskować, że odbiorca powinien mieć słabość i sprawczość w tym kraju.

- No właśnie. Żeby porozumieć się z Ludźmi Nieba, muszę mieć jeszcze większą władzę. Wiem, jak złowróżnie to brzmi, ale...

- To brzmi po prostu durnie. Po co Ludzie Nieba mieliby wysyłać ci żerujący na twoich kompleksach sen? Przecież już jesteś po ich stronie.

- Po pierwsze, jestem po stronie przetrwania. Po drugie, skąd mam wiedzieć, że obrona ich jest warta świeczki? Jedzie do mnie rozwścieczony król z obstawą nienawidzącego mnie generała, któremu będę musiał wy tłumaczyć, skąd wytrzasnąłem informacje o przeszłości Świętej Unii. Kiedy powiem mu o Ludziach Nieba, albo zaufa mi, albo generałowi. A ja i król nie jesteśmy ostatnio w zbyt przyjacielskich stosunkach.

- Stoisz po stronie, dzięki której jego syn będzie nieśmiertelny.

- A Yazor po stronie, dzięki której nikt nie odbierze jego synowi władzy. Podejrzewam, że wynik tego konfliktu zależy tylko i wyłącznie od humoru króla.

- Myślę, że zanadto to przeżywasz – Chevita ziewnęła, zasłaniając usta dłonią. – Idź już, Najszarszy Haronie, żeby mogła chociaż spróbować wyśnić to twoje orędzie.

Kaiowi zwykle spało się z Tyreusem w sypialni wspaniałej, nawet jeśli był budzony płaczem co kilka godzin. Ale w noc przedzień wizyty króla nie zmrużył oka nawet na chwilę. Wiedział, że powinien bardziej obawiać się przyjazdu i jego, i generała - a jednak wszystko to przyjmowała perspektywa ujrzenia Cerro. Starał się być wylewny w listach, i ona przyznała kilka razy między wierszami, że tępknii. Jednak nic nie mogło się równać z uczuciem, kiedy wyszła z powozu w brązowym płaszczu na zielonej sukni, uśmiechając się lekko, i pozwoliła się objąć, a nawet bezwstydnie pocałować na oczach całego dworu.

- Tak witasz człowieka, który zbezczeszcił pamięć twoich przodków?! – Myron pruł do nich po kolana w śniegu, wyszarpując miecz z pochwy. – Stawaj, Kai! Zobaczmy, czy mieczem tniesz tak głęboko jak piorem!

Nieodłączne psy Cerro obnażyły kły i rozszczekały się na całego, a Melvourne Temidan wyrósł między nimi jak spod ziemi.

- Wasza Wysokość, ale czy jest taka potrzeba? – powiedział łagodnie, wyciągając ramiona przed siebie na wypadek, gdyby Myron chciał go sforsować. Myron jednak jakby struchlał, widząc krąg sierściuchów biegających wokół Cerro i Kaia. – Na zborze wszystko się wyjaśni, a tak nie godzi się...

- A godzi się, żeby moja rodzona siostra rzuciła się na niego jak kurwa na kutasa?!
- Wasza Wysokość, proszę...

Myron schował miecz, chociaż wciąż wyglądał jak rozwścieczony muflon. Cerro wciąż obejmowała szyję Kaia, a on czuł się z tym tak błogo, jakby pierwszy raz w życiu został dotknięty przez kobietę.

- Porobię ci się zmarszczki od tego krzywienia – rzuciła w kierunku Myrona Cerro.
- Wasza Miłość, proszę – Melvourne podniósł głos, odwracając się do niej swym doskonałym profilem. – Jego Wysokość przybył tu w celu debaty nad kontrowersyjną literaturą i dyskusja na ten temat będzie przeprowadzona w sposób cywilizowany.
- W takiej dyskusji z radością wezmę udział – rzekł Kai. – Chyba, że Jego Wysokość od razu chce przejść do palenia książek jak za Wielką Wodą.
- Nie prowokuj mnie, Kai – Myron dźgnął powietrze przed Kairem, a Melvourne posłał mu grożąco-błagalne spojrzenie. – Zapomniałeś już, jak to jest, kiedy skóra na plecach odchodzi od żeber? Z chęcią ci przypomnę, jak mi nie wyjaśnisz, skąd wytrzasnęłaś te dyrdymały o moim rodzie.

Liara i Kallo wyskoczyli właśnie z powozu, wołając za ojcem, który podbiegł do nich, by wyczochrać ich włosy, na co Kallo zaśmiał się perliscie, a Liara warknęła i przylizała je z wściekłością. Yazor Temidan pomógł w tym czasie wyjść z powozu Habren i oddał konia stajennemu, nadzorując swój garnizon wlewający się przez bramy na spółkę z szambelanem obserwującym nurt służących noszących walizy i pakunki jak sznury mrówek-robotnic. Generał był zbyt zajęty, żeby w ogóle Kaia zauważyc. Jeśli „debata” na temat Ludzi Nieba pójdzie nie po myśli któregokolwiek z nich, możliwe, że doświadczy egzekucji przegranego. Kai zrobi wszystko, żeby generał jednak zachował życie i miał szczerą nadzieję, że i Yazorowi zależy tylko na racji, a nie zakończeniu jego żywota.

- Jak się miewa twój brat, Melvourne? – zagaił Kai.

Melvourne, który miał właśnie odejść, odwrócił się do niego, jakby zaskoczony pytaniem.

- Nie mam bladego pojęcia – odpowiedział.

- Wiem, że wrócił do Rhagos.
- I stamtąd też zamierzasz go wypędzić?
- Nic podobnego. Rozumiesz, Melvourne, że zrobiłem to, co było najlepsze? Trian by go zabił.

Pocieszające było, że Melvoure nie we wszystkim wyglądał pięknie – sceptyczny, kwaśny uśmiech, z którym tak twarzowo było jego bratu, oszpecał go lekko, nadając wygląd przyciągającego widownię swą miernotą aktora.

- Oczywiście. Trian Agver zabiłby Silarusa Temidana.
- Nagiego, bezbronnego, związanego? Zabiłby bez trudu nawet ciebie.
- Jaka szkoda, że nie mogli stanąć do prawomocnego pojedynku...

Kai wyplątał się z ramion Cerro i postąpił o krok do przodu.

- Szkoda, że twój ojciec nie był akurat wtedy Haronem Sprawiedliwości, prawda? Szkoda, że sam wydał swojego syna Agverowi. Wymyśliłem na poczekaniu przepis prawny pozwalający go odznać, uzbroić i wypuścić, i nawet nie żywień urazy, że po tym wszystkim wrócił na ojcowskie łono. A ty masz jeszcze czelność narzekać?

- Odziałeś go w piórkowy płaszcz i uzbroiłeś w scyzoryk, haronie – uciął Melvourne.  
– Na pewno jest bardzo wdzięczny. Tak to już z nim, niestety, jest. W każdym razie bywaj, muszę wracać do obowiązków. Haronie. Wasza Miłość.

Odszedł w kierunku zamku, zostawiając Kaią z dość głupią miną.

- Nie przejmuj się – westchnęła Cerro. – Jakbyś rozkazał się Trianowi i Silarusowi pojedynkować, haroniątko padłoby martwe. Yazor poczekałby na śmierć starego Agvera i już miałby tę swoją upragnioną posadkę.

Kai zamrugał jak ogłuszony geniuszem tej uwagi, po czym potrąsnął głową, przekonując się, że im dłużej będzie o niej myślał, tym więcej dziur w tej koncepcji znajdzie. Zatopił wzrok w Cerro.

- Co? – zapytała, pocierając kącik ust, jakby bała się, że jest czymś ubrudzona.
- Opaliłaś się – odparł.
- No tak. Byłam na pustyni.
- Ładnie – uśmiechnął się Kai. – Chcesz zobaczyć Tyreusa?

Cerro przez chwilę nie wiedziała, o kim mowa. Imię pojawiło się, co prawda, w każdym jej liście, by zapytać o jego zdrowie, ale w drodze tutaj zupełnie wypadło jej z głowy.

- Och, oczywiście – powiedziała, a Kai powiodł ją do sypialni, którą kiedyś sama zajmowała.

Tyreus był znacznie większy niż pamiętała i albo rósł w zatrważającym tempie, albo nie doceniała własnego ciała wystarczająco, skoro było w stanie wypchnąć z siebie coś tak wielkiego i ruchliwego. Na czubku głowy miał kępkę jasnych włosów, które tylko przy odpowiednim świetle wyglądały rudo, a na twarzy parę niebieskozielonych oczu.

- Niestety, nie są już lazurowe – powiedział Kai. – Oczy Iver też takie były tuż po urodzeniu.

Cerro modliła się, by Kai nie zaproponował jej podniesienia go.

- Nauczył się łapać za palec – oznał zamiast tego i przyłożył wskazujący palec do maleńkiej piąstki dziecka. Zacisnęła się wokół jego końca, a z ust Tyreusa wydobył się potok śliny i gardłowy dźwięk.

- To nic – westchnął Kai, wycierając brodę dziecka. – Nie mogłeś z tym poczekać, aż goście sobie pójdą?

Tyreus tak jakby się uśmiechnął i złożył dlonie gwałtownie, jakby chciał klasnąć. Nie odrywał wzroku od Cerro, i ona też nie mogła. Nie mogła uwierzyć, że patrzy na dziecko tak podobne do niej, które Kai tak straszliwie kochał, a na które ona patrzyła, owszem, bez wrogich uczuć, nawet trochę ubawiona, ale tak jak patrzy się na dziecko znajomej damy dworu. Nie miała żadnego instynktu, który kazałby jej włożyć palec w jego piątkę, obetrzeć jego ślinę i pogłaskać jego wiotkie włosy.

- Cerro!

Do sypialni wpadł Skylle i rzucił się w jej ramiona. Natychmiast odwzajemniła uścisk, zdając sobie sprawę, jak bardzo za nim tęskniła.

- Ale jesteś ciemna!

- Byłam na pustyni, co w tym dziwnego?

- Przywozłaś mi coś??

- Przywozłam. Tragarze właśnie to wypakowują.

Skylle rozdziawił usta i wybiegł z pokoju, po drodze niemal wpadając na Madrigale'a. Zrugał Skyllego, który i tak już go pewnie nie słyszał, i poprawił okulary.

- Witamy z powrotem, Wasza Miłość – dygnął, stojąc w progu. – Przegapiłaś nie lada widowisko kilka tygodni temu. Mój tomik poezji sprzedał się lepiej niż powieść Najszarszego Harona.

- Bo moja powieść nie była na sprzedaż – odburknął Kai. – A ty sprzedajeś dwa egzemplarze, które kupiłem z litości.

- Ja z chęcią kupię trzeci – zaoferowała Cerro. – Albo wygram go od ciebie w karty.

- Wspaniale się składa. Stół już gotowy.

- Zaprosiłem wszystkich specjalnie na twój przyjazd – dodał Kai, bujając lekko kołyską. – Pewnie już się niecierpliwię.

Dlonie Cerro momentalnie się spociły, usta zacisnęły, a oczy zaszklily.

- To idę ich ostrzec, że zaraz się zjawicie – Madrigale zniknął za rogiem.

- Nie tak zaraz! Najpierw muszę ugościć króla! – krzyknął za nim Kai.

Cerro otarła łzy, zanim ktokolwiek je zauważyl. Nie sądziła, że Kai tak bardzo ją kocha. Że ona tak bardzo go nie nienawidzi.

- Kai...

- Pomyślałem sobie – odezwał się – że teraz, kiedy Tyreus nie ma żadnej osobowości, nie ma za co go lubić... Ale świetnie dogadujesz się z Atianem i Skyllem... Więc może kiedyś i z nim?

Dziecko łapało za woal nad kołyską i chichotało, kiedy Kai łaskotał je czubkiem palca w przykryty muślinową koszulą brzuch.

- Może – zgodziła się.

Kai oplotł ją ramionami i zbliżył swoje czoło do jej. Cerro zanurzyła palce w jego włosach, kiedy go całowała. Tęskniła za tym tak niewyobrażalnie, że teraz nie mogła przestać się uśmiechać.

- Zostaniesz na dłużej? – wyszeptał Kai z nadzieją.

- Nie – odparła cicho, a kąciki jej ust wreszcie opadły. – Jadę do Megarantu.

Kai nie wydał z siebie żadnego dźwięku, choć miała wrażenie, że chciał.

- Pojedź ze mną – dodała, kryjąc twarz w jego obojczyku.

- Nie mogę – odparł. – Tyreus jest jeszcze za mały.

Już miała odpowiedzieć, że przecież od tego są niańki, ale w porę ugryzła się w język.

Kai przycisnął ją mocno do siebie, przeczesując jej jasne włosy.

\*

Meglyne dostała od Cerro zestaw kart do prekognicji. Chociaż tą dziedziną magii na pewno nigdy nie będzie w stanie się zająć - bo i podzielała stanowisko Chevity twierdzącej, że to jedna wielka pseudomagia - karty były przepiękne, ręcznie malowane, ozdobione błyszczącym brokatem i możliwe do wykorzystania przy niektórych zaklęciach i eliksirach. Mogły też wspaniale nadać się do gry w balet, toteż Meglyne wsunęła je do kieszeni i poszła po resztę swojej starej talii, którą trzymała zakopaną pod pomnikiem Szarego Człowieka, odkąd Lourdes wpadł na cwany pomysł, żeby pochować jej karty po całym zamku. Było to,

choć frustrujące, jedno z jej najprzyjemniejszych popołudni spędzionych w tym lepszym od leśnej wieży więzieniu i nieprzerwanie tęskniła za czasami, kiedy Kai i jego kopiści przesiadywali w Modrym Oku, a nie w sądzie w mieście, do którego tak rzadko miała okazję zaglądać.

Ziemia pod pomnikiem była wybornym miejscem do chowania czegokolwiek – również tych prostych mikstur, które udawało jej się zrobić – ponieważ, mimo że kaplica była dość często odwiedzana, do pomnika wszyscy obawiali się zbliżyć. Choć Meglyne bardzo próbowała wierzyć w miłość Szarego Człowieka i modliła się dość często, nie bardzo potrafiła zaakceptować faktu, że jest bogiem. Musiał być potężną, prastarą istotą, to prawda, ale mieszkańcy krajów za Wielką Wodą żyli bez strachu o jego przychylność. Wypędzili go nawet ze swojego boskiego panteonu, wybierając błągą ignorancję swoich niemych, niewidzialnych bogów, i ich kontynent wcale nie został zrównany z ziemią. Oczywiście, wiara w Sześciu Artystów też była mało logiczna i niepraktyczna – ale przynajmniej można było na ten temat dywagować.

Meglyne wyprostowała się nad rozkopanej grudy zmarzniętej ziemi, przeglądając kompletność swojej talii. Kamienny Szary Człowiek, wyższy od niej o głowę, okryty lodowatym kapturem, trwał zapatrzony w przepaść pomiędzy stokami Falgonów. Wbity w ziemię. Nieporuszalny. Uwięziony. Co za głupia myśl, powiedziała głos wewnętrz Meglyne. Wsunęła przeliczone karty do kieszeni. Była gotowa na wieczór, na pierwszy od miesięcy wspaniały, pełnoprawny, zabawny karciany wieczór. Ale stała i przyglądała się Szaremu Człowiekowi.

W co on się tak wpatruje? Obejrzała się przez swoje ramię, Nie zobaczyła nic poza górkim zboczem i ciemnością. Czuła się nieswojo, kiedy była odwrócona do niego tyłem głowy, a jego twarz była niezmiennie nakierowana na nią. Czy to dlatego w kaplicy pomniki są zawsze skierowane tyłem do wiernych? Bo sam wyimaginowany wzrok pozbawionego oczu boga przyprawia o ciarki na plecach? Po co komu taki bóg?

Oczywiście, że po nic, ale cóż zrobić, kiedy ten bóg jest namacalny? Meglyne słyszała, że tuż przed jej przybyciem do Modrego Oka Szary Człowiek szedł przez Świętą Unię, zrzucając gwiazdy z nieba, roztapiając morza śniegu i wypędzając potwory z lasu. Słyszała, że Szary Człowiek zostawił na drzwiach do sypialni bibliotekarza rysy wydrapane pazurami – a następnego dnia bibliotekarza znaleziono martwego. Był on, oczywiście, stary i schorowany, więc po cóż tak się temu dziwić? Ale nawet Kai twierdził, że to Szary Człowiek zakończył żywot Riusa. Twierdził nawet, że to jemu na złość.

Meglyne nie bardzo wiedziała, dlaczego chciała to zrobić - być może dlatego, że realistycznie wyrzeźbiona pierś Szarego Człowieka znajdowała się na poziomie jej oczu – ale zapragnęła posłuchać jego serca. Odkąd usłyszała Zło w swoje Zakwitanie, bała się przykładać ucho do ziemi. Bała się nawet spać na boku i w duchu cieszyła się, że sypia w górzystym zamku, tak wysoko nad ziemią. Ale teraz, kiedy nawiedziła ją ta myśl o Szarym Człowieku, nie mogła jej tak po prostu zignorować.

Więc to zrobiła. Przyłożyła ucho do skały. Z sercem bijącym w jej piersi tak gwałtownie, jakby miało za chwilę z niej wyskoczyć.

Nie usłyszała niczego.

No tak. To nawet nie jest Szary Człowiek. To tylko kamienna figura.

Odeszła, mieszając nowe karty ze starymi.

\*

Spotkanie z królem było krótkie, nieformalne i wypełnione dotykaniem smoczego jajka, które przeszło przez dlonie wszystkich zebranych w sypialni Kaia i Cerro, a następnego dnia miało przejść też przez dlonie haronów. Fascynacja obiektem wydawała się triumfować w Myronie nad złością na książkę, bo chociaż obiecał „rozprawić się z Kairem jutro”, w czasie właściwego zboru, wraz z dziećmi i Habren chętnie przyszli zobaczyć się z Tyreusem. Myron koływał śmiejącym się siostrzeńcem ku ucieczce ciekawskich Liary i Kallo.

- Silny malec – powiedział. – Chevita mówiła mi, że karmiła Cerro takimi specyfikami, żeby mieć pewność, że na świat przyjdzie chłopak w doskonałej kondycji. Stale dopracowuje formułę, więc można sobie tylko wyobrazić, jakiego tytana powije Habren.

- Oby, Wasza Wysokość – przytaknął grzecznie Kai.

- Wiesz, że nie dopuszczę, żeby Tyreus miał jakikolwiek tytuł? Wyrzekłeś się swojego nazwiska, chcesz, żeby haroni byli wybierani elekcyjnie, a ja nie pozwolę, by stanął na drodze sukcesji choćby...

- Nie będzie miał żadnego tytułu. Będę go uczył wszystkiego, co wiem, ale sam zdecyduje, czy chce kandydować na harona.

- Powiedzmy, że ci wierzę. A jednak, gdybym miał wątpliwości, mógłbym go po prostu upuścić, a jego czaszka roztrzaskałaby się...

- Myron!

Habren aż wstała z kanapy, na której przysiadła. Guvernantka zbladła, Cerro poczerwieniała, a Liara i Kallo odskoczyli od ojca, kiedy Kai znalazł się tuż przy nim. Myron uśmiechnął się, obnażając zęby i oddając gruchającego Tyreusa w ręce Kaia.

- Silny malec – powtórzył i wyszedł z pokoju.

- Jest doskonały – dodała Habren, niby przystając, żeby dotknąć policzka Tyreusa, a tak naprawdę spieszając za Myronem, jakby nie mogła wytrzymać bez niego pięciu minut. – Mam nadzieję, że nasze dzieci będą serdecznymi przyjaciółmi.

- Ja również, Wasza Litość – przytaknął Kai.

- No nic, zbieramy się, dzieciaki...

- Jest bardzo ładny – oświadczyła Liara.

- Tylko ośliniony – dodał Kallo.

- Kallo! – obruszyła się Habren. – Już dajemy wam spokój. Dobranoc.

- Dobranoc.

Kiedy tylko odeszli, Kai przygarnął Tyreusa do serca, które było jak młot.

- Parszywy kutas – warknął, nie zważając na obecność guvernantki.

- Trzeba postawić dodatkową straż przy pokoju Tyreusa – dodała Cerro. - Nigdy nie wiadomo, co temu zjebowi strzeli do łba.

- Straż byłaby w sam raz, Wasza Miłość – przytaknęła ochoczo guvernantka, ciesząc się zagrożeniem i wagą swej pozycji.

Kai spojrzał na Cerro z miłością, ciesząc się brzmieniem imienia ich syna w jej ustach.

Kiedy ochlonęli i ulokowali przy pokoju dziecka trzech wyjątkowo wiernych strażników, którym Kai pomógł w sądzie w jakichś drobnych dla niego, a ważnych dla nich sprawach, udali się do pokoju karcianego, w którym już zasiadali wszyscy, łącznie ze śleczącym w progu Skyllem, napełniając puchary winem, częstując się ciastkami, owocami i pieczywem. Grali w balet, bo Meglyne uparła się, że dzięki kartom, które podarowała jej Cerro, odkuje się za wszystkie dotychczasowe porażki. Nic jej one, niestety, nie dały.

I Kai stale przegrywała, lecz z taką kompanią nawet przegrywanie było wspaniałą zabawą. Lourdes cały czas paplała, Mnemosyne go zakrzykiwała, Agda ogrywała ich jak chciała, a Madrigale zaglądała w karty Meglyne, przekonując ją, by pozwalała Cerro wygrać. Kai przyglądał się im wszystkim, czując, jakby zebrał w jednym miejscu własną rodzinę po długiej, koszmarnej rozłące. Tak wiele czasu minęło, odkąd widział Cerro, a nigdy nie widział jej tak promieniującej szczęściem. Tak wiele czasu, odkąd tanie, szorstkie materiały ubrań pismaków dotknęły aksamitnych obić krzeseł w aż komicznie przesyconym kosztownościami wnętrzu komnaty. Tak niewiele czasu minęło, a Meglyne z wyrzutka stała się kompletnie

zasybilowaną członkinią społeczeństwa. Tak niewiele czasu minęło, a Skylle, który stale próbował dołączyć do gry, aż pozwolili mu krążyć wokół stołu i podpowiadać, ze zdziczałego, wygłodzonego dziecka przemienił się w chłopca, który niczym, poza bliźniami, nie odstawał od dzieci lyrrów. Kai patrzył na to wszystko i był z siebie dumny.

Tylko nogą znów mu dokuczała. Noga i Silarus – ale myśl o obecności jednego była lepsza niż świadomość braku drugiego. Kiedy wszyscy zaczęli ziewać, Skylle zasnął, zwinięty w kłębek na sofie, i pojawiły się pierwsze wzmianki o późnej porze i powrocie do domu, Kai odpiął sprzączki protezy i zająrzał pod nie – pęcherzy było jeszcze więcej niż rano, a niektóre pękły i pachniały na tyle nieprzyjemnie, że Kai przedko je ukrył, wzduchając. Zdążył już wyczytać, że prawdopodobnie ma uczulenie na jakichś szlachetny metal w protezie i jego ciało brutalnie ją odrzuca, ale jego rozum nie zamierzał. Potrzebował tej protezy codziennie, cały czas, czasem bardziej niż jedzenia - jej i żadnego innego zamiennika. Chevita mówiła też, że niekiedy ludzie obcujący na stałe z magicznymi obiektyami uzależniają się od nich jak narkomani, ale uzależnenie Kaia było zupełnie logiczne i zrozumiałe – a nawet jeśli nie, nic go to nie obchodziło. Był uzależniony od magicznego metalu jak inni są od ukrwionego mięsa. To dzięki protezie, prezencie od miłości swojego życia, mógł być dalej sprawny, skuteczny - mógł pozostać sobą.

Aktualnie jednak jego jestestwo było tak obolałe, że nie mógł nawet wstać z krzesła, a co dopiero odprowadzić gości do wyjścia. Pożegnał ich serdecznie, udając, że jest śpiący i w ogóle się nimi nie przejmuje, bo przecież wiedzą, gdzie są drzwi. Meglyne i Cerro powiodły ich do zamkowej bramy, a Madrigale z trudem uniósł wciąż śpiącego Skyllego i wystekał, że niesie go do sypialni. Kai uśmiechnął się, wyobrażając sobie, że tak będzie niósł kiedyś Tyreusa. Jeśli Tyreus nie będzie tak długi, ciężki i nie będzie miał aż tak pajęковatych kończyn, rzecz jasna.

Cerro wróciła bez Meglyne i stanęła w drzwiach, oparta o framugę.

- Dobrze się czujesz? – zapytała.
- Tak – odpowiedziała. – Noga.
- Mówisz o niej Cheviecie?
- Praktycznie codziennie mówię o niej Cheviecie.
- Może powinieneś przestać ją nosić? Słyszałam, że magiczne protezy nie zawsze się przyjmują, czasem ciało je odrzuca...
- Nic nie odrzuca. Jest idealna.
- Więc nie ściągasz jej na noc, tak? Ledwo wyjechałam, a ty...

- Ściągam ją – skłamał. - Po prostu dużo chodzę za dnia. I nie, nie będę kuśtykać na tym patyku. Możemy porozmawiać o tym kiedy indziej?

- Nie wiem. A jesteś w stanie dojść do sypialni?

- Jestem – westchnął, zbierając karty i żetony z krańca stołu – Po prostu muszę posprzątać.

- No dobrze – powiedziała z przekąsem. – Więc skoro nie potrzebujesz mojej pomocy, idę do łazieni.

- Nie potrzebuję. I miłej kąpieli.

Pożegnali się pełnymi jadu uśmiechami i Kai miał nadzieję, że w żołędziu Cerro odezwały się te same gorące dreszcze, co w jego. Odeszła, a Kai pozostał sam. Z ulgą poluzował zatrzaski, ignorując smród. Rozdzielił karty od żetonów, znalazł zgubionego przez kogoś nuda, wsunął go do kieszeni i, choć sam chciał skierować się do sypialni Tyreusa, a potem do łazieni, wpatrywał się w pęcherze, od których, choć obrzydliwe, nie mógł oderwać wzroku. Nie mógł nawet bez syku dotknąć skóry na kikucie, która zaczerwieniła się, napięła i przy najlżejszym dotyku palca bolała, jakby wsadził ją w pokrzywę. Chevita znów każe mu leżeć w łóżku przez kilka dni.

- Słyszałem kiedyś, że magiczne protezy działają odwrotnie do stygmatów – Kai uniósł głowę i prędko zasłonił nogę, widząc Madrigale'a. – Zamiast powstrzymywać magię i szaleństwo przed rozprzestrzenieniem się po całym ciele, wpompowuję je w zdrowy organizm.

Poeta zamknął drzwi i usiadł na końcu stołu, wystukując paznokciami rytm znanej tylko sobie piosenki. Kai uśmiechnął się kwaśno.

- Działa bez zarzutów. Muszę mieć uczulenie na metal albo...

- I żadnych objawów szaleństwa? Żadnego zapominalstwa? Halucynacji? Nagłych zmian nastojów?

- Żadnych. Zamknąłeś drzwi i zabawiasz mnie rozmową, więc zgaduję, że masz do mnie interes.

Madrigale uśmiechnął się lekko, poprawiając szkła na nosie.

- Nie mogę już pracować w sądzie.

- Dlaczego?

- Wyjeżdżam. Pora mi jechać dalej. Szukać nowych inspiracji.

- A Skylle?

- Jakoś to przeżyje. Przeżył rozłąkę z pułkownikiem.

- Ledwo.

- To silny chłopak.

Kai zmarszczył brwi.

- Jesteś pierwszym pracownikiem, który mnie opuszcza – zorientował się. – Nie wiem, jak zareagować. Zaofertać ci podwyżkę? Nie chcę płacić ci więcej niż reszcie tylko dlatego, że jestem do ciebie przywiązany.

- Żadna fortuna mnie nie przekona – odparł Madrigale. – A praca dla ciebie to była sama przyjemność. Bez trudu znajdzie się ktoś na moje miejsce.

- Ale będzie mi ciebie brakować.

- Wiem.

- I znikasz od razu po zborze?

- Znikam jeszcze tej nocy.

Kai pokiwał głową. Było mu żal. Był jak pies przywiązany do właściciela – za każdym razem, kiedy ktokolwiek go opuszczał, czuł się, jakby wyrwano z niego częstkę duszy. Nawet nie chciał myśleć o tym, co się stanie, kiedy Cerro znów wyjedzie. Kiedy Skylle zostanie posłany do Akademii. Kiedy Tyreus dorośnie.

Zabrał się za zapinanie klamer na pęcherzach, żeby móc wstać i uścisnąć rękę Madrigale'a tak jak przystało. Zrobił to, zachwiał się, ale i tak uśmiechnął do napiętej, bladej twarzy Madrigale'a, która nagle znalazła się szokująco blisko.

Ból rozdarł brzuch Kaia, jakby ktoś wraził w niego ostrze – spojrzał w dół i zobaczył je, wbite aż po rękojeść. Uniósł głowę. Chciał wiedzieć, dlaczego.

Nóż wbił się w jego pierś.

Teraz Kai chciał tylko przeżyć. Odepchnął Madrigale'a z całej siły. Kiedy ten nawet nie drgnął i wbił nóż kolejny raz, Kai wraził paznokcie w jego ramiona, nie chcąc osunąć się na podłogę, jakby tylko ona dzieliła go od śmierci.

Wtedy poczuł, jakby ze środka wylewało się jego serce, wątroba, wodospady krwi. Chwycił się za koszulę poznaczoną dziesiątką dziur. Nie wiedzieć, kiedy, był na podłodze, a każde jego słowo tonęło w potokach krwi. Nie wiedzieć, kiedy, Madrigale wyszedł, zamkając za sobą drzwi.

\*

Admirał Silarus miał wspaniały plan. Plan wybitny. Plan totalny. Ale plan ten nie przewidywał, że kiedy admirał wraz ze swą drobną drużyną do zadań specjalnych, swoją

nową własną Sforą Sfinksa, dotrze do Naucenemes, z Falgonów już będzie biła pomarańczowa luna.

Silarus puścił się galopem na tyle, na ile było to możliwe na pokrytych lodem stopniach prowadzących do Modrego Oka. Mijał ludzi uciekających konno, z reszkami dobytku, z reszkami trzody, tylko z koszulą na plecach. Rozpoznał stajennego, rozpoznał kilku zamkowych strażników, rozpoznał Pomarszoną Moirę. Jedyne słowa, jakie udało się od nich wydobyć, to wydyszane „Zamek płonie.”

Tak naprawdę płonęły dwa ogromne stosy drewna zabranego z chlewów, misternie rzeźbionych mebli i książek, do których żołnierze generała i strażnicy zamku cały czas dorzucali nowych egzemplarzy. Budynek wydawał się otoczony pierścieniem ognia, który pochłonąłby każdego, kto wpadłby na pomysł ucieczki przez okno.

Generał Temidan opierał się na skleconym naprędce stole, na którym leżały plany zamku. Pochylał się tyłem do płomieni, otoczony przez ważniejszych wojskowych i dowódcę zamkowej straży we własnej osobie. Kapitan Melvourne po prostu stał i gapił się na budynek, z którego dobiegały krzyki i huki.

- Co się dzieje?! – Silarus zwrócił się do generała, przekrzykując tumult. – Miałeś na mnie czekać!

- Nadarzyła się okazja – odparł spokojnie generał. Nawet na niego nie spojrzał.

Silarus miał wielką ochotę się z nim pokłócić. Właściwie, miał wielką ochotę go uderzyć. Ale nie było czasu. Zeskoczył z konia i wbiegł do zamku, starając się wyprzedzić swoją drużynę - ale ta biegła za nim wiernie jak cień. Niektórzy służący kulili się w kątach, niektórzy czym prędzej wybiegali z zamku, zaskoczeni, że armia generała jest kompletnie nie zainteresowana gwałtem i torturami. Ona po prostu wyrywała ze ścian i podnosiła z podłóg wszystko, co mogła wrzucić do stosów, jednocześnie krzycząc o piorunie, który podpalił Modre Oko.

Silarus dopadł sypialni Kaia i Cerro, w której trzech żołnierzy cięło wielkie łóża na kawałki. Dwóch wyrzucało krzesła przez okno, prosto w płomienie. Po Kaiu i Cerro na szczęście nie było śladu.

- Nie ma ich – Silarus usłyszał zza pleców głos Irjaha.

- Tam – odpowiedział Laenid Pelgag. Rozległ się tupot ich butów.

Silarus odwrócił się, rozsierzdzony, że nie czekali na jego rozkaz - wtedy zobaczył kierunek, w którym zmierzali, i zrobił wszystko, żeby dotrzeć tam wcześniej.

Wbiegł za nimi po schodach do starej sypialni Cerro, łapiąc za poły płaszczu Syrakusa i niemal zwalając go ze schodów w szaleńczym wyścigu. Dopadł do drzwi, rozpychając się

między Laenidem i Averem, którzy już byli w środku – w samą porę, żeby zobaczyć, jak z wystawionej za okno ręki Irjaha wysuwa się dziecięca nogą.

Dziecięcy płacz cichły, aż pochłonęła go pożoga.

- Wykonane – powiedział na widok Silarusa Irjah.

Silarus nie myślał. Po prostu robił.

Wyciągnął miecz i ciął tylko raz. Przez szyję. Trysnęła z niej krew. Odtrącił Irjaha, który upadł, charcząc, na podłogę, i wychylił się przez okno – w buchającym pod niebo ogniu podsycanym laną przez żołnierzy i strażników gorzałką nie było już ani śladu dziecka.

- Oszalałeś?! – wrzasnął Laenid. – On nie żyje!

Nie było już ani śladu dziecka.

- Pojebało cię! – ryknął Aver, tarmosząc Silarusa za przód munduru i niemal opluwając mu całą twarz. – Zabiłeś go!

Nie było już ani śladu dziecka.

Silarus gruchnął Averem o ścianę, przyciskając miecz do jego krtani.

- Nie słyszałem, żebym wydał rozkaz – warknął.

- Generał wydał! – odkrzyknął Laenid, wciąż z Irjahem w ramionach.

- Czy wy służyście w wojsku od wczoraj?! Ja jestem waszym dowódcą! Generała nie ma w tym pokoju! Idziemy! Ja przodem, wy dwa kroki za mną, i zabiję was bez mrugnięcia okiem, jeśli choćby zajrzycie do innego pokoju bez mojego rozkazu!

Pozwolił stopom Avera opaść na podłogę. Wyszedł pierwszy. Reszta podążyła posłusznie dwa kroki za nim.

\*

- Wstawaj.

Meglyne otworzyła oczy. Zobaczyła przed sobą twarz Chevity.

Śniło jej się, że piorun uderzył w zamek. Ale trzask ognia i krzyki wybrzmiewały zza ścian również na jawie.

- Ubieraj się. Szybko.

Meglyne nałożyła prędko onuce, zimowe buty sięgające jej kolan, ciepłą bieliznę, gorset i...

- Nie ma na to czasu. Suknia i płaszcz.

Odłożyła gorset. Nałożyła suknię i płaszcz.

- Co się...

- Zamek płonie.

- Płonie? Dla...

- Nie możesz nikomu ufać, nie możesz z nikim rozmawiać. Pójdziemy do tajnego przejścia, pod którym stoją dwa konie. Wsiądziesz na jednego i będziesz jechać na południe, do Alkaidei. Tam znajdziesz artefaktorkę Occę i powiesz, że to ja cię przysłałam. Rozumiesz?

Meglyne ledwo widziała twarz Chevity zza mgły przerażenia.

- Rozumiesz?!

- Przejście, koń, południe, Alkaidei, artefaktorka Occa.

- Dobrze. Nie ruszaj się teraz.

Położyła rozcapierzone dlonie na głowie Meglyne tak, jakby chciała zerwać z niej skórę – potem przesunęła dłońmi po jej twarzy, szyi, ramionach, biodrach, udach, łydkach i stopach. Za szlakiem jej palców pojawiła się nicość. Meglyne stawała się niewidzialna.

- Działa, dopóki się nie odezwiesz – powiedziała. – Więc ani słowa, ani dźwięku, kiedy będziemy iść do przejścia. Musisz tam wejść sama. Ja mam jeszcze kogoś do znalezienia. Złap mnie za ramię i nie puszczań.

Meglyne chwyciła za szkarłatny materiał szlafroka na ramieniu Chevity, a magini otworzyła drzwi i ruszyła pospiesznym krokiem, za którym Meglyne ledwo nadążała. Na jej piętrze, na piętrze służby, było cicho i pusto. Tylko rozbite wazony i uchylone drzwi do sali tronowej zdradzały, że coś jest nie tak. To na górnych piętrach był tłok; mnóstwo ludzi w czarnych mundurach, mnóstwo zamkowych strażników w zbrojach z Wilczycą. Niektórzy stali spokojnie, niektórzy mamrotali, zamroczeni bimbrem, a niektórzy przeszukiwali pobliskie pokoje z szaleńczym zapamiętaniem.

Żołnierz, który opierał się na azyrydzie u szczytu schodów tam, gdzie był pokój Tyreusa, krzyknął za Chevitą.

- Hej! Nie możemy znaleźć...

- Ja też nie – ucięła czarodziejka i poprowadziła Meglyne we wnękę przy fresku z niedźwiedziem.

Była ona pusta, jeśli nie liczyć trzech leżących na sobie strażników, porzuconych we wspólnej plamie krwi. Inni skupili się na drugim końcu korytarza, gdzie kilku ludzi leżało na noszach, dysząc podczas opatrywania. Magini uderzyła dłonią w niedźwiedzia, który odczlapał, i uchyliła lekko przejście.

- Uciekaj. Szybko – szepnęła. – Nie oglądaj się.

Meglyne wśliznęła się do ciemnego korytarza, a Chevita zamknęła za nią przejście bez słowa pożegnania. Otaczała ją bezdenna, straszliwa ciemność, przez którą ledwo mogła się

ruszać. Nie rozumiała nic z tego, co działało się wokół niej – czy Kai jest bezpieczny? Czy Tyreus jest bezpieczny? Czy Cerro i Skylle są bezpieczni? Czy kiedykolwiek coś im zagrażało czy jednak...

Meglyne wzięła głęboki oddech. Kazano jej uciekać – więc zaczęła to robić.

Na struchlałych nogach sunęła bokiem przez wąski korytarz, bojąc się wydać głośniejsze westchnięcie. Prawie zapomniała o maleńkich otworach, przez które mogła zatrzymać do trzech pokoi, a które i tak były w tym mroku niewidzialne – jednak za jednym z nich migło światło i słyszać było glosy. Meglyne przełknęła ślinę. Przyłożyła do niego jedno oko.

Na łóżu w królewskiej sypialni leżał król Myron z otwartymi oczami i krwawą linią na krtani. Królowa Habren siedziała pod ścianą z pochyloną głową i rozprutym brzuchem. Jacyś ludzie, których nie widziała, stali w progu i rozmawiali o czymś, czego nie słyszała.

- Och, nie... - jęknęła i prędko zatkała usta. Sprawdziła, czy w świetle sączącym się przez otwór mogła zobaczyć swój palec. Mogła. Czar przestał działać. Musi się spieszyć. Pot ciekł po jej skroniach i policzkach.

Ale wtedy otwór, który chwilę temu był niewidoczny, rozbłysnął światłem, a zza niego rozległy się triumfalne, nagle urwane okrzyki. Meglyne przylgnęła do tej właściwe dziury.

Do pokoju karcianego próbowało włąć się kilku żołnierzy, na których czele stał pułkownik Silarus Temidan. Stał i patrzył w dół, a na dole leżał Kai, za którym, od ściany zachodniej do wschodniej, ciągnął się krwawy, wężowy ślad. Palce Meglyne instynktownie powędrowały do jej gardła, jakby chciały w zdusić rodzący się w nim krzyk. Jedyne, co w Kaiu się ruszało, to ręka, ręka z zabliźnionym słowem „UCIEKAJ”, którą prawie dotknął czubka buta stojącego nad nim pułkownika Silarusa.

Pułkownik przykucnął. Drżąca dłoń Kaia dotknęła jego buta.

Pułkownik przyłożył nóż do gardła Kaia. Pociągnął nim w bok.

Meglyne nie wiedziała, jakim cudem rozbłyskująca w jej głowie fala porażającego światła nie zabiła wszystkich, którzy byli w zasięgu jej wzroku. Nie wiedziała, kiedy jej palce wpłynęły w jej czaszkę. Nie wiedziała, kiedy i co krzyknęła – ale pułkownik Silarus uniósł głowę, marszcząc brwi, i spojrzał wprost na nią, wprost na dwa małe otworki we fresku przedstawiającym południowy kraniec Świętej Unii, i ona patrzyła prosto na niego i nie mogła przestać, jakby od długości tego spojrzenia zależała śmierć pułkownika.

Oddałaby wszystko, by móc zabijać wzrokiem!

- Słyszeliście? – powiedział jeden z żołnierzy.

- To duch z zachodniej wieży – odpowiedział ktoś inny.
- To ktoś w tajnym przejściu! – powiedział ktoś inny.
- Tu jest tajne przejście? Kurwa mać, gdzie jest ta księżniczka?!

Silarus wstał i wyszedł, mówiąc coś, czego Meglyne nie rozumiała. Nie rozumiała nic, poza tym, że zamordował Kaia. Żołnierze umawiali się, który z nich zostanie pilnować komnaty, w której leżał zamordowany przez Silarusa Kai. Meglyne trzymała oczy szeroko otwarte, jakby mogła dzięki temu zobaczyć najdrobniejszy ruch mięśnia, najdrobniejsze drgnięcie źrenicy, najmniej oczywisty znak, że Kai nie został zamordowany. Że to tylko podstęp. Żart. Gra.

Ale Kai leżał zapluty czerwienią, z nieobecnym wzrokiem, z rysą na krtani, w coraz większej kałuży szkarłatnej krwi. Pilnujący go żołnierz zapalił fajkę. I on nie padł martwy pod naporem jej pozbawionego daru zabijania spojrzenia.

Meglyne wypłatała palce z włosów, połknęła łzy i ruszyła dalej.

\*

Cerro zamachnęła się i uderzyła w zatrzasz otwierającej się klapy. Wzięła drugi zamach, ale Chevita uniosła rękę, żeby ją zatrzymać.

- Chcę ci pomóc – szepnęła.
- Akurat – warknęła Cerro.
- Nałożź to.

Wrzuciła na ukryty stryszek zwinięte w kłębek ubrania.

- Po co?
- Bo w tym uciekniesz.
- Przed kim mam uciekać? Kto nas atakuje?
- Yazor Temidan, a kóżby inny? Nie ma czasu na wyjaśnienia, nakładaj...
- Po co nas atakuje? Co mu...
- Jedyne, co wiem, to że twój brat i bratowa nie żyją. Wątpię, że oszczędzą dzieci, a tym bardziej ciebie. Pomogę ci uciec. Ubierz się w to.

Głowa Chevity zniknęła z otworu w podłodze, kiedy stanęła przy drzwiach, nasłuchując czyichś kroków. Cerro ściągnęła swoją wyszywaną bursztynem suknię i nałożyła przyniesione przez magini fartuch i czepek pokojówki, cienki płaszcz i zdarte buty.

- Co z Kаем? – zapytała, wyskakując z klapy ze starym mieczem w ręku. – Co z Tyreusem i Skyllem?

- Nie wiem – Chevita natychmiast wytrąciła jej miecz. – To bezużyteczna zabawka, która może tylko przysporzyć ci kłopotów.

- A co, jak ktoś mnie...

Chevita chwyciła ją za ramiona, ściskając mocno.

- Twoim celem jest nie być zaatakowaną. Kiedy ktoś spróbuje, będziesz uciekać, rozumiesz? Nałożę teraz na ciebie czar niewidzialności, ale on działa tylko, póki się nie odezwiesz. Więc ani słowa. Zaprowadzę cię do tajnego przejścia, a ty będziesz iść przed siebie, aż dotrzesz do wyjścia. Tam znajdziesz konia, wsiądziesz na niego i pojedziesz na południe, do Alkaidei. Znajdziesz tam artefaktorkę Occę i powiesz, że to ja cię przysłałam. Rozumiesz?

Cerro nie odpowiedziała, kiedy Chevita nią potrząsnęła.

- Rozumiesz? Powtórz.

- Zaprowadzisz mnie, mam się nie odzywać, pójdę przed siebie, znajdę konia, pojadę do Alkaidei i znajdę artefaktorkę Occę.

- Dokładnie. Teraz nałożę na ciebie czar, i od tej pory ani słowa.

Kiedy Cerro zeszła z wieży za Chevitą, uczeponia jej ramienia, trafiły nad główny hol pełen opatrujących się nawzajem żołnierzy. Niewielu było rannych, mniej niż martwych zamkowych strażników z Wściekłą Wilczycą na piersi, a tych z kolei znacznie mniej niż strażników rozmawiających przyjaźnie, popalających fajki i popijających ze wspólnej piersówkii wraz z najeźdźcami.

Ci ludzie przysięgli bronić zamku. Przysięgli bronić rodziny królewskiej własnym życiem. Cerro nigdy się nad tym nie zastanawiała, ale teraz czuła się, jakby codziennie cudem budziła się, nie zagryziona przez tę krwiożerczą watahę, która wreszcie zwęszyła posokę, a w której łapy życie Cerro zostało złożone jeszcze zanim się urodziła.

Część z nich macała obląkańczo ścianę, na której znajdowało się malowidło niedźwiedzia próbującego dobrać się do ula - tyle że niedźwiedzia nie było. Cerro zawsze wiedziała, że tam musi być tajne przejście! Zawsze wiedziała, że ściana jest w tym miejscu podejrzana!

- Cholera – syknęła Chevita. – Nie damy rady dostać się tedy. Przez kuchnię nie da rady, bo wewnętrzny dziedziniec jest przepelniony. Jeśli znasz jakieś inne przejście, zaprowadź mnie tam. Pamiętaj, ani słowa.

Cerro pociągnęła za rękaw Chevity, która rozpychała się pomiędzy żołnierzami szeroko rozpostowanymi ramionami, żeby nikt nawet kawałkiem ciała nie otarł się o Cerro. W końcu wyległy z tłumu do biblioteki, w której było pusto, chłodno i cicho. Cerro podeszła

do sekcji książek magicznych, wyciągnęła ogromny tom *Bez barier* pióra magina Himerą, znalazła odpowiednią stronę i rzuciła ją na ziemię – na stronach książki ziała dziura akurat na tyle przepastna, by dała radę się przez nią przecisnąć.

- To jest twój sekret? Książka dla dzieci? – westchnęła Chevita. – No tak... Dasz radę przejść tylko za ścianę, a za nią płoną stosy... Ale dobrze. Spróbuję znaleźć bezpieczne miejsce, a ty odejdziesz za mury, na polanę, na której trenowałaś z Kiem. Tam poczekasz, aż zorganizuję innego konia. Wsiądziesz na niego i pojedziesz do Alkaidei, do artefaktorki Occy. Pamiętaj, kiedy stąd wyjdziesz, nie oglądaj się za siebie, nie zważaj na nic, poza sobą. Na szlaku nie mów nikomu, kim jesteś. Najlepiej z nikim nie rozmawiaj aż do Alkaidei.

Wyciągnęła z kieszeni przy pasie pękaty mieszek, który zważyła w dłoni.

- Powinno wystarczyć na całą podróż. Masz.

Cerro schowała mieszek w kieszeni płaszcza i chciała podziękować, ale w porę przypomniała sobie o czarze. Chevita dotknęła dłońmi kamiennej ściany, jakby mogła wyczuć, co za nią jest, aż w końcu powiedziała:

- To tu. Blisko ognia, ale nic ci się nie stanie, jeśli nie spanikujesz. Potem przejdziesz obok bramy i pobiegnesz na polanę. Nie bój się, spiesz się, ale nie trać ostrożności. I pilnij, żeby nie podzwaniać pieniędzmi.

Cerro kiwnęła głową, upewniła się, że mieszek leży w kieszeni bezszelestnie i przeszła przez otwór w książce, którą Chevita przytrzymała dla niej przy ścianie.

Żar buchnął w jej twarz z taką siłą, że prawie pisnęła, ostatecznie tylko zasłaniając twarz ramieniem. Była blisko płonących mebli, ale nie na tyle, by się sparzyć. Przeszła obok i zobaczyła mur, który nigdy nie wydawał się jej tak długi i wysoki jak teraz. Niektórzy żołnierze pod nim stali, inni siedzieli. Niektórzy wyglądali na znudzonych, inni przerażonych, jeszcze inni po prostu rozmawiali. Jeden wymiotował, a drugi klepał go po plecach, co chwilę podając mu bukłak wody. Cerro szła w równym odstępie od nich i od ognia, do przejścia w bramie strzeżonej przez nieco większą grupę, powtarzając sobie, że nie może się bać, że nikt nie jest w stanie jej zobaczyć.

- O, śnieg – mruknął jeden z żołnierzy, wystawiając rękę do smolistego puchu spadającego z nieba.

Wtedy nad kimś, kto siedział przy bramie, rozstawiono baldachim. Cerro zobaczyła Yazora Temidana. Zobaczyła puchaty płaszcz, którym był okryty, stół, nad którym się pochyłał, i ubranych w czarne futra ludzi, z którymi rozmawiał.

- ...bardzo dobrze – mówił jeden z nich, głoścząc rękojeść swego miecza. – Cóż ona może zrobić?

- Nie zostawia się potencjalnych mścicieli – Cerro mimo woli usłyszała głos Yazora. Nie miał nawet tyle jaj, żeby odwrócić się w kierunku zamku, który sam masakrował. Wybiegł z niego właśnie jeden z żołnierzy, bijąc się jeszcze w biegu w pierś. – No, i jak z tym przejściem?

- Ani drgnie – wydyszał żołnierz. – Magini mówi, że to dlatego, że ktoś dalej jest w środku.

- Gdzie jest wylot?

- Szukamy.

- Psia kurwa mać – wycisnął przez zęby Yazor.

- Ależ, generale... - odezwał się jowialnie jeden w czarnym futrze.

- Cisza. Muszę pomyśleć.

Ale nie dane mu było pomyśleć zbyt długo, ponieważ przez bramę przejechał jeździec, któremu wszyscy ustąpili z drogi, łącznie z Cerro. Jeździec zeskoczył z konia i ukłonił się przed generałem.

- Melduję w imieniu sierżanta Oaktera, że wykonano – wydyszał, szczęśliwy. – Pamięć hajcuje się aż pod niebo.

- A rodzina harona? – dopytał Yazor, nie patrząc rozmówcy w oczy.

- Wybita co do jednej, służba oszczędzona. Strażnicy w większości, niestety, nie.

- I tak dobra robota – westchnął ciężko Yazor. Jakby wszystko to sprawiało mu wielką przykrość. – Możesz odpocząć, zanim ruszysz w drogę powrotną. A to zamczysko też trzeba pewnie będzie zrównać z ziemią.

- Co takiego? – odezwało się czarne futro. – Przez jedną dziewczę?

- Przez to, że ta banda trenowanych przez was beks nie potrafi jednej dziewczki znaleźć!

- Ależ, generale, dla większości z nich to pierwsza w życiu bitwa...

- To rzeźnia, a nie bitwa, i z tym sobie ledwo radzą! Pelgag, Kastirron, każcie im układać stosy w korytarzach.

Dwóch oficerów niechętnie odeszło od stołu, na którym leżały kartki przekreślonych słów i planów zamku. Cerro była za blisko, zdecydowanie za blisko, jeśli mogła rozszyfrować swoje nazwisko wśród tych nie przekreślonych, musiała się przemóc i zrobić krok do tyłu...

- Kankom, możesz coś z tym przejściem zrobić?

Człowiek z seledynowymi stygmatami na rękach podrapał się w porośnięty szczećiną podbródek.

- Magini ma rację. Nie da się tego otworzyć, póki ktoś tam jest – odpowiedział. – Ale puścisz zamek z dymem, i będzie po wszystkim. Póki co, porozmawiajmy o czymś relaksującym. O podziale łupów, na przykład.

Cerro zbliżyła się do bramy, przestepując nad trupem strażnika, który umarł z dłonią na rękojeści miecza schowanego w pochwie.

- Nie ma żadnych łupów. To tylko ścierwo – Yazor westchnął głęboko, wpatrując się w plany. – Wyrośnie na nim trawa, a nie kwiat paproci.

- Nigdy nie wiadomo. W ludowych porzekadłach może być ziarno prawdy.

- Lud nie ma tyle pieniędzy, by kupić to, co im oferujesz.

- Ale niektórzy czarodzieje i lirrowie mają. A obaj wiemy, że większość z nich nie jest wiele bystrzejsza od przerzucacza gnoju.

- Sprzedałbym ci ciało harona – ciągnął Yazor – gdyby ten ciemny lud, do którego zalicza się również moje wojsko, już nie pociął go na kawałki. Podzielili się nim jak „łupem”.

Mag zbladł.

- Odkupić też go nie można?

- Można, można. Tylko musisz trochę pobiegać. Popytać, kto ma skrawek. W końcu uda ci się zebrać wszystko do kupu.

Jeden z żołnierzy stojący niedaleko nich parsknął śmiechem. Yazor wciąż krzywił się, jakby prześladował go straszliwy ból brzucha.

- A haroniątko? – dopytał mag.

Yazor pokręcił głową.

- Spalone na popiół.

Wargi maga poruszały się, głowa Yazora kiwała, usta żołnierzy otwierały się, języki ognia pięły się do zamkowych okien.

Ręka Cerro chwyciła miecz trupa, jej nogi ruszyły do biegu, jej ramię zamachnęło się pod doskonałym kątem...

Wyrósł przed nią Melvourne i jego miecz, w który Cerro rąbnęła tak, że jej ostrze odbiło się i ugodało w jej własne czoło. Impet odepchnął ją, straciła równowagę, ale prędko ją odzyskała. Dotknęła twarzy, spodziewając się, że jest przepołowiona, ale była tylko mokra i lepka. Rzuciła się przed siebie, próbując wyminąć Melvourne'a, ale ten podstawił jej nogę - gdy nad nią przeskoczyła, uderzył ją pięścią w brzuch. Jej miecz szurnął o blat stołu, opal od palców generała, robiąc w nim głębokie wcięcie, a Cerro upadła na plecy, chwytając oddech łapczywie, wciąż z mieczem w dłoni. Melvourne stanął na jej nadgarstku, i wkręcił go w

ziemię, a ona uparcie nie puszczała rękojeści i wierzgała nogami, próbując wstać i się uwolnić.

- Wystarczy!

Melvourne wciąż stał na jej dloni. Był ubrany w prawdziwą wojskową zbroję. Bitewną. Pełną ostrych rysów i stalowych ochraniaczy. Trzymał koniec miecza przed jej nosem. Jego twarzy nie widziała przez cienie rzucane przez ognistą pożogę. Ktoś wyrwał jej ostrze z ręki jak zabawkę słabowitemu dziecku. Melvourne cofnął się o parę kroków. Cerro wierzgnęła się, by wstać, by wrócić do walki, by zajebać go gołymi rękami, kiedy uświadomiła sobie, że stoi w kręgu czarnych mundurów jak dziadło w cyrku.

Wszystko, poza ogniem, zamilkło. Wszyscy, którzy widzieli, co się stało, stali i wpatrywali się w nią szeroko otwartymi oczami. Yazor Temidan stał i się na nią gapił, trzymając troskliwie prawie utracone palce jednej dłoni w drugiej. Cerro zrobiła krok w jego stronę, otwierając usta i czując, jak wlewa się do nich wodospad krwi, nie pozwalając przekląć jego i całej jego zawszej rodziny na pięć pokoleń wprzód. Jacyś ludzie złapali ją za ramiona i powalili na ziemię, wciskając twarz w glebę. Cerro zawyła upiornie. Wściekle.

- Nie znam się na prawie – powiedział Yazor, kiedy musiała przerwać, żeby wypluć krew i ziemię. – Nie wiem, jaka jest kara dla kobiety używającej miecza. Będę musiał sprawdzić w kodeksie.

\*

Moth przyglądała białą szarfę Itsuka. Choć dopiero co połknęła łzy, jej oczy już napełniały się kolejnymi.

- Musimy iść – szepnęła, dotykając jego policzka. Itsuk przycisnął jej dłoń do ciepła swojej skóry i kiwnął głową.

Procesja pogrzebową była tak gęsta, że nie było chyba żadnej ulicy Naucenemes, która nie była biała. Wszyscy chcieli odprowadzać króla i królową w ich ostatnią podróż na cmentarz na Sowie Wzgórze, choć pewne było, że tylko lirrowie będą dopuszczeni za jego bramy. Itsuk i Moth maszerowali jednak wraz z masą ludzi, z Gideonem na rękach, modląc się o to, że Skylle jakimś cudem przeżył pożar. Z obwieszczenia wynikało, że większość służby się uratowała, tak samo jak, szczęśliwie, nowy król i jego siostra. Tylko Najszarszy Haron, jego dziecko, król i królowa, kilku strażników, dam dworu i rycerzy zginęło, pochłoniętych przez płomienie. Nie udało się nawet zebrać ich popiółów, żeby było co

wrzucić do grobu. Ale nikt nie wspomniał nic o chłopcu, którego Najszarszy Haron przygarnął. Nikt nie odpowiadał na ich pytania.

W każdym rogu podium Zielonego Rynku, obok którego właśnie przechodzili, stał jeden żołnierz w czarnym mundurze, z dlonią na rękojeści miecza. Itsuk i Moth próbowali nie patrzeć, ale nie mogli – księżniczka Cerro już czwarty dzień trzęsła się, przywiązana do przegierza, z nagą skórą napuchłą od batów. Była ubrana tylko w cienką sukienkę rozpiętą wzdłuż pleców, a na twarzy, pod ostrzyżonymi po męsku włosami, miała jeden wielki strup. Karmiona była tylko raz dziennie, przez nadworną czarodziejkę, której nie wolno było z księżniczką rozmawiać, tak jak zresztą każdemu, kto obok niej przechodził. I od niej nie mogli się więc niczego dowiedzieć na temat losu Skyllego.

Nikt nie wiedział, czym zawiniła, choć plotek było wiele. Że to ona zaproszyła ogień. Że zabiła własne dziecko. Że spłodziła je z prawdziwym wilkiem. Itsuk nie wiedział, w co wierzyć. Nie bardzo chciał cokolwiek wybierać. Chciał po prostu, żeby oszczędzili jej cierpienia.

Jakieś dziecko w tłumie wybuchło płaczem, i Gideon natychmiast poszedł w jego ślady. Przez resztę drogi Itsuk i Moth wymieniali się nim, próbując uspokoić, aż zasnął na ramieniu Moth z nosem poczerwieniałym od mrozu i wyczerpania. Stanęli na poboczu, stwierdzając, że pora wracać do domu. Widzieli stąd rezydencję Harona Mądrości przystrojoną białymi kirami. Widzieli rycerzy i lyrrów z całej Świętej Unii w białych płaszczach, szarfach, z białymi proporcjami w rękach, na tle białych wzgórz. Jeszcze parę dni wcześniej, gdyby spojrzały w prawo, zobaczyły wieże Modrego Oka wtopione w skały Falgonów – teraz były to ledwo widoczne zgliszcza, z których już nawet przestało się dymić.

\*

- Zabieram cię do domu, Skylle.

Skylle wciąż kiwał się w tył i przód, płacząc. Odkąd obudził się z Madrigale’em na koniu, odkąd zobaczył płomienną lunę bijącą z północy, odkąd Madrigale mu wyjaśnił, że zdołał go z niej uratować, odkąd usłyszał od mijanego na szlaku podróznego o pogrzebie - nie mógł przestać się kiwać.

- Oni wszyscy nie żyją...

- My żyjemy, Skylle! Powinieneś się radować!

- I król, i Kai, i Tyreus...

- Co cię to wszystko obchodzi, Skylle? Jedziesz do domu!

- Ja nie mam domu! Wyrżnęli wszystkich, którzy w moim domu mieszkali! Dlaczego nie chcesz mnie zanieść do Itsuka i Moth?!

Madrigale wziął głęboki oddech.

- Ponieważ wiozę cię do twoich prawdziwych rodziców.

Skylle zastygł.

- Do matki, która cię urodziła – brnąłł Madrigale, korzystając z momentu jego skupienia – i ojca, który cię spłodził.

Ale ten moment nie trwał długo, bo Skylle odepchnął nauczyciela i zerwał się z powalonego pnia, znów wypłakując sobie oczy.

- Co ty pierdolisz?! – wrzasnął. – Czego ode mnie chcesz?! Dlaczego uratowałeś mnie, a nie Kaia, nie Tyreusa?!

- Bo twoi rodzice wysłali mnie, żebym uratował ciebie!

- Co to znaczy?! Co to, kurwa, znaczy, co?!

Madrigale zaczerpnął powietrza, starając się brzmieć rzeczowo.

- Twoi rodzice mieszkają w Megarancie, niedaleko Miasta Szeptów. Kiedy ostatnio się z nimi widziałem, mieli, oprócz ciebie, jeszcze czwórkę dzieci. Nazywają się Kiptr i Loeb Paelmiv, a ty masz tak naprawdę na imię Akkon. Tak samo jak ja, swoją drogą.

Uśmiechnął się z sympatią.

Skylle wpatrywał się w niego jak w szaleńca.

- Dlaczego mi to robisz? – jęknął. – Co to za chora gra?

- Nic ci nie robię, Skylle. W nic nie gram. Chyba, że grą nazywasz ratowanie cię i zabieranie cię do domu. Widzisz, ty i ja jesteśmy z ludu, którego tutejszy lud panicznie się boi. Z Akmneruuli. Straszą nami dzieci, i pewnie ciebie też straszyli, kiedy byłeś mały. Nazywają nas Ludźmi Nieba.

Skylle puścił się biegiem przed siebie, lecz Madrigale dopadł go, dostając przy okazji w twarz. Jego okulary opadły w śnieg, przepołowione.

- Zostaw! Zostaw, pierdolony demonie!

- Skylle, uspokój się! – wrzasnął Madrigale, przygważdzając go całym ciałem do ziemi. – Chcę ci pomóc! Chcę cię zabrać do twojej prawdziwej rodziny!

- Ja nie chcę! Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

- Chcesz, Skylle, chcesz tego najbardziej na świecie, tylko się boisz! Rozumiem, że to dla ciebie nagłe wieści, ale zrozum, że rodzice cię kochają i chcą cię z powrotem!

- Skoro tak mnie kochają, to czemu... czemu jestem tutaj, a nie z nimi?! Czemu zawsze byłem tutaj, a nie z nimi?!

- Bo ty i jakaś setka innych dzieciaków zostaliście tu wysłani, żeby zasiedlić nowe ziemie! Lecz twoi rodzice kochają cię tak bardzo, że zapłacili mi, żebym cię znalazł!

- Co, kurwa?! Ty siebie słyszysz, Madrigale?! Jakim cudem udało ci się przez cały ten czas ukrywać ten stopień popierdolenia?!

- Jestem, widać, bardzo dobrym hraendrem! Kiedy cię znalazłem, chciałem od razu zabrać cię do domu, ale Kai pokrzyżował moje plany. Jaggonci dowiedzieli się, że jestem blisko Kaia i...

- Kto?! Kto, kurwa?!

- To oni decydują, czy zasłużyłeś na apiraffrani, a ty po takim cierpieniu już na pewno zasłużyłeś. Skylle, w miejscu, do którego jedziemy, śmierć już dawno została pokonana! Ja już zrobiłem, co do mnie należało, by mieć zagwarantowane drugie życie, i ty też będziesz mógł je otrzymać! Ty też połknąłeś smocze jajo, kiedy byłeś niemowlęciem, i tobie też pisana jest wieczność!

- Puść mnie! Puść mnie, kurwa!

Madrigale puścił go, a Skylle usiadł jak najdalej od niego, dysząc, i wciąż patrząc na niego jak na szaleńca.

- Pojebało cię – warknął. – Całkiem, całkiem cię pojebało!

- Nawet, jeśli – przewrócił oczami Madrigale. – Pojedź ze mną do swoich rodziców. Poznasz ich. Będziesz miał swoje miejsce na ziemi.

- A czemu niby mam ci ufać?!

- Ponieważ jestem twoim nauczycielem! Ponieważ uratowałem cię z płonącego zamku! Ponieważ próbuję wieźć cię przez pół świata dobrowolnie, zamiast cię związać albo otruć! Pomyśl przez chwilę rozsądnie!

Skylle usilnie próbował.

- Dlaczego obudziłem się na koniu? – zapytał. – Pamiętam, że zaniosłeś mnie do sypialni, dałeś mi pić, a potem obudziłem się na koniu... Uśpiłeś mnie? Uśpiłeś mnie, zanim zaczął się pożar? Dlaczego?

Madrigale zbladł. Nie wyglądał jak Człowiek Nieba. Skylle nie miał pojęcia jak wygląda Człowiek Nieba. Ale Madrigale wyglądał zupełnie normalnie.

- To nie był pożar – oznajmił Madrigale. – Zamek był oblężony. Tylko służbie pozwolili się uratować.

Odszedł oporządzić konie, a Skylle znów podkulił kolana pod brodę. Znów zaczął kiwać się w tył i przód. Po chwili znów zaczął szlochać.

\*

Chevita wyłoniła się przed strażnikami spomiędzy blasku pochodni, z pismem w ręce.

- Przejmuję więźnia – oznajmiła. – Mam pozwolenie od generała.

Strażnik zwęził oczy podejrzliwie.

- A skąd mam wiedzieć, że jest autentyczne?

- Ma podpis i pieczęć.

- A skąd mam wiedzieć, że nie są podrobione?

- Nie możesz. Leć do generała wypytać go o wszystko. Może zdążysz, kiedy tu jeszcze będę.

Żołnierz zmarszczył brwi wrogo, ale zszedł z podium i wszedł na konia. Chevita weszła na podwyższenie i odwiązała ręce Cerro, które opadły jak ramiona szmacianej lalki.

- Zaraz na to zaradzę – westchnęła Chevita. Położyła torbę na zielonych deskach i wyciągnęła wilgotną szmatkę. – To tylko woda.

Obmyła twarz Cerro z zaschniętej krwi. Przez jej czoło biegła rana po mieczu, która spływała pomiędzy oczy i sięgała aż zbocza nosa. Blizna była szpetna, ale rana nie była groźna.

- Teraz posmaruję ci ramiona i plecy. To może trochę zaboleć.

Wyciągnęła z torby kolejną szmatkę, którą nasączyła jadowitym olejkiem. Zsunęła suknię z ramion Cerro tak, by oszczędzić resztki jej godności. Księżniczka nie protestowała. Strażnicy obserwowali uważnie, jak magini smarowała jej zwiotczałe barki, poranione gradem batów plecy, a w końcu też stopy, które wyjęła ze zmarzniętych na kamień butów. Cerro nawet nie syknęła.

Chevita wyciągnęła z torby kubek i nalała do niego mikstury.

- Teraz już możesz ruszać rękami, prawda? Wypij to.

Cerro zawahała się, zanim sięgnęła po kubek ruchem dziecka uczącego się trzymać przedmioty. Potem objęła naczynie dwiema dłońmi i przyłożyła je do ust. W tym czasie Chevita zaszywała jej rozdartą suknię.

- Skończyłaś? Wstań.

Cerro wstała chwiejnie, garbiąc się, a strażnicy zaciśnieli palce na swoich mieczach.

- Zabieram ją do domu – powiedziała do nich Chevita, zarzucając na Cerro sięgający ziemi płaszcz. – Dobranoc.

Podprowadziła Cerro do konia, na którego nakazała jej wsiąść. Prowadziła go za lejce w ciemność ciasnych uliczek, aż Cerro odpłynęła do krainy snu.

Kiedy się obudziła, miała na sobie czyste ubranie i ciepłą pościel. Nie wiedziała, gdzie jest. Wiedziała, że przez zasłony prześwituje słońce. Że z kubka na stole paruje. Że leży tam pokrojony haroński chleb. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, i do środka weszła Chevita.

- W samą porę – mruknęła, wręczając Cerro kubek i pajdę chleba. – Śniadanie.

Ręce Cerro nie poruszyły się.

- On naprawdę nie żyje? – wychrypiąła.

Były to pierwsze słowa, które wypowiedziała od tygodnia. Jej zrogowaciały język bolał. Jej spierzchnięte wargi krwawiły. Nie było kawałka jej skóry, który nie pulsował bólem.

- Naprawdę – odparła Chevita. – Śniadanie.

- Widziałaś jego ciało?

Magini westchnęła, odstawiając jedzenie i picie z powrotem na kulawy stół. Sama usiadła na brzegu łóżka, jakby z nadzieją, że oczy Cerro w końcu ją zauważą.

- Widziałam – rzekła. – Zasztyletowany przez Silarusa Temidana.

- Nie... - wyjaśniła Cerro, nie mając siły wykrzywić twarzy, ani się rozpłakać. – Mówisz mi tylko to, co słyszałaś. Nie widziałaś ciała. Temidanowie mogą kłamać.

- Cerro. Oni wszyscy nie żyją. Czy zobaczyłeś ich ciała, czy nie – nie żyją. I twój brat, i twoja bratowa, i rodzina twoego męża, i twój syn, i twój mąż. Uratowali się tylko Kallo i Liara, których Temidanowie wezmą na wychowanie, wmawiając im, że to był tragiczny wydadek. Być może, że to ty go wywołałaś. Możliwe, że twoje uliczne dziecko się uratowało, ale ludzie o nazwisku Kohar nie istnieją. Ludzie o nazwisku Meaveleth i Temidan nie są już twoimi przyjaciółmi. Nie ma nikogo, kto ci pomoże. Poza mną. Musisz mi uwierzyć.

Łzy wypłynęły z przymkniętych oczu Cerro. Kiedy płynęły, jej skóra bolała tak, jakby płakała lawą.

- Yazor jeszcze nie wie, że tu jesteś, ale to się prędko zmieni.

- A gdzie ja jestem?

- W podrzędnym burdelu. Ale przed światem będziesz na szlaku. Pojedziesz do Alkaidei, do artefaktorki Occy, tak jak miałaś zrobić. Tym razem nie odstawisz żadnych numerów. Tym razem nie będziesz nikogo atakować. Z nikim rozmawiać. Dotrzesz na miejsce i będziesz bezpieczna. Rozumiesz?

Cerro nie odpowiedziała. Była potwornie zmęczona.

- Cerro, chodzi o twoje przeżycie. Zginiesz, jeśli tu zostaniesz.

Była potwornie zmęczona.

- Przywiąż cię z powrotem do pręgierza, jeśli tu zostaniesz – powiedziała Chevita, znów sięgając po chleb i kubek. – Śniadanie.

Cerro przyjęła jedzenie, które pozbawione było jakiegokolwiek smaku.

Zanim słońce jeszcze zaczęło się budzić, nałożyła wełnianą koszulę i wąską spódnicę. Dostała szorstkie rękawiczki, pocerowaną pelerynę i zdarte buty, a w jukach na siwym koniu miała nóż, jedzenie, picie, skolrypos i pieniądze.

- Prędko – mruknęła Chevita, wyglądając zza rogu Wisienki.

- Dlaczego nadstawiasz dla mnie karku? – wychrypiała Cerro, głaszcząc swego nowego towarzysza po poczciwym pysku. Nie miała odwagi spytać, co stało się z jej psami.

Chevita zapnęła, zniecierpliwiona.

- Mam układ z Occą.

- Ta cała artefaktorka to jakaś pułapka?

- Pojedź i się przekonaj.

Cerro kiwnęła głową. Wsiadła na konia i skierowała go na wschód, planując objechać obrzeża miasta i skręcić na południe, ku linii Puszczy. Nie była zbyt dobra w panowaniu nad końmi, ale ten był wyjątkowo łagodny. Zastrzygły uszami, słyszcząc zbliżający się dźwięk dzwoneczka – ale to tylko tresowana koza biegła przez ulice, budząc tych, którzy musieli wstawać wcześniej od słońca. To przez nich świat wciąż toczył się tym samym, bezwzględnym, obojętnym rytmem.

Cerro przesunęła dlonią po ostrzyżonej krzywo głowie. Ostatni raz odwróciła twarz ku magini.

- Nie zapomnę ci tego.

Poprawiła kaptur, ścisnęła boki rumaka i ruszyła galopem po błyszczących w ciemności wzgórzach, jak najdalej od Naucenemes.